wolnelektury.pl

Aleksander Dumas (ojciec)
(tłum. Klemens Łukaszewicz)

Hrabia Monte Christo

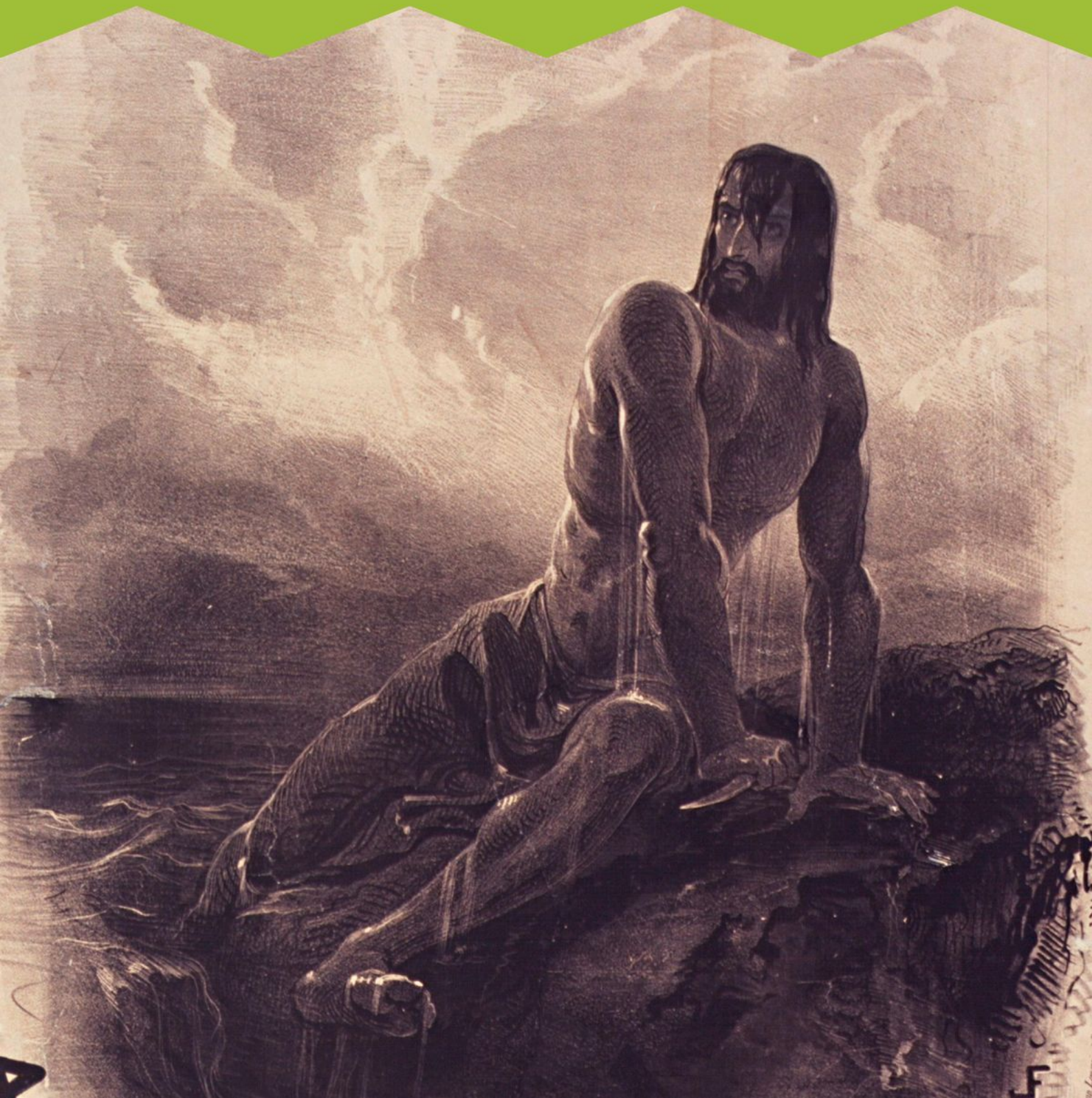

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ALEKSANDER DUMAS (OJCIEC)

Hrabia Monte Christo

TŁUM. KLEMENS ŁUKASZEWICZ

I. POWRÓT DO MARSYLII

Okręt, Morze, Obyczaje

Był dwudziesty czwarty lutego 1815 r., gdy strażnik dał z wieży Notre Dame de la Garde[1] sygnał, zapowiadając przybycie trójmasztowca „Faraon", powracającego ze Smyrny[2] przez Triest[3] i Neapol.

Jak to zazwyczaj bywa w takich razach, z portu natychmiast wyruszył pilot i opłynąwszy zamek If[4] przybił do burty statku pomiędzy przylądkiem Morgion i wyspą Rion. I jak to się znów z reguły dzieje, tak i tego dnia wały twierdzy Św. Jana zaroiły się od gapiów; przybycie bowiem statku jest w Marsylii zawsze wielkim wydarzeniem, a co dopiero takiego statku jak „Faraon" — zbudowanego, otaklowanego[5] i załadowanego w stoczniach starożytnej Focei[6], a nade wszystko należącego do jednego z miejscowych armatorów[7].

A statek zbliżał się tymczasem; przebył już szczęśliwie cieśninę pomiędzy wyspami Calasareigne i Jaros, powstałą na skutek wstrząsów wulkanicznych, minął Pomegue, i choć posuwał się pod rozpiętymi marslami[8], kliwrem[9] i bezanem[10], szedł tak wolno i tak posępny nastrój wokół roztaczał, że niektórzy wśród widzów, wiedzeni samym przeczuciem, zastanawiali się, co za nieszczęście mogło ów statek dotknąć. Mimo to ludzie rozumiejący się na nawigacji twierdzili, że jeśli się coś złego przytrafiło, to pewnie nie statkowi. Bo chociaż płynął wolno, ale w najlepszym porządku, jak statek pod znakomitym dowództwem. Kotwica była przygotowana, zluzowano wanty[11] bukszprytu[12], a obok pilota, który był gotów, aby wprowadzić żaglowiec w wąskie gardło marsylskiego portu, stał młody człowiek, o energicznym zachowaniu i bystrym spojrzeniu; bacznie czuwał nad każdym ruchem statku i powtarzał każdy rozkaz pilota.

Wśród tłumu widzów, na twarzach których malował się ów nieokreślony niepokój, jeden człowiek szczególnie zdawał się niepokoić i niecierpliwić; nie mogąc się docze-

[1] *Notre Dame de la Garde* — neobizantyjski kościół w Marsylii mający status bazyliki mniejszej, położony na wzgórzu La Garde (o wys. 162 m); w przeszłości punkt sygnałowy dla statków wpływających do marsylskiego portu. [przypis edytorski]

[2] *Smyrna* — duże miasto portowe u wsch. wybrzeży Morza Egejskiego; dziś: Izmir w zach. Turcji nad Zatoką Izmirską. [przypis edytorski]

[3] *Triest* — portowe miasto w płn.-wsch. Włoszech, położone nad Adriatykiem. [przypis edytorski]

[4] *zamek If* — wybudowany w latach 1524–1531 zamek na wyspie If, położonej u wybrzeży Marsylii, na przeciwko neobizantyńskiej bazyliki Notre Dame de la Garde. Twierdza obejmuje całą powierzchnię wyspy; od XVIII w. pełniła funkcję więzienia stanu. [przypis edytorski]

[5] *otaklowany* — ożaglowany; od *takielunek*: osprzęt statku żaglowego, czyli omasztowanie, olinowanie i ożaglowanie; w węższym znaczeniu: takielunek ruchomy, czyli wszystkie ruchome liny regulujące żagle, bloczki itp. osprzęt dający się łatwo demontować. [przypis edytorski]

[6] *Fokaja* — staroż. gr. miasto znajdujące się na zach. wybrzeżu Anatolii. Osadnicy z Fokai założyli kolonię Massalię (dziś: Marsylia we Francji). [przypis edytorski]

[7] *armator* — właściciel statku, który na własny koszt uzbraja go i wyposaża na swoje potrzeby lub w celu wynajęcia. [przypis edytorski]

[8] *marsel* — prostokątny żagiel zawieszany na drugiej (m. dolny) lub trzeciej (m. górny) rei, licząc od pokładu. [przypis edytorski]

[9] *kliwer* — trójkątny żagiel sztagowy (umocowany na linie, czyli sztagu). [przypis edytorski]

[10] *bezan* — żagiel na tylnym maszcie żaglowca. [przypis edytorski]

[11] *wanty* — podtrzymujące maszt olinowanie stałe na żaglowcu; zwykle splecione z drutu liny stabilizujące maszt po bokach. [przypis edytorski]

[12] *bukszpryt* — rodzaj pochyłego masztu wystającego przed dziób statku. [przypis edytorski]

kać przybycia statku do portu, wskoczył prędko do małej łódki i kazał płynąć naprzeciw „Faraona"; przybił doń na wysokości zatoczki Réserve.

Na widok owego człowieka młody marynarz opuścił swoje stanowisko przy pilocie i z kapeluszem w ręku przystąpił do burty statku.

Był to młodzieniec liczący zaledwie osiemnaście do dwudziestu lat, słusznego wzrostu, smukły, kruczowłosy, o pięknych czarnych oczach. W całej jego postaci malował się spokój i energia, właściwa ludziom, którzy od dzieciństwa przywykli walczyć z niebezpieczeństwami.

— Ach! To pan, panie Edmundzie! — wykrzyknął mężczyzna z łódki. — Cóż się stało? Skąd ten smutek, który panuje na pokładzie?

— Nieszczęście, wielkie nieszczęście na nas spadło, panie Morrel — odrzekł młodzieniec. — Nieszczęście, które srogo mnie dotknęło. Tuż pod Civitavecchia[13] straciliśmy naszego zacnego kapitana Leclère'a.

— A ładunek? — zawołał niespokojnie właściciel okrętu.

— Nietknięty, przywieźliśmy go w najlepszym porządku; sądzę, że jeśli o to idzie, będziesz pan zupełnie kontent[14]. Ale biedny kapitan Leclere...

— Cóż mu się stało? — spytał właściciel tonem wyraźnie spokojniejszym. — Cóż się stało zacnemu kapitanowi?

— Nie żyje.

— Czyżby utonął?

— O nie, panie Morrel, umarł na zapalenie mózgu wśród najokropniejszych cierpień.

Po czym Edmund zwrócił się do swoich ludzi:

— Hej! — zawołał. — Wszyscy na stanowiska, rzucamy kotwicę!

Załoga spełniła rozkaz i ośmiu czy dziewięciu marynarzy, którzy się na nią składali, rzuciło się w mgnieniu oka do szotów[15], brasów[16], fałów[17], want i sztagów[18].

Młody marynarz, rzuciwszy okiem na początek manewru i przekonawszy się, że rozkazy są należycie spełniane, powrócił do pana Morrela.

— Jakże doszło do tego nieszczęścia? — spytał armator, nawiązując do przerwanego wątku rozmowy.

— Ach, mój Boże, nigdy byśmy się nie spodziewali. Po długiej rozmowie z komendantem portu w Neapolu kapitan Leclere opuścił miasto bardzo wzruszony: nie minęła doba, a dostał nadzwyczaj mocnej gorączki i w trzy dni później już umierał... Wyprawiliśmy mu pogrzeb, jak należy; przywiązaliśmy mu do stóp i do głowy 26-funtowe[19] kule i spoczywa teraz owinięty w hamak niedaleko wyspy El Giglio[20]. Wdowie po nim wieziemy jego Krzyż Legii Honorowej[21] i szpadę. Smutne to — ciągnął młodzieniec z melancholijnym uśmiechem — walczyć z Anglikami lat dziesięć, żeby potem umrzeć taką śmiercią, jak lada kto umiera — we własnym łóżku.

— Cóż chcesz, do diabła, drogi panie Edmundzie — odpowiedział armator, który wyglądał na niemal zupełnie pocieszonego po tej stracie. — Wszyscy jesteśmy śmiertelni, a trzeba przecież, żeby starzy ustępowali miejsca młodym, inaczej trudno byłoby mówić o postępie; ale skoro powiadasz mi, że ładunek jest...

— W doskonałym stanie, ręczę za to, panie Morrel. Ten rejs przyniesie panu zapewne 25 000 franków[22] zysku.

Statek mijał właśnie Basztę Okrągłą.

---

[13] *Civitavecchia* — miasteczko portowe we Włoszech, ok. 70 km na płn. -zach. od Rzymu. [przypis edytorski]

[14] *kontent* (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

[15] *szot* — lina służąca do mocowania pracującego żagla, skierowana w dół ku rufie. [przypis edytorski]

[16] *brasy* — liny służące do manewrowania żaglami w płaszczyźnie poziomej w celu ustawiania ożaglowania rejowego najkorzystniejszej względem wiatru. [przypis edytorski]

[17] *fał* — lina służąca do podnoszenia i opuszczania żagla lub ruchomej części omasztowania bądź wyposażenia statku żaglowego. [przypis edytorski]

[18] *sztag* — lina stalowa usztywniająca maszt w płaszczyźnie pionowej wzdłuż osi statku. [przypis edytorski]

[19] *funt* (daw.) — jednostka masy używana w krajach Europy; zwykle wynosiła pomiędzy 0,4 a 0,5 kg. [przypis edytorski]

[20] *Isola del Giglio* — wyspa położona na Morzu Tyrreńskim; druga co do wielkości w Archipelagu Wysp Toskańskich. [przypis edytorski]

[21] *Krzyż Legii Honorowej* — najwyższa klasa Orderu Narodowego Legii Honorowej, czyli najważniejszego fr. odznaczenia, nadawanego za specjalne zasługi w życiu wojskowym i cywilnym. [przypis edytorski]

[22] *frank* — fr. jednostka monetarna; występowała w latach 1795–2002. [przypis edytorski]

— Gotować się do zwijania marsli, kliwra i bezanżagla! — zawołał młody żeglarz. — Żywo!

Rozkaz spełniono z taką szybkością, jak na okręcie wojennym.

— Luzuj i zwijaj!

Na tę komendę wszystkie żagle opadły nagle, a statek jął posuwać się do przodu z wolna, popychany samą już tylko siłą rozpędu.

— Teraz, panie Morrel, racz wejść na pokład — rzekł Dantès, widząc niecierpliwość właściciela. — Oto wychodzi z kajuty[23] pański buchalter[24], pan Danglars. Udzieli panu wszelkich objaśnień, jakich byś pan nie zażądał. Co do mnie, muszę dopilnować kotwiczenia i wywiesić znaki żałoby.

Armator nie kazał sobie powtarzać dwa razy, uchwycił linę okrętową, którą mu rzucił Dantès i z nadzwyczajną zręcznością, która nie przyniosłaby wstydu najwytrawniejszemu majtkowi[25], wspiął się na pokład po szczeblach umocowanych na zewnętrznej ścianie pękatego kadłuba. Dantès tymczasem wrócił na swoje dawne miejsce, aby nie przeszkadzać rozmowie armatora i pana Danglarsa, owego człeka, który wyszedł z kajuty na spotkanie pana Morrela.

Nowo przybyły wyglądał na dwadzieścia pięć do dwudziestu sześciu lat. Obłudna jego fizys[26] zdradzała, że płaszczył się w obejściu ze zwierzchnikami, zaś cierpko traktował podwładnych. Piastował stanowisko agenta kasowego, a że sama ta funkcja budzi wstręt wśród marynarzy, dlatego zapewne cała załoga okazywała mu tyleż niechęci, co sympatii wobec Edmunda Dantèsa.

— I cóż, wie pan już zapewne — rozpoczął Danglars — o nieszczęściu?

— Wiem już, wiem. Biedny kapitan Leclère, dzielny to był i zacny człowiek.

— A nade wszystko doskonały marynarz, zestarzał się, patrząc tylko na niebo i morze, jak przystoi człowiekowi, w którego ręce złożone były interesy tak znakomitej firmy, jak Dom Handlowy Morrel i Syn — odrzekł Danglars.

— Zdaje mi się jednak — rzekł armator, śledząc wzrokiem Dantèsa — że niekoniecznie trzeba być starym wilkiem morskim, jak pan twierdzisz, aby znać dobrze swoje rzemiosło. Oto na przykład nasz drogi Edmund, bierze się za dowodzenie tak, jakby nie potrzebował niczyjej pomocy.

— Zapewne — rzekł Danglars, spoglądając na Dantèsa z ukosa, a w oku błysnęła mu nienawiść. — Tak, nie podlega to żadnej wątpliwości, młode to i pewne siebie... Ledwie kapitan zamknął oczy, on natychmiast objął dowództwo bez niczyjej rady, i zamiast udać się prostą drogą do Marsylii, półtora dnia stał ze statkiem na Elbie[27].

— Miał prawo i obowiązek objąć dowództwo statku jako drugi co do stopnia po zmarłym; że zaś stracił półtora dnia na Elbie, to źle, chyba że statek potrzebował jakiejś naprawy.

— „Faraon" miał się tak dobrze jak ja, a życzę panu z całego serca takiego zdrowia jak moje, panie Morrel; straciliśmy półtora dnia, bo po prostu zachciało mu się pobyć trochę na lądzie i nic więcej.

— Dantès, pozwól pan tu do nas na chwilę! — zawołał do młodzieńca armator.

— Proszę wybaczyć — odpowiedział Dantes — za chwilę będę mógł panu służyć.

Po czym zwrócił się do załogi:

— Rzucaj!

Kotwica spadła, łańcuch osunął się z brzękiem. Chociaż pilot był nadal obecny, Dantès pozostał na stanowisku, póki ten ostatni manewr nie został ukończony, po czym krzyknął:

— Proporczyk do połowy masztu, spuścić flagę! Skrzyżować reje[28]!

— Uważasz pan — rzekł Danglars. — Słowo daję, on ma się już za kapitana.

— Bo i jest nim — odpowiedział właściciel.

— Tak, brak tylko podpisu pana, panie Morrel, i pańskiego wspólnika.

---

[23] *kajuta* — inaczej: kabina, prywatne pomieszczenie mieszkalne na statku. [przypis edytorski]

[24] *buchalter* (daw.) — księgowy. [przypis edytorski]

[25] *majtek* — marynarz niższej rangi, wykonujący najprostsze prace na statku. [przypis edytorski]

[26] *fizys* (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

[27] *Elba* — największa wyspa Archipelagu Wysp Toskańskich. [przypis edytorski]

[28] *reja* — poprzeczne drzewce przymocowane do masztu, u dołu których przyczepiano żagiel. [przypis edytorski]

— Do diabła, dlaczegóż nie mielibyśmy go zatrzymać na tym stanowisku? Prawda, że młody, ale to chłopak na swoim miejscu i widzę, że doświadczony z niego żeglarz.

Danglars spochmurniał na moment.

— Przepraszam, panie Morrel — rzekł Dantès, podchodząc do nich. — Racz mi wybaczyć; kiedy statek jest już na kotwicy, jestem na pańskie rozkazy. Zdawało mi się, żeś mnie pan wzywał[29].

Danglars cofnął się o krok.

— Chciałem cię zapytać, dlaczego zatrzymałeś się na Elbie.

— Właściwie nie wiem. Chciałem tylko wypełnić ostatnią wolę kapitana Leclère'a, który umierając, wręczył mi pakunek dla marszałka Bertranda.

— I cóż? Widziałeś go, Edmundzie?

— Kogo?

— Marszałka.

— Widziałem.

Rozejrzawszy się niespokojnie wkoło, Morrel odprowadził Dantèsa na stronę.

— Jakże się ma cesarz[30]? — zapytał z ożywieniem.

— Dobrze, jeśli mogę sądzić z tego, co sam widziałem.

— Widziałeś więc i cesarza?

— Wszedł, kiedym był u marszałka.

— Mówiłeś z nim?

— On raczej ze mną rozmawiał — uśmiechnął się Dantès.

— I cóż ci rzekł?

— Zapytał, kiedy nasz statek wyruszył z Marsylii, jaką płynął drogą, jaki ma ładunek. Wywnioskowałem, że gdyby był bez ładunku i należał do mnie, cesarz chętnie by go kupił. Ale powiedziałem, że jestem tylko zastępcą kapitana, statek zaś jest własnością Domu Morrel i Syn. „Aha — zawołał natychmiast — znam tę firmę. Morrelowie to z dziada pradziada właściciele statków; jakiś Morrel służył w tym samym pułku co i ja w garnizonie w Walencji".

— To prawda, jak Boga kocham — wykrzyknął uradowany armator. — Wszak to Polikarp Morrel, mój rodzony wuj, który dochrapał się stopnia kapitana. Edmundzie, jeśli tylko powiesz pan wujowi, że cesarz go sobie przypomniał, poczciwy stary zrzęda rozpłacze się z radości, zobaczysz. Dobrze — ciągnął dalej, klepiąc młodzieńca po ramieniu — słusznie zrobiłeś, żeś spełnił rozkazy kapitana Leclère'a i zatrzymał się na Elbie, chociaż gdyby wiedziano, że zanosiłeś jakąś paczuszkę do marszałka i mówiłeś z cesarzem, mogłoby cię to narazić na podejrzenia.

— Ale z jakiej przyczyny, panie Morrel? — spytał Dantès. — Czyż ja wiem, co było w tym pakunku? Cesarz zaś mógł zadać takie same pytania pierwszemu lepszemu marynarzowi. Ale przepraszam pana raz jeszcze — rzekł nagle Dantès — zbliżają się do nas służba sanitarna i celnicy, pan pozwoli?...

— Dobrze, mój drogi Edmundzie, rób, co trzeba.

Młodzieniec oddalił się, a na jego miejsce przybliżył się Danglars.

— I cóż? — zapytał. — Zdaje się, że musiał się dobrze tłumaczyć z postoju w Portoferraio[31]?

— Owszem, podał najistotniejsze powody, kochany panie Danglars.

— O, tym lepiej. Nie uwierzy pan, jak przykro myśleć, że kolega nie spełnia swych obowiązków.

— Dantès wykonał to, co do niego należało — odpowiedział armator — nie mam mu nic do zarzucenia. Postój miał miejsce na polecenie kapitana Leclère'a.

List

— Jeśli już mowa o kapitanie, czy Dantès nie oddał ci od niego żadnego listu?

— Mnie? Nie. Miał więc jakiś list?

— Zdawało mi się, że prócz paczki kapitan wręczył mu list.

— O jakiejże to paczuszce mówisz, panie Danglars?

— Ależ o tej, którą Dantès oddał w Portoferraio.

---

[29] *żeś (…) wzywał* — inaczej: że wezwałeś (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

[30] *cesarz* — chodzi o Napoleona Bonaparte (1769–1821) przebywającego na zesłaniu na Elbie. [przypis edytorski]

[31] *Portoferraio* — największa miejscowość na Elbie. [przypis edytorski]

— Skąd pan wiesz, że miał tam oddać jakąś paczkę?

Danglars zarumienił się.

— Przechodziłem właśnie obok kajuty kapitana i przez półuchylone drzwi zauważyłem, jak oddawał Dantèsowi pakunek i list.

— O liście nic mi nie mówił — odrzekł właściciel. — A jeśli ma dla mnie jakąś wiadomość, z pewnością mi ją doręczy.

Danglars zamyślił się na chwilę.

— Panie Morrel, bardzo pana proszę, abyś mu o tym nie wspominał; przecież mogłem się pomylić.

W tejże chwili nadszedł Dantès, a Danglars znowu się oddalił.

— Cóż, Dantès, wszystko już załatwione? — zapytał Morrel.

— Tak, panie Morrel.

— Jakoś niedługo trwały te formalności.

— A nie. Oddałem celnikom spis naszych towarów, a z komory celnej przysłano do nas człowieka, który przyjechał razem z pilotem. Wręczyłem mu nasze dokumenty.

— Więc jesteś już pan wolny?

Dantès obejrzał się wokół.

— Tak, wszystko jest w porządku.

— No, to może zjesz pan z nami dziś obiad?

— Proszę mi darować, panie Morrel, ale choć to dla mnie ogromny zaszczyt, muszę najpierw powitać ojca.

— Słusznie, moje dziecko. Znałem cię zawsze jako dobrego syna.

— A mój ojciec... — zapytał Dantès z pewnym wahaniem — nie wie pan, jak on się miewa?

— Myślę, że dobrze, chociaż przyznam ci się, mój Edmundzie, żem go dawno nie widział.

— A tak, on nie wychodzi prawie ze swego pokoiku.

— To dowodzi, że mu nic nie brakowało w czasie twojej nieobecności.

Dantès uśmiechnął się.

— Mój ojciec jest tak dumny, że gdyby nawet nic już nie miał, nikogo by w świecie nie poprosił o pomoc, chyba Boga jednego.

— Dobrze, ale potem możemy się spodziewać, że przyjdziesz?

— Och, znów proszę pana o wybaczenie. Po tych odwiedzinach muszę jeszcze do kogoś pójść i tam również serce mi się wyrywa.

— Ach, prawda! Prawda. Zapomniałem na śmierć, że w wiosce katalońskiej[32] pewna osoba oczekuje na pana z taką jak pański ojciec niecierpliwością, śliczna Mercedes...

Dantès uśmiechnął się.

— Ach, nie dziwię się teraz — rzekł pan Morrel — dlaczego tu przychodziła pytać ze trzy razy, czy nie ma wiadomości o „Faraonie". Tam do diabła! Powodzi się panu, drogi Edmundzie, piękną masz kochankę!

— To nie moja kochanka — odpowiedział z powagą Dantès — ale narzeczona.

— Wszystko to jedno, kochanka, narzeczona — uśmiechnął się właściciel statku.

— Dla nas nie, panie Morrel.

— Dobrze, idź już, idź, kochany Edmundzie, nie zatrzymuję cię dłużej. Dosyć się napilnowałeś moich interesów, załatwiajże teraz swoje sprawy. Może ci trzeba pieniędzy?

— Nie, dziękuję, oszczędziłem sobie dosyć w czasie podróży, mam całą trzymiesięczną gażę[33].

— Jesteś porządnym chłopcem, Edmundzie.

— Pan wie, że mój ojciec jest ubogi — odpowiedział Dantès.

— O, wiem, wiem, żeś dobry syn jak rzadko, spieszże więc do ojca. Ja także mam syna i nie byłbym bardzo zobowiązany temu, kto by go chciał zatrzymać z dala ode mnie po trzymiesięcznej podróży.

— Żegnam więc pana — odrzekł młodzieniec, kłaniając się.

---

[32] *kataloński* — związany z Katalonią, tj. regionem na Półwyspie Iberyjskim, i jej mieszkańcami. [przypis edytorski]

[33] *gaża* (z fr. *gage*) — pensja. [przypis edytorski]

— Bywaj zdrów — jeśli mi nic więcej nie masz do powiedzenia.

— Nie.

— Kapitan Leclère nie poruczył[34] ci przed śmiercią żadnego listu do mnie?

— Nie był już w stanie nic pisać, ale... Ach, dobrze, że nie zapomniałem. Chciałem prosić pana o dwa tygodnie urlopu.

— Chcesz się zapewne żenić?

— Tak... a potem muszę wyjechać do Paryża.

— Dobrze, dobrze! Jedź pan na tyle, na ile zechcesz! Wyładowanie statku zabierze najmniej sześć tygodni, więc dopiero za trzy miesiące będzie mógł wyjść w morze... Ale trzeba, żebyś pan był z powrotem przed upływem tego czasu. „Faraon" — dodał, kładąc dłoń na ramieniu młodego żeglarza — nie może wypłynąć bez kapitana.

— Bez kapitana! — zawołał Dantès i oczy zaiskrzyły mu się radością. — Na Boga, zważ pan dobrze na to, coś wyrzekł, bo zdaje mi się, że odgadujesz moje najskrytsze marzenia. Czyżby miał pan rzeczywiście zamiar mianować mnie kapitanem „Faraona"?

— Gdyby to ode mnie samego zależało, podałbym ci rękę, mój drogi Edmundzie i powiedział: „Jesteś kapitanem". Ale mam wspólnika, a znasz włoskie przysłowie: „kto ma wspólnika, ma naczelnika". Ale połowa drogi już za nami, albowiem z dwóch potrzebnych głosów jeden już masz. Spuść się zresztą na mnie[35], jeżeli chodzi o drugi postaram się zrobić wszystko, abyś go uzyskał.

— O! Panie Morrel! — zawołał młody marynarz, ze łzami w oczach ściskając ręce armatora. — Dziękuję panu w imieniu mojego ojca i Mercedes.

— Spokojnie, drogi Edmundzie! Dobry Bóg na niebie od tego jest, do diabła, aby trzymać w swej opiece zacnych ludzi! Biegnij już do ojca, do swojej Mercedes, a potem zajdź i do mnie.

— Pozwoli pan, bym go odwiózł na ląd?

— Nie potrzeba, dziękuję; zostanę tutaj, żeby rozliczyć się z Danglarsem. Czy byłeś pan z niego kontent w czasie podróży?

— Zależy, co pan przez to pytanie pojmuje. Jako towarzysz... hm... nie byłem zadowolony, wiem, że mnie nie lubi, szczególnie od chwili, kiedy po jakiejś małej sprzeczce popełniłem wielką niedorzeczność i zaproponowałem krótki postój na wyspie Monte Christo[36], aby tam w ciągu dziesięciu minut zakończyć w sposób ostateczny nasz spór. Głupstwo zrobiłem, żem go wyzwał, on zaś postąpił jak najsłuszniej, sprzeciwiając się temu. Jeśli natomiast pytasz pan, co sądzę o nim jako o buchalterze, myślę, że będziesz pan kontent z jego pracy, pełni swoje obowiązki nadzwyczaj gorliwie.

— Ale powiedz mi — pytał dalej armator — gdybyś został kapitanem statku, zatrzymałbyś chętnie Danglarsa?

— Zarówno jako kapitan, jak i jego zastępca, umiałbym szanować każdego, kto posiada zaufanie moich przełożonych.

— Doskonale, Edmundzie, widzę, żeś pod każdym względem prawy człowiek. Nie zatrzymuję cię dłużej, idź, bo widzę, że stoisz jak na rozżarzonych węglach.

— Jak więc będzie z moim urlopem?

— Ależ jedź sobie, powtarzam.

— Czy pożyczy mi pan łódki?

— Bierz.

— Do widzenia, panie Morrel, tysiąckroć dziękuję.

— Do widzenia, drogi Edmundzie, wszystkiego dobrego!

Marynarz wskoczył do łodzi, siadł na rufie[37] i rozkazał płynąć do Cannebière. Dwaj majtkowie rzucili się natychmiast do wioseł i łódź pomknęła tak prędko, jak to tylko było możliwe w wąskiej uliczce, którą tworzyły dwa szeregi statków, prowadzącej od wejścia do portu aż do nabrzeża orleańskiego, a zapchanej gęsto niezliczoną ilością barek.

Morrel z uśmiechem na ustach odprowadził Dantèsa oczyma aż do brzegu; widział go jeszcze, jak przybił do brzegu, wyskoczył na kamienne płyty nabrzeża i znikł natychmiast

[34] *poruczył* (daw.) — powierzyć, oddać pod opiekę. [przypis edytorski]

[35] *spuszczać się* (daw.) — polegać na kimś, liczyć na kogoś, ufać komuś. [przypis edytorski]

[36] *Monte Christo*, właśc. *Montecristo* — niezamieszkana wysepka należąca do Archipelagu Wysp Toskańskich. [przypis edytorski]

[37] *rufa* — tylna część statku. [przypis edytorski]

w barwnym tłumie. Od piątej rano do dziewiątej wieczór mrowi się na tej słynnej ulicy Cannebière, z której tak są dumni dzisiejsi Focejczycy[38], że powiadają o niej z najzimniejszą krwią i owym specyficznym akcentem, nadającym tak wyjątkowy charakter ich mowie, że „gdyby Paryż miał swoją Cannebière, mógłby się zwać małą Marsylią".

Odwróciwszy się, armator spostrzegł stojącego obok Danglarsa, który z pozoru zdawał się oczekiwać na jego rozkazy, a w rzeczywistości sam śledził wzrokiem młodego marynarza. Wzrok, Wróg

Jakże wielka była różnica w wyrazie oczu tych dwóch ludzi, spoglądających na tego samego człowieka.

2. OJCIEC I SYN

Niechaj Danglars wysila swój geniusz zawiści; nie będziemy słuchali jego złośliwych podszeptów, których jedynym celem jest oczernić towarzysza przed armatorem, i udajmy się za Dantèsem. Przebiegł już całą Cannebière i skręciwszy w ulicę Noailles wpadł do niepozornego domu po prawej stronie Alei Meilhańskich, przebiegł szybko cztery piętra po ciemnych schodach i trzymając się jedną ręką poręczy, a drugą przyciskając do piersi, aby stłumić uderzenia serca, stanął przed drzwiami uchylonymi tak, że można było zajrzeć w głąb małej izdebki.

W tym pokoiku mieszkał ojciec Dantèsa.

Wiadomość o przybyciu „Faraona" nie doszła jeszcze do starca, który stojąc na krześle, drżącą ręką podpierał właśnie patyczkami pędy nasturcji[39] i powoju[40], wijące się pomiędzy kratami.

Wtem uczuł, że ktoś go ujął w pół i z tyłu ozwał się[41] znajomy głos:

— Ojcze, ojcze kochany!

Starzec krzyknął i odwrócił się nagle, a zobaczywszy syna, osunął się w jego objęcia drżący i blady.

— Co ci, ojcze? — zawołał młodzieniec zatrwożony. — Czyś chory?

— Nie, nie, mój kochany Edmundzie, mój synu, moje dziecię, ale nie spodziewałem się ciebie... To radość, wzruszenie, żem cię zobaczył tak niespodziewanie. Ach! Boże wielki, zdaje mi się, że umrę...

— Ale uspokój się, ojcze, przyjdź do siebie, to ja, naprawdę ja! Mówi się, że radość nikomu nie może zaszkodzić, to dlatego tu wszedłem bez uprzedzenia. No, ojcze kochany, uśmiechnij się i nie patrz takim obłąkanym wzrokiem. Wróciłem i od tej pory będziemy żyć razem szczęśliwi.

— Ach, cudownie, mój chłopcze — odrzekł starzec. — Ale jakoż to będziemy żyć w szczęściu? Nie opuścisz mnie już więcej? Powiedz, jakież to szczęście?

— Oby mi przebaczył Bóg Wszechmocny, że cieszę się szczęściem okupionym żałobą innej rodziny, ale ten sam Bóg mi świadkiem, że nie pragnąłem tego. Ot, samo przyszło i nie mogę go odtrącić. Umarł dzielny kapitan Leclère, ojcze, a ja, za wstawiennictwem pana Morrela obejmę najprawdopodobniej jego miejsce... Ojcze, rozumiesz? Być kapitanem w dwudziestym roku życia! Mieć sto ludwików[42] pensji i udział w dochodach! Czyż marynarz tak biedny jak ja mógł kiedykolwiek spodziewać się takiego losu?

— Prawda to, syneczku, prawda — rzekł starzec. — To rzeczywiście wspaniała odmiana.

— Chciałbym za pierwsze pieniądze, które odbiorę, urządzić ci mały domek z ogródkiem, żebyś sobie sadził swoje powoje, nasturcje i kapryfolium[43]... Ale cóż ci jest, mój ojcze? Wyglądasz, jakby ci słabo było?

— Bądź spokojny, to przejdzie.

Starcowi zabrakło jednak sił i zachwiał się.

---

[38] *Focejczycy* — tu: mieszkańcy Marsylii. [przypis edytorski]

[39] *nasturcja* — roślina o żółtych, pomarańczowych lub czerwonych kwiatach; uprawiana w ogrodach i na balkonach. [przypis edytorski]

[40] *powój* — rodzaj roślin o wijącej się lub płożącej łodydze, wydłużonych liściach i lejkowatych kwiatach (białych lub różowych). [przypis edytorski]

[41] *ozwał się* (daw.) — odezwał się. [przypis edytorski]

[42] *ludwik* (fr. *Louis d'or*) — fr. złota moneta; 1 ludwik to 8 talarów. [przypis edytorski]

[43] *kapryfolium* a. *wiciokrzew* — także: wiciokrzew przewiercień; rodzaj rośliny pnącej, uprawianej w celach ozdobnych. [przypis edytorski]

— Dalibóg — zawołał młodzieniec. — Wypij szklankę wina, to cię pokrzepi. Gdzie chowasz wino?

— Dziękuję ci, nie szukaj, nie chcę — odrzekł starzec, usiłując powstrzymać syna.

— Ależ tak, pozwól mi, pokaż tylko, gdzie jest.

I jął[44] otwierać szafy.

— Próżno szukasz — wyszeptał starzec — wina nie ma.

— Jak to? Nie masz wina? — zawołał Edmund, blednąc i wpatrując się to w zapadłe i blade niczym wosk policzki ojca, to w puste szafy. — Jak to, nie ma ani kropli? Czy ci zabrakło pieniędzy?

— Nic, nic mi już nie brakuje, mam wszystko, bo mam ciebie, mój synu.

— Przecież trzy miesiące temu, przed wyjazdem, zostawiłem ci dwieście franków — wyjąkał młodzieniec, ocierając pot z czoła.

— Tak, to prawda, Edmundzie. Zapomniałeś jednak, odjeżdżając, zapłacić małego długu sąsiadowi Caderousse'owi. Upomniał się o niego, dodając, że jeśli nie zapłacę, uda się do pana Morrela. Pojmujesz więc, że z obawy, aby ci to nie zaszkodziło, zapłaciłem, cóżem miał zrobić?

— Ach, mój Boże, byłem mu winien sto czterdzieści franków — zawołał Dantès — i mając wszystkiego dwieście franków, które ci zostawiłem, oddałeś sto czterdzieści?

Starzec skinął głową.

— Tym sposobem, mając tylko sześćdziesiąt franków, żyłeś przez trzy miesiące — wyszeptał Dantès.

— Wszak wiesz, jak mało potrzebuję — odrzekł starzec.

— Ach, Boże, Boże! Ojcze, daruj mi, przebacz — rzucając się do nóg ojca, zawołał Dantès.

— Cóż ty wyprawiasz?

— Ach! Rozdarłeś mi serce.

— Nic to, przecie jesteś tu, ze mną — rzekł starzec, uśmiechając się łagodnie. — Teraz możemy o tym zapomnieć, bo wszystko dobrze się skończyło.

— Tak, jestem przy tobie — rzekł młodzieniec. — Jestem przy tobie i mam przed sobą piękną przyszłość, i nawet trochę pieniędzy. Patrz, ojcze, masz, weź je i poślij prędko kogoś po wszystko, czego ci trzeba.

To mówiąc, wysypał na stół z kieszeni ze dwanaście ludwików, sześć złotych pięciofrankówek i trochę drobnych monet.

Twarz starca rozjaśniła się.

— I czyjeż to? — spytał.

— Ależ moje!... twoje!... nasze!... Weź, każ kupić żywności, bądź szczęśliwy, jutro znajdzie się ich więcej.

— Powoli, powoli — rzekł starzec i łagodny uśmiech ukazał mu się na twarzy. — Jeśli pozwolisz, będę się ostrożnie obchodził z twoją kiesą[45]. Gdyby zobaczono, że tak wiele naraz rzeczy kupuję, powiedziano by niezawodnie, że musiałem czekać z kupnem na twój powrót...

— Rób więc, jak chcesz, ojcze. Przede wszystkim jednak przyjmij sobie służącą, nie chcę dłużej, żebyś tu sam tak żył. Mam w skrzyneczce na dnie statku trochę przemyconej kawy i wybornego tytoniu — jutro ci przyniosę. Ale pst! ktoś nadchodzi!

— To Caderousse, musiał się już dowiedzieć, żeś przyjechał i przychodzi zapewne pogratulować ci szczęśliwego powrotu.

— Doskonale! Znowu człowiek, który co innego ma na ustach, a co innego w sercu — szepnął Edmund — ale mniejsza o to, wszak to nasz sąsiad, który nam kiedyś pomógł w potrzebie, trzeba go dobrze przyjąć.

Istotnie, kiedy Edmund kończył z cicha mówić te słowa, w drzwiach wiodących na schody ukazała się czarniawa i brodata twarz Caderousse'a. Był to człowiek mniej więcej dwudziestopięcioletni i trudnił się krawiectwem; trzymał właśnie w ręku kawał sukna[46], który zamierzał skroić na klapę surduta[47].

---

[44]*jąć* — tu: zacząć. [przypis edytorski]

[45]*kiesa* (daw.) — mały worek, służący do przechowywania pieniędzy; sakiewka. [przypis edytorski]

[46]*sukno* — ciężki wełniany materiał. [przypis edytorski]

[47]*surdut* — długa, dwurzędowa marynarka męska. [przypis edytorski]

— Ejże, wróciłeś więc, Edmundzie? — zawołał z czysto marsylskim akcentem, ukazując w szerokim uśmiechu zęby białe niby kość słoniowa.

— Jak widzisz, sąsiedzie, i gotów jestem ci usłużyć, w czym rozkażesz — rzekł Dantès, niezręcznie ukrywając pod pozorami uprzejmości wyraźną niechęć.

— Dziękuję, dziękuję! Chwała Bogu, nic mi nie trzeba, a za to inni czasem potrzebują czegoś ode mnie.

Dantès drgnął, a Caderousse ciągnął dalej.

— Nie odnoszę tego do ciebie, mój kawalerze; pożyczyłem ci pieniądze, tyś mi oddał; to się zdarza między dobrymi sąsiadami, a my jesteśmy kwita.

— Nigdy nie jesteśmy skwitowani wobec tych, którzy nam wyświadczają przysługę, bo jeśli nawet przestaliśmy być im dłużni pieniądze, należy im się jeszcze wdzięczność.

— Po co tu o tym gadać? Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Ot, pomówmy lepiej o twej podróży. Wybrałem się właśnie do portu, aby zaopatrzyć się w brązowe sukno, wtem spotykam kochanego Danglarsa. „A ty, co tu robisz w Marsylii?", „Ano, jestem już", odpowiedział mi. „Myślałem, żeś w Smyrnie?", „Dobrześ myślał, właśnie stamtąd wracam". „A gdzie nasz młody Edmund?", „Ależ z pewnością u ojca", odpowiedział Danglars. Więc przyszedłem natychmiast — kontynuował Caderousse — aby uściskać rękę dobrego przyjaciela.

— Poczciwy Caderousse! — rzekł starzec. — Jakże jest do nas przywiązany!

— Pewnie, że jestem do was przywiązany, a co więcej wielce was szanuję, bo to teraz rzadko można spotkać uczciwych ludzi... Hm! Widzę, żeś nam powrócił bogaty, chłopcze — paplał dalej krawiec, rzucając z ukosa spojrzenie na złote i srebrne monety rozrzucone przez Dantèsa na stole.

Młodzieniec dostrzegł w czarnych oczach sąsiada błysk chciwości.

— Ach, mój Boże — rzekł niedbale — to nie moje pieniądze. Mówiłem właśnie ojcu, że bałem się, czy mu czegoś nie brakło w czasie mojej nieobecności, a on, aby mnie uspokoić, wysypał zawartość swojej sakiewki na stół. Mój ojcze, schowaj to do mieszka[48], chyba że nasz sąsiad Caderousse potrzebuje pieniędzy, w takim przypadku chętnie mu pomożemy.

— Uchowaj Boże, chłopcze — rzekł Caderousse — nie potrzebuję niczego; Bogu dzięki rzemieślnicza profesja[49] potrafi wyżywić człowieka. Schowaj sobie pieniądze, tego nigdy nie można mieć za wiele. A swoją drogą bardzo ci dziękuję za propozycję, i czuję się tak zobowiązany, jakbym z niej skorzystał.

— To było ze szczerego serca — rzekł Dantès.

— Nie wątpię. I jak tam, jesteś podobno na dobrej stopie z panem Morrelem, filucie[50]?

— Pan Morrel był dla mnie zawsze szczególnie życzliwy.

— W takim razie nie miałeś racji, nie przyjmując zaproszenia na obiad.

— Jak to? Odmówiłeś zaproszenia? — wtrącił stary Dantès. — Zapraszał cię na obiad?

— Zapraszał — odpowiedział Edmund z uśmiechem, ubawiony, że ojca tak mocno zdumiał zaszczyt, jaki go spotkał.

— Synu, i dlaczego odmówiłeś? — zapytał starzec.

— Bo pragnąłem jak najprędzej cię zobaczyć, ojcze — odrzekł młodzieniec. — Do ciebie się spieszyłem.

— Mogło to sprawić przykrość panu Morrelowi, on taki poczciwy — dorzucił Caderousse — a kiedy ktoś pragnie zostać kapitanem, czyni wielkie głupstwo, jeśli się w czymś sprzeciwia armatorowi.

— Wyjaśniłem mu przyczynę odmowy i zrozumiał to, jak sądzę.

— Ale jeśli masz zostać kapitanem, powinieneś czasem pochlebiać swoim przełożonym.

— I bez tego spodziewam się nim zostać — odpowiedział Dantès.

---

[48] *mieszek* — sakiewka, przytwierdzona z przodu do spodni. [przypis edytorski]

[49] *profesja* — zawód. [przypis edytorski]

[50] *filut* (daw.) — żartowniś, spryciarz. [przypis edytorski]

— Tym lepiej, tym lepiej, wszyscy twoi starzy przyjaciele będą się z tego serdecznie cieszyli, a znam też kogoś, kto mieszka za cytadelą Świętego Mikołaja, kto pewnie się tym bardzo nie zmartwi.

— Mercedes — podpowiedział starzec.

— Tak, ojcze — odpowiedział Dantès. — I za twoim pozwoleniem, kiedy cię już zobaczyłem i wiem, żeś zdrów i na niczym ci nie zbywa, chciałbym ją odwiedzić.

— Idź, moje dziecko, idź — rzekł stary Dantès — i niech twoja żona będzie dla ciebie takim błogosławieństwem Bożym, jak ty dla mnie!

— Żona! — rzekł Caderousse. — Ojczulku, ależ ci spieszno! Wydaje mi się przecie, że Mercedes nie jest jeszcze jego żoną!

— Nie, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — odrzekł Edmund — wkrótce nią będzie.

— Mniejsza o to, w każdym razie dobrze robisz, że się spieszysz, mój chłopcze!

— A to czemu?

— Bo Mercedes jest ładną dziewczyną, a ładnym dziewczętom nietrudno o amantów[51], szczególnie jej! Włóczą się za nią tuzinami.

— Doprawdy? — zdziwił się Edmund i lekki niepokój przebił się przez jego uśmiech.

— O, tak — odpowiedział Caderousse. — I trafiały jej się nawet doskonałe partie; ale że ty wkrótce kapitan, nikt ci tak łatwo nie da kosza.

— Co znaczy, że gdybym nie był kapitanem... — rzekł Dantès z uśmiechem, który źle skrywał jego niepokój.

— No, no! — mruknął znacząco Caderousse.

— Ale co tam! — rzekł Edmund. — Dajmy temu spokój; mam lepsze wyobrażenie o kobietach w ogóle, a o Mercedes w szczególności i jestem przekonany, że czy byłbym kapitanem, czy nie, ona dochowałaby mi słowa.

— Tym lepiej — przytaknął Caderousse. — Zaufanie to ważna rzecz, zwłaszcza gdy kto chce się żenić. Co mi zresztą do tego; ale posłuchaj, chłopcze, nie trać czasu, idź do niej natychmiast, zawiadomić o swoim powrocie i nadziejach.

— Już idę — rzekł Edmund.

Uścisnął ojca, kiwnięciem głowy pożegnał Caderousse'a i wyszedł.

Caderousse zatrzymał się jeszcze przez chwilę, a pożegnawszy się ze starym Dantèsem, udał się na spotkanie z Danglarsem, który czekał nań na rogu ulicy Senac.

— I co? Widziałeś go? — zagadnął Danglars.

— Właśnie się rozstaliśmy — odrzekł Caderousse.

— Mówił ci coś o tym, że zamierza zostać kapitanem?

— Mówi o tym, jakby już było po wszystkim.

— Cierpliwości, chłopcze! — rzekł Danglars. — Myślę, że się trochę za szybko wyrywa.

— Diabli go wiedzą, zdaje się, że mu to przyrzekł pan Morrel.

— I pewnie jest bardzo radosny?

— Powiedz raczej: bezczelny. Wyobraź sobie, że mi ofiarował swoją pomoc, jakby był jakąś wielką figurą. I chciał mi pieniędzy pożyczyć, niczym bogaty bankier.

— Nie przyjąłeś, naturalnie.

— Ma się rozumieć, chociaż właściwie mogłem je przyjąć, zważywszy, że ja pierwszy dałem mu parę sztuk srebra, którymi zaczął obracać. Ale teraz imć[52] pan Dantès nie będzie już nikogo potrzebował, zostanie kapitanem.

— Ba! — obruszył się Danglars. — Jeszcze nim nie jest.

— Słowo daję, lepiej by było, żeby nie został — rzekł Caderousse — bo potem to nie da się do niego nawet przystąpić.

— Jeśli tylko zechcemy — szepnął Danglars — zostanie tym, czym jest dzisiaj, a może nawet i to straci.

— Co ty opowiadasz?

— Nic, ot, tak sam do siebie coś mówiłem. A kocha się ciągle w tej swojej Katalonce?

---

[51] *amant* — kochanek, uwodziciel. [przypis edytorski]

[52] *imć* — daw. wyrażenie grzecznościowe przeważnie przed nazwiskiem lub tytułem; skrót od: jego miłość. [przypis edytorski]

— Szalenie! Właśnie do niej poszedł. Ale, jeśli się nie mylę, napyta sobie przez to biedy.

— Mów jaśniej.

— A po co?

— To ważniejsze, niż myślisz. Wszak nie lubisz Dantèsa, co?

— Nie cierpię zarozumialców!

— Więc właśnie, powiedz mi, co wiesz o tej jego Katalonce.

— Nie znam żadnych szczegółów, ale to, co widziałem, upoważnia mnie do podejrzeń, że naszego przyszłego kapitana może spotkać jakaś przykrość na drodze do Vieilles-Infirmeries.

— Cóżeś widział? Mów prędko.

— Widziałem na przykład, że ile razy Mercedes wychodzi do miasta, towarzyszy jej zawsze jakiś Katalończyk, chłopisko jak byk, czarnooki, ogorzały od słońca, ciemnowłosy i mocno w niej rozkochany, a ona nazywa go kuzynem.

— Ach, doprawdy! I jak sądzisz, umizga się do niej ten kuzynek?

— Tak mi się zdaje. Bo cóż by robił dwudziestojednoletni chłopak, łażąc za dziewczyną siedemnastoletnią i do tego ładną?

— I powiadasz, że Dantès poszedł do Katalończyków?

— Wyszedł z domu tuż przede mną.

— Pójdźmy w tamtą stronę, posiedzimy sobie trochę w karczmie u Pamfila, poczekamy przy szklaneczce malagi[53] i zobaczymy, co się dalej stanie.

— A któż nam o tym powie?

— Dantès będzie tamtędy wracał; zrozumiemy zaraz z jego miny, co się tam dzieje.

— Chodźmy więc — rzekł Caderousse — ale ty stawiasz?

— Oczywiście — odpowiedział Danglars.

I udali się szybko na miejsce, o którym wspominali. Przyszedłszy do karczmy, kazali sobie podać butelkę wina i dwie szklanki. Ojczulek Pamfil widział, jak niespełna dziesięć minut wcześniej przechodził tamtędy Dantès. Nie ulegało wątpliwości, że Dantès jest u Katalończyków; nasi bohaterowie zasiedli zatem w altanie, pod dachem z rozwijających się listków platanów[54] i sykomorów[55]; wśród gałęzi drzew stado radosnych ptasząt śpiewało hymn na cześć jednego z pierwszych dni nadchodzącej wiosny.

3. KATALOŃCZYCY

O sto kroków od miejsca, gdzie dwaj przyjaciele, popijając musującą malagę, wytężali czujnie wzrok i słuch, schowana za nagim wzgórzem, smaganym przez słońce i podmuchy mistrala[56], leżała katalońska wioseczka.

W czasie, którego tu nie możemy dokładnie oznaczyć, tajemnicza jakaś kompania wyruszyła z Hiszpanii, wylądowała na tym wąskim pasemku ziemi i pozostała tu po dziś dzień. Nie wiadomo, skąd przybywali ci ludzie ani jakim językiem mówili. Jeden z ich naczelników, znający język prowansalski[57], uprosił marsylską gminę, aby oddała im ten nagi, jałowy przylądek, na którego brzeg, niczym starożytni żeglarze wyciągnęli swoje łodzie. Przychylono się do jego prośby i w trzy miesiące później wokół dwunastu czy piętnastu łodzi, które przywiozły tu tych nomadów[58] morskich, powstała niewielka osada.

Ową wioskę, zbudowaną w dziwaczny i malowniczy zarazem sposób, w stylu na pół hiszpańskim, na pół mauretańskim[59], po dziś dzień zamieszkują potomkowie tych pierwszych osadników i mówią językiem swoich ojców. Od trzech czy czterech wieków wierni są temu małemu przylądkowi, gdzie uwili swe gniazda jak gromada morskich ptaków, nie

[53] *malaga* — mocne hiszp. wino, charakteryzujące się słodkim smakiem. [przypis edytorski]

[54] *platan* — rodzaj drzewa charakteryzującego się rozłożystą koroną oraz łuszczącą się korą. [przypis edytorski]

[55] *sykomor* — drzewo z gatunku morwowatych charakteryzujące się bardzo grubym pniem; wzrasta do 15 m. [przypis edytorski]

[56] *mistral* — zimny i porywisty wiatr wiejący w płd. Francji; jest zależny od cyrkulacji powietrza występującej w tym regionie. [przypis edytorski]

[57] *prowansalski* — związany z Prowansją, tj. regionem w płd.-wsch. Francji. [przypis edytorski]

[58] *nomada* — koczownik, włóczęga. [przypis edytorski]

[59] *mauretański* — związany z Mauretanią, tj. krainą hist. znajdującą się w granicach współczesnej Algierii i Maroka. Maurowie przez wiele stuleci zamieszkiwali rozległe partie Półwyspu Iberyjskiego, wnosząc ogromny wkład w kulturę i architekturę Hiszpanii. [przypis edytorski]

mieszając się do spraw ludności marsylskiej, żeniąc się między sobą tylko i przechowując obyczaje i ubiór narodowy tak samo, jak zachowali ojczysty język.

Zaprowadźmy czytelnika, idąc wzdłuż jedynej uliczki w wiosce, do jednego z tych domów, barwionych promieniami słońca na ów piękny odcień uschłych liści, właściwy dla budynków w tych okolicach, a wewnątrz bielonych wapnem; poza owym białym tynkiem nie masz innej ozdoby w hiszpańskich dworkach.

Wewnątrz wsparta o ścianę stała piękna młoda dziewczyna, o czarnych włosach i aksamitnych oczach gazeli, i mięła w palcach wysmukłych jak u antycznego posągu drobniuchną gałązkę wrzosu, zrywając z niej kwiatuszki, których szczątki sypały się na ziemię; ręce jej obnażone po łokcie, opalone, lecz foremne jak u Wenus z Arles[60], drżały z niecierpliwości. Wąską stopą o wysokim podbiciu tupała tak, że można było dzięki owemu ruchowi dojrzeć wspaniałą, strzelistą linię nogi, obciągniętej w bawełnianą, czerwoną pończoszkę z szarobłękitnymi klinami.

O trzy kroki od niej siedział, kołysząc się rytmicznie na krześle, oparty łokciem o staroświecką spróchniałą komodę, wysoki młodzieniec lat dwudziestu lub dwudziestu dwóch i patrzył na dziewczynę wzrokiem, który wyrażał niepokój i żałość. W oczach malowało mu się zapytanie, ale dziewczyna panowała nad towarzyszem, spoglądając nań[61] żywo i stanowczo.

— Popatrz, Mercedes — mówił młodzieniec. — Nadchodzi Wielkanoc. Najlepszy czas, aby wyprawić wesele, odpowiedz mi, proszę!

— Sto razy już ci mówiłam, Fernandzie, i doprawdy sam sobie chyba źle życzysz, kiedy mnie znów o to samo pytasz.

— I cóż z tego! Powtórz raz jeszcze, błagam, powtórz, może uda mi się uwierzyć. Powtórz raz setny, że odrzucasz moją miłość, którą matka twoja widziała dobrym okiem; spraw, abym przekonał się, że igrasz z moim szczęściem, że nie obchodzi cię ani moje życie, ani śmierć. Ach, Boże mój, Boże wielki! Marzyć dziesięć lat, że będę mężem twoim, Mercedes, i stracić całą tę nadzieję, która była jedynym celem mojego życia.

— Czyż podsycałam w jakikolwiek sposób twoją nadzieję, Fernandzie? — zapytała Mercedes. — Nie możesz mi zarzucić, bym cię choć raz kokietowała. Nieustannie powtarzałam ci: „kocham cię jak brata, ale nic oprócz tej miłości siostrzanej nie żądaj ode mnie, bo moje serce należy do kogo innego". Czyż nie powtarzałam ci tego, Fernandzie?

— Tak, Mercedes, mówiłaś — odpowiedział młodzieniec. — I za cnotę poczytałaś sobie traktowanie mnie z okrutną szczerością. Czyżbyś jednak zapomniała, że według uświęconego prawa Katalonka ma wychodzić za Katalończyka? Obyczaje, Bieda, Emigrant

— Mylisz się, Fernandzie, to nie prawo, ale zwyczaj tylko, nic więcej; i radzę ci — nie przyzywaj tego zwyczaju na swoją korzyść. Fernandzie, zapadł na ciebie wyrok w komisji poborowej[62]; jeśli dotąd posiadasz tyle swobody, to dzięki zwykłej pobłażliwości; nie dziś, to jutro możesz być powołany do wojska; zostaniesz żołnierzem, i cóż się stanie ze mną, biedną dziewczyną, sierotą, nieszczęśliwą, której całym majątkiem jest mizerna chata waląca się w gruzy i kilka zużytych rybackich sieci: oto nędzne dziedzictwo zostawione matce w spadku po ojcu, a mnie po matce. Od jej śmierci minął już rok, a ja pomyśl tylko, Fernandzie — utrzymuję się niemal z żebrania! Twierdzisz wprawdzie czasem, że ci jestem pomocna, jedynie dlatego, abyś mógł ze mną dzielić połów. Nie odmawiam ci, bo jesteś moim kuzynem, bośmy się razem wychowali, a przede wszystkim dlatego, że wiem, jak by ci było przykro, gdybym odmówiła. Czuję przecież dobrze, że te ryby, które sprzedaję, i konopie[63], które kupuję za uzyskane w ten sposób pieniądze i przędę potem, czuję, powtarzam ci, Fernandzie, że to tylko jałmużna.

— Cóż to wszystko znaczy, Mercedes! Choć biedna i sierota, przenoszę cię nad córkę najznaczniejszego armatora czy najbogatszego bankiera Marsylii! Bo czegóż takim jak

[60] *Wenus z Arles* — rzeźba bogini Wenus pochodząca z końca I w. p.n.e., wykonana z marmuru z Hymetu (pasmo górskie w Attyce), mierząca 1,94 m, odnaleziona w ruinach rzymskiego teatru w Arles i w XVII w. przekazana w darze od miasta królowi Ludwikowi XIV; dziś znajduje się w Muzeum w Luwrze; przypuszcza się, że rzeźba stanowi kopię Afrodyty z Tespies w Tesalii autorstwa Praksytelesa, zamówionej przez kurtyzanę Fryne. [przypis edytorski]

[61] *nań* (starop.) — skrót od: na niego. [przypis edytorski]

[62] *komisja poborowa* — organ orzekający o zdolności do pełnienia służby wojskowej. [przypis edytorski]

[63] *konopia* — roślina wykorzystywana do produkcji włókna. [przypis edytorski]

my potrzeba? Wiernej żony i dobrej gospodyni. Gdzież znajdę dziewczynę, która lepiej spełniałaby te wymagania?

— Fernandzie — rzekła Mercedes, potrząsając głową — kobieta łatwo może zostać kiepską gospodynią, kiedy nie kocha męża, ale innego mężczyznę i trudno też zatem odpowiadać za jej wierność. Poprzestań na mojej przyjaźni, bo tylko tyle mogę ci ofiarować, a przyrzekam tylko to, czego jestem pewna, że potrafię dotrzymać.

— Ach, rozumiem — powiedział Fernand. — Cierpliwie znosisz własną nędzę, ale lękasz się znosić biedę u mego boku. A więc, Mercedes, gdybym posiadał twoje serce, popróbowałbym szczęścia, ty byś mi je przyniosła, zdobyłbym fortunę. Mógłbym pracować jako komisant[64] w jakiej firmie, sam mogę zostać kupcem!

— Do niczego brać się nie możesz, Fernandzie, bo jesteś żołnierzem; jesteś teraz w domu dlatego, że nie ma wojny; bądź, jak byłeś, rybakiem, nie przypuszczaj do siebie marzeń, które uczynią ci rzeczywistość jeszcze bardziej okrutną, poprzestań na mojej przyjaźni, bo nie jestem w stanie ofiarować ci nic innego.

— A więc dobrze, masz słuszność, Mercedes, zostanę marynarzem, zrzucę strój naszych ojców, bo ty nim gardzisz, a przywdzieję ceratową czapkę, koszulę w paski i granatową bluzę z kotwicą na guzikach. Tak przecież trzeba się ubierać, aby ci się spodobać?

— Do czego zmierzasz? — zapytała Mercedes, rzucając Fernandowi dumne spojrzenie. — Cóż to ma znaczyć, bo ja cię nie rozumiem.

— To znaczy, Mercedes, że jesteś tak nieugięta i tak okrutna wobec mnie tylko dlatego, że czekasz tu na kogoś, kto właśnie taki nosi strój. A może ten, na którego czekasz, okazał się niestałym; a nawet jeśli byłoby inaczej, to przecież morze jest kapryśne wobec żeglarzy.

— Fernandzie! — zawołała Mercedes. — Myślałam, że jesteś dobrym człowiekiem, ale myliłam się! Masz złe serce, jeśli w zazdrości wzywasz gniewu boskiego! A więc dobrze, tak, to prawda, ja bynajmniej się z tym nie taję, czekam na tego, o którym mówisz, i kocham go. A jeśli nie wróci, nie będę złorzeczyć kapryśności losu, którą ty wzywasz, powiem, że zginął, kochając mnie.

Młody Katalończyk zadrżał z wściekłości.

— Rozumiem cię, Fernandzie: będziesz z nim szukał zajścia, dlatego, że ja cię nie kocham, skrzyżujesz swój kataloński nóż z jego sztyletem! I cóż ci to da? Jeśli przegrasz, stracisz moją przyjaźń; jeśli zwyciężysz, zobaczysz, jak moja przyjaźń w nienawiść się obraca. Uwierz, to zły sposób, jeśli ktoś, chcąc przypodobać się kobiecie, szuka zaczepki z człowiekiem, którego ona kocha. O, Fernandzie, nie chcesz się poddać tak złym myślom. Nie możesz mnie poślubić, ale możesz mieć we mnie przyjaciółkę i siostrę. Zresztą — dodała, a w jej oczach pojawiło się przerażenie i po policzkach spłynęły łzy — czekaj jeszcze, Fernandzie, czekaj; mówiłeś przed chwilą, że morze jest zdradliwe, już cztery miesiące upłynęły, a on nie wraca; przez cztery miesiące ileż burz naliczyłam!

Fernand nie okazał wzruszenia, nie starał się nawet otrzeć łez, płynących po twarzy Mercedes, a przecież za każdą jej łzę utoczyłby sobie chętnie szklankę krwi; ale te łzy płynęły przecież za innym. Podniósł się, przeszedł tam i z powrotem po chacie z ponurą twarzą i zaciśniętymi pięściami.

— Posłuchaj, Mercedes — rzekł. — Ostatni raz odpowiedz, czy nie zmienisz postanowienia?

— Kocham Edmunda Dantès — odpowiedziała chłodno dziewczyna — i nikt prócz Edmunda nie zostanie moim mężem!

— I będziesz go kochała zawsze?

— Póki życia[65].

Fernand spuścił głowę, odwaga zdaje się odstąpiła go zupełnie, westchnął ciężko i jęk wydobył mu się z piersi, potem, podnosząc nagle czoło, zaciskając zęby i rozdymając nozdrza, odezwał się:

— A jeśli on nie żyje?

— Jeśli nie żyje, ja też umrę.

— Jeśli zapomniał o tobie?

---

[64] *komisant* — zleceniobiorca. [przypis edytorski]

[65] *póki życia* — w domyśle: póki życia starczy. [przypis edytorski]

— Mercedes! — z pola dał się słyszeć radosny głos — Mercedes!

Powrót, Światło, Wierność, Miłość romantyczna

— Ach! — krzyknęła dziewczyna, promieniejąc z radości. — Widzisz, że o mnie nie zapomniał, jeśli wrócił... — Podskoczyła ku drzwiom, otworzyła je i krzyknęła: — Chodź, tutaj jestem, Edmundzie!

Fernand blady i drżący cofnął się nagle w tył, jakby węża spostrzegł i natrafiwszy na krzesło, upadł na nie bez sił.

Edmund i Mercedes stali, tuląc się w ramionach. Palące słońce Marsylii, którego promienie wpadły przez otwarte drzwi, otoczyło ich falą światła. Nie widzieli z początku nic, co się wokół nich działo; ogrom szczęścia wyrwał ich ze świata, i wymieniali tylko urywane słowa, które są wyrazem takiej radości, że można by je wziąć za objaw boleści.

Ciemność, Zazdrość

Wtem Edmund spostrzegł pochmurną twarz Fernanda, która wyłaniała się z cienia blada i groźna. Młody Katalończyk wyciągnął rękę — a był to ruch, z którego sam nie zdawał sobie sprawy — do noża wetkniętego za pas.

— Ach! Proszę darować — rzekł Dantes, marszcząc brwi. — Nie zauważyłem, że jest nas tu troje.

Po czym zwrócił się do Mercedes:

— Kim jest ten pan?

— Ten pan będzie twoim najlepszym przyjacielem, Edmundzie, bo jest moim przyjacielem; to kuzyn mój, mój brat, Fernand, to człowiek, którego po tobie najbardziej kocham na świecie, nie poznajesz go?

— Rzeczywiście — odrzekł Edmund i tuląc w jednej dłoni rękę Mercedes; drugą wyciągnął serdecznie do Katalończyka.

Fernand jednak stał milczący i nieruchomy jak posąg, nie zamierzając odpowiedzieć na ten przyjacielski gest. Wówczas Edmund spojrzał badawczym wzrokiem na Mercedes wzruszoną i drżącą, i na Fernanda — zasępionego i groźnego.

Zrozumiał wszystko w mgnieniu oka.

Zmarszczył w gniewie czoło.

— Nie wiedziałem, Mercedes, spiesząc się tak do ciebie, że zastanę tu wroga.

— Wroga! — krzyknęła Mercedes, rzucając pełne gniewu spojrzenie na kuzyna. — Wróg w moim domu, mówisz, Edmundzie! Gdybym tak myślała, wzięłabym cię za rękę i pojechała z tobą do Marsylii, opuszczając na zawsze mój dom.

Dziki płomień błysnął w oczach Fernanda.

— A gdyby cię spotkało nieszczęście, Edmundzie — dodała dziewczyna z tym samym spokojem, który przekonał Fernanda, jak głęboko zajrzała w jego najtajniejsze myśli — gdyby cię spotkało nieszczęście, wyszłabym na sam cypel Morgion i stamtąd rzuciłabym się głową w dół, na skały.

Fernand pobladł okropnie.

— Ale mylisz się, Edmundzie — ciągnęła. — Nie masz tu nieprzyjaciół; przecież to Fernand, mój brat, który uściśnie ci rękę jak najbliższemu przyjacielowi.

Mówiąc to, dziewczyna zatrzymała nakazujący wzrok na Fernandzie, który zniewolony tym spojrzeniem podszedł powoli do Edmunda i podał mu rękę.

Nienawiść jego, podobna bezsilnej, chociaż wściekłej fali, rozbiła się o cudowny wpływ, jaki nań wywierała ta kobieta. Ale zaledwie dotknął ręki Edmunda, poczuł, że na nic więcej zdobyć się nie zdoła — i wypadł jak strzała z chaty.

— Och! — wołał, biegnąc jak szaleniec i targając się za włosy. — Och! Któż mnie uwolni od tego człowieka! O ja nieszczęśliwy!

— Hej, Katalończyku! Ej, Fernandzie! Gdzie pędzisz? — zawołał Caderousse.

Młody człowiek stanął jak wryty, rozejrzał się wokół, aż spostrzegł wreszcie Caderousse'a i Danglarsa, siedzących przy stole, w altanie osłoniętej liśćmi.

— Ejże, chodź do nas! — rzekł Caderousse. — Tak ci pilno, że nie możesz przywitać się z przyjaciółmi?

— Zwłaszcza, kiedy przed nimi stoi pełna jeszcze butelka wina? — dodał Danglars.

Fernand spojrzał na nich wzrokiem osłupiałym i nie odpowiedział ani słowa.

— Zdaje się, że zupełnie zgłupiał — rzekł Danglars, trącając kolanem towarzysza. — Jak to! Czyżbyśmy się zawiedli? I wbrew naszym przeczuciom Dantès triumfuje?

— Do licha, zobaczymy — rzekł Caderousse i zwrócił się do młodzieńca. — No i cóż, Katalończyku? Namyśliłeś się wreszcie?

Fernand otarł pot z czoła i wszedł do altany, której cień zdawał się nieco go uspokajać, a świeży chłód wzmacniać siły jego wyczerpanego ciała.

— Jak się macie — rzekł. — Wołaliście, prawda?

I zamiast usiąść, osunął się bezwładnie na ławkę.

— Wołałem cię — rzekł, śmiejąc się, Caderousse — boś leciał jak opętany, bałem się, żebyś się nie rzucił w morze. Do licha! Jak się ma przyjaciół, to nie tylko po to, aby im stawiać szklaneczkę, ale też po to, żeby im przeszkodzić, kiedy któremu przyjdzie do głowy wychłeptać parę kwart[66] wody.

Fernand wydał jęk podobny do łkania i głowa opadła mu na ręce skrzyżowane na stole.

— Chcesz, żebym ci powiedział, jaką masz minę? — rzekł Caderousse, zagajając z właściwym dla ludzi z gminu[67] grubiaństwem, którzy wszelką delikatność poświęcają dla ciekawości. — Jak odprawiony z kwitkiem konkurent!

Przy tym żarcie wybuchnął śmiechem z całego gardła.

— No, no! — odrzekł Danglars. — Taki gracki[68] chłopak musi mieć szczęście w miłości! Kpisz sobie, Caderousse!

— Wcale nie — rzekł tamten — zauważ tylko, jak on wzdycha. No, no, głowa do góry, Fernandzie i odpowiedz. Przecież to nie przystoi nie odzywać się do przyjaciół, którzy pytają cię, jak się miewasz.

— Zdrów jestem — odrzekł Fernand, zaciskając pięści, ale nie podnosząc głowy.

— Ot, widzisz — powiedział więc Caderousse, rzucając znaczące spojrzenie Danglarsowi. — Rzeczy mają się tak: Fernand, którego masz tu przed sobą, zacny i dzielny Katalończyk, najlepszy rybak w Marsylii, zakochał się w ładnej dziewczynie imieniem Mercedes; ale niestety to ładne dziewczę kocha się nie w nim, ale podobno w zastępcy „Faraona", a ponieważ statek ten przybył właśnie dziś do portu, pojmujesz więc...

— Właśnie, że nie pojmuję — rzekł Danglars.

— Biedny Fernand posmakował czarnej polewki[69].

— I cóż z tego — rzekł Fernand, podnosząc głowę i spoglądając na Caderousse'a tak, jakby szukał kogoś, na kim mógłby gniew swój wywrzeć. — Mercedes nie musi się przed nikim usprawiedliwiać, jest wolna, prawda? Może kochać każdego, który jej się podoba.

— Ha, jeśli w ten sposób to sobie tłumaczysz — rzekł Caderousse — to co innego; myślałem, żeś ty prawdziwy Katalończyk; a słyszałem, że Katalończycy nigdy nie dadzą się podejść rywalom, i mówiono mi też, że Fernand potrafi mścić się jak nikt inny.

Fernand uśmiechnął się z politowaniem.

— Człowiek zakochany nie potrafi być okrutnym — rzekł.

— Biedak! — odezwał się Danglars, udając, że współczuje młodzieńcowi z głębi serca. — Cóż chcesz? Czyż Fernand spodziewał się, że Dantès tak prędko powróci? Myślał może, że już nie żyje albo że się sprzeniewierzył ukochanej, kto wie? Takie rzeczy odczuwamy tym mocniej, jeśli dotykają nas niespodziewanie.

— Hm, słowo daję — ozwał się Caderousse, który popijał bez przerwy, i zdawało się, że musująca malaga wywierała na nim coraz większy skutek. — W każdym razie niejeden tylko Fernand ucierpiał na szczęśliwym powrocie Dantèsa, nieprawdaż, Danglars?

— Owszem, i ośmieliłbym się rzec, że może mu to przynieść nieszczęście.

— Bagatelka — rzekł Caderousse, nalewając Fernandowi szklankę wina; napełnił jednocześnie swoją po raz ósmy lub dziewiąty nawet, podczas gdy Danglars ledwie napoczął kieliszek. — Cóż z tego? On tymczasem ożeni się z Mercedes, piękną Mercedes, przecież po to powrócił.

Tymczasem Danglars spoglądał przenikliwie na młodzieńca, którego słowa Caderousse'a paliły jak roztopiony ołów.

— I kiedyż ślub? — zapytał.

— O, do ślubu jeszcze daleko — mruknął Fernand.

— Daleko albo i nie, tak samo jak do mianowania Dantèsa kapitanem, prawda, Danglars?

---

[66] *kwarta* — jednostka objętości; 1 kwarta to około 1,136 litra. [przypis edytorski]

[67] *gmin* (daw.) — ludzie z niższych warstw społecznych. [przypis edytorski]

[68] *gracki* — dzielny, mężny. [przypis edytorski]

[69] *czarna polewka* — inaczej: czernina; zupa na bazie rosołu z krwią kaczki, kury lub królika; podanie jej mężczyźnie starającemu się o rękę było równoznaczne z odmową. [przypis edytorski]

Danglars zadrżał na ten niespodziany przytyk i spojrzał na Caderousse'a badawczym wzrokiem, chcąc zbadać, czy cios został zadany z premedytacją; ale na twarzy Caderousse'a, otępiałej już od alkoholu, malowała się tylko głęboka zawiść.

— Więc dobrze! — odezwał się, napełniając szklanki. — Wypijmy zdrowie kapitana Edmunda Dantèsa, męża pięknej Katalonki.

Caderousse ociężałą już ręką podniósł szklankę i wychylił duszkiem. Fernand chwycił swoją i roztrzaskał o ziemię.

— O! O! Co ja widzę — zawołał Caderousse. — Patrzcie no, na wierzchołek tego wzgórza, tam, gdzie wioska katalońska. Spojrzyj, Fernandzie, masz lepsze oczy ode mnie; bo mnie zdaje się, że coś niewyraźnie widzę, wiesz, że wino jest zdradliwe... To chyba dwoje kochanków, idą obok siebie i trzymają się za rączki. Panie odpuść, toż oni myślą, że ich nikt nie widzi i proszę, jak się całują!

Danglars pilnie baczył na cierpienie malujące się na twarzy Fernanda.

— Panie Fernandzie, znasz ich?

— Znam — odpowiedział głosem przytłumionym. — To pan Edmund i panna Mercedes.

— Patrzajcież! — rzekł Caderousse. — A ja ich nie poznałem. Hej, Dantès, słuchaj no! Ślicznotko, chodźcież tu, powiedzcie, kiedy wesele? Bo pan Fernand taki uparty, że nam nic nie chce powiedzieć.

— Bądźże cicho! — rzekł Danglars, udając, że chce powstrzymać Caderousse'a, który wychylał się z pijackim uporem z altany. — Na nogach się nie trzymasz, siedź i nie przeszkadzaj kochankom w pieszczotach. Popatrz na pana Fernanda i bierz z niego przykład, spójrz, jak się rozsądnie zachowuje.

Konflikt wewnętrzny

Fernand, przywiedziony prawie do ostateczności przez Danglarsa, który drażnił go jak banderillero[70] kłujący byka, już miał się rzucić na rywala — wstał bowiem i jakby zbierał się w sobie do skoku — gdy wtem Mercedes, roześmiana, wyprostowana jak trzcina, podniosła piękną główkę i ogarnęła ich promieniejącym wzrokiem. Fernand przypomniał sobie jej groźbę: że się zabije, jeśliby Edmund zginął — i opadł bezsilny na ławkę.

Danglars objął wzrokiem tych dwóch ludzi, z których jeden był otumaniony przez trunek, a drugiego paraliżowała miłość.

„Nic tu nie poradzę z tymi głupcami — szepnął do siebie — aż mi wstyd siedzieć tu w towarzystwie pijaka i tchórza. Zawistnik upija się winem zamiast własną żółcią; a ten niedołęga, któremu zabierają sprzed nosa kochankę, płacze i żali się jak dziecko. A przecież w jego oczach błyska płomień, jak u Hiszpanów, Sycylijczyków, Kalabryjczyków[71], co się tak dobrze mścić umieją; a pięści ma takie, że zdruzgotałby głowę wołu z taką łatwością, jak pałka rzeźnika! Zdecydowanie, Edmund jest górą. Ożeni się z piękną dziewczyną, zostanie kapitanem, a nas będzie miał w pogardzie. Chyba że... — i na ustach Danglarsa pojawił się blady uśmiech — ja się do tego wmieszam".

— Hola! — wołał znowu Caderousse, podnosząc się i opierając o stół. — Hola, Edmundzie, nie widzisz przyjaciół, czyś już taki pyszny, że z nami gadać nie chcesz?

— Nie, bynajmniej, kochany Caderoussie — odpowiedział Dantès. — Nie jestem pyszny, ale za to szczęśliwy, a szczęście bardziej zaślepia niż duma.

— I masz, wytłumaczył się — rzekł Caderousse. — A jak się miewa pani Dantès?

Mercedes skłoniła się poważnie.

— Nie jest to jeszcze moje nazwisko — rzekła — a w naszym kraju mówią, że kiedy dziewczynę wołają nazwiskiem narzeczonego, może jej to przynieść nieszczęście. Proszę, nazywajcie mnie nadal Mercedes.

— Daruj Caderousse'owi, bo to dobry sąsiad — rzekł Dantès — a i nie o wiele się pomylił.

— A więc, panie Dantès, wkrótce już będziemy mieli wesele — rzekł Danglars, skłoniwszy się młodej parze.

[70] *banderillero* (hiszp.) — uczestnik korridy, który podczas walki z bykiem, dla podrażnienia zwierzęcia, wbija w jego ciało banderillę, tj. małą włócznię, do której przyczepione są chorągiewki. [przypis edytorski]

[71] *Kalabryjczyk* — mieszkaniec Kalabrii, tj. regionu w płd. Włoszech. [przypis edytorski]

— Jak można najprędzej. Dziś wszystko ułożymy u mojego ojca, a jutro lub pojutrze zrękowiny[72], tutaj, w karczmie. Mam nadzieję, że przyjaciele nie odmówią nam obecności na obiedzie, to znaczy pan, panie Danglars, i ma się rozumieć, ty, drogi Caderoussie.

— A Fernand — zapytał Caderousse, śmiejąc się chrypliwie — też jest zaproszony?

— Brat mojej żony jest moim bratem — rzekł Edmund — i byłoby nam bardzo przykro, gdyby go z nami nie było w takiej chwili.

Fernand otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale głos mu zamarł i nie mógł wyartykułować ni słowa.

— Dziś przygotowania, jutro lub pojutrze zrękowiny, niech diabli biorą, nie tracisz czasu, kapitanie.

— Panie Danglars — odrzekł Edmund z uśmiechem. — Powiem ci to, co przed chwilą Mercedes Caderousse'owi — nie nadawaj mi tytułu, do którego nie mam jeszcze prawa, bo może to sprowadzić nieszczęście.

— Ach, przepraszam — odparł Danglars. — Chciałem jedynie rzec, że bardzo ci pilno, a przecież, u diabła, mamy jeszcze sporo czasu. „Faraon" wyjdzie w morze nie prędzej jak za trzy miesiące.

— Ech, każdemu pilno do szczęścia, jeśli nawet trudno uwierzyć w szczęście, bo się wiele cierpiało. Ale nie popycha mnie do tego sam egoizm, muszę natychmiast jechać do Paryża.

— O, aż do Paryża? Pierwszy raz tam pan będziesz?

— Pierwszy.

— W jakichś interesach?

— Nie w moich. Muszę wypełnić ostatnie zlecenie naszego biednego kapitana Leclère'a, pojmujesz pan, że to mój święty obowiązek. Ale bez obawy, zajmie mi to tylko czas potrzebny na drogę tam i z powrotem.

— A, rozumiem oczywiście — rzekł głośno Danglars. I szepnął do siebie: „Aha, do Paryża jedzie! Z pewnością po to, aby wręczyć list, który otrzymał od marszałka pod wskazany adres. Do czorta, ten list nasuwa mi jedną myśl, wspaniały pomysł! O, drogi panie Dantès, jeszcze nie zapisano cię w rejestrze »Faraona« pod numerem pierwszym".

I zwrócił się w stronę Edmunda, który odchodził już:

— Szczęśliwej podróży! — zawołał.

— Dzięki — odpowiedział Edmund, odwracając się i podnosząc w serdecznym geście rękę. I kochankowie ruszyli w dalszą drogę, spokojni i szczęśliwi jak wybrańcy wstępujący do nieba.

4. ZMOWA

Danglars odprowadził wzrokiem Edmunda i Mercedes aż do bramy Świętego Mikołaja, a gdy odwrócił się, zobaczył, jak Fernand blady i drżący opadł na ławkę. Caderousse tymczasem bełkotał jakąś pijacką piosenkę.

— Cóż, kochany panie Fernandzie — rzekł Danglars — to małżeństwo chyba nie wszystkim pójdzie w smak.

— Mnie do rozpaczy doprowadza — jęknął Fernand.

— Pan kochałeś Mercedes?

— Uwielbiałem!

— Od jak dawna?

— Od kiedy się znamy.

— I zamiast szukać jakiegoś sposobu, żeby temu zapobiec, wyrywasz pan sobie tylko włosy z głowy? Do wszystkich diabłów! Inaczej sobie wyobrażałem charakter waszego narodu.

— Ale cóż ja mam zrobić? — zapytał Fernand.

— Czyż ja wiem? Czy to do mnie należy? Przecież ja się nie kocham w pannie Mercedes, tylko pan. „Szukajcie, a znajdziecie", mówi Ewangelia.

— Zdawało mi się, żem znalazł sposób.

— Jaki?

[72] *zrękowiny* (daw.) — zaręczyny. [przypis edytorski]

— Chciałem go zasztyletować; ale ona mi zapowiedziała, że jeśli jej narzeczonego spotka nieszczęście, to się zabije.

— Ej, to tylko gadanie.

— Nie znasz, mój panie, tej dziewczyny, zrobiłaby tak, jak grozi.

— Głupiec! — rzekł z cicha Danglars. — Niech się zabije; wszystko mi jedno, byle Dantès nie został kapitanem.

— A nim Mercedes umrze — ciągnął Fernand z niewzruszonym postanowieniem — pierwej ja umrę.

— Oj, to dopiero miłość! — wtrącił Caderousse, coraz bardziej niewyraźnym głosem. — Albo już w ogóle się na tym nie znam.

— No, no — rzekł Danglars. — Zdajesz mi się dobrym chłopcem, niech mnie diabli biorą, warto by cię wydobyć z nieszczęścia, ale...

— Tak, warto — rzekł Caderousse.

— Mój kochany — odpowiedział Danglars. — Jesteś już pijany w trzech czwartych, dokończysz butelkę, a dogodzisz sobie do reszty. Pij więc i nie przeszkadzaj. Do naszych zamiarów potrzeba trzeźwej głowy.

— Ja, pijany? Też coś! Wypiłbym jeszcze ze cztery takie buteleczki, co wyglądają jak flakoniki od kolońskiej wody. Mości[73] Pamfilu, wina!

I aby dowieść prawdy tego, co wyrzekł, stuknął co siły szklanką o stół.

— Mówiłeś więc, panie Danglars — przerwał Fernand, oczekując chciwie dalszego ciągu przerwanej frazy.

— Co mówiłem?... Już nie pamiętam. Ten pijaczyna Caderousse przerwał mi i poplątał wątek. Wino, Prawda

— Pijaczyna? Jak tam sobie chcesz, tym gorzej dla tych, co się boją wina, bo widać, że mają w sercu jakieś złe myśli i lękają się, aby wino ich nie wyspowiadało.

I Caderousse zaczął sobie nucić ostatnie dwa wiersze piosenki bardzo naonczas[74] modnej:

Grzesznik największy, co wodę pije,
A czego dowód mamy w potopie.

— Mówiłeś pan — rzekł Fernand — że chciałbyś bardzo wydobyć mnie z biedy, a na końcu rzekłeś „ale"...

— A, prawda... aby wyciągnąć cię z nieszczęścia, wystarczy tylko, żeby Dantès nie ożenił się z tą, którą kochasz, a przecież małżeństwo to może nie dojść do skutku nie tylko z powodu śmierci Dantesa.

— Tylko śmierć ich rozdzieli — rzekł Fernand.

— Rozumujesz jak głupiec, mój przyjacielu — rzekł Caderousse — a Danglars, ten spryciarz, ten frant[75], ten filut zaraz ci dowiedzie, że pleciesz bzdury. Przekonaj go, Danglars, nie rozczaruj mnie; powiedz mu, że Dantès niekoniecznie musi zginąć, a zresztą szkoda by go było, gdyby umarł, to miły chłopak, ja go lubię. Za twoje zdrowie, Dantès.

Fernand wstał zniecierpliwiony.

— Daj mu spokój — rzekł Danglars, wstrzymując młodzieńca — a choć pijany jak gąbka, wcale się tak bardzo nie myli. Nieobecność równie dobrze rozdziela jak i śmierć, a przypuść na chwilę, że Edmunda i Mercedes dzielą mury więzienne, byliby tak dobrze rozłączeni, jakby to był grobowy kamień.

— Tak, ale z więzienia się wychodzi — rzekł Caderousse, który czepiał się rozmowy resztką przytomności. — A jak ktoś już wyjdzie z więzienia, a jeszcze nazywa się Dantès, to potrafi się zemścić.

— Cóż z tego — mruknął Fernand.

— Zresztą — rzekł Caderousse — za co mieliby Dantesa wsadzić do kozy? Nikogo nie okradł, nie zabił, nie zamordował.

— Cicho bądź — rzekł Danglars.

---

[73] *mości* — dawny zwrot grzecznościowy; skrót od: miłościwy, miłościwa. [przypis edytorski]

[74] *naonczas* (daw.) — naówczas, natenczas. [przypis edytorski]

[75] *frant* (daw.) — człowiek miły, ale przebiegły. [przypis edytorski]

— Nie będę cicho — rzekł Caderousse. — Muszę wiedzieć, za co Dantèsa mają wsadzić do kozy. Ja kocham serdecznie Dantèsa, zdrowie twoje, Dantès — i wlał w siebie jeszcze jedną szklankę wina.

Danglars spojrzał na krawca, a widząc w jego mętnych oczach postępujące coraz bardziej objawy zamroczenia, odwrócił się do Fernanda i mówił dalej:

— Rozumiesz więc, że wcale nie trzeba go zabijać.

— A, tak! jeśli, jak mówisz, udałoby się zaprowadzić Dantèsa natychmiast za kraty. Ale w jakiż to sposób? Masz pan pomysł?

— Dobrze poszukawszy — rzekł Danglars — można by coś znaleźć. Ale, ale, po co też mieszam się do tego, co mnie nie dotyczy?

— Nie wiem, czy to pana dotyczy — odpowiedział Fernand, chwytając go za rękę — ale wiem, że masz jakiś osobisty powód do nienawiści wobec Dantèsa. Kto sam nienawidzi, przeczuwa nienawiść w innych.

— Ja nienawidzę Dantèsa? Słowo daję, nie mam najmniejszego powodu! Widzę, żeś nieszczęśliwy i twoje nieszczęście przejęło mnie współczuciem, oto i wszystko. Ale, mój panie, skoro myślisz, że działam z własnych pobudek, bądź zdrów i radź sobie sam, jak chcesz.

To mówiąc — Danglars udał, że wstaje i chce odejść.

— Nie, nie odchodź — rzekł Fernand, powstrzymując go. — Nie obchodzi mnie wcale, czy masz coś do Dantèsa czy nie, wszystko mi jedno, ja mam i wyznaję to głośno! Znajdź sposób, a ja to wykonam, byleby nie szło o zabicie go, bo Mercedes powiedziała, że zabije się, gdyby ktoś zamordował Dantèsa.

Caderousse, któremu głowa dawno opadła na stół, podniósł twarz i spoglądając błędnym wzrokiem na Fernanda i Danglarsa, zawołał:

— Zabić Dantèsa? Kto tu mówi o zabiciu Dantèsa? Ja na to nie pozwolę, to mój przyjaciel; on dziś rano chciał się podzielić ze mną pieniędzmi, jak ja się z nim podzieliłem. Nie chcę, żeby go zabijano!...

— A któż to mówi, durniu, o zabiciu Dantèsa? — odrzekł Danglars. — Żartujemy sobie i nic więcej. Wypij jego zdrowie — dodał, dolewając Caderousse'owi do szklanki — i daj nam spokój.

— Tak, tak, zdrowie Dantèsa — wystękał Caderousse, wychylając szklankę do dna. — Zdrowie Dantèsa! Zdrowie przyjaciela!

— Ale w jaki sposób? W jaki sposób, na Boga! — rzekł Fernand.

— I jeszcze go pan nie wymyśliłeś?

— Nie, przecież to pan miał go znaleźć.

— Prawda — rzekł Danglars. — Francuzi mają tę wyższość nad Hiszpanami, że potrafią coś wymyślić, a Hiszpanie umieją tylko rozmyślać.

— Wynajdź więc pan coś — rzekł niecierpliwie Fernand.

— Garson[76]! Proszę przynieść pióro, kałamarz[77] i papier! — zawołał Danglars.

— Pióro, kałamarz i papier! — szepnął Fernand.

Garson wziął materiały do pisania i położył je na stole w altanie.

— Jak się dobrze zastanowić — rzekł Caderousse, spuszczając rękę na papier — to tym sposobem łatwiej można zabić człowieka, niż zaczaiwszy się w jakim ciemnym lesie. Zawsze bałem się bardziej pióra, kałamarza i kartki papieru niż szpady czy pistoletu. Słowo

— A to urwis, nie jest tak pijany, jak by się zdawało, nalej no mu, Fernandzie, jeszcze jedną szklankę.

Fernand napełnił szklankę Caderousse'owi, a ten, jak prawdziwy opój[78], którym zresztą był, oderwał rękę od papieru i chwycił za szklankę.

— A więc! — odezwał się Katalończyk, spostrzegłszy, że po tej szklance resztki przytomności odstąpiły Caderousse'a.

— A więc — rzekł Danglars — gdyby ktoś doniósł prokuratorowi królewskiemu, że Dantès, który w swojej podróży zahaczył o Neapol i Elbę, jest agentem bonapartystów[79]...

— Ja go mogę oskarżyć! — zawołał żywo młodzieniec.

[76] *garson* (daw., z fr. *garçon*) — kelner. [przypis edytorski]
[77] *kałamarz* — pojemnik na atrament. [przypis edytorski]
[78] *opój* — człowiek uzależniony od alkoholu; alkoholik. [przypis edytorski]
[79] *bonapartysta* — osoba wspierająca ród Bonaparte w dążeniu do władzy. [przypis edytorski]

— Dobrze, ale tam każą ci zaraz podpisać zeznania i skonfrontują cię z tym, kogoś zadenuncjował[80]. Owszem, ja bym ci dostarczył dowodów oskarżenia, ale cóż stąd? Dantès nie zostanie przecież wiecznie w więzieniu; uwolnią go pewnego dnia, a wówczas biada temu, co go tam wtrącił!

— Jednej rzeczy tylko pragnę — rzekł Fernand. — Jednej — aby to on zaczął ze mną zwadę[81].

— Dobrze, a Mercedes? Mercedes, która by cię znienawidziła, gdybyś tylko zadrasnął jej ukochanego Edmunda?

— Tak, masz słuszność.

— Otóż widzisz, nie tak się robi; jeżeli by ktoś się ważył na coś podobnego, lepiej byłoby wziąć po prostu, tak jak ja oto biorę, pióro, zanurzyć je w atramencie i napisać lewą ręką, aby nikt nie rozpoznał charakteru, króciuteńką denuncjację[82].

Jak powiedział, tak i zrobił: napisał lewą ręką pochylonymi literami kilka linijek, charakterem zupełnie odmiennym od zwyczajnego i podał kartkę Fernandowi, który półgłosem ją odczytał.

Zdrada

> Wierny poddany tronu i religii zawiadamia panu prokuratorowi królewskiemu, że niejaki Edmund Dantès, oficer ze statku „Faraon", przybyły w dniu dzisiejszym ze Smyrny, zawitawszy po drodze do Neapolu i Portoferraio, otrzymał list od Murata[83] do uzurpatora i od uzurpatora do stronnictwa bonapartystowskiego w Paryżu.
>
> Można przekonać się o Dantèsa występku po aresztowaniu go, jako że list ów znajduje się albo przy nim, albo u jego ojca, albo w jego pokoiku na statku „Faraon".

— Ot i wszystko — odezwał się Danglars. — Tym sposobem w twojej zemście będzie jakiś sens, nikt nie będzie w stanie domyślić się, że to ty, a tymczasem sprawa sama się potoczy; teraz nie pozostaje nic więcej, jak złożyć tę kartkę, tak jak ja to robię, i zaadresować: „do pana prokuratora królewskiego", a wszystko byłoby załatwione. — I niby w żartach Danglars napisał adres na kartce.

— Tak, byłoby załatwione — ozwał się Caderousse, który w ostatnim wysiłku swego umysłu przysłuchiwał się, jak czytano i samym instynktem pojął, jakie nieszczęście mogłoby ściągnąć podobne doniesienie. — Tak, wszystko byłoby załatwione, ale to podłość! — i sięgnął po list.

— Naturalnie, że podłość — rzekł Danglars, odsuwając od niego list — toteż, jest żartem wszystko, co tu mówię i robię, mnie pierwszemu byłoby przykro, gdyby coś miało spotkać Dantèsa, naszego poczciwego Dantesa! Więc popatrz...

Wziął list, zmiął go i rzucił w kąt altany.

— Doskonale — westchnął Caderousse. — Dantès jest moim przyjacielem i nie chcę, żeby mu się stała jaka krzywda.

— Kto tu, u diabła, zamierza wyrządzać mu krzywdę! Nie ja przecież, ani Fernand — rzekł Danglars i podniósł się, bacząc na Fernanda, który spoglądał z ukosa na papier z denuncjacją rzucony w kąt.

— Kiedy tak — rzekł Caderousse — to dajcie wina, wypiję zdrowie Edmunda i pięknej Mercedes!

— Piłeś już dosyć, opoju jeden — powiedział Danglars. — Jeśli jeszcze pociągniesz, będziesz tu chyba nocował, bo nie utrzymasz się na nogach.

— Co, ja nie utrzymam się na nogach? Załóżmy się, że wyjdę sam na dzwonnicę, i to bez żadnej pomocy i nawet się nie zachwieję!

— Dobrze, dobrze, nikt nie wątpi — rzekł Danglars. — Założę się, ale jutro, na dziś już dosyć, no, weź mnie pod rękę i chodźmy.

---

[80] *zadenuncjować* — donieść władzy na kogoś, kto postąpił niezgodnie z prawem. [przypis edytorski]

[81] *zwada* — spór. [przypis edytorski]

[82] *denuncjacja* — doniesienie. [przypis edytorski]

[83] *Murat, Joachim* (1767–1815) — fr. marszałek, dowódca za czasów wojen napoleońskich. W 1814 r. uzyskał od koalicji antynapoleońskiej gwarancję zachowania swego państwa. Podczas Stu Dni (1815 r.) poparł Napoleona; po klęsce pod Waterloo uciekł na Korsykę. Skazany na śmierć przez rozstrzelanie. [przypis edytorski]

— Chodźmy — rzekł Caderousse — ale obejdę się bez twojej ręki. Chodź z nami, Fernandzie. Wracasz do Marsylii?

— Nie — odrzekł Fernand. — Wracam do swoich.

— Głupiś! Chodź z nami do Marsylii, no chodźże.

— Nie mam po co, a zresztą wcale tam nie chcę iść.

— Jak powiedziałeś? Nie chcesz, poczciwcze? No, to jak tam sobie wolisz, jestem za tym, żeby każdy robił, co mu się podoba, chodźmy, Danglars, a jegomość niech sobie idzie do swojej osady, kiedy tak sobie życzy.

Danglars, korzystając z ustępliwego chwilowo nastroju Caderousse'a, pociągnął go za sobą w stronę Marsylii; tylko, aby zostawić krótszą drogę Fernandowi, zamiast iść bulwarem Rive-Neuve, podążył do bramy Świętego Wiktora. Caderousse, wsparty o jego ramię, szedł także, zataczając się. Uszedłszy ze dwadzieścia kroków, Danglars odwrócił się i dojrzał, jak Fernand rzucił się szybko na papier i schował go do kieszeni, po czym wybiegł z altany i puścił się jak strzała w stronę Pillon.

— A co to? Patrz no, gdzie on idzie — zdziwił się Caderousse. — Skłamał nam, powiedział, że pójdzie do Katalończyków, a przecież idzie do miasta! Hej! Czekaj, Fernandzie, zbłądziłeś, nie tędy!

— To tobie się coś myli — rzekł Danglars. — Idzie prosto drogą Vieilles-Infirmeries.

— Prawda; a przysiągłbym, że poszedł na prawo. O! Wino to wielki zdrajca.

— No, no — szepnął Danglars. — Zdaje się, że nieźle pokierowałem sprawą, teraz wystarczy ją zostawić, a potoczy się sama.

5. PRZYJĘCIE ZARĘCZYNOWE

Nazajutrz dzień był piękny. Słońce wzniosło swoją czystą, błyszczącą tarczę, a pierwsze promienie purpurowej barwy rozrzuciły rubinowe blaski po spienionych fal grzbietach.

Przyjęcie przygotowane było na pierwszym piętrze karczmy, z którą czytelnik zawarł już znajomość. Była to wielka, piękna sala o pięciu czy sześciu oknach, nad każdym (kto zdoła, niech wytłumaczy to zjawisko!) wyryta była nazwa jednego z wielkich miast Francji. Na zewnątrz biegła wzdłuż okien drewniana galeryjka[84], opasując cały dom.

Już od jedenastej galeryjka zapełniała się niecierpliwie przechadzającymi się gośćmi, chociaż przyjęcie było oznaczone dopiero na południe. Byli to znaczniejsi rangą marynarze z „Faraona" i kilku żołnierzy, przyjaciół Dantèsa. Wszyscy wystąpili w najparadniejszych strojach, na dowód szacunku dla narzeczonych. Między zaproszonymi rozeszła się cicha wieść, że sami nawet właściciele „Faraona" uczczą swoją obecnością ucztę zaręczynową, uważano to jednak za taki zaszczyt dla Dantèsa, że mało kto dawał tej plotce wiarę. Tymczasem Danglars przybyły wraz z Caderousse'em potwierdził ją zupełnie. Widział bowiem z rana samego pana Morrela i słyszał z własnych jego ust, że przybędzie na ucztę Dantèsa.

Jakoż niebawem ukazał się w sali pan Morrel, a marynarze z „Faraona" powitali go głośnym „Hurra!". Obecność armatora była dla nich potwierdzeniem pogłoski o wyniesieniu Dantèsa na stopień kapitana, a ponieważ na statku Dantès był bardzo lubiany, dzielni ci ludzie podziękowali serdecznie armatorowi za to, że raz chociaż przypadek tak zrządził, że wybór właściciela zgadzał się zupełnie z życzeniami podwładnych. Zaledwie więc wszedł pan Morrel, dano znać Danglarsowi i Caderousse'owi, a ci popędzili do narzeczonego, aby mu donieść o przybyciu tak znakomitej osoby, której sam widok sprawił na obecnych tak nadzwyczajne wrażenie, i przyspieszyć początek przyjęcia.

Danglars i Caderousse pobiegli co żywo, ale zaledwie uszli sto kroków, zauważyli w pobliżu prochowni[85] mały orszak weselny.

Składał się on z czterech dziewcząt, Katalonek i przyjaciółek Mercedes, towarzyszących narzeczonej, którą prowadził pod rękę Edmund. Obok kroczył ojciec Dantèsa, za nimi zaś Fernand ze złowróżbnym uśmiechem na ustach. Ani Mercedes, ani Edmund nie dostrzegli tego uśmiechu. Biedne dzieci w szczęściu swym nie widziały nikogo prócz siebie i czystego błękitu nieba, które zdawało się im błogosławić.

[84] *galeryjka* — zdr. od *galeria*; zewnętrzne przejście w postaci krytego, podłużnego balkonu/tarasu. [przypis edytorski]

[85] *prochownia* — miejsce składowania lub wytwarzania prochu strzelniczego i ładunków wybuchowych. [przypis edytorski]

Danglars i Caderousse zdali sprawę ze swego poselstwa i wymieniwszy mocny, przyjacielski uścisk ręki z Edmundem, zawrócili. Danglars szedł przy Fernandzie, Caderousse zaś obok ojca Dantèsa, na którym skupiała się uwaga wszystkich.

Starzec miał na sobie odzienie z kitajki[86] angielskiej, spinane na haftki z dużymi stalowymi guzami[87] w kwadrat rżniętymi. Chude, ale muskularne łydki obleczone były w przepyszne, bawełniane pończochy w kropki, na milę trącące angielską kontrabandą[88]. Z trójgraniastego kapelusza spadał pęk białych i niebieskich wstążek. Wspierał się na lasce z giętego drewna, o rączce, która przypominała antyczne pedum[89]. Słowem, staruszek wyglądał jak jeden z fircyków[90], paradujących w 1796 r. w Tuileriach[91] albo w świeżo otwartym Ogrodzie Luksemburskim[92].

Obok, jak już wspomnieliśmy, wcisnął się Caderousse, ów Caderousse, który mając nadzieję na dobrą biesiadę, pogodził się już zupełnie z Dantèsem. W jego pamięci pozostało jeszcze jakieś niewyraźne wspomnienie tego, co się działo poprzedniego dnia, tak jak to często po obudzeniu spotykamy we wspomnieniu majaki, co nas w nocy napastowały. Danglars, podchodząc do Fernanda, spojrzał badawczo na wzgardzonego kochanka. Fernand szedł za przyszłymi małżonkami całkiem zapomniany przez Mercedes, bo dziewczyna w młodzieńczej swej radości, aż do egoizmu posuniętej, i urocza w swym zakochaniu, widziała tylko Edmunda. Fernand to bladł, to czerwieniał, ale rumieńce na jego twarzy ustępowały miejsca coraz to bardziej rosnącej bladości. Niekiedy spoglądał w stronę Marsylii, wówczas nerwowy dreszcz przejmował mimowolnie jego ciało. Zdawał się oczekiwać na, albo raczej przewidywać jakieś wielkie wydarzenie.

Ubiór Dantèsa był skromny: jako oficer marynarki handlowej nosił strój, który miał coś i z wojskowego munduru, i z cywilnego ubrania; w stroju tym wyglądał znakomicie, a uroda i radość narzeczonej jeszcze przydawała mu wdzięku. Mercedes przypominała z wyglądu greckie piękności z Cypru lub Ceosu[93] o czarnych oczach i koralowych ustach. Stąpała lekko i śmiało jak Arlezjanki[94] lub Andaluzyjki[95]. Dziewczyna z miasta starałaby się może ukrywać swą radość pod lekką jaką zasłoną, albo przynajmniej pod aksamitem powiek, ale Mercedes uśmiechała się i patrzyła na wszystkich, co ją otaczali, a w jej spojrzeniu i uśmiechu czytało się słowa, które mogłyby wyrzec jej usta: „Jeśliście moimi przyjaciółmi, cieszcie się wraz ze mną, bo naprawdę jestem bardzo szczęśliwa".

Gdy narzeczonych widać już było z orszakiem z samej karczmy, na ich spotkanie wyszedł pan Morrel, a z nim razem podążyli majtkowie i żołnierze, którym powtórzył poprzednio uczynioną obietnicę, że Dantès obejmie miejsce kapitana Leclère'a. Gdy Edmund go spostrzegł, puścił rękę narzeczonej i wsunął jej dłoń pod ramię pana Morrela. Armator wraz z dziewczyną pierwsi weszli na drewniane schody wiodące do sali, w której miał być podany obiad — a schody jeszcze przez pięć minut skrzypiały pod ciężkimi krokami gości.

— Mój ojcze — rzekła Mercedes, zatrzymując się przy stole. — Usiądź przy mnie po prawej stronie, chciałabym, aby z lewej siadł ten, co był mi bratem — dodała z taką serdecznością, że ta jak sztylet ukłuła Fernanda prosto w serce. Usta mu zbielały, ze śniadej twarzy, która spłonęła najpierw łuną, odpłynęła krew.

Dantès tymczasem również rozsadzał biesiadników: posadził pana Morrela po swej prawej ręce, po lewej zaś ojca, następnie dał znak całej kompanii, że mogą zajmować miejsca według upodobania.

---

[86] *kitajka* — bawełniana lub jedwabna tkanina. [przypis edytorski]

[87] *guzy* — ozdobne guziki. [przypis edytorski]

[88] *kontrabanda* — przemyt, rzeczy nielegalnie przewożone przez granicę. [przypis edytorski]

[89] *pedum* (łac.) — laska na kształt pastorału. [przypis edytorski]

[90] *fircyk* (daw.) — modniś, elegant. [przypis edytorski]

[91] *Tuileries* a. *Tuilerie* — jedna z dzielnic Paryża, znajdująca się w samym jego centrum, pomiędzy Luwrem, placem Zgody a rzeką Sekwaną. Znajdujące się w Tuileriach ogrody od czasów rewolucji francuskiej służą jako park miejski. [przypis edytorski]

[92] *Ogród Luksemburski* — park miejski w Paryżu; na jego terenie znajduje się Pałac Luksemburski i słynna Fontanna Medyceuszy. [przypis edytorski]

[93] *Ceos* (łac.) — inaczej: Kiea, Kea; wyspa należąca do Grecji, położona na Morzu Egejskim u wybrzeży Attyki. [przypis edytorski]

[94] *Arlezjanka* — mieszkanka Arles, tj. miejscowości na płd. Francji. [przypis edytorski]

[95] *Andaluzyjka* — mieszkanka Andaluzji, tj. wspólnoty autonomicznej w płd. Hiszpanii. [przypis edytorski]

Wokół stołu jęły krążyć kiełbasy z Arles, brązowe i aromatyczne, langusty w błyszczących skorupach, ślimaki w różowych muszelkach, morskie jeże, które wyglądają jak kasztany osłonięte swoją kolczastą łupiną, klowisy[96], które wedle smakoszy z południa górują nad ostrygami z mórz północy, a wreszcie wszystkie owe delikatne przysmaki, które fala zostawia na piaszczystej plaży, a które wdzięczni rybacy zowią owocami morza.

— Jakaż tu cisza — rzekł starzec, próbując ze smakiem żółtego jak topaz[97] wina, które sam stary Pamfil postawił przed Mercedes — kto by powiedział, że jak tu nas jest trzydzieści osób, każdy czeka tylko okazji do śmiechu.

— Ach, człowiek, który się żeni, nie zawsze jest radosny — rzekł Caderousse.

— Prawda jest taka — odparł Dantès — że jestem zbyt szczęśliwy, aby oddać się wesołości. Jeśli to w ten sposób rozumiesz, sąsiedzie, to masz rację; dziwnie objawia się czasem radość, potrafi przygnieść jak cierpienie.

Szczęście, Kondycja ludzka

Danglars zerknął badawczo na Fernanda, na którego wyrazistej twarzy malowały się wszelkie doznawane wzruszenia.

— Ejże — rzekł do Edmunda. — Czyżbyś się czegoś obawiał? Przecież, jak mi się zdaje, wszystko idzie po twojej myśli.

— To mnie właśnie przeraża, zdaje mi się, że człowiekowi niedozwolone jest tak łatwe i szybkie szczęście. Szczęście jest jak owe pałace na wyspach zaczarowanych, w których strzegą bram smoki — kto chce je zdobyć, musi stanąć do walki, a ja w rzeczy samej nie wiem, czym zasłużyłem na szczęście bycia mężem Mercedes.

— Mężem! Mężem! — odezwał się ze śmiechem Caderousse. — Jeszcze nim nie jesteś, mój kapitanie; spróbuj no skorzystać choć trochę z przywilejów męża, a zobaczysz, jak cię przyjmą!

Mercedes spłonęła rumieńcem.

Fernand nie mógł usiedzieć na krześle, wzdrygał się, słysząc najmniejszy szmer, i co chwila ocierał pot perlący mu się obficie na czole, jak pierwsze krople deszczu w czasie burzy.

— Proszę cię, sąsiedzie — odparł Dantès. — Czyż to warto łapać mnie za słowa za tak małą nieścisłość? Prawda, Mercedes nie jest jeszcze moją żoną, ale — i tu spojrzał na zegarek — za półtorej godziny nią będzie.

Biesiadnicy, z wyjątkiem starego Dantèsa, który pokazał w szerokim uśmiechu piękne, białe jeszcze zęby, wydali okrzyk zdumienia. Mercedes uśmiechała się, ale tym razem nie zarumieniła. Fernand porwał konwulsyjnie rękojeść noża.

— Za godzinę! — rzekł Danglars i pobladł. — Jak to?

— Tak, moi przyjaciele — odpowiedział Dantès. — Dzięki wpływom pana Morrela, któremu po ojcu najwięcej zawdzięczam w życiu, wszystkie trudności zostały usunięte. Daliśmy na zapowiedzi[98] i o wpół do trzeciej oczekiwać nas będzie w ratuszu mer[99] Marsylii. A ponieważ tylko co[100] wybiło kwadrans po pierwszej, sądzę, że nie bardzo się omyliłem, mówiąc, że za półtorej godziny Mercedes będzie już panią Dantès.

Fernand przymknął oczy, ogień palił mu od spodu powieki; aby nie upaść, chwycił się stołu i pomimo największych wysiłków nie mógł powstrzymać głuchego jęku, który przeszedł niepostrzeżony w radosnej wrzawie śmiechu i powinszowań[101] biesiadników.

— To dopiero znaczy uwinąć się! — rzekł stary Dantès. — A może myślicie, że traciliśmy czas? Wczoraj wrócił, a dziś o trzeciej się żeni! Jeśli kto umie brać się sprawnie do rzeczy, to tylko marynarze!

— A inne formalności — wtrącił nieśmiało Danglars. — Akt ślubny, intercyza[102]?...

— Intercyza — rzekł Dantès, śmiejąc się — intercyza jest gotowa: Mercedes nie ma nic, ja także! Według prawa gminy złączyliśmy więc nasze fortuny, to wszystko. Nie było wiele do spisania i niewiele też będzie to kosztować.

---

[96] *klowisy* (z fr. *clovisse*) — gatunek ostryg wyławianych na płd. Europy. [przypis edytorski]

[97] *topaz* — półprzejrzysty minerał o błękitnej a. żółtawej barwie. [przypis edytorski]

[98] *zapowiedź* — tu: ogłoszenie w kościele zamiaru zawarcia przez określone osoby małżeństwa. [przypis edytorski]

[99] *mer* — przewodniczący rady miejskiej we Francji; przedstawiciel władzy państwowej; odpowiednik polskiego wójta, burmistrza lub prezydenta miasta. [przypis edytorski]

[100] *tylko co* — dopiero co, przed chwilą. [przypis edytorski]

[101] *powinszowanie* — życzenie, gratulacja. [przypis edytorski]

[102] *intercyza* — umowa majątkowa pomiędzy małżonkami. [przypis edytorski]

Żart ten wywołał nowy wybuch śmiechów i oklasków.

— A więc to, co uważaliśmy za zrękowiny — odezwał się Danglars — jest po prostu weselem?

— Ależ nie — zaprzeczył Dantès. — Nic na tym nie stracicie, bądźcie spokojni. Jutro rano wyjeżdżam do Paryża. Cztery dni drogi tam, cztery na powrót, jeden dzień na miejscu, bym mógł wypełnić dane mi zlecenie, pierwszego więc marca będę tu z powrotem, a drugiego urządzimy prawdziwą ucztę weselną.

Perspektywa nowej uczty tak rozochociła biesiadników, że stary Dantès, który na początku obiadu uskarżał się na ciszę, teraz nie mógł, mimo szczerych wysiłków, wznieść ogólnego toastu za powodzenie przyszłych małżonków. Dantès odgadł zamiar ojca i odpowiedział mu uśmiechem pełnym miłości. W tej chwili Mercedes spojrzała na zegar z kukułką i dała znak Edmundowi. Przy stole panowała hałaśliwa wesołość i swoboda, właściwa dla ludzi niskiego stanu pod koniec uczty. Kto nie był kontent ze swego sąsiada, wstawał i szedł szukać innego. Wszyscy mówili naraz, nikt nie starał się śledzić toku myśli rozmówcy, myśląc o własnych tylko sprawach.

Bladość Fernanda udzieliła się i Danglarsowi, Fernand zdawał się zupełnie zmartwiały, przypominał potępieńca w ogniu piekielnym. Jako jeden z pierwszych wstał od stołu i zaczął przechadzać się dużymi krokami wzdłuż i wszerz sali, chcąc uwolnić się od wrzawy, śpiewów i brzęku kieliszków. W chwili gdy Danglars, którego Fernand zdawał się unikać, dopadł go wreszcie w kącie sali, zbliżył się doń Caderousse.

— Przyznaję — rzekł Caderousse, który pozbył się dzięki dobremu winu starego Pamfila i uprzejmości Edmunda uraz i nienawiści, jaką niespodziewane szczęście Dantesa zasiało w jego sercu — przyznaję, że Dantès jest bardzo miłym chłopcem i kiedy go widzę u boku narzeczonej, myślę sobie, że była to wielka krzywda, gdybyście przywiedli do skutku żart, który wczoraj uknuliście.

— Widziałeś przecież — rzekł Danglars — że nie ma to żadnych konsekwencji. Biedny Fernand był wczoraj tak wstrząśnięty, że mi go rzeczywiście było bardzo z początku żal; ale teraz, kiedy się tak dalece oswoił z losem, że został pierwszym drużbą[103] na weselu swego rywala, nie ma już o czym mówić.

Caderousse spojrzał na Fernanda — był blady jak trup.

— Ofiara tym większa — mówił następnie Danglars — że dziewczyna, którą traci, jest naprawdę śliczna. Do stu tysięcy diabłów, co za szczęściarz, ten nasz przyszły kapitan! Chciałbym choć przez dwanaście godzin być na jego miejscu.

— Idziemy? — odezwał się słodki głos Mercedes. — Wybiła już druga, a jesteśmy umówieni piętnaście po drugiej.

— Tak, chodźmy już, chodźmy — rzekł Dantès, podnosząc się żywo.

W tejże chwili Danglars, który nie spuszczał z oka Fernanda siedzącego przy oknie, spostrzegł, jak ten otworzył błędne oczy, zerwał się nagle jak piorunem rażony i upadł na powrót na parapet. Jednocześnie na schodach rozległ się przygłuszony hałas, stuk pomieszany z głosami i szczękiem broni, stłumił gwar na sali, jakkolwiek był on duży, zwracając powszechną uwagę: wśród biesiadników zapadło milczenie pełne niepokoju. Hałas się zbliżył, na koniec dały się słyszeć trzy mocne uderzenia we drzwi; wszyscy spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

— W imieniu prawa — ozwał się grzmiący głos, któremu nikt nie śmiał odpowiedzieć.

Drzwi otwarły się natychmiast; wszedł komisarz przybrany we wstęgę[104], a za nim czterech zbrojnych żołnierzy z kapralem[105] na czele. Niepokój zamienił się w trwogę.

— O cóż to chodzi? — zapytał pan Morrel, przystępując do komisarza, którego znał osobiście. — Niezawodnie jakaś pomyłka, panie komisarzu.

— Jeśli pomyłka, panie Morrel, bądź pan pewien, że natychmiast ją wyjaśnimy. Tymczasem mam tu rozkaz aresztowania i choć przykro mi, że muszę spełnić takie zlecenie, trzeba je jednak wykonać. Który z was, panowie, nazywa się Edmund Dantès?

---

[103]*drużba* — daw. przyjaźń; tu: osoba towarzysząca panu młodemu do ślubu. [przypis edytorski]

[104]*wstęga* — tu: wstęga orderowa, tj. kawałek tkaniny noszony na mundurze, który wskazuje kolorem i wzorem określony order. [przypis edytorski]

[105]*kapral* (z wł. *caporale*: dowódca) — stopień wojskowy. [przypis edytorski]

Wszyscy zwrócili spojrzenia na młodzieńca, który choć mocno poruszony, zachował jednak godność i postąpił krok naprzód:

— To ja. Czego pan sobie życzy?

— Edmundzie Dantès, aresztuję cię w imieniu prawa.

— Aresztuje mnie pan! — rzekł Edmund i pobladł lekko. — Ale za co?

— Nie wiem, za co, ale na pierwszym przesłuchaniu dowiesz się pan niezawodnie[106].

Służalczość, Prawo, Ojciec

Pan Morrel zrozumiał, że w takiej sytuacji na nic zda się opór: komisarz przepasany urzędową wstęgą przestaje być człowiekiem, ale jest uosobieniem prawa, zimnym na wszystko, niemym i głuchym. Stary Dantès rzucił się tymczasem na urzędnika z płaczem i prośbami; są rzeczy, których serce ojca czy matki nigdy nie zrozumie. Łzy na nic się nie zdały, rozpacz jego jednak była tak wielka, że wzruszyła komisarza.

— Uspokój się pan — rzekł — być może syn twój nie dopełnił jakiejś formalności celnej lub sanitarnej, i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, skoro tylko udzieli potrzebnych objaśnień, uwolnią go natychmiast.

— A cóż to wszystko znaczy? — zapytał Caderousse, zmarszczywszy brwi, Danglarsa, który udawał zdumionego.

— Skąd mogę wiedzieć? — odparł Danglars. — Tyle wiem, co ty; widzę, co się dzieje, nic nie rozumiem i sam nie wiem, co mam na to powiedzieć.

Caderousse poszukał wzrokiem Fernanda, ale Fernanda już nie było.

I cała scena z poprzedniego dnia przedstawiła mu się nagle w przerażającym świetle. Powiedziałbyś, że nieszczęście to zdarło zasłonę, którą wczoraj pijaństwo nałożyło na jego pamięć.

— Aha — rzekł chrapliwym głosem — a może to skutki żartu, o którym wczoraj mówiłeś, panie Danglars? Jeśli tak, to biada temu, kto się nań poważył, bo to straszliwa psota!

— A skąd! — zawołał Danglars. — Wiesz przecież dobrze, że podarłem papier w drobne kawałki.

— Nie podarłeś go — rzekł Caderousse — tylkoś go zmiął i rzucił w kąt, ot, i tyle.

— Bądź cicho, nie widziałeś tego, byłeś pijany.

— A gdzie Fernand? — spytał Caderousse.

— Skąd mogę wiedzieć? — odpowiedział Danglars. — Poszedł pewnie za swymi interesami. Ale dajmy spokój próżnemu gadaniu, zajmijmy się raczej naszymi nieszczęśliwymi przyjaciółmi.

Dantès tymczasem pożegnał każdego z przyjaciół uściskiem ręki i oddał się w ręce komisarza.

— Nie troskajcie się, wszystko się wyjaśni i może nie dojdę nawet do drzwi więzienia.

— O, z pewnością, głowę za to daję — rzekł Danglars, który w tej chwili zbliżył się właśnie, jak już mówiliśmy, do Edmunda.

Dantès zszedł po schodach, z komisarzem policji na przodzie a żołnierzami wokół. Karetka[107] z otwartymi drzwiczkami stała już gotowa. Dantès wsiadł, a za nim komisarz i dwóch żołnierzy. Drzwiczki zamknięto i karetka skierowała się do Marsylii.

— Żegnaj, Edmundzie, żegnaj! — krzyknęła Mercedes, wychylając się za poręcz galeryjki.

Więzień usłyszał ten ostatni krzyk, który jak łkanie wyrwał się z piersi narzeczonej, wychylił głowę przez drzwiczki i zawołał: „Do widzenia, Mercedes!" — po czym karetka znikła za rogiem twierdzy Świętego Mikołaja.

— Poczekajcie tu na mnie — rzekł pan Morrel. — Biorę natychmiast fiakra[108], jadę co prędzej do Marsylii i dam wam znać natychmiast, co się stało.

— Jedź pan — zawołali wszyscy razem. — Jedź i wracaj co rychlej.

Po tym podwójnym odjeździe wszyscy trwali jeszcze przez chwilę w osłupieniu. Starzec i Mercedes zdawali się nimi, każde w swej boleści pogrążone. Na koniec spotkały się ich oczy, spojrzeli na siebie, jak ludzie jednym ciosem ugodzeni, i rzucili się sobie w objęcia. Tymczasem Fernand wrócił, nalał sobie szklankę wody, wypił i usiadł na krześle.

[106] *niezawodnie* (daw.) — niewątpliwie. [przypis edytorski]

[107] *karetka* — tu: karetka więzienna, pojazd przeznaczony do przewozu aresztowanych i więźniów. [przypis edytorski]

[108] *fiakier* (daw.) — dorożkarz. [przypis edytorski]

Przypadek zrządził, że na krzesło obok opadła Mercedes, wysunąwszy się z objęć starca. Fernand odsunął się instynktownie.

— To on — rzekł Caderousse do Danglarsa, który nie spuszczał z oka Katalończyka.

— Nie sądzę — odpowiedział Danglars. — On zbyt głupi na takie rzeczy. W każdym razie, niech cios spadnie na tego, co go sprowadził.

— A o tym, co był doradcą, nic nie powiesz? — spytał Caderousse.

— Och, na litość Boską! — rzekł Danglars. — Gdybyśmy byli odpowiedzialni za każde słowo, które rzucamy na wiatr...

— Tak, zwłaszcza gdy słówko to powróci i uderzy obuchem[109].

Tymczasem całe towarzystwo roztrząsało zdarzenie z różnych stron.

— A pan, panie Danglars, co myślisz o tym wypadku? — ozwał się ktoś.

— Mnie się zdaje — rzekł Danglars — że musiał pewnie sprowadzić parę paczek kontrabandy.

— Gdyby tak było, musiałbyś pan o tym wiedzieć, jako agent kasowy.

— Prawda, ale powinniście państwo wiedzieć, że agent kasowy wie tylko o tym, co mu deklarują. Wiem tylko, że mamy wielki ładunek bawełny, żeśmy go wzięli od pana Pastreta w Aleksandrii[110], a w Smyrnie od pana Pascala, o więcej nie pytajcie.

— Ach! Przypominam sobie — wyszeptał nieszczęsny ojciec, chwytając się tej wiadomości jak zbawienia. — Mówił mi wczoraj, że ma dla mnie skrzynkę kawy i drugą tytoniu.

— A widzicie? — rzekł Danglars. — To pewnie o to chodzi; w czasie naszej nieobecności celnicy musieli dokonać rewizji statku i znaleźli wszystko.

Mercedes nie uwierzyła w to wszystko; trzymając do tej pory na wodzy swoją rozpacz, teraz wybuchnęła głośnym łkaniem.

— No, no, trochę nadziei — rzekł niezbyt jasno stary Dantès.

— Nadziei — powtórzył Danglars.

— Nadziei — starał się mruknąć Fernand, ale słowa uwięzły mu w gardle, usta zadrżały i żaden dźwięk nie wydobył się z piersi.

— Panowie — zawołał któryś z biesiadników postawiony na czatach na galeryjce. — Panowie, widać powóz. Ach! To pan Morrel! Pan Morrel wraca, niezawodnie przynosi dobre nowiny.

Mercedes i stary Dantès pobiegli na spotkanie właściciela statku; pan Morrel był bardzo blady.

— No i cóż? — zawołali jednym głosem.

— I cóż, moi przyjaciele — odpowiedział armator. — Rzecz jest daleko poważniejsza, niż myśleliśmy.

— Och, panie Morrel! — zawołała gwałtownie Mercedes. — On jest niewinny!

— I ja tak myślę, ale go oskarżają...

— O co? — zapytał stary Dantès.

— Że jest agentem bonapartystów.

Czytelnicy, którzy przeżyli czasy, w których rozgrywa się nasza historia, przypomną sobie zapewne, jak okropnym oskarżeniem były wówczas takie słowa. Mercedes wydała tylko krzyk bolesny, a starzec upadł na krzesło.

— Aha! — szepnął Caderousse. — Oszukał mnie pan, panie Danglars, żart wasz nie był wcale tylko żartem. Ale ja nie pozwolę, aby ten starzec i to dziewczę umarli z rozpaczy, i wszystko im powiem.

— Milcz, nieszczęsny! — zawołał Danglars, chwytając Caderousse'a za rękę — albo drogo za to zapłacisz. A któż ci powiedział, że Dantès nie jest rzeczywiście winny? Statek zawinął na Elbę, Edmund wysiadł i bawił cały dzień w Portoferraio. Jeśli znaleziono przy nim jakiś kompromitujący list, wszyscy ci, co go zechcą bronić, zostaną posądzeni o wspólnictwo.

---

[109] *obuch* — rodzaj broni białej na kształt laski, w której głowicy z jednej strony znajdował się młotek, a z drugiej zawinięty szpikulec; stosowana w walce wręcz. [przypis edytorski]

[110] *Aleksandria* — egipskie miasto położone nad brzegiem Morza Śródziemnego, największy port Egiptu. [przypis edytorski]

Instynktem egoisty Caderousse pojął natychmiast, jak prawdziwe było to rozumowanie. Spojrzał na Danglarsa oczyma, które wyrażały strach i rozpacz i jak poprzednio postąpił krok naprzód, tak teraz cofnął się o dwa.

— A więc poczekajmy — wyjąkał obrońca Dantèsa.

— Naturalnie, poczekajmy jeszcze — powtórzył Danglars. — Jeśli jest niewinny, wypuszczą go na wolność, jeśli zaś winny, po cóż byśmy się dla niego narażali.

— Chodźmy więc, ja tu dłużej ani chwili nie wytrzymam.

— Dobrze, chodźmy — rzekł Danglars, rad, że sam nie musi wychodzić. — Niech oni tu sobie radzą, jak mogą.

I wyszli. Fernand jako jedyny znów opiekun Mercedes, wziął ją pod rękę i odprowadził do wsi katalońskiej; przyjaciele Dantèsa zaś odprowadzili do domu na pół omdlałego starca. Wkrótce pogłoska, że Dantèsa uwięziono jako agenta bonapartystów, rozeszła się po całym mieście.

— Przypuściłbyś pan kiedykolwiek coś podobnego, drogi panie Danglars — wysapał pan Morrel, doganiając swojego agenta kasowego i Caderousse'a, bo sam spieszył do miasta, chcąc dowiedzieć się czegoś o Edmundzie bezpośrednio od zastępcy prokuratora, pana de Villeforta, którego cokolwiek[111] znał.

— Przecież mówiłem — odpowiedział Danglars. — Mówiłem zaraz na początku, że Dantès bez żadnego powodu bawił cały dzień na Elbie i że ten postój wydał mi się nieco podejrzany?

— Ale czy nie podzieliłeś się swoimi domysłami z kimś oprócz mnie?

— A niech Bóg broni! — powiedział cicho Danglars. — Wie pan dobrze, że skoro wuj pański, pan Polikarp Morrel służył pod tamtym i do tej pory nie tai swoich sympatii, pana również posądzają o przychylność dla Napoleona. Czyż mógłbym narażać Edmunda i zarazem pana? Są rzeczy, które winniśmy z całą szczerością wyznawać naszym zwierzchnikom, ale z którymi musimy się kryć przed obcymi.

— Dobrze, drogi panie Danglars — rzekł armator — jesteś zacnym chłopcem, i dlatego myślałem też o tobie, w wypadku gdyby ten biedny Edmund został kapitanem „Faraona".

— Jak to, proszę pana?

— Pytałem Dantesa, jakie ma zdanie o tobie i czy nie ma nic przeciw temu, abyś zatrzymał swoje stanowisko; bo nie wiem czemu, ale mi się zdawało, że jakoś dąsaliście się na siebie.

— I cóż on na to odpowiedział?

— Że w rzeczy samej zawinił wobec pana w okolicznościach, o których nic mi nie rzekł; i dodał, że ktokolwiek posiada zaufanie armatora, może być pewnym i jego zaufania.

— Obłudnik! — mruknął do siebie Danglars.

— Biedny chłopak — rzekł Caderousse. — To fakt, jest bardzo zacnym chłopcem.

— Tak, ale tymczasem — dodał pan Morrel — „Faraon" został bez kapitana.

— Och — ozwał się Danglars. — Trzeba mieć nadzieję, że nim będziemy mogli odpłynąć, to jest nim upłyną trzy miesiące, Dantès będzie już wolny.

— Bez wątpienia, ale co zrobić przez ten czas?

— Przez ten czas jestem do usług pańskich, panie Morrel — rzekł Danglars. — Wiesz pan przecież, że na dowodzeniu statkiem znam się tak przynajmniej jak pierwszy z brzegu kapitan. Powierzając mi to miejsce, będziesz miał pan tę korzyść, że jak Dantès wyjdzie z więzienia, nie będziesz pan potrzebował nikogo zwalniać, on obejmie swoje miejsce, a ja wrócę do własnego.

— Dziękuję! — rzekł armator. — Oto dobra rada. Obejmij więc zaraz dowództwo, masz na to moje upoważnienie i dopilnuj wyładunku, bo niezależnie od nieszczęść, jakie mogą na nas spaść, nasze interesy nie powinny na tym tracić.

— Bądź pan spokojny... ale czy można by się przynajmniej zobaczyć z naszym biednym Edmundem?

— Dam ci o tym znać. Będę się starał widzieć z panem de Villefortem i ująć się przed nim za Dantèsem. Wiem wprawdzie, że to zapalony rojalista[112], ale, u diabła, rojalista,

[111] *cokolwiek* — tu: trochę. [przypis edytorski]

[112] *rojalista* — zwolennik monarchii i jej formy sprawowania władzy; tu w szczególności: zwolennik Burbonów. [przypis edytorski]

choćby był prokuratorem królewskim, jest też przecież człowiekiem, a pan de Villefort nie wydaje mi się najgorszy.

— Tak, zapewne — rzekł Danglars — ale mówią o nim, że ambitny bardzo, a to prawie na jedno wychodzi.

— Zresztą zobaczymy — dodał Morrel z westchnieniem. — Idź pan na statek, zaraz sam tam przyjdę.

I udał się w stronę gmachu sądowego.

— Widzisz — rzekł Danglars do Caderousse'a — jaki obrót biorą rzeczy, masz jeszcze ochotę stawać po stronie Dantèsa?

— Naturalnie, że nie; ale to okropne, aby żart mógł mieć tak straszne następstwa.

— Do pioruna, któż go spłatał? Ani ja, ani ty, nieprawdaż, tylko Fernand. Wiesz dobrze, że ja rzuciłem papier ten w kąt, zdaje mi się nawet, żem go podarł.

— O nie, nie, ręczę ci za to — rzekł Caderousse. — Co do tego, jestem pewny, jakbym go widział w tej chwili, leży w kącie zmięty, zgnieciony; ależ bym chciał, żeby leżał jeszcze tam, gdzie go widzę.

— Cóż począć? Fernand musiał go wziąć, przepisał lub kazał przepisać, może nawet nie chciało mu się tego uczynić. Ach, mój Boże! Jak pomyślę, że może posłał kartkę napisaną przeze mnie! Szczęście, żem zmienił charakter pisma.

— Ale wiedziałeś, że Dantès należał do spisku?

— Nic a nic nie wiedziałem, żartowałem sobie tylko. I zdaje się, że w żartach powiedziałem niechcący prawdę.

— Wszystko jedno — odpowiedział Caderousse. — Dałbym nie wiem co za to, żeby się to wszystko nie stało, albo przynajmniej żebym ja nie był w to zamieszany; zobaczysz, że przyniesie nam to nieszczęście!

— Jeśli ma to komu przynieść nieszczęście, to tylko prawdziwemu winowajcy, a winny jest Fernand, nie my. I powiedz, cóż nam się może stać? Trzeba nam tylko siedzieć cicho i nie pisnąć nikomu ani słowa o tym, co zaszło, a burza przejdzie i na nikogo grom nie spadnie.

— Amen! — rzekł Caderousse, pożegnał się z Danglarsem i poszedł w stronę Alei Meilhańskich, potrząsając głową i mrucząc sam do siebie, jak się to zdarza ludziom mocno czymś przejętym.

„To i dobrze — rzekł Danglars do siebie — rzeczy przybierają taki obrót, jaki przewidziałem: jestem tymczasowo kapitanem, a jeśli ten głupiec Caderousse będzie milczał, to nim zostanę naprawdę. Chyba że sąd uwolniłby Dantèsa... ale sprawiedliwość jest sprawiedliwością i mogę na nią liczyć".

I wskoczył do łodzi, każąc wieźć się na „Faraona", gdzie, jak pamiętamy, armator wyznaczył mu spotkanie.

6. ZASTĘPCA PROKURATORA KRÓLEWSKIEGO

Społeczeństwo, Polityka, Elita, Zesłaniec

Przy ulicy Grand Cours, naprzeciw fontanny Meduz, w jednym z owych starych domów o wytwornej architekturze typowej dla Pugeta[113], tego samego dnia i o tej samej godzinie odbywała się także uczta zaręczynowa. Ale w miejsce marynarzy i żołnierzy, zebrała się tam sama śmietanka towarzyska Marsylii: dawni sądownicy, którzy wystąpili ze służby za panowania uzurpatora; starzy oficerowie, którzy zbiegli z naszych szeregów i przeszli do armii Kondeusza[114]; młodzieńcy, których rodziny ocaliły od służby wojskowej, kupując im zastępców, wychowani w nienawiści do człowieka, którego pięć lat wygnania miało uczynić w oczach Francji męczennikiem, a piętnaście lat Restauracji prawdziwym bogiem[115].

[113] *Puget, Pierre* (1620–1694) — pochodzący z Francji barokowy rzeźbiarz, malarz i architekt. [przypis edytorski]

[114] *armia Kondeusza* — utworzone w 1792 r. przez Ludwika Józefa z rodu Kondeuszy oddziały kontrrewolucyjne, których celem miało być przywrócenie we Francji monarchii. [przypis edytorski]

[115] *Przy ulicy Grand Cours (…) prawdziwym bogiem.* — w powieści uzurpatorem nazwany jest Napoleon. Ówczesne społeczeństwo Francji po objęciu władzy przez Bonapartego podzieliło się na dwa fronty: rojalistów, tj. zwolenników monarchii Burbonów, oraz oddanych Napoleonowi bonapartystów. Burbonom udało się powrócić na tron (tzw. Restauracja 1814–1830, z wyłączeniem Stu dni Napoleona od 1 marca do 22 czerwca 1815 r., gdy na krótko powrócił do panowania). [przypis edytorski]

Wszyscy siedzieli przy stole, rozmowa toczyła się żywo, podsycana wszystkimi namiętnościami ówczesnej epoki, tym straszniejszymi i zacieklejszymi na południu, że od pięciu wieków waśnie religijne splatały się tam z nienawiściami politycznymi.

Cesarz, król wyspy Elby, ten, który był wcześniej panem jednej części świata, panował dziś nad kilkoma tysiącami dusz, choć słyszał niedawno, jak sto dwadzieścia milionów poddanych w dziewięciu różnych językach wołało: „Niech żyje Napoleon!"; i był wśród tych osób traktowany jako człowiek, którego Francja na zawsze straciła i który nigdy nie odzyska tronu. Prawnicy rozważali jego błędy polityczne, wojskowi rozmawiali o Moskwie i Lipsku[116], kobiety o jego rozwodzie z Józefiną[117]. Zdawało się temu wesołemu, triumfującemu gronu, z powodu nie tyle upadku jednego człowieka, ile z unicestwienia idei, że teraz nowe otwiera się dla nich życie i że ocknęli się wreszcie z okropnego snu[118].

Jakiś starzec z Orderem Świętego Ludwika[119] na piersi powstał i wzniósł zdrowie króla Ludwika XVIII[120]. Był to markiz[121] de Saint-Méran. Na ów toast, budzący tyle wspomnień, powstało wielkie poruszenie, wszyscy unieśli szklanki w górę na sposób angielski, kobiety odpięły bukieciki i zasłały nimi stół cały. Zapał nieledwie poetycki ogarnął całe towarzystwo.

— Gdyby tu byli, musieliby przyznać — rzekła markiza Saint-Méran, kobieta o surowym wyrazie oczu, wąskich ustach, która mimo wieku pięćdziesięciu już lat zachowała arystokratyczną i wykwintną postawę — musieliby przyznać ci wszyscy rewolucjoniści, co nas wygnali, a którym my teraz pozwalamy knuć spiski w naszych własnych pałacach kupionych w czasie terroryzmu[122] za wydarty kawałek chleba, że daliśmy przykład prawdziwego poświęcenia, trzymając stronę upadającej monarchii, podczas gdy oni witali wschodzące słońce i robili majątek, gdy my traciliśmy nasze fortuny. Przyznaliby, powtarzam, że nasz król Ludwik XVIII jest nam rzeczywiście miłościwie panującym władcą, zaś ich uzurpator był dla nich tylko Napoleonem złowrogim, czyż nie tak, panie de Villefort?

— Co pani raczyła powiedzieć? Proszę darować, nie uważałem na bieg rozmowy.

— Ech, daj pokój tym dzieciom, pani markizo — rzekł starzec. — Mają się pobrać, więc też co innego im w głowie, nie polityka.

— Przepraszam, mamo — rzekła młoda, jasnowłosa dziewczyna o aksamitnych, błyszczących oczach. — Oddaję ci pana de Villeforta, którego zagarnęłam. Panie prokuratorze, moja matka rzekła coś do pana.

— Gotów jestem odpowiedzieć pani markizie, jeśli raczy zapytać ponownie, bo nie słyszałem pytania.

— Przebaczam ci, Reniu — rzekła markiza i jej twarz rozjaśniła się uśmiechem, który zadziwiał na tym oschłym obliczu; bo w sercu kobiety, choć przesądy i prawa etykiety czynią go zimnym i twardym, znajdzie się zawsze zakątek pełen czułości i uśmiechu, ten, który Stwórca przeznaczył na uczucia macierzyńskie. — Mówiłam właśnie panu de Villefortowi, że bonapartyści nie mieli ani takiej jak my wiary w słuszność idei, ani takiego entuzjazmu, ani takiego poświęcenia. Kobieta, Matka

— Tak, pani markizo, ale jest w nich jednak cecha, która wszystko zastępuje: fanatyzm. Napoleon to Mahomet[123] Zachodu. Dla tych wszystkich prostych, lecz ambitnych do najwyższego stopnia ludzi, jest on nie tylko prawodawcą i panem, ale także wyrazem i wcieleniem równości. Przywódca, Wiara, Polityka

---

[116] *Lipsk* — miasto powiatowe w niem. Saksonii. [przypis edytorski]

[117] *Józefina* (1763–1814) — pierwsza żona Napoleona, a w związku z tym także cesarzowa Francuzów (1804–1810) i królowa Włoch (1805–1810). [przypis edytorski]

[118] *Cesarz, król wyspy Elby (…) ocknęli się wreszcie z okropnego snu* — Napoleon po nieudanych działaniach wojennych w Moskwie i Lipsku abdykował i został zesłany na wyspę Elbę. Udało mu się powrócić do władzy w 1815 r. (Sto dni Napoleona). Po nieudanej bitwie pod Waterloo (18 czerwca 1815 r.) przetransportowano go na wyspę św. Heleny, gdzie ostatecznie został pochowany 5 maja 1821 r. [przypis edytorski]

[119] *Order Świętego Ludwika* — toskańskie odznaczenie otrzymywane za zasługi cywilne i wojskowe. [przypis edytorski]

[120] *Ludwik XVIII* (1755–1824) — król Francji z dynastii Burbonów od 1814. [przypis edytorski]

[121] *markiz* — tytuł arystokratyczny sytuujący w hierarchii społecznej między hrabią a księciem. [przypis edytorski]

[122] *rządy terroru* — okres masowych egzekucji podczas rewolucji francuskiej dokonywanych przez jakobinów na swoich przeciwnikach politycznych. [przypis edytorski]

[123] *Mahomet* (ok. 570–632) — prorok islamu, założyciel pierwszej wspólnoty muzułmańskiej, przeobrażonej w teokratyczne państwo religijne. [przypis edytorski]

— Równości! — zawołała markiza. — Napoleon uosobieniem równości! A cóż wobec tego powiesz o panu Robespierze[124]? Zdaje mi się, że kradniesz mu pan pierwszeństwo, przyznając to Korsykaninowi[125], który przecież i tak sobie dużo przywłaszczył?

— Nie, pani markizo, zostawiam każdego z nich na właściwym mu piedestale: Robespierre'a na szafocie[126] zbudowanym na placu Ludwika XV[127], Napoleona na kolumnie, na placu Vendôme[128]; jeden stworzył równość, która poniża, drugi równość, która wywyższa; jeden sprowadził królów do poziomu gilotyny, a drugi wyniósł lud aż na tron. To jednak nie przeszkadza — dodał Villefort, śmiejąc się — aby obaj nie byli nikczemnymi rewolucjonistami i aby 9 termidora oraz 4 kwietnia 1814[129] roku nie były dla Francji dniami świętymi, godnymi, aby zwolennicy porządku i monarchii obchodzili ich rocznicę jednakowo uroczyście. Ale tłumaczy też, dlaczego Napoleon, choć upadł, aby — jak się spodziewam — nigdy się już nie podnieść, posiada nadal stronników. Cóż robić, pani markizo? Cromwell[130], który nie miał nawet połowy geniuszu Napoleona, miał także swoich zwolenników.

— Wie pan co, panie de Villefort, wszystko, coś powiedział, na milę[131] trąci rewolucją. Przebaczam to jednak panu, trudno, aby syn żyrondysty[132] pozbył się całkowicie ojcowskich wad.

Mocny rumieniec wystąpił na twarz pana de Villeforta.

— Prawda, że mój ojciec był żyrondystą, ale mój ojciec nie głosował za śmiercią króla, był skazany na wygnanie za tego samego terroru, kiedy i państwo byli wygnani z kraju, i niewiele brakowało, aby głowa jego spadła na tym samym szafocie, na którym postradał życie ojciec pani.

— Tak — rzekła markiza, a to straszliwe wspomnienie nic nie zmieniło w spokojnym wyrazie jej twarzy. — Ale cierpieli oni za zupełnie odmienne poglądy polityczne, czego dowodem jest to, że cała moja rodzina dochowała wierności wygnanym książętom, a pański ojciec pospieszył co prędzej z hołdem dla nowego rządu; gdy obywatel Noirtier był żyrondystą, hrabia Noirtier został senatorem.

— Mamo, mamo — rzekła Renata — przecież postanowiliśmy nie wracać już do tych okropnych wspomnień.

Przodkowie, Dziedzictwo, Hańba

— Łaskawa pani — dodał Villefort — dołączę moje prośby do próśb panny de Saint-Méran, abyś raczyła puścić w niepamięć moją przeszłość. Po cóż obwiniać się o rzeczy, wobec których sam Bóg jest bezsilny? Bóg może rządzić przyszłością, nie może jednak zmienić przeszłości. I cóż nam, zwykłym ludziom, pozostaje? Możemy się wyprzeć przeszłości lub przynajmniej rzucić na nią zasłonę. Co do mnie, nie tylko wyznaję inne zasady od mego ojca, ale nawet noszę już inne nazwisko. Mój ojciec był, a może i dotąd jest bonapartystą i nazywa się Noirtier, ja zaś jestem rojalistą i nazywam się Villefort. Proszę pozwolić, aby resztki rewolucyjnych soków zginęły w tym spróchniałym pniu; niech pani

[124] *Robespierre, Maximilien de* (1758–1794) — jeden z przywódców Rewolucji Francuskiej, czołowa postać klubu jakobinów; Robespierre'a zwykło się uznawać za symbol krwawego terroru i dyktatury rewolucyjnej; słynął z niezwykłej uczciwości (dzięki czemu zyskał przydomek Nieprzekupnego) oraz ze skrajnego ograniczania własnych potrzeb. [przypis edytorski]

[125] *Korsykanin* — tu: o Napoleonie, który urodził się na Korsyce. [przypis edytorski]

[126] *szafot* — drewniane podwyższenie, służące do ścinania więźniów. [przypis edytorski]

[127] *Plac de la Concorde* — plac w Paryżu nazwany pierwotnie Placem Ludwika XV na cześć wzniesionego na nim pomnika króla. Podczas rewolucji francuskiej statua ta została usunięta, a zamiast niej ustawiono gilotynę, przy pomocy której dokonano egzekucji na Ludwiku XVI i Marii Antoninie. [przypis edytorski]

[128] *plac Vendôme* — plac w Paryżu, na którym wzniesiono kolumnę z pomnikiem Napoleona na pamiątkę zwycięstwa w bitwie pod Austerlitz. [przypis edytorski]

[129] *9 termidora oraz 4 kwietnia 1814* — 9 termidora (tj. 27 lipca 1794 r.) w wyniku przewrotu odsunięto od rządów Maksymiliana Robespierre'a i jego zwolenników; 4 kwietnia 1814 r. abdykował Napoleon Bonaparte. [przypis edytorski]

[130] *Cromwell, Olivier* (1599–1658) — polityk ang., główna postać angielskiej wojny domowej (1642–1651, zw. też rewolucją angielską), rozgromił siły rojalistów, stłumił powstanie w Szkocji oraz krwawo ujarzmił Irlandię; doprowadził do postawienia przed Najwyższym Trybunałem Sądowym króla Karola I Stuarta, który został publicznie ścięty, co oznaczało obalenie monarchii i ustanowienie republiki w Anglii; od 1653 jako lord protektor sprawował dyktatorskie rządy. [przypis edytorski]

[131] *mila* — jednostka odległości: 1 mila lądowa to 1,609344 km. [przypis edytorski]

[132] *żyrondysta* — osoba należąca do ugrupowania politycznego, założonego w czasach rewolucji francuskiej 1789–1799. Zwolennik monarchii konstytucyjnej. W 1793 r. ugrupowanie zostało obalone przez jakobinów. [przypis edytorski]

spogląda tylko na gałązkę owego pnia, która odchyla się od pnia, nie mogąc, a powiem nawet: nie chcąc się od niego całkowicie oderwać.

— Brawo, Villefort, brawo — rzekł markiz. — Świetnieś rzekł. Ileż razy błagałem żonę, aby zapomniała o przeszłości — i zawsze bez skutku. Mam nadzieję, że będziesz miał pan więcej szczęścia.

— Dobrze — rzekła markiza — zapomnijmy o przeszłości, niczego więcej nie żądam. Pragnę tylko, aby w przyszłości pan de Villefort okazał się nieugięty. Niech pan nie zapomina, że odpowiadamy za pana przed Jego Królewską Mością i Najjaśniejszy Pan za naszym wstawiennictwem raczył zapomnieć — (w tym miejscu wyciągnęła do Villeforta rękę) — tak ja zapomnę na pańską prośbę. Ale pamiętaj, jeśli wpadnie ci w ręce jaki spiskowiec, że zwróconych jest na ciebie wiele bacznych oczu, należysz bowiem do rodziny, która może utrzymywać jakieś stosunki z konspiratorami.

— Niestety, droga pani — odrzekł Villefort — mój urząd, a szczególnie czasy, w których żyjemy, nakazują mi surowość. Muszę być surowy. Kilkakrotnie oskarżałem już w sprawach politycznych i dowiodłem pod tym względem mej nieskazitelności. Na nieszczęście to jeszcze nie koniec.

— Tak pan sądzi? — zdziwiła się markiza.

— Obawiam się. Napoleon, osadzony na Elbie, ma blisko do Francji; jego obecność niemal widoczna z naszych brzegów podtrzymuje nadzieje jego stronników. W samej Marsylii jest mnóstwo oficerów na przymusowej emeryturze, którzy codziennie szukają pretekstu do zwady z rojalistami; stąd biorą się pojedynki pomiędzy ludźmi z wyższych klas, stąd morderstwa popełniane przez ludzi z gminu.

— Ale, ale — odezwał się hrabia de Salvieux, stary przyjaciel markiza de Saint-Méra-na i szambelan[133] hrabiego d'Artois. — Czy wiecie, że Święte Przymierze[134] postanowiło go przenieść?

— A tak. Była o tym mowa, kiedyśmy wyjeżdżali z Paryża — rzekł pan de Saint--Méran. — A gdzie chcą go wysłać?

— Na Świętą Helenę[135].

— Na Świętą Helenę! Cóż to takiego? — zapytała markiza.

— Wyspa oddalona o dwa tysiące mil, na południe od równika — odpowiedział hrabia.

— Bogu dzięki! To była wielka niedorzeczność, jak powiada Villefort, zostawiać takiego człowieka pomiędzy Korsyką, gdzie się urodził, i Neapolem, gdzie dotąd panuje jego szwagier[136], poza tym w takiej bliskości Włoch, które miały zostać królestwem jego syna[137]!

— Niestety — rzekł Villefort. — Istnieje traktat z 1814 roku i nie wolno tknąć Napoleona, nie złamawszy jego zasad.

— No to się je złamie — rzekł pan de Salvieux. — Czy Napoleon myślał o zasadach, kiedy kazał rozstrzelać księcia d'Enghien[138]?

— No — odezwała się markiza — to postanowione, Święte Przymierze uwolni Europę od Napoleona, a Villefort Marsylię od jego stronników. Król panuje albo nie, a jeśli panuje, to rządy jego powinny być silne, a urzędnicy nieugięci, to jedyny sposób, aby przeciwdziałać złu.

Sprawiedliwość, Władza, Zemsta

— Niestety — rzekł, uśmiechając się, Villefort. — Zastępca prokuratora królewskiego wzywany jest zawsze wtedy, gdy zło już się stało.

— Powinien je więc naprawić.

---

[133] *szambelan* (z fr. *chambellan*) — wysoki urzędnik dworski. [przypis edytorski]

[134] *Święte Przymierze* — sojusz pomiędzy Austrią, Prusami i Rosją zawarty po zakończeniu wojen napoleońskich; celem Świętego Przymierza było zwalczanie liberalizmu i rewolucji. [przypis edytorski]

[135] *Święta Helena* — wyspa leżąca na Oceanie Atlantyckim, oddalona o 1900 m od płd.-wsch. wybrzeża Afryki. [przypis edytorski]

[136] *jego (Napoleona) szwagier* — chodzi o Joachima Murata (1767–1815), który poślubił najmłodszą siostrę Napoleona. [przypis edytorski]

[137] *jego (Napoleona) syn* — chodzi o Napoleona II (1811–1832), jedynego prawowitego syna Napoleona I; jego matką była Maria Ludwika (1791–1847). [przypis edytorski]

[138] *książę d'Enghien*, właśc. *Ludwik de Bourbon-Condé* (1772–1804) — arystokrata pochodzący z rodu Kondeuszy; po wybuchu rewolucji francuskiej uciekł z kraju razem z dziadkiem, Ludwikiem Józefem, i stanął na czele Armii Kondeusza; na rozkaz Napoleona został porwany i rozstrzelany. [przypis edytorski]

— Mogę odpowiedzieć pani markizie otwarcie, że my nie naprawiamy zła, ale je mścimy i nic więcej.

— Ach! Panie de Villefort — wtrąciła młoda dziewczyna, córka hrabiego de Salvieux i przyjaciółka panny de Saint-Méran. — Zaproś nas pan na jakiś zajmujący proces, póki jesteśmy w Marsylii. Nie byłam jeszcze nigdy w sądzie, a mówią, że to bardzo ciekawe.

Sąd, Theatrum mundi

— Rzeczywiście, bardzo ciekawe — zgodził się Villefort — bo zamiast sztucznej tragedii, jak na deskach sceny, widzimy dramat prawdziwy; zamiast odgrywanego cierpienia, widzimy rozpacz rzeczywistą. Gdy tam zapadnie kurtyna, człowiek, którego widzieliśmy na scenie, powraca do domu i spożywa spokojnie obiad w gronie rodziny, po czym kładzie się spokojnie spać, aby następnego dnia znów występować. Tymczasem tutaj taki człowiek idzie do więzienia, gdzie czeka na niego kat. Widzisz więc, pani, że dla osób nerwowych, szukających mocnych wrażeń, nic nie równa się z takim widowiskiem. Zapewniam, że jak tylko zdarzy się okazja, nie omieszkam pani zaprosić.

— On nas przejmuje zgrozą... a sam się zaśmiewa — rzekła Renata, pobladłszy zupełnie.

Sąd, Pojedynek

— Co robić!... — odpowiedział Villefort. — To pojedynek... Już kilka razy żądałem kary śmierci dla politycznych przestępców i innych zbrodniarzy... I teraz, kto wie, ile sztyletów ostrzy się na mnie gdzieś w ciemności, a ile już we mnie wymierzono?

— Ach, mój Boże! — rzekła Renata, coraz bardziej posępna. — Czy pan mówi poważnie, panie de Villefort?

— Najzupełniej — odrzekł młody urzędnik z uśmiechem na ustach. — A takie piękne procesy, których tak pożąda panna de Salvieux dla czystej ciekawości, a ja po to, by zadośćuczynić mojej ambicji, pogorszą tylko moje położenie. Czyż ci żołnierze napoleońscy, którzy przywykli rzucać się na oślep w bój, będą się wahać dłużej nad zabiciem człowieka, którego mają za osobistego wroga, niżby się zawahali, uśmiercając Rosjanina, Austriaka czy Węgra, którego nigdy wcześniej nie widzieli? Zresztą to konieczne, bez tych niebezpieczeństw nasz zawód nie miałby zasługi. Ja sam, kiedy widzę w oku oskarżonego iskrzącą się wściekłość, czuję w sobie wzrastającą odwagę i zapał; to już nie proces, to walka! Nacieram na niego, on odpiera natarcia, podwajam atak i walka kończy się jak każda inna, zwycięstwem lub porażką. Oto jest zawód prawnika! Niebezpieczeństwo budzi w nas umiejętność wymowy. Gdyby jakiś oskarżony uśmiechnął się po mojej replice[139], byłbym przekonany, że źle mówiłem; że to, co powiedziałem, było słabe, mierne i niewystarczające. Pomyśl pani, jakiego uczucia dumy doświadcza prokurator królewski przekonany o winie oskarżonego, gdy winowajca blednie i drży pod ciężarem dowodów i ciosami elokwencji! Głowa jego pochyla się, aż w końcu spadnie...

Renata wydała lekki okrzyk.

— Oto prawdziwy mówca — rzekł jeden z biesiadników.

— Takich nam teraz trzeba ludzi — dodał drugi.

— Toteż — wtrącił trzeci — podczas ostatniego procesu, byłeś pan wspaniały. Wiesz pan, ten co zabił własnego ojca; zabiłeś go pan słowami, nim dotknął go kat.

— O, ojcobójcy niewiele mnie obchodzą, nie znam kary godnej takiego występku, ale ci nieszczęśliwi więźniowie polityczni...

— Ale tacy są jeszcze gorsi, Renato, gdyż król jest ojcem narodu, chcieć więc obalić lub zabić króla, znaczy chcieć zabić ojca trzydziestu milionów ludzi.

— Dajmy temu pokój, panie de Villefort — rzekła Renata. — Przyrzeknie mi pan pobłażliwość dla tych, za którymi przemówię?

— Dobrze, pani — rzekł Villefort z czarującym uśmiechem — razem będziemy sporządzać wnioski.

Mizoginia, Pozycja społeczna, Polityka, Władza

— Moja droga — rzekła markiza — zajmuj się swoimi ptaszkami, spanielami i szmatkami, a nie mieszaj się do spraw urzędowych swojego przyszłego męża. Dziś broń odpoczywa, a decyduje toga[140], jest takie przysłowie łacińskie, w którym zawiera się głęboka myśl.

[139] *replika* — tu: odpowiedź na stawiane przez kogoś zarzuty. [przypis edytorski]

[140] *toga* — wierzchnie okrycie noszone przez starож. Rzymian; symbol rzym. obywatelstwa i władzy politycznej. [przypis edytorski]

— *Cedant arma togae*[141] — rzekł skłoniwszy się Villefort.

— Nie śmiałam odezwać się po łacinie — odpowiedziała markiza.

— Wolałabym, żebyś pan był lekarzem — odezwała się Renata. — Anioł śmierci, nawet jeśli jest aniołem, zawsze napełniał mnie trwogą.

— Moja kochana! — szepnął Villefort, obejmując dziewczynę rozkochanym spojrzeniem.

— Moja córko — rzekł markiz — pan de Villefort będzie dla tej prowincji lekarzem zarówno pod względem moralnym, jak i politycznym; wierz mi, że to piękna rola.

— I będzie mógł w ten sposób wymazać z pamięci ludzkiej rolę, jaką odegrał jego ojciec — dodała niepoprawna markiza.

— Pani — rzekł Villefort i smutny uśmiech pojawił się na jego twarzy — już miałem zaszczyt oświadczyć pani, że mój ojciec, jak sądzę, wyrzekł się błędów przeszłości i że jest dziś gorliwym sługą religii i porządku, lepszym może ode mnie rojalistą, gdyż powoduje nim skrucha, a mną tylko umiłowanie zasad.

I po tym zgrabnym frazesie Villefort potoczył wzrokiem po biesiadnikach, aby wybadać, jakie wrażenie sprawiła na obecnych jego elokwencja; w podobny sposób rozejrzałby się po audytorium, rzuciwszy zza stołu w sądzie trafną replikę.

— Otóż to, mój drogi Villeforcie — zawołał hrabia de Salvieux. — Tak właśnie powiedziałem wczoraj marszałkowi dworu w Tuileriach, kiedy mnie spytał o ten dziwny związek syna żyrondysty z córką emigranta i oficera armii Kondeusza; i marszałek zrozumiał to doskonale. Takie mariaże[142] zgadzają się wybornie ze sposobem rządzenia Ludwika XVIII. A król przerwał nam właśnie wtedy (choć nawet nie przypuszczaliśmy, że słuchał naszej rozmowy), mówiąc: „Villefort — proszę zwrócić uwagę, że nie nazwał go wcale Noirtier, ale przeciwnie, kładł nacisk na nazwisko Villefort — wysoko zajdzie. To człowiek młody, ale już dojrzały i należy do moich ludzi. Z przyjemnością dowiedziałem się, że państwo de Saint-Méranowie przyjmują go na zięcia i sam nawet doradziłbym im ten związek, gdyby pierwsi nie zwrócili się do mnie, prosząc o pozwolenie".

— Król tak powiedział, hrabio? — zawołał uradowany Villefort.

— Powtarzam ci jego własne słowa i jeśli markiz zechce mówić szczerze, przyzna, że to, co tu panu mówię, zgadza się najzupełniej z tym, co król rzekł do niego samego pół roku temu, kiedy mówił mu o projekcie tego małżeństwa.

— To prawda — rzekł markiz.

— A więc wszystko będę zawdzięczał temu szlachetnemu monarsze! Czegóż bym dla niego nie poświęcił, aby mu służyć?

— Brawo — rzekła markiza. — Kocham cię czule, mój panie, skoro tak mówisz. Niech się tylko pokaże jakiś spiskowiec, a dobrze go przyjmiesz.

— A ja, droga mamo — rzekła Renata — proszę Boga, aby cię nie wysłuchał i aby pan de Villefort miał do czynienia tylko ze złodziejaszkami, małymi bankrutami i bojaźliwymi oszustami, tylko wtedy będę mogła zasnąć spokojnie.

— To tak, jakbyś pani życzyła lekarzowi — rzekł uśmiechając się Villefort — aby spotykał tylko pacjentów z migreną, odrą i pokąsanych przez osy, czyli tylko takie choroby, które dotykają naskórka. Jeśli chcesz mnie kiedyś widzieć prokuratorem królewskim, powinnaś mi przecież życzyć najstraszliwszych chorób, takich, których wyleczenie przynosi sławę.

W tejże chwili, jakby przypadek oczekiwał tylko okazji, aby spełnić życzenia sądownika, wszedł lokaj i szepnął Villefortowi na ucho kilka słów. Villefort odszedł od stołu, przepraszając obecnych, i w kilka chwil potem powrócił, uśmiechnięty, z rozjaśnioną twarzą.

Renata spojrzała nań z miłością, bo też był to naprawdę piękny i wytworny młodzieniec: miał niebieskie oczy, matową płeć[143], twarz okalały mu czarne faworyty[144]. Dziewczyna z całą uwagą i natężeniem przylgnęła wzrokiem do ust narzeczonego, pragnąc poznać przyczynę jego nagłego odejścia.

---

[141] *cedant arma togae* (łac.) — niech oręż ustąpi przed togą (Cyceron, *O powinnościach* I 77); tzn. niech władza wojskowa ustąpi przed cywilną. [przypis edytorski]

[142] *mariaż* (daw., z fr.) — związek, małżeństwo. [przypis edytorski]

[143] *płeć* (daw.) — cera, kolor skóry. [przypis edytorski]

[144] *faworyty* — bokobrody. [przypis edytorski]

— I cóż, pani — odezwał się Villefort — chciałaś przed chwilą być żoną lekarza. Otóż moje obowiązki w istocie przypominają obowiązki elewów Eskulapa[145] — (w 1815 r. jeszcze tak mówiono) — że nie mogę rozporządzać moim czasem: przeszkadzają mi nawet w chwili, kiedy jestem przy pani, nawet w czasie zaręczyn.

— I dlaczegóż panu przeszkadzają? — zapytało piękne dziewczę z lekkim odcieniem niepokoju w głosie.

— Niestety! Wołają mnie do chorego, a ów chory, jeśli mam wierzyć temu, co mi powiedziano, jest bliski śmierci. To ciężki przypadek i pacjent może skończyć na rusztowaniu[146].

— Ach, Boże wielki! — krzyknęła Renata, blednąc okropnie.

— Coś podobnego! — zawołali goście.

— Zdaje się, że po prostu odkryto jakiś bonapartystowski spisek.

— Doprawdy? — zdziwiła się markiza.

— Oto list z denuncjacją.

I Villefort przeczytał:

> Wierny poddany tronu i religii zawiadamia panu prokuratorowi królewskiemu, że niejaki Edmund Dantès, oficer ze statku „Faraon", przybyły w dniu dzisiejszym ze Smyrny, zawitawszy po drodze do Neapolu i Portoferraio, otrzymał list od Murata do uzurpatora i od uzurpatora do stronnictwa bonapartystowskiego w Paryżu.
>
> Można przekonać się o Dantèsa występku po aresztowaniu go, jako że list ów znajduje się albo przy nim, albo u jego ojca, albo w jego pokoiku na statku „Faraon".

— Ale list ten — zaprotestowała Renata — jest tylko anonimem i zresztą adresowany do prokuratora królewskiego, nie zaś do pana.

— Tak, ale prokurator królewski wyjechał, i list ten doręczono jego sekretarzowi, który ma pełnomocnictwo otwierania listów. Otworzył i ten, a potem posłał po mnie; nie znalazłszy mnie w domu, wydał nakaz aresztowania.

— Tym sposobem winowajca siedzi już w areszcie? — rzekła markiza.

— Oskarżony, mamo — sprostowała Renata.

— Tak — rzekł Villefort — i jak miałem zaszczyt oświadczyć pani przed chwilą, jeżeli list, o którym tu mowa, się znajdzie, pacjent jest doprawdy w ostatnim stadium.

— A gdzież jest ten nieszczęśliwy? — zapytała Renata.

— Czeka u mnie.

— Idź, drogi przyjacielu — rzekł markiz. — Nie opuszczaj dla nas obowiązków, tym bardziej gdy cię wzywa służba dla króla. Idź więc, gdzie cię wzywają obowiązki urzędu.

— Ach, panie Villefort — rzekła Renata, składając ręce. — Bądź pan wyrozumiały, to dzień naszych zaręczyn.

Villefort obszedł stół, zbliżył się do krzesła narzeczonej i oparłszy się na poręczy, rzekł:

— Zaręczam, że będę robił wszystko, co tylko można, droga Renato, aby oszczędzić ci troski; jeżeli jednak poszlaki okażą się pewne, a oskarżenie słuszne, trzeba będzie ściąć ten napoleoński chwast.

Na ten wyraz „ściąć" Renata zadrżała, gdyż ów chwast, który należało wyplenić, posiadał ludzką głowę.

— Ejże, panie Villefort, nie słuchaj tego dzieciaka — wtrąciła markiza — ona to kiedyś zrozumie.

To mówiąc, markiza podała panu Villefortowi do pocałunku szczupłą rękę, którą podniósł do ust, spoglądając w tejże chwili na Renatę, jakby mówił:

— To twoją dłoń całuję, a przynajmniej pragnąłbym ucałować.

— Smutna to wróżba! — szepnęła Renata.

— Moja panno — rzekła markiza — jesteś rozpaczliwie dziecinna. Powiedz mi, proszę, jaki mogą mieć związek losy kraju z twoimi sentymentalnymi kaprysami i czułostkami?

---

[145] *elew Eskulapa* — student (z fr. *élève*: uczeń) medycyny, czyli dziedziny, nad którą pieczę sprawował bóg Eskulap (rzym. odpowiednik Asklepiosa). [przypis edytorski]

[146] *rusztowanie* — tu: szubienica. [przypis edytorski]

— Ach, mamo! — szepnęła Renata.

— Proszę o łaskę, pani markizo, dla swojej niewdzięcznej rojalistki — rzekł Villefort. — Przyrzekam, że spełnię sumiennie obowiązki zastępcy prokuratora królewskiego: będę surowy i bezlitosny.

A gdy sądownik zwracał się w te słowa do markizy, narzeczony ukradkiem spoglądał na ukochaną i w jego spojrzeniu można było wyczytać:

„Bądź spokojna, Renato, przez miłość do ciebie będę pobłażliwy".

Renata przyjęła to spojrzenie najsłodszym uśmiechem i Villefort wyszedł, czując się tak, jakby zawędrował do samego nieba.

7. PRZESŁUCHANIE

Zaledwie Villefort opuścił salę biesiadną, zdjął maskę wesołości a przybrał pełen powagi wyraz, właściwy dla człowieka powołanego do tego najwyższego obowiązku, jakim jest wyrokowanie o życiu lub śmierci bliźniego. Mimo jednak ruchliwości fizjonomii[147] Villeforta, który opanował tę sztukę, ćwicząc godzinami przed lustrem, jak to czynią aktorzy, tym razem musiał zadać sobie sporo trudu, by zmarszczyć brwi i nasępić czoło. I w rzeczy samej, pomijając pamięć o wyborach politycznych własnego ojca, Gerard de Villefort był w tej chwili tak szczęśliwy, jak tylko człowiek być może. Posiadał swój własny majątek, w dwudziestym siódmym zaledwie roku życia piastował wysoki urząd w sądownictwie, a teraz miał poślubić młodą i piękną dziewczynę, którą kochał — nawet jeśli nie była to wielka namiętność, a uczucie wyrozumowane, takie właśnie, jakie wypadało żywić zastępcy prokuratora do przyszłej małżonki — a co więcej, jego przyszła żona, panna de Saint-Méran, dziewczyna niezwykłej urody, pochodziła z rodziny jak najlepiej widzianej u dworu. Na koniec, narzeczona, jedyne dziecię swoich rodziców, którzy swych rozległych wpływów użyją z pewnością na korzyść zięcia, wnosiła mężowi w posagu pięćdziesiąt tysięcy dukatów[148]; posag ten, dzięki „nadziejom na spadek" — jeśli zacytować okropną formułę używaną przez zawodowych swatów[149] — mógł powiększyć się kiedyś o dodatkowe pół miliona. Wszystko to tworzyło dla Villeforta jedną całość, oślepiającą wizję wspaniałego szczęścia, tak że zapatrzony we własne świetne życie, prędzej dostrzegłby plamy na słońcu.

U drzwi czekał na niego komisarz policji. Widok tego człowieka odzianego w czerń strącił go od razu z siódmego nieba na ziemię; przybrał więc stosowny wyraz twarzy i zbliżył się do urzędnika sprawiedliwości.

— Oto jestem — rzekł doń. — Czytałem list; dobrześ pan zrobił, aresztując tego człowieka, teraz proszę mi udzielić wszelkich szczegółów, jakie zebrałeś pan o oskarżonym i o spisku.

— O spisku nic jeszcze nie wiemy. Wszystkie papiery, któreśmy znaleźli u niego, złożyliśmy w jedną paczkę, opieczętowaliśmy i jest już ona w pańskiej kancelarii. Co się tyczy aresztowanego, jest to, jak się pan już dowiedział z denuncjacji, niejaki Edmund Dantès, porucznik[150] trójmasztowca „Faraon", handlującego bawełną z Aleksandrią i Smyrną, który jest własnością firmy Morrel i Syn z Marsylii.

— Czy, nim wstąpił do marynarki handlowej, nie służył przypadkiem w marynarce wojennej? — zapytał Villefort.

— O nie, panie prokuratorze, to bardzo młody człowiek.

— W jakim wieku?

— Dziewiętnaście, może dwadzieścia lat.

Gdy Villefort dotarł do skrzyżowania ulicy Głównej i Sądowej, zaczepił go jakiś człowiek, który zdawał się czekać tu na jego spotkanie. Był to Morrel.

— Ach, panie de Villefort — zawołał ten zacny kupiec, spostrzegając podprokuratora. — Rad jestem bardzo, że pana tu spotykam. Wyobraź pan sobie, jaką pomyłkę popełniono, pomyłkę dziwaczną i niesłychaną: aresztowano zastępcę kapitana mego statku, niejakiego Edmunda Dantesa.

[147] *fizjonomia* (daw.) — twarz, wygląd. [przypis edytorski]

[148] *dukat* — złota moneta używana w Europie do XIX w. [przypis edytorski]

[149] *swat* — pośrednik w zawieraniu małżeństwa, osoba starająca się o rękę kobiety w czyimś imieniu. [przypis edytorski]

[150] *porucznik* — stopień w marynarce niższy od stopnia kapitana. [przypis edytorski]

— Wiem o tym — rzekł Villefort. — Właśnie idę do domu na indagację[151].

— Ach, panie prokuratorze — ciągnął pan Morrel, a słowa podpowiadała mu przyjaźń do młodzieńca. — Nie zna pan tego, którego oskarżają, a ja go znam doskonale. Niech pan wierzy, że to człowiek najspokojniejszy, uczciwy jak mało kto i śmiem sądzić, najlepszy pod słońcem marynarz. Ach, panie Villefort, polecam go panu najszczerzej i z całego serca.

Villefort, jak to już widzieliśmy, należał do marsylskiej szlachty, Morrel zaś do plebsu; pierwszy był zapalonym rojalistą, drugiego posądzano o sympatie do bonapartyzmu. Villefort spojrzał pogardliwie na pana Morrela i odrzekł ozięble:

— Wiesz pan zapewne, że można być spokojnym i cichym w życiu prywatnym, uczciwym w stosunkach handlowych i znać świetnie swój zawód, a jednocześnie być wielkim przestępcą politycznym; wszak zdajesz pan sobie z tego sprawę, nieprawdaż?

Urzędnik ostatnie te słowa wymówił z naciskiem, jakby je chciał zastosować do samego kupca, i jednocześnie zapuścił badawczy wzrok w głąb serca tego zuchwalca, który ośmielał się występować w czyjejś obronie, podczas gdy powinien wiedzieć, że sam potrzebuje pobłażliwości władz.

Morrel zarumienił się, albowiem pod względem politycznym jego sumienie nie było zupełnie czyste; ponadto relacja Dantesa z wizyty z marszałkiem i z rozmowy z cesarzem zakłócała mu nieco spokój ducha, mimo to dodał z wyrazem największego przejęcia:

— Błagam, panie Villefort, bądź pan sprawiedliwy, jak być powinieneś, dobry jak zawsze jesteś i zwróć nam co prędzej tego biednego chłopca.

To „zwróć nam" zabrzmiało rewolucyjnym dźwiękiem w uchu prokuratora królewskiego.

„Hm... — szepnął do siebie. — Czyżby ten Dantès miał należeć do jakiejś loży karbonaryjskiej[152], kiedy jego protektor używa tak machinalnie liczby mnogiej? Zdaje mi się, że komisarz mi mówił, iż aresztowano go w jakiejś karczmie, w licznym towarzystwie; coś w tym musi być".

Po czym rzekł głośno:

— Możesz pan być zupełnie spokojny, nie na próżno odwołałeś się do mojej sprawiedliwości, byle tylko oskarżony był niewinny; ale jeżeli jest winny — wiesz pan, w jak trudnej epoce żyjemy, pobłażliwość mogłaby stać się fatalnym przykładem; w takim przypadku będę więc zmuszony spełnić mój obowiązek.

To powiedziawszy, Villefort zatrzymał się u drzwi swojego domu, który przylegał do sądu, i pożegnawszy pana Morrela z zimną grzecznością, wszedł majestatycznym krokiem do środka. Nieszczęśliwy kupiec został na miejscu jak skamieniały.

Przedpokój był wypełniony żandarmami[153] i policjantami. Pośród nich, pilnie strzeżony, stał spokojnie i nieruchomo więzień, nie bacząc na pełne nienawiści spojrzenia żandarmów. Villefort, mijając przedpokój, zerknął z ukosa na Dantèsa. Odbierając paczkę papierów, które mu wręczył policjant, zniknął za drzwiami, mówiąc:

— Niech tu przyprowadzą więźnia.

Choć szybkie, to jedyne spojrzenie pozwoliło Villefortowi na wyrobienie sobie opinii o człowieku, którego miał właśnie przesłuchiwać: w otwartym i szerokim czole przejawiała się inteligencja, w stanowczym wyrazie oczu i zmarszczonych brwiach — odwaga, a lekko rozchylone usta, spoza których lśniły zęby białe jak kość słoniowa, świadczyły o szczerości. Pierwsze zatem wrażenie, jakie odniósł Villefort, było korzystne dla Dantèsa. Ale Villefortowi zbyt często powtarzano, że nie można iść za pierwszym odruchem, jeżeli oczywiście był to odruch sympatii, stłumił więc owe przychylne instynkty, które zawładnęły sercem, chcąc stamtąd przypuścić szturm na rozsądek. Spojrzał w lustro i przybrał surowy wyraz twarzy, po czym — groźny i ponury — zasiadł za biurkiem.

Sprawiedliwość, Sędzia, Wzrok

Po chwili wszedł Dantès.

Był blady, ale spokojny i uśmiechnięty. Skłonił się sądownikowi uprzejmie, a zarazem swobodnie i powiódł wzrokiem za wolnym krzesłem, jakby się znajdował w salonie pana Morrela. Wówczas dopiero natknął się na zimne spojrzenie Villeforta, zwykłe spojrzenie

[151] *indagacja* (z łac. *indagatio*) — przesłuchanie. [przypis edytorski]

[152] *loża karbonaryjska* a. *karbonariusze*— tajne stowarzyszenia rewolucyjne, skierowane przeciwko absolutyzmowi, założone we Włoszech, działające w Europie w 1. poł. XIX w. [przypis edytorski]

[153] *żandarm* (z fr. *gendarme*) — funkcjonariusz policji wojskowej. [przypis edytorski]

sędziów, którzy nie chcąc, by odgadywano ich myśli, nadają swemu oku wygląd matowego szkła. Ten wzrok przypomniał mu, iż się znajduje przed obliczem sprawiedliwości — pani zimnej i niewzruszonej.

— Kto pan jesteś i jak się nazywasz? — zapytał Villefort, wertując wręczone mu przez policjanta papiery, które w ciągu jednej godziny rozrosły się w plik znacznej grubości.

— Nazywam się Edmund Dantès — odpowiedział dźwięcznym i spokojnym głosem młodzieniec. — Jestem zastępcą kapitana na statku „Faraon" należącego do firmy Morrel i Syn.

— Pański wiek? — pytał dalej Villefort.

— Dziewiętnaście lat.

— Co pan robił w chwili, kiedy cię aresztowano?

— Byłem na moich własnych zaręczynach — rzekł Dantès głosem zdradzającym wzruszenie. Jakże bowiem bolesny był kontrast tych chwil wesela i radości z posępną ceremonią, która się teraz dokonywała, a ponure oblicze Villeforta sprawiało, że promieniejąca twarz Mercedes tym jaśniejszym biła blaskiem!

— Byłeś pan na swoich zaręczynach? — spytał podprokurator, zadrżawszy mimowolnie.

— Tak, panie; mam właśnie ożenić się z dziewczyną, którą kocham od lat trzech.

Choć Villefort zazwyczaj nie dawał do siebie dostępu cieplejszym uczuciom, zaskoczył go ten szczególny zbieg okoliczności, a wzruszony głos Dantèsa, którego pojmano w tak radosnej chwili, obudził w głębi jego duszy współczucie dla obwinionego. Wszak i on miał się żenić, i on jest szczęśliwy, i zakłócono mu szczęście właśnie po to, aby zniszczył radość człowieka, który tak samo już miał swoje szczęście uchwycić! „Ta filozoficzna wręcz analogia — pomyślał — sprawi wielkie wrażenie, kiedy o niej opowiem, wróciwszy do salonu państwa de Saint-Méranów". I kiedy Dantès oczekiwał dalszych zapytań, Villefort układał sobie w myśli szereg paradoksów, wyrażeń, za pomocą których mówcy budują owe efektowne frazesy, które zawsze zyskują aplauz, a czasem każą nam wierzyć w oratorski talent mówcy.

Gdy już był gotowy ów krótki *speech*[154], Villefort uśmiechnął się do siebie, myśląc o wrażeniu, jakie sprawi wśród słuchaczy, i zwrócił się do Dantèsa:

— Mów pan dalej.

— Co mam mówić?

— Udzielić sądowi wyjaśnień.

— Raczej niech sąd raczy mi wskazać, jakich wyjaśnień ode mnie żąda, a ja powiem wszystko, co wiem. Jednak uprzedzam — dorzucił z uśmiechem — że nie wiem zbyt wiele.

— Czy służyłeś pan w armii uzurpatora?

— Miałem właśnie być wcielony do marynarki wojennej, kiedy nastąpił jego upadek.

— Mówią, że masz pan skrajne poglądy polityczne — rzekł Villefort, chociaż mu nikt nie szepnął ani słowa na ten temat; ale lubił układać pytania tak, jakby miały być już oskarżeniem.

— Moje poglądy polityczne... Niestety! Wstyd mi wyznać, ale nie miałem nigdy żadnych przekonań. Mam dopiero dziewiętnaście lat, jak już miałem zaszczyt panu oświadczyć; umiem niewiele, los nie wyznaczył mi żadnej ważnej roli; wszystko, czym jestem i czym mogę zostać, jeśli otrzymam upragnione stanowisko, zawdzięczam panu Morrelowi. Moje przekonania nie są polityczne, ale prywatne i ograniczają się do trzech uczuć: kocham mego ojca, szanuję pana Morrela i ubóstwiam Mercedes. To wszystko, co mogę wyznać przed sądem. Widzi pan, że to nie bardzo zajmujące dla wymiaru sprawiedliwości.

Przysłuchując się Dantèsowi, Villefort wpatrywał się w jego twarz, tak łagodną i szczerą, i przypominał sobie prośby Renaty, która nie znając przecież obwinionego, chciała dla niego pobłażliwości. Przy doświadczeniu, jakie posiadał już podprokurator królewski, stykając się bezustannie ze zbrodnią i przestępcami, widział on w każdym słowie Dantèsa przekonywujący dowód jego niewinności. W rzeczy samej, młodzieniec ten, niemal jeszcze dziecko, prosty, naturalny, mówiący to, co mu serce dyktuje — a szczerość taka nie przychodzi na zawołanie — serdeczny dla wszystkich, bo szczęśliwy, a szczęście

[154]*speech* (ang.) — mowa, przemówienie. [przypis edytorski]

złych nawet może uczynić dobrymi, udzielał i sędziemu swej łagodności, której miał tyle w sobie. Villefort był dla niego szorstki i surowy — zaś Edmund w każdym spojrzeniu, każdym geście, tonie głosu okazywał mu przyjaźń.

„Na Boga — rzekł do siebie Villefort — to dopiero uroczy chłopak, nie będę miał chyba nawet wiele kłopotu, aby spełniając pierwsze zlecenie, jakie dała mi Renata, zasłużyć u niej na dobre przyjęcie. To mi może przynieść serdeczny uścisk dłoni przy wszystkich, a gorący całus w kąciku".

W tej błogiej nadziei twarz Villeforta przybrała tak radosny wyraz, że kiedy oderwał się od swoich myśli i spojrzał na Dantèsa, Edmund, który śledził każdą zmianę na obliczu sędziego, jął uśmiechać się tak serdecznie, jak sędzia uśmiechał się do siebie.

— Panie Dantès — rzekł Villefort — nie masz pan przypadkiem jakich wrogów?

— Ja, wrogów? — zdumiał się Dantès. — Tak mało na świecie znaczę, że nie mogłem sobie ich do tej pory zdobyć. Wobec zaś moich podwładnych starałem się zawsze łagodzić mój zbyt porywczy charakter. Mam dziesięciu czy dwunastu marynarzy pod rozkazami; racz ich, panie, wybadać, a oni ci powiedzą, że mnie szanują i kochają, nie tyle jak ojca, bom na to za młody, ale jak starszego brata.

— Może, jeśli nie masz pan wrogów, obudziłeś za to niechęć zazdrosnych? Masz zostać kapitanem w dziewiętnastym roku życia, w twoim stanie to ranga bardzo wysoka. Masz się ożenić z piękną panną, która cię kocha, a to jest także rzadko spotykane na ziemi szczęście. Tyle uśmiechów od losu mogło ci narobić zazdrośników.

— Tak, ma pan słuszność; znasz ludzi lepiej niż ja; to możliwe. Ale jeżeli ci zazdrośnicy mieliby przypadkiem się trafić wśród moich przyjaciół, wyznam szczerze, że wolałbym ich nie znać, abym nie musiał zacząć ich nienawidzić.

— Mylisz się pan; każdy powinien rozumieć, co się wokół niego dzieje. Prawdę mówiąc, zdajesz mi się pan tak godnym szacunku młodzieńcem, że odstąpię dla ciebie od zasad wymiaru sprawiedliwości, aby pomóc ci w rozjaśnieniu mroków tej sprawy pokażę ci denuncjację, którą mi przysłano. To właśnie ów list: czy znasz to pismo?

Villefort wyjął list z kieszeni i podał go Dantèsowi. Dantès przeczytał, zachmurzył się i rzekł:

— Nie, panie prokuratorze, nie znam tego pisma, zdaje się, że charakter jest zmieniony, chociaż bardzo śmiało to napisano. Widzę tu wprawną rękę. Jakież to szczęście dla mnie mieć do czynienia z takim jak pan człowiekiem — i wzrokiem pełnym wdzięczności spojrzał na Villeforta. — Ale ten zazdrośnik jest naprawdę moim straszliwym wrogiem.

W błyskawicy, która przemknęła w oczach młodzieńca, kiedy wymawiał te słowa, Villefort mógł dostrzec, ile gwałtownej energii skrywało się pod tą pozorną łagodnością.

— Teraz więc proszę — rzekł podprokurator — odpowiadaj mi pan szczerze, nie jak winowajca sędziemu, lecz jako człowiek rozmawiający z tym, kogo jego los naprawdę obchodzi, ile jest prawdy w tym anonimie?

I rzucił z niesmakiem na biurko list, który Dantès właśnie mu zwrócił.

— Wszystko tu prawdziwe — i nic. Przysięgam na honor marynarza, na miłość moją do Mercedes, na życie ojca mojego, że to, co powiem, jest najczystszą prawdą.

— Mów pan — rzekł głośno Villefort i pomyślał: „Ach, gdyby mogła mnie widzieć Renata; byłaby ze mnie zadowolona i nie nazywałaby mnie już katem".

— A więc, kiedyśmy opuścili Neapol, kapitan Leclère zapadł na zapalenie mózgu, a ponieważ nie mieliśmy lekarza na statku, a kapitan nie chciał zatrzymywać się ani chwili w żadnym porcie, spiesząc się na Elbę, jego stan pogorszył się tak, że pod koniec trzeciego dnia, czując, że zbliża się śmierć, przywołał mnie do siebie. „Mój drogi Edmundzie — rzekł do mnie — przysięgnij mi na honor, że wykonasz, co ci powiem. Idzie tu o rzecz najwyższej wagi". „Przysięgam, kapitanie" — odpowiedziałem. „Dobrze zatem; ponieważ po mojej śmierci dowództwo statku przejdzie na ciebie, każesz zawinąć na Elbę, wylądujesz w Portoferraio, udasz się do wielkiego marszałka i oddasz mu ten list. Być może dadzą ci tam inny list lub jakieś zlecenie, które ja miałbym wykonać. Zlecenie to, Edmundzie, wypełnisz za mnie, a zasługa i cześć spadną na ciebie". „Dobrze, kapitanie, ale być może nie dostanę się tak łatwo do wielkiego marszałka, jak pan myśli". „Wówczas każesz mu oddać ten pierścień, a wszelkie trudności będą usunięte". To mówiąc, oddał mi pierścień. W parę godzin później stracił przytomność, a nazajutrz umarł.

— I co pan następnie uczynił?

— To, co każdy by zrobił, będąc na moim miejscu. Prośba umierającego jest święta, a u marynarzy prośba dowódcy jest rozkazem, który należy wykonać. Kazałem więc wziąć kurs na Elbę, gdzie przybyliśmy następnego dnia. Kazałem wszystkim zostać na pokładzie, a sam zszedłem na ląd. Dzięki pierścieniowi wszystkie drzwi stanęły przede mną otworem. Marszałek przyjął mnie, wypytał względem śmierci kapitana Leclère'a i wręczył mi, jak przewidział kapitan, list, który polecił mi odwieźć osobiście do Paryża. Przyrzekłem, ponieważ w ten sposób mogłem spełnić ostatnią wolę kapitana. Wróciłem na statek i kazałem płynąć do Marsylii, gdzie przybyliśmy wczoraj. Po załatwieniu wszystkich formalności portowych, pobiegłem do narzeczonej, którą znalazłem piękniejszą i bardziej zakochaną niż kiedykolwiek. Dzięki panu Morrelowi ominęliśmy część formalności kościelnych; po czym, jak to już panu wiadomo, byłem na swoich zaręczynach, za godzinę mieliśmy się pobrać, a jutro chciałem wyjechać do Paryża. I oto wskutek denuncjacji, którą pan równie jak ja wydajesz się gardzić, zostałem aresztowany.

— Tak, tak — mówił cicho Villefort — to wszystko wydaje mi się prawdą i jeżeliś pan w czym zawinił, to przez nierozwagę; a nierozwaga ta usprawiedliwiona jest rozkazem pańskiego dowódcy. Dajże mi pan list, który ci wręczono na Elbie. I proszę mi jeszcze zaręczyć, że stawisz się na każde wezwanie, po czym możesz pójść do swoich przyjaciół.

— Jestem więc wolny? — zawołał Dantès, przepełniony radością.

— Tak, daj mi pan tylko ten list.

— Jest on zapewne u pana na biurku, albowiem odebrano mi go wraz z innymi papierami, a w tym pliku rozpoznaję niektóre z moich dokumentów.

— Zaraz, zaraz — rzekł podprokurator do Dantèsa, który sięgał już po rękawiczki i kapelusz. — Do kogo list ten był adresowany?

— Do pana Noirtiera, przy ulicy Coq-Héron w Paryżu.

Grom z jasnego nieba nie poraziłby tak Villeforta, jak owe niespodziewane słowa. Opadł na fotel, skąd się wcześniej podniósł, aby zabrać plik papierzysk odebranych Dantesowi, przerzucając go szybko, wydobył ów fatalny list i spojrzał nań z niewymowną trwogą.

— Noirtier, ulica Coq-Héron, nr 13 — przeczytał szeptem, blednąc coraz bardziej.

— Tak — odpowiedział Dantès zdziwiony. — Czy go pan zna?

— Nie — odrzekł żywo Villefort. — Wierny poddany króla nie może mieć znajomych wśród konspiratorów.

— Więc chodzi o jakiś spisek? — wykrzyknął Dantès, przejęty znów trwogą, po tym, jak już czuł się na wolności. — Tak czy inaczej, powiedziałem już panu, żem nie znał zupełnie treści tego listu.

— Tak — odparł stłumionym głosem Villefort — ale znasz pan nazwisko tego, do którego był adresowany.

— Nie mogłem nie znać, bo jakże mógłbym inaczej oddać list.

— Nikomu tego listu nie pokazywałeś? — pytał Villefort i w miarę jak odczytywał list, bladł coraz bardziej.

— Nikomu, ręczę słowem.

— I nikt nie wie, żeś miał u siebie list z Elby do pana Noirtiera?

— Nikt, oprócz tego, który mi go dał.

— I to za wiele, za wiele — wyszeptał Villefort.

Im bardziej zbliżał się koniec listu, tym bardziej Villefort posępniał; jego zbielałe usta, drżące ręce i pałające oczy przejmowały Dantesa najokropniejszą obawą.

Przeczytawszy list, Villefort ukrył twarz w dłoniach i przygnębiony trwał tak chwilę w odrętwieniu.

— Mój Boże, cóż ci jest, panie? — spytał nieśmiało Dantès.

Villefort nie odpowiedział, ale po kilku chwilach podniósł głowę; twarz miał bladą i zmienioną... i odczytał raz jeszcze list.

— Mówisz pan zatem, że nie wiesz, co zawiera ten list? — zapytał znów.

— Na honor, powtarzam, że nie. Ale co panu jest? Mój Boże, pan zemdleje! Czy mam zadzwonić lub zawołać kogoś?

— Nie potrzeba — zawołał Villefort, podnosząc się żywo. — Nie ruszaj się pan i nie odzywaj, ja tu rozkazuję, nie pan.

— Proszę pana — zaprotestował dotknięty Dantès. — Chciałem zawołać o pomoc dla pana, to wszystko.

— Nikogo nie potrzebuję, to chwilowy zawrót głowy i nic więcej. Myśl pan raczej o sobie, nie o mnie — i mów.

Dantès oczekiwał na pytania, które — jak by się mogło zdawać — powinny się pojawić po tym stanowczym żądaniu, ale na próżno: Villefort opadł na fotel, otarł pot z czoła lodowatą ręką, i jeszcze raz zabrał się do czytania listu.

„A jeśli on zna treść listu — mówił sam do siebie. — Jeśli się jeszcze dowie, że Noirtier jest ojcem Villeforta, jestem zgubiony na zawsze!".

I wpatrywał się w Edmunda, jakby chciał wzrokiem przebić tę niewidzialną zasłonę, okrywającą w sercu tajemnice, których nie chcą zdradzić usta.

— O! Nie można w to uwierzyć — zawołał nagle.

— Ależ na Boga, panie prokuratorze — wykrzyknął nieszczęśliwy młodzieniec. — Jeżeli wątpi pan o mnie, jeżeli ma pan jakiekolwiek podejrzenie, niech mnie pan pyta, bada, gotów jestem na wszystko ci odpowiedzieć.

Villefort przemógł się z trudem i rzekł tonem, któremu chciał nadać spokojne brzmienie:

— Najbardziej obciążające dla pana rzeczy wynikły z tego przesłuchania; nie mogę więc, jak się na początku spodziewałem, uwolnić pana w tej chwili; nim wydam tę decyzję, muszę naradzić się z sędzią śledczym. A tymczasem widziałeś pan, jak z panem postępowałem, prawda?

— O tak, dziękuję, panie prokuratorze — zawołał Dantès — byłeś dla mnie raczej przyjacielem niż sędzią.

— A więc muszę pana na jakiś czas zatrzymać jako więźnia, tak krótko, jak to tylko będzie możliwe, a ów dowód, który cię najbardziej obciąża, ów list... patrz...

Villefort podszedł do kominka, rzucił list w ogień i patrzył nań, póki się nie zamienił w popiół.

— Widzisz pan — rzekł następnie — zniszczyłem go.

— O, panie! — zawołał Dantes. — Jesteś pan nie tylko wcieleniem sprawiedliwości, jesteś samą dobrocią!

— Ale słuchaj; po tym, coś tu widział, powinieneś wiedzieć, że można mi zaufać, nieprawdaż?

— Ach, niech pan rozkazuje, a wykonam wszystko, co zechcesz.

— Nie — rzekł Villefort, podchodząc bliżej. — Nie chcę panu rozkazywać, rozumiesz, ale tylko poradzić.

— Mów pan, a zastosuję się do rad jak do rozkazów.

— Dziś musisz pozostać w Pałacu Sprawiedliwości aż do wieczora; być może kto inny prócz mnie będzie cię badać. Mów tak, jak tu do mnie mówiłeś, ale o liście nie wspominaj ani słowa.

— Przyrzekam panu.

Villefort zdawał się błagać, oskarżony zaś uspokajać sędziego.

— Widzisz pan — rzekł Villefort, spoglądając na popioły, które jeszcze zachowały kształt strzępków listu i ulatywały nad płomieniami. — Teraz, gdy list został zniszczony, ty i ja wiemy, że istniał; nikt ci go nie pokaże jako dowodu twej winy. Zaprzeczaj więc, gdyby ci o nim mówiono, zaprzeczaj śmiało, a będziesz ocalony.

— Zaprzeczę, bądź pan spokojny — odpowiedział Dantès.

— Dobrze, pamiętaj — rzekł Villefort, sięgając po sznurek dzwonka; ale nie zadzwonił.

— Czy nie miałeś więcej żadnego listu? — odezwał się.

— Żadnego.

— Przysięgnij.

Dantès wzniósł rękę na znak przysięgi.

— Przysięgam — rzekł.

Villefort zadzwonił.

Wszedł komisarz policji.

Villefort podszedł do niego i powiedział mu do ucha kilka słów. Komisarz odpowiedział tylko skinieniem głowy.

— Idź pan z komisarzem — rzekł Villefort do Dantèsa.

Dantès skłonił się, spojrzał po raz ostatni z wdzięcznością na Villeforta i wyszedł. Zaledwie drzwi zamknęły się za nim, Villeforta opuściły do reszty siły i niemal zemdlony padł na krzesło. Po dobrej chwili wyszeptał:

— Ach, Boże wielki! Od czego zależą los i życie? Gdyby prokurator królewski był w Marsylii, gdyby przywołano zamiast mnie sędziego śledczego, byłbym zgubiony! Ten list, ten list fatalny, o mało nie strącił mnie w przepaść! Ach, ojcze mój, czyż zawsze będziesz stał na zawadzie mojemu szczęściu? Zawsze będę musiał walczyć z twoją przeszłością?

I nagle, jakby światło niespodziewane zabłysło mu w głowie i rozświetliło twarz; uśmiech zarysował się na ustach, jeszcze zaciśniętych, oko błędne nabrało bystrości, zdając się rozpatrywać jakąś myśl.

— Ejże... Tak, ten sam list, co miał mnie zgubić, otworzy mi może drogę do kariery. Dalej, Villefort, do dzieła!

I przekonawszy się, że oskarżony został już wyprowadzony z przedpokoju, pan podprokurator królewski wyszedł czym prędzej i skierował się ku domowi narzeczonej.

8. ZAMEK IF

Mijając przedpokój, komisarz policji skinął na żandarmów, którzy wzięli Dantèsa między siebie. Otwarły się drzwi prowadzące z mieszkania prokuratora do Pałacu Sprawiedliwości i cała grupa weszła na jeden z tych posępnych korytarzy, które przejmują dreszczem tych, co po nim przechodzą, choćby się wcale nie czuli winni.

Podobnie jak apartament Villeforta łączył się z Pałacem Sprawiedliwości, tak Pałac Sprawiedliwości łączył się z ponurym gmachem więzienia. Długo szli krętym korytarzem, aż na koniec Dantès ujrzał przed sobą drzwi z okienkiem i żelazną zasuwą; komisarz policji po trzykroć uderzył w nie żelazną kołatką, a Dantèsowi wydało się, jakby te uderzenia spadały na jego serce; drzwi się otwarły, żandarmi popchnęli lekko więźnia, który jeszcze się wahał. Przestąpił ten straszliwy próg i drzwi z łoskotem same zatrzasnęły się za nim. Wciągnął w płuca powietrze: inne było, smrodliwe i ciężkie; znajdował się w więzieniu.

Wprowadzono go do celi dość czystej, ale opatrzonej kratami w oknie i ryglami w drzwiach. Wygląd tego pomieszczenia nie nasuwał Dantèsowi zbyt wiele obaw; zresztą, słowa, które podprokurator wyrzekł głosem, jak mu się zdawało pełnym przejęcia, brzmiały mu ciągle w uchu echem słodkiej obietnicy i nadziei. Kiedy go wprowadzono do tego pokoiku, dochodziła czwarta. Był to, jak już wspominaliśmy, pierwszy dzień marca, zatem wkrótce zapadła ciemność. Choć nic nie mógł już zobaczyć, wyostrzył mu się za to słuch: zrywał się na najmniejszy szmer dochodzący z zewnątrz, w przekonaniu, że oto idą go uwolnić i biegł do drzwi. Wkrótce jednak hałas oddalał się i nikł w innej stronie więzienia, a Dantès znów wracał na zydel[155].

Na koniec, wieczorem, około dziesiątej, gdy Dantès zaczął tracić wszelką nadzieję, dał się na nowo słyszeć hałas, który tym razem zdawał się przybliżać ku drzwiom jego celi. Rzeczywiście, w korytarzu rozległy się kroki i zatrzymały przed drzwiami; ktoś przekręcił klucz w zamku, zgrzytnęły rygle i otwarły się masywne dębowe drzwi: do celi wdarł się nagle oślepiający blask dwóch pochodni. Przy ich świetle Dantès zobaczył połyskujące w mroku szable i karabiny czterech żandarmów. Postąpił dwa kroki naprzód i stanął nieruchomy, zdumiony widokiem eskorty, liczebniejszej niż poprzednio.

— Po mnie przyszliście? — zapytał.

— Tak — odpowiedział jeden z żandarmów.

— Na rozkaz podprokuratora królewskiego?

— Rozumie się.

— Dobrze — rzekł Dantès. — Jestem gotów, idę za wami.

Pewność, że żandarmi przyszli na polecenie pana de Villeforta, sprawiała, że biedak nie obawiał się wcale. Uspokojony, beztroski, sam stanął pośrodku swojej straży.

U bramy czekała karetka, obok woźnicy siedział na koźle oficer policji.

— Czy na mnie czeka ten powóz? — zapytał Dantes.

— Tak — odpowiedział żandarm. — Wsiadaj pan.

[155] *zydel* (daw.) — prosty, drewniany stołek. [przypis edytorski]

Dantès chciał jeszcze coś mówić, ale drzwiczki otworzyły się i więźnia popchnięto do środka. Ani nie mógł, ani zresztą nie chciał stawić oporu. W jednej chwili posadzono go pomiędzy dwoma żandarmami, dwaj inni usiedli naprzeciw i ciężki pojazd ruszył w drogę, turkocząc posępnie. Więzień spojrzał przez zakratowane okienka i zrozumiał, że tylko zmienił rodzaj więzienia — różniło się o tyle, że obecna jego cela toczyła się naprzód, unosząc go w nieznanym kierunku. Patrząc przez kraty tak gęste, że niepodobna[156] było przecisnąć ręki, Dantès zorientował się, że jechali ulicą Caisserie, a następnie Świętego Wawrzyńca i Tamaris, kierując się w stronę morskiego nabrzeża. Wkrótce ujrzał przez kraty karetki gmach, pod który zajechali, w oknach biur komory celnej jarzyły się światła. Karetka zatrzymała się, oficer wysiadł i poszedł na odwach[157]; natychmiast wyszło ze dwunastu żołnierzy i ustawiło się w szpaler[158]. Przy świetle latarń Dantès ujrzał połysk bagnetów. „Czy to dla mnie — pomyślał — urządza się taką paradę zbrojną?".

Oficer, otwierając drzwiczki zamknięte na klucz, choć nie wymówił ni słowa, odpowiedział wyraźnie na to nieme pytanie, wskazując mu korytarz pomiędzy dwoma szeregami żołnierzy, zrobiony dlań od karetki aż do portu. Żandarmi wysiedli, a z nimi Dantes, i razem przeszli do łódki, którą marynarz z komory uwiązał łańcuchem do brzegu. Żołnierze przypatrywali się przechodzącemu Dantèsowi z głupkowatą ciekawością. W jednej chwili Dantès znalazł się na rufie łodzi, nadal otoczony czterema żandarmami, a z przodu usiadł oficer. Zachybotawszy gwałtownie, łódź oderwała się od brzegu i czterech wioślarzy wzięło się do wioseł. Na znak dany z łodzi opadł łańcuch zamykający basen portowy[159] i Dantès znalazł się za redą[160].

Gdy poczuł się znowu na otwartej przestrzeni, uradował się. Przestrzeń, to już prawie wolność. Wciągnął w piersi świeży powiew bryzy, która na swoich skrzydłach przynosi nieznane wonie nocy i morza. Wkrótce jednak znów westchnął ciężko, przepływali bowiem niedaleko karczmy, gdzie rano jeszcze był tak szczęśliwy.

Edmund złożył ręce, wzniósł oczy do nieba i jął się modlić. Łódź płynęła dalej; minęła już Tête de Mort i małą zatoczkę Faro i miała właśnie ominąć stanowiska artylerii portowej — Dantès nie mógł pojąć tego manewru.

— I gdzież to mnie wieziecie? — zapytał Dantès.

— Dowiesz się pan za chwilę.

— Ale przecież...

— Zakazano nam mówić.

Dantès był sam po trosze żołnierzem, toteż wydało mu się rzeczą bezcelową wypytywanie podwładnych, którym przełożeni nakazali milczenie, zaprzestał więc pytań.

A wtedy najdziwniejsze myśli zaczęły mu się snuć po głowie. Ponieważ tak małą łódką nie można odbyć długiej drogi, a nie widać było w pobliżu żadnego statku na kotwicy, pomyślał więc, że go wywożą na jakiś oddalony punkt wybrzeża, aby tam puścić wolno; nie był związany, nie okazywano zamiaru zakucia go w kajdany — wszystko to wydawało mu się dobrą wróżbą. A przecież i podprokurator, tak życzliwy człowiek, zapewniał, że byle nie wymieniał owego fatalnego nazwiska Noirtier, nie musi się niczego obawiać. I czyż ten sam prokurator nie zniszczył w jego obecności tego niebezpiecznego listu, jedynego dowodu jego winy? Czekał zatem w milczącym zamyśleniu, usiłując przebić żeglarskim, nawykłym do ciemności okiem mroki nocy. Minęli już na prawo wyspę Ratonneau[161], i płynąc wzdłuż brzegu, znaleźli się na wysokości zatoki katalońskiej. Tu więzień jeszcze mocniej wytężył wzrok — tam była przecież Mercedes. I w tej chwili wydało mu się, że widzi rysującą się na ciemnym tle wybrzeża zwiewną sylwetkę kobiety. Czyżby przeczucie mówiło Mercedes, że jej ukochany jest zaledwie o trzysta kroków od niej?

Jedno tylko światełko paliło się w wiosce katalońskiej. Wpatrzywszy się bliżej, Dantès uznał, że to światełko pochodziło z pokoiku jego narzeczonej. Jedna Mercedes czuwała

[156] *niepodobna* (daw.) — jest rzeczą nieprawdopodobną a. niemożliwą. [przypis edytorski]

[157] *odwach* (z niem. *Hauptwache*: straż główna) — wartownia; areszt wojskowy lub policyjny. [przypis edytorski]

[158] *szpaler* — dwa równolegle ułożone szeregi, rzadziej pojedynczy szereg. [przypis edytorski]

[159] *basen portowy* — miejsce postoju statków w porcie. [przypis edytorski]

[160] *reda* — obszar morski znajdujący się przed wejściem do portu. [przypis edytorski]

[161] *Ratonneau* — wyspa leżąca ok. 4 km od wybrzeża Marsylii; razem z wyspą If i dwiema innymi wchodzi w skład Archipelagu Frioul. [przypis edytorski]

tej nocy we wsi. Gdyby tylko krzyknął głośno, na pewno by go usłyszała, ale powstrzymał go fałszywy wstyd. Co by pomyśleli strzegący go ludzie, gdyby usłyszeli, że krzyczy jak szaleniec?

Nie otworzył więc nawet ust i tylko natężył wzrok wpatrzony w ten świetlny punkt. Łódź płynęła wciąż dalej, ale więzień zapomniał o tym, przywołując myślami Mercedes.

Nagle jakieś wzgórze zasłoniło światełko; Dantès odwrócił się i spostrzegł, że wypływają na pełne morze. Podczas jego rozmyślań rozwinięto żagle i łódź płynęła już teraz gnana wiatrem. Choć Dantès wzdragał się na myśl, że będzie musiał znów wypytywać żandarma, zbliżył się jednak do niego i chwytając go za rękę, rzekł:

— Bracie, zaklinam cię, jesteś prawy żołnierz, miej litość nade mną i odpowiedz mi! Nazywam się Dantès, jestem kapitanem; i choć oskarżono mnie o nie wiedzieć jaką zdradę, dobry ze mnie Francuz. Gdzie mnie wieziecie? Powiedz, a ręczę ci na honor marynarza, że spełnię moją powinność i poddam się losowi.

Żandarm podrapał się, spojrzał na towarzysza, jakby go pytał, co ma odpowiedzieć, a tamten odpowiedział gestem, który zdawał się mówić, że nie ma co zachowywać tajemnicy, jeśli dopłynęli aż tutaj. I żandarm zwrócił się do Dantèsa:

— Jesteś z Marsylii i w dodatku jesteś marynarzem... a pytasz mnie, gdzie płyniemy?

— Tak, pytam, bo nie wiem, jak mi Bóg...

— I nie domyślasz się nawet?

— Nie.

— To niemożliwe!

— Przysięgam ci na to, co mam najświętszego w świecie. Mów, przez litość!

— A zakaz?

— Ale nie zakazano ci powiedzieć mi tego, o czym za dziesięć minut sam będę wiedział, za pół godziny może, za godzinę najdalej. Oszczędziłbyś mi tylko wieków niepewności i obawy. Proszę cię o to jak przyjaciela, patrz, nie mam zamiaru buntować się ani uciekać, zresztą to niemożliwe. Gdzież więc płyniemy?

— Albo masz pan zaćmę na oczach, albo też nigdy nie wychodziłeś z portu marsylskiego, że się niczego nie domyślasz.

— Nie.

— Więc obejrzyj się pan wkoło.

Dantès wstał, odruchowo rzucił okiem w stronę, gdzie się kierowała łódź i ujrzał o sto sążni[162] wyniosłą, czarną i stromą skałę, na której wznosił się, niby jakaś narośl z krzemienia posępny zamek If.

Kształt ów dziwaczny, to więzienie owiane grozą, twierdza, której posępną legendą żyje od lat trzystu Marsylia, która tak nagle ukazała się oczom Dantèsa, co ani o niej nie pomyślał, sprawiła na nim takie wrażenie, jak widok szafotu na skazańcu.

— Ach, Boże mój! — zawołał. — Zamek If. I po cóż my tam płyniemy?

Żandarm uśmiechnął się.

— Przecież nie chcecie mnie uwięzić. Zamek If jest więzieniem stanu, przeznaczonym jedynie dla przestępców politycznych. A ja nie popełniłem żadnej zbrodni. Czy jest tam jaki sędzia śledczy albo inny sądownik?

— Jak mi się zdaje, nie ma — odpowiedział żandarm. — Jest tylko komendant, dozorcy, garnizon i grube mury. No, no, bracie, nie udawaj tak bardzo zdziwionego, bo gotów jestem pomyśleć, że za uprzejmość odpłacasz mi szyderstwem.

Dantès niemal zgniótł żandarmowi rękę w uścisku.

— Sądzisz więc pan, że mnie wiodą do zamku, aby mnie tam uwięzić?

— To prawdopodobne — rzekł żandarm — ale, bratku, mimo to nie powinieneś mi tak mocno ściskać ręki.

— Bez śledztwa i formalności?

— Śledztwo jest przeprowadzone, a formalności wypełnione.

— Więc mimo obietnicy pana Villeforta...

— Ja tam nie wiem, czy ci pan de Villefort przyrzekł co, czy nie — rzekł żandarm — wiem tylko, że płyniemy do zamku If! Co to! Bracie, co robisz? Hej, do mnie!

---

[162] *sążeń* — antropometryczna jednostka miary długości, wyznaczana przez zasięg rozwartych ramion dorosłego mężczyzny i wynosząca ok. 1,8–2 m. [przypis edytorski]

Jednym nagłym jak błyskawica ruchem Dantès porwał się, aby skoczyć w morze, ale wprawne oko żandarma spostrzegło zawczasu ten ruch i cztery potężne dłonie wstrzymały go w chwili, gdy odbił się już stopami z łodzi.

Upadł na dno ze wściekłym jękiem.

— Dobrze — zawołał żandarm, przygniatając mu piersi kolanami. — To tak dotrzymujesz mi pan słowa? Bądź grzecznym wobec oszusta! O, teraz, bratku, tylko się rusz, a wpakuję ci kulę w łeb. Zlekceważyłem pierwszy rozkaz, ale ręczę ci, że za drugim razem nie zaniedbam.

Zniżył karabin i Dantès poczuł na skroni chłód lufy.

Przez chwilę przyszła mu myśl, aby uczynić właśnie zakazany gest, aby tym gwałtownym sposobem raz na zawsze położyć kres nieszczęściu, które tak jak sęp niespodziewanie spadło na niego i chwyciło go w szpony. Ale właśnie dlatego, że tak nagle, nie powinno trwać długo; Dantes wspomniał także obietnice Villeforta; ponadto, jeśli mamy i to przyznać, śmierć na dnie łodzi z ręki żandarma wydała mu się czymś haniebnym.

Opadł więc bezsilny na deski i jęcząc, gryzł sobie ręce z wściekłości.

W tejże chwili łódką wstrząsnęło gwałtowne uderzenie. Jeden z wioślarzy wyskoczył na skałę, o którą tył łodzi właśnie uderzył i Dantès pojął, że znajdują się u celu podróży.

Stróże jego, trzymając go za ręce i kołnierz, podnieśli go i powlekli po schodach do bramy cytadeli, z tyłu zaś szedł oficer uzbrojony w karabinek z bagnetem.

Więzień, Upadek

Dantès nie opierał się, gdyż wszelki opór poszedłby na próżno. Jego powolność pochodziła raczej z inercji[163] niż z chęci sprzeciwu. Był zupełnie oszołomiony i chwiał się jak pijany; czuł pod stopami schody, które zmuszały go do podnoszenia nóg, widział, że przechodzi pod jakąś bramą i że ta brama zamknęła się za nim; wszystko to jednak rejestrował machinalnie, nie będąc w stanie, jakby przez mgłę gęstą, rozróżniać przedmiotów. Nie widział już nawet morza, okropna to boleść dla więźnia, który spogląda w wodną przestrzeń z tym dręczącym uczuciem, że niepodobna się do niej dostać. Stanęli na chwilę i Dantès spróbował zebrać myśli, i spojrzał wokoło: znajdował się na obszernym kwadratowym dziedzińcu opasanym murami; słychać było tu tylko powolne echa kroków szyldwachów[164], a kiedy przechodzili podczas tej wędrówki przez miejsca, na które padało z okien zamku światło, widać było lśnienie na lufach ich karabinów.

Czekano tu z dziesięć minut. Żandarmi, pewni, że im już więzień nie ucieknie, puścili go wolno. Czekali tylko, jak się zdaje, na rozkazy — aż nadeszły.

— Gdzie więzień? — odezwał się głos jakiś.

— Tutaj — odrzekli żandarmi.

— Niech idzie za mną, zaprowadzę go do celi.

— No idźże — zawołali żandarmi, popychając Dantèsa.

Więzień poszedł za przewodnikiem; weszli do izby, która przypominała loch; jej ściany były nagie i wilgotne — jakby od łez, co tam spływały. Ustawiony na drewnianym stołku kaganek, którego knot pływał w tłustej, cuchnącej mazi, oświetlał lśniące ściany tego straszliwego przybytku i ukazywał zarazem Dantèsowi przewodnika — był to dozorca niskiej rangi, obdarty i o nikczemnej fizjonomii.

— Tu będziesz dziś pan spał — rzekł. — Już późno, pan komendant śpi; jutro, jak się obudzi i przejrzy rozkazy, może ci wyznaczy inne pomieszczenie. Tymczasem masz pan tu chleb, woda stoi w tym oto dzbanku, słoma jest w kącie — to wszystko, czego tylko więzień żądać może. Dobranoc.

I nim Dantès zdążył otworzyć usta do odpowiedzi, zanim obejrzał się, gdzie jest ów chleb wskazany mu przez dozorcę, zanim mógł zdać sobie sprawę, gdzie znajduje się dzbanek z wodą i nim zauważył, gdzie była słoma przeznaczona na posłanie, dozorca wziął kaganek i zamknąwszy drzwi, pozbawił więźnia ostatniego promienia światła, którego blask na chwilę rozjaśnił ociekające mury.

Tak został sam, wśród ciemności i ciszy, posępny i milczący jak sklepienie celi, której lodowate zimno zdawało się chłodzić jego rozpalone czoło.

Z pierwszymi promieniami dnia, które wpadły do lochu, wszedł dozorca i przyniósł rozkaz, że więzień ma pozostać w tej samej celi. Dantès od wczoraj nie zmienił miejsca;

[163] *inercja* — bezwładność. [przypis edytorski]

[164] *szyldwach* — żołnierz pełniący wartę. [przypis edytorski]

jakaś żelazna ręka przykuła go tam, gdzie stanął wczorajszego wieczoru; stał bez ruchu i patrzył w ziemię.

Tak przetrwał całą noc, nie zmrużywszy ani na chwilę oka.

Dozorca zbliżył się, obszedł go, ale zdawało się, że Dantès go nawet nie dostrzegał.

Poklepał więc Edmunda po ramieniu. Edmund zadrżał i potrząsnął głową.

— Cóż to, nie spałeś pan wcale? — zapytał dozorca.

— Nie wiem — odpowiedział Dantès.

Dozorca spojrzał zdziwiony.

— Jeść się panu nie chce? — zapytał następnie.

— Nie wiem — odpowiedział jeszcze raz Dantès.

— Może chcesz czego?

— Chciałbym widzieć się z komendantem.

Dozorca wzruszył ramionami i wyszedł. Dantès odprowadził go wzrokiem, wyciągnął ręce ku drzwiom na wpół otwartym, ale drzwi się zamknęły.

Cierpienie, Sprawiedliwość

Wówczas z jego piersi wyrwał się szloch i zdawać by się mogło, że pierś mu od niego pęknie. Łzy potoczyły się z oczu strumieniami. Padł na kolana, pochylając czoło ku ziemi i modlił się długo, przechodząc myślą całe swoje życie i pytał sam siebie, jaki też mógł występek popełnić w tak młodym wieku, który zasługiwałby na tę ciężką karę!

I tak przeszedł dzień. Nieszczęśnik zjadł zaledwie parę kęsów chleba i zwilżył usta wodą. To siadał i zagłębiał się w myślach, to miotał się po celi jak drapieżne zwierzę zamknięte w żelaznej klatce.

W tym strapieniu jedna go jeszcze dręczyła myśl: podczas przeprawy, kiedy nie wiedział jeszcze, gdzie go prowadzą i zachowywał się spokojnie i cicho, miał z dziesięć razy okazję rzucić się w morze. A skoro byłby już w wodzie, przy swoich umiejętnościach, z których słynął jako najzręczniejszy pływak w Marsylii, mógł był zanurkować, ujść straży, dostać się do brzegu, uciec i skryć się gdzieś w jakiejś odludnej zatoczce, poczekać na jakiś genueński[165] lub kataloński statek, dotrzeć do Włoch lub Hiszpanii i stamtąd napisać do Mercedes, aby do niego przyjechała. I potrafiłby zarobić na życie, dokąd by go los nie rzucił, o to się nie martwił: doświadczonych marynarzy zawsze się potrzebuje; mówił zresztą po włosku jak Toskańczyk, po hiszpańsku jak dziecię Kastylii[166]. Żyłby sobie swobodnie i szczęśliwie z Mercedes, i z ojcem, bo ojciec musiałby także do niego przyjechać. A teraz oto jest więźniem, zamkniętym w zamku If — w tym nieprzebytym gmachu — i nie wie, co się dzieje z Mercedes i z ojcem, bo dał się omotać słowom Villeforta. Można było od tego oszaleć — i Dantès wił się i tarzał z wściekłości na świeżej słomie, którą przyniósł dozorca.

Nazajutrz o tej samej godzinie do celi wszedł dozorca.

— No i jak — zapytał. — Zmądrzałeś pan trochę od wczoraj?

Dantès nie odpowiedział.

— No, no, nabierz pan trochę odwagi — ciągnął dozorca. — Może potrzebujesz czegoś, co by ode mnie zależało. Mówże pan!

— Chcę rozmawiać z komendantem.

— Ej — rzekł zniecierpliwiony dozorca — jużem mówił, że to niemożliwe...

— Dlaczego?

— Ponieważ stosownie do regulaminu więźniowi nie wolno o to prosić.

— A cóż wolno? — zapytał Dantès.

— Jeśli się zapłaci, wolno żądać lepszego jedzenia, można też pójść na spacer, a czasem dostać książki.

— Książek nie potrzebuję, przechadzać się nie mam ochoty, a wikt[167], moim zdaniem, jest dobry; pragnę więc tylko jednej rzeczy: widzieć się z komendantem.

— Jak będziesz mnie pan tak nudził, powtarzając w kółko jedno i to samo, to przestanę przynosić jedzenie.

— Cóż — rzekł Dantès. — Jak mi nie będziesz przynosił jeść, to umrę z głodu i tyle.

[165] *genueński* — związany z Genuą, tj. miastem w płn. -zach. Włoszech. [przypis edytorski]
[166] *Kastylia* — kraina hist. i region w śr. Hiszpanii. [przypis edytorski]
[167] *wikt* (daw.) — wyżywienie. [przypis edytorski]

Ton, jakim Dantès wyrzekł te słowa, przekonał dozorcę, że jego więzień rad by umrzeć. A ponieważ każdy więzień przynosi dozorcy przynajmniej dziesięć sous[168] na dzień, opiekun Dantèsa obliczył szybko, jaką stratę przyniosłaby mu jego śmierć i rzekł tonem łagodniejszym:

— Słuchaj no pan; to, czego żądasz, jest niemożliwe; niech pan więcej nie prosi, bo nie zdarzyło się jeszcze, aby komendant przychodził odwiedzić więźnia na jego żądanie. Ale jak będziesz pan zachowywał się spokojnie, pozwolą panu wyjść na spacer i być może kiedyś spotkasz pan podczas spaceru komendanta. Wtedy go zaczepisz, jeśli zechce ci odpowiedzieć — to jego sprawa.

— Jak długo miałbym czekać — rzekł Dantès — na taką okazję?

— Ha! Diabli wiedzą — rzekł dozorca. — Może miesiąc, trzy miesiące, pół roku albo i rok.

— To za długo, chcę się z nim widzieć natychmiast.

— Ach, nie daj się pan tak owładnąć jednemu żądaniu, niemożliwemu do spełnienia, bo za piętnaście dni możesz oszaleć.

— Tak sądzisz? — rzekł Dantès.

— Pewnie, oszalejesz pan. To zawsze się tak zaczyna, mamy już jeden przykład. Jest tu ksiądz, który obiecywał komendantowi milion, żeby tylko go wypuścił, tak że w końcu mózg przewrócił mu się zupełnie; mieszkał tu właśnie, w tym pokoju, przed panem.

— A dawno stąd wyszedł?

— Dwa lata temu.

— Uwolniono go?

— O nie, wpakowano do lochu.

— Słuchaj! — rzekł Dantès. — Ja nie jestem ani księdzem, ani wariatem, chyba że zwariuję tutaj. Na moje nieszczęście jestem jeszcze przy zdrowych zmysłach. Chcę ci coś zaproponować.

— Co takiego?

— Nie ofiaruję ci miliona, bo nie byłbym w stanie ci go dać, ale dostaniesz sto dukatów, jeżeli tylko, kiedy będziesz w Marsylii, udasz się do osady Katalończyków i oddasz list pewnej młodej panience imieniem Mercedes; to nawet nie list, dwie linijki.

— Gdybym odniósł ten list, nawet jeśli zawierałby tylko dwie linijki, a dowiedziano by się o tym, straciłbym miejsce, które mi daje pensję tysiąca liwrów[169] na rok, nie licząc różnych dodatków i wiktu. Rozumiesz pan, że byłbym wielkim głupcem, gdybym narażał się na utratę tysiąca liwrów, aby zyskać trzysta.

— A, jeśli tak, to słuchaj i zapamiętaj sobie: jeśli nie oświadczysz komendantowi, że proszę o audiencję, jeżeli nie odniesiesz listu do Mercedes albo nie zawiadomisz jej, że jestem tutaj, to pewnego dnia zaczaję się na ciebie za drzwiami i kiedy wejdziesz, tym stołkiem roztrzaskam ci głowę.

— Grozisz pan! — wrzasnął dozorca, cofając się i przybierając obronną pozycję. — Wyraźnie pomieszało ci się w głowie! Ksiądz zaczynał tak samo, i za trzy dni odbije panu do reszty, jak jemu, i będą ci musieli nałożyć kaftan. Na szczęście my tu w zamku mamy niezłe loszki!

Dantès porwał stołek i zaczął nim wywijać nad głową.

— Dobrze, dobrze — rzekł dozorca. — Kiedy się pan tak upierasz, zawiadomimy komendanta.

— Chwała Bogu — rzekł Dantès, postawił stołek na ziemi i usiadł, spuszczając głowę; oczy miał tak błędne, jakby rzeczywiście pomieszały mu się zmysły.

Dozorca wyszedł i po chwili wrócił z czterema żołnierzami i kapralem.

— Z rozkazu komendanta — rzekł — zejdziesz pan o piętro niżej.

— Do lochu, czy tak? — upewnił się kapral.

— Do lochu; wariaci powinni siedzieć z wariatami.

Żołnierze chwycili Dantèsa, który wpadł w jakiś rodzaj odrętwienia i poszedł bez oporu za nimi. Zeszli po schodach i otwarły się drzwi lochu. Dantès wszedł, szepcząc:

— Ma rację, wariaci powinni siedzieć z wariatami.

---

[168] *sou* — fr. moneta o niskim nominale. [przypis edytorski]

[169] *liwr* — daw. fr. moneta warta 20 sous. [przypis edytorski]

Drzwi zatrzasnęły się, Dantès wyciągnął ręce i jął iść przed siebie, póki nie trafił na mur. Usiadł w kącie i tak pozostał bez ruchu, a jego oczy przyzwyczajały się powoli do ciemności, aż wreszcie zaczął rozpoznawać przedmioty wokół siebie.

Dozorca miał rację: niewiele brakowało, a Dantès naprawdę by oszalał.

9. WIECZÓR ZARĘCZYN

Villefort, jak to już mówiliśmy, powrócił do państwa de Saint-Méranów, gdzie zastał biesiadników, których opuścił przy stole, w salonie, pijących kawę. Renata oczekiwała go z niecierpliwością, wspólną zresztą całemu towarzystwu. Dlatego też przyjęto go z mieszanymi okrzykami.

— I cóż, panie, co głowy ścinasz, podporo kraju, Brutusie[170] królestw — zawołał ktoś z towarzystwa. — Cóż się stało? Powiedz pan!

— Czy znów nam terror zagraża? — zapytał drugi.

— A może potwór korsykański wyszedł ze swojej jaskini? — dopytywał się trzeci.

— Pani markizo! Racz pani wybaczyć — rzekł Villefort, podchodząc do przyszłej teściowej — jeśli w tak nagły sposób zmuszony jestem panią opuścić... Panie markizie, czy nie zechciałby pan zamienić ze mną parę słów na osobności?...

— Ach, widzę, że to rzeczywiście sprawa poważna — ozwała się markiza, widząc zachmurzoną twarz Villeforta.

— Tak poważna, że będę musiał pożegnać państwa na kilka dni. Widzi pani — dodał zwracając się do Renaty — że to naprawdę rzecz najwyższej wagi.

— Jak to! Więc pan wyjeżdżasz? — zawołała Renata, nie mogąc ukryć uczuć, jakie wzbudziła w niej ta niespodziewana nowina.

— Niestety — odpowiedział Villefort. — Tak trzeba.

— I gdzież się udajesz? — zapytała markiza.

— To już jest tajemnicą urzędową, daruj, pani. Jeśli jednak ktoś z państwa miałby jakie zlecenie do Paryża, proszę powiedzieć; jeden z moich przyjaciół dziś wieczór właśnie tam wyjeżdża i chętnie to załatwi.

Goście spojrzeli po sobie.

— Chciałeś ze mną mówić, panie de Villefort — przypomniał markiz.

— Tak. Przejdźmy, jeśli pan pozwoli, do pańskiego gabinetu.

Markiz ujął Villeforta pod ramię i razem wyszli.

— I co? — zapytał w gabinecie. — Cóż się dzieje? Mówże.

— Dzieją się rzeczy o, jak sądzę, niezwykłej doniosłości, które zmuszają mnie do natychmiastowego wyjazdu do Paryża. Teraz, panie markizie, proszę darować niedyskretne i obcesowe pytanie: czy masz pan rentę[171] w jakichś papierach państwowych?

— Cały mój majątek ulokowałem w obligacjach[172], będzie tego około sześćset, może siedemset tysięcy franków.

— A więc niech pan je sprzeda, bo stracisz wszystko.

— Ależ jak mogę je tutaj sprzedać?

— Ma pan swojego agenta giełdowego, prawda?

— Mam.

— Niech pan mi da list do niego, w którym zlecisz pan, aby sprzedał wszystko, nie tracąc ni chwili, ni sekundy. Zresztą i tak mogę przybyć za późno.

— Do diabła — zatroskał się markiz. — Nie traćmy więc czasu.

Siadł przy stole i napisał list do agenta giełdowego, w którym nakazywał mu sprzedać obligacje za każdą cenę.

— Teraz, gdy mam ten list — rzekł Villefort, składając go starannie w portfelu — potrzebuję jeszcze drugiego.

— Do kogo?

---

[170] *Brutus* — w historii rzym. wyróżnili się dwaj Brutusowie: *Lucjusz Juniusz Brutus*: przywódca powstania przeciwko królowi Tarkwiniuszowi Pysznemu, założyciel republiki rzymskiej, pierwszy konsul (509 p.n.e.) oraz *Marek Juniusz Brutus*, zwany *Brutusem Młodszym* (85–42 p.n.e.): republikanin, uczestnik zamachu na życie Juliusza Cezara. [przypis edytorski]

[171] *renta* — procent od sum ulokowanych w banku, na giełdzie itp. [przypis edytorski]

[172] *obligacja* — papier wartościowy uprawniający posiadacza do otrzymywania stałego dochodu od przedsiębiorstwa, które ten papier wydało. [przypis edytorski]

— Do króla.

— Do króla?

— Tak.

— Ależ ja nie ośmielę się napisać tak do Najjaśniejszego Pana.

— Toteż nie wymagam tego właściwie od pana. Czy mógłby pan poprosić o to pana de Salvieux? Potrzeba mi takiego listu, za pomocą którego mógłbym dostać się do króla, omijając wszelkie formalności związane z prośbą o audiencję i nie tracąc cennego czasu.

— A czy nie możesz pan zwrócić się do ministra sprawiedliwości, który ciągle bywa w Tuileriach, i za którego pośrednictwem można z łatwością widzieć się z królem, czy w dzień, czy w nocy?

— Tak, naturalnie, ale nie chciałbym dzielić się z kimś zasługą, bo mam nie lada wiadomość. Pan markiz rozumie? Minister usunąłby mnie do drugiego rzędu i zdmuchnąłby mi sprzed nosa cały profit[173]. Powiem panu tylko jedno: mam zapewnioną karierę, jeśli pierwszy przybędę do Tuileries, wyświadczę bowiem taką przysługę królowi, że mu to nigdy nie pozwoli o mnie zapomnieć.

— W takim razie, mój drogi, pakuj manatki, a ja zawołam Salvieux i każę mu napisać list, który ci otworzy wszystkie drzwi.

— Dobrze, ale proszę o pośpiech, bo za kwadrans muszę już być w dyliżansie[174] pocztowym. Bądź pan uprzejmy wytłumaczyć mnie przed panią markizą i panną Renatą, że w takim dniu, choć z głębokim żalem, ale muszę je opuścić.

— Zastaniesz je pan w moim gabinecie i możesz się sam z nimi pożegnać.

— Dzięki stokrotne. Proszę, niech się pan zajmie moim listem.

Markiz zadzwonił, wszedł lokaj.

— Powiedz hrabiemu de Salvieux, że proszę go do siebie. A pan idź już — zwrócił się do Villeforta.

— Dobrze, idę i wracam za chwilę.

Villefort wybiegł; ale w drzwiach przyszło mu do głowy, że gdyby ujrzano zastępcę prokuratora królewskiego, jak biegnie ulicami, poruszyłoby to całe miasto. Poszedł więc dalej zwykłym urzędowo uroczystym krokiem.

Przed drzwiami domu spostrzegł jakąś postać, która czekała na niego w cieniu jak białe, nieruchome widziadło.

Była to piękna Katalonka, która nie wiedząc, co się stało z Edmundem, wymknęła się o zmierzchu z osady, aby dowiedzieć się sama, dlaczego aresztowano jej ukochanego. Na widok Villeforta oderwała się od ściany, o którą się opierała, i zastąpiła prokuratorowi drogę. Dantès mówił mu o swej narzeczonej i Villefort od razu domyślił się, kim jest dziewczyna. Zdumiała go jej uroda i dystynkcja[175], a gdy zapytała, co się stało z jej narzeczonym, Villefortowi wydało się przez chwilę, jakby to on był oskarżonym, a ona sędzią.

— Człowiek, o którego mnie pytasz, pani, jest wielkim przestępcą — rzekł niecierpliwie Villefort. — Nic nie mogę dla niego zrobić.

Mercedes zapłakała, ale gdy Villefort chciał przejść obok niej, na nowo zastąpiła mu drogę.

— Gdzież więc jest? Żebym mogła się choć dowiedzieć, czy jeszcze żyje?

— Nie wiem, nie zajmuję się już tym — odburknął Villefort.

I zakłopotany przenikliwym wzrokiem Mercedes i błagalną postawą, odepchnął ją i wszedł do domu, zatrzasnąwszy drzwi, jakby chciał zostawić za nimi cierpienie, którym tchnęła. Ale niełatwo odegnać czyjąś boleść. Unosimy ją ze sobą, jak człowiek zraniony strzałą śmiertelną, co go dosięgła. Villefort zamknął za sobą drzwi, ale przyszedłszy do salonu, zachwiał się, westchnął — a raczej zaszlochał — i rzucił się na krzesło.

Wyrzuty sumienia, Ambicja, Sędzia

Wtedy na dnie tego chorego serca zrodził się zaczątek śmiertelnego wrzodu. Ów człowiek, którego poświęcał dla swojej ambicji, ów niewinny, co miał ponieść karę za winy jego ojca, stanął mu przed oczyma blady i groźny, ciągnąc za sobą wyrzuty sumienia,

[173] *profit* — korzyść, zysk. [przypis edytorski]

[174] *dyliżans* (z fr. *diligence*: pośpiech) — kołowy pojazd konny używany od poł. XVI w. do poł. XIX w. do przewozu pasażerów i przesyłek pocztowych na stałych trasach obsługiwanych wg ustalonego rozkładu jazdy. [przypis edytorski]

[175] *dystynkcja* — elegancja i wytworność. [przypis edytorski]

brzmiące jak dźwięk głuchy i monotonny, wyrzuty, które tylko od czasu do czasu wymierzają cios w serce, zadając ból straszliwy, a ból taki jątrzy się i pogłębia aż do śmierci.

Wówczas Villefort zawahał się przez chwilę. Przecież tym razem skazał na dożywotnie więzienie człowieka niewinnego — niewinnego, który miał wkrótce dostąpić szczęścia, i któremu odbierał więc nie tylko wolność, ale i szczęście: tym razem nie okazał się sędzią, ale katem. Myśląc o tym, czuł w sobie to nieznane mu dotąd głuche kołatanie, które opisaliśmy powyżej, a które rozbrzmiewało gdzieś z głębin jego duszy i napełniało go niejasnym lękiem.

Gdyby w tej chwili w uchu Villeforta zabrzmiał łagodny głos Renaty, proszący go o łaskę; gdyby weszła piękna Mercedes i rzekła: „W imię Boga, który patrzy na nas i sądzi, zwróć mi narzeczonego", tak, to czoło pochylone pod ciężarem obowiązku pochyliłoby się jeszcze bardziej i zlodowaciała dłoń wyciągnęłaby się, by podpisać rozkaz uwolnienia Dantèsa, bez względu na wszelkie konsekwencje. Żaden jednak głos nie odezwał się w ciszy, a drzwi otwarły się po to tylko, by wpuścić lokaja, który przyszedł dać znać, że konie pocztowe już czekają.

Villefort powstał — a raczej zerwał się, jak ten, co zakończył zwycięsko wewnętrzną walkę, podbiegł do sekretarzyka, zabrał do kieszeni złoto z szufladki, przez chwilę kręcił się jeszcze spłoszony po pokoju, pocierając czoło i mamrocząc coś bez związku; w końcu, gdy poczuł, że służący nałożył mu na ramiona płaszcz, wyszedł, wskoczył do powozu i rozkazał jechać na ulicę du Grand Cours, do państwa de Saint-Méranów.

Na nieszczęsnego Dantèsa zapadł wyrok.

Jak to obiecał pan de Saint-Méran, Villefort zastał w gabineciku markizę i Renatę. Spostrzegłszy dziewczynę, zadrżał, bo bał się, że znowu błagać będzie go o uwolnienie Dantèsa. Ale niestety! Przyznajmy to, i niech wstydzą się egoiści: piękna dziewczyna myślała już tylko o wyjeździe narzeczonego.

Kochała Villeforta, a Villefort odjeżdżał niemal w chwili, gdy miał zostać jej mężem, i nie mógł powiedzieć, kiedy powróci; toteż Renata, zamiast żałować Dantèsa, przeklinała w nim tego, który przez swoje zbrodnie rozłączał ją z ukochanym.

A cóż mogłaby rzec Mercedes!

Miłość tragiczna

Na rogu ulicy de la Loge biedna Mercedes spotkała Fernanda, który na krok jej nie odstępował; wróciła do wioski i półżywa z rozpaczy rzuciła się na łóżko. Fernand padł przed łóżkiem na kolana, a że Mercedes nie reagowała, mógł tulić i okrywać gorącymi pocałunkami jej lodowatą dłoń, gdyż wydawała się niczego nie odczuwać.

Tak minęła noc, lampa zgasła, gdy zabrakło wreszcie oliwy, a Mercedes nie dostrzegała ciemności, jak wcześniej nie widziała światła; nadszedł dzień, nie dostrzegła i słońca. Cierpienie rzuciło na jej oczy zasłonę, przez którą widziała tylko Edmunda.

— Ach, jesteś tu! — rzekła w końcu, zwracając się do Fernanda.

— Od wczoraj nie opuszczałem cię na chwilę — odrzekł Fernand z bolesnym westchnieniem.

Pan Morrel zaś nie uważał jeszcze sprawy za przegraną. Dowiedziawszy się, że Dantès został po przesłuchaniu uwięziony, pobiegł do wszystkich przyjaciół, był u wszystkich wpływowych osobistości w Marsylii. Ale rozeszła się już pogłoska, że młodzieniec został aresztowany jako agent napoleoński, wszędzie przyjmowano go ozięble, udzielając wykrętnych i lękliwych odpowiedzi lub odmawiając wprost wstawienia się za Edmundem, albowiem w tym czasie najzuchwalsi uważali wysiłki Napoleona, pragnącego powrócić na tron, za szaleńcze marzenia; i pan Morrel wrócił do domu w rozpaczy, przyznając sam przed sobą, że sprawa jest tak trudna, iż nikt nie zdoła jej zaradzić.

Caderousse zdawał się także niespokojny i udręczony. Zamiast wyjść jak pan Morrel, zamiast starać się uczynić coś dla Dantèsa, któremu zresztą i tak niewiele mógłby pomóc, zamknął się w swojej izdebce z dwoma butelkami wina z czarnych porzeczek, chcąc utopić w trunku zmartwienie. Ale w stanie ducha, w jakim się znajdował, dwie butelczyny nie mogły uśpić mu jasności rozumowania. Podchmielił sobie na tyle, że nie mógł wyjść po więcej wina, ale za mało, aby to upojenie zatarło wszystkie wspomnienia; siedział, wsparłszy się łokciami o kulawy stół, naprzeciw dwóch pustych butelek, i zdawało mu się, że widzi wokół, jak pląsają w mdłym blasku łojówki[176] wszystkie widziadła, którymi

[176] *łojówka* — świeca z łoju. [przypis edytorski]

Hoffmann[177] usiał niby czarnym, fantastycznym kurzem stronice swoich manuskryptów, wilgotnych od ponczu[178].

Okrucieństwo, Ambicja, Korzyść

Danglars tylko nie dręczył się o nic i nie martwił. Danglars był nawet wesoły, bo zemścił się na wrogu, zapewnił sobie na statku stanowisko, które już by utracił. Danglars należał do tych ludzi wyrachowanych, co rodzą się z piórem za uchem i kałamarzem w miejsce serca: wszystko na świecie sprowadzało się dlań do mnożenia lub odejmowania; liczbę cenił więcej od człowieka, gdy ta liczba mogła powiększyć zysk, który człowiek był w stanie zmniejszyć.

Danglars więc położył się o zwykłej porze i spał spokojnie.

Villefort, otrzymawszy rekomendację od pana de Salvieux, ucałował policzki Renaty i dłoń markizy, a także uścisnął rękę markiza i ruszył do Paryża.

Ojciec Dantèsa niemal umierał z boleści i niepokoju.

Zaś co do Edmunda — wiemy, co się z nim działo.

10. GABINECIK W TUILERIACH

Zostawmy Villeforta na trakcie do Paryża, po którym pędził jak strzała, płacąc za potrójne zaprzęgi, i wejdźmy, mijając kilka większych salonów, do owego słynnego gabineciku z łukowatym oknem: ulubił[179] go sobie Napoleon I, następnie Ludwik XVIII, a dziś Ludwik Filip[180]. W tym to gabinecie król Ludwik XVIII, siedząc przy orzechowym stoliku, który sobie sprowadził z Hartwell — a lubił go niezmiernie (było to jedno z dziwactw, jakie zdarzają się wielkim tego świata) — słuchał dość nieuważnie słów pięćdziesięcioletniego mężczyzny o siwych włosach, szlachetnej postawie i nienagannie ubranego i notował coś na marginesie tomu Horacego[181] (w niezbyt poprawnym, choć cenionym wydaniu Gryphiusa[182]), który miał swój udział w formułowanych przez króla przenikliwych uwagach filozoficznych.

— Mówisz więc pan... — rzekł król.

— Że jestem bardzo niespokojny, Najjaśniejszy Panie.

— Doprawdy? Widziałeś więc pan we śnie siedem krów tłustych i siedem chudych?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, bo to zapowiadałoby tylko siedem lat żyznych, a siedem głodu, a za panowania tak przewidującego króla, jak Najjaśniejszy Pan, nie musimy lękać się głodu.

— Jakaż więc inna czeka nas plaga, kochany panie Blacas?

— Najjaśniejszy Panie, sądzę... i mam wszelkie prawo, aby tak sądzić, że od południa zbiera się burza...

— No, mój kochany hrabio — odrzekł Ludwik XVIII — widzę, że źle pana poinformowano, bo ja wiem z całą pewnością, że tam teraz pogoda najpiękniejsza pod słońcem.

Jakkolwiek Ludwik XVIII był człowiekiem dowcipnym, lubił banalne żarciki.

— Czy Najjaśniejszy Pan nie raczyłby posłać, ot tak, aby uspokoić wiernego sługę, kilku zaufanych ludzi do Langwedocji, Prowansji i Delfinatu[183], aby przekonali się o nastrojach wśród tamtejszej ludności?

— *Canimus surdis*[184] — odrzekł król, nie przestając robić notatek na marginesie Horacego.

---

[177] *Hoffmann, Ernst Theodor Amadeus* a. *Hoffman, E.T.A.* (1776–1822) — niem. pisarz, kompozytor i rysownik. Jeden z prekursorów fantastyki z elementami grozy. Twórca m.in. *Historii o dziadku do orzechów* czy *Mistrza Pchły*. [przypis edytorski]

[178] *poncz* — gorący napój alkoholowy na bazie herbaty i rumu. [przypis edytorski]

[179] *ulubić sobie* (daw.) — upodobać sobie [przypis edytorski]

[180] *Ludwik Filip* (1773–1850) — ostatni król Francji z dynastii Burbonów, panował w latach 1830–1848. [przypis edytorski]

[181] *Horacy*, właśc. *Quintus Horatius Flaccus* (65–8 p.n.e.) — wybitny rzym. poeta liryczny, autor liryk, satyr i listów. [przypis edytorski]

[182] *Gryphius, Sebastian* (ok. 1493–1556) — niem. humanista, założyciel słynnej drukarni w Lyonie, która wydawała dzieła autorów łacińskich. [przypis edytorski]

[183] *Langwedocja*, *Prowansja* i *Delfinat* — regiony znajdujące się na płd. Francji. [przypis edytorski]

[184] *canimus surdis* (łac.) — głuchym śpiewamy (Wergiliusz, *Bukoliki* X 8) [przypis edytorski]

— Sire[185] — odpowiedział dworak z uśmiechem, udając, że zrozumiał hemistych[186] poety z Wenuzji[187]. — Wasza Królewska Mość ma zapewne słuszność, polegając na poddanych, ale obawiam się, że nie mylę się całkiem, spodziewając się jakichś rozpaczliwych prób...

— Z czyjej strony?

— Ze strony Bonapartego, a przynajmniej jego stronników.

— Kochany Blacas, z pańskimi obawami nie dajesz mi pan pracować.

— A spokój Najjaśniejszego Pana nie daje mi zasnąć.

— Chwileczkę, hrabio. Przyszła mi do głowy wspaniała myśl na temat *Pastor quum traheret*[188], niech tylko skończę, a będziesz pan mówił dalej.

Nastała chwila milczenia, w czasie której Ludwik XVIII zapisał maczkiem nową uwagę na marginesie Horacego; po czym rzekł:

— Mów teraz, drogi hrabio — i powstał z zadowoloną miną człowieka, który sądzi, że wpadł na nową myśl, a nie na komentarz do cudzej idei. — Mów dalej, słucham.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Blacas, który miał przez chwilę nadzieję, że przejmie dla siebie profit z wieści przyniesionych przez Villeforta. — Muszę uprzedzić Waszą Wysokość, że to niezwyczajne, nieoparte na niczym pogłoski, gadanie na wiatr, które mnie zaniepokoiło. Właśnie przybył pocztowymi końmi człowiek rozsądny, godny zaufania, któremu powierzyłem czuwanie nad południową częścią kraju — hrabia wymówił te słowa z pewną trudnością — przybył po to, aby powiedzieć mi: „królowi grozi wielkie niebezpieczeństwo". Dlatego przybiegłem co sił, sire.

— *Mala ducis avi domum*[189] — czytał Ludwik XVIII, notując dalej.

— Czy Wasza Królewska Mość zakazuje mi nastawać dłużej na ten temat?

— Bynajmniej, kochany hrabio. Ale sięgnij pan ręką na lewo...

— Tu, sire?

— Mówię panu na lewo, a pan szuka na prawo! Miałem na myśli: na lewo ode mnie. Brawo, trafiłeś pan. Musi tam być raport ministra policji z wczorajszą datą... O, ale proszę, oto i pan Dandré we własnej osobie... Powiedziałeś wszak, że to pan Dandré? — zwrócił się król do kamerdynera, który właśnie zaanonsował[190] ministra policji.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, pan baron Dandré — powtórzył kamerdyner.

— Słusznie, baron — podjął Ludwik z niemal niedostrzegalnym uśmiechem. — Niech pan wejdzie, baronie, i opowie hrabiemu wszystko, co tylko wiesz nowego o panu Bonaparte. Nie kryj nic przed nami, choćby sytuacja była najcięższa. Przekonajmy się, czy wyspa Elba jest wulkanem, z którego wybuchnie wojna gorąca i sroga: *bella, horrida bella*[191]?

Pan Dandré zakołysał się z gracją, wsparty dłońmi o oparcie fotela.

— Czy Najjaśniejszy Pan — rzekł — czy raczył przejrzeć raport wczorajszy?

— Tak, ale powtórz pan to sam hrabiemu, co tam było, bo go nie może znaleźć. Opowiedz mu, co uzurpator robi na wyspie.

— Panie hrabio — rzekł baron. — Wszyscy wierni słudzy Jego Królewskiej Mości powinni się cieszyć z najświeższych nowin dochodzących z Elby. Bonaparte...

Tu spojrzał na Ludwika XVIII, który zajęty swoimi notatkami ani się obejrzał.

— Bonaparte — mówił dalej baron — nudzi się śmiertelnie; spędza całe dni na doglądaniu pracy górników w Porto Longone[192].

— I co rusz się drapie, aby się trochę rozerwać — rzekł król.

— Drapie się — zdumiał się hrabia. — Co Najjaśniejszy Pan ma na myśli?

---

[185]*sire* (fr.) — panie. [przypis edytorski]

[186]*hemistych* (z gr.) — połówka wersu wiersza, wyodrębniona przez cezurę (średniówkę). [przypis edytorski]

[187]*poeta z Wenuzji* — tj. urodzony w Wenuzji Horacy. W rzeczywistości powyższy cytat nie jest autorstwa Horacego, a Wergiliusza. [przypis edytorski]

[188]*pastor quum traheret* (łac.) — gdy pasterz wiódł (Helenę); początek ody mitologicznej Horacego o porwaniu Heleny przez Parysa do Troi (*Pieśni* I 15, 1). [przypis edytorski]

[189]*mala ducis avi domum* (łac.) — pod złą wróżbą wiedziesz do domu (Horacy, *Pieśni* I 15, 5); słowa Nereusa ostrzegającego Parysa, że sprowadzenie Heleny do Troi wywoła wojnę i zagładę miasta. [przypis edytorski]

[190]*anonsować* (z fr. *annoncer*: zapowiadać, obwieszczać) — oznajmiać czyjeś przybycie. [przypis edytorski]

[191]*bella, horrida bella* (łac.) — wojny, straszne wojny (Wergiliusz, *Eneida* VI 86; przepowiednia Sybilli). [przypis edytorski]

[192]*Porto Longone* — gmina znajdująca się na Elbie; dziś zwana Porto Azzurro. [przypis edytorski]

— Ależ tak, drogi hrabio. Czyżby zapomniał pan, że ten wielki człowiek, ten heros, ten półbóg jest dotknięty chorobą, która go wprost pożera, zwaną *prurigo*[193]?

— Powiem więcej, panie hrabio — dorzucił minister policji — jesteśmy prawie pewni, że uzurpatorowi wkrótce pomiesza się rozum.

— Pomiesza się rozum?

— I to zupełnie. Już teraz bzikuje. Czasem płacze gorącymi łzami, to znowu śmieje się na całe gardło; czasem całe godziny spędza nad brzegiem morza, puszczając kaczki, a kiedy kamyk odbije się pięć lub sześć razy, kontent jest tak, jakby wygrał znowu bitwę pod Marengo lub Austerlitz; czyż to nie są wyraźne symptomy szaleństwa?

Więzień, Szaleństwo

— Albo też mądrości, panie baronie, może mądrości — rzekł Ludwik XVIII, śmiejąc się. — Bo przecież kaczki puszczali z upodobaniem wielcy wodzowie starożytności. Przeczytaj pan u Plutarcha[194] życie Scypiona Afrykańskiego[195].

Pan de Blacas popadł w głęboką zadumę nad niefrasobliwością tych dwóch osobistości. Villefort nie powiedział mu wprawdzie wszystkiego, nie chcąc pozwolić, by kto inny skorzystał na jego nowinach, ale wyjawił jednak dość, aby zaniepokoić ministra.

— Tyle wystarczy, panie baronie — odezwał się Ludwik XVIII — widzisz przecież, że pan Blacas nie chce się dać przekonać. Lepiej powiedz, jak tam z nawróceniem uzurpatora?

— Nawrócenie uzurpatora? — szepnął hrabia, patrząc to na króla, to na pana Dandré, którzy rozmawiali w tak nierzeczywisty sposób, jak sielankowi pasterze Wergiliusza[196].

— Tak, panie hrabio! — odparł minister z najpoważniejszą w świecie miną. — Napoleon dokonywał ostatnio przeglądu wojsk i gdy kilku wiarusów[197], jak ich sam nazywa, zdradziło się z chęcią powrotu do Francji, zwolnił ich ze służby i przypomniał, aby służyli prawowitemu królowi. Tak powiedział, panie hrabio, jestem tego całkowicie pewien.

— I cóż pan o tym myśli, Blacas? — zapytał triumfująco król, porzucając na chwilę wertowanie grubego tomu komentarzy, który leżał przed nim.

— Myślę, Najjaśniejszy Panie, że albo minister policji myli się, albo mylę się ja. Ponieważ jednak jest niemożliwe, aby pan minister policji, strzegący bezpieczeństwa i honoru Waszej Królewskiej Mości, mógł być w błędzie, to ja zapewne się omyliłem. Przecież, będąc na miejscu Waszej Królewskiej Mości, wybadałbym osobę, o której wspomniałem; a ja będę nawet nalegał, aby Wasza Królewska Mość wyświadczył jej tę łaskę.

— Bardzo chętnie, hrabio; za pańskim wstawiennictwem przyjmę, kogo zechcesz, ale chcę przyjąć go z orężem w ręku. Panie ministrze, czy nie masz pan nowszego raportu, bo ten jest z 20 lutego, a dziś mamy 4 marca.

— Nie mam, Najjaśniejszy Panie, ale oczekuję go lada moment. Wyszedłem rano; być może w czasie mojej nieobecności coś przyszło.

— Idź więc pan do prefektury[198], a jeśli nie ma raportu… to cóż… — mówił dalej z uśmiechem Ludwik XVIII. — To go pan wysmaż, przecież tak to się u was robi?

— O, Najjaśniejszy Panie — zaoponował minister. — Dzięki Bogu nie potrzebujemy tu nic wymyślać; co dzień nasze biurka usłane są szczegółowymi denuncjacjami, które są dziełem całego tłumu hołyszów[199], liczących na wdzięczność za usługi, których naprawdę nie oddają, ale które pragnęliby oddawać. Mówią coś na chybił trafił i mają nadzieję, że pewnego dnia ich przepowiednie nagle się urzeczywistnią.

— Idź więc, mój panie — rzekł Ludwik XVIII — i pamiętaj, że czekam tu na ciebie.

— Pójdę, Najjaśniejszy Panie, i za dziesięć minut wracam.

— A ja, sire — rzekł Blacas — idę po mojego wysłannika.

---

[193] *prurigo* (łac.) — przewlekły liszaj pospolity; potocznie świerzb. [przypis edytorski]

[194] *Plutarch* (ok. 50 n.e.–ok. 125 n.e.) — gr. filozof i historyk, autor *Żywotów sławnych mężów*. [przypis edytorski]

[195] *Scypion Afrykański* (236 p.n.e.–183 p.n.e.) — wódz rzym. żyjący w okresie II wojny punickiej; zwyciężył Hannibala. [przypis edytorski]

[196] *Wergiliusz*, właśc. *Publius Vergilius Maro* (70–19 p.n.e.) — wybitny rzym. poeta, autor m.in. *Bukolik*(sielanek). [przypis edytorski]

[197] *wiarus* — stary, a zatem doświadczony i zasłużony żołnierz. [przypis edytorski]

[198] *prefektura* — we Francji: siedziba prefekta, naczelnika administracji departamentu, reprezentanta władzy centralnej. [przypis edytorski]

[199] *hołysz* (z ukr., pogard.) — biedak. [przypis edytorski]

— Ale nie spiesz się tak pan, nie spiesz — rzekł król. — Doprawdy, chyba muszę zmienić panu herb. Dam panu orła z rozpostartymi skrzydłami, trzymającego w szponach ofiarę, która na próżno usiłuje uciec.

— Słucham, Najjaśniejszy panie — rzekł Blacas, gryząc z niecierpliwości palce.

— Chciałbym się pana poradzić w tym miejscu: *Molli fugies anhelitu*[200]. Wiesz pan naturalnie, że tu chodzi o jelenia ściganego przez wilka. Przecież jest pan myśliwym i wielkim łowczym? Co pan myśli o tym *molli anhelitu*?

— To wyborne, Najjaśniejszy Panie. Ale pozwolę sobie zauważyć, że podobny do owego rączego jelenia jest mój wysłannik, bo zrobił dwieście mil drogi dyliżansem pocztowym, i to zaledwie w trzy dni!

— Tyle trudów i starań, mój kochany hrabio; a czy nie mamy telegrafu[201], który w kilka godzin udziela wiadomości, i przy tym wcale się nie zmęczy?

— Najjaśniejszy Panie, czy tak nagradzasz człowieka, który przybywa z tak daleka i z takim poświęceniem, aby ci przekazać pożyteczną informację? Racz go, Najjaśniejszy Panie, przyjąć, choćby przez wzgląd na pana de Salvieux, który mi go polecił.

— Pan de Salvieux, szambelan mego brata?

— Ten sam.

— Rzeczywiście, przecież mieszka w Marsylii.

— Właśnie stamtąd pisze do mnie.

— Czy wspomina ci coś o tym spisku?

— Nie, poleca tylko moim względom pana de Villeforta i prosi, abym mu wyjednał audiencję u Waszej Królewskiej Mości.

— Pan de Villefort! — zawołał król. — Ten wysłannik nazywa się Villefort?

— Tak, sire.

— Czemużeś mi od razu nie wymienił jego nazwiska? — spytał król, okazując po raz pierwszy niepokój.

— Sire, nie myślałem, że to nazwisko jest znajome Najjaśniejszemu Panu.

— O, tak, znam go dobrze, kochany Blacas, to człowiek poważny, kształcony, a nade wszystko ambitny; i, do licha, znasz pan przecież jego ojca!

— Jego ojca?

— Tak, to Noirtier.

— Noirtier żyrondysta? Noirtier senator?

— Ten sam.

— I Wasza Królewska Mość przyjął na swe usługi syna takiego człowieka?

— Kochany hrabio, mówiłem, że Villefort to karierowicz; aby dopiąć celu, poświęci własnego ojca.

— A więc mam go wprowadzić?

— Natychmiast, hrabio. Gdzież on jest?

— Czeka na mnie zapewne na dole, w moim powozie.

Hrabia wyszedł żywo jak młodzieniec; zapał, z jakim spełniał swoje obowiązki wobec monarchii, zdawał się ujmować mu z dwadzieścia lat.

Ludwik XVIII pozostał sam, a przenosząc wzrok na otwarty tom Horacego, wyszeptał:

— *Justum et tenacem propositi virum*[202].

Dwór, Obyczaje, Pozycja społeczna

Pan Blacas wrócił z tą samą szybkością, z jaką wypadł z gabinetu; ale w przedpokoju zmuszony był powołać się na autorytet królewski. Zakurzone ubranie Villeforta, ubranie, w którym nie było nic, co zgadzałoby się z wymogami etykiety, zdenerwowało pana de Bréżé, zdziwionego, że ten młody człowiek miał zamiar stanąć przed królem w takim stroju. Hrabia usunął wszystkie te trudności, rzekłszy tylko: „Rozkaz króla" i pomimo kilku jeszcze zastrzeżeń, jakie wysuwał mistrz ceremonii, Villefort został wprowadzony.

[200] *molli fugies anhelitu* (łac.) — umkniesz z zapartym oddechem (Horacy, *Pieśni* I 15, 31; tłum. Józef Zawirowski) [przypis edytorski]

[201] *telegraf* — urządzenie służące do przesyłania wiadomości tekstowych na odległość; do powszechnego użytku wszedł we Francji pod koniec XVIII w. [przypis edytorski]

[202] *justum et tenacem propositi virum* (łac.) — męża sprawiedliwego i niewzruszonego... (nikt nie zwiedzie z drogi i nic nim nie zachwieje); początek wiersza Horacego (*Pieśni* III 3, 1) [przypis edytorski]

Król siedział na tym samym miejscu, gdzie go zostawił hrabia. Otwarłszy drzwi, Villefort stanął naprzeciw króla i ulegając pierwszemu odruchowi, zatrzymał się.

— Niech pan wejdzie, panie de Villefort — rzekł król.

Villefort skłonił się i postąpił kilka kroków, czekając, aż król odezwie się pierwszy.

— Panie de Villefort — ciągnął Ludwik XVIII — hrabia de Blacas mi donosi, że pan masz mi coś ważnego do powiedzenia.

— Najjaśniejszy Panie, hrabia ma słuszność, i mam nadzieję, że Wasza Królewska Mość sam to przyzna.

— Przede wszystkim, czy zło jest pańskim zdaniem tak wielkie, jak mi je przedstawiano?

— Najjaśniejszy Panie, sądzę, że jest bliskie, ale mam nadzieję, że dzięki mojemu pośpiechowi uda się mu zapobiec.

— Opowiedz mi pan wszystko dokładnie — rzekł król, zaczynając ulegać wzburzeniu, które tak zmieniło twarz pana de Blacasa i czyniło drżącym głos Villeforta. — Mów, a przede wszystkim proszę cię, zaczynaj *ab ovo*[203]; lubię, aby wszędzie panował porządek.

— Najjaśniejszy Panie, przedstawię wierne sprawozdanie z całej sprawy, ale proszę Waszej Królewskiej Mości o pobłażliwość, jeśli moje słowa wydadzą się czasem niejasne, co spowodowane będzie jedynie onieśmieleniem, w jakim się znajduję.

Villefort sprawdził jednym rzutem oka, że to zręczne pochlebstwo zapewniło mu przychylność znakomitego słuchacza i mówił dalej:

— Najjaśniejszy Panie, przybyłem do Paryża jak mogłem najprędzej, aby powiadomić Waszą Królewską Mość, że w ramach moich czynności urzędowych odkryłem zamach, zamach prawdziwy. Nie jeden z owych zwyczajnych spisków bez następstw, jakie codziennie knuje motłoch albo wyrzutki z armii, ale prawdziwa burza zagrażająca tronowi Waszej Królewskiej Mości! Najjaśniejszy Panie, uzurpator uzbroił trzy okręty; ma jakiś plan, być może zupełnie absurdalny, ale niemniej przez to straszliwy. W tej chwili opuścił już zapewne Elbę i zmierza, nie wiem, gdzie, ale będzie na pewno chciał wylądować albo w Neapolu, albo w Toskanii, albo nawet we Francji. Wasza Królewska Mość wie z pewnością, że pan Elby utrzymuje nadal stosunki z Włochami i Francją?

— O, wiem, mój panie, wiem — rzekł król, wyraźnie poruszony. — Niedawno doniesiono mi, że na ulicy Saint-Jacques odbywają się zebrania bonapartystów. Mów pan jednak dalej, skąd masz te wszystkie szczegóły?

— Najjaśniejszy Panie, zebrałem te informacje, przesłuchując pewnego mieszkańca Marsylii, którego kazałem śledzić już od dłuższego czasu i którego aresztowałem w dniu mojego wyjazdu; człowiek ten, marynarz i niespokojny duch, podejrzany dawno o bonapartyzm, był potajemnie na Elbie. Widział się z marszałkiem, odebrał od niego ustne zlecenie do jakiegoś bonapartysty w Paryżu, którego nazwiska nie mogłem od niego w żaden sposób wyciągnąć. Treść tej wiadomości zalecała przygotowywać umysły na pewny i rychły (Najjaśniejszy Pan zwróci uwagę, że są to słowa oskarżonego) powrót Napoleona.

— Gdzież jest ten człowiek? — zapytał Ludwik XVIII.

— W więzieniu, Najjaśniejszy Panie.

— Uważasz więc pan tę sprawę za poważną?

— Tak poważną, Sire, że choć dowiedziałem się o tym zdarzeniu podczas rodzinnej uroczystości, w dzień moich zaręczyn, porzuciłem wszystko, narzeczoną, przyjaciół, odłożyłem wszystko na później, aby złożyć Waszej Królewskiej Mości świadectwo moich obaw i dowód prawdziwego oddania.

— Prawda — odrzekł Ludwik XVIII. — Wszak podobno projektowano[204] pańskie małżeństwo z panną de Saint-Méran?

— Córką najwierniejszego sługi Waszej Królewskiej Mości.

— Tak, tak, ale wróćmy do spisku.

— Najjaśniejszy Panie, obawiam się, że to nie spisek — to prawdziwe sprzysiężenie.

— Zamach w tym czasie — rzekł Ludwik XVIII z uśmiechem — łatwo zaplanować, ale trudniej doprowadzić do skutku, choćby dlatego tylko, że odzyskawszy niemalże wczoraj tron naszych przodków, czujnym okiem spoglądamy zarówno na przeszłość,

[203] *ab ovo* (łac.) — od początku [przypis edytorski]

[204] *projektować* — tu: zamierzać coś, planować coś. [przypis edytorski]

jak na teraźniejszość i przyszłość. Od dziesięciu miesięcy moi ministrowie wzmacniają straż nad brzegami Morza Śródziemnego. Gdyby Bonaparte wylądował w Neapolu, cała Koalicja[205] zerwałaby się na równe nogi, zanim by doszedł do Piombino[206]; gdyby wylądował w Toskanii, wysiadłby na wrogą mu ziemię, gdyby zaś wylądował we Francji, miałby przecież tylko garstkę ludzi i łatwo byśmy go pokonali, skoro jest tak znienawidzony przez ludność. Przestań się więc pan trapić, ale pamiętaj, że możesz i tak liczyć na naszą wdzięczność.

— Ach! Otóż i minister policji — zawołał hrabia Blacas.

I rzeczywiście, w tejże chwili ukazał się na progu minister policji, blady i drżący; mrużył powieki, jakby poraziło go nagłe światło. Villefort postąpił ku drzwiom, ale zatrzymał go pan de Blacas, ściskając znacząco za rękę.

II. POTWÓR KORSYKAŃSKI

Na widok tak wzburzonego ministra Ludwik XVIII odepchnął gwałtownie stół, za którym siedział.

— Cóż się z panem dzieje, baronie? — zawołał. — Wydajesz się straszliwie poruszony! Czyżby twój niepokój i pomieszanie miały jakiś związek z tym, co mi mówił pan de Blacas, a co właśnie potwierdził pan de Villefort?

Pan de Blacas podbiegł także do barona, ale lęk, jaki odczuwał, będąc dworakiem, nie pozwalał mu na radość z triumfu własnych racji; w takich okolicznościach wolałby bez wątpienia dać się upokorzyć prefektowi policji, aniżeli go zgnębić.

— Sire... — wyjąkał baron.

— No i cóż, mów pan — odezwał się Ludwik.

Minister policji rzucił się w rozpaczy do stóp monarchy, który marszcząc brew, cofnął się o krok.

— Ach, Najjaśniejszy Panie! Okropne nieszczęście! Zasługuję tylko na politowanie!

— Mój panie — rzekł Ludwik XVIII — mów pan wreszcie!

— Otóż, Najjaśniejszy Panie, uzurpator 26 lutego opuścił Elbę, a 1 marca wylądował.

— Gdzie? — zagadnął żywo król.

— We Francji, Najjaśniejszy Panie, w małym porcie niedaleko Antibes, w zatoce Juan.

— 1 marca uzurpator ląduje we Francji, niedaleko Antibes[207], w zatoce Juan, o dwieście pięćdziesiąt mil od Paryża, a pan otrzymujesz tę wiadomość dopiero 3 marca! Ech, panie, to co mi pan tu mówisz to niemożliwe, albo ci dostarczono fałszywy raport, albo pan oszalał.

— Niestety, Najjaśniejszy Panie, to wszystko prawda.

Ludwik XVIII zerwał się z trudnym do opisania gniewem i przestrachem, jakby ten niespodziany cios ugodził go razem w serce — i w policzek.

— We Francji! Uzurpator we Francji! Więc nie pilnowano wcale tego człowieka? Albo też kto wie, może mu sprzyjano?

— Ach, Najjaśniejszy Panie! — zawołał hrabia de Blacas. — Pan minister nie jest kimś, kogo można by posądzać o zdradę. My wszyscy, Najjaśniejszy Panie, byliśmy ślepi, a on podzielił tylko to ogólne zaślepienie, i ot, cały powód.

— Ale... — rzekł Villefort, potem nagle wstrzymał się i dodał: — Ach, Najjaśniejszy Panie, przebacz mi zbytnią gorliwość. Niech mi Wasza Królewska Mość daruje.

— Mów pan, mów śmiało — rzekł Ludwik XVIII. — Ty jeden uprzedziłeś nas o nieszczęściu, pomóż więc teraz mu zaradzić.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Villefort. — Uzurpatora nienawidzą na Południu, zdaje mi się zatem, że jeżeli odważy się zapuścić właśnie na Południe, łatwo będziemy mogli poruszyć przeciw niemu Prowansję i Langwedocję.

— Tak, oczywiście — wtrącił minister. — Ale on postępuje od Gap i Sisteron[208].

---

[205] *koalicja antyfrancuska* — w okresie wojen napoleońskich powstało, głównie z inicjatywy Wielkiej Brytanii, wiele sojuszy przeciwko Napoleonowi zwanych koalicjami antyfrancuskimi. [przypis edytorski]

[206] *Piombino* — miejscowość w Toskanii. [przypis edytorski]

[207] *Antibes* — miejscowość w płd.-wsch. Francji. [przypis edytorski]

[208] *Gap i Sisteron* — miejscowości w hist. regionach Prowansji i Delfinatu. [przypis edytorski]

— Postępuje, postępuje! — obruszył się Ludwik XVIII. — A więc idzie prosto na Paryż?

Minister policji umilkł i to milczenie równało się potwierdzeniu.

— A Delfinat? — zapytał król Villeforta. — Sądzisz pan, że będzie można go podburzyć tak jak Prowansję?

— Niechętnie wyznam Waszej Królewskiej Mości okrutną prawdę, ale usposobienie w Delfinacie różni się całkiem od ducha panującego w Prowansji i Langwedocji. Górale są żarliwymi bonapartystami.

— A więc — mruknął ze złością Ludwik XVIII — dobre miał informacje. Ileż ma z sobą ludzi?

— Nie wiem, Najjaśniejszy Panie — odrzekł minister policji.

— Jak to nie wiesz! Zapomniałeś pan dowiedzieć się o ten szczegół! Ale prawda, to rzecz o niewielkim znaczeniu — dodał z ironicznym uśmiechem.

— Najjaśniejszy Panie, depesza obejmowała tylko tę krótką wiadomość i drogę, jaką obrał uzurpator.

— A w jaki sposób otrzymałeś tę depeszę? — zapytał król.

Minister spuścił głowę, żywy rumieniec wystąpił mu na twarz.

— Przez telegraf, Najjaśniejszy Panie.

Ludwik XVIII postąpił krok naprzód i skrzyżował ręce, tak jak to zwykł czynić Napoleon.

— A więc — rzekł, blednąc ze złości — siedem sprzysiężonych armii pokonało tego człowieka; cud boski zwrócił mi tron moich ojców po dwudziestu pięciu latach wygnania; przez te dwadzieścia pięć lat studiowałem, badałem, zgłębiałem ludzi i sprawy Francji, ziemi, która była mi obiecana, aby w jednej chwili, kiedy już osiągnąłem cel moich pragnień, ta siła, którą już dzierżyłem w ręku, wybuchła i rozerwała mnie na strzępy!

— Najjaśniejszy Panie, to fatum[209] — szepnął minister.

— A więc to prawda, co mówią o nas nasi wrogowie: nic nie nauczyć się, to i nic nie zapomnieć! Pocieszyłbym się jeszcze, gdybym został zdradzony, tak jak on. Ale być otoczonym przez ludzi, których sam wyniosłem na ich stanowiska, którzy powinni strzec mnie jak źrenicy w oku, bo mój los stanowi o ich losie, i zginąć marnie przez ich brak umiejętności, przez ich głupotę! O, tak, masz pan rację, to fatum.

Minister stał, pochylając się coraz niżej pod tym straszliwym oskarżeniem. Pan de Blacas ocierał czoło z potu. Villefort uśmiechał się w duchu, czując, jak wzrasta jego znaczenie.

— Upaść! — mówił dalej Ludwik XVIII, który błyskawicznie pojął, w jak głęboką przepaść staczała się monarchia — upaść! I dowiedzieć się o tym przez telegraf. Och! Wolałbym zginąć jak mój brat Ludwik XVI na szafocie, niż tak schodzić po schodach Tuileriów, wystawiony na pośmiewisko. Nie wiesz pan, co znaczy narazić się na śmieszność we Francji?

— Sire, sire, przez litość! — szeptał minister.

— Zbliż się pan — rzekł król, zwracając się do Villeforta stojącego nieruchomo z boku. — Zbliż się pan i wyjaśnij panu Dandré, że można było jednak dowiedzieć się o tym, o czym on nie wiedział.

— Najjaśniejszy Panie, niemożliwe było dociec, jakie miał zamiary ów człowiek, ukrywał je przed całym światem.

— Niemożliwe! Oto wielkie słowo, proszę pana! Niestety widzę, że wielkie słowa bywają jak wielcy ludzie, dobrze poznałem jedno i drugie. Naprawdę było to niemożliwe dla ministra, który ma w swoim ręku cały aparat administracyjny, biura, agentów, szpicli i szpiegów, i półtora miliona tajnego funduszu, dowiedzieć się, co się dzieje o sześćdziesiąt mil od brzegu Francji? A więc patrz pan: oto człowiek, który nie miał do dyspozycji żadnego z tych środków, oto prosty sądownik, który więcej wiedział niż pan z całą swoją policją, i który, gdyby tak jak pan miał pod swoją władzą telegraf, byłby ocalił moją koronę.

Wzrok ministra, w którym malowała się głęboka niechęć, padł na Villeforta, który pochylił głowę ze skromnością triumfatora.

---

[209] *fatum* (łac.) — przeznaczenie; los. [przypis edytorski]

— Nie mówię tego do pana, kochany Blacas — mówił dalej Ludwik XVIII — bo chociaż sam nic nie odkryłeś, upierałeś się przy podejrzeniach, okazując w tym wiele zdrowego rozsądku; ktoś inny może uważałby rewelacje pana de Villeforta za nic nieznaczące lub dyktowane pragnieniem zysku.

Była to przymówka[210] do tego, co minister policji jeszcze przed godziną mówił z taką pewnością.

Villefort zrozumiał grę króla. Ktoś inny dałby się może uwieść i odurzyć nektarem pochwał, on jednak, domyślając się, że pan Dandré traci stanowisko, lękał się zyskać w ministrze policji śmiertelnego nieprzyjaciela. Przecież ten sam minister, który będąc u szczytu potęgi, nie umiał przeniknąć tajemnicy Napoleona, mógłby jeszcze w agonii odkryć tajemnicę Villeforta: wystarczyłoby wziąć na przesłuchanie Dantesa. Zamiast więc pognębić do reszty ministra, przyszedł mu na pomoc.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Villefort. — Szybkość, z jaką rozgrywają się te wypadki, dowodzi, że tylko sam Bóg mógł powstrzymać te plany. A co Wasza Królewska Mość uważa za moją przenikliwość, jest po prostu czystym przypadkiem. A ja tylko, jako wierny sługa tronu, skorzystałem z tego przypadku. Niech Wasza Królewska Mość nie przypisuje mi więcej, niż zasłużyłem.

Minister policji podziękował wymownym spojrzeniem młodemu człowiekowi, a Villefort zrozumiał, że jego zamiary powiodły się: nie tracił nic z wdzięczności króla i zyskiwał jednocześnie przyjaciela, na którego w razie potrzeby mógłby liczyć.

— Dobrze już — rzekł król. — A teraz, moi panowie — zwrócił się do pana de Blacas i ministra — możecie już odejść, nie potrzebuję was; resztą zajmie się minister wojny.

— Szczęściem — ozwał się pan de Blacas — możemy liczyć na wojsko. Wasza Królewska Mość wie, że wszystkie raporty odmalowują jego oddanie dla Najjaśniejszego Pana.

— Nie wspominaj pan o raportach, wiem już, jaką można do nich przywiązywać wagę. Ale, mówiąc o raportach, panie baronie, co się pan dowiedział o aferze z ulicy Saint-Jacques?

— O aferze z ulicy Saint-Jacques! — zawołał Villefort, nie mogąc się powstrzymać.

Lecz nagle urwał i dodał:

— Proszę mi darować, moje oddanie dla Waszej Królewskiej Mości sprawia, że zapominam ciągle nie tyle o czci dla Najjaśniejszego Pana, bo ten szacunek wyryty jest w moim sercu, ale o prawidłach etykiety.

— Panie de Villefort, niech się pan nie kłopocze — rzekł Ludwik XVIII. — Dzisiaj zyskałeś prawo do stawiania pytań.

— Sire — odezwał się minister policji. — Właśnie miałem udzielić Najjaśniejszemu Panu nowych informacji otrzymanych na ten temat, gdy okropna historia z zatoką Juan odwróciła uwagę Najjaśniejszego Pana. Ale teraz te wiadomości nie zaciekawiłyby króla.

— Przeciwnie, przeciwnie, mój panie — rzekł Ludwik XVIII. — Wydaje mi się, że ta afera pozostaje w ścisłym związku z katastrofą, o której mówimy, a śmierć generała Quesnela odkryje nam być może ślad wielkiego spisku wewnątrz kraju.

Villefort zadrżał na wzmiankę o generale Quesnelu.

— W rzeczy samej, każe nam sądzić — odpowiedział minister policji — że śmierć ta nie jest skutkiem samobójstwa, jak z początku mniemano, ale morderstwa. Wygląda, że generał Quesnel zniknął zaraz po wyjściu z klubu bonapartystów. Rano przyszedł do niego jakiś nieznajomy i wyznaczył mu spotkanie przy ulicy Saint-Jacques. Nieszczęściem lokaj generała, który go czesał w chwili, kiedy wprowadzono tego nieznajomego do gotowalni[211], usłyszał dokładnie, że spotkanie miało się odbyć na ulicy Saint-Jacques, ale nie pamięta numeru domu.

W miarę jak minister policji objaśniał ów wypadek, Villefort, który zdawał się wpatrzony w każdy ruch jego warg, czerwienił się i bladł na przemian.

A król zwrócił się do niego:

[210] *przymówka* (daw.) — złośliwy zarzut. [przypis edytorski]
[211] *gotowalnia* (daw.) — pokój do ubierania się. [przypis edytorski]

— Panie de Villefort, wszak jesteś tego samego zdania co i ja, że generał, którego uważano za stronnika uzurpatora, a który był w rzeczywistości oddany mi całkowicie, padł ofiarą jakiegoś bonapartysty?

— Bardzo możliwe — odpowiedział Villefort — ale czy nic więcej nie wiadomo?

— Policja jest na tropie tego nieznajomego, który wyznaczył spotkanie.

— Na tropie nieznajomego? — powtórzył Villefort machinalnie.

— Tak jest, służący podał jego rysopis: ma to być mężczyzna lat od pięćdziesięciu do pięćdziesięciu dwóch, brunet o czarnych oczach, z gęstymi brwiami i wąsaty. Ubrany był w granatowy surdut, w klapie miał wstążeczkę oficerskiego krzyża Legii Honorowej. Wczoraj właśnie śledzono takiego osobnika, podobnego jak kropla wody do tego rysopisu, ale straciliśmy jego ślad na rogu ulicy la Jussienne i Coq-Héron.

Villefort wsparł się o poręcz krzesła; im dłużej mówił minister policji, tym wyraźniej podprokurator czuł, jak uginają się pod nim nogi; usłyszawszy jednak, że ów nieznajomy zdołał umknąć śledzącemu go policjantowi, odetchnął z ulgą.

— Odszuka pan tego człowieka — rzekł król — bo jeśli jest tak, jak myślę, że generał Quesnel padł ofiarą morderstwa, chcę, aby morderca, kimkolwiek jest, bonapartystą czy też nie, był ukarany bez litości.

Villefort wezwał na pomoc całą swą zimną krew, aby nie zdradzić trwogi, jaką go napełnił ten rozkaz królewski.

— Dziwna rzecz — mówił dalej Ludwik XVIII w odruchu gniewu. — Policja myśli, że powiedziała wszystko, mówiąc: „zostało popełnione morderstwo", i że zrobiła wszystko, gdy doda: „trafiliśmy na ślad winowajców".

— Mam nadzieję, że przynajmniej pod tym względem Najjaśniejszy Pan będzie zadowolony.

— Zobaczymy. Nie zatrzymuję cię, baronie. Panie de Villefort, zapewne jesteś znużony po odbyciu tak długiej podróży, idź pan odpocząć. Zatrzymałeś się zapewne u ojca?

Villefortowi pociemniało w oczach.

— Nie, Najjaśniejszy Panie — rzekł — stanąłem w Hotelu Madryckim; przy ulicy Tournon.

— Ale zapewne widziałeś się z nim?

— Najjaśniejszy Panie, udałem się natychmiast do hrabiego de Blacas.

— Ale się z nim zobaczysz?

— Nie sądzę, Najjaśniejszy Panie.

— Prawda! — rzekł Ludwik XVIII z uśmiechem, który zdradzał, że wszystkie te pytania nie były zadawane bez ubocznego celu. — Zapomniałem, że jesteś pan poróżniony z panem Noirtierem, a to nowe poświęcenie dla sprawy monarchii zasługuje na hojne wynagrodzenie.

— Dobroć, jaką okazuje mi Wasza Królewska Mość, jest nagrodą przechodzącą moje najśmielsze nadzieje, tak więc nie mogę już o nic prosić Najjaśniejszego Pana.

— Mniejsza o to, już my o panu nie zapomnimy, bądź pewien — tu król odpiął krzyż Legii Honorowej, który zwykł nosić na błękitnym fraku, obok Orderu Świętego Ludwika i wręczając go Villefortowi, rzekł: — przyjm pan tymczasem ten krzyż.

— Sire, Najjaśniejszy Pan się zapewne pomylił — rzekł Villefort. — To krzyż oficerski.

— No, bierz pan taki, jaki jest — rzekł Ludwik XVIII. — Nie mam czasu wołać, aby mi przyniesiono inny. Panie de Blacas, zechcesz dopilnować, aby przygotowano dyplom dla pana de Villeforta.

Oczy Villeforta napełniły się łzami dumy i radości; wziął krzyż i ucałował go.

— Jakimi teraz rozkazami raczy mnie zaszczycić Wasza Królewska Mość?

— Odpocznij, bo potrzebujesz tego, i pamiętaj, że tu w Paryżu nie byłbyś w stanie mi dopomóc, w Marsylii zaś możesz mi oddać usługi najwyższej wagi.

— Najjaśniejszy Panie — skłonił się Villefort — za godzinę opuszczam Paryż.

— Bywaj zdrów, panie Villefort — rzekł król. — Gdybym zapomniał o tobie — bo pamięć królów jest krótka — nie wahaj się o sobie przypomnieć... Panie baronie, rozkaż pan, aby tu przyszedł minister wojny. A pan, Blacas, niech tu zostanie.

— Ach, panie prokuratorze — rzekł minister policji do Villeforta, kiedy wychodzili z Tuileriów. — Dobrze pan zaczyna i drzwi do pańskiej kariery już otwarte.

— Ale czy długo będzie trwała? — szepnął Villefort, żegnając ukłonem ministra, który karierę już zakończył; i poszukał wzrokiem dorożki, aby się dostać do hotelu.

Dorożka akurat przejeżdżała bulwarami; gdy Villefort dał znak, fiakier podjechał bliżej. Podprokurator podał adres i siadł w głębi, oddając się ambitnym marzeniom.

Po dziesięciu minutach był już u siebie. Kazał, aby konie były gotowe za dwie godziny, poprosił także o śniadanie. Miał właśnie usiąść do stołu, gdy przy drzwiach zabrzmiał dźwięk dzwonka, szarpniętego pewną i śmiałą ręką. Pokojowiec[212] otworzył i Villefort usłyszał nagle swoje nazwisko.

— I któż może wiedzieć już, że jestem tutaj? — zdziwił się.

W tej chwili wszedł lokaj.

— I co tam? — rzekł Villefort. — Kto dzwonił? Kto do mnie przyszedł?

— Jakiś nieznajomy, nie chce wymienić swego nazwiska.

— Jak to? Nieznajomy i nie chce podać nazwiska? Czego ode mnie chce?

— Chce pomówić z panem.

— I wymówił moje nazwisko?

— Tak.

— Jak wygląda?

— Ma, proszę pana, z pięćdziesiątkę.

— Wysoki? Niski?

— Mniej więcej pańskiego wzrostu. Brunet o ciemnej cerze, czarnych włosach, oczach i brwiach.

— Jak ubrany? — spytał żywo Villefort. — Jak ubrany?

— W granatową świtkę[213], od góry do dołu zapiętą, ozdobioną krzyżem Legii Honorowej.

— To on — szepnął Villefort, blednąc.

— Cóż u diabła — rzekł ów osobnik, którego rysopis już dwa razy podaliśmy, ukazując się we drzwiach. — To dopiero maniery! Syn każe wystawać ojcu w przedpokoju! To chyba jakiś zwyczaj marsylski!

— Ojcze! — krzyknął Villefort. — Więc się nie pomyliłem... Tak myślałem, że to ty.

— Jeżeli się domyśliłeś, że to ja — rzekł gość, kładąc kapelusz na krześle i laskę w kącie — to pozwól sobie powiedzieć, kochany Gerardzie, że to niełądnie kazać mi tak czekać.

— Zostaw nas, Germain — rzekł Villefort.

Służący odszedł, okazując wyraźne zdziwienie.

12. OJCIEC I SYN

Pan Noirtier, on to bowiem wszedł właśnie do Villeforta, odprowadził wzrokiem służącego aż do drzwi; potem zapewne z obawy, żeby nie podsłuchiwał z przedpokoju, wyjrzał za nim: przezorność ta nie była zbyteczna, a pośpiech, z jakim imć Germain się wycofał, dowodził, że często dopuszczał się grzechu, który zgubił naszych pierwszych rodziców. Następnie pan Noirtier sam zamknął drzwi w przedpokoju, a zamknąwszy zasuwkę w sypialni, podał w końcu rękę Villefortowi, który wciąż w osłupieniu przypatrywał się tym nadzwyczajnym poczynaniom.

— Wiesz, kochany Gerardzie — rzekł pan Noirtier, spoglądając na syna z zagadkowym uśmiechem — nie bardzo wyglądasz na zachwyconego moim przybyciem.

— Skądże — odparł Villefort — rad jestem niezmiernie. Ale nie spodziewałem się twojej wizyty i bardzo mnie to zmieszało.

— Ależ drogie dziecko — rzekł Noirtier, rozsiadając się. — Mógłbym przecież powiedzieć ci to samo. Bo jakżeż? Donosisz mi, że twoje zaręczyny odbędą się 28 lutego w Marsylii, a 4 marca pojawiasz się w Paryżu?

---

[212] *pokojowiec* — służący mieszkający w domu i pomagający w codziennych czynnościach. [przypis edytorski]

[213] *świtka* — siermięga; wierzchnia odzież noszona przez chłopów i ubogą szlachtę, szyta z grubego płótna, z długimi rękawami, sięgająca do kolan. [przypis edytorski]

— Nie wyrzucaj mi mojego przyjazdu, ojcze, bo jeśli tu jestem, to dla ciebie i być może zdołam cię ocalić.

— Ach, doprawdy? — rzekł pan Noirtier, rozpierając się wygodnie w fotelu. — Dla mnie? Wytłumacz się jaśniej, mój ty panie prawniku, to może być ciekawe.

— Ojcze, czy słyszałeś o pewnym klubie bonapartystowskim, który ma siedzibę przy ulicy Saint-Jacques?

— Nr 53? A tak, jestem tam wiceprezesem.

— Ojcze, twoja zimna krew przejmuje mnie dreszczem.

— Cóż chcesz, mój drogi. Kiedy ktoś był wygnany przez górali[214], uciekał z Paryża ukryty w furze[215] siana, tropiły go na wrzosowiskach pod Bordeaux[216] psy gończe Robespierre'a, może się zahartować. Mów zatem, co się stało w tym klubie?

— To się stało, że ściągnięto tam generała Quesnel, że generał wyszedł z domu o dziesiątej wieczorem, a nazajutrz rano znaleziono go w Sekwanie[217].

— Któż ci opowiadał tę piękną historię?

— Sam król.

— Dobrze, w zamian za to i ja ci także powiem nowinę — rzekł pan Noirtier.

— Ojcze, ja chyba już wiem, co mi chcesz powiedzieć.

— Aha, zapewne wiesz już o wylądowaniu Jego Cesarskiej Mości.

— Ciszej, ojcze, błagam przede wszystkim ze względu na ciebie, a potem i na mnie. Tak, wiem o tym, a nawet wiedziałem o tym przed tobą. Trzy dni pędziłem z Marsylii do Paryża, wściekły, że nie mogę posłać myślą przez te dwieście mil tej wieści, od której płonęła mi głowa.

— Trzy dni! Chybaś oszalał? Przed trzema dniami cesarz jeszcze nie wylądował.

— Cóż z tego, wiedziałem o tych zamiarach.

— Jakim sposobem?

— Dzięki listowi z Elby, pisanemu do ciebie, ojcze. Znalazłem go w kieszeni wysłannika. Gdyby ten list wpadł w inne ręce, już byś był rozstrzelany, mój ojcze.

Noirtier roześmiał się.

— No, no, popatrzcie — rzekł. — Restauracja[218] nauczyła się od cesarstwa szybkiego załatwiania interesów... Rozstrzelany! Ależ, kochasiu, czemu ci tak pilno? I gdzież jest ten list? Znam cię tak dobrze, że jestem pewien, żeś go nie rzucił nigdzie w kąt.

— Spaliłem go, żeby ani śladu po nim nie zostało. Ten list był dla ciebie wyrokiem śmierci.

— I zgubą dla twojej kariery — dodał zimno pan Noirtier. — Tak, dobrze to rozumiem, ale nie mam się czego obawiać, bo ty mnie osłaniasz.

— Więcej zrobiłem dla ciebie: ocaliłem ci życie.

— O, do diabła, sprawa staje się coraz bardziej dramatyczna. Mów jaśniej!

— Wrócę więc do sprawy klubu przy ulicy Saint-Jacques.

— O, zdaje się, że ten klub naprawdę leży na wątrobie panom z policji. Ale dlaczego nie szukają lepiej? Na pewno by go już znaleźli.

— Jeszcze go nie odkryli, ale wpadli na ślad.

— To słowa sakramentalne; znam je dobrze. Kiedy policja nic nie wie, to powiada, że trafiła na ślad, a rząd spokojnie czeka, aż mu ci głupcy powiedzą, z uszami po sobie, że go stracili.

— Ale znaleziono trupa. Generał został zabity, a na całym świecie nazywa się to morderstwem.

— Morderstwo, mówisz? Ale przecież nic nie dowodzi, że generał został zamordowany; co dzień znajdujemy tylu ludzi w Sekwanie, których tam albo rozpacz rzuciła, albo utonęli, nie umiejąc pływać...

---

[214] *górale* — tu: jakobini, tj. członkowie republikańskiego ugrupowania politycznego działającego w okresie rewolucji francuskiej, znanego głównie z okresu radykalizacji i rewolucyjnej dyktatury. [przypis edytorski]

[215] *fura* — wóz konny przewożący duży ładunek płodów rolnych. [przypis edytorski]

[216] *Bordeaux* — miasto i gmina we Francji, w regionie Akwitania. [przypis edytorski]

[217] *Sekwana* — rzeka w płn. Francji, przepływająca przez Paryż. [przypis edytorski]

[218] *Restauracja* — okres funkcjonowania odnowionej francuskiej monarchii Burbonów (1814–1830). [przypis edytorski]

— Ojcze, wiesz dobrze, że generał nie utopił się z rozpaczy i że w styczniu nikt nie kąpie się przecież w Sekwanie. Nie, nie, nie łudź się, ta śmierć jest słusznie kwalifikowana jako morderstwo.

— I któż ją tak zakwalifikował?

— Sam król.

— Król! Sądziłem, że jest filozofem na tyle, aby rozumieć, że w polityce nie ma morderstw. W polityce, wiesz to równie dobrze jak ja, nie ma ludzi, tylko idee, nie ma uczuć, a tylko interesy. W polityce nie mówi się, że zabito człowieka, ale że usunięto przeszkodę. Mam ci powiedzieć, jak było? Posłuchaj: Myśleliśmy, że można liczyć na generała Quesnela, bo polecono go nam z Elby. Jeden z naszych idzie do niego i zaprasza na spotkanie do klubu, gdzie spotka przyjaciół. Przychodzi, odkrywamy mu cały plan, ucieczkę z Elby, zamierzone lądowanie. A potem, kiedy wszystkiego wysłuchał, wszystko zrozumiał i kiedy nic już nie mieliśmy przed nim do ukrycia, on oświadcza, że jest rojalistą. Wszyscyśmy spojrzeli po sobie; żądamy, aby przysiągł, przysięga, ale tak niechętnie, że doprawdy była to obraza boska, a nie przysięga; i mimo to puszczamy generała bez przeszkód, wyszedł wolny. A że nie wrócił do domu, cóż chcesz? Wyszedł od nas i pewnie pomylił drogę, nic więcej. Gdzie tu morderstwo! Doprawdy, zaskakujesz mnie: ty, zastępca prokuratora królewskiego, opierasz oskarżenie na tak marnych dowodach! A czy ja kiedykolwiek odważyłem się powiedzieć ci, kiedy pełnisz obowiązki wiernego rojalisty i ścinasz głowę któremuś z naszych: „mój synu, popełniłeś morderstwo"? O nie! Powiedziałbym: „bardzo dobrze, wygrałeś pan bitwę, jutro rewanż". Polityka, Interes

— Ale strzeż się, ojcze, bo kiedy my się weźmiemy za rewanż, będzie on straszliwy.

— Nie rozumiem cię.

— Ojcze, liczysz na powrót uzurpatora?

— Owszem.

— Ale się mylisz; on nie przejdzie we Francji dziesięciu mil, jak go doścignq, osaczą i pojmą jak dzikie zwierzę.

— Przyjacielu, cesarz jest w tej chwili na drodze do Grenoble[219]. 10 albo 12 będzie w Lyonie[220], 20 lub 25 w Paryżu.

— Cały naród powstanie...

— Aby mu iść z pomocą.

— On ma przy sobie garstkę, a tu całą armię wyślą przeciw niemu.

— Która stanowić będzie orszak towarzyszący mu do stolicy. W istocie, mój Gerardzie, wielki z ciebie dzieciak. Myślisz, że masz doskonałe informacje, kiedy trzy dni po wylądowaniu telegraf ci donosi: „uzurpator wylądował w Cannes[221] z kilku ludźmi i wysłano za nim pogoń". Ale gdzie jest? Co robi? O tym nie wiecie zgoła[222] nic. To tylko wiecie, że go ścigają, i to prawda, ścigać go tak będą bez jednego wystrzału aż do samego Paryża.

— Grenoble i Lyon to wierne miasta, stawią mu nieprzebyty opór.

— Grenoble z uniesieniem otworzy mu swoje bramy, cały Lyon wyjdzie na jego spotkanie. Wierz mi, że i my mamy dobre wiadomości i nasza policja warta jest waszej. Chcesz na to dowodu? Ukrywasz przede mną swój przyjazd, a ja w pół godziny po tym, jak przejechałeś rogatki[223], już o tym wiedziałem. Adres powiedziałeś tylko pocztylionowi[224], a ja, jak widzisz, znam go: najlepszy dowód, że przychodzę do ciebie w chwili, gdy siadasz do stołu; zadzwoń i każ dać drugie nakrycie, zjemy obiad razem.

— Przyznaję — odpowiedział Villefort, spoglądając ze zdziwieniem na ojca — że wydajesz mi się doskonale poinformowany.

— Mój Boże! Rzecz jest prosta: wy, którzy jesteście teraz u władzy, macie tylko te środki, które daje pieniądz; my zaś, którzy czekamy na Napoleona, mamy te środki, które biorą się z poświęcenia i oddania.

---

[219] *Grenoble* — miasto w płd.-wsch. Francji, u podnóża Alp. [przypis edytorski]

[220] *Lyon* — miasto we wsch. Francji, oddalone 391 km od Paryża. [przypis edytorski]

[221] *Cannes* — miasto portowe w płd.-wsch. Francji. [przypis edytorski]

[222] *zgoła* — całkowicie, zupełnie. [przypis edytorski]

[223] *rogatka* — dawny posterunek na granicy miasta, na którym pobierano opłaty za wjazd; przen. granica miasta. [przypis edytorski]

[224] *pocztylion* (daw.) — woźnica pojazdu pocztowego. [przypis edytorski]

— Oddania? — rzekł ze śmiechem Villefort.

— Tak, oddania; to szlachetna nazwa ambicji, która oddycha nadzieją.

I pan Noirtier sięgnął po dzwonek, aby wezwać służącego, którego Villefort nie miał jakoś chęci przywołać. Gerard chwycił go za rękę.

— Poczekaj chwilę — rzekł. — Jeszcze słówko...

— Tak?

— Choć policja królewska jest tak fatalna, zna jednak jeden straszliwy fakt.

— Jaki?

— Rysopis człowieka, który rankiem, tego dnia, gdy zniknął generał Quesnel, był u niego w domu.

— A więc zna jego rysopis ta zacna policja? I jakże on brzmi?

— Cera śniada, włosy, brwi, faworyty czarne, surdut granatowy, zapięty pod szyję, rozetka krzyża Legii Honorowej w klapie, kapelusz z szerokim rondem i laska trzcinowa.

— Ho, ho, wiedzą to wszystko? — rzekł Noirtier. — I czemuż w takim razie nie schwytali go natychmiast?

— Ponieważ wczoraj lub przedwczoraj stracili jego ślad na ulicy Coq-Héron.

— A nie mówiłem ci, że wasza policja to banda durniów?

— Tak, ale dziś lub jutro mogą go znaleźć.

— Tak — rzekł Noirtier, rozglądając się beztrosko wokół. — Tak, jeżeli nikt tego człowieka nie ostrzegł, ale on wie o wszystkim — dodał z uśmiechem — i zmieni natychmiast twarz i ubiór.

To mówiąc, podniósł się, zdjął surdut i halsztuk[225], poszedł do stołu, gdzie leżały przybory toaletowe syna, wziął brzytwę, namydlił twarz i wprawną ręką zgolił owe kompromitujące faworyty, tak cenny dowód dla policji.

Villefort patrzył na to z przestrachem, który graniczył z podziwem.

Zgoliwszy faworyty, Noirtier zmienił fryzurę i zawiązał sobie zamiast czarnego halsztuka kolorowy, który znalazł w walizce; zamiast granatowego surduta pod szyję zapinanego, włożył luźny brązowy surdut Villeforta; przymierzył przed lustrem cylinder syna i kontent ze swego wyglądu postawił w kącie, tuż przy kominku trzcinową laskę, chwytając za to lekką bambusową laseczkę syna, którą machnął kilkakrotnie w powietrzu, przecinając je ze świstem.

— No i co? — zwrócił się do syna oszołomionego widokiem tej całkowitej przemiany. — I co, myślisz, że twoja policja pozna mnie teraz?

— Nie, ojcze — bąknął Villefort. — Mam przynajmniej nadzieję, że nie.

— A teraz, kochany Gerardzie, zdaję się na twoją ostrożność — zniszcz wszystkie te szmaty, które zostawiam pod twoją opieką.

— O! Bądź spokojny, ojcze — rzekł Villefort.

— Tak, tak, teraz przyznaję, że masz słuszność i że może rzeczywiście ocaliłeś mi życie. Ręczę ci jednak, że ci się za to wkrótce odwdzięczę.

Villefort potrząsnął głową.

— Wątpisz?

— Mam tylko nadzieję, że się łudzisz.

— Będziesz jeszcze widział króla?

— Być może.

— Chciałbyś ujść w jego oczach za proroka?

— Źle przyjmują na dworze proroków nieszczęść, ojcze.

— To prawda, ale prędzej czy później taki prorok wychodzi na swoje, a jeśli założymy, że będzie druga restauracja, możesz ujść wówczas za wielkiego człowieka.

— Ale co w końcu miałbym powiedzieć królowi?

— Powiedz mu tak: „Waszą Królewską Mość oszukują co do stosunków we Francji, opinii miast i ducha panującego w wojsku. Ten, którego w Paryżu nazywacie potworem korsykańskim, w Nevers[226] nazywa się jeszcze uzurpatorem, ale już w Lyonie nosi imię

[225] *halsztuk* (z niem. *Hals*: szyja; *Tuch*: chustka) — chustka na szyję, noszona przez mężczyzn w końcu XVIII i w XIX w., poprzednik krawata. [przypis edytorski]

[226] *Nevers* — miasto w śr. Francji. [przypis edytorski]

Bonapartego, a w Grenoble — cesarza. Wasza Królewska Mość sądzi, że on jest otoczony, ścigany, że ucieka, ale nie! Jego marsz jest szybki jak lot orła, tego, który figuruje na jego godle. Jego żołnierze, którzy, jak sądzicie, umierają z głodu, są znużeni i gotowi do dezercji, rosną w liczbę jak tocząca się kula śniegu. Wyjeżdżaj, Najjaśniejszy Panie, oddaj Francję prawdziwemu jej panu, temu, który ją zdobył, a nie kupił, wyjeżdżaj nie dlatego, abyś miał być wystawiony na niebezpieczeństwo; przeciwnik twój jest na tyle silny, że może cię ochronić swoją łaską, ale ty — wnuk Świętego Ludwika — nie powinieneś w tak upokarzający sposób zawdzięczać życia zwycięzcy spod Arcole, Marengo i Austerlitz". Powiedz mu to, Gerardzie, albo... nie, nic mu nie mów. Nikomu nie zdradzaj, żeś wyjeżdżał, nie chwal się z tego, po coś przybył do Paryża, wsiadaj z powrotem do dyliżansu. W tę stronę gnałeś co koń wyskoczy, teraz wracaj co tchu, wjedź do Marsylii nocą, wejdź do siebie tylnymi drzwiami i zachowuj się cichutko, pokornie i dyskretnie, a nade wszystko neutralnie; bo tym razem, przysięgam, będziemy działać energicznie i znamy doskonale naszych wrogów. Jedź, synu, jedź, kochany Gerardzie, i jeśli zastosujesz się do tego, czy przez posłuszeństwo dla rozkazów ojca, czy przez wzgląd na przyjacielską radę, nie wyrzucimy cię ze stanowiska. Dzięki temu — dodał Noirtier, uśmiechając się — będziesz mógł ocalić mnie po raz drugi, jeżeli kiedyś szala polityczna wzniesie cię w górę, a mnie pogrąży w dół. Bądź zdrów, kochany, jeślibyś znowu przyjechał do Paryża, zatrzymaj się u mnie.

I Noirtier wyszedł, zachowując spokój, który go nie opuszczał ani na chwilę podczas tej tak trudnej rozmowy.

Villefort, blady i poruszony, podbiegł do okna, odsunął firankę i ujrzał, jak ojciec, spokojny i niewzruszony, przechodził koło kilku mężczyzn o podejrzanym wyglądzie, zaczajonych tu i ówdzie na ulicy, których postawiono tam zapewne po to, by zatrzymali człowieka z czarnymi faworytami, w granatowym surducie i w kapeluszu z szerokim rondem.

Villefort stał tak, niemal nie oddychając, póki ojciec nie zniknął mu z oczu, skręcając w ulicę Bussy. Potem rzucił się ku pozostawionej odzieży, ukrył czarny halsztuk i granatowy surdut na dnie walizki, założył podróżną czapkę, zawołał na służącego, wzrokiem powstrzymał wszystkie pytania, jakie tamten miał ochotę uczynić, zapłacił rachunek hotelowy, wsiadł do zaprzężonej już karety, w Lyonie dowiedział się, że Bonaparte wkroczył do Grenoble i wśród powszechnego poruszenia, które towarzyszyło mu przez całą drogę, przybył do Marsylii miotany niepokojem, który zakrada się do serca człowieka z ambicjami przy pierwszym uśmiechu kariery.

13. STO DNI

Przywódca, Rewolucja, Zwycięstwo

Pan Noirtier był doskonałym prorokiem, rzeczy postępowały tak szybko, jak przepowiedział. Któż nie zna powrotu z Elby, powrotu nadzwyczajnego, cudownego, bezprzykładnego w dziejach, a niemożliwego zapewne do powtórzenia w przyszłości! Ludwik XVIII stawił nadzwyczaj słaby opór wobec tak ciężkiego ciosu; nieufność wobec ludzi odjęła mu wszelką wiarę w pomyślny przebieg wypadków. Królestwo, albo raczej monarchia, zaledwie odbudowana, zadrżała na jeszcze słabych swych podstawach i jedno skinienie Cesarza zwaliło ten gmach bezkształtny, sklecony ze starych przesądów i nowych idei. Wdzięczność królewska nie tylko nie mogła być użyteczna dla Villeforta, ale nawet w tej chwili niebezpieczna; ponadto otrzymał od króla jedynie krzyż Legii Honorowej, którego wiedziony rozsądkiem nie przypinał, chociaż pan de Blacas stosownie do królewskiego polecenia przysłał mu natychmiast dyplom. Napoleon niewątpliwie złożyłby[227] z urzędu Villeforta, gdyby nie protekcja pana Noirtiera, wszechmocnego w czasie studniowego panowania, już to dla przebytych niebezpieczeństw, już to dla wyświadczonych usług. Tak więc, zgodnie z obietnicą, żyrondysta z 1793 roku, a senator z 1806 wspierał tego, który mu poprzednio ocalił życie w czasie owego na chwilę wskrzeszonego cesarstwa, którego drugi upadek łatwo można było przewidzieć, Villefort zaś użył całej swej władzy na zatarcie śladów tajemnicy, którą mógłby zdradzić Dantès.

Jedynie prokurator królewski został złożony z urzędu jako podejrzany o chłodne podejście do sprawy napoleońskiej.

[227] *złożyć* — tu: zdjąć ze sprawowanego urzędu. [przypis edytorski]

Tymczasem zaledwie władza cesarska ugruntowała się na nowo, to jest zaledwie cesarz wszedł do pałacu Tuileries, tylko co opuszczonego przez Ludwika, zaledwie posypały się na wszystkie strony liczne i rozmaite rozkazy z owego małego gabineciku, gdzie z przyczyny Villeforta wprowadziliśmy czytelnika, i w którym cesarz znalazł na orzechowym stoliku otwartą i pełną do połowy tabakierkę[228] Ludwika XVIII, gdy w Marsylii, pomimo postawy tamtejszych sądowników, powstał znów ferment wojny domowej, wciąż żarzącej się na Południu. Niewiele brakowało, aby represje rozwinęły się na szeroka skalę, choć skończyło się ostatecznie na urządzaniu kociej muzyki pod zabarykadowanymi domami rojalistów i publicznym upokarzaniu tych, co ważyli się wymknąć na ulicę. Naturalną koleją rzeczy, armator, o którym wspomnieliśmy jako o stronniku „partii ludowej", teraz wystąpił na scenę. Stał się obecnie osobą, nie powiemy wszechmocną, bo pan Morrel był człowiekiem ostrożnym i niezbyt śmiałym jak każdy, co długo i pracowicie dochodzi do majątku na drodze handlowej, ale tak znaczącą (chociaż zeloci[229] bonapartyzmu posądzali go o umiarkowanie), że mógł podnieść wobec władz sprawę, jak łatwo możemy odgadnąć, Edmunda Dantesa.

Villefort, pomimo upadku swojego zwierzchnika, utrzymał się na powierzchni, ślub zaś odłożono do szczęśliwszych czasów. Gdyby cesarz utrzymał się na tronie, potrzebowałby korzystniejszej partii, a ojciec z pewnością by się dla niego o taką postarał. Gdyby zaś nastała druga restauracja i Ludwik XVIII wrócił do Francji, wpływy państwa de Saint-Méranów powiększyłyby się jeszcze i planowany mariaż przedstawiałby sobą nierównie więcej korzyści. Podprokurator królewski był zatem tymczasowo najwyższym rangą sądownikiem w Marsylii, gdy pewnego dnia otwarły się drzwi i zaanonsowano wizytę pana Morrela.

Kto inny pospieszyłby na spotkanie bogatego kupca i tym sposobem zdradził swe słabe położenie. Villefort był jednak człowiekiem nadzwyczaj opanowanym, który umiał kierować się doskonale jeśli nie doświadczeniem, to instynktem. Nakazał, aby pan Morrel zaczekał w przedpokoju, tak samo, jak by zrobił za monarchii, choć nikogo w tej chwili nie przyjmował; kierował się jednak zasadą, że według zwyczaju należy antyszambrować[230] u królewskiego podprokuratora. Po kwadransie, który poświęcił na przeglądanie kilku gazet o różnej wymowie politycznej, kazał wprowadzić armatora.

Pozycja społeczna, Grzeczność, Fałsz

Pan Morrel spodziewał się, że zastanie Villeforta w przygnębieniu, ujrzał go jednak takiego, jak przed sześciu tygodniami: spokojnego, stanowczego i pełnego tej chłodnej grzeczności, która stanowi zaporę najtrudniejszą do pokonania spośród wszystkich, które dzielą ludzi wykształconych od plebsu.

Wszedł do gabinetu Villeforta w przekonaniu, że dygnitarz zadrży na jego widok, gdy tymczasem przeciwnie, sam armator drżał ze zmieszania przed tą osobistością o badawczym spojrzeniu, która oczekiwała go, wsparłszy podbródek na dłoni, a łokieć na biurku.

Zatrzymał się w drzwiach. Villefort zmierzył go wzrokiem, jakby nie mógł sobie od razu przypomnieć. Na koniec, przypatrzywszy się dokładnie armatorowi, który miętosił w ręku kapelusz, Villefort odezwał się:

— Zdaje mi się, że... czy pan Morrel?

— Tak, proszę pana — odpowiedział kupiec.

— Proszę się zbliżyć — rzekł urzędnik, zapraszając protekcjonalnym gestem armatora — i powiedzieć, jakiej okoliczności winien jestem ten zaszczyt.

— Pan się nie domyśla? — zapytał Morrel.

— Nie, wcale, to jednak nie przeszkadza, abym nie chciał panu udzielić pomocy, o ile będzie to w mojej mocy.

— Rzecz ta zależy wyłącznie od pana — rzekł pan Morrel.

— Proszę mówić.

— Panie prokuratorze — rozpoczął kupiec, odzyskując coraz więcej pewności siebie, przekonany, że broni słusznej sprawy, a jego pozycja nie może teraz budzić żadnych zastrzeżeń. — Zapewne przypomina pan sobie, że kilka dni przed wylądowaniem Jego

[228] *tabakierka* — pojemnik do przechowywania tabaki. [przypis edytorski]
[229] *zelota* — zagorzały zwolennik czegoś. [przypis edytorski]
[230] *antyszambrować* (daw.) — wyczekiwać w poczekalni na spotkanie z ważną osobą. [przypis edytorski]

Cesarskiej Mości przychodziłem do pana, prosząc o względy dla pewnego nieszczęśliwego młodzieńca, marynarza, zastępcy kapitana na moim statku. Był on, o ile pan sobie przypomina, oskarżony o kontakty z Elbą, co w owym czasie było zbrodnią, a dziś jest źródłem szczególnych łask. Służyłeś pan wtenczas Ludwikowi XVIII i nie oszczędziłeś go pan, był to pański obowiązek; teraz służysz pan Napoleonowi i winieneś otoczyć opieką tego młodzieńca, to także twój obowiązek. Przychodzę więc dowiedzieć się, co się z tym nieborakiem stało.

Villefort użył wszystkich swoich sił, aby zapanować nad sobą.

— Jak się ten człowiek nazywa? — zapytał. — Proszę wymienić nazwisko.

— Edmund Dantès.

Villefort wolałby narazić się na strzał przeciwnika w pojedynku na dwadzieścia pięć kroków niż usłyszeć, jak grom z jasnego nieba, to nazwisko; tymczasem nawet nie mrugnął.

„Tym sposobem — mówił sobie w duchu — nie będzie można mnie obwiniać, że uwięziłem tego młodzieńca z pobudek czysto osobistych".

— Dantès? — powtórzył. — Edmund Dantès, powiadasz pan?

— Tak.

Villefort wziął z kartoteki gruby rejestr, spojrzał na spis, następnie przerzucił kilka akt i zwrócił się do armatora:

— Czy jesteś pan pewien, że się nie mylisz? — zapytał tonem całkowicie naturalnym.

Gdyby pan Morrel był bystrzejszy lub znał się lepiej na tych sprawach, uznałby za rzecz dziwną, że podprokurator królewski raczy mu odpowiadać w kwestiach, które nie podlegały jego resortowi; zastanowiłby się może, czemu Villefort nie odsyła go do rejestrów więziennych, do zarządu więzień czy prefekta departamentu. Ale Morrel, nie znajdując u Villeforta żadnych oznak lęku, widział w nim już tylko jego uprzejmość: Villefort zagrał doskonale.

— O nie, panie prokuratorze — rzekł Morrel. — Nie mylę się, zresztą znam przecież tego biedaka od dziesięciu lat, a od czterech pozostaje u mnie na służbie. Byłem już u pana, przypomina pan sobie? Półtora miesiąca temu, prosić dla niego o łaskę, jak teraz przyszedłem prosić o sprawiedliwość; przyjąłeś mnie pan wtedy dość niechętnie i odpowiadałeś mi wielce niezadowolony. O, rojaliści byli wówczas twardzi wobec bonapartystów!

— Proszę pana — odrzekł Villefort, odpowiadając z wrodzoną sobie zręcznością i zimną krwią. — Byłem rojalistą, gdy myślałem, że Burbonowie nie tylko są prawowitymi dziedzicami tronu, ale i wybrańcami narodu. Cudowny powrót, którego byliśmy świadkami, dowiódł mi, że byłem w błędzie. Zwyciężył geniusz Napoleona: prawowitym władcą jest ten, który jest kochany przez wszystkich.

— Brawo! — zawołał Morrel z rubaszną otwartością. — Cieszę się, słysząc, że pan tak mówi, to dobra wróżba dla losu Dantèsa.

— Poczekajże pan — rzekł Villefort, przeglądając inny rejestr. — Aha... to był marynarz, prawda? Miał się żenić z Katalonką? Tak, tak, przypominam sobie teraz: to była poważna sprawa.

— Jak to?

— Wiesz pan pewnie, że kiedy wyszedł ode mnie z przesłuchania, został zaprowadzony do więzienia obok sądu.

— Tak, no i?

— No więc napisałem o tym raport do Paryża, odesłałem znalezione przy nim papiery. Tak powinienem był uczynić, cóż robić... i w osiem dni po aresztowaniu więzień został stamtąd zabrany.

— Zabrany? — wykrzyknął Morrel. — Cóż oni mogli z tym biedakiem zrobić?

— Ach, uspokój się pan, może go przetransportowano do Fenestrelle, Pignerol albo na wyspę Świętej Małgorzaty[231], to jest, mówiąc językiem administracyjnym, „przesiedlono" z kraju. Zobaczysz pan, że pewnego pięknego ranka nagle wróci, aby objąć dowództwo pańskiego statku.

---

[231] *Fenestrelle*, *Pinerolo* i *Wyspa Świętej Małgorzaty* — miejsca zsyłki fr. więźniów politycznych. W dwóch ostatnich przetrzymywany był słynny człowiek w żelaznej masce. [przypis edytorski]

— Niech wraca, kiedy chce, ja mu to stanowisko zachowam. Ale czemu dotąd nie powrócił? Wydaje mi się, że sądy napoleońskie powinny zająć się na pierwszym miejscu oswobodzeniem tych, którzy zostali uwięzieni za poprzednich rządów.

— Nie oskarżaj pan tak lekkomyślnie — odpowiedział Villefort. — Trzeba we wszystkim postępować legalnie. Rozkaz uwięzienia przyszedł z góry, rozkaz uwolnienia też musi przyjść z góry. Napoleon powrócił zaledwie dwa tygodnie temu, zatem rozkazy umarzające kary są rozesłane dopiero co.

— Ale — zapytał Morrel — czy nie da się przyspieszyć tych formalności, teraz, gdy nasza sprawa jest górą? Mam trochę przyjaciół i wpływów również, mógłbym uzyskać umorzenie wyroku.

— Nie było wyroku w tej sprawie.

— Wobec tego skreślenie z rejestru więźniów.

— W sprawach politycznych nie ma czegoś takiego jak rejestry więźniów. Czasem władzy zależy na tym, aby więzień zniknął, tak aby nawet ślad po nim nie został: rejestr więźniów ułatwiłby poszukiwania.

— Tak może było za Burbonów, ale teraz...

— Tak było wszędzie i zawsze, kochany panie Morrel; rządy następują jedne po drugich i wszystkie są do siebie podobne. Aparat karny powstały za Ludwika XIV działa dotąd, z wyjątkiem Bastylii. A cesarz był zawsze daleko większym rygorystą, jeśli chodzi o więzienia, niż Król Słońce[232], a liczba skazanych, po których nie ma ani śladu w rejestrach, jest olbrzymia.

Tyle dowodów życzliwości mogłoby wyprowadzić w pole osobę całkowicie pewną swoich racji i pan Morrel nie wątpił w ani jedno słowo prokuratora.

— Panie Villeforcie, jaką dałbyś mi pan radę, aby przyspieszyć powrót biednego Dantèsa?

— Jest jeden sposób: wnieś pan podanie do ministra sprawiedliwości.

— Ach, proszę pana, czyż nie wiemy dobrze, jak to się dzieje z podaniami; minister odbiera ich ze dwieście na dzień, a nie przeczyta nawet i czterech.

— To prawda — odpowiedział Villefort. — Ale przeczyta prośbę, którą ja zarekomenduję, zaadresuję i wyślę.

— I pan zająłby się tym?

— Z największą przyjemnością. Dantès mógł być wtedy winnym, ale dziś jest niewinny; moim zatem obowiązkiem jest zwrócić mu wolność, tak jak przedtem powinienem był go zamknąć w więzieniu.

W taki sposób Villefort zabezpieczał się przed niebezpieczeństwem — wprawdzie mało prawdopodobnym, ale możliwym — śledztwa, które zgubiłoby go całkowicie.

— Ale jak trzeba pisać takie podanie do ministra?

— Siadaj pan na moim miejscu, proszę, ja panu podyktuję. Nie mamy czasu, i tak już dosyć go straciliśmy.

— Prawda, pomyślmy tylko, że ten biedny chłopak czeka tam, cierpi i może rozpacza.

Villefort zadrżał na myśl o tym więźniu, który złorzeczy mu tam w ciszy i ciemności; ale zaszedł zbyt daleko, aby się cofnąć. Dantès musiał zostać zmiażdżony w trybach jego ambicji.

Villefort podyktował prośbę, w której uwydatnił przesadnie (z całą pewnością z najlepszych pobudek) patriotyzm Dantèsa i usługi wyświadczone sprawie bonapartystów. W tym podaniu Dantès stawał się jednym z najaktywniejszych zwolenników powrotu Napoleona. Było oczywiste, że wobec takiego dowodu minister załatwiłby rzecz sprawiedliwie, jeśli sprawiedliwości jeszcze nie stało się zadość.

Skończywszy dyktować, Villefort odczytał głośno petycję.

— Jest napisana tak jak trzeba — rzekł — a teraz spuść się pan na mnie.

— Jak prędko zostanie wysłana?

— Dziś jeszcze.

— I pan ją zarekomendujesz?

[232] *Ludwik XIV* (1638–1715) — król Francji (od 1643), zwany „Królem Słońce", panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej. [przypis edytorski]

— Tak i najlepszą rekomendacją będzie potwierdzenie prawdziwości wszystkiego, co pan w tej prośbie wyrażasz.

Villefort usiadł i z boku petycji napisał poświadczenie.

— Cóż teraz trzeba robić dalej? — zapytał pan Morrel.

— Czekać — odpowiedział Villefort. — Ja odpowiadam za wszystko.

Zapewnienie to wróciło panu Morrelowi nadzieję; wyszedł od prokuratora oczarowany nim zupełnie i pospieszył do starego Dantèsa z wieścią, że wkrótce zobaczy syna.

Villefort zaś, zamiast odesłać petycję do Paryża, schował ją troskliwie, ponieważ petycja, która dziś mogła ocalić Dantèsa, w przyszłości kompromitowałaby go straszliwie, zakładając, że bieg wypadków w Europie zapowiadał nadejście nowej Restauracji.

Dantès pozostał zatem w więzieniu: pogrążony w otchłaniach lochu, nie usłyszał wcale straszliwego huku, jaki wywołał upadek tronu Ludwika XVIII ani jeszcze straszliwszego — gdy w gruzy waliło się cesarstwo.

Villefort zaś wszystko obserwował czujnym okiem, wszystko pochwycił uważnym uchem. W czasie owych *Stu dni* — jak nazwano ten krótki okres powrotu Cesarstwa, Morrel dwukrotnie przychodził domagać się wolności dla Dantèsa i dwukrotnie Villefort zbył go najuroczystszymi obietnicami; aż w końcu przyszło Waterloo[233]. Morrel nie pokazał się więcej u Villeforta. Zrobił dla młodego przyjaciela wszystko, co tylko było możliwe. Dalsze próby za panowania drugiej Restauracji skompromitowałyby go tylko niepotrzebnie.

Ludwik XVIII powrócił na tron. Villefort, dla którego Marsylia stała się źródłem przykrych wspomnień, przekształcających się w wyrzuty sumienia, poprosił o wakujące[234] miejsce prokuratora królewskiego w Tuluzie[235]. W dwa tygodnie po przeniesieniu się do nowej siedziby poślubił pannę Renatę, której ojciec zyskał na dworze więcej niż kiedykolwiek wpływów.

Takim to sposobem Dantès, zarówno w czasie Stu Dni, jak i potem, tkwił za kratami więzienia, zapomniany — jeśli nie przez ludzi, to z pewnością przez Boga. Bóg, Los, Sprawiedliwość

Danglars pojął całą doniosłość ciosu, jaki zadał Dantèsowi, widząc powrót Napoleona do Francji. Jego denuncjacja trafiła w samo sedno. Jak każdy zatem człowiek miernych zdolności w życiu codziennym, a z pewną skłonnością do występku, nazwał ten dziwny zbieg wypadków *wyrokiem Opatrzności*.

Ale gdy Napoleon wrócił do Paryża, a głos jego cesarskiej potęgi zabrzmiał na nowo, Danglarsa zdjął strach. Spodziewał się w każdej chwili powrotu Dantèsa, który wie o wszystkim, Dantèsa groźnego i gotowego do okrutnej zemsty. Oświadczył więc panu Morrelowi, że pragnie opuścić służbę w handlu morskim i polecony przez niego został w końcu marca, to jest w dziesięć czy dwanaście dni po wejściu Napoleona do Tuileriów, buchalterem u pewnego kupca hiszpańskiego. Pojechał do Madrytu i słuch o nim zaginął.

Fernand zaś nic nie pojmował. Pozbył się Dantèsa, to wszystko, czego potrzebował. Co się z nim stało? — nie chciał nawet wiedzieć. Zyskany w ten sposób dla siebie czas spędzał na okłamywaniu Mercedes i przedstawianiu jej zmyślonych przyczyn nieobecności Edmunda lub medytowaniu nad wyjazdem do obcych krajów i porwaniem dziewczyny. Niekiedy, a były to posępne chwile w jego życiu, siadał na wierzchołku przylądka Faro, skąd widać jednocześnie Marsylię i wioskę Katalończyków, i smutny, nieruchomy jak ptak drapieżny na czatach, wypatrywał, czy nie ujrzy na drodze pięknego młodzieńca, idącego swobodnym krokiem, ze wzniesioną głową — zwiastuna straszliwej zemsty. W takim razie Fernand wiedział już, co ma robić: wypali Dantèsowi w głowę, a potem sam się zabije — mówił sobie, pragnąc uczynić to morderstwo szlachetniejszym. Ale tu Fernand sam siebie oszukiwał, jeśli ktoś żywi wciąż nadzieję, nigdy nie popełni samobójstwa.

W międzyczasie cesarski rząd obwołał pospolite ruszenie, więc wszyscy, którzy tylko byli zdolni nosić broń, pospieszyli poza granice Francji na grzmiący głos cesarza. Fernand poszedł wraz z innymi, opuścił chatę i Mercedes, dręczony okropną myślą, że jego rywal powróci i ożeni się z jego ukochaną.

---

[233] *Waterloo* — znajdujące się na terenach obecnej Belgii miejsce ostatecznej klęski Napoleona (18 czerwca 1815 r.). [przypis edytorski]

[234] *wakujący* — wolny, niezajęty. [przypis edytorski]

[235] *Tuluza* — miejscowość i gmina we Francji, stolica regionu Oksytania. [przypis edytorski]

Gdyby Fernand miał kiedykolwiek zdobyć się na samobójstwo, uczyniłby to po rozstaniu z Mercedes.

Względy, jakimi otoczył dziewczynę, współczucie, jakie okazywał jej w nieszczęściu, starania, które uprzedzały jej najmniejsze życzenia, wywarły taki skutek, jaki wywierają zazwyczaj na każdym szlachetnym sercu dowody przywiązania. Mercedes kochała zawsze Fernanda jak przyjaciela; przyjaźń ta powiększyła się teraz o nowe uczucie — wdzięczność.

— Bracie — rzekła, mocując mu na plecach żołnierski tornister. — Bracie, mój jedyny przyjacielu, nie pozwól się zabić, nie zostawiaj mnie samej na świecie. Będę płakać, zostanę sama, jeśli nie wrócisz.

Słowa te, wyrzeczone w chwili pożegnania, obudziły nadzieję w Fernandzie. Gdyby Dantès nie wrócił, Mercedes zostanie może jego żoną.

Cierpienie, Szaleństwo, Miłość, Samotność

Mercedes pozostała sama na tej nagiej ziemi, która nigdy do tej pory nie wydała się jej aż tak jałowa; prócz niej widać było tylko morze, aż po horyzont. Wciąż zapłakana, błąkała się jak owa szalona, o której rozpaczliwej doli nam tyle opowiadano, wokół osady Katalończyków; niekiedy zatrzymywała się nagle pod palącym słońcem południa, i wyprostowana, nieruchoma, nie ma jak posąg wlepiała wzrok w Marsylię; albo siadała na brzegu i wsłuchiwała się w szum morza, wieczny jak jej boleść, zadając sobie wciąż to samo pytanie: czy nie lepiej byłoby pochylić się i osunąć całym ciężarem ciała w przepaść, która otworzy się przed nią i pochłonie ją, niż tak cierpieć straszliwie bez nadziei i bez końca.

Nie brakowało Mercedes odwagi do spełnienia zamiaru, ale wiara przyszła jej z pomocą i ocaliła od samobójstwa.

Caderousse podobnie jak Fernand został powołany, ale że miał osiem lat więcej niż Katalończyk i był żonaty, został wcielony do wojska dopiero podczas trzeciej mobilizacji i wysłano go na wybrzeże.

Stary Dantès, utrzymywany przy życiu już tylko nadzieją, po upadku Napoleona utracił ją zupełnie.

Dokładnie pięć miesięcy po rozstaniu z synem, niemal o tej samej godzinie, o której aresztowano Edmunda, oddał ducha w ramionach Mercedes. Pan Morrel wyprawił mu pogrzeb na swój koszt i spłacił drobne, żałosne długi, które starzec zaciągnął podczas choroby. Czyn ten był nie tylko dowodem szlachetności, ale i odwagi. Południe wrzało i wspierać, nawet na łożu śmierci, ojca tak niebezpiecznego bonapartysty jak Dantès uchodziło za zbrodnię.

14. WIĘZIEŃ OSZALAŁY I WIĘZIEŃ OBŁĄKANY

Mniej więcej rok po powrocie Ludwika XVIII na tron pan inspektor generalny wizytował więzienia.

Dźwięk, Więzienie, Grób

Dantès słyszał z głębi lochu dudnienia i zgrzytania — odgłosy przygotowań na przyjęcie inspektora; na górze tak hałaśliwe, na dole były słyszalne jedynie dla ucha więźnia nawykłego wśród ciszy nocnej do słuchania, jak pająk snuje swą sieć i jak jednostajnie kropla wody spada ze sklepienia, gdzie tworzy się przez godzinę.

Domyślił się, że na górze, wśród żywych dzieje się coś niezwykłego — tak długo zamieszkiwał już ten grób, że mógł się liczyć do umarłych.

W rzeczy samej, inspektor wizytował kolejno wszystkie izby, cele i lochy; rozmawiał z wieloma więźniami: z tymi mianowicie, których łagodność lub głupota zyskiwała im u administracji więziennej jakieś względy; inspektor wypytywał, jak są żywieni, jakie mają żądania, które by chcieli przedstawić. Odpowiadali jednogłośnie, że jedzenie jest obrzydliwe i że żądają, aby wypuszczono ich na wolność. Inspektor spytał, czy nie domagają się czegoś innego.

Potrząsali głowy. Jakiegoż innego dobra, prócz wolności, mogą pragnąć więźniowie?

Inspektor odwrócił się od nich z uśmiechem i rzekł do komendanta:

— Nie wiem, po co nam każą robić te bezużyteczne obchody. Kto widział jednego więźnia, to tak, jakby widział stu, wysłuchać jednego — to jak wysłuchać tysiąca. Zawsze jedna śpiewka: złe mają jedzenie i są niewinni. Nie masz pan innych więźniów?

— O, tak, ale są oni niebezpieczni lub cierpią na pomieszanie zmysłów, tych trzymamy w lochach.

— Zobaczmy i tych — rzekł inspektor z miną człowieka znużonego. — Spełnijmy do końca nasz obowiązek i chodźmy do lochów.

— Niech pan zaczeka — powstrzymał go komendant. — Przywołam choć ze dwóch ludzi. Zdarza się, że więźniowie mając dość takiego życia i pragnąc, aby ich skazano na śmierć, dokonują absurdalnych czynów rozpaczy. Mógłbyś pan stać się ofiarą takiego czynu.

— Rób pan to, co dyktuje ostrożność — rzekł inspektor.

Posłano rzeczywiście po dwóch żołnierzy, a gdy przyszli, puszczono się w dół po schodach tak cuchnących, nieczystych i porosłych mchem, że samo przejście po nich raziło wzrok i powonienie, a i oddychać było ciężko.

— Fuj! A kogóż tu, do diabła, trzymacie? — zapytał inspektor, zatrzymując się w połowie drogi.

— Spiskowca, jednego z najniebezpieczniejszych; uprzedzono nas, że to człowiek gotów na wszystko.

— Sam jeden siedzi?

— Naturalnie.

— Od jak dawna?

— Od roku chyba.

— I siedzi w lochu od początku?

— Nie, panie, od chwili, gdy chciał zabić dozorcę, który mu przynosił codziennie żywność.

— Chciał zabić dozorcę?

— Tak, proszę pana, tego tutaj, który oświetla nam drogę. Nie tak, Antoni?

— Pewnie, że chciał mnie zabić — odpowiedział dozorca.

— Coś takiego! Więc to jakiś szaleniec?

— Gorzej, proszę pana — odpowiedział dozorca. — To diabeł, a nie człowiek.

— Czy chce pan, abym przedstawił na niego skargę? — zapytał inspektor komendanta.

— Nie ma potrzeby, już jest dosyć za to ukarany; zresztą niedługo oszaleje, a doświadczenie, jakie mamy z obserwacji, mówi nam, że nim upłynie rok, popadnie zupełnie w obłęd.

— A to tym lepiej dla niego — rzekł inspektor. — Jak oszaleje zupełnie, mniej będzie cierpiał.

Jak widzimy, inspektor był człowiekiem pełnym ludzkich uczuć i godnym powierzonych mu filantropijnych[236] obowiązków.

— Masz pan słuszność — odparł komendant. — Uwaga pańska dowodzi, że gruntownie przestudiował pan ten przedmiot. Mamy tu właśnie w jednym lochu, o trzydzieści kroków od tego, do którego dostaniemy się po innych schodach, starego księdza, niegdyś przywódcę jednego z włoskich stronnictw; siedzi tu od 1811 roku, a zwariował około 1813; od tego czasu jest nie do poznania: przedtem płakał, teraz się śmieje, chudł, teraz tyje. Może wolisz pan raczej zobaczyć tamtego? Jego szaleństwo raczej bawi, niż zasmuca.

— Zobaczę jednego i drugiego — postanowił inspektor. — Trzeba sumiennie dopełniać swoich obowiązków.

Inspektor pierwszy raz wizytował więzienia i chciał, aby jego władze miały o nim dobre wyobrażenie.

— Chodźmy najpierw do spiskowca — rzekł inspektor.

— Bardzo chętnie — odpowiedział komendant.

Dał znak dozorcy, by otworzył drzwi.

Dantès, skulony w kącie, radował się niewypowiedzianie drobnym promykiem słońca, który przeniknął przez wąskie zakratowane okienko. Słysząc zgrzytnięcie olbrzymich zamków i skrzypienie zardzewiałych zawiasów, podniósł głowę. Ujrzawszy nieznajomego, któremu towarzyszyło dwóch dozorców z pochodniami i dwóch żołnierzy oraz samego komendanta z kapeluszem w ręku — więzień odgadł cel odwiedzin; wreszcie nadarzyła się okazja, aby błagać wysokiego urzędnika; i rzucił się ku niemu ze złożonymi dłońmi.

[236] *filantropijny* — miłosierny, dobroczynny. [przypis edytorski]

Żołnierze natychmiast skrzyżowali bagnety, sądząc, że więzień poderwał się w złych zamiarach.

Sam inspektor cofnął się o krok.

Dantès zrozumiał, że przedstawiono go jako niebezpiecznego człowieka.

Zebrał więc w spojrzeniu całą łagodność i pokorę, jakie tylko mogą mieścić się w człowieku, i przemawiając słowami uroczystymi, a wręcz nabożnymi, usiłował trafić inspektorowi do serca. Inspektor wysłuchał do końca Dantèsa, a potem, zwracając się do komendanta, rzekł półgłosem:

— Zwróci się w stronę religii, już jest pełen łagodniejszych uczuć. Widzi pan, jaki wpływ ma na niego strach: cofnął się na widok bagnetów, wariat zaś nie cofa się nigdy. Bardzo ciekawe spostrzeżenia poczyniłem w tym zakresie w Charenton[237].

Potem zwrócił się do więźnia i zapytał:

— Krótko mówiąc, czego właściwie chcecie?

— Chcę dowiedzieć się, jaką popełniłem zbrodnię; chcę, aby mnie postawiono przed sądem; chcę, aby wznowiono dochodzenie; chcę na koniec, aby mnie rozstrzelano, jeżeli jestem winny, lub uwolniono, jeżeli jestem niewinny.

— Dobrze was tu żywią? — zapytał inspektor.

— Tak, chyba tak, sam nie wiem... I mniejsza o to; najważniejsze jest, i nie tylko dla mnie, ale i dla urzędników wymierzających sprawiedliwość, a nawet dla króla, który nami rządzi, aby niewinny nie padał ofiarą podłego donosu i nie umierał za kratami, złorzecząc swoim katom.

— Jakoś dziś jesteś bardzo łagodny — rzekł komendant. — Nie zawsze taki byłeś, przyjacielu, mówiłeś kiedyś całkiem inaczej, tego dnia, kiedy to chciałeś zatłuc dozorcę.

— To prawda, proszę pana — rzekł Dantès. — Przepraszam najpokorniej tego człowieka, który był zawsze dla mnie dobry... ale cóż chcieć! Byłem wtedy szalony, wpadłem w szał.

— A teraz nie jesteś szalony?

— Nie, proszę pana, więzienie ugięło mnie, złamało, unicestwiło. Już tak długo tu jestem!...

— Długo? Kiedy was zatrzymano? — zapytał inspektor.

— 28 lutego 1815 roku, o godzinie drugiej po południu.

Inspektor jął liczyć.

— Dziś mamy trzydziestego czerwca 1816 roku; i cóż wy mówicie? Siedzicie w więzieniu dopiero siedemnaście miesięcy.

Więzienie, Czas

— Siedemnaście miesięcy! — odpowiedział Dantès. — Ach, proszę pana, czy pan wie, ile znaczy siedemnaście miesięcy w więzieniu? To siedemnaście lat, siedemnaście wieków dla człowieka, który jak ja był tak bliski wielkiego szczęścia, który miał poślubić ukochaną kobietę, który widział przed sobą zaszczytną karierę, a który wszystko utracił. Człowiek ten w dniu najpiękniejszym w życiu wpadł w najczarniejszą noc, jego przyszłość jest zniszczona, nie wie, czy ta, którą kochał, kocha go jeszcze, nie wie, czy jego stary ojciec żyje jeszcze, czy umarł. Siedemnaście miesięcy więzienia dla człowieka nawykłego do morskiego powietrza, marynarskiej swobody, do przestrzeni, ogromu, nieskończoności — siedemnaście miesięcy więzienia dla takiego człowieka, proszę pana, to kara cięższa niż zasługują na to wszelkie występki, których ohydne imiona może wymienić język ludzki. Miej pan nade mną litość i żądaj dla mnie nie pobłażania, ale surowości, nie łaski, ale sądu; sędziów, proszę pana, ja domagam się tylko sędziów. Czyż można odmówić oskarżonemu prawa do stawania przed sądem?

— Dobrze — rzekł inspektor. — Zobaczymy.

I zwrócił się do komendanta:

— Doprawdy, ten biedak napełnił mnie litością. Jak wrócimy na górę, pokażesz mi pan jego akta.

— Oczywiście — odparł komendant. — Ale zdaje mi się, że on tam ma najgorszą opinię.

[237] *Charenton-Saint-Maurice* — miejscowość w płn. Francji, w której znajdował się przytułek dla chorych psychicznie; obecnie Saint-Maurice. [przypis edytorski]

— Proszę pana — ciągnął Dantès — ja wiem, że sam nie możesz mnie pan stąd uwolnić, ale możesz moją prośbę przedstawić władzom, możesz wyjednać rozpoczęcie śledztwa, możesz mnie kazać oddać pod sąd. Pragnę stanąć przed sądem i nic więcej, niech wiem, jaką popełniłem zbrodnię i na jaką jestem skazany karę, bo niepewność gorsza jest od wszystkich tortur.

— Proszę mówić jaśniej — rzekł inspektor.

— Proszę pana — zawołał Dantès — słychać z pańskiego głosu, żeś wzruszony, panie! Proszę, niech pan powie, że mogę mieć nadzieję.

— Nie mogę tego powiedzieć — odrzekł inspektor. — Mogę tylko przyrzec, że przejrzę twoją sprawę.

— O! To już jestem wolny, jestem ocalony!

— Kto kazał was aresztować? — zapytał inspektor.

— Pan de Villefort — odpowiedział Dantès — Niech się pan z nim zobaczy i porozmawia.

— Pan de Villefort wyjechał z Marsylii rok temu. Jest w Tuluzie.

— A więc się nie dziwię — szepnął Dantès. — Jedyny mój protektor wyjechał.

— Czy pan de Villefort miał jakiś powód, aby was nienawidzić? — zapytał inspektor.

— Żadnego, był dla mnie bardzo życzliwy.

— Mogę więc polegać na jego adnotacjach[238] lub na tym, co mi powie?

— Najzupełniej, proszę pana.

— Dobrze. Bądźcie cierpliwi.

Dantès upadł na kolana, wznosząc ręce do nieba, i w modlitwie, którą szeptał, polecał Bogu tego, co wstąpił do jego więzienia jak Zbawiciel uwalniający z piekieł dusze.

Drzwi się zamknęły, ale nadzieja, która pojawiła się tu razem z inspektorem, pozostała w celi Edmunda.

— Czy pan chce przejrzeć rejestr więzienny natychmiast — zapytał komendant — czy też przejdzie pan najpierw do celi księdza?

— Skończmy najpierw z lochami — odrzekł inspektor. — Jeśli wrócę na światło dzienne, może mi już zabraknąć odwagi, aby dokończyć tej smutnej misji.

— Ach, ten więzień jest zupełnie inny, jego szaleństwo jest mniej przygnębiające niż zdrowy rozum jego sąsiada.

— A jak się przejawia jego obłęd?

— O, to dziwne szaleństwo! Ksiądz ma się za posiadacza niezmiernych skarbów. W pierwszym roku uwięzienia ofiarował rządowi milion za uwolnienie, drugiego roku dwa miliony, trzeciego — trzy, i tak dalej. Już piąty rok u nas siedzi, niezawodnie więc będzie chciał pomówić z panem na osobności i ofiaruje pięć milionów.

— No, no, a to rzeczywiście ciekawa historia — rzekł inspektor. — Jakże się nazywa ten milioner?

— Ksiądz Faria.

— Numer 27 — przeczytał inspektor.

— To tu, Antoni, otwórz.

Dozorca otworzył drzwi i zaciekawione spojrzenie inspektora wpadło do lochu stuk-niętego księdza.

Tak bowiem zwykle nazywano tego więźnia.

Na środku celi, w kole zakreślonym kawałkiem wapna oderwanego od muru, leżał człowiek, niemal nagi, jego odzienie zwisało w strzępach. W kole tym kreślił wyraźne linie geometryczne i zdawał się nie mniej zajęty rozwiązaniem swego zadania, jak Archimedes[239], gdy poniósł śmierć z rąk żołnierza Marcellusa[240]. Nie poruszył się więc nawet na dźwięk otwieranych drzwi i wyrwał się z zamyślenia, dopiero gdy światło pochodni

[238] *adnotacja* — dopisek, notatka. [przypis edytorski]

[239] *Archimedes* (ok. 287–212 p.n.e.) — gr. filozof, matematyk; zginął w czasie II wojny punickiej, gdzie brał udział w obronie Syrakuz jako inżynier. Zaprojektowane przez niego machiny ciskały pociski w stronę wroga, który myślał, że to sami bogowie bronią miasta. Po nieudanej obronie Syrakuz Archimedes został zabity przez żołnierzy rzym. pomimo odgórnego rozkazu pojmania go żywcem. [przypis edytorski]

[240] *Marcellus* (ok. 270 p.n.e.–ok. 208 p.n.e.) — konsul i dowódca rzym. armii, najbardziej znany ze zdobycia Syrakuz podczas II wojny punickiej. [przypis edytorski]

oświetliło niecodziennym blaskiem wilgotną podłogę, na której pracował. Odwrócił się więc i zdziwiony spojrzał na ludzi, którzy tak licznie pojawili się w jego lochu.

Powstał żywo z ziemi, pochwycił z barłogu[241] kołdrę i szybko okrył się nią, aby ukazać się nieco przystojniej oczom obcych ludzi.

— Czego potrzebujecie? — zapytał inspektor, nie zmieniając swej sakramentalnej formuły.

— Ja? — zdziwił się ksiądz — Ja nic nie potrzebuję!

— Nie rozumiecie mnie — rzekł inspektor. — Jestem wysłannikiem rządu, mam za zadanie inspekcję wszystkich więzień, wysłuchuję życzeń i zażaleń więźniów.

— A, to co innego! — zawołał żywo ksiądz. — Mam nadzieję, że się dogadamy.

— Widzi pan — rzekł cicho komendant — czyż nie zaczyna się tak, jak panu zapowiadałem?

— Proszę pana — rzekł więzień. — Nazywam się Faria, jestem księdzem. Urodziłem się w Rzymie. Dwanaście lat byłem sekretarzem kardynała Rospigliosiego[242]; zostałem uwięziony, ale nie wiem nawet dobrze za co, na początku 1811. Odtąd zanoszę ciągłe prośby o wypuszczenie mnie na wolność do rządu francuskiego i włoskiego.

— Z jakiej racji do francuskiego? — zapytał komendant.

— Ponieważ aresztowano mnie w Piombino, a sądzę, że tak jak Mediolan i Florencja, również Piombino zostało stolicą jakiegoś departamentu francuskiego.

Inspektor i komendant spojrzeli po sobie i roześmiali się.

— Do licha! — rzekł inspektor. — Wiadomości, jakie ksiądz ma o Włoszech nie są zbyt świeże.

— Pochodzą z dnia, w którym zostałem zatrzymany — odrzekł ksiądz — że zaś Jego Cesarska Mość utworzył królestwo rzymskie dla syna, którym go niebo obdarowało, domyślam się, że dokonawszy dalszych podbojów, spełnił sny Machiavellego[243] i Cezara Borgii[244]: zjednoczył całe Włochy w jedno królestwo.

— Proszę księdza, Opatrzność na szczęście naniosła nieco poprawek do tego gigantycznego planu, którego zdajesz się być dość żarliwym stronnikiem.

— To jedyny sposób, aby uczynić z Włoch państwo silne, niezależne i szczęśliwe — odpowiedział ksiądz.

— Być może — odparł inspektor — ale nie przyszedłem tu, aby rozprawiać o polityce ultramontańskiej[245], ale po to, aby zapytać, czy nie macie jakich zażaleń co do wiktu i pomieszczenia.

— Jadło jak w każdym więzieniu — jest fatalne. Co do mieszkania, to widzi pan, że jest wilgotne i niezdrowe, jednak jak na loch całkiem przyzwoite. Ale nie o to teraz idzie; chcę uczynić rządowi niezmiernie ważną i szczególnie godną uwagi propozycję.

— Ot, i jesteśmy w domu — szepnął komendant do inspektora.

— I właśnie dlatego cieszę się, że pana widzę, chociaż przeszkodziłeś mi nieco w bardzo ważnych obliczeniach, które, jeśli się powiodą, mogą zmienić system Newtona[246]. Czy możesz mi pan udzielić posłuchania[247] na osobności?

— A co, nie mówiłem? — rzekł komendant do inspektora.

---

[241] *barłóg* — nędzne legowisko. [przypis edytorski]

[242] *Rospigliosi* — wł. ród szlachecki, którego najznamienitszym przedstawicielem był wybrany na papieża w 1667 r. Giulio Rospigliosi (Klemens IX). [przypis edytorski]

[243] *Machiavelli, Niccolò* (1469–1527)— florencki prawnik i teoretyk polityki; najbardziej znany z traktatu o skutecznym sprawowaniu władzy pt. *Książę*, w którym przekonywał, że dla dobra państwa obowiązkiem władcy jest skuteczność, nawet jeśli wymaga podejmowania działań nieetycznych. [przypis edytorski]

[244] *Borgia, Cesare* (1475–1507) — syn kardynała Rodriga Borgii (późniejszego papieża Aleksandra VI), arcybiskup, kardynał, później polityk i dowódca wojsk; dowodząc wojskami papieskimi dążył do objęcia władzy w śr. Włoszech i utworzenia własnego państwa; po śmierci ojca został pozbawiony władzy przez papieża Juliusza II. [przypis edytorski]

[245] *ultramontański* — związany z ultramontanizmem, tj. poglądem głoszącym, że polityka lokalnych kościołów rzymskokatolickich powinna być podporządkowana decyzjom papieża; tu: centralizujący, jednoczący. [przypis edytorski]

[246] *Newton, Isaac* (1643–1727) — ang. fizyk, matematyk i astronom, jeden z najwybitniejszych uczonych w historii; twórca (niezależnie od Leibniza) rachunku różniczkowego i całkowego, odkrywca prawa powszechnego ciążenia, twórca mechaniki klasycznej. [przypis edytorski]

[247] *posłuchanie* (daw.) — audiencja. [przypis edytorski]

— Znasz pan dobrze swojego pensjonariusza[248], jak widzę — odrzekł inspektor z uśmiechem, po czym zwrócił się do Farii:

— Żąda pan ode mnie rzeczy niemożliwej.

— A jednak, gdyby chodziło o pozyskanie dla rządu niezmiernej sumy, na przykład pięciu milionów?...

— Słowo daję — rzekł inspektor, obracając się do komendanta. — Przepowiedziałeś pan wszystko, nawet sumę.

— Zresztą — zawołał szybko ksiądz, widząc, że inspektor zbiera się do odejścia. — Nie musimy koniecznie być sam na sam; pan komendant może być obecny przy naszej rozmowie.

— Na nieszczęście, drogi księże — rzekł komendant — znamy już na pamięć, co chcesz powiedzieć. Wszak chodzi o skarby, prawda?

Faria spojrzał na szydercę takim wzrokiem, że bezstronny widz dostrzegłby w nim z pewnością błysk prawdy i rozsądku.

— Oczywiście — rzekł. — A o czymże miałbym mówić, jeśli nie o tym?

— Panie inspektorze — przerwał komendant. — mogę opowiedzieć całą tę historię z najdrobniejszymi szczegółami tak dobrze jak sam ksiądz, bo od czterech czy pięciu lat uszy mi od tego puchną.

— To dowodzi — rzekł ksiądz do komendanta — że jesteś pan jak owi ludzie, o których Pismo Święte mówi, że mają oczy a nie widzą, mają uszy a nie słyszą.

— Kochany księże — wtrącił inspektor. — Rząd nasz, dzięki Bogu, jest zamożny i nie potrzebuje twoich milionów; zachowaj je sobie, przydadzą się księdzu, kiedy wyjdziesz z więzienia.

Oczy księdza rozpłomieniły się; porwał inspektora za rękę.

— A jeżeli nie wyjdę z więzienia — rzekł — jeżeli wbrew wszelkiej sprawiedliwości będę musiał tu pozostać, jeżeli umrę i nie zdążę nikomu odkryć tajemnicy i skarb przepadnie? Czyż nie lepiej, aby i rząd z niego skorzystał i ja także? Dam sześć milionów, tak, zrezygnuję z sześciu milionów, i poprzestanę na reszcie, jeżeli tylko wyjdę na wolność!

— Na honor — rzekł inspektor półgłosem. — Gdybym nie wiedział, że to wariat, uwierzyłbym, że mówi prawdę, tyle w jego głosie przekonania.

— Nie jestem wariatem, mówię czystą prawdę — odparł Faria, chwytając (dzięki wyostrzonemu słuchowi, właściwemu dla wszystkich więźniów) każde słowo inspektora. — Skarb, o którym mówię, istnieje naprawdę. Proponuję, aby podpisał pan ze mną umowę, na podstawie której zawieziesz mnie pan w miejsce, które wyznaczę: na naszych oczach rozkopie się ziemię, a jeżeli kłamię, jeżeli nic nie znajdziemy, jeżeli jestem wariatem, jak powiadacie, cóż... Weźmiecie mnie na powrót do lochu, zostanę tu na wieki, umrę tu i nic już od was nie będę żądać.

Komendant roześmiał się.

— Daleko ten twój skarb? — zapytał.

— Stąd będzie ze sto mil — rzekł Faria.

— Nieźle pomyślane — powiedział komendant. — Gdyby tak każdy więzień chciał odbywać takie stumilowe spacerki ze swoimi stróżami, a stróże zgadzaliby się na to, więzień miałby doskonałą sposobność, aby wziąć nogi za pas. A podczas takiej podróży na pewno nadarzyłaby się niejedna okazja do ucieczki.

— To znany sposób — dodał komendant — i nasz księżulo nie może sobie nawet przyznać pierwszeństwa.

I zwrócił się do Farii:

— Pytałem księdza, czy cię tu dobrze karmią.

— Panie — odparł Faria — niech mi pan przysięgnie na święte imię Chrystusa, że mnie pan uwolni, jeśli powiem prawdę. A wtedy wskażę miejsce, gdzie ukryto skarb.

— Czy dobrze księdza karmią? — powtórzył inspektor.

— Panie, przecież nic pan nie ryzykuje, widzi pan sam, że bynajmniej nie szukam sposobności ucieczki, ponieważ będę tu, w więzieniu, gdy udacie się w drogę.

— Nie odpowiada mi ksiądz na pytanie — rzekł zniecierpliwiony nieco inspektor.

[248] *pensjonariusz* — tu: mieszkaniec domu opieki. [przypis edytorski]

— I pan także nie odpowiada na moją prośbę! — wrzasnął ksiądz. — Bądź więc przeklęty jak i inni durnie, co mi nie chcieli wierzyć! Nie chcecie mojego złota, dobrze, zachowam je dla siebie; nie chcecie mi dać wolności, Bóg mi ją ześle. Idźcie sobie, nie mam już nic do powiedzenia.

I odrzuciwszy kołdrę, pochwycił kawałek wapna, siadł pośrodku koła i zaczął od nowa kreślić jakieś linie i liczby.

— Co on robi? — zapytał inspektor, wychodząc.

— Liczy swoje skarby — odparł komendant.

Faria odpowiedział na ten sarkazm spojrzeniem wyrażającym najwyższą pogardę. Wyszli, a dozorca zamknął za nimi drzwi.

— Może rzeczywiście posiadał jakieś skarby — rzekł inspektor, wchodząc do góry.

— Albo mu się śniło, że je ma — odparł komendant — a następnego dnia obudził się obłąkany.

— Racja — zauważył inspektor, z naiwnością przyznając się do swej sprzedajności. — Gdyby naprawdę był bogaty, nie znalazłby się w więzieniu.

Tak to skończyła się ta przygoda dla księdza Farii. Pozostał w więzieniu, a po tej wizycie jego reputacja zabawnego szaleńca ugruntowała się jeszcze mocniej.

Szaleństwo, Władza, Więzienie

Kaligula[249] albo Neron[250], ci wielcy poszukiwacze skarbów, pożądający wszystkiego, co niemożliwe, posłuchaliby tego biedaka i ofiarowaliby mu upragnioną przestrzeń, przestrzeń, którą wyceniał tak wysoko, i wolność, za którą gotów był tak hojnie zapłacić. Ale ci, którzy dzisiaj dzierżą władzę, powstrzymywani przez granice prawdopodobieństwa, nie odważają się już na rozmach w pragnieniach; obawiają się uszu tych, którym rozkazują, oczu, które przypatrują się ich poczynaniom; nie mają już poczucia nadludzkiej wyższości; to tylko ludzie koronowani — i ot, wszystko. Niegdyś uważali się za synów Jowisza[251], lub przynajmniej mienili się nimi, i zachowywali nieco z postawy szanownego pana ojca: wszak niełatwo sprawdzić, co się dzieje ponad chmurami; a dzisiaj mamy tak łatwy dostęp do królów... I skoro rządy despotyczne nigdy nie pokazywały chętnie skutków więzienia i tortur — rzadko zdarza się, aby ofiara przesłuchań mogła pojawić się przed ludźmi ze zmiażdżonymi kośćmi i krwawymi ranami — podobnie i obłęd, ten wrzód powstający w brudach lochu na skutek tortur duchowych, ukrywany jest tam, gdzie się narodził.

Ksiądz Faria, doznawszy w więzieniu pomieszania zmysłów, był skazany przez własne szaleństwo na dożywotnie więzienie.

Dantèsowi zaś inspektor dotrzymał słowa. Wróciwszy do komendanta, kazał sobie przedłożyć rejestr więźniów. Opinia dotycząca Dantèsa brzmiała następująco:

> Edmund Dantès. Żarliwy bonapartysta, wziął czynny udział w przygotowaniu ucieczki z Elby.
>
> Należy trzymać go w tajemnicy i pod najściślejszym dozorem.

Dopisek ten był uczyniony inną ręką i innym atramentem, co dowodziło, że powstał już po uwięzieniu Dantèsa. Oskarżenie było tak ciężkie i stanowcze, że nie warto byłoby starać się je obalić. Pod adnotacją inspektor dopisał zatem: „Nieodwołalne".

Wizyta inspektora przywróciła, jeśli można tak powiedzieć, życie Dantèsowi; od chwili uwięzienia stracił rachubę dni; inspektor podał mu teraz datę, która utkwiła mu w głowie. Kawałkiem tynku oderwanym z sufitu napisał na murze: „30 czerwca 1816" i aby nie zgubić znowu poczucia upływającego czasu, co dzień żłobił u dołu jedną kreskę.

Tak upływały dni, tygodnie, miesiące — Dantès ciągle czekał. Najpierw oznaczył sobie termin uwolnienia za dwa tygodnie; sądził bowiem, że tyle powinno wystarczyć całkowicie inspektorowi, nawet gdyby włożył w załatwianie sprawy połowę zaangażowania, jakie wydawał się okazywać. Po upływie dwóch tygodni powiedział sobie, że niedorzecznością byłoby przypuszczać, że inspektor mógłby się zająć jego sprawą przed powrotem

[249] *Kaligula* (12 n.e. – 41 n.e.) — cesarz rzymski (od 37); po obiecującym początku rządów zapadł na chorobę umysłową; znany z despotycznych i brutalnych rządów. [przypis edytorski]

[250] *Neron* (37 r.n.e – 68 r.n.e.) — piąty cesarz rzym. panujący od 54 r. n.e.; poeta i aktor, miłośnik kultury i sztuki gr.; znany przede wszystkim ze swojego okrucieństwa (m.in. doprowadził do śmierci swojej matki, Agrypiny, i zabił swoją żonę, Poppeę, gdy ta była w ciąży). [przypis edytorski]

[251] *Jowisz* a. *Jupiter* (mit. rzym.) — najwyższe bóstwo rzym. panteonu, bóg nieba i burzy, odpowiednik gr. Zeusa. [przypis edytorski]

do Paryża; powrót zaś mógł przecież nastąpić dopiero po ukończeniu objazdu wszystkich więzień, to znaczy po jakichś dwóch miesiącach. Postanowił zatem czekać trzy miesiące zamiast dwóch tygodni. Gdy trzy miesiące upłynęły, przesunął termin na sześć miesięcy; ale po upływie pół roku pokazało się, gdy obliczył dokładnie dni, że czekał już dziesięć i pół miesiąca. W ciągu tego okresu nie nastąpiła w więziennym położeniu Edmunda żadna zmiana; nie otrzymał żadnej pocieszającej wiadomości; dozorca jak zwykle był głuchy na zapytania. Dantès zaczął już powątpiewać o własnych zmysłach, zaczynał wierzyć, że to, co brał za wspomnienie rzeczywistego faktu, było tylko wytworem wyobraźni, a ów anioł pocieszyciel, który zstąpił kiedyś do więzienia, sfrunął tylko na skrzydłach snu.

Po roku komendant zamku If otrzymał dowództwo twierdzy Ham[252]; między podwładnymi, których wziął ze sobą, był także i dozorca Dantèsa. Przybył nowy komendant. Wydawało mu się, że szkoda zachodu, by uczyć się nazwisk wszystkich więźniów, kazał ich przeto[253] przedstawić sobie po numerach. Ten okropny hotel składał się z pięćdziesięciu „umeblowanych pokoi"; jego mieszkańcy zwali się od tej pory według numerów swych cel; nieszczęśliwy młodzieniec przestał się nazywać Edmund Dantès, został ochrzczony numerem 34.

15. NUMER 34 I NUMER 27

Dantès przeszedł przez wszystkie stopnie męczarni, jakie cierpią więźniowie zapomniani w więzieniu. Rozpoczął od poczucia dumy, które wypływa z nadziei i czystego sumienia; następnie zwątpił o swej niewinności, co w części usprawiedliwiało opinię komendanta, który twierdził, że Dantès zwariował; na koniec pozbył się zupełnie dumy i zaczął prosić, jeszcze nie Boga, ale ludzi; Bóg jest bowiem ostatnią deską ratunku. Nieszczęśliwy, który powinien od Boga zaczynać, dopiero wówczas poleca się Jego opiece, gdy go już zawiodą wszystkie inne nadzieje.

Dantès prosił więc, aby go przynajmniej przeniesiono do innego lochu, chociażby jeszcze ciemniejszego i głębszego; jakakolwiek zmiana, nawet niekorzystna, zawsze byłaby dla niego nowością i rozerwałaby go choć przez kilka dni. Prosił, aby mu pozwolono na spacery, zaczerpnięcie powietrza, prosił o książki, instrumenty. Żadna z tych próśb nie odnosiła skutku, on jednak nie przestawał prosić. Przywykł mówić do swojego nowego dozorcy, choć ten był jeszcze większym milczkiem — jeśli to w ogóle możliwe — niż poprzedni; ale przemawiać do człowieka, nawet niemego, sprawiało Edmundowi przyjemność. Mówił dlatego, aby usłyszeć własny głos; próbował mówić do siebie, gdy zostawał sam, ale wtedy ogarniał go strach przed samym sobą.

Gdy Dantès był jeszcze na wolności, bał się straszliwie wspólnych cel, w których siedzieli włóczędzy, bandyci i zbrodniarze, których łączy w jedno haniebna radość niepojętych orgii i straszliwych przyjaźni. Ale tu doszedł już do takiego stanu, że marzył, aby wtrącono go do jednej z tych czeluści, aby przynajmniej mógł widzieć inne ludzkie twarze, nie zaś wyłącznie niewzruszone oblicze milczącego dozorcy; zazdrościł galernikom[254], zazdrościł im hańbiącej odzieży, kajdan na nogach, piętna na ramieniu. Galernicy są przynajmniej wśród podobnych sobie, żyją na wolnym powietrzu, widzą niebo, słowem, galernicy są bardzo szczęśliwi.

Pewnego razu jął błagać dozorcę, aby mu dano jakiegokolwiek towarzysza, choćby owego obłąkanego księdza, o którym słyszał. Dozorca Dantèsa czuł w głębi duszy litość dla młodego więźnia, choć jego twarz wcale tego nie zdradzała, widział, jak ciężko znosił on więzienie; przedstawił więc prośbę numeru 34 komendantowi; ale komendant, przewidujący jak wielki polityk, wyobraził sobie, że Dantès ma zamiar zbuntować więźniów, uknuć jakiś spisek, zdobyć sobie pomoc przyjaciela w ucieczce — i odmówił.

Dantès wyczerpał już wszystkie środki leżące w ludzkiej mocy. Zwrócił się wówczas ku Bogu — co, jak mówiliśmy wyżej, musiało w końcu nastąpić.

Wszystkie idee pobożności, rozrzucone po szerokim świecie, a zbierane troskliwie niby kłosy przez nieszczęśliwych, których los nachylił do ziemi, pokrzepiły go na du-

[252] *twierdza Ham* — średniowieczny zamek w płn. Francji. Od XVII w. służył jako więzienie stanu. [przypis edytorski]

[253] *przeto* (daw.) — więc, dlatego. [przypis edytorski]

[254] *galernik* — osoba zesłana do ciężkiej pracy fizycznej na galery (daw. okręty wojenne poruszane wiosłami). [przypis edytorski]

chu. Przypomniał sobie pacierze, których uczyła go matka i odkrył w nich sens, którego przedtem nigdy nie dostrzegał; bo dla człowieka szczęśliwego modlitwa jest monotonnym zbiorem słów pozbawionych sensu, aż do dnia, w którym cierpienie zaczyna tłumaczyć człowiekowi nieszczęśliwemu ten wzniosły język, którym przemawia do Boga.

Modlił się więc, nie z zapałem, ale z zapamiętałością. Modląc się głośno, przestał się lękać własnego głosu; wpadał więc znowu w rodzaj ekstazy; w każdym wymówionym słowie widział promiennego Boga; wszystkie czyny, spełnione, gdy wiódł jeszcze tak nagle utracone skromne życie marynarza, przypisywał woli wszechmocnego Boga, brał z nich naukę, wyznaczał sobie śluby. A pod koniec każdego pacierza przemycał ową interesowną prośbę, którą ludzie częściej składają bliźnim niż Bogu: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom".

Ale pomimo tak gorących modlitw Dantès pozostawał nadal w więzieniu.

Wtedy umysł jego otępiał, jeszcze bardziej zgęstniał mu mrok przed oczyma. Dantès był prostym człowiekiem, nie miał wykształcenia, przeszłość zakrywała mu mgła, którą rozproszyć może tylko wiedza. W samotności więzienia, zapędzając się w myślach na bezdroża, nie potrafił odbudować myślą ubiegłych wieków, przywołać do życia wygasłych ludów, zrekonstruować starożytnych miast, które imaginacja wyolbrzymia i poetyzuje, przesuwając przed oczyma ich gigantyczne kształty, oświetlone w niebiańskim ogniu, na wzór babilońskich obrazów Martina[255]. A on miał tylko swoją przeszłość — tak krótką, teraźniejszość — tak posępną, i przyszłość — tak wątpliwą; pozostało mu tylko dziewiętnaście lat blasku i życia, które miały wystarczyć mu do rozmyślań na całą wieczność nocy! Żadne inne myśli nie mogły go rozerwać. Jego energiczny umysł, który chętnie uleciałby poprzez wieki, był uwięziony jak orzeł w klatce. Uczepił się więc jednej tylko myśli: swojego szczęścia zniszczonego bez widocznej przyczyny, na skutek jakiegoś niesłychanego, fatalnego przypadku; przywiązał się wszystkimi siłami do tej myśli, obracał ją i oglądał ze wszystkich stron, wgryzając się w nią niemal tak, jak w *Piekle* Dantego[256] bezlitosny Ugolino pożera czaszkę arcybiskupa Rogera[257].

Okres ascetyzmu[258] ustąpił miejsca rozpaczy i wściekłości. Edmund miotał przekleństwa, przejmujące grozą samego dozorcę, obijał się ciałem o mury więzienia, rzucał z wściekłością na wszystko, co go otaczało, a zwłaszcza na siebie, i to z powodu najdrobniejszej przeciwności, ziarnka piasku, źdźbła słomy lub powiewu wiatru. Wtedy przypominał sobie ów list denuncjacyjny, który widział na własne oczy u Villeforta, którego dotykał własnymi rękami; każdy wiersz jarzył się ogniem na murach jak *Mane Tekel Fares*[259] Baltazara. Mówił do siebie, że to nienawiść ludzka, a nie kara boska, wtrąciła go w tę otchłań, i poddawał sprawców swego nieszczęścia najokropniejszym torturom, na jakie tylko jego płonąca imaginacja mogła się zdobyć, i zdawało mu się jeszcze, że najstraszliwsze będą zbyt łagodne, a przynajmniej zbyt krótkie, bo śmierć kładzie kres karze, a śmierć prowadzi, jeśli nie do odpoczynku, to przynajmniej do nieczułości, która go przypomina.

W miarę jak powtarzał — w odniesieniu do swoich wrogów — że spokój to śmierć i że temu, kto chce ukarać okrutnie nieprzyjaciela potrzeba innych środków niż zabójstwo, pogrążał się w posępnym bezwładzie, jaki sprowadzają myśli samobójcze. Biada temu, który staczając się w przepaść nieszczęścia, uchwyci się tej czarnej myśli! Bo jest ona niby morze martwe o falach błękitnych i zdradliwie czystych, które oblepia nogi pływaka, wciąga je jak zbiornik smoły, wchłania, wsysa. Kto raz się zagłębi w takich myślach —

[255] *John, Martin* (1789–1854) — ang. malarz, twórca pejzaży o tematyce biblijnej, charakteryzujących się romantycznym rozmachem, monumentalnością i nastrojem apokaliptycznym. [przypis edytorski]

[256] *Alighieri, Dante* (1265–1321) — jeden z najwybitniejszych wł. poetów, autor poematu *Boska Komedia*, przedstawiającego wizję wędrówki poety przez trzy światy pozagrobowe: Piekło, Czyściec i Raj. [przypis edytorski]

[257] *Gherardesca, Ugolino della* (ok. 1214–1289) i *Ubaldini, Ruggieri degli* (zm. 1295) — bohaterowie poematu Dantego, a zarazem postacie autentyczne; w dziesiątym kręgu Piekła (przeznaczonym dla zdrajców) Ugolino mści się na Ruggierim, który tamtego kazał zamknąć we wieży i zagłodzić na śmierć. [przypis edytorski]

[258] *ascetyzm* — wyrzeczenie się dóbr materialnych, przyjemności i wygód w ramach praktyki religijnej. [przypis edytorski]

[259] *Mane Tekel Fares* — słowa, które wg opowieści biblijnej z *Ks. Daniela* (5:25) wypisała tajemnicza ręka na ścianie pałacu w Babilonie podczas uczty króla Baltazara; znaczenie napisu: „policzono, zważono, rozproszono" (w jęz. hebr., aram. a. chaldejskim) zostało odczytane jako przepowiednia upadku państwa, który miał stanowić karę za grzechy Babilonu [przypis edytorski]

o ile tylko Bóg nie wesprze go pomocą — zginie i każda próba wydostania się z nich pogrąża go coraz bardziej w śmierć.

Taka jednak agonia duchowa nie jest równie straszna, jak cierpienie, które ją poprzedziło, i kara, jaka zapewne po niej nastąpi, to rodzaj pociechy, od której możemy dostać zawrotu głowy, która pokazuje nam przepaść ziejącą u stóp, ale w przepaści tej tylko nicość znajduje się na dnie. Doszedłszy do takiego stanu umysłu, Edmund znalazł nieco ukojenia. Cała jego boleść, cierpienia i orszak widziadeł, które wlokły się za nimi, zdawały się uciekać z kątów lochu, bo miał tam zstąpić cichą stopą anioł śmierci. Dantès spojrzał ze spokojem na swoją przeszłość, a na przyszłość z trwogą; i wybrał ową drogę środkową, która wydawała mu się bezpiecznym azylem.

„Czasami — myślał — podczas dalekiej żeglugi, kiedy byłem jeszcze człowiekiem, człowiekiem wolnym i silnym i wydawałem moim ludziom rozkazy, które oni wypełniali, widywałem chmurzące się niebo, morze, które zaczynało się piętrzyć i burzyć; na horyzoncie zbierała się burza i na kształt olbrzymiego orła biła w niebo dwoma skrzydłami; czułem wtedy, że mój statek był nietrwałym schronieniem, bo sam, lekki jak piórko w ręku olbrzyma, trząsł się i dygotał. Wśród ryku bijących fal, widok ostrych, sterczących skał zapowiadał mi śmierć, a śmierć napawała mnie strachem i aby uniknąć jej uścisku czyniłem wszystko, rzucałem na szalę wszelkie siły ludzkie i całe doświadczenie marynarza, aby wytrwać w tej walce z Bogiem!... Dlatego, że byłem wówczas szczęśliwy, dlatego że ocalenie oznaczało powrót do szczęścia, dlatego że nie wzywałem ani nie wybierałem tej śmierci; sen na łożu z wodorostów i kamyków wydawał mi się zbyt niewygodny; dlatego że uważałem za niegodne, aby mnie, człowieka stworzonego na Boskie podobieństwo, rozdziobały po śmierci sępy i mewy. Ale dziś to co innego, dziś straciłem wszystko, co sprawiało, że kochałem życie, dziś śmierć wabi mnie swym uśmiechem jak mamka dziecię, gdy je chce ukołysać; dziś umieram, bo chcę umrzeć — zasypiam znużony i złamany, jak usypiałem po owych wieczorach rozpaczy i wściekłości, kiedy przemierzałem celę po trzy tysiące razy tam i z powrotem, to znaczy robiłem trzydzieści tysięcy kroków, czyli mniej więcej dziesięć mil".

Odkąd ta myśl zakiełkowała młodzieńcowi w głowie, złagodniał i twarz mu się rozjaśniła; pogodził się wreszcie z twardym łożem, czarnym chlebem; jadł coraz mniej, nie spał już wcale i uznał za znośną tę resztkę egzystencji, był bowiem przekonany, że porzuci ją, kiedy tylko zechce — tak jak się zrzuca zużyte odzienie.

Były dwa sposoby samobójstwa; jeden prosty: należało przywiązać chustkę do kraty w oknie i powiesić się; drugi zaś polegał na udawaniu, że się przyjmuje pożywienie, co kończyło się śmiercią głodową. Do pierwszego Dantès czuł wstręt. Wychował się w pogardzie dla korsarzy[260], tych, których wieszają na rejach statku. Powieszenie uważał zatem za karę hańbiącą i nigdy by jej sobie nie zadał; wybrał więc drugi sposób i tego samego dnia rozpoczął wprowadzać go w czyn.

Na roztrząsaniu powyższych kwestii zeszły mu cztery lata. Pod koniec drugiego roku Dantès przestał liczyć dni i popadł na nowo w tę nieświadomość mijającego czasu, z której inspektor na krótko go wydobył.

Dantès rzekł do siebie: „chcę umrzeć" — i wybrał rodzaj śmierci; dobrze się nad nim zastanowił i lękając się, że mu sił nie starczy, przysiągł sobie, że w taki właśnie umrze sposób. „Kiedy mi będą przynosić — myślał — rano i wieczorem posiłki, będę wyrzucał je przez okno i wszyscy pomyślą, że zjadłem wszystko".

Jak postanowił, tak i zrobił. Dwa razy dziennie wyrzucał jedzenie przez małe zakratowane okienko, za którym zaglądał do niego tylko skrawek nieba; z początku czynił to z radością, następnie z namysłem, na koniec z żalem. Musiał sobie przywodzić na pamięć przysięgę, aby mieć siłę do kontynuowania tego straszliwego planu. Jadło, na które dawniej spoglądał ze wstrętem, wydawało mu się teraz, gdy szarpał go głód, smakowite, wabiło oko i drażniło węch. Nieraz całą godzinę trzymał w ręku garnek, wpatrując się chciwie w kawał nieświeżego mięsa albo cuchnącej ryby i na spleśniały czarny chleb. Były to resztki instynktu samozachowawczego, które wciąż walczyły w nim przeciw śmierci i które czasem niszczyły jego postanowienie. Wówczas więzienie wydawało mu się mniej posępne, a sytuacja mniej rozpaczliwa; był przecież jeszcze młody, miał nie więcej niż

Głód

[260] *korsarz* — tu: pirat. [przypis edytorski]

dwadzieścia pięć, sześć lat, czekało go jeszcze z pół wieku, to znaczy prawie dwa razy tyle, co przeżył do tej pory. Przez tak niezmierny szmat czasu ileż wypadków mogłoby rozbić bramy więzienia, obalić mury zamku If i zwrócić mu wolność! W takiej chwili zbliżał usta do jedzenia, z którego — niby Tantal[261] z własnej woli — sam rezygnował; ale przypominał sobie wówczas przysięgę, i jego szlachetna natura wzdrygała się na samą myśl, że mógłby pogardzać sobą, gdyby jej nie dotrzymał. I tak, bezlitosny i surowy wobec samego siebie, zużył tę resztkę sił, jaka mu pozostała, aż nadszedł dzień, kiedy nie miał już siły, aby wstać i wyrzucić przez okienko przyniesioną strawę.

Następnego dnia wzrok mu przygasł, prawie już nie słyszał; dozorca składał to na ciężką chorobę, a Edmund spodziewał się rychłej śmierci.

Tak upłynął dzień. Edmund czuł, jak ogarnia go jakieś nieokreślone odrętwienie, które przynosiło ze sobą poczucie błogości; kurcze w żołądku ustały, piekące pragnienie przygasło. Kiedy zamykał oczy, widział przed sobą mnóstwo lśniących światełek, podobnych do ogników błędnych, które unoszą się nocą nad bagniskami: nadchodził zmierzch w tym nieznanym kraju, który nazywamy śmiercią.

Nagle około dziewiątej wieczór, usłyszał za ścianą, przy której leżał, głuchy odgłos.

Tyle plugawych zwierząt harcowało w tym więzieniu, że Edmund przywykł do nich i nie zakłócały mu już snu; ale tym razem, czy to dlatego, że przy takim poście wyostrzył mu się słuch, czy dlatego, że hałas był mocniejszy niż zwykle, czy że w tak ważnych, ostatnich chwilach wszystko nabiera znaczenia — Edmund podniósł głowę, aby lepiej słyszeć.

Było to miarowe, jednostajne drapanie, wskazujące, że skrobią po kamieniach jakieś szpony olbrzymie, mocne zęby albo też jakieś narzędzia.

Mimo że umysł Edmunda osłabiony był mocno, rozbudziła go banalna myśl, która nurtuje więźniów nieustannie: wolność. Odgłos ten rozbrzmiał wówczas, gdy miały dla Dantèsa zamrzeć wszelkie dźwięki; wydało mu się przeto, że sam Bóg ulitował się nad jego cierpieniem i zesłał mu ten odgłos na przestrogę, aby zatrzymał się nad grobem, dokąd już osunęła mu się noga. Kto wie, czy czasem któryś z jego przyjaciół, owych tak drogich mu istot, nie zatroszczył się w tej chwili o jego los i nie usiłował się z nim połączyć?

Ale nie, chyba Edmund się myli, to niewątpliwie jeden z majaków, które polatują przy wrotach śmierci.

A jednak wciąż słyszał ten szmer. Trwało to blisko trzy godziny, a potem jakby się coś zawaliło — i szmer ustał.

Po kilku godzinach szmer odezwał się ponownie, silniejszy i jakby bliższy. Edmund zaczął interesować się tą pracą, która zastępowała mu towarzystwo, gdy nagle wszedł dozorca.

Od mniej więcej tygodnia, to jest od czasu, gdy postanowił umrzeć, i od czterech dni, kiedy rozpoczął głodować, nie wyrzekł ani słowa do tego człowieka, nie odpowiadał na żadne z jego pytań i odwracał się do ściany, gdy dozorca przypatrywał mu się zbyt uważnie. Teraz jednak dozorca mógłby posłyszeć ten głuchy szmer, zaniepokoić się, położyć mu koniec i zniszczyć tym samym tę iskierkę nadziei, o której sama myśl rozjaśniała Dantèsowi ostatnie chwile życia.

Dozorca przyniósł śniadanie. Dantès podniósł się na łóżku i wysilając głos, rozpoczął głośno rozprawiać na wszelkie możliwe tematy, mówił, że podłe jest jedzenie, które przynosił dozorca, że w lochu panuje straszliwy ziąb — i mruczał, narzekał co tylko się dało głośniej, tak długo, że zniecierpliwił dozorcę, który właśnie tego dnia uzyskał dla chorego więźnia nieco bulionu i świeżego chleba.

Szczęściem pomyślał, że Dantès jest w gorączce, położył więc jedzenie jak zwykle na kulawym stole i odszedł.

Edmund, uwolniony od jego obecności, zaczął się znowu z radością przysłuchiwać szmerowi. A odgłos stawał się tak wyraźny, że można go było usłyszeć bez wysiłku. „Ponieważ ten odgłos nie ustaje w dzień — pomyślał — to na pewno jakiś więzień, równie

[261] *Tantal* (mit. gr.) — postać kojarzona z karą, jaką odbył za zuchwałość w stosunku do bogów Olimpu; został skazany na wieczny głód i niemożność spełnienia żadnego ze swoich pragnień. Bogowie umieścili go w sadzawce otoczonej drzewami owocowymi. Półbóg nie mógł ani ugasić pragnienia, ani pożywić się owocami. [przypis edytorski]

jak ja nieszczęśliwy, pracuje nad ucieczką stąd. Ach! Gdybym mógł być razem z nim, z jakim zapałem bym mu pomagał!".

I nagle posępny obłok przysłonił tę jutrzenkę[262] nadziei, umysł bowiem Edmunda, nawykły do nieszczęścia, z trudem dawał do siebie przystęp[263] radości; zrodziła się w nim myśl, czy aby hałas nie jest wywołany przez robotników, którzy z rozkazu komendanta naprawiali coś w sąsiedniej celi.

Łatwo można się było o tym przekonać, ale jak zaryzykować takie pytanie? Nic prostszego, niż zaczekać na dozorcę, pozwolić mu wysłuchać tego szmeru i uważać, jaką będzie miał wtedy minę; ale czy godziło się dla tak małej satysfakcji zdradzać może czyjeś najważniejsze plany? Na nieszczęście Edmund był już tak słaby, że nie był w stanie zebrać wokół tej jednej sprawy myśli, gdyż krążyły w jego umyśle jak jakieś skłębione opary. Zrozumiał, że jest tylko jeden sposób, który mógł przywrócić mu jasność myślenia i trzeźwość sądu; spojrzał na dymiący jeszcze bulion, który dozorca zostawił na stole, podniósł się, wziął filiżankę, podniósł do ust i pochłonął jej zawartość z trudnym do opisania uczuciem zadowolenia.

Miał na tyle siły, aby poprzestać tylko na tym; słyszał kiedyś, że rozbitkowie wycieńczeni od głodu umierali po uratowaniu, jeśli zbyt prędko zjedli nazbyt posilnej strawy.

Położył zatem na stole chleb, który już podniósł do ust i wrócił znowu na posłanie. Już nie chciał umierać.

Wkrótce poczuł, jak rozjaśnia mu się umysł; jego myśli, dotąd błędne i nieuchwytne, wracały na swoje właściwe miejsca. Mógł zatem myśleć i myśli poprzeć logicznym rozumowaniem.

Rzekł do siebie:

„Trzeba spróbować zbadać tę rzecz, nie narażając nikogo na szkodę. Jeżeli to zwyczajny robotnik, gdy tylko zastukam, przestanie pracować, aby dowiedzieć się, kto i dlaczego stuka. A skoro jego praca jest nie tylko dozwolona, ale nawet nakazana, znowu się do niej weźmie. A jeśli, przeciwnie, jest to więzień, moje uderzenia go przestraszą; będzie się bał, aby go nie odkryto, zaprzestanie pracy i zacznie na nowo dopiero wieczorem, kiedy będzie pewien, że wszyscy śpią".

I Edmund podniósł się. Teraz nogi już nie chwiały się pod nim, a w oczach nie pojawiły mu się oślepiające błyski. Poszedł w kąt lochu, oderwał kamyk obluzowany przez wilgoć i trzykrotnie zastukał nim w mur tam, skąd najwyraźniej dobiegały głuche odgłosy.

Przy pierwszym uderzeniu hałas ustał od razu, jakby za dotknięciem różdżki. Edmund całą duszę skupił w nasłuchiwaniu. Upłynęła godzina, dwie, nie dawał się słyszeć najmniejszy szmer; hałas wywołany przez Edmunda spowodował po drugiej stronie całkowitą ciszę.

Pełen nadziei zjadł kilka kęsów chleba, napił się wody i dzięki mocnej konstytucji[264], jaką obdarowała go natura poczuł się niemal tak dobrze jak przed głodówką.

Minął dzień, a milczenie trwało nadal.

Nadeszła noc i żaden szmer się nie ponowił.

„To więzień" — rzekł sobie Dantès z niewysłowioną radością.

Głowa jęła mu płonąć; powracał gwałtownie do życia, bowiem znów nabierało ono dla niego aktywnego charakteru.

Minęła noc — bez najmniejszego szmeru. Edmund nie zamknął oczu przez całą tę noc.

Nadszedł dzień, dozorca przyniósł pożywienie. Edmund zdążył już zjeść wszystko, co miał, pochłonął i ten posiłek, nasłuchując bezustannie, czy znów nie odezwie się chrobot, drżąc, czy już na zawsze nie ustał; krążąc po lochu uszedł z dziesięć do dwunastu mil; całe godziny mocował się z żelaznymi kratami okienka, przywracając siłę i giętkość swoim mięśniom ćwiczeniami, których dawno już poniechał; gotował się w ten sposób — podobny do zapaśnika, który, nim wejdzie na arenę, naciera się oliwą i rozciąga ramiona — do walki z przyszłością. W przerwach między owymi gorączkowymi ćwiczeniami nasłuchiwał znowu, czy nie wznowi się szmer; niecierpliwił się ostrożnością owego więźnia,

[262] *jutrzenkę* (poet.) — świt. [przypis edytorski]
[263] *przystęp* — możliwość dojścia do czegoś, dostęp. [przypis edytorski]
[264] *konstytucja* — tu: budowa ciała, organizm. [przypis edytorski]

który nie mógł odgadnąć, że tu inny więzień przeszkodził mu w pracy nad odzyskaniem swobody, i że temu więźniowi spieszyło się do wolności równie jak jemu.

Upłynęły tak trzy dni — siedemdziesiąt dwie śmiertelne godziny, odliczone minuta po minucie!

Wreszcie, trzeciego wieczoru, gdy dozorca już wyszedł i gdy po setny raz Dantès przykładał ucho do muru, wydało mu się, że niewyczuwalny niemal wstrząs rozbrzmiał mu głuchym echem w głowie. Cofnął się, aby uspokoić wstrząśnięty umysł, przeszedł się tam i z powrotem po celi i znów przyłożył ucho w to samo miejsce.

Nie było wątpliwości, coś się działo po drugiej stronie muru; więzień, obawiając się ryzyka swoich zabiegów, zmienił widać taktykę i aby kontynuować bezpiecznie swoje dzieło, w miejsce dłuta użył jakiejś dźwigni.

Edmund ośmielony tym odkryciem postanowił pomóc niestrudzonemu robotnikowi. Najpierw odsunął łóżko, bo zdawało mu się że właśnie za nim toczyło się dzieło oswobodzenia i rozejrzał się wokół za narzędziem, którym mógłby wykruszyć wilgotny cement, a następnie wyrwać głaz z muru.

Jednak nic nie wpadło mu w oko. Nie miał ani noża, ani żadnego ostrego przedmiotu, tylko żelazne pręty w okienku, a przekonał się już, że są tak mocno osadzone, że nie warto nawet próbować ich wyłamywać.

Za umeblowanie celi służyły: łóżko, zydel, stół, kubeł i dzban. W łóżku były żelazne uchwyty, ale przymocowane do drzewa śrubami. Bez śrubokrętu niepodobna było wyciągnąć śruby i oderwać uchwyty. Przy stole i stołku ani śladu żelaza; kubeł posiadał niegdyś rączkę, ale ją odjęto.

Jeden tylko środek pozostawał Edmundowi — stłuc dzban i wziąć się do pracy z ostro zakończonym kawałkiem kamionki[265]. Rzucił dzbankiem o ziemię i dzbanek rozpadł się na kawałki. Dantès wybrał kilka ostrzejszych kawałków i schował w sienniku[266], a resztę zostawił rozrzuconą na ziemi. Nikt nie będzie się niepokoił stłuczeniem dzbanka, wypadek to przecież całkiem zwyczajny.

Edmund miał teraz przed sobą całą noc do pracy, ale w ciemności robota szła zbyt niemrawo, musiał bowiem robić wszystko po omacku, a spostrzegł wkrótce, że tylko tępił to niezgrabne narzędzie na dużo twardszym murze. Przysunął więc z powrotem łóżko i czekał na światło dnia. Z nadzieją powróciła mu i cierpliwość.

Całą noc słuchał, jak nieznany górnik prowadzi dalej swoje podziemne dzieło.

O poranku przyszedł dozorca. Dantès oświadczył, że pijąc wczoraj duszkiem z dzbanka, upuścił go i stłukł. Dozorca, mrucząc pod nosem, poszedł po drugi, nie pozbierawszy nawet potłuczonych kawałków z ziemi. Po krótkiej chwili wrócił z nowym, zalecił więźniowi większą ostrożność i odszedł.

Dantès słuchał z niewysłowioną radością zgrzytu klucza w zamku, który niegdyś ściskał mu serce. Słuchał, jak znikało echo oddalających się kroków; na koniec, gdy całkiem ucichło, podskoczył z radością ku posłaniu, odsunął je i w słabym blasku świtu, który zaglądał do lochu, ujrzał, że cała nocna praca nie zdała się na wiele: zamiast bowiem wydłubywać cement spajający głazy, żłobił lity kamień.

Pod wpływem zaś wilgoci zaprawa murarska była tym słabsza.

Serce zabiło mu radośnie, że odpada ona kawałkami; to prawda, że kawałeczki te miały mikroskopijne rozmiary, ale już po półgodzinnej pracy Dantès wykruszył ich dobrą garść. Matematyk mógłby obliczyć, że po dwóch latach takiej pracy, z założeniem, że się nie trafi na litą skałę, można by wykopać tunel o przekroju dwóch stóp[267] kwadratowych i długi na dwadzieścia stóp.

Teraz jął sobie wyrzucać, że stracił tyle czasu na rozpacz, nadzieję i daremne modlitwy.

Od chwili, gdy go aresztowano, to jest od sześciu lat, ileż można by było wykonać pracy, nawet tak wolno postępującej! Myśl ta dodała mu znowu zapału.

Po trzech dniach udało mu się, przy zachowaniu największej ostrożności, zeskrobać cały tynk i odsłonić cały jeden kamień. Mur był zbudowany z kamieni łamanych, pomię-

[265] *kamionka* — naczynie ceramiczne. [przypis edytorski]

[266] *siennik* — materac wypełniony słomą lub sianem. [przypis edytorski]

[267] *stopa* — jednostka miary, nawiązuje do przeciętnej długości stopy ludzkiej; w zależności od kraju była to inna długość; pojęcie tej miary zmieniało się też wraz z następowaniem kolejnych wieków. Obecnie 1 stopa odpowiada długości 30,480 cm. [przypis edytorski]

dzy którymi wstawiano dla wzmocnienia całości pojedyncze kamienie ciosane; właśnie teraz dostał się do takiego ciosanego kamienia, odsłonił go całkowicie i chodziło już tylko o wydobycie go z jego ciasnej wnęki.

Próbował paznokciami, ale okazały się zbyt słabe. Skorupy dzbana wsuwane w szczeliny kruszyły się od razu, gdy Dantès próbował użyć ich w charakterze dźwigni.

Po godzinie próżnych wysiłków Edmund powstał, a niepokój zrosił mu czoło potem.

Czyżby miał już na samym początku opuścić ręce i czekać bezczynnie i bezużytecznie, aż sąsiad, który być może również się zniechęci, wykona całą pracę?

Nagle pewna myśl przebiegła mu przez głowę; stał przez chwilę i uśmiechał się sam do siebie; wilgotne od potu czoło nagle samo obeschło.

Dozorca przynosił co dzień zupę w cynowym rondelku. W rondelku tym była zupa dla niego i dla następnego więźnia, co Dantès zauważył już dawno — rondelek był bowiem raz całkiem pełny, a raz napełniony do połowy, w zależności od tego, czy dozorca przyszedł najpierw do niego, czy do jego sąsiada. Rondelek miał żelazny trzonek; o ten właśnie trzonek szło Dantèsowi; oddałby za niego, gdyby tego zażądano, dziesięć lat życia.

Dozorca wylewał zawartość rondla na talerz. Dantès zjadał zupę drewnianą łyżką, po czym mył talerz, który służył mu w ten sposób codziennie.

Tego wieczoru położył talerz na ziemi, w połowie odległości między drzwiami a stołem; po wejściu do celi dozorca stąpnął na talerz i potłukł go w drobne kawałki.

Tym razem trudno mu było złajać Dantèsa; chociaż więzień nie powinien stawiać talerza na ziemi, ale i dozorca powinien patrzeć pod nogi. Dozorca pogderał więc tylko pod nosem, po czym rozejrzał się wkoło, poszukując jakiegoś naczynia, do którego mógłby przelać zupę, ale że cały serwis Dantèsa ograniczał się do tego jednego talerza, nie było w czym wybierać.

— Zostaw mi pan ten rondel — rzekł Dantès. — Odbierzesz go jutro, kiedy przyniesiesz mi śniadanie.

Rada dogadzała lenistwu dozorcy, który dzięki temu nie musiał już wracać na górę, schodzić i znowu z powrotem wchodzić.

Zostawił rondelek.

Dantès aż zadrżał z radości, zjadł szybko zupę i mięso, które według więziennego zwyczaju wkładano do zupy. Następnie, zaczekawszy godzinę dla pewności, że dozorca się już nie rozmyśli, odsunął łóżko, wziął rondelek, wsadził koniec trzonka pomiędzy kamienie i podważył. Kamień drgnął; znaczyło to, że praca pójdzie dobrze.

Rzeczywiście, po godzinie Edmundowi udało się wyciągnąć głaz — otwór, jaki po nim pozostał w murze miał przeszło półtorej stopy średnicy. Dantès starannie pozbierał odłupany tynk, zaniósł go w kąty celi, uskrobał nieco szarawej ziemi odłamkiem dzbanka i przykrył nią okruchy tynku.

Następnie, chcąc wykorzystać do końca tę noc, kiedy przypadek albo raczej sprytnie pomyślany plan złożył w jego ręce tak cenne narzędzie, z zaciętością wziął się na nowo do rycia w murze. O świcie umieścił głaz z powrotem na miejscu, postawił łóżko przy ścianie i położył się spać.

Na śniadanie dawano kawałek chleba; dozorca wszedł i położył chleb na stole.

— I cóż? Nie przyniesiesz mi pan innego talerza? — zapytał Dantès.

— Nie, mój panie — rzekł dozorca. — Masz pan dwie lewe ręce, stłukłeś dzbanek, przez pana rozbiłem talerz; gdyby wszyscy więźniowie robili tyle szkody, rząd nie byłby ich w stanie utrzymać. Zostawię ci rondelek, do niego będę nalewał zupę, może tym sposobem nie zniszczysz pan wszystkich naczyń.

Dantès wzniósł oczy do nieba i złożył dziękczynnie ręce pod kołdrą. Ten kawałek żelaza budził w nim teraz większą wdzięczność dla Opatrzności niż w całym jego przeszłym życiu największe dobrodziejstwa, jakich zaznał. Zauważył jednak, że od czasu, gdy zaczął pracować, sąsiad jego zaprzestał.

Cóż z tego, nie był to powód, aby przerywać pracę; jeżeli jego sąsiad nie przyjdzie do niego, on pójdzie do sąsiada.

Pracował bez odpoczynku przez cały dzień; do wieczora wyskrobał dzięki swemu nowemu narzędziu przeszło dziesięć garści cementu, gruzu i tynku.

Gdy nadeszła godzina odwiedzin dozorcy, wyprostował jak mógł skrzywiony trochę trzonek rondelka i postawił w zwykłym miejscu. Dozorca wlał do rondla zwykłą porcję

zupy z mięsem, albo raczej zupy z kawałkiem ryby, bo był właśnie dzień postny, który w więzieniu przypadał trzy razy w tygodniu. Mógłby to być jeszcze jeden sposób na orientowanie się w czasie — gdyby nie to, że Dantès od dawna poniechał obliczania czasu.

Nalawszy porcję zupy, dozorca odszedł.

Teraz Dantès chciał się przekonać, czy jego sąsiad rzeczywiście zaprzestał pracy.

Jął nasłuchiwać.

Panowała cisza, taka jak przez owe trzy dni, kiedy sąsiad przerwał pracę.

Dantès westchnął; widać było, że sąsiad nie ufał mu. Nie zraziło go to bynajmniej i prowadził pracę przez całą noc. Po paru godzinach pracy trafił na niespodziewaną przeszkodę. Żelazo nie kruszyło już muru i ślizgało się po jakiejś gładkiej powierzchni.

Dantès dotknął owej przeszkody i zrozumiał, że trafił na belkę. Belka ta zasłaniała całkowicie otwór, który zaczął kopać Edmund.

Trzeba więc było teraz zacząć żłobić dziurę powyżej lub poniżej belki. Nieszczęsny młodzieniec nawet nie pomyślał o podobnej przeszkodzie.

— O mój Boże, mój Boże! — zawołał. — Tyle cię błagałem, miałem nadzieję, że mnie wysłuchałeś. Boże mój, najpierw odjąłeś mi wolność, potem zabrałeś mi spokój śmierci i przywołałeś do życia! Boże, miej litość nade mną, nie daj mi umrzeć z rozpaczą w sercu!

— Któż mówi o Bogu i o rozpaczy jednocześnie? — ozwał się głos, który wydawał się wychodzić spod ziemi, a przytłumiony na skutek przeszkody, zabrzmiał w uchu Dantèsa tonami pozagrobowymi.

Włosy powstały mu na głowie, cofnął się na kolanach.

— Ach — szepnął — to mówi człowiek.

Od czterech czy pięciu lat Edmund słyszał jedynie głos dozorcy, a dla więźnia dozorca nie jest człowiekiem: to żywe drzwi, dodatek do drzwi dębowych, to krata z krwi i kości, uzupełniająca kraty żelazne.

— W imię Chrystusa! — zawołał Dantès. — Kimkolwiek jesteś, mów jeszcze, chociaż mnie głos twój przeraził; kim jesteś?

— Kim ty jesteś? — odpowiedział głos.

— Nieszczęśliwym więźniem — odrzekł Dantès, nie ociągając się z odpowiedzią.

— Z jakiego kraju?

— Jestem Francuzem.

— Jak się nazywasz?

— Edmund Dantès.

— Zawód?

— Marynarz.

— Od jak dawna tu jesteś?

— Od 28 lutego 1815 roku.

— Coś uczynił?

— Jestem niewinny.

— Ale o co cię oskarżają?

— O spiskowanie na rzecz powrotu cesarza.

— Jak to powrotu cesarza? Czyżby cesarz nie był już na tronie?

— Abdykował w Fontainebleau[268] w 1814 roku i został zesłany na Elbę. Ale od kiedy ty sam tu jesteś, jeżeli nic o tym nie wiesz?

— Od roku 1811.

Dantès zadrżał — ten człowiek przebywał w więzieniu cztery lata dłużej od niego.

— Dobrze... Nie kop dalej — mówił prędko głos — powiedz mi tylko, na jakiej wysokości znajduje się tunel, któryś zrobił?

— Nad samą ziemią.

— Jak go ukrywasz?

— Za łóżkiem.

— Czy przestawiano kiedy to łóżko, od czasu jak tu jesteś?

— Ani razu.

— Do czego przylega twoja cela?

[268] *Fontainebleau* — miejscowość ok. 60 km na płd-wsch. od Paryża, znana z rezydencji królów Francji: reprezentacyjnego pałacu z rozległym ogrodem i parkiem. [przypis edytorski]

— Do korytarza.

— A korytarz?

— Wychodzi na podwórze.

— Niestety! — szepnął głos.

— O mój Boże! Cóż się stało? — zawołał Dantès.

— Stało się to, że się pomyliłem, że niedokładność moich wykresów mnie oszukała, że nieścisłość kompasu mnie zgubiła, że prosta, którą błędnie wyprowadziłem na planie dała w rzeczywistości odchylenie liczące piętnaście stóp, a ścianę, którą zacząłeś przebijać, wziąłem za zewnętrzny mur cytadeli!

— Ale przecież gdyby było inaczej, dotarłbyś wykopem nad morze?

— Tego właśnie chciałem!

— Więc gdyby ci się udało?

— Rzuciłbym się w morze i wpław dostał do jednej z wysp otaczających zamek If, do Daume albo Tibouleau, a nawet do lądu stałego i już byłbym ocalony.

— Ale zdołałbyś aż tam dopłynąć?

— Bóg dodałby mi siły; a teraz wszystko stracone.

— Wszystko?

— Tak jest, wszystko. Zatkaj jak najostrożniej otwór, zaprzestań pracy, nie rób nic i czekaj, aż dam ci znać.

— Przynajmniej powiedz mi kim jesteś... powiedz!

— Jestem... jestem... nr 27.

— Więc mi nie ufasz? — zapytał Dantès.

Wydało się Edmundowi, że przez sklepienie otworu przeniknęło echo pełnego goryczy śmiechu.

— Ach, jestem wierzącym chrześcijaninem — zawołał, przeczuwając instynktownie, że ten człowiek ma zamiar go opuścić. — Przysięgam ci na Chrystusa, że dałbym się prędzej zabić, niżbym pozwolił moim lub twoim katom poznać choćby cień prawdy; tylko, na Boga, nie pozbawiaj mnie swojej obecności, swojego głosu, bo inaczej przysięgam ci, jestem już u kresu sił, roztrzaskam sobie głowę o mur, a ty będziesz miał moją śmierć na sumieniu.

— W jakim jesteś wieku? — zapytał nieznajomy. — Z głosu wydajesz mi się młody.

— Nie wiem, ile mam lat, bo straciłem rachubę czasu odkąd tu jestem. Wiem tylko tyle, że gdy mnie aresztowano, to jest 28 lutego 1815 roku miałem niespełna dziewiętnaście lat.

— Więc nie masz jeszcze dwudziestu sześciu lat — wyszeptał głos. — Ech, w tym wieku ludzie jeszcze nie bywają zdrajcami.

— O nie, nie, przysięgam! — powtórzył Dantès. — Już raz ci powiedziałem i powtórzę znowu, że prędzej dałbym się porąbać na kawałki, niżbym cię zdradził.

— Dobrześ zrobił, że mi to powiedziałeś i że mnie tak prosiłeś, bo zamierzałem obmyślić inny plan i chciałem się od ciebie oddalić. Ale twój wiek mnie uspokoił, wrócę do ciebie, poczekaj.

— Kiedy?

— Muszę rozważyć, jakie są nasze możliwości, pozwól mi więc, abym pierwszy dał hasło.

— Ale nie opuścisz mnie, nie zostawisz samego, przyjdziesz do mnie lub pozwolisz, abym ja przyszedł do ciebie. Uciekniemy razem, a jeżeli nie będziemy mogli uciec, możemy rozmawiać, ty o tych, których kochasz, a ja o moich ukochanych. Kogoś pewnie kochasz?

— Jestem sam na świecie.

— Więc pokochasz mnie: jeśli jesteś młody, będę dla ciebie towarzyszem; jeśliś w podeszłym wieku, będę dla ciebie synem. Mam ojca, który musiał już skończyć siedemdziesiąt lat, jeżeli jeszcze żyje. Jego tylko kocham i młodą dziewczynę o imieniu Mercedes. Ojciec o mnie nie zapomniał, o tym nie wątpię, ale ona, Bóg tylko wie, czy jeszcze myśli o mnie. Kochał cię będę jak ojca.

— Dobrze. A więc do jutra! — rzekł więzień.

Tych kilka słów wymówił takim tonem, że przekonał Dantèsa; nie nalegał już dłużej, podniósł się, pozbierał z największą ostrożnością wkruszone kawałki tynku i przysunął łóżko na swoje miejsce.

Od tej pory oddał się całkowicie radości; już na pewno nie miał być sam, może nawet będzie mógł odzyskać wolność, a w najgorszym razie, gdyby został w więzieniu, będzie miał towarzysza; a więzienie dzielone z inną osobą jest tylko połowicznie więzieniem. Skargi rzucane wspólnie są niemal modlitwami, a modlitwy wspólnie odmawiane są prawie aktami dziękczynienia.

Cały dzień Dantès chodził po lochu tam i z powrotem, a serce biło mu z radości. Chwilami wręcz dusiła go ta radość. Siadał wtedy na łóżku i przyciskał dłoń do piersi. Za najmniejszym szmerem dobiegającym z korytarza podbiegał do drzwi. Ze dwa razy ogarnął go lęk, że mogliby go rozłączyć z tym człowiekiem, którego wprawdzie jeszcze nie znał, ale już kochał jak przyjaciela. Wówczas powziął decyzję: jeśliby dozorca odsunął łóżko i pochylił się, aby sprawdzić, co to za dziura się za nim kryje, roztrzaska mu głowę kamieniem, na którym stawiał dzbanek.

Wiedział, że go mogą za to skazać na śmierć, ale czyż nie umarłby i tak z tęsknoty i rozpaczy, gdyby tamten cudowny odgłos nie przywrócił go do życia?

Wieczorem przyszedł dozorca. Dantès leżał w łóżku; zdawało mu się, że w ten sposób lepiej uchroni niedokończony tunel. Musiał dość niezwykłym wzrokiem spoglądać na nieproszonego gościa, skoro tamten spytał:

— Cóż to, znowu pan masz zamiar zwariować?

Dantès nic nie odpowiedział z obawy, że może go zdradzić zmieniony emocją głos.

Dozorca odszedł, kręcąc głową.

Nastała noc. Dantès spodziewał się, że sąsiad wznowi z nim rozmowę, korzystając z ciemności i ciszy, ale nadzieje spełzły na próżno. Noc minęła i żaden szmer nie odpowiedział na jego gorączkowe oczekiwanie. Ale nazajutrz, po zwykłych rannych odwiedzinach dozorcy, kiedy Edmund odsunął łóżko od ściany, dały się słyszeć w miarowych odstępach trzy uderzenia; rzucił się na kolana.

— Czy to ty? — rzekł. — Jestem tu.

— A twój dozorca już poszedł? — zapytał głos.

— Tak — odpowiedział Dantès. — Wróci dopiero wieczorem. Mamy dwanaście godzin swobody.

— Mogę więc działać? — spytał.

— Tak, tak, tak, natychmiast, błagam!

I nagle kawał muru, na którym Dantès, zagłębiony do połowy w wykopie, opierał ręce, zapadł się pod nim; rzucił się w tył, a wtedy masa ziemi i obluzowanych kamieni poleciała w głąb tunelu, wyżłobionego poniżej poziomu otworu, który zrobił Edmund. Z głębi tej ciemnej jamy, której głębokości Edmund nie mógł ocenić, wyłoniła się nagle głowa, ramiona i wreszcie cała postać mężczyzny, który całkiem zręcznie wylazł z tej jamy.

16. UCZONY WŁOCH

Dantès uściskał nowego przyjaciela, tak długo i niecierpliwie oczekiwanego, a potem podprowadził go do okna, aby przyjrzeć mu się lepiej przy skąpym świetle, które wciskało się do celi.

Był to człowiek niewielkiego wzrostu o włosach pobielonych raczej udręką niż wiekiem; przenikliwe oczy ocieniały gęste szpakowate brwi; broda, nadal czarna, spływała aż na piersi; wychudzona twarz poorana głębokimi zmarszczkami i śmiały zarys jego charakterystycznej fizjonomii zdradzały, że był to człowiek nawykły raczej do ćwiczenia swych władz umysłowych aniżeli fizycznych. Czoło przybysza pokryte było potem.

Ubiór jego zwisał w strzępach i nie sposób było rozpoznać jego pierwotnej formy.

Wydawał się mieć co najmniej sześćdziesiąt pięć lat, chociaż jego energiczna postawa wskazywała, że był młodszy od swego wyglądu, który nadało mu wieloletnie więzienie.

Entuzjastyczne przyjęcie ze strony młodzieńca sprawiło mu pewną przyjemność. Wydawało się, jakby jego zlodowaciałe serce na chwilę ogrzało się i roztajało, zetknąwszy się z tą gorącą naturą. Podziękował Edmundowi dość ciepło za serdeczność, mimo wielkie-

go rozczarowania, jakiego doznał, natykając się — zamiast na wrota do wolności — na następną celę.

— Przekonajmy się najpierw — rzekł — czy można będzie ukryć przed naszymi dozorcami ślady tego przejścia. Nasz spokój w przyszłości zależy od tego, aby się nie domyślili, co tu się stało.

Pochylił się nad otworem, podniósł kamień z łatwością pomimo jego ciężaru i zakrył nim otwór.

— Dość nieumiejętnie wyrwałeś pan ten kamień — rzekł, kręcąc głową. — Nie miałeś narzędzi?

— A pan? — zapytał zdziwiony młodzieniec. — Pan je ma?

— Zrobiłem sobie kilka. Oprócz pilnika mam wszystkie, jakich potrzebuję — dłuto, obcęgi i lewarek.

— Ach, jakżebym chciał zobaczyć te owoce pańskiej cierpliwości i pomysłowości!

— Spójrz, oto moje dłuto.

I pokazał mu mocne i spłaszczone na końcu ostrze, oprawne w trzonek z dobrze obrobionego bukowego drzewa.

— Z czegóż pan to zrobił?

— Z żelaznego pręta, który wyjąłem z łóżka. Tym narzędziem wykopałem sobie całą tę drogę aż do ciebie: ma ona pięćdziesiąt stóp długości.

— Pięćdziesiąt stóp? — wykrzyknął Dantès niemal z przestrachem.

— Nie mów tak głośno, młodzieńcze, mów ciszej. Często się zdarza, że dozorcy podsłuchują pod drzwiami.

— Wiedzą, że jestem sam.

— To nie ma znaczenia.

— Powiadasz pan zatem, żeś pięćdziesiąt stóp przekopał do tego miejsca?

— Tak, tyle mniej więcej wynosi odległość między naszymi celami; tyle tylko, że źle obliczyłem krzywą, z braku właściwych narzędzi geometrycznych; zamiast czterdziestu stóp krzywizny wyszło mi pięćdziesiąt. Myślałem, że dojdę, jak ci to już mówiłem, do zewnętrznego muru zamku, że go przebiję i skoczę do morza. Kopałem wzdłuż korytarza, do którego przylega twoja cela, zamiast podkopywać się pod nim; pracowałem na próżno, bo ten korytarz wychodzi na dziedziniec pełen żołnierzy.

— To prawda, ale moja cela dotyka korytarza tylko jednym bokiem, a ścian mam cztery.

— Tak, masz słuszność, ale jedną ścianę stanowi skała; dziesięciu górników zaopatrzonych we wszystkie potrzebne narzędzia potrzebowałoby dziesięciu lat, aby tę skałę przebić. Ta zaś na pewno przylega do fundamentów pod mieszkaniem komendanta; dotarlibyśmy do piwnic, które naturalnie są zamykane na klucz i tak zostalibyśmy schwytani. A ta ściana sąsiaduje... poczekajże, z czym sąsiaduje?...

Była to właśnie ściana z okienkiem, przez które dochodziło światło dnia. Okienko to zwężało się coraz bardziej, aż do otworu zewnętrznego, który był tak mały, że dziecko by się tamtędy nie przecisnęło; prócz tego zaopatrzone było w trzy rzędy żelaznych krat, które sprawiały, że najbardziej podejrzliwy dozorca nie musiał się obawiać ucieczki swego więźnia.

Zadając to pytanie, nieznajomy pociągnął jednocześnie pod okienko stół.

— Stań na stole — rzekł do Dantèsa.

Dantès usłuchał, wszedł na stół, a domyślając się zamiarów towarzysza, oparł się plecami o ścianę i nadstawił mu obie ręce.

Więzień nr 27 wskoczył na stół ze zręcznością, której trudno byłoby się spodziewać po człowieku w tak podeszłym wieku — zwinnie jak kot lub jaszczurka; potem ze stołu na ręce Dantèsa, w końcu z rąk na ramiona. I zgięty w pół, bo sklepienie celi nie pozwalało mu się wyprostować, wysunął głowę pomiędzy kratami z pierwszego szeregu i spojrzał w dół.

Po chwili cofnął szybko głowę.

— Oho! — rzekł — domyślałem się tego.

I zsunął się z ramion Dantèsa na stół, ze stołu skoczył na ziemię.

— Czegoś się pan spodziewał? — zapytał młodzieniec z niepokojem, zeskakując ze stołu.

Stary więzień zamyślił się.

— Tak — rzekł. — Tak jest; czwarta ściana twojej celi wychodzi na zewnętrzną galerię, jest to coś w rodzaju krużganka[269], po którym przechodzą patrole i gdzie czuwają strażnicy.

— Jesteś pan tego pewien?

— Widziałem czako[270] żołnierza i lufę karabinu; dlatego się tak prędko cofnąłem, żeby mnie czasem nie dojrzał.

— I cóż? — zapytał Dantès.

— Widzisz więc, że niemożliwe jest uciec z twojej celi.

— A więc? — powtórzył pytającym tonem młodzieniec.

— A więc — rzekł starzec — niech się dzieje wola Boża.

I na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiej rezygnacji.

Dantès spojrzał po części ze zdziwieniem, po części z głębokim podziwem na tego człowieka, co z tak filozoficznym spokojem żegnał nadzieje żywione od tylu lat.

— A teraz, czy powiesz mi pan, kim jesteś? — zapytał Dantès.

— Czemuż nie, jeśli interesuje cię to teraz, gdy ci już na nic nie mogę się przydać.

— Możesz mnie pan pocieszać i podtrzymywać na duchu, bo wydajesz się przewyższać wszystkich siłą woli.

Ksiądz uśmiechnął się smutno.

— Nazywam się Faria, jestem księdzem; przebywam od roku 1811, jak to już wiesz, w zamku If, ale wcześniej siedziałem także trzy lata w twierdzy Fenestrelle. W 1811 roku przeniesiono mnie z Piemontu[271] do Francji. Wtedy to dowiedziałem się, że los, który zdawał się w tym czasie ulegać całkowicie woli Napoleona, dał mu syna, i że syn ten już w kolebce mianowany został królem rzymskim. Nigdy bym wtedy nie przypuścił tego, co przed chwilą mi powiedziałeś, że kolos w cztery lata później zostanie obalony. Któż teraz panuje we Francji? Czy Napoleon II?

— Nie, Ludwik XVIII.

— Ludwik XVIII, brat Ludwika XVI[272]? Wyroki boskie są dziwne i tajemnicze! Jaki był zamiar Opatrzności w poniżeniu tego, którego sama wyniosła i w wywyższeniu drugiego, którego strąciła?

Dantès pochłaniał wzrokiem tego niezwykłego człowieka, który, aby zająć się losami świata, zdawał się zapominać na chwilę o własnym losie.

— Tak, tak — mówił dalej ksiądz. — To zupełnie to samo, co w Anglii. Po Karolu I[273] Cromwell, po Cromwellu Karol II[274], może po Jakubie II[275] będzie jakiś zięć, krewniak, książę Orański[276]; stathouder[277], który sam mianuje się królem; a wtedy nowe ustępstwa dla ludu, konstytucja, a z nią i wolność!... Ty to zobaczysz, młodzieńcze — rzekł, kierując na Dantèsa spojrzenie błyszczące i przenikliwe, takie, jakie musieli mieć prorocy. — Jesteś w takim wieku, że sam to wszystko zobaczysz.

— Tak, jeśli stąd wyjdę.

— Prawda — rzekł Faria. — Wszak jesteśmy w więzieniu. Są chwile, że całkiem o tym zapominam i zdaje mi się, że jestem wolny, gdyż mój wzrok przebija mury, które mnie otaczają.

---

[269] *krużganek* — zadaszenie z kolumnadą obiegające budynek bądź jego wewnętrzny dziedziniec. [przypis edytorski]

[270] *czako* — wysoka, sztywna czapka wojskowa z płaskim denkiem. [przypis edytorski]

[271] *Piemont* — region w płn.-zach. Włoszech, graniczący z Francją i ze Szwajcarią. [przypis edytorski]

[272] *Ludwik XVI* (1754–1793) — król Francji z dynastii Burbonów, ścięty w okresie Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

[273] *Karol I* a. *Karol Stuart* ((1600–1649)) — król Anglii i Szkocji w latach 1625–1649. [przypis edytorski]

[274] *Karol II Stuart* (1630–1685) — król Anglii i Szkocji (od 1660), objął władzę po śmierci Olivera Cromwella, który jako lord protektor sprawował dyktatorskie rządy w republice; przywrócił na dworze królewskim bale i rozrywki sprzed surowych czasów rewolucji purytańskiej, był mecenasem artystów i naukowców. [przypis edytorski]

[275] *Jakub II Stuart* (1633–1701) — ostatni katolicki król Anglii (oraz Szkocji, jako Jakub VII) i ostatni król, który rządził w sposób absolutny; został w 1688 r. zdetronizowany przez parlament i uciekł do Francji. [przypis edytorski]

[276] *książę Orański* właśc. *Wilhelm III Orański* (1650–1702) — książę Oranii-Nassau, namiestnik Republiki Zjednoczonych Prowincji, od 1689 król Anglii i Szkocji (jako Wilhelm II). [przypis edytorski]

[277] *stathouder* (z hol. *stadhouder*: namiestnik) — tytuł dziedzicznego naczelnika Zjednoczonych Prowincji Niderlandzkich. [przypis edytorski]

— Ale dlaczego księdza tu trzymają?

— Dlaczego? Dlatego, że w 1807 roku marzyłem o tym, co Napoleon chciał urzeczywistnić w 1811. Dlatego, że chciałem jak Machiavelli, aby z tych wszystkich małych księstewek, które czynią z Włoch gniazdo małych, despotycznych, ale słabych królestw, utworzyć jedno, wielkie, zwarte i silne państwo; bo sądziłem, że znalazłem mojego Cesara Borgię w pewnym koronowanym głupcu, który udawał, że mnie rozumie, by mnie tym łatwiej zdradzić. To były plany Aleksandra VI[278] i Klemensa VII[279]. Ale zawsze spełzną na niczym, bo nikomu się to nie powiodło, a i Napoleon nie mógł doprowadzić ich do skutku; stanowczo, nad Włochami wisi przekleństwo.

I starzec opuścił głowę.

Dantès nie pojmował, jak człowiek może narażać życie dla takich spraw; jeśli wiedział coś nawet o Napoleonie, którego przecież widział i z którym rozmawiał, nazwiska Aleksandra VI i Klemensa VII nie mówiły mu nic.

— Czy nie jest ksiądz aby tym... — odezwał się Dantès, zaczynając podzielać opinię dozorcy więzienia, panującą zresztą w całym zamku If — tym księdzem, o którym mówią, że jest... chory?

— O którym mówią, że jest wariatem, chciałeś powiedzieć, czyż nie?

— Nie śmiałem tego powiedzieć — odpowiedział Dantès z uśmiechem.

— Tak, tak — rzekł Faria z gorzkim uśmiechem — to ja właśnie uchodzę za wariata, moim to kosztem bawią się od lat gospodarze tego więzienia i dobrą zabawę miałyby ze mnie dzieci, gdyby dzieci mieszkały w tym domu cierpienia.

Dantès stał chwilę nieruchomo, nie mówiąc ni słowa.

— Więc ksiądz rezygnuje z ucieczki? — rzekł nareszcie.

— Nie widzę możliwości ucieczki; próbować wciąż czynić to, czemu Bóg nie sprzyja, byłoby buntem przeciw Niemu.

— Dlaczego traci ksiądz odwagę? Za wiele żądalibyśmy od Opatrzności, gdybyśmy chcieli, aby nasze zamiary powiodły się od razu. Czy ksiądz nie może zacząć od nowa, robić to, co do tej pory, w innym kierunku?

— A czy ty wiesz, co robiłem do tej pory, że mi tak pochopnie mówisz o rozpoczynaniu od nowa? Czy wiesz, że potrzebowałem czterech lat, aby wykonać narzędzia? Czy wiesz, że od dwóch lat ryję w ziemi twardej jak granit? Czy wiesz, że musiałem wyważać głazy, których kiedyś nawet nie ośmieliłbym się poruszyć? Że całe dnie mi upływały na tej tytanicznej pracy i że czasem, wieczorem, czułem się szczęśliwy, jeśli wygrzebałem choć cal kwadratowy[280] tego starego cementu, twardego jak skała? Czy wiesz, czy wiesz w końcu, że musiałem przebić sklepienie, aby dostać się do klatki schodowej i mieć gdzie usunąć całą wykopaną ziemię i kamienie, i wypełniłem nimi przestrzeń pod schodami, tak że teraz nie wiedziałbym nawet, gdzie wyrzucić garść ziemi? Czy wiesz wreszcie, że już byłem pewien, że docieram do końca mojego trudu, że czułem w sobie akurat tyle tylko siły, aby dopiąć celu, gdy nagle Bóg nie tylko oddala ode mnie ten cel, ale mi zasłania do niego drogę? O tak, powiadam ci i powtarzam raz jeszcze, że odtąd nie kiwnę palcem, aby się stąd oswobodzić, bo sam Bóg zdaje się życzyć sobie, abym nigdy nie odzyskał wolności.

Edmund pochylił głowę, aby nie zdradzić, że radość, jaką odczuwał, zyskując towarzysza, nie pozwalała mu współczuć, tak jak powinien, zrozpaczonemu więźniowi.

Faria osunął się na łóżko Edmunda, ten zaś został w miejscu.

Młodzieniec nigdy nie pomyślał o ucieczce. Są rzeczy, które uważamy za tak trudne do zrealizowania, że nawet przez myśl nam nie przyjdzie, aby się o nie pokusić i odrzucamy je instynktownie. Wykopać pod ziemią tunel długości pięćdziesięciu stóp, poświęcić

[278] *Aleksander VI* właśc. *Rodrigo Borgia* (1431–1503)— papież od 1492; odznaczył się jako władca świecki, skuteczny polityk, dążący do budowy potęgi Państwa Kościelnego; wyróżnił się również nepotyzmem, gł. na rzecz swoich dzieci. [przypis edytorski]

[279] *Klemens VII*, właśc. *Giulio de' Medici* (1478–1534) — papież od 1523; jego pontyfikat przypadł na trudne dla Kościoła czasy reformacji w Europie, dlatego uznawany on jest za jednego z najbardziej niefortunnych papieży; objął mecenatem m.in. Niccola Machiavellego i Michała Anioła, temu drugiemu zlecając wykonanie *Sądu Ostatecznego*. [przypis edytorski]

[280] *cal kwadratowy* — daw. jednostka powierzchni równa kwadratowi, którego bok ma długość 1 cala (czyli ok. 2,5 cm). [przypis edytorski]

na to trzy lata czasu, aby, jeśli się to zadanie powiedzie, dotrzeć nad skałę spadającą pionowo w dół, w morze, skoczyć z jakichś pięćdziesięciu, sześćdziesięciu stóp, jeżeli nawet nie stu, aby rozbić sobie głowę o pierwszą lepszą skałę, jeżeli oczywiście wcześniej nie dosięgnie cię kula strażnika; potem, założywszy, że się uniknęło tych niebezpieczeństw, być zmuszonym do przepłynięcia całej mili[281] — dosyć było tego wszystkiego, aby zrezygnować z jakichkolwiek prób, a jak widzieliśmy, Dantès posunął rezygnację nieomal do samobójstwa.

Teraz, gdy ujrzał starca czepiającego się życia z taką energią, który dawał przykład, jak zrealizować najrozpaczliwsze zamierzenia, Edmund zaczął zastanawiać się i zgłębiać swoje siły i swoją odwagę. Kto inny porwał się na to, o czym on nawet nie pomyślał; kto inny, starszy, słabszy, mniej od niego zręczny wystarał się sprytem i cierpliwością o wszystkie narzędzia, jakich mu tylko było trzeba do tego niezwykłego zamierzenia, które obróciło się wniwecz tylko dlatego, że w obliczenia wkradł się błąd; skoro ktoś inny wszystko to zrobił, i dla Dantèsa nie było więc rzeczy niemożliwych. Faria wykopał tunel o długości pięćdziesięciu stóp, on wykopie tunel stustopowy. Pięćdziesięcioletni Faria na to dzieło poświęcił trzy lata, a Dantès, liczący o połowę lat mniej poświęcić może na to sześć lat; Faria, ksiądz, uczony, nie lękał się przepłynąć z zamku If do wyspy Daume, Ratonneau albo Lemaire, a Edmund, marynarz, śmiały pływak, który nieraz docierał aż na dno morza, aby znaleźć gałązkę koralu — miałby się zawahać, że trzeba przepłynąć jedną milę? Ileż by czasu zabrało przepłynięcie mili? Godzinę? Przecież nieraz pływał i po kilka godzin bez odpoczynku! O nie — Dantès potrzebuje tylko przykładu, aby mu dodał odwagi. To, co kto inny mógł zrobić — Dantès uczyni tym bardziej.

Przez chwilę młodzieniec pogrążył się w myślach.

— Znalazłem to, czego ksiądz szukał — rzekł wreszcie do starca.

Faria zadrżał.

— Ty? — rzekł, podnosząc głowę, a jego postawa wskazywała, że zniechęcenie, któremu uległ, nie potrwa długo. — Cóż znalazłeś?

— Korytarz, który ksiądz wykopał, aby tu się dostać, jest równoległy do zewnętrznej galerii, czy tak?

— Tak.

— Odległość między nimi wynosi jakieś piętnaście kroków?

— Mniej więcej.

— A więc w połowie korytarza zaczniemy kopać drogę, która będzie stanowiła jakby jedno odgałęzienie krzyża. Tym razem ksiądz przeprowadzi dokładniejsze obliczenia. Dotrzemy do zewnętrznej galerii. Zabijemy strażnika i uciekniemy. Przecież aby ten plan nam się powiódł, potrzeba nam tylko odwagi, której księdzu nie brak, i siły, których ja mam dosyć. Nie mówię już o wytrwałości, bo ksiądz dał jej dowód i ja dam także.

— Chwileczkę — odrzekł Faria. — Nie wiesz, drogi towarzyszu, w jakim stopniu posiadam odwagę i na co chcę przeznaczyć moją siłę. Co do wytrwałości, sądzę, że byłem wystarczająco wytrwały, kiedy każdego ranka rozpoczynałem robotę wykonywaną nocą, a każdego wieczoru tę, którą przeprowadzałem za dnia. Ale posłuchaj mnie, młodzieńcze: wiesz, zdawało mi się, że służę Bogu, uwalniając jedną z jego istot, istotę niewinną, która nie powinna być skazana.

— Ale czy cokolwiek się zmieniło? Czy ksiądz poczuł się nagle winowajcą od chwili, kiedy się spotkaliśmy?

— Nie, ale nie chciałbym stać się nim teraz. Dotąd miałem do czynienia z martwą materią. Mogłem przebić mur i zniszczyć schody, ale nie przebiję niczyjej piersi i nie zniszczę niczyjego życia.

Dantès nie mógł powstrzymać lekkiego odruchu zdziwienia.

— Jak to, chociaż ksiądz mógłby być wolny, powstrzymują księdza podobne skrupuły?

— A ty sam — rzekł Faria — czemużeś nie walnął któregoś wieczora dozorcy, na przykład nogą od stołu, nie ubrałeś się w jego odzienie i nie próbowałeś uciec?

— Bo mi to do głowy nie przyszło — odrzekł Dantès.

— Bo raczej czułeś taką odrazę, taki instynktowny wstręt do zbrodni, że nawet nie mogłeś wpaść na taką myśl — odpowiedział ksiądz. — Bo w rzeczach zwykłych i dozwo-

Natura, Zbrodnia, Sumienie

[281] *mila* — tu: 1 mila morska; odległość równa 1,852 km. [przypis edytorski]

lonych nasze przyrodzone pragnienia mówią nam, że nie wykraczamy poza nasze prawa. Tygrys, który krew przelewa z natury, potrzebuje jednej tylko rzeczy — aby węch wskazał mu, gdzie znajduje się zdobycz. Natychmiast rzuca się w jej stronę, spada na nią, zabija i rozdziera. To jego instynkt i on jest mu posłuszny. Ale człowieka, przeciwnie, krew napawa wstrętem — i to nie prawa społeczne powstrzymują człowieka od zbrodni — ale prawa naturalne.

Dantès stał zmieszany; bo rzeczywiście, usłyszał wytłumaczenie tego, co się działo bez udziału jego świadomości w jego umyśle, a raczej w sercu, istnieją bowiem myśli, które powstają w głowie, ale i takie, które rodzą się w sercu.

— A w końcu — ciągnął Faria. — Od dwunastu lat, kiedy jestem w więzieniu, przebiegłem w myśli wszystkie słynniejsze ucieczki z więzienia. Niewiele z nich się udało. Ucieczki szczęśliwe, ukoronowane powodzeniem, są zawsze dobrze pomyślane i długo przygotowywane; w taki sposób książę de Beaufort[282] umknął z zamku Vincennes, a Latude[283] z Bastylii. Zdarzają się znowu ucieczki umożliwione przez przypadek — takie są najpewniejsze; czekajmy na sposobność — a jeśli się nadarzy, skorzystajmy z niej.

— Księdzu łatwo było czekać — rzekł Dantès z westchnieniem. — Ciężka praca zajmowała księdzu niemal cały czas, a kiedy nie mógł ksiądz szukać ucieczki w pracy, to mógł znaleźć pociechę w nadziejach z nią związanych.

— Ależ — sprostował ksiądz — wcale się tym ciągle nie zajmowałem.

— Cóż zatem ksiądz robił?

— Pisałem, studiowałem.

— Dają więc księdzu kałamarz, papier i pióro?

— A gdzieżby tam, sam je sobie sporządzam.

— Jak to? Papier, kałamarz i pióra? — zawołał Dantès.

— Tak.

Dantès spojrzał z podziwem na tego człowieka; ale nadal nie mógł uwierzyć jego słowom. Faria spostrzegł owo lekkie powątpiewanie.

— Kiedy będziesz u mnie — rzekł — pokażę ci moje dzieło, rezultat moich rozmyślań i badań gromadzonych przez całe moje życie, gdym marzył pod cieniem Koloseum[284] w Rzymie, u stóp kolumny Św. Marka[285] w Wenecji, we Florencji nad brzegami Arno[286]; ani myślałem, że dozorcy więzienni pozwolą mi kiedyś napisać tę pracę w czterech ścianach celi. Jest to *Traktat o możliwości wprowadzenia we Włoszech jednej monarchii*. W druku byłby to duży tom *in quarto*[287].

— A ksiądz je napisał...

— Na dwóch koszulach. Wynalazłem pewną substancję, która czyni płótno gładkie i jednolite jak pergamin[288].

— Więc ksiądz jest też i chemikiem.

— Tak, trochę. Znałem Lavoisiera[289] i byłem dość blisko z Cabanisem[290].

— Do tego dzieła przecież trzeba było księdzu badań w źródłach historycznych. Miał ksiądz więc i książki?

— W Rzymie miałem około pięć tysięcy tomów w mojej bibliotece. W miarę jak je czytałem po raz drugi i kolejny, przekonywałem się, że sto pięćdziesiąt dzieł dobrze

---

[282] *książę de Beaufort*, właśc. *François de Vendôme* (1616–1669) — fr. książę z dynastii Burbonów; za udział w spisku przeciwko kardynałowi Mazarinowi został w 1648 r. uwięziony w twierdzy Vincennes, z której uciekł pięć lat później. [przypis edytorski]

[283] *Latude, Jean Henri* (1725–1895) — fr. pisarz; za zamiar zabójstwa męża Madame de Pompadour był więziony w twierdzach Vincennes i Bastylii, z których wielokrotnie uciekał. [przypis edytorski]

[284] *Koloseum* (łac. *Colosseum*) — amfiteatr w Rzymie, wzniesiony w latach 70–80 n.e. [przypis edytorski]

[285] *kolumna św. Marka* — jedna z kolumn na placu św. Marka w Wenecji; wieńczy ją posąg lwa, który jest symbolem Wenecji oraz jej patrona, Marka Ewangelisty. [przypis edytorski]

[286] *Arno* — rzeka w śr. Włoszech; największe miasta leżące nad Arno to Florencja i Piza. [przypis edytorski]

[287] *in quarto* — o książce, której arkusze papieru są dwukrotnie złożone i tworzą cztery karty (8 stron). [przypis edytorski]

[288] *pergamin* — specjalnie preparowana skóra zwierzęca, przystosowana do pisania na niej. [przypis edytorski]

[289] *Lavoisier, Antoine* (1743–1794) — fr. fizyk i chemik, skazany na ścięcie gilotyną wyrokiem Trybunału Rewolucyjnego Republiki Francuskiej. [przypis edytorski]

[290] *Cabanis, Pierre* (1757–1808) — nadworny lekarz Ludwika XVI; filozof oświecenia; przyczynił się do rozwoju psychologii. [przypis edytorski]

wybranych może nam dać, jeśli nie dokładne streszczenie całej ludzkiej wiedzy, to przynajmniej tyle, co człowiek powinien wiedzieć. Trzy lata poświęciłem na kilkakrotne przeczytanie tych stu pięćdziesięciu tomów — tak, że umiałem je prawie na pamięć, kiedy zostałem aresztowany. Przy pewnym wysiłku pamięci w więzieniu odświeżyłem je sobie wszystkie. Tym sposobem mogę ci deklamować z pamięci Tukidydesa[291], Ksenofonta[292], Plutarcha, Tytusa Liwiusza[293], Tacyta[294], Stradę[295], Jornandèsa[296], Dantego, Montaigne'a[297], Szekspira[298], Spinozę[299], Machiavellego i Bossueta[300]. Wymieniam ci tylko najważniejsze nazwiska.

— A więc zna ksiądz wiele języków?

— Mówię pięcioma językami żywymi: po niemiecku, francusku, włosku, angielsku i hiszpańsku; dzięki starogreckiemu rozumiem grecki nowożytny, ale mówię tym językiem jeszcze źle i właśnie teraz się go uczę.

— Jak to możliwe?

— Zrobiłem sobie słownik wyrazów, które znam, układam je, łączę i przestawiam na wszystkie sposoby, abym mógł wyrazić to, co myślę. Znam około tysiąca wyrazów — to mi w ostateczności wystarczy, chociaż w słowniku jest ich ze sto tysięcy. Nie będę bardzo wymowny, ale będę w stanie się porozumieć — a to mi wystarczy.

Edmund, coraz bardziej zadziwiony, zaczynał uważać zdolności tego człowieka za niemal nadprzyrodzone. Chciał go jednak przyłapać na jakiejkolwiek nieścisłości i rzekł:

— Ale skoro nie dali księdzu piór, czymże napisał ksiądz tak ogromny traktat?

— Sam sobie sprokurowałem[301] wyborne pióra, które uznano by niezawodnie za lepsze od zwykłych, gdyby wiedziano, z czego są zrobione — z ości, które wyjmuję z głów tych ogromnych sielaw[302], które nam dają w postne dni. I dlatego z radością czekam na każdą środę, piątek i sobotę, bo w te dni mogę sobie powiększyć zapas piór, a przyznać muszę, że moje prace historyczne są moim najmilszym zajęciem. Gdy zagłębiam się w przeszłość, zapominam o teraźniejszości; gdy przechadzam się, swobodny i niezależny, po komnatach historii, nie pamiętam, że jestem w więzieniu.

— A atrament? Z czego ksiądz sobie zrobił atrament? — zapytał Dantès.

— Był kiedyś w mojej celi kominek — rzekł Faria. — Kominek ten zamurowano na jakiś czas przed moim przybyciem, ale palono w nim przez wiele lat i całe wnętrze pokryte jest sadzą. Rozpuściłem tę sadzę w winie, które mi dostarczają co niedziela, i mam z tego wyborny atrament. A jeśli chodzi o szczególnie ważne spostrzeżenia, które powinny zwracać uwagę czytelnika, kłuję się w palec i piszę krwią.

— I kiedy będę mógł zobaczyć to wszystko? — zapytał Dantès.

— Kiedy zechcesz.

— O! A więc zaraz! — zawołał młodzieniec.

---

[291] *Tukidydes* (ok. 460–ok. 400 p.n.e.) — gr. historyk i dowódca wojskowy, autor monografii *Wojna peloponeska*; jako pierwszy postulował zasady obiektywizmu i krytycznego podejścia do źródeł w dziejopisarstwie. [przypis edytorski]

[292] *Ksenofont* (ok. 430–ok. 355 p.n.e.) — gr. pisarz i historyk, żołnierz najemny, uczeń Sokratesa. [przypis edytorski]

[293] *Tytus Liwiusz*, właśc. *Titus Livius* (59 p.n.e.–17 n.e.)— rzym. historyk pochodzący z Padwy; autor monumentalnego dzieła opisującego historię Rzymu. [przypis edytorski]

[294] *Tacyt*, właśc. *Publius Cornelius Tacitus* (ok. 55–120) — wybitny historyk rzym., autor m.in. *Roczników* oraz *Dziejów*, opisujących historię Rzymu w I w. n.e. [przypis edytorski]

[295] *Strada, Famiano* (1572–1649) — wł. jezuita i historyk; najbardziej znany jako autor monografii nt. wojny osiemdziesięcioletniej. [przypis edytorski]

[296] *Jornandès*, popr. *Jordanes* (VI w. n.e.) — urzędnik rzym. i historyk, znany przede wszystkim jako autor historii Gotów. [przypis edytorski]

[297] *Montaigne, Michel de* (1533–1592) — fr. filozof i pisarz epoki renesansu, humanista; uważany za twórcę eseju jako gatunku literackiego (*Próby*). [przypis edytorski]

[298] *Szekspir*, właśc. *William Shakespeare* (1564–1616) — angielski dramatopisarz, poeta i aktor. Uważany za jednego z najwybitniejszych pisarzy literatury angielskiej oraz reformatorów teatru. [przypis edytorski]

[299] *Spinoza, Baruch* (1632–1677) — filozof niderlandzki, przedstawiciel racjonalizmu, twórca systemu filozoficznego mającego u podstaw jedną, wieczną i wszechogarniającą substancję, nazwaną naturą lub Bogiem. [przypis edytorski]

[300] *Bossuet, Jacques-Bénigne* (1627–1704) — fr. biskup katolicki, nadworny kaznodzieja Ludwika XIV, wychowawca jego syna; wybitny mówca, teolog, autor licznych traktatów apologetycznych. [przypis edytorski]

[301] *sprokurować* — tu: sporządzić, wykonać. [przypis edytorski]

[302] *sielawa* — bardzo smaczna, wysoko ceniona ryba z rodziny łososiowatych, żyjąca w czystych, głębokich jeziorach. [przypis edytorski]

— Dobrze, chodź za mną — zgodził się Faria.

I zniknął w podziemnym korytarzu, Dantès zaś podążył za nim.

17. CELA KSIĘDZA

Dantès musiał iść pochylony, ale szedł naprzód bez trudu; niebawem dotarł do końca tunelu, którego wylot znajdował się w celi księdza. W tym miejscu chodnik tak się zwężał, że można było przecisnąć się, jedynie czołgając. Podłoga w celi księdza wykładana była kamiennymi płytami; a zatem ksiądz rozpoczął swoje trudne dzieło od oderwania w najciemniejszym kącie jednej z takich płyt.

Zaledwie Edmund wszedł do celi i wyprostował się, od razu zbadał ją wzrokiem z największą ciekawością. Na pierwszy rzut oka nie przedstawiała nic szczególnego.

— Chwała Bogu — rzekł ksiądz. — Jest dopiero kwadrans po dwunastej, mamy więc jeszcze kilka zupełnie spokojnych godzin.

Dantès rozejrzał się wokoło, chcąc znaleźć zegar, który pozwalał księdzu tak dokładnie mierzyć czas.

— Spójrz na ten promień światła zaglądający przez okno — rzekł ksiądz — i obejrzyj na murze te linie, które narysowałem. Dzięki tym liniom, które wyznaczyłem według podwójnego ruchu ziemi — dookoła własnej osi i elipsy, jaką opasuje słońce — znam lepiej czas, niż gdybym miał zegarek, bo zegarek się psuje, zaś Ziemia i Słońce nie psują się nigdy.

Dantès nie zrozumiał ani słowa z tego wszystkiego; widząc, że słońce podnosi się spoza gór, a zachodzi nad Morzem Śródziemnym, był zawsze przekonany, że to Słońce się porusza, nie zaś Ziemia. Ten podwójny ruch globu ziemskiego, na którym mieszkał, wydał mu się niepodobieństwem, bo go nie zauważał; w każdym słowie swego nowego przyjaciela widział tajemnice nauki równie godne zbadania, jak owe kopalnie złota i diamentów, które zwiedził w dzieciństwie w Guzarate[303] i Golkondzie[304].

— Proszę księdza, chciałbym poznać skarby, które ksiądz zebrał — rzekł.

Ksiądz podszedł do kominka, odsunął za pomocą dłuta kamienną płytę tworzącą niegdyś palenisko, która skrywała dość głębokie zagłębienie; w tym właśnie miejscu przechowywał wszystkie narzędzia i przedmioty, o których mówił Dantèsowi.

— Cóż chcesz najpierw zobaczyć? — zapytał.

— Niech mi ksiądz pokaże swoje wielkie dzieło o państwie włoskim.

Faria wyjął z cennej skrytki kilka rulonów płótna, podobnych do zwojów papirusowych; były to pasy szerokości około czterech cali, a długie na osiemnaście. Pasy te były ponumerowane, a tekst, jaki zawierały, był zrozumiały dla Dantèsa, zapisany był bowiem w ojczystym języku księdza, to jest po włosku, a dialekt prowansalski, jakim posługiwał się młodzieniec, miał wiele podobieństwa do włoskiego.

— Patrz — rzekł ksiądz. — Przed tygodniem napisałem „koniec" na dole sześćdziesiątego ósmego pasa. Poszły na to dwie moje koszule i wszystkie chustki, jakie tylko miałem; jeżeli kiedykolwiek stąd wyjdę, a znajdzie się wydawca, który odważy się wydrukować moją pracę, zdobędę sławę.

— O tak — zawołał Dantes. — i ja tak myślę. Teraz niech mi ksiądz pokaże jeszcze pióro, którym to dzieło ksiądz napisał.

— Proszę — rzekł Faria.

I pokazał Dantèsowi patyczek długości sześć cali; gruby jak trzonek pędzla; na końcu przywiązana była nitką powalana atramentem płaska kosteczka, o której wspominał Faria; miała wydłużony kształt i była przycięta na końcu jak zwyczajne pióro.

Dantès przypatrzył mu się dobrze i jął rozglądać się za narzędziem, którym można było z taką dokładnością naostrzyć pióro.

— Ale, ale — rzekł Faria — oto scyzoryk. To moje arcydzieło; zrobiłem go, podobnie jak ten nóż, ze starego żelaznego lichtarza[305].

---

[303] *Guzarat*, właśc. *Gudźarat* — stan w płn.-zach. Indiach; port Surat w Gudźaracie znany jest jako główny ośrodek eksportu diamentów na Zachód. [przypis edytorski]

[304] *Golkonda* — fort położony w płd.-śr. Indiach; w jego pobliżu znajduje się kopalnia, z której wydobyto Koh-i-Noor, tj. jeden z największych i najsłynniejszych diamentów w historii. [przypis edytorski]

[305] *lichtarz* (z niem: *Leuchter*) — podstawka do osadzenia pojedynczej świecy, świecznik. [przypis edytorski]

Dantès przypatrywał się wszystkim tym przedmiotom z ciekawością, z jaką oglądał jeszcze w Marsylii, w sklepach osobliwości, przedmioty wyrabiane przez dzikich, a sprowadzane zza mórz południowych przez kapitanów wracających z dalekich rejsów.

— Atrament — mówił dalej Faria — sporządzam w miarę potrzeby, sposobem już ci wiadomym.

— Teraz jednemu się tylko dziwię: że ksiądz potrafił tyle zrobić, pracując tylko za dnia.

— Przecież miałem i noce — odrzekł Faria.

— Noce! Jak to? Czy ksiądz ma koci wzrok, że może widzieć w nocy?

— Nie, ale Bóg dał człowiekowi inteligencję, która winna pomagać jego ograniczonym zmysłom: wystarałem się więc o światło.

— Jakimże sposobem?

— Oddzielam tłuszcz od mięsa, które mi przynoszą; topię go i otrzymuję zeń coś w rodzaju gęstej oliwy. Patrz, oto moja świeca.

I ksiądz pokazał Dantèsowi coś na kształt lampki oliwnej, podobnej do tych, jakich używa się w czasie publicznych iluminacji.

— A skąd ogień?

— Oto dwa kamyki i kawałek spalonej koszuli.

— Ale zapałki?

— Udałem, że mam jakąś chorobę skórną, poprosiłem o siarkę i dano mi ją.

Dantès położył wszystkie te przedmioty na stole i spuścił głowę, przygnieciony wytrwałością i siłą tego umysłu.

— To jeszcze nie wszystko — mówił Faria. — Nie można chować wszystkiego w jednym miejscu; zamknijmy najpierw tę skrytkę.

Położyli płytę na swoim miejscu; ksiądz przyprószył ją nieco piaskiem, zatarł nogą, aby ślad nie pozostał po najmniejszej szczelinie, po czym podszedł do łóżka i odsunął je.

Za wezgłowiem[306] znajdowało się zagłębienie zamknięte nadzwyczaj szczelnie kamieniem, a w zagłębieniu drabinka sznurowa długości dwudziestu pięciu do trzydziestu stóp.

Dantès przyjrzał się jej: była nadzwyczaj mocna.

— Któż dostarczył księdzu powrozu[307] na tę zadziwiającą drabinkę?

— Poszło na to najpierw kilka koszul, następnie kilka prześcieradeł, z których podczas trzyletniego pobytu w Fenestrelle wyciągałem nitki. Kiedy przeniesiono mnie do zamku If, znalazłem sposób, aby je zabrać ze sobą — i tu robiłem ją dalej.

— I nie spostrzeżono, że prześcieradła księdza były wystrzępione?

— Obrębiałem[308] je na nowo.

— Czym?

— Tą oto igłą.

To mówiąc, ksiądz odsłonił połę podartego ubrania i pokazał Dantèsowi długą, ostrą ość, wciąż nawleczoną, którą zawsze nosił wpiętą w materiał odzienia.

— Tak — ciągnął Faria. — Myślałem najpierw o wyłamaniu tych krat i ucieczce przez to okno, szersze nieco od twojego, jak sam widzisz, a poszerzyłbym je jeszcze tuż przed ucieczką; spostrzegłem jednak, że okno wychodzi na wewnętrzny dziedziniec, zaniechałem więc tego zamiaru, był zbyt ryzykowny. Ale zachowałem drabinkę na wszelki wypadek, gdyby nadarzyła się przypadkiem taka okazja, o czym ci już mówiłem.

Dantès, przypatrując się prostej z pozoru drabince, myślał jednak o czym innym; przyszła mu bowiem do głowy nagła myśl, że ten człowiek, tak inteligentny, pomysłowy i przenikliwy, może ujrzałby coś w ciemnościach kryjących jego nieszczęście, w których błądził on sam, nie mogąc odkryć przyczyny swojego losu.

— O czym tak myślisz? — zapytał ksiądz z uśmiechem, biorąc to zamyślenie za wyraz podziwu dla siebie.

— Myślę przede wszystkim o tym, jaki ogrom inteligencji był księdzu potrzebny, aby dotrzeć do takich rezultatów — i czego mógłby ksiądz dokonać na wolności!

— Być może nic. Nadmiar inteligencji rozproszyłby się zapewne na głupstwa. Trzeba nieszczęścia, aby dokopać się w ludzkim umyśle do tych tajemniczych, przebogatych

[306] *wezgłowie* — strona łóżka, po której kładzie się głowę. [przypis edytorski]
[307] *powróz* — gruby sznur skręcony z włókna. [przypis edytorski]
[308] *obrębiać* — obszyć brzeg tkaniny, aby się nie strzępił. [przypis edytorski]

skarbów; aby mogły być wydobyte na światło dzienne, najpierw trzeba wysadzić skałę, która tamuje do nich dostęp. Więzienie spowodowało, że moje wszystkie umiejętności skupiły się w jednym punkcie; zamknięte w ciasnej przestrzeni zderzyły się ze sobą, a wiesz, że ze zderzenia chmur bierze się elektryczność, z elektryczności błyskawica, z błyskawicy światło.

— Nic a nic nie wiem — jęknął Dantès, poniżony swoją niewiedzą. — Część słów, jakie ksiądz wypowiada jest dla mnie zupełnie pozbawiona sensu; o, ksiądz jest naprawdę szczęśliwy, posiadając tyle wiedzy.

Ksiądz uśmiechnął się.

— Mówiłeś mi przed chwilą, że myślisz o dwóch rzeczach, prawda? A powiedziałeś mi tylko o jednej. Jakaż jest tedy[309] druga?

— Druga? To ta, że ksiądz opowiedział mi swoje życie, a nic nie wie jeszcze o moim.

— Życie twoje, młodzieńcze, jest zbyt krótkie, aby mogło się w nim wydarzyć coś ważnego.

— Ale mieści już w sobie wielkie nieszczęście — odparł Dantès — a jest to nieszczęście, na które nie zasłużyłem; i chciałbym móc je przypisać ludziom, aby nie bluźnić już Bogu, jak mi się to zdarzało.

— A zatem uważasz się za niewinnego?

— Jestem niewinny, przysięgam na głowę mojego ojca i Mercedes; to dla mnie dwie najdroższe istoty w życiu.

— Dobrze — rzekł ksiądz, zamykając skrytkę i przysuwając na miejsce łóżko — opowiedz mi swoją historię.

Dantès opowiedział mu tedy to, co uznał za historię swojego życia, a która ograniczała się do jednej podróży do Indii oraz dwu czy trzech do Lewantu[310]; na koniec przeszedł do ostatniego rejsu, do śmierci kapitana Leclère'a, do pakietu, który wręczył marszałkowi, wspomniał o liście od niego otrzymanym, a przeznaczonym dla pana Noirtiera z Paryża; wreszcie o przybyciu do Marsylii, rozmowie z ojcem, o miłości do Mercedes, uczcie zaręczynowej, zatrzymaniu go przez policję, przesłuchaniu, tymczasowym uwięzieniu w gmachu sądu i na koniec ostatecznym osadzeniu go w zamku If. Gdy dotarł do tego punktu, Dantes nie wiedział już nic więcej — nawet ile czasu spędził do tej pory w więzieniu.

Gdy skończył opowiadać, ksiądz popadł w głębokie zamyślenie.

— Jest jeden głęboki aksjomat[311] prawny — odezwał się po chwili — który sprowadza się do tego, co ci niedawno mówiłem: jeżeli tylko zła myśl nie powstaje w spaczonym umyśle, natura ludzka żywi wstręt do zbrodni. Ale cywilizacja nadała nam pewne potrzeby, wady, sztuczne żądze, które częstokroć przygłuszają w nas nasze najlepsze instynkty i wiodą do złego. Stąd bierze się następująca zasada: „jeżeli chcesz znaleźć winnego, szukaj najpierw tego, komu popełnienie zbrodni mogłoby przynieść korzyść". Kto mógłby skorzystać z twojego zniknięcia?

— Nikt, mój Boże! Przecież nic nie znaczyłem.

— Nie mów tak, bo w tej odpowiedzi brak logiki i zmysłu filozoficznego; wszystko jest względne, mój drogi; od króla, który stoi na zawadzie swemu następcy, aż do najniższego urzędnika, który zawadza nadetatowemu koledze. Jeśli umiera król, następca dziedziczy koronę; jeśli umiera urzędnik, kolega, któremu brakło etatu, otrzymuje jego tysiąc dwieście liwrów pensji. Te tysiąc dwieście liwrów to jego lista cywilna[312] i są mu tak potrzebne do życia, jak królowi jego dwanaście milionów. Każdy człowiek, na każdym szczeblu hierarchii społecznej, tworzy wokół siebie mały światek rozmaitych interesów, mający swoje wiry i powinowactwa — jak światy u Kartezjusza[313]. I tylko kręgi tych

Społeczeństwo, Konflikt, Interes

[309] *tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

[310] *Lewant* — ogólne określenie krain na wsch. wybrzeżu Morza Śródziemnego, głównie Syrii i Palestyny, czasem obejmujące także Azję Mniejszą i Egipt. [przypis edytorski]

[311] *aksjomat* (z gr.) — pewnik, twierdzenie oczywiste i niewymagające dowodu. [przypis edytorski]

[312] *lista cywilna* — fundusze państwowe przeznaczone na utrzymanie władcy. [przypis edytorski]

[313] *Kartezjusz*, właśc. *René Descartes* (1596–1650) — fr. fizyk, matematyk i filozof, prekursor europejskiej filozofii nowożytnej. W swoich rozważaniach wyszedł z założenia, że wobec każdego stwierdzenia możliwe jest sformułowanie twierdzenia przeciwnego. W wątpliwość nie można poddać tylko samego wątpienia, które jest aktem myśli, zatem musi istnieć też ktoś, kto te myśli formułuje: *dubito ergo cogito ergo sum* (łac. wątpię więc

światków ogarniają coraz więcej, w miarę, jak wznoszą się w hierarchii. Ale wróćmy do twojego własnego świata; miałeś więc być mianowany kapitanem „Faraona"?

— Tak.

— Miałeś się ożenić z piękną dziewczyną?

— Tak.

— Czy komuś nie zależało na tym, abyś nie został kapitanem „Faraona"? Czy komuś nie zależało, abyś nie poślubił Mercedes? Odpowiedz najpierw na pierwsze pytanie, bo porządek jest kluczem do rozwiązania wszelkich kwestii. Czy komuś mogło zależeć, abyś nie został kapitanem „Faraona"?

— Nie. Wszyscy mnie bardzo lubili na statku. Gdyby marynarze mieli prawo wybrać sobie dowódcę, jestem pewny, że mnie by wybrali. Jeden tylko człowiek mógł mieć do mnie jakąś urazę; miałem z nim trzy miesiące wcześniej sprzeczkę, wyzwałem go na pojedynek, ale on nie stanął.

— No, no! Jak się ten człowiek nazywa?

— Danglars.

— Kim był na statku?

— Buchalterem.

— Gdybyś był kapitanem, utrzymałbyś go na stanowisku?

— Nie, gdyby tylko ode mnie to zależało, bo zdawało mi się, że były pewne nieścisłości w jego rachunkach.

— Dobrze. Czy był ktoś obecny przy twojej rozmowie z kapitanem Leclère'em?

— Nikt. Byliśmy sami.

— I nikt tej rozmowy nie mógł podsłuchać?

— Mógł, bo drzwi były otwarte, a nawet... chwileczkę... tak, tak; przechodził tamtędy Danglars, właśnie w chwili, gdy kapitan Leclère oddawał mi paczkę do marszałka wielkiego.

— No tak — kiwnął głową ksiądz — mamy już niewątpliwy ślad. Czy wziąłeś kogoś ze sobą na brzeg, kiedy dopłynęliście do Elby?

— Nikogo nie zabierałem.

— Dano ci tam list?

— Tak, marszałek dał mi list.

— Cóżeś z tym listem zrobił?

— Włożyłem go do pugilaresu[314].

— Miałeś więc ze sobą pugilares? Jak pugilares z urzędowym listem mógł się zmieścić w kieszeni marynarskiego stroju?

— Ma ksiądz słuszność, pugilares został na statku.

— Więc dopiero na pokładzie włożyłeś list do pugilaresu, a gdzie miałeś list, gdy wracałeś z Portoferraio na pokład?

— Trzymałem go w ręku.

— Kiedy więc wchodziłeś na pokład, każdy mógł zobaczyć, żeś trzymał list w ręku?

— Tak.

— Danglars tak samo, jak inni?

— Tak samo.

— Teraz słuchaj uważnie i zbierz całą pamięć: czy przypominasz sobie, jak brzmiała denuncjacja?

— O tak, czytałem ją trzy razy i każde słowo utkwiło mi w pamięci.

— Powtórz mi ją.

Dantès powtórzył co do słowa cały list denuncjacyjny.

Ksiądz wzruszył ramionami.

— To jasne jak słońce — powiedział — tylko ty jesteś naiwny i zbyt prostolinijny, skoro od razu wszystkiego nie odgadłeś.

— Tak ksiądz sądzi? — wykrzyknął Dantès — Ach, to byłaby podłość!

— Jaki charakter pisma miał Danglars?

---

myślę, więc jestem). Posługując się metodą dedukcji zbudował najważniejszy od czasów Arystotelesa system filozoficzny, zawarty w jego Rozprawie o metodzie (1637). [przypis edytorski]

[314] *pugilares* (daw.) — portfel na pieniądze i dokumenty. [przypis edytorski]

— Piękny, nieco pochylony.
— Jakim napisano zaś donos?
— Pochylonym w lewo.
Ksiądz uśmiechnął się.
— Naumyślnie zmienionym, prawda?
— To pismo było zbyt śmiałe, aby mogło być sfałszowane.
— Czekaj no...
Wziął pióro, czy raczej to, co nazywał piórem, zanurzył w atramencie i napisał lewą ręką na przygotowanym zawczasu pasku płótna pierwsze wiersze donosu. Dantès cofnął się i spojrzał niemal z przestrachem na księdza.
— Ach, to zadziwiające — wykrzyknął — jak tamto pismo było podobne do tego.
— To dowodzi, że denuncjacja napisana była lewą ręką. Jedną rzecz zauważyłem — że litery pisane prawą ręką są zawsze różne, zaś pisane lewą ręką wyglądają identycznie.
— Więc ksiądz wszystko widział, wszystko zbadał?
— No, no, idźmy dalej, przystąpmy do drugiego pytania. Czy zależało komuś na tym, abyś nie ożenił się z Mercedes?
— O tak! Był pewien młody człowiek, który się w niej kochał.
— Jak się nazywał?
— Fernand.
— To hiszpańskie nazwisko.
— Jest Katalończykiem.
— Sądzisz, że byłby zdolny do napisania podobnego listu?
— O, nie! Ten mógłby zakłuć mnie nożem, ale nic innego.
— Tak, taka jest natura Hiszpana; morderstwo tak, ale podłość nie.
— Prócz tego nie znał szczegółów, które podaje ta denuncjacja.
— Nikomu się z nich nie zwierzałeś?
— Nikomu.
— Nawet kochance?
— Nawet narzeczonej.
— Więc to Danglars.
— O! Teraz i ja jestem tego pewien.
— Powiedz mi jeszcze, czy Danglars znał Fernanda?
— Nie... tak!... przypominam sobie...
— Co takiego?
— Dwa dni przed moim ślubem widziałem ich razem, przy jednym stole w altanie u Pamfila. Danglars był wesoły i traktował mnie przyjaźnie, a Fernand był blady i drżący.
— Czy byli sami?
— Nie, byli w trójkę. Siedział z nimi mój dobry znajomy, i to on na pewno poznał ich ze sobą — krawiec, nazywa się Caderousse, ale ten miał już dobrze w głowie. Chwileczkę... chwileczkę... Ach, jak mogłem o tym zapomnieć? Obok stołu, na stoliku stał kałamarz z piórem, leżał papier... — Dantès przetarł dłonią czoło — O nikczemni! Nikczemni!
— Czy chcesz jeszcze się czegoś dowiedzieć? — rzekł ksiądz z uśmiechem.
— Tak, tak, bo ksiądz potrafi wszystko zgłębić, bo ksiądz widzi jasno wszystkie rzeczy. Chciałbym wiedzieć, dlaczego byłem przesłuchiwany tylko raz, dlaczego nie stanąłem przed sądem i czemu skazany zostałem bez wyroku?
— A, to co innego, to sprawa nieco trudniejsza; jaśnie pani sprawiedliwość rządzi się ciemnymi i tajemniczymi zasadami, które trudno przeniknąć. To, co wymyśliliśmy tu odnośnie do dwóch twoich przyjaciół, było dziecinną zabawką; zaś jeśli idzie o tę kwestię, musisz mi dać jak najdokładniejsze wyjaśnienia.
— Dobrze, ale niech ksiądz mnie pyta, bo w rzeczy samej ksiądz lepiej potrafi się wyrozumieć w moim życiu niż ja sam.
— Kto cię przesłuchiwał? Prokurator królewski, podprokurator czy też sędzia śledczy?
— Podprokurator.
— Młody czy stary?
— Młody, mógł mieć dwadzieścia siedem, osiem lat.
— No to jeszcze nie zepsuty, ale już ambitny — rzekł ksiądz. — Jak się z tobą obszedł?
— Był raczej łagodny niż surowy.

— Opowiedziałeś mu wszystko?

— Wszystko.

— Czy w trakcie śledztwa nie zmieniło się jego zachowanie?

— Tak, przez chwilę zdawał się mocno poruszony, gdy przeczytał list, który mnie kompromitował; wydawało się, jakby moje nieszczęście go mocno przygnębiło.

— Twoje nieszczęście?

— Tak.

— Jesteś pewny, że współczuł twojemu nieszczęściu?

— Dał mi przynajmniej wyraźny dowód sympatii.

— Jaki?

— Sam spalił list, jedyny dowód, który mnie mógł skompromitować.

— Który? Denuncjację?

— Nie — list.

— Jesteś tego pewien?

— Przecież to się stało na moich oczach.

— O, to co innego — ten człowiek może być o wiele większą kanalią, niż mógłbyś sądzić.

— Na honor! Ksiądz mnie przeraża — wykrzyknął Dantès. — Czy na świecie istnieją tylko tygrysy i krokodyle?

— Tak. Z tą różnicą, że dwunożne tygrysy i krokodyle są niebezpieczniejsze od czworonożnych.

— Niech ksiądz pyta dalej, dalej...

— Spalił ten list, powiadasz?

— Tak, i powiedział mi jednocześnie: „Jeden tylko dowód świadczy przeciw tobie i spójrz — niszczę go".

— Postępowanie to jest tak wspaniałomyślne, że nie może być naturalne.

— Tak ksiądz sądzi?

— Jestem o tym przekonany. Do kogóż ten list był adresowany?

— Do pana Noirtiera, mieszkającego na ulicy Coq-Héron nr 13 w Paryżu.

— Jak ci się zdaje, czy ten podprokurator nie miał w tym własnego interesu, aby list zniszczyć?

— Być może, bo mi ze trzy razy kazał przysięgać, że nie wspomnę nikomu ani słowa o tym liście i że nigdy nie zdradzę nazwiska z koperty.

— Noirtier — powtórzył ksiądz. — Noirtier? Znałem jakiegoś Noirtiera na dworze królowej Etrurii[315], był on żyrondystą za rewolucji francuskiej. A jak się twój podprokurator nazywał?

— De Villefort.

Faria parsknął śmiechem.

Dantès spojrzał nań osłupiały.

— Co się księdzu dzieje? — zapytał.

— Czy widzisz ten jasny promień słońca? — zapytał ksiądz.

— Widzę.

— Otóż teraz wszystko jest dla mnie jaśniejsze od tego promienia, tak świetlistego i przejrzystego. Biedne dziecko, biedny młodzieńcze! I ten urzędnik był dobry dla ciebie?

— Tak.

— Ten szlachetny podprokurator spalił ów list?

— Tak.

— Ten uczciwy dostawca kata kazał ci przysiąc, że nie wymienisz nigdy nazwiska Noirtier?

— Tak.

— Biedny ślepcze — a czy ty wiesz, kim jest ten Noirtier? To jego własny ojciec!

Gdyby nagle piorun uderzył Dantèsowi u stóp i otworzył mu przepaść, w której głębi byłoby widać piekło, nie sprawiłby na nim wrażenia równie elektryzującego, równie

[315] *Maria Ludwika Burbon* (1782–1824) — królowa (1801–1803) Etrurii, tj. królestwa wł. założonego przez Napoleona Bonapartego; od 1803 r. rządziła nim jako regentka w imieniu swojego niepełnoletniego syna, Karola Ludwika Burbona. [przypis edytorski]

miażdżącego jak te niespodziane słowa. Powstał i porwał się za głowę obiema rękami, jakby w obawie, że mu pęknie.

— Jego ojciec! Jego ojciec! — zawołał.

— Tak, jego ojciec nazywa się Noirtier de Villefort — odpowiedział ksiądz.

I nagle Dantèsowi rozjaśniło się w głowie, wszystko, co do tej pory pozostawało w mroku, w jednej chwili stanęło jakby w jasnym blasku dnia. Owe dziwne wahania Villeforta w czasie badań, zniszczenie listu, wymuszenie przysięgi, ten głos błagający prawie, który zamiast grozić, zdawał się prosić, wszystko to razem stanęło mu przed oczyma. Krzyknął, zachwiał się jak pijany i rzucił się do otworu tunelu, co prowadził do jego celi, bełkocząc:

— Och! Muszę być sam, aby pomyśleć o tym wszystkim.

Doczołgawszy do swego lochu, rzucił się na łóżko; wieczorem dozorca zastał go w tym samym miejscu: siedział na łóżku, nieruchomy i niemy jak posąg, ze ściągniętymi rysami i oczyma wlepionymi w jeden punkt.

W czasie tych rozmyślań, podczas których godziny upływały mu jak sekundy, powziął okropne postanowienie i złożył straszliwą przysięgę.

Jakiś głos ocucił Dantèsa z tego zamyślenia; był to Faria, u którego dozorca był już także i który przyszedł zaprosić teraz Dantesa na kolację. Jego status wariata, a co ważniejsze wariata wesołego, nadawał staremu więźniowi pewne przywileje: co niedzielę dawano mu na przykład nieco bielszy chleb i buteleczkę wina. Była właśnie niedziela i ksiądz zapraszał swego młodego towarzysza, aby podzielił z nim chleb i wino.

Dantès udał się za nim; rysy twarzy nieco mu się odprężyły, ale jego oczy przybrały wyraz stanowczości i surowości, zdradzając powzięte postanowienie. Ksiądz popatrzył na niego uważnie.

— Niekontent[316] jestem, że ci dopomogłem w rozwiązaniu tajemnicy — rzekł.

— Dlaczego? — zapytał Dantès.

— Bo wlałem ci w serce uczucie, które tam nigdy jeszcze nie gościło: żądzę zemsty.

Dantès uśmiechnął się.

— Mówmy o czym innym — rzekł.

Ksiądz patrzył jeszcze na niego przez chwilę, potem pokiwał ze smutkiem głową; na koniec usłuchał prośby Dantesa i wszczął rozmowę o czym innym.

Dantès słuchał z podziwem każdego jego słowa; czasem to, co mówił Faria, dotyczyło tego, o czym sam Dantès kiedyś już rozmyślał lub spraw związanych z jego marynarskim życiem; czasem poruszał przedmioty całkiem mu nieznane, które jak zorza polarna, oświetlająca żeglarzom drogę w krainach podbiegunowych podróżnemu, ukazywały młodzieńcowi nowe krajobrazy, nowe horyzonty, rozjaśnione fantastycznym blaskiem. Edmund zaczął pojmować to szczęście, jakie stałoby się udziałem dla człowieka inteligentnego, zdolnego wznieść się za tym wybitnym umysłem na te wyżyny wiedzy moralnej, filozoficznej i społecznej, gdzie Faria czuł się jak u siebie.

— Powinien mnie ksiądz nauczyć choć odrobiny tego, co sam wie — rzekł Dantès — choćby tylko dlatego, aby się nie nudzić w rozmowie ze mną. Zdaje mi się teraz, że ksiądz wolałby samotność niż towarzystwo człowieka tak niewykształconego i prostego. Jeśli ksiądz przystanie na moją prośbę, przysięgnę, że nigdy nie będę mówić o ucieczce.

Ksiądz uśmiechnął się znowu.

— Niestety, drogie dziecko — rzekł. — Wiedza ludzka jest bardzo ograniczona i gdy cię nauczę matematyki, fizyki, historii i kilku żywych języków, którymi sam mówię, będziesz umiał tyle, co ja; a całą tę wiedzę mógłbym ci przekazać w ciągu dwóch lat.

— Dwóch lat! Jak to? Myśli ksiądz, że mógłbym wszystkiego nauczyć się w dwa lata?

— Nie nauczysz się praktycznego zastosowania tych nauk, ale zasad jak najbardziej; nauczyć się a umieć, są to rzeczy zupełnie różne; są mędrkowie i mędrcy — dzięki wybornej pamięci można stać się jednymi, drugich rodzi filozofia.

— A czyż nie można nauczyć się filozofii?

— Filozofii nauczyć się nie można; filozofia to połączenie wszystkich nauk, uzyskanych i stosowanych przez geniusza; filozofia to jaśniejący obłok, na którym Chrystus postawił stopę, by wstąpić do nieba.

[316] *niekontent* — niezadowolony; od *kontent*: zadowolony z czegoś. [przypis edytorski]

— O, ciekaw jestem — rzekł Dantès — czego mnie ksiądz będzie najpierw uczył? Chciałbym zacząć jak najprędzej, jestem spragniony wiedzy.

— Wszystkiego — odparł ksiądz.

I w rzeczy samej, tego samego wieczora obaj więźniowie ułożyli plan nauki, a jego realizację rozpoczęli nazajutrz. Dantès miał nadzwyczajną pamięć i niesłychaną łatwość pojmowania: jego wrodzone zdolności matematyczne ułatwiały mu ujmowanie wszystkiego za pomocą rachunku, a obdarowany jednocześnie, jako żeglarz, iście poetyckim usposobieniem — wprowadzał poprawki tam, gdzie dowód mógł się wydawać zbyt materialny, bo sprowadzony do suchych cyfr lub jednostajnych linii geometrycznych. Znał wcześniej język włoski i nowogrecki, którego nauczył się cokolwiek podczas podróży na wschód. Dzięki znajomości tych języków był w stanie szybko pojąć zasady i budowę innych i po upływie sześciu miesięcy zaczynał już mówić po hiszpańsku, angielsku i niemiecku.

Tak jak to przyrzekł księdzu, nie mówił już o ucieczce, czy dlatego, że nauka zastępowała mu jakby wolność, a być może dlatego, że chciał dotrzymać słowa z właściwą sobie surowością; jak widzieliśmy, dni wypełnione nauką upływały mu szybko. Po roku był już innym człowiekiem.

Co do Farii, Dantès zauważył, że ksiądz z każdym dniem stawał się pochmurniejszy, że mimo urozmaicenia, jakie przyniosła mu obecność towarzysza, jakaś nieustająca myśl zdawała się kotłować mu w głowie; wpadał w głębokie zadumy, wzdychał mimowolnie, powstawał nagle, krzyżował ramiona i przechadzał się posępnie po celi.

Pewnego dnia podczas jednej z takich powtarzanych w nieskończoność wędrówek stanął nagle i zawołał:

— Ach! Gdyby tylko nie było strażnika!

— Strażnik będzie dopóty, dopóki ksiądz sobie będzie tego życzył — rzekł Dantès, który podążył za jego myślą z taką łatwością, jakby ją widział w kryształowej kuli.

— Już ci powiedziałem, że wzdragam się na myśl o morderstwie.

— A jednak to zabójstwo byłoby popełnione z konieczności samoobrony, wynikłoby z naturalnego instynktu samozachowawczego.

— Cóż z tego — nie byłbym w stanie tego zrobić.

— A jednak myśli ksiądz o tym nieustannie?

— Bez przerwy, bez przerwy — szepnął Faria.

— I znalazł ksiądz jakiś sposób, aby się stąd wydostać, prawda? — zawołał żywo Dantès.

— Tak, znalazłem, jeżeli postawią na galerii strażnika ślepego i głuchego!

— Będzie głuchy i ślepy — odpowiedział młodzieniec z akcentem takiej stanowczości, że Faria się przeraził.

— Nie, nie! — zawołał. — To niemożliwe!

Dantès chciał podtrzymać rozmowę, ale ksiądz potrząsnął głową i nie odpowiedział.

Tak minęły trzy miesiące.

— Czy jesteś silny? — zagadnął pewnego razu Faria.

Dantès nie odpowiedział, wziął dłuto, zgiął na kształt podkowy i odgiął znowu.

— Przysięgniesz mi, że tylko w ostateczności zabiłbyś strażnika?

— Tak, przysięgam na mój honor.

— Możemy więc przystąpić do wykonania naszego planu.

— Jak wiele nam trzeba na to czasu?

— Co najmniej rok.

— A kiedy moglibyśmy przystąpić do dzieła?

— Natychmiast.

— Ach, widzi ksiądz! Tośmy stracili cały rok! — zawołał Dantès.

— Sądzisz, że naprawdę go straciliśmy? — uśmiechnął się Faria.

— Ach, przepraszam, przepraszam — zawołał Edmund, rumieniąc się.

— Cicho! — rzekł ksiądz. — Człowiek jest tylko człowiekiem, a ty i tak jesteś jednym z najlepszych, jakich znałem. Patrz, oto mój plan.

I ksiądz pokazał Dantèsowi rysunek celi, izby Dantèsa i łączącego je podziemnego tunelu. Ze środka tego tunelu Faria chciał zacząć kopać wąski chodnik, podobny do tych, jakie się robi w kopalniach. Chodnik ten miał zaprowadzić obu więźniów pod galerię, po

której przechadzał się strażnik. Znalazłszy się tam, mieli wykopać szeroką jamę i podważyć jedną z kamiennych płyt, które tworzyły podłogę krużganka; w odpowiedniej chwili płyta miała się zapaść pod ciężarem żołnierza, który runąłby w głąb jamy. W tejże chwili Dantès miał się rzucić na ogłuszonego upadkiem i niebędącego się w stanie bronić strażnika, związać go i zakneblować mu usta; wówczas obaj więźniowie wydostaliby się przez jedno z okien galerii i spuścili w dół murów po drabince.

Dantès klasnął w ręce, oczy zaiskrzyły mu się radością; plan był tak prosty, że nie mógł się nie udać. Tego samego dnia obaj górnicy wzięli się do pracy z tym większym zapałem, że następowała po tak długim wypoczynku, ponadto była przecież tylko wprowadzaniem w czyn najskrytszych ich pragnień.

Nic im pracy nie przerywało poza czasem, kiedy każdy z nich musiał udać się do siebie przed wizytą dozorcy. Nauczyli się zresztą rozpoznawać po tym niemal nieuchwytnym odgłosie kroków, kiedy dozorca schodził do lochów, więc żadnego nie złapał nigdy na gorącym uczynku. Ziemię wydobywaną z nowego podkopu wyrzucali stopniowo i z niesłychaną ostrożnością przez okienka w lochu Dantèsa lub w celi księdza, a wiatr nocny rozwiewał proch daleko, nie zostawiając po nim ni śladu. Praca ta trwała przeszło rok, a posługiwali się jedynie narzędziami, o których już pierwej mówiliśmy: dłutem, nożem i drewnianym drągiem do podważania głazów. Przez ten rok Faria nie przestawał podczas pracy uczyć Dantesa, rozmawiając z nim to w tym, to w innym języku, ucząc historii narodów i ludzi wielkich, którzy zostawiają za sobą ten błyszczący ślad, zwany sławą. Ksiądz, człowiek światowy, obracający się w najwyższych sferach, miał obejście pełne dystynkcji, a zarazem jakiejś majestatycznej melancholii, a Dantès, dzięki swej chłonnej naturze, potrafił sobie przyswoić owe wykwintne maniery, których mu brakowało, ów arystokratyczny sposób bycia, których można nabrać jedynie w obcowaniu z osobami z klas najwyższych lub z ludźmi o wyjątkowych walorach umysłu.

Po piętnastu miesiącach chodnik wiodący pod galerię był gotowy; wyraźnie słychać już było kroki strażnika. Nasi robotnicy, którzy — aby zapewnić sobie jak największe powodzenie w ucieczce — czekali na noc ciemną i bezksiężycową, obawiali się teraz tylko jednej rzeczy: że ziemia zawali się sama, i to zbyt prędko pod stopami strażnika. Zapobiegli więc temu ryzyku, podpierając płytę małą belką, na którą natknęli się w fundamentach. Dantès umocowywał ją właśnie, gdy wtem usłyszał, jak Faria, który został w celi Edmunda, aby zaostrzyć kołek, na którym miała wisieć drabinka, zaczął go rozpaczliwie wzywać do siebie. Dantès wrócił pospiesznie do celi i ujrzał, że ksiądz stoi na środku celi, blady, z czołem pokrytym potem i kurczowo zaciśniętymi dłońmi.

— Ach, mój Boże! — wykrzyknął Dantès. — Co się księdzu dzieje?

— Prędko, prędko, słuchaj mnie — odparł Faria.

Dantès spojrzał na posiniałą twarz Farii, oczy obwiedzione fioletowym cieniem, zbielałe usta, zjeżone włosy i w przerażeniu upuścił na ziemię dłuto.

— Ale co się stało? — zawołał.

— Jestem zgubiony! — wydusił z siebie Faria. — Posłuchaj. Dopada mnie straszliwa choroba, być może nawet śmiertelna, czuję, że właśnie zbliża się atak. Miałem taki sam rok temu. Jedno jest tylko lekarstwo na tę chorobę — powiem ci jakie; biegnij prędko do mojej celi, podnieś nogę od łóżka; noga jest wydrążona i znajdziesz tam kryształową flaszeczkę z czerwonym płynem, przynieś ją tu albo nie, nie... Mogliby mnie tu przyłapać. Pomóż mi wrócić do celi, póki jeszcze mam trochę siły. Bóg wie, co się będzie działo podczas mojego ataku.

Dantès, nie tracąc głowy ani na chwilę, choć nieszczęście było wielkie, zszedł do podkopu, z trudem wlokąc za sobą towarzysza; doprowadził go do przeciwległego otworu, wciągnął do celi i położył na łóżku.

— Dziękuję ci — rzekł ksiądz, dygocząc całym ciałem, jakby wyszedł z lodowatej wody. — Atak jest blisko, wpadnę wkrótce w katalepsję[317]. Być może, że nawet się nie poruszę, nie wydam najmniejszego jęku, ale może się też zdarzyć, że piana pocieknie mi z ust, że będę się prężył i krzyczał. Staraj się, aby nie usłyszano moich krzyków, to ważne, bo wówczas przenieśliby mnie pewnie do innej celi i bylibyśmy rozłączeni na zawsze. Kiedy

[317] *katalepsja* — odrętwienie, zesztywnienie mięśni powodujące zastygnięcie ciała, często w nienaturalnej pozycji; występuje przy niektórych zaburzeniach psychicznych, chorobach mózgu oraz zatruciach. [przypis edytorski]

będę już zupełnie nieruchomy, zimny i jakby martwy, dopiero wtedy, uważaj dobrze, dopiero wtedy otworzysz mi nożem zaciśnięte zęby, wlejesz mi do ust osiem do dziesięciu kropli tego płynu, to może odzyskam przytomność.

— Może? — zawołał z rozpaczą Dantès.

— Ratuj mnie, ratuj — zawołał ksiądz — umie... umie...

Atak był tak nagły i gwałtowny, że nieszczęśliwy ksiądz nie mógł nawet dokończyć rozpoczętych słów; czoło powlekło mu się cieniem, jak wśród morskiej burzy. Cierpienie rozszerzyło mu źrenice, wykrzywiło usta, na lica wystąpił mu krwawy rumieniec; zaczął się rzucać, piana wystąpiła mu na ustach, wydał okropne rzężenie; ale Dantès zgodnie z poleceniem stłumił te krzyki, otulając mu twarz kołdrą. Trwało to dwie godziny; na koniec ksiądz opadł na łóżko bezwładnym ciałem, zimniejszy i bielszy od marmuru, zwiotczały jak zdeptana łodyga trzciny, wyprężył się w ostatnich konwulsjach i posiniał.

Edmund poczekał, aż ta pozorna śmierć zawładnie całym zlodowaciałym ciałem i dosięgnie serca; potem wziął nóż, wsunął go księdzu między zęby, rozwarł z największym wysiłkiem zaciśnięte szczęki, wlał do ust dziesięć kropli czerwonego płynu, odliczając kroplę po kropli, i czekał znowu.

Upłynęła dobra godzina, a starzec nie dawał najmniejszego znaku życia. Dantès, przerażony, czy nie nazbyt długo czekał, wpatrywał się weń, zanurzywszy dłonie we włosy. Na koniec lekki rumieniec zaczął wypływać na twarz księdza; oczy obrócone w słup i nieruchome, zaczęły nabierać wyrazu, lekkie westchnienie wydarło mu się z ust i nagle cały drgnął.

— Ocalony, ocalony! — zawołał Dantès.

Chory nie mógł jeszcze ani słowa wymówić, ale z widocznym niepokojem wyciągnął rękę, wskazując na drzwi; Dantès nadstawił uszu i posłyszał z daleka kroki dozorcy. Nadchodziła siódma, a Dantès nie miał nawet kiedy policzyć czasu, skoczył szybko do otworu, zniknął w jamie, zasunął nad głową płytę posadzki i wrócił do siebie. Sekundę później otwarły się drzwi; dozorca zastał więźnia jak zwykle siedzącego spokojnie na łóżku. Zaledwie się odwrócił, ledwie na korytarzu ucichł odgłos jego kroków, Dantès, nie myśląc nawet o jedzeniu, dręczony niepokojem, wrócił do celi księdza.

Faria odzyskał już przytomność, leżał jednak ciągle nieruchomy i bezsilny na łóżku.

— Nie myślałem, że cię jeszcze zobaczę — rzekł do Edmunda.

— A to czemu? — zapytał młodzieniec. — Czy ksiądz naprawdę myślał, że umrze?

— Nie, ale wszystko gotowe było do ucieczki, myślałem więc, że uciekniesz.

Rumieniec oburzenia pokrył lica Dantèsa.

— Bez księdza! — zawołał. — Czy rzeczywiście ksiądz sądził, że byłbym do tego zdolny?

— Teraz widzę, że się omyliłem — odpowiedział starzec. — Ach, jestem taki jeszcze słaby, złamany, zniszczony!

— Niech ksiądz będzie spokojny, siły powrócą — mówił Dantès, siadając przy Farii i biorąc dłonie księdza w swoje dłonie.

Ksiądz pokiwał głową.

— Ostatnim razem atak trwał tylko pół godziny, po czym poczułem wielki głód i sam o własnej mocy wstałem. Dziś nie mogłem poruszyć ani prawą ręką, ani nogą; czuję jakiś ucisk w głowie, co dowodzi, że mam wylew do mózgu; za trzecim razem albo zostanę zupełnie tknięty paraliżem, albo umrę.

— Nie, nie, niech ksiądz tak nie myśli, nie umrze ksiądz. Trzeci atak, jeżeli przyjdzie rzeczywiście, to nastąpi, gdy ksiądz będzie już wolny; uratujemy księdza jak i tym razem, a nawet ratunek będzie pewniejszy, bo będziemy mieli dostęp do wszystkich środków pomocy.

— Przyjacielu — rzekł Faria. — Nie łudź się daremnie; ten atak skazał mnie już na wieczne więzienie; aby uciec, trzeba móc chodzić.

— Cóż z tego, zaczekamy tu tydzień, miesiąc, dwa miesiące, jeśli trzeba będzie; w ciągu tego czasu siły księdzu powrócą; wszystko jest gotowe do ucieczki, możemy więc wybrać dzień i godzinę, jaka nam się spodoba. Kiedy poczuje ksiądz w sobie tyle siły, aby móc pływać, wtedy doprowadzimy do skutku nasz plan.

— Ja już nie będę mógł nigdy pływać — odparł Faria. — Ta ręka jest sparaliżowana nie na jeden dzień, ale na zawsze; podnieś ją tylko, a zobaczysz, jaka ciężka.

Młodzieniec podniósł ramię księdza, które opadło bezwładnie; z piersi wydobyło mu się westchnienie.

— Czy jesteś teraz przekonany? — rzekł Faria. — Uwierz mi, wiem, co mówię: od pierwszego ataku tej choroby nieustannie o niej rozmyślam. Spodziewałem się jej, bo to dziedziczna choroba; mój ojciec umarł przy trzecim napadzie, dziadek mój także. Lekarz, który mi ten płyn przygotował, sam sławny Cabanis, przepowiedział mi ten sam koniec.

— Lekarz jest w błędzie — zawołał Dantès — a paraliż księdza nie przeszkadza mi; wezmę księdza na plecy i popłynę.

— Dziecko jesteś — rzekł ksiądz. — Jesteś marynarzem i znakomicie pływasz, zdajesz więc sobie doskonale sprawę z tego, że człowiek z takim ciężarem nie potrafiłby przepłynąć i pięćdziesięciu sążni. Nie oszukuj siebie na próżno tymi chimerami[318], bo i tak przeczysz im w głębi serca, choć jesteś najlepszy z ludzi. Zostanę tutaj, aż wybije ostatnia godzina mej niewoli, a będzie nią już tylko godzina śmierci. A ty uciekaj, uciekaj stąd! Jesteś młody, zręczny i silny, nie troszcz się o mnie, zwracam ci słowo.

— Dobrze; kiedy tak, to i ja zostanę — rzekł Dantès.

Powstał i wyciągając uroczyście dłoń nad starcem, rzekł:

— Na krew Chrystusa przysięgam, że nie opuszczę księdza aż do śmierci.

Ksiądz spojrzał przenikliwie na tego młodego człowieka, jakże szlachetnego, prostolinijnego, wzniosłego i wyczytał w jego rysach ożywionych najczystszym oddaniem szczerą przyjaźń i nieugiętą wierność danemu słowu.

— Dobrze — rzekł chory — przyjmuję i dziękuję.

Po czym wyciągnął ku niemu rękę i dodał:

— Może też kiedyś zostaniesz wynagrodzony za to bezinteresowne poświęcenie; ale ponieważ ja nie mogę uciec, a ty nie chcesz, trzeba będzie zasypać tunel pod galerią: któryś żołnierz mógłby usłyszeć, że jego kroki dudnią w tym miejscu, wezwie inspektora, zostaniemy wykryci i rozłączeni na zawsze. Idź i zrób to sam, bo ja ci już nie mogę pomóc; pracuj całą noc, jeśli tego będzie trzeba i wróć dopiero jutro rano po wizycie dozorcy; będę miał ci coś ważnego do powiedzenia.

Dantès uścisnął rękę księdza, który dodał mu uśmiechem otuchy, i wyszedł, okazując posłuszeństwo i szacunek, jakimi przyrzekł darzyć starego przyjaciela.

18. SKARB

Nazajutrz, wchodząc do celi księdza, Edmund zastał go siedzącego na łóżku; z jego twarzy bił spokój. Oświetlony blaskiem promienia, co się przedarł przez wąskie okienko, trzymał w lewej ręce — pamiętamy, że tylko w tej mu jeszcze pozostała władza — rulon papieru, który zwinięty już od dawna, opierał się próbom rozprostowania.

Nic nie mówiąc, Faria podał Edmundowi ów papier.

— Cóż to jest? — spytał Dantès.

— Przypatrz się dobrze — rzekł ksiądz z uśmiechem.

— Patrzę i wpatruję się — rzekł Dantès — i widzę tylko jakiś papier, na pół spalony, na którym wypisane są jakimś dziwnym atramentem gotyckie litery.

— Papier ten, mój przyjacielu, jest — mogę ci to teraz powiedzieć, ponieważ cię wypróbowałem — jest moim skarbem, którego połowa należy od dziś do ciebie.

Zimny pot wystąpił na czoło Dantesa. Aż do tej chwili — a ileż to trwało czasu! — starał się unikać w rozmowie poruszania tematu skarbu, z powodu którego biedny ksiądz zyskał opinię pomyleńca. Posłuszny swojej instynktownej delikatności, wolał nie dotykać tak bolesnej strony. Faria także umilkł. Milczenie księdza młodzieniec wziął za powrót do równowagi umysłowej. Ale tych kilka słów, które wymknęły się Farii po tak silnym ataku, zdawały się wskazywać na niebezpieczny nawrót choroby umysłowej.

— Skarb? — bąknął Dantès.

Faria uśmiechnął się.

— Tak — powiedział. — Masz szlachetne serce, kochany Edmundzie, widzę twoją bladość i drżenie, i rozumiem, co się z tobą w tej chwili dzieje. Ale uspokój się, nie jestem wariatem; ten skarb istnieje, Edmundzie, i jeżeli nie było mi dane go zdobyć,

[318] *chimera* — potwór z mit. gr. o głowie lwa, ciele kozy i ogonie węża; tu przen.: coś nierealnego, urojenie, mrzonka. [przypis edytorski]

ty go zdobędziesz. Nikt mnie nie chciał słuchać i nikt mi nie wierzył, bo mnie miano za wariata; ale ty powinieneś przecież wiedzieć, że tak nie jest, musisz mnie wysłuchać, a potem wierz lub nie, jak ci się spodoba.

— Ach, niestety! — szepnął do siebie Edmund. — Znowu mu gorzej, tylko tego mi brakowało!

Po czym odezwał się głośno:

— Drogi przyjacielu, atak pewnie bardzo cię zmęczył, nie chciałby ksiądz sobie odpocząć? Jutro, jeżeli ksiądz zapragnie, posłucham tej historii; ale dziś chciałbym jedynie czuwać nad księdzem. Zresztą — dorzucił z uśmiechem — czy skarb to dla nas taka pilna sprawa?

— Bardzo pilna, Edmundzie! — odpowiedział Faria. — Kto wie, czy jutro albo pojutrze nie przyjdzie trzeci atak? A wtedy wszystko byłoby stracone... O tak, nieraz z gorzką przyjemnością rozmyślałem o tych skarbach, z których dałoby się uczynić fortuny dla dziesięciu rodzin, straconych na wieki dla tych, co mnie prześladowali; ta myśl była dla mnie rodzajem zemsty, delektowałem się nią w mroku mojej celi, w rozpaczy niewoli. Ale teraz przebaczyłem światu przez miłość dla ciebie; teraz, gdy widzę, jaki jesteś młody, ile budzisz nadziei, teraz, gdy pomyślę, ile szczęścia mógłbyś zyskać, gdy wyjawię ci tę tajemnicę, drżę, że będzie za późno, że nie zdążę uczynić cię posiadaczem tych ogromnych bogactw, a jesteś tego naprawdę godny.

Edmund z westchnieniem odwrócił głowę.

— Nie wierzysz mi nadal, Edmundzie — mówił Faria. — Czy ton mojego głosu cię nie przekonał? Widzę, że potrzebujesz dowodów. Cóż, przeczytaj tę kartkę, jeszcze nigdy nikomu jej nie pokazywałem.

— Jutro, przyjacielu — rzekł Edmund, który nie miał ochoty poddać się szaleństwu księdza. — Myślałem, że się ksiądz zgodził, abyśmy rozmowę o tym odłożyli do jutra.

— Dobrze, porozmawiamy jutro, ale dziś przeczytaj tę kartkę.

„Nie trzeba go drażnić" — pomyślał Dantes.

I wziął kartkę, połowy której — być może spalonej — brakowało, i czytał:

drogich kamieniach, diamentach, klejnotach, i że tylko ja
wynoszącego około dwóch milion
znajdzie go, wyważywszy dwudziestą ska
zatoczki na wschodnim
tych wykonano dwa otwo
w kącie najodleglej

— I co? — rzekł Faria, widząc, że młodzieniec skończył czytać.

— Ależ nic tu nie widzę, prócz kilku urwanych zdań, słów bez związku; pismo jest zupełnie niezrozumiałe przez to, że ogień spalił resztę.

— Tylko dla ciebie, bo czytasz to po raz pierwszy, ale nie dla mnie, bo niejedną noc, pobladły, wysilałem oczy nad tym świstkiem, rekonstruując każde zdanie i uzupełniając każdą myśl.

— Sądzi więc ksiądz, że odgadł sens tych nieczytelnych zdań?

— Jestem tego pewien, sam zresztą osądzisz; ale najpierw wysłuchaj, jakim sposobem ten papier dostał się do mnie.

— Cicho! — zawołał Dantès. — Słychać kroki; ktoś idzie. Odchodzę, do widzenia.

I kontent, że się uwolnił od wyjaśnień dotyczących dokumentu, które niezawodnie utwierdziłyby w przekonaniu o szaleństwie przyjaciela, wśliznął się jak wąż w wąski otwór; Faria zaś, któremu przerażenie zwróciło nieco sił, pchnął nogą płytę i nakrył ją matą, aby zasłonić szczelinę, której nie miał już czasu zasypać.

Komendant, dowiedziawszy się o chorobie Farii, przyszedł właśnie, aby przekonać się, czy była ona poważna. Faria przyjął go na siedząco, unikał wszelkich gestów, które mogłyby go zdradzić i zdołał zataić przed komendantem, że jedną połowę ciała miał sparaliżowaną. Lękał się tylko, żeby komendant, zdjęty litością, nie chciał go przenieść do innego, zdrowszego pomieszczenia i nie rozłączył z towarzyszem. Szczęściem stało się inaczej; komendant odszedł w przekonaniu, że biedny wariat, którego darzył pewną sympatią, cierpi z powodu jakiejś lekkiej niedyspozycji.

Przez ten czas Edmund, siedząc na łóżku i ściskając głowę dłońmi, starał się zebrać myśli. Faria wydawał mu się od chwili, gdy go poznał, tak wybitnym, rozumnym i logicznie myślącym człowiekiem, że nie był w stanie zrozumieć, jak ta głęboka mądrość mogła połączyć się u niego z szaleństwem, i to tylko w jednym punkcie. Czy to Faria był w błędzie co do swoich bogactw, czy też wszyscy mylili się co do Farii?

Dantès przesiedział tak cały dzień u siebie, nie mając odwagi pójść do przyjaciela. Pragnął jak najdalej odsunąć od siebie chwilę, w której miał się przekonać o chorobie umysłowej księdza. Taka pewność byłaby dlań okropna.

Ale pod wieczór, po czasie zwykłego obchodu, Faria, nie mogąc doczekać się młodzieńca, sam postanowił udać się do niego. Edmund zadrżał, usłyszawszy bolesne jęki starca, który usiłował przeczołgać się przez podkop, choć miał sparaliżowaną nogę i bezwładną rękę. Edmund musiał go wciągnąć do siebie, bo starzec nigdy nie zdołałby przedostać się przez wąski wylot tunelu.

— Widzisz, że nielitościwie zaparłem się na ciebie — rzekł ksiądz z uśmiechem promieniejącym życzliwością. — Myślałeś, że uda ci się uciec przed moją wspaniałomyślnością — nic z tego. Słuchaj więc.

Edmund zrozumiał, że nie mógł się już wycofać; posadził starca na swoim łóżku, a sam usiadł przy nim na stołku.

— Wiesz, że byłem sekretarzem — zaczął ksiądz — domownikiem i przyjacielem kardynała Spady, ostatniego z książąt tego imienia. Temu szlachetnemu panu zawdzięczam wszystkie chwile szczęścia w tym życiu. Nie był bogaty, chociaż bogactwa jego rodziny stały się przysłowiowe: *bogaty jak Spada*, często słyszałem, jak tak mówiono. On jednak, jak głosi plotka, żył z rozgłosu o swojej zamożności. Jego pałac był dla mnie rajem. Uczyłem jego siostrzeńców, którzy pomarli, a gdy pozostał sam na świecie, zwróciłem mu poprzez całkowite poddanie się jego woli to, com otrzymywał od niego przez lat dziesięć.

Dom hrabiego Spady nie miał dla mnie wkrótce żadnych tajemnic; widziałem nieraz, jak eminencja grzebał w starych księgach i chciwie szperał w familijnych dokumentach. Pewnego razu, gdy wyrzucałem mu bezsenne noce, jakie spędzał na tej pracy, po której wpadał w coś w rodzaju przygnębienia, spojrzał na mnie z uśmiechem pełnym goryczy i otworzył przede mną księgę — była to historia Rzymu. I tam, w dwudziestym rozdziale *Żywotu papieża Aleksandra VI* był fragment, którego nigdy nie mogłem zapomnieć.

Wielkie wojny w Romanii zakończyły się. Cezar Borgia, po dokonaniu podbojów, potrzebował pieniędzy, aby kupić sobie całą Italię; papież potrzebował także pieniędzy dla rozprawienia się ostatecznie z Ludwikiem XII[319], królem Francji, groźnym jeszcze pomimo ostatnich niepowodzeń. Można było zatem przeprowadzić znakomitą spekulację[320], ale było to trudne do wykonania w biednej, wyczerpanej Italii.

Jego Świątobliwość[321] wpadł na pomysł. Postanowił mianować dwóch kardynałów.

Wybór dwóch Rzymian, przede wszystkim zaś bogatych, był dla Ojca Świętego doskonałym interesem; po pierwsze, mógł sprzedać dawne urzędy i dostojeństwa, które ci kardynałowie dotąd piastowali, po drugie, mógł liczyć na znakomitą sumkę za sprzedaż tych dwóch kapeluszy[322].

Najpierw zatem Aleksander i Borgia wynaleźli dwóch kandydatów na kardynałów: Giovanniego Rospigliosiego, który i tak łączył cztery najwyższe godności w stolicy apostolskiej, i Cezara Spadę, szlachcica z jednej z najbardziej arystokratycznych rodzin i najbogatszego Rzymianina. Obaj dobrze wyczuwali, że będą musieli zapłacić dużą cenę za papieską łaskę. Ale byli ambitni. Wkrótce Cezar znalazł też nabywców na ich dawne tytuły.

---

[319] *Ludwik XII* (1462–1515) — książę Orleanu, od 1498 król Francji, następca Karola VIII; prowadząc zaborcze wojny na Płw. Apenińskim, próbował opanować ze zmiennym szczęściem m.in. Księstwo Mediolanu, Królestwo Neapolu, Genuę i posiadłości Republiki Weneckiej. [przypis edytorski]

[320] *spekulacja* — transakcja kupna-sprzedaży zorientowana na szybki i pokaźny zysk, obarczona dużym ryzykiem. [przypis edytorski]

[321] *Jego Świątobliwość* — papież. [przypis edytorski]

[322] *kapelusz kardynalski* — kapelusz z szerokim rondem i ozdobnymi sznurami noszony przez kardynałów; tu przen.: godność kardynała. [przypis edytorski]

W rezultacie Rospigliosi i Spada zapłacili za kapelusze, a ośmiu innych za wakujące po nich urzędy. Tym sposobem w kufrach naszych spekulantów znalazło się osiemset tysięcy dukatów.

Przejdźmy do ostatniej części spekulacji — bo już do tego dotarliśmy.

Papież okazał Rospigliosiemu i Spadzie najwyższą życzliwość, powierzył im insygnia[323] kardynalskie i pewny, że chcąc spłacić dług wdzięczności, musieli spieniężyć i zgromadzić cały swój majątek, aby zamieszkać w Rzymie — zaprosił ich razem z Borgią na ucztę.

Z tego powodu wynikł nawet spór między Ojcem Świętym i jego synem; Cezar chciał bowiem użyć jednego ze środków, które miał zawsze w pogotowiu: najpierw był to słynny klucz, który wręczano upatrzonym osobom z prośbą, aby otworzyły pewną szafę. Klucz ten posiadał malutki kolec — ot, niedbałość rzemieślnika. Kiedy naciskało się mocniej klucz, aby sforsować oporny zamek, kaleczyło się dłoń tym kolcem, a nazajutrz umierało. Istniał także pierścień z głową lwa, który Cezar nakładał wówczas, gdy pragnął uścisnąć określoną dłoń. Lew kąsał skórę owych wybranych rąk, a jego ugryzienie prowadziło po upływie doby do śmierci.

Na taką propozycję Aleksander VI odparł:

— Nie szczędźmy niczego na obiad takim znakomitym gościom. Mówi mi coś, że te wydatki do nas powrócą. Poza tym zapominasz, że niestrawność pojawia się natychmiast, a ukłucie lub ugryzienie owocują dopiero po dwóch dniach.

Oto dlaczego kardynałowie zostali zaproszeni na ucztę.

Uczta została przygotowana w willi, znajdującej się blisko kościoła Świętego Piotra w Okowach[324]: była to urokliwa posiadłość, znana kardynałom bardzo dobrze ze słyszenia.

Rospigliosi, odurzony swoją nową godnością, gotował na ucztę żołądek i jak najlepsze usposobienie; Spada zaś, człowiek przezorny, kochający wyłącznie swojego siostrzeńca, młodego kapitana, który rokował znakomite nadzieje, wziął papier, pióro i napisał testament. Kazał powiedzieć siostrzeńcowi, aby go oczekiwał niedaleko willi; ale zdaje się, że służący go nie zastał.

Spada znał dobrze obyczaj zaprosin. Odkąd chrześcijaństwo wniosło swój wkład w rozwój cywilizacji w Rzymie, zamiast centuriona[325] pojawiającego się na polecenie tyrana, aby rzec „Cesarz pragnie, abyś umarł", przybywał legat[326], który z promiennym uśmiechem oznajmiał ci polecenie papieża: „Jego Świątobliwość pragnie, abyś przybył do niego na ucztę".

Około drugiej Spada udał się do papieskiej willi; Aleksander już tam na niego czekał. Pierwsza twarz, jaką tam ujrzał, była wdzięcznym obliczem siostrzeńca; Cezar Borgia zasypywał go uprzejmościami. Spada zbladł, a Cezar, rzuciwszy nań wzrokiem pełnym ironii, dał poznać po sobie, że wszystko przewidział i że pułapka jest dobrze zastawiona.

Rozpoczął się obiad. Spada mógł jedynie zapytać siostrzeńca: „Czyś odebrał wiadomość ode mnie?". Siostrzeniec odpowiedział, że nie i zrozumiał doskonale doniosłość tego pytania. Ale już było za późno; właśnie wypił kielich doskonałego wina, które papieski szafarz[327] mu oddzielnie przygotował. W tejże chwili Spada spostrzegł inną butelkę, z której napełniono mu aż nazbyt szczodrze kielich. W godzinę później lekarz oświadczył, że obaj zatruli się smardzami[328]. Spada umarł na progu willi, siostrzeniec w drzwiach własnego domu, dając żonie jakieś znaki, których zrozumieć nie była w stanie.

Cezar wraz z papieżem rzucili się natychmiast na spadek pod pozorem odszukania papierów po zmarłych. Ale spadek składał się z kawałka papieru, na którym Spada napisał:

[323] *insygnia* (z łac.) — symbole władzy, np. korona albo pastorał. [przypis edytorski]

[324] *kościół Świętego Piotra w Okowach* — świątynia znajdująca się w Rzymie; popadła w ruinie w okresie niewoli awiniońskiej papieży, a jej renowację rozpoczęto w XV w. [przypis edytorski]

[325] *centurion* — w staroż. rzym. armii: dowódca centurii, tj. oddziału złożonego ze stu żołnierzy. [przypis edytorski]

[326] *legat* — tu: wysłannik papieża. [przypis edytorski]

[327] *szafarz* — urzędnik dworski, odpowiedzialny za dostarczanie produktów żywnościowych. [przypis edytorski]

[328] *smardz* — gatunek grzybów należący do rodziny smardzowatych. Jest to grzyb jadalny, można go jednak łatwo pomylić z *piestrzenicą kasztanowatą*, która jest trująca. [przypis edytorski]

Darowuję mojemu najukochańszemu siostrzeńcowi kufry i książki, pomiędzy którymi jest i piękny brewiarz[329] ze złoconymi rogami, pragnąc, aby zatrzymał go na pamiątkę po kochającym stryju.

Spadkobiercy szukali wszędzie, podziwiali brewiarz, rozszabrowali[330] sprzęty, ale przy tym dziwili się mocno, że Spada, człowiek tak bogaty, był w rzeczywistości takim nędzarzem; żadnych, ale to żadnych skarbów — poza skarbami wiedzy zawartymi w bibliotece i pracowniach.

I to wszystko! Cezar i jego ojciec szukali, szperali, szpiegowali i nic nie znaleźli, a raczej bardzo mało. Kosztowności warte może z jakie tysiąc dukatów, tyle samo w gotówce. Siostrzeniec jednak, wróciwszy do domu, miał jeszcze siłę powiedzieć do żony: „Szukaj pomiędzy papierami mojego stryja, prawdziwy testament istnieje".

Szukali z większą nawet energią niż sami dostojni spadkobiercy, jednak nie znaleźli nic. Pozostały tylko dwa pałace i jedna willa; w owej epoce nieruchomości miały nadzwyczaj mizerną wartość; pałace i willę, niegodne pobudzić drapieżnych instynktów w papieżu i jego synu, pozostawiono rodzinie.

Minęły miesiące i lata. Aleksander umarł otruty; wiesz, z powodu jakiej pomyłki; Cezar, otruty w tym samym czasie, wyszedł z tego, zrzucił tylko skórę jak wąż i włożył nową, na której trucizna pozostawiła plamy podobne do tych, które widać na futrze tygrysa; na koniec, zmuszony do opuszczenia Rzymu, dał się zabić w jakiejś tajemniczej bójce nocnej i historia niemal już o nim zapomniała.

Po śmierci Aleksandra i wygnaniu Cezara spodziewano się, że rodzina kardynała Spady na nowo zacznie wieść książęcy tryb życia, jaki prowadziła za czasów kardynała; ale tak się nie stało: Spadowie nadal żyli w wątpliwej zamożności; wieczna tajemnica okryła tę ciemną sprawę; plotka głosiła, że Cezar, zręczniejszy gracz od swego ojca, zabrał mu majątek obu kardynałów, mówię obu, bo kardynał Rospigliosi, który się zupełnie nie zabezpieczył, został obdarty do szczętu.

— No, spodziewam się — przerwał Faria z uśmiechem — że dotąd ta historia nie wydaje ci się jakąś bzdurą?

— Ach, nie, przyjacielu, zdaje mi się, że czytam interesującą kronikę! Mów dalej, proszę.

— Dobrze.

Rodzina Spadów oswoiła się wreszcie z tym skromnym życiem. Upłynęło wiele lat. Niektórzy z potomków byli żołnierzami, drudzy dyplomatami; inni duchownymi, jeszcze inni bankierami; jedni zdobyli fortunę, inni doszli do zupełnej ruiny. Przejdę teraz do ostatniego z nich, hrabiego Spady. Słyszałem nieraz jego skargi na dysproporcję, jaka zachodziła między jego majątkiem a pozycją; poradziłem mu więc, aby resztę pozostałego majątku umieścił na dożywotnią rentę. Usłuchał mojej rady i jego dochody się podwoiły.

Sławny brewiarz pozostał w rodzinie i posiadał go teraz właśnie hrabia; przekazywano go z ojca na syna, bo dziwna klauzula w testamencie sprawiła, że uważano go za prawdziwą relikwię i otaczano zabobonnym szacunkiem. Była to księga iluminowana najpiękniejszymi gotyckimi motywami, a tak grubo pozłacana, że w dzień uroczystości nosił ją zazwyczaj przed kardynałem pokojowiec.

Na widok rozmaitych papierów, dokumentów, kontraktów, pergaminów, przechowywanych w archiwum familijnym, a należących niegdyś do otrutego kardynała, wziąłem się i ja z kolei, jak przede mną dwudziestu służących, dwudziestu intendentów[331], dwudziestu sekretarzy, do wertowania tych ogromnych foliałów[332]. Pomimo największej sumienności i energii, z jaką prowadziłem te poszukiwania, nic znaleźć nie mogłem. Ale poznałem, a nawet napisałem szczegółową historię rodziny Borgia w tym jedynie celu, by się upewnić, czy w chwili śmierci kardynała majątek Borgiów się nie powiększył; ale

[329] *brewiarz* — książka zawierająca modlitwy i czytania dla duchownych na każdy dzień tygodnia. [przypis edytorski]

[330] *szabrować* — kraść przedmioty pozostawione przez właściciela w wyniku wojny, śmierci, klęski żywiołowej itd. [przypis edytorski]

[331] *intendent* — pracownik administracyjny zajmujący się zaopatrzeniem i innymi sprawami gospodarczymi. [przypis edytorski]

[332] *foliał* — książka formatu *folio* (wielkości połowy arkusza); ogólnie: wielka, gruba księga. [przypis edytorski]

zauważyłem, że ich fortuna wzrosła jedynie o dobra kardynała Rospigliosiego, towarzysza niedoli kardynała Spady. Byłem więc niemal pewny, że ani Borgiowie, ani rodzina zmarłego nie skorzystała z tego spadku — pozostał on bez pana, jak owe skarby z baśni arabskich, drzemiące w głębi ziemi pod opieką jakiegoś geniusza. Szukałem, liczyłem po tysiąc razy dochody i wydatki rodziny na przestrzeni trzech wieków — wszystko na próżno; trwałem w niewiedzy, a hrabia Spada w ubóstwie.

Opiekun mój umarł. Sprzedając swoje dobra na rentę, oddzielił od nich papiery rodzinne, bibliotekę złożoną z pięciu tysięcy tomów i ów słynny brewiarz. Zapisał mi to wszystko oraz tysiąc dukatów rzymskich, pod warunkiem że co rok będę dawał na mszę za jego duszę, że stworzę drzewo genealogiczne i kronikę jego rodu; wykonałem to jak najdokładniej...

Nie obawiaj się, kochany Edmundzie, zbliżamy się już do końca.

W 1807 roku, na miesiąc przed osadzeniem mnie w areszcie, a dwa tygodnie po śmierci Spady, dwudziestego piątego grudnia (dowiesz się zaraz, skąd ta data tak mocno utkwiła mi w pamięci), odczytywałem może już po raz setny papiery, które porządkowałem; bo pałac należał już do jakiegoś cudzoziemca, a ja miałem zamiar wyjechać do Florencji. Chciałem tam zabrać ze sobą dwanaście tysięcy liwrów, jakie posiadałem, bibliotekę i słynny brewiarz. Zmęczyłem się bardzo tą pracą, cokolwiek ociężały po obfitym obiedzie, oparłem głowę na rękach i zasnąłem; była trzecia po południu.

Obudziłem się, kiedy wskazówka wskazywała szóstą.

Podniosłem głowę: otaczała mnie ciemność. Zadzwoniłem, aby przyniesiono mi światło; nikt nie przyszedł. Postanowiłem więc obsłużyć się sam. W jednej ręce trzymałem przygotowaną świecę, drugą szukałem papieru, który można by było zapalić od dogorywającego już płomienia na kominku — bo pudełko od zapałek, jak się przekonałem, było puste. Lękałem się jednak, aby w ciemnościach nie wziąć jakiegoś ważnego dokumentu, wahałem się przez chwilę, aż przypomniałem sobie, że widziałem w leżącym na stole brewiarzu jakiś stary, całkiem pożółkły karteluszek, który służył chyba za zakładkę, i przetrwał wieki w tym samym miejscu — dzięki respektowi, jaki żywili spadkobiercy do pamiątki po zmarłym. Po omacku odszukałem ten niepotrzebny papier; zwinąłem go i przytykając do gasnącego płomienia, zapaliłem.

I nagle pod palcami, w magiczny jakiś sposób, zaczęły mi się pojawiać — w miarę jak ogień ogarniał kartkę — żółtawe litery. Zdjął mnie strach; zmiąłem papier w ręku, zgasiłem ogień i zapaliłem świecę wprost od ognia; z niewypowiedzianym wzruszeniem rozprostowałem na powrót kartkę i zrozumiałem, że nakreślono te litery jakimś tajemniczym atramentem sympatycznym[333], który pojawił się na papierze pod działaniem dużej temperatury; ogień strawił blisko jedną trzecią kartki. To ta sama, którąś dzisiaj rano czytał. Odczytaj to, Edmundzie, jeszcze raz, a jak skończysz, dopełnię te przerwane zdania i wyjaśnię ci ich znaczenie.

I Faria podał z triumfem w oczach ów karteluszek Dantèsowi, który odczytał tym razem chciwie następujące wyrazy wypisane atramentem podobnym do koloru rdzy.

Dnia dzisiejszego, to jest 25 kwietnia 1498 roku, otrz
Aleksandra VI, lękając się, aby —
nie zapragnął jeszcze odziedziczyć po mnie fortuny
i Bentivoglia, którzy zmarli otruci,
jedynemu mojemu spadkobiercy, żem zak
bo byliśmy tam razem, to jest
wysepce Monte Christo, wszystko, co pos
drogich kamieniach, diamentach, klejnotach; i że tylko ja
wynoszącego około dwóch milion
znajdzie go, wyważywszy dwudziestą ska
zatoczki na wschodnim
tych wykonano dwa otwo
w kącie najodleglej
leguję mu jako prawowitemu właśc

[333] *atrament sympatyczny* — substancja używana do ukrywania napisanej wiadomości: bezbarwna po zaschnięciu, widoczna po podgrzaniu lub użyciu odpowiedniego środka chemicznego. [przypis edytorski]

25 kwietnia 1498 r.
Cez

— Teraz przeczytaj ten drugi papier.
I podał Dantèsowi inną kartkę.
I Dantès przeczytał następujące słowa:

mawszy zaproszenie na obiad do
nie chcąc poprzestać na tym, żem mu zapłacił za kapelusz kardynalski —
Jego Świątobliwość
i nie zgotował mi losu, jaki spotkał kardynałów Caprarę
oświadczam memu siostrzeńcowi Guidowi Spadzie,
opał w miejscu, które zna,
w grotach położonych
iadałem w sztabach złota, złotych monetach
wiem o egzystencji tego skarbu
ów dukatów rzymskich; a
łę, licząc w prostej linii od małej
brzegu wyspy. W grotach
ry; skarb jest ukryty
szym od drugiego otworu; skarb ten
icielowi i jako memu jedynemu spadkobiercy,
ar Spada

— No — rzekł, spostrzegłszy, że Dantès już dotarł do ostatniego wiersza. — Przyłóż do siebie te dwa urywki, porównaj i sam osądź.

Dantès zrobił, jak mu kazano: urywki zestawione ze sobą dały następującą treść:

Dnia dzisiejszego, to jest 25 kwietnia 1498 roku, otrzymawszy zaproszenie na obiad do Aleksandra VI, lękając się, aby — nie chcąc poprzestać na tym, żem mu zapłacił za kapelusz kardynalski — Jego Świątobliwość nie zapragnął jeszcze odziedziczyć po mnie fortuny i nie zgotował mi losu, jaki spotkał kardynałów Caprarę i Bentivoglia, którzy zmarli otruci, oświadczam memu siostrzeńcowi Guidowi Spadzie, jedynemu mojemu spadkobiercy, żem zakopał w miejscu, które zna, bo byliśmy tam razem, to jest w grotach położonych na małej wysepce Monte Christo, wszystko, co posiadałem w sztabach złota, złotych monetach, drogich kamieniach, diamentach, klejnotach; i że tylko ja wiem o egzystencji tego skarbu wynoszącego około dwóch milionów dukatów rzymskich; a znajdzie go, wyważywszy dwudziestą skałę, licząc w prostej linii od małej zatoczki na wschodnim brzegu wyspy. W grotach tych wykonano dwa otwory; skarb jest ukryty w kącie najodleglejszym od drugiego otworu; skarb ten leguję[334] mu jako prawowitemu właścicielowi i jako memu jedynemu spadkobiercy.

25 kwietnia 1498 r.

Cezar Spada

— I co, rozumiesz wreszcie? — spytał Faria.

— I to jest właśnie oświadczenie kardynała Spady i testament, którego tak długo poszukiwano? — rzekł Edmund z akcentem niedowierzania.

— A tak; tysiąc razy tak.

— Któż to uzupełnił?

— Naturalnie ja, dzięki ocalałemu fragmentowi odgadłem całą resztę, obliczając długość wierszy na podstawie rozmiarów papieru, doszedłem do ukrytego sensu za pomocą

[334] *legować* (daw.) — zapisywać w testamencie. [przypis edytorski]

znaczenia urwanych zdań, podobnie, jak kierujemy się w wędrówce po podziemiach nikłym światełkiem padającym z góry.

— Cóż ksiądz zrobił, kiedy już się o tym wszystkim upewnił?

— Chciałem tam pojechać i nawet wyruszyłem w podróż, zabierając ze sobą początek mej pracy o jedności państwa włoskiego, ale policja cesarska, która w tych czasach, zanim Napoleon zmienił zdanie po narodzinach jego syna, trwała przy przekonaniu o konieczności podziału na prowincje, nie spuszczała mnie wtedy z oka. Nagły mój wyjazd, którego przyczyny nie była w stanie odgadnąć, obudził podejrzenia i w chwili gdy wsiadałem w Piombino[335] na statek, zostałem aresztowany. Teraz — dodał Faria, wpatrując się w Dantèsa z niemal ojcowską czułością — teraz, kochany chłopcze, wiesz wszystko, wiesz tyle, co i ja. Gdyby nam się udało uciec razem, połowa tego majątku będzie twoja, jeżeli zaś umrę, a ty się ocalisz, będzie należał do ciebie w całości.

— Ale — zawahał się Dantès — czy ten skarb nie ma żadnego prawowitego właściciela?

— Nie, zaręczam ci; ród ten wygasł zupełnie. I przecież ostatni potomek Spadów uczynił mnie swoim spadkobiercą; kiedy mi zapisał ten symboliczny brewiarz, tym samym zapisał mi i wszystko, co się w nim znajduje. Powtarzam ci, nie obawiaj się, jeżeli tylko dostaniemy się do tego skarbu, będziemy mogli używać go bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

— Mówi ksiądz, że skarb ten zawiera...

— Dwa miliony rzymskich dukatów, czyli mniej więcej trzysta milionów w naszej walucie.

— To niemożliwe! — zawołał Dantès, przerażony ogromem sumy.

— Niemożliwe! A czemuż to? — odpowiedział Faria. — Ród Spadów był w XV wieku jednym z najbogatszych i najznakomitszych rodzin. Zresztą w owych czasach, kiedy nie znano wcale ani przemysłu, ani żadnych spekulacji, nierzadko gromadzono majątek w sztabach złota i klejnotach. Dziś jeszcze zdarzają się rodziny rzymskie, co umierają z głodu, choć mają klejnoty i drogie kamienie o wartości nieraz i do miliona, których nie mogą tknąć, bo należą one do majoratu[336].

Edmundowi zdawało się, że jest we śnie; wahał się pomiędzy niewiarą a radością.

— Utrzymywałem przed tobą tajemnicę tak długo — mówił dalej Faria — bo chciałem cię wypróbować, a poza tym chciałem ci sprawić niespodziankę. Gdybyśmy byli umknęli przed moim napadem katalepsji, byłbym cię zawiózł na Monte Christo, dziś — dodał z westchnieniem — to ty mnie tam zawieziesz. No i jakże to, Edmundzie, nie dziękujesz mi?

— Przyjacielu — rzekł Dantès. — Ten skarb nie należy do mnie, jest wyłącznie twoją własnością, nie mam doń żadnego prawa, nie jestem żadnym krewnym księdza.

— Jesteś moim synem, Edmundzie! — zawołał Faria. — Jesteś dzieckiem, które mi się zrodziło w więzieniu. Stan mój skazał mnie na celibat, a Bóg zesłał cię tu do mnie, abyś był zarazem pociechą dla mężczyzny, który nie mógł być ojcem, i więźnia, który nie mógł być człowiekiem wolnym.

Faria wyciągnął zdrową jeszcze rękę do młodzieńca, a ten ze szlochem rzucił mu się na szyję.

19. TRZECI ATAK

Teraz zatem ów skarb, co był tak długo przedmiotem wszystkich myśli księdza, mógł zapewnić szczęście temu, którego Faria pokochał jak syna: nabierał więc w jego oczach podwójnej wartości. Co dzień mówił tylko o tym, ile dobrego dzięki sumie trzystu milionów można by w naszych czasach uczynić dla przyjaciół; ale wówczas Dantès pochmurniał, przypominał sobie bowiem przysięgę zemsty; i zaczynał myśleć tylko o tym, ile zła swoim wrogom mógłby wyrządzić człowiek posiadający trzysta milionów.

Ksiądz nie znał wyspy Monte Christo, ale Dantes znał ją dobrze: często przepływał koło tej wysepki położonej dwadzieścia pięć mil od Pianosy, między Korsyką a Elbą, raz nawet zarzucili przy niej kotwicę. Wyspa ta była i jest nadal zupełnie bezludna; jest to

[335] *Piombino* — miejscowość w zach. Włoszech, w regionie Toskania. [przypis edytorski]

[336] *majorat* — zasada, wedle której majątek dziedziczy najstarszy syn. [przypis edytorski]

skała niemal w kształcie stożka, którą jakiś wybuch wulkaniczny wypchnął z głębi mórz na powierzchnię. Dantès narysował Farii plan wyspy, a Faria radził Dantèsowi, w jaki sposób powinien postępować, aby odnaleźć skarb.

Dantès jednak był daleki od entuzjazmu księdza, a zwłaszcza od jego ufności. Wprawdzie nie wątpił już bynajmniej, że Faria nie cierpiał na chorobę umysłową, a sposób, w jaki doszedł do swego odkrycia, które rzuciło nań cień szaleństwa, wzmógł tylko podziw Edmunda; ale nawet założywszy, że ów skarb istniał, Edmund nie mógł uwierzyć, że przetrwał tam do tej pory.

Tymczasem, tak jakby los chciał odebrać więźniom ostatnią nadzieję i dowieść im, że są skazani na wieczną niewolę, dosięgło ich nowe nieszczęście. Wyremontowano bowiem galerię od strony morza, która od dawna groziła zawaleniem; ponaprawiano przypory i zatkano ogromnymi głazami jamę, którą Dantès zdążył do połowy zasypać; gdyby nie to zabezpieczenie, do którego — jak sobie przypominamy — skłonił Dantesa ksiądz, spotkałoby ich daleko większe nieszczęście: odkryto by ich zamiar ucieczki i rozłączono więźniów na zawsze; nowe zatem drzwi, mocniejsze i trudniejsze do pokonania, zatrzasnęły się przed nimi.

— Widzi ksiądz teraz — mówił Edmund z łagodnym smutkiem do Farii — że Bóg nie chce mi nawet przyznać tej zasługi, którą ty nazywasz poświęceniem. Przyrzekłem ci, że nigdy księdza nie zostawię, a teraz nie mógłbym nawet nie dotrzymać tej obietnicy; nie dostanę się do tego skarbu podobnie jak ksiądz, bo żaden z nas stąd nie wyjdzie. Zresztą moim prawdziwym skarbem, przyjacielu, jest nie ten, który tkwi w posępnych skałach Monte Christo, ale obecność księdza, przebywanie z księdzem przez pięć lub sześć godzin dziennie, pomimo czujności naszych dozorców, i ten promień mądrości, którym ksiądz oświecił mój umysł, języki, które ksiądz mi zaszczepił, nauki, które ksiądz uczynił mi tak łatwymi dzięki jasności zasad, do jakich je sprowadziłeś; to jest mój skarb, najdroższy przyjacielu, to jest bogactwo, którym mnie uszczęśliwiłeś. Niech mi ksiądz wierzy i przestanie się dręczyć: więcej to dla mnie znaczy od beczek złota i szkatuł pełnych klejnotów. Być z księdzem, ile tylko można najdłużej, słuchać księdza i doskonalić się dzięki jego mądrym słowom, hartować duszę, przygotowywać całe moje ja do wielkich i strasznych zadań, abym mógł je wypełnić (jeśli wyjdę stąd kiedyś) tak dobrze, żeby rozpacz, za której głosem byłem już gotów pójść, nim poznałem księdza, nie miała już do mnie przystępu. Oto moja własna fortuna. I ta na pewno nie jest tylko chimerą; ksiądz dał mi w ten sposób prawdziwy skarb i żaden władca na ziemi, choćby był podobny do Cezara Borgii, nie potrafiłby mi go wydrzeć.

Kolejne dni, jeżeli nie były dla nich szczęśliwe, to przynajmniej mijały dość szybko. Faria, który przez tyle lat milczał o skarbie, dziś przy każdej okoliczności naprowadzał na ten temat rozmowę. Jak przewidywał, prawą rękę i lewą nogę miał zupełnie sparaliżowane — i nie miał już nadziei, że odzyska w nich kiedyś władzę. Rozmyślał teraz już tylko o swym młodym towarzyszu, o jego ucieczce, o jego przyszłości i cieszył się tym ze względu na niego. Z obawy, żeby testament nie zginął kiedyś lub nie został zniszczony, kazał Dantèsowi nauczyć się go na pamięć. Następnie zniszczył drugą część pisma w przekonaniu, że choćby ktoś znalazł pierwszą, nie będzie w stanie odgadnąć jej sensu. Czasem całe godziny schodziły Farii na udzielaniu Edmundowi wskazówek, które mogły mu się przydać po ucieczce. Od dnia, w którym odzyska wolność, od tej godziny, od tej chwili, jedna tylko myśl miała go zajmować: dostać się na Monte Christo, pozostać tam samemu pod jakimś pretekstem niebudzącym podejrzeń, a skoro już będzie tam sam jeden — odszukać tajemnicze groty i przeszukać wskazane w testamencie miejsce.

Tak upływały godziny — dosyć znośnie, chociaż nie bardzo szybko. Faria nie odzyskał władzy w ręce i nodze, ale wróciła mu zupełnie dawna przenikliwość umysłu i powoli wdrażał Dantèsa w ów pełen cierpliwości i wyrafinowany zawód więźnia, który pozwala zrobić coś z niczego. Stale więc się czymś zajmowali: Faria, obawiając się starczej inercji, Dantès, aby stłumić niemal wygasłe wspomnienia przeszłości, które błąkały się w jego pamięci niby odległe światełka zagubione w ciemności.

Pomimo tego pozornego spokoju, ile powstrzymywanych porywów i westchnień stłumionych taiło się w sercach obu więźniów! Ujawniały się jedynie wtedy, gdy Faria zostawał sam, a Dantès wracał do swej celi.

Pewnej nocy Edmund nagle zerwał się ze snu, bo mu się wydało, że go ktoś woła.

Otworzył oczy i usiłował przebić wzrokiem gęste ciemności.

Usłyszał nie tyle swoje imię, co jakiś rozpaczliwy głos, który usiłował wyartykułować jego imię. Uniósł się na łóżku, z przerażenia oblał go zimny pot; jął nasłuchiwać. Nie było wątpliwości, jęki pochodziły z celi jego towarzysza.

— Wielki Boże — wyszeptał Edmund. — Czyżby to...

Odsunął łóżko, odwalił głaz, wczołgał się do tunelu; gdy dotarł do końca, płyta była podniesiona. W świetle nieforemnej lampy, którą już opisywaliśmy, Edmund ujrzał starca: stał blady, czepiając się palcami poręczy łóżka. Jego twarz była zmieniona owymi straszliwymi symptomami choroby, które znał już dobrze, a które go tak przeraziły, gdy je zobaczył po raz pierwszy.

— Cóż, przyjacielu — rzekł Faria z rezygnacją. — Rozumiesz, co się dzieje, prawda? Nie muszę ci tłumaczyć.

Edmund krzyknął boleśnie i tracąc zupełnie głowę, rzucił się do drzwi, wołając:

— Na pomoc! Na pomoc!

Faria miał jeszcze tyle siły, że zdołał chwycić go za rękę.

— Cicho — rozkazał — albo zginiesz. O tobie teraz tylko powinniśmy myśleć, aby ci uczynić więzienie znośniejszym lub umożliwić ci ucieczkę. Potrzebowałbyś wielu lat, aby zrobić ponownie to, co ja tu zrobiłem, a co mogło być stracone w jednej chwili, gdyby się dozorcy dowiedzieli o naszych zamiarach. Nie smuć się zresztą; loch nie pozostanie po mnie długo pusty — gdy umrę, inny biedak zajmie moje miejsce. I pojawisz się przed nim jak anioł pocieszyciel. Może będzie silny, młody i cierpliwy jak ty, i będzie mógł ci pomóc w ucieczce, podczas gdy ja ci tylko przeszkadzałem. Nie będziesz miał już uczepionego do siebie półtrupa, co ci paraliżuje wszystkie ruchy. Bóg wreszcie chce coś dla ciebie zrobić; daje ci więcej, niż odbiera, i już czas, żebym umarł.

Edmund zdołał tylko załamać ręce i krzyknął:

— O mój przyjacielu, nie mów tak!

I wreszcie, odzyskując siły osłabione tak nagłym ciosem i odwagę odjętą słowami starca, rzekł:

— Jeśli raz już księdza ocaliłem, ocalę i drugi.

Podniósł nogę od łóżka i wydobył z niej flakonik, nadal napełniony do jednej trzeciej uzdrawiającym płynem.

— Proszę, niech ksiądz zobaczy, jeszcze mamy dużo tego zbawiennego płynu. Prędzej, prędzej, niech mi ksiądz mówi, co mam teraz robić. Czy tym razem są jakieś nowe wskazania? Niechże ksiądz mówi!

— Nie ma żadnej nadziei — odpowiedział Faria, potrząsając głową — ale mniejsza o to; Bóg, stwarzając człowieka i zakorzeniając w jego sercu tak ogromną miłość do życia, życzy sobie widać, aby człowiek czynił wszystko, co możliwe, aby to życie zachować — choćby i trudne, ale zawsze tak cenne.

— O tak, tak — zawołał Dantès. — I mówię, że uratuję księdza!

— Dobrze, próbuj więc! Zimno mnie już ogarnia, czuję, że mi krew napływa do mózgu, już mną trzęsie to okropne drżenie, które powoduje, że szczękają mi zęby, kości wydają się pękać, w pięć minut choroba owładnie mną całkiem, za kwadrans będę już trupem.

— Och! — krzyknął Dantès, przepełniony rozpaczą.

— Zrobisz tak samo jak poprzednio, tylko nie czekaj tak długo. Wszystkie mechanizmy życia działają już we mnie słabiej, a śmierć — dodał, wskazując na sparaliżowane ramię i nogę — będzie miała tylko połowę roboty. Jeżeli wlejesz dwanaście kropel płynu i przekonasz się, że nie odzyskuję przytomności, wtedy wlej całą resztę. Teraz zanieś mnie na łóżko, bo się nie mogę utrzymać o własnych siłach.

Edmund wziął na ręce starca i ułożył go na łóżku.

— Teraz, przyjacielu — rzekł Faria — jedyna pociecho mojego nędznego życia, którą mi Bóg zesłał wprawdzie trochę późno, ale jednak zesłał, ty mój darze nieoceniony, za który Mu dziękuję — gdy się mam z tobą rozstać na wieki, życzę ci szczęścia, i wszelkiego dobra, jakiego jesteś godny. Błogosławię cię, synu!

Młodzieniec padł na kolana, opierając głowę o łóżko.

— Ale posłuchaj jednak tego, co ci w tej ostatniej chwili powiem. Skarb Spadów istnieje. Bóg pozwolił teraz, że nie ma dla mnie w tej chwili ani odległości, ani przeszkody.

Widzę ten skarb w głębi drugiej groty — mój wzrok przenika już głębie ziemi, razi mnie blask tych bogactw. Jeżeli uwolnisz się stąd, pamiętaj, że stary ksiądz, którego wszyscy mieli za szaleńca, nie był nim. Jedź na Monte Christo, używaj naszej fortuny, wykorzystaj ją — boś dosyć wycierpiał.

Gwałtowne konwulsje przerwały mowę starcowi. Dantès podniósł głowę i ujrzał, że oczy zachodzą mu czerwienią, wyglądało to tak, jakby fala krwi sięgnęła mu z piersi na twarz.

— Żegnaj! Żegnaj! — jęknął Faria, z konwulsyjnym drżeniem chwytając młodzieńca za rękę. — Żegnaj!

— Jeszcze nie, jeszcze nie — zawołał Edmund. — Nie opuszczaj mnie. O Boże, pomóż! Ratunku, do mnie!

— Cicho, cicho — szeptał konający — żeby nas nie rozłączyli, jeżeli mnie ocalisz.

— Prawda. Och, tak, tak, niech ksiądz będzie spokojny; uratuję księdza. Zresztą zdaje mi się, że chociaż bardzo ksiądz cierpi, to jednak daleko mniej niż za pierwszym razem.

— Ach, nie łudź się! Mniej cierpię, bo mam mniej siły, żeby cierpieć. W twoim wieku można mieć wiarę w życie — to przywilej i cecha młodości — wierzyć i mieć nadzieję; ale starzy widzą śmierć wyraźniej. Och, oto ona... nadchodzi... to już koniec... wzrok mi gaśnie... rozum się miesza... — daj mi rękę, Edmundzie... żegnaj.

I czyniąc ostatni wysiłek, którym zebrał całą swoją siłę, podniósł się:

— Monte Christo! Nie zapominaj o Monte Christo.

I opadł na łóżko.

Ten napad był potworny: powykręcane członki, nabrzmiałe powieki, krwawa piana, bezwładne ciało — tyle pozostało na tym łożu boleści z istoty rozumnej, która przed chwilą jeszcze tu leżała. Dantès chwycił lampkę, postawił u wezgłowia; pełgające[337] światło rzucało dziwny, fantastyczny poblask na tę zniekształconą twarz, ciało nieruchome i skurczone.

Z oczyma wlepionymi w księdza młodzieniec czekał na chwilę, w której miał zacząć ratunek. Gdy wydało mu się, że już nadszedł ten moment, wziął nóż, rozwarł zęby, co mu teraz przyszło z mniejszą trudnością niż za pierwszym razem, odliczył dwanaście kropel płynu i czekał; flaszeczka zawierała drugie tyle mikstury. Czekał dziesięć minut, kwadrans, pół godziny — ksiądz nie poruszył się. Drżący, ze zjeżonymi włosami, oblany zimnym potem, liczył sekundy po biciu własnego serca.

Wreszcie pomyślał, że nadeszła już chwila powtórnej i ostatniej próby; zbliżył flaszeczkę do posiniałych ust Farii i nie potrzebując już podważać szczęk, bo pozostały rozchylone, wlał resztę płynu. Lekarstwo wywarło elektryzujący skutek: gwałtowny skurcz wstrząsnął całym ciałem starca, otwarły się oczy, ale ich widok przerażał; wyrwało mu się z piersi westchnienie podobne do rzężenia; potem to rozedrgane ciało zaczęło wracać do pierwotnego bezruchu.

Tylko oczy pozostały otwarte.

Upłynęło pół godziny, godzina, półtorej. Przez te półtorej godziny Edmund pochylony nad przyjacielem słuchał z trwogą, przyłożywszy mu dłoń do piersi, jak zamierało z wolna coraz głuchsze i odleglejsze bicie serca, czuł, jak stopniowo stygło ciało. Znikły wreszcie ostatnie ślady życia, ucichło echo ostatniego uderzenia serca, twarz zsiniała, zmatowiały otwarte oczy.

Była już szósta, dzień zaczął już przenikać do lochu, blade światło, które zalało celę, przyćmiło gasnące światło lampki. Dziwne refleksy światła przemykały po twarzy trupa i nadawały mu chwilami pozory życia. Dopóki trwała ta walka dnia z nocą, Dantes mógł jeszcze wątpić, ale skoro tylko zajaśniał dzień, pojął, że jest sam na sam z trupem.

Wówczas ogarnął go okropny, nieprzezwyciężony strach; nie śmiał teraz dotykać tej dłoni, zwieszonej z łóżka, nie śmiał patrzeć w te nieruchome zbielałe oczy, których nie mógł przymknąć, bo same się otwierały. Zgasił lampkę, ukrył ją starannie i uciekł, nasuwając z trudem płytę na otwór nad głową.

Zresztą był już czas po temu, zbliżał się dozorca.

Tym razem zaczął odwiedziny od celi Dantèsa; następnie miał udać się do lochu Farii ze śniadaniem i czystą bielizną.

[337] *pełgać* — świecić nierównomiernie. [przypis edytorski]

Wyszedł; nic nie wskazywało, że ów człowiek wie, co się tam wydarzyło.

Wtedy niewymowna ciekawość ogarnęła Dantèsa, by dowiedzieć się, co też się będzie działo w celi nieszczęśliwego księdza; wczołgał się więc do podkopu i dotarł do jego wylotu w samą porę, by usłyszeć, jak dozorca woła na pomoc. Wkrótce nadeszli inni dozorcy, potem dały się słyszeć owe ciężkie i jednostajne kroki tak właściwe żołnierzom, nawet gdy nie są na służbie. Potem nadszedł komendant.

Edmund usłyszał skrzypienie łóżka, na którym poruszano ciałem; słyszał głos komendanta, który rozkazywał oblać księdzu twarz zimną wodą, a widząc, że ten środek nie poskutkował, posłał po lekarza.

Komendant wyszedł, do uszu Dantèsa dotarło jeszcze kilka słów współczucia, zmieszanych z szyderstwami i śmiechami.

— No, idźmy już — odezwał się ktoś. — Przecież ten wariat poszedł po swoje skarby, szczęśliwej mu drogi.

— Ale i tak z tymi swoimi milionami nie będzie miał czym zapłacić za trumnę — rzekł drugi.

— Ech, trumny na zamku wcale tyle nie kosztują!

— Może będą mieli dla niego jakieś względy; przecież to osoba duchowna.

— Pewnie, uhonorują go workiem.

Edmund słuchał i nie tracił ani słowa, ale też niewiele rozumiał.

Na koniec głosy umilkły i wydało mu się, że dozorcy wyszli z celi.

Nie wszedł tam jednak: przy zmarłym mógł przecież czuwać któryś z dozorców. Został więc na miejscu milczący, bez ruchu, wstrzymując nawet oddech.

Po godzinie przerwy słaby odgłos zakłócił ciszę i jął narastać.

Powrócił komendant, a z nim przyszedł lekarz i kilku oficerów.

Nastąpiła chwila milczenia; to na pewno lekarz przystąpił do łóżka i oglądał zmarłego.

Wkrótce dały się słyszeć pytania. Lekarz rozpoznał chorobę, która dotknęła starca i oświadczył, że ksiądz nie żyje.

W padających pytaniach i odpowiedziach wyczuć można było lekceważenie, które oburzyło Edmunda. Wydawało mu się, że cały świat powinien odczuwać choć część tej sympatii, jaką darzył biednego księdza.

— Nie cieszy mnie to bynajmniej — rzekł komendant w odpowiedzi na oświadczenie lekarza, że starzec rzeczywiście zmarł — to był bardzo łagodny więzień, bawił nas swoim bzikiem, a i łatwo go było strzec.

— O tak! — wtrącił dozorca. — Tego to można było wcale nie pilnować, proszę pana komendanta. On by tu przesiedział i pięćdziesiąt lat, a ręczę, że ani razu nie pomyślałby o ucieczce.

— A jednak myślę — odpowiedział komendant — że należałoby jednak upewnić się, czy więzień rzeczywiście umarł; nie wątpię o pańskiej wiedzy, doktorze, ale jestem tu za wszystko odpowiedzialny.

Znowu nastało absolutne milczenie; Dantès domyślił się, że lekarz zabrał się ponownie do badania trupa.

— Możesz pan być spokojny — rzekł wreszcie lekarz — on nie żyje, ręczę za to.

— Wiesz pan bardzo dobrze — nalegał komendant — że w podobnych wypadkach nie poprzestajemy tylko na obejrzeniu zwłok; pomimo oczywistych pozorów, niech pan będzie łaskaw dokonać dzieła do reszty, czego wymagają przepisy.

— A więc niech rozgrzeją do czerwoności żelazo — rzekł lekarz — chociaż to jest doprawdy zbyteczne.

Ten rozkaz przejął Dantèsa drżeniem.

Dały się słyszeć szybkie kroki, skrzypienie drzwi, ktoś chodził tam i z powrotem po celi, w chwilę później wszedł klucznik[338] więzienny i oznajmił:

— Oto rozpalone węgle, a w nich żelazo.

Nastała znowu chwila ciszy; potem zaskwierczało przypiekane ciało i silny, mdlący odór przeniknął nawet przez mur, za którym Dantès nasłuchiwał z największym przerażeniem. Od tej woni zwęglonego ludzkiego ciała potem zrosiło się czoło młodzieńca, który bliski był już omdlenia.

[338] *klucznik* — osoba zarządzająca kluczami majątku ziemskiego, zamku itd.; odźwierny. [przypis edytorski]

— Widzisz pan, że nie ma żadnych wątpliwości — rzekł lekarz. — Przypalanie pięt jest decydujące. Biedny wariat, wyleczył się ze swojego szaleństwa i uwolnił z więzienia.

— Czy nie nosił czasem nazwiska Faria? — zapytał jeden z obecnych.

— Tak właśnie; według tego, co utrzymywał, miało to być bardzo stare nazwisko; zresztą był to człowiek bardzo uczony i rozumny pod każdym względem, poza jednym: gdy rozprawiał o swoich skarbach. W tej sprawie nie dawało się z nim dogadać.

— To jest choroba zwana monomanią[339] — rzekł lekarz.

— Nie mieliście nigdy powodu, aby się na niego uskarżać? — zapytał komendant dozorcy, co zwykle przynosił księdzu żywność.

— Nigdy, panie komendancie — rzekł dozorca. — Przeciwnie; nieraz opowiadał mi bardzo ciekawe historie; a gdy razu jednego moja żona była chora, dał mi receptę na lekarstwo, które ją uleczyło.

— Ach! Proszę, proszę, nie wiedziałem, że miałem tutaj kolegę — zadrwił lekarz. — Spodziewam się, panie komendancie — dodał ze śmiechem — że raczysz z nim postąpić z należytymi względami.

— Naturalnie, bądź pan spokojny; wyprawimy mu przyzwoity pogrzeb, będzie miał najlepszy worek, jaki znajdziemy; wystarczy to panu?

— Czy mamy wykonać tę ostatnią formalność w obecności pana komendanta? — zapytał dozorca.

— Oczywiście; tylko pospieszcie się, nie mogę przecież tu tkwić przez cały dzień.

Znowu dała się słyszeć krzątanina; w chwilę potem szelest rozkładanego płótna dobiegł uszu Edmunda; skrzypnęło łóżko; na posadzce rozległy się ciężkie kroki, jakby ktoś podnosił wielki ciężar; następnie łóżko znów skrzypnęło pod tym ciężarem.

— Zobaczymy się więc wieczorem — rzekł komendant.

— Czy będzie msza? — zapytał jeden z oficerów.

— Niemożliwe — rzekł komendant. — Kapelan poprosił mnie właśnie wczoraj o urlop na tydzień; chce się udać do Hyères[340]. Zaręczyłem mu w imieniu wszystkich naszych więźniów, że nie będzie potrzebny — biedny ksiądz, niepotrzebnie się pospieszył, miałby swoje *requiem*[341].

— Ech, co tam! — odezwał się lekarz z bezbożnością właściwą dla ludzi tego stanu. — Staruszek był przecież duchownym, Bóg będzie miał wzgląd na niego i nie pozwoli, aby piekło cieszyło się złośliwie, że mu przysłano księdza.

Ogólny śmiech skwitował ten prymitywny żart.

Tymczasem trwało owijanie ciała w całun.

— Przyjdźcie wieczorem — rzekł na koniec komendant.

— O której? — zapytał klucznik.

— O dziesiątej albo jedenastej.

— Czy ma ktoś czuwać przy nieboszczyku?

— A po co? Zamknąć celę, jak się zamykało, gdy żył i tyle!

Odgłos oddalających się kroków powoli zanikał, głosy ucichły, drzwi skrzypnęły, klucz zazgrzytał w zamku, zgrzytnęły zasuwy i nastała cisza bardziej posępna od ciszy, która towarzyszy samotności: cisza śmierci zawładnęła wszystkim, wśliznęła się nawet do zlodowaciałego serca młodzieńca.

Wtedy bardzo powoli wypchnął głową płytę i rozejrzał się badawczo po celi.

Cela była pusta: Dantès wyczołgał się z podkopu.

20. CMENTARZ ZAMKU IF

Na łóżku, oświetlony słabym blaskiem mglistego dnia, który przenikał przez okienko, leżał płócienny wór, a w jego załamaniach widoczny był zarys długiej, sztywnej sylwetki; był to całun Farii — ten całun, który tak niewiele kosztował wedle dozorców. A więc wszystko się skończyło. Dokonał się materialny rozdział między Dantèsem i jego przyjacielem; Edmund nie spojrzy już w jego oczy, które zostały otwarte, jakby chciały zajrzeć

[339] *monomania* — obłęd polegający na opanowaniu umysłu przez jedną natarczywą myśl. [przypis edytorski]
[340] *Hyères* — miejscowość w płd. Francji. [przypis edytorski]
[341] *requiem* (łac.) — odpoczynek; wieczny odpoczynek, modlitwa za zmarłych. [przypis edytorski]

za granicę śmierci; nigdy już nie uściśnie tej przemyślnej ręki, która zdarła zasłonę zakrywającą przed nim tyle tajemnic. Faria, ten użyteczny, dobry człowiek, do którego tak mocno się przywiązał, istniał już tylko w jego pamięci. Edmund usiadł na tym straszliwym łożu i oddał się gorzkim, ponurym rozmyślaniom.

Sam! Znów został sam! Znów zapadł w ciszę, a wokół otaczała go nicość!

Sam! Ani widoku, ani głosu tej jedynej istoty, która go przywiązywała jeszcze do życia! Nie lepiej byłoby pójść za Farią, aby zapytać Stwórcę o zagadkę bytu, choćby przyszło przejść przez wrota cierpienia. Myśl o samobójstwie, którą przyjaciel odegnał, którą usunęła jego obecność, zaczęła jak widmo krążyć w myślach Edmunda, gdy tylko znalazł się przy zwłokach Farii.

— Gdybym mógł umrzeć — rzekł sam do siebie — poszedłbym tam, gdzie on i znowu bym go spotkał. Lecz jakże umrzeć? Nic trudnego — sam sobie ze śmiechem odpowiedział. — Zostanę tu, rzucę się na pierwszego, co tu wejdzie, zabiję go, a potem zetną mi głowę na szafocie.

Ale jak to się zdarza w wielkich cierpieniach jak i podczas gwałtownego sztormu, nagle przepaść otwiera się między dwoma szczytami bałwanów — podobnie było z Dantèsem: cofnął się na myśl o tej haniebnej śmierci, i odbiwszy się gwałtownie od dna rozpaczy, zapragnął gorąco życia i swobody.

— Umrzeć! O nie! — zawołał. — Po tym, co przeżyłem, po tylu cierpieniach miałbym umrzeć? To było dobre kiedyś, gdy przed laty tak zadecydowałem; ale dziś pomagałbym tylko mojemu nędznemu przeznaczeniu. O nie, ja chcę żyć, chcę walczyć do końca; muszę odzyskać to szczęście, które mi wydarto. Zapomniałem, że nim umrę, powinienem ukarać moich prześladowców, a może, kto wie, nagrodzić też kilku przyjaciół? Ale przecież zapomniany w tym lochu, wyjdę stąd jedynie tak jak Faria.

Powiedziawszy to, Edmund nagle znieruchomiał i wpatrzył się w przestrzeń, jak człowiek, którego niespodziewanie uderzy jakaś myśl straszliwa; powstał nagle, podniósł rękę do czoła, jakby doznał zawrotu głowy, przeszedł się kilka razy tam i z powrotem po celi, a w końcu zatrzymał się przed łóżkiem.

— Ach! — szepnął. — Któż mi zsyła tę myśl? Czy to Ty, o Boże! Ponieważ tylko umarli mogą się stąd wydostać, zajmę miejsce umarłego.

Nie tracąc czasu na dalsze namysły, nie chcąc jakby dać sobie czasu na to, aby zachwiał się w nim ten zamiar, pochylił się nad ohydnym workiem, rozciął go nożem, który zrobił Faria, wyjął trupa, zaniósł do swego lochu, położył na łóżku, okrył kołdrą od stóp do głów, jak zwykł sam się przykrywać, po raz ostatni ucałował zlodowaciałe czoło, spróbował przymknąć nieposłuszne oczy, wiecznie otwarte, straszne, bo pozbawione myśli; odwrócił go twarzą do ściany, aby dozorca, przyszedłszy z wieczerzą, myślał, że Dantès śpi, jak się to zwykle zdarzało; wrócił podkopem do celi Farii, otworzył skrytkę, wyjął igłę i nici, zrzucił odzienie, aby ci, co mieli nieść worek czuli, że w środku jest nagie ciało, wsunął się do rozprutego worka, położył się w tej samej pozycji, w jakiej leżał nieboszczyk i zaszył otwór od wewnątrz.

Gdyby nieszczęściem ktoś wszedł w tej chwili do lochu, usłyszałby bicie jego serca.

Dantès mógł zaczekać do obchodu dozorcy, ale lękał się, by komendant nie zmienił decyzji i nie kazał wynieść zwłok wcześniej. Zniweczyłoby to ostatnie jego nadzieje.

Na wszelki wypadek ułożył sobie gotowy plan.

Jeśliby w czasie drogi grabarze zrozumieli, że niosą żywego człowieka zamiast umarłego, Edmund nie da im czasu na opamiętanie się, szybko rozpruje nożem worek od góry do dołu, skorzysta z ich przestrachu i ucieknie; gdyby go chcieli zatrzymać, użyje noża.

Jeżeli zaniosą go na cmentarz, ułożą w grobie i przysypią ziemią, pozwoli się zakopać; a potem, skoro wszystko będzie okrywać ciemność nocy, zaledwie się odwrócą, rozkopie miękką ziemię i umknie; miał nadzieję, że warstwa ziemi nad nim nie będzie tak ciężka, aby nie zdołał jej dźwignąć. Jeżeli zaś mylił się i ziemia będzie zbyt ciężka, udusi się — tym lepiej — raz się wszystko skończy.

Od wczoraj nic nie miał w ustach, ale nie pomyślał o głodzie ani rano, ani nawet teraz. Położenie, w jakim się znajdował, było tak ryzykowne, że nie był w stanie zatrzymać się przy żadnej innej myśli.

Pierwszym niebezpieczeństwem, jakie groziło Dantèsowi, było nadejście dozorcy, który mógł poznać zamianę; na szczęście, na skutek mizantropii[342] lub zmęczenia, Dantès leżał zwykle odwrócony w łóżku, dozorca zaś wtedy stawiał tylko jedzenie na stole i wychodził z celi, nie odzywając się ni słowem.

Ale tym razem dozorca mógł odstąpić od swoich milkliwych zwyczajów, a widząc, że Dantès nie odpowiada, zbliżyć się do łóżka i wszystko wyszłoby na jaw.

Około siódmej wieczorem Dantès zaczął trwożyć się na dobre. Przyciskając rękę do piersi usiłował powstrzymać bijące gwałtownie serce, a drugą ocierał zimny pot z czoła; co chwilę całe jego ciało przechodził gwałtowny wstrząs, który ściskał mu serce jakby w żelazne kleszcze. Zdawało mu się wówczas, że umiera. Godziny upływały z wolna, w zamku panowała cisza, a Dantès zrozumiał, że uniknął pierwszego niebezpieczeństwa. To była dobra wróżba. Wreszcie, około wyznaczonej przez komendanta godziny, na schodach dały się słyszeć kroki. Edmund pojął, że nadeszła decydująca chwila; zebrał całą odwagę, powstrzymał oddech i byłby jeszcze szczęśliwy, gdyby mógł zatrzymać pulsowanie krwi.

Przy drzwiach zatrzymano się; słychać było podwójny odgłos kroków; Dantès domyślił się więc, że przyszło pochować zmarłego dwóch grabarzy. Przypuszczenie to zamieniło się w pewność, kiedy usłyszał, jak dozorcy stawiali na ziemi nosze.

Drzwi się otwarły i Dantèsa dobiegł przyćmiony blask światła; przez okrywające go płótno dojrzał dwa cienie zbliżające się do łóżka. Trzeci z latarnią w ręku pozostał przy drzwiach. Ludzie chwycili worek za dwa końce.

— Ale ciężki ten chudy staruszek — rzekł jeden z nich, podnosząc Edmunda za głowę.

— Mówią, że co rok kości stają się cięższe o pół funta[343] — odpowiedział drugi, biorąc za nogi.

— Zrobiłeś już węzeł? — zapytał pierwszy.

— To byłaby głupota, po co mamy dźwigać dodatkowy ciężar — odparł drugi — zawiążę go na miejscu.

— Racja; to chodźmy.

„Po co ten węzeł?" — pomyślał Dantès.

Przeniesiono domniemanego trupa z łóżka na nosze. Edmund leżał sztywno, chcąc dobrze odgrywać swoją rolę nieboszczyka. Cały orszak, poprzedzany mężczyzną trzymającym latarnię, jął wchodzić na schody.

I nagle owionęło go świeże i ostre nocne powietrze. Dantès rozpoznał podmuchy mistrala[344]. Rozkoszne, a razem dręczące było to nagle doznane wrażenie. Tragarze uszli jeszcze jakieś dwadzieścia kroków, zatrzymali się i postawili nosze na ziemi.

Jeden z dozorców oddalił się, jego kroki zastukały na kamieniach.

„Gdzież jestem?" — zapytał Edmund sam siebie.

— Wiesz co, on wcale nie jest lekki! — rzekł grabarz, który został, siadając na końcu noszy.

Pierwszą myślą Dantèsa było rzucić się teraz do ucieczki; na szczęście powstrzymał się jednak.

— Poświeć mi, bydlaku — krzyknął ten, co się oddalił — bo nic nie znajdę!

Latarnik pospieszył na to wezwanie, choć sformułowane było niezbyt grzecznie.

„Czego on szuka? — pomyślał znowu Dantès. — Pewnie łopaty".

Okrzyk zadowolenia wskazał, że grabarz znalazł, czego szukał.

— Ale się naszukałeś — powiedział inny.

— Tak — odparł tamten — ale nasz staruszek nic nie stracił na tym czekaniu.

I podszedł do Dantèsa, który usłyszał stuk jakiegoś ciężkiego przedmiotu, rzuconego na ziemię tuż obok; w tej samej chwili sznur zacisnął się boleśnie wokół nóg Edmunda.

— A co, masz już ten węzeł? — rzekł ten, który niczym się do tej pory nie zajmował.

— I to całkiem niezły. Nie rozwiąże się.

Podnieśli nosze i ruszyli dalej.

---

[342] *mizantropia* (z gr.) — niechęć do ludzi. [przypis edytorski]

[343] *funt* — jednostka masy używana w krajach Europy; zwykle wynosiła pomiędzy 0,4 a 0,5 kg. [przypis edytorski]

[344] *mistral* — wiatr wiejący w płd. Francji; zimny i porywisty; jest zależny od cyrkulacji powietrza występującej w tym regionie. [przypis edytorski]

Uszli może z pięćdziesiąt kroków, zatrzymali się, aby otworzyć jakieś drzwi, i szli dalej; w miarę, jak się posuwali, szum fal rozbijających się o skałę, na której stał zamek, dochodził coraz wyraźniej uszu Dantèsa.

— Paskudna pogoda — powiedział jeden z grabarzy. — Niezbyt miło znaleźć się dziś w nocy na morzu.

— Masz rację, biedny ksiądz może zmoknąć — dodał drugi i obaj wybuchnęli śmiechem.

Dantès nie zrozumiał żartu, ale włosy stanęły mu dęba.

— No, przyszli wreszcie — rzekł pierwszy.

— Jeszcze trochę dalej — odparł drugi. — Wiesz przecież, że ostatni zawisł w połowie drogi, poszarpany o skały; komendant wyzywał nas potem od leni.

Podeszli jeszcze pięć lub sześć kroków w górę, po czym Dantès poczuł, że jeden bierze go za głowę, drugi za nogi i zaczynają huśtać.

— Raz! — zawołali zgodnie.

— Dwa!

— Trzy!

I w tym momencie Dantès uczuł, że został wyrzucony w jakąś bezdenną przepaść; przebijał powietrze jak zraniony ptak, spadając i spadając, a serce ścięło mu się od trwogi. Chociaż jakiś ciężar u nóg przyspieszał ten lot, wydało mu się, że lot ten trwa całe wieki. Na koniec wpadł ze straszliwym pluskiem w wodę zimną jak lód, wydając okrzyk przerażenia, zduszony natychmiast przez wodę.

Edmunda rzucono w morze i trzydziestosześciofuntowa kula ciągnęła go na dno.

Morze jest cmentarzem zamku If.

21. WYSPA TIBOULEN[345]

Dantès — oszołomiony, niemal uduszony — miał tyle przynajmniej przytomności umysłu, że wstrzymał oddech, a że przygotowany na wszystko, trzymał, jakeśmy to widzieli, w prawej ręce nóż, w mgnieniu oka rozciął worek, wysunął rękę, potem głowę; ale pomimo wysiłków, jakie czynił, aby uwolnić się od ciężaru, kula nadal wciągała go na dno; skurczył się więc, szukając liny, która krępowała mu nogi i ostatnim wysiłkiem rozciął sznur w chwili, gdy miał stracić przytomność. Odbiwszy się gwałtownie nogą, wypłynął wolny na powierzchnię morza, gdy tymczasem kula porwała za sobą w morskie głębiny worek, który miał się stać całunem śmiertelnym Edmunda.

Młodzieniec wypłynął tylko po to, aby zaczerpnąć powietrza i natychmiast zanurzył się powtórnie, aby nie ściągnąć na siebie niczyjej uwagi.

Kiedy wypłynął drugi raz na wierzch, był już przynajmniej o pięćdziesiąt kroków od miejsca, w którym wpadł; rozejrzał się wokoło i spostrzegł nad sobą czarne niebo, grożące burzą, po którym wiatr przeganiał pędzące chmury, a między nimi przezierał gdzieniegdzie skrawek błękitu zwieńczony gwiazdą. Przed Edmundem rozpościerała się mroczna, rycząca płaszczyzna; fale zaczynały już kipieć, jakby zbliżała się burza, a za nim wznosiło się groźne widmo, granitowy olbrzym, czarniejszy od morza, czarniejszy od nieba; jego sterczący wierzchołek zdawał się drapieżną dłonią sięgającą po ofiarę. U szczytu skały latarnia oświetlała dwa cienie.

Wydało się Edmundowi, że te cienie pochylają się z niepokojem nad morzem. W rzeczy samej, ci dziwaczni grabarze musieli usłyszeć krzyk, który wydał, lecąc w dół. Zanurzył się więc ponownie i długo płynął pod wodą. Manewr ten wykonywał niegdyś z łatwością, ściągał mu on do zatoczki Pharo tłumy wielbicieli, którzy okrzykiwali go najzręczniejszym pływakiem Marsylii.

Gdy drugi raz wypłynął na powierzchnię, latarnia zniknęła.

Trzeba było teraz zorientować się w położeniu. Ze wszystkich wysp otaczających zamek If najbliższe były Ratonneau i Pomègue, ale obie były zamieszkałe; podobnie jak maleńka wysepka Daum. Najbezpieczniejsze wydawały się wyspy Tiboulen i Lemaire, o milę odległe od zamku.

[345] *wyspa Tiboulen* — jedna z czterech wysp należących do Archipelagu Frioul, położonego na Morzu Śródziemnym w odległości ok. 4 km od Marsylii. [przypis edytorski]

Pomimo tej odległości Dantès nie porzucił myśli o dotarciu do którejś z nich; ale jak je rozpoznać wśród coraz gęstszej nocy?

W tej chwili dostrzegł światło latami morskiej w Planier, błyszczącej jak gwiazda.

Zmierzając prosto w jej stronę, zostawiłby wyspę Tiboulen nieco po lewej, jeśli zaś popłynie bardziej w lewo, powinien się na nią natknąć.

Powiedzieliśmy jednak, że odległość tej wyspy od zamku If wynosi milę.

W więzieniu jeszcze, Faria często mawiał do młodzieńca, widząc jego smutek i gnuśność:

— Edmundzie, nie poddawaj się tej zniewieściałości, jeśli nie będziesz ćwiczył mięśni, utopisz się, gdy będziesz chciał uciec.

Gdy ciężka fala przygniotła Dantèsa, słowa te zadźwięczały mu w uchu; wypłynął szybko na powierzchnię i jął przecinać fale, aby przekonać się, czy nie stracił coś ze swoich sił; ale ujrzał z radością, że przymusowa bezczynność nie pozbawiła go siły ani zręczności, poczuł, że jak dawniej jest panem żywiołu, z którym igrał od dziecka.

Zresztą strach, ten rączy[346] prześladowca, podwajał siły Dantèsa. Nasłuchiwał, wznosząc się na wierzchołkach fal, czy nie dojdzie jego uszu jakiś odległy odgłos. Za każdym razem, gdy fala unosiła go w górę, obejmował bystrym spojrzeniem widzialny dlań horyzont i usiłował przebić wzrok ciemności. Każda wyższa fala zdawała mu się łodzią pościgową, podwajał więc wysiłki; oddalało go to wprawdzie od zamku, ale mogło mu też wyczerpać siły.

Płynął i płynął; posępny zamek wtapiał się powoli w mgły nocne. Nie widział go już, ale nie przestawał odczuwać jego bliskości.

Upłynęła godzina, a Edmund, odurzony świadomością, że jest wolny, rozcinał nadal fale w zamierzonym kierunku.

„Płynę już blisko godzinę — pomyślał — ale że mam przeciwny wiatr, straciłem pewnie jedną czwartą szybkości; a jednak, o ile się nie pomyliłem w kierunku, powinienem być już w pobliżu Tiboulen... Ale jeśli się pomyliłem?!...".

Drżenie wstrząsnęło całym ciałem płynącego. Chciał przez chwilę odpocząć, płynąc na wznak, ale morze stawało się coraz bardziej wzburzone i Edmund zrozumiał, że nie mógł liczyć na tę formę odpoczynku.

— A niech tam! Będę płynął, póki mi sił starczy, póki nie zmęczą mi się ramiona i kurcz mnie nie chwyci; a potem — pójdę na dno!

I zaczął płynąć, wytężając z rozpaczą wszystkie siły.

Wtem wydało mu się, że niebo, i tak zasępione, pociemniało jeszcze bardziej, że wali się na niego ogromna, ciężka chmura i jednocześnie poczuł nagły ból w kolanie. Galopująca wyobraźnia podszepnęła mu natychmiast, że to trafiła go kula i że zaraz usłyszy odgłos wystrzału; ale nikt nie wystrzelił. Edmund wyciągnął rękę i natknął się na opór. Przyciągnął drugą nogę — i stanął na lądzie. Dopiero wtedy zrozumiał, co było ową chmurą.

O dwadzieścia kroków wznosiło się skupisko dziwacznych skał, które można by wziąć za ogromne ognisko skamieniałe w chwili, gdy płomienie sięgały najwyżej. Była to wyspa Tiboulen.

Edmund podniósł się, postąpił kilka kroków, złożył dzięki Stwórcy i ułożył się na ostrych skałach, które wydały mu się posłaniem wygodniejszym od najbardziej miękkiego łoża. Pomimo wiatru i burzy, pomimo ulewy, która właśnie zaczynała chłostać, zasnął, wycieńczony wysiłkiem, tym cudownym snem, który wprawdzie sprowadza na ciało odrętwienie, pozwala jednak duszy radować się niespodziewanym szczęściem. Po godzinie straszliwy grzmot obudził Edmunda: wokół rozszalała się burza i siekła deszczem powietrze; niekiedy błyskawica jak ognisty wąż spadała z niebios na ziemię, oświecając chmury i fale, które wydawały się występować przeciw sobie, przenikając się w przedziwnym chaosie.

Żeglarski instynkt nie zawiódł Edmunda: dotarł rzeczywiście na wyspę Tiboulen. Wiedział wprawdzie, że jest to wyspa pozbawiona roślinności, bezludna i niemogąca dać mu schronienia; ale po burzy mógł popłynąć do wyspy Lemaire, równie jałowej, ale obszerniejszej i przez to bardziej gościnnej. Pochylony występ skalny nadał mu się na

[346] *rączy* — szybki. [przypis edytorski]

chwilowe schronienie, wpełznął tam i niemal w tejże chwili burza wybuchła na dobre. Edmund czuł drżenie skały, pod którą się schował; bałwany, rozbijające się o podstawę tej gigantycznej piramidy i rozpryśnięte bryzgi, sięgały aż do niego. Huk nawałnicy i oślepiający blask błyskawic przyprawiał go o zawrót głowy: zdawało mu się, że wyspa drży pod nim, i że lada moment, podobna statkowi na kotwicy, zerwie łańcuch i wciągnie go w ogromny wir. Wtedy przypomniał sobie, że od dwudziestu czterech godzin nie miał nic w ustach: poczuł nagle głód i pragnienie. Wyciągnął ręce, wychylił się, znalazł w jakimś zagłębieniu skały nieco wody deszczowej i wypił ją.

Gdy wracał na swoje miejsce, nagła błyskawica rozdarła niebo, rzekłbyś, że aż do stóp tronu Wszechmogącego, i rozświetliła wszystko dokoła. W blasku tym Edmund ujrzał między wyspą Lemaire i przylądkiem Croisille, o ćwierć mili od niego, kuter rybacki, unoszący się niczym widmo na grzbiecie fal; w chwilę później runął w przepaść, aby w sekundę potem znów się pojawić na grzbiecie innej fali, pędząc z przerażającą szybkością. Dantès chciał krzyczeć, szukał kawałka płótna, by powiewając nim w powietrzu, ostrzec ich, że czeka ich tu zguba, ale oni sami to wiedzieli. Przy świetle kolejnej błyskawicy dostrzegł czterech mężczyzn uczepionych kurczowo masztu i sztagów[347], piąty trzymał się pogruchotanego steru. Ci ludzie ujrzeli go widać także, bo do jego uszu dotarły rozpaczliwe krzyki. Ponad masztem skrzywionym jak trzcina łopotał poszarpany żagiel; nagle pękły liny, które go utrzymywały, żagiel uniósł się niby biały ptak ku czarnym chmurom, znikając w ciemnych głębiach nieba.

Jednocześnie rozległ się straszliwy trzask i krzyki konania dotarły aż do uszu Dantèsa. Uczepiony skały jak sfinks[348], sięgał wzrokiem w przestrzeń pod sobą i przy blasku błyskawicy ujrzał pogruchotany stateczek, a wśród jego szczątków twarze pełne rozpaczy, ramiona wyciągnięte ku niebu. Po czym wszystko pochłonęła noc: straszliwy widok przemknął jak błyskawica.

Dantès rzucił się w dół z oślizgłej skały, narażając się sam na upadek w fale. Patrzył, nasłuchiwał, ale nic już nie usłyszał, nic nie dojrzał. Krzyki umilkły; pozostała tylko burza, to straszne dzieło Boga, ryk wiatru i spienione uderzenia fal.

Wiatr z wolna cichł, chmurne niebo toczyło na zachód szare obłoki, jakby odbarwione przez burzę; znów zajaśniał ciemny błękit z gwiazdami migoczącymi piękniej niż kiedykolwiek; potem na wschodzie długa, czerwonawa wstęga zarysowała na horyzoncie ciemnogranatowy pofałdowany kontur lądu, fale spiętrzyły się i nagły blask oblał ich spienione wierzchołki, zmieniając je w złociste grzywy.

Nadchodził dzień.

Edmund niemy i bez ruchu patrzył na to wspaniałe widowisko, jakby oglądał je po raz pierwszy. Istotnie, w więzieniu zatarły mu się w pamięci takie obrazy. Zwrócił ku fortecy badawczy wzrok i powiódł spojrzeniem jednocześnie po ziemi i morzu.

Ponury gmach wznosił się pośród fal, majestatyczny i imponujący jak wszystkie budowle, co zdają się zarazem czuwać i rozkazywać.

Mogła być piąta; morze uspokajało się coraz bardziej.

„Za dwie lub trzy godziny — pomyślał Edmund — dozorca przyjdzie do mojej celi, znajdzie ciało mego biednego przyjaciela, rozpozna je, na próżno będzie mnie szukać i wznieci alarm. Znajdą otwór, podkop; przesłuchają ludzi, którzy mnie wyrzucili do morza i którzy słyszeli mój krzyk. Łodzie z żołnierzami natychmiast wyruszą w pogoń za zbiegiem, sądząc słusznie, że nie może być daleko. Wystrzał z działa ostrzeże wszystkich na wybrzeżu, że nie wolno pomagać żadnemu człowiekowi, który by nagi i wygłodniały błąkał się w okolicy, szpiedzy i łapacze marsylscy będą przeszukiwać wybrzeża, a komendant zamku If zajmie się przeszukaniem morza. Osaczony na lądzie i morzu co poczne? Jestem głodny i wymarznięty — pozbyłem się wszystkiego, co mi przeszkadzało w pływaniu, nawet noża. Jestem zdany na łaskę lada wieśniaka, który zechce zarobić dwadzieścia franków za wydanie mnie policji. Nie mam już siły, nie jestem w stanie myśleć ani czegokolwiek postanowić. Ach, Boże, Boże! Popatrz, czy już nie za wiele wycierpiałem i przyjdź mi z pomocą, kiedy już sam nie mogę nic zrobić!"

[347] *sztag* — lina stalowa usztywniająca maszt w płaszczyźnie pionowej wzdłuż osi statku. [przypis edytorski]

[348] *sfinks* (mit. gr.) — skrzydlaty potwór o głowie kobiety i tułowiu lwa, zadający zagadki i pożerający tych, którzy nie umieli na nie odpowiedzieć; jego legowisko znajdowało się na skale w okolicy Teb, skąd czyhał na podróżujących. [przypis edytorski]

Gdy Edmund powtarzał tę gorącą modlitwę, stojąc jak w odrętwieniu — wycieńczony i upadły na duchu — i patrząc z trwogą w stronę zamku, zauważył nagle, jak zza cypla wyspy Pomegue wysuwa się łaciński żagiel[349]; był to stateczek, podobny mewie muskającej powierzchnię morza, w którym tylko oko marynarza mogło rozpoznać genueńską tartanę[350]. Nadpływał od strony portu marsylskiego i wychodził już na pełne morze, tnąc ostrym dziobem migotliwą pianę.

— Ach! — zawołał Dantès. — Przecież mógłbym za pół godziny znaleźć się na tym statku, gdyby nie ta obawa, że będą mnie tam wypytywać, rozpoznają we mnie zbiega i odwiozą do Marsylii! Co robić, co im powiedzieć? Jaką wymyślić bajkę, żeby ich w pole wyprowadzić? Z reguły na takich statkach pływają przemytnicy, na pół piraci, udają statki kabotażowe[351], a w rzeczywistości rabują wybrzeża. Będą woleli mnie sprzedać, niż spełnić bez zapłaty dobry uczynek. Lepiej czekać...

Ale czekać niepodobna. Umieram z głodu — za kilka godzin zupełnie opuszczą mnie siły, a tymczasem zbliża się godzina obchodu; ale nie wszczął się jeszcze alarm, może ci z tartany nie domyślą się niczego. Mogę się podać za marynarza z kutra, co się rozbił tej nocy; ta historyjka jest całkiem prawdopodobna, nikt mi nie zada kłamu, wszyscy leżą na dnie morza. No to w drogę!

To mówiąc, Edmund zwrócił oczy w stronę, gdzie rozbił się mały statek i zadrżał. Na skale wisiała czapka frygijska[352] któregoś z majtków z zatopionego kutra, a blisko niej unosiły się na falach szczątki kadłuba statku.

Dantès szybko powziął decyzję; skoczył do morza, podpłynął do czapki, wcisnął ją sobie na głowę, pochwycił jedną z belek i skierował się ku tartanie, chcąc jej przeciąć drogę.

— Teraz jestem ocalony — szepnął.

Przekonanie to dodało mu sił.

Wkrótce dostrzegł statek, który miał wiatr na dziób i lawirował pomiędzy zamkiem If a latarnią w Planier. Przez chwilę Edmund lękał się, że statek skieruje się na pełne morze, gdyby zamierzał na przykład udać się na Korsykę lub Sardynię, ale przyjrzawszy się halsowaniu[353], poznał natychmiast, że tartana przepłynie pomiędzy wyspami Jaros i Calaseraigne, jak to zwykle czynią statki zmierzające do Włoch.

Tymczasem statek i pływak przybliżali się do siebie coraz bardziej, choć z wolna; oddzielało ich już tylko ćwierć mili. Młodzieniec wzniósł się wtedy na fali, machając rozpaczliwie czapką, ale na statku tego nie spostrzeżono i tartana wykonała nowy zwrot, przechodząc na kurs przeciwny. Edmund chciał krzyknąć, ale zmierzywszy wzrokiem odległość, pojął, że głos nie dojdzie do statku, zagłuszony szumem fal i wiatru. Wtedy dopiero pogratulował sobie przezorności — że chwycił się belki. Osłabiony tak bardzo mógłby już nie wytrzymać dłużej o swych siłach i utonąłby, nie dostawszy się do statku; a gdyby statek przepłynął obok i nikt by go nie spostrzegł, Edmund na pewno nie zdołałby powrócić na ląd.

Jakkolwiek pewny już był kursu statku, ciągle śledził go niespokojnie, aż do chwili, gdy żaglowiec nie zaczął zwracać się w jego kierunku. Wtedy popłynął na jego spotkanie, nim jednak dotarł do niego, statek znów zaczął zmieniać kurs. W ostatnim wysiłku Edmund dźwignął się niemal prostopadle do fali i machając czapką, krzyczał tak rozpaczliwie, jak zwykli czynić marynarze, kiedy wołają o pomoc.

Tym razem spostrzeżono go i usłyszano. Statek wstrzymał manewr i wziął kurs na niego. Edmund spostrzegł, że przygotowują się do spuszczenia łódki. W chwilę później łódź z dwoma marynarzami pomknęła w stronę rozbitka. Wtedy Edmund porzucił belkę, której — jak sądził — już nie potrzebował, i popłynął naprzeciw, aby oszczędzić ratownikom połowy drogi.

---

[349] *żagiel łaciński* — żagiel w kształcie trójkąta. [przypis edytorski]

[350] *tartana* — mały, jednomasztowy żaglowiec służący do łowienia ryb na Morzu Śródziemnym do końca XX w. [przypis edytorski]

[351] *statki kabotażowe* — statki uprawiające kabotaż, czyli żeglugę pomiędzy portami jednego państwa. [przypis edytorski]

[352] *czapka frygijska* — nakrycie głowy w kształcie stożka, najczęściej wełniane, charakteryzujące się opadającym do przodu czubkiem; symbol rewolucji francuskiej. [przypis edytorski]

[353] *halsowanie* — prowadzenie żaglowca zmiennym kursem, umożliwiając mu płynięcie pod wiatr. [przypis edytorski]

Przeliczył się jednak z siłami, które niemal całkiem już zdążył wyczerpać; wtedy dopiero poczuł, jak zbawienna była dlań ta belka — ale fala odniosła ją od niego już o sto kroków. Ręce zaczęły mu drętwieć, nogi straciły giętkość, ruchy utraciły rytmiczność, w piersi brakło tchu.

Krzyknął raz jeszcze z największą rozpaczą, wioślarze podwoili wysiłek, a jeden z nich zawołał po włosku: „Odwagi!".

Słowo to dobiegło do niego w chwili, gdy fala, na którą już nie był w stanie się wznieść, przeszła mu ponad głową, zalewając go.

Wypłynął raz jeszcze na powierzchnię, bijąc w wodę nieskoordynowanymi i rozpaczliwymi ruchami tonącego, krzyknął znowu i poczuł, że wciągany jest na dno, jakby miał wciąż przywiązaną do nóg żelazną kulę. Fala znów przeszła mu nad głową; przez wodę widział sinawe niebo upstrzone czarnymi plamami. Gwałtowny wysiłek wyniósł go znowu na powierzchnię.

Wydało mu się wtedy, że chwyta go ktoś za włosy; a potem nic już nie widział, nic nie słyszał; stracił przytomność.

Gdy otworzył oczy, znajdował się już na pokładzie statku, który kontynuował rejs; przede wszystkim rozejrzał się wokół, aby się upewnić, w którą stronę płynie tartana; oddalali się ciągle od zamku If.

Edmund był tak wycieńczony, że okrzyk radości, jaki wydał, wzięto za jęk bólu.

Leżał, jakeśmy już wspomnieli, na pokładzie; jeden z majtków rozcierał mu członki wełnianą derką[354]; inny, ten, który zachęcał go do odwagi, usiłował mu wetknąć do ust szyjkę manierki[355], trzeci — stary marynarz, pilot i zarazem dowódca — spoglądał nań z owym egoistycznym współczuciem, jakie ludzie odczuwają na ogół wobec nieszczęścia, które ominęło ich wczoraj, ale może ich spotkać jutro.

Kilka kropel rumu ożywiło Edmunda, masowanie zdrętwiałych kończyn przywracało im zwykłą giętkość.

— Coś za jeden? — zapytał dowódca po francusku z fatalnym akcentem.

— Marynarz maltański — rzekł Edmund po włosku, z równie złym akcentem. — Wracaliśmy z Syrakuz z ładunkiem wina i panoliny. Sztorm dopadł nas niedaleko przylądka Morgion i rozbiliśmy się tam, o te skały.

— A skądże się tu wziąłeś?

— Uczepiłem się skał, o które nasz biedny kapitan roztrzaskał sobie głowę. Trzej inni moi towarzysze utonęli. Zdaje mi się, że tylko ja pozostałem przy życiu. Spostrzegłem wasz statek i z obawy, że będę musiał długo czekać na tej bezludnej, samotnej wyspie, chwyciłem belkę, co się ostała z naszego kutra, w nadziei, że uda mi się do was dostać. Dziękuję, ocaliliście mi życie — ciągnął Edmund. — Byłbym już na dnie, gdyby jeden z pańskich marynarzy nie chwycił mnie za włosy.

— A to ja — rzekł marynarz, na którego twarzy, otoczonej czarnymi faworytami, malowała się szczerość i otwartość. — Był już czas najwyższy, boś pan już tonął.

— Tak — odpowiedział Edmund, wyciągając ku niemu rękę. — Tak, przyjacielu, i dziękuję ci raz jeszcze z całego serca.

— Ale słowo daję — zawołał marynarz — że się wahałem przez chwilę; z taką brodą na sześć cali i włosami długości stopy wyglądałeś pan raczej na rozbójnika niż na uczciwego człowieka.

Edmund przypomniał sobie, że podczas całego pobytu na zamku If rzeczywiście nie golono mu ani raz brody, ani nie strzyżono włosów.

— A tak — rzekł — kiedyś w wielkim niebezpieczeństwie uczyniłem ślub Najświętszej Pannie del Pie de la Grotta, że przez dziesięć lat nie będę ani strzygł włosów, ani golił brody. Dziś właśnie mija dziesięć lat od dnia, gdy złożyłem ten ślub, i o mało nie utopiłem się w rocznicę tej przysięgi.

— I co my teraz z panem zrobimy? — zastanawiał się dowódca.

— Niestety to, co chcecie — odpowiedział Edmund. — Nasza feluka[356] jest strzaskana, kapitan mój nie żyje. Jak widzicie, uniknąłem takiego samego losu, ale za to jestem

[354]*derka* — gruby koc. [przypis edytorski]

[355]*manierka* — niewielkie naczynie metalowe, przeznaczone do przenoszenia napojów w warunkach polowych. [przypis edytorski]

[356]*feluka* — tradycyjna łódź o jednym lub dwóch trójkątnych żaglach. [przypis edytorski]

zupełnie goły. Na szczęście jestem dobrym marynarzem, zostawcie mnie w pierwszym porcie, do którego przypłyniecie, zawsze znajdę sobie służbę na jakimś kupieckim statku.

— Dobrze znasz Morze Śródziemne?

— Pływam po nim od dzieciństwa.

— Znasz pan tu najlepsze miejsca do rzucenia kotwicy?

— Mało jest przystani, nawet najtrudniejszych, do których nie potrafiłbym wpłynąć lub wypłynąć nawet z zamkniętymi oczami.

— No to powiedzcie, szefie — powiedział majtek, który krzyknął Edmundowi „Odwagi!" — jeżeli oczywiście kolega mówi prawdę, czemu nie mógłby zostać z nami?

— Tak, jeżeli nie kłamie — odpowiedział dowódca tonem wyrażającym wątpliwość. — Tylko że w sytuacji, w jakiej się biedak znajduje, obiecuje się złote góry, a dotrzymuje, ile zdoła.

— Więcej dotrzymam, niż obiecuję — żywo odpowiedział Dantès.

— Oho — roześmiał się dowódca. — Zobaczymy, zobaczymy.

— Jeżeli pan zechce, mogę spróbować zaraz — odparł Edmund, podnosząc się. — Gdzie płyniecie?

— Do Livorno[357].

— Po co więc tracicie czas na lawirowanie, zamiast zwrócić się ostrzej na wiatr?

— Dlatego, że wpakujemy się prosto na wyspę Rion.

— Ominiemy ją w odległości dwudziestu sążni.

— To bierz pan ster — rzekł kapitan — a zobaczymy, co umiesz.

Młodzieniec wziął się do steru; pociągnął go lekko i przekonał się, że statek, choć niezbyt zwrotny, jest posłuszny sterowi. Zakomenderował:

— Do brasów i szotów!

I czterej marynarze stanowiący załogę statku rzucili się na stanowiska, a dowódca patrzył tylko na nich bacznie.

— Przyciągaj! — zawołał Edmund.

Marynarze znów wykonali rozkaz z wystarczającą dokładnością.

— A teraz mocować!

Spełniono ten rozkaz jak i dwa poprzednie. Tartana przestała halsować i ruszyła prosto w stronę wyspy Rion, koło której przeszła zgodnie z zapowiedzią Edmunda o dwadzieścia sążni, zostawiając ją po prawej burcie.

— Brawo! — powiedział dowódca.

— Brawo! — powtórzyli majtkowie.

I patrzyli wszyscy z podziwem na tego człowieka, w którego oku zabłysła znów inteligencja, a ciało odzyskało siłę, której nikt w nim nie podejrzewał.

— Widzicie — rzekł Edmund, puszczając ster — że będę mógł się wam na coś przydać, przynajmniej podczas tego rejsu; a jeśli już mnie nie będziecie chcieli, gdy dopłyniemy do Livorno — no cóż, zostawicie mnie tam; i z pierwszej gaży zwrócę wam za jedzenie i odzież, którą mi pożyczycie.

— Zgoda! Zgoda! — rzekł kapitan. — Dogadamy się, bylebyś pan za dużo nie wymagał.

— Człowiek wart zawsze człowieka — rzekł Edmund. — Zapłaci mi pan tyle, co innym, a umowa stoi.

— To niesłuszne — rzekł marynarz, który wyciągnął z morza Edmunda — ponieważ więcej pan od nas umiesz.

— Po co się do diabła do tego mieszasz, Jacopo? Co cię to obchodzi? — żachnął się dowódca. — Każdemu wolno zaciągnąć się za tyle, ile mu się podoba.

— To prawda — odrzekł Jacopo. — To była tylko taka uwaga.

— Lepiej byś zrobił, gdybyś pożyczył temu chłopakowi — patrz, jaki goły — spodnie i bluzę, jeśli masz drugą parę.

— Nie — odrzekł Jacopo — ale mam koszulę i spodnie.

— To wszystko, czego mi trzeba — zapewnił Dantès — dzięki, przyjacielu.

[357] *Livorno* — miasto we Włoszech, w regionie Toskania. [przypis edytorski]

Jacopo zniknął w luku[358] i po chwili wyszedł, niosąc ubranie, które Edmund wciągnął na siebie z niewymownym zadowoleniem.

— A teraz czego panu jeszcze trzeba? — zagadnął dowódca.

— Kawałek chleba i parę łyków tego znakomitego rumu, którego już próbowałem. Od dawna nie miałem nic w ustach.

Istotnie — Edmund jadł ostatnio dwie doby temu.

Przyniesiono mu chleba, a Jacopo ofiarował mu manierkę.

— Ster na lewą burtę! — krzyknął kapitan, odwracając się do sternika.

Edmund popatrzył w tę samą stronę, podnosząc do ust manierkę, ale ręka zawisła mu w połowie drogi.

— No, no — zdziwił się kapitan — coś niezwykłego stało się na zamku If!

Rzeczywiście, nad zębatymi blankami[359] południowego bastionu[360] unosił się biały obłoczek dymu, który zwrócił uwagę Edmunda. Sekundę później odgłos dalekiego wystrzału zamarł u burty tartany.

Marynarze podnieśli głowy i spojrzeli po sobie.

— Co to znaczy? — zapytał dowódca.

— Uciekł pewnie tej nocy jakiś więzień — odparł Edmund — i strzelają na alarm.

Kapitan spojrzał spod oka na młodzieńca, który kończąc te słowa, podniósł do ust manierkę; ale zobaczył, że Edmund popija rum z takim spokojem i z tak szczerym zadowoleniem, że jeżeli żywił nawet jakieś podejrzenie, to przebiegło mu ono tylko przez głowę i natychmiast zgasło.

— To mi dopiero mocny rum — zauważył Edmund, wycierając rękawem koszuli mokre od potu czoło.

— W każdym razie — mruknął do siebie kapitan, zerkając na Dantèsa — jeżeli to on jest tym więźniem, tym lepiej; taki odważny człowiek to dobry nabytek.

Pod pretekstem zmęczenia Edmund poprosił, aby mu pozwolono usiąść przy sterze. Sternik, zachwycony, że ktoś go może zastąpić, zwrócił pytający wzrok na kapitana, który przyzwolił skinieniem głowy.

W ten sposób Edmund mógł się do syta napatrzeć Marsylii.

— Którego dziś — zapytał Jacopa, który przysiadł się do niego, gdy już stracili z oczu zamek If.

— Mamy 28 lutego — odpowiedział tamten.

— A który rok? — pytał dalej Edmund.

— Jak to, który rok? Pytasz pan, jaki mamy teraz rok?

— Tak, pytam właśnie o rok — powtórzył Edmund.

— Więc zapomniałeś, który mamy rok?

— Co chcesz? Tyle się tej nocy nabawiłem strachu — roześmiał się Edmund — że o mało nie postradałem rozumu; do tego stopnia, że mam jakieś kłopoty z pamięcią; dlatego pytam, jest 28 lutego którego roku?

— 1829 — rzekł Jacopo.

Minęło co do dnia czternaście lat od chwili, gdy Edmund został aresztowany.

Gdy zamknięto go w murach zamku, miał dziewiętnaście lat — wyszedł stamtąd w wieku trzydziestu trzech lat.

Bolesny uśmiech pojawił mu się na ustach; pomyślał, co też się działo z Mercedes przez ten czas, gdy musiała go już uważać za zmarłego.

I nagle w oczach zapłonęła mu nienawiść na wspomnienie ludzi, którzy skazali go na tak długą i okropną niewolę — i ponowił przysięgę, złożoną w więzieniu, że zemści się bez skrupułów na Danglarsie, Fernandzie i Villeforcie.

A przysięga ta nie była już czczą groźbą, bo teraz nawet najszybszy żaglowiec Morza Śródziemnego nie potrafiłby doścignąć małej tartany, która na pełnych żaglach pruła do Livorno.

---

[358] *luk* — otwór, którędy wchodzi się pod pokład. [przypis edytorski]

[359] *blanki* — elementy architektoniczne, stanowiące zwieńczenie budynku; swoim kształtem przypominają zęby. [przypis edytorski]

[360] *bastion* (z franc.) — narożne umocnienie wału fortecznego, wieża fortyfikacyjna. [przypis edytorski]

22. KONTRABANDZIŚCI

Dantès nie spędził na statku nawet jednego dnia, a już wiedział, z kim ma do czynienia. Zacny dowódca „Panny Amelii" (tak się nazywała tartana), chociaż nigdy nie uczęszczał na lekcje księdza Farii, znał jednak niemal wszystkie języki, jakimi mówi się wokół owego wielkiego jeziora, które nazywamy Morzem Śródziemnym — począwszy od arabskiego, skończywszy na prowansalskim. Dzięki temu, nie potrzebując korzystać z usług tłumaczy, ludzi nieznośnych i często niedyskretnych, mógł porozumiewać się łatwo czy to z załogami okrętów, czy małych łodzi, z którymi spotykał się w różnych punktach wybrzeża, czy też z owymi bezimiennymi indywiduami nieznanej narodowości, trudniącymi się równie nieokreślonym rzemiosłem, których pełno na bulwarach portowych, a którzy utrzymują się z jakichś tajemniczych, skrywanych źródeł, wskazywanych im chyba wprost przez Opatrzność, na oko bowiem nie widać, żeby mieli jakiekolwiek środki do życia. Łatwo odgadniemy, że Edmund znajdował się na pokładzie statku przemytniczego.

Dlatego właśnie dowódca przyjął z początku Edmunda z pewną nieufnością: był dobrze znany wszystkim celnikom z wybrzeża, a ponieważ między nim a owymi celnikami toczyła się nieustająca wojna na podstępy, pomyślał z początku, że młodzieniec był po prostu szpiegiem wysłanym przez straż celną, która chciała w ten sposób przeniknąć sekrety szmuglerskiego[361] zawodu. Jednak błyskotliwy manewr, jaki Dantès wykonał statkiem, wyprowadził go z podejrzeń. Później zaś, gdy ujrzał leciutki obłoczek dymu unoszący się nad zamkiem If i usłyszał daleki odgłos wystrzału, wkradło mu się na chwilę do głowy podejrzenie, czy czasem nie dostał się na jego pokład jeden z tych ludzi, których wjazdom i wyjazdom towarzyszą salwy armatnie, podobnie jak wizytom królów. Rzec jednak należy, że go to mniej zmartwiło, niż gdyby nowo przybyły okazał się celnikiem. Lecz i to przypuszczenie szybko odrzucił na widok niewzruszonego spokoju, jaki zachowywał jego nowy marynarz.

Edmund miał więc tę przewagę, że wiedział, kim jest jego kapitan, a kapitan nie był w stanie dowiedzieć się, kim jest nieznajomy. Z którejkolwiek strony by go nie zaszedł stary wilk lub któryś z załogi, trzymał się dobrze i nie zdradził się ni słowem; rozprawiał z taką dokładnością o Neapolu i Malcie, które znał równie dobrze jak Marsylię, że te opowieści, przynoszące zaszczyt jego pamięci, potwierdzały wszystko, co naopowiadał na początku. Tak więc szczwany Genueńczyk dał się wywieść w pole Edmundowi, któremu pomagała jego prostolinijność, marynarskie doświadczenie, a szczególnie mistrzostwo w udawaniu.

A zresztą Genueńczyk należał tylko do tych rozumnych ludzi, którzy wiedzą tylko to, co powinni wiedzieć, i wierzą w to, w co jest im wygodnie uwierzyć.

Tak to ułożyły się między nimi stosunki, gdy przybyli do Livorno.

Tu Edmund miał się sam wystawić na nową próbę: czy pozna sam siebie, nie widząc swojej twarzy od czternastu lat. Zachował dokładną pamięć tego, jak wyglądał za młodu, a dziś miał zobaczyć siebie jako dorosłego mężczyznę. Towarzysze ze statku wiedzieli, że wypełnione zostało jego ślubowanie, udał się więc do cyrulika[362] przy ulicy Świętego Ferdynanda, którego poznał podczas jednego z licznych pobytów w Livorno.

Golarz spojrzał ze zdumieniem na człowieka o długich włosach i gęstej czarnej brodzie, który przypominał jednego z modeli Tycjana[363]. W owej epoce nie było mody na tak długie włosy i brodę; dzisiaj golarz mógłby jedynie zdziwić się, gdyby człowiek obdarzony tak wspaniałymi atrybutami chciał się ich dobrowolnie pozbyć.

Cyrulik z Livorno zabrał się do pracy bez najmniejszych uwag.

Po zakończeniu tej operacji, gdy Edmund poczuł, że brodę ma ogoloną do skóry, a włosy doprowadzone do zwyczajnej długości, kazał sobie podać zwierciadło i spojrzał w nie.

Przemiana

Miał teraz lat trzydzieści trzy, jak już wspominaliśmy, i czternaście lat cierpień przyniosło duże zmiany w wyrazie jego twarzy.

[361] *szmuglerski* — związany z przemytem. [przypis edytorski]

[362] *cyrulik* — dawniej osoba wykonująca drobniejsze zabiegi medyczne i pielęgnacyjne (w tym m.in. golenie). [przypis edytorski]

[363] *Tycjan*, właśc. *Tiziano Vecelli* (1477–1576) — wł. malarz renesansowy, autor licznych portretów i obrazów o tematyce mitologicznej i religijnej. [przypis edytorski]

Edmund wstępował w bramy zamku If jako pogodny, otwarty, promieniejący szczęściem młodzieniec, któremu życie ułatwiło pierwsze kroki i który widział przed sobą pomyślną przyszłość jako naturalne przedłużenie tego dobra, co go do tej pory spotkało; to wszystko uległo dużym zmianom.

Owal jego twarzy wydłużył się, wesołe niegdyś usta zacisnęły się i nabrały stanowczego wyrazu; nad myślącym czołem pojawiła się zmarszczka; w oczach odbijał się głęboki smutek, a wytryskiwały z nich od czasu do czasu błyski mizantropii i nienawiści; cera, która tak długo nie widziała światła dnia ani promieni słonecznych, przybrała ową matową karnację, która nadaje przy ciemnych włosach tyle arystokratycznego piękna narodom z Północy; ponadto głęboka wiedza, jakiej nabył w więzieniu, rozświetlała jego twarz inteligencją i pewnością siebie; wreszcie, choć z natury dość wysoki, zdobył ową krzepkość charakteryzującą ludzi krępych, którzy koncentrują w sobie wszystkie swoje siły.

Jego sylwetka, niegdyś smukła, delikatna i wykwintna, stała się teraz bardziej przysadzista i muskularna. Modlitwy, łkania i złorzeczenia zmieniły mu zupełnie głos: raz dźwięczał on nadzwyczaj łagodnie, raz przebijały się w nim tony szorstkie i chrypliwe.

Na koniec, od nieustannego przebywania w półmroku lub zupełnej ciemności wzrok jego zyskał niezwykłą zdolność rozróżniania w nocy przedmiotów — jak hiena lub wilk.

Edmund uśmiechnął się do siebie na swój widok: nie rozpoznałby go najlepszy przyjaciel — gdyby taki istniał na świecie — bo sam Edmund siebie nie poznawał.

Dowódcy „Panny Amelii" bardzo zależało, aby zatrzymać u siebie człowieka tak użytecznego jak Edmund; zaproponował mu zaliczkę na poczet przyszłych zarobków i Edmund zgodził się. Po wyjściu więc od cyrulika, u którego dokonała się pierwsza metamorfoza, wstąpił zaraz do sklepu po strój marynarza. Kostium ten, jak wiadomo, jest bardzo prosty: białe spodnie, koszula w pasy i czapka frygijska. W takim ubiorze, gdy odniósł Jacopowi pożyczone spodnie i koszulę, stanął przed dowódcą „Panny Amelii" i na nowo musiał mu powtórzyć całą zmyśloną historię: kapitanowi nie chciało się wierzyć, że ten elegancki marynarz jest tym samym człowiekiem, który ociekający wodą, nagi, brodaty, z algami we włosach i niemal umierający został przez nich przyjęty na pokład.

Ujęty jego wyglądem ponowił swoje propozycje angażu[364], ale Edmund, który miał już swoje własne plany, zgodził się służyć tylko przez trzy miesiące.

Załoga „Panny Amelii" rzadko odpoczywała, podlegając dowódcy, który nie zwykł tracić czasu na próżno. Tydzień zaledwie bawili w Livorno, a już statek był załadowany wzorzystymi muślinami[365], przemyconą bawełną, angielskim tytoniem i prochem, których urzędnicy skarbowi zapomnieli ostemplować. Należało teraz wypłynąć z tym wszystkim z Livorno, portu wolnocłowego, i dokonać wyładunku na wybrzeżu Korsyki, gdzie już oczekiwali na towar spekulanci gotowi upłynnić[366] wszystko we Francji.

Statek wyruszył. Edmund znowu przemierzał to lazurowe morze, które tak często pojawiało mu się we snach, gdy był w więzieniu. Na prawo została Gorgona, po lewej stronie Pianosa; zbliżali się ku ojczyźnie Paoliego[367] i Napoleona.

Nazajutrz kapitan, wszedłszy rano na pomost (a czynił to zawsze bardzo wcześnie), zastał tam Edmunda, wpatrującego się z dziwnym wyrazem twarzy w spiętrzone granitowe skały, które wschodzące słońce zalewało różowawym blaskiem: była to wyspa Monte Christo.

„Panna Amelia" zostawiła ją o trzy czwarte mili po prawej burcie, zmierzając prosto na Korsykę.

Płynąc wzdłuż brzegów wyspy o tak znaczącej dlań nazwie, Edmund rozmyślał, że gdyby tylko skoczył do morza, stanąłby już za pół godziny na tej ziemi obiecanej. Ale cóż by tam począł, nie mając narzędzi do odkopania skarbu ani broni w razie napaści? Zresztą, co by na to powiedzieli marynarze? Co by pomyślał kapitan? Trzeba było zaczekać.

Szczęściem Edmund umiał czekać: czekał na wolność przez czternaście lat — teraz więc, gdy jest wolny, może poczekać jeszcze pół roku lub rok na fortunę.

---

[364]*angaż* (z fr. *engager*: zobowiązywać się) — zatrudnienie, umowa o pracę. [przypis edytorski]

[365]*muślin* — rodzaj cienkiej tkaniny. [przypis edytorski]

[366]*upłynnić* — odsprzedać, szczególnie po zaniżonej cenie. [przypis edytorski]

[367]*Paoli, Pasquale* (1725–1807) — bohater narodowy Korsyki, przywódca pierwszego i jedynego niepodległego państwa korsykańskiego (1755–1769); syn Giacinta Paoliego, przywódcy powstania przeciw Genui z roku 1729; przeciwnik polityczny Napoleona Bonapartego. [przypis edytorski]

Gdyby ofiarowano mu wolność bez bogactwa, czyż nie przyjąłby jej?

Zresztą, czy te bogactwa nie są jedynie chimerą? Narodzone w chorym umyśle biednego Farii, czyż nie umarły razem z nim?

Choć prawda, że list kardynała Spady był zadziwiająco precyzyjny.

Edmund powtarzał go sobie od początku do końca w pamięci, nie zapomniawszy ani słowa.

Nadszedł wieczór, Edmund widział, jak wyspa zmieniała barwę, przechodząc przez wszystkie odcienie zmroku i tonęła na koniec w ciemnościach, niewidzialna już dla nikogo; tylko on, przywykły do więziennych mroków, dostrzegał ją nadal.

Świt zastał ich na wysokości Alerii; dzień cały lawirowali, wieczorem na brzegu zabłysły światła. Po układzie tych ogni można było poznać, że wyładunek można rozpocząć. Żaglowiec zbliżył się do lądu na odległość strzału. Cztery łodzie podpłynęły do statku, z którego, zapewne aby oddać im należne honory, spuszczono szalupę; pięć tych szalup tak dobrze się spisało, że o drugiej rano cały ładunek „Panny Amelii" znalazł się na lądzie. Dowódca „Panny Amelii", jako człowiek ceniący sobie porządek, rozdzielił premię; każdy z załogi otrzymał sto liwrów toskańskich, mniej więcej 80 franków w naszej monecie.

Ale wyprawa jeszcze się nie zakończyła; wzięto teraz kurs na Sardynię. Trzeba było przecież statek na nowo napełnić towarami.

Druga operacja odbyła się równie szczęśliwie jak pierwsza. Gwiazdy sprzyjały „Pannie Amelii".

Towar przeznaczony był dla księstwa Lukki[368]. Składał się w większej części z cygar hawańskich, xeres[369] i malagi[370].

Ale tutaj doszło do zatargu z celnikami, odwiecznymi wrogami kapitana. Padł jeden celnik, a dwóch majtków raniono, pomiędzy rannymi był Edmund. Kula przebiła mu lewe ramię.

Edmund był niemal szczęśliwy z owej potyczki i cieszył się swoją raną; dzięki nim dowiedział się, jak potrafi się zachować wobec niebezpieczeństwa i jak znosi ból. Z uśmiechem przywitał niebezpieczeństwo, a ból przyjął słowami, które wyrzekł niegdyś grecki filozof: „Bólu! Nie jesteś złem"[371].

Obejrzał śmiertelnie ranionego celnika, i czy to w podnieceniu wywołanym walką, czy dlatego, że zagasły w nim ludzkie odruchy, nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia. Był już na ścieżce, którą chciał podążać do celu, jaki pragnął osiągnąć: serce zaczynało zamieniać mu się w kamień.

A Jacopo, widząc, że Edmund pada, i sądząc, że nie żyje, rzucił się do niego, podniósł i opiekował się później jak najlepszy przyjaciel.

Świat ten nie jest zatem tak dobry, jak uważał doktor Pangloss[372], ale może nie jest też tak zły, jak sądził Edmund; jeśli ten człowiek, który nie mógł się spodziewać od swego towarzysza niczego, chyba przypadającej na Edmunda części zysków, tak wielki smutek poczuł na widok jego domniemanej śmierci?

Szczęściem, jak już to powiedzieliśmy, Edmund był tylko ranny; dzięki pewnym ziołom sprzedawanym przemytnikom przez stare wieśniaczki z Sardynii, rana wkrótce się zagoiła. Edmundowi zachciało się wtedy wybadać do reszty serce Jacopa; zaofiarował mu za opiekę nad sobą swoją premię; Jacopo z oburzeniem odmówił.

Z serdeczności i oddania, jakie od pierwszej chwili Jacopo okazywał Edmundowi, narodziło się w sercu Edmunda coś na kształt sympatii do niego. Ale Jacopo nie wymagał więcej, odgadł u Edmunda instynktem jakąś niezwykłą wyższość, którą Edmundowi udawało się ukrywać przed innymi.

I tak w czasie długich dni na pokładzie, gdy statek przemykał śmiało po lazurowym morzu, i dzięki pomyślnemu wiatrowi sternik mógł się obejść bez pomocy, Edmund

[368] *Lukka* — miasto w Toskanii, niegdyś ośrodek produkcji jedwabniczej. [przypis edytorski]

[369] *xeres* — także: *sherry, jerez*; mocne hiszpańskie wino pochodzące z Andaluzji. [przypis edytorski]

[370] *malaga* — mocne hiszp. wino, charakteryzujące się słodkim smakiem. [przypis edytorski]

[371] *Bólu! Nie jesteś złem* — nawiązanie do słów gr. filozofa Posejdoniosa z Rodos, które Cyceron przytacza w jednym ze swoich traktatów (*Rozmowy tuskulańskie* II 61): „Niczego nie osiągasz, bólu! Jak bardzo byś nie był uciążliwy, nigdy nie przyznam, że jesteś złem" (łac. *Nihil agis, dolor! Quamvis sis molestus, numquam te esse confitebor malum*). [przypis edytorski]

[372] *doktor Pangloss* — bohater *Kandyda* Woltera, zagorzały zwolennik optymizmu. [przypis edytorski]

z kartą[373] morską w ręku uczył Jacopa — jak niegdyś biedny ksiądz nauczał jego samego. Pokazywał Jacopowi linię wybrzeży, tłumaczył działanie busoli[374], uczył go czytać w wielkiej księdze otwartej nad naszymi głowami, która zowie się niebem, a na której błękitnych kartach sam Bóg kaligrafuje diamentowe litery.

A gdy Jacopo pytał:

— Po co te wszystkie nauki dla takiego biednego marynarza, jak ja?

Edmund odpowiadał:

— Kto wie? Może będziesz kiedyś kapitanem statku, twój rodak Bonaparte został przecież cesarzem.

Zapomnieliśmy powiedzieć, że Jacopo był Korsykaninem.

Dwa i pół miesiąca już upłynęło na tych kolejnych wyprawach; Edmund nabył takiej biegłości w rzemiośle kabotażu, jaką posiadał, gdy wypuszczał się w dalekie rejsy; poznajomił się ze wszystkimi przemytnikami wybrzeża, nauczył się ich tajemnych znaków, za pomocą których poznawali się między sobą owi na pół korsarze.

Ze dwadzieścia razy przepływał obok wyspy Monte Christo, nigdy jednak nie znalazł okazji, aby na niej wylądować.

Postanowił więc rzecz następującą:

Gdy tylko upłynie termin umowy z kapitanem „Panny Amelii", najmie dla siebie małą łódkę i pod jakimkolwiek pozorem uda się na Monte Christo.

Tam zupełnie swobodnie zacznie poszukiwania.

Ach, nie, wcale nie swobodnie, bo śledzić go będą przecież ciekawe oczy towarzyszy wyprawy.

Ale na tym świecie trzeba przecież czasem ryzykować.

Więzienie nauczyło Edmunda ostrożności i wolałby naprawdę obejść się bez ryzyka.

Ale nie był w stanie wymyślić innego sposobu dostania się na wyspę, jak tylko kazać się tam zawieźć. Pogrążał się coraz bardziej w tych wahaniach, gdy pewnego wieczoru dowódca, który darzył go wielkim zaufaniem i chętnie zatrzymałby u siebie, wziął go za ramię i zaprowadził do szynku[375] na Via del Oglio, gdzie zwykle zbierała się śmietanka przemytników w Livorno.

Tu właśnie rozmawiano o interesach na przemytniczym wybrzeżu. Parę razy Edmund zachodził już do tej giełdy morskiej, a widząc tych zuchwałych korsarzy wywodzących się z całego wybrzeża wokół, liczącego dwa tysiące mil długości, zadawał sobie pytanie, jaką potęgą rozporządzałby człowiek, gdyby mógł pociągać za te zbieżne lub rozbieżne nici.

Tym razem chodziło o iście złoty interes: o statek załadowany tureckimi dywanami, materiałami z Lewantu i kaszmirami[376]. Trzeba było wyszukać miejsce neutralne, gdzie mogłaby nastąpić wymiana, a potem postarać się przewieźć towar na francuskie wybrzeże.

W razie powodzenia zysk miał być ogromny; po pięćdziesiąt lub nawet sześćdziesiąt piastrów[377] na głowę.

Kapitan „Panny Amelii" zaproponował jako miejsce dogodne do przeładunku wyspę Monte Christo, zupełnie bezludną, niemającą ani załogi wojskowej ani straży celnej. Ponoć wysepkę rzucił na morze w czasach pogańskiego Olimpu[378] Merkury[379], opiekun złodziei i kupców. Dziś oddzieliliśmy od siebie te dwa rzemiosła; starożytni, jak widać, pod jeden podciągali je szyld.

Na wzmiankę o Monte Christo Edmund zadrżał z radości i aby ukryć wzruszenie, powstał i przeszedł się po zadymionym szynku, w którym wszystkie języki świata stapiały się w jeden jedyny — *lingua franca*[380].

---

[373] *karta* (daw.) — mapa [przypis edytorski]

[374] *busola* — przyrząd do wyznaczania kursu; jest podobnym do kompasu pudełkiem z igłą magnetyczną i podziałką, ale dodatkowo posiada przyrząd celowniczy pomagający w wyznaczaniu azymutu, czyli kąta pomiędzy wybranym kierunkiem a północą. [przypis edytorski]

[375] *szynk* (daw.) — lokal, raczej podrzędny, w którym sprzedawano alkohol. [przypis edytorski]

[376] *kaszmir* — rodzaj cienkiej tkaniny z koziej wełny. [przypis edytorski]

[377] *piaster* — dolar hiszpański lub bliskowschodnia moneta. [przypis edytorski]

[378] *Olimp* — góra w Grecji, w mitologii uznawana za siedzibę bogów. [przypis edytorski]

[379] *Merkury* (mit. rzym.) — posłaniec bogów, opiekun kupców, podróżników i złodziei, odpowiednik gr. Hermesa. [przypis edytorski]

[380] *lingua franca* (wł.: język Franków) — uproszczony gramatycznie język używany od średniowiecza w basenie Morza Śródziemnego w kontaktach handlowych i dyplomatycznych między Arabami a Europejczykami, będący mieszanką francuskiego, włoskiego, greckiego, hiszpańskiego i arabskiego. [przypis edytorski]

Gdy powrócił do rozmawiających, decyzja już zapadła: przeładunek miał się odbyć na Monte Christo. Kapitan postanowił wyruszyć następnej nocy. Edmund, zapytany o zdanie, oświadczył, iż położenie wyspy zapewniało bezpieczeństwo i że wszystkie wielkie przedsięwzięcia należy realizować szybko, jeżeli miały być uwieńczone powodzeniem.

Nic nie zostało zatem zmienione w ustalonym planie. Uzgodnili, że od jutrzejszego wieczoru zaczną przygotowywać się do odjazdu, a ponieważ morze było spokojne, a wiatr pomyślny, spodziewali się, że wpłyną na neutralne wody wyspy pojutrze wieczorem.

23. WYSPA MONTE CHRISTO

Nareszcie szczęśliwy traf dopisał Edmundowi — bo i ludziom prześladowanym przez los zdarza się spotkać szczęście w życiu — i Edmund miał osiągnąć swój cel w najprostszy, najbardziej naturalny sposób; stanie na wyspie, nie budząc niczyich podejrzeń.

Jedna tylko noc dzieliła go od tak upragnionego wyjazdu.

Była to noc najbardziej niespokojna ze wszystkich, jakie przeżył Edmund. Po kolei jawiły mu się najlepsze i najgorsze możliwości: gdy zamykał oczy, widział list kardynała Spady wypisany ognistymi literami na murze, gdy zasnął na chwilę, najbardziej szalone sny kotłowały mu się w głowie. Schodził do grot wybrukowanych szmaragdami, o rubinowych ścianach, w których ze sklepień zwisały diamentowe stalaktyty[381]. Wolniutko, jedna po drugiej, spływały perły, jak sączą się w podziemiach krople wody.

Edmund zachwycony i zdumiony chciwie napełniał kieszenie drogimi kamieniami. Gdy wychodził na światło dzienne, klejnoty zamieniały się w polne kamienie. Usiłował wejść jeszcze raz do cudownych grot, widzianych tylko przez chwilę, ale droga do nich zwijała się w tysięczne skręty, wejście do grot znikało mu z oczu. Na próżno szukał w pamięci tego magicznego słowa, co otwierało jaskinie Ali Baby[382]. Skarb zniknął i przeszedł na własność geniuszów[383] ziemi.

Nadszedł dzień nie mniej niespokojny niż noc, ale wraz z dniem na ratunek imaginacji przybył zdrowy rozsądek, tak że Edmund mógł wreszcie ułożyć plan, który miał do tej pory nader niewyraźne kontury.

Z nadejściem wieczoru zaczęto krzątać się wokół odjazdu. Dzięki tym przygotowaniom Edmund mógł z łatwością ukryć swoje wzruszenie. Powoli zdobył sobie wśród towarzyszy takie poważanie, że słuchali go, jakby sam był dowódcą, że zaś jego rozkazy były zawsze jasne, dokładne i łatwe do wykonania, towarzysze ulegali mu chętnie, spełniając je w mgnieniu oka. Stary kapitan patrzył na to z pobłażliwością; sam uznał już wyższość Edmunda nad innymi marynarzami i nawet nad sobą. Widział w młodzieńcu wymarzonego następcę; żałował tylko, że nie ma córki, by bardziej związać ze sobą Edmunda przez taki wspaniały mariaż.

O siódmej wszystko było gotowe; dziesięć minut później mijali latarnię, dokładnie w chwili, gdy ją zapalano. Morze było spokojne, świeża bryza wiała z południowego wschodu. Płynęli pod szafirowym sklepieniem, na którym Stwórca zapalał kolejno tysiące latarni, z których każda stanowi oddzielny świat. Edmund oświadczył, że cała załoga może iść spać, ponieważ on weźmie się do steru.

Kiedy Maltańczyk (tak bowiem nazywano Edmunda) czynił podobne oświadczenie, wystarczało to wszystkim; wszyscy więc jak najspokojniej poszli spać.

Zdarzało się to nieraz. Edmund, wróciwszy nagle z samotności w zgiełk świata, odczuwał nieraz jej wielką potrzebę. A gdzież znaleźć doskonalszą i zarazem bardziej poetyczną samotność, jak nie na statku, żeglującym w noc, wśród ciszy wodnego bezmiaru, pod opiekuńczym spojrzeniem Boga?

Gdy kapitan obudził się, statek szedł prędko pod pełnymi żaglami, nie zwisał ani jeden skrawek płótna — wszystkie wydymał wiatr, płynęli ponad dwie i pół mili na godzinę.

Wyspa Monte Christo coraz wyraźniej rysowała się na horyzoncie.

---

[381] *stalaktyt* — naciek wapienny w postaci sopla zwisającego ze stropu jaskini. [przypis edytorski]

[382] *Ali Baba* — bohater baśni ze zbioru *Tysiąca i jednej nocy* pt. *Ali Baba i czterdziestu rozbójników*; za pomocą formułki "Sezamie, otwórz się!" uzyskał dostęp do jaskini, w której przechowywane były przez tytułowych rozbójników wielkie skarby. [przypis edytorski]

[383] *geniusz* (mit. rzym.) — bóstwo opiekuńcze miejsca albo osoby, wyobrażane jako uskrzydlony człowiek; później ogólnie duch (dobry albo zły). [przypis edytorski]

Edmund zdał dowództwo statku właścicielowi, a sam położył się w koi[384]; lecz mimo bezsennie spędzonej nocy ani na chwilę nie zmrużył oka.

Po dwóch godzinach wrócił znowu na pokład. Statek właśnie omijał Elbę. Ubarwiony czerwienią wierzchołek Monte Christo wystrzeliwał w górę na tle czystego błękitu nieba.

Edmund kazał położyć ster na lewą burtę, aby zostawić po prawej stronie Pianosę; wydawało mu się, że manewr ten powinien skrócić drogę o kilka węzłów[385]. Około piątej po południu wyspa widoczna już była przed nimi w całej okazałości. Dostrzec można było najdrobniejsze szczegóły pejzażu, powietrze bowiem było niezwykle przejrzyste, jak to się zwykle dzieje o zachodzie słońca.

Edmund pochłaniał oczyma ten masyw skalny, mieniący się wszystkimi kolorami zmierzchu, od jasnoróżowego aż po granatową. Co chwilę na twarz występowały mu ognie, czoło okrywało się rumieńcem, a purpurowa mgła ćmiła mu wzrok.

Żaden hazardzista, stawiający na jedną kartę cały swój majątek, nie czuł większego lęku, jak ten, który ogarniał Edmunda w przypływach i odpływach nadziei.

Zapadła noc. O dziesiątej wieczorem przybili do brzegu: „Panna Amelia" pierwsza przybyła na spotkanie.

Edmund, umiejący tak dobrze nad sobą panować, nie mógł się powstrzymać i pierwszy wyskoczył na ląd.

Noc była ciemna, ale około jedenastej z morza wychynął księżyc, posrebrzając światłem każdą zmarszczkę na wodzie.

Załoga dobrze znała wyspę, był to jeden z jej zwyczajowych przystanków. Dantès oglądał ją wiele razy podczas rejsów na Wschód, ale nigdy nie wysiadał na brzeg. Zapytał więc Jacopa:

— Gdzie spędzimy noc?

— Przecież że na tartanie.

— A czy nie lepiej by nam było w grotach?

— W jakich grotach?

— W grotach na wyspie.

— Nie słyszałem o żadnych grotach — rzekł Jacopo.

Zimny pot wystąpił na czoło Edmunda.

— Więc nie ma grot na Monte Christo? — zapytał.

— Nie.

Przez chwilę Edmund stał osłupiały; następnie przyszło mu na myśl, że może groty zniszczyła jakaś katastrofa lub też kardynał Spada z ostrożności ukrył do nich wejście.

W tym ostatnim przypadku szło więc o to, aby to wejście odnaleźć. W nocy nie warto go było szukać, odłożył więc wszystko do jutra. Zresztą sygnał dany o pół mili od brzegu, na który „Panna Amelia" odpowiedziała podobnym sygnałem, przypomniał, że trzeba zabrać się do roboty.

Opóźniony statek przybliżył się wkrótce, biały i cichy jak zjawa; kotwicę zarzucono w odległości jednego kabla[386] od brzegu.

Podczas przeładunku Edmund rozmyślał, jakie okrzyki radości wśród tych ludzi mógłby wywołać, gdyby wypowiedział głośno myśl dudniącą mu stale w uszach. Ale że nie zamierzał zdradzić tajemnicy, wydało mu się, że i tak już za dużo powiedział; że wzniecił podejrzenia, kręcąc się tu i tam, powtarzając te same pytania, obserwując wszystko pilnie i bezustannie o coś się martwiąc. Szczęściem — przynajmniej przy takiej okazji — że jego tragiczna przeszłość odbiła się na jego twarzy niezatartym piętnem smutku i radość, która ukazywała się czasem na jego obliczu, znikała równie szybko jak błyskawica.

Nikt nie domyślał się niczego; i gdy nazajutrz Edmund oznajmił, zabrawszy fuzję[387], śrut[388] i proch, że ma zamiar upolować jedną z kozic śmigających po pobliskich skałach, przypisano to jedynie żyłce myśliwskiej i potrzebie samotności. Tylko Jacopo nalegał, aby pójść razem z nim. Dantès nie protestował z obawy, że ten opór mógłby obudzić jakieś podejrzenia. Ale zaledwie uszli ćwierć mili, Edmundowi trafiła się okazja, by zapolować

[384] *koja* — rodzaj łóżka używanego przez marynarzy na statku. [przypis edytorski]

[385] *węzeł* — jednostka prędkości morskiej, wynosząca milę morską (ok. 1,8 km) na godzinę. [przypis edytorski]

[386] *kabel* — jednostka odległości stosowana w nawigacji, równa ok. 200 m. [przypis edytorski]

[387] *fuzja* (daw.) — długolufowa, ręczna broń palna. [przypis edytorski]

[388] *śrut* — ołowiany pocisk. [przypis edytorski]

— trafił kozła i poprosił Jacopa, aby zaniósł go dla towarzyszy, niech upieką zwierzę, a potem dadzą mu znać wystrzałem, gdy będzie gotowe. Suszone owoce i butla wina Montepulciano[389] miały dopełnić uczty.

Edmund szedł dalej, oglądając się co chwila za siebie. Gdy dotarł na szczyt skały, zobaczył o tysiąc stóp niżej, jak jego towarzysze razem z Jacopem brali się ochoczo do przygotowania obiadu, powiększonego niespodzianie o pieczeń dzięki zręczności Edmunda.

Edmund patrzył na nich przez chwilę z łagodnym i smutnym zarazem uśmiechem człowieka pewnego swojej wyższości.

— Za dwie godziny — szepnął do siebie — ludzie ci odjadą stąd, o pięćdziesiąt piastrów bogatsi, będą znowu narażać życie, aby zyskać drugie pięćdziesiąt. Powrócą potem, posiadając sześćset liwrów i dumni jak sułtani, pewni siebie jak wschodni nababowie[390] roztrwonią je w pierwszym lepszym mieście. Nadzieja każe mi dziś gardzić ich bogactwem, które mi się wydaje największą nędzą; a jutro spotka mnie może takie rozczarowanie, że będę musiał tę nędzę uważać za szczyt szczęścia... Ale nie! — wykrzyknął. — Tak nie będzie! Mądry, nieomylny Faria nie pomyliłby się w tej jednej rzeczy. W każdym razie wolałbym umrzeć, niż dalej prowadzić tak nędzne, poniżające życie.

Tym więc sposobem Edmund, który przed trzema miesiącami wzdychał tylko do wolności, dziś już nie zadowalał się nią, zaczął wzdychać do bogactwa; wina nie leżała po stronie Edmunda, ale samego Boga — który ograniczając władzę człowieka, obdarzył go jednocześnie pragnieniami bez granic.

Tymczasem Edmund wędrował ścieżką między dwiema ścianami skalnymi; ścieżki tej, wyżłobionej przez wyschły od dawna potok, najprawdopodobniej nigdy nie tknęła ludzka stopa; zbliżał się wreszcie do miejsca, gdzie — jak przypuszczał — mogły się znajdować groty. Idąc równolegle do wybrzeża morskiego, badawczo przyglądając się najdrobniejszym szczegółom, zauważył, że na niektórych skałach widnieją zagłębienia wykute, jak mu się zdawało, ręką ludzką.

Czas, który zarzuca na rzeczy martwe płaszcz z mchu, tak jak spowija płaszczem zapomnienia sprawy ducha, potraktował z uszanowaniem te znaki, wykute w regularnych odstępach, jakby miały wskazywać jakiś trop. Niekiedy znikały jednak pod kępami kwitnących mirtów[391] lub pasożytniczymi porostami. Musiał wtedy rozgarniać gałęzie lub odrywać mech, aby odnaleźć owe znaki, które prowadziły go naprzód w tym labiryncie. Znaki te ożywiły nadzieje młodzieńca. Czemuż tych śladów nie miałby zostawić sam kardynał Spada, aby w razie jakiejś katastrofy posłużyły za drogowskaz jego siostrzeńcowi? To pustkowie musiałoby wydać się dogodne każdemu człowiekowi, który chciałby ukryć swój skarb. Czy tylko te znaki zdradzieckie nie przyciągnęły już innych oczu oprócz tych, dla których były przeznaczone? Czy wyspa mrocznych cudów wiernie strzegła wspaniałej tajemnicy, ukrytej w swym łonie?

Tymczasem, o sześćdziesiąt kroków od zatoczki, wydało się Edmundowi — ciągle chowającemu się przed oczyma towarzyszy za nierównościami terenu — że wyżłobienia urywają się nagle; ale nie było tu żadnej groty. Wielki owalny głaz, mocno osadzony, wydawał się jedynym celem, do którego prowadziły. Edmund pomyślał, że może to, co wydaje mu się końcem trasy, jest jej początkiem — i zawrócił tą samą drogą.

W tym czasie towarzysze Dantesa przygotowywali obiad, czerpali ze źródła wodę, przenosili na wyspę chleb i owoce i opiekali koźlę. Właśnie w tej chwili, gdy zdejmowali go z improwizowanego rożna, spostrzegli Edmunda, który przeskakiwał lekko i śmiało jak kozica ze skały na skałę. Aby dać mu znak, że wszystko gotowe, któryś wystrzelił w powietrze. Myśliwy zmienił natychmiast kierunek i jął wracać biegiem w ich stronę. Ale gdy tak śledzili wzrokiem ten niemal lot, taksując jednocześnie zuchwałość Edmunda, młodzieńcowi obsunęła się nagle noga — jakby dla potwierdzenia lęków towarzyszy; zachwiał się na wierzchołku skały, wydał okropny krzyk i zniknął.

Wszyscy rzucili się jednocześnie w to miejsce, każdy bowiem czuł do Edmunda sympatię, mimo jego wyższości; ale Jacopo przybył pierwszy.

[389] *wino Montepulciano* — czerwone wino produkowane w toskańskiej miejscowości Montepulciano z lokalnych odmian winorośli (głównie sangiovese). [przypis edytorski]

[390] *nabab* (daw.) — Europejczyk, który wzbogacił się w Indiach. [przypis edytorski]

[391] *mirt* — krzew śródziemnomorski o wonnych liściach; symbol miłości i męstwa. [przypis edytorski]

Edmund zbroczony krwią leżał nieprzytomny; musiał spaść z wysokości dwunastu, piętnastu stóp. Wlano mu do ust kilka kropel rumu, i to lekarstwo podziałało równie skutecznie, jak za pierwszym razem.

Edmund otworzył oczy; skarżył się mocno na ból w kolanie, ciężar w głowie i nieznośne rwanie w krzyżach. Marynarze chcieli go przenieść na brzeg, ale zaledwie go dotknęli, jęknął — choć to Jacopo kierował operacją — i oświadczył, że nie starczy mu sił, by wytrzymać transport.

Rozumie się, że nie było co myśleć, by Edmund mógł spróbować obiadu; ale poprosił, by towarzysze, których podobne powody nie skazywały na dietę, wrócili na miejsce. Utrzymywał, że jemu potrzeba tylko trochę odpoczynku, i że gdy powrócą tutaj później, zastaną go w lepszym stanie. Marynarze nie dali się długo prosić, byli głodni; zapach pieczystego[392] dolatywał ich aż tutaj, a wilki morskie nie robią ze sobą ceremonii[393].

Po godzinie przyszli znowu; przez ten czas Edmund zdołał zaledwie podpełznąć kilkanaście kroków do porośniętej mchem skały i oprzeć się o nią.

Ale bóle nie zmniejszyły się, owszem — zdawały się wzmagać. Stary kapitan, który musiał ruszyć przed południem, by wyładować towar na granicy Piemontu i Francji, pomiędzy Niceą a Fréjus[394], nalegał mocno, by Edmund starał się podnieść. Edmund czynił największe wysiłki, by zadośćuczynić życzeniu szefa, ale po każdej próbie upadał na ziemię, blady i drżący.

— Musi mieć połamany kręgosłup — rzekł cicho kapitan. — Mniejsza o to, to dobry towarzysz, nie można go tak zostawić, trzeba go przenieść na pokład.

Edmund jednak oświadczył, że wolałby umrzeć niż się narazić na straszliwy ból, wywoływany przez najmniejszy nawet ruch.

— A więc — rzekł dowódca — niech się dzieje wola Boża; nikt nie powie, żeśmy zostawili bez pomocy tak zacnego towarzysza jak ty. Odpłyniemy dopiero wieczorem.

Zdziwiło marynarzy to postanowienie, chociaż żaden się nie sprzeciwił. Kapitan był człowiekiem tak nieustępliwym, że widzieli po raz pierwszy, jak rezygnuje z przedsięwzięcia lub przynajmniej opóźnia jego wykonanie.

Edmund ze swej strony nie mógł się zgodzić, aby łamano dla niego zasady dyscypliny obowiązującej na statku.

— Nie! — rzekł do dowódcy. — Byłem niezręczny, słusznie poniosę konsekwencje mojej niezręczności. Zostawcie mi mały zapas sucharów, strzelbę, proch i kule, żebym mógł sobie co upolować lub obronić się w razie potrzeby, i łopatę, może sobie zbuduję jakieś schronienie, jeślibyście nie mogli przyjechać po mnie zaraz.

— Ależ ty z głodu umrzesz — sprzeciwił się dowódca.

— Wolę umrzeć, niż czuć ten straszliwy ból za najmniejszym ruchem.

Dowódca spojrzał na statek kołyszący się na falach, z żaglami rozpostartymi już do połowy, gotowy do odpłynięcia, gdy tylko jego toaleta[395] będzie zakończona.

— Cóż mam zrobić, Maltańczyku — rzekł — nie możemy cię tak zostawić ani nie możemy zostać.

— Jedźcie, jedźcie! — zawołał Edmund.

— Zabawimy najmniej tydzień w drodze — rzekł kapitan — a potem będziemy musieli zboczyć z kursu, aby cię zabrać z sobą.

— Posłuchajcie — powiedział Edmund. — Jeśli za parę dni spotkacie jakiś statek rybacki lub inny, który by płynął w tę stronę, polećcie mnie załodze; zapłacę im dwadzieścia pięć piastrów za odwiezienie mnie do Livorno. Jeżeli nie spotkacie nikogo, wrócicie sami.

Kapitan pokręcił głową.

— Posłuchajcie, szefie: na wszystko jest sposób — odezwał się Jacopo. — Odpływajcie, a ja zostanę opiekować się rannym.

— Jak to — spytał Edmund — zrzekasz się swojej części zysków?

— Tak — odpowiedział Jacopo. — I to bez żalu.

---

[392] *pieczyste* — pieczone mięso. [przypis edytorski]

[393] *ceremonia* — tu: przesadna dbałość o etykietę, grzeczność. [przypis edytorski]

[394] *Nicea*, *Fréjus* — miasta portowe na płd. Francji, leżące nad Lazurowym Wybrzeżem. [przypis edytorski]

[395] *toaleta* — elegancki strój a. ubieranie się, dopracowywanie swojego wyglądu. [przypis edytorski]

— Zacny z ciebie chłop, mój Jacopo — rzekł Edmund — i Bóg cię wynagrodzi za twoje dobre chęci, ale dziękuję, nie potrzebuję nikogo; parę dni odpoczynku postawi mnie na nogi, a spodziewam się, że w tych skałach znajdę zioła, które są doskonałe na kontuzje.

I dziwny uśmiech przemknął mu po ustach. Uścisnął serdecznie rękę Jacopowi, ale pozostał niewzruszony przy swojej decyzji: zostanie tutaj, chce zostać sam.

Kontrabandziści zostawili Edmundowi wszystko, o co prosił, i odeszli, odwracając się co chwilę i serdecznie go żegnając, na co Edmund odpowiadał tylko ruchem dłoni, jakby nie mogąc poruszyć resztą ciała.

Gdy zniknęli, szepnął z uśmiechem:

— Dziwna rzecz, że właśnie wśród takich ludzi można znaleźć tyle dowodów przyjaźni i poświęcenia.

Z wielką ostrożnością wczołgał się na szczyt skały, która mu zasłaniała widok na morze i stamtąd przypatrywał się, jak na tartanie kończą taklowanie, podnoszą kotwicę; wreszcie statek zakołysał się wdzięcznie, jak mewa zrywająca się do lotu, i odpłynął.

Po godzinie zniknął mu z oczu zupełnie, a przynajmniej nie można było już go dostrzec z miejsca, gdzie Edmund się znajdował.

Wówczas ranny podniósł się lekko i zwinnie jak kozica, chwycił strzelbę, w drugą rękę wziął łopatę i pobiegł czym prędzej do głazu, przy którym kończyły się nacięcia.

— A teraz — krzyknął, przypomniawszy sobie powiastkę o arabskim rybaku, którą mu opowiedział Faria — a teraz: „Sezamie, otwórz się"!

24. OLŚNIENIE

Już słońce przebiegło trzecią część swojej zwykłej drogi; gorące, ożywcze majowe promienie padały na skały, które wydawały się rozkoszować tym ciepłem. Tysiące koników polnych ukrytych we wrzosach przepełniało powietrze monotonnym bezustannym cykaniem; listki mirtów i oliwek drżały i trzepotały, wydając niemal metaliczny dźwięk; za każdym krokiem Edmunda na rozpalonych granitach pierzchały jaszczurki podobne do szmaragdów; w oddali po stromych stokach skakały kozice, które nieraz zwabiają tu myśliwych; słowem, wyspa była zamieszkana, tętniła życiem i ruchem, a jednak Edmund czuł się tutaj samotny i tylko oko Stwórcy zdawało się nad nim czuwać.

Doświadczał jakiegoś wzruszenia, które można by porównać z trwogą. Był to ów rodzaj trwogi, który napada nas nagle w biały dzień, nawet na pustkowiu, gdy zdaje nam się, że śledzi nas jakiś badawczy wzrok.

Uczucie to było tak silne, że Edmund nie był w stanie zabrać się od razu do roboty; położył łopatę, porwał znowu za strzelbę i wdrapał się po raz kolejny na szczyt najwyższej skały w okolicy; i stamtąd objął wzrokiem przestrzeń wokół. Przyznać musimy, że nie zwróciła jego uwagi ani romantyczna Korsyka, na której mógł dostrzec nawet domy, ani Sardynia, stanowiąca jakby przedłużenie Korsyki, ani nawet Elba z jej świetną historią, ani na koniec niemal niedostrzegalna linia na horyzoncie, w której tylko bystre oko marynarza mogło dojrzeć przepyszną Genuę i kupieckie Livorno; o nie! — myśl jego zajmowała brygantyna[396], co odpłynęła o świcie, i tartana, która wyruszyła ledwo co.

Pierwsza znikała właśnie w cieśninie Bonifacio; druga, podążając w przeciwnym kierunku, zbliży się niebawem do Korsyki, którą zamierzała opłynąć.

Ten widok uspokoił Edmunda.

Zwrócił wtedy wzrok na to, co otaczało go bezpośrednio; znajdował się na najwyższym szczycie wyspy — stożkowatym obelisku wznoszącym się na tym potężnym piedestale; wokół żadnej ludzkiej twarzy, ani jednej łodzi: nic, tylko szafirowe morze, rozbijające się o skały i otaczające wyspę srebrzystymi frędzlami.

Zbiegł w dół, szybko, lecz ostrożnie: obawiał się, by w tak decydującej chwili nie spotkał go rzeczywiście taki wypadek, jaki wcześniej z powodzeniem udał przed kolegami.

Jak wcześniej mówiliśmy, Edmund zawrócił z drogi, dotarłszy do wielkiego okrągłego głazu, i odkrył, że nacięcia prowadziły nad malutką zatoczkę skrytą przed spojrzeniami

[396] *brygantyna* — rodzaj okrętu żaglowego, używanego od XVI do XIX w. Początkowo posiadała zarówno żagle, jak i wiosła. Była szybka i zwrotna, co spowodowało, że często służyła jako piracki statek. [przypis edytorski]

jak owe źródła, w których kąpały się starożytne nimfy[397]; zatoczka ta była na tyle szeroka u wylotu i na tyle głęboka, że niewielki statek mógł swobodnie do niej wpływać. Idąc za wątkiem przypuszczeń opartych na indukcji[398] — jak uczył go Faria — wywnioskował, że kardynał Spada, pragnąc ukryć swoją obecność na wyspie, rzucił kotwicę w tejże zatoczce, ukrył tu stateczek i posuwając się wzdłuż ścieżki wyznaczonej nacięciami, ukrył skarb na jej krańcu.

Hipoteza ta zaprowadziła Edmunda znów do stóp okrągłego głazu.

Jedna tylko rzecz go niepokoiła i przekreślała wszystkie jego przypuszczenia: jak można było za pomocą tylko ludzkich sił wciągnąć głaz, który ważył pięć, a może sześć tysięcy funtów, na tę płaską podstawę, na której się obecnie znajdował?

I nagle uderzyła Edmunda następująca myśl: zamiast wtaczać głaz pod górę, po prostu zepchnięto go w dół!

Wspiął się po zboczu powyżej głazu, by poszukać miejsca, w którym mógł niegdyś spoczywać. Niebawem zauważył, że wykonano tu coś w rodzaju łagodnie opadającego koryta; głaz ześliznął się po nim i zatrzymał się w wyznaczonym miejscu; od spodu zaklinowano go głazem niewiele większym od zwyczajnych kamieni; szpary po bokach zostały starannie uszczelnione kamieniami i żwirem; to szczególne dzieło murarskie zostało przysypane ziemią, zarosło trawą i mchem, zapuściły weń korzenie mirty i mastykowce[399] — i głaz wydawał się przyklejony do podłoża.

Edmund usunął ostrożnie warstwę ziemi i wydało mu się, że zrozumiał, na czym polegał cały fortel. Wziął łopatę i zaczął wykruszać ten zewnętrzny mur, który czas tak mocno spoił.

Po dziesięciu minutach pracy skała ustąpiła i ukazał się otwór na tyle szeroki, że można by weń włożyć rękę.

Edmund ściął najgrubszą oliwkę, jaką tylko mógł znaleźć, ogołocił ją z gałązek i wsunął w otwór, próbując użyć jej jako dźwigni. Ale skała była zbyt ciężka i zbyt mocno zespolona z podłożem, aby mógł ją podnieść człowiek, choćby był samym Herkulesem[400].

Zastanowił się przez chwilę i doszedł do wniosku, że należało najpierw usunąć kamień służący za klin.

Ale jak?

Rozejrzał się dookoła, jak to zwykle czynią ludzie w kłopocie, i jego wzrok padł na róg napełniony prochem, który zostawił mu Jacopo.

Uśmiechnął się: piekielny wynalazek dokona dzieła.

Za pomocą łopaty Edmund wykopał głęboką dziurę między głazem a klinującym go kamieniem i napełnił ją prochem. Potem, podarłszy chustkę w pasy, obtoczył je w saletrze[401] i zrobił rodzaj lontu[402]. Zapalił go i odszedł.

Nie czekał długo na wybuch: górny głaz został na moment niesłychaną siłą uniesiony w górę, dolny kamień rozprysł się w drobne kawałki. Przez niewielki otwór, który Edmund zrobił najpierw, wyfrunął rój owadów i wypełzł ogromny zaskroniec[403], strażnik tej tajemniczej bramy, i ukazując swoją błękitnawą skórę, znikł wśród kamieni.

Edmund podszedł bliżej: okrągły głaz pozbawiony podparcia pochylał się w przepaść; obszedł go wokół, wybrał miejsce, w którym głaz chwiał się najmocniej, oparł pień oliwki

[397] *nimfa* (mit. gr.) — boginka mająca postać młodej, pięknej dziewczyny, uosabiająca żywotne siły przyrody; tu zapewne w znaczeniu zawężonym: opiekunka strumyków, jezior i źródeł (*najada*). [przypis edytorski]

[398] *indukcja* — w logice: metoda wyprowadzania uogólnień na podstawie skończonej liczby konkretnych przypadków, tj. wnioskowanie „od szczegółu do ogółu". [przypis edytorski]

[399] *mastykowiec* — właśc. pistacja kleista (lentyszek), gatunek drzewa wydzielający pachnącą żywicę zwaną mastyksem, używaną jako środek higieny i w lecznictwie; występuje w basenie Morza Śródziemnego i w Azji Zach. [przypis edytorski]

[400] *Herkules* (mit. rzym.) a. *Herakles* (mit. gr.) — syn Zeusa i Alkmeny, bohater słynny z ogromnej siły i wykonania 12 trudnych i niebezpiecznych zadań. [przypis edytorski]

[401] *saletra* — azotan, składnik materiałów wybuchowych. [przypis edytorski]

[402] *lont* — sznurek lub przewód służący do opóźnienia wybuchu; pozwala on na zdalną kontrolę ładunku wybuchowego. [przypis edytorski]

[403] *zaskroniec* — gatunek węża występującego na terenie Europy o charakterystycznych żółtych plamach na głowie ("za skroniami"). [przypis edytorski]

o jedną z krawędzi i podobny Syzyfowi[404] naparł z całej siły na głaz. Ogromna skała, już podważona wybuchem, zachwiała się; Dantès zwiększył nacisk niby jeden z Tytanów[405] wyrywający w walce z Dzeusem[406] góry z posad. I wreszcie głaz ustąpił, potoczył się, podskoczył i runął w morze.

W okrągłym śladzie po nim odsłoniła się kwadratowa płyta z żelaznym uchwytem w kształcie pierścienia.

Edmund wydał okrzyk radości i zdumienia. Nigdy wspanialszy efekt nie uwieńczył tak prędko tak krótkich wysiłków.

Chciał kontynuować; ale nogi drżały mu tak mocno, serce biło tak gwałtownie, tak bardzo ćmiło mu się w oczach, że musiał się na chwilę zatrzymać.

Ta chwila wahania minęła szybko jak błyskawica. Edmund włożył dźwignię w otwór pierścienia, mocno nacisnął i płyta otwarła się; wewnątrz widać było strome schodki, które wiodły w coraz głębsze ciemności.

Inny rzuciłby się w dół, radośnie krzyknął; Dantès zaś znów stanął, pobladł i zawahał się.

— No, dalej — rzekł do siebie — odwagi! Przywykłszy do przeciwności, nie dajmy się powalić rozczarowaniu; przecież inaczej cierpiałbym tyle na darmo! Serce pełne nadziei pęka, gdy zetknie się z zimną rzeczywistością. Faria miał tylko sen, Spada nic w tej grocie nie ukrył, może nigdy tu nawet nie był; a jeżeli by się tu nawet pojawił, Cezar Borgia, ten nieustraszony awanturnik, nigdy nieznużony łotr, przybył tu zaraz za nim, trafił na te same co ja ślady, podniósł ten głaz, przede mną wdarł się do środka i nic już dla mnie nie zostawił.

I stał przez chwilę, zamyślony, nieruchomy, ze wzrokiem wlepionym w tę ciemną, niekończącą się jamę.

— A teraz, skoro już na nic nie liczę, gdy powiedziałem sobie, że szaleństwem byłoby żywić jeszcze jakąś nadzieję, dalszy ciąg tej przygody to tylko chęć zaspokojenia ciekawości — i to wszystko.

I nadal stał nieruchomo, zamyślony.

— Tak, to naprawdę przygoda — znaleźć dla siebie miejsce w historii pełnej cieni i blasków tego królewskiego bandyty, w tym splocie dziwnych wypadków, które składają się na barwny wątek jego życia; tak, Borgia przybył tu którejś nocy, z pochodnią w jednej ręce a mieczem w drugiej, a o dwadzieścia kroków, u stóp tej oto skały czuwało dwóch ponurych, groźnych zbirów, którzy bacznym wzrokiem penetrowali ziemię, powietrze i morze, podczas gdy ich pan zagłębiał się w jaskini — tak, jak ja to zaraz uczynię — niszcząc ciemności ramieniem zbrojnym w płonącą pochodnię.

Tak, ale co zrobił ze zbirami, którzy poznali w ten sposób jego tajemnicę?

To, co zrobiono — tu uśmiechnął się do siebie — z grabarzami Alaryka[407], których pochowano razem z tym, którego grzebali.

Jednakże, gdyby Borgia tu był — ciągnął Edmund — gdyby znalazł i zabrał skarb, to przecież ten człowiek, który porównywał Włochy do karczocha i pożerał je cząstka po cząstce, zbyt dobrze umiał używać czasu i nie traciłby go na powtórne zatykanie tego otworu głazem.

Wejdźmy więc.

I wszedł, choć uśmiech niedowierzania trwał mu ciągle na ustach, szepcząc najważniejsze słowo ludzkiej mądrości:

— Może!...

Ale zamiast spodziewanych ciemności, zamiast zepsutego i zgniłego powietrza, Edmunda otoczyła błękitnawa poświata; powietrze i światło przenikało nie tylko przez wej-

[404] *Syzyf* (mit. gr.) — założyciel Koryntu, zasłynął ze swojego sprytu. Oszukał Zeusa, za co został skazany na karę polegającą na wtaczaniu na górę kamienia, który zawsze stacza się na dół tuż przed osiągnięciem szczytu. [przypis edytorski]

[405] *Tytani* — dzieci Uranosa i Gai, bogowie z pokolenia poprzedzającego bogów olimpijskich; pokonani przez Zeusa i bogów olimpijskich w walce o panowanie nad światem. [przypis edytorski]

[406] *Dzeus* (mit. gr.) — alternatywna pisownia imienia gr. boga Zeusa. [przypis edytorski]

[407] *Alaryk I* (ok. 370–410) — król Wizygotów, pierwszy wódz plemion germańskich, który zdobył Rzym (410 r.). Zmarł w drodze powrotnej, najprawdopodobniej z powodu choroby, i został pochowany razem z łupami w korycie rzeki Busento. Jej bieg w tym celu przekierowali jeńcy wojenni, których następnie zabito i pogrzebano w tym samym miejscu, by nikomu nie zdradzili, gdzie ukryto rzym. zdobycze. [przypis edytorski]

ście do jaskini, ale także przez pęknięcia w skałach niewidoczne z zewnątrz, przez które widać było błękit nieba, na tle którego igrały rozkołysane od wiatru gałęzie dębów i kolczaste pędy jeżyn.

Po kilku chwilach spędzonych w grocie oczy Edmunda, przyzwyczajone, jak to już mówiliśmy, do ciemności, mogły już penetrować najdalsze zakamarki jaskini: jej granitowe ściany połyskiwały od miki[408], jakby usiane były diamentami.

— Niestety! — rzekł Edmund z uśmiechem. — To pewnie cały skarb, jaki kardynał zostawił, a poczciwy ksiądz, widząc we śnie te połyskujące ściany, utwierdził się w swoich nadziejach.

Wtem przypomniał sobie słowa testamentu, który wykuł na pamięć: *w kącie najodleglejszym od drugiego otworu*.

Edmund tymczasem był dopiero w pierwszej grocie, trzeba więc było szukać wejścia do drugiej.

Druga grota musiała znajdować się niżej, bardziej w głąb wyspy. Edmund obejrzał dobrze pokłady granitu i ostukał ścianę, w której, jak sądził, powinien był mieścić się otwór, dla większego bezpieczeństwa z pewnością zamaskowany.

Ostrze łopaty przez chwilę dźwięczało głucho o twardą skałę, tak że pot gorący zrosił czoło poszukiwacza. Na koniec wydało mu się, że część granitowego muru odpowiada echem bardziej głuchym i głębszym. Zbliżył przenikliwe oko do ściany i rozpoznał, czego nikt prócz byłego więźnia by nie dokazał, że w tym miejscu musiał znajdować się otwór.

Aby jednak nie trudzić się na próżno, Edmund — który jak Cezar Borgia nauczył się cenić czas — zabrał się do ostukiwania pozostałych ścian, zbadał kolbą strzelby ziemię, rozkopał ją w podejrzanych miejscach, a nie znalazłszy nic, powrócił do miejsca, w którym usłyszał ów pocieszający odgłos.

Uderzył jeszcze raz, wytężając siły.

I nagle ujrzał szczególną rzecz: od uderzeń łopaty na powierzchni muru wydymał się i opadał płatami jakiś rodzaj tynku, podobny do tego, jaki nakłada się na mur, aby na nim namalować fresk; pod nim było widać jasny, kruchy kamień, na kształt zwykłego piaskowca. Wejście zatem zostało zatkane innymi kamieniami, które powleczono zaprawą, a następnie jakąś substancją imitującą krystaliczne lśnienie granitu.

Edmund uderzył silnie ostrzem łopaty — żelazo weszło na cal w kamień.

Tutaj należało więc szukać.

Dziwny jest charakter człowieka: im więcej było dowodów, że Faria się nie pomylił, tym bardziej, zamiast się podnieść na duchu, Edmund wątpił, a nawet poczuł zniechęcenie. Nowy ten dowód, który powinien mu dodać sił, odjął mu ich resztki; łopata wysunęła mu się niemal sama z ręki, złożył ją na ziemi, otarł czoło z potu i wyszedł z jaskini, pod pretekstem, że chce się przekonać, czy go kto nie śledzi, chociaż w rzeczywistości potrzebował tylko odetchnąć świeżym powietrzem, bo czuł, że inaczej zemdleje.

Na wyspie było pusto; słońce w zenicie obejmowało ją swoim ognistym spojrzeniem; w dali rybackie łodzie odbijały się od szafirowego tła.

Edmund nic jeszcze nie miał w ustach; ale też w takiej chwili jedzenie zabrałoby zbyt dużo czasu; napił się rumu i zszedł, pokrzepiony, na nowo do groty. Łopata, co mu tak do tej pory ciążyła, wydała się nagle lekka, podniósł ją jak piórko i sprawnie wziął się do roboty. Po kilku uderzeniach przekonał się, że kamienie nie były spojone, a tylko poukładane jedne na drugich i pokryte owym dziwnym tynkiem. Wetknął więc w jedną ze szpar ostrze łopaty, oparł się na drzewcu i ujrzał z radością, że kamień wysunął się i upadł mu pod nogi.

Teraz wystarczyło już tylko zazębiać ostrze łopaty o kamienie, aby kolejno spadały obok pierwszego.

Mógł teraz już wejść do drugiej groty, ale ociągał się, w obawie, że nadzieja, której się czepiał kurczowo, spełznie na niczym.

Wreszcie, po chwili wahania, przeszedł do drugiej groty.

Sklepienie było tu dużo niższe, a zalegające ją ciemności nadawały jej posępny wygląd. Panował tu stęchły zaduch, którego ku zdziwieniu Edmunda nie było w pierwszej

[408] *mika* — błyszczący minerał z grupy krzemianów, bardzo łupliwy, często spotykany w postaci cienkich blaszek; niekiedy mylony ze złotem. [przypis edytorski]

komorze. Poczekał, aż powietrze z zewnątrz odświeży tę martwą atmosferę groty i wszedł dalej.

Na lewo od przejścia był głęboki i ciemny załom. Ale jak powiedzieliśmy, dla Edmunda nie istniały ciemności.

Rozejrzał się uważnie po drugiej grocie: była pusta, tak samo jak pierwsza.

Jeżeli miał tu się znajdować jakiś skarb, musiał się skrywać w tym ciemnym kącie.

Nadeszła godzina najwyższej trwogi; wszak tylko dwie stopy ziemi, którą trzeba było rozkopać, dzieliło Edmunda od największej radości lub najgłębszej rozpaczy.

Zbliżył się do załomu i jakby podjąwszy wreszcie decyzję, zaatakował łopatą ziemię.

Przy piątym, a może szóstym uderzeniu żelazo zadźwięczało nagle o żelazo.

Nigdy żałobny dzwon nie wywarłby na nikim silniejszego wrażenia. Gdyby Dantès nic tu nie znalazł, nie pobladłby mocniej.

Uderzył obok, napotkał znowu opór, ale odpowiedział mu już inny dźwięk.

„Musi to być kufer drewniany z żelaznymi okuciami", pomyślał.

Wtem śmignął jakiś cień, zasłaniając światło. Edmund rzucił łopatę, porwał za strzelbę i wybiegł z jaskini. Kozica przebiegła tuż koło wejścia do pierwszej groty i o kilka kroków dalej skubała teraz spokojnie trawę.

Była to wyborna okazja, aby zapewnić sobie pieczyste na obiad. Edmund lękał się jednak, aby odgłos wystrzału nie ściągnął tu kogoś. Pomyślał chwilę, uciął oblaną żywicą gałąź, podpalił ją i powrócił na dół.

Nie chciał stracić najmniejszego szczegółu z tego, co miał zobaczyć.

Zbliżył pochodnię do niekształtnej, niedokończonej jeszcze dziury i przekonał się, że się nie mylił: łopata uderzała rzeczywiście raz o żelazo, raz o drewno.

Zatknął pochodnię w ziemi i wziął się na nowo do dzieła.

W jednej chwili rozszerzył jamę do szerokości dwóch, a długości trzech stóp; ujrzał dębowy kufer, z żelaznymi cyzelowanymi[409] okuciami. Na samym środku wieka, na srebrnej blasze, której nie przyćmiła do tej pory wilgoć, zabłysły herby rodu Spadów: miecz pośrodku tarczy owalnej, jak to zwykle u Włochów, zwieńczony kapeluszem kardynalskim. Edmund rozpoznał je z łatwością; Faria mu je rysował tyle razy!

Wszelkie wątpliwości zniknęły: skarb istniał nadal; niepodobna przecież, aby z taką przezornością zakopywano tu pusty kufer.

W mgnieniu oka odkopał cały kufer, a jego oczom ukazywały się kolejno zamek, dwie kłódki i uchwyty po bokach skrzyni, wszystko to było cyzelowane — jak to czyniono w dawnych czasach, gdy najbardziej pospolite metale zyskiwały na wartości dzięki sztuce.

Edmund porwał za uchwyty i spróbował podnieść kufer, ale okazało się, że to jest niemożliwe.

Spróbował go otworzyć, ale zamek i kłódki stawiły opór, ci wierni stróże nie chcieli oddać powierzonego im skarbu.

Edmund wsunął więc ostrze łopaty między wieko i skrzynię, podważył i wieko ze zgrzytem odskoczyło. Między deszczułkami[410] powstała szeroka szczelina i niepotrzebne już okucia odpadły, wczepione upartymi pazurami w nadwyrężone drewno.

Gorączkowe drżenie opanowało Edmunda; pochwycił strzelbę, nabił i postawił przy sobie. Zamknął oczy, jak to czyni dziecko, chcąc ujrzeć na migotliwym niebie wyobraźni więcej gwiazd, niż może zliczyć na rozjaśnionym jeszcze niebie; potem otworzył je i znieruchomiał olśniony.

Kufer miał trzy przegrody.

W pierwszej świeciły się czerwonawym blaskiem złote dukaty.

W drugiej starannie ułożono niewypolerowane sztabki, posiadające z całą pewnością wagę i cenę złota.

W trzeciej na koniec, napełnionej do połowy, Edmund zanurzył rękę; przez palce przesypywały mu się lśniącą kaskadą diamenty, perły, rubiny, które spadając, dzwoniły jak grad o szyby.

Edmund dotknął wszystkiego, zanurzył drżące dłonie w złocie i drogich kamieniach, a potem nagle zerwał się i wybiegł z jaskini drżący, odurzony, jak człowiek bliski szaleń-

[409] *cyzelować* — wygładzać i wykańczać metalowe elementy w celach estetycznych. [przypis edytorski]
[410] *deszczułka* — mała deska. [przypis edytorski]

stwa. Wspiął się na głaz, skąd mógł objąć wzrokiem całe morze i niczego nie dostrzegł; był sam, sam jeden przy tych nieprzeliczonych, niesłychanych, bajecznych skarbach, które należały do niego: ale była to jawa czy sen? Przelotna wizja czy namacalna rzeczywistość?

Zapragnął jeszcze raz obejrzeć swoje bogactwa, czuł jednak, że nie zdołałby w tej chwili znieść tego widoku. Ścisnął dłońmi głowę, jakby bojąc się, że ucieknie mu rozum; po czym rzucił się na oślep, nie trzymając się żadnej drogi — bo na Monte Christo nie ma dróg — ot, prosto przed siebie, płosząc krzykiem i ruchem kozice i ptaki morskie. Wreszcie zawrócił, nadal pełen wątpliwości, przebiegł pierwszą grotę, wpadł do drugiej, by zatrzymać się przed tą kopalnią złota i diamentów.

Tym razem upadł na kolana, przycisnął drżące konwulsyjnie ręce do serca wyrywającego się z piersi i wyszeptał modlitwę, którą tylko Bóg mógł zrozumieć.

Wkrótce uspokoił się nieco i poczuł się wreszcie szczęśliwszy: od tej chwili zaczął już wierzyć w swoje szczęście.

Jął wtedy przeliczać swoje skarby. Było tam tysiąc sztab złota, a każda miała od dwóch do trzech funtów wagi; gdy ułożył w stosy dwadzieścia pięć tysięcy dukatów w złocie, z których każdy był wart najmniej osiemdziesiąt franków w dzisiejszej walucie — a wszystko z wizerunkiem papieża Aleksandra IV[411] i jego poprzedników — spostrzegł, że przegroda została opróżniona zaledwie do połowy; dziesięć razy napełnił swoje dłonie perłami i szlachetnymi kamieniami, z których wiele, oprawionych przez najlepszych złotników owej epoki, miało oprócz wrodzonej im wartości wielką wartość artystyczną.

Dzień miał się już ku schyłkowi; Dantès, lękając się, że ktoś mógłby go zaskoczyć w grocie, wziął strzelbę i wyszedł. Zjadł kawałek suchara, wypił kilka łyków wina, po czym położył znowu na swoim miejscu płytę, sam legł na niej i osłaniając swoim ciałem wejście do groty, zasnął na kilka godzin.

Była to jedna z tych kilku nocy naraz wspaniałych i strasznych, jakich ten człowiek, który przeżył tyle wstrząsów, doświadczył w życiu.

25. NIEZNAJOMY

Nadszedł dzień. Edmund od dawna czekał na świt, leżąc z otwartymi oczyma. Gdy zabłysły pierwsze promienie słońca, podniósł się i powędrował na szczyt najwyższej skały na wyspie, aby obejrzeć okolicę. Wokół było pusto jak i dnia poprzedniego.

Edmund zszedł do groty, napełnił kieszenie drogimi kamieniami, nakrył kufer jak mógł najlepiej deskami wraz z okuciami i przysypał go ziemią, przydeptał, obrzucił piaskiem, aby to miejsce nie wyróżniało się świeżo skopaną ziemią z otoczenia; wyszedł, zastawił otwór płytą, narzucił na nią kamienie, zatkał szpary ziemią, posadził na niej mirt i kępki wrzosu, podlał je, aby rosły tu dalej; zatarł ślady swoich stóp, skupiających się tu licznie, i z niecierpliwością oczekiwał na powrót towarzyszy. W istocie, nie warto już było spędzać czasu na podziwianiu złota i diamentów, i tkwić na Monte Christo jak smok strzegący bezużytecznie skarbu. Teraz należało powrócić do życia, do ludzi i uzyskać wśród nich miejsce, wpływy i władzę, którą w świecie tym nadaje bogactwo, ta pierwsza i najwyższa siła, którą rozporządza istota ludzka.

Kontrabandziści wrócili szóstego dnia. Edmund rozpoznał z daleka kształt i chód „Panny Amelii", powlókł się jak zraniony Filoktet[412] do przystani, a gdy ujrzał swoich towarzyszy, oznajmił, że czuje się cokolwiek lepiej, choć bóle go jeszcze nie opuściły; następnie wysłuchał opowiadania przemytników. Powiodło im się wprawdzie, ale zaledwie wyładowali towary, dano im znać, że bryg[413] kontrolujący wybrzeża wyszedł z Tulonu[414] i udał się w ich stronę. Uciekli więc czym prędzej, żałując, że nie ma z nimi Edmunda, który tak zręcznie umiał nadawać statkowi najwyższą prędkość. Rzeczywiście, wkrótce

[411] *Aleksander IV*, właśc. *Rinaldo Conti* (1185–1261) — papież od 1254 r.; walczył z rządzącym Sycylią i Neapolem Manfredem Hohenstaufem; poszerzył uprawnienia inkwizycji. [przypis edytorski]

[412] *Filoktet* (mit. gr.) — posiadacz łuku Heraklesa, po drodze pod Troję ukąszony przez jadowitego węża; z powodu smrodu jątrzącej się rany zostawiony za radą Odyseusza wyspie Lemnos. Grecy wrócili po niego, gdy trojański wróżbita powiedział, że Troja może paść tylko od strzał Heraklesa. [przypis edytorski]

[413] *bryg* — typ dwumasztowego żaglowca z ożaglowaniem rejowym na obu maszach; szybki i zwrotny, był popularny w XVIII i XIX w. jako statek handlowy i wojenny. [przypis edytorski]

[414] *Tulon* — miasto portowe w płd. Francji. [przypis edytorski]

ujrzeli ścigający ich statek, ale pod osłoną nocy umknęli przed pogonią, chroniąc się za Przylądek Korsykański.

W sumie wyprawa ta nie była najgorsza, żałowali tylko wszyscy, a szczególnie Jacopo, że Edmund nie mógł w niej wziąć udziału, bo zysk, jaki przypadał na każdego, wynosił pięćdziesiąt piastrów.

Edmund pozostał nieprzenikniony; nie uśmiechnął się nawet, kiedy mu wyliczano, ile by zyskał, gdyby mógł opuścić wyspę. Ponieważ „Panna Amelia" zawinęła na Monte Christo tylko po to, by go zabrać, tego samego wieczora odpłynęli do Livorno.

W Livorno sprzedał u pewnego Żyda cztery najmniejsze diamenty, każdy za dwadzieścia pięć tysięcy franków. Żyd miał ochotę dowiedzieć się, jakim to sposobem marynarz stał się posiadaczem takich kosztowności, ale powstrzymał swoją ciekawość, bo na każdym diamencie zyskał tysiąc franków.

Nazajutrz Edmund kupił nowiutką zupełnie łódź i podarował ją Jacopowi, dorzucając mu jeszcze sto piastrów, aby mógł nająć jakąś załogę; Jacopo miał się nią udać do Marsylii i wywiedzieć[415] o starcu nazwiskiem Ludwik Dantès, mieszkającym na Alejach Meilhańskich, oraz o dziewczynie z osady katalońskiej imieniem Mercedes.

Jacopowi wszystko to wydało się jakimś snem. Edmund powiedział mu więc, że został marynarzem dla kaprysu i dlatego, że rodzina nie chciała mu dać środków na utrzymanie; przybywszy teraz do Livorno odziedziczył spadek po stryju, który mianował go jedynym swoim sukcesorem[416]. Opowiadanie to wydawało się bardzo prawdopodobne, zważywszy na rozległe wykształcenie Edmunda. Jacopo ani na chwilę nie wątpił, że jego dawny towarzysz mówi prawdę.

A skoro umowa Edmunda z kapitanem „Panny Amelii" skończyła się właśnie, Edmund pożegnał kapitana, który początkowo próbował go zatrzymać, ale gdy się dowiedział o spadku, wyrzekł się nadziei, że zdołałby odmienić decyzję swego byłego marynarza.

Nazajutrz Jacopo odpłynął do Marsylii; Edmund miał nań czekać na Monte Christo.

Tegoż dnia Edmund pożegnał załogę „Panny Amelii", nie mówiąc nikomu, gdzie się udaje; obdarował hojnie dawnych towarzyszy i przyrzekł dowódcy, że da mu o sobie kiedyś znać.

Udał się do Genui.

Gdy tam dotarł, właśnie spuszczano na wodę jacht, zamówiony przez pewnego Anglika, który dowiedziawszy się gdzieś, że genueńczycy są najlepszymi budowniczymi statków na całym Morzu Śródziemnym, zapragnął mieć jacht powstały w Genui; Anglik ugodził się na cenę czterdziestu tysięcy franków; Edmund ofiarował sześćdziesiąt tysięcy pod warunkiem że żaglowiec będzie mu oddany jeszcze tego samego dnia. Anglik w oczekiwaniu na ukończenie statku, podróżował sobie tymczasem po Szwajcarii. Miał wrócić za trzy lub nawet cztery tygodnie: budowniczy pomyślał, że będzie jeszcze miał dość czasu na wykończenie nowego jachtu. Edmund udał się z nim do pewnego Żyda, weszli do kantoru za sklepem — i Żyd wyliczył budowniczemu sześćdziesiąt tysięcy franków. Budowniczy zaofiarował Edmundowi, że najmie mu załogę, ale Edmund podziękował, mówiąc, że zwykle żegluje samotnie; dodał tylko, że jedyne, czego żąda, jest, aby wykonano mu w kajucie, u wezgłowia koi, skrytkę z trzema przegrodami, zamykającymi się w sekretny sposób. Podał wymiary skrytki i nazajutrz już była gotowa.

W dwie godziny później Edmund wypływał już z portu, odprowadzany spojrzeniami tłumu gapiów, chcących przypatrzyć się hiszpańskiemu grandowi[417], który zwykł sam jeden żeglować po morzu.

Edmund radził sobie po mistrzowsku; nie potrzebując oddalać się od steru ani na chwilę, wykonywał jachtem wszelkie możliwe ewolucje[418]. Rzekłoby się, że jacht był rozumną istotą, posłuszną każdemu skinieniu swojego pana. Edmund przyznał więc sam przed sobą, że genueńczycy godni są opinii najlepszych na świecie budowniczych okrętów.

Gapie odprowadzali statek wzrokiem, póki go z oczu nie stracili; a potem rozpoczęło się debatowanie, gdzie też hiszpański grand mógł się udawać; jedni utrzymywali, że

[415] *wywiedzieć się* — dowiedzieć się czegoś potajemnie, wypytać o coś. [przypis edytorski]
[416] *sukcesor* (daw.) — dziedzic. [przypis edytorski]
[417] *grand* (z hiszp. *grande*) — tytuł przysługujący najwyższej hiszp. arystokracji. [przypis edytorski]
[418] *ewolucja* — tu: trudny manewr, skomplikowana figura. [przypis edytorski]

na Korsykę, drudzy, że na Elbę, inni chcieli się zakładać, że do Hiszpanii, inni na koniec z największą pewnością utrzymywali, że do Afryki; nikt jednak nie wymienił wyspy Monte Christo.

A przecież to właśnie na Monte Christo żeglował Edmund.

Przybył tam drugiego dnia wieczorem. Statek miał znakomite żagle, tak że przebył tę odległość w trzydzieści pięć godzin. Edmund znał już dokładnie linię wybrzeża; nie zawinął więc do zwykłego portu, ale zarzucił kotwicę w małej zatoczce.

Zastał wyspę jak przedtem pustą; wydawało się, że nikt nie przybijał tu od jego wyjazdu. Powędrował więc do swoich skarbów i znalazł wszystko tak, jak zostawił.

Następnego dnia przeniósł swoją ogromną fortunę na jacht i schował w trzech przegrodach tajemniczej skrytki.

Czekał jeszcze cały tydzień. Przez ten tydzień opływał wyspę na jachcie, studiując go, jak masztalerz[419] rumaka. Na koniec poznał wszystkie jego zalety i wszystkie braki; pierwsze postanowił wzmocnić, drugie usunąć.

Siódmego dnia spostrzegł małą łódź zbliżającą się do wyspy pod pełnymi żaglami: i rozpoznał barkę Jacopa; dał sygnał, na który Jacopo odpowiedział i po dwóch godzinach łódź znajdowała się już przy jachcie.

Na każde z pytań zadanych przez Edmunda miał smutną odpowiedź.

Stary Dantès umarł, Mercedes zniknęła.

Edmund przyjął obie wiadomości spokojnie, ale natychmiast zszedł na ląd, nie pozwalając nikomu iść za sobą.

Wrócił po dwóch godzinach; dwóch ludzi Jacopa przeszło na jego jacht, by mu dopomóc w lawirowaniu; Edmund kazał wziąć kurs na Marsylię. Przewidywał, że ojciec nie żyje, ale co się stało z Mercedes?

Edmund nie mógł udzielić szczegółowych instrukcji swojemu wysłannikowi, nie zdradzając własnej tajemnicy; zresztą potrzebował jeszcze innych informacji, które pragnął zdobyć osobiście. Lustro w Livorno przekonało go, że nie ryzykował niczym, nikt nie mógł go rozpoznać; tym bardziej że miał teraz do dyspozycji wszelkie środki, aby zmieniać swój wygląd. Pewnego zatem ranka jacht, za którym w ślad szła mała łódź, wpłynął śmiało do portu w Marsylii i stanął akurat na wprost tego miejsca, gdzie pamiętnego wieczoru wepchnięto Edmunda do łodzi i zawieziono na zamek If.

Nie bez drżenia Edmund ujrzał żandarma siedzącego w łodzi sanitarnej zmierzającej do jachtu. Z niezachwianą jednak pewnością siebie, jaką w sobie wyrobił, okazał żandarmowi angielski paszport, który kupił w Livorno; dzięki owemu cudzoziemskiemu paszportowi — a taki dokument cieszy się we Francji dużo większymi przywilejami niż krajowy — bez najmniejszych trudności dostał się na ląd.

Zaledwie postawił krok na Cannebière, natknął się na jednego z marynarzy z „Faraona". Człowiek ten służył niegdyś pod jego rozkazami, pojawiał się tu więc jakby przez los zesłany, aby upewnić Dantesa o zmianach, jakie w nim zaszły. Skierował się więc prosto do tego człowieka, zadał mu kilka pytań, na które tamten odpowiedział, nie zdradzając w niczym, ani w wyrazie twarzy, ani w słowach, że przypominał sobie mężczyznę, z którym rozmawiał.

Edmund dał mu przeto napiwek w podzięce za udzielone mu informacje; po chwili usłyszał, że marynarz biegnie za nim.

Odwrócił się.

— Przepraszam pana — rzekł majtek. — Musiał się pan pomylić; dał mi pan zamiast czterdziestu su podwójnego napoleona[420].

— To prawda, przyjacielu, pomyliłem się — rzekł Edmund — ale twoja uczciwość zasługuje na nagrodę, przyjmij więc jeszcze jednego napoleona i wypij z towarzyszami za moje zdrowie.

Marynarz spojrzał na Edmunda z takim zdumieniem, że nie przyszło mu do głowy podziękować; odprowadził go wzrokiem, mrucząc:

— To chyba jakiś nabab z Indii.

[419] *masztalerz* — osoba sprawująca opiekę nad końmi w stajni. [przypis edytorski]

[420] *napoleon* a. *napoleonodor* — złota moneta fr. o wartości 20 franków, bita za panowania Napoleona I i Napoleona III. [przypis edytorski]

Edmund szedł dalej; za każdym krokiem serce mu się ściskało, doznając coraz to nowych wzruszeń; wspomnienia lat dziecinnych, wspomnienia niczym niezatarte, wiecznie obecne w jego pamięci, były tutaj, wyrastały mu przed oczyma na każdym placu, na rogach ulic, na skrzyżowaniach ulic.

Kiedy dochodził do końca ulicy Noailles i ujrzał przed sobą Aleje Meilhańskie, nogi mimo woli ugięły się pod nim i o mało nie zatoczył się pod koła powozu. Doszedł wreszcie do domu, gdzie mieszkał jego ojciec. Z okien mansardy[421] zniknęły powój i nasturcje, które niegdyś z taką troską pielęgnowały ręce biedaczyny.

Edmund oparł się o drzewo i zamyślony wpatrywał się przez chwilę w ostatnie piętro ubogiej kamieniczki; na koniec skierował się do drzwi, zapytał stróża, czy nie ma w tym domu mieszkania do wynajęcia, a chociaż wszystko było zajęte, nalegał tak długo, że chce obejrzeć pokoje na mansardzie, że stróż pofatygował się na górę, aby zapytać lokatorów, czy pozwolą mu zwiedzić te dwa pokoiki.

Maleńkie to mieszkanie zajmowało młode małżeństwo, które pobrało się zaledwie tydzień wcześniej. Na widok tej młodej pary Edmund westchnął głęboko.

Nie, nic tu już nie przypominało mieszkania jego ojca; inne były nawet tapety; wszystkie stare meble — ci przyjaciele dzieciństwa Edmunda — zniknęły. Tylko mury pozostały te same.

Spojrzał na łóżko: stało w tym samym miejscu co leże dawnego lokatora. Wbrew jego woli, w oczach ukazały mu się łzy: w tym miejscu musiał umierać starzec, wzywając syna.

Młodzi ludzie ze zdziwieniem spoglądali na tego człowieka o surowej twarzy: po licach spływały mu dwie łzy, choć twarz nie uległa najmniejszej zmianie. Ale że każde cierpienie nakazuje szacunek, młodzi nie zadali nieznajomemu żadnego pytania; cofnęli się w głąb pokoiku, aby nieznajomy mógł się swobodnie wypłakać; a gdy wychodził, odprowadzili go, mówiąc, że może ich odwiedzać, kiedy tylko zechce, a zawsze powitają go serdecznie w swoim ubogim domu.

Zszedłszy o piętro niżej Edmund zatrzymał się znowu i zapytał, czy mieszka tu jeszcze krawiec nazwiskiem Caderousse. Stróż odpowiedział, że człowiekowi temu nie wiodło się tu najlepiej, więc przeprowadził się między Beaucaire a Bellegarde[422], gdzie prowadzi niewielką oberżę.

Edmund zszedł na dół, wypytawszy się wcześniej o adres właściciela domu; udał się do niego, kazał się zaanonsować jako lord Wilmore (takie nazwisko miał wpisane w paszporcie) i kupił od niego ten domek za dwadzieścia pięć tysięcy franków; zapłacił przeszło dziesięć tysięcy franków więcej niż kamieniczka była warta, ale zapłaciłby i pół miliona, gdyby tego zażądał właściciel.

Tego samego dnia notariusz zawiadomił młode małżeństwo z mansardy, że dom został sprzedany, a nowy właściciel pozwala im wybrać sobie według gustu dowolne mieszkanie w kamienicy, bez żadnej zmiany czynszu, pod warunkiem że opuszczą zajmowane do tej pory dwa pokoiki.

Ten nadzwyczajny wypadek zajmował przynajmniej przez tydzień ciekawość wszystkich, którzy stale bywali na ulicy Meilhańskiej; powstało w tej kwestii tysiące domysłów, ale żaden z nich nie był trafny.

Ale najbardziej wzburzyło wyobraźnię wszystkich co innego: widziano, jak ten sam mężczyzna, który rankiem wszedł do domu na Alejach Meilhańskich, wieczorem pojawił się w wiosce katalońskiej i wstąpił do ubogiej rybackiej chaty, gdzie spędził całą godzinę, wypytując o ludzi, którzy albo od dawna już nie żyli, albo zniknęli z tych stron ponad piętnaście lat temu.

Nazajutrz rybacy, do których zawitał cudzoziemiec zadający tyle pytań, otrzymali w podarku nowiutką katalońską łódź, wraz z dwoma sieciami i niewodem[423]. Poczciwi ci ludzie chętnie by podziękowali hojnemu gościowi; ale gdy opuścił wioskę, widziano, że wydawszy rozkazy jakiemuś marynarzowi, wsiadł na konia i wyjechał przez rogatki w kierunku na Aix.

---

[421] *mansarda* — facjata, mieszkanie lub pokój na poddaszu, z oknem wychodzącym z dachu i nakrytym własnym daszkiem. [przypis edytorski]

[422] *Beaucaire, Bellegarde* — miejscowości na płd. Francji, w regionie Oksytania. [przypis edytorski]

[423] *niewód* — sieć rybacka złożona ze stożkowatego worka i dwóch skrzydeł służących do zagarniania ryb. [przypis edytorski]

26. OBERŻA

Kto tak jak ja przewędrował piechotą całą południową Francję, zauważył może pomiędzy Bellegarde i Beaucaire, w połowie drogi między tą wsią a miastem, małą oberżę, na której wisi blaszany, skrzypiący za najlżejszym podmuchem wiatru szyld z wizerunkiem Pont du Gard[424]. Maleńka oberża leży przy gościńcu[425] równoległym do lewego brzegu Rodanu[426], odwrócona tyłem do rzeki. Otacza ją to, co w Langwedocji nazywają grodem, to znaczy, że tylna ściana budynku otwiera się na ogrodzony kawałek gruntu, na którym rozpełzły się karłowate oliwki, zdziczałe drzewa figowe z listowiem posrebrzonym od pyłu; między pniami rosną za cały ogród warzywny czosnek, pieprz turecki[427] i szczypiorek, w kącie zaś, jak zapomniany strażnik wielka pinia[428] prostuje z melancholią swój giętki pień, a jej korona rozwinięta na kształt wachlarza skrzypi w trzydziestostopniowym skwarze. Wszystkie te drzewa, małe czy duże, chylą się naturalnie w kierunku, w jakim przygina je mistral, jedna z trzech plag Prowansji; jak zaś wiecie — albo i nie — dwoma innymi są rzeka Durance[429] i tamtejszy trybunał sądowy[430].

Od siedmiu czy prawie ośmiu lat karczemkę tę prowadziło dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, którzy za całą służbę mieli jedną pokojówkę, Kasię, i chłopca stajennego imieniem Pacaud. Podwójne te siły wystarczały najzupełniej na potrzeby oberży, szczególnie od czasu, gdy wykopano między Beaucaire a Aigues-Mortes kanał, dzięki któremu barki odniosły pełny sukces nad najszybszymi zaprzęgami.

Kanał ów potęgował dodatkowo zmartwienie karczmarza przez to, że przebiegał między Rodanem, z którego czerpał wodę, a gościńcem, skąd wysysał dla siebie życiodajne soki, zaledwie sto kroków od karczmy, której daliśmy właśnie zwięzły, ale wierny opis.

Oberżysta miał już po czterdziestce; słusznego wzrostu, chudy, żylasty, prawdziwy typ południowca — o błyszczących, głęboko osadzonych oczach, orlim nosie i białych wilczych zębach. Włosy jego, choć pierwsze tchnienie wieku dojrzałego już go owionęło, nie mogły się nadal zdecydować na siwienie; gęste, kędzierzawe, były tylko (podobnie jak broda i faworyty) przetykane pojedynczymi białymi nitkami. Jego śniada z natury twarz jeszcze bardziej ściemniała przez to, że nieszczęśnik ów wystawał od rana do wieczora na progu karczmy, wypatrując, czy nie nadarzy mu się jakiś gość. Czekał tak zwykle na próżno, a nawet i w najbardziej upalne dni chronił głowę, wiążąc na niej wzorem hiszpańskich mulników[431] jedynie czerwoną chustkę. Oberżysta ten był naszym starym znajomym — Kacprem Caderousse'em.

Żona jego Magdalena z domu Radelle była kobiecina w kontraście z mężem chudą, bladą i chorowitą; urodziła się w okolicach Arles i do tej pory zachowała jeszcze ślady słynnej piękności swoich rodaczek, chociaż jak sama dostrzegała, jej lica powoli zżerane były nawracającymi napadami malarii[432], która dręczyła ludność zamieszkałą w sąsiedztwie stawów Aigues-Mortes i bagnisk na wyspie Camargue. Niemal zawsze więc siedziała w swoim pokoiku na pierwszym piętrze, dygocząc bezustannie z zimna, wtulona w fotel lub oparta o wezgłowie łoża. Mąż jej tymczasem pełnił swoją zwyczajową straż u drzwi karczmy, co mu odpowiadało znacznie bardziej niż siedzenie przy swojej skwaszonej połowicy[433], bowiem wtedy musiał wysłuchiwać jej nieustannych skarg na los, na które ów zacny małżonek odpowiadał zazwyczaj tylko taką oto filozoficzną sentencją:

— Cicho bądź, Karkontko! Bóg tak chciał, kiedy tak jest.

---

[424]*Pont du Gard* — starożytny rzym. akwedukt znajdujący się na płd. Francji. [przypis edytorski]

[425]*gościniec* — trakt, droga. [przypis edytorski]

[426]*Rodan* — rzeka przepływająca przez Szwajcarię i Francję. [przypis edytorski]

[427]*pieprz turecki* — inna nazwa papryki rocznej. [przypis edytorski]

[428]*pinia* — odmiana sosny występująca na płn. wybrzeżu Morza Śródziemnego. [przypis edytorski]

[429]*Durance* — rzeka w płd. Francji, lewy dopływ Rodanu; ważny szlak komunikacyjny już w starożytności; ze względu na swój zmienny nurt uważana była za szczególnie trudną do przebycia. [przypis edytorski]

[430]*tamtejszy trybunał sądowy* — płd. Francja była regionem najbardziej intensywnej działalności fr. inkwizycji, która skupiała się na krwawych represjach przeciwko albigensom (tj. przedstawicielom ruchu religijnego uznanego przez Kościół za heretycki). [przypis edytorski]

[431]*mulnik* — poganiacz mułów i innych zwierząt jucznych; kojarzony zwłaszcza z Hiszpanią, Portugalią i krajami latynoamerykańskimi. [przypis edytorski]

[432]*malaria* a. *zimnica* — choroba pasożytnicza, objawiająca się wysoką gorączką, dreszczami, uczuciem zimna i potliwością. [przypis edytorski]

[433]*połowica* (daw.) — małżonka. [przypis edytorski]

Przydomek pani Magdaleny wziął stąd, że pochodziła ona ze wsi Carconte, położonej między Salon i Lambese. Mąż nazywał żonę Karkontką zapewne dlatego, że jej imię było może zbyt miłe i melodyjne i nie odpowiadało jego szorstkiemu usposobieniu.

Pomimo jednak pozornego poddania się Caderousse'a wyrokom Opatrzności, nie wierzmy bynajmniej, że nasz oberżysta nie odczuł boleśnie nędzy, do której doprowadził go ten diabelski kanał, i że nie dręczyły go owe nieustanne lamenty pani Magdaleny. Jak wszyscy południowcy był człowiekiem wstrzemięźliwym i niewymagającym wiele dla siebie, ale na zewnątrz rządziła nim próżność. Za lepszych czasów nie opuścili z Karkontką ani jednej okazji świętowania podczas znakowania bydła, ani jednej procesji w Tarascon[434]; ubierał się wtedy w malowniczy strój ludzi z Południa — na wpół kataloński, na wpół andaluzyjski, a Karkontka przywdziewała urokliwy kostium kobiet z Arles, jakby inspirowany szatami greckimi i arabskimi. Ale z wolna zaczęły znikać owe łańcuszki od zegarka, naszyjniki, wielobarwne pasy, haftowane gorseciki, aksamitne kaftany, eleganckie pończochy, pstrokate kamasze[435], trzewiki ze srebrnymi sprzączkami, aż zniknęły tak dalece, że Kacper Caderousse, nie mogąc pokazywać się już w dawnej świetności i blasku, wyrzekł się razem z żoną wszelkich światowych uciech. Radosne ich odgłosy, raniąc mu dotkliwie serce, dochodziły aż do tej biednej karczemki, w której siedział już raczej dla mieszkania tylko niż dla zysku.

Caderousse stał zatem od rana w drzwiach i wodził melancholijnym wzrokiem po łysym trawniku, po którym chodziło kilka kur, bądź po pustym gościńcu, którego jeden kraniec nikł na południu, a drugi na północy, gdy nagle skrzekliwy głos żony zmusił go do opuszczenia swego stanowiska. Wszedł do środka, mrucząc pod nosem, i wspiął się na pierwsze piętro, zostawiając jednak otwarte na oścież drzwi, jakby zachęcał w ten sposób do wstąpienia ewentualnych podróżnych. W chwili gdy Caderousse wchodził na górę, gościniec był równie nagi i opustoszały jak pustynia w południe. Bieluteńki pas ciągnął się bez końca pomiędzy dwoma rzędami mizernych drzew. Było oczywiste, że żaden podróżny nie zboczy dobrowolnie, mogąc wybrać inną porę dnia, na tę okropną siostrę Sahary[436].

Gdyby jednak Caderousse pozostał na swym stanowisku, dojrzałby, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, jeźdźca zbliżającego się od strony Bellegarde. Z postawy jeźdźca i konia widać było, że między człowiekiem a zwierzęciem stosunki były jak najlepsze; wałach[437] biegł inochodem[438], jeździec był księdzem; ubrany na czarno, na głowie miał trójgraniasty[439] kapelusz mimo nieznośnego skwaru; zbliżali się umiarkowanym kłusem.

Podróżny zatrzymał się przed karczmą; trudno było stwierdzić, czy to koń zadecydował o postoju, czy człowiek. Jakby nie było, jeździec zsiadł z konia, przywiązał go za uzdę do spróchniałej okiennicy, dyndającej na jednym już tylko zawiasie, a potem, obtarłszy czoło z potu czerwoną bawełnianą chustką, podszedł do drzwi i zastukał po trzykroć okutą laską.

Wielki czarny pies powstał natychmiast i podbiegł, szczekając i szczerząc białe ostre kły; owa podwójna demonstracja wrogości dowodziła, że pies nie był przyzwyczajony do podróżnych.

Wkrótce drewniane schodki biegnące wzdłuż kamiennego muru zatrzęsły się pod ciężkimi krokami gospodarza tego ubogiego domostwa, który pochylony zszedł tyłem na dół i stanął przed księdzem.

— Jestem już, jestem! — powtarzał zdziwiony. — Cicho, Margotin! Niech się pan nie boi, on tylko szczeka, ale nie gryzie. Chcesz pan zapewne napić się wina? Bo też okropny jest ten upał. Ach, przepraszam — urwał nagle, przypatrzywszy się lepiej podróżnemu. — Nie wiedziałem, z kim mam zaszczyt mówić. Czego ksiądz sobie życzy? Co ksiądz rozkaże? Jestem do usług księdza.

---

[434] *procesje w Tarascon* — coroczne obchody odbywające się we fr. miejscowości Tarascon na cześć jej patronki, św. Marty, która według legendy miała oswoić nękającego okolicę potwora. [przypis edytorski]

[435] *kamasze* (daw.) — męskie obuwie z wysokimi cholewami. [przypis edytorski]

[436] *Sahara* — strefa pustynna w płn. Afryce; największa gorąca pustynia na Ziemi. [przypis edytorski]

[437] *wałach* — koń wykastrowany, używany do pracy (w przeciwieństwie do ogiera, wykorzystywanego do jazdy wierzchem oraz w celach rozpłodowych). [przypis edytorski]

[438] *inochód* — przemieszczanie się zwierząt czworonożnych, polegające na stawianiu jednocześnie obu nóg lewych następnie prawych. [przypis edytorski]

[439] *trójgraniasty* — posiadający wyraźne trzy krawędzie. [przypis edytorski]

Ksiądz spoglądał na gospodarza przez kilka sekund ze szczególną uwagą; wydawało się, że chciał jakby zwrócić na siebie uwagę oberżysty; ale skoro się przekonał, że twarz Caderousse'a wyrażała tylko zdziwienie brakiem odpowiedzi, uznał, że czas mu położyć koniec i odezwał się z wyraźnym włoskim akcentem:

— Czy nazywasz się pan Caderousse?

— Tak, proszę ojca — odrzekł gospodarz, bardziej zdziwiony tym pytaniem niż poprzednio milczeniem księdza. — Jestem Kacper Caderousse, do usług.

— Kacper Caderousse... A tak, zdaje mi się, że to właśnie takie imię i nazwisko. A nie mieszkałeś pan kiedyś na Alejach Meilhańskich? Na czwartym piętrze?

— Pewnie, że tak.

— Trudniłeś się wtedy profesją krawiecką?

— Tak, ale mi się nie wiodło. Takie upały w tej piekielnej Marsylii, że ludzie przestaną się chyba w ogóle odziewać. Ale, ale... skoro mowa o upale, nie chciałby się ksiądz czymś orzeźwić?

— Dobrze. Dajże mi pan butelkę najlepszego wina, jakie masz, a potem wrócimy do rozmowy od tego, na czymśmy skończyli.

— Jak ksiądz sobie życzy — odpowiedział Caderousse.

I aby nie stracić sposobności sprzedania jednej z ostatnich butelek wina cahors[440], czym prędzej podniósł drzwiczki od piwnicy w podłodze parterowej izby, która służyła zarazem za kuchnię i jadalnię dla gości. Gdy powrócił po pięciu minutach, zastał księdza przy stole, wspartego na łokciu. Margotin, zawarłszy już z nim widać rozejm, słysząc, że — a rzadko to się tutaj zdarzało — ten niezwykły gość zamierza coś zamówić w karczmie, ułożył na jego udzie wychudły pysk i spoglądał nań tęsknie.

— Mieszkasz pan tutaj sam? — spytał ksiądz, gdy gospodarz stawiał przed nim butelkę i szklankę.

— O tak, Mój Boże! Tak, to jest prawie sam, bo żona jest ciągle chora, niewiele mi może pomóc.

— Jesteś więc pan żonaty? — rzekł ksiądz z pewnym zainteresowaniem, obrzucając badawczym wzrokiem lichy dobytek tego ubogiego stadła.

— O tak, widać, że bieda u nas, nieprawdaż? — westchnął Caderousse. — Lecz co robić, nie wystarczy być uczciwym, aby się szczęściło na świecie.

Ksiądz wlepił w oberżystę przenikliwy wzrok.

— A tak, uczciwym; tym przynajmniej mogę się chwalić — mówił gospodarz, wytrzymując odważnie spojrzenie księdza, kładąc ręce na piersi i kiwając potwierdzająco głową. — W naszych czasach nie wszyscy mogą to o sobie powiedzieć.

— Tym lepiej, jeżeli oczywiście to, co mówisz, jest prawdą — powiedział ksiądz. — Jestem bowiem gruntownie przekonany, że prędzej czy później cnotliwy otrzyma nagrodę, a zły karę.

— Ksiądz tak mówi, bo musi tak mówić z urzędu — odrzekł z goryczą Caderousse — nam zaś wolno temu nie wierzyć.

— Nie mów tak — rzekł ksiądz. — Może za chwilę sam ci dowiodę słuszności tych słów.

— Jak to? — spytał Caderousse ze zdziwieniem.

— Tak, ale najpierw muszę się dokładnie upewnić, czy jesteś pan tym, do którego mam się zwrócić.

— Jakich ksiądz pragnie dowodów?

— Czy znał pan w latach 1814–15 marynarza nazwiskiem Dantès?

— Dantèsa! Czy go znałem, mój Boże, tego biednego Edmunda! I to jak! Był to nawet jeden z moich najlepszych przyjaciół! — wykrzyknął Caderousse, a całą twarz okrył mu rumieniec; tymczasem ksiądz nie spuszczał zeń jasnego i pewnego wzroku i zdawał się nim wręcz chłonąć uczucia rysujące się na twarzy Caderousse'a.

— Tak. Zdaje mi się, że istotnie miał na imię Edmund.

[440] *cahors* — fr. czerwone wino, uważane za jedno z najcięższych na świecie; charakteryzuje się niemal czarną barwą; najwykwintniejsze dojrzewa od 5–15 lat. [przypis edytorski]

— Czy miał na imię Edmund! Ba! Pewnie! To rzecz tak niewątpliwa, jak to, że ja nazywam się Kacper Caderousse! Co się też stało z tym biednym Edmundem? Ksiądz go zna? Żyje jeszcze? Czy jest wolny i szczęśliwy?

— Umarł w więzieniu w większej rozpaczy i nędzy niż galernicy przykuci do kuli w tulońskich galerach — odpowiedział ksiądz.

Śmiertelna bladość okryła twarz Caderousse'a, jeszcze przed chwilą zupełnie purpurową. Odwrócił się i ksiądz ujrzał, jak otarł łzy rogiem czerwonej chustki, którą obwiązaną miał głowę.

— Biedak — szepnął Caderousse. — I proszę, ma tu ksiądz nowy dowód, że mam rację: dobry Bóg jest dobrotliwy tylko dla złych. Ach! — mówił dalej obrazowym, kwiecistym językiem mieszkańców południa. — Coraz się gorzej dzieje na tym świecie; gdyby tak z nieba dwa dni sypał się proch, a potem przez godzinę leciał ogień, byłby wreszcie spokój.

— Zdaje się, żeś pan kochał z całego serca tego chłopaka? — spytał ksiądz.

— Tak, lubiłem go bardzo, chociaż wyrzucam sobie do dziś, żem dawniej zazdrościł mu jego szczęścia. Ale niech mi ksiądz wierzy, klnę się na duszę, że nieraz płakałem nad jego nieszczęsnym losem.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której ksiądz ani na chwilę nie przestał obserwować wyrazu oblicza oberżysty.

— Znał ksiądz tego biednego chłopca? — zapytał wreszcie Caderousse.

— Dałem mu ostatnie namaszczenie — odrzekł ksiądz.

— Na co więc umarł? — zapytał Caderousse zdławionym głosem.

— A na cóż się umiera w więzieniu w trzydziestym roku życia, jeżeli nie z powodu samego więzienia?

Caderousse otarł pot, który spływał mu z czoła.

— Najdziwniejsze w tej sprawie jest to — mówił dalej ksiądz — że Edmund, umierając, przysięgał mi na krucyfiks, że nie wie, dlaczego go uwięziono.

— To prawda, to prawda! — zawołał Caderousse. — On nic nie wiedział, księże dobrodzieju, nie, biedaczysko nie kłamał.

— Właśnie dlatego polecił mi poznać przyczyny jego nieszczęścia, których sam nie zdołał wyświetlić i przywrócić cześć jego pamięci, jeżeli była splamiona.

Ksiądz wydawał się pożerać spojrzeniem spochmurniałą nagle twarz Caderousse'a.

— Pewien bogaty Anglik — mówił dalej — jego towarzysz niedoli, którego uwolniono za drugiej restauracji[441], posiadał diament o wielkiej wartości. Odzyskując wolność, podarował w podzięce Edmundowi, który opiekował się nim w chorobie jak rodzony brat, ten diament. Edmund nie użył go, aby przekupić dozorców, którzy mogliby przyjąć ten diament, a potem go zdradzić, lecz zachował na wypadek, gdyby wyszedł z więzienia; wtedy bowiem pieniądze, które by dostał za diament, zapewniłyby mu los.

— I był to, powiada ksiądz — zagadnął Caderousse, a oczy nagle mu zabłysły — diament o ogromnej wartości?

— Wszystko jest względne — odrzekł ksiądz. — Ogromnej wartości dla Edmunda; bo wyceniono go na pięćdziesiąt tysięcy franków.

— Pięćdziesiąt tysięcy franków! — wykrzyknął Caderousse. — To przecież musiał być tak duży jak orzech?

— No, niezupełnie — rzekł ksiądz — ale sam to pan osądzi najlepiej, mam go przy sobie.

Ksiądz wyjął z kieszeni małe pudełko z czarnego szagrynu[442], otworzył je i ukazał olśnionemu Caderousse'owi migoczący klejnot oprawny w pierścień niepospolitej roboty.

— I to jest warte pięćdziesiąt tysięcy franków? — zapytał chciwie Caderousse.

— Oprócz oprawy, która ma także swoją cenę — rzekł ksiądz.

Zamknął pudełko i schował na powrót diament, który wciąż jednak migotał przed oczyma Caderousse'a.

---

[441] *druga restauracja* — powrót do władzy Burbonów w 1815 r. po nieudanych Stu Dniach Napoleona. [przypis edytorski]

[442] *szagryn* — skóra cielęca, kozia lub owcza, używana najczęściej do wyrobów skórzanych toreb, woreczków, itd. [przypis edytorski]

— Jakim sposobem ksiądz stał się właścicielem tego klejnotu; Edmund ustanowił księdza swoim spadkobiercą?

— Nie, po prostu wykonawcą swojej ostatniej woli. „Miałem trzech dobrych przyjaciół i narzeczoną", powiedział mi; „a wszyscy oni, jestem tego pewien, szczerze mnie opłakują, jeden z nich nazywał się Caderousse".

Caderousse drgnął.

— „Drugi — mówił dalej ksiądz, udając, że nie widzi wzruszenia Caderousse'a — drugi nosił nazwisko Danglars, trzeci, chociaż był moim rywalem, także mnie lubił".

Uśmiech szatański przemknął po twarzy Caderousse'a, który uczynił gwałtowny ruch, jak gdyby chciał przerwać księdzu.

— Zaczekaj pan — rzekł ksiądz. — Daj mi skończyć, a jeżeli chcesz mi pan coś o tym powiedzieć, zrobisz to później. „Trzeci, chociaż był moim rywalem, także mnie lubił, a nazywał się Fernand; a moja narzeczona zaś nazywała się..." Ach, zapomniałem, jak miała na imię narzeczona.

— Mercedes — rzekł Caderousse.

— Ach! Tak, tak — rzekł ksiądz, tłumiąc westchnienie — Mercedes.

— I co dalej? — spytał Caderousse.

— Daj mi pan karafkę z wodą — rzekł ksiądz.

Caderousse spełnił ten rozkaz w mgnieniu oka. Ksiądz nalał sobie szklankę i wypił kilka łyków.

— Na czym stanęliśmy? — zastanowił się, stawiając szklankę na stole.

— O narzeczonej Edmunda, Mercedes.

— Słusznie. „Pojedzie ksiądz do Marsylii...". Rozumiesz pan, że to słowa Edmunda?

— Tak, tak.

— „Sprzeda ksiądz ten diament, podzieli pieniądze na pięć części i rozdzieli między te osoby, bo to jedyne istoty na świecie, które mnie kochały".

— Jak to na pięć części? — zapytał Caderousse. — Przecież ksiądz wymienił tylko cztery osoby.

— Ponieważ piąta nie żyje, jak mi wiadomo... Był nią ojciec Edmunda.

— Niestety tak — rzekł Caderousse, poruszony mocno sprzecznymi uczuciami, które się w nim miotały. — Niestety, biedak umarł.

— Dowiedziałem się o tym w Marsylii — odrzekł ksiądz, z trudem usiłując zachować obojętność — ale już tyle lat od tego czasu upłynęło, że nie udało mi się dowiedzieć żadnych szczegółów... A może pan wie coś o zgonie starego Dantèsa?

— A któż by to mógł lepiej wiedzieć ode mnie? Mieszkałem z nim prawie przez drzwi... Ach, mój Boże! Zaledwie rok po zniknięciu syna staruszek umarł.

— Na co?

— Według lekarzy umarł na... katar żołądka[443], jeżeli się nie mylę; ci, co bliżej go znali, utrzymywali, że umarł ze zgryzoty[444]... ale ja, co byłem z nim niemal do ostatniej chwili, myślę, że...

Caderousse zamilkł.

— Że umarł?... — powtórzył z niepokojem ksiądz.

— No cóż! Że umarł z głodu!

— Z głodu! — zawołał ksiądz, porwawszy się na nogi. — Z głodu! Najlichsze stworzenia nie zdychają z głodu! Nawet psy włóczące się po ulicach trafią czasem na litościwą rękę, która im rzuci kawałek chleba! A człowiek, chrześcijanin umarł z głodu między innymi ludźmi, co również mienią się chrześcijanami? To niemożliwe! Nie, to niemożliwe!

— Co powiedziałem, to myślę.

— I źle zrobiłeś — odezwał się na schodach jakiś głos. — Po co się mieszasz w to wszystko?

Odwrócili się i dojrzeli za drewnianą balustradą galeryjki schorowaną twarz kobiety; Karkontka przywlekła się na schody i siedząc na ostatnim stopniu, podsłuchiwała rozmowę z głową opuszczoną na kolana.

---

[443] *katar żołądka* — inaczej: zapalenie błony śluzowej żołądka. [przypis edytorski]

[444] *zgryzota* — zmartwienie, smutek. [przypis edytorski]

— To ty się w to niepotrzebnie mieszasz, kobieto — odparł Caderousse. — Ksiądz żąda ode mnie pewnych wiadomości, a grzeczność nakazuje, abym mu ich udzielił.

— Tak, ale roztropność nakazuje, abyś trzymał język za zębami. Kto wie, niedołęgo, w jakich zamiarach ktoś cię tak ciągnie za język?

— W jak najlepszych, proszę pani, zapewniam — rzekł ksiądz. — Nic nie będzie grozić pani mężowi, jeżeli tylko odpowie mi szczerze na pytania.

— Nic nie będzie mu grozić? Akurat! Zawsze się zaczyna od obiecanek cacanek, potem się mówi, że nic nam nie będzie grozić... A potem taki osobnik rozpływa się w powietrzu, nie dotrzymawszy ani słowa. I pewnego pięknego ranka na takich biednych ludzi, jak my, wali się, nie wiadomo skąd, nieszczęście.

— Dobra kobieto — rzekł ksiądz. — Uspokój się, nie spotka was przeze mnie żadne nieszczęście, ręczę ci.

Karkontka mruczała jeszcze przez chwilę coś niezrozumiałego, a potem spuściła znowu głowę na kolana i jęła dygotać, pochwycona atakiem malarii, nie przeszkadzając dalszej rozmowie; nie ruszyła się jednak na krok z miejsca, nie chcąc opuścić ani słowa.

Tymczasem ksiądz napił się znowu wody i wrócił do równowagi:

— Ale czy ten nieszczęsny staruszek był aż tak przez wszystkich zapomniany, że musiał umrzeć podobną śmiercią?

— O, proszę księdza! Ani Mercedes Katalonka, ani pan Morrel nie opuszczali go na chwilę; ale biedny stary powziął głęboką nienawiść do Fernanda — mówił dalej z ironicznym uśmiechem — tego właśnie, którego Edmund miał za przyjaciela.

— Czyż nie był nim? — zapytał ksiądz.

— Kacprze, Kacprze — zawołała kobieta. — Zastanów się dobrze, nim coś powiesz.

Caderousse żachnął się niecierpliwie i nie odrzekłszy jej ani słowa, zwrócił się do księdza:

— Czy można być przyjacielem tego, którego żony pożąda się z całej siły? Edmund, złote serce, wszystkich tych ludzi uważał za przyjaciół... Biedny Edmund!... Zresztą może lepiej się stało, że nie wiedział o niczym; pewno ciężko by mu było im przebaczyć przed śmiercią... A, niech mówią, co chcą! Więcej się boję przekleństw umierających niż nienawiści żyjących — dodał Caderousse, a jego słowa były pełne surowej poezji.

— Głupiec! — oznajmiła Karkontka.

— Więc pan wiesz, co ten Fernand zrobił przeciw Edmundowi?

— Co zrobił? Pewnie, że wiem.

— Mów pan!

— Kacprze, robisz, co ci się podoba, jesteś panem swojej woli — wtrąciła kobieta — ale wierzaj mi, lepiej nic nie mów.

— Tym razem zdaje mi się, że masz rację, kobieto.

— A więc nic mi pan nie powiesz? — zapytał ksiądz.

— A po kiego licha? Gdyby chłopczyna żył jeszcze i przyszedł do mnie, żeby się wreszcie dowiedzieć, kto jest jego przyjacielem, a kto wrogiem, to co innego. Ale teraz przysypali go ziemią, jak ksiądz mówi, nie może już czuć nienawiści ani się mścić, puśćmy to w niepamięć.

— A więc wolisz pan, abym dał ludziom, których uważasz za niegodziwych i fałszywych, pieniądze przeznaczone dla wiernych przyjaciół?

— To prawda, ma ksiądz słuszność — przyznał Caderousse. — Zresztą, co by dla nich teraz znaczył ten zapis biednego Edmunda? Ot, kropla w morzu.

— Nie mówiąc już o tym, że mogą cię jednym skinieniem zetrzeć w proch — dodała Karkontka.

— Jak to? Czyżby się stali tak bogaci i potężni?

— Nie zna więc ksiądz ich historii?

— Nie, opowiedz mi pan o nich.

Caderousse zdawał się zastanawiać przez chwilę.

— E, chyba nie warto — rzekł. — Długo by opowiadać.

— Możesz milczeć, przyjacielu — rzekł ksiądz z największą obojętnością — i szanuję twoje pobudki, zresztą twoje zachowanie świadczy, że jesteś naprawdę dobrym człowiekiem, nie mówmy o tym więcej. Co miałem wykonać? Ot, to czysta formalność. Sprzedam ten diament...

To rzekłszy, wyjął pudełko z kieszeni, otworzył i zaświecił diamentem ponownie przed olśnionymi oczyma Caderousse'a.

— Chodź, zobacz, żono — rzekł chrapliwie oberżysta.

— Diament! — zdumiała się Karkontka, wstając i dość pewnym krokiem schodząc po schodach. — Co to znaczy?

— Jak to, nie słyszałaś, kobieto? To diament, który zapisał nam ten poczciwy Edmund: to jest swemu ojcu, trzem przyjaciołom — Fernandowi, Danglarsowi i mnie, no i swojej narzeczonej. Warty jest pięćdziesiąt tysięcy franków.

— Ach, jaki piękny — rzekła.

— Więc piąta cześć tej sumy należy do nas? — spytał Caderousse.

— Tak, a poza tym jeszcze część należąca do ojca Edmunda, myślę bowiem, że mam prawo rozdzielić ją między was czworo.

— Dlaczego między czworo? — spytała Karkontka.

— Ponieważ wszyscy czworo byliście przyjaciółmi Edmunda.

— Aha, przyjaciele, co zdradzają — ponuro mruknęła Karkontka.

— Tak, tak — rzekł Caderousse — i to przecież też mówiłem. Toż to profanacja[445], świętokradztwo wynagradzać zdrajców, a może nawet zbrodniarzy.

— Sam pan tego chciałeś — odrzekł spokojnie ksiądz, chowając diament do kieszeni. — A teraz powiedz mi pan, pod jakim adresem mam szukać przyjaciół Edmunda, abym mógł wykonać jego ostatnią wolę.

Pot spływał grubymi kroplami z czoła Caderousse'a; ksiądz wstał, podszedł do drzwi, aby popatrzeć na konia.

Caderousse i jego żona wpatrywali się w siebie z wyrazem trudnym do opisania.

— Cały diament byłby nasz — szepnął Caderousse.

— Tak myślisz — odpowiedziała żona.

— Przecież to osoba duchowna, nie oszuka nas.

— Czyń, co ci się podoba — rzekła Karkontka — ja się w to nie chcę wtrącać.

I cała dygocząc, zaczęła wspinać się po schodach; zęby jej szczękały, chociaż upał był nie do wytrzymania. Zatrzymała się na chwilę na ostatnim stopniu.

— Zastanów się dobrze, Kacprze — rzekła.

— Wiem dobrze, co mam robić — odparł Caderousse.

Karkontka westchnęła i poszła do swej izby, podłoga skrzypiała pod jej nogami, zanim zbliżyła się do fotela i ciężko nań upadła.

— Cóż więc postanowiłeś? — spytał ksiądz.

— Opowiem księdzu wszystko — odpowiedział Caderousse.

— Sądzę, że w istocie tak będzie najlepiej — rzekł ksiądz. — Nie dlatego, bym chciał koniecznie dowiedzieć się o jakichś sekretach; ale będzie dobrze, jeżeli możesz mi pomóc w podziale spadku zgodnie z życzeniem zmarłego.

— Mam taki zamiar — odpowiedział Caderousse z twarzą rozpłomienioną nadzieją i chciwością.

— Słucham — rzekł ksiądz.

— Niech ksiądz chwilkę zaczeka. Ktoś mógłby nam przeszkodzić w najbardziej zajmującym miejscu, a szkoda byłoby; zresztą po co ma kto wiedzieć, żeś tu był.

Podszedł do drzwi oberży, zamknął je, a nawet dla większego bezpieczeństwa zasunął sztabę[446], która broniła ich nocą.

Ksiądz zaś wybrał sobie najdogodniejsze miejsce; usiadł w kącie, tak że sam znajdował się w cieniu, podczas gdy na twarz karczmarza, dla którego miejsce było naprzeciw, musiało padać światło. Z pochyloną głową, złożywszy, a raczej skrzyżowawszy ręce, przygotowywał się do słuchania z jak największą uwagą.

Caderousse przysunął zydel i usiadł naprzeciw.

— Pamiętaj, że cię do tego nie namawiałam! — odezwał się głos drżący Karkontki, jakby mogła poprzez podłogę widzieć, co się zaczyna.

— Dobrze, dobrze — rzekł Caderousse. — Nie mówmy już o tym, biorę wszystko na siebie.

---

[445]*profanacja* (z łac.) — zbezczeszczenie. [przypis edytorski]

[446]*sztaba* — płaska, metalowa zasuwa, służąca do zamykania drzwi. [przypis edytorski]

I zaczął mówić.

27. OPOWIADANIE

— Przede wszystkim, proszę księdza, chciałbym prosić, aby ksiądz obiecał mi jedno.

— Co takiego? — zapytał ksiądz.

— Żeby, jeżeli kiedykolwiek zechce ksiądz uczynić jakiś użytek z tego, co zaraz opowiem, nie powiedział ksiądz nikomu, że te wiadomości pochodzą ode mnie; osoby, o których mam mówić, są tak bogate i potężne, że gdyby chciały mnie tknąć końcem palca, zgniotłyby mnie na proch.

— Bądź spokojny, przyjacielu — rzekł ksiądz. — Jestem kapłanem i wszelkie ludzkie wyznania giną na zawsze w moim sercu. Przypomnij sobie, że mamy tylko jeden cel — wypełnić sprawiedliwie ostatnią wolę naszego przyjaciela. Mów pan więc, nie oszczędzając nikogo, ale i bez nienawiści; mów prawdę, samą prawdę, nic więcej. Nie znam i pewnie nigdy nie będę znać ludzi, o których masz mówić; zresztą jestem Włochem, nie Francuzem; służę Bogu, a nie ludziom i niebawem wracam do klasztoru, który opuściłem tylko po to, aby wypełnić ostatnie życzenie umierającego.

Ta stanowcza obietnica podniosła nieco na duchu Caderousse'a.

— No cóż, w takim razie — powiedział — chcę więc, a nawet uważam, że powinienem to zrobić, chcę wyprowadzić księdza z błędu co do tych mniemanych przyjaciół, których Edmund uważał za tak mu oddanych.

— Zacznijmy od jego ojca — poprosił ksiądz. — Edmund tyle mi mówił o nim, tak głęboko go kochał...

— O, to smutna opowieść — rzekł Caderousse, kiwając głową. — Zna ksiądz pewnie jej początek?

— Tak. Edmund opowiedział mi wszystko aż do chwili, gdy został aresztowany w jakiejś oberży pod Marsylią.

— U starego Pamfila, tak, mój Boże, tak! Stoi mi to jeszcze wszystko przed oczyma!

— I to się stało podobno w czasie przyjęcia zaręczynowego?

— Tak. Przyjęcie, co się tak wesoło zaczęło, miało smutny koniec. W pewnej chwili wszedł komisarz policji z żandarmami i Edmund został aresztowany.

— I tu się wszystko kończy, co wiem — przerwał ksiądz. — Zresztą Edmund nic więcej nie wiedział, bo nie zobaczył już żadnej z tych pięciu osób i nigdy o nich nie usłyszał.

— Skoro tylko Edmund został uwięziony, pan Morrel pobiegł dowiedzieć się, co się stało; wrócił ze smutnymi wiadomościami. Ojciec Edmunda powrócił sam do domu, płacząc, ułożył w szafie swój ślubny strój, przez cały dzień chodził tam i z powrotem po pokoiku; nadszedł wieczór, ale on się nie położył — mieszkałem pod nim i słyszałem, jak calutką noc chodził po izbie; muszę się przyznać, że sam nie mogłem też zmrużyć oka; cierpienie tego biednego ojca bolało mnie strasznie, każdy jego krok gniótł mi serce, jak gdyby naprawdę deptał mi po piersiach.

Następnego dnia Mercedes udała się do Marsylii, chcąc błagać o wstawiennictwo pana de Villeforta; nic nie uzyskała; poszła też odwiedzić starca. Znalazłszy go tak przygnębionym i załamanym, dowiedziawszy się, że spędził bezsennie całą noc, że nie jadł od wczoraj, chciała zabrać go do siebie, aby się nim opiekować, ale staruszek się na to nie zgodził. „Nie — mówił — nie opuszczę domu, chłopak nikogo tak nie kocha jak mnie, a gdy wyjdzie z więzienia, przybiegnie najpierw do mnie. Cóż by sobie pomyślał, gdyby mnie tu nie zastał?".

Słuchałem tej rozmowy ze schodów i pragnąłem bardzo, aby Mercedes wreszcie go nakłoniła; te kroki dzień i noc nad moją głową nie dawały mi ani chwili spoczynku.

— A pan nie poszedłeś sam do starca, żeby go pocieszyć?

— Ach, proszę księdza! Pocieszać można tylko tych, którzy pragną, by ich pocieszano. Zresztą nie wiem dlaczego, ale zdawało mi się, że mnie mocno nie lubił. Pewnej jednak nocy nie mogłem już wytrzymać, słysząc, jak zanosi się od płaczu i pobiegłem na górę; ale gdy podszedłem do drzwi, stary już nie płakał, tylko się modlił. Nie umiem księdzu powiedzieć, jak wymowne słowa to były, jak rozdzierające błagania, to było więcej

niż pobożność, więcej niż rozpacz; tak że choć nie jestem nabożnisiem[447] i nie cierpię jezuitów[448], powiedziałem sobie wtedy: „Ależ mam szczęście, że jestem sam jeden i że Bóg nie dał mi dzieci, bo gdybym był ojcem i żył w takiej rozpaczy, jak ten biedny starzec, nie potrafiłbym znaleźć w duszy ani w sercu słów, jakie on mówił Bogu, i rzuciłbym się w morze, aby nie cierpieć już dłużej".

— Nieszczęsny ojcze — wyszeptał ksiądz.

— Co dzień stawał się coraz większym odludkiem i był coraz bardziej osamotniony; pan Morrel i Mercedes nieraz przychodzili do niego, ale drzwi zawsze były zamknięte, nie odpowiadał na pukanie, chociaż wiedziałem, że był u siebie. Pewnego dnia wpuścił jednak Mercedes, a gdy ta biedna dziewczyna, sama udręczona rozpaczą, usiłowała go pocieszać, rzekł do niej: „Wierz mi, on nie żyje... i już nie my na niego, ale on na nas czeka... Jestem szczęśliwy, bom z was najstarszy i pierwszy go ujrzę...".

Wie ksiądz, że nawet najlepszy człowiek zaczyna rychło unikać ludzi, którzy go przejmują smutkiem; stary Dantès został w końcu zupełnie osamotniony. Widywałem tylko od czasu do czasu, jak wychodzili od niego jacyś nieznajomi, ukrywając niezręcznie większe lub mniejsze paczuszki; później nieco zrozumiałem, co to były za paczki: stary wyprzedawał po trochu wszystko, co miał, żeby kupić jedzenie.

Na koniec biedaczysko nie miał nic do sprzedania... Winien był trzy miesiące komornego: zagrożono mu usunięciem; poprosił o tydzień zwłoki i właściciel zgodził się. Wiem o tym od właściciela, który wychodząc od niego, zaszedł do mnie.

Przez trzy dni jeszcze słyszałem, jak chodził po izbie według zwyczaju; ale czwartego dnia nic już nie było słychać. Ośmieliłem się pójść na górę: drzwi były zamknięte, ale zajrzałem przez dziurkę od klucza i zauważyłem, że był nadzwyczaj blady i wycieńczony; uznałem, że jest ciężko chory, powiadomiłem pana Morrela i poleciałem do Mercedes. Oboje przyszli natychmiast. Pan Morrel przyprowadził lekarza, który stwierdził, że chory cierpi na katar żołądka i nakazał dietę. Byłem tam, proszę księdza, i nigdy nie zapomnę, z jakim uśmiechem stary przyjął to zalecenie.

Odtąd nie zamykał już drzwi; miał doskonałą wymówkę, aby się głodzić: lekarz nakazał mu dietę

Ksiądz westchnął boleśnie.

— Ta historyjka księdza nie nudzi? — rzekł Caderousse.

— Nie, to naprawdę poruszająca historia.

— Mercedes znów przyszła do Dantèsa; widząc, jak bardzo jest wycieńczony, chciała go znowu przenieść do siebie. Tak też uważał pan Morrel i chciał to nawet wykonać siłą, ale starzec tak mocno krzyczał, że się zlękli. Mercedes pozostała przy łóżku, pan Morrel odszedł, wskazując jej sakiewkę, którą zostawił na kominku. Ale chory, zasłaniając się zaleceniem lekarza, nie chciał nic wziąć do ust. Na koniec, po dziewięciu dniach rozpaczy i głodówki stary umarł, przeklinając tych, którzy byli sprawcami jego nieszczęścia, i mówiąc do Mercedes: „Gdybyś zobaczyła kiedyś Edmunda, powiedz mu, że błogosławiłem mu, umierając".

Ksiądz wstał i obszedł dwukrotnie salę, dotykając drżącą ręką gardła, w którym zaschło.

— Więc umarł, jak powiadasz...

— Z głodu... mój ojcze, z głodu — rzekł Caderousse. — O, przysięgam na Chrystusa, że to prawda.

Ksiądz chwycił konwulsyjnie szklankę wody, wychylił do dna duszkiem i usiadł; oczy mu się zaczerwieniły, policzki pobladły.

— Co za straszliwe nieszczęście! — rzekł chrapliwie.

— Tym większe, proszę księdza, że nie jest dziełem Boga; to ludzie, tylko ludzie do tego doprowadzili.

— No, to przejdźmy do tych ludzi — podchwycił ksiądz. — Lecz pamiętaj pan — dodał z niemal groźbą w głosie — żeś obiecał powiedzieć mi wszystko; dalej, co to za ludzie, przez których syn umarł z rozpaczy, a ojciec z głodu?

---

[447] *nabożniś* (iron.) — osoba przesadnie pobożna. [przypis edytorski]

[448] *jezuici* — męski zakon katolicki, istniejący, żeby bronić Kościoła katolickiego przed reformacją; jezuitom przypisywano zakłamanie, przewrotność, bezwzględność i stosowanie zasady, że cel uświęca środki. [przypis edytorski]

— To ludzie, którzy mu zazdrościli, dwóch ich było, proszę księdza, jeden kierował się miłością, drugi ambicją; to Fernand i Danglars.

— Jakże się ta zazdrość objawiła?

— Zadenuncjowali Edmunda, że jest agentem napoleońskim.

— Ale który z nich na niego doniósł? Który był prawdziwym winowajcą?

— Obaj. Jeden napisał donos, a drugi zaniósł go na pocztę.

— Gdzież napisali ten donos?

— W karczmie Pamfila, w przeddzień ślubu.

— To prawda, to prawda — szeptał ksiądz. — Faria! Faria! Jak ty dobrze znałeś ludzi i świat!

— Przepraszam, ksiądz mówił?... — spytał Caderousse.

— Nie, nic — powstrzymał się ksiądz. — Mów pan dalej.

— Danglars napisał denuncjację lewą ręką, aby nie rozpoznano jego pisma, a Fernand ją wysłał.

— Ależ — wykrzyknął ksiądz — ty także tam byłeś!

— Ja? — zdziwił się Caderousse. — A któż to księdzu powiedział?

Ksiądz spostrzegł się, że zbyt się zagalopował.

— Nikt mi nie powiedział — odrzekł. — Ale skoro tak dobrze znasz wszystkie szczegóły, musiałeś pan chyba być tego świadkiem.

— To prawda — rzekł Caderousse stłumionym głosem. — Ja też tam byłem.

— I nie sprzeciwiłeś się pan tej nikczemności? Jesteś więc ich wspólnikiem.

— Proszę księdza — usprawiedliwił się Caderousse. — Tak dokumentnie mnie spili, żem niemal całkiem stracił przytomność. Wszystko widziałem jak przez mgłę. Próbowałem im coś powiedzieć, sprzeciwić się, ale człowiek w takim stanie nic nie może zrobić... A oni mi powiedzieli, że to tylko niewinny żart, który nie pociągnie za sobą żadnych skutków.

— Ale nazajutrz zobaczyłeś pan, że pociągnął, i nic pan nie powiedział, chociaż byłeś przy aresztowaniu.

— Tak, proszę księdza, byłem i chciałem wszystko wyjawić, ale Danglars mnie powstrzymał. „A jeżeli przypadkiem rzeczywiście jest winny — mówił do mnie — jeżeli prawdą jest, że był na Elbie, że ma przy sobie list do komitetu bonapartystów w Paryżu, jeżeli ten list znajdą przy nim, ci, co się za nim ujmą, będą poczytani za wspólników".

Przyznaję, że się przestraszyłem; nic nie powiedziałem; stchórzyłem, to prawda, ale to nie zbrodnia.

— Rozumiem, nie sprzeciwiałeś się złemu i tyle.

— Tak, proszę dobrodzieja — odrzekł Caderousse. — I to mnie dręczy dniem i nocą. Przysięgam księdzu, tak często błagam Boga, aby mi przebaczył, zwłaszcza, że ten grzech, jedyny, jaki mam sobie naprawdę z całego życia do wyrzucenia, jest przyczyną mych nieszczęść. Pokutuję za jedną chwilę egoizmu. Jakoż gdy Karkontka się uskarża, mówię jej zawsze: „Milcz, kobieto, Bóg chce, aby tak było".

I Caderousse zwiesił głowę z oznakami szczerej skruchy.

— Dobrze — rzekł ksiądz. — Mówisz pan bardzo szczerze. Kto się w ten sposób obwinia, ten zasługuje na przebaczenie.

— Niestety, Edmund już umarł, a on mi nie przebaczył.

— On o niczym nie wiedział... — odpowiedział ksiądz.

— Teraz może wie; powiadają, że zmarli wiedzą wszystko.

Nastała chwila milczenia, ksiądz wstał i przechadzał się w zamyśleniu; po chwili wrócił na miejsce i usiadł.

— Wspomniałeś mi pan kilka razy o panu Morrelu; co to za człowiek?

— Armator, właściciel statku „Faraon", na którym służył Edmund.

— Jakąż to on grał rolę w całej tej smutnej sprawie? — spytał ksiądz.

— Rolę człowieka uczciwego, odważnego i szczerze przywiązanego. Dwadzieścia razy wstawiał się za Edmundem, gdy cesarz wrócił, niczego nie szczędził, pisał, prosił, groził; do tego stopnia, że za drugiej Restauracji mocno go prześladowano jako bonapartystę. Z dziesięć razy, jak to księdzu mówiłem, namawiał ojca Edmunda, żeby się przeniósł do niego, a w przeddzień jego śmierci zostawił na kominku sakiewkę z pieniędzmi, za które

spłacono długi zmarłego i pokryto koszta pogrzebu; dzięki temu biedaczysko mógł przynajmniej umrzeć tak, jak żył, nie wyrządzając krzywdy nikomu. Mam jeszcze tę sakiewkę, duża, z czerwonego jedwabiu.

— Czy ten pan Morrel żyje jeszcze? — zapytał ksiądz.

— Żyje.

— To pewnie takiemu człowiekowi niebo pobłogosławiło, musi być bogaty... szczęśliwy?...

Caderousse uśmiechnął się gorzko.

— Aha, szczęśliwy tak jak ja.

— Jak to! Więc mu się nie wiedzie? — zawołał ksiądz.

— Zbliża się do nędzy, proszę księdza, a co więcej, grozi mu dyshonor[449].

— Jak to?

— Tak — odrzekł Caderousse — właśnie tak. Po dwudziestopięcioletnich trudach, uzyskawszy jedno z najpierwszych miejsc wśród marsylskich kupców, pan Morrel jest zrujnowany z kretesem. W ciągu dwóch lat zatonęło mu pięć statków, trzy razy zbankrutował; teraz cała jego nadzieja tkwi w tym samym „Faraonie", którym dowodził biedny Edmund, a który ma właśnie wrócić z Indii z ładunkiem koszenili[450] i indygo[451]. Jeżeli i ten statek zawiedzie go jak inne, pan Morrel jest zgubiony.

— Ten nieszczęśliwy człowiek ma żonę, dzieci?

— Ma żonę, prawdziwie świętą kobietę — tak pogodnie znosi tę sytuację; jego córka miała wyjść za mąż z miłości, ale rodzina jej narzeczonego nie pozwala mu teraz ożenić się z dziewczyną ze zrujnowanej rodziny; ma na koniec syna, który jest porucznikiem. Ale to wszystko nie tylko nie łagodzi cierpień tego biedaka, wręcz przeciwnie, tym bardziej boleje on nad sytuacją. Gdyby był sam, odebrałby sobie życie i byłoby po wszystkim.

— To okropne! — szepnął ksiądz.

— I widzi ksiądz, tak to Bóg nagradza cnotę! A proszę bardzo — ja na przykład nie popełniłem nic złego, prócz tego, co już księdzu opowiedziałem, i to ja właśnie żyję w nędzy; będę patrzył na śmierć żony, dla której nic nie mogę zrobić, a potem umrę z głodu jak ojciec Edmunda; Fernand tymczasem i Danglars tarzają się w złocie.

— Jak to?

— Bo kanaliom powiodło się w życiu, podczas gdy ludziom uczciwym nie.

— Cóż się stało z Danglarsem, głównym winowajcą, bo to on do tego podżegał?

— Co się z nim stało? Wyjechał z Marsylii i za rekomendacją pana Morrela, który nie wiedział nic o jego zbrodni, wszedł jako prokurent[452] do pewnego hiszpańskiego bankiera. Podczas wojny hiszpańskiej zajmował się dostawami dla naszego wojska i zrobił na tym majątek; potem włożył pieniądze w obligacje państwowe i pomnożył we czwórnasób[453] swój kapitał. Ożenił się z córką swojego bankiera, a gdy zmarła, poślubił wdowę, panią de Nargonne, córkę pana de Salvieux, szambelana królewskiego, który cieszy się wielkimi łaskami na dworze. Kiedy już został milionerem, zrobili go baronem; no i jest baronem Danglars, ma pałac przy ulicy Mont-Blanc, dziesięć koni w stajni, sześciu lokajów w przedpokojach i sam nie wiem ile milionów w kasie.

— Ach! — odezwał się ksiądz szczególnym tonem. — I jest szczęśliwy?

— O! To co innego. Nie sposób się dowiedzieć, co zamykają w sobie mury, nieszczęście czy szczęście; ściany mają uszy, lecz nie mają języków; jeżeli ogromny majątek daje szczęście, Danglars musi być bez wątpienia szczęśliwy.

— A Fernand?

— Fernand? To jeszcze inna historia.

— Jakimże sposobem mógł dorobić się majątku taki biedny rybak kataloński, niemający żadnych środków, ani nawet wykształcenia? To mi się w głowie nie mieści.

— Nie tylko księdzu, innym też się nie mieści w głowie; w życiu Fernanda musi być jakaś niezwykła tajemnica, której nikt jeszcze nie zna.

---

[449] *dyshonor* — utrata honoru. [przypis edytorski]

[450] *koszenila* — kwas karminowy; czerwony barwnik naturalnego pochodzenia pozyskiwany z wysuszonych i zmielonych owadów (czerwców kaktusowych). [przypis edytorski]

[451] *indygo* — błękitny barwnik dawniej otrzymywany z liści indygowca barwierskiego. [przypis edytorski]

[452] *prokurent* — pełnomocnik spółki. [przypis edytorski]

[453] *czwórnasób* — czterokrotnie. [przypis edytorski]

— Ale po jakich szczeblach doszedł do tej znakomitej fortuny, czy może do znakomitej pozycji?

— Do jednej i drugiej, mój księże, ma jedno i drugie, dostał mu się i majątek, i świetna pozycja.

— Opowiadasz mi pan jakieś bajki!

— To naprawdę zakrawa na bajkę; ale niech ksiądz posłucha, a zrozumie.

— Na kilka dni przed powrotem Napoleona Fernand wyciągnął los do wojska. Burbonowie dali mu pokój i siedział sobie spokojnie w swojej wsi; ale gdy Napoleon wrócił, ogłoszono pospolite ruszenie i Fernand nie mógł się wymigać. Ja także musiałem wyruszyć; ale że nie byłem taki młody i właśnie się pobrałem z moją biedną Karkontką, wysłano mnie tylko na wybrzeże. Fernand został wcielony do oddziału liniowego[454], doszedł ze swoim pułkiem do granicy i wziął udział w bitwie pod Ligny[455].

Pierwszej nocy po bitwie stał na warcie przed namiotem generała, który porozumiewał się w tajemnicy z nieprzyjacielem. Tej jeszcze nocy ów generał miał się przekraść do Anglików i zaproponował Fernandowi, żeby mu towarzyszył. Fernand przystał na to i udał się za generałem.

Ten postępek, za który poszedłby pod sąd wojenny, gdyby Napoleon utrzymał się na tronie, za Burbonów posłużył mu za rekomendację. Powrócił do Francji ze szlifami[456] podporucznika; że zaś generał, który był w wielkich faworach[457] u dworu, nadal go protegował, w 1823 roku został kapitanem, to jest w czasie wojny hiszpańskiej, właśnie wtedy, gdy Danglars zaczynał swoje pierwsze spekulacje. Fernand jako Hiszpan został posłany do Madrytu, aby zbadał tam nastroje. Znalazł tam Danglarsa, zwąchał się z nim, przyrzekł swemu generałowi współdziałanie rojalistów ze stolicy i z prowincji, uzyskał różne obietnice, podjął się ważnych zobowiązań, przeprowadził swój pułk sobie tylko znanymi ścieżkami przez wąwozy, których strzegli rojaliści; jednym słowem — tyle ważnych usług wyświadczył w tej krótkiej kampanii, że po zdobyciu Trocadero został mianowany pułkownikiem i udekorowany Krzyżem Legii Honorowej, a ponadto nadano mu tytuł barona.

— Dziwne ścieżki losu! — szepnął ksiądz.

— To prawda; lecz niech ksiądz słucha, to jeszcze nie wszystko. Po wojnie z Hiszpanią w Europie zapowiada się długi okres pokoju, który zakończy karierę Fernanda. Tylko w Grecji toczyły się walki — właśnie powstała przeciw Turcji i rozpoczęła wojnę o niepodległość. Wszystkie oczy były zwrócone na Ateny, do dobrego tonu należało żałować i wspierać Greków. Rząd francuski, chociaż nie popierał oficjalnie Grecji, ale tolerował pojedyncze wyprawy na własną rękę. Fernand poprosił o pozwolenie zaciągnięcia się do armii greckiej i otrzymał je, a jednocześnie nie został wykreślony z francuskiej ewidencji wojskowej. Wkrótce potem dowiedziano się, że hrabia de Morcerf (takie właśnie nazwisko przybrał) wszedł do służby Ali Paszy[458] w stopniu generała-instruktora. Ali Pasza został zabity, jak wiadomo, ale przed śmiercią wynagrodził Fernanda znaczną sumką, z którą Fernand powrócił do Francji; od razu też potwierdzono mu stopień generała-lejtnanta.

— Tym to sposobem dzisiaj?... — zapytał ksiądz.

— Tym to sposobem dzisiaj — dokończył Caderousse — posiada wspaniały pałac w Paryżu, ulica Helderska, nr 27.

---

[454] *oddział liniowy* — piechota uzbrojona w karabiny; formacji tej używano w Europie od XVII do XIX w. [przypis edytorski]

[455] *bitwa pod Ligny* — starcie wojsk Napoleona z armią pruską, które miało miejsce 16 czerwca 1815 r. [przypis edytorski]

[456] *szlify* — element munduru: epolety, naramienniki munduru z oznaczeniami stopnia wojskowego; przen. także: stopień oficerski. [przypis edytorski]

[457] *favor* (daw.) — łaska, przychylność. [przypis edytorski]

[458] *Ali Pasza Janiny* (1741–1822) — także: Ali Pasza z Tepeleny (w Albanii); możnowładca osmański, lennik sułtana, władca Epiru. W 1785 został mianowany paszą miasta Janina, następnie podporządkowywał sobie Peloponez, Epir i terytoria należące do dzisiejszej Albanii, budując niezależne od Turcji grecko-albańskie państwo; w Janinie wzniósł twierdzę, był mecenasem sztuki, przyczyniając się do zachowania starożytnej kultury greckiej; zawierał sojusze z Francją (Napoleonem Bonaparte), Wielką Brytanią, wspierał spiskowców gr. dążących do niepodległości. W 1821 sułtan wystąpił zbrojnie przeciw Alemu Paszy, który po półtorarocznej wojnie zakończonej wielomiesięcznym oblężeniem Janiny, został pokonany, aresztowany i stracony w 1822 na jeziorze Pamvotida [przypis edytorski]

Ksiądz otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć i wahał się, na koniec przezwyciężył się:

— A Mercedes — rzekł w końcu. — Mówiono mi, że zniknęła.

— Zniknęła tylko jak słońce o zachodzie — odrzekł Caderousse — aby o wschodzie zabłysnąć wspanialszym blaskiem.

— Czyżby i ona zrobiła fortunę? — zapytał ksiądz z ironicznym uśmiechem.

— Mercedes jest w tej chwili jedną z największych dam w Paryżu.

— Nie przerywaj sobie, mów, mów. Zdaje mi się, że opowiadasz mi jakiś sen. Ale sam już widziałem tak nadzwyczajne rzeczy, że to mnie już mniej dziwi.

— Mercedes z początku rozpaczała po stracie Edmunda. Opowiedziałem już księdzu, co starała się osiągnąć u pana de Villeforta i jak się poświęcała dla ojca Edmunda. I nagle nowy cios ją dotknął: odjazd Fernanda, którego kochała jak brata, nie wiedząc nic o zbrodni, jakiej dokonał.

Fernand wyjechał i Mercedes została sama.

Przepłakała trzy miesiące — nie było wiadomo nic ani o Edmundzie, ani o Fernandzie; pozostał jej tylko starzec, który umierał z rozpaczy.

Pewnego wieczoru, spędziwszy cały dzień jak zwykle na rozdrożu dróg wiodących z Marsylii do wsi katalońskiej, wróciła do domu szczególnie przygnębiona: na żadnej z tych dróg nie pojawił się ani ukochany, ani przyjaciel, i nadal nie dawali znaku życia.

Nagle wydało się jej, że słyszy znane kroki; odwróciła się niespokojnie, drzwi otwarły się i wszedł Fernand w mundurze podporucznika.

Nie jego to wprawdzie najgoręcej opłakiwała, ale i on stanowił część jej minionego życia. Mercedes chwyciła go za dłonie z radosnym uniesieniem, które Fernand wziął za miłość, a co było tylko radością — radością, że nie jest już sama na świecie, że nareszcie widzi przyjaciela po długich godzinach rozpaczliwej samotności. A poza tym, musimy powiedzieć, że Mercedes nie żywiła nienawiści do Fernanda — ot, po prostu go nie kochała, kto inny posiadał jej serce, a tego innego nie było... zniknął... może nawet już nie żył. Na tę ostatnią myśl Mercedes wybuchała płaczem i załamywała ręce; ale ta sama myśl, którą odpychała dawniej, gdy jej to ktoś inny podpowiadał, teraz sama przychodziła jej do głowy; zresztą stary Dantes powtarzał nieustannie: „Nasz Edmund nie żyje, gdyby żył, wróciłby już do nas".

Jak już księdzu mówiłem, stary umarł — gdyby żył, może Mercedes nie wyszłaby za mąż, bo staruszek wyrzucałby jej zawsze, że nie dochowała wierności Edmundowi. Fernand pojmował to dobrze, bo wrócił wtedy dopiero, gdy się dowiedział o śmierci starca. Tym razem był już porucznikiem. Podczas pierwszych odwiedzin nie wymknęło mu się ani słowo o miłości; podczas drugich przypomniał Mercedes o uczuciu, jakie do niej żywił. Mercedes poprosiła o pół roku zwłoki — chciała jeszcze poczekać na Edmunda, a i jeszcze go nie opłakała.

— Tak więc — rzekł ksiądz z gorzkim uśmiechem — to uczyniło razem półtora roku. Czy najbardziej uwielbiany kochanek może żądać więcej? Wierność, Miłość, Kobieta

I wyszeptał wiersz angielskiego poety:

Frailty, thy name is woman![459]

— W sześć miesięcy później — mówił dalej Caderousse — odbył się ślub w kościele des Accoules[460].

— W tym samym, gdzie miała wyjść za Edmunda — szepnął ksiądz. — Ot, zmieniła tylko narzeczonego.

— Mercedes poszła więc za mąż, a chociaż wydawała się zupełnie spokojna, zemdlała, gdy przechodzili koło karczmy, gdzie półtora roku wcześniej odbyły się jej zaręczyny z tym, którego jeszcze kochała, a zrozumiałaby to, gdyby zajrzała w głąb własnego serca.

[459] *Frailty, thy name is woman!* — Słabości, imię twe: kobieta (Szekspir, *Hamlet*, akt I, scena 2). [przypis edytorski]

[460] *kościół Notre-Dame-des-Accoules* — kościół w Marsylii; został poddany przymusowej rozbiórce w latach 1794–1808, jako że stanowił jedną z kryjówek federalistów w trakcie rewolucji francuskiej; nowy kościół zbudowano w tym miejscu dopiero w 1824 r., dlatego nie jest możliwe, by pobrali się tam bohaterowie powieści. [przypis edytorski]

Fernand, szczęśliwy, ale nadal niespokojny — widywałem go wtedy, więc wiem, że się obawiał powrotu Edmunda — szybko postarał się wynieść z tych okolic: zbyt wiele niebezpieczeństw i zbyt wiele wspomnień wiązało się z rodzinną wsią. Wyjechali tydzień po ślubie.

— Widziałeś ją pan jeszcze kiedyś? — spytał ksiądz.

— Tak, podczas wojny z Hiszpanią, w Perpignan[461], gdzie ją zostawił Fernand; zajmowała się wtedy edukacją syna.

Ksiądz zadrżał.

— Syna?

— Tak. Małego Alberta.

— Ale przecież chcąc kształcić syna, przecież sama musiałaby pobierać nauki. A zdaje mi się, że Edmund mi mówił, że to była córka prostego rybaka, piękna, lecz nieokrzesana.

— O, to naprawdę źle znał swoją narzeczoną! Mercedes mogłaby zostać królową, proszę księdza, gdyby koroną zdobiono głowy najpiękniejsze i najinteligentniejsze. Jej fortuna rosła, a jednocześnie Mercedes stawała się wielką damą. Uczyła się rysunku, muzyki, uczyła się wszystkiego. Ale mówiąc między nami, sądzę, że robiła to, żeby się rozerwać, zapomnieć; nabijała sobie tym wszystkim głowę, aby przygłuszyć głos serca. Ale teraz ten cały majątek i zaszczyty już ją zapewne pocieszyły. Jest bogata, ma tytuł hrabiny, a przecież...

— A przecież? — powtórzył ksiądz.

— Jestem pewien, że nie jest szczęśliwa — odrzekł Caderousse.

— Co wzbudza w tobie to przekonanie?

— A bo kiedy już nie mogłem wytrzymać tej nędzy, przyszło mi na myśl, że mogliby mi pomóc moi dawni przyjaciele. Udałem się do Danglarsa, ale wcale mnie nie przyjął; potem do Fernanda i ten mi przekazał przez lokaja sto franków.

— I ani z jednym nie zdołałeś się zobaczyć, ani z drugim?

— No, nie, ale za to widziała mnie pani de Morcerf.

— Jakim sposobem?

— Gdym wychodził, pod nogi upadła mi sakiewka; w środku było dwadzieścia pięć luidorów. Podniosłem szybko głowę i ujrzałem Mercedes, jak zasuwała żaluzję.

— Hm, a pan de Villefort? — ksiądz zmienił temat.

— Ee, ten to nie był moim bratem ani swatem; nie znałem go, jak mogłem coś od niego wypraszać?

— Ale czy nie wiesz pan, co się z nim stało? I jaki był jego udział w nieszczęściu Edmunda?

— Nie, wiem tylko, że w jakiś czas po aresztowaniu Edmunda poślubił pannę de Saint-Méran i opuścił Marsylię. Szczęście musiało się także do niego uśmiechnąć, jest zapewne bogaty jak Danglars, a ważny jak Fernand. Tylko u mnie, jak ksiądz widzi, bieda aż piszczy. Bóg o mnie zapomniał.

— Mylisz się, przyjacielu — zaoponował ksiądz. — Wydaje się często, że Bóg zapomina, gdy tylko odpoczywa jego sprawiedliwość; ale prędzej czy później nadchodzi zawsze chwila, gdy sobie przypomni. Proszę, oto dowód.

To rzekłszy, wyjął diament z kieszeni i podając go Caderousse'owi, rzekł:

— Masz, przyjacielu, weź ten diament, należy do ciebie.

— Jak to do mnie? — zawołał Caderousse. — Ej, niech ksiądz ze mnie nie kpi!

— Diament miał być podzielony między przyjaciół Edmunda; a ponieważ miał tylko jednego przyjaciela, to i podział spadku jest niepotrzebny. Weź ten diament i sprzedaj go; powtarzam ci, że warty jest pięćdziesiąt tysięcy franków; i mam nadzieję, że dzięki tej sumce wydźwigniesz się kiedyś z biedy.

— Ach, proszę dobrodzieja — bełkotał Caderousse, wyciągając nieśmiało jedną rękę po klejnot, a drugą ocierając pot perlący mu się na czole. — Niech dobrodziej sobie nie żartuje kosztem czyjegoś szczęścia lub rozpaczy!

— Wiem, co to szczęście i rozpacz, i nie mógłbym czynić sobie igraszki z tych uczuć — odrzekł ksiądz. — Bierz pan diament, ale za to...

Caderousse cofnął szybko rękę, którą już niemal dotykał klejnotu.

[461] *Perpignan* — miejscowość w płd. Francji, w regionie Oksytania. [przypis edytorski]

Ksiądz uśmiechnął się.

— Ale za to — mówił dalej — daj mi tę jedwabną czerwoną sakiewkę, którą pan Morrel zostawił na kominku u ojca Edmunda, a którą, jak mówiłeś, masz jeszcze u siebie.

Caderousse, zdziwiony coraz mocniej, podszedł do wielkiej dębowej szafy, otworzył i wyjął długą sakiewkę z czerwonego, wypłowiałego jedwabiu, zaopatrzoną w dwie miedziane obrączki, niegdyś pozłacane. Ksiądz wziął sakiewkę i podał diament Caderoisse'owi.

— O! Ksiądz jest prawdziwym sługą bożym — wykrzyknął Caderousse. — Wszak nikt nie wiedział, że Edmund dał księdzu ten diament i mógłby ksiądz zatrzymać go dla siebie.

— Aha, widać, że ty byś, kochaneczku, tak właśnie zrobił — szepnął do siebie ksiądz. Następnie wstał, wziął kapelusz, rękawiczki i nagle rzucił:

— Ale, ale; czy to, coś mi pan powiedział, to na pewno prawda, na której można polegać?

— Niech ksiądz popatrzy — odrzekł Caderousse — na ten krucyfiks z poświęconego drzewa, tam w kącie, i na tę Ewangelię mojej żony; niech ksiądz otworzy tę księgę, a ja przysięgnę na nią i na krucyfiks, na zbawienie duszy, na chrześcijańską wiarę, żem opowiedział wszystko, jak było i jak mój anioł stróż ludzki szepnie do ucha Najwyższego w dzień Sądu Ostatecznego.

— No, dobrze, dobrze — rzekł ksiądz, zawierzywszy szczeremu tonowi karczmarza. Niech ci te pieniądze przyniosą szczęście. Bądź zdrów, wracam do klasztoru, tam, gdzie daleko do ludzi, którzy tyle zła sobie wyrządzają.

I ksiądz, wyrwawszy się nie bez trudu Caderousse'owi i jego entuzjastycznym podziękowaniom, sam odsunął sztabę ryglującą drzwi, wsiadł na konia, skinął ostatni raz głową oberżyście, który plątał się w głośnych pożegnaniach, i odjechał tą drogą, którą przybył.

Gdy Caderousse odwrócił się, spostrzegł za sobą Karkontkę, bledszą i bardziej dygoczącą niż kiedykolwiek.

— Czy to prawda, co słyszałam?

— Co? Żeśmy dostali cały diament na własność? — zawołał Caderousse niemal nieprzytomny z radości. — Pewnie, że prawda, popatrz!

Karkontka obejrzała klejnot, potem wyrzekła głucho:

— A jeśli jest fałszywy?

Caderousse zbladł i zachwiał się.

— Fałszywy — powtórzył. — Fałszywy... Dlaczegóż by miał mi dawać fałszywy diament?

— Głupcze! Po to, żeby się dowiedzieć wszystkiego za darmo!

Waga tego przypuszczenia jakby ogłuszyła na chwilę Caderousse'a.

— O! — rzekł po chwili i chwycił za kapelusz, kładąc go sobie na głowę obwiązaną czerwoną chustką. — Zaraz się o tym przekonamy.

— Jak?

— W Beaucaire jest jarmark; przyjechali jubilerowie z Paryża; pokażę im ten diament. A ty pilnuj domu, kobieto. Za dwie godziny wrócę.

Wypadł z domu i pobiegł drogą w przeciwnym kierunku, niż odjechał ksiądz.

— Pięćdziesiąt tysięcy franków! — mruknęła Karkontka. — To jest trochę pieniędzy... ale to nie majątek.

28. WYKAZY WIĘZIENNE

Nazajutrz po wydarzeniu, któreśmy właśnie opowiedzieli, mężczyzna mający około trzydziestu lat, w modrym fraku, w nankinowych[462] spodniach i białej kamizelce, zdradzający postawą i mową angielskie pochodzenie, złożył wizytę merowi Marsylii.

— Szanowny panie — rzekł do niego. — Jestem prokurentem firmy Thomson i French w Rzymie. Od lat dziesięciu utrzymujemy stosunki z Domem Handlowym Morrel i Syn w Marsylii. Mamy około stu tysięcy franków zaangażowanych w obrotach

[462] *nankinowy* — wykonany z nankinu, tj. gęstego płótna bawełnianego, przeważnie o barwie płowożółtej, z którego od XIX w. wykonywano bieliznę i męskie spodnie. [przypis edytorski]

z tą firmą i dlatego też zaniepokoiliśmy się poważnie, zważywszy na pogłoski o ruinie tej firmy. Przyjechałem umyślnie z Rzymu, aby zebrać informacje w tej materii.

— Wiem, proszę pana — odrzekł mer — że od kilku lat same nieszczęścia spadają na pana Morrela: stracił jeden po drugim pięć statków i parę razy zbankrutował. Ale chociaż sam jestem wierzycielem na jakieś dziesięć tysięcy franków, nie wypada mi udzielać wiadomości o stanie jego majątku. Jeśli spyta mnie pan jako mera, co myślę o panu Morrelu, odpowiem, że jest to człowiek rzadkiej prawości i że do tej pory wywiązywał się ze wszystkich zobowiązań jak najrzetelniej. To wszystko, co sam mogę powiedzieć. Jeżeli życzy pan sobie dokładniejszych informacji, proszę się udać do pana de Boville, inspektora więzień, na ulicę de Noailles 15; ma on ulokowanych u pana Morrela, o ile się nie mylę, dwieście tysięcy franków; jeżeli więc w istocie są jakieś powody do obaw, pan de Boville zapewne będzie lepiej ode mnie poinformowany, bo zaangażował znacznie większą sumę.

Anglik wydawał się przyznawać słuszność tej delikatności, ukłonił się, wyszedł i udał się owym szczególnym krokiem, właściwym synom Wielkiej Brytanii, na wymienioną ulicę.

Pan de Boville był akurat w swoim gabinecie; ujrzawszy go, Anglik drgnął z zaskoczenia, jakby widział już kiedyś inspektora. Zaś pan de Boville wydawał się przejęty taką desperacją, tak zaabsorbowany jakąś jedną myślą, że nie był w stanie zapuszczać się pamięcią czy wyobraźnią w przeszłość.

Anglik z flegmą[463] właściwą swoim rodakom powtórzył pytanie, jakie już merowi zadał, niemal w tym samym brzmieniu.

— O, proszę pana! — zawołał pan de Boville. — Pańskie obawy na nieszczęście są aż zbyt uzasadnione i widzisz pan przed sobą człowieka w rozpaczy. Uplasowałem dwieście tysięcy franków w firmie Morrel i Syn, to stanowiło posag mojej córki, którą miałem wydać za mąż za dwa tygodnie; połowa miała być spłacona piętnastego bieżącego miesiąca, a druga połowa za miesiąc. Uprzedziłem pana Morrela, że życzyłbym sobie otrzymać tę kwotę bez opóźnienia, aż tu nagle pan Morrel przychodzi do mnie — pół godziny temu — i oświadcza mi, że jeżeli statek jego „Faraon" nie wróci przed piętnastym, nie będzie mi w stanie oddać tych pieniędzy w terminie.

— Wygląda to na granie na zwłokę — rzekł Anglik.

— Wygląda to raczej na bankructwo! — wykrzyknął w rozpaczy pan de Boville.

Anglik zdawał się zastanawiać przez chwilę, a następnie rzekł:

— A zatem ta wierzytelność budzi w panu obawę?

— Raczej — uważam ją za straconą.

— No cóż, chętnie ją przejmę.

— Pan?

— Tak, ja.

— Ale zapewne musiałbym panu dużo ustąpić?

— Skądże; płacę dwieście tysięcy! Nasza firma — dodał Anglik z uśmiechem — nie robi podobnych interesów.

— I zapłaciłbyś pan?...

— Gotówką.

I wyjął z kieszeni plik banknotów na sumę dwa razy większą od tej, o jaką pan de Boville się obawiał. Radość przemknęła mu po twarzy; powściągnął się jednak i rzekł:

— Muszę jednak uprzedzić pana, że możesz nie odzyskać nawet sześciu procent tej sumy.

— To już nie moja sprawa — odpowiedział Anglik. — To sprawa firmy Thomson i French, w której imieniu działam. Może jest ona zainteresowana upadkiem konkurencyjnej firmy... Wiem jedno: jestem gotów wypłacić panu tę sumę, jeżeli dokonasz pan przeniesienia praw. Ale poproszę jeszcze pana o komisowe[464].

— Ależ oczywiście, proszę pana! Oczywiście, że tak! — zawołał pan de Boville. — Płaci się zwykle za komisowe półtora procent; chcesz pan dwa? trzy? pięć? a może więcej? Niech pan mówi.

[463] *flegma* — powolność i spokojność charakteru, zimna krew. [przypis edytorski]

[464] *komisowe* — prowizja za pośredniczenie w transakcji kupna i sprzedaży. [przypis edytorski]

— Drogi panie — roześmiał się Anglik. — Jestem taki jak moja firma, nie robię takich interesów. Komisowe, o jakim myślałem, jest zupełnie innej natury.

— Mówże pan, słucham.

— Jesteś pan inspektorem więzień?

— Już od przeszło czternastu lat.

— To u pana znajdują się wykazy więźniów?

— Naturalnie.

— Te rejestry mają jakieś noty dotyczące poszczególnych więźniów?

— Każdy ma swoje akta.

— Otóż, proszę pana, byłem wychowany w Rzymie przez pewnego biednego księdza, który zniknął nagle. Dowiedziałem się potem, że był trzymany w zamku If i dlatego chciałbym się dowiedzieć o szczegółach jego śmierci.

— Jakże się nazywał?

— Ksiądz Faria.

— O! Przypominam go sobie doskonale — zawołał pan de Boville. — To był wariat.

— Tak mówiono.

— O! Był nim na pewno.

— Być może. A jakiż to był rodzaj obłąkania?

— Utrzymywał, że wie, gdzie się znajduje ogromny skarb i obiecywał rządowi niesłychane sumy w zamian za wolność.

— Biedak! I zmarło mu się?

— Tak, jakieś pięć czy sześć miesięcy temu, w lutym chyba.

— Masz pan znakomitą pamięć, skoro sobie tak przypominasz daty.

— Pamiętam to dlatego, że śmierci księdza towarzyszył pewien szczególny wypadek.

— Można wiedzieć, jaki? — zapytał Anglik, a na flegmatycznym obliczu malowała mu się teraz taka ciekawość, że z pewnością zadziwiłaby bacznego obserwatora.

— Ależ oczywiście! Otóż cela księdza oddalona było o jakieś pięćdziesiąt stóp od lochu pewnego agenta napoleońskiego, który był wśród tych, którzy najczynniej przysłużyli się do powrotu Napoleona w 1815 roku; był to człowiek zdecydowany na wszystko i nadzwyczaj niebezpieczny.

— Doprawdy? — rzekł Anglik.

— O tak! Miałem okazję sam się z nim spotkać w roku 1816 lub 1817; do jego lochu można było zejść tylko z pikietą[465] żołnierzy: uczynił na mnie ogromne wrażenie i nigdy nie zapomnę jego rysów.

Anglik uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie.

— Powiadasz więc pan — powtórzył — że te dwa lochy...

— Oddalone były od siebie o pięćdziesiąt kroków, zdaje się jednak, że ten Edmund Dantès...

— Więc ten niebezpieczny człowiek nazywał się...

— Edmund Dantès. Otóż ów Dantès załatwił sobie skądś narzędzia albo sam je jakoś zrobił, bo znaleziono podkop, dzięki któremu więźniowie się odwiedzali.

— Ten podkop miał zapewne posłużyć do ucieczki?

— Właśnie tak, ale na ich nieszczęście ksiądz Faria dostał ataku katalepsji i umarł.

— Rozumiem; i to musiało uniemożliwić zamiar ucieczki.

— Zmarłemu tak, ale nie żywemu; wręcz przeciwnie, ów Dantès uznał to za sposób ułatwiający jego ucieczkę; myślał niewątpliwie, że więźniów zmarłych na zamku grzebano na zwyczajnym cmentarzu; przeniósł więc nieboszczyka do swej celi, sam zajął jego miejsce w worku, w którym był zaszyty, i czekał na pogrzeb.

— To był środek ryzykowny, objawiający dużą odwagę tego człowieka — zauważył Anglik.

— Och, już mówiłem panu, że to był człowiek nadzwyczaj niebezpieczny; szczęściem, sam uwolnił rząd od obaw na jego punkcie.

— Jak to?

— Jeszcze pan nie rozumiesz?

— Nie.

[465] *pikieta* (daw.) — oddział żołnierzy strzegących kogoś lub czegoś. [przypis edytorski]

— Zamek If nie ma cmentarza; rzuca się zmarłych prosto do morza, uwiązawszy im najpierw do nóg trzydziestoześciofuntową kulę.

— I co dalej? — zapytał Anglik, jak gdyby trudno kojarzył fakty.

— Przywiązano mu więc do nóg tę kulę i rzucono do morza.

— Coś takiego! — zawołał Anglik.

— Tak właśnie. Pojmujesz pan, jakie musiało być zdumienie uciekiniera, gdy poczuł, że go rzucono ze skały w morze. Chciałbym widzieć jego minę w owej chwili.

— Trudno byłoby trochę.

— Nieważne! — uśmiechnął się pan de Boville, którego pewność odzyskania dwustu tysięcy franków wprawiła w znakomity humor. — I tak ją sobie wyobrażam.

I wybuchnął śmiechem.

— Ja także — dodał Anglik.

I również zaczął się śmiać, ale półgębkiem — tak, jak się śmieją Anglicy.

— Tym więc sposobem — podjął Anglik, który pierwszy odzyskał zimną krew — zbieg utopił się.

— Raz na zawsze.

— I tym sposobem komendant zamku uwolnił się razem i od szaleńca, i od wariata?

— Właśnie.

— Ale musiano sporządzić jakiś protokół tego wypadku? — zapytał Anglik.

— A tak, akt zejścia. Pojmujesz pan, krewni Dantesa, jeżeli takich miał, mogliby się chcieć upewnić, czy Dantès umarł czy żyje.

— Teraz więc mogą być spokojni, jeżeli dostali po nim spadek. Umarł na dobre.

— O tak. I akt zejścia może być im wydany, gdy tylko zażądają.

— Amen — zakończył Anglik. — Ale wróćmy do rejestrów.

— A, prawda. Ta anegdotka nas od nich bardzo oddaliła. Proszę mi wybaczyć.

— Wybaczyć, co takiego? Anegdotka wydała mi się bardzo ciekawa.

— Istotnie, taka jest. Chcesz więc pan zobaczyć wszystko, co dotyczy biednego księdza, który był wcieloną łagodnością?

— Bardzo byłbym rad.

— Chodźmy do gabinetu, tam wszystko panu pokażę.

W gabinecie panował niezwykły porządek: każdy rejestr był oznaczony numerem, wszystkie akta leżały w swoich przegródkach. Inspektor posadził Anglika w swoim fotelu i położył przed nim rejestr i akta dotyczące zamku If, zostawiając mu wszelką swobodę przeglądania tych papierów; sam zaś usadowił się w kącie i rozłożył gazetę.

Anglik znalazł bez trudu miejsca odnoszące się do księdza Farii; ale chyba musiała go mocno zainteresować opowieść pana de Boville, gdyż przeczytawszy notatki dotyczące Farii, dopóty wertował papiery, aż trafił na sprawę Edmunda Dantesa. Znalazł tu wszystko: denuncjację, protokół przesłuchania, petycję Morrela, poświadczoną przez pana de Villeforta. Złożył ostrożnie denuncjację i schował do kieszeni; po czym przeczytał protokół i spostrzegł, że ani raz nie pojawiało się w nim nazwisko Noirtier; przebiegł oczyma petycję z 10 kwietnia, w której Morrel, za radą prokuratora, wychwalał z przesadą — w najlepszych zresztą zamiarach, bo przecież panował wtedy Napoleon — wagę usług Edmunda dla sprawy cesarskiej, a które dzięki poświadczeniu Villeforta stawały się niepodważalne. I wtedy zrozumiał wszystko. Ta petycja do Napoleona, którą Villefort zachował jednak u siebie, stała się za drugiej Restauracji straszliwą bronią w ręku podprokuratora królewskiego. Nie zdziwił się więc, przeglądając dalej rejestr, gdy znalazł na brzegu przy nazwisku Edmunda krótką notatkę ujętą w klamrę:

> Edmund Dantès. Żarliwy bonapartysta, wziął czynny udział w przygotowaniu ucieczki z Elby.
>
> Należy trzymać go w tajemnicy i pod najściślejszym dozorem.

Pod tym napisano inną ręką:

Z uwagi na powyższą notę, nieodwołalne.

Porównując charakter pisma w adnotacji ujętej w klamrę z poświadczeniem prośby Morrela, Anglik przekonał się, że zostały napisane przez jedną osobę, to znaczy ręką Villeforta.

Jeśli zaś idzie o dopisek, który towarzyszył notatce, Anglik domyślił się, że musiała go skreślić ręka jakiegoś inspektora, który przelotnie zainteresował się sytuacją Dantèsa, ale wobec notatki, którą zacytowaliśmy, uznał jakiekolwiek działanie w tej kwestii za niemożliwe.

Inspektor, jak powiedzieliśmy, jako człowiek dyskretny, nie chcąc przeszkadzać wychowankowi księdza Farii, usiadł w kącie i czytał „Drapeau Blanc"[466]. Nie widział więc, jak Anglik złożył i schował do kieszeni denuncjację napisaną przez Danglarsa, opatrzoną stemplem poczty marsylskiej z datą 27 lutego, szósta po południu.

Ale choćby to i zauważył, tak mało przywiązywał wartości do tego papieru, a tak wiele do swych dwustu tysięcy franków, że nie sprzeciwiłby się owemu niewłaściwemu postępowaniu Anglika.

— Dziękuję panu — rzekł Anglik, zamykając z trzaskiem wykaz. — Znalazłem już, czego mi było trzeba; teraz czas, abym i ja dotrzymał obietnicy; napisz mi poświadczenie, że przekazujesz mi swoją wierzytelność, pokwituj odbiór sumy, a ja ją zaraz panu wypłacę.

I ustąpił miejsca przy biurku panu de Boville; inspektor usiadł bez zbędnych ceregieli i zajął się pisaniem żądanego przekazu; Anglik tymczasem liczył banknoty na brzegu półki.

29. DOM MORRELA

Ten, kto wyjechałby przed kilku laty z Marsylii, a znał stan firmy Morrela, i wrócił w czasach, do których doszliśmy, znalazłby w niej wielkie zmiany.

Zamiast atmosfery ożywienia, dostatku i szczęścia, którą promieniuje firma prosperująca, zamiast wesołych twarzy widocznych za firankami, zamiast zaaferowanych urzędników, którzy z piórem za uchem biegają po korytarzach, zamiast podwórza zarzuconego skrzyniami, na którym rozbrzmiewają nawoływania i śmiechy tragarzy, dziś dostrzegłby na pierwszy rzut oka przedziwny jakiś smutek i martwą ciszę.

Z mnóstwa urzędników, którzy dawniej zaludniali biura, pozostało tylko dwóch: młodzieniec liczący około dwudziestu czterech lat — Emanuel Raymond, który zakochany w córce Morrela pozostał w firmie, choć jego rodzice robili wszystko, co możliwe, aby ją opuścił, i stary woźny z kasy, ślepy na jedno oko, zwany Koklesem[467]; przydomek ten nadali mu młodzi ludzie, kręcący się niegdyś po całym tym brzęczącym ulu, dziś opustoszałym; a tak dobrze zastąpił on mu jego prawdziwe nazwisko, że prawdopodobnie nawet by się już nie obejrzał, gdyby ktoś go zawołał po nazwisku.

Kokles pozostał zatem w służbie u pana Morrela i w jego sytuacji nastąpiła niezwykła zmiana: został wyniesiony na stanowisko kasjera, a jednocześnie zdegradowany do rangi służącego.

Był to jednak zawsze ten sam Kokles, dobry, cierpliwy, oddany, ale nieugięty jak skała, gdy szło o arytmetykę, dla której postawiłby się nawet panu Morrelowi — uznawał jedynie tabliczkę mnożenia, którą miał w małym palcu i nigdy się w niej nie pomylił, choćby go na wszelkie sposoby usiłowano wprowadzić w błąd.

Wśród przygnębienia, które opanowało cały dom, jeden tylko Kokles zachował zwykły swój spokój. Nie należy jednak sądzić, że ta obojętność pochodziła z nieczułości — wręcz przeciwnie, wynikała z nieugiętego przekonania. Jak szczury, o których mówią, że uciekają jedne za drugimi ze statku skazanego przez los na zgubę w głębinach morza, tak cały ten tłum urzędników i komisantów, którzy żyli dzięki firmie armatora, stopniowo opuścił biura i magazyny. Skoro Kokles spostrzegł, że wszyscy odchodzą, nie pomyślał nawet, jaka może być tego przyczyna; wszystko, jak mówiliśmy, sprowadzało się dlań do kwestii cyfr, a że już od dwudziestu lat widział, że płatności bez wypowiedzenia odbywały się u Morrela z największą punktualnością, nie mógłby sobie nawet wyobrazić, że

[466] *„Drapeau Blanc"* (fr.: biała flaga) — dziennik polityczny, który ukazywał się we Francji w latach 1819–1827. [przypis edytorski]

[467] *Kokles* (z łac. *cocles*: jednooki) — przydomek legendarnego rzym. bohatera, Horacjusza Koklesa, walczącego przeciwko Etruskom. [przypis edytorski]

ta punktualność mogłaby zostać zawieszona, że te wypłaty mogłyby być wstrzymane — zupełnie jak młynarz, w którego młynie kołem obraca bieg rzeki, nie mógłby sobie wystawić, że ta rzeka mogłaby przestać płynąć. Jakoż dotąd żaden jeszcze fakt nie zachwiał przekonaniem Koklesa. W ostatnich dniach miesiąca dokonano ze zwykłą punktualnością wypłat. Kokles wykrył, że pan Morrel pomylił się o siedemdziesiąt centymów[468] na swoją szkodę i tego samego dnia odniósł mu tę nadwyżkę, którą pan Morrel wrzucił z melancholijnym uśmiechem do niemal już pustej szuflady, mówiąc:

— Dobrze, Koklesie, jesteś perłą wśród kasjerów.

I Kokles odszedł uszczęśliwiony do granic: pochwała pana Morrela, owej perły wśród mieszkańców Marsylii, więcej mu pochlebiała niż pięćdziesiąt dukatów gratyfikacji.

Ale po owym miesiącu, tak zwycięsko zakończonym, pan Morrel przebył ciężkie chwile. Żeby podołać tym wypłatom, zgromadził wszystkie swoje środki i w obawie, by nie rozeszła się w Marsylii pogłoska o jego kłopotach i ostateczności, do jakiej musiał się posunąć, pojechał sam na jarmark do Beaucaire, aby sprzedać część klejnotów żony i córki oraz trochę domowych sreber. Za cenę tej ofiary firma Morrela wyszła z tego wszystkiego jeszcze raz z honorem, ale kasa była już całkowicie pusta. „Kredyt", przerażony pogłoskami, wycofał się ze zwykłym sobie egoizmem i pan Morrel, który musiał piętnastego bieżącego miesiąca wypłacić panu de Boville sto tysięcy franków i za miesiąc drugie tyle, nie liczył już na nic, poza powrotem „Faraona", zapowiedzianego przez załogę innego statku, który podniósłszy kotwicę w tym samym czasie, dopłynął już szczęśliwie do Marsylii.

Ale statek ów, który podobnie jak „Faraon" wracał z Kalkuty[469], przybył już dwa tygodnie temu, a „Faraon" nie dawał znaku życia.

Taki był właśnie stan rzeczy, gdy wysłannik rzymskiego domu Thomson i French, nazajutrz po załatwieniu ważnej i znanej już czytelnikowi sprawy z panem de Boville, stawił się u pana Morrela.

Przyjął go Emanuel. Młodzieniec, którego przerażała każda nowa twarz — każda bowiem nowa twarz oznaczała przybycie kolejnego wierzyciela, który z niepokojem przychodził wypytywać szefa firmy — chciał ochronić pana Morrela przed kolejną nieprzyjemną wizytą, zapytał go więc, w jakim przybył interesie; ale przybysz oświadczył, że nie ma nic do powiedzenia Emanuelowi i że pragnie mówić osobiście z panem Morrelem.

Emanuel westchnął i zawołał Koklesa, nakazując mu zaprowadzić nieznajomego do pana Morrela.

Kokles poszedł przodem, a gość za nim. Na schodach natknęli się na śliczną siedemnastoletnią dziewczynę, która spojrzała niespokojnie na nieznajomego.

Kokles nie dostrzegł wyrazu jej twarzy, ale nie uszedł on uwagi nieznajomego.

— Pan Morrel jest w swoim gabinecie, prawda, panno Julio? — zapytał kasjer.

— Chyba tak — zawahała się dziewczyna. — Ale zobacz najpierw sam, Koklesie, a jeśli ojciec jest, zaanonsuj tego pana.

— Byłoby to niepotrzebne — odpowiedział Anglik — ponieważ pan Morrel nie zna mego nazwiska. Niechże ten poczciwiec powie tylko, że jestem prokurentem firmy Thomson i French w Rzymie, z którą ojciec pani pozostaje w stosunkach handlowych.

Dziewczyna zbladła i zeszła na dół, gdy tymczasem Kokles z cudzoziemcem poszli na górę.

Weszła do biura, w którym urzędował Emanuel; Kokles zaś wyjął klucz, który miał zawsze przy sobie, otworzył drzwi na drugim piętrze, wprowadził gościa do przedpokoju, otworzył drugie drzwi, zamknął je za sobą i zostawiwszy przez chwilę wysłannika domu Thomson i French samego, ukazał się znowu, dając mu znak, że może wejść.

Anglik wszedł; pan Morrel siedział przy biurku, blednąc coraz bardziej przed straszliwymi kolumnami rachunków wykazujących jego pasywa[470].

Spostrzegłszy nieznajomego, pan Morrel zamknął księgę, wstał i przysunął gościowi krzesło, po czym sam usiadł.

Czternaście lat zmieniło bardzo tego godnego kupca. Miał trzydzieści sześć lat na początku tej historii, dochodził więc dziś pięćdziesiątki. Posiwiał, czoło poorały mu zmarszcz-

[468] *centym* — drobna moneta fr. o wartości 1/100 franka. [przypis edytorski]
[469] *Kalkuta* — miasto w płn.-zach. Indiach. [przypis edytorski]
[470] *pasywa* — źródła finansowania majątku danej firmy (czyli aktywów). [przypis edytorski]

kami troski, spojrzenie, niegdyś tak zdecydowane i stanowcze, było teraz niepewne i pełne wahania: jak gdyby pan Morrel musiał zmuszać się do zatrzymywania wzroku na jednej osobie, a myśli na jakiejś sprawie.

Anglik wpatrywał się weń z ciekawością zmieszaną z widoczną sympatią.

— Chciałeś pan ze mną rozmawiać? — rzekł Morrel, którego przygnębienie zwiększyło się jakby od badawczego spojrzenia.

— Tak, proszę pana. Wiadomo już pewnie panu, w czyim imieniu?

— W imieniu firmy Thomson i French, tak mi przynajmniej powiedział kasjer.

— I powiedział prawdę, łaskawy panie. Firma Thomson i French w ciągu tego i następnego miesiąca ma do wypłacenia we Francji około czterystu tysięcy franków, a znając pańską rzetelność, wykupiła wszystkie weksle[471], jakie tylko mogła znaleźć z pańskim podpisem i poleciła mi, abym w miarę, jak będą upływać terminy płatności, pobierał gotówkę u pana i dalej ją inwestował.

Morrel westchnął głęboko i otarł dłonią czoło zroszone potem.

— Jesteś więc pan — rzekł mu — posiadaczem weksli z moim podpisem?

— Tak, łaskawy panie, i to na sumę dość znaczną.

— Na jaką? — spytał Morrel, usiłując zachować pewne brzmienie głosu.

— Oto najpierw — mówił Anglik, wyciągając plik papierów z kieszeni — przelew na dwieście tysięcy franków, dokonany przez pana de Boville, inspektora więzień. Czy pan przyznajesz, żeś winien tę sumę panu de Boville?

— Tak. Umieścił ją u mnie na cztery i pół procent, niemal pięć lat temu.

— I masz pan spłacić tę sumę?...

— Połowę piętnastego tego miesiąca, a drugą połowę za miesiąc.

— Tak właśnie. A oto znowu trzydzieści dwa tysiące pięćset franków płatne do końca miesiąca; są to weksle podpisane przez pana, które wykupiliśmy od osób trzecich.

— Tak, zgadza się — potwierdził Morrel, rumieniąc się ze wstydu na myśl, że po raz pierwszy w życiu nie będzie mógł zapewne honorować swojego podpisu. — Czy to już wszystko?

— Nie, jeszcze nie; mam ponadto te oto weksle, płatne do końca następnego miesiąca, które nam przekazała firma Pascal oraz Wild i Turner z Marsylii, chyba z pięćdziesiąt pięć tysięcy franków. A ogółem wypada dwieście osiemdziesiąt siedem tysięcy pięćset franków.

Niepodobna opisać, co cierpiał nieszczęsny Morrel w czasie tego wyliczania.

— Dwieście osiemdziesiąt siedem tysięcy pięćset franków — powtórzył machinalnie.

— Tak, łaskawy panie — odpowiedział Anglik. — Owóż[472] — dodał po chwili milczenia — nie będę przed panem ukrywał, że, choć nikt nie przeczy pańskiej nieposzlakowanej do tej pory uczciwości, w Marsylii mówi się głośno, że jesteś pan bliski bankructwa.

Na to szczere i niemal brutalne oświadczenie Morrel zbladł okropnie.

— Łaskawy panie — odrzekł — aż do tej chwili, a minęły już dwadzieścia cztery lata, jak przejąłem tę firmę z rąk ojca, który ją prowadził przez lat trzydzieści pięć, od naszej kasy nie odszedł z kwitkiem ani jeden wierzyciel z wekslem podpisanym Morrel i Syn.

— Tak, wiem o tym — odpowiedział Anglik — ale mówmy otwarcie i szczerze, jak ludzie honorowi: czy również te weksle spłacisz pan z tą samą akuratnością?

Morrel wzdrygnął się, ale spojrzał w oczy Anglikowi dużo pewniej niż poprzednio.

— Na tak szczere pytanie — odparł — należy dać równie szczerą odpowiedź. Tak, proszę pana, zapłacę, jeżeli, jak się spodziewam, mój statek wróci szczęśliwie do Marsylii, bo dzięki temu powrotowi odzyskam kredyt, który straciłem z powodu kolejnych a nieszczęśliwych wypadków, których byłem ofiarą. Lecz jeżeli jakimś nieszczęsnym trafem „Faraon", mój ostatni ratunek, zaginie...

Łzy napłynęły do oczu biednego bankiera.

— I co wtedy, jeżeli „Faraon" zaginie? — powtórzył Anglik.

---

[471] *weksel* — dokument stanowiący pisemne zobowiązanie wystawcy do zapłacenia określonej osobie (lub okazicielowi) określonej sumy w oznaczonym terminie; używany m.in. jako zabezpieczenie zobowiązań pieniężnych, zamiast natychmiastowej zapłaty za towar lub usługę. [przypis edytorski]

[472] *owóż* (daw.) — oto, otóż. [przypis edytorski]

— Cóż, wtedy, proszę pana... trudno mi to powiedzieć... ale kiedy już przywykłem do nieszczęścia, trzeba się oswajać i z hańbą... wtedy... tak! Chyba będę musiał zawiesić wypłaty.

— To już pan nie masz przyjaciół, którzy by ci podali rękę?

Morrel uśmiechnął się gorzko.

— W interesach, kochany panie — rzekł — nie ma przyjaciół, wiesz pan o tym dobrze; są tylko wspólnicy.

— To prawda — szepnął Anglik. — Zostaje więc panu jedna tylko nadzieja?

— Jedyna.

— Ostatnia?

— Ostatnia.

— A jeżeli ta nadzieja pana zawiedzie?

— Będę zgubiony, zgubiony na zawsze.

— Gdym szedł do pana, jakiś statek wpłynął do portu.

— Wiem... Młodzieniec, który został mi wierny w tej biedzie, większą część czasu siedzi na wieżyczce w nadziei, że pierwszy przyniesie mi dobrą nowinę. Powiedział mi o przybyciu tego statku.

— I to nie jest pański statek?

— Nie, to „Żyronda", statek z Bordeaux; wraca także z Indii, ale nie, to nie mój.

— Może wiezie jakieś wiadomości o „Faraonie"?

— Mam panu wyznać prawdę? Boję się niemal tak samo wieści o moim trójmasztowcu, jak i samej niepewności. Ale w niepewności tkwi jeszcze nadzieja...

I dodał głucho:

— To opóźnienie nie jest naturalne. „Faraon" wypłynął z Kalkuty piątego lutego, powinien był wrócić już miesiąc z górą.

— Cóż to? — odezwał się Anglik, natężając słuch. — Co to za hałas?

— O mój Boże! Boże! — zawołał Morrel blednąc. — Co się znów stało?

Rzeczywiście, na schodach było głośno: ktoś biegał tam i z powrotem, słychać było głośne lamenty.

Morrel wstał, chciał pójść do drzwi, ale zabrakło mu sił i opadł znowu na krzesło.

Obaj mężczyźni pozostali tak nieruchomo naprzeciw siebie. Morrel drżał na całym ciele, nieznajomy przypatrywał mu się z wyrazem głębokiej litości. Hałas już ustał, a jednak Morrel zdawał się jeszcze na coś czekać; ów hałas miał przyczynę, musiał więc mieć i skutek.

Cudzoziemcowi wydało się, że ktoś idzie wolno po schodach — szło kilka osób, a zatrzymały się na podeście.

Wsunięto klucz do zamka w pierwszych drzwiach, które skrzypnęły w zawiasach.

— Tylko dwie osoby mają klucz od tych drzwi — szepnął Morrel. — Kokles i Julia.

W tym momencie otwarły się drugie drzwi i ukazała się dziewczyna, blada, z twarzą zalaną łzami.

Morrel wstał drżący i oparł się o poręcz fotela, bo nie mógł już o własnej mocy ustać na nogach. Chciał zapytać, ale zabrakło mu głosu.

— O mój ojcze! — zawołała dziewczyna, załamując ręce. — Przebacz swemu dziecku, że ci musi przynieść złą nowinę.

Morrel zbladł okropnie; Julia rzuciła się w jego objęcia.

— Ojcze! Ojcze! — mówiła. — Bądź odważny!

— „Faraon" zatonął? — rzekł Morrel, a słowa więzły mu w gardle.

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale skinęła głową, którą trzymała na piersi ojca.

— A załoga? — zapytał Morrel.

— Ocalona, przez statek, który wszedł teraz do portu.

Morrel podniósł ręce do nieba, a ów podniosły gest wyrażał wdzięczność i rezygnację jednocześnie.

— Dzięki ci, Boże — powiedział — cios tylko mnie dotyka!

Pomimo całej flegmy Anglika łzy zakręciły mu się w oczach.

— Wejdźcie — rzekł Morrel. — Wejdźcie, bo się domyślam, że wszyscy jesteście za drzwiami.

Ledwie wymówił te słowa, ukazała się rozszlochana pani Morrel, a za nią wszedł Emanuel. W głębi przedpokoju widać było surowe rysy kilku półnagich marynarzy.

Na widok tych ludzi Anglik zadrżał; postąpił krok naprzód, jak gdyby chciał do nich podbiec, lecz zapanował nad sobą i skrył się w najciemniejszym i najdalszym kącie gabinetu.

Pani Morrel usiadła w fotelu i wzięła męża za rękę, a Julia nadal przytulała się do ojca. Emanuel stał pośrodku pokoju i zdawał się pośrednikiem łączącym rodzinę Morrelów z żeglarzami stojącymi nadal w drzwiach.

— Jak to się stało? — zapytał Morrel.

— Chodźcie tu, Penelonie — rzekł młodzieniec — i opowiedzcie nam cały wypadek.

Stary marynarz, ogorzały od słońca równikowego, postąpił do przodu, mnąc w ręku resztki kapelusza.

— Dzień dobry, panie Morrel — rzekł, jak gdyby wczoraj zaledwie wyjechał z Marsylii, a dziś wracał właśnie z Aix lub Tulonu.

— Dzień dobry, drogi przyjacielu — odrzekł armator, nie mogąc powstrzymać się mimo łez od uśmiechu. — Ale gdzie jest kapitan?

— Kapitan, panie Morrel, zachorował i pozostał w Palmie[473], ale Bóg da, że to się skończy na niczym i ujrzy pan go za dni kilka zdrowego jak ryba.

— To dobrze... Opowiadaj teraz, Penelonie — rzekł Morrel.

Penelon przesunął prymkę[474], którą żuł, ze strony prawej na lewą, zasłonił usta ręką, odwrócił się, splunął na sam środek przedpokoju czarną śliną, wysunął jedną nogę i kołysząc się w biodrach, rzekł:

— Otóż, panie Morrel, byliśmy tak mniej więcej między Przylądkiem Białym[475] a Przylądkiem Boyador[476]; pchała nas wspaniała południowo-zachodnia bryza — po całym tygodniu okropnej ciszy — no i w pewnej chwili podchodzi do mnie kapitan Gaumard (a trzeba panu wiedzieć, żem był u steru) i mówi: „Ojczulku, co myślicie o tych chmurach, co się tam podnoszą na horyzoncie?". A właśnie się im przypatrywałem. „Co myślę, kapitanie? Myślę, że rosną szybciej, niż mają prawo, i że są czarniejsze niż wypada chmurom, które nie mają złych intencji". „To też i moje zdanie — odpowiada kapitan — i trzeba nam przygotować się na ich przyjęcie. Za dużo mamy żagli na ten huragan, co w nas rychło uderzy. Hej tam! Zwijać bombramsle[477] i skrócić kliwer".

Rychło w czas; zaledwie rozkaz ten wykonano, a już uderzył na nas wiatr i statek przechylił się na bok. „Cóż — powiada kapitan — mamy jeszcze za dużo płótna; zwijaj wielki żagiel!". Pięć minut potem szliśmy już tylko pod fokiem[478], marslami i bramslami[479]. „Cóż to, ojczulku — mówi do mnie kapitan — dlaczego tak kiwacie głową?". „Dlatego, że na waszym miejscu, kapitanie, zmykałbym co sił". „Chyba masz rację, mój stary — rzecze kapitan — wicher nas zaraz nieźle trzepnie". „Dalibóg, kapitanie — mówię — ten, kto by chciał kupić za wicher to, co się tam wyprawia, zarobiłby sowicie; będzie sztorm jak się patrzy albo nie znam się na tym".

Widać bowiem było wicher, jak pędził, niby tuman kurzawy, ale szczęściem miał on do czynienia z człowiekiem, co się na tym zna.

„Skróć marsle o dwa szoty! — zawołał kapitan. — Poluzuj szoty! Brasuj[480] na wiatr! Przyciągnij marsle! Przyciągnij bloki na rejach!".

— To nie wystarczy na tamtych wybrzeżach — rzekł Anglik. — Ja bym skrócił o cztery i pozbył się fokżagla.

---

[473] *Palma* — w Europie są dwie miejscowości o tej nazwie: Palma de Mallorca (stolica hiszp. wyspy Majorka) i Palma di Montechiaro (miasto portowe na Sycylii). [przypis edytorski]

[474] *prymka* — laska tytoniu do żucia; dawniej bardzo popularna. [przypis edytorski]

[475] *Przylądek Biały* — przylądek na zach. brzegu Afryki, w dzisiejszej Mauretanii. [przypis edytorski]

[476] *Przylądek Boyador*, właśc. *Przylądek Bojador* a. *Ras Budżdur* — przylądek na zach. brzegu Afryki, w pobliżu miasta Budżdur. [przypis edytorski]

[477] *bombramsel* — żagiel umocowany na bombramrei (piątej z kolei rei). [przypis edytorski]

[478] *fok* a. *fokżagiel* — przedni żagiel. [przypis edytorski]

[479] *bramsel* — prostokątny żagiel zawieszany na trzeciej lub czwartej rei, licząc od pokładu; podczas silnych wiatrów bramsle się zwija. [przypis edytorski]

[480] *brasować* — obracać reje pod najkorzystniejszym kątem do wiatru za pomocą brasów; brasowanie wymaga wykonania obrotu dla wszystkich rei danego masztu jednocześnie. [przypis edytorski]

Wszyscy drgnęli na tę niespodziewaną uwagę, rzuconą tonem pewnym i dźwięcznym. Penelon przyłożył dłoń do oczu i przyjrzał się bacznie temu, kto takim pewnym siebie głosem skrytykował rozkazy kapitana.

— Zrobiliśmy coś jeszcze lepszego, proszę pana! — rzekł z pewnym szacunkiem stary żeglarz. — Zwinęliśmy bezan i położyliśmy ster na nawietrzną[481], aby biec tuż przed burzą. W dziesięć minut później zwinęliśmy marsle i szliśmy dalej bez żagli.

— Statek był stary, za wielkie to było ryzyko — zauważył Anglik.

— Właśnie to nas zgubiło! Przez dwanaście godzin burza rzucała nami jak piłką, aż zrobił się przeciek. „Penelon — powiada mi kapitan — chyba idziemy na dno, mój stary, daj mi ster i zejdź na dół". Wziął ster, a ja zlazłem na dół, a tu wody na trzy stopy! Wracam i wrzeszczę: do pomp! do pomp! Ale co z tego, było za późno. Wzięliśmy się do pomp, ale im więcej pompowaliśmy, tym więcej się nalało. „Ech, do diabła — powiadam sobie po czterech godzinach tej harówki — jak mamy tonąć, to i tońmy; raz się umiera w życiu". „Taki to dajesz przykład, Penelon? — powiada kapitan — czekaj no, czekaj tylko!". Przyniósł z kajuty parę pistoletów i zawołał: „Łeb roztrzaskam pierwszemu, co odejdzie od pompy!".

— Brawo — wtrącił Anglik.

— Nic tak nie napędza odwagi jak takie dobre racje[482] — mówił dalej żeglarz. — Zwłaszcza że w międzyczasie niebo się rozjaśniło i wiatr opadł; ale wody przybywało nam ciągle, po trochę, po dwa cale na godzinę. Zdaje się wam, że dwa cale na godzinę to mało, ale przez dwanaście godzin robi się cali dwadzieścia cztery, a dwadzieścia cztery to dobry łokieć[483]. Wcześniej było trzy stopy, teraz mieliśmy pięć. A gdy statek ma pięć stóp wody w brzuchu, to już jakby chorował na wodną puchlinę[484]. „No, dosyć — rzekł kapitan — dosyć tego. Pan Morrel nie będzie miał nam nic do zarzucenia: uczyniliśmy, co można, aby ocalić statek; teraz trzeba ratować ludzi. Do szalupy, no już, dzieci, nie marudzić!".

— Niech mi pan wierzy, panie Morrel — ciągnął Penelon — byliśmy bardzo przywiązani do „Faraona", ale jakby marynarz nie kochał swojego statku, zawsze mu będzie droższa własna skóra. Nie daliśmy więc sobie tego powtarzać dwa razy; zwłaszcza że statek skrzypiał i jęczał, jakby mówił do nas: „Idźcie już sobie! Idźcie, do licha!". I nie kłamał ten biedny „Faraon", bo już czuliśmy, dosłownie, jak nam się zapada pod nogami. No i zanim by się kto obejrzał, szalupa była na morzu, a my — jak nas było ośmiu — w szalupie. Kapitan zszedł ostatni; a raczej nie zszedł, bo nie chciał opuścić statku, ale porwałem go wpół i rzuciłem między kolegów, po czym sam wskoczyłem do szalupy. Czas był na to, bo zaraz potem zawalił się pomost, z hukiem, jakby wypaliła cała bateria okrętowa. Dziesięć minut później statek zanurzył się dziobem, potem tyłem, a potem zaczął się kręcić w kółko jak pies, co się chce złapać za ogon; a wreszcie, cześć pieśni, i brr-rum!... Skończyło się, i już po „Faraonie".

A my pływaliśmy tak przez trzy dni, nie mając ani kawałka chleba, ani kropli wody, tak że już naradzaliśmy się, żeby ciągnąć losy, którego by z nas najpierw zjeść, ale nagle spostrzegliśmy „Żyrondę". Zaczęliśmy dawać znaki, spostrzegli nas, posłali do nas szalupę i przyjęli na pokład. Tak to się działo, panie Morrel, na słowo honoru, parol[485] marynarza! No nie, koledzy?

Powszechny pomruk uznania dowodził, że opowiadający nie dość, że opisał wiernie wypadek, to jeszcze ubrał to w malownicze szczegóły.

— Dobrze, moi kochani — rzekł pan Morrel. — Zacni z was ludzie, a ja wiedziałem zawczasu, że za to nieszczęście można obwiniać tylko przeznaczenie. To wola Boża, a nie wina ludzi. Poddajmy się z pokorą tej woli. Teraz powiedzcie mi, ile wam jestem winien?

— Ii, nie gadajmy już o tym, panie Morrel.

— Owszem, pogadajmy — rzekł bankier ze smutnym uśmiechem.

— No to, jak tak, to należy nam się za trzy miesiące — odrzekł Penelon.

---

[481] *nawietrzna* — termin żeglarski oznaczający burtę, na którą wieje wiatr. [przypis edytorski]
[482] *racje* — tu: argumenty. [przypis edytorski]
[483] *łokieć* — daw. jednostka miary, równa 2 stopom i wynosząca ok. 60 cm. [przypis edytorski]
[484] *puchlina wodna* — nadmierne gromadzenie się wody w jamach ciała. [przypis edytorski]
[485] *parol* (daw.) — słowo, słowo honoru. [przypis edytorski]

— Koklesie, wypłać po dwieście franków tym dzielnym ludziom. W innym czasie, kochani, dałbym wam jeszcze dwieście franków premii; ale niestety źle się dzieje i to, co zostało, nie należy już do mnie; wybaczcie mi więc i kochajcie mnie nadal.

Penelonowi zmarszczyła się twarz, co miało oznaczać wzruszenie; odwrócił się do towarzyszy, rozmówił się z nimi krótko i wrócił.

— Co do tych tam, panie Morrel — rzekł, przenosząc znowu prymkę i plując do przedpokoju — co do tych tam...

— Co do czego?

— No, co do tych pieniędzy...

— A więc?

— Ehm, panie Morrel, koledzy mówią, że na ten raz to im wystarczy po pięćdziesiąt franków, a na resztę poczekają.

— Dzięki, kochani! — zawołał pan Morrel wzruszony do głębi. — Macie dobre serca, ale bierzcie, bierzcie te pieniądze; a jeśli nadarzy się wam jaka dobra praca, jesteście wolni.

Ostatnie słowa jakby poraziły poczciwych majtków; spojrzeli po sobie wystraszeni; Penelonowi tchu zabrakło i mało co nie połknął prymki; szczęściem zdążył walnąć się w grdykę.

— Jak to, panie Morrel, jak to! — zawołał zdławionym głosem. — Odprawiasz nas pan? To jest pan z nas niekontent?

— Broń Boże — rzekł armator. — Nie, moje dzieci, jestem z was bardzo zadowolony; wcale was nie odprawiam. Ale co chcecie, nie mam już statków, więc nie potrzebuję marynarzy.

— Jak to, nie masz pan statków? — zawołał Penelon. — To każesz pan zbudować inne, a my poczekamy. Bogu dzięki, wiemy, co to znaczy siedzieć i nic nie robić.

— Ale ja nie mam za co zbudować innego statku, mój poczciwy Penelonie — rzekł Morrel ze smutnym uśmiechem. — Trudno więc, żebym przyjął waszą propozycję, choć bardzo jest szlachetna.

— No, to jeśli pan nie masz pieniędzy, po cóż nam płacisz? Pójdziemy sobie, licząc na łut szczęścia.

— No, dajcież pokój, dzieci — rzekł Morrel, tłumiąc wzruszenie. — Dajcie już pokój, proszę was. Poczekajmy na lepsze czasy, może się kiedy jeszcze spotkamy. Emanuelu, idź z nimi i dopilnuj, aby spełniono moje życzenie.

— Ale panie Morrel, to zobaczymy się jeszcze — czy tak? — zapytał Penelon.

— Tak, kochani, mam taką nadzieję. Bądźcie zdrowi.

Dał znak Koklesowi i Kokles wyszedł razem z marynarzami i Emanuelem.

— Zostawcie mnie teraz na chwilę samego, muszę porozmawiać z tym panem — rzekł Morrel do żony i córki.

I wskazał oczyma agenta firmy Thomson i French, który stał w kącie nieruchomo przez całą tę scenę, wtrącając zaledwie kilka słów, któreśmy wyżej przytoczyli. Kobiety, które całkiem zapomniały o cudzoziemcu, podniosły nań oczy, po czym odeszły; Julia spojrzała nań, wychodząc, błagalnym wzrokiem, na co cudzoziemiec odpowiedział uśmiechem tak ciepłym, że zadziwiłby on każdego, kto by uważnie się przyglądał lodowatemu obliczu nieznajomego.

Mężczyźni zostali sami.

— No cóż, widział pan i słyszał wszystko — rzekł pan Morrel, opadając na krzesło. — Nic już więcej nie potrzebuję panu tłumaczyć.

— A tak, zobaczyłem — odparł Anglik — że dotknęło pana nowe nieszczęście, równie niezasłużone jak poprzednie; to mnie utwierdza w chęci uczynienia panu przysługi.

— O, drogi panie! — wyszeptał Morrel.

— Jestem teraz głównym pana wierzycielem, czy tak?

— Tak, masz pan weksle o najkrótszych terminach spłaty.

— A nie chciałbyś pan przedłużenia tych terminów?

— Zwłoka mogłaby ocalić mi honor, a tym samym i życie.

— O ile czasu pan prosi?

Morrel zawahał się.

— Dwa miesiące — rzekł.

— Dobrze — zgodził się cudzoziemiec. — Daję panu trzy miesiące.

— Ale czy jesteś pan pewny, że dom Thomson i French...

— Bądź pan zupełnie spokojny, biorę to na siebie. Mamy dziś 5 czerwca, tak?

— Tak.

— No to dobrze, przepiszże pan wszystkie te weksle z terminem 5 września; piątego września o godzinie jedenastej — wskazówka zegara wskazywała właśnie jedenastą — stawię się u pana.

— Będę na pana czekać — odparł Morrel — i albo otrzymasz pan pieniądze, albo zginę.

Ostatnie słowa wymówił tak cicho, że cudzoziemiec nie mógł ich dosłyszeć.

Wystawiono nowe weksle; dawne zniszczono; tym sposobem nieszczęśliwemu armatorowi zostało trzy miesiące na zgromadzenie wszystkich swoich środków.

Anglik wysłuchał podziękowań z flegmą, właściwą swemu narodowi, i wyszedł, odprowadzany przez Morrela, który obsypywał go błogosławieństwami.

Na schodach spotkał Julię. Dziewczyna udawała, że schodzi na dół, gdy tak naprawdę czekała tu na niego.

— Och, proszę pana! — rzekła, składając ręce.

— Pani — rzekł cudzoziemiec. — Pewnego dnia dostanie pani list z podpisem... Sindbad Żeglarz[486]... Wypełnij co do joty wszystkie polecenia zawarte w tym liście, choćby ci się wydawały dziwne.

— Dobrze, proszę pana — odpowiedziała Julia.

— Przyrzeka mi pani, że zrobi to wszystko?

— Przysięgam.

— Wybornie! Do widzenia pani. Bądź pani nadal taka dobra i dzielna, a wierzę, że Bóg cię za to nagrodzi, dając ci Emanuela za męża.

Julia westchnęła, zarumieniła się jak wiśnia i musiała oprzeć się o poręcz, żeby nie upaść.

Cudzoziemiec poszedł dalej, ukłoniwszy się Julii.

Na dziedzińcu spotkał Penelona, który trzymał w rękach dwa stufrankowe rulony, jakby nie mógł się zdecydować, czy je zatrzymać.

— Chodź no ze mną, przyjacielu — zwrócił się doń Anglik — chcę z tobą pogadać.

30. PIĄTY WRZEŚNIA

Zwłoka, na którą się zgodził agent firmy Thomson i French w chwili kiedy Morrel mógł się najmniej czegoś takiego spodziewać, wydała się Morrelowi znakiem, że wraca do niego pomyślność, jednym z owych znaków, które oznajmiają człowiekowi, że los zawzięty przestanie go wreszcie prześladować. Tego samego dnia Morrel opowiedział wszystko żonie, córce i Emanuelowi, i jeśli nie odrobina spokoju, to przynajmniej promyk nadziei zagościł w tym domu. Niestety, Morrel miał interesy nie tylko z firmą Thomson i French, co tak szlachetnie względem niego postąpiła; a jak sam utrzymywał, w handlu nie ma przyjaciół, tylko wspólnicy. Zastanowiwszy się nad tym wypadkiem głębiej, nie pojmował jednak tej wspaniałomyślności panów Thomsona i Frencha; tłumaczył więc to sobie ich mądrym egoizmem: lepiej pomóc człowiekowi, który jest nam winien trzysta tysięcy franków, i dostać tę kwotę w trzy miesiące później, niż przyspieszyć jego ruinę, uzyskując jedynie pięć lub sześć procent kapitału.

Na nieszczęście, nie wszystkie firmy związane z panem Morrelem interesami — czy to z nienawiści, czy przez głupotę — doszły do tak roztropnej refleksji, a niektóre nawet były przekonane o czymś zupełnie przeciwnym. Przedstawiano więc do kasy weksle z podpisem pana Morrela z największą punktualnością i tylko dzięki prolongacie[487], jakiej udzielił Anglik, Kokles wypłacał je natychmiast co do grosza i żył jak dotąd w proroczym spokoju. Tylko Morrel widział z przerażeniem, że jeśliby mu piętnastego przyszło zapłacić panu de Boville sto tysięcy franków, a trzydziestego wykupić weksle na trzydzieści dwa tysiące pięćset franków, na które uzyskał odroczenie terminu, byłby zgubiony bez ratunku.

[486] *Sindbad Żeglarz* — bohater perskich opowieści podróżniczo-fantastycznych, włączonych do *Baśni tysiąca i jednej nocy*. [przypis edytorski]

[487] *prolongata* — przedłużenie terminu. [przypis edytorski]

Cały światek kupiecki w Marsylii utrzymywał z największą pewnością, że Morrel nie będzie dalej w stanie wytrzymywać tylu ciosów. Zdziwiono się tedy niemało, gdy pod koniec miesiąca jego kasa wypłaciła wszystko ze zwyczajową skrupulatnością. Ludzie jednak nie odzyskali zaufania do Morrela i przesunęli termin upadłości jednogłośnie na koniec następnego miesiąca.

Cały ten miesiąc upłynął Morrelowi na niesłychanych wysiłkach, aby zgromadzić wszelkie środki, jakie tylko mógł. Niegdyś jego weksle, z jakąkolwiek datą, były przyjmowane z zaufaniem, a nawet poszukiwane. Morrel chciał wystawić kilka obligów[488] na trzy miesiące, ale wszystkie banki zamknęły przed nim drzwi. Na szczęście sam jeszcze miał otrzymać jakieś wpływy, wpływy te dopisały: mógł więc znów stawić śmiało czoła swoim zobowiązaniom pod koniec lipca.

Tymczasem wysłannik firmy Thomson i French nie pokazał się już w Marsylii. Zniknął na drugi czy trzeci dzień po wizycie u Morrela; a skoro podczas pobytu w Marsylii nawiązał był stosunki jedynie z merem, inspektorem więzień i panem Morrelem, jego wizyta nie pozostawiła innych śladów, jak tylko różne wspomnienia, jakie te trzy osoby z jego odwiedzin zachowały. Co się tyczy marynarzy z „Faraona", chyba musieli znaleźć sobie jakąś robotę, bo i oni zniknęli.

Kapitan Gaumard, przyszedłszy do zdrowia, powrócił z Palmy. Nie spieszył się jakoś z wizytą u pana Morrela, ale ten, dowiedziawszy się o jego przybyciu, sam się do niego udał. Zacny armator wiedział z opowiadania Penelona, ile szlachetnej odwagi okazał kapitan podczas owego tragicznego wypadku, i sam przeto zapragnął go pocieszyć. Zaniósł mu także zaległą gażę, po którą kapitan nie śmiał pójść.

Schodząc już w dół, spotkał Penelona, który szedł właśnie na górę. Widać było, że Penelon zrobił dobry użytek ze swych pieniędzy, bo był od stóp do głowy ubrany jak spod igły. Spostrzegłszy Morrela, biedny majtek mocno się zakłopotał, usunął się jak najdalej w kąt podestu, przekładał prymkę to z lewej na prawą stronę, to z prawej na lewą, nie wiedząc, gdzie podziać przerażone oczy, i uścisnął bojaźliwie rękę, którą pan Morrel podał mu ze swoją zwykłą życzliwością. Morrel przypisywał całe to zakłopotanie Penelona wykwintnemu ubiorowi — oczywiście, biedak nie zdobyłby się własnym kosztem na tak wystawne odzienie, musiał więc już się zaciągnąć na jakiś statek, a teraz się zawstydził, że tak prędko zrzucił żałobę po „Faraonie". Być może szedł nawet do kapitana Gaumarda, aby go powiadomić o swoim szczęściu i złożyć mu propozycję w imieniu nowego pryncypała[489]?

— Poczciwi ludzie — rzekł do siebie Morrel, oddaliwszy się. — Oby was tylko nowy pryncypał kochał tak jak ja i żeby mu się lepiej szczęściło!

Sierpień zszedł panu Morrelowi znów na próbach odzyskania dawnego kredytu lub otwarcia nowego. Dwudziestego sierpnia wiedziano już w Marsylii, że Morrel wykupił sobie miejsce w dyliżansie pocztowym; ludzie powtarzali między sobą, że pod koniec miesiąca będzie ogłoszona upadłość firmy i że Morrel opuści Marsylię dlatego, by nie być świadkiem owego przykrego aktu; mieli go przy tym zastąpić Emanuel i Kokles. Wbrew jednak wszelkim oczekiwaniom, gdy nadszedł trzydziesty pierwszy sierpnia, kasę Morrela otwarto jak zwykle. Kokles stał za okratowanym okienkiem, spokojny niczym ów sprawiedliwy Horacego, przeglądał z taką samą jak zawsze skrupulatnością wręczane mu weksle i spłacił wszystkie. Zdarzyły się nawet dwie wypłaty, które zresztą pan Morrel przewidział; i te Kokles spłacił — podobnie jak osobiste weksle armatora. Nikt już nic z tego nie rozumiał, ale jak to zwykle bywa u proroków zwiastujących złe nowiny, z uporem krakali o plajcie[490] na koniec września.

Pierwszego września powrócił pan Morrel; cała rodzina oczekiwała go z wielkim niepokojem. Podróż do Paryża miała stanowić ostatnią deskę ocalenia. Morrel liczył na Danglarsa, dziś milionera, któremu się niegdyś mocno przysłużył. Za rekomendacją bowiem Morrela Danglars został przyjęty przez pewnego bankiera hiszpańskiego i tam zaczął zbijać swoją ogromną fortunę. Dzisiaj Danglars posiadał podobno sześć do ośmiu milionów kapitału i nieograniczony kredyt. Danglars mógł ocalić Morrela, nie wyłożywszy jednego grosza z kieszeni — wystarczyłoby, gdyby poręczył za niego, a Morrel otrzymałby po-

[488] *oblig* — zobowiązanie finansowe, weksel, dług. [przypis edytorski]
[489] *pryncypał* (daw.) — przełożony, pracodawca. [przypis edytorski]
[490] *plajt* — bankructwo. [przypis edytorski]

życzkę i byłby ocalony. Od dawna już Morrel myślał o Danglarsie. Ale miewamy czasem jakiś instynktowny wstręt, nad którym nie jesteśmy w stanie zapanować — i Morrel rzeczywiście zwlekał, ile tylko mógł, nim chwycił się tego ostatniego środka. Miał słuszność — powrócił przywalony upokarzającą odmową.

Ale nie skarżył się wcale ani nie złorzeczył nikomu, ucałował ze łzami w oczach żonę i córkę, po przyjacielsku uścisnął dłoń Emanuela i zamknął się w gabinecie na drugim piętrze, prosząc, aby przyszedł do niego Kokles.

— Teraz — powiedziały obie kobiety do Emanuela — wszystko już stracone.

Z krótkiej narady między matką i córką wynikło, że Julia napisze do brata, który przebywał w garnizonie w Nîmes[491], aby natychmiast przyjeżdżał. Biedne kobiety dobrze wyczuwały, że trzeba im zebrać wszystkie siły, aby sprostać ciosowi, który miał ich uderzyć. Zresztą Maksymilian Morrel, choć miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, wywierał jednak na ojca wielki wpływ.

Młodzieniec ten miał charakter wyjątkowo stały i prawy. W chwili, gdy miał wybrać sobie karierę, ojciec jego nie chciał mu narzucać niczego i zapytał o jego upodobania. Młodzieniec oświadczył, że pragnie poświęcić się karierze wojskowej; skończył więc jako jeden z pierwszych szkołę średnią, zdał egzaminy do Szkoły Politechnicznej[492] i wyszedłszy stamtąd w stopniu podporucznika, wstąpił do 53 pułku piechoty. Od roku już służył w tej randze i obiecano mu przy pierwszym wakansie[493] stopień porucznika. W pułku uważano Maksymiliana za wzór żołnierza, ale i człowieka, który posiada wszystkie cnoty, które powinny cechować człowieka porządnego, i nazywano go stoikiem[494]. Naturalnie, wielu, co go tak nazywało, nie miało najmniejszego pojęcia o znaczeniu tego epitetu — powtarzali go ze słyszenia.

Takiego to młodzieńca matka i siostra wzywały, aby im dopomógł w tak wielkim nieszczęściu, które, jak się spodziewały, musiało nieuchronnie nastąpić.

Nie omyliły się wcale co do powagi sytuacji: wkrótce potem Julia ujrzała, jak z gabinetu ojca wychodzi Kokles — blady i drżący, z mocno zmienioną twarzą.

Chciała pytać, kiedy koło niej przechodził, ale poczciwina zbiegał po schodach tak prędko, jak mu się to nigdy nie zdarzyło, i zawołał tylko, wznosząc ręce do nieba:

— Ach, panienko, panienko, co za okropne nieszczęście! I kto by się spodziewał!

Po chwili Julia zobaczyła, jak wracał, niosąc kilka grubych ksiąg, portfel i worek z pieniędzmi.

Morrel przejrzał rejestry, otworzył portfel i przeliczył pieniądze.

Cała gotówka nie przekraczała ośmiu tysięcy franków, a wpłaty, jakich się spodziewał przed piątym września wyniosłyby najwyżej pięć tysięcy; słowem, założywszy nawet jakąś nadwyżkę, miał w aktywach czternaście tysięcy franków, podczas gdy w debecie[495] figurował weksel na dwieście osiemdziesiąt siedem tysięcy pięćset franków. Nie wypadało nawet proponować takiej zaliczki.

Pomimo to Morrel wydawał się w czasie obiadu zupełnie spokojny. Spokój ten zatrwożył żonę i córkę bardziej, niż by to uczyniło największe przygnębienie na twarzy Morrela. Po obiedzie armator zwykł wychodzić, aby spotkać się na kawie w gronie znajomych i przejrzeć „Semafor"; tego dnia nie wyszedł wcale — udał się od razu do gabinetu.

Kokles wydawał się zupełnie ogłuszony. Cały dzień prawie spędził na dworze, siedząc na kamieniu z odkrytą głową, nie zwracając uwagi na trzydziestostopniowy upał.

Emanuel starał się uspokoić kobiety, ale nie był zbyt przekonywujący. Znał zbyt dobrze sytuację firmy, aby nie zdawać sobie sprawy, że rodzinie armatora groziła katastrofa.

Nadeszła noc; panie czuwały nadal w nadziei, że Morrel, wychodząc od siebie, wstąpi i do nich; usłyszały jednak tylko, jak przechodził koło ich drzwi ciszej dużo niż zwykle, jakby się lękał, że go zawołają.

Natężyły słuch: wszedł do swego pokoju i zamknął się od wewnątrz.

---

[491] *Nîmes* — miasto w płd. Francji, w regionie Oksytania. [przypis edytorski]

[492] *Szkoła Politechniczna* — założona w 1794 r. szkoła wojskowa w Paryżu; do dziś stanowi jedną z prestiżowych szkół technicznych. [przypis edytorski]

[493] *wakans* a. *wakat* — wolne, nieobsadzone stanowisko. [przypis edytorski]

[494] *stoik* — wyznawca stoicyzmu, doktryny filozoficznej uznającej za najwyższe dobro cnotę, rozumianą jako życie według zasad rozumu; pot. człowiek wyznający równowagę duchową nie zakłóconą radością ani smutkiem. [przypis edytorski]

[495] *debet* — należność, dług. [przypis edytorski]

Pani Morrel kazała córce pójść spać; w pół godziny później podniosła się, zrzuciła pantofle i cicho wymknęła się na korytarz, aby zobaczyć przez dziurkę od klucza, co robi mąż. Na korytarzu spostrzegła jakiś cień, który cofnął się na jej widok: była to Julia, równie niespokojna jak matka, przybiegła tu przed matką. Dziewczyna podeszła do pani Morrel.

— Pisze — rzekła.

Nic więcej nie powiedziały do siebie, ale się zrozumiały obie.

Pani Morrel pochyliła się do dziurki od klucza. W istocie, Morrel ciągle pisał; ale czego córka nie dostrzegła, ona zauważyła natychmiast: mąż pisał na papierze stemplowym[496].

Przemknęła jej okropna myśl: mąż pisze testament; zadrżała, ale miała tyle silnej woli, że nie rzekła ni słowa.

Na drugi dzień pan Morrel był równie spokojny; siedział jak zwykle w gabinecie, zszedł na obiad jak zwykle; i tylko po kolacji posadził przy sobie córkę, ujął w dłonie jej głowę i tulił długo do siebie.

Wieczorem Julia powiedziała matce, że chociaż ojciec był z pozoru tak spokojny, serce biło mu nadzwyczaj gwałtownie.

Dwa następne dni upłynęły podobnie jak ten. Czwartego września wieczorem Morrel poprosił córkę, aby oddała mu klucz od gabinetu.

Na to żądanie Julia zadrżała, tak złowróżbne jej się wydało. Na co ojciec potrzebuje klucza, który nosiła przy sobie zawsze i który odbierano jej w dzieciństwie, tylko gdy coś przeskrobała?

Dziewczyna spojrzała na ojca.

— Cóż ci zrobiłam złego, tatku — spytała — że mi go chcesz odebrać?

— Nic, dziecinko, nic... — odpowiedział nieszczęsny Morrel i łzy puściły mu się z oczu na to tak niewinne pytanie. — Po prostu potrzebuję go teraz...

Julia udała, że szuka klucza.

— Musiałam go zostawić u siebie — rzekła.

I wyszła, ale zamiast pójść do siebie, pobiegła poradzić się Emanuela.

— Julio, nie dawaj mu tego klucza — powiedział jej Emanuel. — I jeśli to będzie możliwe nie opuszczaj go ani na chwilę jutro od samego rana.

Usiłowała jeszcze wypytać Emanuela, ale ten czy nic nie wiedział, czy też nie chciał nic więcej powiedzieć.

Przez całą noc z 4 na 5 września pani Morrel stała z uchem przytkniętym do boazerii[497] w swoim pokoju. Aż do trzeciej rano słyszała, jak mąż chodzi nerwowo tam i z powrotem.

Dopiero o trzeciej rzucił się na łóżko.

Matka i córka spędziły całą noc razem. Od wczorajszego wieczora czekały na przyjazd Maksymiliana.

O ósmej rano przyszedł do nich pan Morrel; był znów opanowany, ale ta burzliwa noc wycisnęła piętno na jego bladej i zniszczonej twarzy.

Nie śmiały zapytać, czy dobrze spał.

Morrel okazywał więcej niż kiedykolwiek miłości żonie i więcej niż kiedykolwiek czułości córce. Nie mógł się nasycić widokiem dziecka, tulił ją i całował.

Julia przypomniała sobie radę Emanuela i chciała pospieszyć za ojcem, gdy wychodził, ale odepchnął ją łagodnie i rzekł:

— Zostań przy matce.

Julia usiłowała się upierać.

— Zostań, tak sobie życzę.

Pierwszy to raz Morrel powiedział do córki „tak sobie życzę", ale wyrzekł te słowa z tak wielką, ojcowską serdecznością, że Julia nie śmiała postąpić ani kroku.

Pozostała na miejscu niema i nieruchoma; nagle otwarły się drzwi, objęły ją czyjeś ręce i ktoś ucałował ją w czoło.

Podniosła oczy i krzyknęła z radości.

— Maksymilian! Braciszku!

---

[496] *papier stemplowy* — rodzaj arkusza, którego używano w administracji i sądownictwie. [przypis edytorski]

[497] *boazeria* — rodzaj okładziny ściennej z drewna. [przypis edytorski]

Na ten okrzyk przybiegła pani Morrel i rzuciła się synowi na szyję.

— Matko — odezwał się młodzieniec, wpatrując się na przemian to w matkę, to w siostrę. — Cóż się tu dzieje? Wasz list przeraził mnie i oto jestem.

— Julio — rzekła pani Morrel, dając synowi porozumiewawczy znak. — Idź i powiedz ojcu, że przyjechał Maksymilian.

Dziewczyna wybiegła, ale na pierwszym stopniu schodów natknęła się na jakiegoś człowieka, który trzymał list w ręku.

— Czy może panna Julia Morrel? — zapytał z mocnym włoskim akcentem.

— Tak, proszę pana — wyjąkała Julia. — Ale czego pan chce ode mnie? Nie znam pana.

— Niech pani przeczyta ten list — rzekł, podając jej papier.

Julia zawahała się.

— Idzie tu o ocalenie pani ojca! — dodał posłaniec.

Julia wyrwała mu list.

Rozerwawszy kopertę, przeczytała:

> Proszę udać się natychmiast na Aleje Meilhańskie, wejść do domu nr 15, poprosić odźwiernego o klucz do mieszkania na piątym piętrze; pójść do tego mieszkania — znajdzie tam Pani na kominku sakiewkę z czerwonego jedwabiu; proszę ją wziąć i zanieść ojcu.
>
> Jest bardzo ważne, aby otrzymał ją przed godziną jedenastą. Przypominam, że przyrzekłaś mi Pani ślepe posłuszeństwo.
>
> *Sindbad Żeglarz*

Dziewczyna wydała okrzyk radości, uniosła oczy, chcąc o coś zapytać człowieka, który jej oddał ten bilet, ale zdążył już zniknąć.

Zwróciła więc jeszcze raz oczy na list, chcąc go odczytać powtórnie i spostrzegła, że było tam jeszcze *postscriptum*[498]:

> Musi Pani to polecenie wykonać osobiście i sama; jeśli Pani przybędzie w towarzystwie albo kto inny zgłosi się zamiast pani, odźwierny powie, że o niczym nie wie.

Ten przypisek ochłodził znacznie radość Julii. Czy aby nie powinna się czegoś obawiać? Czy to nie była jakaś zasadzka na nią? W swojej naiwności nie wiedziała, jakie może grozić niebezpieczeństwo młodej dziewczynie w tym wieku, ale przecież niekoniecznie trzeba znać niebezpieczeństwo, aby się go lękać; a nawet warto zauważyć, że to zazwyczaj niebezpieczeństwa nieznane budzą w nas największą trwogę.

Po chwili wahania postanowiła zapytać kogoś o radę.

Ale wiedziona dziwnym przeczuciem, nie poszła ani do matki, ani do brata, tylko do Emanuela.

Zeszła na dół, opowiedziała mu, co się jej przytrafiło, gdy wysłannik firmy Thomson i French odwiedził jej ojca; opisała mu scenę na schodach, powtórzyła obietnicę, jaką wtedy złożyła, i pokazała mu list.

— Trzeba tam pójść, Julio — rzekł Emanuel.

— Pójść? — szepnęła Julia.

— Tak, a ja pójdę z tobą.

— Ale nie zrozumiałeś, że mam tam iść sama?!

— I wejdziesz tam sama — odpowiedział młodzieniec — a ja będę czekał na rogu ulicy Musée. I jeśli tak długo nie będziesz wracała, że zacznę się tym niepokoić, pójdę tam i zapewniam cię — biada tym, na których mogłabyś się poskarżyć.

— Sądzisz, Emanuelu, że naprawdę mam iść na to spotkanie?

— Tak. Czy posłaniec nie powiedział ci przecież, że chodzi tu o ratunek dla twojego ojca?

— Ależ powiedz mi w końcu, Emanuelu, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża?

[498] *postscriptum* (łac.) — dopisek do listu umieszczany na jego końcu, po podpisie autora. [przypis edytorski]

Emanuel wahał się chwilę, ale wzięło nad nim przewagę pragnienie, aby Julię przekonać.

— Słuchaj — rzekł do niej. — Dziś jest 5 września, nieprawdaż?

— Tak.

— Dzisiaj o jedenastej twój ojciec ma zapłacić prawie trzysta tysięcy franków.

— Tak, wiem o tym.

— Ale w kasie nie ma nawet piętnastu tysięcy!

— I co się stanie?

— To, że jeśli twój ojciec nie znajdzie do jedenastej kogoś, kto by mu podał rękę, o dwunastej będzie musiał ogłosić się bankrutem.

— Ach! Chodźmy! Chodźmy! — zawołała dziewczyna, ciągnąc Emanuela za rękę.

Tymczasem pani Morrel wszystko opowiedziała synowi.

Wiedział on już, że z powodu kolejnych nieszczęśliwych wypadków w wydatkach firmy zaprowadzono duże ograniczenia; ale nie zdawał sobie sprawy, że rzeczy tak daleko już zaszły.

Ta wiadomość go zdruzgotała.

Zerwał się nagle, rzucił do drzwi, wbiegł szybko po schodach. Sądził bowiem, że ojciec jest w gabinecie; ale stukał na próżno.

Za chwilę usłyszał, jak skrzypnęły drzwi od sypialni Morrela; odwrócił się i ujrzał ojca.

Na widok Maksymiliana Morrel krzyknął ze zdziwienia; nie wiedział bowiem nic o przybyciu syna. Ale stał nadal nieruchomy, przytrzymując lewym ramieniem jakiś przedmiot ukryty pod surdutem. Maksymilian zbiegł szybko ze schodów i rzucił się ojcu na szyję; i nagle odskoczył, dotykając dalej prawą dłonią piersi ojca.

— Ojcze! — zawołał, blednąc śmiertelnie. — Dlaczego chowasz pod surdutem parę pistoletów?

— O! Tego właśnie się obawiałem! — westchnął Morrel.

— Ojcze... Ojcze! Na Boga! — wykrzyknął młodzieniec. — Po co ci ta broń?

— Maksymilianie — odpowiedział Morrel, patrząc prosto na syna. — Jesteś mężczyzną, jesteś człowiekiem honoru, chodź za mną, to ci wyjaśnię.

I podążył pewnym krokiem do gabinetu, a Maksymilian, chwiejąc się, poszedł za nim.

Morrel zamknął za synem drzwi; przeszedłszy przedpokój, skierował się prosto do biurka, położył pistolety na brzegu i wskazał synowi palcem otwarty rejestr.

Księga ta zawierała dokładny obraz sytuacji.

Za pół godziny Morrel miał zapłacić dwieście osiemdziesiąt siedem tysięcy franków, a posiadał tylko piętnaście tysięcy dwieście pięćdziesiąt siedem.

— Czytaj — rzekł Morrel.

Młodzieniec przeczytał i znieruchomiał, zdruzgotany.

Morrel nie mówił nic; cóż by mógł dodać wymowniejszego niż wyrok tych nieubłaganych liczb?

— Czy wszystko już zrobiłeś, ojcze, aby przeciwstawić się temu nieszczęściu?

— Wszystko — odpowiedział Morrel.

— I nie możesz liczyć na żaden już wpływ?

— Nie.

— I za pół godziny... — dodał posępnym głosem — nasze nazwisko okryje hańba.

— Krew zmywa niesławę — rzekł Morrel.

— Masz rację, ojcze. Rozumiem wszystko.

I sięgnął do pistoletów.

— Jeden dla ciebie, a drugi dla mnie — rzekł. — Dzięki!

Morrel zatrzymał mu rękę.

— A twoja matka... a siostra... kto je wyżywi?

Młodzieniec zadrżał.

— Ojcze — rzekł — zdajesz sobie sprawę, że każesz mi żyć?

— Tak — mówił dalej Morrel. — Bo to twój obowiązek; jesteś silny, Maksymilianie, umiesz myśleć trzeźwo... Nie jesteś człowiekiem przeciętnym; niczego ci nie nakazuję i nie narzucam, powiadam tylko: zastanów się nad sytuacją, jakbyś był tu obcy, i osądź sam, co robić.

Młodzieniec zastanawiał się przez chwilę, po czym szlachetna rezygnacja ukazała się mu w oczach — i tylko wolno, smutnym gestem zdjął z ramion szlify oficerskie.

— Dobrze — rzekł, wyciągając rękę do ojca. — Umieraj w pokoju, ojcze, ja będę żyć.

Morrel chciał się niemal rzucić synowi do nóg. Maksymilian przyciągnął go do siebie i te dwa szlachetne serca przez chwilę biły tuż przy sobie.

— Wiesz, że to wszystko nie jest z mojej winy? — upewnił się Morrel.

Maksymilian uśmiechnął się.

— Wiem, żeś najuczciwszy z ludzi, jakich znam.

— Cóż, to dobrze, wszystko sobie powiedzieliśmy; wróć teraz do matki i siostry.

— Ojcze — rzekł młodzieniec, przyklękając na kolano. — Pobłogosław mnie.

Morrel ujął głowę syna w obie ręce, przyciągnął ją do siebie, ucałował kilkakrotnie i rzekł:

— O tak, tak! Błogosławię cię we własnym imieniu, i w imieniu trzech pokoleń ludzi nieskazitelnych. Posłuchaj więc, co ci mówią przez moje usta: Opatrzność może podnieść na nowo budowlę, którą zburzyło nieszczęście. Ulitują się nade mną najbardziej nieubłagani, gdy ujrzą, że poniosłem taką śmierć i dadzą ci może czas, którego mnie odmówili; postaraj się, aby nie padło słowo „zhańbiony"; weź się do dzieła, pracuj, synku, walcz odważnie. Ty, matka, siostra, żyjcie jak najoszczędniej, aby majątek moich wierzycieli codziennie się powiększał w twoich rękach. Pomyśl, jak piękny, jak wielki i uroczysty będzie ów dzień rehabilitacji, w którym powiesz: mój ojciec umarł, ponieważ nie mógł uczynić tego, co mnie się udało, ale umarł spokojnie, bo mnie to dzieło przekazał.

— O, mój ojcze! — zawołał młodzieniec. — A może jednak nie musisz odbierać sobie życia?

— Wtedy wszystko przepadnie; jeżeli będę żyć, współczucie przejdzie w powątpiewanie, litość w zawziętość, będę tylko człowiekiem, który nie dotrzymał słowa, uchybił swoim powinnościom; będę tylko bankrutem. Ale jeśli umrę, pomyśl, Maksymilianie: moje ciało będzie już tylko zwłokami uczciwego, nieszczęśliwego człowieka. Gdybym pozostał przy życiu, najlepsi moi przyjaciele stroniliby ode mnie; a tak cała Marsylia pójdzie, płacząc, na mój pogrzeb. Gdybym żył, wstydziłbyś się mojego nazwiska; lecz jeśli umrę, śmiało podniesiesz głowę i rzekniesz: jestem synem człowieka, który zabił się dlatego, że po raz pierwszy w życiu nie mógł dotrzymać słowa.

Honor, Samobójstwo, Ojciec

Młody człowiek westchnął, jakby pogodził się już ze wszystkim. Ale ojciec przekonał tylko jego rozum, nie serce.

— Teraz — rzekł Morrel — zostaw mnie samego i postaraj się zatrzymać matkę i siostrę na dole.

— Nie chciałbyś jeszcze zobaczyć się z Julią? — spytał Maksymilian.

Młodzieniec widział w tym spotkaniu swoją ostatnią, cichą nadzieję, ale Morrel potrząsnął głową i rzekł:

— Widziałem ją dziś rano i już ją pożegnałem.

— Czy masz mi, ojcze, coś jeszcze do powiedzenia? — spytał Maksymilian zmienionym przez wzruszenie głosem.

— Tak, synu. Mam dla ciebie święte polecenie.

— Mów ojcze, mów!

— Firma Thomson i French jest jedyną, która — przez ludzkość czy przez egoizm (ale nie do mnie należy czytać w sercach) — ulitowała się nade mną. Jej wysłannik, który za dziesięć minut przybędzie tu, aby zrealizować weksel na dwieście osiemdziesiąt siedem tysięcy franków, przyznał mi — o nie! ofiarował mi sam trzy miesiące zwłoki; niech ta firma, synu, będzie spłacona jako pierwsza; a tego człowieka przyjmij z największym szacunkiem.

— Dobrze, ojcze.

— A teraz żegnaj raz jeszcze — rzekł Morrel. — Idź, chcę być sam; testament znajdziesz w sekretarzyku, w mojej sypialni.

Młodzieniec stał w miejscu, jak gdyby brakło mu siły, by wykonać wolę ojca.

— Słuchaj, Maksymilianie — rzekł ojciec. — Przypuśćmy, że jestem żołnierzem, jak ty, i że otrzymałem rozkaz zdobyć szturmem szaniec[499]; wiesz, że ta wyprawa będzie mnie kosztować życie; i czy wtedy nie powiedziałbyś mi tego, coś już mówił przed chwilą: „Idź, mój ojcze, bo okryjesz się hańbą, jeżeli zostaniesz, a śmierć jest lepsza od hańby".

— Tak, tak! — wyszeptał młodzieniec, a ściskając kurczowo ojca, dodał: — Idź, ojcze.

I wybiegł z gabinetu.

Gdy Maksymilian zniknął, Morrel stał jakiś czas nieruchomo, wpatrując się we drzwi; potem wyciągnął rękę, znalazł, nie patrząc, sznurek dzwonka i zadzwonił.

Po chwili przyszedł Kokles.

Nie był to już ten sam człowiek; trzy dni, w których już był przekonany o nieszczęściu, zupełnie go strawiły. Myśl: „dom Morrel i Syn zawiesza wypłaty", przygięła go bardziej do ziemi, niż by to zrobiło dodatkowych dwadzieścia lat życia.

— Mój dobry Koklesie — rzekł Morrel, a tonu jego głosu niepodobna byłoby opisać. — Stań tutaj w przedpokoju. Jak tylko przyjdzie ten pan, który już tu był przed trzema miesiącami, no wiesz, wysłannik firmy Thomson i French, zameldujesz mi go zaraz.

Kokles nie odpowiedział; skinął głową, usiadł w przedpokoju i czekał.

Morrel opadł na krzesło; przeniósł wzrok na zegar: zostało mu, ot — siedem minut; wskazówka posuwała się naprzód z niepojętą szybkością, zdawało mu się, że widzi jej ruch.

Niepodobna wyrazić, co się działo w owej ostatniej chwili w duszy tego człowieka, który nie był jeszcze stary, a miał rozstać się ze wszystkim, co kochał na ziemi, i skończyć z życiem, które tyle jeszcze miało dlań radości, jakich doznaje się, przebywając wśród najbliższych... Aby wyobrazić sobie, co przeżywał, trzeba byłoby widzieć tę twarz pełną rezygnacji, to czoło zroszone potem i te oczy mokre od łez, a jednak wciąż wzniesione ku niebu.

Wskazówka posuwała się ciągle, pistolety były już nabite; wyciągnął rękę, wziął jeden i wyszepnął imię swej córki.

Odłożył z powrotem broń, wziął pióro i napisał kilka słów. Zdawało mu się, że nie pożegnał wystarczająco ukochanego dziecka.

Następnie spojrzał na zegar; nie liczył już życia na minuty, lecz na sekundy.

Wziął znowu broń i z rozchylonymi ustami patrzył na wskazówkę; wzdrygnął się, usłyszawszy trzask odwodzonego kurka.

W tej chwili pot jeszcze zimniejszy zrosił mu czoło, jeszcze większa trwoga ścisnęła serce.

Usłyszał skrzyp schodów. Otwarły się drzwi do gabinetu.

Zegar miał już uderzyć na jedenastą.

Morrel nie odwrócił się, czekał na słowa Koklesa: „mandatariusz[500] domu Thomson i French".

Zbliżył lufę pistoletu do ust...

Nagle usłyszał krzyk... był to głos córki.

Odwrócił się i spostrzegł Julię; pistolet wypadł mu z ręki.

— Ojcze — zawołała dziewczyna zadyszana, niemal nieprzytomna z radości. — Ocalony! Jesteś ocalony!

I rzuciła się mu na szyję, podnosząc do góry sakiewkę z czerwonego jedwabiu.

— Ocalony! — zapytał Morrel. — Co mówisz, dziecko?

— Tak, ocalony! Patrz, patrz!

Morrel wziął sakiewkę i zadrżał, bo przypominał sobie jakby przez mgłę, że przedmiot ten kiedyś do niego należał.

W jednej przegródce był weksel na dwieście osiemdziesiąt siedem tysięcy franków.

Weksel był anulowany.

W drugiej zaś — diament wielkości orzecha i kawałek pergaminu ze słowami:

Posag Julii.

Morrel przetarł czoło; był pewien, że śni. W tej chwili zegar wybił jedenastą.

[499] *szaniec* — umocnienie polowe, wyznaczające linię walk; składa się z wału i rowu. [przypis edytorski]

[500] *mandatariusz* — osoba upoważniona do pełnienia jakiejś funkcji. [przypis edytorski]

Dźwięk ten odbił się echem w uszach Morrela, jakby stalowy młotek uderzał prosto w jego serce.

— Ale wytłumacz mi, dziecko kochane, gdzie znalazłaś tę sakiewkę?

— W domu przy Alejach Meilhańskich, pod piętnastką, na kominku w ubogim mieszkaniu na piątym piętrze.

— Ależ to nie twoja sakiewka! — zawołał Morrel.

Julia podała ojcu list, który tego dnia odebrała.

— I poszłaś sama do tego domu? — spytał Morrel, przeczytawszy go.

— Był ze mną Emanuel i czekał na mnie na rogu ulicy; ale, rzecz dziwna, gdy wracałam, już go nie było.

— Panie Morrel! — krzyczał ktoś na schodach. — Panie Morrel!

— To on! — rzekła Julia.

I do pokoju wpadł Emanuel, a na jego twarzy rysowała się radość i uniesienie.

— „Faraon"! — wołał. — „Faraon"!

— Jak to? „Faraon"?! Postradałeś zmysły? „Faraon" zatonął.

— „Faraon"! Proszę pana, sygnalizują, że „Faraon" wchodzi do portu!

Morrelowi zabrakło nagle sił, upadł na krzesło; nie był w stanie pojąć, jak mogło dojść do tylu wydarzeń tak nieprawdopodobnych, niesłychanych — iście baśniowych.

Ale wreszcie nadbiegł i syn.

— Ojcze — zawołał Maksymilian. — Czemu mi mówiłeś, że „Faraon" zatonął? Strażnik morski go sygnalizuje właśnie, jak wchodzi do portu!

— Najdrożsi — wyszeptał Morrel. — Jeżeli to jest prawda, będzie nam trzeba uwierzyć w cud boski! To niemożliwe! Niemożliwe!

Ale czymś równie nieprawdopodobnym, a jednak realnym, była owa sakiewka, którą trzymał w ręku, był ten pokwitowany weksel i ten niezwykły diament.

— Ach! Proszę pana! — rzekł na koniec i Kokles. — Jak to, „Faraon"?...

— Chodźmy, dzieci — rzekł Morrel, wstając. — Chodźmy przekonać się sami i niech się Bóg nad nami zlituje, jeśli to jest fałszywa wiadomość.

Zeszli na dół; w połowie schodów czekała pani Morrel; biedna kobieta nie śmiała pójść na górę.

Po chwili doszli do portu.

Na brzegu zgromadził się tłum. Ludzie rozstąpili się przed Morrelem.

— „Faraon"! „Faraon"! — wołali wszyscy.

W istocie, działa się rzecz cudowna i niepojęta: naprzeciw wieży Świętego Jana zarzucał kotwicę i zwijał żagle statek z białym napisem na rufie: „»Faraon«, Morrel i Syn, Marsylia", o tej samej pojemności co „Faraon" zatopiony i tak samo wyładowany koszenilą i indygo; na mostku rozkazy wydawał kapitan Gaumard, a stary Penelon machał przyjaźnie do pana Morrela.

Nie można już było wątpić: zmysły świadczyły, że to prawda, a potwierdzało to jeszcze świadectwo dziesięciu tysięcy osób.

Gdy Morrel ściskał syna przy oklaskach całego miasta, człowiek jakiś z twarzą do połowy zakrytą czarnym zarostem, ukryty za budką szyldwacha, przypatrywał się tej scenie ze wzruszeniem, a na koniec szepnął:

— Bądź szczęśliwy, szlachetny człowieku, niech cię Bóg błogosławi za całe dobro, jakieś czynił do tej pory i jakie nadal będziesz czynił, i niech moja wdzięczność skryje się w cieniu, tak jak twój dobry postępek.

I uśmiechając się, a w uśmiechu tym przebijały się radość i szczęście, wyszedł z kryjówki i nie zwróciwszy niczyjej uwagi — tak dalece wszyscy byli przejęci tym nadzwyczajnym wydarzeniem — zbiegł po schodkach przystani i zawołał:

— Jacopo! Jacopo! Jacopo!

Wnet do brzegu przybiła szalupa; wsiadł do niej i popłynął na bogato urządzony jacht; wskoczył na pomost z lekkością marynarza, stamtąd spojrzał raz jeszcze na Morrela, który płacząc z radości, kolejno ściskał wyciągnięte ręce i błądząc oczyma po niebie, zdawał się jednocześnie szukać swego nieznanego dobroczyńcy i dziękować mu.

— A teraz — rzekł nieznajomy — żegnaj, dobroci, ludzkości, wdzięczności... Że- Zemsta, Przysięga

gnajcie, uczucia, od których raduje się serce!... Wyręczyłem Opatrzność, aby nagrodzić dobrych... teraz niech bóg zemsty ustąpi mi miejsca, abym ukarał złych!

I dał znak, a jacht, jakby tylko czekał na ten sygnał, wypłynął na pełne morze.

31. WŁOCHY — SINDBAD ŻEGLARZ

Na początku 1838 roku przebywało we Florencji dwóch młodych ludzi należących do śmietanki towarzyskiej Paryża: wicehrabia Albert de Morcerf i baron Franz d'Epinay. Postanowili spędzić karnawał w Rzymie, gdzie Franz, który od czterech lat mieszkał we Włoszech, miał służyć za cicerona[501] Albertowi.

Że zaś niemało potrzeba przygotowań, aby spędzić karnawał w Rzymie, szczególnie gdy ktoś nie ma zamiaru nocować na Placu Ludowym[502] lub na Campo Vaccino[503], nasi młodzieńcy napisali do pana Pastriniego, właściciela hotelu Londyńskiego, z prośbą, aby zarezerwował dla nich przyzwoity apartament.

Pan Pastrini odpisał, że ma do dyspozycji już tylko dwa pokoje i alkowę[504], i to na drugim piętrze, które może im wynająć za nader umiarkowaną sumę ludwika dziennie. Młodzi przyjaciele zgodzili się; po czym Albert, chcąc wykorzystać czas, jaki mu jeszcze pozostał, udał się do Neapolu, Franz zaś został we Florencji.

Kiedy się już dość nacieszył życiem stolicy Medyceuszy[505], kiedy się już dosyć naspacerował po tamtejszych ogrodach podobnych do ziemskiego Edenu, gdy już został przyjęty na wspaniałych salonach, które czynią we Florencji honory domu, zdjęła go fantazja, aby zwiedzić Elbę, ten wielki etap historii Napoleona; na Korsyce — kolebce Bonapartego — zdążył być już wcześniej.

Pewnego więc wieczoru odczepił z żelaznego pierścienia linę przytrzymującą małą barkę w porcie livorneńskim[506], owinął się w szeroki płaszcz i ułożył się na dnie łodzi, rzucając do przewoźników tylko krótki rozkaz:

— Na Elbę!

Barka odpłynęła z portu, jak ptak morski wyfruwa z gniazda i na drugi dzień Franz wysiadał już w Portoferraio. Przewędrował cesarską wyspę po śladach olbrzyma i w Marcianie[507] znów się zaokrętował.

W dwie godziny po opuszczeniu lądu łódź zawinęła na Pianosę, gdzie, jak mówiono, miały nań czekać ogromne stada czerwonych kuropatw. Polowanie jednak nie powiodło się; nasz strzelec z wielkim trudem ubił kilka kuropatw i to wychudzonych; i jak każdy myśliwy, który pofatygował się na polowanie na darmo, wrócił na łódź w najgorszym humorze.

— Ach! Gdyby wasza wielmożność sobie życzył, mógłby sobie naprawdę nieźle zapolować — rzekł doń właściciel łodzi.

— Gdzież to?

— Widzi pan tę wyspę? — rzekł właściciel, wyciągając rękę w kierunku południa i wskazując palcem na stożkowaty skalisty kształt wyłaniający się z fal zabarwionych najpiękniejszym odcieniem indygo.

— Tak, i cóż to za wyspa? — zapytał Franz.

— Wyspa Monte Christo — odpowiedział Livorneńczyk.

— Ale ja nie mam pozwolenia na łowy na tej wyspie.

— Pan hrabia nie potrzebuje pozwolenia, bo to wyspa bezludna.

— Ejże! — zawołał młodzieniec. — Bezludna wyspa na Morzu Śródziemnym, coś takiego!

---

[501] *ciceron* (z wł. *cicerone*) — przewodnik. [przypis edytorski]

[502] *Plac Ludowy*, właśc. *Piazza del Popolo* — słynny plac znajdujący się w płn. części Rzymu. [przypis edytorski]

[503] *Campo Vaccino* (wł. krowie pole) — inna nazwa Forum Romanum, najstarszego rzym. placu miejskiego, o szczególnym znaczeniu historycznym i kulturowym. [przypis edytorski]

[504] *alkowa* — mały pokoik bez okien, przylegający do większego pokoju; przeznaczony na sypialnię. [przypis edytorski]

[505] *Medyceusze* — florencki ród kupiecki i bankierski, od 1532 książęcy; od 1434 jego członkowie rządzili Florencją, która w 1569 stała się stolicą Wielkiego Księstwa Toskanii; odegrali wielką rolę kulturalną i polityczną. [przypis edytorski]

[506] *port livorneński* — port w mieście Livorno we Włoszech; położony na wybrzeżu Morza Liguryjskiego. [przypis edytorski]

[507] *Marciana* — miejscowość na Elbie. [przypis edytorski]

— E, to bardzo naturalna rzecz. Wyspa ta jest jedną kupą skał, nie ma tam ani jednej piędzi[508] ziemi uprawnej.

— Do kogo ta wyspa należy?

— Do Toskanii.

— A jaką zwierzynę można tam spotkać?

— Tysiące kozic.

— Które żywią się kamieniami — zripostował Franz z uśmiechem niedowierzania.

— Nie, żywią się krzewami, mirtami i lentyszkami porastającymi skały.

— Gdzież będę spał?

— W grotach na ziemi albo też rozścielimy panu płaszcz w łodzi. Zresztą, jeśli wasza wielmożność będzie sobie życzył — moglibyśmy trochę zapolować, a potem zaraz odpłynąć; wie pan dobrze, potrafimy żeglować równie dobrze w nocy, jak za dnia.

Jako że Franz miał jeszcze dość czasu do spotkania się z przyjacielem, a o dach nad głową w Rzymie już nie musiał się niepokoić — przyjął propozycję, chcąc sobie wynagrodzić pierwsze niepomyślne polowanie.

Wobec wyrażonej przez Franza zgody marynarze zaczęli cicho naradzać się między sobą.

— No i cóż tam znowu? — zagadnął Franz. — O co jeszcze chodzi? Czyżby to było jednak niemożliwe?

— Ii, nie — odrzekł właściciel. — Musimy tylko uprzedzić pana hrabiego, że z tą wyprawą może się wiązać pewne ryzyko.

— To znaczy?

— Bo Monte Christo jest niezamieszkana i dlatego często służy za schronienie dla przemytników i korsarzy, którzy wracają z Korsyki, Sardynii lub Afryki — gdyby więc ktokolwiek doniósł o naszym pobycie na tej wyspie, musielibyśmy po powrocie do Livorno odbyć przynajmniej sześciodniową kwarantannę.

— O, do diabła! Sześć dni! To zmienia stan rzeczy! To tyle, ile Bóg potrzebował na stworzenie świata. Moje dzieci, to jednak trochę za długo.

— Ale któż by się wygadał, że pan hrabia był na Monte Christo?

— O, ja na pewno nie! — zawołał Franz.

— Ani my — zawtórowali majtkowie.

— A więc dalej, na Monte Christo.

Właściciel wydał rozkazy; kurs został wzięty na wyspę i łódź pomknęła w jej kierunku.

Franz poczekał, aż skończy się manewr, a skoro łódź wypłynęła na morze, wiatr wydął żagle, a czterej majtkowie zajęli stanowiska, trzech na przodzie, a czwarty u steru. Franz nawiązał znowu rozmowę.

— Mój kochany Gaetano, mówiłeś mi, że wyspa Monte Christo jest przytułkiem dla przemytników i piratów morskich, a zdaje mi się, że to zupełnie inny rodzaj zwierzyny niż kozice.

— To prawda, panie hrabio.

— Wiedziałem, że przemytnicy istnieją, ale myślałem, że gdy teraz zdobyliśmy i opanowaliśmy Algier i Tunis[509], piraci grasują już tylko w romansach Coopera[510] i Marryata[511].

— No cóż, wielmożny pan się myli. Z piratami jest tak, jak z bandytami, z którymi jakoby rozprawił się papież Leon XII[512], a przecież oni co dnia niemal u samych bram Rzymu napadają podróżnych. Czy pan nie słyszał, jak pół roku temu napadli na dyplomatę francuskiego przy stolicy apostolskiej i obrabowali go doszczętnie?

---

[508] *piędź* (daw.) — antropometryczna miara długości, wyznaczana przez odległość między końcem kciuka a końcem palca środkowego dłoni (względnie rozpiętość dłoni) i wynosząca ok. 20 cm. [przypis edytorski]

[509] *Algier, Tunis* — miasta leżące w Tunezji. [przypis edytorski]

[510] *Cooper, James Fenimore* (1789–1851) — amerykański powieściopisarz; autor powieści przygodowo-awanturniczych, których akcja rozgrywała się w 2. połowie XVIII w., w okresie walk pomiędzy Indianami a Francuzami. [przypis edytorski]

[511] *Marryat, Frederick* (1792–1848) — angielski pisarz, autor nowel o awanturniczej tematyce; za wzór stawiał sobie opowiadania Charlesa Dickensa; dziś Marryat uważany jest za pioniera powieści marynistycznej. [przypis edytorski]

[512] *Leon XII*, właśc. *Annibale Sermattei della Genga* (1760–1829) — papież od 1823 r.; dokonał reformy sądownictwa wymierzonej przeciwko pustoszącym Rzym bandytom. [przypis edytorski]

— Tak, słyszałem.

— A więc, gdyby wielmożny pan mieszkał jak my w Livorno, posłyszałby od czasu do czasu, że stateczek wyładowany towarem lub piękny jacht angielski, którego spodziewano się w Bastii[513], w Portoferraio lub Civita Vecchia jakoś nie dotarł tam wcale i nikt nie wie, co się z nim stało — pewnie rozbił się gdzieś o skałę. Ale tą skałą, którą napotkał, bywa płaska, wąska łódka, z kilkoma ludźmi na pokładzie, którzy go zaskoczyli lub zrabowali w ciemną, burzliwą noc, przy jakiejś dzikiej i bezludnej wysepce.

— Ale — rzekł Franz wyciągnięty na dnie łodzi — czemuż ci, którym się coś takiego przydarzy, nie wniosą skargi? Czemu nie zgłoszą tego do rządu francuskiego, sardyńskiego lub toskańskiego, aby piraci zostali ukarani?

— Czemu? — powtórzył z lekkim uśmiechem Gaetano.

— Tak, czemu?

— Temu, że najpierw piraci przenoszą z takiego statku czy jachtu wszystko, co warto wziąć, na swoją barkę; potem zaś związują ręce i nogi całej załodze, przyczepiają każdemu dwudziestoczterofuntową kulę do szyi, robią dziurę w kadłubie statku na szerokość beczułki, wychodzą na pokład, zamykają luki i wracają na barkę. Po dziesięciu minutach statek zaczyna stękać i jakby pojękiwać, i powoli się zanurza. Najpierw jeden bok, potem drugi; podnosi się nagle i nagle znowu opada, coraz niżej i niżej. Nagle rozlega się huk jakby z działa — to właśnie ciśnienie rozsadziło pokład. I wtedy statek zaczyna się szamotać jak tonący, ale za każdym ruchem ciężar ciągnie go do dna. Na koniec woda sprężona w kadłubie wytryska z otworów kaskadami jak z nozdrzy gigantycznego kaszalota. Statek wydaje ostatni chrapliwy jęk, ostatni raz obraca się wokół siebie i zapada, tworząc na powierzchni odmętów potężny lej, który przez chwilę wiruje, wolno się napełnia i znika; po pięciu minutach chyba tylko sam Bóg mógłby dostrzec na dnie tej spokojnej otchłani zaginiony statek.

— Teraz pan rozumie — zakończył Gaetano z uśmiechem — dlaczego statek nie zawija do portu i dlaczego nikt nie zanosi skargi?

Gdyby Gaetano opowiedział to przed propozycją wyprawy, kto wie, czy Franz nie zastanowiłby się dwa razy, zanim by się na nią zgodził. Ale już wyruszyli i wydało mu się tchórzostwem zawracać. Był to jeden z tych ludzi, którzy nie szukają wprawdzie niebezpieczeństwa, ale którzy przyjmują je z zimną krwią, gdy się już przydarzy; chłodny i nieustępliwy, traktował niebezpieczeństwo jak przeciwnika w pojedynku: obliczał spokojnie jego ruchy, badał siłę, cofał się tylko wtedy, gdy chciał nabrać oddechu, i to nie na tyle, aby mogło to ujść za tchórzostwo; w mgnieniu oka pojmował wszystkie swoje atuty i zabijał jednym ciosem.

— Ejże! — odezwał się. — Wędrowałem po Sycylii i Kalabrii, dwa miesiące żeglowałem po wodach archipelagu, a nie spotkałem nigdy nawet cienia bandyty czy pirata.

— Ja też nie mówiłem o tym wielmożnemu panu, aby go odwodzić od zamiaru; pytał mnie pan, więc odpowiedziałem i tyle.

— Dobrze, dobrze, drogi Gaetano. Rozmowa z tobą jest niezwykle zajmująca, a ponieważ rad bym z tobą gawędzić jak najdłużej, więc płyńmy na Monte Christo.

Tymczasem zbliżano się szybko do celu podróży, wiatr był bowiem pomyślny i łódź robiła około siedmiu mil na godzinę. W miarę, jak się zbliżali, wyspa zdawała się rosnąć coraz bardziej z łona mórz; w przejrzystym powietrzu rozświetlonym ostatnimi promieniami słońca wyspa wyglądała jakby stos kul w arsenale — tak, na kształt olbrzymiej pryzmy[514] piętrzyły się skały, a pomiędzy nimi gdzieniegdzie czerwieniły się wrzosy i zieleniły drzewa. Marynarze, chociaż zdawali się zupełnie spokojni, podwoili czujność; bacznym wzrokiem obejmowali rozległe zwierciadło wód, po którym barka mknęła, niemal ślizgając się po powierzchni; na horyzoncie widać było kilka rybackich kutrów o białych żaglach, kołyszących się jak ptaki morskie na grzbietach fal.

Już tylko piętnaście mil dzieliło ich od Monte Christo, gdy słońce zaczęło kryć się za Korsyką, której zębaty, górzysty kontur rysował się ciemną plamą na niebie; to zwalisko skał wznosiło się przed łodzią groźnie niczym baśniowy olbrzym, zabierając słońce, które pozłacało jeszcze górne partie żagli i masztów; z wolna mrok podnosił się od morza,

[513] *Bastia* — miejscowość na Korsyce. [przypis edytorski]

[514] *pryzma* — ścięty ostrosłup o prostokątnej podstawie. [przypis edytorski]

chcąc jakby przegonić ostatnie promienie gasnącego dnia; w końcu świetlisty snop został zepchnięty na sam wierzchołek stożka i tam zatrzymał się na chwilę, przemieniając szczyt góry w gorejący wulkan; wreszcie cień, postępujący wyżej, ogarnął stopniowo szczyt, jak wcześniej ogarniał podstawę, i wyspa była już tylko szarą, wciąż ciemniejącą skalistą piramidą. Pół godziny później całą przestrzeń zaległy całkowite ciemności.

Szczęściem marynarze często bywali w tych okolicach i znali doskonale każdą skałę archipelagu toskańskiego, bo inaczej wśród ciemności spowijającej barkę Franz nie obroniłby się przed pewnym niepokojem. Korsyka zniknęła całkowicie i skały Monte Christo stały się niewidzialne; ale marynarze iście rysim wzrokiem byli w stanie przenikać ciemności, a sternik nie okazywał żadnej niepewności.

W godzinę po zachodzie słońca zdało się Franzowi, że widzi po lewej stronie jakąś ciemną plamę; trudno mu było jednak rozpoznać dokładnie, co to było; milczał więc nadal z obawy, że biorąc za ląd jakąś zwiewną chmurę, rozśmieszy marynarzy. Ale nagle na brzegu zabłysło światło; ziemia mogła wydawać się chmurą, ale ten ogień nie był meteorem.

— Co to za światło? — zapytał Franz.

— Cśśś! — rzekł właściciel. — To ognisko.

— A mówiłeś, że wyspa jest niezamieszkana.

— Mówiłem, że nie ma tu stałych mieszkańców, ale powiedziałem też, że zawijają tu przemytnicy.

— I korsarze?

— I korsarze — powtórzył Gaetano. — Dlatego też kazałem ominąć wyspę, bo teraz, jak wielmożny pan widzi, ogień został za nami.

— Ale to ognisko — ciągnął Franz — wydaje mi się raczej gwarancją bezpieczeństwa niż powodem do obawy; gdyby to byli ludzie, którzy się lękają, by ich ktoś nie zauważył, nie rozpalaliby ognia.

— O, to nic nie znaczy — odparł Gaetano. — Gdyby pan hrabia w ciemności mógł zorientować się w położeniu wyspy, przekonałby się pan, że tego ognia niepodobna zobaczyć ani od strony lądu, ani z Pianosy, wyłącznie od pełnego morza.

— I boisz się, że ten ogień nie najmilsze zwiastuje nam towarzystwo?

— Trzeba nam będzie się o tym przekonać — odrzekł Gaetano, patrząc ciągle na ową ziemską gwiazdę.

— Ale jak się o tym przekonać?

— Zaraz pan hrabia zobaczy.

Gaetano naradził się z towarzyszami i po pięciu minutach owej dyskusji wykonali w ciszy manewr w ten sposób, że łódź, zawróciwszy w miejscu, skierowała się w kierunku, z którego przypłynęli; po kilku chwilach ogień znikł im sprzed oczu, zakryty jakąś nierównością terenu.

Wtedy sternik znów nadał inny kierunek łodzi, która zbliżyła się wyraźnie do wyspy i niebawem byli oddaleni od wyspy zaledwie o pięćdziesiąt kroków.

Gaetano zwinął żagiel i łódź zatrzymała się w miejscu.

Wszystko to odbyło się w absolutnej ciszy — od kiedy tylko zmienili kierunek, na pokładzie nikt nie wymówił ani słowa.

Gaetano, inicjator tej wyprawy, całą odpowiedzialność wziął na siebie. Czterej marynarze wpatrywali się w niego z największą uwagą; trzymając w pogotowiu wiosła, szykowali widocznie na wszelki wypadek do zrobienia skutecznego użytku z wioseł, co zważywszy na ciemności mogło im się powieść.

A Franz sprawdzał broń z właściwą sobie zimną krwią; miał sztucer[515] i dwie dubeltówki[516]; nabił je, sprawdził panewki[517] i czekał.

[515]*sztucer* — rodzaj broni palnej używanej do polowania na grubszą zwierzynę; w XVIII i XIX w. używany był także w wojsku. [przypis edytorski]

[516]*dubeltówka* — dwururka; strzelba o dwóch lufach, popularna broń myśliwska. [przypis edytorski]

[517]*panewka* — w daw. broni palnej zagłębienie w górnej części lufy, na które sypano proch; przy wystrzale iskra padała na proch, który zapalał się i przenosił ogień dalej, przez zapał (otwór prowadzący do lufy) do ładunku umieszczonego w lufie, powodując jego odpalenie. [przypis edytorski]

Tymczasem Gaetano zrzucił opończę[518] i koszulę, zacisnął mocniej pasek od spodni, a ponieważ był boso, nie potrzebował zdejmować pończoch ani trzewików. Tak ubrany — lub raczej tak rozebrany — przytknął palec do ust, zalecając najgłębsze milczenie, i spuściwszy się do wody, popłynął do brzegu z taką ostrożnością, że nie dało się posłyszeć najmniejszego szmeru. I tylko dzięki migotliwej bruździe, którą żłobiły wśród fal jego ruchy, można było śledzić wzrokiem jego ślad.

Wkrótce i owa bruzda zniknęła: Gaetano musiał dotrzeć na brzeg.

Nikt nie poruszył się na łodzi przez następne pół godziny; po czym znowu blisko brzegu pojawiła się taka sama świetlista smuga, zbliżająca się do łodzi. Jeszcze chwila, jeszcze dwa ruchy ramion — i Gaetano był na łodzi.

— No i co? — zapytali jednocześnie Franz i marynarze.

— Cóż — odpowiedział. — To hiszpańscy przemytnicy i dwóch korsykańskich bandytów.

— Ale co u diabła robią korsykańscy bandyci z hiszpańskimi przemytnikami?

— Ach, mój Boże! — odpowiedział Gaetano tonem, w którym pobrzmiewały akcenty zaiste chrześcijańskiego miłosierdzia. — Panie hrabio, toć trzeba sobie wzajemnie pomagać. Często takiego bandytę mocno przyciskają żandarmi albo karabinierzy[519], no to cóż, natyka się wtedy na łódź, w której siedzi paru takich poczciwych chłopaków jak my. No i przychodzi prosić o gościnność w naszym pływającym domu. Czyż godzi się odmówić, kiedy biedaka ścigają? Przyjmujemy go, a dla większego bezpieczeństwa umykamy na pełne morze. Wszakże to nic nas nie kosztuje, a nieraz może ocalić życie, a przynajmniej wolność bliźniemu, który przy okazji może nam odwzajemnić przysługę i wskazać nam bezpieczną przystań, gdzie możemy wyładować spokojnie towar, unikając ciekawych oczu.

— Ach tak? — zdziwił się Franz. — A więc i ty, Gaetano, jesteś po trosze przemytnikiem?

— Cóż robić, panie hrabio! — odrzekł Gaetano z uśmiechem niemożliwym do opisania. — Robi się to i owo; trzeba przecie z czegoś żyć.

— No, to znasz pewnie tych ludzi, którzy są teraz na Monte Christo?

— Po części. My, żeglarze, poznajemy się jak masoni[520]: po pewnych znakach.

— Jesteś więc przekonany, że nie mamy się czego obawiać?

— Nie, skądże; kontrabandziści nie są złodziejami.

— Ale ci dwaj korsykańscy bandyci... — ciągnął Franz, chcąc ocenić z góry ryzyko.

— Ee, mój Boże! Cóż oni winni, że są bandytami, to wina władz...

— Jak to?

— A tak! Ścigają ich tylko za to, że się komuś dobrali do skóry! Jakby zemsta nie leżała w naturze Korsykanina.

— Co rozumiesz przez dobieranie się do skóry? Zabicie człowieka? — indagował Franz.

— Zabicie wroga — odparł Gaetano — a to zupełnie co innego.

— Ano dobrze, poprośmy więc przemytników i bandytów o gościnę. Ale jesteś pewny, że nas dobrze przyjmą?

— Najpewniejszy.

— Ilu ich jest?

— Pięciu, trzech przemytników i dwóch bandytów.

— A to tylu, co i nas! Siły są równe, więc gdyby ci panowie byli źle dla nas usposobieni, potrafimy ich zmusić do grzeczności. Więc, po raz ostatni, na Monte Christo.

— Dobrze, wielmożny panie, ale jeśli pan pozwoli, będziemy stosować wszelkie środki ostrożności.

---

[518] *opończa* — noszony dawniej płaszcz z kapturem; rodzaj okrycia podróżnego. [przypis edytorski]

[519] *karabinierzy* — w XVIII i XIX w. nazwa niektórych jednostek lekkiej kawalerii lub piechoty wyposażonych w karabiny; również nazwa żandarmerii we Włoszech. [przypis edytorski]

[520] *masoni* a. *wolnomularze* — członkowie masonerii (wolnomularstwa), tj. powstałego w XVIII w. tajnego, hermetycznego stowarzyszenia międzynarodowego o hierarchicznej strukturze wewnętrznej, pielęgnującego zasady moralne i idee Oświecenia. [przypis edytorski]

— A owszem, mój drogi! Bądź roztropny jak Nestor[521], ostrożny jak Ulisses[522]. Nie tylko pozwalam, ale również zalecam.

— Wobec tego, cisza! — rzekł Gaetano.

Wszyscy umilkli.

Franz, jako człowiek, co rozważa wszystko z właściwego punktu widzenia, uznał, że nie grozi mu niebezpieczeństwo, choć sytuacja nie przestawała być poważna. Otaczała go ciemna noc, był sam jeden pośród morskich odmętów, zdany na łaskę marynarzy, którzy go nie znają i nie mają najmniejszych powodów poświęcać się dla niego; wiedzą za to, że ma przy sobie kilka tysięcy franków ukrytych w pasie; a ponadto po dziesięć razy, jeżeli nie z zazdrością, to z dużą ciekawością oglądali jego piękną broń. I teraz właśnie z takimi ludźmi miał wysiąść na wyspie, która nosiła wprawdzie bardzo chrześcijańską nazwę, ale mogła udzielić mu takiej gościny jak Kalwaria[523] Chrystusowi, zważywszy na to, że aż roiło się na niej od przemytników i bandytów. Wreszcie ta historia o zatapianych statkach, którą uważał w dzień za przesadzoną, w nocy wydała mu się dużo bardziej prawdopodobna. Dlatego też, wzięty w dwa ognie przez dwa, chociaż być może urojone, niebezpieczeństwa, nie spuszczał z oka marynarzy, a ręki ze strzelby.

Majtkowie tymczasem podnieśli na nowo żagle i barka popłynęła znów przebytą dwukrotnie już drogą. Franz, przyzwyczajony nieco do zmroku, dostrzegał w gęstej ciemności granitowego olbrzyma, którego właśnie opływali; na koniec, za kolejnym załomem skalnym, spostrzegł ognisko, które jaśniało jeszcze bardziej niż przedtem, a przy nim kilku siedzących ludzi.

Blask ognia rozświetlał morze na jakieś sto kroków. Gaetano opłynął światło, utrzymując barkę w cieniu; a potem, gdy się znaleźli naprzeciw ogniska, zwrócił dziób łodzi wprost ku ognisku i śmiało wpłynął w krąg światła, śpiewając rybacką piosenkę, a marynarze wtórowali mu chórem w refrenie.

Na pierwsze słowa piosenki ludzie, co otaczali ognisko, podnieśli się i podeszli do przystani, przypatrując się bacznie łodzi: widać było, że starają się ocenić siłę przybywających i odgadnąć ich zamiary. Wkrótce, zbadawszy dostatecznie, jak się wydawało, sprawę, z powrotem usiedli przy ogniu, nad którym obracał się koziołek, pozostawiwszy tylko jednego z nich nad brzegiem.

Gdy barka znalazła się tylko dwadzieścia kroków od lądu, człowiek stojący nad brzegiem machinalnie uczynił karabinem gest, jak strażnik na widok patrolu, i zawołał w dialekcie sardyńskim:

— Kto idzie?

Franz z zimną krwią odbezpieczył obie dubeltówki.

Gaetano rozmówił się krótko z nieznajomym, ale Franz nie zrozumiał z tego ani słowa, chociaż słychać było, że rozmowa dotyczyła jego osoby.

— Czy wielmożny pan — zapytał Gaetano — wymieni swoje nazwisko, czy też woli zachować *incognito*[524]?

— Moje nazwisko powinno absolutnie pozostać w tajemnicy — odpowiedział Franz — powiedz im tylko, że jestem Francuzem, podróżującym dla przyjemności.

Gaetano powtórzył tę odpowiedź, a strażnik wydał natychmiast jakiś rozkaz jednemu z siedzących przy ogniu; człowiek ten niezwłocznie powstał i zniknął za skałami.

Nastało głuche milczenie. Każdy myślał tylko o własnych sprawach: Franz o lądowaniu, marynarze o żaglach, kontrabandziści o koźle; ale mimo tego pozornego spokoju, wszyscy bacznie się obserwowali.

Człowiek, który zniknął przed chwilą za skałami, ukazał się nagle z przeciwnej strony, skinął głową do strażnika, a ten zwrócił się do przybyłych, ograniczając się do jednego tylko słowa: *s'accomodi*.

---

[521] *Nestor* (mit. gr.) — bohater *Iliady* i *Odysei*, ojciec Antylocha, król Pylos, najstarszy uczestnik wojny trojańskiej, symbol wieku i związanego z nim doświadczenia. [przypis edytorski]

[522] *Ulisses* a. *Odyseusz* (mit. gr.) — bohater *Iliady* i *Odysei* Homera, słynny ze sprytu król Itaki; w czasie wojny trojańskiej i długiej podróży powrotnej wielokrotnie podstępem ratował się z opresji; był też pomysłodawcą konia trojańskiego, dzięki któremu Grecy zwyciężyli Trojańczyków. [przypis edytorski]

[523] *Kalwaria* — wzgórze, na którym ukrzyżowano Jezusa (hebr. Golgota). [przypis edytorski]

[524] *incognito* (z łac.) — utajenie tożsamości, anonimowość. [przypis edytorski]

Włoskie *s'accomodi* jest niemożliwe do przetłumaczenia. Znaczy to jednocześnie: chodźcie, prosimy, wejdźcie, witajcie, czujcie się jak u siebie w domu. To *s'accomodi* podobne do owego tureckiego zdania u Moliera[525], co tak zadziwiło pana Jourdain[526] mnogością swoich znaczeń.

Majtkom nie potrzeba było tego powtarzać dwa razy: cztery ruchy wioseł — i już byli przy brzegu. Gaetano wyskoczył na ląd, poszeptał jeszcze cicho ze strażnikiem; marynarze zeszli również jeden po drugim na brzeg; na koniec z łodzi wyskoczył i Franz.

Jedną ze strzelb przewiesił przez ramię, drugą niósł Gaetano, jeden z marynarzy zaś wziął sztucer. Z ubioru Franz zakrawał trochę na artystę, a trochę na dandysa[527], co nie mogło budzić w gospodarzach żadnych podejrzeń, a tym samym żadnej obawy. Przycumowawszy łódkę do brzegu, zajęli się wyszukaniem wygodnego miejsca na spoczynek; ale kierunek, w jakim zmierzali, nie spodobał się strażnikowi, który krzyknął do Gaetana:

— Ale nie tędy, jeśli łaska!

Gaetano zamruczał przepraszająco i nie protestując, poszedł w przeciwną stronę, a dwaj majtkowie zapalili przy ognisku pochodnie, aby oświetlić drogę.

Uszedłszy zaledwie trzydzieści kroków, stanęli na małym tarasie otoczonym ze wszystkich stron skałami. Wokół w szczelinach wypełnionych ziemią rosło kilka karłowatych dębów i gęste kępy mirtów. Franz zniżył pochodnię i dostrzegł kupkę popiołu; dowodziło to, że nie tylko jemu to miejsce wydało się dobre na obozowisko i że musiało to być zwyczajowe schronienie włóczęgów, co zahaczali o Monte Christo.

Nie obawiał się już, że czeka na nich jakaś niespodzianka; gdy już stanęli na lądzie, gdy przekonał się o przyjacielskim, a przynajmniej obojętnym zachowaniu gospodarzy, jego niepokój rozproszył się całkiem. Skoro zaś doszedł go aromatyczny zapach pieczonego koźlęcia, w miejsce resztek obawy poczuł apetyt.

Zwrócił się więc do Gaetana, napomykając mu o tym, i otrzymał odpowiedź, że nic prostszego, niż zabrać się do przygotowania kolacji, bo mają w łodzi chleb, wino i sześć kuropatw, a i ogień przecież nietrudno rozpalić, by je na nim upiec.

— Zresztą, jeżeli pan hrabia — dodał Gaetano — uważa za tak kuszący zapach tego koziołka, możemy ofiarować sąsiadom parę ptaszków w zamian za kawał pieczeni.

— Wybornie, Gaetano, idź do nich! — rzekł Franz. — Urodziłeś się z niezwykłym talentem do pertraktacji[528].

Tymczasem marynarze narwali wrzosu, ścięli kilka karłowatych dębów, z mirtu zrobili wiązki i rozpalili ogień.

Franz zaś niecierpliwie czekał na rezultat poselstwa, wciągając pożądliwie w nozdrza zapach koźlęcia. Gaetano przyszedł wreszcie, ale jego mina zdradzała mocne zafrasowanie.

— No, Gaetano, i co? Nie przyjmują naszej oferty?

— Wręcz przeciwnie — odparł Gaetano. — Sam naczelnik, któremu powiedziano, że pan jest młodym podróżującym Francuzem, zaprasza pana na wieczerzę.

— No cóż — rzekł Franz — widać, że ten naczelnik to człowiek nader uprzejmy; nie widzę powodu, dla którego miałbym nie przyjąć zaprosin, tym bardziej że mogę się przyczynić do tej kolacji.

— O, nie o to idzie; on ma co jeść, nawet więcej niż mu trzeba. Ale zaprasza pana do siebie pod pewnym warunkiem.

— Do siebie? — odpowiedział zdziwiony młodzieniec. — Czyżby wybudował tu sobie dom?

— Bynajmniej, ale mimo to mieszka sobie ponoć bardzo wygodnie.

— Znasz więc naczelnika?

— Słyszałem o nim tylko.

— I co, mówią o nim dobrze, czy źle?

— I tak, i tak.

---

[525] *Molier* właśc. *Jean-Baptiste Poquelin* (1622–1673) — największy fr. komediopisarz, aktor, dyrektor teatru. Autor sztuk klasyfikowanych jako „wielkie komedie", widowisk farsowych, komedii heroicznych i komediobaletu. [przypis edytorski]

[526] *pan Jourdain* — bohater molierowskiej komedii *Mieszczanin szlachcicem*, który wyraża zdumienie, że od ponad 40 lat mówi prozą, nic o tym nie wiedząc. [przypis edytorski]

[527] *dandys* — elegant, mężczyzna z przesadą dbający o strój i przestrzeganie form towarzyskich. [przypis edytorski]

[528] *pertraktacje* — negocjacje. [przypis edytorski]

— Tam do diabła! No, a jaki to warunek?

— Żeby pan hrabia pozwolił sobie zawiązać oczy i nie zrzucał opaski, póki sam gospodarz nie da panu znać.

Franz spojrzał Gaetanowi badawczo w oczy, chcąc dociec, co może kryć w sobie ta propozycja.

— Ech, diabli nadali — skrzywił się Gaetano, wtórując myśli Franza — wiem dobrze, sprawa wymaga namysłu.

— A cóż byś zrobił na moim miejscu? — zapytał młodzieniec.

— Ja? Nie mam nic do stracenia. Poszedłbym naturalnie.

— Poszedłbyś?

— A poszedłbym, choćby z ciekawości.

— Jest więc tam coś ciekawego do obejrzenia?

— Proszę posłuchać — rzekł Gaetano, zniżając głos. — Nie wiem, czy to prawda, co mówią...

Tu wstrzymał się i rozejrzał naokoło, czy aby kto nie podsłuchuje.

— Co mówią?

— Mówią, że naczelnik mieszka w takich podziemiach, że przy nich pałac Pittich[529] jest niczym.

— E, bajki — rzekł Franz uspokojony.

— To, wielmożny panie, wcale nie bajki, to rzeczywistość! Cama, sternik ze „Świętego Ferdynanda" był tam raz; jak wyszedł, to z olśnienia nie mógł ochłonąć; mówił, że takie skarby znajdują się chyba tylko w baśniach.

— No no! Wiesz co — rzekł Franz — słuchając twoich opowiadań, gotów byłbym pójść choćby do jaskini Ali Baby!

— Ja tylko powtarzam, com słyszał — odpowiedział Gaetano.

— Radzisz mi więc, żebym przyjął zaproszenie?

— O! Tego wcale nie powiedziałem! Niech wielmożny pan robi, jak mu się podoba. Nie chciałbym w podobnych okolicznościach udzielać żadnych rad.

Franz zastanawiał się przez chwilę i doszedł wreszcie do przekonania, że tak bogaty człowiek nie czyha raczej na życie człowieka, który ma przy sobie nie więcej jak kilka tysięcy franków; że zaś miał nadzieję na dobrą kolację, przystał więc na warunek i Gaetano zaniósł jego odpowiedź.

Jednakże, jak wiemy, Franz był człowiekiem przezornym — dlatego chciał się dowiedzieć jak najwięcej o swoim niezwykłym, tajemniczym gospodarzu. Zwrócił się tedy do marynarza, który w czasie całej tej rozmowy skubał kuropatwy, z powagą człowieka, któremu powierzono ważne obowiązki i zapytał, czym ci ludzie przybyli na wyspę, kiedy nie widać żadnej łodzi ani speronary[530], ani tartany?

— Nie kłopotałbym się o to — rzekł majtek. — Znam dobrze statek, na którym tu przypływają.

— I co, ładny to statek?

— Życzyłbym takiego wielmożnemu panu, mógłby pan na takim okrążyć choćby cały świat.

— Jaką ma wyporność?

— Ma ze sto ton. Zresztą, nie jest to zwyczajny statek, tylko zbytkowny[531]: jacht, jak powiadają Anglicy, ale tak zbudowany, że może wytrzymać każdą pogodę.

— Gdzie zbudowany, nie wiesz?

— Nie wiem, ale zdaje mi się, że w Genui.

— Jak to? Herszt[532] przemytników ośmiela się budować sobie jacht w porcie genueńskim na taki użytek?

— Przecież nie mówiłem, że właściciel tego statku jest przemytnikiem.

— Ty nie, ale o ile się nie mylę, mówił tak Gaetano — rzekł Franz.

— Gaetano widział tylko załogę, ale z nikim stamtąd nie rozmawiał.

---

[529]*pałac Pittich*, właśc. *Palazzo Pitti* — okazały pałac we Florencji, z wielką galerią malarstwa renesansowego. [przypis edytorski]

[530]*speronara* — rodzaj małego statku kupieckiego wywodzącego się z Malty. [przypis edytorski]

[531]*zbytkowny* — bogato wyposażony, luksusowy. [przypis edytorski]

[532]*herszt* — przywódca bandy. [przypis edytorski]

— Jeżeli więc ten jegomość nie jest dowódcą przemytników, to kimże jest, u licha?

— Jakimś bogatym panem, co podróżuje dla przyjemności.

„No, nieźle — pomyślał Franz — wobec tak sprzecznych informacji ten człowiek staje się coraz bardziej tajemniczy".

— A jak się on nazywa?

— Kiedy go o to pytają, mówi, że Sindbad Żeglarz; ale wątpię, żeby to było jego prawdziwe nazwisko.

— Sindbad Żeglarz?

— Tak.

— I gdzież ten magnat mieszka?

— Na morzu.

— Skąd pochodzi?

— Nie wiem.

— Czyś go kiedy widział?

— Parę razy.

— Jakże wygląda?

— Wielmożny pan sam to najlepiej oceni.

— Gdzież on mnie będzie przyjmował?

— Zapewne w tym podziemnym pałacu, o którym mówił Gaetano.

— I nigdy nie byliście na tyle ciekawi, żeby odszukać ten zaczarowany pałac, kiedy na wyspie nie było nikogo?

— O, pewnie, że tak! I czy to raz! Cóż, kiedy wszystkie nasze poszukiwania schodziły na niczym. Przeszukaliśmy całą grotę i nie znaleźliśmy nawet śladu jakiegoś przejścia. Bo też i mówią, że tam brama do podziemi nie otwiera się za pomocą klucza, ale zaklęcia.

— O, zdecydowanie — mruknął Franz — wplątałem się w jakąś historię z *Tysiąca i Jednej Nocy*[533].

— Ekscelencja oczekuje pana — odezwał się jakiś głos za plecami Franza; był to strażnik. Przyszedł w towarzystwie dwóch ludzi z załogi jachtu.

Franz w miejsce odpowiedzi wyciągnął z kieszeni chustkę i podał ją strażnikowi.

Bez słowa zawiązali mu oczy, ze starannością, która świadczyła o ich obawie, by nie popełnił jednak jakiejś niedyskrecji; po czym poprosili, by przysiągł, że nie będzie próbował ściągnąć opaski.

Przysiągł.

Wtedy dwaj marynarze ujęli go pod ręce i ruszyli, prowadząc go między sobą, a strażnik szedł na przedzie.

Po trzydziestu krokach Franz poczuł, po coraz intensywniejszym zapachu koźlęcia, że przechodzili koło ogniska; następnie zrobili jeszcze z pięćdziesiąt kroków, posuwając się najwidoczniej tam, gdzie zabroniono zaglądać Gaetanowi — teraz ów zakaz stał się zrozumiały. Niebawem Franz wywnioskował ze zmiany powietrza, że schodzili do podziemia; po kilku jeszcze krokach usłyszał trzask i wydało mu się, że powietrze znów ulega zmianie, że staje się ciepłe i wonne; na koniec uczuł, że stopy zanurzają mu się w grubym, puszystym dywanie; przewodnicy nagle go puścili. Na chwilę zapadła cisza, po czym ktoś nagle odezwał się francuszczyzną dobrą, choć z obcym akcentem:

— Witam pana u siebie, może pan zdjąć chustkę.

Jak sobie wyobrażamy, Franz nie dał się długo namawiać; zdjął opaskę i znalazł się oko w oko z mężczyzną, który mógł mieć trzydzieści osiem do czterdziestu lat, noszącym się po tunezyjsku: miał na sobie fez[534] z długą frędzlą z błękitnego jedwabiu, czarny kaftan

[533] *Tysiąc i Jedna Noc*, właśc. *Baśnie z tysiąca i jednej nocy* — zbiór około 300 baśni i opowieści wsch., głównie arabskich i perskich, zamkniętych w kompozycyjną ramę legendy o sułtanie Szachrijarze i jego żonie Szeherezadzie, która co noc opowiadała małżonkowi jakąś historię, aby uniknąć niezasłużonej kary śmierci. [przypis edytorski]

[534] *fez* — nakrycie głowy o kształcie przypominającym niewysoki, lekko zwężający się ku górze cylinder, najczęściej wykonane z czerwonego (bordowego) filcu, ozdobione na środku denka frędzlem; nazwa pochodzi od marokańskiego miasta Fez. [przypis edytorski]

zahaftowany złotem, szerokie purpurowe szarawary[535], pantalony[536] tejże barwy haftowane złotem tak jak i kaftan, i żółte safianowe[537] pantofle; talię ściskał mu wspaniały kaszmirowy pas, a za nim tkwił zakrzywiony, niewielki, ale ostry kindżał[538].

Choć niezmiernie blady, mężczyzna ten miał twarz niezwykle piękną; oczy błyszczały bystro i przenikliwie; nos prosty, kształtu iście greckiego; czarny wąs uwydatniał perłową biel zębów.

Jedynie owa bladość była przedziwna; rzekłbyś, że ten człowiek był zamknięty przez dłuższy czas w grobie i nie był już w stanie odzyskać zwyczajnej barwy cery.

Choć niezbyt wysoki, był zbudowany harmonijnie i jak mieszkańcy Południa miał małe stopy i dłonie.

Ale to, co najbardziej poruszyło Franza, który potraktował opowieść Gaetana jak bajkę, to przepyszne umeblowanie komnaty.

Cały pokój obity był karmazynową turecką materią haftowaną w złote kwiaty. W zagłębieniu dojrzeć można było coś w rodzaju otomany[539], nad którą wisiała kolekcja arabskich szabli w pozłacanych pochwach i o rękojeściach wysadzanych drogimi kamieniami. U sufitu zwisał żyrandol z weneckiego szkła, przecudnego kształtu i koloru; nogi tonęły aż po kostki we wspaniałym tureckim kobiercu[540]; drzwi, przez które wszedł Franz, zasłonięte były kotarami, podobnie jak drugie, które prowadziły do kolejnej komnaty, rzęsisto — jak się zdawało — oświetlonej.

Gospodarz pozwolił Franzowi porozglądać się i ochłonąć ze zdumienia, sam zresztą oddawał mu wet za wet i nie spuszczał go z oka.

— Łaskawy panie, proszę mi wybaczyć — rzekł wreszcie gospodarz — wszystkie środki ostrożności, których od pana wymagano, przyprowadzając go tutaj; ale ponieważ gdyby ktoś dowiedział się o tajemniczym wejściu do mego mieszkania, zastałbym je niezawodnie po powrocie — a najczęściej nie ma mnie na wyspie — w bardzo złym stanie, co sprawiłoby mi dużą przykrość; nie dla strat materialnych, ale że nie miałbym już możliwości chowania się przed światem wtedy, gdy tego zechcę. Teraz będę się starał, abyś pan zapomniał tę małą nieprzyjemność: ofiarowuję panu to, czego nie spodziewał się pan tu zapewne znaleźć: znośną kolację i dość wygodne posłanie.

— Doprawy, drogi gospodarzu, nie potrzebuje się pan z tego tłumaczyć — odpowiedział Franz — wiem, że zawsze przecież zawiązywano oczy ludziom, którzy ośmielali się wkraczać do zaczarowanych pałaców; niech pan sobie przypomni Raula z *Hugenotów*[541]; nie mam powodu do skarg, bo wszystko, co mi tu pan pokazujesz, jest dalszym ciągiem cudów z *Tysiąca i Jednej Nocy*.

— Ach, niestety! Odpowiem panu jak Lukullus[542], że gdybym wiedział, że będę miał zaszczyt mieć pana u siebie, byłbym się jakoś przygotował. Cóż, stawiam wobec tego moją pustelnię do pańskiej dyspozycji w takim stanie, w jakim jest. Ali, czy podano nam już do stołu?

W tej samej niemal chwili poniosła się zasłona i czarny jak heban Nubijczyk[543], ubrany w prostą białą tunikę, dał znak swojemu panu, że mogą przejść do sali jadalnej.

— Teraz — rzekł nieznajomy do Franza — nie wiem, czy zgodzisz się pan ze mną, ale według mnie nie ma nic bardziej krępującego niż sytuacja, w której przebywamy z kimś

[535]*szarawary* — inaczej hajdawery; długie, szerokie, bufiaste spodnie; element tradycyjnego stroju orientalnego. [przypis edytorski]

[536]*pantalony* (z fr.) — spodnie, zwł. zbyt szerokie lub zbyt obcisłe.; tu: przylegająca do ciała para spodni, podobna do dzisiejszych legginsów, noszona pod szarawarami. [przypis edytorski]

[537]*safianowy* — wykonany z safianu, tj. z barwionej skóry koziej. [przypis edytorski]

[538]*kindżał* — nóż prosty, obosieczny, bez jelca (tj. części osłaniającej dłoń i oddzielającej głownię od rękojeści), często o ozdobnej pochwie i uchwycie. [przypis edytorski]

[539]*otomana* — rodzaj niskiej, wyścielanej kanapy z wałkami po bokach zamiast poręczy i miękkim oparciem. [przypis edytorski]

[540]*kobierzec* — gruba tkanina, którą ozdabiano ściany lub przykrywano podłogi. [przypis edytorski]

[541]*Raul z Hugenotów* — jeden z głównych bohaterów opery *Hugenoci*, której autorem jest Giacomo Meyerbeer (1791–1864); opowiada ona o tragicznej miłości katoliczki Walentyny i fr. protestanta (tj. hugenota) Raula w obliczu rzezi dokonanej na innowiercach w Paryżu w tzw. noc św. Bartłomieja. [przypis edytorski]

[542]*Lukullus* (117–56 p.n.e.) — rzym. wódz i polityk; znany z wystawnego trybu życia, m.in. postawił liczne luksusowe rezydencje, założył wiele ogrodów egzotycznych oraz sprowadzał ze Wschodu wiele dzieł sztuki; słynął również jako smakosz, wyprawiając uczty, których przepych stał się przysłowiowy. [przypis edytorski]

[543]*Nubijczyk* — osoba pochodząca z Nubii, tj. z krainy hist. w płn.-wsch. Afryce, obejmującej śr. bieg Nilu pomiędzy Asuanem a Chartumem. [przypis edytorski]

przez kilka godzin, a nie wiemy, jak tego człowieka nazywać lub tytułować. Proszę nie sądzić, że nie szanuję praw gościnności i pytam o pańskie nazwisko lub tytuł; proszę tylko, aby zechciał pan wskazać jakiekolwiek imię, którym będę mógł się do pana zwracać. Aby ułatwić rozmowę, powiem z mojej strony, że zazwyczaj nazywa się mnie Sindbadem Żeglarzem.

— Jeśli o mnie chodzi — podjął Franz — powiem panu, że ponieważ brak mi tylko cudownej lampy, aby się znaleźć w sytuacji Aladyna[544], nic nie stoi na przeszkodzie, abyś mnie pan nazywał Aladynem. Tym sposobem nie będziemy się oddalać od Wschodu, dokąd, jak chętnie uwierzyłbym, zostałem przeniesiony mocą jakiegoś dobrego geniusza.

— Dobrze więc, panie Aladynie — rzekł dziwaczny amfitrion[545] — słyszałeś, że podano do stołu, nieprawdaż? Racz więc przejść do jadalni, ja zaś jako twój pokorny sługa pójdę przodem, aby pokazać ci drogę.

To mówiąc, podniósł kotarę u drzwi i wszedł pierwszy.

Franz przechodził z oczarowania w oczarowanie: stół był zastawiony wspaniale. Przekonawszy się co do tej ważnej kwestii, powiódł spojrzeniem wokół. Sala jadalna była nie mniej bogato urządzona niż buduar[546], z którego właśnie wyszli. Na ścianach wykładanych marmurem widniały antyczne płaskorzeźby wielkiej ceny; w dwóch rogach tej owalnej komnaty stały wspaniałe statuy z koszykami na głowach. W koszykach tych leżały stosy najwyborniejszych owoców: ananasów z Sycylii, granatów z Malagi[547], pomarańczy z Balearów[548], francuskich brzoskwiń i tunezyjskich daktyli.

Kolacja zaś składała się z pieczonego bażanta otoczonego kosami[549], szynki z dzika w galarecie, udźca koźlęcia po tatarsku, wspaniałego turbota[550] i olbrzymiej langusty. W przerwach między półmiskami ułożono przystawki.

Półmiski były srebrne, talerze z japońskiej porcelany.

Franz przetarł sobie oczy, jakby nie dowierzał, że to nie sen.

Do stołu usługiwał jeden tylko Ali i przyznać należy, że doskonale wywiązywał się z obowiązków. Gość pogratulował z tego powodu gospodarzowi.

Pozycja społeczna, Niewola, Sługa

— A tak — odrzekł gospodarz, czyniąc z wielką swobodą honory domu. — To biedne stworzenie, całkiem mi oddane, stara się, jak może, dogadzać mi we wszystkim. Pamięta, że mu ocaliłem życie, a ponieważ zależało mu wtedy na własnej głowie, jest mi — jak się zdaje — wdzięczny, że pomogłem mu ją zachować.

Ali podszedł do Pana i podniósł do ust jego rękę.

— Czy okażę się zbyt niedyskretny, jeżeli zapytam, w jakich okolicznościach dokonałeś pan tak pięknego czynu?

— Och, mój Boże, było to bardzo proste — odpowiedział gospodarz. — Podobno niecnota kręcił się koło haremu[551] beja[552] Tunisu, co nie przystoi chłopakowi o takim kolorze skóry — tak że bej skazał go na ucięcie języka, ręki i głowy: pierwszego dnia miał utracić język, drugiego rękę, a trzeciego głowę. Zawsze miałem ochotę mieć na służbie niemego; poczekałem, aż ucięto mu język, po czym poszedłem do beja i zaofiarowałem mu za skazańca przepyszną dubeltówkę, która poprzedniego dnia wpadła Jego Wysokości, jak zauważyłem, szczególnie w oko. Wahał się trochę, tak szczerze pragnął wykończyć tego biedaka. Skoro mu jednak dodałem do strzelby angielski kordelas[553], którym udało mi

[544] *Aladyn* — jeden z bohaterów opowieści ze zbioru *Baśnie tysiąca i jednej nocy*; wchodzi on w posiadanie magicznej lampy, w której kryje się spełniający życzenia dżinn. [przypis edytorski]

[545] *amfitrion* (daw.) — gościnny pan domu, gospodarz wydający ucztę a. fundator przyjęcia; od imienia króla Tyrynsu i Teb w mit. gr. [przypis edytorski]

[546] *buduar* (daw.) — pokój pani domu, przeznaczony do odpoczynku. [przypis edytorski]

[547] *Malaga* — miasto portowe i region nad M. Śródziemnym, w płd. Hiszpanii. [przypis edytorski]

[548] *Baleary* — hiszp. archipelag na Morzu Śródziemnym, w którego skład wchodzą m.in. Majorka, Minorka i Ibiza. [przypis edytorski]

[549] *kos* — gatunek ptaka; jego mięso uchodziło za rarytas już w starożytności, a na Korsyce było składnikiem tradycyjnego pasztetu. [przypis edytorski]

[550] *turbot* — gatunek ryby flądrokształtnej. [przypis edytorski]

[551] *harem* — w tradycji muzułmańskiej część domu przeznaczona dla kobiet, w tym żon i nałożnic mężczyzny. [przypis edytorski]

[552] *bej* — wódz; także: tytuł nadawany możnowładcom i wyższym urzędnikom w państwach tureckich, w tym w Imperium Osmańskim. [przypis edytorski]

[553] *kordelas* — broń biała; długi nóż służący głównie do patroszenia zwierzyny. [przypis edytorski]

się przeciąć jatagan[554] Jego Wysokości, bej zdecydował się darować mu rękę i głowę, pod warunkiem jednak, że noga jego nigdy nie postanie w Tunisie. Zakaz taki był zresztą niepotrzebny. Niechby tylko z daleka ten poganin ujrzał brzegi Afryki, kryje się zaraz na dno jachtu i żadna siła go stamtąd nie wyciągnie, póki nie stracimy z oczu tej trzeciej części świata.

Franz zamilkł na chwilę i zastanawiał się, co wypada mu sądzić o tej okrutnej dobroduszności, z jaką gospodarz opowiedział mu powyższy wypadek.

— I, jak ów szlachetny żeglarz, od którego pożyczyłeś imię — odezwał się, zmieniając temat — spędza pan życie na podróżach?

— Tak, to ślub, który kiedyś złożyłem. Było to w czasie, gdy nie spodziewałem się, że będę w stanie go spełnić — rzekł z uśmiechem nieznajomy. — Uczyniłem jeszcze kilka innych i również te, mam nadzieję, zostaną po kolei wypełnione.

Chociaż Sindbad wymówił te słowa z nadzwyczaj zimną krwią, w jego oczach pojawił się błysk niezwykłej dzikości.

— Musiał pan wiele wycierpieć, nieprawdaż? — spytał Franz.

Sindbad zadrżał i spojrzał nań badawczo.

— Z czego pan to wnioskujesz? — zapytał.

— Ze wszystkiego — odpowiedział Franz. — Z pańskiego głosu, spojrzenia, bladości, no i z życia, które prowadzisz.

— Ech! Przecież prowadzę najszczęśliwsze życie, jakie może istnieć; prawdziwy żywot paszy[555]! Jestem panem stworzenia, jeśli spodoba mi się jakieś miejsce — zostaję tam; jeśli mi się znudzi — wyjeżdżam; jestem wolny jak ptak; ludzie, którzy mnie otaczają, czekają tylko na moje skinienie. Od czasu do czasu zachce mi się zabawić sprawiedliwością ludzką i wyrywam jej jakiegoś ściganego bandytę lub kryminalistę. Zresztą sprawuję tu moje własne sądy, wyższej i niższej instancji, bez zawieszeń i bez apelacji, która skazuje albo uwalnia, i nikt nie ma prawa się do tego wtrącać. O, gdybyś pan zakosztował mojego trybu życia, nie pragnąłbyś już innego i nie wróciłbyś nigdy do świata, chyba żebyś miał tam wypełnić jakieś wielkie dzieło.

— Dzieło zemsty na przykład — dopowiedział Franz.

Nieznajomy zatopił w oczach młodzieńca wzrok tak przenikliwy, że zdawał się on sięgać do dna serca i myśli.

— Dlaczego mówisz pan, że miałoby tu chodzić o zemstę? — zapytał.

— Bo wyglądasz pan na człowieka — rzekł Franz — który przecierpiał wiele od ludzi i ma z nimi jakiś straszny rachunek do uregulowania.

— Cóż — i Sindbad roześmiał się na swój dziwny sposób, błyskając białymi, zębami. — Nie zgadłeś pan wcale, jestem w rzeczywistości, drogi panie, czymś w rodzaju filantropa i może kiedyś pojadę do Paryża, aby zrobić konkurencję panu Appertowi i innym.

— Byłby to pański pierwszy raz w Paryżu?...

— A tak. Muszę chyba wyglądać na człowieka niezbyt ciekawego świata, prawda? Ale zapewniam pana, że jeżeli zwlekałem aż do tej pory, to nie z własnej winy; zjawię się i tam, nie dziś, to jutro!

— I zamierza pan odbyć tę podróż niebawem?

— Nie wiem jeszcze. Będzie to zależało od okoliczności, które podlegają zbiegowi wypadków.

— Chciałbym być w Paryżu, kiedy pan tam przyjedzie. Odwdzięczyłbym się wtedy panu w miarę możliwości za gościnność, jaką pan mi tutaj zaofiarował.

— Przyjąłbym zaproszenie z największą przyjemnością — odrzekł gospodarz — ale niestety, jeżeli przyjadę do Paryża, to pewnie *incognito*.

Kolacja tymczasem ciągnęła się nadal, a wydawało się, że przygotowano ją jedynie dla Franza; gospodarz zaledwie pokosztował paru wykwintnych potraw, podczas gdy jego niespodziewany gość zajadał wszystko z apetytem, oddając odpowiednie honory tak wspaniałej uczcie.

---

[554]*jatagan* — broń biała, jej długość wynosi około 70 cm; charakteryzuje się rękojeścią i podwójną krzywizną ostrza. [przypis edytorski]

[555]*pasza* a. *basza* (z tur.) — dygnitarz w dawnym Imperium Osmańskim lub w Egipcie; także: tytuł honorowy lub arystokratyczny. [przypis edytorski]

Na koniec Ali przyniósł wety[556], a raczej wyjął z rąk posągów koszyki z owocami i położył je na stole. Pomiędzy nimi postawił srebrną, pozłacaną czarkę, z takąż samą przykrywką.

Franza uderzył szacunek, z jakim Ali przyniósł ową czarkę. Uniósł pokrywkę i zobaczył dziwną, zielonkawą maź podobną do konfitur z dzięglu[557]. Nie miał jednak pomysłu, co by to mogło być. Położył przykrywkę z powrotem i spojrzawszy na gospodarza, zobaczył, że ten uśmiecha się, rozbawiony jego rozczarowaniem.

— Nie możesz pan, jak widzę, odgadnąć, cóż to za specjał i to pana intryguje?

— Przyznaję, że tak.

— Otóż te zielone konfitury są ni mniej, ni więcej tylko ową ambrozją[558], którą Hebe[559] podawała przy stole Jowiszowym.

— Jednak ta ambrozja, przeszedłszy w ludzkie ręce, musiała stracić swoje niebiańskie miano i przybrać jakieś ziemskie. Jakże więc nazywa się po ludzku ten przysmak, do którego zresztą nie czuję wielkiej sympatii?

— Ech, proszę, jak to pytanie przypomina o tym, żeśmy powstali z materii! — zawołał Sindbad. — Często przechodzimy tak koło szczęścia i nie widzimy go, a jeśli nawet i widzimy, to go nie poznajemy. Jeżeli pan jesteś człowiekiem konkretnym i złoto jest pańskim bożyszczem, skosztuj tego, a otworzą się przed panem kopalnie Peru, Golkondy i Guzaratu. Jeżeli ma pan wyobraźnię, jeśli jesteś poetą, skosztuj, a znikną przed tobą granice tego, co możliwe, będziesz się przechadzał ze swobodnym sercem i wolnym umysłem, w nieskończonej krainie marzenia. Jeśliś ambitny i gonisz za ziemską sławą, skosztuj, a za godzinę zostaniesz królem i to nie jakiegoś małego kraiku jak Francja, Hiszpania albo Anglia, upchniętego na skraju Europy, ale królem całej ziemi, królem świata, panem stworzenia. Twój tron wznosić się będzie na górze, na którą szatan zaniósł Chrystusa, i nie będziesz mu nawet musiał składać hołdu ani całować jego szponów, a i tak zostaniesz udzielnym władcą wszystkich królestw ziemi. Czyż ta propozycja nie jest kusząca? Niech pan sam powie! Tym bardziej że wystarczy tylko jeden ruch? Patrz.

I zdjął przykrywkę czarki, zawierającej tak zachwalany specyfik, wziął na łyżeczkę owych magicznych konfitur, podniósł do ust i jął się delektować, przymykając oczy i odchylając głowę w tył.

Franz nie przeszkadzał mu w syceniu się ulubionym przysmakiem; gdy zaś spostrzegł, że trochę przyszedł do siebie, rzekł:

— Ale cóż to jest właściwie za przysmak?

— Czy słyszałeś pan kiedy o Starcu z Gór[560]? Tym, co chciał zabić Filipa Augusta[561]?

— Słyszałem.

— Więc wiesz pan, że panował on nad żyzną doliną, nad którą wznosiła się góra — stąd też wziął się jego malowniczy przydomek. W dolinie tej były przepyszne ogrody, sadzone przez Hasana ben Sabaha[562], a w tych ogrodach odosobnione altany. Do tych to altan zapraszał swoich wybrańców i częstował ich jakimś zielem, jak powiada Marco Polo[563], które przenosiło ich do raju w wiecznie kwitnące ogrody, w których zawsze właśnie dojrzewały owoce, a dziewczęta zawsze były dziewicami. To, co ci szczęśliwi młodzieńcy brali za rzeczywistość, było jedynie snem; ale snem tak słodkim, tak upajającym i rozkosznym, że zaprzedawali się duszą i ciałem temu, kto im go ofiarowywał. Słuchając jego rozkazów jak samego Boga, szli na kraniec świata, by zabić upatrzoną ofiarę, umierali na mękach bez skargi, z jedną tylko myślą w głowie: śmierć jest jedynie drzwiami do owego

Raj, Ogród, Sen

[556] *wety* (daw.) — deser, słodycze. [przypis edytorski]

[557] *dzięgiel* — roślina z rodziny selerowatych, kwiaty w kulistych baldachach mają kolor biały, u niektórych odmian czerwonawy; wyróżnia się mocnym, charakterystycznym zapachem. [przypis edytorski]

[558] *ambrozja* (mit. gr.) — pokarm bogów, zapewniający im nieśmiertelność. [przypis edytorski]

[559] *Hebe* (mit. gr.) — córka Zeusa i Hery, personifikacja młodości. [przypis edytorski]

[560] *Starzec z Gór* — przydomek Hasana ibn Sabbaha, przywódcy (1090–1124) niewielkiego państwa nizarytów z siedzibą w górskiej twierdzy Alamut, wokół której wyrosło wiele legend; był on postrachem krzyżowców. [przypis edytorski]

[561] *Filip II August* (1165–1223) — król Francji w latach 1180-1223; dowódca III wyprawy krzyżowej. [przypis edytorski]

[562] *Hasan ben Sabah* — właśc. Hasan ibn Sabbah. [przypis edytorski]

[563] *Polo, Marco* (1254–1324) — wenecki podróżnik i kupiec; podróżując Jedwabnym Szlakiem, przemierzył całą Środkową Azję i dotarł do Chin, po powrocie podyktował swoje spostrzeżenia w formie pamiętników; uważany za najwybitniejszego podróżnika europejskiego w średniowieczu. [przypis edytorski]

życia wypełnionego rozkoszą, którego przedsmak daje to święte ziele, które leży tu przed panem.

— Ach! — wykrzyknął Franz. — A więc to haszysz[564]! Tak, wiem, co to jest, przynajmniej ze słyszenia.

— Odgadłeś, mości Aladynie, to haszysz; najlepszy i najczystszy haszysz, jaki da się zdobyć w Aleksandrii. Jego twórcy należałoby wystawić pałac z taką oto inskrypcją: „Sprzedawcy szczęścia — wdzięczny świat".

— Wie pan — rzekł Franz — miałbym ochotę przekonać się na sobie, czy mówisz pan prawdę, czy wyolbrzymiasz nieco walory tej rośliny.

— Przekonaj się pan, przekonaj; ale nie poprzestawaj na pierwszej próbie. Jak w każdej rzeczy, tak i tu trzeba najpierw przyzwyczaić zmysły do nowego wrażenia — łagodnego czy gwałtownego, smutnego czy wesołego. Natura walczy z tą boską substancją, natura bowiem ludzka nie jest stworzona do radości i uczepia się boleści. Ale natura zwyciężona powinna polec w tej walce; rzeczywistość powinna ustąpić miejsca marzeniu; a wtedy sen panuje niepodzielnie, staje się życiem, a życie staje się snem. A jaką różnicę można poczuć, poddając się tej przemianie! Porównując męki istnienia rzeczywistego z rozkoszami egzystencji sztucznej, nigdy już nie będziesz chciał wrócić do życia prawdziwego, będziesz chciał marzyć już zawsze. Kiedy przejdziesz z tego wewnętrznego świata do świata wspólnego dla wszystkich, zdawać ci się będzie, jakbyś się przeniósł z wiosny w Neapolu w sam środek zimy w Laponii[565]; jakbyś został zepchnięty z raju na ziemię, z nieba do piekła. Spróbuj więc, miły gościu, haszyszu, spróbuj!

Franz nie odpowiedział, wziął tylko na łyżeczkę tyle cudownego specjału, ile gospodarz i podniósł do ust.

— Do diabła! — odezwał się, połknąwszy łyżeczkę tych boskich konfitur. — Nie wiem jeszcze, czy skutek będzie tak przyjemny, jak pan obiecuje, ale ta substancja nie wydaje mi się tak wyśmienita, jak pan twierdzi.

— Bo pańskie podniebienie nie oswoiło się jeszcze z wysublimowanym smakiem tego specjału. Niech mi pan sam powie, czy od razu zasmakowałeś w ostrygach, herbacie, porterze[566], truflach, słowem w tym wszystkim, za czym pan teraz przepadasz? Czy pojmujesz, jak mogli Rzymianie przyprawiać bażanty asafetydą[567], a jak mogą Chińczycy zjadać gniazda jaskółcze? Doprawdy, nie! A więc to samo stosuje się do naszego haszyszu. Niech pan spróbuje go jeść przez tydzień, a przekonasz się, że żaden smakołyk w świecie nie wyda ci się już równie wykwintny, jak haszysz, który dziś wydaje ci się bez smaku i mdlący. Zresztą przejdźmy do drugiego pokoju, to jest do pańskiego pokoju. Ali poda nam kawę i fajki.

Powstali obaj; i gdy Sindbad — jak go dla wygody my również zowiemy od czasu do czasu — wydawał rozkazy Alemu, Franz przeszedł do sąsiedniego pokoju.

Umeblowany był nieco prościej, choć nie mniej zbytkownie. Był okrągły, a obiegała go wokół otomana umieszczona pod ścianami. Otomana, ściany, sufit i parkiet były obite wspaniałymi skórami, miękkimi i puszystymi jak najbardziej puszyste dywany; były to skóry pochodzących z Atlasu[568] lwów o potężnych grzywach, skóry pręgowanych tygrysów bengalskich, panter z Przylądka Dobrej Nadziei[569] (taka pantera pojawiła się Dantemu[570]), a wreszcie skóry niedźwiedzi syberyjskich i norweskich lisów; a wszystkie te futra były rozesłane jedne na drugich, tak że stąpało się po nich jak po najgęstszej murawie, a spoczywało jak na najmiększym posłaniu.

Położyli się obaj na otomanie; pod ręką znaleźli już przygotowane fajki o jaśminowych cybuchach[571] i bursztynowych ustnikach. Ali zapalił je i poszedł po kawę.

---

[564]*haszysz* — używka wyrabiana z konopi siewnej bądź indyjskiej, zażywana co najmniej od średniowiecza w krajach Bliskiego Wschodu. [przypis edytorski]

[565]*Laponia* — region w płn. Finlandii. [przypis edytorski]

[566]*porter* — ciemne, mocne piwo. [przypis edytorski]

[567]*asafetyda* — przyprawa indyjska o nieprzyjemnym, intensywnym zapachu. [przypis edytorski]

[568]*Atlas* — pasmo górskie w płn.-zach. Afryce, rozciągające się od wybrzeży Oceanu Atlantyckiego do zatoki Mała Syrta u wybrzeży Tunezji. [przypis edytorski]

[569]*Przylądek Dobrej Nadziei* — przylądek w płd. Afryce. [przypis edytorski]

[570]*taka pantera pojawiła się Dantemu* — w pierwszej pieśni *Piekła* Dantego bohaterowi wstępu na świetlistą górę broni pantera razem z lwem i wilczycą. [przypis edytorski]

[571]*cybuch* — część fajki łącząca ustnik z główką, w ktorej znajduje się tytoń. [przypis edytorski]

Nastała chwila milczenia; Sindbad oddał się myślom, które nawet wśród rozmowy zdawały się go nie odstępować; Franz zaś utonął w owej cichej zadumie, którą zwykle sprowadza doskonały tytoń — z dymem ulatują wszystkie troski dręczące umysł, a w zamian przybywają wszelkie marzenia duszy.

Ali przyniósł kawę.

— Jaką pan pija kawę? Po francusku czy po turecku, mocną czy słabą, z cukrem czy bez cukru, zaparzoną czy gotowaną? Proszę wybierać, przygotowano ją na wszelkie sposoby.

— Będę pił po turecku — odrzekł Franz.

— I masz pan rację! — zawołał gospodarz. — To dowodzi, że masz pan predyspozycje do wschodniego sposobu życia. O, tylko na Wschodzie ludzie wiedzą, jak trzeba żyć. Co do mnie — dodał z owym właściwym sobie dziwnym uśmiechem, który znów nie uszedł uwagi Franza — gdy tylko załatwię moje sprawy w Paryżu, wyjadę na Wschód, by tam spędzić resztę moich dni. I jeżeli wtedy chciałby mnie pan znów odwiedzić, trzeba mnie będzie szukać w Kairze, Bagdadzie[572] lub Ispahanie[573].

— Na honor — odparł Franz. — Nic łatwiejszego, bo właśnie zdaje mi się, że mi wyrastają orle skrzydła, dzięki którym mógłbym oblecieć cały świat w jeden dzień.

— Aha, więc haszysz już działa! Rozwiń tedy skrzydła i unieś się w sfery nadludzkie; nie lękaj się niczego, czuwamy nad tobą i gdyby ci nawet skrzydła roztopiły się od słońca jak Ikarowi, uratujemy cię.

Powiedział coś po arabsku do Alego, ten ukłonił się na znak posłuszeństwa i wyszedł, pozostając jednak w pogotowiu na zawołanie.

A we Franzu tymczasem zachodziła szczególna przemiana. Znikało całodzienne znużenie, umysł oczyszczał się z wrażeń, jakie wywołały w nim nadzwyczajne wypadki z tego wieczora — czuł się zupełnie tak, jak podczas tych pierwszych chwil snu, kiedy jesteśmy jeszcze na tyle przytomni, aby wyczuwać, jak ogrania nas sen. Jego ciało nabierało lekkości, jakby uwalniało się od ciężaru, umysł się rozjaśniał, zmysły zyskiwały podwójną władzę. Horyzont przed nim rozciągał się w nieskończoność, ale nie był to ten posępny horyzont, nad którym unosiła się jakaś nieokreślona trwoga — horyzont, jaki widział, nim zapadł w sen; był to horyzont błękitny, przejrzysty, rozległy, przesycony lazurem morza, migotliwymi drobinkami słońca unoszącymi się w powietrzu, wonnym powiewem bryzy; a wśród śpiewu marynarzy, który stworzyłby niebiańską harmonię, gdyby ktoś potrafił przenieść na papier te nuty, wyłaniała się wyspa Monte Christo, już nie jak straszliwa rafa czająca się wśród fal, ale jak zagubiona na pustyni oaza. W miarę jak łódź się zbliżała, do śpiewu przyłączały się nowe głosy i z wyspy wznosiły się ku Bogu czarodziejskie, tajemnicze tony, jakby wróżka (na przykład Lorelei[574]) lub czarnoksiężnik (jak Amfion[575]) zapragnęli zwabić tu jakąś duszę albo wznieść miasto.

Na koniec barka przybiła do brzegu, ale tak lekko, jak usta dotykają ust. Wydało się Franzowi, że wstępuje do groty, że widzi ponownie to, co widział przed zaśnięciem — Sindbada, gospodarza rodem z baśni, i Alego, niemego sługę; następnie wszystko zaczęło mu się zacierać i mieszać przed oczyma, jak ostatnie cienie rzucane przez magiczną latarnię, która właśnie gaśnie; i znalazł się po raz wtóry w komnacie z posągami, oświetlonej tylko mdłym blaskiem lampy, jednej z tych, które czuwają wśród nocy nad snem lub rozkoszą.

Sen, Erotyzm, Prostytutka, Wizja

Były to te same figury o bujnych, lubieżnych kształtach, o magnetycznym spojrzeniu

[572] *Bagdad* — obecnie stolica Iraku; miejsce akcji wielu opowieści z *Baśni tysiąca i jednej nocy*. [przypis edytorski]

[573] *Ispahan* — dziś popr.: Isfahan, trzecie co do wielkości miasto Iranu, ok. 340 km na płd. od Teheranu; stolica prowincji. [przypis edytorski]

[574] *Lorelei* — syrena z niem. legend, zamieszkująca wody Renu i przynosząca swoim śpiewem zgubę marynarzom. [przypis edytorski]

[575] *Amfion* (mit. gr.) — syn Zeusa i Antiope, królowej Teb; wg legendy zbudował mury Teb, grając na lutni w taki sposób, że posłuszne mu kamienie przemieściły się na właściwe miejsca. [przypis edytorski]

i rozpustnym uśmiechu. Były to Fryne[576], Kleopatra[577], Mesalina[578] — owe trzy najznakomitsze kurtyzany.

I wydało mu się, że te trzy posągi połączyły swoją miłość do jednego mężczyzny i że tym mężczyzną był on; że podeszły do łoża, gdzie spał; ich nogi gubiły się pod długimi białymi tunikami śnieżnej białości, piersi były odsłonięte, włosy opadały falą. Takim pozom ulegali bogowie, ale opierali się święci. Ich wzrok był nieugięty i palący — tak właśnie wąż wpatruje się w ptaka; a Franz poddawał się tym spojrzeniom, sprawiającym mu ból jak zaciśnięte sidła i napełniających go rozkoszą — jak pocałunek.

Wydało się Franzowi, gdy zamykał oczy po raz ostatni, że w ostatnim spojrzeniu, jakie rzucił wokół, dojrzał czwartą wstydliwą statuę, jak zakrywała swoje wdzięki; a gdy jego oczy były już zamknięte na świat rzeczywisty, otwarły mu się zmysły i zaznał wrażeń, jakich nie zna nikt.

Była to rozkosz bez końca, miłość bez wypoczynku, jaką Prorok[579] obiecuje swoim wybranym. Kamienne usta ożyły, piersi nabrzmiały od ciepła i Franzowi, który pierwszy raz znalazł się w mocy haszyszu, ta miłość sprawiała niemal ból, ta rozkosz zdawała się torturą, gdy czuł, jak jego spragnionych ust dotykają wargi posągów, giętkich i zimnych jak węże; ale im bardziej starał się odepchnąć od siebie tę nieznaną miłość, tym mocniej jego zmysły zapadały w czar tajemniczego snu; wreszcie, po walce, za którą wielu oddałoby duszę, zrezygnował z oporu i zdyszany, zgorączkowany od zmęczenia, wyczerpany rozkoszą poddał się pocałunkom marmurowych kochanek i urokowi tych niezwykłych wizji.

32. PRZEBUDZENIE

Gdy się ocknął, przedmioty wokół wydały mu się tylko dalszym ciągiem snu. Sądził, że jest w grobowcu, do którego wkradał się jak litościwe spojrzenie słaby promień słońca; wyciągnął rękę i trafił na kamień; usiadł; owinięty w pelerynę spoczywał na pachnącym i miękkim posłaniu z gałązek wrzosów.

Wizja znikła — gdy się obudził, posągi rozpłynęły się w nicości, jakby były tylko cieniami, które wymknęły się z grobów na czas jego snu. Postąpił kilka kroków tam, skąd przezierał promień; po burzliwych snach nastała spokojna rzeczywistość. Stwierdził, że jest w grocie, podszedł do wyjścia i ujrzał przez półkolisty otwór błękitne niebo i lazurowe morze. Powietrze i woda złociły się w porannym słońcu; nad brzegiem siedzieli marynarze, gwarzyli i śmiali się; dziesięć kroków dalej na kotwicy kołysała się wdzięcznie łódź.

Przez chwilę rozkoszował się świeżym podmuchem bryzy; słuchał dalekiego szumu fal, które, rozbijając się o brzeg, pozostawiały na nich srebrną koronkę piany; bez zastanowienia, nie myśląc zupełnie, poddał się temu boskiemu czarowi, jaki znaleźć można w naturze, szczególnie gdy wychodzimy z fantastycznego snu; stopniowo to życie zewnętrzne, tak spokojne, czyste i wzniosłe, uświadomiło mu całą niedorzeczność jego snu i w pamięci ukazały mu się wspomnienia.

Przypomniał sobie przybycie na wyspę, wizytę u herszta przemytników, podziemny pałac pełen bogactw, wyborną wieczerzę i łyżeczkę haszyszu.

Ale wobec rzeczywistości rozjaśnionej blaskiem dnia, wydawało mu się, że wszystko to wydarzyło się najmniej przed rokiem, tak żywa była w jego pamięci owa wizja i tak ważne miejsce zajęła w jego umyśle. A i wyobraźnia ukazywała mu wciąż jedną z tych postaci, których pocałunki usiały mu noc gwiazdami — jak siadała wśród marynarzy, przemykała się wśród skał, kołysała się na łodzi. Poza tym czuł się niezwykle wypoczęty,

[576] *Fryne* (IV w. p.n.e.) — słynna hetera (tj. kurtyzana gr.) z Aten, znana z licznych staroż. anegdot; wg jednej z nich kiedy oskarżoną o bezbożność Fryne postawiono przed sądem, broniący jej mówca Hyperejdes miał odsłonić jej piersi, apelując do sędziów, aby darowali życie pięknej „kapłance Afrodyty", czym uzyskał jej uniewinnienie. [przypis edytorski]

[577] *Kleopatra*, właśc. *Kleopatra VII Filopator* (69–30 p.n.e.) — ostatnia królowa Egiptu, słynna z urody i uroku osobistego; była kochanką rzymskiego polityka i wodza Gajusza Juliusza Cezara (100–44 p.n.e.), a po jego śmierci kochanką jego bliskiego współpracownika Marka Antoniusza (83–30 p.n.e.); po jej śmierci Egipt został przyłączony do imperium rzymskiego. [przypis edytorski]

[578] *Mesalina*, właśc. *Valeria Messalina* (ok. 17–48) — trzecia żona rzymskiego cesarza Klaudiusza, znana z licznych kochanków i skandali miłosnych; za spisek przeciwko mężowi skazano ją na śmierć i usunięcie z pamięci publicznej (tzw. *damnatio memoriae*); stała się w tradycji europejskiej symbolem rozwiązłości. [przypis edytorski]

[579] *Prorok* — tj. Mahomet, prorok islamu. [przypis edytorski]

myśl pracowała ze zwykłą szybkością, głowa mu nie ciążyła — wręcz przeciwnie, miał doskonałe samopoczucie, cieszył się słońcem i powietrzem bardziej niż kiedykolwiek.

Zbliżył się wesół do majtków.

Zobaczywszy go, zerwali się, a Gaetano podszedł ku niemu.

— Wielmożny pan Sindbad — rzekł — polecił nam przekazać ekscelencji wyrazy poważania; wyraża żal, że nie mógł się z nim pożegnać; ma jednak nadzieję, że jaśnie pan mu to wybaczy, dowiedziawszy się, że ważne sprawy wezwały go na Malagę.

— Mój kochany Gaetano, więc to wszystko nie był sen, ale rzeczywistość? Więc istnieje człowiek, który mnie po królewsku przyjął na tej wyspie i gdym zasnął, odjechał?

— Pewnie, że istnieje — oto jego jacht, oddala się właśnie pod pełnymi żaglami. Jeżeli wielmożny pan zechce wziąć lunetę, rozpozna go pan niewątpliwie na pokładzie.

To mówiąc, Gaetano wskazał ręką stateczek płynący ku południowemu przylądkowi Korsyki. Franz dobył lunetę, przyłożył do oka i spojrzał we wskazaną stronę.

Gaetano nie mylił się. Na rufie stał tajemniczy cudzoziemiec, zwrócony twarzą ku wyspie, także z lunetą w ręku; był ubrany tak samo, jak wczoraj i powiewał w powietrzu chustką na znak pożegnania.

Franz wyjął chustkę i pomachał mu w odpowiedzi. Po chwili lekki obłoczek dymu uniósł się nad rufą, oderwał się wdzięcznie i wzniósł ku niebu; do Franza dobiegł daleki odgłos wystrzału.

— Proszę bardzo! Słyszy pan? — rzekł Gaetano. — Właśnie pana żegna.

Młodzieniec chwycił sztucer i wystrzelił, nie spodziewając się jednak, aby odgłos tego strzału mógł dojść do jachtu.

— Co ekscelencja rozkaże? — zapytał Gaetano.

— Zapal mi jaką pochodnię.

— Aha, rozumiem: żeby poszukać wejścia do tego zaczarowanego pałacu. Życzę przyjemności jaśnie panu, jeżeli bawi to pana, już szykuję pochodnię. Mnie też kiedyś opętała ta myśl i nawet parę razy poddałem się jej; ale w końcu zrezygnowałem. Giovanni! Zapal pochodnię i podaj ekscelencji!

Giovanni wykonał rozkaz. Franz wziął pochodnię do ręki i wszedł do groty, mając ze sobą Gaetana.

Rozpoznał miejsce, na którym niedawno się przebudził; wrzosy były jeszcze pogniecione; ale na próżno oświetlał pochodnią ściany groty, nie zauważył niczego, poza okopconymi śladami, które świadczyły, że wielu przed nim czyniło te same wysiłki.

A przecież nie pominął ani piędzi tej granitowej ściany, równie nieprzeniknionej jak przyszłość; nie dostrzegł tam jednej szpary, w którą byłby w stanie wsunąć ostrze kordelasa; nie pominął ani jednego więcej wystającego punktu, naciskał je wszystkie, w nadziei, że któryś ustąpi; wszystko jednak było daremne — na bezowocnych poszukiwaniach strawił dwie godziny.

W końcu więc ich poniechał; Gaetano triumfował.

Gdy Franz wrócił na plażę, jacht wydawał się już tylko drobnym białym punktem na horyzoncie; uciekł się znowu do pomocy lunety, ale nawet wtedy nie był już w stanie nic dojrzeć.

Gaetano przypomniał mu wtedy, że przybył tu właściwie na polowanie, o czym zupełnie zapomniał. Franz wziął fuzję i puścił się w głąb wyspy z miną człowieka, który wypełnia raczej obowiązek, niż cieszy się przyjemnością, i w ciągu kwadransa zabił jedną kozę i dwa koźlęta. Ale kozice, choć dzikie i szybkie jak gazele, były nazbyt podobne do naszych domowych kóz i Franz nie patrzył na nie jak na zwierzynę godną myśliwego.

Zresztą zajmowały go zupełnie inne myśli, o ileż ważniejsze. Od wczoraj był bohaterem baśni z *Tysiąca i Jednej Nocy* i jakaś nieprzezwyciężona siła przyciągała go do groty.

I mimo że pierwsze przeszukanie nie doprowadziło do niczego, podjął je na nowo, nakazawszy Gaetanowi upiec jedno z koźląt. Druga wyprawa potrwała dość długo: gdy powrócił, koźlę było upieczone, a śniadanie gotowe.

Franz zasiadł do śniadania w tym samym miejscu, gdzie wczoraj otrzymał zaproszenie do tajemniczego pana groty, i dostrzegł jeszcze kołyszący się jak mewa na fali mały jacht, który posuwał się ciągle w stronę Korsyki.

— Ale — rzekł do Gaetana. — Mówiłeś mi przecie, że pan Sindbad miał popłynąć do Malagi, ja zaś widzę, że płynie do Porto Vecchio.

— A jaśnie pan nie pamięta — odrzekł Gaetano — jak mówiłem, że w załodze jachtu jest dwóch bandytów korsykańskich?

— Prawda! I wysadzi ich na ląd?

— Naturalnie. O, to jest człowiek — wykrzyknął Gaetano — który nie boi się ani Boga, ani ludzi, jak mówią; gotów zboczyć z drogi nawet pięćdziesiąt mil, aby wyświadczyć przysługę jakiemuś biedakowi.

— Takie przysługi mogą go przecież poróżnić z władzami kraju, w którym uprawia podobną filantropię.

— E, co go obchodzą jakieś władze — roześmiał się Gaetano. — On sobie z nich kpi! Niech go tylko spróbują doścignąć! Jego jacht to nie okręt, to ptak! Gdy fregata[580] zrobi dwanaście węzłów, on zrobi o trzy więcej; wreszcie w razie potrzeby, gdzie by tylko nie wylądował, czyż wszędzie nie znajdzie przyjaciół?

W całej tej historii jedno było tylko jasne: jego ekscelencja Sindbad, gospodarz Franza, miał zaszczyt utrzymywać bliskie stosunki ze wszystkimi przemytnikami i bandytami na całym Morzu Śródziemnym; co, rzecz jasna, dość osobliwą dawało mu pozycję.

Franza nic już teraz nie zatrzymywało na Monte Christo, stracił wszelką nadzieję odkrycia sekretu groty; pospieszył więc ze śniadaniem, ludziom zaś nakazał, aby trzymali łódź w pogotowiu, odpłyną bowiem zaraz po śniadaniu.

Pół godziny później był już na pokładzie.

Spojrzał ostatni raz w stronę jachtu: właśnie wpływał do zatoki Porto Vecchio.

Dał sygnał, by odbijano od brzegu.

W chwili gdy ruszali, jacht zniknął z oczu.

Wraz z nim zatarła się już zupełnie rzeczywistość poprzedniej nocy — wieczerza, Sindbad, haszysz i posągi, wszystko zaczęło stapiać się dla Franza w sen.

Barka płynęła cały dzień i noc, tak że nazajutrz, gdy słońce wzeszło, zniknęła z kolei sprzed oczu wyspa Monte Christo.

Gdy tylko Franz stanął na ziemi, zapomniał — na chwilę przynajmniej — minione przygody, musiał bowiem dopiąć na ostatni guzik wszystkie sprawy we Florencji, dotyczące zarówno rozrywek, jak i obowiązków towarzyskich, które musiał zakończyć przed wyjazdem do Rzymu, gdzie czekał na niego przyjaciel.

Wyjechał wreszcie i w sobotę wieczorem wysiadł z dyliżansu pocztowego na placu de la Douane.

Jak już mówiliśmy, apartament był już zamówiony; należało więc tylko udać się do hotelu pana Pastriniego, ale nie było to rzeczą łatwą, bo na ulicach były tłumy i Rzym wrzał od owego rozgorączkowania, które poprzedza zawsze wielkie chwile. Owóż w Rzymie świętuje się corocznie cztery wielkie wydarzenia: Karnawał, Wielki Tydzień, Boże Ciało i dzień Świętego Piotra[581].

Poza tym cały rok miasto spoczywa w głębokiej apatii, w owym pośrednim stanie między życiem a śmiercią, co sprawia, że Rzym zdaje się przypominać stację po drodze z tego na tamten świat; stację wspaniałą, pełną poezji i wyrazu — do tego stopnia, że Franz zatrzymywał się tu już piąty czy szósty raz i za każdym znajdował to miasto jeszcze cudowniejsze i jeszcze bardziej fantastyczne.

Udało mu się na koniec przedrzeć przez rosnący i coraz bardziej rozgorączkowany tłum i dotrzeć do hotelu. Na pierwsze pytanie odpowiedziano mu z impertynencją[582] właściwą dorożkarzom lub oberżystom, którzy mają komplet w zajeździe, że nie ma już miejsc w Hotelu Londyńskim. Posłał więc kartę wizytową panu Pastriniemu i powołał się na Alberta. Ten środek odniósł właściwy skutek, bo przybiegł we własnej osobie pan Pastrini, przepraszając, że pozwolił czekać jaśnie panu, łajając hotelowych; wreszcie wydarł świecę z ręki cicerona, który zdążył już zawładnąć podróżnym, i już chciał prowadzić go do Alberta, gdy ten wyszedł właśnie na jego spotkanie.

---

[580] *fregata* — wielki żaglowiec, posiadający od trzech do pięciu masztów z ożaglowaniem rejowym oraz nawet do sześciu pięter żagli. [przypis edytorski]

[581] *dzień Świętego Piotra* — w Rzymie obchodzono wtedy dwa święta związane ze św. Piotrem: pamiątkę objęcia przez niego tronu papieskiego (18 stycznia) i uroczystość św. Piotra i Pawła (29 czerwca) na cześć ich męczeństwa. [przypis edytorski]

[582] *impertynencja* — obraźliwe zachowanie lub wypowiedź. [przypis edytorski]

Wynajęty apartament składał się z dwóch pokoików i alkowy. Dwa pokoje wychodziły na ulicę; okoliczność tę pan Pastrini podkreślał jako szczególnie ważną, a wręcz nieoszacowaną. Resztę pokoi na piętrze wynajmowała jakaś niezwykle bogata osobistość, pochodząca z Sycylii lub Malty; hotelarz sam nie potrafił powiedzieć, jakiej narodowości był ów podróżny.

— Wspaniale, mistrzu Pastrini — rzekł Franz — ale chcielibyśmy zjeść zaraz jakąś kolację, a na jutro i na następne dni będzie nam potrzebny powóz.

— Kolacja — odparł hotelarz — będzie podana natychmiast, ale jeśli idzie o powóz...

— Jak to, jeśli idzie o powóz! — zawołał Albert. — Chwileczkę, chwileczkę, proszę nie żartować, panie Pastrini! Musimy mieć powóz.

— Proszę pana, zrobimy wszystko, co tylko można. Tylko tyle mogę przyrzec.

— A kiedy dostaniemy odpowiedź? — spytał Franz.

— Jutro rano.

— Do diabła! — obruszył się Albert. — Zapłacimy drożej i tyle: wiadomo, że Drake i Aaron biorą w powszedni dzień po dwadzieścia pięć franków, w niedzielę zaś i święta po trzydzieści albo trzydzieści pięć franków; dodaj pan jeszcze pięć porękawicznego[583], razem będzie czterdzieści dziennie i nie mówmy o tym więcej.

— Obawiam się szczerze, że panowie nawet za podwójną cenę nie znajdą powozu.

— To niech zaprzęgną konie do mojego powozu, jest wprawdzie trochę odrapany z drogi, ale to nieważne.

— Nie dostanie się koni.

Albert spojrzał na Franza, jakby nie mógł pojąć odpowiedzi.

— Rozumiesz to, Franz? — zapytał. — Nie dostanie się koni! A czy nie można dostać koni pocztowych?

— Wszystkie wynajęte już od dwóch tygodni i zostały tylko te, które są niezbędne.

— I co ty na to, Albercie? — rzekł z kolei Franz.

— A ja na to, że jak coś przechodzi moje pojęcie, nie lubię kłopotać sobie tym głowy i wolę zająć się czym innym. Kolacja już gotowa, mistrzu Pastrini?

— Gotowa, ekscelencjo.

— No to jedzmy!

— Ale co z powozem i końmi?

— Bądź spokojny, kochany przyjacielu, znajdą się same, kiedy wyznaczymy odpowiednią sumę.

I Morcerf, jako wyznawca tej uroczej filozofii, że nic nie jest niemożliwe, póki sakiewka jest pełna, a portfel wypchany, zjadł kolację, położył się spać, zasnął od razu i śnił, że w karnawałowym pochodzie sunie sześciokonnym powozem.

33. BANDYCI RZYMSCY

Nazajutrz Franz obudził się pierwszy i zaraz zadzwonił.

Dźwięk dzwonka jeszcze się nie rozpłynął, gdy już wszedł pan Pastrini.

— I cóż, panowie — rzekł gospodarz z triumfującą miną, nie czekając nawet na pytanie Franza. — Dobrze mi się wczoraj zdawało, ekscelencjo, miałem rację, nic panom nie obiecując. Zabraliście się panowie za to za późno i teraz nie ma już w Rzymie ani jednego powozu do wynajęcia... rozumie się, na trzy ostatnie dni.

— Ach tak — odpowiedział Franz. — To znaczy, że na te dni, kiedy nie można się bez niego obejść.

— O co chodzi? — zapytał Albert, wchodząc. — Nie ma powozu?

— A nie ma, mój drogi — odpowiedział Franz. — Zgadłeś.

— A, do licha z tym waszym ślicznym Wiecznym Miastem!

— To znaczy, ekscelencjo — sprostował pan Pastrini, stając w obronie godności stolicy świata chrześcijańskiego — że nie ma powozu od niedzieli rana aż do wtorku wieczór; ale do tego czasu możecie panowie wynająć ich choćby pięćdziesiąt.

— A, to już coś — rzekł Albert. — Dzisiaj mamy czwartek, kto wie, co się jeszcze do niedzieli stanie?

---

[583] *porękawiczne* — opłata dla pośrednika, przez którego ręce (stąd nazwa) przechodzi transakcja między dwiema innymi osobami. [przypis edytorski]

— Stanie się to, że przyjedzie tu ze dwanaście tysięcy osób — odparł Franz — co uczyni sprawę jeszcze trudniejszą.

— Kochany mój, cieszmy się teraźniejszością — zawołał Albert — i nie przygnębiajmy się przyszłością.

— A czy będziemy mieli choć okno na ten czas? — zagadnął Franz.

— W którym miejscu?

— W takim, żebyśmy mogli, do diabła, oglądać pochód!

— O, okno! — zawołał pan Pastrini. — Ależ to niemożliwe, niemożliwe do niemożliwości! Było jeszcze jedno okno wolne na piątym piętrze w pałacu Doria[584], ale wynajął je jakiś rosyjski książę za dwadzieścia cekinów[585] dziennie.

Młodzi podróżni spojrzeli po sobie zdumieni.

— No wiesz, kochany Albercie — rzekł Franz — co najlepiej w takim wypadku wypada nam zrobić? Pojechać do Wenecji i tam spędzić karnawał; choćbyśmy tam nie mogli dostać powozu, to przynajmniej dostaniemy gondolę[586].

— O nie! Nie, do licha! — zawołał Albert. — Postanowiłem zobaczyć pochód w Rzymie i zobaczę, choćbym miał chodzić na szczudłach.

— Hej — wykrzyknął Franz — świetny pomysł! Zwłaszcza że można by wtedy łatwo gasić *moccoletti*[587]; poprzebieramy się za poliszynelów[588] albo mieszkańców bagien i dopiero odniesiemy sukces!

— Czy jaśnie panowie życzą sobie powóz na tych kilka dni do niedzieli?

— Do licha! — rzekł Albert. — Myślisz pan, że będziemy biegać po Rzymie jak woźni[589] sądowi?

— Spieszę wykonać rozkazy panów — odparł imć Pastrini. — Uprzedzam jednak, że powóz kosztować będzie sześć piastrów dziennie.

— A ja, kochany panie Pastrini — odpowiedział Franz — ja, który nie jestem milionerem jak nasz sąsiad, uprzedzam, że przyjeżdżam do Rzymu już czwarty raz i znam doskonale ceny powozów wynajmowanych na niedzielę, święta i dni powszednie. Damy i panu dwanaście piastrów za dzień dzisiejszy, jutro i pojutrze, a i tak wpadnie ci ładna sumka.

— Ależ, ekscelencjo!... — próbował oburzyć się imć Pastrini.

— Dobrze, dobrze, drogi gospodarzu — rzekł Franz — bo inaczej ja sam ugodzę się o cenę z twoim *affettatore*[590], który jest też i moim; to mój stary przyjaciel, naciągał mnie już nieraz, a w nadziei, że mnie jeszcze kiedyś będzie mógł pookradać, ułoży się za mniejszą cenę niż ta, którą panu proponuję: stracisz pan zarobek i to z własnej winy.

— Niech się ekscelencja nie trudzi — odrzekł imć Pastrini z uśmiechem włoskiego szulera[591], który przyznaje, że przegrał sprawę. — Postaram się załatwić wszystko jak najlepiej i mam nadzieję, że będziecie panowie zadowoleni.

— Wybornie, oto, co się nazywa mówić do rzeczy.

— Na kiedy życzą sobie panowie powóz?

— Za godzinę.

— Za godzinę będzie czekał przed bramą.

I w rzeczy samej, po godzinie powóz czekał już na młodzieńców: była to skromna dorożka, podniesiona do rangi powozu jedynie z racji uroczystości; jakkolwiek powierzchowność ekwipażu nie była zachwycająca, młodzieńcy jednak byliby szczęśliwi, gdyby udało im się znaleźć podobny na ostatnie trzy dni karnawału.

---

[584]*pałac Doria*, właśc. *Palazzo Doria Pamphilj* — największy rzym. pałac. [przypis edytorski]

[585]*cekin* — daw. złota moneta wł., bita od XIII w. w Wenecji, nazywana później dukatem. [przypis edytorski]

[586]*gondola* — rodzaj weneckiej łódki, służącej do poruszania się miejskimi kanałami. [przypis edytorski]

[587]*moccoletti* a. *moccoli* — z wł.: świece; z okazji ostatniego dnia karnawału odbywała się świąteczna gra polegająca na wzajemnym zdmuchiwaniu świec (wygrywała osoba, której najdłużej udało się utrzymać swój płomień). [przypis edytorski]

[588]*poliszynel* — postać z włoskiej *commedia dell'arte*, złośliwy gbur, prześmiewca, zwykle przedstawiany jako garbus z kogucim piórem na kapeluszu. [przypis edytorski]

[589]*woźny* — tu: pracownik sądowy pośredniczący pomiędzy stronami sporu oraz między sądem a stronami, zajmujący się m.in. dostarczaniem pozwów, ściąganiem zasądzonych kar, dokonywaniem aresztowań. [przypis edytorski]

[590]*affettatore* (wł., daw.) — ktoś ukochany. [przypis edytorski]

[591]*szuler* — osoba grająca w gry hazardowe nałogowo, a przy tym nieuczciwie. [przypis edytorski]

— Ekscelencjo! — zawołał *cicerone*, spostrzegłszy Franza w oknie. — Czy zajechać karetą przed pałac?

Lubo[592] Franz był już dość przyzwyczajony do włoskiej emfazy[593], rozejrzał się mimowolnie w jedną i drugą stronę; ale te słowa były zwrócone rzeczywiście do niego: Franz okazał się ekscelencją, dorożka — karetą, pałacem — Hotel Londyński. W tym jednym zdaniu objawił się w całości geniusz pochlebstwa cechujący Włochów.

Franz i Albert zeszli na dół. Kareta zajechała przed pałac. Ekscelencje wyciągnęli się w powozie, opierając nogi o przednie siedzenie, *cicerone* wskoczył na tył powozu.

— Dokąd ekscelencje każą się zawieźć?

— Naturalnie do Świętego Piotra, a potem do Koloseum — rzekł Albert jako prawdziwy paryżanin.

Ale Albert nie wiedział jednej rzeczy: że aby obejrzeć katedrę Świętego Piotra[594], trzeba co najmniej jeden dzień, a żeby poznać ją dokładnie, należy poświęcić cały miesiąc: cały dzień zszedł im przeto na zwiedzaniu katedry.

Nagle spostrzegli, że słońce chyli się ku zachodowi.

Franz wyjął zegarek — było już wpół do piątej.

Wrócili zatem do hotelu. Franz zamówił dorożkarza na ósmą. Chciał pokazać Albertowi Koloseum w świetle księżyca, podobnie jak katedrę pokazywał w blasku słońca. Kiedy chcemy pokazać przyjacielowi miasto, które już znamy dobrze sami, czynimy to z taką kokieterią, z jaką byśmy przedstawiali mu kochankę.

Toteż Franz wyznaczył dorożkarzowi trasę: miał wyjechać przez bramę del Popolo, dalej podążyć wzdłuż murów miejskich i wrócić bramą San Giovanni. Tym sposobem Koloseum ukaże się przed nimi nagle; tak aby nie osłabiły tego wrażenia Kapitol[595], Forum, łuk Septyma Sewera[596], świątynia Antonina i Faustyny[597] oraz Via Sacra[598].

Zasiedli do stołu; pan Pastrini przyrzekł im wyborną ucztę; dał tylko niezły obiad, ale trudno mu przecież było coś powiedzieć.

Pod koniec posiłku wszedł gospodarz. Franz pomyślał z początku, że przyszedł wysłuchać komplementów i już szykował jeden, gdy pan Pastrini przerwał:

— Wielmożny panie, pochlebia mi, że zasłużyłem na pańskie zadowolenie, ale przyszedłem tu w innej sprawie.

— A więc może w tej, że znalazłeś nam pan powóz? — zapytał Albert, zapalając cygaro.

— Nie; i wielmożni panowie zrobiliby najlepiej, gdyby przestali już o tym myśleć i pogodzili się z koniecznością. W Rzymie są rzeczy możliwe i niemożliwe do osiągnięcia. A jeżeli się mówi, że to się nie da zrobić, to już przepadło.

— No, to w Paryżu jest dużo lepiej: kiedy czegoś nie można, płaci się dwa razy tyle i ma się w sekundę to, czego się pragnie.

— Wszyscy Francuzi tak mówią — rzekł pan Pastrini nieco urażony. — Tylko nie rozumiem, po co się w ogóle wybierają w podróż.

— Toteż — odparł Albert, wypuszczając z największą flegmą pod sufit kłęby dymu i kołysząc się na tylnych nogach fotelu — tylko tacy wariaci i głupcy wypuszczają się w podróż; ludzie rozsądni siedzą spokojnie w swoich pałacach przy ulicy Helderskiej, na bulwarze Gandawskim albo w Café de Paris.

---

[592] *lubo* (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

[593] *emfaza* — przesadnie emocjonalny sposób wypowiadania się. [przypis edytorski]

[594] *katedra Świętego Piotra*, właśc. *Bazylika św. Piotra* — rzymskokatolicka bazylika na Wzgórzu Watykańskim w Rzymie, jedna z największych katedr na świecie, arcydzieło architektury renesansu i baroku. [przypis edytorski]

[595] *Kapitol* — jedno z siedmiu wzgórz Rzymu, będące symbolem miasta. Kapitol stanowił naturalną twierdzę oraz ważne miejsce kultu: na wierzchołku zbudowano świątynię głównych bóstw oraz liczne inne przybytki; u stóp wzgórza znajdowało się archiwum państwowe. [przypis edytorski]

[596] *łuk Septyma Sewera* — łuk triumfalny na Forum Romanum, wzniesiony w 203 n.e. na cześć cesarza Septymiusza Sewera i jego dokonań militarnych. [przypis edytorski]

[597] *świątynia Antonina i Faustyny* — rzym. świątynia wzniesiona w 141 n.e. na rozkaz cesarza Antonina Piusa ku czci jego zmarłej żony Faustyny. [przypis edytorski]

[598] *Via Sacra* — główna ulica staroż. Rzymu, prowadząca przez Forum Romanum na Kapitol. [przypis edytorski]

Rozumie się samo przez się, że Albert mieszkał na wzmiankowanej ulicy, wychodził co dzień na przechadzkę tam, gdzie bywa modny światek i jadał regularnie obiady w jedynej kawiarni, w której można dostać obiad, jeśli się ma dobre układy z kelnerami.

Pan Pastrini milczał przez chwilę; widocznie rozmyślał nad powyższą odpowiedzią, która nie zdawała mu się zbyt zrozumiała.

— Ale przecież — rzekł Franz, przerywając geograficzne rozmyślania gospodarza — musiałeś pan przyjść tu w jakimś celu; może wyjawisz nam powód swoich odwiedzin?

— Ach, tak, w istocie. Wszak panowie kazaliście zajechać na ósmą?

— Istotnie.

— Macie panowie zamiar zwiedzić *il Colosseo*?

— To znaczy Koloseum? Niech i tak będzie.

— I kazali panowie fiakrowi wyjechać z miasta przez bramę del Popolo, objechać z zewnątrz mury i wjechać przez bramę San Giovanni?

— Tak, powtórzył pan co do słowa.

— A więc ta trasa jest wykluczona.

— Wykluczona?!

— A co najmniej bardzo niebezpieczna.

— Niebezpieczna? A to dlaczego?

— Z powodu sławnego Luigiego Vampy.

— Po pierwsze, drogi panie Pastrini, zechciej nam powiedzieć, co to za jeden, ten słynny Luigi Vampa? — zapytał Albert. — Być może to bardzo sławny człowiek w Rzymie, ale zapewniam, że w Paryżu o nim nic nie wiedzą.

— Jak to, więc panowie go nie znacie?

— Nie mam tego zaszczytu.

— I nigdy panowie o nim nie słyszeli?

— Przenigdy.

— O, to bandyta, przy którym Deseraris i Gasparone[599] to niewinni ministranci.

— Uwaga, Albercie — wykrzyknął Franz — wreszcie mamy bandytę!

— Uprzedzam cię, szanowny panie gospodarzu, że nie uwierzę w ani jedno twoje słowo. A teraz, skorośmy to już ustalili, mów, co ci się podoba, chętnie posłucham. „Pewnego razu był sobie..." No, dalej, niech pan mówi!

Pan Pastrini zwrócił się do Franza, który wydawał mu się rozsądniejszy niż jego przyjaciel. Trzeba poczciwcowi oddać sprawiedliwość — choć gościł w swoim życiu wielu Francuzów, nigdy nie mógł pojąć niektórych aspektów ich rozumowania.

— Wielmożny panie — rzekł z niezwykłą powagą, zwracając się, jakeśmy powiedzieli, do Franza — jeżeli uważacie mnie panowie za kłamcę, to nie ma potrzeby, bym mówił o tym, z czym przyszedłem; mogę jednak zapewnić panów, że to jedynie w panów interesie.

— Albert nie powiedział, że jesteś pan kłamcą, kochany panie Pastrini — rzekł Franz. — Powiedział tylko, że ci nie uwierzy, to wszystko. Ale ja panu uwierzę, proszę się uspokoić i mówić.

— Jednak Wasza Wielmożność sam rozumie: gdy ktoś podważa moją prawdomówność...

— Kochany panie, jesteś bardziej drażliwy niż Kassandra[600], która była wieszczką, a której nikt nie słuchał! Ty zaś możesz być pewien uwagi przynajmniej połowy audytorium. No więc siadaj pan i opowiadaj o tym Vampie.

— Powtarzam panu, że to bandyta, jakich tu nie było od czasu sławnego Mastrilla.

— Świetnie, ale co ma wspólnego ten bandyta z drogą, jaką wskazałem woźnicy?

— Ma, i to dużo, bo możecie panowie wyjechać jedną bramą, ale wątpię, czy wrócicie drugą.

— A to dlaczego? — zapytał Franz.

— Bo skoro tylko nadchodzi noc, o pięćdziesiąt kroków za bramą nikt nie jest bezpieczny.

---

[599] *Gasparone* — przemytnik, tytułowy bohater opery Carla Millöckera. [przypis edytorski]

[600] *Kassandra* a. *Kasandra* (mit. gr.) — córka Priama, obdarzona przez Apollina umiejętnością jasnowidzenia, ale również przekleństwem, że jej przepowiedniom nikt nie będzie wierzył. [przypis edytorski]

— Przysięgasz? — zawołał Albert.

— Panie hrabio — rzekł imć Pastrini, nadal zraniony wątpliwościami wyrażonymi przez Alberta co do jego prawdomówności — to co mówię, nie jest przeznaczone dla pana, ale dla pańskiego przyjaciela, który zna Rzym doskonale i wie, że z takimi rzeczami nie ma bynajmniej żartów.

— Mój kochany — zwrócił się Albert do Franza. — Oto mamy wspaniałą przygodę, wszystko tylko na nas czeka: napychamy nasz powóz pistoletami, garłaczami[601] i dubeltówkami. Luigi Vampa napada na nas, a tymczasem to my go bierzemy w niewolę. Zabieramy go do Rzymu, ofiarujemy jako daninę Jego Świątobliwości, a Jego Świątobliwość pyta, jak nam się może odwdzięczyć za tak ważną przysługę. Wówczas skromnie i z prostotą poprosimy o karetę i parkę koni z papieskiej stajni i oto oglądamy sobie karnawał w Rzymie z przepysznego powozu; nie licząc tego, że wdzięczny lud rzymski uwieńczy nas najprawdopodobniej na Kapitolu i obwoła nas jak Kurcjusza[602] i Horacjusza Koklesa zbawcami ojczyzny.

Kiedy Albert snuł przed nimi tę wizję, oblicze pana Pastriniego przybrało wyraz, którego niepodobna opisać.

— A skądże weźmiesz tyle pistoletów, garłaczy i dubeltówek, którymi masz zamiar naładować nasz powóz? — zapytał Franz.

— Cóż, fakt, że na pewno nie z mojego arsenału — odparł Albert — w Terracina[603] zabrali mi nawet sztylet.

— A mnie to samo zrobili w Aqua-Pendente[604].

— Ach, drogi panie gospodarzu, wiesz pan co — rzekł Albert, zapalając drugie cygaro od niedopałka — to niezmiernie wygodne rozporządzenie dla bandytów, a może też obie strony czerpią z tego zysk?

Panu Pastriniemu ów żart musiał się wydać niestosowny, odpowiedział bowiem tylko w połowie i to zwracając się do Franza jako do człowieka rozumnego, z którym można się jakoś dogadać.

— Pan hrabia wie zapewne, że nie ma u nas zwyczaju bronić się, kiedy napadną na nas bandyci.

— Jak to! — zawołał Albert, który jako człowiek odważny oburzał się na samą myśl, że można dać się obrabować bez żadnych protestów. — Jak to nie ma zwyczaju?

— Tak, bo wszelka obrona będzie daremna. Jak możesz się pan obronić przeciw dwunastu ludziom, którzy nagle wyskakują z rowu, spod jakiejś rudery albo akweduktu i wszyscy naraz do pana mierzą?

— Do wszystkich diabłów, a niechby mnie i zabili! — zawołał Albert.

Hotelarz spojrzał na Franza z miną, która wyraźnie mówiła: „Zdecydowanie, ekscelencjo, pański towarzysz zwariował".

— Kochany Albercie — rzekł Franz — twoja odpowiedź jest wspaniała i godna „niech umrze" starego Corneille'a[605], tylko że kiedy Horacjusz to mówił, szło o losy Rzymu i ryzyko było warte świeczki. Ale tu chodzi tylko o zaspokojenie kaprysu i byłoby śmieszne, gdybyśmy dla kaprysu mieli narażać życie.

— Ach, *per Bacco*![606] — zawołał pan Pastrini. — To się nazywa mówić rozsądnie!

Albert nalał sobie szklankę Lakrima Christi[607] i popijał drobnymi łykami, mrucząc coś niezrozumiale pod nosem.

— Teraz, panie Pastrini — rzekł Franz — gdy mój przyjaciel się nieco uspokoił, a pan oceniłeś dostatecznie moje pokojowe nastawienie, powiedzże nam, kto to taki, ten Luigi

---

[601] *garłacz* — odprzodowa broń palna o lufie rozszerzonej u wylotu. [przypis edytorski]

[602] *Kurcjusz*, właśc. *Marcus Curtius* — legendarny rzym. bohater, który poświęcił swoje życie, by uratować Rzym przed zwiastowanym przez kapłanów niebezpieczeństwem. [przypis edytorski]

[603] *Terracina* — miejscowość w śr. Włoszech, w regionie Lacjum. [przypis edytorski]

[604] *Aqua-Pendente*, właśc. *Acquapendente* — miejscowość w śr. Włoszech, w regionie Lacjum. [przypis edytorski]

[605] *„niech umrze" starego Corneille'a* — nawiązanie do tragedii fr. dramatopisarza Pierre'a Corneille'a (1606–1684) pt. *Horacjusz*. [przypis edytorski]

[606] *per Bacco!* — na Bachusa!; Bachus: bóg wina czczony w starożytnym Rzymie i odpowiednik gr. Dionizosa. [przypis edytorski]

[607] *Lakrima Christi*, właśc. *Lacrima Christi* (łac.: łzy Chrystusa) — białe, neapolitańskie wino. [przypis edytorski]

Vampa? Pasterz czy patrycjusz?[608] Młody czy stary? Niski czy wysoki? Odmaluj go nam, żebyśmy mogli go rozpoznać jak Jana Sbogara[609] albo Larę[610], natykając się na niego w salonie.

— Nie mógł pan lepiej trafić, by poznać wszystkie szczegóły, bo znałem go, jeszcze gdy był dzieckiem. Razu jednego nawet wpadłem w jego ręce, idąc z Ferentino do Alatrii[611]. Szczęściem przypomniał mnie sobie i nie tylko wypuścił mnie, nie żądając okupu, ale podarował mi piękny zegarek i opowiedział mi historię swego życia.

— Pokaż no pan ten zegarek — rzekł Albert.

Pan Pastrini dobył z kieszeni prześliczny zegarek firmy Breguet[612] z wygrawerowanym nazwiskiem mistrza, stemplem paryskim i hrabiowską koroną.

— Proszę bardzo.

— Do krocset[613]! — wykrzyknął Albert. — Winszuję[614] panu. Mam bardzo podobny — tu wyjął swój zegarek z kamizelki — a kosztował mnie trzy tysiące franków.

— No, posłuchajmy teraz historii — rzekł Franz, przysuwając fotel i zachęcając pana Pastriniego, by usiadł.

— Ekscelencje pozwolą?... — zapytał hotelarz.

— Do licha — rzekł Albert — przecież pan nie jesteś kaznodzieją[615], żebyś miał mówić na stojąco.

Hotelarz siadł, pokłoniwszy się najpierw z szacunkiem każdemu ze swoich słuchaczy.

— Ale chwileczkę — przerwał Franz, gdy Pastrini otwierał już usta. — Mówiłeś pan, że znałeś Vampę jeszcze jako dziecko, więc to chyba młody człowiek?

— Chyba młody! Oczywiście, ma najwyżej dwadzieścia dwa lata! O, ten niecnota może jeszcze daleko zajść, niech pan będzie spokojny!

— Co ty na to, Albercie? Piękna to rzecz, zyskać sobie taką sławę już w tym wieku — rzekł Franz.

— Tak, pewnie; w jego wieku Aleksander[616], Cezar[617] czy Napoleon, którzy narobili potem sporo hałasu, nie zaszli jeszcze tak daleko jak on.

— Tak więc — zwrócił się Franz do hotelarza — bohater, którego historię mamy poznać, ma tylko dwadzieścia dwa lata?

— Tak, a i to niespełna, jak już miałem zaszczyt panom powiedzieć.

— Jakiego wzrostu?

— Średniego, mniej więcej takiego, jak jaśnie pan — rzekł hotelarz, wskazując Alberta.

— Dziękuję za porównanie — odpowiedział Albert z głębokim ukłonem.

— Mów pan dalej, mości Pastrini — zachęcał Franz, uśmiechając się wobec drażliwości przyjaciela. — Z jakiej klasy społecznej się wywodzi?

— Był to sobie ni mniej ni więcej pastuszek z folwarku hrabiego San Felice położonego między Palestriną[618] i jeziorem Gabri. Urodził się w Pampinarze i w piątym roku życia oddano go na służbę do hrabiego; ojciec jego, także pastuch w Anagni, miał własną niewielką trzodę i utrzymywał się ze sprzedaży w Rzymie wełny i mleka.

Jeszcze jako dziecko Vampa wykazywał dziwny charakter. Pewnego razu, kiedy miał zaledwie siedem lat, przyszedł do proboszcza z Palestriny i prosił, by nauczył go czytać.

---

[608] *pasterz czy patrycjusz?* — osoba z nizin czy wyżyn społecznych? [przypis edytorski]

[609] *Jan Sbogar* — tytułowy bohater powieści Charlesa Nodiera (1780–1844), iliryjski bandyta i wenecki szlachcic. [przypis edytorski]

[610] *Lara* — hrabia, tytułowy bohater poematu lorda Byrona (1788–1824), który w podróży powrotnej ze Wschodu musi stawić czoło wielu przeciwnościom. [przypis edytorski]

[611] *Ferentino, Alatria* — miejscowości w Lacjum. [przypis edytorski]

[612] *Breguet* — firma założona w 1775 r. w Paryżu, produkująca wysokiej jakości, ekskluzywne zegarki kieszonkowe, wyróżniające się dokładnością. [przypis edytorski]

[613] *do krocset* — w domyśle: diabłów; rodzaj wykrzyknienia; analogicznie: „do stu diabłów". [przypis edytorski]

[614] *winszować* — gratulować. [przypis edytorski]

[615] *kaznodzieja* — głoszący kazania. [przypis edytorski]

[616] *Aleksander Wielki* a. *Aleksander III Macedoński* (356–323 p.n.e.) — król Macedonii, wybitny wódz; dzięki swoim podbojom utworzył ogromne imperium, które rozpadło się po jego śmierci. [przypis edytorski]

[617] *Cezar*, właśc. *Gaius Julius Caesar* — rzym. dowódca wojskowy, polityk, dyktator i pisarz; członek I triumwiratu; zdobywca Galii; odegrał kluczową rolę w wydarzeniach, które doprowadziły do upadku republiki i początku cesarstwa w państwie rzymskim. [przypis edytorski]

[618] *Palestrina* — miejscowość w Lacjum, daw. Praeneste; znajduje się ok. 35 km na wsch. od Rzymu. [przypis edytorski]

Była to trudna sprawa, bo pastuszek nie powinien opuszczać swojej trzody. Ale poczciwy proboszcz chodził co dzień odprawiać mszę do pobliskiej wioseczki, bo była ona tak uboga, że nie mogła utrzymywać proboszcza, a do tego jeszcze tak mała, że nie miała nawet własnej nazwy i o ludziach stamtąd mówiono po prostu, że są „*del Borgo*[619]". Zaproponował tedy Luigiemu, by spotykali się na drodze, kiedy będzie wracał z „*del Borgo*" i uprzedził, że lekcje będą krótkie i że będzie musiał z nich jak najwięcej skorzystać.

Dzieciak zgodził się z radością.

Co dzień Luigi pędził trzodę drogą z Palestriny do Borgo; co dzień o dziewiątej rano nadchodził proboszcz; siadali razem nad rowem i dziecko uczyło się czytać na brewiarzu.

Po trzech miesiącach nauczyło się czytać.

Ale nie koniec na tym, chciał jeszcze nauczyć się pisać.

Ksiądz poprosił jakiegoś nauczyciela kaligrafii, aby napisał trzy tablice alfabetyczne: jedną pisaną dużymi literami, drugą średnimi i trzecią małymi; i pokazał chłopcu, że żłobiąc te litery żelaznym rylcem[620] na łupku według wzoru, może sam nauczyć się pisać.

Wieczorem, gdy stado znalazło się już w oborze, Vampa pobiegł do palestrińskiego ślusarza, wyklepał sobie u niego duży gwóźdź, zaokraglił go i wypolerował tak, że otrzymał coś na kształt starożytnego rylca.

Nazajutrz zaopatrzył się w łupkowe tabliczki i zabrał się do dzieła.

Po trzech miesiącach umiał już pisać.

Kapłan, zdumiony i uradowany inteligencją i pojętnością chłopca, podarował mu kilka zeszytów, paczkę piór i scyzoryk.

Luigi stanął przed nowym wyzwaniem, ale było ono niczym wobec poprzednich. Po tygodniu tak wprawnie prowadził pióro, jak wcześniej rylec.

Proboszcz opowiedział tę anegdotkę hrabiemu San Felice, a hrabia zapragnął zobaczyć pastuszka; a gdy ten popisał się już swoimi umiejętnościami, hrabia polecił rządcy, by Vampa jadł razem ze służbą pałacową oraz by wypłacano mu dwa piastry miesięcznie.

Za te pieniądze Luigi kupił sobie książki i ołówki.

Istotnie miał szczególną zdolność do odtwarzania wszystkich przedmiotów i — jak niegdyś Giotto w dzieciństwie — rysował na swoich tabliczkach owce, drzewa, domy.

Później, posługując się scyzorykiem, zaczął rzeźbić w drewnie, tworząc z niego rozmaite formy. Od tego zaczynał też i Pinelli[621], ludowy rzeźbiarz.

Dziewczynka, mająca sześć lub siedem lat, to jest nieco młodsza od Vampy, pasła owieczki z folwarku znajdującego się w pobliżu Palestriny; była sierotą z Valmontone, a na imię miała Teresa.

Dzieci spotykały się, siadały koło siebie, rozmawiały, śmiały się i bawiły, podczas gdy pomieszane stada pasły się razem; a wieczorem rozdzielały trzodę hrabiego San Felice od trzody barona Cervetri i żegnały się, by powrócić do swoich folwarków, obiecując sobie jednocześnie, że spotkają się na drugi dzień.

Na drugi dzień dotrzymywały słowa — i spotykały się ponownie; i tak rosły obok siebie.

Vampa miał już lat dwanaście, Tereska — jedenaście.

A tymczasem rozwijały się już ich wrodzone skłonności.

Luigi rozwinął swoje zamiłowanie do sztuk pięknych, jak tylko mógł je rozwinąć, żyjąc w takiej samotności; co do usposobienia — bywał smutny albo unosił się z byle przyczyny, złościł się z lada kaprysu i bez ustanku drwił. Żaden chłopiec z Pampinary, Palestriny czy Valmontone nie zdołał wywrzeć nań nie tylko żadnego wpływu, ale nawet się z nim bliżej zaprzyjaźnić. Obdarzony żelazną wolą, zawsze bardziej skłonny wymagać, sam nigdy nie naginał się do jakichkolwiek wymagań i warunków — taki temperament zniechęcał do okazywania mu przyjaźni czy sympatii. Teresa tylko potrafiła nim rządzić — jedno jej słowo, spojrzenie, ruch powściągały ten wykuty jakby z jednej bryły charakter; uginał się pod dotykiem kobiecej dłoni, podczas gdy każdemu mężczyźnie opierałby się do ostatka.

---

[619] *del Borgo* (wł.) — ze Wsi. [przypis edytorski]

[620] *rylec* — ostre narzędzie służące do żłobienia w twardym materiale (np. w kamieniu, metalu). [przypis edytorski]

[621] *Pinelli, Bartolomeo* (1781–1835) — wł. ilustrator i rytownik; tematem jego dzieł był głównie Rzym, zarówno mu współczesny, jak i antyczny. [przypis edytorski]

Teresa w przeciwieństwie do niego była żywa, wesoła i aż zbyt zalotna. Dwa piastry, które rządca hrabiego wypłacał Luigiemu, a także pieniądze, jakie Luigi otrzymywał, sprzedając w rzymskich kramach z błyskotkami swoje rzeźbione figurki, szły na kolczyki z pereł, kolie[622] ze szklanych paciorków i złote szpilki[623]. Toteż dzięki rozrzutności swojego przyjaciela Teresa była najelegantszą wieśniaczką w okolicach Rzymu.

Dzieci dorastały nadal razem, spędzając ze sobą każdy dzień i bez oporu oddawały się instynktom swojej pierwotnej natury. W codziennych rozmowach, marzeniach i tęsknotach Vampa widział się zawsze jako kapitan okrętu, generał armii albo gubernator prowincji; Teresa zaś wyobrażała sobie, że jest bogata, pięknie wystrojona, otoczona służbą w liberii[624]. I gdy tak cały dzień spędzili, haftując przyszłość w szalone, a tak migotliwe arabeski[625], każde odchodziło w swoją stronę, aby zagnać swoje owce do obory, zstępując z wyżyn urojeń w ubogą rzeczywistość.

Pewnego dnia młody pasterz rzekł do rządcy, że widział wilka, który zszedłszy z Gór Sabińskich[626], krążył koło ich trzody; rządca dał mu strzelbę — tego też tylko pragnął Vampa.

Strzelba ta okazała się być przypadkiem dziełem znakomitego rusznikarza[627] z Brescii[628]; niosła[629] jak sztucer angielski; hrabia, dobijając kiedyś rannego lisa, złamał kolbę i strzelbę porzucono w lamusie[630].

Ale dla takiego rzeźbiarza jak Vampa nie mogło to stanowić przeszkody. Obejrzał dawne łożysko, obmyślił, co należy zrobić, by przystosować ją do swego oka i dorobił sobie kolbę wyrzeźbioną w tak cudny ornament, że gdyby chciał w mieście sprzedać samo drewno, wziąłby za nie z piętnaście, a nawet dwadzieścia piastrów.

Ale on nawet by o tym nie pomyślał: strzelba od dawna była jego marzeniem. W każdym kraju, gdzie wolność zastępuje się niezależnością, najpierwszą potrzebą ludzi odważnych i potężnych organizacji jest broń, która umożliwia zarazem napad i obronę, i czyni swego właściciela groźnym.

Od tej chwili Vampa poświęcił cały swój wolny czas na ćwiczenie się w strzelaniu; kupił proch, kule i każdy cel stał się dla niego dobry: pnie smutnych, cherlawych, szarych oliwek, lis wychodzący wieczorem na swój nocny łów, orzeł bujający w powietrzu. Nabył wkrótce takiej wprawy, że Teresa przezwyciężyła obawę, jaką z początku odczuwała na odgłos wystrzału, i radowała się za każdym razem, gdy Luigi trafiał do celu tak pewnie, jakby popychał kulę ręką.

Pewnego wieczora wilk rzeczywiście wyskoczył z jodłowego lasu, na którego skraju młodzi pastuszkowie zwykli przesiadywać; uszedł zaledwie dziesięć kroków, gdy sięgnęła go kula Vampy.

Strzelec, bardzo dumny ze swojej zręczności, wziął wilka na plecy i zaniósł go na folwark.

Wydarzenia te sprawiły, że Vampa zaczął się cieszyć w okolicy pewną sławą; człowiek niezwykły, gdziekolwiek by się znalazł, tworzy wokół siebie krąg wielbicieli. Mówiono o młodym pasterzu jako o najzręczniejszym, najsilniejszym i najodważniejszym z młodzieńców na dziesięć mil wokoło; i chociaż Teresa uchodziła w oczach jeszcze większej liczby ludzi za jedną z najładniejszych dziewcząt sabińskich, nikt jednak nie odważał się szepnąć jej nawet słówka o miłości, bo wszyscy wiedzieli, że kocha ją Vampa.

A tymczasem młodzi ani razu jeszcze sobie nie wyznali miłości. Rośli obok siebie jak dwa drzewa, których korzenie splatają się pod ziemią, a gałęzie w powietrzu; jedno pragnienie ich tylko łączyło: spotykać się codziennie; pragnienie to przerodziło się w potrzebę i wyobrażali sobie łatwiej śmierć niż jednodniową rozłąkę.

Teresa miała lat szesnaście, Vampa zaś siedemnaście.

---

[622] *kolia* — naszyjnik w ozdobnej oprawie. [przypis edytorski]
[623] *szpilka* — tu: ozdobna spinka do włosów. [przypis edytorski]
[624] *liberia* — mundur noszony przez służbę; uniform. [przypis edytorski]
[625] *arabeska* — symetryczny ornament roślinno-geometryczny. [przypis edytorski]
[626] *Góry Sabińskie* — pasmo gór w Apeninach. [przypis edytorski]
[627] *rusznikarz* — osoba parająca się wyrobem oraz naprawą ręcznej broni palnej. [przypis edytorski]
[628] *Brescia* — miejscowość w płn. Włoszech. [przypis edytorski]
[629] *nieść* — tu: strzelać. [przypis edytorski]
[630] *lamus* — składzik; budynek gospodarczy do przechowywania narzędzi, sprzętów gospodarczych i rzadko używanych rzeczy. [przypis edytorski]

W tym czasie ludzie zaczęli mówić coraz częściej o nowej bandzie rozbójników z gór Lepini[631]. Rozbójnictwo nigdy nie zostało całkowicie wytępione w okolicach Rzymu. Brakowało bandom tylko czasem herszta, ale jeżeli zdarzył się jakiś herszt, nietrudno mu było zebrać sobie bandę.

Słynny Cucumetto, ścigany w Abruzzach[632], wypędzony z Królestwa Neapolitańskiego[633], gdzie prowadził niemal regularną wojnę, przeszedł jak Manfred Garigliano i schronił się między Sonnino i Juperno nad brzegami Amaziny.

I oto właśnie organizował sobie bandę. Wiele młodzieży z Palestriny, Frascati i Pampinary nagle zniknęło. Z początku martwiono się o nich, póki nie dowiedziano się, że weszli do szajki Cucumetta.

Wkrótce Cucumetto stanął w centrum uwagi. Przytaczano wiele przykładów niezwykłej odwagi i bestialskiego okrucieństwa tego człowieka.

Pewnego razu porwał córkę geometry z Frosinone. Prawa rozbójników są jednoznaczne: dziewczyna należy najpierw do tego, który ją porwał, potem inni ciągną o nią kolejno losy i nieszczęsna tak długo służy uciesze całej bandy, póki jej nie porzucą lub sama nie umrze.

Jeżeli rodzice są na tyle majętni, by ją wykupić, wyprawia się posła, który wyznacza okup, a głowa branki jest gwarancją bezpieczeństwa posłańca. Jeżeli rodzina nie zgodzi się na okup, porwana ponosi śmierć.

Dziewczyna, którą porwano, miała kochanka; zwał się on Carlini i należał do bandy Cucumetta.

Poznawszy go, dziewczyna wyciągnęła ku niemu ręce, sądząc, że ją ocali. A nieszczęsnemu Carliniemu zamarło na jej widok serce; domyślał się dobrze, jaki ją los czeka.

Że jednak był ulubieńcem Cucumetta, że dzielił z nim od trzech lat niebezpieczeństwa (a nawet raz ocalił mu życie, gdy położył strzałem z pistoletu karabiniera, który już podniósł pałasz[634] nad głową Cucumetta), spodziewał się, że Cucumetto będzie miał trochę dla nich litości.

Odprowadził więc wodza na stronę, podczas gdy dziewczyna, siedząca u stóp olbrzymiej sosny, która wznosiła się pośrodku polany, zasłoniła sobie twarz przed pożądliwymi spojrzeniami bandytów woalem z rozpuszczonych włosów, upiętych wcześniej tak malowniczo, jak to potrafią robić tylko wieśniaczki rzymskie.

I tam wyznał mu wszystko — że dziewczynę kocha, że przysięgli sobie wierność, że co noc widywali się w starych ruinach.

Właśnie tego wieczoru Cucumetto posłał Carliniego do sąsiedniej wioski i Carlini nie mógł przyjść na schadzkę; a Cucumetto znalazł się przypadkiem, jak mówił, w pobliżu ruin i uprowadził dziewczynę.

Carlini błagał wodza, aby uczynił dla niego wyjątek i uszanował Ritę, mówiąc, że jej ojciec jest bogaty, że może dać dobry okup.

Cucumetto wydał się ulec prośbom przyjaciela i polecił mu znaleźć jakiego wieśniaka, którego można by wysłać w tym celu do ojca Rity.

Carlini podszedł wesoły do kochanki i zapewnił ją, że nic jej nie grozi, byle tylko napisała list do ojca, donosząc o wszystkim, co ją spotkało, i o tym, że banda wyznaczyła za nią okup trzystu piastrów. Ojciec Rity miał się stawić z okupem za dwanaście godzin, to jest nie później niż o dziewiątej nazajutrz rano.

Skoro tylko list został napisany, Carlini pobiegł poszukać posłańca.

Znalazł pasterza, który pasł w pobliżu trzodę. Pasterze żyjący pomiędzy miastem a górami, między życiem dzikim i cywilizowanym, są naturalnymi posłańcami bandytów.

Pastuszek udał się zaraz w drogę i przyrzekł, że za godzinę najdalej będzie we Frosinone.

Carlini uradowany pospieszył co prędzej do kochanki, by oznajmić jej tę dobrą wiadomość.

---

[631] *góry Lepini* — pasmo górskie w Apeninach. [przypis edytorski]

[632] *Abruzzy* a. *Apenin Abruzyjski* — najwyższe pasmo górskie należące do Apeninów. [przypis edytorski]

[633] *Królestwa Neapolitańskie*, właśc. *Królestwo Neapolu* — nazwa zwyczajowa królestwa istniejącego na płd. Włoch w latach 1282–1816. [przypis edytorski]

[634] *pałasz* — broń biała o długiej, prostej klindze. [przypis edytorski]

Towarzyszy zastał na polance, gdzie wesoło wieczerzali[635] (żywność otrzymywali od wieśniaków jako należny im trybut, zresztą zupełnie łagodny), ale na próżno wypatrywał wśród rozbawionych biesiadników Cucumetta i Rity.

Zapytał, gdzie się podzieli[636]; bandyci odpowiedzieli chóralnym wybuchem śmiechu. Zimny pot wystąpił mu na czoło i włosy powstały mu z trwogi na głowie.

Zapytał ponownie. Jeden z kamratów[637] napełnił szklankę winem orvieto[638] i podał mu ją, mówiąc:

— Za zdrowie mężnego Cucumetta i pięknej Rity!

W tejże chwili Carliniemu wydało się, że słyszy krzyk kobiety. Odgadł wszystko. Porwał szklankę, cisnął ją z całą siłą w twarz temu, kto mu ją podał i puścił się jak strzała tam, skąd doszedł krzyk.

Przebiegłszy ze sto kroków, ujrzał za krzakiem zemdloną Ritę — w objęciach Cucumetta.

Na widok Carliniego Cucumetto zerwał się, trzymając w każdej ręce pistolet.

Bandyci przez chwilę patrzyli na siebie: jeden z lubieżnym uśmiechem, drugi śmiertelnie blady.

Mogłoby się wydawać, że między tymi dwoma ludźmi dojdzie do czegoś straszliwego. Ale z wolna stężałe rysy Carliniego rozluźniły się; ręka, którą podniósł do pistoletu za pasem, opadła bezwładnie.

Rita leżała pomiędzy nimi.

Księżyc oświetlał scenę.

— No i co? — spytał Cucumetto. — Wykonałeś zlecenie, którego się podjąłeś?

— Tak, naczelniku — odpowiedział Carlini — i jutro o dziewiątej ojciec Rity będzie tu z okupem.

— Cudownie. A my tymczasem spędzimy wesołą noc. Ta dziewczyna jest urocza, masz naprawdę dobry gust, panie Carlini. No, ponieważ nie jestem egoistą, wróćmy więc do kamratów i pociągnijmy losy, który się ma teraz zabawić.

— A więc postanowiłeś z nią postąpić według zwykłego prawa? — zapytał Carlini.

— Dlaczegóż byśmy mieli dla niej robić wyjątek?

— Myślałem, że moje prośby...

— A czym ty się różnisz od innych?

— No tak, prawda.

— Ale nie przejmuj się — dodał Cucumetto ze śmiechem. — Prędzej czy później przyjdzie i na ciebie kolej.

Carlini zacisnął tak mocno zęby, że mało ich nie połamał.

— No, to co — rzekł Cucumetto, ruszając w stronę towarzyszy — idziesz?

— Zaraz przyjdę...

Cucumetto oddalił się, nie spuszczając jednak z oka Carliniego, bo lękał się, że może na niego napaść z tyłu. Ale w postawie bandyty nic nie objawiało wrogich zamiarów.

Stał nieporuszony ze skrzyżowanymi ramionami nad nadal nieprzytomną Ritą.

Przez chwilę Cucumetto myślał, że Carlini porwie dziewczynę na ręce i ucieknie. Ale było mu to już obojętne; wziął od Rity to, czego chciał; a co do pieniędzy, te trzysta piastrów rozdzielone na całą bandę przedstawiały tak mały zysk, że nie dbał o to wcale. Szedł więc spokojnie na polanę; ale ku jego zdziwieniu Carlini pojawił się tam zaraz po nim.

— Ciągnąć losy! Ciągnąć losy! — wołali jeden przez drugiego bandyci, spostrzegłszy wodza.

Ich oczy błyszczały pijaństwem i pożądliwością; ognisko rzucało na ich twarze czerwonawy poblask i czyniło ich podobnymi do duchów piekielnych.

Żądanie ich było słuszne; wódz przyzwolił skinieniem głowy. Włożono do kapelusza kartki z nazwiskami wszystkich bandytów, nie wyłączając Carliniego, i najmłodszy wyciągnął z tej zaimprowizowanej urny pierwszy los.

Na losie widniało nazwisko Divolaccia.

---

[635]*wieczerzać* — jeść kolację, wieczerzę. [przypis edytorski]

[636]*podzieli* (gw.) — podziali. [przypis edytorski]

[637]*kamrat* — towarzysz. [przypis edytorski]

[638]*wino orvieto* — białe wino wytwarzane w Umbrii. [przypis edytorski]

Był to ten sam, który chciał wznieść z Carlinim zdrowie wodza, na co Carlini odpowiedział, rzucając mu w twarz szklankę.

Z rany ciągnącej się od skroni aż po usta obficie ciekła mu krew.

Divolaccio, dowiedziawszy się, że go aż tak faworyzuje los, wybuchnął śmiechem.

— Wodzu! — zawołał. — Przed chwilą Carlini nie chciał wypić twojego zdrowia; każ mu teraz wypić moje; może będzie miał więcej względów dla ciebie niż dla mnie.

Wszyscy spodziewali się, że Carlini wybuchnie; ale ku ich zdumieniu wziął tylko szklankę i oplecioną[639] flaszkę, a nalawszy sobie:

— Zdrowie twoje, Divolaccio! — zawołał doskonale spokojnym głosem, wychylił całą szklankę, a ręka nie zadrżała mu ani raz. A potem usiadł przy ogniu i zapytał:

— A moja porcja? Nabiegałem się trochę i nabrałem apetytu.

— Niech żyje Carlini! — zawołali bandyci.

— To się nazywa podchodzić do sprawy po koleżeńsku! — i wszyscy otoczyli ognisko, poza Divolacciem, który zniknął.

Carlini jadł i pił, jak gdyby nic się nie działo.

Zbójcy spoglądali na niego zdziwieni, nie mogąc pojąć tej obojętności; wtem usłyszeli za plecami ciężkie kroki. Odwrócili się i ujrzeli Divolaccio niosącego dziewczynę.

Głowa jej zwisała, włosy sięgały aż do ziemi.

W miarę jak podchodzili coraz bliżej kręgu światła bijącego od ognia, coraz widoczniejsza stawała się bladość ich twarzy.

Obraz ten miał w sobie coś tak dziwnego i uroczystego, że wszyscy podnieśli się z miejsca — oprócz Carliniego, który nadal spokojnie jadł i pił, obojętny na to, co się działo.

Divolaccio wśród głębokiej ciszy podszedł do ogniska i złożył Ritę u stóp herszta.

Teraz wszyscy poznali przyczynę tej okropnej bladości ich twarzy: pod lewą piersią Rity tkwił nóż, wbity aż po rękojeść.

Wszystkie spojrzenia przeniosły się na Carliniego; miał pustą pochwę u pasa.

— Aha — rzekł Cucumetto — teraz rozumiem, czemu Carlini pozostał w tyle.

Natury pierwotne zdolne są docenić śmiały czyn; choć żaden z bandytów nie uczyniłby tego co Carlini, wszyscy pojęli, co znaczy ów postępek.

— No i co — rzekł Carlini, powstając i podchodząc do trupa z ręką wspartą na kolbie pistoletu. — Czy któryś jeszcze będzie śmiał zaprzeczać mi praw do tej kobiety?

— Nie — rzekł herszt — jest twoja.

Wówczas Carlini wziął ją na ręce i wyniósł poza krąg światła, kreślony przez ognisko.

Cucumetto porozstawiał, jak zwykle, czaty[640] i bandyci pootulani w płaszcze pokładli się przy ognisku.

O północy strażnik wszczął alarm i w jednej chwili banda znalazła się na nogach.

Był to ojciec Rity; przyniósł okup za córkę.

— Masz tu trzysta piastrów — rzekł do Cucumetta, podając sakwę z pieniędzmi — i oddaj mi dziecko.

Ale herszt nie wziął od niego pieniędzy i skinął na starca, by szedł za nim.

Stary poszedł i obaj znikli wśród drzew, przez których gałęzie przesączał się blask księżyca. Wreszcie Cucumetto zatrzymał się, wyciągnął rękę i pokazał staremu dwie postaci u stóp drzewa.

— Carliniego pytaj o córkę — rzekł — on ci zda sprawę.

I wrócił do kamratów.

Stary stanął nieruchomo, wpatrując się w oboje. Przeczuwał, że jakieś nieznane, ogromne, niesłychane nieszczęście wisi nad jego głową.

Postąpił wreszcie kilka kroków ku tym dwojgu tak mocno ze sobą splecionych, że nie mógł ich jeszcze rozpoznać.

Na odgłos kroków Carlini podniósł głowę i wtedy kształty obu osób zaczęły nabierać w oczach starca wyraźniejszych konturów.

Kobieta leżała z głową na kolanach mężczyzny, który siedział nad nią pochylony; prostując się, mężczyzna odsłonił twarz kobiety, którą tulił do piersi.

---

[639] *opleciony* — tu: osłonięty wiklinową plecionką. [przypis edytorski]

[640] *czata* — tu: straż, posterunek. [przypis edytorski]

Starzec poznał córkę, a Carlini poznał starca.

— Czekałem na ciebie — rzekł doń bandyta.

— Nieszczęsny! — zawołał starzec. — Cóżeś zrobił?

I ze zgrozą patrzył na Ritę, która blada, nieruchoma, zbroczona krwią, leżała z nożem zatopionym w piersi.

— Cucumetto zgwałcił twoją córkę — rzekł bandyta. — A ja ją kochałem. Zabiłem ją, bo po nim zabawiłaby się z nią cała banda.

Starzec nie wyrzekł ani słowa, zbladł tylko jak trup.

— Jeżeli źle postąpiłem — dorzucił Carlini — pomścij ją.

Wyrwał sztylet z piersi dziewczyny, podniósł się i podał go staremu, rozchylając jednocześnie koszulę i obnażając pierś.

— Dobrześ zrobił — rzekł głucho starzec. — Uściśnij mnie, synu.

Carlini ze szlochem rzucił się w ramiona starca. Były to pierwsze łzy, jakie zrosiły policzki tego krwawego bandyty.

— Pomóż mi teraz — zwrócił się starzec do Carliniego — pochować córkę.

Carlini poszedł po dwie łopaty; ojciec i kochanek zabrali się do kopania dołu pod dębem, którego rozłożyste konary miały osłonić grób dziewczyny.

Gdy grób był już wykopany, pierwszy ucałował Ritę ojciec, potem kochanek; następnie chwycili ją za nogi i pod ramiona i złożyli w mogile.

Po czym przyklęknęli i zmówili modlitwę za umarłych.

— Dziękuję ci, synu — rzekł starzec do Carliniego. — A teraz zostaw mnie tu na chwilę samego.

— Ale przecież... — sprzeciwił się Carlini.

— Zostaw mnie, nakazuję ci.

Carlini posłusznie odszedł, wrócił do towarzyszy, owinął się w płaszcz i wkrótce zasnął snem równie twardym jak inni.

W wigilię tego dnia bandyci postanowili zmienić obozowisko.

Na godzinę przed wschodem słońca Cucumetto pobudził swoich i dał hasło do wymarszu.

Carlini nie chciał jednak odejść, nie przekonawszy się najpierw, co się stało z ojcem Rity.

Poszedł tam, gdzie go był wczoraj zostawił.

Starzec wisiał na gałęzi dębu ocieniającego grób córki.

Wtedy Carlini poprzysiągł na trupa starca i grób kochanki, że dokona zemsty za oboje.

Nie mógł jednak dotrzymać przysięgi; dwa dni później zginął w potyczce z karabinierami rzymskimi.

Dziwiono się tylko mocno, jak Carlini mógł dostać kulę w plecy, gdy stał twarzą do nieprzyjaciela.

Zdziwienie ustąpiło, gdy jeden z bandytów zdradził jednemu z towarzyszy, że kiedy Carlini padł, Cucumetto stał dziesięć kroków za nim.

Kiedy bowiem bandyci opuszczali o świcie las frosinoński, Cucumetto poszedł, kryjąc się w mroku, za Carlinim, podsłuchał przysięgę, a jako człowiek ostrożny, podjął zawczasu środki zaradcze.

Sto innych niemniej ciekawych historii opowiadano o straszliwym herszcie bandytów.

I tak od Fondi[641] po Perusę[642] wszyscy drżeli na sam dźwięk jego imienia.

Opowieści te często były przedmiotem rozmów pomiędzy Luigim i Teresą.

Dziewczyna drżała z lęku, słuchając tych straszliwych historii; ale Vampa z uśmiechem ją uspokajał, potrząsając fuzją; a jeżeli i to nie oddalało od dziewczyny obaw, pokazywał jej bujającego się o sto kroków na jakiej uschłej gałęzi kruka, brał go na cel, zwalniał kurek i ptak padał u stóp drzewa.

A czas płynął: młodzi postanowili, że pobiorą się, skoro tylko Vampa skończy lat dwadzieścia, a Teresa dziewiętnaście. Oboje byli sierotami, potrzebowali tylko pozwolenia dziedzica — jakoż gdy poprosili, nie odmówiono.

[641] *Fondi* — miejscowość w śrd. Włoszech, w regionie Lacjum. [przypis edytorski]

[642] *Perusa*, właśc. *Perugia* — miejscowość w śr. Włoszech, w regionie Umbria. [przypis edytorski]

Pewnego dnia, gdy tak rozmawiali o przyszłości, dało się słyszeć kilka wystrzałów; z lasu, koło którego zwykle pasali owce, nagle wypadł jakiś człowiek i dobiegł do nich.

— Ścigają mnie! — zawołał. — Możecie mnie ukryć?

Domyślili się z łatwością, że uciekający był bandytą; ale pomiędzy chłopami i bandytami rzymskimi istnieje coś w rodzaju wrodzonej sympatii, tak że jeden jest zawsze gotów pospieszyć na pomoc drugiemu.

Nie mówiąc ni słowa, Vampa podbiegł co prędzej do głazu maskującego otwór do groty im tylko znanej, odwalił[643] go, wskazał zbiegowi, by się tam schronił, zawalił za nim kamień i siadł obok Teresy.

W tejże chwili z lasu wypadło czterech konnych karabinierów; trzech wypatrywało zbiega, czwarty prowadził schwytanego bandytę za sznurek, który uwiązał mu do szyi.

Trzej karabinierzy ogarnęli okolice jednym rzutem oka, a spostrzegłszy dwoje młodych ludzi, przygalopowali do nich i jęli wypytywać.

Vampa i Teresa nie widzieli nikogo.

— A, to szkoda — rzekł sierżant — bo szukamy właśnie samego herszta.

— Cucumetta? — zawołali Vampa i Teresa, nie panując nad sobą.

— A tak — odpowiedział sierżant. — Za jego głowę wyznaczono tysiąc rzymskich talarów[644], otrzymalibyście pięćset, gdybyście nam pomogli go ująć.

Młodzi spojrzeli po sobie. Sierżantowi przemknęła przez myśl nadzieja.

Pięćset talarów rzymskich to trzy tysiące franków, a trzy tysiące franków to majątek dla biednych sierot, szczególnie gdy mają się pobrać.

— Prawda, że szkoda, ale nie widzieliśmy go — odrzekł Vampa.

Karabinierzy przetrząsnęli okolicę, ale na próżno.

I kolejno zniknęli z oczu.

Vampa podszedł do kamienia, odwalił go i Cucumetto wyszedł z groty.

Przez szpary u wejścia dojrzał, jak Vampa i Teresa rozmawiali z karabinierami; domyślał się, czego rozmowa dotyczyła, a wyczytawszy na twarzach młodych niezłomną decyzję niewydawania go, wyjął teraz z kieszeni sakiewkę pełną złota i ofiarował im.

Kuszenie, Chciwość

Vampa na widok złota dumnie podniósł czoło, ale oczy Teresy zabłysły, gdy pomyślała, ile mogłaby za tyle pieniędzy kupić klejnotów i pięknych sukni.

Cucumetto był przebiegły jak Szatan — jakby zamiast przybrać kształty węża, przyjął postać bandyty; podchwycił spojrzenie Teresy, poznał, że jest nieodrodną córką Ewy i wszedł do lasu, odwracając się co chwilę, pod pretekstem, że chce serdecznie podziękować swoim wybawcom.

Upłynęło jednak wiele dni, a Cucumetto nie dawał o sobie znać i słuch o nim zaginął.

Zbliżał się czas karnawału. Hrabia San Felice zapowiedział wielki bal maskowy, na który zaproszono najświetniejsze rzymskie towarzystwo.

Teresa miała ogromną ochotę zobaczyć ten bal. Luigi zapytał swego protektora, rządcy pałacu, czy mogliby wmieszać się w czasie balu w dworską czeladź[645] i w ten sposób przyglądać tańcom. Rządca zezwolił.

Bal ten wydawał hrabia przede wszystkim dla córki, którą kochał ponad wszystko.

Carmela była w takim samym wieku i takiego samego wzrostu co Teresa, a Teresa była co najmniej tak piękna, jak Carmela.

Na wieczór, kiedy miał odbyć się bal, Teresa ubrała się w swą najpiękniejszą suknię, wpięła we włosy najbogatsze zapinki i założyła najbardziej błyszczące paciorki. Był to kostium kobiet z Frascati[646].

Luigi przywdział jakże malowniczy, odświętny strój chłopów ze wsi rzymskiej.

Wmieszali się — zgodnie z udzielonym im pozwoleniem — w służbę dworską.

Bal był wspaniały. Nie tylko pałac jaśniał od świateł, cały ogród migotał od tysięcy kolorowych lampionów zawieszonych na drzewach. Wkrótce wszyscy goście wylegli na tarasy, a z tarasów na alejki parku.

[643] *odwalić* (pot.) — tu: odsunąć coś ciężkiego. [przypis edytorski]

[644] *talar* — duża moneta srebrna o stosunkowo dużej wartości, bita w Europie od XV w. [przypis edytorski]

[645] *czeladź* — służba u magnatów i szlachty. [przypis edytorski]

[646] *Frascati* — miejscowość w Lacjum, niedaleko Rzymu. [przypis edytorski]

Na każdym skrzyżowaniu rozbrzmiewała orkiestra, ustawiono stoły z jedzeniem i napojami; goście zatrzymywali się, zaczynano grać kadryla[647] i wszyscy tańczyli tam, gdzie się komu spodobało.

Carmela ubrała się jak chłopka z Sonnino. Miała czepeczek naszywany perłami, złote szpilki zdobne w diamenty przytrzymywały jej włosy, a talię opasała tureckim jedwabiem haftowanym w wielkie kwiaty; stanik i spódniczka były kaszmirowe, fartuszek z indyjskiego muślinu, guziczki gorsetu z drogich kamieni.

Jej dwie towarzyszki przebrały się za wieśniaczki z okolic Nettuno i Ricci.

Czterech młodzieńców z najbogatszych i najznamienitszych rodzin rzymskich asystowało dziewczętom — pozwalała na to owa włoska swoboda, jakiej nie znajdziesz ze świecą w żadnym innym kraju — a przebrani byli również za chłopów: z Albano, Velletri, Civita-Castellane i Sory.

Rozumie się samo przez się, że stroje mężczyzn nie ustępowały w przepychu strojom kobiecym i podobnie kapały od złota i kamieni.

Carmeli przyszła ochota uformować kadryl w takich właśnie kostiumach, ale brakowało im jednej tancerki. Rozejrzała się wokół, ale żadna z zaproszonych panien nie miała stroju, który pasowałby do kostiumów jej i jej towarzyszek.

Hrabia San Felice wskazał na Teresę, która wsparta na ramieniu Luigiego stała wśród innych wieśniaczek.

— Pozwolisz mi, ojcze?... — spytała Carmela.

— A czemuż by nie? — odpowiedział hrabia. — Czyż to nie karnawał?

Carmela zwróciła się do młodzieńca, który jej asystował, szepnęła mu kilka słów, wskazując palcem dziewczynę. Młodzieniec podążył spojrzeniem za ślicznym paluszkiem, który mu służył za przewodnika, skłonił się na znak posłuszeństwa i poszedł zaprosić Teresę do kadryla, którego miała prowadzić hrabianka Carmela.

Teresa poczuła, jak ognie występują jej na twarz. Zapytała wzrokiem Lugiego — nie sposób było odmówić. Luigi puścił wolniutko rękę Teresy, dziewczyna odeszła ze swoim eleganckim kawalerem i cała drżąca zajęła miejsce w arystokratycznym kadrylu.

W oku prawdziwego artysty strój Teresy, pełen prostoty wiejski strój, miałby niewątpliwie więcej uroku niż kostiumy Carmeli i jej przyjaciółek; ale Teresa była płocha, była kokietką; hafty na muślinach, złote liście palmowe na jedwabnej przepasce, czar kaszmiru ją olśniewały, a migotanie szafirów i diamentów przywodziło ją prawie do szaleństwa.

Zazdrość, Miłość

A Luigi czuł, jak rodzi się w nim nieznane mu do tej pory uczucie: był to jakby głuchy ból, który kąsał mu zrazu serce, a potem przenikał w żyły i opanowywał całe jestestwo. Śledził każdy ruch Teresy i jej kawalera; gdy ich ręce się spotykały, ćmiło mu się w oczach, puls bił gwałtownie, a w uszach wibrowały mu jakby uderzenia dzwonu. A gdy rozmawiali, to chociaż Teresa słuchała tancerza nieśmiało i ze spuszczonymi oczyma, Luigi czytał w rozpłomienionych oczach kawalera, że mówi Teresie gorące komplementy; zdawało mu się wtedy, że ziemia pod nim wiruje, a piekielne głosy podszeptują mu zewsząd myśli o morderstwie. Wówczas, lękając się, że poniesie go szaleństwo, wpijał się ręką w kratę ogrodowej altany, przy której stał; a drugą ręką ściskał konwulsyjnie rzeźbioną rękojeść sztyletu, który miał za pasem i mimowolnie wyciągał go niemal całkiem z pochwy.

Luigi był zazdrosny! Czuł, że jeśli Teresa poszłaby za swoją płochą a zarazem próżną naturą, mogłaby mu się wymknąć.

A tymczasem młoda wieśniaczka, z początku onieśmielona i prawie przerażona, nabrała z powrotem odwagi. Teresa była piękna, jak już powiedzieliśmy. Ale to nie wszystko: Teresa miała niezwykły wdzięk, ów urok dzikości, jakże różny od minoderii[648] i afektacji[649] dam światowych. To jej składano niemal wszystkie hołdy w kadrylu, a jeśli zazdrościła hrabiance, ośmielimy się wyznać, że i hrabianka zazdrościła Teresie.

I kawaler, obsypując Teresę tysiącem komplementów, odprowadził ją tam, gdzie na nią czekał Luigi.

[647] *kadryl* — osiemnastowieczny taniec salonowy z figurami; modny za czasów Napoleona I we Francji, szybko zyskał popularność w innych krajach europejskich. [przypis edytorski]

[648] *minoderia* — wdzięczenie się, mizdrzenie się. [przypis edytorski]

[649] *afektacja* — przesada, nienaturalność, zwłaszcza w wyrażaniu uczuć. [przypis edytorski]

W czasie kontredansa[650] dziewczyna rzuciła kilka razy wzrokiem na swego miłego i za każdym razem jego twarz jawiła się jej blada i jakby skurczona. Raz nawet ostrze sztyletu raziło jej oczy niczym złowroga błyskawica.

Z drżeniem więc wsunęła dłoń pod jego ramię.

Kadryl zakończył się wielkim sukcesem i wszyscy oczywiście zapragnęli bisów[651]. Tylko Carmela opierała się temu, ale ojciec prosił ją tak serdecznie, że w końcu zgodziła się.

Jeden z tancerzy pobiegł natychmiast po Teresę, bez której nie można było zatańczyć kontredansa, ale dziewczyna zniknęła.

W istocie, Luigi czuł, że zabraknie mu sił, by wytrzymać jeszcze jedną taką próbę i — częściowo prośbą, częściowo siłą — zaciągnął Teresę w inny koniec ogrodu. Teresa ustąpiła wbrew samej sobie; ale ujrzawszy zmienioną twarz Luigiego, widząc jego milczenie i wstrząsające nim nerwowe drżenie, zrozumiała, że dzieje się w nim coś dziwnego. Sama była mocno podniecona i choć nie poczuwała się do niczego złego, wydawało jej się, że kochanek ma prawo czynić jej wyrzuty. Ale za co? Sama nie wiedziała; czuła jednak, że zasłużyła sobie na te wymówki.

Ku zdumieniu jednak Teresy Luigi milczał, przez resztę balu nie padło z jego ust ani jedno słowo. Dopiero gdy chłód nocy zagnał gości do pałacu, którego bramy zamknęły się za nimi, bo zabawa miała się już toczyć tylko na salonach, Luigi odprowadził Teresę do domu, a rozstając się z nią, zapytał:

— Tereso, o czym myślałaś, kiedy tańczyłaś naprzeciw hrabianki San Felice?

— Myślałam — odpowiedziała dziewczyna z naiwną szczerością — że oddałabym pół życia za strój, który miała na sobie.

— A co mówił do ciebie twój tancerz?

— Że ode mnie tylko zależy, abym taki miała; że wystarczy, bym rzekła słowo.

— Miał rację — powiedział Vampa. — Naprawdę marzysz o tej sukni tak gorąco, jak mówisz?

— Tak.

— A więc będziesz ją miała.

Dziewczyna uniosła zdziwiona głowę, by zadać jakieś pytanie; ale jego lica były tak ponure i straszne, że słowa zamarły jej na ustach.

A zresztą natychmiast po tych słowach Luigi odszedł.

Teresa odprowadziła go wzrokiem, póki nie rozpłynął się w mroku. Gdy zniknął, weszła do domu, wzdychając głęboko.

Tej samej nocy zdarzył się okropny wypadek, zapewne przez nieostrożność któregoś ze służących, który zapomniał zgasić światło; wybuchł pożar i to akurat w tej części pałacu, która sąsiadowała z pokojami pięknej Carmeli. Obudzona w środku nocy blaskiem ognia, wyskoczyła z łóżka, owinęła się w peniuar[652] i dopadła drzwi, ale korytarz, którędy trzeba było przejść, stał już w płomieniach. Cofnęła się więc do pokoju, krzycząc o pomoc, gdy wtem okno, znajdujące się dwadzieścia stóp nad ziemią, otwarło się nagle; młody jakiś wieśniak wpadł do pokoju, porwał ją w ramiona i z nadludzką siłą i zręcznością zaniósł na murawę w ogrodzie, gdzie omdlała. Gdy odzyskała przytomność był przy niej ojciec, a otaczała ich cała służba, która zbiegła się na pomoc. Całe skrzydło pałacu pochłonęły płomienie, ale nie miało to znaczenia, skoro Carmela była cała i zdrowa.

Szukano wszędzie wybawcy, ale wybawca zniknął bez śladu; wypytywano o niego wszędzie, lecz nikt go nie widział; Carmela zaś była tak wstrząśnięta, że nie zdołała zapamiętać jego twarzy.

Poza tym hrabia był niezwykle bogaty, toteż pożar i poniesione straty niewiele go obeszły — nie licząc oczywiście niebezpieczeństwa, jakie groziło Carmeli, której cudowne ocalenie wydało mu się zresztą nowym dowodem łaski traktującej go przychylnie Opatrzności.

Nazajutrz o zwykłej godzinie Teresa i Luigi spotkali się na skraju lasu. Luigi przyszedł pierwszy. Wybiegł na spotkanie dziewczyny tak radosny, jakby zapomniał o wszystkim,

[650] *kontredans* — zbiorowy, figurowy taniec towarzyski ang. pochodzenia. [przypis edytorski]

[651] *bis* — utwór dodatkowy lub powtórzony, wykonany na życzenie publiczności. [przypis edytorski]

[652] *peniuar* — luźny, obszerny strój kobiecy wykonany z cienkiego materiału, zdobny koronkami i falbankami; rodzaj koszuli nocnej. [przypis edytorski]

co się działo wczoraj. Teresa była wyraźnie zamyślona, ale ujrzawszy kochanka w tak pogodnym nastroju, odpowiedziała wesołą niefrasobliwością, która — jeśli nie zakłóciło jej jakieś gwałtowne uczucie — cechowała zazwyczaj jej naturę.

Luigi wziął Teresę pod rękę i zaprowadził do groty. Zatrzymał się przed wejściem, a dziewczyna, przeczuwając, że dzieje się coś nadzwyczajnego, wpatrzyła się w niego bystro.

— Tereso — rzekł Luigi. — Mówiłaś mi wczoraj, że dałabyś wszystko za taką suknię, jaką miała córka hrabiego.

— Mówiłam — przyznała Teresa zdziwiona. — Ale byłam szalona, pragnąc czegoś takiego.

— A ja ci odpowiedziałem: „Dobrze, będziesz ją miała".

— Tak — rzekła Teresa, której zdziwienie rosło za każdym słowem Luigiego — ale powiedziałeś tak, żeby mi zrobić przyjemność, i tyle!

— Tereso, nigdy się nie zdarzyło, żebym ci nie dał tego, co przyrzekałem — odpowiedział z dumą Luigi. — Wejdź do groty i ubierz się.

Odwalił głaz i pokazał Teresie grotę, w której paliły się dwie świece, stojące po obu stronach zwierciadła przepysznej roboty; na prostym stole, który zmajsterkował sam Luigi, leżał naszyjnik z pereł i brylantowe szpilki, na krześle z boku spoczywała reszta kostiumu.

Teresa krzyknęła z radości i nie zapytawszy nawet, skąd się to wzięło, ani nie dziękując Luigiemu, wpadła do groty zmienionej w gotowalnię.

Luigi zastawił za nią głaz, dostrzegł bowiem właśnie na grzbiecie wzgórza, które zasłaniało Palestrinę, jakiegoś jeźdźca, który jakby niepewny drogi zatrzymał się na chwilę; jego kontur rysował się na tle nieba z taką ostrością, jaką charakteryzują się tylko południowe pejzaże.

Spostrzegłszy Luigiego, jeździec spiął konia i puścił się galopem w jego stronę.

Luigi nie mylił się; podróżny, który jechał z Palestriny do Tivoli nie wiedział, którędy ma się kierować.

Młodzieniec wskazał mu drogę; ale jako że o ćwierć mili trakt rozchodził się trzema ścieżkami w trzy różne strony, podróżny poprosił Luigiego, by mu posłużył za przewodnika, w obawie, że znów się zabłąka.

Luigi zrzucił płaszcz, wziął na ramię fuzję i pozbywszy się w ten sposób ciężaru ubrania, puścił się naprzód swym krokiem górala, za którym koń ledwo mógł nadążyć.

Dziesięć minut później byli już na rozstajach.

Przybywszy na miejsce, Luigi wskazał majestatycznym imperatorskim gestem, którędy podróżny powinien jechać:

— Oto droga ekscelencji, teraz pan już nie zbłądzisz.

— A oto twoja nagroda za fatygę — to mówiąc, podróżny podał młodzieńcowi kilka drobnych monet.

— Dziękuję — rzekł Luigi, cofając rękę. — Oddaję usługi, ale ich nie sprzedaję.

— Ale — odpowiedział podróżny, który jak widać znał różnicę między służalczym charakterem mieszczuchów i dumną postawą ludzi ze wsi — jeżeli nie chcesz wynagrodzenia, może przyjmiesz podarunek?

— A, to co innego.

— Przyjmij więc te dwa weneckie cekiny i ofiaruj je narzeczonej, zrobi sobie z nich ładne kolczyki.

— A pan w takim razie niech przyjmie ode mnie ten sztylet — rzekł młody pasterz. — Od Albano po Civita-Castellana nie znajdzie pan tak pięknie rzeźbionej rękojeści.

— Przyjmuję — odrzekł podróżny — ale w takim razie ja będę twoim dłużnikiem, bo ten sztylet wart jest daleko więcej niż dwa cekiny.

— Dla kupca może tak, ale dla mnie, który go sam rzeźbiłem, wart najwyżej piastra.

— Jakże się nazywasz? — zapytał podróżny.

— Luigi Vampa — odpowiedział pasterz z taką miną, jakby mówił: „Aleksander, król Macedonii". — A pan?

— Sindbad Żeglarz.

Franz d'Epinay krzyknął ze zdziwienia.

— Sindbad Żeglarz! — powtórzył.

— No tak — rzekł narrator. — Podróżny podał Vampie właśnie takie nazwisko.

— I cóż masz przeciw temu nazwisku? — wtrącił się Albert. — To bardzo piękne miano; muszę przyznać, że w dzieciństwie bardzo mnie bawiły przygody patrona tego pana.

Franz nie dopytywał się dłużej. Dobrze rozumiemy, że wzmianka o Sindbadzie Żeglarzu obudziła w nim wiele wspomnień.

— No, mów pan dalej — zachęcił gospodarza.

— Vampa włożył niedbale dwa cekiny do kieszeni i poszedł wolno tam, skąd przyszedł. Gdy był już jakieś trzysta kroków do groty, wydało mu się, że usłyszał krzyk. Zatrzymał się, chcąc dojść, skąd dochodził ten krzyk. Po sekundzie posłyszał wyraźnie swoje imię.

Skoczył jak kozioł, nabijając w biegu strzelbę i w minutę dobiegł pagórka leżącego naprzeciw wzgórza, na którym spostrzegł podróżnego. Tam wyraźniej dobiegło go wołanie: „Na pomoc!".

Ogarnął wzrokiem przestrzeń wokół: jakiś mężczyzna unosił Teresę, niczym centaur Nessus Dejanirę[653].

Człowiek ten pokonał już trzy czwarte drogi z groty do lasu.

Vampa ocenił odległość: mężczyzna był już oddalony przynajmniej o dwieście kroków, próżno więc byłoby go ścigać.

Pasterz stanął jak wryty. Przycisnął kolbę strzelby do ramienia, wymierzył w kierunku porywacza, chwilę prowadził go wzrokiem w biegu — i wypalił.

Porywacz zatrzymał się, zachwiał i upadł, pociągając za sobą Teresę.

Teresa jednak zaraz się podniosła, a zbójca został na ziemi, wijąc się w drgawkach agonii.

Vampa podskoczył szybko do Teresy, bo zaledwie dziesięć kroków od konającego upadła ponownie; młodzieniec przeląkł się, czy kula, która dosięgła nieprzyjaciela, nie zraniła także i jego narzeczonej.

Szczęściem nic się nie stało, to tylko strach poraził siły Teresy. Luigi, przekonawszy się, że nic jej nie jest, zwrócił się ku rannemu.

A tamten właśnie oddał ostatnie tchnienie; leżał z zaciśniętymi pięściami, usta wykrzywiał mu ból, włosy zjeżyły się i zwilgotniały od śmiertelnego potu.

Otwarte oczy jakby groziły zemstą.

Vampa podszedł do trupa i poznał Cucumetta.

W dniu, gdy młodzi ocalili bandytę, Cucumetto zakochał się w Teresie i poprzysiągł sobie, że musi ją posiąść. Od tej chwili śledził ją ciągle, a upatrzywszy chwilę, gdy Vampa zostawił ją samą, by wskazać drogę podróżnemu, porwał ją i już sądził, że jest jego własnością, gdy kula Vampy przeszyła mu serce.

Vampa patrzył przez chwilę na trupa, nie okazując najmniejszej emocji, podczas gdy Teresa drżała jeszcze, nie ośmielając się zbliżyć do zabitego; drobnymi kroczkami przysunęła się do Vampy i przez ramię kochanka obrzuciła spojrzeniem trupa.

Po chwili Vampa odwrócił się do kochanki.

— O, dobrze, przebrałaś się już — rzekł — teraz kolej na mnie.

Teresa rzeczywiście zdążyła przyodziać się w kostium hrabianki.

Vampa podniósł ciało Cucumetta i zawlókł do groty; Teresa czekała na niego u wejścia.

Gdyby nadjechał teraz znów jakiś podróżny, zobaczyłby rzecz szczególną: pasterkę pasącą owce w kaszmirowej sukni strojną w kolczyki i kolię z pereł; we włosach lśniły jej brylantowe szpilki, a kaszmir usiany był guziczkami szafirowymi, szmaragdowymi i rubinowymi.

Wydałoby mu się z pewnością, że przeniósł się w czasy Floriana[654], a wróciwszy do Paryża zapewniałby, że widział pasterkę alpejską siedzącą u stóp Gór Sabińskich.

Po kwadransie Vampa wyszedł z groty. Jego ubiór był w swoim rodzaju nie mniej elegancki, jak kostium Teresy. Miał na sobie wiśniowy aksamitny kubrak ze złotymi cyzelowanymi guzikami i jedwabną, całkiem zahaftowaną kamizelkę; szyję owijał mu rzymski szal, ładownica[655] była pikowana złotem oraz czerwono-zielonym jedwabiem,

[653] *niczym centaur Nessus Dejanirę* (mit. gr.) — Dejanira była gr. królewną i żoną Heraklesa, którą podstępnie uprowadził centaur imieniem Nessos (łac. *Nessus*). Heros zabił porywacza zatrutą strzałą. [przypis edytorski]

[654] *Florian*, właśc. *Marcus Annius Florianus* (ok. 200–276) — rzym. cesarz, zmarł po zaledwie 88 dniach panowania. [przypis edytorski]

[655] *ładownica* — pojemnik na amunicję. [przypis edytorski]

błękitne aksamitne spodnie zapinały się pod kolanem na diamentowe sprzączki, kamasze zrobione były ze skóry daniela[656] i zdobne w plątaninę arabesek; u kapelusza powiewały różnobarwne wstążki, dwa zegarki wisiały mu u pasa, a wspaniały sztylet wyglądał zza ładownicy.

Teresa krzyknęła z zachwytu. Vampa podobny był teraz do postaci z obrazów Leopolda Roberta[657] albo Schnetza[658].

Przyodział się bowiem w strój Cucumetta.

Młodzieniec spostrzegł, jakie wrażenie wywarł na narzeczonej, i dumny uśmiech przewinął mu się po wargach.

— A teraz — zwrócił się do Teresy — powiedz, jesteś gotowa podzielić mój los, jakikolwiek będzie?

— O, tak! — zawołała z zapałem.

— I pójdziesz ze mną wszędzie?

— I na koniec świata.

— No, to weź mnie za rękę i chodźmy, bo nie mamy chwili do stracenia.

Dziewczyna podała kochankowi dłoń, nie pytając nawet, gdzie ją prowadzi; Luigi wydawał jej się w tej chwili piękny, wspaniały i potężny jak bóg.

I zagłębili się w las.

Nie potrzebujemy mówić, że Vampa znał doskonale wszystkie górskie szlaki; szedł więc w las śmiało, choć nie wiodła tędy żadna droga; rozpoznawał kierunek, w jakim musieli podążać jedynie po drzewach i krzewach; szli tak z półtorej godziny.

Dotarli do największej gęstwiny w lesie. Koryto wyschłego potoku prowadziło w głęboki wąwóz. Vampa skierował się w tę dziwaczną drogę, która — ściśnięta między dwoma ścianami i pomroczniała od cieni sosen — przypominałaby, gdyby nie to niełatwe zejście, ową ścieżkę nad jeziorem Averno[659], którą opisuje Wergiliusz.

Teresa, która znów drżała z lęku, znalazłszy się w tak dzikim pustkowiu, tuliła się tylko do swego przewodnika, nie mogąc wypowiedzieć słowa; ale równy krok Vampy, głęboki spokój malujący się na jego licach dały jej siłę, by przynajmniej ukryć swoje obawy.

Nagle dziesięć kroków przed nimi jakiś człowiek oderwał się od drzewa, za którym czatował i wziął Vampę na cel, wołając:

— Ani kroku dalej, bo zginiesz!

— No, no, spokojnie — zawołał Vampa, machnąwszy z pogardą ręką, gdy tymczasem Teresa, nie ukrywając już strachu, przytuliła się do niego. — Czyż wilki pożerają się nawzajem?

— Kim jesteś? — zapytał strażnik.

— Luigi Vampa, pasterz z majątku hrabiego San Felice.

— Czego tu chcesz?

— Chcę pomówić z twoimi towarzyszami, którzy są na polanie Rocca Bianca.

— No to idź za mną — rzekł strażnik — albo raczej, kiedy znasz drogę, idź przodem.

Vampa uśmiechnął się pogardliwie na tę przezorność bandyty, przeszedł z Teresą naprzód i ruszył dalej tym samym jak dotąd śmiałym i spokojnym krokiem.

Po pięciu minutach bandyta dał znak, aby się zatrzymali; zakrakał trzy razy; na ten trzykrotny apel odpowiedziano mu podobnym krakaniem.

— W porządku — rzekł bandyta — możecie iść dalej.

Luigi i Teresa ruszyli naprzód.

Im dalej się posuwali, tym mocniej Teresa tuliła się, drżąc, do Luigiego; bo w istocie między pniami drzew dostrzec można było lśnienie sztyletów i luf strzelb.

---

[656] *daniel* — rodzaj ssaka z rodziny jeleniowatych, o rudobrązowej sierści z charakterystycznymi białymi plamami i łopatowatych rogach. [przypis edytorski]

[657] *Robert, Louis Léopold* (1794–1835) — malarz i grawer pochodzący ze Szwajcarii; przedstawiciel romantyzmu; tematem jego obrazów były portrety i sceny obyczajowe, przedstawiające wyidealizowany obraz Włoch. [przypis edytorski]

[658] *Schnetz, Jean Victor* (1787–1870) — fr. malarz, przedstawiciel akademizmu w sztuce. [przypis edytorski]

[659] *jezioro Averno* (wł. *Lago d'Averno*, łac. *Avernus*) — znajdujące się na zach. brzegu Włoch jezioro wulkaniczne; uważane przez starож. Rzymian za bramę do krainy zmarłych; Wergiliusz w *Eneidzie* opisuje zejście bohaterów do podziemia właśnie przez jezioro Averno. [przypis edytorski]

Polana Rocca Bianca zajmowała wierch niezbyt wyniosłego wzgórza, które niegdyś musiało być wulkanem, który wygasł, nim jeszcze Romulus i Remus[660] opuścili Albę i założyli Rzym.

Na szczycie Teresa i Luigi stanęli oko w oko z dwudziestoma bandytami.

— Ten chłopak was szukał. Chce z wami mówić — rzekł strażnik.

— I cóż on nam chce powiedzieć? — zapytał bandyta, który pod nieobecność wodza pełnił jego funkcje.

— Chcę wam powiedzieć, że znudziło mnie rzemiosło pasterza — rzekł Vampa.

— Aha, rozumiem — rzekł dowódca — chcesz do nas przystąpić?

— Witaj nam! — zawołano z wielu stron: to poznali Vampę bandyci z Ferrusino, Pampinary i Anagni.

— Tak, ale nie po to tu przyszedłem.

— No to czego od nas chcesz? — zawołali zdziwieni.

— Chcę zostać waszym naczelnikiem — odparł młodzieniec.

Bandyci wybuchnęli śmiechem.

— A cóż takiego zrobiłeś, byś miał prawo ubiegać się o ten zaszczyt? — spytał zastępca.

— Zabiłem waszego herszta, patrzcie: to ubiór Cucumetta; i podpaliłem pałac San Felice, by mojej narzeczonej ofiarować ślubną suknię.

W godzinę później Vampa został obrany hersztem na miejsce Cucumetta.

— I co powiesz, kochany Albercie? — rzekł Franz, zwracając się do przyjaciela. — Co myślisz o obywatelu Luigim Vampie?

— Uważam go za mit — odparł Albert. — Vampa nigdy nie istniał.

— Co to jest mit? — zapytał Pastrini.

— O, długo by opowiadać, kochany panie Pastrini — odpowiedział Franz. — Mówisz pan, że Vampa wykonuje swoje rzemiosło w okolicach Rzymu?

— Tak, i to z taką zuchwałością, jak nikt przed nim.

— I policja nie jest w stanie go pojmać?

— Co robić! Ma on konszachty z pastuchami z równiny, rybakami znad Tybru i przemytnikami z wybrzeża. Kiedy go szukają w górach, on jest nad Tybrem; wysyłają tam za nim pogoń — on ucieka na morze; a potem nagle, gdy wszyscy sądzą, że się kryje na wyspie il Giglio, Guanouti lub Monte Christo, zjawia się w Albano, Tivoli lub w Ricci.

— A jak się obchodzi z podróżnymi?

— Mój Boże! Bardzo prosto. Stosownie do odległości, w jakiej znajduje się najbliższe miasto, daje im sześć, osiem lub dwanaście godzin na złożenie okupu. Po upływie terminu daje jeszcze z łaski godzinę; a w sześćdziesiątej minucie, jeśli pieniądze nie nadeszły, wypala porwanemu w łeb albo też pakuje mu sztylet w pierś i koniec.

— No, Albercie — odezwał się Franz. — I co, nadal zamierzasz jechać do Koloseum drogą za murami?

— Naturalnie — rzekł Albert. — Skoro ta droga jest bardziej malownicza...

W tejże chwili wybiła dziesiąta, drzwi się otwarły i wszedł dorożkarz.

— Jaśnie panowie — rzekł — powóz czeka.

— Dobrze — powiedział Franz — w takim razie, do Koloseum!

— Czy przez bramę del Popolo czy przez miasto?

— Przez miasto, do diabła, przez miasto! — wykrzyknął Franz.

— E, mój drogi — wzruszył ramionami Albert, podnosząc się i zapalając trzecie cygaro — myślałem, że masz więcej odwagi.

Po czym młodzieńcy zeszli na dół i wsiedli do powozu.

34. NIEZNAJOMY

Franz znalazł jednak sposób, aby Albert ujrzał Koloseum, nie zobaczywszy wcześniej żadnych innych ruin — tak, aby stopniowane wrażenia nie ujęły olbrzymowi nic z jego

[660] *Romulus i Remus* — bracia bliźniacy, wnukowie króla miasta Alba Longa, legendarni założyciele Rzymu (data tradycyjnie ustalona na rok 753 p.n.e.); zaraz po narodzinach skazani przez stryja na śmierć, zostali umieszczeni w koszyku, który popłynął z nurtem rzeki, i tym sposobem ocaleli; według podań braci znalazła i karmiła swoim mlekiem wilczyca. [przypis edytorski]

gigantycznych proporcji. Trzeba więc było jechać ulicą Sistinia, skręcić przed bazyliką Santa Maria Maggiore i przez via Urbana, mijając w pobliżu Świętego Piotra w Okowach, dotrzeć na via del Colosseo.

Trasa ta przedstawiała inne jeszcze korzyści: nie wyrywała Franza z zamyślenia, jakie nań sprowadziła opowieść pana Pastriniego, w którą zamieszany był tajemniczy amfitrion Franza z Monte Christo. Wsunął się więc w kąt powozu, podparł łokciem i oddał rozważaniom nad tysiącem pytań, z których na żadne nie potrafił sobie udzielić odpowiedzi.

Jedna jeszcze rzecz przypominała Franzowi jego znajomego Sindbada Żeglarza; owe tajemnicze stosunki łączące bandytów i marynarzy. To, co powiedział imć Pastrini o kryjówkach Vampy na łodziach rybackich i przemytniczych, przypominały Franzowi dwóch bandytów korsykańskich, których zastał, jak w najlepsze zajadali kolację z załogą jachtu, co potem zboczył z trasy i zawinął do Porto Vecchio jedynie po to, by wysadzić ich na ląd. Właściciel hotelu znał przydomek pana na Monte Christo, co z kolei stanowiło dowód, że ów człowiek odgrywa rolę filantropa nie tylko przy brzegach Korsyki, Toskanii, Hiszpanii, ale na wybrzeżach w okolicy Piombino, Ostii[661], Civitavecchia i Gaety[662]; a skoro sam nieznajomy wspomniał o Tunisie i Palermo, dowodziło to, że sfera jego działań była nader rozległa.

Jakkolwiek te rozmyślania zawładnęły nim tak mocno, rozpierzchły się w chwili, gdy nagle wyrosła przed nimi posępna, olbrzymia zjawa Koloseum, przez którego otwory księżyc rzucał długie, blade promienie, jakby z oczu upiora. Powóz stanął o parę kroków od Meta Sudans[663]. Dorożkarz otworzył drzwiczki, młodzieńcy wyskoczyli i znaleźli się oko w oko z ciceronem, który wyrósł jakby z podziemi.

Pojechał z nimi przewodnik z hotelu — mieli więc już dwóch.

Niepodobna uniknąć w Rzymie nadmiaru przewodników; oprócz cicerona, który bierze nas we władanie, zaledwie wysuniemy nogę za próg hotelu, a opuszcza dopiero wtedy, gdy wyjeżdżacie, są jeszcze ciceroni specjalni, którzy czyhają przy każdym zabytku historycznym, a powiedziałbym nawet, że przy każdym jego ułamku z osobna; osądź sam, czytelniku, ilu to ciceronów może czekać przy Koloseum, owym zabytku nad zabytkami, monumencie nad monumentami, o którym Martial[664] tak mówi:

„Niech Memfis przestanie nam już zachwalać barbarzyński cud swoich piramid, nie opiewajcie już uroków Babilonu; to wszystko musi ustąpić przed ogromem, jakim jest amfiteatr Cezarów; wszystkie głosy winny się połączyć, by wysławiać tę budowlę"[665].

Franz i Albert nawet nie usiłowali się uwolnić spod despotycznej władzy ciceronów. Zresztą byłoby to o tyle trudne, że tylko przewodnicy mieli pozwolenie, by chodzić po Koloseum z pochodniami. Nie stawili więc żadnego oporu i zdali się na łaskę i niełaskę przewodników.

Franz znał tę zwyczajową trasę, przebył ją już z dziesięć razy. Ale że towarzysz pierwszy raz wkraczał do budowli Flawiusza Wespazjana[666], powinienem przyznać — na pochwałę Alberta — że mimo głupiej paplaniny cicerona budowla wywarła na nim ogromne wrażenie. I rzeczywiście — jeśli się tego na własne oczy nie widziało, trudno mieć jakiekolwiek pojęcie o majestacie tych ruin, których wymiary podwajają się jeszcze przy tajemniczej poświacie owego księżyca krajów południowych.

---

[661] *Ostia* — antyczne miasto portowe przy ujściu rzeki Tyber do Morza Tyrreńskiego, stanowiące port morski dla odległego o ok. 25 km Rzymu. [przypis edytorski]

[662] *Gaeta* — niewielkie miasto portowe na zach. wybrzeżu Włoch, w regionie Lacjum. [przypis edytorski]

[663] *Meta Sudans* — monumentalna fontanna w kształcie stożka wzniesiona pod koniec I w. n.e.; znajdowała się w pobliżu Koloseum, lecz w XX w. uległa całkowitemu zniszczeniu. [przypis edytorski]

[664] *Martial*, właśc. *Marcus Valerius Martialis* (I w. n.e.) — także: Marcjalis; poeta rzymski, specjalizujący się w epigramatach; z okazji budowy Koloseum opublikował *Księgę Widowisk*, tj. tomik poezji zachwalający amfiteatr i mające tam miejsce igrzyska. [przypis edytorski]

[665] *Niech Memfis przestanie (…)* — urywek pierwszego epigramatu Marcjalisa z *Księgi Widowisk*; podmiot liryczny odnosi się do dwóch cudów świata starož. (piramid w pobliżu Memfis i wiszących ogrodów Semiramidy w Babilonie), sugerując, że Koloseum jest jeszcze większym od nich architektonicznym i cywilizacyjnym dokonaniem. [przypis edytorski]

[666] *Flawiusza Wespazjana*, właśc. *Titus Flavius Vespasianus* (9–79 n.e.) — cesarz rzymski, założyciel dynastii Flawiuszów, reformator państwowości rzymskiej; rozbudowywał Rzym, umocnił granice państwa; za dynastii Flawiuszów wybudowane zostało Koloseum, stąd jego alternatywna nazwa: Amfiteatr Flawiuszów. [przypis edytorski]

Gdy więc tylko Franz przeszedł w zamyśleniu sto kroków pod portykami wewnętrznymi, zostawił Alberta w rękach przewodników, którzy absolutnie wierni rządzącym tu prawom chcieli pokazać mu w szczegółach Fosę Lwów, Lożę Gladiatorów i Podium; i sam, pozwalając im iść dalej utartą trasą, wdrapał się po na wpół zniszczonych schodach i usiadł po prostu w cieniu kolumny, skąd przez wyłom w murze mógł granitowego olbrzyma objąć wzrokiem w całym jego majestacie.

Franz siedział już prawie kwadrans w cieniu kolumny, obserwując Alberta, który w asyście dwóch ludzi z pochodniami opuszczał właśnie *vomitorium*[667]. Podobni cieniom snującym się za błędnym ognikiem schodzili stopień po stopniu ku honorowym miejscom westalek[668]; i właśnie wtedy Franzowi wydało się, że w głębi budowli potoczył się nagle kamień oderwany od schodów po drugiej stronie kolumny, pod którą siedział. Nie jest w tym wprawdzie nic szczególnego, że kamień kruszy się pod stopą czasu i spada w przepaść; ale tym razem Franzowi wydało się, że kamień ustąpił pod stopą ludzką i że dociera do niego już nawet odgłos kroków, choć sprawca tego odgłosu czynił wszystko, by go przytłumić.

W istocie po chwili jakiś człowiek z wolna zaczął wyłaniać się z cienia, w miarę jak wstępował po schodach, które kończyły się tuż obok miejsca, gdzie siedział Franz; dolne partie schodów tonęły w coraz głębszej ciemności, wyżej — oświetlał je blask księżyca.

Mógł to być jakiś podróżny, co jak on wolał samotne rozmyślania od czczej gadaniny przewodników, jego obecność przeto nie miała w sobie nic zadziwiającego; lecz wahanie, z jakim nieznajomy wchodził na najwyższe stopnie, jego niecierpliwość, z jaką, stanąwszy już u szczytu schodów, jął nasłuchiwać, dowodziły, że przyszedł tu w jakimś konkretnym zamiarze i że na kogoś czeka.

Franz schował się instynktownie najlepiej jak mógł za kolumną.

Dziesięć stóp nad nimi w zniszczonym sklepieniu przez okrągły otwór podobny do cembrowiny[669] studni przezierało niebo usiane gwiazdami. Wokół tego otworu, przez który już pewnie od setek lat zaglądały księżycowe promienie, rosły krzewy, których misterne zielone gałązki odcinały się ostro od matowego szafiru nieba, a długie liany i potężne pędy bluszczu zwisały z tego górnego tarasu, kołysząc się pod sklepieniem niczym luźne sznury olinowania.

Nieznajomy, którego tajemnicze przybycie przyciągnęło uwagę Franza, stał w półmroku, co nie pozwalało Franzowi przypatrzeć się jego rysom; ale że ciemności nie były zupełne, obejrzał uważnie jego ubiór; mężczyzna owinięty był w szeroką pelerynę, której fałda przerzucona przez ramię kryła mu dolną część twarzy, zaś nasunięty na oczy kapelusz o szerokim rondzie zasłaniał część górną. Ukośnie padające przez otwór promienie księżyca oświetlały jedynie dół czarnych pantalonów, które wykwintnie układały się na lakierowanych trzewikach.

Widać było, że nieznajomy pochodzi jeżeli nie z arystokracji, to przynajmniej z wysokich sfer społecznych.

Stał w miejscu już kilka minut i wyraźnie zdawał się niecierpliwić, gdy na górnym tarasie dał się słyszeć szelest.

W tejże chwili jakiś cień zasłonił światło; w ramie otworu pojawił się człowiek, który, wytężywszy wśród ciemności wzrok, dostrzegł mężczyznę w pelerynie; złapał pęk zwisających lian i bluszczu, ześliznął się po nich, a znalazłszy się trzy czy cztery stopy nad ziemią, lekko zeskoczył. Nowo przybyły miał na sobie strój mieszkańca Transtevere[670].

— Niech mi ekscelencja wybaczy — rzekł w rzymskim dialekcie — żem dał na siebie czekać. Jednak spóźniłem się nie więcej niż kilka minut. Dopiero co na wieży Świętego Jana z Lateranu wybiła dziesiąta.

---

[667] *vomitorium* (łac.) — przejście prowadzące na stadion lub do teatru wykorzystywane w starożytnym rzym. budownictwie; z łac. *vomere*, czyli wymiotować, wyrzucać, zionąć. [przypis edytorski]

[668] *westalka* — kapłanka strzegąca świętego ognia w świątyni bogini Westy (patronki ogniska domowego) w staroż. Rzymie; westalki składały śluby czystości, nosiły biały strój i cieszyły się wielkim szacunkiem społecznym. [przypis edytorski]

[669] *cembrowina* — murowane umocnienie zbiornika wodnego. [przypis edytorski]

[670] *Transtevere*, właśc. *Trastevere* (z łac. *trans Tiberim*: za Tybrem) — Zatybrze; dzielnica Rzymu zamieszkiwana przez najuboższych i społeczność żydowską. [przypis edytorski]

— Nie spóźniłeś się, to ja przyszedłem za wcześnie — odpowiedział nieznajomy w najczystszym języku toskańskim. — Nie musisz się tłumaczyć. Zresztą nawet gdybyś się spóźnił, domyśliłbym się przecież, że stało się to z przyczyny niezależnej od ciebie.

— I miałby pan wtedy słuszność, ekscelencjo. Wracam właśnie z Zamku Świętego Anioła[671], gdzie po wielkich trudnościach udało mi się rozmówić z Beppem.

— Co to za jeden, ten Beppo?

— Beppo jest dozorcą więziennym, któremu wypłacam niewielką pensyjkę, by wiedzieć, co się dzieje w zamku Jego Świątobliwości.

— Aha! Widzę, mój drogi, że jesteś bardzo przezorny!

— Cóż robić! Kto wie, co się może wydarzyć? Być może ja też wpadnę kiedyś w sidła jak biedny Peppino. Czyż nie będę wtedy potrzebował jakiegoś szczura, aby mi przegryzł parę oczek siatki?

— Krótko mówiąc, czegoś się dowiedział?

— We wtorek odbędą się dwie egzekucje, jak każe zwyczaj, przed otwarciem uroczystości karnawałowych. Jeden ze skazanych ma być *mazzolato*[672]: to nędznik, co zamordował księdza, swego opiekuna — ten nie zasługuje na żadną litość; drugi ma być *decapitato*[673] i ma to być właśnie biedny Peppino.

— Dziwisz się, mój drogi? Wzbudzasz trwogę nie tylko w rządzie papieskim, ale i w sąsiednich królestwach; zdecydowano więc ukarać go dla przykładu.

— Ależ Peppino nie należał nawet do mojej bandy, to biedny pasterz, który nie popełnił żadnej innej zbrodni prócz tej, że dostarczał nam żywność.

— To wystarcza, by uznać go za waszego wspólnika. Zresztą widzisz, mój kochany, że mają nawet dla niego pewne względy: zamiast go zamęczyć na śmierć (co ciebie nie ominie, jeśli wpadniesz im kiedyś w ręce) zadowolą się ścięciem mu głowy. Zresztą tak odmienne widowiska będą mogły zadowolić różne gusta widzów.

— Nie licząc tego widowiska, które ja im przygotuję, a którego się ani spodziewają — podjął mieszkaniec Transtevere.

— Mój drogi, daruj — rzekł nieznajomy w pelerynie — ale widzę jednak, że jesteś chyba gotów popełnić jakieś głupstwo.

— Jestem gotów zrobić wszystko, by nie dopuścić do egzekucji na tym biedaku, który wpadł w kłopoty, bo oddawał mi przysługi. Klnę się na Najświętszą Pannę! Miałbym się za tchórza, gdybym nie zrobił czegoś dla tego zacnego chłopca.

— Cóż tedy zrobisz?

— Ustawię ze dwudziestu ludzi wokół szafotu i w chwili, gdy go przyprowadzą, na dany przeze mnie znak skoczymy ze sztyletami na eskortę i odbijemy go.

— To według mnie bardzo ryzykowne; jestem przekonany, że mój projekt jest lepszy.

— A jakiż jest projekt ekscelencji?

— Dam, komu trzeba, dziesięć tysięcy piastrów; odłożą egzekucję Peppina do przyszłego roku; potem w ciągu roku dam kolejny tysiąc drugiej osobie, dzięki której Peppino ucieknie z więzienia.

— Ekscelencja jest pewien, że to się powiedzie?

— *Pardieu*![674] — zaklął z francuska nieznajomy w płaszczu.

— Przepraszam, ekscelencjo?

— Zaręczam ci, mój drogi, że więcej dokażę ja moim złotem niż ty i twoi ludzie ze swoimi sztyletami, pistoletami, strzelbami i garłaczami. Zdaj się na mnie.

— Doskonale! Ale jeżeli się panu nie uda, my będziemy w pogotowiu.

— A bądźcie sobie w pogotowiu, jeśli sprawia to wam przyjemność, ale możesz być pewien, że wyjednam dla niego ułaskawienie.

— Niech pan pamięta, że wtorek to pojutrze! Ma pan tylko jeden dzień.

---

[671] *Zamek Świętego Anioła* a. *Mauzoleum Hadriana* — monumentalny grobowiec cesarza Hadriana, w kształcie cylindra; przemianowany pod koniec VI w. na Zamek Świętego Anioła na pamiątkę objawienia się nad nim anioła zwiastującego koniec panującej wtedy w Rzymie zarazy. [przypis edytorski]

[672] *mazzolato* (wł.: pobity) — poddany karze śmierci (tzw. *mazzolatura* a. *mazzolata*) polegającej na zadaniu uderzenia w głowę bronią obuchową. [przypis edytorski]

[673] *decapitato* (wł.: ścięty) — poddany egzekucji poprzez ścięcie głowy, czyli dekapitacji. [przypis edytorski]

[674] *pardieu!* (fr.) — na Boga! [przypis edytorski]

— Tak, ale dzień składa się z dwudziestu czterech godzin, godzina z sześćdziesięciu minut, a minuta z sześćdziesięciu sekund; przez osiemdziesiąt sześć tysięcy czterysta sekund można wiele zdziałać.

— A jakże się dowiemy, jeżeli ekscelencji powiodą się zabiegi?

— O, bardzo prostym sposobem. Wynająłem trzy ostatnie okna w pałacu Rospolich[675]; jeżeli otrzymam ułaskawienie, dwa narożne okna każę wybić[676] żółtym adamaszkiem[677], a środkowe białym, z naszytym czerwonym krzyżem.

— Wybornie! A kto doręczy od pana ułaskawienie?

— Przyślijcie mi któregoś ze swoich ludzi w przebraniu pokutnika[678], to mu dam. Jego habit utoruje mu drogę aż do samego rusztowania, odda papier starszemu bractwa, a ten wręczy je katowi. Tymczasem daj o tym znać Peppinowi, żeby czasem nie umarł lub nie oszalał ze strachu, bo byśmy wydali niepotrzebnie pieniądze.

— Niech pan posłucha, ekscelencjo — powiedział rzekomy chłop. — Jestem panu mocno oddany i nie wątpi pan o tym, prawda?

— Mam przynajmniej taką nadzieję.

— A więc, jeżeli ocali pan Peppina, przysięgam, że będzie mógł pan liczyć na więcej niż oddanie, bo na posłuszeństwo.

— Uważaj na to, co mówisz, mój drogi! Być może przypomnę ci to kiedyś, bo może pewnego dnia i ja będę cię potrzebował?

— Cóż, wtedy ekscelencja znajdzie mnie zawsze w razie potrzeby, tak jak ja znalazłem pana dzisiaj. I wtedy choćby był pan na drugim końcu świata, skoro tylko mi pan napisze: „zrób to", a ja zrobię wszystko, jakem...

— Ciii! — szepnął nieznajomy. — Słyszę coś.

— To jacyś podróżni zwiedzają przy świetle pochodni Koloseum.

— Lepiej niech nas tu razem nie spotkają. Przewodnicy wszędzie szpiegują, mogliby cię poznać; jakkolwiek twoja przyjaźń jest dla mnie zaszczytem, mógłbym utracić dobrą opinię, gdyby dowiedziano się o takiej zażyłości między nami.

— A zatem, jeśli uzyska pan ułaskawienie?

— Środkowe okno będzie zasłonięte białym adamaszkiem z czerwonym krzyżem.

— A jeżeli się nie uda?

— Wszystkie okna będą żółte.

— Cóż wtedy?...

— Wtedy, drogi przyjacielu, pozwalam: możecie dobyć sztyletów, a ja będę patrzył, jak wam pójdzie.

— Do widzenia, ekscelencjo, liczę na pana, a pan może liczyć na mnie.

Po tych słowach Transteverczyk zbiegł jak strzała po schodach, nieznajomy zaś, zasłaniając twarz peleryną szczelniej niż poprzednio, przemknął dwa kroki od Franza i zszedł na arenę zewnętrznymi schodami.

Sekundę później imię Franza rozbrzmiało echem pod sklepieniami: to wołał go Albert.

Nim odpowiedział, poczekał, aż dwaj mężczyźni oddalą się jeszcze bardziej; nie chciał bowiem zdradzić, że mieli świadka, który jeśli nawet nie widział ich twarzy, nie stracił nawet słowa z ich rozmowy.

Dziesięć minut później jechali już do hotelu. Franz słuchał z niemal niegrzecznym roztargnieniem, jak Albert snuje, odwołując się do Pliniusza[679] i Calpurniusa[680], uczone

[675] *pałac Rospolich*, właśc. *Palazzo Ruspoli* — renesansowy pałac w Rzymie. [przypis edytorski]

[676] *wybić* — tu: pokryć tkaniną. [przypis edytorski]

[677] *adamaszek* — wzorzysta tkanina z rysunkiem z błyszczących i matowych splotów tkackich. [przypis edytorski]

[678] *pokutnik* — człowiek odbywający pokutę, często wyróżniający się specjalnym odzieniem pokutnym. [przypis edytorski]

[679] *Pliniusz*, właśc. *Gaius Plinius Secundus* (23–79) — zwany także Pliniuszem Starszym; historyk i pisarz rzym., autor dzieła *Naturalis historia* (*Historia naturalna*), stanowiącego rodzaj encyklopedii w 37 księgach. [przypis edytorski]

[680] *Calpurnius*, właśc. *Titus Calpurnius Siculus* — poeta rzymski żyjący w I w. n.e., autor bukolik. [przypis edytorski]

dysertacje[681] na temat siatek najeżonych kolcami, które nie pozwalały dzikim zwierzętom rzucać się na widzów.

Franz nie przerywał mu, ani nie wtrącał się w te wywody; śpieszno mu było znaleźć się w samotności, by zastanowić się w spokoju nad tym, co wydarzyło się przed chwilą.

Z tych dwóch ludzi jednego Franz na pewno nie znał; pierwszy raz go słyszał i widział, ale co do drugiego, rzecz się miała całkiem inaczej. Chociaż Franz nie mógł dopatrzeć się jego rysów to ginących w cieniu, to zasłoniętych peleryną, brzmienie tego głosu zbyt mocno uderzyło go za pierwszym razem, by mógł go nie rozpoznać. Miał on w sobie, a zwłaszcza w akcentach szyderczych, coś ostrego i metalicznego, co przejęło go drżeniem tak samo w ruinach Koloseum, jak w grocie na Monte Christo. Był przekonany, że ów mężczyzna był ni mniej ni więcej jak Sindbadem Żeglarzem.

W każdych innych okolicznościach ciekawość, jaką wzbudzał ów człowiek we Franzu, przemogłaby i Franz zdradziłby swoją obecność; ale rozmowa, którą podsłuchał, była tak poufna, że Franz nie pisnął ni słowa, powstrzymywany rozsądną myślą, że ukazując się nagle, nie sprawiłby nieznajomemu zbytniej przyjemności. Pozwolił mu więc odejść, ale przyrzekł sobie, że jeśli spotka go jeszcze raz, nie przepuści takiej okazji, jak uczynił tym razem.

Myśli pochłaniały go tak, że długo nie mógł zasnąć. Całą noc spędził na rozważaniach o wszystkim, co miało związek z panem groty i nieznajomym z Koloseum — wszystkie okoliczności wskazywały, że był to jeden i ten sam człowiek; im dłużej nad tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w takim przekonaniu.

Zasnął dopiero nad ranem i obudził się bardzo późno. Albert, jako prawdziwy paryżanin, zdążył już poczynić przygotowania na wieczór. Zarezerwował przez posłańca lożę w teatrze Argentina[682].

Franz zamierzał napisać wiele listów do Paryża, oddał więc Albertowi powóz na cały dzień.

O piątej Albert powrócił; złożył wszystkie swoje listy polecające, otrzymał mnóstwo zaproszeń na wieczory i pooglądał Rzym.

Na to wszystko wystarczył mu jeden dzień. Zdążył nawet dowiedzieć się, jaką sztukę będą grali w teatrze i jacy aktorzy wystąpią.

Wystawiano *Parisinę*[683] z Cosellim[684], Morianim[685] i panią Spech[686] w rolach głównych.

Nasi młodzieńcy nie byli więc, jak widzimy, tak bardzo pechowi: mieli zobaczyć jedną z najlepszych oper autora *Łucji z Lamermooru* i do tego w wykonaniu trójki aktorów należących do najlepszych włoskich artystów.

Albert nie mógł się w żaden sposób przyzwyczaić do tutejszych teatrów, w których osoby z towarzystwa nie mogły siadać w pierwszych rzędach parteru, w których nie było otwartych lóż ani balkonów; było to rzeczywiście nieprzyjemne dla człowieka, który miał własne krzesło w teatrze Bouffes i swoje miejsce w „loży dandysów" w Operze[687].

Nie przeszkadzało to jednak Albertowi ubierać się jak najwykwintniej za każdym razem, gdy wybierali się z Franzem do opery; próżne wysiłki, bo przyznać należy ku hańbie jednego z najgodniejszych przedstawicieli naszej złotej młodzieży, że minęło już cztery miesiące, jak Albert przebiegał Włochy, a nie zdarzyła mu się ani jedna przygoda miłosna.

Albert lubił czasem pożartować sobie na ten temat; ale w głębi duszy był zrozpaczony: on, Albert de Morcerf, jeden z najbardziej rozrywanych młodych ludzi w Paryżu, tutaj musiał się wciąż obywać smakiem. Sprawa była tym boleśniejsza, że Albert wyjechał

[681] *dysertacja* — tu: dyskusja naukowa. [przypis edytorski]

[682] *Teatr Argentina*, właśc. *Teatro Argentina* — rzym. teatr operowy otwarty w 1732 r.; w jego gmachu swoje premiery miały m.in. opery Rossiniego i Verdiego; wybudowany został w miejscu starożytnego Teatru Pompejusza. [przypis edytorski]

[683] *Parisina* — opera wł. kompozytora Gaetana Donizettiego (1798–1848) na podstawie poematu Byrona o tym samym tytule; do najważniejszych oper Donizettiego należą *Don Pasquale* i *Łucja z Lamermooru*. [przypis edytorski]

[684] *Coselli*, właśc. *Cosselli, Domenico* (1801–1855) — wł. śpiewak operowy, bas-baryton; występował w wielu operach Rossiniego; w operze *Parisina* wcielił się w rolę hrabiego Azzo. [przypis edytorski]

[685] *Moriani, Napoleone* (1808–1878) — wł. śpiewak operowy, tenor. [przypis edytorski]

[686] *Spech*, właśc. *Adelina Spech-Salvi* (1811–1886) — wł. śpiewaczka operowa, sopran. [przypis edytorski]

[687] *Opera* — tu: *Narodowa Opera Paryża*, zwana również *Operą Paryską*; jedna z najstarszych instytucji muzycznych w Europie; zastąpiła założoną przez Ludwika XIV *Académie Royale de Musique*. [przypis edytorski]

z Paryża z przekonaniem wspólnym dla wszystkich naszych ziomków — że we Włoszech odniesie ogromne sukcesy, o których będzie mógł potem opowiadać do woli, wzbudzając podziw u bywalców bulwaru Gandawskiego.

Niestety, nic z tego nie wychodziło: zachwycające hrabiny z Genui, Florencji i Neapolu nie odstępowały ani na krok nie tyle swoich mężów, ile swoich kochanków, i Albert nabył okrutnego dla siebie przekonania, że Włoszki w tym przynajmniej mają przewagę nad Francuzkami: trwają wiernie przy swojej niewierności.

Nie chcę przez to powiedzieć, że we Włoszech, jak zresztą wszędzie, nie zdarzały się wyjątki.

A przecież Albert był nie tylko doskonale wykwintnym młodzieńcem, ale nie brakło mu i zalet umysłu; prócz tego był wicehrabią — prawda, że świeżo upieczonym, ale dziś, gdy nikt nie wymaga okazywania dowodów, mniejsza o to, czy szlachectwo sięga roku 1399 czy też 1815! Ponadto posiadał dochód równy pięćdziesięciu tysiącom liwrów rocznie. Było to więcej niż trzeba, by utrzymywać się na fali w Paryżu. Czyż nie było to więc nieco upokarzające dla takiego młodzieńca, że nie zaznał do tej pory przychylności ze strony żadnej kobiety w żadnym mieście, jakie do tej pory zwiedził?

Liczył jednak na to, że wszystkie te niepowodzenia odbije sobie w Rzymie w czasie karnawału, który na całym świecie, gdzie by nie świętowano tego czcigodnego obyczaju, jest czasem swobody, w którym najbardziej cnotliwe dają się uwieść jakiemuś aktowi szaleństwa. Ponieważ zaś karnawał miał się otworzyć nazajutrz, dla Alberta było sprawą niezmiernie ważną, by oznajmić wszystkim swoje przybycie tuż przed rozpoczęciem.

I Albert wynajął w tym celu lożę w najbardziej widocznym miejscu w teatrze, a udając się na spektakl, wystroił się doprawdy nienagannie. Miejsce to znajdowało się w pierwszym rzędzie, co zastępuje naszą galerię. Zresztą trzy pierwsze piętra zajmowane są wszystkie przez arystokrację, dlatego też nazywa się je miejscami szlacheckimi.

Loża ta, w której mogło się pomieścić wygodnie dwanaście osób, kosztowała naszych przyjaciół nieco mniej niż loża na cztery osoby w teatrze Ambigu[688].

Albert żywił jeszcze inną nadzieję: gdyby udało mu się zakraść do serca jakiej rzymskiej piękności, zdobyłby naturalnym biegiem rzeczy również *un posto*[689] w powozie, a tym samym mógłby oglądać karnawał z wysokości arystokratycznej karety lub książęcego balkonu.

Wszystkie powyższe rozważania sprawiały, że Albert był dużo bardziej ruchliwy niż kiedykolwiek. Odwracał się tyłem do aktorów, wychylał się prawie do połowy z loży i lornetował wszystkie piękności za pomocą instrumentu długiego na sześć cali.

Starania Alberta nie pomagały mu jednak: ani jedna ładna kobieta nie nagrodziła choćby jednym spojrzeniem — nawet z czystej ciekawości — jego wysiłków.

I nic dziwnego; każdy tu mówił o swoich interesach, miłostkach, rozrywkach, jakie miał przynieść karnawał, który już jutro się zaczynał, o zbliżającym się Wielkim Tygodniu — nikt nie zwracał najmniejszej uwagi ani na aktorów, ani na sztukę; z wyjątkiem paru określonych chwil, gdy wszyscy zwracali wzrok na scenę, aby posłuchać fragmentu jakiegoś recytatywu[690] Cosellego, nagrodzić brawami Morianiego za szczególnie piękną nutę lub krzyknąć z zapałem dla pani Spech.

W końcu pierwszego aktu drzwi loży dotąd niezajętej otworzyły się i Franz ujrzał, jak wchodziła do niej osoba, której miał zaszczyt być przedstawionym w Paryżu, a o której sądził, że przebywa jeszcze we Francji. Albert spostrzegł poruszenie Franza zaskoczonego obecnością tej damy i odwrócił się ku niemu:

— Znasz tę kobietę?

— Znam, jakże ci się podoba?

— Urocza, mój drogi, i do tego blondynka! O, co za włosy! To Francuzka?

— Wenecjanka.

— Jak się nazywa?

[688] *teatr Ambigu*, właśc. *Théâtre de l'Ambigu-Comique* — słynny paryski teatr funkcjonujący w latach 1769–1827; wystawiano w nim wodewile, pantomimy i inne widowiska komediowe. [przypis edytorski]

[689] *un posto* (wł.) — miejsce. [przypis edytorski]

[690] *recytatyw* — melodeklamacja na tle muzycznym, element opery. [przypis edytorski]

— Hrabina G***[691].

— Ach, znam ją ze słyszenia — zawołał Albert. — Mówią, że równie inteligentna jak ładna. Do diabła! Kiedy pomyślę, że mogłem być jej przedstawiony na ostatnim balu u państwa de Villefortów i zaniedbałem taką okazję... O, co za głupiec ze mnie!

— Może chcesz naprawić ten błąd? — zapytał Franz.

— Co? Czyżbyś znał ją tak dobrze, że mógłbyś mnie zaprowadzić do jej loży?

— Rozmawiałem z nią kilka razy; ale jak wiesz, to wystarczy, by nie popełnić nietaktu.

W tej chwili hrabina spostrzegła Franza i pozdrowiła go wdzięcznym skinieniem dłoni, na co Franz odpowiedział, schylając z szacunkiem głowę.

— Ejże! Widzę, że jesteś z nią na bardzo dobrej stopie?

— O, proszę! Właśnie takie rzeczy wprowadzają nas, Francuzów, w błąd i sprawiają że popełniamy za granicą mnóstwo gaf; wszystko widzimy z własnego punktu widzenia; a w Hiszpanii i szczególnie we Włoszech nigdy nie należy wyciągać wniosków o zażyłości ludzi, sądząc po swobodzie ich zachowania. Pomiędzy hrabiną i mną istnieje tylko nić sympatii i to wszystko.

— Nić sympatii wiążąca dwa serca? — roześmiał się Albert.

— Nie, raczej umysły — odpowiedział poważnie Franz.

— I jakże powzięliście do siebie tę sympatię?

— Podczas przechadzki po Koloseum, takiej, jaką my też odbyliśmy.

— Przy świetle księżyca?

— Tak.

— Byliście sami?

— No tak.

— I rozmawialiście?...

— O zmarłych.

— Ach, toście się dopiero bawili! — zawołał Albert. — Cóż, zapewniam cię z mojej strony, że jeżeli będę miał kiedykolwiek szczęście być przy boku pięknej hrabiny w czasie takiej przechadzki, będę z nią mówił tylko o żywych.

— I być może nie postąpisz najmądrzej.

— A tymczasem przedstawisz mnie, jak przyrzekłeś?

— Zaraz, niech zapadnie kurtyna.

— U diabła, jaki długi ten pierwszy akt!

— Posłuchaj finału. Jest prześliczny, a Coselli cudownie to śpiewa.

— Tak, ale jaka tusza!

— Pani Spech gra jak prawdziwa artystka dramatyczna!

— Ee, rozumiesz, że kto słyszał takie artystki, jak pani Sontag[692] i pani Malibran[693]...

— Nie wydaje ci się, że Moriani ma doskonałą technikę?

— Nie lubię brunetów, kiedy śpiewają jak blondyni.

— O, mój drogi — rzekł Franz, odwracając się, gdy Albert nie przestawał lornetować na wszystkie strony. — Trudno ci dogodzić.

Wreszcie kurtyna spadła, ku wielkiemu zadowoleniu wicehrabiego de Morcerfa, który porwał co żywo cylinder, przygładził ręką włosy, poprawił halsztuk i mankiety i trącił Franza na znak, że już jest gotowy.

A skoro ze swojej strony hrabina, którą Franz zapytał spojrzeniem, dała znać, że chętnie go przyjmie u siebie, Franz nie zwlekał ni chwili, by zaspokoić niecierpliwość Alberta; gdy obchodzili półkolisty korytarz, Albert zdążył poprawić jeszcze kołnierzyk, który mógł mu się przecież wykrzywić pod wpływem ruchu, oraz wyłogi[694] fraka; i Franz zapukał lekko do loży nr 4, którą zajmowała hrabina.

---

[691] *Hrabina G**** — pod tym pseudonimem Dumas miał ukryć postać autentyczną, tj. Teresę Gambę (1800–1873), hrabinę Guiccioli i kochankę Lorda Byrona. [przypis edytorski]

[692] *Sontag, Henriette* (1805–1854) — niem. śpiewaczka operowa, sopran, wysoko ceniona w swojej sztuce. [przypis edytorski]

[693] *Malibran, Maria*, właśc. *Maria Felicità García* (1808–1836) — hiszp. kompozytorka i śpiewaczka operowa, mezzosopran; uważana na równi z Henriettą Sontag i Angeliką Catalani za największy talent operowy swoich czasów. [przypis edytorski]

[694] *wyłogi* — wywinięta klapa ubrania, dla ozdoby pokryta innym materiałem. [przypis edytorski]

Natychmiast młodzieniec siedzący przy niej z przodu loży ustąpił miejsca — według włoskiego zwyczaju — nowo przybyłemu, który z kolei powinien go ustąpić następnemu, który by się po nim pojawił.

Franz przedstawił hrabinie Alberta jako człowieka wyróżniającego się w Paryżu zarówno swoim statusem towarzyskim, jak i przymiotami umysłu, co było zresztą faktem: kręgi, w jakich obracał się Albert, nie mogłyby mu nic pod tym względem zarzucić. Dodał, że jego towarzysz, zrozpaczony, że nie mógł skorzystać z pobytu hrabiny w Paryżu, aby się jej przedstawić, poprosił go, by naprawił to, co Albert uważa za swój błąd; i że właśnie pragnie wywiązać się z tej misji, ale że samego Franza powinien ktoś do hrabiny wprowadzić, błagają, aby wybaczyła mu ten nietakt.

Hrabina ukłoniła się wdzięcznie Albertowi, a Franzowi podała rękę.

Na zaproszenie hrabiny Albert zajął próżne miejsce, Franz zaś siadł w drugim rzędzie za hrabiną.

Albert znalazł natychmiast wyśmienity temat rozmowy — Paryż — i szybko nakierował rozmowę na ich wspólnych znajomych. Franz stwierdził, że przyjaciel znalazł się w swoim żywiole. Nie wtrącał się więc do nich, a wziąwszy od Alberta jego olbrzymią lornetkę, zaczął rozglądać się po sali.

Naprzeciw niego w trzecim rzędzie loży siedziała wielkiej urody kobieta w greckim stroju, który nosiła z tak wielką swobodą, że było oczywiste, iż ubierała się tak zazwyczaj.

Za nią, w cieniu, rysowała się sylwetka mężczyzny, którego rysów twarzy niepodobna było rozpoznać.

Franz przerwał rozmowę Alberta i hrabiny, zapytując ją, czy nie zna pięknej Albanki[695], której uroda mogła zwracać uwagę nie tylko mężczyzn, ale i kobiet.

— Nie — odpowiedziała hrabina. — Wiem tylko tyle, że mieszka w Rzymie od początku jesieni, bo zobaczyłam ją zaraz po otwarciu sezonu teatralnego, w tym samym miejscu, co i dziś; od miesiąca nie opuściła żadnego przedstawienia; czasem bywa z tym mężczyzną, którego widzi pan koło niej teraz, a czasem tylko z czarnym służącym.

— I jakże się pani hrabinie podoba?

— Wyjątkowo piękna. Musiała być do niej podobna Medora[696].

Franz i hrabina uśmiechnęli się do siebie. Następnie hrabina wróciła do rozmowy z Albertem, a Franz dalej lornetował Albankę.

Kurtyna podniosła się na balet. Był to jeden z owych wspaniałych baletów włoskich, w choreografii słynnego Henryka, który jako baletmistrz zapewnił sobie we Włoszech kolosalną sławę, którą nieszczęsny utracił, wystawiając naumachię[697] — jeden z tych baletów, gdzie każda osoba od primabaleriny po ostatniego statystę bierze tak żywy udział w akcji, że sto pięćdziesiąt osób jednocześnie wykonuje ten sam gest, podnosi tę samą rękę lub tę samą nogę.

Balet ten nosił tytuł *Poliska*.

Franz był nazbyt zajęty swoją piękną Greczynką, by interesować się baletem, choć był rzeczywiście piękny. Greczynka zaś oglądała przedstawienie z widoczną przyjemnością, która stanowiła żywy kontrast z najwyższą obojętnością jej towarzysza: nie poruszył się ni razu, gdy trwało owo arcydzieło choreografii i choć składające się na orkiestrę trąby, cymbały i żele[698] czyniły hałas iście piekielny, wydawało się, że rozkoszował się niebiańską słodyczą spokojnego snu.

Balet się skończył i kurtyna opadła wśród frenetycznych[699] oklasków oszalałego parteru.

---

[695] *Albanka* — obywatelka Albanii; tu: kobieta pochodząca z Epiru. [przypis edytorski]

[696] *Medora* — bohaterka poematu lorda Byrona pt. *Korsarz*, którego kontynuacją jest *Lara*. [przypis edytorski]

[697] *naumachia* (z gr.) — rodzaj spektaklu wywodzący się ze staroż. Rzymu, który polegał na odwzorowaniu na lądzie bitwy morskiej za pomocą specjalnego basenu; na inaugurację Koloseum miały odbyć się wewnątrz amfiteatru dwie naumachie. [przypis edytorski]

[698] *żele* (pot.) — talerze perkusyjne. [przypis edytorski]

[699] *frenetyczny* — pełen energii, żywiołowy, owacyjny. [przypis edytorski]

Dzięki zwyczajowi przedstawiania baletu pomiędzy poszczególnymi częściami opery, antrakty[700] są we Włoszech bardzo krótkie, bowiem śpiewacy mogą wypocząć i przebrać się, podczas gdy tancerze wykręcają piruety i wykonują hołubce[701].

Zabrzmiała uwertura[702] drugiego aktu; po pierwszych pociągnięciach smyczków Franz spostrzegł, że śpiący podniósł się leniwie i podszedł do Greczynki, która odwróciła się do niego, wyrzekła kilka słów i oparła się znowu o poręcz loży.

Twarz jej rozmówcy pozostała w cieniu i Franzowi nie udawało się dojrzeć jego rysów. Kurtyna podniosła się i uwaga Franza skupiła się na aktorach; na chwilę więc przeniósł wzrok z pięknej Greczynki na scenę.

Drugi akt zaczyna się, jak wiadomo, od duetu śpiewanego we śnie; Parisina, śpiąc, zwierza się Azzowi ze swej miłości do Uga; zdradzony małżonek przechodzi wszystkie stadia szaleńczej zazdrości; na koniec, przekonawszy się ostatecznie o niewierności żony, budzi ją i zapowiada rychłą zemstę.

Jest to jeden z najpiękniejszych, najbardziej wstrząsających i pełnych wyrazu duetów jakie wyszły spod płodnego pióra Donizettego. Franz słyszał go już trzeci raz, a chociaż nie należał do zapalonych melomanów[703], scena ta wywarła na nim głębokie wrażenie. Już zamierzał przyłączyć się do oklasków rozbrzmiewających na sali, gdy ręce, które właśnie podnosił, zastygły mu w bezruchu, a na ustach zamarł okrzyk entuzjazmu.

Mężczyzna z loży powstał, prostując się całkowicie, i wtedy jego twarz znalazła się w pełnym świetle — i Franz zobaczył tajemniczego mieszkańca Monte Christo, którego głos i sylwetkę — był już tego niemal pewien — rozpoznał wczoraj w Koloseum.

Nie było wątpliwości, dziwny podróżny mieszkał w Rzymie.

Zmieszanie Franza wobec tak niespodzianego spotkania musiało odmalować się wyraźnie na jego twarzy, hrabina bowiem spojrzała nań i roześmiała się głośno, pytając, co mu się stało.

— Pani hrabino — odpowiedział Franz. — Pytałem panią przed chwilą, czy zna pani tę Albankę, a teraz zapytam, czy znasz pani jej męża.

— Tyle co ją.

— I nigdy nie zwróciła pani na niego uwagi?

— Oto pytanie godne Francuza! Wiesz pan dobrze, że dla nas, Włoszek, nie istnieją na świecie inni mężczyźni poza tym, którego kochamy.

— Słusznie — odparł Franz.

— W każdym razie — rzekła, przykładając do oczu lornetkę Alberta i spoglądając w kierunku loży — musi to być ktoś, kogo wyciągnięto spod ziemi, kto wyszedł z grobu za pozwoleniem grabarza: jest straszliwie blady.

— Zawsze tak wygląda — odpowiedział Franz.

— Więc go pan znasz? — zapytała hrabina. — To ja raczej powinnam zapytać pana: któż to taki?

— Zdaje mi się, że już go kiedyś widziałem... Tak, zdaje mi się, że to on.

— O tak — rzekła, poruszając pięknymi ramionami, jakby przebiegł ją dreszcz jakiś — dobrze rozumiem, że kto raz widział takiego człowieka, nigdy go nie zapomni.

Wrażenie, jakie odniósł Franz, musiało zatem być czymś naturalnym, skoro inna osoba odczuła to samo.

— A więc — rzekł Franz do hrabiny, gdy powtórnie spojrzała przez lornetkę na nieznajomego — cóż pani sądzi o tym człowieku?

— To lord Ruthwen[704] z krwi i kości.

---

[700] *antrakt* — przerwa między jednym a drugim aktem w sztuce teatralnej, operze, koncercie. [przypis edytorski]

[701] *hołubiec* — figura w tańcu polegająca na uderzeniu obcasem o obcas podczas podskoku. [przypis edytorski]

[702] *uwertura* — utwór orkiestrowy stanowiący wstęp do opery, oratorium lub innego dużego dzieła muzycznego. [przypis edytorski]

[703] *meloman* — miłośnik muzyki. [przypis edytorski]

[704] *lord Ruthwen* a. *lord Ruthven* — pierwszy wampir pojawiający się w lit. ang.; bohater opowiadania *Wampir* autorstwa Johna Williama Polidoriego (1795–1821), będącego kontynuacją nieukończonego przez lorda Byrona opowiadania; niektórzy uważają, że pierwowzorem dla Ruthwena miał być sam Byron. [przypis edytorski]

Hrabina znów nawiązała do Byrona[705], co mocno uderzyło Franza; gdyby zresztą ktoś miałby go kiedykolwiek przekonać o istnieniu wampirów, byłby to właśnie ten człowiek.

— Muszę się dowiedzieć, kto to jest — rzekł Franz, powstając.

— O nie — zaoponowała hrabina. — Proszę mnie tu samej nie zostawiać, mam nadzieję, że mnie pan zechce odprowadzić, nie puszczę pana.

— Jak to? — szepnął Franz, pochylając się nad nią. — Pani naprawdę się boi?

— Niech pan posłucha — rzekła. — Byron przysięgał mi, że wierzy w istnienie wampirów, mówił mi wyraźnie, że je widział, opisał mi ich wygląd... i... naprawdę wszystko się zgadza: czarne włosy, wielkie oczy palące się dziwnym blaskiem, ta śmiertelna bladość; a jeszcze proszę zauważyć, że znajduje się w towarzystwie kobiety odmiennej od wszystkich; to cudzoziemka... Greczynka... z pewnością czarodziejka jak i on... błagam, niech pan tam nie idzie. Jutro pan go poszuka, jeśli się panu tak podoba, ale oświadczam, że dziś musi pan zostać przy mnie. Wampir, Czarownica

Franz nalegał.

— Posłuchaj pan — rzekła, podnosząc się. — Wychodzę, nie mogę zostać do końca przedstawienia, jest już u mnie zapewne kilku gości, czyż byłby pan tak nieuprzejmy i odmówił mi swego towarzystwa?

Na taką prośbę można tylko wziąć kapelusz, otworzyć drzwi i ofiarować ramię hrabinie.

Hrabina była istotnie mocno poruszona, a i sam Franz nie mógł pozbyć się jakiegoś zabobonnego lęku, tym bardziej że hrabina była wiedziona tylko przeczuciem, podczas, gdy on — wspomnieniami.

Czuł, jak bardzo drżała, wsiadając do karety.

Odprowadził ją do domu: nie było tam nikogo, nikt na nią nie czekał. Franz pozwolił sobie na wymówkę.

— Tak naprawdę — rzekła — nie czuję się najlepiej i potrzebuję być sama; widok tego człowieka wstrząsnął mną.

Franz próbował się roześmiać.

— Proszę się nie śmiać — rzekła — zresztą wcale nie ma pan na to ochoty. I niech mi pan coś przyrzeknie.

— Co takiego?

— Ale przyrzeka mi pan?

— Mogę obiecać wszystko, czego pani zechce, prócz jednego: żebym nie starał się odkryć, kim jest ten człowiek. Z pewnych powodów, których nie mogę pani wyjaśnić, muszę koniecznie dowiedzieć się, kim jest, skąd przybywa i dokąd zmierza.

— Skąd przybywa, nie wiem, ale powiem panu, dokąd zmierza: o, z pewnością do piekła.

— Wróćmy do obietnicy, którą pani chciała na mnie wymóc — rzekł Franz.

— Chciałam pana prosić, byś poszedł prosto do hotelu i nie starał się odnaleźć dzisiaj tego człowieka. Istnieje jakiś związek pomiędzy osobami, które opuszczamy, i tymi, do których następnie przychodzimy. Niechże pan nie będzie tą nicią pośredniczącą między mną a nim. Jutro możesz pan za nim biegać do woli; ale proszę mi go nigdy nie przedstawiać, bo umarłabym ze strachu. A teraz dobranoc, staraj się pan zasnąć, a ja i tak wiem, kto dziś na pewno nie zaśnie.

I hrabina pożegnała Franza, zostawiając go w niepewności, czy po prostu bawiła się jego kosztem czy naprawdę czuła taką trwogę, jak mówiła?

Po powrocie do hotelu Franz zastał Alberta w szlafroku i domowych pantalonach, jak wyciągnięty z rozkoszą w fotelu palił sobie cygaro.

— A, to ty! — zdziwił się Albert. — Słowo daję, spodziewałem się, że zobaczę cię dopiero jutro.

— Kochany Albercie — odparł Franz. — Kontent jestem, że mam okazję powiedzieć ci coś raz na zawsze: masz całkowicie błędne wyobrażenie o Włoszkach, a przecież twoje niepowodzenia miłosne powinny ci były otworzyć oczy.

[705] *Byron*, właśc. *George Gordon Byron* (1788–1824) — znany jako lord Byron; angielski poeta i dramaturg; większość utworów Byrona posiada powikłaną i nie do końca jasną fabułę, dla której charakterystyczne są gwałtowne zwroty akcji i niedomówienia; typ bohatera bajronowskiego to samotny, zbuntowany przeciw światu indywidualista, dumny i mściwy, który pod pozorem cynizmu kryje cierpienie i melancholię. [przypis edytorski]

— Cóż można robić! Nie da się zrozumieć tych diablic! Podają ci rączkę, ściskają znacząco twoją; szepczą ci coś do ucha, każą się odprowadzać do domu; gdyby która paryżanka zrobiła choć jedną czwartą z tego wszystkiego, straciłaby reputację na zawsze.

— Otóż właśnie dlatego, że w tym pięknym kraju, gdzie rozbrzmiewa *si*, jak powiada Dante[706], właśnie dlatego, że kobiety nie mają tu nic do ukrycia, że żyją w pełni słońca, zachowują się tak swobodnie. Widziałeś zresztą, że hrabina naprawdę się przestraszyła.

— Przestraszyła się? A kogo? Tego eleganckiego człowieka, który siedział naprzeciwko nas z tą śliczną Greczynką? Chciałem zresztą sprawdzić, czy mieliście jakieś powody do takich myśli i umyślnie natknąłem się na nich w korytarzu. Nie wiem, ki diabeł podszepnął wam takie pomysły o pozagrobowym świecie! To wyjątkowo piękny mężczyzna, nosi się wykwintnie; widać, że ubiera się we Francji, u Blina albo Humanna; prawda, że trochę blady, ale wiesz przecież, że blada cera to znak dystynkcji.

Franz uśmiechnął się: Albert miał wielkie mniemanie o swojej jasnej płci.

— I dlatego jestem przekonany, że to, co myśli o nim hrabina, nie ma zbytniego sensu — rzekł Franz. — A mówił coś, gdy się mijaliście?

— Mówił, ale to było po nowogrecku[707]. Poznałem ten język po paru zdeformowanych słowach. Musisz wiedzieć, mój drogi, że w gimnazjum byłem bardzo dobry z greki.

— Więc mówił po nowogrecku?

— Tak mi się zdaje.

— Nie ma wątpliwości — szepnął Franz. — To on.

— Co mówisz?

— E, nic. A co ty tutaj porabiałeś?

— Przygotowywałem ci niespodziankę.

— Jaką niespodziankę?

— Wszak wiesz, że nie możemy dostać powozu?

— Do krocset! Przecież robiliśmy wszystko, co tylko było można, i nic!

— A mnie przyszedł do głowy cudowny pomysł.

Franz spojrzał na Alberta z miną, która świadczyła, że nie ma on wielkiego zaufania do pomysłowości Alberta.

— Mój drogi — rzekł Albert — zaszczycasz mnie takim spojrzeniem, że właściwie miałbym prawo żądać satysfakcji[708].

— Gotów jestem ci jej udzielić, jeżeli tylko twój pomysł okaże się tak świetny, jak zapowiadasz.

— Słuchaj więc... Nie ma sposobu zdobyć powozu?

— No, nie.

— Ani koni?

— Tym bardziej.

— Ale może uda się nam dostać wóz?

— Być może...

— I parę wołów?

— To też możliwe.

— No, to mój drogi, posłuchaj, co wymyśliłem: każę udekorować wóz, przebierzemy się za neapolitańskich żeńców[709] i będziemy wyglądali iście tak, jak na wspaniałym obrazie Lepolda Roberta. A jeżeli dla większego podobieństwa hrabina G*** zechciałaby przebrać się za wieśniaczkę Puzzole lub Sorento, maskarada będzie kompletna, bo hrabina jest przecież tak piękna, że niejeden ją weźmie za oryginał Madonny z Dzieciątkiem[710].

— Do licha! — wykrzyknął Franz. — Na ten raz masz rację, mości Albercie: to naprawdę szczęśliwy pomysł!

---

[706] *w tym pięknym kraju, gdzie rozbrzmiewa „si", jak powiada Dante* — Dante, wielki zwolennik języka włoskiego, w swoim traktacie o językach ludowych (*De Vulgari Eloquentia*) opisuje mieszkańców Italii jako tych, „którzy mówią *si*" (łac. *qui sì dicunt*). [przypis edytorski]

[707] *nowogrecki* — greka współczesna (w przeciwieństwie do nauczanej wtedy w szkołach europejskich greki klasycznej, której odmiana attycka, używana za czasów Peryklesa w Atenach, uważana była za wzorcową). [przypis edytorski]

[708] *satysfakcja* — tu: rewanż, odpłata za zniewagę. [przypis edytorski]

[709] *żeńca* — człowiek pracujący przy zbiorach zboża. [przypis edytorski]

[710] *Madonna z Dzieciątkiem* — w sztuce europejskiej motyw Marii trzymającej w objęciach Dzieciątko Jezus; kobiety o wyjątkowej, niewinnej urodzie zwykło się nazywać Madonną. [przypis edytorski]

— I do tego nasz, francuski, na wzór królów gnuśnych[711]! Aha, panowie rzymianie, myśleliście, że będziemy biegać piechotą po waszych ulicach jak jacyś lazzaroni[712], tylko dlatego że nie macie dosyć powozów i koni; otóż my je sobie wynajdziemy.

— Czy już się podzieliłeś z kim tą genialną myślą?

— Z naszym gospodarzem. Jak tylko przyszedłem, poprosiłem go do siebie i opowiedziałem mu o tym planie. Zapewnił mnie, że to nic łatwiejszego. Chciałem jeszcze tylko, by pozłocono wołom rogi, ale mi powiedział, że to zajmie ze trzy dni, musimy więc obejść się bez tego zbytku.

— A gdzież on jest teraz?

— Kto?

— Nasz gospodarz.

— Poszedł się o to wszystko wystarać. Jutro byłoby już za późno.

— Więc jeszcze dziś da nam odpowiedź?

— Właśnie czekam na niego.

Nagle otwarły się drzwi i pan Pastrini wsunął głowę do środka.

— *Permesso*?[713] — zapytał.

— Oczywiście, prosimy! — wykrzyknął Franz.

— I co — rzekł Albert. — Znalazłeś pan wóz i woły?

— Znalazłem coś lepszego — odpowiedział Pastrini z bardzo zadowoloną miną.

— O, drogi gospodarzu, uważaj! — rzekł Albert. — Lepsze jest wrogiem dobrego.

— O, ekscelencje mogą mi zaufać — zapewnił Pastrini przemądrzałym tonem.

— Ale co w końcu pan znalazł? — zniecierpliwił się Franz.

— Wiedzą panowie zapewne — rzekł hotelarz — że na tym samym piętrze mieszka hrabia de Monte Christo?

— A pewnie — mruknął Albert — bo przecież dlatego mieszkamy jak studenci z ulicy Saint-Nicolas-du-Chardonnet.

— No właśnie! Dowiedziawszy się o kłopotach panów, ofiaruje wam dwa miejsca w swoim powozie i dwa miejsca w oknie pałacu Rospolich.

Albert i Franz spojrzeli po sobie.

— Ale czy nam wypada — zatroskał się Albert — przyjąć ofertę tego cudzoziemca? Człowieka, którego wcale nie znamy?

— Cóż to za człowiek, ten hrabia de Monte Christo? — zapytał Franz.

— Bardzo bogaty magnat sycylijski, czy też maltański... Nie wiem dobrze; ale na pewno arystokrata jak Borghese[714], a bogaty, jakby siedział na kopalni złota.

— Zdaje mi się — rzekł Franz do Alberta — że gdyby to był człowiek tak dobrze wychowany, jak mówi nasz gospodarz, to powinien był zaprosić nas w innej formie, napisać jakiś liścik albo...

W tej chwili zapukano do drzwi.

— Proszę — rzekł Franz.

Na progu stanął służący w wyjątkowo eleganckiej liberii.

— Od pana hrabiego de Monte Christo dla pana Franza d'Epinaya i wicehrabiego Alberta de Morcerfa — rzekł.

I podał hotelarzowi dwie karty wizytowe, które tenże wręczył młodym przyjaciołom.

— Pan hrabia de Monte Christo — mówił dalej służący — pyta, czy jaśnie panowie pozwolą, by ich odwiedził po sąsiedzku jutro z rana. Ma również zaszczyt zapytać panów, o której godzinie może ich zastać.

— Na honor — rzekł Albert do Franza. — Niczego tu nie można zarzucić, załatwione nienagannie.

— Proszę powiedzieć hrabiemu — odpowiedział Franz — że to my raczej prosimy, by pozwolił nam złożyć mu uszanowanie.

Służący wyszedł.

---

[711]*królowie gnuśni* (fr. *les rois fainéants*) — ostatni władcy frankijscy z dynastii Merowingów; ze względu na nieudolność w rządzeniu nazywani byli „gnuśnymi królami"; w tradycji utrwalił się ich wizerunek jako leni każących się wozić rydwanem zaprzężonym w woły. [przypis edytorski]

[712]*lazzaroni* — wł. włóczędzy. [przypis edytorski]

[713]*permesso?* (wł.) — czy można? [przypis edytorski]

[714]*Borghese* — znamienita wł. rodzina szlachecka pochodząca ze Sieny. [przypis edytorski]

— To się dopiero nazywa zastrzelić kogoś uprzejmością — rzekł Albert. — Miałeś pan zupełną słuszność, panie Pastrini, ten twój hrabia de Monte Christo to wcielenie dystynkcji.

— Więc przyjmujecie panowie zaproszenie?

— Na honor, czemuż by nie — odparł Albert. — Jednak przyznam się panu, że bardzo żałuję naszego wozu i żeńców; i gdyby nie to okno w pałacu Rospolich, które nam rekompensuje tę stratę, nie odstąpiłbym za nic od mojej pomysłu. A ty, Franz, co o tym myślisz?

— I mnie te okna zupełnie przekonały — odpowiedział Franz.

Istotnie, owa oferta wolnych miejsc w oknach pałacu Rospolich przypomniała Franzowi rozmowę, którą podsłuchał w ruinach Koloseum pomiędzy nieznajomym i Transteverczykiem, rozmowę, w której mężczyzna w pelerynie przyrzekł wyjednać ułaskawienie dla skazańca. Gdyby więc rzeczywiście ów człowiek w pelerynie był tym samym mężczyzną — a wszystko za tym przemawiało — którego widok w teatrze wywarł takie wrażenie na Franzu, Franz poznałby go niewątpliwie i wreszcie zaspokoiłby swoją ciekawość.

Przez większą część nocy Franz rozmyślał o swoich dwóch spotkaniach i niecierpliwił się na myśl o jutrze. Rzeczywiście, nazajutrz wszystko musi się wyjaśnić; i tym razem pan na Monte Christo z pewnością mu się nie wymknie, chyba że posiadałby pierścień Gygesa[715] — ten, który czyni swojego właściciela niewidzialnym.

I tak Franz obudził się już przed ósmą. Albert zaś, który nie miał takich samych powodów do zrywania się o poranku, spał jeszcze w najlepsze.

Franz przywołał natychmiast gospodarza, który ukłonił się Franzowi ze swoją zwykłą uniżonością.

— Panie Pastrini — rzekł Franz. — Czy nie ma się dziś przypadkiem odbyć jakaś egzekucja?

— Owszem, panie hrabio; ale jeżeli pyta mnie pan o to, abym się wystarał o okno, to bierze się pan do tego za późno.

— O nie, bynajmniej — odparł Franz. — Zresztą, gdybym naprawdę koniecznie chciał obejrzeć to widowisko, znalazłbym pewnie miejsce na Monte Pincio[716].

— O, nie przypuszczam, aby ekscelencja chciał się mieszać z całym tym pospólstwem, które obsiądzie wzgórze, bo to dla nich jakby naturalny amfiteatr.

— Raczej tam nie pójdę — rzekł Franz. — Ale chciałbym jednak poznać szczegóły.

— Jakież na przykład?

— Chciałbym wiedzieć, ilu jest skazanych, jak się nazywają i jaki rodzaj kary poniosą.

— Wybornie się składa, ekscelencjo! Właśnie przynieśli mi *tavolette*[717].

— Cóż to, te *tavolette*?

— To drewniane tabliczki, które przybijają na rogach ulic w przeddzień egzekucji; wypisuje się na nich nazwiska skazanych, przyczynę wyroku i rodzaj tortury. Ma to zachęcić wiernych, by błagali Boga o szczerą skruchę u skazańców.

— Więc przynoszą panu takie *tavolette*, byś przyłączył się do modłów innych wiernych? — zapytał powątpiewającym tonem Franz.

— O, nie, jaśnie panie! Ułożyłem się z tym, co je rozwiesza, żeby mi je przynosił, tak samo jak mi dostarcza afisze teatralne, bym mógł o tym wcześniej powiadomić gości, jeżeli któryś chciałby asystować przy egzekucji.

— O, to doprawdy wyjątkowa atencja[718]! — wykrzyknął Franz.

— Chlubię się tym — odpowiedział Pastrini, uśmiechając się — że robię wszystko, co w mej mocy, aby uprzyjemnić pobyt tutaj szlachetnym cudzoziemcom, którzy zaszczycają mnie swym zaufaniem.

---

[715]*pierścień Gygesa* — legendarny pierścień, którego historię przytacza Platon w *Republice*: pasterz Gyges odnalazł pewnego dnia magiczny pierścień, który uczynił go niewidzialnym i który pomógł mu zabić króla Lidii, Kandaleusa, by w ten sposób przejąć jego władzę. [przypis edytorski]

[716]*Monte Pincio*, właśc. *Pincio* — jedno ze wzgórz w Rzymie, znajdujące się w płn.-wsch. części miasta; zostało włączone do granic antycznego miasta dopiero w III w. n.e. [przypis edytorski]

[717]*tavolette* (wł.) — tabliczki. [przypis edytorski]

[718]*atencja* (daw.) — poważanie, szacunek, względy. [przypis edytorski]

— O, widzę to dobrze, panie gospodarzu! I będę pana chwalił przed każdym, kto tylko zechce słuchać, możesz pan być tego pewien. A teraz chciałbym przeczytać taką *tavolettę*.

— Nic prostszego — rzekł hotelarz, otwierając drzwi. — Właśnie kazałem przybić jedną na korytarzu.

Wyszedł, zdjął tablicę i przyniósł ją Franzowi.

Oto dosłowne tłumaczenie szubienicznego ogłoszenia:

> Czynimy wiadomo[719] wszystkim, że we wtorek, to jest 22 lutego, pierwszego dnia karnawału, zostaną z wyroku trybunału Roty[720] straceni na placu del Popolo zbrodniarze: Andrea Rondolo, winny morderstwa dokonanego na osobie czcigodnego i szanownego don[721] Cezara Torloni, kanonika kościoła Świętego Jana na Lateranie, oraz niejaki Peppino zwany Rocca Priori, któremu dowiedziono współdziałania z obmierzłym bandytą Luigim Vampą i jego ludźmi.
>
> Pierwszy będzie *mazzolato*,
>
> drugi *decapitato*.
>
> Uprasza się niniejszym ludzi miłosiernych, aby błagali Boga o szczerą skruchę tych dwóch nieszczęsnych skazańców.

Wszystko to, niemal co do słowa, usłyszał Franz przedwczoraj w zwaliskach Koloseum i nic się nie zmieniło w programie: nazwiska skazanych, przyczyny wyroku i rodzaj egzekucji — zgadzało się wszystko.

A zatem, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, Transteverczyk był nie kim innym, jak Luigim Vampą, a człowiekiem w pelerynie — Sindbadem Żeglarzem, który wypełniał swoje filantropijne powołanie zarówno w Rzymie, jak i w Porto-Vecchio czy w Tunisie.

Czas mijał; wybiła dziewiąta i Franz miał już iść budzić Alberta, gdy ku jego wielkiemu zdziwieniu Albert wyszedł z pokoju kompletnie już ubrany. Karnawał zawrócił mu zupełnie głowę — i obudził go wcześniej, niż Franz mógł się spodziewać.

— Czy moglibyśmy, drogi panie Pastrini — rzekł Franz — skoro jesteśmy już obaj gotowi, złożyć teraz wizytę hrabiemu de Monte Christo? Jak pan sądzi?

— O, naturalnie! Hrabia de Monte Christo to ranny ptaszek i jestem pewny, że wstał już ze dwie godziny temu.

— I sądzisz pan, że nie będzie to nietakt, jeśli odwiedzimy go o tej porze?

— Bynajmniej.

— W takim razie, Albercie, jeśli jesteś gotów...

— Całkowicie.

— To chodźmy podziękować sąsiadowi za jego uprzejmość.

Franz i Albert musieli przejść tylko parę kroków; hotelarz wyprzedził ich i zadzwonił do drzwi; służący otworzył.

— *I signori Francesi*[722] — oznajmił hotelarz.

Lokaj ukłonił się i dał znak, by weszli.

Przeszli dwa pokoje umeblowane z takim przepychem, że nigdy by się nie spodziewali takich znaleźć w hotelu pana Pastriniego, i weszli na koniec do salonu urządzonego z najwykwintniejszym smakiem. Na podłodze rozesłany był dywan turecki, wygodne meble kusiły miękkością poduszek i oparć. Znakomite obrazy największych mistrzów na przemian ze wspaniałymi okazami broni zdobiły ściany, tapiserie[723] służące za kotary powiewały u drzwi.

— Ekscelencje raczą usiąść — rzekł lokaj — a ja uprzedzę pana hrabiego.

I zniknął we drzwiach.

---

[719] *czynić wiadomo komuś* (daw.) — zawiadamiać kogoś. [przypis edytorski]

[720] *trybunał Roty*, właśc. *Trybunał Roty Rzymskiej* a. *Rota Rzymska* — trybunał apelacyjny Kurii Rzymskiej najwyższej instancji, istniejący od XIV w. [przypis edytorski]

[721] *don* (wł.) — pan. [przypis edytorski]

[722] *i signori Francesi* (wł.) — panowie Francuzi. [przypis edytorski]

[723] *tapiseria* — obraz w postaci ozdobnej tkaniny; gobelin. [przypis edytorski]

W chwili gdy otwierał drzwi, uszu przyjaciół dobiegły dźwięki guzli[724], ale też i zgasły natychmiast; drzwi zamknięte niemal w tej samej sekundzie, w której zostały otwarte, przepuściły tylko do salonu jakby powiew melodii.

Franz i Albert spojrzeli zdumieni po sobie, przenieśli wzrok na meble, obrazy, broń. Wszystko teraz wydawało im się jeszcze wspanialsze niż za pierwszym rzutem oka.

— No i co ty na to? — zapytał Franz.

— Na honor, kochany, myślę, że nasz sąsiad musi być jakimś maklerem giełdowym, który spekuluje na zniżce akcji hiszpańskich albo też księciem podróżującym *incognito*.

— Psst! — szepnął Franz. — Zaraz się dowiemy, bo otóż i on.

I rzeczywiście usłyszeli skrzypienie drzwi, tapiseria zakrywająca drzwi została uniesiona w górę i wszedł właściciel tych wszystkich bogactw.

Albert postąpił co prędzej ku niemu, ale Franz został na miejscu jak wryty.

Ten, kto właśnie wszedł do salonu, rzeczywiście był owym mężczyzną w pelerynie widzianym w Koloseum, owym nieznajomym z loży i tajemniczym panem wyspy Monte Christo.

35. MAZZOLATA

— Proszę mi wybaczyć — rzekł, wchodząc, hrabia de Monte Christo — że pozwoliłem się panom ubiec w wizycie; ale gdybym pojawił się u panów wcześniej, mógłby to być nietakt z mojej strony. Zresztą obiecaliście mi panowie, że przyjdziecie, czekałem więc na was.

— Franz i ja winniśmy złożyć panu hrabiemu stokrotne dzięki — rzekł Albert. — Wydobył nas pan rzeczywiście z wielkiego kłopotu; już wymyślaliśmy najbardziej fantastyczne pojazdy, gdy nagle otrzymaliśmy pańskie uprzejme zaproszenie.

— Ech, Boże — odparł hrabia, zapraszając gości, by usiedli na otomanie — to wina wyłącznie tego głupca Pastriniego, że nie wybawiłem panów wcześniej z kłopotu; nie pisnął mi ani słowa o tym, że panowie są w takiej rozpaczy; a przecież ja, żyjąc tu zupełnie sam, bez znajomych, tylko szukałem pretekstu, który pozwoliłby mi zawrzeć znajomość z moimi sąsiadami. A gdy dowiedziałem się, że mogę być wam użyteczny, sami panowie widzieli, z jaką skwapliwością skorzystałem z nadarzającej się okazji, by złożyć panom uszanowanie.

Młodzieńcy ukłonili się.

Franz nie był nadal w stanie wykrztusić z siebie choć jednego słowa; nie powziął też jeszcze żadnej decyzji; a jako że hrabia nie okazywał w niczym, że rozpoznaje Franza, ani nie zdradzał najmniejszej chęci, by młodzieniec sam mu się przypomniał, Franz nie wiedział, czy ma napomknąć choćby słowem o przeszłych zdarzeniach, czy też pozwolić, by sam czas dostarczył mu nowych dowodów. Choć bowiem był pewien, że to hrabia znajdował się wczoraj w loży, nie mógł z równym przekonaniem twierdzić, że to również jego widział w Koloseum; postanowił tedy zdać się na bieg wypadków, nie czyniąc przed hrabią żadnych bezpośrednich aluzji do przeszłości.

Zresztą Franz miał nad nim tę przewagę, że znał jego tajemnicę — podczas gdy hrabia nie mógł nic uczynić przeciw Franzowi, gdyż nie miał on nic do ukrycia.

Postanowił jednak tak poprowadzić rozmowę, by wyjaśniła mu niektóre wątpliwości.

— Panie hrabio — rzekł — ofiarował nam pan swój powóz i miejsce w oknach pałacu Rospolich; czy nie mógłbyś nam jeszcze powiedzieć, jak moglibyśmy dostać jakieś miejsce na Placu de Popolo?

— A tak, prawda — rzekł hrabia z roztargnieniem, przyglądając się wyjątkowo uważnie Albertowi. — Ma się tam dziś chyba odbyć jakaś egzekucja?...

— Tak — odpowiedział Franz, widząc, że hrabia sam zmierza w kierunku, na jaki chciał go naprowadzić.

— Chwileczkę, chwileczkę, zdaje mi się, żem wczoraj kazał intendentowi, by się i tym zajął; być może będę mógł panom wyświadczyć i tę małą przysługę.

Wyciągnął rękę po sznur od dzwonka i trzykrotnie zadzwonił.

---

[724] *guzla*, właśc. *gusle* — instrument strunowy używany w muzyce ludowej krajów bałkańskich. [przypis edytorski]

Wszedł człowiek liczący około pięćdziesięciu lat, który był podobny jak kropla wody do przemytnika, który wprowadzał Franza do groty; jednakowoż nie okazał najmniejszym gestem, że rozpoznawał Franza. Franz pojął, że hrabia wydał odpowiednie zalecenia.

— Panie Bertuccio — rzekł hrabia. — Czy pomyślałeś o wynajęciu, jak ci wczoraj nakazałem, okna na placu del Popolo?

— Tak, ekscelencjo — odpowiedział intendent — ale już było późno...

— Jak to? — rzekł hrabia, marszcząc brwi. — Czyż nie powiedziałem ci, że życzę sobie je mieć?

— I ekscelencja je ma, udało mi się zdobyć to, które wcześniej wynajęto dla księcia Łobaniewa. Ale musiałem za to zapłacić sto...

— Dobrze, dobrze, panie Bertuccio; proszę nam oszczędzić tych wszystkich szczegółów; zdobył pan okno, to wszystko, czego mi było trzeba. Daj adres stangretowi[725] i poczekaj na nas na schodach, by nas tam zawieźć. To wszystko, może pan odejść.

Intendent ukłonił się i uczynił krok w tył.

— Ale, ale — zawołał hrabia. — Proszę jeszcze spytać Pastriniego, czy dostał już *tavolettę* i czy mógłby mi przysłać program egzekucji.

— To niepotrzebne — odezwał się Franz, wyciągając z kieszeni notatnik. — Obejrzałem sobie te tabliczki i przepisałem, co na nich stało.

— Znakomicie, w takim razie możesz, mój Bertuccio, odejść, nie potrzebuję cię. Daj nam tylko znać, gdy śniadanie będzie podane. Czy panowie — zwrócił się do dwóch przyjaciół — zechcą uczynić mi ten zaszczyt i zostaną u mnie na śniadaniu?

— Ależ, doprawdy, panie hrabio — rzekł Albert — nie chcielibyśmy nadużywać pańskiej grzeczności...

— Przeciwnie, panowie zrobicie mi prawdziwą przyjemność, a kiedyś któryś z panów zrewanżuje mi się u siebie w Paryżu, a może nawet obaj? Panie Bertuccio, każ położyć trzy nakrycia.

Wziął z rąk Franza notatnik.

— A więc piszą — mówił dalej takim tonem, jakby czytał „Ogłoszenia drobne"[726] — że „we wtorek, to jest 22 lutego, pierwszego dnia karnawału, zostaną z wyroku trybunału Roty straceni na placu del Popolo zbrodniarze: Andrea Rondolo, winny morderstwa dokonanego na osobie czcigodnego i szanownego don Cezara Torloni, kanonika kościoła Świętego Jana na Lateranie, oraz niejaki Peppino zwany Rocca Priori, któremu dowiedziono współdziałania z obmierzłym bandytą Luigim Vampą i jego ludźmi". Hmm... „Pierwszy będzie *mazzolato*, drugi *decapitato*".

— Tak, rzeczywiście — ciągnął hrabia. — Tak miało się to odbyć z początku, ale zdaje się, że od wczoraj zaszły pewne zmiany w porządku ceremonii.

— Aha — rzekł Franz.

— Tak, wczoraj byłem u kardynała Rospigliosiego i była tam między innymi mowa o tym, że jakoby jednemu ze skazanych miano przełożyć egzekucję.

— Andrei Rondolo? — zapytał Franz.

— Nie... — odrzekł niedbale hrabia. — Temu drugiemu... — (i rzucił okiem na notatnik, jakby chciał sobie przypomnieć nazwisko) — Peppinowi, zwanemu Rocca Priori. To panów pozbawi atrakcji ścięcia, ale pozostaje wam jeszcze *mazzolata*; to bardzo ciekawa tortura, jeśli widzi się ją po raz pierwszy, a nawet i drugi; gdy ścięcie, które zresztą musieliście panowie już widzieć, jest sprawą prostą i nieskomplikowaną, nie można się tu spodziewać żadnych niespodzianek. *Mandaia*[727] nigdy nie chybi, nie zadrży, uderza pewnie i nie próbuje zadać ciosu po trzydzieści razy jak ów żołnierz, który ucinał głowę hrabiemu de Chalais[728]; a może zresztą Richelieu[729] specjalnie mu polecił tego delikwenta? O, moi panowie! — dodał z pogardą hrabia. — Proszę mi nawet nie mówić o torturach

[725] *stangret* — służący powożący końmi w bryczce, powozie lub karecie. [przypis edytorski]

[726] *ogłoszenia drobne* — część gazety przeznaczona na ogłoszenia dot. codziennych spraw lokalnej społeczności, np. oferty zakupu. [przypis edytorski]

[727] *mandaia* — wł. gilotyna. [przypis edytorski]

[728] *hrabia de Chalais*, właśc. *Henri de Talleyrand-Périgord* (1599–1626) — fr. szlachcic, szambelan Ludwika XIII; skazany na śmierć za spisek przeciwko kardynałowi Richelieu; niewprawny kat zadał hrabiemu co najmniej 30 cięć toporem, zanim zdołał pozbawić go głowy. [przypis edytorski]

[729] *Richelieu, Armand-Jean du Plessis de* (1585–1642) — fr. książę, kardynał, od 1624 pierwszy minister Francji; faktycznie kierował polityką państwa; w latach 1625–1628 prowadził wojnę z hugenotami. [przypis edytorski]

stosowanych przez Europejczyków, oni się na tym zupełnie nie znają: okrucieństwo leży u nich w powijakach, a raczej zgrzybiało na starość.

— Doprawdy, panie hrabio — odezwał się Franz — zdawałoby się, że przeprowadził pan analizę porównawczą różnych rodzajów tortur u wszelkich narodów świata.

— A przynajmniej niewiele jest tortur, których bym nie obejrzał — odpowiedział zimno hrabia.

— I znajdował pan przyjemność w przypatrywaniu się tym okropnym widowiskom?

— Z początku odczuwałem wstręt, potem obojętność, a w końcu zaczęły mnie one ciekawić.

— Ciekawić?! Wie pan, że to brzmi strasznie?

— A dlaczego? Jedna tylko rzecz w życiu człowieka budzi naprawdę jego głębokie zainteresowanie: to śmierć. A więc czyż to nie ciekawe zbadać, w jak różny sposób dusza może rozłączyć się z ciałem? I w jaki sposób — stosownie do charakteru, temperamentu, a nawet miejscowych obyczajów — ludzie znoszą te ostateczne przejścia z bytu w nicość? Co do mnie, zaręczam panu jedno: im więcej widzimy umierających, tym łatwiej nam się potem umiera. Tak więc, według mnie, śmierć jest może karą, ale nie jest ekspiacją[730]. Kara, Śmierć

— Nie rozumiem pana zbyt dobrze — rzekł Franz. — Proszę nam to jaśniej wytłumaczyć, bo nie umiem nawet panu powiedzieć, jak to, co pan mówisz, pobudziło moją ciekawość.

— Posłuchaj pan — rzekł hrabia i twarz jego przybrała żółtawą barwę, jak u innych barwi się czasem krwią. — Gdyby ktoś sprawił, że pański ojciec, matka, kochanka lub jakakolwiek z tych istot, które wydarte z serca zostawiają tam wieczną pustkę, nigdy niebliźniącą się ranę, ginie wśród niewyobrażalnych mąk i niekończących się cierpień, czy sądziłbyś pan, że zadośćuczynienie, jakie wyznacza społeczeństwo, jest wystarczające? Czy wystarczyłoby panu, że ostrze gilotyny zagłębi się między podstawę czaszki i mięśnie barków mordercy i że ten, który skazał pana na lata cierpień moralnych, przez małą chwilkę zazna ból fizyczny?

— Tak, wiem — rzekł Franz. — Sprawiedliwość ludzka nie jest najlepszą pocieszycielką; może odpłacić, przelewając tylko krew za krew, i to wszystko. Ale nie można od niej wymagać więcej nad to, co może.

— Przedstawiłem panu zresztą przypadek bardzo materialny — rzekł hrabia. — Przypadek, w którym społeczeństwo, zaatakowane u swych podstaw przez morderstwo na jednostce, na której się przecież opiera, mści się śmiercią za śmierć. Ale czyż nie ma tysiąca innych cierpień, które rozdzierają człowiekowi trzewia, a którymi społeczeństwo bynajmniej się nie przejmuje i nie daje mu nawet możliwości tej mizernej zemsty, o jakiej mówiliśmy przed chwilą? Czyż nie ma zbrodni, dla których tureckie wbijanie na pal[731], tortury stosowane przez Persów[732], bykowiec[733] Irokezów[734], byłyby zbyt łagodnymi karami? A społeczeństwo obojętne na nie pozostawia je bezkarnymi. Niech pan sam powie, czy nie ma takich zbrodni? Sprawiedliwość, Zemsta, Społeczeństwo

— Tak, są — rzekł Franz. — I dlatego tolerowany jest u nas pojedynek, bo może tu zastępować karę.

— E, pojedynek — obruszył się hrabia — to doprawdy śmieszny sposób, gdy celem jest zemsta! Jakiś człowiek porywa ci kochankę, uwodzi ci żonę, okrywa hańbą córkę; z twojego życia, w którym miałeś prawo oczekiwać swojej cząstki szczęścia, bo Bóg obiecał je wszystkim istotom, gdy je stwarzał, czyni ci jedno pasmo bólu, nędzy lub hańby — a ty poczujesz, żeś się zemścił, gdy człowieka, który zaszczepił ci w umyśle szaleństwo, a w sercu rozpacz, pchniesz szpadą albo strzelisz mu w łeb? Niech pan nie żartuje! Nie mówiąc o tym, że to on jakże często zwycięża, oczyszczony z win w oczach świata

[730] *ekspiacja* (z łac.) — okupienie winy, pokuta. [przypis edytorski]

[731] *tureckie wbijanie na pal* — wg. przekazów europejskich historyków Imperium Osmańskie (zajmujące tereny dzisiejszej Turcji) miało stosować okrutne tortury i formy egzekucji, spośród których najbardziej charakterystyczną było wbijanie na pal. [przypis edytorski]

[732] *Persowie* — staroż. lud zamieszkujący obszar Iranu (daw. Persji); Persowie mieli stosować wyjątkowo okrutną i wymyślną metodę egzekucji zwaną skafizmem, która polegała na powolnej śmierci poprzez pożarcie przez gryzonie i insekty; autentyczność tej tortury poddawana jest w wątpliwość. [przypis edytorski]

[733] *bykowiec* — rodzaj bicza. [przypis edytorski]

[734] *Irokezi* — liga plemion Indian północnoamerykańskich; Irokezi stosowali różne formy rytualnych tortur. [przypis edytorski]

i w pewnym sensie rozgrzeszony przez Boga! O nie, o nie — ciągnął hrabia. — Gdybym miał się kiedy mścić, zrobiłbym to zupełnie inaczej.

— Więc pan potępiasz pojedynki? I nie biłbyś się nigdy w pojedynku? — zapytał z kolei Albert, zdumiony tak niezwykłą teorią.

— O, naturalnie, że tak! — zaoponował hrabia. — Zrozumiejmy się dobrze: biłbym się dla jakiejś drobnostki, zniewagi, gdyby mnie ktoś oskarżył o kłamstwo lub spoliczkował, i biłbym się z tym większą niefrasobliwością, że byłbym niemal pewny, że zabiję mojego przeciwnika dzięki zręczności, jakiej nabyłem we wszelkich ćwiczeniach fizycznych i przyzwyczajeniu do niebezpieczeństw. O, tak! Biłbym się oczywiście dla takich przyczyn; ale za cierpienia długie, głębokie, nieustanne, nieskończone, odpłaciłbym, gdybym tylko mógł, cierpieniem równym temu, jakie mi zadano; oko za oko, ząb za ząb, jak mówią ludzie Wschodu, nasi mistrzowie we wszystkim, co ludzkie, wybrańcy stworzenia, którzy potrafili przemienić sny w życie i rzeczywistość wokół nich zamienić w raj!

— Ale — rzekł Franz — trzymając się takiej teorii, która pozwala panu być i sędzią, i katem we własnej sprawie, czy potrafiłby pan zawsze zachować umiar, gdy wymyka się pan sam prawu? Nienawiść zaślepia, gniew czyni głuchym, a ten, co pragnie zaspokoić pragnienie zemsty, może zakosztować kielicha goryczy.

— Zapewne, jeśli jest biedny i niezręczny; ale nie wtedy, gdy jest milionerem i człowiekiem przemyślnym. A najgorsze, co może go spotkać, to kara, o której dopierośmy mówili; kara, jaką nastawiona filantropijnie rewolucja francuska zastąpiła ćwiartowanie i łamanie kołem. I cóż będzie znaczyć dlań ta tortura, jeśli został pomszczony? W rzeczy samej niemal żałuję, że najprawdopodobniej ten nędznik Peppino nie będzie *decapitato*, jak to się tutaj mówi, zobaczylibyście panowie, ile to zajmuje czasu i czy warto w ogóle o tym wspominać. Ale doprawdy, szczególną prowadzimy rozmowę jak na czas karnawału. Jak do tego doszliśmy? A, już wiem! Prosili panowie o miejsce w oknie. Cóż, dobrze, będziecie je mieli; ale siądźmy najpierw do stołu, bo właśnie ktoś idzie nam powiedzieć, że śniadanie gotowe.

Istotnie, służący otworzył drzwi salonu i wymówił sakramentalną formułę:

— *Al suo commodo*![735]

Młodzieńcy wstali i przeszli do jadalni.

W czasie śniadania, wybornego i podanego z niesłychanym przepychem, Franz szukał oczyma wzroku Alberta, chcąc wyczytać, jakie wrażenie sprawiły na nim słowa gospodarza, a był pewien ich efektu; ale czy to przez swoją zwykłą beztroskę Albert nie zwracał na niego uwagi, czy też hrabia Monte Christo zjednał go sobie, ustępując mu pod pewnymi względami w kwestii pojedynku, czy też wreszcie dlatego, że to, co wydarzyło się wcześniej, a o czym wiedział tylko Franz, spotęgowało na nim efekt teorii hrabiego — dość że Franz nie widział, by jego przyjaciel był w jakikolwiek sposób zbulwersowany tym, co usłyszał; przeciwnie — zajadał z ogromnym zapałem śniadanie, jako człowiek skazany od kilku miesięcy na kuchnię włoską, to jest jedną z najokropniejszych w świecie.

Hrabia zaś kosztował jedynie poszczególne dania; rzekłbyś, że siadając do stołu, wypełniał jedynie powinność gospodarza i że czeka na ich odejście, aby zawołać dla siebie o jakieś szczególnie osobliwie potrawy.

Pod koniec śniadania Franz wyjął zegarek.

— Cóż to, czyżby panowie się spieszyli? — spytał hrabia.

— Proszę nam darować, panie hrabio — odpowiedział Franz — ale mamy jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia.

— A jakież to?

— Nie mamy jeszcze kostiumów, a kostium jest dziś nieodzowny.

— Proszę się tym nie przejmować. Jak mi się zdaje, wynajęto dla mnie na placu del Popolo pokój. Każę tam przynieść stroje, jakie panowie mi wskażecie i przebierzemy się na miejscu.

— Zaraz po egzekucji? — wykrzyknął Franz.

— Oczywiście, po egzekucji, w czasie jej trwania albo i przed, jak panowie będą chcieli.

[735] *al suo commodo* (wł.) — popr.: *al suo comando* (jak pan każe) a. *a suo comodo* (jak panu wygodnie). [przypis edytorski]

— Mamy się przebierać naprzeciw szafotu?

— Szafot stanowi także część karnawału.

— Ehm... panie hrabio, zastanowiłem się — rzekł Franz — i stanowczo dziękuję panu za uprzejmość. Chętnie przyjmę miejsce w pańskim powozie, miejsce w oknie pałacu Rospolich, ale rezygnuję z miejsca w oknie na placu del Popolo.

— Ale uprzedzam, że stracisz pan bardzo ciekawy spektakl — rzekł hrabia.

— To mi pan hrabia opowie o tym później, a jestem przekonany, że opowiadanie w pańskim wykonaniu wywrze na mnie tak głębokie wrażenie, jak widok egzekucji. Zresztą już kilka razy usiłowałem zmusić się do obejrzenia egzekucji, ale nigdy nie mogłem się na to zdecydować. A ty, Albercie?

— Widziałem egzekucję Castainga[736] — odpowiedział wicehrabia — alem wtedy miał mocno w czubie, bo to był ostatni dzień gimnazjum i spędziliśmy noc w jakiejś knajpie.

— Ejże, to nie powód! Nie widziałeś pan tego w Paryżu, ale możesz pan przecież zobaczyć to za granicą. Podróżujemy dla nauki, zmieniamy miejsca, aby oglądać to i owo. Wyobraź pan sobie, jak pan będziesz wyglądał, gdy cię zapytają: „Jak się odbywa egzekucja w Rzymie?", a ty będziesz musiał odpowiedzieć: „Nie wiem". A wreszcie mówi się przecież, że delikwent to nikczemny łotr, nicpoń, który prętem z kominka zatłukł poczciwego kanonika, co go wychowywał jak syna. Do diabła! Kto zamierza zabić osobę duchowną, wybiera raczej szlachetniejszy rodzaj broni, zwłaszcza jeśli ów duchowny jest być może jego prawdziwym ojcem! Gdybyś pan pojechał do Hiszpanii, poszedłbyś na walkę byków, czyż nie? A więc wyobraź pan sobie, że zobaczymy tu właśnie taką walkę: przypomnij pan sobie starożytnych Rzymian i cyrk, gdzie zabijano podczas widowisk po trzysta lwów i ze stu ludzi[737]. Przypomnij pan sobie o tych osiemdziesięciu tysiącach widzów klaszczących w dłonie, o tych dostojnych matronach[738], co tam wprowadzały swe córki na wydaniu, o tych przecudnych westalkach z białymi rączkami, które czarownym gestem kciuka[739] dawały do zrozumienia: „Ach, nie lenić się! Skończcież nareszcie z tym człowiekiem, w którym jeszcze ciągle kołacze się życie!".

— I co, pojedziesz, Albercie? — zapytał Franz.

— Tak, na honor! Wahałem się jak i ty, ale mnie przekonał pan hrabia.

— No, więc pojedziemy, skoro tak chcesz — rzekł Franz — ale chciałbym tam pojechać przez ulicę del Corso, jeśli to możliwe.

— Pieszo tak, ale powozem nie.

— Hm, to pójdę piechotą.

— Czy koniecznie musisz pan iść przez tę ulicę?

— Tak, muszę tam coś obejrzeć.

— A więc dobrze, pójdziemy przez tę ulicę, a powóz poślemy na plac del Popolo, żeby tam na nas czekał. Jestem nawet rad, że tamtędy przejdziemy, będę się mógł przekonać, czy zostały spełnione moje rozkazy.

— Panie hrabio — rzekł służący, otwierając drzwi. — Jakiś pokutnik chce z jaśnie panem mówić.

— A, wiem, o co idzie. Panowie, raczcie przejść do salonu, znajdziecie tam na stoliku doskonałe hawańskie[740] cygara, a ja za chwilę wrócę.

Goście wstali i wyszli jednymi drzwiami, podczas gdy hrabia, przepraszając ich raz jeszcze, zniknął za drugimi. Albert, wielki amator cygar, który czuł się mocno pokrzywdzony faktem, że we Włoszech był pozbawiony takich cygar, jakie podawano w Café de Paris, podchodząc do stołu, z radości aż wykrzyknął, widząc na nim oryginalne *puros*[741].

---

[736] *Castaing, Edme-Samuel* (1793–1823) — fr. lekarz i morderca; uznawany za pierwszą osobę, która użyła morfiny w celu zabójstwa; skazany i ścięty w Paryżu. [przypis edytorski]

[737] *cyrk, gdzie zabijano podczas widowisk po trzysta lwów i ze stu ludzi* — w Koloseum miały miejsce spektakularne egzekucje oraz *venationes* (łac. polowania), czyli walki ze zwierzętami i ich uśmiercanie w ramach widowiska; w Cyrku Nerona, znajdującym się na terenie dzisiejszego Watykanu, dokonywano natomiast krwawych wyroków na chrześcijanach. [przypis edytorski]

[738] *matrona* (łac.) — w starож. Rzymie: małżonka, gospodyni domu. [przypis edytorski]

[739] *gest kciuka* (łac. *pollice verso*: odwróconym kciukiem) — w starож. Rzymie: gest wykonywany przez publiczność walk gladiatorskich, który skazywał przegranego zawodnika na śmierć. [przypis edytorski]

[740] *hawański* — związany z Hawaną, tj. stolicą Kuby. [przypis edytorski]

[741] *puro* (hiszp. czysty) — cygaro, który został w całości wykonany z tytoniu pochodzącego tylko z jednego kraju. [przypis edytorski]

— No i co myślisz o panu Monte Christo? — odezwał się Franz.

— Co myślę? — rzekł Albert, wyraźnie zdziwiony takim pytaniem. — Myślę, że to człowiek czarujący, który umie znakomicie podejmować gości, który wiele widział, mnóstwo wie, który rozważa wszystko do głębi. Należy, jak Brutus, do szkoły stoików; a poza tym — dodał, wypuszczając z rozkoszą kłąb dymu, który uniósł się spiralą aż pod sufit — posiada doskonałe cygara.

Takie było zdanie Alberta; a ponieważ Franz wiedział, że Albert szczyci się tym, że wyrabia sobie opinię o ludziach i rzeczach dopiero po głębokich refleksjach, nie próbował więc zmieniać jego wyobrażeń.

— Ale czy nie zauważyłeś jednej dziwnej rzeczy?

— Jakiej to?

— Że ci się przypatrywał z nadzwyczajną uwagą.

— Mnie?

— Tak, tobie.

Albert zastanowił się.

— A! — rzekł po chwili, wzdychając — nic dziwnego. Nie byłem w Paryżu już od roku, moje ubranie musi być naprawdę niemodne. Hrabia wziął mnie za parafianina[742]; wyprowadź go z błędu, mój kochany, błagam, przy pierwszej sposobności, że tak nie jest.

Franz uśmiechnął się; po chwili wszedł hrabia.

— Oto jestem, moi panowie, gotów na wasze usługi, wydałem już wszystkie rozkazy; powóz pojedzie swoją drogą na plac del Popolo, my zaś pójdziemy, jak pan sobie zażyczył, przez ulicę del Corso. Proszę sobie wziąć trochę tych cygar, panie de Morcerf.

— Z prawdziwą przyjemnością! Włoskie cygara są chyba jeszcze paskudniejsze niż nasze monopolowe. Kiedy przyjedziesz pan do Paryża, odwdzięczę się za wszystko.

— O, nie odmówię; zamierzam się kiedyś wybrać, a skoro pan zapraszasz, zastukam i do pańskich drzwi. Ale chodźmy już, panowie, nie mamy czasu do stracenia, już wpół do pierwszej, chodźmy.

I wszyscy trzej wyszli.

Stangret wysłuchał ostatnich rozkazów swojego pana i odjechał ulicą del Babuino, trzej zaś piechurzy podążyli przez Plac Hiszpański[743] na ulicę Frattina, która zaprowadziła ich prosto między pałac Fiano i pałac Rospolich.

Franz wpatrywał się wyłącznie w okna tego ostatniego pałacu; nie zapomniał bowiem o znaku umówionym w Koloseum pomiędzy człowiekiem w pelerynie a Transteverczykiem.

— A któreż to pańskie okna? — zapytał hrabiego tonem tak naturalnym, na jaki tylko mógł się zdobyć.

— Trzy ostatnie — odpowiedział hrabia z obojętnością, która nie miała w sobie nic sztucznego, bo nie mógł się domyślać, dlaczego mu zadano takie pytanie.

Wzrok Franza przeniósł się szybko na te trzy okna.

Boczne wybite były żółtym adamaszkiem, środkowe zaś białym, na tle którego naszyto czerwony krzyż.

A więc człowiek w pelerynie dotrzymał słowa danego Transteverczykowi i nie podlegało już wątpliwości, że owym człowiekiem był hrabia.

W trzech oknach nie było jeszcze nikogo. A wokół czyniono przygotowania do widowiska: ustawiano krzesła, wznoszono rusztowania, przystrajano okna. Maski i powozy mogły pojawić się na ulicach dopiero na dźwięk dzwonów, ale czuć było, że za oknami czai się już wiele masek, a za bramami stoi już wiele ekwipaży[744].

Franz, Albert i hrabia szli dalej ulicą del Corso. W miarę jak zbliżali się do placu del Popolo, tłum gęstniał coraz bardziej; ponad tym tłumem głów wznosił się obelisk z krzyżem na szczycie, wskazujący środek placu, a przed nim, tam, gdzie zbiegała się perspektywa ulic del Babuino, del Corso i di Ripetta, widać było dwie najwyższe belki rusztowania, pomiędzy którymi błyszczał nóż w kształcie półksiężyca — była to *mandaia*.

[742] *parafianin* (daw.) — człowiek z prowincji, tj. zacofany, ograniczony. [przypis edytorski]

[743] *Plac Hiszpański* (wł. *Piazza di Spagna*) — rzym. plac, do którego prowadzą słynne, rokokowe Schody Hiszpańskie. [przypis edytorski]

[744] *ekwipaż* (z fr. *équipage*) — ogół rzeczy potrzebnych do wygodnej podróży, w szczególności zaprzęg, pojazd, wyposażenie, bagaż. [przypis edytorski]

Na rogu ulicy natknęli się na intendenta hrabiego, który czekał tu na swojego pana.

Okno wynajęte za tak szaleńczą cenę, że hrabia nie chciał jej zdradzić swoim gościom, było na drugim piętrze wielkiego pałacu znajdującego się pomiędzy ulicą Babuino a Monte Pincio. Było to lokum składające się z gotowalni przylegającej do pokoju sypialnego; zamknąwszy drzwi od sypialni, lokator gotowalni mógł czuć się jak u siebie w domu. Na krzesłach leżały porozkładane kostiumy arlekinów[745] z biało-niebieskiego atłasu[746].

— Ponieważ zostawiliście mi panowie wybór kostiumów — rzekł hrabia — poleciłem przygotować takie. Po pierwsze są modne, po drugie będą bardzo praktyczne przy confetti[747], bo nie będzie na nich widać białego proszku.

Franz niezbyt uważnie słuchał ostatnich słów hrabiego i zapewne nie docenił właściwie tego nowego dowodu życzliwości; cała jego uwaga była już zwrócona na widowisko, jakie przedstawiał plac del Popolo oraz na to straszliwe rusztowanie, które w tej chwili stanowiło główną jego ozdobę.

Pierwszy to raz Franz widział gilotynę; nazwijmy to gilotyną, albowiem rzymska *mandaia* jest właściwie zbudowana według tego samego wzorca, co i nasze narzędzia śmierci. Ostrze kształtu księżyca tnie tutaj stroną wypukłą i spada z mniejszej wysokości — to wszystko.

Dwaj jacyś ludzie, siedząc na ruchomej desce, na której kładzie się skazańca, zajadali tymczasem śniadanie, które składało się, o ile Franz mógł dostrzec, z chleba i kiełbasy; jeden z nich podniósł deskę, wydobył flaszkę wina, napił się i podał towarzyszowi; ci dwaj ludzie byli pomocnikami kata.

Na sam ten widok Franz uczuł, jak czoło zraszają mu krople potu.

Skazańcy, przeniesieni w przeddzień z więzienia Carceri Nuove do kościółka Santa Maria del Popolo, spędzili tam noc całą, mając przy sobie każdy po dwóch księży, w okratowanej kaplicy przedpogrzebowej, przed którą przechadzali się strażnicy zmieniani co godzinę.

Teatr, Społeczeństwo, Sprawiedliwość, Śmierć

Szpaler karabinierów ustawionych od drzwi kościoła aż po szafot tworzył przejście szerokie na jakieś dziesięć stóp, a sam szafot otaczał kręgiem liczącym ze sto kroków obwodu. Reszta placu była wybrukowana głowami ludzkimi. Wiele kobiet posadziło sobie dzieci na ramionach. Dzieci owe, górując dzięki temu nad tłumem, miały wprost wymarzone miejsca.

Monte Pincio zdawała się jednym wielkim amfiteatrem z widzami zapełniającymi szczelnie stopnie. Krużganki dwóch kościołów na rogach ulic del Babuino i di Ripetta pękały od gapiów uprzywilejowanych; stopnie zaś zakryte były jakby falą pstrokatą i ruchliwą, którą bezustanny przypływ spychał w stronę bram kościelnych. Każdy występ muru, na którym mógłby się zmieścić człowiek, był zwieńczony żywym posągiem.

Hrabia zatem mówił prawdę: tym, co najciekawsze w życiu, jest widok czyjejś śmierci.

A zamiast ciszy, którą zdawało się nakazywać tak uroczyste widowisko, plac wrzał od gwaru, gwaru złożonego ze śmiechów, nawoływań i wesołych okrzyków; było oczywiste, jak to już mówił hrabia, że egzekucja taka stanowiła dla ludu po prostu początek karnawału.

Nagle wrzawa ustała, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki — otwarły się drzwi kościoła.

Najpierw ukazało się bractwo pokutników, odzianych w szare worki z otworami tylko na oczy; każdy trzymał w ręku płonącą świecę; na czele kroczył starszy bractwa.

Za pokutnikami szedł człowiek wysokiego wzrostu. Był niemal całkiem nagi, miał na sobie tylko krótkie, płócienne pludry[748]; przy lewym boku wisiał mu w pochwie wielki nóż; na prawym ramieniu dźwigał ciężką, żelazną maczugę.

Był to kat.

Stopy miał obute w sandały przymocowane rzemykami do łydki powyżej kostki.

---

[745] *arlekin* — postać błazna we wł. *commedia dell'arte*, występująca w czarnej masce i kostiumie zszytym z kolorowych trójkątów albo rombów. [przypis edytorski]

[746] *atłas* — miękka tkanina, której jedna strona jest błyszcząca, a druga matowa. [przypis edytorski]

[747] *confetti* (wł.) — pierwotnie confetti było rodzajem słodyczy w kształcie jajka wypełnionego nasionami kolendry, którym obrzucano się nawzajem w trakcie karnawału; uczestnicy tej zabawy obsypywali się także mąką. [przypis edytorski]

[748] *pludry* (daw.) — rodzaj krótkich spodni. [przypis edytorski]

Za katem postępował najpierw Peppino, a za nim Andrea — w takiej kolejności, w jakiej mieli być straceni.

Obok każdego z nich szło dwóch kapłanów. Skazańcom nie zawiązano oczu.

Peppino postępował krokiem dość pewnym, wiedząc zapewne, że ktoś zajął się jego ocaleniem. Andrea był za to podtrzymywany za ramiona przez księży.

Od czasu do czasu skazańcy całowali krucyfiks, który podawał im spowiednik.

Franz na sam ten widok poczuł, że uginają się pod nim nogi; spojrzał na Alberta. Albert blady jak własna koszula machinalnym ruchem odrzucił cygaro od siebie, chociaż wypalił je zaledwie do połowy.

Tylko hrabia stał nieporuszony. Co więcej: przez sinawą bladość jego lica zdawał się przebijać leciutki rumieniec.

Rozdymał nozdrza, niby dziki zwierz, co zwietrzył krew, a z jego na wpół otwartych ust wyglądały zęby białe, drobne i ostre jak u szakala.

A jednocześnie w jego twarzy czaił się łagodny uśmiech, jakiego Franz jeszcze nigdy u niego nie zauważył; szczególnie zaś przepełnione dobrocią były jego czarne, aksamitne oczy.

Dwaj skazańcy kroczyli ciągle ku rusztowaniu i w miarę jak się zbliżali, coraz łatwiej można było rozpoznać ich rysy. Peppino był ślicznym chłopcem w wieku około dwudziestu pięciu lat; w twarzy ogorzałej od słońca błyszczały śmiało oczy o dzikim wyrazie. Szedł z uniesioną wysoko głową, węsząc jakby, z której strony nadejdzie jego wybawca.

Andrea był niski i tęgi, jego pełna okrucieństwa twarz nie zdradzała dokładnie wieku; mógł mieć około trzydziestu lat. W więzieniu zapuścił brodę. Głowa zwieszała mu się na ramię, uginały się pod nim nogi: jego ciało wydawało się automatem, poruszającym się wyłącznie machinalnie, w którym nic już nie zależało od jego woli.

— Zdawało mi się — zagadnął hrabiego Franz — że pan mówił o tylko jednej egzekucji.

— I powiedziałem panu prawdę — odrzekł zimno hrabia.

— A jednak widzę tu dwóch skazańców...

— Tak, ale jeden z nich idzie na śmierć, a drugi ma jeszcze przed sobą długie lata.

— Ale przecież nie ma czasu do stracenia, ułaskawienie powinno już nadejść.

— Patrz pan — rzekł hrabia.

Istotnie, w chwili gdy Peppino zbliżył się do *mandai*, jakiś spóźniony pokutnik przedarł się przez szpaler żołnierzy, którzy nie próbowali go wcale zatrzymać, i podał starszemu z bractwa papier złożony we czworo.

Płomienny wzrok Peppina nie stracił żadnego szczegółu tej sceny; przełożony bractwa rozłożył papier, przeczytał i wzniósł rękę.

— Błogosławiony niech będzie Pan nasz, chwała Jego Świątobliwości! — zawołał głośno i wyraźnie. — Jeden ze skazańców otrzymał ułaskawienie!

— Ułaskawienie! — zawołał lud. — Ułaskawienie!

Na dźwięk tego słowa Andrea wstrząsnął się i podniósł głowę.

— Ułaskawienie? — zawołał. — Dla kogo?

Peppino stał nieporuszony, milcząc i ciężko dysząc.

— Uwolniono od kary Peppina, zwanego Rocca Priori — oznajmił starszy bractwa pokutników.

I podał pismo dowódcy karabinierów, który przeczytał je i zwrócił z powrotem.

— Łaska dla Peppina?! — wrzasnął Andrea, wyrwany całkiem z odrętwienia. — Czemuż dla niego, a nie dla mnie? Mieliśmy umrzeć obaj, obiecano mi, że on zginie przede mną, nie macie prawa zabijać tylko mnie! Nie chcę umierać sam!

I rycząc, klnąc, wijąc się jak wariat, wyrwał się księżom, chcąc rozerwać więzy, które mu krępowały ręce.

Kat dał znak swoim pomocnikom, którzy zeskoczyli razem z rusztowania i uchwycili skazańca.

— Co się dzieje? — zapytał Franz hrabiego.

Nie zrozumiał tej sceny, ponieważ wszyscy mówili w dialekcie rzymskim.

— Co się dzieje? Nie pojmuje pan? Oto istota ludzka mająca za chwilę umrzeć, która wścieka się, że jej bliźni nie umrze z nią razem, a gdyby tylko mogła, rozszarpałaby go

Obraz świata, Społeczeństwo, Kondycja ludzka

raczej pazurami i kłami, niż dopuściłaby, żeby ów bliźni cieszył się życiem, które on sam ma stracić. O ludzie, ludzie, jaszczurcze plemię, jak powiada Karol Moor[749]! — zawołał hrabia, wznosząc ku tłumowi zaciśnięte pięści. — Jakże was w tym dobrze widać! Zawsze jesteście godni siebie!

I rzeczywiście — Andrea i pomocnicy kata tarzali się w tumanach kurzu. Skazany wrzeszczał bez przerwy:

— On musi umrzeć, chcę, żeby umarł! Nie macie prawa zabijać tylko mnie!

— Patrzcie, panowie, patrzcie — mówił hrabia, ujmując młodych ludzi za ręce. — Przyjrzyjcie się dokładnie, bo na mą duszę, to rzecz nader ciekawa: oto człowiek, który poddał się już swemu losowi, spokojnie szedł na szafot i miał umrzeć tchórzliwie, ale za to spokojnie i bez skargi. A wiecie, co mu dawało siłę, co go pocieszało, dlaczego tak cierpliwie gotów był przyjąć kaźń? Dlatego że ktoś inny bał się tak samo jak on, dlatego że ten inny miał umrzeć tak samo jak i on; dlatego że ten inny miał umrzeć przed nim! Spróbujcie zaprowadzić dwa barany albo dwa woły do rzeźni i dajcie jednemu do zrozumienia, że drugi nie umrze: baran zabeczy wtedy z radości, wół zaryczy. Ale człowiek, którego Bóg stworzył na swoje podobieństwo, człowiek, któremu Bóg pragnął zaszczepić miłość bliźniego jako pierwszy, jedyny i najświętszy obowiązek, człowiek, któremu Bóg dał mowę, aby wyrażał swe myśli — cóż powie ów człowiek, dowiedziawszy się, że jego towarzysz jest ocalony? Będzie złorzeczył. Chwała człowiekowi, arcydziełu natury, chwała panu stworzenia!

Obraz świata, Społeczeństwo, Kondycja ludzka, Natura

I hrabia roześmiał się, ale był to śmiech straszliwy, dowodzący, że musiał bardzo cierpieć, aby nauczyć się śmiać się w ten sposób.

Bójka wciąż trwała, widok był okropny. Pachołkowie katowscy wciągali Andreę na rusztowanie; tłum był przeciwko niemu; dwadzieścia tysięcy głosów wołało zgodnie:

— Zabić go! Zabić!

Franz rzucił się w tył, ale hrabia chwycił go za ramię i przytrzymał przy oknie.

— Co pan robisz! Czuje pan litość dla tego człowieka? O, dobrześ sobie pan wybrał obiekt! Gdybyś usłyszał, że ktoś krzyczy: „Wściekły pies!", porwałbyś za strzelbę, wypadł na ulicę i wypaliłbyś prosto w łeb temu biednemu zwierzęciu, które cóż zresztą winne, że ukąszone przez innego psa, oddaje, co wzięło? A pan lituje się nad człowiekiem, którego nikt nie ugryzł, a który jednak zabił swojego dobroczyńcę; a teraz, kiedy już zabijać nie może, bo ma związane ręce, chce za wszelką cenę zobaczyć, jak umiera jego towarzysz niedoli! O, nie, nie, patrz, patrz!

Zachęta ta była już właściwie zbyteczna; Franz stał zafascynowany widokiem tej okropnej sceny. Pachołkowie kata wynieśli delikwenta siłą na szafot i mimo jego oporu, ukąszeń i krzyków, zmusili go, by ukląkł. Tymczasem kat stanął z boku i wzniósł maczugę. Na dany znak dwaj pachołkowie odsunęli się. Skazaniec spróbował się podnieść, ale nim zdążył to zrobić, na jego lewą skroń opadła maczuga. Rozległo się głuche i przytłumione uderzenie, delikwent zwalił się na ziemię jak wół, twarzą w ziemię, odbił się od niej i opadł na plecy. Kat rzucił maczugę w kąt, dobył noża i jednym ruchem rozciął mu gardło, a wskoczywszy mu zaraz na brzuch, zaczął deptać go nogami.

Za każdym stąpnięciem fontanna krwi buchała z szyi zbrodniarza.

Tym razem Franzowi było tego już za wiele. Rzucił się w tył i opadł na fotel na wpół omdlały.

Albert, z zamkniętymi oczami, stał ciągle przy oknie, wczepiony kurczowo w zasłonę.

Hrabia stał triumfujący jak upadły anioł.

36. KARNAWAŁ RZYMSKI

Gdy Franz przyszedł do siebie, ujrzał, jak Albert pije ze szklanki wodę, a jego bladość wskazywała, że mu to jest bardzo potrzebne; a hrabia przebierał się już tymczasem w kostium arlekina.

Franz zwrócił machinalnie oczy na plac; wszystko już zniknęło: i szafot, i kaci, i ofiary. Pozostał tylko tłum — gwarny, ruchliwy, radosny.

[749] *Karol Moor* — bohater dramatu Schillera *Zbójcy*; wydziedziczony przez ojca, obejmuje przywództwo bandy zbójców. [przypis edytorski]

Słychać było, jak bije dzwon na Monte Citorio, dzwon, który rozbrzmiewa tylko na śmierć papieża i na otwarcie *mascheraty*.

— Co się stało? — spytał hrabiego.

— Nic, nic zupełnie; jak pan widzisz, po prostu rozpoczął się karnawał, ubierajmy się prędko.

— Prawda — odpowiedział Franz. — Po tej okropnej scenie nie ma już nic oprócz śladu, jaki zostawia sen.

— Bo to, co pan widział, było rzeczywiście tylko snem, koszmarem sennym.

— To, co ja widziałem, tak; a skazaniec?

— On też miał ten sen; tylko że on ciągle śpi, a pan się obudziłeś. Kto wie, który z was jest bardziej uprzywilejowany?

— Ale Peppino? — zapytał Franz. — Cóż się z nim stało?

— Peppino to chłopiec rozsądny, pozbawiony zupełnie miłości własnej; wbrew zwyczajom ludzi, którzy się wściekają, gdy nikt nie zwraca na nich uwagi, Peppino przeciwnie — był zachwycony, że cały plac przeniósł uwagę na jego towarzysza; skorzystał z tego ogólnego roztargnienia, wśliznął się w tłum i zniknął, nie podziękowawszy nawet zacnym kapłanom, co mu towarzyszyli. Człowiek jest stanowczo zwierzęciem nader niewdzięcznym i nader samolubnym... Ale ubierajże się pan, proszę brać przykład z pana de Morcerfa.

Istotnie, Albert wciągał machinalnie taftowe szarawary na swoje czarne spodnie i lakierowane trzewiki.

— I co, Albercie — spytał Franz. — Masz teraz nastrój na szaleństwa? Odpowiedz mi, tylko szczerze.

— Niezbyt. Ale naprawdę jestem kontent, żem widział coś podobnego i rozumiem to, co pan hrabia powiedział — że gdy ktoś raz oswoi się z widowiskiem tego rodzaju, żadne inne nie wywrze na nim już równego wrażenia.

— Nie licząc tego, że tylko w takich chwilach mamy okazję analizować charaktery rzekł hrabia. — Na pierwszym stopniu szafotu śmierć zdziera maskę, jaką nosiło się przez całe życie, i ukazuje się prawdziwa twarz. Przyznać należy, że oblicze Andrei nie było zbyt ujmujące... obrzydliwy łotr!... Ubierajmy się, panowie, ubierajmy!

Franz mógłby się narazić na śmieszność, gdyby okazywał nadal wrażliwość dziewczątka; trzeba było iść za przykładem towarzyszy. Włożył więc również swój kostium i ubrał maskę nie bledszą w tej chwili niż jego twarz.

Zakończywszy toaletę, zeszli na dół. Powóz czekał przy bramie, pełen confetti i bukietów.

Ruszyli za sznurem ekwipaży.

Trudno sobie wyobrazić, jak gruntownej przemianie uległ wygląd placu. Tam, gdzie rozegrał się przed chwilą ów posępny i mroczny spektakl śmierci, rozszalała się teraz hałaśliwa orgia. Tłumy masek wychodziły, wypływały ze wszystkich stron, wymykały się ze wszystkich drzwi, wyskakiwały z okien. Ze wszystkich ulic wyjeżdżały powozy, załadowane pierrotami, arlekinami, ludźmi w dominach, ludźmi przebranymi za markizów, Transteverczyków i rycerzy; a wszyscy krzyczeli, machali rękami, rzucali jaja napełnione mąką, confetti i kwiaty; zaczepiali słowem i gestem przyjaciół i obcych, znajomych i nieznajomych, a nikt nie miał prawa się obrażać — można się było jedynie śmiać.

Franz i Albert czuli się jak ludzie, których ktoś, pragnąc, by zapomnieli o jakiejś ponurej zgryzocie, prowadzi na orgię; w miarę jak piją i upijają się, gęstnieje zasłona oddzielająca przeszłość od teraźniejszości. A jednak ciągle stało im przed oczami, a raczej czuli w sobie odbicie tego, co widzieli przed chwilą.

Ale stopniowo ogólne upojenie i ich ogarnęło; zdawało im się, że zaraz opuści ich rozum, i tak dość chwiejny; odczuwali osobliwą potrzebę zmieszania się z tym zgiełkiem, ruchem, szaleństwem.

Nagle z sąsiedniego powozu ktoś rzucił na Alberta garść confetti; kruszynki pokryły wszystkich białym prochem, a Morcerfowi pokłuły szyję i tę cześć twarzy, która nie była osłonięta maską. I to wreszcie skłoniło go, by rzucić się w wir ogólnej walki, w którą zamieszane już były wszystkie napotkane maski.

Powstawszy w powozie, sięgnął do worków i z całą siłą i zręcznością, na jaką go było stać, obrzucił jajami i confetti sąsiadów.

I rozpoczęła się walka.

Wspomnienie tego, co widzieli przed półgodziną, zatarło się zupełnie w pamięci młodzieńców; tak dalece oderwało ich od tej myśli to różnobarwne, ruchliwe, szalone widowisko.

Zaś hrabia Monte Christo nie wydał się nawet przez chwilę wytrącony ze swojej obojętności, dobrze już nam znajomej.

Ale wyobraźmy sobie tę szeroką i piękną ulicę del Corso, przy której stoją od początku do końca cztero- i pięciopiętrowe pałace, z balkonami i oknami udekorowanymi tapiseriami i tkaninami; a na tych balkonach i w tych oknach trzysta tysięcy widzów: Rzymian, Włochów, cudzoziemców, co się tu zbiegli z czterech części świata; arystokracja rodowa, finansowa, śmietanka artystyczna; przepiękne kobiety, ulegając czarowi tego widowiska, wychylają się z balkonów i okien, sypiąc grad confetti na przejeżdżające powozy, za co odpłaca im się gradem kwiatów wzlatujących do góry, a na ulicach gęsto od radosnych, nieprzebranych, szalonych tłumów, w najosobliwszych kostiumach przechadzają się olbrzymie kapusty, łby byków ryczą na ludzkich tułowiach, psy zdają się defilować na tylnych łapach.

Pośród tego wszystkiego, w tym tłumie demonów, jaki mógłby sobie wyobrazić Callot[750], malując kuszenie świętego Antoniego, nagle unosi się maska i ukazuje czarowne lica jakiejś Astarte[751] — do której pragnęlibyśmy podbiec, ale drogę do niej zagradzają nam demony podobne do tych, jakie widujemy w snach; wszystkie te obrazy zmieszane razem mogą dać nader słabe wyobrażenie, czym jest rzymski karnawał.

Okrążywszy po raz drugi plac, hrabia kazał stangretowi zatrzymać się i, żegnając uprzejmie towarzyszów, zostawił powóz do ich dyspozycji. Franz podniósł oczy: znajdowali się naprzeciwko pałacu Rospolich; w oknie środkowym, wybitym białym adamaszkiem z czerwonym krzyżem, ujrzał błękitne domino[752], które, jak się domyślił, należało do pięknej Greczynki z teatru Argentina.

— Kiedy panowie znudzicie się już rolą aktorów, a zechcecie zostać znowu widzami, proszę pamiętać, że macie miejsce w moich oknach — rzekł hrabia, wyskakując z powozu. — Tymczasem proszę rozporządzać moim powozem, stangretem i ludźmi.

Zapomnieliśmy powiedzieć, że stangret hrabiego miał na sobie wspaniałe niedźwiedzie futro, a dwaj lokaje stojący z tyłu powozu przebrali się za zielone małpy; kostiumy te świetnie odpowiadały ich figurom, a maski na sprężynach czyniły do przechodniów rozmaite grymasy.

Franz podziękował hrabiemu za tyle uprzejmości; Albert zaś już flirtował, bombardując bukietami karetę pełną rzymskich wieśniaczek, zatrzymaną — podobnie jak ich powóz — w korku.

Na nieszczęście dla Alberta pojazdy znów ruszyły, i podczas gdy skierowali się na plac del Popolo, kareta, która zwróciła uwagę Alberta, pojechała w stronę Pałacu Weneckiego.

— Ach! Mój drogi! — zagadnął Franza. — Nie widziałeś?...

— Czegóż znowu?

— No, tej karocy naładowanej rzymskimi wieśniaczkami?

— Nie.

— Ach, jestem pewien, że tam były prześliczne kobiety.

— Co za szkoda, że jesteś w masce! To był dla ciebie dobry moment, żeby sobie powetować[753] niepowodzenia miłosne.

— To nic — odpowiedział Albert pół żartem, pół serio. — Mam jeszcze nadzieję, że odbiję to sobie podczas karnawału.

Mimo tych nadziei cały dzień minął bez żadnych przygód; spotkali tylko parę razy powóz z wieśniaczkami. Przy jednym z tych spotkań Albertowi opadła z twarzy maska czy to przypadkiem, czy też może Albert postarał się o to.

---

[750]*Callot, Jacques* (1592–1635) — fr. rysownik i grafik, przedstawiciel manieryzmu; tematem jego dzieł były m.in. sceny religijne i rodzajowe, karykatury, typy postaci ludowych (np. Cyganie) i z *commedia dell'arte*; jego ilustracje charakteryzowały się dużym dynamizmem. [przypis edytorski]

[751]*Astarte* a. *Asztarte* — kananejska i fenicka bogini miłości, płodności i wojny, utożsamiana z babilońsko-asyryjską Isztar, z sumeryjską Inanną (Panią Niebios), a także z gr. Afrodytą. [przypis edytorski]

[752]*domino* — płaszcz z kapturem używany jako strój maskaradowy. [przypis edytorski]

[753]*powetować* — wynagrodzić sobie straty. [przypis edytorski]

Pochwycił ostatni bukiet i wrzucił go do karety.

Któraś z tych pięknych, jak sądził Albert, kobiet, skrywających się pod zalotnymi kostiumami wieśniaczek, nie pozostała obojętna na taką galanterię[754], gdy bowiem powozy znów się mijały, cisnęła bukiecik fiołków.

Albert rzucił się czym prędzej na ten bukiecik. Franz nie miał powodu przypuszczać, by fiołki przeznaczone były dla niego, pozwolił więc Albertowi zawładnąć zdobyczą. Albert z miną zwycięzcy zatknął kwiatuszki w butonierkę[755] i powóz pojechał triumfalnie dalej.

— Cóż — rzekł Franz. — Oto i masz początek przygody.

— Śmiej się, ale ja naprawdę myślę, że tak. I nie rozstanę się z tym bukiecikiem.

— Ba, jakbyś mógł! — zaśmiał się Franz. — Przecież to wasz znak rozpoznawczy.

Wkrótce żart ten nabrał cech rzeczywistości, bo gdy Albert z Franzem raz jeszcze spotkali powóz *contadin*[756], ta, która rzuciła Albertowi bukiet, klasnęła w dłonie, widząc, że włożył go do butonierki.

— Brawo, kochany, brawo! — zawołał Franz. — Świetnie ci idzie; może sobie pójdę? Na pewno wolałbyś być teraz sam.

— O, nie, nic nie przyspieszajmy; nie dam się nabrać jak głupi Jaś na pierwszą oznakę przychylności, nie pójdę na schadzkę pod zegarem, jak to się mówi na bal w Operze. Jeżeli nadobna wieśniaczka ma chęć posunąć się dalej, to przecież odszukamy ją jutro albo raczej ona nas odszuka. Wówczas da mi znak, a ja zastanowię się, co mam dalej czynić.

— Muszę ci przyznać, kochany — rzekł Franz — żeś mądry jak Nestor, a przebiegły jak Ulisses, a gdyby twojej Kirke[757] udało się ciebie zamienić w jakie zwierzę, to musiałaby mieć naprawdę wielkie umiejętności i moc.

Albert nie mylił się. Piękna nieznajoma postanowiła nie rozwijać dziś dalej intrygi, bo chociaż młodzieńcy zrobili jeszcze kilka okrążeń, nie spostrzegli już kolaski[758] z wieśniaczkami; musiała zniknąć w którejś z bocznych ulic.

Wrócili tedy do pałacu Rospolich, ale i hrabia gdzieś się podział wraz ze swoim błękitnym dominem; dwa pozostałe okna ustrojone w żółty adamaszek zajęte były nadal przez jakieś osoby, zapewne zaproszone przez gospodarza.

W tejże chwili, dzwon, co ogłosił otwarcie maskarady, wybił jej koniec. Szereg powozów na Corso załamał się i w jednej chwili wszystkie znikły w bocznych ulicach.

Franz i Albert byli wtedy dokładnie naprzeciw via delle Maratte[759].

Stangret wjechał w nią, nie rzekłszy ni słowa, minął pałac Rospolich, przejechał przez plac Hiszpański i zatrzymał się przed hotelem.

Franz zapytał natychmiast o hrabiego i wyraził żal, że nie zdążyli pojechać po niego do pałacu Rospolich; pan Pastrini uspokoił go jednak, mówiąc, iż hrabia zamówił dla siebie drugi pojazd, który pojechał tam po niego o czwartej. Hotelarz wręczył również przyjaciołom w imieniu hrabiego klucz od loży w teatrze Argentina.

Franz zapytał Alberta, co ma teraz ochotę robić; Albert miał w głowie tyle ważnych projektów, że nie myślał o teatrze; zamiast więc odpowiedzieć, spytał Pastriniego, czy nie mógłby mu skądś wynaleźć krawca.

— Krawca? — zapytał gospodarz. — A na co panu krawiec?

— Żeby nam uszył na jutro kostium wieśniaków rzymskich, tak wykwintny, jak tylko się da — rzekł Albert.

Pan Pastrini potrząsnął głową.

— Jak to, dwa kostiumy na jutro? — zawołał. — Ekscelencje darują, ale to żądanie typowe dla Francuzów. Dwa kostiumy! Jeszcze i za tydzień nie znalazłbyś pan jednego krawca, co by zechciał panu przyszyć sześć guzików do kamizelki, choćbyś mu za każdy płacił po dukacie!

— Więc mam nie myśleć o tych kostiumach?

---

[754] *galanteria* — wyjątkowa uprzejmość, grzeczność. [przypis edytorski]

[755] *butonierka* — dziurka od guzika w lewej klapie marynarki; do butonierki wkłada się niewielki żywy kwiat. [przypis edytorski]

[756] *contadina* (wł.) — wieśniaczka. [przypis edytorski]

[757] *Kirke* (mit. gr.) — bohaterka *Odysei* Homera, czarodziejka, która towarzyszy Odyseusza zmieniła w świnie. [przypis edytorski]

[758] *kolaska* — kareta, powóz. [przypis edytorski]

[759] *via delle Maratte*, właśc. *via delle Muratte* — ulica w Rzymie, która biegnie od Fontanny di Trevi do via del Corso. [przypis edytorski]

— Nie... Dostaniemy gotowe. Proszę zostawić to mnie, a jutro, gdy się panowie obudzą, znajdą taką kolekcję kapeluszy, kaftanów i spodni, że na pewno to panów zadowoli.

— Mój drogi — rzekł Franz do Alberta — zdajmy się na naszego gospodarza, dowiódł nam, że ma swoje tajemnicze źródła; zjedzmy więc spokojnie obiad, a po obiedzie pójdziemy na *Włoszkę w Algierze*[760].

— Niech będzie ta *Włoszka* — przytaknął Albert. — Ale niech pan pamięta, panie Pastrini, że ja i mój przyjaciel — tu wskazał na Franza — przywiązujemy wielką wagę do tych kostiumów na jutro.

Hotelarz oświadczył po raz ostatni, że nie muszą się o nic niepokoić i że stanie się zadość ich życzeniom — po czym Franz i Albert poszli na górę, aby zdjąć z siebie ubiory arlekinów.

Przy zmianie ubrania Albert zachował starannie bukiecik fiołków: był to w końcu jego znak rozpoznawczy na jutro.

Przyjaciele zasiedli do stołu; Albert, choć zajadał z apetytem, nie mógł się powstrzymać od uwagi, że istnieje fundamentalna różnica między umiejętnościami kucharza pana Pastriniego i kucharza hrabiego Monte Christo. Mimo uprzedzenia, jakie Franz żywił wobec hrabiego, musiał przyznać w imię prawdy, że porównanie to nie wychodzi na korzyść kucharza imć Pastriniego.

Przy wetach wszedł lokaj i zapytał, na kiedy będą potrzebować powozu. Albert i Franz spojrzeli po sobie, obawiając się nadużywać grzeczności hrabiego. Lokaj zrozumiał.

— Jaśnie wielmożny pan hrabia de Monte Christo wydał rozkaz, aby powóz był do dyspozycji jaśnie panów przez cały dzień. Jaśnie panowie mogą śmiało nim rozporządzać.

Młodzieńcy postanowili zatem wykorzystać w pełni uprzejmość hrabiego i kazali zaprzęgać. Sami tymczasem poszli zmienić na toaletę wieczorową strój, w którym byli dotychczas, choć niezbyt im się pogniótł podczas zabawy.

Dokonawszy dzieła, udali się do teatru Argentina i zasiedli w loży hrabiego.

W czasie pierwszego aktu do swojej loży weszła hrabina G***; jej pierwsze spojrzenie padło natychmiast w stronę, gdzie poprzedniego dnia ujrzała hrabiego; i w loży tego człowieka, o którym wyraziła dwadzieścia cztery godziny temu tak szczególne zdanie, zobaczyła Franza i Alberta.

Jej lornetka była na nich skierowana z takim uporem, że Franz uznał, iż byłoby okrucieństwem zwlekać z zaspokojeniem jej ciekawości; a zatem, korzystając z przywilejów, jakie posiadają widzowie we włoskich teatrach, a które dozwalają zachowywać się na sali teatralnej jak w prywatnym salonie, przyjaciele wyszli z loży, aby złożyć hrabinie swe uszanowanie.

Ledwie weszli do loży, hrabina zachęciła gestem Franza, by zajął miejsce w pierwszym rzędzie. Albert zaś usadowił się z tyłu.

— Jak mi się zdaje — rzekła, ledwie Franz zdążył usiąść — uznałeś pan za niesłychanie pilną rzecz, by zawrzeć znajomość z nowym lordem Ruthwenem; jak widzę, jesteście już najlepszymi przyjaciółmi pod słońcem?

— Choć nie doszliśmy jeszcze do takiej zażyłości, jak pani hrabina sądzi, nie mogę jednak zaprzeczyć — rzekł Franz — żeśmy cały dzień nadużywali jego uprzejmości.

— Jak to, cały dzień?

— Na honor, cały dzień; rano zaprosił nas na śniadanie, przez całą maskaradę jeździliśmy jego powozem po Corso i na koniec, teraz, oglądamy spektakl w jego loży.

— Więc go pan zna?

— I tak, i nie.

— Co to ma znaczyć?

— To bardzo długa historia.

— Ale mi ją pan opowiesz!

— Mógłbym panią przestraszyć.

— Tym bardziej będę prosiła.

— Niech pani przynajmniej poczeka, aż historia się zakończy.

— Dobrze, lubię historie, gdy mają początek i koniec. Ale proszę mi przynajmniej powiedzieć, jakeście się poznali? Kto mu panów przedstawił?

[760] *Włoszka w Algierze* (wł. *L'Italiana in Algeri*) — opera komiczna Rossiniego. [przypis edytorski]

— Nikt, to on pierwszy nam się przedstawił
— Kiedyż to?
— Wczoraj wieczór; kiedyśmy się z panią rozstali.
— Za czyimże pośrednictwem?
— Mój Boże! Pośrednik był doprawdy prozaiczny: właściciel naszego hotelu.
— To i on mieszka w Hotelu Londyńskim, tam, gdzie panowie?
— Nie tylko w tym samym hotelu, ale nawet na tym samym piętrze.
— A jakże się nazywa? Bo przecież musicie znać jego nazwisko!
— I owszem, hrabia de Monte Christo.
— Cóż to za nazwisko? Bo chyba nie rodowe.
— Nie. To nazwa wyspy, którą kupił.
— I jest hrabią?
— Toskańskim.
— Mniejsza o to, jakoś ujdzie w tłoku — rzekła hrabina, która pochodziła z jednej z najstarszych rodzin zamieszkałych w okolicach Wenecji. — A jako człowiek, jaki jest?
— Niech pani zapyta wicehrabiego de Morcerfa.
— Słyszałeś pan? Odesłano mnie do pana — rzekła hrabina.
— Musielibyśmy być bardzo wymagający, gdybyśmy nie uważali, że jest człowiekiem czarującym — odpowiedział Albert. — Przyjaciel, którego znalibyśmy od dziesięciu lat, nie zrobiłby tyle dla nas, co on, i to z takim wdziękiem, delikatnością i kurtuazją[761], które wskazują na prawdziwie wytwornego człowieka.
— O nie — roześmiała się hrabina — zobaczycie, panowie, że ten mój wampir okaże się po prostu jakimś bogatym nuworyszem[762] i abyśmy wybaczyli mu jego miliony, udaje Larę — w ten sposób nikt go nie pomyli z panem Rotszyldem[763]. A ją panowie widzieli?
— Jaką ją? — uśmiechnął się Franz.
— Piękną Greczynkę z wczoraj.
— Nie, słyszeliśmy tylko, jak chyba grała na guzli, ale była cały czas niewidzialna.
— Ejże, mój drogi — sprzeciwił się Albert. — Mówisz „niewidzialna" tylko po to, by stworzyć wokół tego jakąś tajemnicę. A jak sądzisz, kto miał na sobie to błękitne domino, gdy siedział w oknie wybitym białym adamaszkiem?
— A gdzież jest to okno ustrojone w adamaszek? — zaciekawiła się hrabina.
— W pałacu Rospolich.
— Co, hrabia miał trzy okna w pałacu Rospolich?
— Tak. Przejeżdżałaś pani przez Corso?
— Oczywiście!
— A więc musiała pani zauważyć dwa okna wybite żółtym adamaszkiem, a jedno białym z czerwonym krzyżem? To właśnie okna hrabiego.
— Ach tak! Ależ to istny nabab! Wiecie panowie, ile kosztują takie trzy okna na tydzień karnawałowy i do tego w pałacu Rospolich, to jest w najpiękniejszym miejscu Corso?
— Dwieście do trzystu dukatów rzymskich...
— Raczej powiedz pan dwa do trzech tysięcy.
— O, do licha!
— Czy to ta jego wyspa przynosi mu tak piękne dochody?
— Nie przynosi mu ani szeląga[764].
— To na cóż ją kupił?
— Ot, dla fantazji.
— To prawdziwy oryginał[765].
— To prawda — rzekł Albert — że wydał mi się dość ekscentryczny. Gdyby mieszkał w Paryżu, bywał na naszych widowiskach, powiedziałbym ci, kochany, że to albo jakiś

[761] *kurtuazja* — dobre maniery. [przypis edytorski]
[762] *nuworysz* (z fr. *nouveau riche*) — nowobogacki, tj. osoba, która zdobyła majątek i przeszła awans społeczny stosunkowo niedawno, w odróżnieniu od arystokratów ze starych rodów. [przypis edytorski]
[763] *Rotszyldowie*, właśc. *Rothschildowie* — bogata i wpływowa rodzina niem. Żydów, zajmująca się bankowością i finansami; w XIX w. najbogatsza rodzina na świecie. [przypis edytorski]
[764] *szeląg* (daw.) — drobna miedziana moneta. [przypis edytorski]
[765] *oryginał* — tu: człowiek nietuzinkowy, ekscentryczny. [przypis edytorski]

niesmaczny pozer-żartowniś, albo też jakiś biedny człowiek, któremu zawróciła w głowie literatura.

W tejże chwili wszedł jakiś nowy gość i według zwyczaju Franz ustąpił mu swego miejsca; okoliczność ta, oprócz chwilowego zamieszania w loży, wpłynęła także na zmianę przedmiotu rozmowy.

W godzinę później przyjaciele wrócili go hotelu. Pan Pastrini zdążył się już zająć ich jutrzejszym przebraniem i obiecał, że będą zadowoleni z jego zabiegów.

Jakoż na drugi dzień o godzinie dziewiątej wszedł do pokoju Franza z krawcem, który obładowany był ośmioma czy dziesięcioma kostiumami rzymskich chłopów. Przyjaciele wybrali sobie dwa podobne, które mniej więcej na nich pasowały, i poprosili hotelarza, by kazał im przyszyć do kapeluszy po dwadzieścia metrów wstążek i wystarał się o dwie jedwabne szarfy w poprzeczne pasy, owe prześliczne szarfy w żywych kolorach, jakimi zwykle przepasują się mężczyźni z ludu podczas świąt.

Albert ciekawy był bardzo, czy też będzie mu do twarzy w nowym stroju: składał się on z kaftana i spodni z niebieskiego aksamitu, haftowanych pończoch, trzewików zapinanych na klamry i jedwabnej kamizelki. Mógł tylko zyskać, ubierając się w ten malowniczy kostium — i gdy jeszcze szarfa opasała mu smukłą talię, gdy z kapelusza włożonego lekko na bakier[766] opadł na ramię pęk wstążek, Franz musiał przyznać, że ubiór ma duży udział w urodzie, jaką przypisujemy niektórym narodom.

Turcy, którzy tak malowniczo wyglądali w swoich powłóczystych, barwnych szatach, czyż nie wyglądają okropnie w błękitnych surdutach zapinanych po szyję i w greckich czapeczkach? Przypominają butelki z winem zapieczętowane czerwonym lakiem[767].

Franz powinszował Albertowi, który stał przed lustrem i uśmiechał się do swego odbicia z niekłamaną satysfakcją.

Na to wszedł hrabia Monte Christo.

— Panowie — rzekł do nich — jakkolwiek miło mieć towarzysza zabawy, ale jeszcze przyjemniejsza jest swoboda. Chciałbym panom powiedzieć, że na dziś i na dni następne oddaję wam do całkowitej dyspozycji powóz, któregoście wczoraj używali. Pastrini zapewne powiedział już panom, że mam u niego w stajni kilka powozów, więc w niczym mnie panowie nie krępujecie. Proszę korzystać z niego do woli, czy dla przyjemności, czy w interesach. Jeżeli zechcecie mnie odwiedzić, zapraszam do pałacu Rospolich.

Młodzi ludzie chcieli wyrazić w jakiś sposób swoje skrupuły, ale nie mieli żadnego powodu, by odrzucić tę propozycję, skądinąd bardzo dla nich wygodną. Przyjęli ją więc.

Hrabia de Monte Christo bawił u nich z kwadrans, konwersując z nimi z niezwykłą swobodą na najrozmaitsze tematy.

Był, jak to już mogliśmy zauważyć, nadzwyczaj obeznany z literaturą światową. Rzut oka na ściany jego salonu przekonał Franza i Alberta, że był miłośnikiem obrazów. Kilka bezpretensjonalnych słów, jakie rzucił mimochodem, dowodziło, że i nauki ścisłe nie były mu obce. Wydawał się szczególnie interesować chemią.

Przyjaciele nie próbowali nawet zrewanżować się hrabiemu za śniadanie; byłby to zbyt kiepski żart zaproponować mu za jego wyśmienitą ucztę mierną prostotę kuchni imć Pastriniego. Powiedzieli mu to szczerze, a on przyjął ich tłumaczenie, doceniając w zupełności ich delikatność.

Albert był oczarowany manierami hrabiego, zastanawiał się tylko, czy ktoś o takiej wiedzy może być prawdziwym szlachcicem.

A przede wszystkim radością napełniało go to, że mógł do woli dysponować powozem: miał przecież ciągle niejakie widoki na owe wdzięczne wieśniaczki; ponieważ ukazały mu się wczoraj w nader eleganckim ekwipażu, kontent był, że i dziś może stanąć z nimi pod tym względem na równi.

O wpół do drugiej przyjaciele zeszli na dół. Stangret i lokaje wpadli na pomysł, by na futra, jakie nosili wczoraj, nałożyć liberię, co nadawało im wygląd jeszcze bardziej groteskowy. Franz i Albert obsypali ich za to pochwałami.

Albert włożył sobie sentymentalnie do butonierki bukiecik zwiędłych fiołków.

Z pierwszym uderzeniem dzwonu ruszyli i pospieszyli na Corso przez via Vittoria.

[766] *na bakier* — o nakryciach głowy: przekrzywiony, założony na ukos. [przypis edytorski]

[767] *lak* — brązowoczerwona substancja, używana dawniej do pieczętowania m.in. listów i paczek. [przypis edytorski]

Przy drugim okrążeniu do powozu wpadł bukiecik świeżych fiołków, wyrzucony z powozu pełnego kolombin[768]; wskazało to Albertowi, że wczorajsze wieśniaczki zmieniły także ubiór — i czy to przez przypadek, czy też powodując się uczuciem podobnym temu, które kierowało Albertem, ubrały się tak, jak oni poprzedniego dnia.

Albert zamienił bukiecik zwiędły na świeży, ale dawny zatrzymał w dłoni i gdy znów spotkali się z ich powozem, podniósł go miłosnym gestem do ust — co, jak się wydawało, mocno ucieszyło nie tylko tę, która bukiecik rzuciła, ale i jej towarzyszki.

Dzień ten był równie ożywiony jak poprzedni: a możliwe, że baczny obserwator dostrzegłby, że wesołość i gwar jeszcze się powiększyły.

Przez chwilę widzieli hrabiego w oknie, ale gdy powóz przejeżdżał tamtędy ponownie, już go tam nie było.

Rozumie się samo przez się, że wymiana czułych spojrzeń i gestów pomiędzy Albertem i kolombiną trwała do końca dnia.

Wieczorem, po powrocie do hotelu, Franz zastał list z ambasady: donoszono mu, iż nazajutrz będzie miał zaszczyt otrzymać audiencję u Jego Świątobliwości. Za każdą poprzednią bytnością w Rzymie z powodzeniem zabiegał o tę łaskę; i powodowany tyleż uczuciami religijnymi, co wdzięcznością, ilekroć bawił w stolicy świata chrześcijańskiego, nie omieszkał składać swych hołdów u stóp tego następcy Świętego Piotra, który był rzadkim przykładem wszelakich cnót.

Nie wypadało mu więc w takim dniu myśleć o karnawale, albowiem pomimo dobroci, jaką Ojciec Święty łagodzi swoje dostojeństwo, przygotowujemy się zawsze z szacunkiem połączonym z głębokim wzruszeniem, by złożyć pokłon owemu szlachetnemu i świątobliwemu starcowi, zwanemu Grzegorzem XVI[769].

Wyszedłszy z Watykanu, Franz udał się prosto do hotelu, unikając umyślnie ulicy Corso. Uniósł ze sobą skarb tak pobożnych myśli, że sam kontakt z szalonymi uciechami maskarady mógłby je sprofanować.

Dziesięć po piątej przyszedł też i Albert. Był w siódmym niebie: kolombina ustroiła się znów w kostium wieśniaczki, a mijając powóz Alberta, uniosła maskę.

Była zachwycająca.

Franz powinszował szczerze Albertowi; Albert przyjął gratulacje jak należny dług sobie. Poznał, jak powiadał, po pewnych oznakach unikalnej wytworności, że piękna nieznajoma musi należeć do najwyższej arystokracji.

Zdecydował, że nazajutrz do niej napisze.

Franz, słuchając tych zwierzeń, zauważył, że Albert zachowuje się tak, jakby chciał go o coś prosić, ale jednak się wahał. Oświadczył mu więc z góry, że gotów jest poczynić dla jego szczęścia każdą ofiarę, jaka tylko będzie w jego mocy.

Albert dał się prosić tylko tak długo, jak wymagała grzeczność obowiązująca wśród przyjaciół; a na koniec wyznał, że Franz uczyniłby mu wielką przysługę, gdyby zostawił mu na jutro powóz do wyłącznej dyspozycji.

Ów niezwykły fawor ze strony wieśniaczki — zdjęcie maski — Albert przypisywał nieobecności przyjaciela. Rozumiemy, że Franz nie był aż takim egoistą, by przeszkodzić Albertowi w samym środku flirtu, który zapowiadał się przyjemnie, bo tajemniczo, a też i pochlebiał miłości własnej Alberta.

Franz znał dobrze kłopoty, jakie z zachowaniem dyskrecji miał jego przyjaciel i pewien był, że podzieli się z nim najdrobniejszymi szczegółami tej miłostki; a ponieważ samemu Franzowi nie zdarzyło się mieć żadnej takiej awanturki, choć podróżował po Włoszech już od paru lat, rad był, że dowie się wreszcie, jak trzeba zabierać się do rzeczy.

Rzekł więc Albertowi, że wystarczy mu nazajutrz oglądanie widowiska z okien pałacu Rospolich.

Jakoż na drugi dzień widział, jak Albert jeździ tam i z powrotem. Miał ze sobą ogromny bukiet, który z pewnością przeznaczył na kopertę dla swojego miłosnego liściku. Przypuszczenie Franza zmieniło się w pewność, gdy ujrzał wkrótce tenże bukiet — a łatwo

[768] *kolombina* — inaczej arlekinetta; postać zuchwałej, żartobliwej wybranki serca Arlekina usługującej młodym damom z *commedia dell'arte*. [przypis edytorski]

[769] *Grzegorz XVI*, właśc. *Bartolomeo Alberto Cappellari* (1765–1846) — wł. duchowny, papież od roku 1831. [przypis edytorski]

go było poznać po kręgu białych kamelii[770] — u zachwycającej kolombiny w różowych atłasach.

Wieczorem Albert był już nie tylko radosny, ale wprost szalał z radości. Nie wątpił, że piękna nieznajoma odpowie mu podobną drogą. Franz ze swej strony, uprzedzając pragnienia przyjaciela, oświadczył mu, że jest znużony tym hałasem i że następny dzień zamierza spędzić na przeglądaniu sztambucha[771] i robieniu notatek.

Albert nie pomylił się w swoich proroctwach — nazajutrz wieczorem wpadł do pokoju Franza, potrząsając niewielką karteczką, którą trzymał za rożek.

— A widzisz? Nie myliłem się!

— Odpisała? — wykrzyknął Franz.

— Czytaj.

Wymówił ten wyraz tonem, jakiego nie sposób oddać. Franz wziął bilecik i przeczytał:

> We wtorek o siódmej wieczór wysiądź z powozu naprzeciwko via dei Pontefici i idź za wieśniaczką rzymską, która wyrwie ci *moccoletto*. Gdy staniesz na pierwszym stopniu kościoła San-Giacomo, przywiąż różową wstążkę do rękawa kostiumu arlekina — po tym rozpozna cię wieśniaczka.
>
> Od dziś do wtorku już mnie nie zobaczysz.
>
> *Stałość i dyskrecja.*

— I co o tym myślisz, Franz? — zapytał Albert, gdy Franz zakończył lekturę.

— Myślę, że sprawa przybiera nader przyjemny obrót.

— I ja tak myślę — rzekł Albert — i obawiam się, czy przypadkiem nie pójdziesz sam i na bal do księcia de Bracciano.

— Nie zapominaj, kochany Albercie — rzekł Franz — u księcia będzie cała arystokracja, a jeżeli twoja piękna nieznajoma pochodzi rzeczywiście z arystokratycznego rodu, nie będzie mogła wymówić się od tego balu.

— Czy tam pójdzie, czy nie, ja nie zmienię o niej zdania — odpowiedział Albert. — Czytałeś bilecik?

— Tak.

— Wiesz, jak nędzną edukację odbierają we Włoszech kobiety z *mezzo cito*[772]!

Tak we Włoszech nazywają mieszczaństwo.

— No to poczytaj sobie jeszcze raz, przypatrz się pismu i znajdź mi choć jeden błąd gramatyczny czy ortograficzny.

Istotnie, charakter pisma był nader elegancki, a i ortografii nie można było nic zarzucić.

— Cóż, los tak chce — rzekł Franz, oddając liścik Albertowi.

— Śmiej się, ile chcesz, żartuj sobie, żartuj, a ja jestem zakochany.

— O mój Boże! Przerażasz mnie! — wykrzyknął Franz. — Widzę, że nie tylko pójdę sam na bal, ale może będę musiał sam wracać do Florencji!

— Faktem jest, że jeżeli moja nieznajoma będzie równie miła, co piękna, oświadczam, że zostanę w Rzymie na co najmniej sześć tygodni. Uwielbiam Rzym, a zresztą zawsze miałem szczególne upodobanie do archeologii.

— Dajże spokój, jeszcze jedno albo dwa takie spotkania, a będę pewien, że zostaniesz członkiem Akademii Napisów i Literatury[773].

Albert już na pewno zacząłby rozprawiać z powagą o swoich prawach do fotela w Akademii, ale lokaj oznajmił im, że podano do stołu. Miłość zaś u Alberta w niczym nie przeszkadzała apetytowi. Pośpieszył więc razem z przyjacielem do stołu, gotów powrócić do dyskusji po obiedzie.

---

[770] *kamelia* — kwiat o białych, różowych lub krwistoczerwonych płatkach, symbol m.in. wiecznej miłości. [przypis edytorski]

[771] *sztambuch* (daw.) — pamiętnik, do którego przyjaciele wpisują wiersze i aforyzmy na pamiątkę. [przypis edytorski]

[772] *mezzo cito*, właśc. *il ceto di mezzo* (wł.) — mieszczaństwo. [przypis edytorski]

[773] *Akademia Napisów i Literatury* (fr. *Academie des Inscriptions et Belles-Lettres*) — fr. instytucja naukowa w Paryżu, założona w 1663 r.; pierwotnie służyła cesarskiej propagandzie; głównym obszarem działań członków Akademii były badania epigraficzne i historycznoliterackie [przypis edytorski]

Po obiedzie jednak zaanonsowano hrabiego Monte Christo. Młodzieńcy nie widzieli się z nim od dwóch dni. Jak ich poinformował imć Pastrini, ważne sprawy wezwały go do Civitavecchia. Wyjechał wczoraj wieczorem, a powrócił zaledwie godzinę temu.

Hrabia był dziś czarujący: czy to przez to, że się pilnował, czy to dlatego, że żaden przypadek nie potrącił w nim strun goryczy, które zabrzmiały już kilka razy przy różnych okolicznościach, nadając cierpką tonację jego słowom. Człowiek ten stanowił dla Franza istną enigmę[774]. Hrabia nie mógł przecież wątpić, że młody podróżny go rozpoznał; a jednak ani jedno jego słowo nie mogło świadczyć, że go sobie przypomina. A choć Franza mocno kusiło, by uczynić jakąś aluzję do ich pierwszego spotkania, zatrzymywała go obawa, że mógłby tym sprawić przykrość człowiekowi, który obsypywał ich takimi względami; zachowywał się zatem nadal równie powściągliwie, jak Monte Christo.

Hrabia dowiedział się, że przyjaciele pragnęli wynająć lożę w teatrze Argentina i że odpowiedziano im, iż wszystkie miejsca były już wykupione.

Dlatego też przyniósł im klucz od swojej loży; a przynajmniej pod takim pretekstem złożył im wizytę.

Franz i Albert opierali się trochę, powołując się na to, że nie chcieliby jego samego pozbawiać loży; lecz hrabia wyjaśnił, że wybiera się tego wieczoru do teatru Palli, a zatem jego loża w Argentinie tylko się zmarnuje, jeżeli z niej nie skorzystają.

Takie zapewnienie skłoniło młodzieńców do przyjęcia propozycji.

Franz powoli przyzwyczaił się do bladości hrabiego, która przy pierwszym ich spotkaniu zrobiła na nim tak silne wrażenie.

Buntownik, Samotnik

Musiał wreszcie oddać sprawiedliwość urodzie tej surowej twarzy: bladość była jej jedyną wadą, a może raczej jej główną zaletą.

Istny bohater z Byrona! Gdy Franz patrzył na niego, a nawet tylko przedstawiał go sobie w myśli, zawsze wyobrażał sobie to chmurne oblicze podobnym do Lary lub Manfreda[775]. Zmarszczka na czole Monte Christa dowodziła, że towarzyszy mu nieodstępnie jakaś gorzka myśl; jego pałające oczy mogły przenikać do głębi ludzkiej duszy; usta wyniosłe i drwiące nadawały słowom, jakie z nich padały, ów szczególny charakter, jaki sprawia, że wszystko, co się mówi, pozostaje głęboko wyryte w pamięci słuchaczy.

Hrabia nie był młodzieniaszkiem, miał przynajmniej czterdzieści lat, a jednak widać było od razu, że był stworzony, aby grać pierwsze skrzypce wśród młodzieży, jeśli znajdował się w jej towarzystwie. Rzeczywiście, hrabia posiadał cechę, która łączyła go z niezwykłymi bohaterami angielskiego poety: był to dar fascynacji.

Albert nie przestawał rozwodzić się nad szczęściem, jakie mieli z Franzem, spotykając podobnego człowieka. Franz nie okazywał aż takiego entuzjazmu, ale jednak i on ulegał urokowi, jaki ludzie niepospolici wywierają na otoczenie.

Kilka razy zastanawiał się nad tym, że hrabia zamyślał przyjechać do Paryża i nie wątpił, że jego ekscentryczne zachowanie, charakterystyczna uroda i ogromna fortuna sprawią tam niesłychane wrażenie.

A jednak wolałby nie być w Paryżu, gdy zjawi się tam hrabia.

Wieczór przeszedł, jak to zwykle w teatrach włoskich, na rozmowach i wzajemnych wizytach, nie zaś na słuchaniu śpiewaków. Hrabina G*** próbowała sprowadzić rozmowę na hrabiego, ale Franz oświadczył jej, że ma do opowiedzenia coś dużo świeższego i mimo że Albert jął demonstrować fałszywą skromność, Franz zrelacjonował hrabinie wspaniałą przygodę, która już od trzech dni tak mocno ich zajmowała.

Ponieważ tego rodzaju intrygi nie są rzadkie we Włoszech, jeżeli możemy wierzyć opowieściom podróżnych, hrabina nie okazała niedowierzania i pogratulowała z serca Albertowi, że rozpoczął przygodę, która obiecywała równie przyjemny koniec.

Pożegnali się, przyrzekając sobie nawzajem spotkać się u księcia Bracciano, który zaprosił do siebie cały Rzym.

Dama z bukietem dotrzymała słowa: nie dała Albertowi znaku życia przez dwa następne dni.

Przyszedł nareszcie wtorek, ostatni i najbardziej szalony z dni karnawału. W ten wtorek wszystkie teatry otwierają się o dziesiątej rano, bo o ósmej wieczór rozpoczyna się

[774] *enigma* — tajemnica, zagadka. [przypis edytorski]

[775] *Manfred* — tytułowy bohater dramatu filozoficznego Byrona; tajemniczy indywidualista, buntownik kierujący się namiętnościami. [przypis edytorski]

post. W ów dzień wszyscy, co z braku pieniędzy, czasu lub zapału nie wzięli udziału w zabawie, dołączają się do bachanaliów[776], dają się wciągnąć do orgii i wnoszą swój udział w powszechny gwar i ruch.

Od drugiej do piątej Franz i Albert podążali w sznurze powozów, obsypując się nawzajem garściami confetti z powozami jadącymi w przeciwnym kierunku i z pieszymi, którzy plątali się wszędzie, między końmi i kołami ekwipaży — a mimo to nie wydarzył się w tym straszliwym tłoku ani jeden wypadek, nie doszło do ani jednej kłótni czy bójki. Pod tym względem Włosi są narodem w całym tego słowa znaczeniu. Święta są dla nich prawdziwymi świętami. Autor tej powieści, bawiąc przez pięć lat we Włoszech, nie przypomina sobie, aby widział kiedykolwiek, by jakakolwiek feta[777] została tam zakłócona jakimiś wypadkami, które u nas towarzyszą nierozłącznie wszelkim uroczystościom.

Albert święcił triumfy w stroju arlekina. Na ramieniu miał różową wstęgę związaną w kokardę, a jej końce sięgały mu łydek. Aby nie ryzykować pomyłki, Franz zachował kostium rzymskiego wieśniaka.

Im bardziej chylił się dzień, tym większy stawał się tumult; nie znalazłbyś na ulicy, w powozach, w oknach choćby jednych milczących ust, choćby jednej próżnującej ręki; była to prawdziwa ludzka burza grzmiąca od krzyków, istny grad cukierków, bukietów, jaj, pomarańcz i kwiatów.

O trzeciej wystrzały z moździerzy odpalonych jednocześnie na Placu del Popolo i w Pałacu Weneckim z trudem przebiły się przez ten straszliwy tumult, oznajmiając początek wyścigów.

Wyścigi, podobnie jak i *moccoli*, stanowią osobny epizod ostatnich dni karnawału.

Na odgłos wystrzałów wszystkie powozy umknęły w najbliższe przecznice. Cały ten manewr odbywa się z niepojętą zręcznością i cudowną szybkością; policja nie musi się bynajmniej troszczyć o wskazywanie drogi i miejsca ekwipażom.

Piesi przycisnęli się do pałacowych murów i natychmiast rozległ się tętent końskich kopyt i szczęk szabli.

Szwadron konnych karabinierów, po piętnastu w rzędzie, przegalopował przez Corso, zajmując całą jego szerokość, aby zrobić miejsce dla *barbieri*[778]. Gdy oddział stanął przed Pałacem Weneckim, nowa salwa z moździerzy dała znać, że ulica była wolna.

W tymże prawie momencie, wśród powszechnej, niesłychanej, niezmiernej wrzawy, niby zjawy przemknęło osiem koni, podniecone krzykiem trzystutysięcznego tłumu i żelaznymi dzwonkami podskakującymi im nad grzbietami; następnie działo z Zamku Świętego Anioła wypaliło trzykrotnie na znak, że wygrał koń numer trzy.

Nie czekając na inny sygnał, powozy znów ruszyły, wylewając się na Corso ze wszystkich ulic, niby potoki, których bieg został na chwilę wstrzymany i które teraz rzucają się razem w koryto zasilanej przez siebie rzeki — tak samo ogromna fala powozów popędziła bardziej wartko niż kiedykolwiek między murowanymi brzegami.

Ale w tej wrzawie i w tej krzątaninie pojawił się nowy element: na scenę wkroczyli przekupnie[779] *moccoletti*.

Moccoli albo *moccoletti* to świece rozmaitej wielkości, od świec paschalnych po cieniutkie stoczki, które wywołują u aktorów ostatniej wielkiej sceny karnawału rzymskiego dwa sprzeczne dążenia:

1. Aby zachować swoją świecę zapaloną.

2. Aby gasić *moccoletti* trzymane przez bliźnich.

Z *moccoletto* jest więc jak z życiem: człowiek zna do tej pory jeden tylko sposób dawania życia; i ów sposób otrzymał od Boga.

Wynalazł w zamian tysiące sposobów, by je niszczyć; choć prawda, że w tej ostatecznej kwestii pomógł mu nieco szatan.

Moccoletto zapalić można, zbliżając je do jakiegokolwiek światła.

---

[776] *bachanalia* — w starож. Rzymie uroczystości na cześć Bachusa, boga wina; tu: hulaszcza zabawa, pijatyka. [przypis edytorski]

[777] *feta* (z fr. *fête*) — święto. [przypis edytorski]

[778] *barbieri*, właśc. *barberi* a. *berberi* — konie rasy berberyjskiej, przeznaczone we Włoszech do wyścigów. [przypis edytorski]

[779] *przekupień* (daw.) — handlarz drobnym towarem. [przypis edytorski]

Ale któż zdoła opisać tysiące sposobów, które wynaleziono, by je gasić — to gigantyczne miechy[780], monstrualne gasidła, to nadnaturalnej wielkości wachlarze...

Wszyscy zatem pospieszyli kupować *moccoletti*, łącznie z Franzem i Albertem.

Noc zbliżała się szybko; piskliwe głosy handlarzy nawoływały zewsząd: „*Moccoli*!"; i nagle nad tłumem zabłysło na niebie kilka gwiazd. Stało się to sygnałem.

Dziesięć minut później migotało już pięćdziesiąt tysięcy świateł, wędrując od Pałacu Weneckiego na Plac del Popolo i z powrotem.

Rzekłbyś, że to święto błędnych ogników.

Zresztą, kto tego nie widział na własne oczy, nie jest w stanie sobie wyobrazić tego spektaklu.

To jakby wszystkie gwiazdy spadły z nieba i rzuciły się na ziemi w jakiś szalony taniec; a towarzyszy temu taka wrzawa, jakiej nigdy na całej kuli ziemskiej ucho ludzkie nie słyszało.

Znikają wtedy ostatecznie wszelkie różnice stanu. *Facchino*[781] napastuje księcia, książę transteverczyka, transteverczyk mieszczanina, a każdy dmucha, gasi, zapala. Gdyby pojawił się tu stary Eol[782], ogłoszono by go królem *moccoli*, Akwilona[783] zaś następcą tronu.

Ta szalona, płomienna bieganina trwała dwie prawie godziny; ulica del Corso była widna jak w biały dzień; można było dojrzeć rysy twarzy widzów na trzecim i czwartym piętrze.

Co pięć minut Albert dobywał zegarka, który wreszcie wskazał siódmą.

Przyjaciele byli właśnie na wysokości via dei Pontefici; Albert wyskoczył z powozu z *moccoletto* w dłoni.

Kilka masek rzuciło się na niego, aby mu zgasić lub wyrwać świecę; ale Albert, zręczny bokser, posłał każdą na bruk o dziesięć kroków od siebie i skierował się prosto do kościoła San-Giacomo.

Tłumy gapiów i masek zalegały stopnie kościoła, te ostatnie walczyły, wyrywając sobie nawzajem świece. Franz śledził wzrokiem Alberta; widział, jak Albert postawił stopę na pierwszym stopniu; niemal w tej samej chwili maseczka[784] w dobrze nam znanym kostiumie — wieśniaczki z bukietem — wyciągnęła rękę i bez żadnego oporu ze strony młodzieńca, wyrwała mu *moccoletto* z ręki.

Franz stał zbyt daleko, by usłyszeć, jakie zamienili słowa; ale zdaje się, że nie były one zbyt wrogie, widział bowiem, jak Albert i wieśniaczka odchodzą, trzymając się pod rękę.

Czas jakiś przepychał się jeszcze w ślad za nimi, ale na via Macello stracił ich z oczu.

Wtem rozległ się dźwięk dzwonu na znak zamknięcia karnawału i w mgnieniu oka wszystkie świece zgasły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Rzekłbyś, że to wszystko zniszczyło jedno potężne tchnienie wiatru.

Franz znalazł się nagle w najgłębszych ciemnościach.

Jednocześnie urwał się gwar, jakby potężny podmuch, który porwał światła, uniósł ze sobą i hałas.

Słychać już było tylko turkot powozów, uwożących maski do domu; widać już było tylko kilka świateł błyszczących za oknami.

Skończył się karnawał.

37. KATAKUMBY ŚWIĘTEGO SEBASTIANA

Franzowi nie zdarzyło się chyba jeszcze przeżyć tak gwałtownego załamania nastroju, tak nagłego przejścia od wesołości do smutku jak w owej chwili; rzekłbyś, że Rzym pod czarodziejskim tchnieniem jakiegoś ducha nocy przemienił się w jeden rozległy grobowiec. Księżyc, będący już w trzeciej kwadrze, miał wzejść dopiero o jedenastej — co jeszcze bardziej powiększało ciemności; ulice, którymi jechał młodzieniec, tonęły w głębokim mroku. Trasa zresztą nie była długa: po dziesięciu minutach jego powóz, albo raczej hrabiego, zatrzymał się przed Hotelem Londyńskim.

---

[780] *miech* — przyrząd tłoczący powietrze, używany m.in. w kuźni. [przypis edytorski]

[781] *facchino* (wł.) — tragarz. [przypis edytorski]

[782] *Eol* (mit. gr.) — bóg wiatrów. [przypis edytorski]

[783] *Akwilon* (mit. rzym.) — bóg wiatru płn.; uosobienie gwałtownego, zimnego wiatru. [przypis edytorski]

[784] *maseczka* — tu: zamaskowana osoba. [przypis edytorski]

Obiad już był gotów; ponieważ Albert uprzedził, że zapewne nie wróci zbyt wcześnie, Franz sam zasiadł do stołu.

Pan Pastrini, który przywykł, że jadali razem, zapytał o przyczynę nieobecności Alberta; Franz odpowiedział tylko, iż towarzysz jego otrzymał przedwczoraj zaproszenie na dzisiejszy wieczór.

Nagłe zagaśnięcie *moccoletti*, ta ciemność, która zastąpiła światło, cisza, co nastała po wrzawie, pozostawiły w duszy Franza jakieś przygnębienie, niewolne od niepokoju.

Zjadł więc obiad w milczącym nastroju mimo profesjonalnej opiekuńczości hotelarza, który kilka razy przychodził zapytać, czy Franz czegoś nie potrzebuje.

Franz postanowił czekać na Alberta jak tylko można najdłużej.

Kazał przygotować powóz dopiero na jedenastą, prosząc pana Pastriniego, by natychmiast go zawiadomił, jeżeli Albert przybędzie do hotelu.

O jedenastej Albert nadal nie wracał.

Franz przebrał się i pojechał, uprzedzając hotelarza, że spędzi noc u księcia Bracciano.

Dom księcia Bracciano jest jednym z najpiękniejszych w Rzymie; jego żona, pochodząca z ostatnich Colonnów[785], przyjmuje gości z największym wdziękiem; stąd przyjęcia u nich cieszą się sławą na skalę europejską.

Franz i Albert przybyli do Rzymu z listami polecającymi do księcia; książę zapytał więc zaraz na wstępie, co się dzieje z towarzyszem podróży Franza. Ten odparł, że rozstali się z Albertem, gdy gaszono *moccoletti*, i że stracił go z oczu na Via Macello.

— I od tego czasu nie wrócił? — zapytał książę.

— Czekałem na niego aż do tej pory.

— A wiesz pan, gdzie poszedł?

— Nie, nie wiem dokładnie, zdaje mi się jednak, że było to coś w rodzaju schadzki miłosnej.

— Do licha! — zawołał książę. — To zły dzień, albo raczej zła noc na takie późne wyprawy, prawda, pani hrabino?

Słowa te zwrócone były do hrabiny G***, która weszła przed chwilą i przechadzała się wsparta na ramieniu pana Torlonia, brata księcia.

— Przeciwnie, noc jest pełna czaru i tutaj obecni będą żałowali tylko jednego: że zbyt prędko przeminie — odparła hrabina.

— Ja też nie mówię o osobach, które są tutaj — odparł książę, uśmiechając się — mężczyznom grozi tutaj tylko, że mogą paść ofiarą pani wdzięków, a kobietom, że się pochorują z zazdrości, widząc, jak pani jesteś piękna. Mówię tu naturalnie o tych, co uganiają się po ulicach.

— Ech, mój Boże! — zawołała hrabina. — Któż chodzi po ulicach o tej godzinie? Chyba ci, którzy idą na bal!

— Nasz wspólny przyjaciel, pani hrabino, Albert de Morcerf, z którym rozstaliśmy się, gdy pogonił za swoją nieznajomą o siódmej wieczór — oznajmił Franz. — Od tej pory już go nie widziałem.

— Jak to? I nie wiesz, gdzie jest?

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

— Ma jakąś broń przy sobie?

— Jak? Przecież jest w kostiumie arlekina.

— O, nie powinien był pan go puszczać — rzekł książę. — Zna pan Rzym lepiej od niego...

— Zapewne; mógłbym równie dobrze próbować zatrzymać w biegu konia, który wygrał dzisiaj gonitwę — odparł Franz. — A zresztą, cóż mu się może stać?

— Kto wie, noc ciemna choć oko wykol[786], a Tyber niedaleko od via Macello.

Franza przebiegł zimny dreszcz: to, co mówili książę i hrabina aż nazbyt wtórowało jego własnemu niepokojowi.

— Dlatego właśnie powiedziałem w hotelu, że będę miał zaszczyt spędzić noc u księcia — rzekł Franz — i mają mi natychmiast dać znać, gdy Albert wróci.

— I oto zdaje mi się — zauważył książę — że mój lokaj pana szuka.

---

[785] *Colonna* — stary wł. ród szlachecki, szczególnie wpływowy w okresie średniowiecza i renesansu. [przypis edytorski]

[786] *choć oko wykol* — wyrażenie używane do podkreślenia jakiejś cechy, np. jasności, koloru. [przypis edytorski]

W rzeczy samej, służący, spostrzegłszy Franza, zbliżył się do niego.

— Jaśnie panie — rzekł. — Właściciel hotelu prosił zawiadomić pana, że czeka tam na pana jakiś człowiek z listem od hrabiego Morcerfa.

— Z listem od hrabiego? — zawołał Franz.

— Tak.

— Cóż to za człowiek?

— Tego nie wiem.

— Dlaczegóż tu listu nie przyniósł?

— Posłaniec nic więcej nie mówił.

— A gdzież posłaniec?

— Poszedł sobie, jak tylko zobaczył, że wchodzę do sali balowej, by pana zawiadomić.

— O Boże! — zawołała hrabina. — Niech pan idzie! Biedny chłopiec, pewnie mu się coś przydarzyło!

— Już biegnę!...

— Wrócisz pan jeszcze do nas, by powiedzieć, co się stało? — zapytała hrabina.

— Tak, jeżeli tylko sprawa nie jest poważna; w przeciwnym razie sam jeszcze nie wiem, co będę robił.

— W każdym razie niechże pan będzie rozważny — rzekła hrabina.

— O, proszę się nie martwić.

Franz pochwycił cylinder i pospiesznie wybiegł z sali.

Powóz miał zajechać po niego dopiero o drugiej; na szczęście pałac Bracciano, który stoi na rogu via del Corso i placu Świętych Apostołów, znajduje się o dziesięć minut drogi od Hotelu Londyńskiego.

Zbliżając się do hotelu, Franz spostrzegł jakiegoś człowieka stojącego na środku ulicy; ani chwili nie wątpił, że był to posłaniec Alberta.

Człowiek ten owinięty był wielką peleryną.

Franz podszedł do niego i zdumiał się bardzo, gdyż nieznajomy przemówił pierwszy.

— Czego ekscelencja ode mnie chce? — rzekł, cofając się o krok, jak człowiek, który ma się na baczności.

— Czy to nie pan przyniosłeś mi list od hrabiego de Morcerfa?

— Ekscelencja mieszka w hotelu Pastriniego?

— Tak.

— I jest pan towarzyszem podróży hrabiego?

— Tak.

— A jakże się ekscelencja zowie?

— Baron Franz d'Epinay.

— Zatem list ten jest do waszej ekscelencji.

— Czy mam odpowiedzieć? — zapytał Franz, przyjmując list.

— Tak. A przynajmniej pański przyjaciel ma taką nadzieję.

— Więc niech pan idzie ze mną, zaraz odpiszę.

— Wolę zaczekać tutaj — roześmiał się wysłannik.

— Dlaczego?

— Ekscelencja zrozumie, przeczytawszy list.

— Więc będziesz pan czekał tutaj?

— Naturalnie.

Franz wszedł do hotelu; na schodach spotkał imć Pastriniego.

— I co? — zapytał.

— Ale o co chodzi? — spytał Franz.

— Widział się pan z człowiekiem, który przyszedł do pana w imieniu pańskiego przyjaciela?

— Tak, i dał mi właśnie ten list. Proszę, niech pan każe u mnie zaświecić.

Hotelarz skinął na służącego, aby poszedł ze świecą przodem.

Nie uszło uwagi Franza, że imć Pastrini był mocno wystraszony, co go jeszcze bardziej skłoniło do natychmiastowego przeczytania listu. Zbliżył się zatem do świecy, gdy ją tylko zapalono, i rozłożył papier.

List był napisany ręką Alberta i przez niego podpisany.

Franz przeczytał go dwakroć, tak dalece zaskoczyła go treść listu.
A brzmiała następująco:

Mój drogi! Gdy tylko otrzymasz to pismo, bądź łaskaw wydostać z mojego pugilaresu, który znajdziesz w kwadratowej szufladzie biurka, list kredytowy; gdyby to nie wystarczyło, weź również swój. Pobiegnij następnie do Torlonia, wybierz u niego natychmiast cztery tysiące piastrów i doręcz oddawcy tego listu. Jest niezmiernie ważne, by ta suma została mi przysłana bez żadnego opóźnienia.

Nie nalegam więcej, licząc zupełnie na Ciebie, podobnie jak Ty mógłbyś liczyć na mnie.

Twój

Albert de Morcerf.

PS. *I believe now to Italian banditti*[787].

Pod tymi wierszami obca ręka dopisała kilka wyrazów po włosku:

Se alle sei della mattina le quattro mile piastre non sono nelle mie mani, alle sette il conte Alberto avrá cessato di vivere[788].

Luigi Vampa

Ten drugi podpis wyjaśnił Franzowi wszystko — i zrozumiał też, czemu posłaniec wzbraniał się wejść z nim do hotelu; ulica wydawała mu się bezpieczniejsza niż pokój Franza.

Albert wpadł w ręce słynnego herszta bandytów, w którego istnienie tak długo nie chciał wierzyć.

Nie było czasu do stracenia. Franz podbiegł do sekretarzyka, otworzył go, we wskazanej szufladzie znalazł pugilares, a w pugilaresie list kredytowy na sześć tysięcy piastrów; ale Albert z tych sześciu tysięcy wydał już trzy. Franz nie miał ze sobą listów; mieszkał stale we Florencji i przybył do Rzymu tylko na kilka dni, więc zabrał ze sobą tylko sto ludwików — a z tych stu zostało mu już nie więcej niż pięćdziesiąt.

Brakowało zatem blisko osiemset piastrów do całkowitej sumy. Franz mógł wprawdzie w podobnym wypadku liczyć na grzeczność panów Torlonia; już się więc wybierał z powrotem do pałacu Bracciano, gdy nagle w głowie zajaśniała mu pewna myśl.

Przypomniał sobie hrabiego de Monte Christo.

Już miał posłać po pana Pastriniego, gdy hotelarz sam pojawił się w drzwiach.

— Drogi panie Pastrini! — zapytał żywo. — Jak pan sądzi, czy hrabia jest u siebie?

— Jest, ekscelencjo, tylko co powrócił.

— A zdążył się już położyć?

— Wątpię.

— Racz więc pan zadzwonić do jego drzwi i zapytać, czy mógłbym do niego przyjść.

Imć Pastrini spiesznie spełnił prośbę Franza; wrócił w pięć minut później.

— Pan hrabia czeka na waszą ekscelencję.

Franz przeszedł przez klatkę schodową, lokaj wprowadził go do hrabiego.

Hrabia był w małym gabineciku otoczonym sofami, którego Franz nie miał jeszcze okazji widzieć.

Monte Christo wyszedł mu naprzeciw i rzekł:

— No, jakież dobre wiatry sprowadzają tu pana o tej godzinie? Może przychodzisz pan przypadkiem zaprosić mnie na kolację? Doprawdy, byłoby to bardzo uprzejme z pańskiej strony.

— Nie, muszę z panem pomówić w poważnej sprawie.

---

[787] *I believe now to Italian banditti*, popr. *I believe now in Italian banditti* (ang.) — Wierzę teraz we włoskich *banditti*. [przypis edytorski]

[788] *Se alle sei della mattina (…)* (wł.) — Jeśli o szóstej rano w moich rękach nie znajdą się cztery tysiące piastrów, o siódmej hrabia Albert umrze. [przypis edytorski]

— W poważnej sprawie! — zdumiał się hrabia, spoglądając na Franza typowym dla siebie przenikliwym wzrokiem. — I cóż to za sprawa?

— Czy jesteśmy sami?

Hrabia podszedł do drzwi i natychmiast powrócił.

— Absolutnie sami — odpowiedział.

Franz podał mu list od Alberta.

— Proszę przeczytać — rzekł.

Hrabia przeczytał.

— Oho! — powiedział.

— Zauważył pan też postscriptum?

— Tak, widzę:

Se alle sei della mattina le quattro mile piastre non sono nelle mie mani, alle sette il conte Alberto avrá cessato di vivere.

Luigi Vampa

— I co pan na to? — zapytał Franz.

— Masz pan tę sumę?

— Tak, ale brakuje osiemset piastrów.

Hrabia podszedł do sekretarzyka, otworzył go i odsunął szufladę pełną złota:

— Spodziewam się, że nie obrazi mnie pan, zwracając się o to do kogoś innego?

— Widzi pan, że przyszedłem prosto do pana.

— I dziękuję panu za to. Proszę, niech pan bierze.

I zachęcił Franza gestem.

— Czy to naprawdę konieczne posyłać tę sumę Luigiemu Vampie? — odezwał się młody człowiek, spoglądając na hrabiego równie przenikliwie.

— Do diabła! — zawołał hrabia. — Osądź pan sam, postscriptum wydaje się jasne.

— Zdaje mi się, że gdyby raczył pan zastanowić się przez chwilę, to znalazłbyś inny sposób, który znacznie ułatwiłby nam negocjacje — odrzekł Franz.

— Jaki mianowicie? — zdumiał się hrabia.

— Na przykład, gdybyśmy się udali razem do Luigiego Vampy, jestem pewien, że nie odmówiłby panu i uwolnił Alberta.

— Mnie? A jakiż mogę mieć wpływ na tego bandytę?

— Czyż nie wyświadczył mu pan przysługi? Takiej, której nie da się zapomnieć?

— Jakiejże?

— Czyż nie ocalił pan Peppina?

— O, o! A któż to panu powiedział?

— Cóż to pana obchodzi? Wystarczy, że wiem.

Hrabia zamilkł na chwilę, marszcząc brew.

— A gdybym się udał do Vampy, pojechałbyś pan ze mną?

— Jeżeli moje towarzystwo nie będzie panu nieprzyjemne...

— A więc dobrze. Pogoda jest piękna, spacer za miasto może nam tylko posłużyć.

— Trzeba wziąć broń?

— A po cóż?

— A pieniądze?

— Nie ma potrzeby. Gdzie ten człowiek, co przyniósł list?

— Na ulicy.

— Czeka na odpowiedź?

— Tak.

— Musimy wiedzieć, gdzie mniej więcej mamy jechać; zawołam go.

— Zbyteczne. Nie chciał wejść.

— Do pana może, ale mnie nie będzie robił trudności.

Hrabia podszedł do okna, które wychodziło na ulicę, i gwizdnął w szczególny sposób.

Człowiek w pelerynie oderwał się od ściany i stanął na środku ulicy.

— *Salite*[789]! — zawołał hrabia takim tonem, jakby wydawał rozkaz słudze.

Posłaniec posłuchał natychmiast, bez najmniejszego wahania, a nawet z pośpiechem i, przeskakując cztery stopnie podestu, wbiegł do hotelu. Pięć sekund później stanął u drzwi gabinetu.

— A, to ty, Peppino — zdziwił się hrabia.

Lecz Peppino w miejsce odpowiedzi rzucił się na kolana, pochwycił dłoń hrabiego i okrył ją pocałunkami.

— A! — zawołał hrabia. — Nie zapomniałeś jeszcze, żem ci ocalił życie? To dziwne, przecież minął już tydzień.

— O nie, jaśnie panie, i nigdy tego nie zapomnę — odparł Peppino, a w jego głosie zabrzmiał akcent głębokiej wdzięczności.

— Nigdy, to bardzo długo! Ale to wiele znaczy, że tak sądzisz. Teraz wstań i odpowiadaj.

Peppino rzucił niespokojne spojrzenie na Franza.

— O, możesz mówić przy tym panu, to jeden z moich przyjaciół. Pozwolisz pan, abym go tak nazywał — hrabia zwrócił się do Franza po francusku — to potrzebne, by obudzić zaufanie w tym człowieku.

— Możesz pan mówić przy mnie — podjął Franz. — Jestem przyjacielem hrabiego.

— Zgoda — rzekł Peppino, zwracając się do hrabiego. — Niech ekscelencja raczy pytać, a ja będę odpowiadał.

— Jakim sposobem hrabia Albert wpadł w ręce Luigiego?

— Jaśnie panie, powóz Francuza wielokrotnie mijał się z kolaską Teresy.

— Kochanki waszego wodza?

— Tak. Francuz robił do niej słodkie oczy, a Teresa do niego, dla zabawy. Francuzik rzucał jej kwiaty, a ona mu też; a wszystko, ma się rozumieć, za pozwoleniem wodza, który był w tej samej kolasce.

— Jak to! — wykrzyknął Franz. — Luigi Vampa był w powozie rzymskich wieśniaczek?

— Był, był, powoził przebrany za stangreta.

— A potem? — zapytał hrabia.

— No, potem to Francuz zdjął maskę; Teresa, rozumie się, za zgodą wodza zrobiła toż samo; Francuz poprosił o schadzkę, a Teresa mu to przyrzekła; tyle że zamiast niej to Beppo na niego czekał na schodach kościoła San-Giacomo.

— Jak to! — przerwał Franz. — Ta wieśniaczka, która mu wyrwała *moccoletto*!...

— To był piętnastoletni chłopak — odparł Peppino. — Ale nie ma tu żadnego wstydu dla pańskiego przyjaciela, że tak został wywiedziony w pole, Beppo nabrał już wielu.

— I Beppo wyprowadził go za mury? — rzekł hrabia.

— Właśnie tak. Na końcu via Macello czekał powóz, Beppo usiadł, zapraszając Francuza. Francuzik nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. To prawdziwy galant[790]: posadził sobie Beppa po prawicy, sam usiadł tuż obok. Beppo mówi mu, że go wiezie do willi o milę od Rzymu. Francuz zapewnia Beppa, że pojechałby z nim na koniec świata. Stangret przejechał przez ulicę di Ripetta, minął bramę San-Paolo i dwieście kroków za miastem Francuz robi się, słowo daję, tak śmiały, że Beppo przykłada mu do szyi parę pistoletów, stangret zatrzymuje konie, obraca się na koźle[791] i czyni to samo. W tejże chwili czterech naszych, co się kryli na brzegu Almo[792], dopadło z dwóch stron do drzwiczek. Francuzik miał wielką ochotę się bronić i chyba nawet trochę poddusił Beppa, lecz nie mógł sobie przecież poradzić z pięcioma uzbrojonymi. Musiał się poddać; wysadzono go z powozu i wzdłuż brzegu rzeczki zaprowadzono do Teresy i Luigiego, którzy czekali w katakumbach Świętego Sebastiana[793].

— I cóż? — zwrócił się hrabia do Franza. — Zdaje mi się, że to całkiem trywialna historia. I co pan na to, pan, który jesteś znawcą?

---

[789]*salite* (wł.) — wejdźcie. [przypis edytorski]

[790]*galant* (daw.) — mężczyzna o wyrafinowanych manierach. [przypis edytorski]

[791]*kozioł* — tu: siedzenie dla powożącego. [przypis edytorski]

[792]*Almo*, właśc. *Almone* — rzeka płynąca na płd. od Rzymu; kiedyś łączyła się z Tybrem. [przypis edytorski]

[793]*katakumby świętego Sebastiana* — podziemna nekropolia w Rzymie z II w. n.e.; rozciąga się wzdłuż Via Appia. [przypis edytorski]

— Wydałaby mi się bardzo zabawna, gdyby zdarzyła się komu innemu, a nie biednemu Albertowi.

— Faktem jest — rzekł hrabia — że ta przygoda kosztowałaby pańskiego przyjaciela troszkę drogo, gdybyś mnie tu pan nie zastał. Ale bądź pan spokojny, skończy się dla niego tylko na strachu.

— I jedziemy po niego? — zapytał Franz.

— Ba! Naturalnie, tym bardziej że to bardzo malownicze ustronie. Znasz pan katakumby Świętego Sebastiana?

— Nie, nigdy tam nie byłem, ale obiecywałem sobie kiedyś tam pójść.

— No to sposobność jak znalazł, trudno by znaleźć lepszą. Masz pan powóz?

— Nie.

— To nic, na mnie w dzień i w nocy czeka zaprzężony powóz.

— Całkiem zaprzężony?

— Tak, mam często różne kaprysy. Powiem tylko, że czasem, gdy wstaję od obiadu, w środku nocy, chwyta mnie chęć, by pojechać gdzieś, wszystko jedno gdzie, i wyruszam natychmiast.

Hrabia zadzwonił, wszedł służący.

— Niech zajedzie powóz — rzekł hrabia. — Wyjmij pistolety z kieszeni powozu, ale stangreta nie budź. Powiezie nas Ali.

Po chwili usłyszeli turkot powozu, który stanął przed bramą.

Hrabia spojrzał na zegarek.

— Wpół do pierwszej — rzekł. — Moglibyśmy stąd wyjechać o piątej, a i tak bylibyśmy na czas; ale przez to opóźnienie pański przyjaciel mógłby spędzić niezbyt przyjemną noc, lepiej zatem pognajmy jak wicher wyrwać go z rąk niewiernych. Czy nadal pragnie mi pan towarzyszyć?

— Bardziej niż kiedykolwiek.

— No, to w drogę.

Franz i hrabia wyszli, a za nimi Peppino. U drzwi stał powóz. Na koźle siedział Ali.

Franz poznał niemego niewolnika z groty na Monte Christo.

Wsiedli do powozu — był to kryty kocz[794]. Peppino usiadł przy Alim — i ruszyli galopem.

Ali już wcześniej otrzymał rozkazy, skierował się bowiem prosto na Corso, przejechał Campo Vaccino, ulicę San Gregorio i dotarł do bramy Świętego Sebastiana. Tutaj miejski stróż chciał im robić trudności, ale hrabia Monte Christo pokazał mu pozwolenie gubernatora Rzymu do wjazdów i wyjazdów z miasta o dowolnej porze w dzień i w nocy. Krata została zatem podniesiona; stróż dostał za fatygę ludwika i pojechali dalej.

Powóz pędził starożytną via Appia[795], wzdłuż której ciągnął się sznur grobowców.

Przy blasku wschodzącego księżyca Franzowi wydawało się niekiedy, że widzi, jak od ruin odrywa się jakby wartownik; lecz zaraz, na znak dany przez Peppina, wartownik znikał w cieniu.

Niedaleko cyrku Karakalli[796] powóz stanął. Peppino otworzył drzwiczki, hrabia i Franz wysiedli.

— Za dziesięć minut — rzekł hrabia do towarzysza — będziemy na miejscu.

Po czym wziął Peppina na stronę, wydał mu po cichu jakiś rozkaz i Peppino odszedł, zaopatrzywszy się w pochodnię, którą dobyto z kufra powozu.

Minęło jeszcze pięć minut: przez ten czas Franz patrzył, jak pasterz zagłębia się wąską ścieżką w pofałdowane niemal konwulsyjnie pola rzymskiej równiny i na koniec znika wśród bujnych czerwonawych traw, co wyglądają jak najeżona grzywa gigantycznego lwa.

— A teraz — odezwał się hrabia — idźmy za nim.

Franz i hrabia puścili się tą samą ścieżką, która po stu krokach jęła opadać zboczem w dół do małej dolinki.

---

[794] *kocz* — rodzaj czterokołowego powozu. [przypis edytorski]

[795] *Via Appia* — najstarsza bita droga rzym., zaczynająca się w Rzymie przy Forum Romanum, biegnąca na płd. do Kapui, następnie aż do Brundisium; stanowiła jednocześnie aleję cmentarną Rzymu: wzdłuż niej wznosiły się pomniki grobowe i grobowce najważniejszych rodów rzymskich. [przypis edytorski]

[796] *Cyrk Karakalli,* właśc. *Cyrk Maksencjusza* — drugi pod względem wielkości starożytny cyrk (tj. stadion wyścigowy) w Rzymie, wybudowany na rozkaz cesarza Maksencjusza. [przypis edytorski]

Wkrótce spostrzegli dwóch ludzi rozmawiających w cieniu.

— Mamy iść dalej — zapytał Franz hrabiego — czy trzeba się zatrzymać?

— Chodźmy; Peppino musiał uprzedzić wartownika o naszym przybyciu.

Istotnie, jednym z tych ludzi był Peppino, a drugim bandyta postawiony na straży.

Franz i hrabia podeszli do nich; bandyta ukłonił się.

— Ekscelencja raczy iść za mną — rzekł Peppino do hrabiego — otwór do katakumb jest o dwa kroki.

— Dobrze — rzekł hrabia. — Idź przodem.

Rzeczywiście, za gęstwiną krzaków, pomiędzy skałami, widać było otwór, przez który człowiek mógł się od biedy prześliznąć. Peppino pierwszy wcisnął się w rozpadlinę, lecz zaledwie uszedł kilka kroków, gdy podziemne przejście się rozszerzyło. Zatrzymał się tu, zapalił pochodnię i odwrócił się, by zobaczyć, czy hrabia i Franz idą za nim.

Hrabia pierwszy wsunął się w ten szczególny dymnik[797], a Franz za nim.

Przejście łagodnie opadało i w miarę, jak się posuwali, coraz bardziej się rozszerzało; na razie jednak Franz i hrabia musieli iść pochyleni, jeden za drugim. Tak przeszli ze sto pięćdziesiąt kroków, aż zatrzymał ich głos:

— Kto idzie!

Jednocześnie blask ich pochodni odbił się w ciemnościach lśnieniem na lufie karabinu.

— Przyjaciel! — zawołał Peppino. Podszedł do przodu i szepnął kilka słów do wartownika, który podobnie jak poprzedni skłonił się, dając znak nocnym gościom, że mogą iść dalej.

Za wartownikiem były schody o dwudziestu stopniach. Franz i hrabia zeszli po nich i znaleźli się na skrzyżowaniu dróg cmentarnych. Korytarze rozchodziły się promieniście, w ścianach wydrążone były jedne nad drugimi nisze w kształcie trumien, co wskazywało, że nareszcie weszli do katakumb.

W jednym z korytarzy, którego długości nie sposób określić, migotał nikły poblask światła.

Hrabia położył dłoń na ramieniu Franza:

— Czy chcesz pan zobaczyć obóz bandytów na wywczasie[798]?

— O, oczywiście.

— No, to proszę za mną... Peppino, zgaś pochodnię.

Peppino usłuchał i znaleźli się nagle w najgłębszych ciemnościach. I tylko jakieś pięćdziesiąt kroków przed nimi tańczyły wciąż na murach czerwonawe błyski, wyraźniejsze odkąd Peppino zgasił pochodnię.

Szli w milczeniu; hrabia prowadził Franza, jakby posiadał przedziwny dar widzenia w ciemnościach.

Zresztą i Franz zaczął rozpoznawać coraz lepiej drogę, w miarę jak zbliżali się do refleksów światła, które służyły im za drogowskaz.

Przed nimi wyłoniły się trzy arkady[799], z których środkowa stanowiła drzwi.

Arkady te wychodziły z jednej strony na korytarz, gdzie byli Franz i hrabia, a z drugiej na wielką, kwadratową komnatę, otoczoną także niszami. Pośrodku komnaty stały cztery kamienie, niegdyś służące za ołtarz, jak to wskazywał nadal wieńczący je krzyż. Jedyna lampa postawiona na ściętym trzonie kolumny oświetlała bladym, chwiejnym światłem dziwaczną scenę, jaka otwarła się przed skrytymi w cieniu obserwatorami.

Odwrócony tyłem do arkad, przez które patrzyli na niego przybysze, siedział jakiś człowiek, a wsparłszy łokieć o kolumnę, czytał.

Był to wódz bandy — Luigi Vampa.

Wokół niego dostrzec można było ze dwudziestu bandytów, ulokowanych jak im się żywnie podobało: albo wylegiwali się w pelerynach na ziemi, albo siedzieli na długiej kamiennej ławie, obiegającej kolumbarium[800], a każdy miał w zasięgu ręki karabin.

---

[797] *dymnik* — mały otwór wentylacyjny, wyzior. [przypis edytorski]

[798] *na wywczasie* — w trakcie odpoczynku. [przypis edytorski]

[799] *arkada* — łuk opierający się na dwóch kolumnach. [przypis edytorski]

[800] *kolumbarium* — zbiorowy grobowiec z niszami na urny. [przypis edytorski]

W głębi, milczący i niemal niewidoczny, przechadzał się niby cień wartownik, tam i z powrotem, koło jakiegoś otworu, którego można się tam było dopatrzeć tylko dlatego, że w tym miejscu ciemność była jeszcze czarniejsza.

Gdy hrabia uznał, że Franz nasycił już oko tym malowniczym obrazem, przyłożył palec do ust, zalecając mu milczenie i pokonując trzy schodki, które prowadziły z korytarza do kolumbarium, wszedł do komnaty przez środkową arkadę i podszedł do Vampy, tak głęboko zatopionego w lekturze, że nie słyszał nawet odgłosu jego kroków.

— Kto idzie? — krzyknął inny wartownik, niezajmujący się strażowaniem, który przy świetle lampy spostrzegł, jak za wodzem rośnie jakiś cień.

Na ten krzyk Vampa zerwał się, dobywając pistoletu zza pasa. W mgnieniu oka wszyscy bandyci znaleźli się na nogach i dwadzieścia luf zwróciło się ku hrabiemu.

— Ależ — rzekł hrabia spokojnym tonem, a w jego twarzy nie drgnął nawet mięsień. — Ależ, mój drogi Vampo, czyż to nie za wiele ceremonii, by powitać przyjaciela?

— Broń do nogi! — zawołał wódz, dając jedną ręką znak rozkazujący, a drugą zdejmując z uszanowaniem kapelusz.

I zwrócił się ku osobie, która grała główne skrzypce w tej scenie:

— Przepraszam, panie hrabio! Ale tak dalece nie spodziewałem się, że będę miał zaszczyt oglądać pana tutaj, żem go wcale nie poznał.

— Zdaje się, drogi Vampo, że masz krótką pamięć pod każdym względem. Nie tylko nie pamiętasz ludzkich twarzy, ale i umów, jakie zawierasz.

— A jakich to warunków nie dopełniłem, panie hrabio? — odezwał się bandyta tonem, który świadczył, że chciałby najszczerzej naprawić błąd, jeśliby takowy popełnił.

— Czyż nie uzgodniliśmy — spytał hrabia — że nie tylko ja, ale i moi przyjaciele mają być dla was nietykalni?

— I w czymże ten traktat naruszyłem, ekscelencjo?

— Porwaliście tego wieczora i przywieźliście tu wicehrabiego Alberta de Morcerfa; otóż — mówił dalej hrabia tonem, od którego Franz zadrżał — ten młody człowiek jest jednym z moich przyjaciół, ten młody człowiek mieszka w tym samym co i ja hotelu, ten młody człowiek przez tydzień rozjeżdżał się[801] po Corso w moim własnym powozie, a jednak, powtarzam ci, porwałeś go i przywiozłeś tutaj; i — dodał hrabia, wyciągając list z kieszeni — nałożyłeś na niego okup jak na pierwszego lepszego.

— Dlaczegoście mnie o tym nie uprzedzili, słyszycie? — zawołał Vampa, odwracając się do swoich podwładnych, którzy cofnęli się pod jego spojrzeniem. — Dlaczego naraziliście mnie na złamanie słowa wobec takiego człowieka, jak pan hrabia, który ma w swym ręku nasze życie? Na rany Zbawiciela! Gdybym sądził, że któryś z was wiedział, iż ten młody człowiek jest przyjacielem pana hrabiego, własnoręcznie wypaliłbym mu w łeb.

— A co — zwrócił się do Franza hrabia — nie mówiłem panu, że zaszła jakaś pomyłka?

— Pan hrabia nie przyszedł sam? — zapytał Vampa z niepokojem.

— Jestem z osobą, do której ten list był napisany, a której chciałem dowieść, że Luigi Vampa jest człowiekiem słownym. Niech pan baron zechce tu podejść — rzekł do Franza. — Luigi Vampa sam panu powie, jak głęboko żałuje tej pomyłki.

Franz zbliżył się; wódz podszedł także kilka kroków i rzekł:

— Witaj nam, ekscelencjo. Słyszał pan, co mówił pan hrabia i com mu na to odpowiedział; dodam jeszcze, że nie pragnąłbym, aby doszło do takiej pomyłki nawet za cztery tysiące piastrów, które wyznaczyłem za życie przyjaciela pańskiego.

— Ale — zapytał Franz, rozglądając z niepokojem wokół — gdzie jest więzień? Nie widzę go...

— Nic mu się nie stało, mam nadzieję? — spytał hrabia, marszcząc brew.

— Więzień jest tam — rzekł Vampa, wskazując ręką na zagłębienie, przed którym przechadzał się wartownik. — Powiem mu osobiście, że jest wolny.

Podszedł do miejsca, które wskazał jako więzienie Alberta, a Franz i hrabia udali się za nim.

— Co robi więzień? — zapytał Vampa wartownika.

---

[801] *rozjeżdżać się* — podróżować, dużo jeździć. [przypis edytorski]

— Przysięgam, wodzu, że nie wiem — odpowiedział. — Od godziny już nie słyszałem, żeby się tam coś poruszyło.

— Zapraszam do środka — rzekł Vampa.

Hrabia i Franz weszli po ośmiu stopniach, poprzedzani przez Vampę, który odsunął zasuwę i pchnął drzwi.

I wtedy, przy świetle lampy podobnej do tej, która paliła się w kolumbarium, zobaczyli Alberta: otuliwszy się peleryną, której mu użyczył jeden z bandytów, i skuliwszy się w kącie, spał jak zabity.

— Doprawdy — uśmiechnął się w sobie tylko właściwy sposób hrabia. — Całkiem nieźle jak na człowieka, który miał być rozstrzelany o siódmej rano.

Vampa patrzył na śpiącego z pewnym podziwem; widać było, że bandyta nie był niewrażliwy na taki dowód odwagi.

— Pan hrabia ma słuszność — rzekł. — Taki człowiek musi należeć do pańskich przyjaciół.

Potem podszedł do Alberta i trącił go w ramię:

— Niech ekscelencja raczy się zbudzić!

Albert przeciągnął się, przetarł oczy i spojrzał.

— A, to wy, wodzu — zawołał. — Do licha, po co było wyrywać mnie ze snu? Śniło mi się coś nader przyjemnego: tańczyłem galopkę[802] u pana Torlonia z hrabiną G***!

Wyciągnął zegarek (nie oddał go, pragnąc sam wiedzieć, jak mija czas).

— Wpół do drugiej! — zawołał. — Ale po kiego diabła budzisz mnie pan o tej godzinie?

— By zawiadomić ekscelencję, że jest wolny.

— Mój drogi — odparł Albert z absolutnym spokojem — zapamiętaj sobie na przyszłość tę oto zasadę Napoleona Wielkiego: „budźcie mnie tylko, gdy przyjdą złe wieści". Gdybyś pozwolił mi spać, skończyłbym moją galopkę, za co byłbym ci wdzięczny do grobu... więc zapłacono już okup?

— Nie.

— E, no to jakimże sposobem mam być wolny?

— Ktoś, komu nie mogę niczego odmówić, przybył upomnieć się o pana.

— Aż tutaj?

— Aż tutaj.

— Ha! Do licha, to dopiero miły człowiek!

Albert rozejrzał się wokół i spostrzegł Franza.

— Jak to! Mój drogi, to ty posuwasz tak daleko poświęcenie dla mnie?

— Nie, nie ja — odpowiedział Franz — ale nasz sąsiad, pan hrabia de Monte Christo.

— Ach, naprawdę, panie hrabio — powiedział wesoło Albert, poprawiając halsztuk i mankiety. — Jest pan człowiekiem nieoszacowanym i mam nadzieję, że raczysz mnie uważać za swego wiecznego dłużnika, po pierwsze za powóz, a następnie za to, co się tu stało.

I wyciągnął rękę do hrabiego, który zadrżał, nim podał mu swoją — ale jednak podał.

Bandyta przypatrywał się w osłupieniu całej tej scenie; przywykł do więźniów, którzy przed nim drżeli, a tymczasem ten oto nie stracił nawet żartobliwego poczucia humoru. Franz zaś nie posiadał się z radości, że Albert nie splamił wobec bandyty honoru narodowego.

— Mój drogi Albercie — rzekł — jeśli zechcesz się pospieszyć, zdążymy jeszcze na ten bal u pana Torlonia i będziesz mógł zacząć galopkę tam, gdzie ci ją przerwano; i dzięki temu nie zachowasz żadnych pretensji do imć Luigiego, który naprawdę zachował się w całej tej sprawie jak dżentelmen.

— A, istotnie — zawołał Albert. — Masz rację, możemy tam być już na drugą. Szanowny panie Luigi — ciągnął Albert — czy powinienem dopełnić jakichś formalności, nim pożegnam się z waszą ekscelencją?

— Nie, panie — odpowiedział bandyta. — Jesteś wolny niczym wiatr.

— A więc życzę panu pomyślności i dużo radości w życiu! Chodźmy, panowie, chodźmy.

---

[802] *galopka* — rodzaj szybkiego tańca, w którym wykonuje się dużo obrotów. [przypis edytorski]

I Albert razem z Franzem i hrabią zeszli po schodach i przeszli przez kwadratową salę; wszyscy bandyci powstali i zdjęli kapelusze.

— Peppino! — rzekł wódz. — Podaj mi pochodnię!

— A cóż to pan robisz? — spytał hrabia.

— Odprowadzę pana — odrzekł herszt. — Chociaż w ten sposób uhonoruję waszą ekscelencję.

I wziąwszy zapaloną pochodnię z rąk pasterza, poszedł przodem, nie jak lokaj, gorliwy w swej służalczości, lecz jak król prowadzący ambasadorów.

Gdy dotarli do drzwi, ukłonił się.

— Teraz, panie hrabio — odezwał się — przepraszam raz jeszcze i mam nadzieję, że nie zachowasz pan urazy do mnie za to, co się stało.

— Nie, kochany Luigi; naprawiasz swoje błędy w tak ujmujący sposób, że ma się wręcz ochotę być ci za nie wdzięcznym.

— Panowie — zwrócił się Vampa do młodych ludzi — być może propozycja moja wyda się wam niezbyt zachęcająca; ale gdyby się panom kiedykolwiek podobało odwiedzić mnie po raz drugi, możecie być pewni serdecznego przyjęcia.

Franz i Albert skłonili się.

Hrabia wyszedł pierwszy, za nim Albert; Franz zaś nie kwapił się jakoś do wyjścia.

— Ekscelencja chciałby mnie o coś zapytać — zagadnął z uśmiechem Vampa.

— Przyznam się panu, że tak. Jestem ciekaw, co to za dzieło czytałeś pan z taką uwagą, gdyśmy weszli?

— *Komentarze* Cezara[803] — rzekł bandyta. — To moja ulubiona książka.

— Ejże, nie idziesz? — zawołał Albert.

— Zaraz — odparł Franz — Już idę.

I wysunął się przez rozpadlinę.

Przeszli potem kilka kroków.

— Ach, przepraszam — odezwał się Albert, zawracając. — Za pozwoleniem, wodzu!

I zapalił cygaro od pochodni Vampy.

— A teraz, panie hrabio — rzekł Albert — jedźmy jak można najprędzej. Zależy mi niezmiernie, by zakończyć tę noc u księcia Bracciano.

Powóz czekał w tym samym miejscu; hrabia rzucił Alemu jedno słowo po arabsku i konie ruszyły galopem. Na zegarku Alberta była druga, gdy przyjaciele weszli na salę balową.

Ich powrót wywołał sensację; ale jako że weszli razem, wszelkie obawy o Alberta natychmiast ustały.

— Pani — rzekł wicehrabia de Morcerf, podchodząc do hrabiny — wczoraj raczyłaś mi pani przyrzec zatańczyć ze mną galopkę. Może przybywam nieco późno, by przypominać o tej łaskawej obietnicy, lecz mój przyjaciel (a zna go pani jako człowieka prawdomównego) potwierdzi, że spóźnienie to nie nastąpiło z mojej winy.

W tej właśnie chwili muzyka jęła przygrywać do walca.

Albert objął kibić[804] hrabiny i znikli oboje w wirze tańczących.

Tymczasem Franz rozmyślał, co mógł znaczyć ten szczególny dreszcz, który przejął hrabiego Monte Christo, gdy był poniekąd zmuszony podać rękę Albertowi.

38. ODWIEDZINY

Nazajutrz, Albert, skoro tylko wstał, poprosił Franza, by poszedł z nim z wizytą do hrabiego; wprawdzie już mu wczoraj podziękował, ale sądził, iż tak ważna przysługa wymaga powtórnych podziękowań.

Franz, który odczuwał wobec hrabiego coś w rodzaju sympatii pomieszanej z trwogą, nie chciał pozwolić, by Albert wybrał się sam do tego człowieka i poszedł z nim. Lokaj wprowadził ich do salonu, a po pięciu minutach stanął przed nimi hrabia.

---

[803] *Komentarze Cezara* — Juliusz Cezar jest autorem dwóch monografii hist. zwanych *Komentarzami* (łac. *Commentarii*): *O wojnie galijskiej* i *O wojnie domowej*. Dotyczą one dwóch kampanii wojennych, w których sam brał udział. [przypis edytorski]

[804] *kibić* (daw.) — talia. [przypis edytorski]

— Pozwól, panie hrabio — rzekł Albert, zbliżając się do niego — abym dzisiaj powtórzył panu to, co wczoraj tak nieumiejętnie wyraziłem: nigdy nie zapomnę, w jakich okolicznościach przyszedł mi pan na pomoc i zawsze pamiętał będę, że winien jestem panu życie.

— Drogi sąsiedzie — roześmiał się hrabia — wyolbrzymia pan swoje zobowiązania wobec mnie. Dzięki mnie zaoszczędził pan tylko małą sumkę w swoim budżecie podróżnym, jakieś dwadzieścia tysięcy franków i tyle. Widzisz więc, że nie warto nawet o tym mówić. Przyjmij pan raczej gratulacje z mojej strony, okazał pan godny podziwu spokój i nonszalancję.

— Panie hrabio, cóż miałem robić! Wyobraziłem sobie, żem się wdał z kimś w okropną kłótnię i że ma się to skończyć pojedynkiem, a chciałem też pokazać tym bandytom jedno: ludzie biją się we wszystkich krajach świata, lecz tylko Francuzi potrafią zachować przy tym poczucie humoru. Niemniej mój oblig wobec pana nie staje się przez to mniejszy. Dlatego przychodzę zapytać pana, czy ja sam nie mógłbym się okazać użyteczny dla pana dzięki moim przyjaciołom lub moim stosunkom. Mój ojciec, hrabia Morcerf, rodem z Hiszpanii, posiada rozległe wpływy we Francji i w Hiszpanii; oddaję na pańskie usługi siebie jak i wszystkich moich najbliższych.

— Cóż — rzekł hrabia — wyznam panu, że czekałem na tę propozycję, panie de Morcerf, i że ją przyjmuję całym sercem. Już sobie umyśliłem, że poproszę pana o wielką przysługę.

— Jaką?

— Nigdy nie byłem w Paryżu, nie znam Paryża...

— Doprawdy? — wykrzyknął Albert. — Jakże mogłeś pan sobie żyć spokojnie, nie znając Paryża? To nie do wiary!

— Tak jakoś wyszło. Czuję jednak, że nie mogę tak dłużej zwlekać, nie znając stolicy myśli[805]. Zresztą powiem więcej: być może już dawno odbyłbym tę obowiązkową podróż, gdybym znał kogoś, kto mógłby mnie wprowadzić w ten świat, w którym nie mam żadnych znajomości.

— Jak to! Pan?! — zawołał Albert.

— Bardzo pan jesteś dla mnie łaskaw, ale wiem dobrze, że posiadam tylko tę zaletę, że mógłbym konkurować jako milioner z panem Aguado lub panem Rotszyldem, a przecież nie jechałbym do Paryża, aby grać na giełdzie; i właśnie ta drobna okoliczność mnie powstrzymywała. A teraz podjąłem decyzję dzięki pańskiej propozycji. I cóż, podejmie się pan, panie de Morcerf — (hrabia zaakcentował te słowa osobliwym uśmiechem) — podejmie się pan, gdy przyjadę do Francji, otworzyć przede mną podwoje tego świata, gdzie będę tak obcy jak Huron[806] albo mieszkaniec Kochinchiny[807]?

— O, panie hrabio, z największą rozkoszą, z najszczerszego serca! A tym chętniej się do tego przyczynię (Franz, kochaneczku, nie naśmiewaj się tak ze mnie!), że właśnie wzywają mnie do Paryża. Dziś rano otrzymałem list, który dotyczy aliansu[808], jaki mam zawrzeć z nader przyjemnym domem, świetnie ustosunkowanym w świecie paryskim.

— Aliansu małżeńskiego? — rzekł Franz z uśmiechem.

— O, mój Boże, naturalnie! Tym sposobem, kiedy przybędziesz pan do Paryża, zastaniesz mnie już jako człowieka poważnego, a może ojca rodziny. To się świetnie zgodzi z moją wrodzoną powagą, nieprawdaż? W każdym razie powtarzam, panie hrabio, że ja i moi najbliżsi będziemy oddani panu ciałem i duszą.

— Przyjmuję, bo przysięgam panu, że brakowało mi tylko tej okazji, by doprowadzić do skutku projekty, nad którymi rozmyślam już od dawna.

Franz nie wątpił ani przez chwilę, że są to projekty, o których hrabia napomknął mu mimowolnie w grocie na Monte Christo; i patrzył na hrabiego, gdy ten mówił, usiłując wybadać w jego fizjonomii, co go tak naprawdę wiedzie do Paryża — ale trudno było wniknąć w duszę tego człowieka, zwłaszcza że osłaniał ją zawsze uśmiechem.

---

[805] *stolica myśli* — w org.: *la capitale du monde intelligent*, czyli „stolica świata intelektualnego"; w odniesieniu do Paryża jako ośrodka filozofii, nauki i sztuki. [przypis edytorski]

[806] *Huron* (z fr. *hure*: łeb dzika) — członek indiańskiego plemienia Huronów (Wyandotów). [przypis edytorski]

[807] *Kochinchin* — daw. nazwa położonej najbardziej na płd. części Wietnamu, stanowiącej część fr. kolonii Indochin. [przypis edytorski]

[808] *alians* (z fr. *alliance*) — przymierze, związek. [przypis edytorski]

— Ale, doprawdy, panie hrabio — odezwał się znów Albert, uradowany, że będzie wprowadzał na salony takiego człowieka jak Monte Christo — czy to aby nie jeden z tych ulotnych projektów, jakich się tysiące tworzy w podróży, projekty budowane na piasku, co ulatują z lada powiewem wiatru?

— O nie, na honor. Pragnę pojechać do Paryża, a nawet muszę to zrobić.

— A kiedy?

— A kiedy pan sam tam wrócisz?

— Ja? Hm, za dwa lub najpóźniej trzy tygodnie. Tyle trzeba na przejazd.

— A więc daję panu trzy miesiące. Widzi pan, że daję panu czasu z okładem.

— I za trzy miesiące — wykrzyknął z radością Albert — zastukasz pan do moich drzwi?

— Chce pan, byśmy się umówili dokładnie, na dzień i godzinę? — spytał hrabia. — Uprzedzam, że jestem straszliwie punktualny.

— Na dzień i godzinę? — powtórzył Albert. — To cudownie, zgadzam się!

— A więc dobrze — i hrabia sięgnął po kalendarz zawieszony obok zwierciadła. — Mamy dzisiaj — rzekł — dwudziesty pierwszy lutego — tu wyciągnął zegarek — jest wpół do jedenastej. Jeśli pan łaskaw, proszę mnie oczekiwać dwudziestego pierwszego maja o wpół do jedenastej?

— Z rozkoszą! Śniadanie będzie gotowe.

— A mieszkasz pan...

— Przy ulicy Helderskiej nr 27.

— Mieszka pan sam, po kawalersku? Nie chciałbym pana narażać na nieprzyjemności.

— Mieszkam w pałacu ojca, ale zajmuję całkiem oddzielny pawilon w głębi dziedzińca.

— Znakomicie.

Hrabia wziął notatnik i zapisał: ulica Helderska nr 27; 21 maja, o wpół do jedenastej.

— A teraz bądź pan spokojny — rzekł hrabia, kładąc notatnik do kieszeni. — Wskazówki pańskiego zegara nie będą rzetelniejsze ode mnie.

— Zobaczymy się jeszcze przed moim odjazdem, panie hrabio? — zapytał Albert.

— To zależy. Kiedy pan odjeżdżasz?

— Jutro, o piątej po południu.

— W takim razie pożegnam pana. Mam sprawę w Neapolu i będę z powrotem dopiero w sobotę wieczorem lub w niedzielę rano. A pan — zwrócił się do Franza — także jedzie, panie baronie?

— Tak.

— Do Francji?

— Nie, do Wenecji. Zostanę jeszcze rok lub dwa we Włoszech.

— To się nie zobaczymy w Paryżu?

— Obawiam się, że ominie mnie ten zaszczyt.

— A więc życzę panom szczęśliwej podróży — rzekł hrabia, podając rękę obu przyjaciołom.

Po raz pierwszy Franz dotykał ręki tego człowieka; zadrżał: była lodowata jak u trupa.

— A więc jesteśmy umówieni? — upewnił się Albert. — Mogę trzymać pana za słowo? Helderska 27, dwudziestego pierwszego maja, o wpół do jedenastej rano?

— Dwudziestego pierwszego, o wpół do jedenastej, ulica Helderska — powtórzył hrabia.

Młodzieńcy pożegnali hrabiego i wyszli.

— Co ci jest? — zapytał po drodze Albert. — Wydajesz się zatroskany.

— I tak jest — odpowiedział Franz. — Hrabia jest człowiekiem osobliwym i z niepokojem myślę o tym waszym spotkaniu w Paryżu.

— Z niepokojem... o tym spotkaniu?! Coś takiego! Chybaś zwariował, mój drogi! — wykrzyknął Albert.

— Mów sobie, co chcesz — rzekł Franz. — Zwariowałem albo i nie, ale coś mnie tu niepokoi.

— Słuchaj — odezwał się Albert — rad jestem, że mi się nadarza okazja, by ci powiedzieć: zawsze mi się zdawało, że jesteś dość oziębły wobec hrabiego, a ja, przeciwnie, uważam, że był wobec nas jak najżyczliwszy. Masz jakąś osobistą urazę wobec niego?

— Być może.
— Czyżbyś go wcześniej spotkał?
— Otóż to.
— Ale gdzie?
— Ale przyrzekniesz, że nie zdradzisz nikomu ani słowa?
— Przyrzekam.
— Słowo honoru?
— Słowo honoru.
— No, to słuchaj.

I Franz opowiedział Albertowi swoją wyprawę na wyspę Monte Christo oraz spotkanie z przemytnikami, wśród których było dwóch bandytów korsykańskich. Nie pominął żadnego szczegółu feerycznej[809] gościnności, jaką okazał mu hrabia w swojej grocie z *Tysiąca i Jednej Nocy*. Opowiedział o kolacji, o haszyszu, posągach, o jawie i śnie i o tym, jak po przebudzeniu jako dowód i wspomnienie tego wszystkiego, co przeżył, pozostał mu tylko widok jachtu na horyzoncie, żeglującego ku Porto Vecchio.

Potem przeszedł do tego, co działo się w Rzymie, do nocy w Koloseum i rozmowy o Peppinie, jaką podsłuchał między nim a Vampą, a w której hrabia przyrzekł wyjednać łaskę dla bandyty — i obietnicy tej dotrzymał, jak mógł stwierdzić sam czytelnik.

Na koniec doszedł do wypadków ostatniej nocy: jak znalazł się w kłopocie, gdy spostrzegł, że brakuje mu do całej sumy ośmiuset piastrów; jak wpadł na pomysł, by udać się do hrabiego, co zakończyło się tak pomyślnie, a zarazem tak malowniczo.

Albert słuchał chciwie Franza.

— No i co — rzekł, gdy przyjaciel skończył — gdzie widzisz tu coś złego? Hrabia lubi podróżować, hrabia ma swój jacht, bo jest bogaty. Jedź do Portsmouth czy do Southampton[810], a zobaczysz porty zatłoczone od statków bogatych Anglików, którzy mają takie same kaprysy. Aby mieć gdzie odpocząć w czasie swych podróży, aby uniknąć tej ohydnej kuchni, którą zatruwam się od czterech miesięcy, a ty od czterech lat, aby nie sypiać w tych obrzydliwych łóżkach, w których właściwie nie da się spać, kazał sobie urządzić mieszkanko na Monte Christo. A gdy już je sobie umeblował, obawia się, by rząd toskański nie usunął go stamtąd i aby wydatki się nie zmarnowały — więc kupuje wyspę i przybiera od niej nazwisko. Kochany mój, poszperajże w pamięci i przyznaj, iluż to twoich znajomych wzięło nazwisko od posiadłości, których nigdy nie byli właścicielami?

— A ci bandyci korsykańscy w jego załodze?!

— Ale co w tym dziwnego? Wiesz lepiej niż ktokolwiek, że bandyci korsykańscy nie są bynajmniej rabusiami, ale jedynie zbiegami, których jakaś *vendetta*[811] wygnała z rodzinnego miasta lub wsi; zadawanie się z nimi nie kompromituje! Oznajmiam, że jeśli kiedyś udam się na Korsykę, to zanim się przedstawię gubernatorowi i prefektowi, pójdę się poznajomić z bandytami Kolomby[812], jeśli tylko da się to zrobić. Uważam, że są czarujący.

— Ale Vampa i jego zgraja — protestował Franz — to bandyci, co rabują; mam nadzieję, że temu nie zaprzeczysz. A poza tym, co sądzisz o tym, że hrabia cieszy się takim autorytetem wśród tych ludzi?

— Sądzę tylko tyle, mój drogi, że temu autorytetowi winien jestem życie; nie powinienem go zbyt mocno krytykować. Pozwól mi więc, zamiast robić z tego sprawę gardłową[813], wybaczyć hrabiemu to wszystko; nie mówię już nawet, że mi ocalił życie, bo byłaby to może lekka przesada, ale na pewno dzięki niemu zaoszczędziłem cztery tysiące piastrów, co stanowi dwadzieścia cztery tysiące liwrów na nasze pieniądze, a to suma, na którą by mnie na pewno nie oszacowano we Francji; dowodzi to — roześmiał się Albert — że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju.

— Ano właśnie: z jakiego kraju hrabia pochodzi? Jaki jest jego ojczysty język? Z czego właściwie się utrzymuje? Skąd te jego niezmierne bogactwa? Co się działo w pierwszej

[809] *feeryczny* — baśniowy, fantastyczny. [przypis edytorski]
[810] *Portsmouth, Southampton* — miasta portowe w płd. Anglii. [przypis edytorski]
[811] *vendetta* (wł.) — zemsta. [przypis edytorski]
[812] *Kolomba* — tytułowa bohaterka powieści Prospera Mérimée (1803–1870), korsykanka; nakłania swojego brata, by pomścił ich zamordowanego ojca. [przypis edytorski]
[813] *sprawa gardłowa* (daw.) — sprawa sądowa, która mogła się skończyć wyrokiem śmierci. [przypis edytorski]

części jego życia, tajemniczej i nieznanej, która nadała tej drugiej posępną barwę mizantropii? Tego wszystkiego chciałbym się na twoim miejscu dowiedzieć.

— Franz, mój kochany, gdy po otrzymaniu mego listu uznałeś, że potrzebujemy pomocy hrabiego — zripostował Albert — poszedłeś i powiedziałeś mu: „mojemu przyjacielowi Albertowi de Morcerfowi grozi niebezpieczeństwo, pomóż mi pan go z tego wyciągnąć", czyż nie?

— Tak.

— A czy on wtedy zapytał: „Kto to jest, ten Albert de Morcerf? Skąd pochodzi jego nazwisko? Skąd się wziął jego majątek? Z czego żyje? Z jakiego kraju się wziął? Gdzie się urodził?". Pytał cię o to? Powiedz!

— Nie, przyznaję.

— Ot, przyjechał i tyle. Wyrwał mnie z rąk Vampy, u którego choć pozorowałem nonszalancję, wcale nie było mi do śmiechu, przyznaję się. A więc, mój drogi, gdy on za podobną przysługę prosi mnie o to, co się robi co dzień dla pierwszego lepszego rosyjskiego czy włoskiego księcia, który wpadnie do Paryża, to znaczy, żebym przedstawił go na salonach, ty chcesz, bym mu odmówił? Ejże, chyba zwariowałeś!

Przyznać trzeba, że wbrew zwyczajowi cała słuszność tym razem była po stronie Alberta.

— A zresztą, mój drogi hrabio — westchnął Franz — rób, co ci się podoba; przyznaję, że wszystko, co mówisz, jest pozornie słuszne; ale prawdą jest, że hrabia Monte Christo jest osobliwym człowiekiem.

— Hrabia Monte Christo jest filantropem. Nie opowiedział ci, w jakim celu udaje się do Paryża. Otóż chce kandydować do nagrody Montyona[814]; a jeśli będzie potrzebował do zwycięstwa tylko mojego głosu i protekcji tego nieurodziwego pana, który ją przyznaje, to cóż, dam mu mój głos i postaram się o protekcję. No, nie mówmy o tym więcej, mój kochany, siadajmy do stołu, a potem chodźmy ostatni raz do katedry Świętego Piotra.

Stało się, jak powiedział Albert, a nazajutrz o piątej po południu przyjaciele się rozstali: Albert ruszył do Paryża, Franz pojechał na dwa tygodnie do Wenecji.

Lecz Albert, zanim wsiadł do powozu, oddał chłopcu hotelowemu — z obawy, by hrabia nie sprawił mu zawodu — bilet do hrabiego Monte Christo, na którym pod napisem: „Wicehrabia Albert de Morcerf" dopisał ołówkiem: „21 maja, o wpół do jedenastej, ulica Helderska nr 27".

39. ŚNIADANIE

Rankiem dwudziestego pierwszego maja w domu przy ulicy Helderskiej, dokąd Albert de Morcerf zaprosił jeszcze w Rzymie hrabiego Monte Christo, wszyscy domownicy krzątali się na przyjęcie hrabiego, aby Albert mógł wystąpić przed nim jak należy.

Albert de Morcerf mieszkał w pawilonie, wzniesionym na rogu wielkiego dziedzińca, naprzeciw drugiego gmachu przeznaczonego dla służby.

Jedynie dwa okna pawilonu wychodziły na ulicę, dalsze trzy były na dziedziniec, a dwa na ogród.

Między dziedzińcem a ogrodem wznosił się pałac hrabiostwa de Morcerfów, zbudowany w szpetnym stylu Cesarstwa[815], modny jednak i okazały.

Wzdłuż całej posiadłości ciągnął się mur, odgradzając ją od ulicy, a na nim stały w równych odstępach wazony z kwiatami; w środku muru wielka żelazna krata ze złoconymi strzałami służyła za bramę paradną; furtka, przylepiona niemal do domku odźwiernego, używana była przez służbę lub też przez państwo, jeśli wychodzili pieszo.

Wybór pawilonu na mieszkanie dla Alberta był dowodem pełnej taktu troskliwości matki, która nie chcąc rozstawać się z synem, rozumiała jednak, iż młodzieniec w wieku Alberta potrzebuje zupełnej swobody.

---

[814] *nagroda Montyona* — przyznawana przez Akademię Francuską za wybitne osiągnięcia naukowe; ufundował ją fr. filantrop Jean-Baptiste de Montyon (1733–1820). [przypis edytorski]

[815] *styl Cesarstwa* a. *empire* — styl w sztuce, meblarstwie, modzie itp., odmiana późnego klasycyzmu związana z rządami Napoleona I we Francji; wykorzystywał wzory i motywy sztuki staroż. Grecji, Rzymu i Egiptu, np. sfinksy, gryfy, kariatydy, a także motyw łabędzia (ulubionego ptaka cesarzowej Józefiny), inicjał Napoleona w wieńcu laurowym, motyw pszczoły, gwiazdy, orłów cesarskich. [przypis edytorski]

Z drugiej zaś strony widać było, musimy to przyznać, że mieszkanie Alberta stanowiło obraz mądrego egoizmu młodzieńca rozkochanego w swobodnym i leniwym życiu, złoconym niby klatka dla ptaków, jakie wiedzie młody człowiek z dobrej rodziny.

Przez okna od ulicy Albert mógł obserwować, co się dzieje na zewnątrz. Widok taki jest niezbędny dla młodego człowieka, który lubi, aby co rusz ktoś nowy pojawiał się na horyzoncie, niechby nawet ulicznym! Następnie, jeśli w czasie obserwacji takich zdarzył się jakiś przedmiot zasługujący na głębsze badania, Albert mógł dla dalszych poszukiwań wyjść przez furtkę podobną do tej, którą wskazaliśmy przy domku odźwiernego, a wartą szczególnej wzmianki. Była to furteczka jakby zapomniana przez wszystkich natychmiast po zbudowaniu domu, niepozorna i zakurzona — rzekłbyś, że nikt jej już nigdy nie przestąpi; starannie naoliwione zamek i zawiasy dowodziły jednak, że często ją w jakowychś tajemniczych celach otwierano.

Chytre te drzwiczki robiły konkurencję dwóm pozostałym wejściom, naigrawając się z odźwiernego, że jego czujność i władza ich nie dosięgały, a otwierały się jak słynna brama jaskini z *Tysiąca i Jednej Nocy*, niby Sezam zaklęty Ali Baby, kiedy ktoś wyrzekł kabalistyczne[816] słowa lub zapukał w umówiony sposób — słowa te musiały być wymawiane przez głos wyjątkowo melodyjny, pukać musiały paluszki najdelikatniejsze w świecie.

W końcu wąskiego i cichego korytarza, który stykał się z owymi drzwiczkami i stanowił przedpokój, znajdowały się po prawej stronie drzwi do sali jadalnej Alberta z oknami na dziedziniec, a po lewej do saloniku z oknami od ogrodu. Krzewy i pnącza, rozwijając się na kształt wachlarza przed oknami, zakrywały od dziedzińca i ogrodu wnętrze tych dwóch pokoi na parterze, jedynych, do których mogłoby zajrzeć niedyskretne oko.

Na pierwszym piętrze, oprócz dwóch takich samych pokoi, znajdował się nad przedpokojem jeszcze trzeci. Były to salon, sypialnia i buduar.

W salonie dolnym, urządzonym jak komnaty algierskie, mieściła się palarnia[817].

Buduar przylegał do sypialni i przez sekretne drzwiczki miał wyjście na schody.

Widzimy, że nie zapomniano o żadnych środkach ostrożności.

Nad pierwszym piętrem królowała rozległa pracownia, którą powiększono, wyburzając ściany wewnętrzne i przepierzenia; pandemonium[818], które stanowiło obraz walki artysty z dandysem.

Znalazły tu schronienie wszystkie kolejne pasje Alberta: trąby myśliwskie[819], basetle[820], flety — cała orkiestra, bo Albert upodobał sobie przez czas jakiś muzykę — nie było to jednak zainteresowanie, lecz kaprys; sztalugi, palety, farby, bo po zapale do muzyki nastąpiły pretensje do malarstwa; na koniec florety[821], rękawice bokserskie, szpady i laski różnego rodzaju, bo wierny obyczajom ówczesnych złotych młodzieńców Albert de Morcerf kształcił się z dużo większą wytrwałością, niż to okazał przy muzyce i malarstwie, w tych trzech sztukach uzupełniających męską edukację, to jest w fechtunku[822], boksie, walce na kije — i w opisanym pomieszczeniu, przystosowanym do ćwiczeń fizycznych, lekcji udzielali mu Grisier[823], Cooks i Karol Lecour[824].

Resztę umeblowania tej szacownej komnaty stanowiły kufry z czasów Franza I, pełne chińskiej porcelany, waz japońskich, fajansów[825] Lucca della Robbii[826] i półmisków

[816] *kabalistyczny* — związany z kabałą, tj. mistyczną nauką w judaizmie; kabaliści stosowali w swych dociekaniach kombinacje liczb i liter, którym przypisywali głębsze znaczenie. [przypis edytorski]

[817] *palarnia* — pomieszczenie przeznaczone do palenia wyrobów tytoniowych. [przypis edytorski]

[818] *pandemonium* (z gr.) — królestwo demonów, miejsce chaosu. [przypis edytorski]

[819] *trąba myśliwska* — instrument dęty wykorzystywany przez myśliwych podczas polowań w celach sygnalizacji. [przypis edytorski]

[820] *basetla* — ludowy instrument strunowy lub daw. wiolonczela. [przypis edytorski]

[821] *floret* — broń szermiercza z elastyczną, wąską, czworograniastą klingą. [przypis edytorski]

[822] *fechtunek* — szermierka. [przypis edytorski]

[823] *Grisier, Augustin* (1791–1865) — słynny fr. fechtmistrz, przyjaciel Aleksandra Dumasa. [przypis edytorski]

[824] *Lecour, Charles* (1808–1894) — fr. pięściarz. [przypis edytorski]

[825] *fajans* — tworzywa ceramicznego, którego głównym składnikiem jest biała glinka. [przypis edytorski]

[826] *Lucca della Robbia*, właśc. Luca della Robbia (1399–1481) — wł. rzeźbiarz renesansowy; znany jako wynalazca techniki glazurowania barwnych rzeźb terakotowych. [przypis edytorski]

Bernarda le Palissy[827], starodawne fotele, na których zasiadał może Henryk IV[828] albo Sully[829], Ludwik XIII albo Richelieu — dwa bowiem z nich, ozdobione rzeźbionymi herbami: błyszczące na lazurowym tle trzy lilie Bourbonów zwieńczone królewską koroną, pochodziły jeśli nie z magazynów w Luwrze[830], to przynajmniej z jakiego zamku królewskiego. Na fotelach tych barwy ciemnej i ponurej rzucone były w nieładzie bogate tkaniny o żywych kolorach, barwione słońcem Persji albo utkane przez niewiasty z Kalkuty i Chandernagoru[831].

Trudno zgadnąć, co mogły tu robić owe tkaniny.

Wabiąc wzrok, oczekiwały na przeznaczenie, którego nie znał sam ich właściciel, a tymczasem rozświetlały salę jedwabistym, złotawym lśnieniem.

Na honorowym miejscu stał fortepian z drzewa różanego, dzieło Rullera i Blanchet[832], odpowiadający rozmiarami naszym lilipucim salonom, który w ciasnym i dźwięcznym pudle zawierał jednak całą orkiestrę, a uginał się pod brzemieniem arcydzieł Beethovena, Webera[833], Mozarta, Haydna[834], Grétry'ego[835] i Porpory[836].

Ponadto wszędzie, na ścianach, powyżej drzwi, na suficie — szpady, sztylety, krisy[837], maczugi, topory, zbroje pozłacane, damasceńskie[838], inkrustowane; zielniki, minerały, wypchane ptaki z otwartymi do nieruchomego lotu płomiennie czerwonymi skrzydłami i dziobami, których nigdy już nie miały zamknąć.

Rozumie się samo przez się, że była to ulubiona komnata Alberta.

W dzień jednak spotkania młodzieniec obrał sobie za główną kwaterę salonik na parterze, gdzie czekał w wytwornym negliżu[839] na przyjęcie gościa. Tu, na stole otoczonym szeroką, miękką sofą, złociły się w fajansowych naczyniach o spękanej polewie, za jakimi przepadają Holendrzy, wszelkie znane gatunki tytoniu, począwszy od żółtego petersburskiego, aż do czarnego synajskiego, nie pomijając maryland, portorico i latakié.

Obok zaś w szkatułkach z wonnego drzewa leżały uporządkowane według wielkości i gatunku cygara: puros, regalia, hawańskie i manilskie.

Na koniec, w otwartej na oścież szafie, zbiór fajek — niemieckich, tureckich o ustnikach z bursztynu zdobnych w korale, inkrustowane złotem nargile[840] o długich safianowych rurkach, zwiniętych niby węże — oczekiwał na kaprys lub zachciankę palaczy. Albert sam czuwał jak uporządkowano albo raczej rozłożono w artystycznym nieładzie owe przybory, którym nowocześni biesiadnicy lubią przypatrywać się po kawie poprzez obłoki dymu, z ust ich kłębem unoszących się pod sufit w długich kapryśnych spiralach.

Za kwadrans dziesiąta wszedł lokaj.

Był to mały piętnastoletni stajenny imieniem John, mówiący tylko po angielsku, który stanowił całą domową służbę Alberta.

---

[827] *Palissy, Bernard* (1510–1589) — fr. ceramik, chemik i fizyk; tworzył fajansowe naczynia z motywami roślinnymi. [przypis edytorski]

[828] *Henryk IV* (1553–1610) — król Nawarry (od 1572), następnie król Francji (od 1589), pierwszy z dynastii Burbonów, obniżył podatki dla chłopów, zredukował dług publiczny, ogłosił edykt nantejski (1598) gwarantujący wolność wyznania i kończący wojny religijne w kraju. [przypis edytorski]

[829] *Sully, Maximilien de Béthune de* (1560–1641) — fr. polityk, hugenot, przyjaciel i realizator polityki króla Henryka IV; od 1596 zarządca finansów królestwa, od 1598 minister skarbu i zwierzchnik administracji; zreorganizował finanse, rozwinął gospodarkę, popierał rozwój rolnictwa, przebudował sieć dróg i fortyfikacji. [przypis edytorski]

[830] *Luwr* — daw. pałac królewski w Paryżu, obecnie jedno z największych muzeów sztuki na świecie. [przypis edytorski]

[831] *Chandernagore* — miasto w płn.-wsch. Indiach, znane ze swego przemysłu włókienniczego, wchodzące w skład Indii Francuskich (czyli fr. posiadłości kolonialnych na Półwyspie Indyjskim). [przypis edytorski]

[832] *Ruller i Blanchet*, właśc. *Roller i Blanchet* — Blanchet była fr. firmą rodzinną produkującą instrumenty klawiszowe od XVII w.; w XIX w. zawiązała spółkę z niem. wytwórcą pianin Johannesem Rollerem. [przypis edytorski]

[833] *Weber, Karol Maria von* (1786–1826) — niem. kompozytor, twórca wielu oper i koncertów fortepianowych. [przypis edytorski]

[834] *Haydn, Franz Joseph* (1732–1809) — austr. kompozytor, przedstawiciel klasycyzmu. [przypis edytorski]

[835] *Grétry, André* (1741–1813) — fr. kompozytor pochodzenia niderlandzkiego; znany głównie jako kompozytor oper komicznych; występował w Wersalu. [przypis edytorski]

[836] *Porpora, Nicola* (1686–1768) — wł. kompozytor operowy. [przypis edytorski]

[837] *kris* — sztylet malajski, zwykle o wężowatej klindze, mierzącej 30–40 cm. [przypis edytorski]

[838] *damasceński* — wykonany z wyjątkowo twardej, a zarazem sprężystej stali, wyrabianej w okolicach Damaszku w Syrii. [przypis edytorski]

[839] *negliż* (z fr.) — tu: strój domowy. [przypis edytorski]

[840] *nargile* — fajka wodna popularna w krajach arabskich. [przypis edytorski]

Oczywiście miał zawsze do dyspozycji kucharza pałacowego, a przy nadzwyczajnych okazjach na jego rozkazy był także strzelec hrabiego.

Lokaj ów, obdarzony całkowitym zaufaniem swego młodego pana, położył na stole stos gazet, Albertowi zaś podał plik listów. Albert spojrzał w roztargnieniu na tę różnorodną korespondencję, po czym wybrał z niej dwie perfumowane koperty, na których widać było pismo nakreślone delikatną ręką, rozpieczętował je i przeczytał listy z pewną uwagą.

— Skąd te listy? — zapytał.

— Jeden przyszedł pocztą, a drugi przyniósł lokaj pani Danglars.

— Każ powiedzieć pani Danglars, że przyjmuję miejsce w jej loży... Czekaj, czekaj... Później wstąpisz do Róży; powiesz jej, że skoro zaprasza, po wyjściu z Opery przyjdę do niej na kolację i zaniesiesz tam sześć butelek wyborowego wina — cypryjskiego, malaga i xeres — a także beczułkę ostryg ostendzkich[841]. Ostrygi weźmiesz u Borela, ale nie zapomnij mu powiedzieć, że to dla mnie.

— O której godzinie jaśnie pan każe podawać do stołu?

— A która teraz?

— Za kwadrans dziesiąta.

— A więc podasz o wpół do jedenastej. Debray może będzie musiał pójść do ministerstwa... A zresztą — (Albert popatrzył do notatnika) — na tęże godzinę zaprosiłem hrabiego; dwudziesty pierwszy maja o wpół do jedenastej; chociaż nie liczę bardzo na jego obietnicę, chcę jednak być akuratny. Aha, nie wiesz, czy pani hrabina już wstała?

— Jeśli jaśnie pan sobie życzy, pójdę się dowiedzieć.

— Dobrze... i poproś też o trochę likierów, gdyż moja piwniczka już niezbyt pełna. Powiedz pani hrabinie, że będę miał zaszczyt być u niej o godzinie trzeciej i że pytam, czy zgodzi się, abym przedstawił jej kogoś.

Lokaj wyszedł.

Albert rzucił się na sofę, rozdarł opaski kilku dzienników, przejrzał program spektakli, skrzywił się — tego dnia bowiem dawano nie balet, a operę; jął szukać na próżno w ogłoszeniach o pachnidłach pasty do zębów, którą mu zachwalano i ciskając precz trzy najbardziej wzięte w Paryżu pisma, ziewał na całe gardło i mruczał:

— Doprawdy, te gazety robią się coraz nudniejsze.

W tejże chwili przed drzwiami zatrzymał się wolant[842], a wkrótce wszedł lokaj i oznajmił przybycie pana Lucjana Debraya. Do salonu wszedł jasnowłosy młody człowiek, wysoki, blady, z którego szarych oczu biła pewność siebie, a z wąskich ust chłód. Ubrany w granatowy frak ze złotymi cyzelowanymi guzikami i biały halsztuk, miał zawieszony na jedwabnej tasiemce monokl w szylkretowej[843] oprawie, który niekiedy, dzięki wysiłkom mięśni policzka, udawało mu się utrzymać w oczodole. Wkroczył bez uśmiechu, nie mówiąc ani słowa, z miną na wpół urzędową.

— Dzień dobry, Lucjanie, dzień dobry — rzekł Albert. — Przerażasz mnie, mój drogi, swoją punktualnością! Ba, gdybyż to była tylko punktualność! Spodziewałem się, że przyjdziesz najpóźniej, a ty pojawiasz się już za pięć dziesiąta, kiedy termin spotkania ustalony jest dopiero na wpół do jedenastej. To jakiś cud! A może nastąpił przypadkiem upadek rządu?

— Nie, złociutki — rzekł młodzieniec, sadowiąc się wygodnie na sofie. — Uspokój się, my się zawsze chwiejemy, ale nigdy nie upadamy i zaczynam wierzyć, że powolutku dochodzimy do dożywotniego urzędowania, nie mówiąc o tym, że sprawa Półwyspu umocniła nas zupełnie.

— A tak, prawda! Wypędzacie don Carlosa[844] z Hiszpanii.

— Nie, złociutki, nie mieszajmy pojęć. My go tylko przenosimy z jednej strony granicy na drugą, do Francji, i ofiarujemy mu królewską gościnę, w Bourges.

---

[841] *ostrygi ostendzkie* — ostrygi z Ostendii, tj. miasta portowego nad Morzem Północnym. [przypis edytorski]

[842] *wolant* — lekki, odkryty powóz. [przypis edytorski]

[843] *szylkretowy* — wykonany z szylkretu, tj. z tworzywa otrzymywanego z pancerza żółwi morskich, używanego do wyrobu drobnych przedmiotów. [przypis edytorski]

[844] *Don Carlos*, właśc. *Carlos María Isidro de Borbón* (1788–1855) — infant hiszp., syn Karola IV z dynastii Burbonów; jego roszczenia do tronu Hiszpanii przyczyniły się do wybuchu pierwszej wojny karlistowskiej. [przypis edytorski]

— W Bourges?

— A tak, i nie ma na co się skarżyć, do diabła! Bourges to stolica króla Karola VII[845]. Jak to, nic nie wiedziałeś? Przecież od wczoraj w całym Paryżu o tym mówią, a przedwczoraj rzecz ta przeniknęła na giełdę, bo pan Danglars (nie wiem, jakim sposobem ten człowiek otrzymuje wiadomości w tym czasie, co my) zagrał na hossę[846] i zyskał milion.

— A ty nowy orderek, jak się zdaje; bo widzę, że masz błękitną wstążeczkę.

— Ehm, przysłano mi medal Karola III[847] — rzekł niedbale Debray.

— Hejże, nie udawaj obojętnego, przyznaj, że to ci sprawia przyjemność.

— Daję słowo! Jako uzupełnienie stroju medal zawsze dobrze się prezentuje przy czarnym fraku zapinanym pod szyję. Wygląda to elegancko.

— Tak — rzekł Morcerf z uśmiechem — człowiek wygląda wtedy jak książę Galii albo Reichstadu.

— I właśnie dlatego widzisz mnie tak rano.

— Ponieważ dostałeś medal Karola III i chciałeś mi się z nim pokazać.

— Nie. Ponieważ spędziłem noc całą na rozsyłaniu listów: wyekspediowałem dwadzieścia pięć depesz dyplomatycznych. Gdym dziś rano wrócił do siebie, chciałem zasnąć, ale rozbolała mnie tak mocno głowa, że musiałem wstać, by się przejechać godzinę konno. W Lasku Bulońskim napadła mnie nuda i głód — dwaj wrogowie, którzy rzadko występują razem, a którzy jednak połączyli się przeciwko mnie. To zupełnie jak jakiś związek karlistowsko-republikański; wtedy przypomniałem sobie, że u ciebie ma być dziś z rana uczta — więc jestem; jeść mi się chce — nakarm mnie; nudzi mi się — zabaw mnie.

— To, kochany, moja powinność jako gospodarza — odrzekł Albert, dzwoniąc na służącego, gdy Lucjan tymczasem podrzucał szpicrutą[848], ozdobioną złotą gałką inkrustowaną turkusami, rozłożone gazety. — Germain, podaj xeres i biszkopty. A na początek, drogi Lucjanie, poczęstuj się cygarem; oczywiście pochodzi z kontrabandy. Spróbuj i przekonaj swojego ministra, żeby nam podobne sprzedawał, zamiast jakichś paskudnych liści orzechowych, na które skazuje obywateli.

— O, do diabła, tego nie zrobię. Gdyby tylko rząd sprowadzał takie cygara, uznałbyś je zaraz za obrzydliwe. A przy tym to nie rzecz spraw wewnętrznych, ale skarbu; udaj się do pana Humanna, do wydziału podatków pośrednich, korytarz A, pokój 26.

— Doprawdy — odparł Albert — imponujesz mi wiadomościami. Weźże lepiej cygaro!

— Ach, drogi hrabio — rzekł Lucjan, zapalając manilę[849] od różowej świecy osadzonej w złoconym lichtarzu i rzucając się na sofę. — Ach, drogi hrabio, jaki szczęściarz z ciebie, że nie masz nic do roboty! Doprawdy, nie znasz własnego szczęścia!

— I cóż ty byś począł, mój drogi, mój drogi pacyfikatorze[850] królestw — odparł Morcerf z lekką ironią — gdybyś nie miał nic do roboty? Jak to! Ty, osobisty sekretarz ministra, mający udział zarazem w wielkiej kabale[851] europejskiej i drobnych intrygach Paryża, ty, który chronisz królów, a co ważniejsze — królowe, który masz godzić stronnictwa i kierować wyborami, ty, który więcej zdziałasz piórem i telegrafem, siedząc w gabinecie, niż Napoleon zdziałał na polu bitwy mieczem i zwycięstwami; ty, który posiadasz dwadzieścia pięć tysięcy liwrów renty oprócz pensji w ministerstwie oraz konia; ty, który chadzasz do Jockey Clubu[852], opery i teatru, nie potrafisz znaleźć w tym nic, co mogłoby cię rozerwać? A więc dobrze, jeśli tak, to ja cię zabawię.

— Jakim sposobem?

— Dziś poznasz kogoś u mnie.

— Mężczyznę czy kobietę?

---

[845] *Karol VII* (1403–1461) — król Francji w latach 1422–1461, z dynastii Walezjuszów; przez swoich przeciwników nazywany był ironicznie „królem z Bourges", ponieważ tam ogłosił się królem. [przypis edytorski]

[846] *hossa* — okres wzrostu cen papierów wartościowych. [przypis edytorski]

[847] *medal Karola III*, właśc. *Order Karola III* — najwyższe hiszp. odznaczenie cywilne. [przypis edytorski]

[848] *szpicruta* — elastyczny pręt pokryty skórą lub pleciony z rzemienia, używany do poganiania konia. [przypis edytorski]

[849] *manila* — cygaro manilskie, tj.z Filipin. [przypis edytorski]

[850] *pacyfikator* — pogromca; osoba, która zaprowadza pokój siłą. [przypis edytorski]

[851] *kabała* — tu: tajna, wpływowa organizacja. [przypis edytorski]

[852] *Jockey Club* (ang.: klub wyścigów konnych) — tu: jeden z najbardziej prestiżowych prywatnych klubów dla dżentelmenów w Paryżu, w XIX w. miejsce spotkań francuskiej elity. [przypis edytorski]

— Mężczyznę.

— E, znam ich dosyć.

— Ale nie znasz takiego, jak ten.

— Skądże się wziął? Z krainy czarów?

— Kto wie.

— Do diabła! Mam nadzieję, że nie przybywa stamtąd razem z naszym śniadaniem?

— Nie, bądź spokojny; śniadanie szykuje się w kuchni, u mamy. A co, głodny jesteś?

— Zgadza się, nawet jeśli przyznać się do tego to rzecz upokarzająca. Wczoraj jadłem obiad u pana de Villeforta; a zauważyłeś może, mój drogi, że u wszystkich prokuratorów jada się fatalnie? Jakby ich bez przerwy gryzło sumienie.

— Do licha, nie szkaluj obiadów u bliźnich, jakże się jada u twoich ministrów?

— Tak, ale my przynajmniej nie zapraszamy ludzi z dobrego towarzystwa; i gdybyśmy nie musieli gościć na obiadach rozmaitych szubrawców, co myślą, a raczej głosują tak jak trzeba, wystrzegalibyśmy się tych naszych przyjęć, zaręczam.

— Mój drogi, napij się wobec tego jeszcze xeres i weź drugi biszkopt.

— Chętnie, hiszpańskie wina masz wyborne; przyznaj, że mieliśmy całkowitą słuszność, pacyfikując ten kraj.

— Zapewne; ale co z don Carlosem?

— Co? Don Carlos będzie sobie pił Bordeaux[853], a za dziesięć lat ożenimy jego syna z młodziutką królową.

— Za co dostaniesz order Złotego Runa[854], jeśli jeszcze będziesz w ministerstwie.

— Zdaje mi się, że opracowałeś dziś system karmienia mnie samymi kadzidłami.

— Przyznasz sam, że najlepiej pobudzają prawdziwy apetyt; ale czekaj, słyszę w przedpokoju głos Beauchampa; pokłócicie się, a to wam skróci oczekiwanie.

— O cóż mamy się sprzeczać?

— O gazety.

— Drogi przyjacielu — rzekł Lucjan z monarszą pogardą. — Czyż ja czytuję gazety?

— W takim razie macie dodatkowy powód do tym zajadlejszej kłótni.

— Pan Beauchamp! — oznajmił służący.

— Chodźże do nas, człowieku straszliwego pióra — zawołał Albert, idąc ku przybyłemu.

— Patrz, jest tu Lucjan, co cię nienawidzi, chociaż nie czyta nigdy, tak przynajmniej mówi.

— Ma świętą rację — rzekł Beauchamp. — To tak jak ja: krytykuję go, a nie wiem nic o tym, co robi; witaj, komandorze!

— A, już wiesz o tym! — odpowiedział sekretarz osobisty, wymieniając z dziennikarzem uścisk dłoni i uśmiech.

— Jakżeby inaczej! — zawołał Beauchamp.

— I co mówią o tym w świecie?

— W którym? Bo wiele światów mamy w roku pańskim 1838.

— No, w świecie, w którym brylujesz: krytyczno-politycznym.

— Powiada się tam, że słusznie ci się to należy: tak hojnie szafujesz czerwienią, że wyrósł na niej błękitny kwiatek.

— Brawo, brawo, niezły koncept — rzekł Lucjan. — Dlaczegóż do nas nie należysz, mój drogi? Z takim dowcipem mógłbyś w lat parę zrobić karierę.

— Toteż na jedną tylko rzecz czekam, zanim pójdę za twoją radą: na rząd, który by przetrwał choć z pół roku. A teraz do ciebie jedno słówko, drogi Albercie, bo trzeba dać odsapnąć biednemu Lucjanowi. Będziemy jedli śniadanie czy obiad? Bo ja muszę być w Izbie. W naszym rzemiośle, jak widzicie, nie wszystko jest różowe.

— Tylko śniadanie. Czekamy jeszcze na dwie osoby i siadamy do stołu.

— A któż to ma przyjść? — spytał Beauchamp.

— Szlachcic i dyplomata.

---

[853] *bordeaux* — rodzaj czerwonego wytrawnego wina z okolic fr. miasta o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

[854] *order Złotego Runa* — najwyższe odznaczenie hiszpańskie. [przypis edytorski]

— Oj, to znaczy, że poczekamy sobie dwie godzinki na szlachcica i dwie godziny na dyplomatę. Zjawię się przy deserze. Zostawcie mi poziomek, kawę i cygara. Zjem sobie kotlet w Izbie.

— Nie kłopocz się tym, bo gdyby nawet szlachcicem miał być Montmorency[855], a dyplomatą Metternich[856], siadamy do śniadania nie później jak o jedenastej. A tymczasem skosztuj, jak Lucjan, xeres i biszkoptów.

— No, to w takim razie zostanę, koniecznie mi dziś trzeba trochę rozrywki.

— O proszę! Zupełnie jak Lucjanowi! A przecież kiedy rząd się smuci, opozycja powinna się radować!

— Ech, bo widzisz, mój drogi, sam nie wiesz, co mi grozi. Dziś przed południem mam słuchać w Izbie Deputowanych między innymi pana Danglarsa, wieczorem zaś u jego żony czeka nas tragedia, którą napisał par Francji. Niech diabli wezmą rząd konstytucyjny! Czemu wybraliśmy taki, skoro, jak powiadają, wybór od nas zależał?

— Rozumiem — chcesz przygotować sobie zapasik wesołości.

— Nie gadajże źle o mowach pana Danglarsa — rzekł Debray. — Głosuje za wami, należy do opozycji.

— W tym sęk! I dlatego czekam, aż go wreszcie wyprawicie do pałacu Luksemburskiego[857], żeby tam przemawiał, bo wtedy będę mógł się z niego uśmiać do woli.

— Mój drogi — zwrócił się Albert do Beauchampa. — Widać, że sprawy hiszpańskie są załatwione, bo jesteś dziś straszliwie cierpki. Przypomnijże sobie, że w kronice paryskiej była mowa o moich zaręczynach z panną Eugenią Danglars. Nie mogę zatem zezwolić, nie czując wyrzutów sumienia, abyś drwił z talentów krasomówczych człowieka, który ma mi kiedyś powiedzieć: „Panie wicehrabio! Wiesz pan, że daję dwa miliony mojej córce!".

— Daj spokój! — obruszył się Beauchamp. — To małżeństwo nie dojdzie do skutku, król mógł Danglarsa zrobić baronem, może go zrobić parem[858], ale nigdy nie zrobi zeń szlachcica, a hrabia de Morcerf, żołnierz, arystokrata, ma tyle dumy, że nie zgodzi się dla dwóch nędznych milionów na mezalians[859]. Wicehrabia de Morcerf może poślubić jedynie markizę.

— Ale dwa miliony! To jednak ładna sumka — odparł Morcerf.

— Jest to kapitał spółki posiadającej teatr bulwarowy albo linię kolejową z jednego brzegu Sekwany na drugi.

— Niech on sobie gada, co chce — rzekł niedbale Debray — a ty, Albercie, żeń się. Poślubisz etykietę worka, nieprawdaż? No i świetnie, co cię to ma obchodzić? Lepiej, żeby na takiej etykiecie było mniej o jeden herb, a więcej o jedno zero. Masz w swoim herbie siedem kosów — podarujesz żonie trzy, a zostanie ci cztery. Będziesz miał i tak o jednego ptaszka więcej niż Gwizjusz[860], krewniak cesarza niemieckiego, który omalże nie został królem Francji.

— Na honor, chyba masz rację, Lucjanie — rzekł z roztargnieniem Albert.

— Oczywiście, że mam! Skądinąd każdy milioner jest tak samo szlachcicem jak bastard[861], to znaczy może nim być.

— Cyt! Przestań pleść, Lucjanie — uśmiechnął się Beauchamp — bo nadchodzi Château-Renaud, który, aby wyleczyć cię z manii paradoksów, gotów cię przeszyć mieczem swego przodka, Renauda de Montaubana[862].

---

[855] *Montmorency, Filip van* (1524–1568) — hrabia Horn, wojskowy w służbie króla Hiszpanii Filipa II, admirał Niderlandów, przeciwstawił się hiszp. terrorowi i był zwolennikiem tolerancji religijnej. [przypis edytorski]

[856] *Metternich, Klemens Lothar Wenzel von* (1773–1859) — austr. mąż stanu, minister spraw zagranicznych (1809–1848) i kanclerz Austrii (1821–1848); przewodniczył kongresowi wiedeńskiemu (1814–1815), gdzie prezentował pogląd o istnieniu szerokiego spisku od dekad dążącego do obalenia istniejącego porządku i monarchii. [przypis edytorski]

[857] *czekam, aż go wreszcie wyprawicie do pałacu Luksemburskiego* — w Pałacu Luksemburskim zasiadała wtedy ustanowiona po upadku Napoleona Izba Parów. [przypis edytorski]

[858] *par* — członek wyższej izby parlamentu we Francji w latach 1814–1848. [przypis edytorski]

[859] *mezalians* — małżeństwo z osobą biedniejszą lub niższego pochodzenia. [przypis edytorski]

[860] *Henryk I Gwizjusz* (1549–1588) — książę Joinville; przeciwnik protestantyzmu, współodpowiedzialny za rzeź hugenotów w noc św. Bartłomieja; zabity na rozkaz króla Henryka Walezego. [przypis edytorski]

[861] *bastard* (pogardl.) — dziecko urodzone poza związkiem małżeńskim. [przypis edytorski]

[862] *Renaud de Montauban* — legendarny rycerz, bohater średniowiecznego poematu epickiego pt. *Czterech synów Hajmona* (fr. *Quatre Fils Aymon*) [przypis edytorski]

— Ejże, poniżyłby się — odpowiedział Lucjan — bom pochodzenia niskiego, a nawet arcyniskiego.

— Doskonale! — zawołał Beauchamp. — Człowiek władzy wyśpiewuje jak sam Béranger[863], dokąd my zmierzamy, mój Boże!

— Pan de Château-Renaud! Pan Maksymilian Morrel! — rzekł służący, oznajmiając przybycie dwóch nowych gości.

— A więc już wszyscy! — rzekł Beauchamp. — Będziemy zatem jedli, bo jeśli się nie mylę, to czekałeś tylko na dwie osoby, Albercie?

— Morrel? — szepnął Albert zdziwiony. — Morrel? A któż to taki?...

Lecz zanim dokończył zdania, pan Château-Renaud, piękny mężczyzna lat około trzydziestu, szlachcic w każdym calu, to jest o urodzie Guiche'a[864], a dowcipie Mortemarta[865], ujął Alberta za rękę i rzekł:

— Pozwól, mój drogi, abym ci przedstawił pana Maksymiliana Morrela, kapitana spahisów[866], mojego przyjaciela, ba, więcej nawet — wybawcę. A zresztą nie wymaga on żadnej prezentacji. Powitajże, hrabio, mojego bohatera.

I odsunął się, aby przepuścić młodzieńca słusznego wzrostu i szlachetnej postawy, o szerokim czole, bystrym oku, czarnym wąsie. Czytelnik poznał go już w Marsylii, w okolicznościach na tyle dramatycznych, że zapewne nie zdążył o nim zapomnieć.

Bogaty mundur, na wpół francuski, a na wpół wschodni, noszony z wdziękiem, pięknie uwydatniał szeroką pierś — ozdobioną krzyżem legii honorowej — i smukłość talii.

Młody oficer skłonił się z wykwintną uprzejmością. W każdym ruchu malował się wdzięk i siła jednocześnie.

— Drogi panie — rzekł Albert z uprzejmością pełną serdeczności — baron de Château-Renaud bez wątpienia wiedział, że wielką radość sprawi mi poznanie pana. Jesteś jego przyjacielem, raczże być i naszym.

— Świetnie powiedziane — zawołał Château-Renaud. — Życzę ci, wicehrabio, aby w podobnym przypadku pan kapitan uczynił dla ciebie to, co uczynił dla mnie.

— A cóż to było? — zapytał Albert.

— O, nie warto mówić — odezwał się Morrel. — Przeceniasz pan wielkość pomocy.

— Jak to! — sprzeciwił się Château-Renaud. — Nie warto mówić? Życie nie zasługuje, aby o nim mówić? Doprawdy, zbyt filozoficznie to ujmujesz, mój drogi kapitanie!... To dobre w pańskim przypadku, bo narażasz co dzień życie, ale ja naraziłem raz jeden, i to przypadkiem...

— Z tego wszystkiego widzę tylko, że pan kapitan ocalił ci życie.

— Mój Boże, tak właśnie! — rzekł Château-Renaud.

— Jak to się stało? — zawołał Beauchamp.

— Mój drogi, wiesz, że umieram z głodu — zaoponował Debray — nie zaczynaj go teraz wypytywać.

— Ależ przecież to nie przeszkadza — rzekł Beauchamp — żebyśmy zasiedli do śniadania... Château-Renaud opowie nam wszystko przy stole.

— Panowie — przerwał Morcerf — dopiero kwadrans po dziesiątej, a zważcie, że jeszcze na kogoś czekamy.

— Ach, prawda, na tego dyplomatę — rzekł Debray.

— Czy to dyplomata, czy nie, tego właściwie nie wiem; ale wiem, że zleciłem mu poselstwo w mojej sprawie, z którego on wywiązał się tak znakomicie, że gdybym był królem, mianowałbym go natychmiast kawalerem[867] wszystkich moich orderów, nawet gdyby zależałyby ode mnie naraz i Złote Runo, i Podwiązka[868].

---

[863] *Béranger, Pierre-Jean de* (1780–1857) — fr. poeta i autor popularnych piosenek, które wychwalały rewolucję francuską i Napoleona. [przypis edytorski]

[864] *Guiche*, właśc. *Armand de Gramont* (1637–1673) — fr. hrabia, znany ze swojej urody i licznych romansów. [przypis edytorski]

[865] *dowcip Mortemarta* (fr. *esprit Mortemart*) — rodzaj błyskotliwego i uszczypliwego humoru, który przypisywany jest członkom rodu Rochechouart-Mortemart. [przypis edytorski]

[866] *spahisi* — fr. oddziały kolonialnej lekkiej kawalerii, werbowane spośród berberyjskich i arabskich mieszkańców fr. posiadłości w Afryce Północnej. [przypis edytorski]

[867] *kawaler orderu* — tytuł członków zakonów rycerskich oraz odznaczonych orderem. [przypis edytorski]

[868] *Podwiązka*, właśc. *Order Podwiązki* — najwyższy order angielski, ustanowiony przez króla Edwarda III w 1348. [przypis edytorski]

— A więc, ponieważ nie siadamy jeszcze do stołu — rzekł Debray — nalej sobie xeres, baronie, tak jak myśmy to zrobili, i opowiadaj.

— Wszyscy wiecie, jak przyszło mi do głowy wypuścić się do Afryki.

— Drogę wytyczyli ci twoi przodkowie, mój drogi — wtrącił dwornie Albert.

— Tak, ale wątpię, żebyś to robił po to, żeby jak oni oswobodzić grób Chrystusa — odezwał się Beauchamp.

— Masz rację — rzekł młody arystokrata — Chciałem sobie postrzelać z pistoletu, ot tak, po amatorsku. Do pojedynków, jak wiecie, mam wstręt od czasu, kiedy sekundanci[869], których wybrałem, aby załagodzić pewne nieporozumienie, zmusili mnie, bym strzaskał rękę najlepszemu przyjacielowi... no, temu poczciwemu Franzowi d'Epinayowi, znacie go przecież wszyscy.

— A, prawda — rzekł Debray. — Strzelaliście się kiedyś... o co poszło?

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli pamiętam — odpowiedział Château-Renaud. — To tylko pamiętam, że zawstydzony, że marnuję tak wielki talent, postanowiłem wypróbować na Arabach nowe pistolety, które dostałem w podarunku. Popłynąłem więc statkiem do Oranu, z Oranu udałem się do Konstantyny i trafiłem tam w chwili, gdy odstępowano od oblężenia. Musiałem zawrócić wraz z innymi. Przez dwie doby znosiłem niezgorzej deszcz w dzień, śnieg w nocy, ale trzeciego dnia, rankiem, koń mój padł od zimna! Biedne zwierzę, przywykłe do derek i ogrzewanych stajen... arab, ale poczuł się w Arabii jak w obcym kraju — wystawiony na dziesięciostopniowy mróz.

— To dlatego chcesz kupić mego anglika — rzekł Debray — sądzisz, że lepiej będzie znosił mrozy.

— Mylisz się. Przysiągłem sobie nigdy już nie wracać do Afryki.

— Aż tak się strachu najadłeś? — zapytał Beauchamp.

— Ależ tak, i nie kryję się z tym — odpowiedział Château-Renaud — a było czego!

Koń mi zginął, szedłem więc pieszo, aż nagle przygalopowało sześciu Arabów, dybiąc na moją biedną głowę; powaliłem dwóch z fuzji, a dwóch z pistoletów — bo dobrze strzelam, ale pozostało jeszcze dwóch, a ja już byłem bez broni. Jeden chwycił mnie za włosy, dlatego noszę takie krótkie, bo kto wie, co się jeszcze może zdarzyć; drugi przyłożył mi do szyi jatagan[870] i czułem już ostry chłód żelaza, gdy ten, którego tu widzicie, natarł na nich i zabił wystrzałem z pistoletu Araba, który mnie trzymał za włosy, a drugiemu, co mi chciał poderżnąć gardło, porąbał łeb pałaszem. Pan kapitan postanowił sobie, że w dniu tym ocali komuś życie, a przypadek zrządził, że ocalił właśnie mnie. Jak się wzbogacę, zamówię u Klagmanna albo Marochettiego posąg przedstawiający Przypadek.

— W istocie — rzekł z uśmiechem Morrel — było to piątego września, to jest w rocznicę dnia, w którym mój ojciec został cudownie uratowany; dlatego też staram się, o ile to jest w mej mocy, co roku uczcić ten dzień jakimś uczynkiem...

— Bohaterskim, nieprawdaż? — przerwał Château-Renaud. — Krótko mówiąc, los padł na mnie. Ale to jeszcze nie koniec; ocaliwszy mi życie, kapitan wybawił mnie od zimna, a dał mi nie połowę swego płaszcza, jak święty Marcin, ale cały; wreszcie od głodu, bo się ze mną podzielił, zgadnijcie czym?

— Pasztetem od Félixa?

— Nie, własnym koniem, którego zjedliśmy z wielkim apetytem; co za wielki...

— Co? Koń? — roześmiał się Albert.

— Nie, dowód poświęcenia. Spytajcie Lucjana, czy poświęciłby swojego anglika dla nieznajomego?

— Dla kogoś obcego nie — rzekł Debray — ale dla przyjaciela, kto wie...

— Przeczułem, że będziesz moim przyjacielem, panie hrabio — odezwał się Morrel — a zresztą miałem już zaszczyt powiedzieć panu, że czy to było bohaterstwo, czy skłonność do poświęcenia, w tym dniu winien byłem złożyć ofiarę złej doli, aby odwdzięczyć się za łaskę, jaką nam niegdyś los dobry wyświadczył.

— Zdarzenie, o którym wspomina pan Morrel, to zadziwiająca historia — mówił dalej Château-Renaud. — Opowie wam, gdy się z nim bliżej poznacie. A dzisiaj zajmijmy się żołądkiem, a nie wspomnieniami. O której ma być śniadanie, Albercie?

---

[869] *sekundant* — pełnomocnik w trakcie pojedynku, wybierany przez każdego z uczestników. [przypis edytorski]

[870] *jatagan* — rodzaj broni białej o dwukrotnie wygiętym ostrzu. [przypis edytorski]

— O wpół do jedenastej.

— Punktualnie? — zapytał Debray, dobywając zegarka.

— Pozwólcież mi z łaski swojej poczekać jeszcze pięć minut — rzekł Albert — bo ja także oczekuję wybawcy.

— Czyjegoż to?

— Mojego, do licha! Sądzicie, że mnie nie można wybawić równie dobrze, jak kogo innego i że tylko Arabowie ścinają głowy? Śniadanie nasze jest na cześć filantropii i spodziewam się, że będziemy mieli u stołu przynajmniej dwóch dobroczyńców ludzkości.

— I cóż poczniemy? — zasmucił się Debray. — Mamy jedną tylko nagrodę Montyona.

— Da się ją po prostu temu, co na nią nie zasłużył — odparł Beauchamp. — Tym sposobem Akademia zwykle wymiguje się od kłopotu.

— A skądże on się wziął? — zapytał Debray. — Wybacz natarczywe pytanie, wiem, że już na nie odpowiadałeś, ale tak niejasno, że ośmielam się zapytać raz jeszcze.

— Tak naprawdę, to nie wiem — rzekł Albert. — Zaprosiłem go przed trzema miesiącami, poznawszy w Rzymie, ale kto może wiedzieć, gdzie był potem?

— Myślisz, że potrafi zachować punktualność?

— Myślę, że on potrafi wszystko.

— Pamiętaj, że licząc pięć minut, o które prosiłeś, pozostało już tylko dziesięć.

— O, skorzystam więc z tego, aby powiedzieć wam o nim parę słów.

— Przepraszam — odezwał się Beauchamp — czy może być w tym temat na felieton?

— Owszem, i to nadzwyczaj ciekawy.

— No to opowiadaj, bo widzę, że i tak już nie zdążę na posiedzenie Izby, muszę to sobie czym innym wynagrodzić.

— W czasie karnawału byłem w Rzymie...

— Wiemy, wiemy — rzekł Beauchamp.

— Ale nie wiecie, że mnie tam porwali bandyci.

— Nie ma już bandytów — rzekł Debray.

— Owszem, są i nawet odrażający, a raczej zadziwiający, bo wydali mi się tak straszni, że aż piękni.

— Słuchaj no, kochaneczku! — rzekł Debray. — Przyznaj się nam, że twój kucharz się spóźnia, że ostrygi nie nadeszły z Marennes lub Ostendy i ty na wzór pani de Maintenon[871] chcesz potrawę zastąpić powiastką. Przyznaj się, kochany, znamy się tu wszyscy i lubimy na tyle, aby ci przebaczyć i wysłuchać twojej historii, gdyby nawet była rodem z baśni dla dzieci, na jaką zresztą wygląda.

— A ja wam powtarzam, że choć wydaje się zmyśloną, jest najprawdziwszą od początku do końca. Bandyci tedy porwali mnie i zaprowadzili w miejsce bardzo ponure, które nazywają katakumbami Świętego Sebastiana.

— Znam je — przerwał Château-Renaud. — Omal tam nie dostałem gorączki.

— Ze mną gorzej było. Oznajmiono mi, że będę więźniem, póki nie zapłacę bagatelnego okupu: cztery tysiące dukatów rzymskich, co znaczy dwadzieścia sześć tysięcy liwrów z Tours. Na nieszczęście miałem tylko tysiąc pięćset, kończyłem już podróż i kredyt mój był wyczerpany. Napisałem do Franza. No właśnie, przecież Franz tam był, możecie go zapytać, czy choć na jotę kłamię. Napisałem więc do Franza, że jeśli nie przybędzie o godzinie szóstej z rana z czterema tysiącami dukatów, to dziesięć po szóstej znajdę się pomiędzy błogosławionymi świętymi i chwalebnymi męczennikami, w których kompanii miałem zaszczyt się znajdować, bo pan Luigi Vampa (tak się nazywał naczelnik bandytów) postara się sumiennie o to, by mnie to nie ominęło.

— Ale Franz przybył z czterema tysiącami dukatów, nieprawdaż? — rzekł Château-Renaud. — Do diabła, nie kłopocze się o cztery tysiące ten, kto się nazywa Franz d'Epinay albo Albert de Morcerf!

— Otóż nie; zjawił się po prostu z owym człowiekiem, którego wam zapowiadałem i którego mam nadzieję wam przedstawić.

---

[871] *pani de Maintenon*, właśc. *Franciszka d'Aubigné* (1635–1719) — fr. markiza, kochanka króla Ludwika XIV. [przypis edytorski]

— A więc ten jegomość to jakiś Herkules, zabójca Kakusa[872], albo Perseusz, wyzwoliciel Andromedy[873]?

— Nie, to człowiek mniej więcej mego wzrostu.

— Uzbrojony po zęby?

— Nie miał przy sobie nawet szydełka.

— A więc ułożył się o okup?

— Szepnął coś tylko na ucho hersztowi i byłem wolny.

— Jeszcze go przeprosili za zatrzymanie — rzekł Beauchamp.

— Właśnie tak było — odpowiedział Morcerf.

— Coś takiego! Czyżby to jakiś nowy Ariosto[874]?

— Nie, po prostu hrabia Monte Christo.

— Nie ma hrabiów o takim nazwisku — odezwał się Debray.

— I ja tak sądzę — dodał Château-Renaud z zimną krwią człowieka, który ma w jednym palcu cały herbarz europejski — nikt nie słyszał o istnieniu jakichś hrabiów Monte Christo.

— Może pochodzi z Ziemi Świętej — rzekł Beauchamp. — Może któryś z jego przodków posiadał Kalwarię, jak ród Mortemartów posiadał Morze Martwe[875].

— Za pozwoleniem — przerwał Maksymilian — chyba mogę pomóc panom w rozstrzygnięciu tej kwestii. Monte Christo to wysepka, o której słyszałem od majtków pracujących u mego ojca; ziarnko piasku wśród Morza Śródziemnego, atom w nieskończoności.

— Właśnie tak, panie kapitanie — rzekł Albert. — Otóż panem i władcą tego ziarnka piasku jest ten, o którym wam opowiadam. Tytuł hrabiego kupił sobie gdzieś w Toskanii.

— No, to bogaczem jest twój hrabia.

— Ba! Ja myślę.

— Ale to chyba przecież widać.

— Właśnie, że nie, Lucjanie.

— Nie rozumiem.

— Czytałeś *Księgę tysiąca i jednej nocy*?

— Też mi pytanie.

— A więc, pomyśl: wiesz od razu, czy ludzie są tam bogaci czy biedni? Czy ziarna zboża nie są przypadkiem rubinami albo diamentami? Zdaje ci się, że to biedni rybacy i traktujesz ich jak rybaków, aż oto nagle otwierają ci jakąś tajemniczą jaskinię ze skarbami, za które mógłbyś kupić Indie.

— I cóż z tego?

— To, że mój hrabia de Monte Christo jest właśnie takim rybakiem. I ma nawet imię odpowiednie, nazywa się Sindbad Żeglarz i posiada jaskinię pełną złota.

— I widziałeś, Albercie, tę jaskinię?

— Ja nie, ale Franz widział. Ale nie wolno o tym ani słowa pisnąć przed hrabią. Franza wprowadzono tam z zawiązanymi oczyma, a posługiwała mu służba złożona z samych niemych i kobiet, przy których Kleopatra przypominałaby podobno tylko pospolitą kurewkę. Ale nie jest do końca pewien tych kobiet, weszły bowiem dopiero, gdy zażył sobie haszyszu; więc może wziął za kobiety tańcujące wokół niego posągi.

Przyjaciele spojrzeli na Alberta tak, jakby chcieli zapytać: „Pomieszało ci się w głowie, czy z nas chcesz zrobić pomyleńców?".

— W istocie — rzekł Morrel, zamyślony — podobną historię opowiadał mi kiedyś stary marynarz nazwiskiem Penelon.

---

[872]*Kakus* (mit. rzym.) — olbrzym, syn Wulkana, siłacz i rozbójnik; ukradł bydło Herkulesowi, które heros miał za zadanie strzec. [przypis edytorski]

[873]*Perseusz, wyzwoliciel Andromedy* — gr. heros Perseusz ocalił etiopską księżniczkę Andromedę, która miała zostać złożona w ofierze morskiemu potworowi pustoszącemu jej królestwo. [przypis edytorski]

[874]*Ariosto, Ludovico* (1474–1533) — wł. poeta, komediopisarz i satyryk; autor poematu *Orland Szalony*. [przypis edytorski]

[875]*jak ród Mortemartów posiadał Morze Martwe* — gra słów: Mortemart brzmi podobnie do Morze Martwe (wł. *Mar Morto* lub fr. *mer Morte*). [przypis edytorski]

— Co za szczęście — rzekł Albert — że pan Morrel przychodzi mi w pomoc. Nie w smak wam, że pan Morrel rzucił kłębek nici do mojego labiryntu[876]?

— Wybacz, kochaneczku — rzekł Debray — ale to, co mówisz, jest tak nieprawdopodobne...

— Do licha, nieprawdopodobne dlatego, że wasi ambasadorowie i konsulowie nic o tym nie mówią, bo im na to brak czasu, muszą przecież szykanować swoich podróżujących ziomków.

— O, i znowu irytujesz się i napadasz na naszych biednych agentów. Mój Boże, a jakim cudem mogą wam oni pomagać? Izba bez przerwy uszczupla im pensje, dlatego coraz o nich trudniej. A może chcesz zostać ambasadorem, Albercie? Załatwię ci nominację do Konstantynopola.

— Nigdy! Okażę przychylność dla Muhammada Alego[877], a sułtan przyśle mi od razu sznurek, aby mnie moi sekretarze udusili.

— Sam więc widzisz — rzekł Debray.

— Tak, ale wszystko to nie przeszkadza, aby mógł istnieć mój hrabia Monte Christo.

— Dalibóg! Wszyscy istniejemy, i to dopiero cud!

— Istniejemy, bez wątpienia, ale nie w takich samych warunkach. Nie każdy ma czarnych niewolników, książęce galerie, broń damasceńską, konie po sześć tysięcy franków, grecką kochankę!

— Widziałeś tę Greczynkę?

— Widziałem i słyszałem. Widziałem w teatrze Valle[878], słyszałem razu jednego, gdym był na śniadaniu u hrabiego.

— To ten nadzwyczajny człowiek jada?

— Doprawdy, jeśli je, to tak mało, że nie warto o tym mówić.

— Okaże się w końcu, że to jaki wampir.

— Śmiejcie się, śmiejcie, tak samo myśli hrabina G***, która, jak wiecie, znała lorda Ruthwena.

— Wyborne! — uśmiechnął się Beauchamp. — Dla kogoś, kto nie jest dziennikarzem, byłby to wspaniały odpowiednik sławnego węża morskiego, o którym pisali w „Constitutionnelu"[879]. Wampir! Znakomita historia!

— Oko płowe, którego źrenica rozszerza się i zwęża, wedle woli — rzekł Debray. — Szczęki wydatne, czoło wspaniałe, cera sina, broda czarna, zęby białe i ostre i odpowiednie do tego wszystkiego obejście.

— Trafiłeś w sedno, Lucjanie — zawołał Albert. — Rysopis dokładny co do joty. Tak właśnie — uprzejmość cierpka, kostyczna. Ten człowiek często przejmował mnie drżeniem. Pewnego razu, gdyśmy się przypatrywali egzekucji, o mało nie zemdlałem i czułem, że to nie dlatego, żem widział kata pełniącego swoją powinność i słyszał jęki delikwenta, ale żem patrzył jednocześnie na hrabiego, słuchając, jak z zimną krwią rozprawiał o wszystkich możliwych torturach na ziemi.

— A nie zabrał cię na przechadzkę w ruiny Koloseum, aby ci trochę krwi wyssać? — zapytał Beauchamp.

— Albo, kiedy już cię uwolnił, nie kazał ci przypadkiem podpisać szkarłatnego cyrografu[880], w którym musiałeś sprzedać mu duszę, jak Ezaw[881] sprzedał prawo starszeństwa?

— Żartujcie, żartujcie, ile się wam podoba, moi panowie — rzekł Albert nieco urażony. — Kiedy na was patrzę, piękni Paryżanie, przyzwyczajeni do bulwaru Gandawskiego,

---

[876] *kłębek nici do mojego labiryntu* — nawiązanie do mitu o gr. herosie Tezeuszu: bohater wydostał się z labiryntu, znakując sobie ścieżkę kłębkiem nici, który otrzymał od Ariadny. [przypis edytorski]

[877] *Muhammad Ali* (1769–1849) — pasza Egiptu (tj. namiestnik sułtański w Egipcie); jego ambicje uniezależnienia się od Imperium Osmańskiego i podboju tureckich posiadłości na Bliskim Wschodzie doprowadziły do wojny egipsko-tureckiej. [przypis edytorski]

[878] *Teatr Valle* — rzym. teatr założony w 1726 r. [przypis edytorski]

[879] *wąż morski z „Constitutionnel"* — w dziewiętnastowiecznym fr. dziennikarstwie popularny był żart o pojawieniu się w oceanie ogromnego węża morskiego; za gazetę, która pierwsza o tym doniosła, uważa się „Le Constitutionnel". [przypis edytorski]

[880] *cyrograf* (daw.) — własnoręcznie podpisany dokument zawierający zobowiązanie; w baśniach i legendach: pisemna umowa z diabłem. [przypis edytorski]

[881] *Ezaw* — zwany również Edomem, pierworodny syn Izaaka i Rebeki, brat bliźniak Jakuba. Sprzedał swoje pierworództwo młodszemu Jakubowi za miskę soczewicy (Rdz 25:29–35). [przypis edytorski]

spacerujący po Lasku Bulońskim, i kiedy sobie przypomnę tego człowieka, zdaje mi się, że nie jesteśmy z jednej gliny.

— Pochlebia mi to! — rzekł Beauchamp.

— Zawsze jednak z tego wynika — dodał Château-Renaud — że twój hrabia Monte Christo musi być w wolnych chwilach bardzo przyjemnym człowiekiem, wyjąwszy jednak jego osobliwe konszachty z bandytami włoskimi.

— E, nie ma żadnych włoskich bandytów — rzekł Debray.

— Ani wampirów — dorzucił Beauchamp.

— Ani hrabiego Monte Christo — zakończył Debray. — Słyszysz, Albercie? Bije wpół do jedenastej.

— Przyznaj się, że miałeś jakieś senne koszmary i chodźmy na śniadanie — rzekł Beauchamp.

Ale nim echo dźwięków zegara ucichło, otwarły się drzwi i Germain oznajmił:

— Jego ekscelencja pan hrabia Monte Christo!

Wszyscy drgnęli mimowolnie, zdradzając, jak bardzo opowiadanie Alberta zapadło im w duszę. Sam Albert nie mógł oprzeć się gwałtownej emocji. Nie dał się bowiem słyszeć żaden turkot powozu na ulicy, ani szmer kroków w przedpokoju, nawet drzwi otwarły się bezszelestnie.

Hrabia stanął w progu, ubrany z największą prostotą, ale najbardziej jednak wymagający salonowiec nie znalazłby w jego toalecie nic do zarzucenia. Wszystko tu było w wytwornym guście, wszystko pochodziło od najlepszych dostawców: frak, cylinder i koszula.

Nie wyglądał więcej jak na trzydzieści pięć lat, a najbardziej uderzyło wszystkich zebranych jego zadziwiające podobieństwo do wizerunku, jaki opisał Debray.

Hrabia podszedł z uśmiechem na środek salonu, wprost do Alberta, który idąc mu spiesznie naprzeciw, wyciągnął serdecznie rękę.

— Punktualność — rzekł Monte Christo — jest grzecznością królów, jak utrzymywał jeden z waszych monarchów[882]. Ale podróżni czasem się spóźniają, choć nie zależy to od ich woli. Mam jednak nadzieję, drogi hrabio, że przez wzgląd na moje dobre chęci przebaczysz mi tych kilka sekund spóźnienia. Trudno przebyć pięćset mil drogi i nie spotkać jakiejś przeciwności; a przede wszystkim we Francji gdzie podobno zakazano bić pocztylionów.

— Panie hrabio — odpowiedział Albert. — Właśnie zapowiadałem pańskie przybycie kilku moim przyjaciołom, których zaprosiłem tu z powodu danej mi przez pana obietnicy, i mam zaszczyt przedstawić ich panu. Oto pan hrabia de Château-Renaud, którego szlachectwo sięga czasów Karola Wielkiego[883] i którego przodkowie siadywali przy Okrągłym Stole. Pan Lucjan Debray, sekretarz osobisty ministra spraw wewnętrznych. Pan Beauchamp, groźny dziennikarz, postrach rządu francuskiego, ale mimo jego sławy na skalę narodową, nie mógł pan słyszeć o nim we Włoszech, bo nie wpuszczają tam jego gazety. Na koniec pan Maksymilian Morrel, kapitan spahisów.

Na to nazwisko hrabia, który dotąd kłaniał się uprzejmie, ale z prawdziwie angielską nieprzystępnością i chłodem, postąpił mimowolnie do przodu, a na jego policzkach pojawił się na chwilę leciutki rumieniec.

— Nosi pan mundur zwycięzców — rzekł. — Piękny to mundur!

Trudno powiedzieć, co w tym momencie wywołało tak silne drżenie w głosie hrabiego i czemu jego oczy, tak piękne, spokojne i jasne — jeśli tylko z jakiegoś powodu nie krył ich pod powiekami — zabłysły nagle jakby wbrew niemu samemu.

— Pan hrabia nigdy nie widział naszych Afrykańczyków[884]? — spytał Albert.

— Nigdy — odrzekł hrabia, całkiem już odzyskawszy panowanie nad sobą.

— Panie hrabio, pod tym mundurem bije jedno z najwaleczniejszych i najszlachetniejszych serc w całej armii.

— Ależ, panie hrabio — przerwał Morrel.

[882] *punktualność jest grzecznością królów* — powiedzenie przypisywane Ludwikowi XVIII. [przypis edytorski]

[883] *Karol Wielki* (ok. 742–814) — król Franków i Longobardów, koronował się na cesarza rzymskiego w r. 800. [przypis edytorski]

[884] *Afrykańczyk* — tu: żołnierz z oddziału spahisów. [przypis edytorski]

— Proszę pozwolić mi skończyć, kapitanie... Właśnie dowiedzieliśmy się — ciągnął Albert — o tak bohaterskim czynie pana kapitana, że choć widzę dziś pana, Maksymilianie, po raz pierwszy, proszę, wyświadcz mi tę łaskę i pozwól, bym przedstawił pana hrabiemu jako mojego przyjaciela.

Przy słowach tych ponownie dało się dostrzec u Monte Christo owo spojrzenie dziwnie nieruchome, ów przelotny rumieniec i lekkie drganie powieki, które zawsze zdradzały u niego poruszenie.

— A, ma więc pan szlachetne serce — rzekł hrabia — tym lepiej.

Ten dziwny komentarz, stanowiący w większym stopniu odpowiedź na własne myśli hrabiego niż na słowa Alberta, zaskoczył wszystkich, zwłaszcza zaś Morrela, który zdumiony spojrzał na Monte Christo. Lecz w głosie hrabiego było zarazem tyle łagodności i — rzec by można — słodyczy, iż nie sposób było się obrazić.

— Dlaczego miałby niby o tym wątpić? — rzekł Beauchamp do Château-Renaud.

— Rzeczywiście — odpowiedział Château-Renaud, który z całym swym obyciem w świecie i jasnością spojrzenia arystokraty przeniknął na wylot wszystko, co tylko w Monte Christo dało się przeniknąć — rzeczywiście Albert nie wprowadził nas w błąd, mówiąc, iż szczególny to człowiek ów hrabia. A co pan o nim sadzi, Morrelu?

— Dalibóg, dobrze patrzy mu z oczu, a i głos ma miły, więc pomimo tej dziwnej uwagi na mój temat podoba mi się.

— Panowie — rzekł Albert — Germain donosi, że podano już do stołu. Drogi hrabio, pozwól, że cię zaprowadzę.

W milczeniu przeszli do sali jadalnej. Każdy zajął swoje miejsce.

— Panowie — rzekł hrabia, siadając. — Pozwólcie mi powiedzieć coś na wytłumaczenie wszelkich uchybień, których mógłbym się dopuścić; jestem cudzoziemcem, i to tak dalece, że po raz pierwszy przyjechałem do Paryża; życie francuskie jest mi zupełnie obce, dotąd wiodłem jedynie tryb życia wschodni, jak najdalszy od dobrych zwyczajów Paryża; wybaczcie więc, proszę, jeśli znajdziecie we mnie coś, co na Turka zakrawa, trąci Neapolitańczykiem albo też Araba przypomina. A teraz możemy już spokojnie jeść.

— W jaki sposób on mówi! — szepnął Beauchamp. — To stanowczo wielki pan.

— Wielki, choć cudzoziemiec — dodał Debray.

— Wielki pan będzie wszędzie wielkim panem, panie Debray — rzekł Château-Renaud.

Hrabia, jak już wiadomo, jadał niewiele. Albert napomknął o tym, wyrażając obawę, czy aby życie paryskie już na wstępie nie zrazi podróżnika swym najbardziej prozaicznym, ale i nieodzownym aspektem.

— Drogi hrabio — rzekł. — Lękam się, czy kuchnia ulicy Helderskiej będzie ci smakować na równi z kuchnią placu Hiszpańskiego. Powinienem był zapytać, co pan najbardziej lubi i kazać przygotować kilka potraw zgodnie z pana upodobaniem.

— Gdybyś pan mnie znał więcej — odpowiedział z uśmiechem hrabia — nie zadawałbyś sobie tyle trudu prawie upokarzającego dla podróżnika, który jak ja, żywił się makaronem w Neapolu, polentą[885] w Mediolanie, olla pudrida[886] w Walencji, pilawem[887] w Konstantynopolu, carrickiem[888] w Indiach, jaskółczymi gniazdami[889] w Chinach. Taki obieżyświat jak ja uznaje każdą kuchnię. Jadam wszystko i wszędzie, tyle że mało, a dziś właśnie, gdy wyrzucasz mi pan wstrzemięźliwość, mam ogromny apetyt, ponieważ od wczoraj nie jadłem nic.

— Jak to! Od wczorajszego rana? — zawołali biesiadnicy — Pan hrabia nie jadł od dwudziestu czterech godzin?

— Nie jadłem — odpowiedział Monte Christo. — Zmuszony byłem zboczyć nieco z drogi i zasięgnąć informacji w okolicach Nîmes, przez co, będąc i tak spóźnionym, nie chciałem dłużej już się zatrzymywać.

— I nie jadł pan również w powozie? — zapytał Albert.

---

[885] *polenta* — potrawa wł. z mąki kukurydzianej. [przypis edytorski]

[886] *olla pudrida*, właśc. *olla podrida* — ostra potrawka hiszp. z wieprzowiną i fasolą. [przypis edytorski]

[887] *pilaw* — potrawa wsch. z ryżu i z tłustej baraniny. [przypis edytorski]

[888] *carrick*, właśc. *karbi* a. *kadbi* — ostre indyjskie danie na bazie jogurtu i mąki z ciecierzycy (tj. z besanu). [przypis edytorski]

[889] *jaskółcze gniazda* — chińska zupa przyrządzana z jadalnych ptasich gniazd. [przypis edytorski]

— Nie; spałem, tak jak zdarza mi się to, gdy nudzę się, a nie mam odwagi rozerwać się, lub kiedy jestem głodny, a jeść nie mam ochoty.

— Rządzisz pan swoim snem? — zapytał Albert.

— W pewnym sensie

— Zapewne masz pan na to jakiś sposób?

— Niezawodny.

— To by się dopiero przydało nam, Afrykańczykom, bo nie zawsze mamy co jeść, a rzadko kiedy co pić — rzekł Morrel.

— Masz pan rację — odpowiedział Monte Christo. — Niestety jednak mój sposób, znakomity dla kogoś, kto jak ja prowadzi życie wyjątkowe, byłby bardzo niebezpieczny dla wojska, gdyż w razie potrzeby mogło by się nie obudzić.

— Można dowiedzieć się, cóż to za sposób? — zapytał Debray.

— Ależ oczywiście — rzekł Monte Christo. — Nie robię z tego żadnej tajemnicy; jest to mieszanina doskonałego opium[890], po które sam jeździłem do Kantonu[891], aby być pewnym jego jakości, i najlepszego haszyszu, jaki się zbiera na Wschodzie, między Tygrysem i Eufratem[892]; miesza się oba te składniki w równych proporcjach i formułuje w pigułki, które zażywane są w razie potrzeby. Po dziesięciu minutach zaczynają działać. Może pan zapytać barona Franza d'Epinaya, zdaje się, że on wypróbowywał kiedyś ten środek.

— Tak, rzeczywiście — odpowiedział Albert. — Wspominał coś pokrótce i zdaje się, że nawet zachował bardzo przyjemne wrażenia z owego doświadczenia.

— Ale, ale — przerwał Beauchamp, który jako dziennikarz był bardzo nieufny — czy zawsze nosisz pan przy sobie ów narkotyk?

— Zawsze — odpowiedział Monte Christo.

— Nie byłoby nadużyciem prosić pana o pokazanie owych cennych pigułek? — mówił dalej Beauchamp, mając nadzieję, iż przyłapie cudzoziemca na bladze[893].

— Ależ skąd, proszę bardzo — odpowiedział hrabia.

I dobył z kieszeni cudne puzderko, całe wykonane z jednego szmaragdu, w środku wydrążonego, zamkniętego złotą śrubką. Gdy śrubkę tę się odkręciło, wypadała malutka gałka koloru zielonego, a wielkości groszku, o przenikliwym, cierpkim zapachu. Puzderko mieściło cztery czy pięć podobnych gałek, a miejsca było w nim na jakieś dwanaście.

Puzderko okrążyło stół, lecz goście podawali je sobie więcej dla widoku owego cudnego szmaragdu, niż z ciekawości zobaczenia i zbadania pigułek.

— Czy to kucharz pański przygotowuje ów specjał? — zapytał Beauchamp.

— Nie — odpowiedział Monte Christo. — W tym, co sprawia mi prawdziwą rozkosz, nie zdaję się na łaskę rąk niegodnych. Jestem niezgorszym chemikiem, sam więc przygotowuję owe pigułki.

— To prawdziwie piękny szmaragd i największy, jaki kiedykolwiek widziałem, choć i moja matka miała kilka godnych uwagi klejnotów — rzekł Château-Renaud.

— Miałem kiedyś trzy takie — odpowiedział Monte Christo. — Jeden podarowałem sułtanowi, który kazał osadzić go w mieczu, drugi dałem Ojcu Świętemu, ów umieścił szmaragd w tiarze, obok innego, mniej jednak pięknego, podarowanego jego poprzednikowi Piusowi VII[894] przez cesarza Napoleona; a trzeci zostawiłem sobie i ten kazałem wydrążyć; ujęło mu to co prawda połowę wartości, ale dzięki temu stał się on bardziej użytecznym.

Wszyscy z zadziwieniem spoglądali na Monte Christo. Opowiadał to z taką prostotą, że tylko czysta prawda lub obłąkanie mogły ten wyraz w głosie i słowach wzbudzić;

---

[890]*opium* — wysuszony sok makówek, szeroko stosowany w XIX w. w Europie i USA jako substancja przeciwbólowa, uspokajająca i odurzająca, eksportowany w wielkich ilościach z Indii do Chin. [przypis edytorski]

[891]*Kanton* — wielkie miasto w w płd.-wsch. Chinach; od XVI do XIX w. główny chiński port, siedziba najstarszych i największych w kraju targów. [przypis edytorski]

[892]*Tygrys i Eufrat* — dwie największe rzeki starożytnej Mezopotamii, płynące przez tereny dzis. Iraku, Syrii, Turcji i Iranu. [przypis edytorski]

[893]*blaga* (daw.) — kłamstwo, oszustwo. [przypis edytorski]

[894]*Pius VII*, właśc. *Gregorio Luigi Barnaba Chiaramonti* (1740–1823) — papież od r. 1800; podpisał z Napoleonem konkordat, jednak nie udało mi się dojść z nim do całkowitej ugody i z tego powodu został w 1809 pojmany i wywieziony z Francji. [przypis edytorski]

błyszczący jednak szmaragd w jego ręku zdawał się naturalnie świadczyć za pierwszym przypuszczeniem.

— I cóż władcy owi dali panu w zamian za tak wspaniały podarunek? — zapytał Debray.

— Sułtan darował wolność jednej kobiecie — odpowiedział hrabia — a Ojciec Święty życie jednemu człowiekowi. Tym samym, raz w życiu byłem tak potężny, jak gdyby Bóg pozwolił mi się urodzić na stopniach tronu.

— Tym ocalonym od śmierci był Peppino, nieprawdaż? — zawołał Albert. — Dla niego to wyjednałeś ułaskawienie.

— Być może — rzekł Monte Christo z uśmiechem.

— Nie wyobrażasz sobie, panie hrabio, jaką mi pan sprawia przyjemność, mówiąc w taki właśnie sposób — rzekł Albert. — Zdążyłem pana zapowiedzieć przyjaciołom jako postać z bajki, jako czarodzieja z *Tysiąca i jednej nocy* albo średniowiecznego czarnoksiężnika; lecz paryżanie tak nawykli do paradoksów, że biorą za kaprys wyobraźni prawdy niezaprzeczalne, skoro tylko te nie wchodzą w ramy ich codziennego życia. I tak: Debray czyta, a Beauchamp drukuje co dzień, że napadnięto i obrabowano na bulwarze członka Jockey Clubu, co się trochę zapóźnił[895]; że zamordowano cztery osoby przy ulicy Saint-Denis albo na przedmieściu Saint-Germain; że schwytano dziesięciu, piętnastu, dwudziestu złodziei, już to w kawiarni przy bulwarze Temple, już to w Termach Juliana, a jeden i drugi zaprzecza istnieniu bandytów w Maremmes[896], na rzymskiej wsi i na Bagnach Pontyjskich[897]. Powiedzże im sam, panie hrabio, bardzo proszę, że ci bandyci mnie porwali i gdyby nie pańskie szlachetne wstawiennictwo, oczekiwałbym dzisiaj na ciała zmartwychwstanie w katakumbach Świętego Sebastiana, a nie przyjmował ich śniadaniem w moim nędznym domku na Helderskiej.

— Ależ przyrzekłeś mi pan — obruszył się Monte Christo — że nigdy nie wspomnisz przy mnie o tej drobnostce.

— To nie ja, panie hrabio — zawołał Albert. — To ktoś inny, któremu wyświadczyłeś pan tą samą przysługę: pomylił go pan ze mną. Owszem, mówmy o tym, błagam, bo jeśli opowiesz pan o tym, to może powtórzysz nie tylko to, o czym już wiem, ale także dodasz wiele faktów, o których nie wiem.

— Zdaje mi się przecież — rzekł hrabia z uśmiechem — że pan grałeś w tej sprawie rolę na tyle ważną, że wiesz równie dobrze jak ja, co się wówczas stało.

— Czy przyrzeknie mi pan — rzekł Albert — że gdy opowiem to, co sam wiem, pan dopowie, czego nie wiem?

— To słuszna propozycja — odpowiedział Monte Christo.

— A więc, chociażby moja miłość własna mogła na tym cierpieć — rzekł Albert — sądziłem przez trzy dni, że jestem obiektem zalotów maseczki, którą brałem za prawnuczkę Tulii[898] lub Poppei[899] — a która była po prostu *contadiną*; zauważcie, że mówię „*contadiną*", by nie powiedzieć „chłopką". Wiem jeszcze, że okazałem się jeszcze większym dudkiem, bo wziąłem za tę wieśniaczkę młodego bandytę, szesnastoletniego gołowąsa o smukłej kibici, który, gdym posunął się tak daleko, że chciałem go pocałować w gładkie ramię, przyłożył mi pistolet do gardła i z pomocą ośmiu kompanów zaprowadził albo raczej zaciągnął do katakumb Świętego Sebastiana. Tam zastałem herszta bandytów bardzo, daję słowo, kształconego, bo czytał *Komentarze* Cezara; raczył jednak przerwać lekturę, by mi powiedzieć, że jeśli do szóstej rano nie przekażę czterech tysięcy piastrów do jego kasy, to kwadrans po szóstej przestanę żyć. List istnieje, znajduje się u Franza, ma mój podpis i dopisek pana Luigiego Vampy. Jeśli o tym wątpicie, napiszę do Franza, a ten poświadczy u notariusza podpisy. Ja wiem tyle. A to, czego nie wiem, to to,

[895] *zapóźnić się* (daw.) — spóźnić się. [przypis edytorski]

[896] *Maremmes*, właśc. *Maremmy* — nizina nadmorska w Toskanii. [przypis edytorski]

[897] *Bagna Pontyjskie* a. *Pola Pontyjskie* — bagnisty teren w śr. Włoszech, osuszony w XX w. [przypis edytorski]

[898] *Tulia* właśc. *Tullia Młodsza* — etruska księżniczka, żona Tarkwiniusza Pysznego; zapisała się w tradycji jako kobieta ambitna i wyjątkowo okrutna, ponieważ razem z mężem zaplanowała zamach na swojego ojca i zbezcześciła jego zwłoki. [przypis edytorski]

[899] *Poppea Sabina* (ok. 30–65 r. n.e.) — słynąca z urody żona prefekta pretorianów Rufiusa Kryspinusa, potem Othona, a od 62 r. n.e. żona Nerona. Prowadziła wystawny tryb życia. Niektóre jej zabiegi kosmetyczne zyskały wielką sławę (np. kąpiele w mleku). To ona namówiła Nerona, aby zamordował swoją matkę, Agrypinę Młodszą. [przypis edytorski]

jakim sposobem zyskałeś sobie, panie hrabio, tak wielki autorytet u rzymskich bandytów, którzy niczego niemal nie szanują? Przyznam się panu, że razem z Franciszkiem nie mogliśmy wyjść z podziwu.

— Nic prostszego, drogi panie. Znam słynnego Vampę od ponad dziesięciu lat. Kiedy jeszcze był pasterzem, w młodości, dałem mu pewnego razu sztukę złota za wskazanie mi drogi. A on, żeby mi nic nie zawdzięczać, dał za to sztylet z rękojeścią, którą sam wyrzeźbił. Musiałeś go pan widzieć w mojej kolekcji broni. Po pewnym czasie, czy zapomniał o tej wymianie podarunków, która powinna była ustanowić przyjaźń między nami, czy też mnie nie poznał, w każdym razie spróbował zasadzić się na mnie. Ale to ja go schwytałem razem z dwunastu jego ludźmi. Mogłem go oddać w ręce sprawiedliwości rzymskiej, która wydaje wyroki błyskawicznie, a z Vampą jeszcze bardziej by się pospieszyła, alem tego nie zrobił. Puściłem go wolno wraz z innymi.

— Pod warunkiem, że nie będą więcej grzeszyli — roześmiał się dziennikarz. — Z przyjemnością widzę, że skrupulatnie dotrzymali słowa.

— Nie, drogi panie — odparł Monte Christo. — Pod warunkiem, że będzie szanował mnie i moich znajomych. Może to, co powiem, wyda się wam dziwne, panowie socjaliści, zwolennicy postępu i humanitaryzmu; nie przejmuję się bliźnimi, nie staram się ochraniać społeczeństwa, które mnie nie chroni w żaden sposób, powiem więcej — które jeśli zajmuje się mną, to po to zazwyczaj, by mi szkodzić; a sądzę, że bliźni i społeczeństwo winni mi wdzięczność, jeśli zachowuję wobec nich neutralność, nie szanując ich zarazem wcale.

Bunt

— To ci dopiero! — zawołał Château-Renaud. — Oto pierwszy człowiek, jakiego słyszę, który szczerze i odważnie głosi egoizm. To bardzo pięknie! Brawo, panie hrabio!

— To przynajmniej uczciwa postawa — rzekł Morrel — ale jestem pewien, że pan hrabia nie żałował, że raz odstąpił od zasad, które nam tu tak śmiało wyłożył.

— W jaki to sposób miałbym uchybić tym zasadom? — spytał Monte Christo, który nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć od czasu do czasu na Maksymiliana z taką uwagą, że kilka już razy ten tak śmiały młodzieniec musiał spuścić oczy, nie wytrzymując jasnego, przenikliwego spojrzenia hrabiego.

— Zdaje mi się przecież — odparł Morrel — że ocalając pana de Morcerfa, którego pan przecież nie znał, przysłużyłeś się pan i bliźniemu, i społeczeństwu.

— Którego Albert stanowi najpiękniejszą ozdobę — dodał poważnie Beauchamp, opróżniając jednym haustem kielich szampana.

— Panie hrabio — zawołał Albert — zwyciężono pana takim oto rozumowaniem, choć jest pan najlogiczniej rozumującym człowiekiem, jakiego znam. A zaraz zobaczy pan, że dowiedziemy, iż nie jest pan egoistą, ale przeciwnie, filantropem. Panie hrabio, mieni się pan synem Wschodu, Lewantyńczykiem, Maltańczykiem, Hindusem, Chińczykiem, dzikusem; nosi pan nazwisko rodowe Monte Christo, ochrzcił się pan sam Sindbadem Żeglarzem; a zaledwie znalazłeś się w Paryżu, instynktownie przyswoiłeś sobie największą zaletę lub największą wadę naszych paryskich ekscentryków: uzurpujesz pan sobie wady, których nie masz, a ukrywasz cnoty, które cię zdobią!

— Drogi hrabio — odparł Monte Christo — we wszystkim, co powiedziałem i zrobiłem, nie widzę nic, co mogłoby usprawiedliwiać owe pochwały ze strony pańskiej i pańskich przyjaciół. Nie był pan dla mnie obcy, ponieważ znałem pana, odstąpiłem panom dwa pokoje, zaprosiłem pana na śniadanie, pożyczyłem powóz, razem patrzyliśmy na pochód masek na Corso i razem oglądaliśmy z okna na placu del Popolo egzekucję, która wywarła na panu tak silne wrażenie, że o mało nie zasłabłeś. Pytam więc, panowie, czy mogłem zostawić mego gościa w rękach tych okropnych bandytów, jak panowie ich nazywacie? A przy tym, wie pan przecież o tym, że ratując pana, miałem także pewien ukryty zamiar: pomyślałem sobie, że wprowadzisz mnie pan do świata paryskiego, kiedy przyjadę do Francji. Przez czas jakiś mogłeś pan uważać ten zamysł za przelotny i dość nieokreślony; ale dzisiaj, jak pan widzisz, to rzeczywistość, której musisz się pan poddać, pod groźbą złamania słowa.

— I dotrzymam je. Boję się tylko, że drogi hrabia może się mocno rozczarować. Jest pan przyzwyczajony do malowniczych widoków, niezwykłych wydarzeń, fantastycznych horyzontów. Tu nie spotka pan ani jednego z takich epizodów, do jakich przyzwycza-

iło cię awanturnicze życie. Nasze Chimborazzo[900] to Montmartre[901]; nasze Himalaje to góra Valérien[902]; nasza Sahara to równina Grenelle[903], w której i tak wiercą studnię artezyjską[904], by karawany mogły się zaopatrzyć w wodę. Mamy wprawdzie złodziei, nawet sporo, chociaż nie tylu, jak się mówi, ale złodzieje ci lękają się bardziej najnędzniejszego ze szpiegów niż największego z panów. Na koniec nasza Francja to kraj tak prozaiczny, a Paryż to tak ucywilizowane miasto, że nie znajdziesz pan w naszych osiemdziesięciu pięciu departamentach (mówię osiemdziesięciu pięciu, bo nie liczę Korsyki) choćby jednego pagórka, na którym nie byłoby telegrafu, najmniejszej groty, w której komisarz policji nie ustawił gazowej latarni. Mogę więc oddać panu hrabiemu jedną tylko przysługę i jestem gotów na pańskie rozkazy: przedstawię pana wszędzie sam albo przez przyjaciół. Skądinąd nie potrzebujesz pan do tego pośredników: pańskie nazwisko, majątek, przymioty umysłu — (tu Monte Christo ukłonił się z lekko ironicznym uśmiechem) — będą same mówić za pana i wszędzie spotka pana miłe przyjęcie. Tak naprawdę mogę więc przydać się panu w jednej tylko rzeczy: mógłbym pomóc panu znaleźć odpowiednie mieszkanie, znam się bowiem na paryskich obyczajach i magazynach, mam doświadczenie w wygodnym urządzaniu się. Jestem do pańskiej dyspozycji. Nie śmiem panu proponować, by zamieszkał pan u mnie, choć korzystałem z pańskiej gościny w Rzymie; nie głoszę egoizmu, jestem jednak egoistą *par excellence*[905], oprócz mnie samego, nie pomieściłby się w moim mieszkaniu nawet cień, chyba że byłby to cień kobiecy.

— Ach! — zawołał hrabia. — To zastrzeżenie jest wyraźnie małżeńskiej natury. Prawda, mówił mi pan w Rzymie o układanym małżeństwie. Mam winszować panu przyszłego szczęścia?

— Sprawa jest ciągle na etapie projektu, panie hrabio.

— A kto mówi o projektach — przerwał Debray — ten ma na myśli ewentualność.

— Nie, bynajmniej! — rzekł Albert. — Mój ojciec jest bardzo za tym i spodziewam się, że wkrótce przedstawię panom jeśli nie żonę, to przynajmniej narzeczoną: pannę Eugenię Danglars.

— Eugenię Danglars! — przerwał Monte Christo. — Chwileczkę, czy jej ojcem nie jest przypadkiem baron Danglars?

— Tak — odpowiedział Albert. — Ale to świeżo upieczony baron.

— Och, cóż to znaczy — powiedział Monte Christo — jeśli oddał krajowi usługi, za które należał mu się taki tytuł.

— Ogromne usługi — rzekł Beauchamp. — Choć w duszy liberał, uzupełnił w 1829 roku sześciomilionową pożyczkę dla Karola X[906], który zrobił go za to baronem i kawalerem Legii Honorowej, tak że nosi nasz baron wstążeczkę orderu nie w kieszonce kamizelki, jakby należało przypuszczać, ale po prostu w butonierce fraka.

— No, no — roześmiał się Albert — Beauchamp, Beauchamp, zachowaj to do „Korsarza" i „Charivari"[907], ale przy mnie oszczędzaj mego przyszłego teścia. — I odwrócił się do Monte Christa: — Wymówiłeś pan tak jego nazwisko, jakbyś go znał.

— Nie znam go — odpowiedział niedbale Monte Christo — ale prawdopodobnie wkrótce go poznam, ponieważ mam u niego otwarty kredyt za pośrednictwem banków Richard i Blount z Londynu, Arstein i Eskeles z Wiednia oraz Thomson i French z Rzymu.

---

[900] *Chimborazzo*, właśc. *Chimborazo* — najwyższy szczyt w Ekwadorze, należący do Andów, o wys. ponad 6263 m. n.p.m. [przypis edytorski]

[901] *Montmartre* — hist. dzielnica w płn. części Paryża, położona na wzgórzu o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

[902] *góra Valérien*, właśc. *Mont Valérien* — wzgórze o wys. 162 m, znajdujące się kilka km na zach. od Paryża; w 1841 r. wzniesiono na nim fort. [przypis edytorski]

[903] *równina Grenelle* — pole, na którym w 52 r. p.n.e. rozegrała się bitwa pomiędzy armią rzym. a Galami; w 1824 r. rozpoczęto w tym miejscu budowę nowej dzielnicy Paryża. [przypis edytorski]

[904] *studnia artezyjska* — studnia korzystająca z wód artezyjskich, tj. wód podziemnych płynących pod ciśnieniem. [przypis edytorski]

[905] *par excellence* (fr.) — w całym tego słowa znaczeniu. [przypis edytorski]

[906] *Karol X* (1757–1836) — król Francji (1824–1830), usiłował przywrócić monarchię absolutną; zrekompensował wielkim właścicielom ziemskim koszty obalenia feudalizmu, zwiększył władzę Kościoła katolickiego, zniósł wolność prasy i ograniczył prawa wyborcze; obalony w wyniku rewolucji lipcowej, po której powołano na tron Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

[907] *„Korsarz" i „Charivari"* — fr. czasopisma satyryczne z XIX w. [przypis edytorski]

Wymawiając te słowa, Monte Christo spojrzał ukradkiem na Maksymiliana Morrela.

Jeśli spodziewał się wywrzeć tym wrażenie na Maksymilianie, to się nie zawiódł; Maksymilian zadrżał, jak gdyby poraził go prąd.

— Thomson i French! — wykrzyknął. — Pan hrabia zna tę firmę?

— To są moi bankierzy w stolicy świata chrześcijańskiego — odparł spokojnie hrabia. — Czy mógłbym coś u nich dla pana zrobić?

— O, panie hrabio, być może byłbyś pan w stanie dopomóc nam w poszukiwaniach, jak do tej pory bezowocnych; firma ta wyświadczyła niegdyś naszej wielką usługę i nie wiadomo, dlaczego nie chce się do tej pory do niej przyznać.

— Jestem na pańskie rozkazy — ukłonił się Monte Christo.

— Ale, ale — przerwał Albert — przez pana Danglarsa oddaliliśmy się od przedmiotu naszej rozmowy. Szło o wyszukanie przyzwoitego mieszkania dla hrabiego. No, panowie, wysilmy umysł, gdzie by tu umieścić naszego gościa?

— Na Przedmieściu Saint Germain[908] — rzekł Château-Renaud. — Znajdzie się tam dla pana uroczy pałacyk z dziedzińcem i ogrodem.

— E, Château-Renaud — rzekł Debray — dla ciebie nie istnieje nic poza twoim smutnym i ponurym Saint Germain; niech go pan hrabia nie słucha, najlepiej zamieszkać na Chaussée d'Antin; to jest prawdziwe centrum Paryża.

— Koniecznie bulwar Opery — mówił Beauchamp — pierwsze piętro, dom z balkonem; pan hrabia każe sobie wynieść na balkon poduszki haftowane srebrem; ćmiąc fajkę i połykając swoje pigułki, zobaczy całą stolicę, która przedefiluje przed jego oczyma.

— A panu, Morrel, nic nie przychodzi na myśl — rzekł Château-Renaud — że nic nie proponujesz?

— Oczywiście, że tak — odpowiedział z uśmiechem. — Mam jeden pomysł, lecz sądziłem, że pan hrabia da się skusić jednemu z tych wspaniałych projektów, jakie mu panowie przedstawili. Że zaś dotąd nic nie odpowiedział, sądzę, że mogę mu zaproponować mieszkanie w pałacyku w stylu Pompadour[909] — jest urokliwy. Znajduje się na ulicy Meslay, rok temu wynajęła go moja siostra.

— A więc masz pan siostrę? — zapytał Monte Christo.

— Tak, panie hrabio, to wspaniała kobieta.

— Zamężna?

— Od prawie dziewięciu lat.

— Szczęśliwa? — zagadnął znowu hrabia.

— Tak szczęśliwa, jak tylko można; wyszła za mąż za człowieka, którego kochała, a który trwał przy nas wiernie w niedoli; nazywa się Emanuel Herbaut.

Przez usta Monte Christo znowu nieznaczny przeleciał uśmiech.

— Mieszkam tam podczas moich półrocznych urlopów — mówił dalej Maksymilian — i jesteśmy z Emanuelem na rozkazy pana hrabiego, gdyby pan czegokolwiek potrzebował

— Ejże, chwileczkę! — zawołał Albert, zanim Monte Christo zdołał odpowiedzieć. — Proszę się zastanowić, co pan robi, panie Morrel; chcesz nam zamknąć w rodzinnym kółku podróżnika, Sindbada Żeglarza? Z człowieka, który przyjechał obejrzeć Paryż, chcesz zrobić patriarchę[910]?

— A skądże! — uśmiechnął się Morrel. — Moja siostra ma dwadzieścia pięć lat, szwagier trzydzieści; są młodzi, weseli i szczęśliwi; przy tym pan hrabia będzie u siebie i tylko wtedy będzie spotykał gospodarzy, gdy mu się spodoba.

— Dziękuję panu, dziękuję — rzekł Monte Christo. — Będę szczęśliwy, jeśli zechcesz mi pan uczynić ten zaszczyt i przedstawisz mnie siostrze i szwagrowi; ale nie mogę przyjąć propozycji żadnego z panów, ponieważ mam już przygotowane mieszkanie.

— Jak to! Chcesz pan zamieszkać w hotelu? — zawołał Albert. — To nie byłoby zbyt przyjemne dla pana.

— Czyż musiałem w Rzymie znosić jakieś niewygody?

---

[908] *Saint-Germain* — dzielnica Paryża; w XVII w. stała się siedzibą miejskiej arystokracji, a w 2. połowie XIX w. poddano ją gruntownej renowacji w ramach tzw. wielkiej przebudowy Paryża. [przypis edytorski]

[909] *styl Pompadour* — styl, który rozwinął się pod wpływem upodobań kochanki Ludwika XV, Madame de Pompadour; charakterystyczna dla niego jest porcelana i kolor różowy. [przypis edytorski]

[910] *patriarcha* — tu: pan domu, głowa rodziny. [przypis edytorski]

— Do licha! W Rzymie wydał pan pięćdziesiąt tysięcy piastrów, by sobie umeblować apartament, ale raczej nie sądzę, by pan chciał ponawiać wciąż takie wydatki.

— To nie miało żadnego znaczenia. Postanowiłem po prostu mieć w Paryżu dom, rozumiem przez to dom własny. Wysłałem więc wcześniej służącego, który już na pewno kupił mi jakiś i umeblował.

— No to przecież masz pan służącego, który zna Paryż! — zawołał Beauchamp.

— Jest we Francji po raz pierwszy, jak ja. To Murzyn i niemowa.

— A więc to Ali? — zagadnął Albert wśród ogólnego poruszenia.

— Tak, ten sam Ali, mój niemy Nubijczyk, którego chyba widziałeś pan w Rzymie.

— Tak, tak, pamiętam go dobrze. Ale jakże pan mógł nakazać Nubijczykowi, i to niememu, aby kupił panu i umeblował dom? Przecież biedak wszystko musiał zrobić na opak.

— Myli się pan. Przeciwnie, jestem pewien, że wszystko urządzi według mego gustu; a wie pan, że mój gust różni się dość od gustu ogółu. Przyjechał tu tydzień temu, biegał z pewnością po mieście z instynktem, jaki mógłby mieć pies, co sam poluje; zna dobrze moje kaprysy, fantazje i potrzeby; na pewno załatwił wszystko zgodnie z moimi upodobaniami. Wiedział, że mam przyjechać dzisiaj o dziesiątej, od dziewiątej więc czekał na mnie przy rogatce Fontainebleau; wręczył mi tę kartkę, to mój nowy adres, proszę.

I Monte Christo podał papier Albertowi.

— Pola Elizejskie 30[911] — przeczytał Albert.

— Ach! To dopiero oryginalne! — Beauchamp nie był w stanie powstrzymać zdumienia.

— I bardzo po książęcemu — dodał Château-Renaud.

— Jak to, pan jeszcze nie widział swojego mieszkania? — zdziwił się Debray.

— Nie — odpowiedział Monte Christo. — Mówiłem już, że nie chciałem się spóźnić. Zrobiłem toaletę w powozie i wysiadłem przed drzwiami wicehrabiego.

Młodzi ludzie spojrzeli po sobie; nie byli pewni, czy aby Monte Christo nie gra przed nimi jakiejś komedii, ale wszystko, co wychodziło z ust tego człowieka, odznaczało się, mimo swojej oryginalności, taką prostotą, że nie można było przypuścić, by kłamał. A przy tym dlaczegóż by miał kłamać?

— Musimy więc poprzestać — rzekł Beauchamp — na oddaniu panu hrabiemu tych małych przysług, jakie są w naszej mocy. Jako dziennikarz ofiarowuję panu wejście do wszystkich teatrów paryskich.

— Dziękuję panu — rzekł z uśmiechem Monte Christo. — Mój intendent dostał już rozkaz zamówić dla mnie lożę we wszystkich teatrach.

— A ten pański intendent czy także jest niemym Nubijczykiem? — spytał Debray.

— Nie, mój panie, to po prostu wasz rodak, o ile Korsykanin może być czyimś rodakiem. Ale pan go znasz, panie Albercie.

— Czyżby to ów poczciwy signor[912] Bertuccio, który tak dobrze umie najmować okna?

— Właśnie ten, widział go pan u mnie wtedy, kiedy miałem zaszczyt gościć panów na śniadaniu. To rzeczywiście dzielny człowiek; był trochę żołnierzem, trochę przemytnikiem — próbował wszystkiego po trochu. Nie przysiągłbym, czy nie miał przypadkiem kłopotów z policją za jakąś drobnostkę, pchnięcie nożem, czy coś takiego...

— I tego poczciwego obieżyświata wybrał sobie pan hrabia na intendenta? — zdumiał się Debray. — A ileż to panu kradnie na rok?

— O, daję słowo honoru, że nie więcej niż inni, jestem tego pewien. Dobrze zajmuje się moimi sprawami, nie ma dlań nic niemożliwego, więc go trzymam.

— A więc — odezwał się Château-Renaud — ma pan już wszystko: pałac na Polach Elizejskich, służbę, intendenta, brak panu tylko kochanki.

Albert uśmiechnął się: przypomniał sobie piękną Greczynkę, którą widział w loży hrabiego w teatrze Argentina.

---

[911] *Pola Elizejskie* — reprezentacyjna aleja w Paryżu, łącząca plac Zgody z placem De Gaulle'a (dawniej plac Gwiazdy), na którym znajduje się Łuk Triumfalny. [przypis edytorski]

[912] *signor* (wł.) — pan. [przypis edytorski]

— Mam lepiej niż kochankę — odparł Monte Christo — mam niewolnicę. Wy wynajmujecie sobie kochanki w Operze, Wodewilu[913] czy w Rozmaitościach[914], a ja moją kupiłem w Konstantynopolu. Drożej mnie to kosztowało, ale już w ogóle nie muszę się pod tym względem kłopotać.

— Ale zapominasz pan — roześmiał się Debray — że jesteśmy, jak powiedział król Karol, wolni z natury; a więc z chwilą gdy, pańska niewolnica znalazła się na ziemi francuskiej, jest wolna.

— A któż jej o tym powie? — zapytał Monte Christo. — Mówi tylko po grecku.

— A, to co innego.

— Ale czy ją przynajmniej ujrzymy? — rzekł Beauchamp. — A może oprócz niemowy masz pan także i eunuchów[915]?

— Przysięgam, nie mam! Tak daleko nie posuwam moich upodobań do Wschodu. Wszyscy, którzy mnie otaczają, mogą mnie opuścić, a gdy mnie opuszczą, nie będą potrzebowali ani mnie, ani nikogo. Zapewne dlatego nikt się ze mną nie rozstaje.

Goście już od dawna gwarzyli przy kawie i cygarach.

— Mój drogi — rzekł Debray, zrywając się — już wpół do trzeciej; twój gość jest zachwycający, ale nie ma tak dobrego towarzystwa, którego by nie trzeba było opuścić dla złego! Muszę wracać do ministerium[916]. Powiem ministrowi o hrabi, musimy wybadać, kto zacz[917].

— Uważaj — rzekł Albert. — Najchytrzejsi nie dali temu rady.

— E! Wydajemy trzy miliony na policję; co prawda prawie zawsze wydane są za wcześnie, ale co tam, znajdzie się przecie na tę sprawę z pięćdziesiąt tysięcy franków.

— A gdy się dowiesz, kto to taki, powiesz mi?

— Obiecuję. Do widzenia, Albercie. Sługa uniżony panów.

I wychodząc, Debray zawołał głośno w przedpokoju:

— Dawać powóz!

— Wybornie — rzekł Beauchamp do Alberta — nie pójdę już do Izby. Mam dla moich czytelników coś lepszego niż mowa pana Danglarsa.

— Przez litość, Beauchamp — zawołał Albert. — Nie pisz ani słowa o tym, błagam cię, nie odbierajże mi tej zasługi, chcę go przedstawić i wprowadzić jako pierwszy! Prawda, że to oryginał?

— O, to dużo więcej niż oryginał — odparł Château-Renaud. — To jeden z najniezwyklejszych ludzi, jakich widziałem w życiu. Idziesz pan ze mną, kapitanie?

— Już, tylko dam moją kartę wizytową panu hrabiemu, który raczył przyrzec, że nas odwiedzi.

— Może pan być pewien, że przyjdę — odezwał się hrabia, kłaniając się.

I Maksymilian wyszedł z baronem de Château-Renaudem, pozostawiając Monte Christa sam na sam z Albertem.

40. PREZENTACJA

Gdy znaleźli się sami, Albert rzekł do hrabiego:

— Panie hrabio, proszę mi pozwolić rozpocząć pracę cicerona od pokazania panu modelowego kawalerskiego mieszkania. Przywykłeś pan mieszkać we włoskich pałacach, możesz teraz przeprowadzić badania, obliczając, ile stóp kwadratowych zajmuje młody człowiek w Paryżu, ponoć nie najgorzej mieszkający. Gdy będziemy przechodzić z pokoju do pokoju, pootwieramy okna, by przewietrzyć w środku.

Monte Christo znał już jadalnię i salon na dole, Albert zaprowadził go więc najpierw do swojej pracowni; jak sobie przypominamy, był to jego ulubiony pokój.

Monte Christo umiał ocenić wszystkie przedmioty, które tu Albert zgromadził: stare kufry, japońską porcelanę, wschodnie materie, wyroby szklane z Wenecji, broń wszystkich

[913] *Wodewil* — fr. *Théâtre du Vaudeville*; paryski teatr otwarty w r. 1792; wystawiał głównie spektakle komediowe, m.in. wodewile (stąd nazwa). [przypis edytorski]

[914] *Rozmaitości* — tj. *Théâtre des Variétés* (fr.: Teatr Rozmaitości); jeden z najstarszych teatrów w Paryżu. [przypis edytorski]

[915] *eunuch* — wykastrowany mężczyzna a. chłopiec pełniący rolę strażnika haremu. [przypis edytorski]

[916] *ministerium* (łac.) — tu: służba, urząd. [przypis edytorski]

[917] *kto zacz* (daw.) — kto to jest. [przypis edytorski]

krajów świata; wszystko to znał doskonale i przy pierwszym rzucie oka odgadywał ich wiek i pochodzenie.

Albert sądził, że będzie tu przewodnikiem, a stało się przeciwnie: to on odbywał dzięki hrabiemu kurs archeologii, mineralogii i historii naturalnej.

Zeszli na pierwsze piętro.

Albert wprowadził gościa do salonu.

Salon ten był niemal wytapetowany dziełami współczesnych malarzy.

Były tu krajobrazy Duprégo[918] — wysokie trzciny, wysmukłe drzewa, ryczące krowy, cudowne niebo; byli arabscy jeźdźcy pana Delacroix[919], w długich białych burnusach[920], w błyszczących pasach, z damasceńską bronią: konie gryzły się tu z wściekłością, ludzie mordowali się żelazem; były akwarele Boulangera[921], a na nich Notre-Dame, przedstawiona z plastycznością, dzięki której malarz idzie o lepsze z poetą; i jeszcze płótna Diaza[922], na których kwiaty namalowane są piękniejsze od kwiatów prawdziwych, a słońce błyszczy świetniej niż słońce; rysunki Decampsa[923] równie barwne, jak Salvatora Rosy[924], tylko bardziej poetyczne; szkice wyrwane z albumu Dauzatsa[925] — powstały podczas podróży na Wschód, a rysował je w kilka chwil z wysokości grzbietu wielbłąda lub pod kopułą meczetu[926].

Krótko mówiąc, było tu wszystko, czym sztuka współczesna może nam zastąpić i wynagrodzić sztukę dawnych wieków, minioną lub utraconą.

Albert spodziewał się przynajmniej tym razem, że pokaże hrabiemu coś nowego, lecz ku jego wielkiemu zdziwieniu hrabia nie potrzebował szukać podpisów pod obrazami, które czasem oznaczone były tylko inicjałami — przypisywał obrazom natychmiast, od pierwszego wejrzenia, nazwisko autora; widać było, że nie tylko znał te nazwiska, ale i przestudiował umiejętności poszczególnych twórców.

Z salonu przeszli do sypialni. Pokój ten przedstawiał wzór surowej wytworności. Wisiał tam portret w ramie z matowego złota, jeden tylko, ale za to z podpisem Leopolda Roberta.

Portret ten natychmiast przyciągnął uwagę hrabiego Monte Christo; wszedłszy do pokoju, na jego widok stanął jak wryty.

Wspomnienia, Miłość niespełniona

Portret przedstawiał dwudziestopięcioletnią kobietę, o smagłej cerze, ognistym wejrzeniu, ocienionym ciężką powieką.

Nosiła malowniczy strój katalońskiej rybaczki: czerwony gorsecik z czarnym przybraniem i złote szpilki we włosach.

Spoglądała na morze, a jej wytworna sylwetka odcinała się od podwójnego lazurowego tła fal i nieba.

Gdyby w pokoju nie było ciemno, Albert mógłby dostrzec, jak policzki hrabiego powlekły się bladością i jak przez jego pierś i ramiona przebiegł nerwowy dreszcz.

Nastała chwila milczenia, w czasie której Monte Christo nie odrywał oczu od portretu.

— Piękną masz kochankę, wicehrabio — odezwał się Monte Christo całkowicie spokojnym głosem — a w tym kostiumie, z pewnością balowym, bardzo jej do twarzy, wygląda zachwycająco.

— O, panie hrabio! — rzekł Albert — to omyłka, której nie darowałbym panu, nawet gdyby obok portretu wisiał inny. Nie znasz pan mojej matki, to ją pan tu widzisz;

[918] *Dupré, Jules* (1811–1889) — fr. malarz, uznawany za pioniera nowoczesnego fr. malarstwa krajobrazowego. [przypis edytorski]

[919] *Delacroix, Ferdinand Victor Eugène* (1798–1863) — fr. malarz, sztandarowy przedstawiciel romantyzmu; jego malarstwo pozostawało pod silnym wpływem Rubensa. [przypis edytorski]

[920] *burnus* — arabskie długie okrycie wełniane bez rękawów. [przypis edytorski]

[921] *Boulanger, Louis* (1806–1867) — fr. malarz, przedstawiciel romantyzmu; ilustrator książek Dumasa; tematem jego dzieł były głównie portrety oraz sceny rodzajowe i religijne. [przypis edytorski]

[922] *Díaz, Narcisse Virgilio* (1807–1876) — fr. malarz pejzażysta pochodzący z Hiszpanii. [przypis edytorski]

[923] *Decamps, Alexandre-Gabriel* (1803–1860) — fr. malarz i grafik, tworzący romantyczne kompozycje o tematyce orientalnej, inspirowane podróżami do Grecji i Turcji. [przypis edytorski]

[924] *Rosa, Salvatore* (1615–1673) — wł. malarz, rytownik, poeta i kompozytor; najbardziej ceniony jako twórca scen batalistycznych i rodzajowych. [przypis edytorski]

[925] *Dauzats, Adrien* (1804–1868) — fr. malarz, twórca pejzaży i obrazów o tematyce orientalnej. [przypis edytorski]

[926] *meczet* — świątynia islamska. [przypis edytorski]

kazała się tak namalować przed ośmiu laty. To kostium fantazyjny, jak się zdaje, a podobieństwo jest tak wielkie, że wydaje mi się, jakbym widział matkę taką, jaka była w 1830. Kazała zrobić ten portret w czasie nieobecności ojca. Chciała zapewne sprawić mu miłą niespodziankę, dziwne, ale portret nie spodobał się ojcu i mimo wartości artystycznej wizerunku, który, jak pan widzisz, należy do najlepszych dzieł Roberta, nie mógł pokonać w sobie tej antypatii[927]. Mówiąc między nami, kochany hrabio, mój ojciec, który jako par przesiaduje w Pałacu Luksemburskim, wybitny teoretyk strategii — jako znawca sztuki jest naprawdę mierny; nie tak jak matka, która sama nieźle maluje. Zbyt sobie ceniąc takie dzieło, by się z nim całkiem rozstawać, dała je mnie. Tutaj już nie razi tak ojca, którego portret pędzla Grosa[928] też panu pokażę. Proszę mi wybaczyć, że mówię panu o tak rodzinnych sprawach, ale będę miał zaszczyt przedstawić panu mojego ojca; proszę, by przypadkiem nie pochwalił pan przed nim tego portretu. A zresztą i na matkę wywiera on przykry wpływ; bo ile razy matka przyjdzie do mnie, niemal zawsze idzie na niego popatrzeć, a gdy na niego patrzy, rzadko się zdarza, by nie płakała. Ten portret sprowadził na nasz dom jedyną jak do tej pory chmurę, która dzieli rodziców, bo choć pobrali się przed ponad dwudziestu laty, żyją ze sobą tak, jakby to był ich miodowy miesiąc.

Monte Christo rzucił szybkie spojrzenie na Alberta jakby chciał doszukać się w jego słowach ukrytej myśli; widać jednak było, że młodzieniec wyrzekł je w zupełnej prostocie ducha.

— Teraz — rzekł Albert — widział już pan wszystkie moje bogactwa; choć niegodne ciebie, racz czuć się wśród nich jak we własnym domu, a żebyś mógł się tu czuć jeszcze swobodniej, zapraszam cię do ojca, któremu pisałem z Rzymu o przysłudze, jaką mi pan oddałeś i zapowiedziałem, żeś mnie przyrzekł odwiedzić w Paryżu. Powiem więcej: rodzice moi czekają z niecierpliwością, aby im wolno było panu podziękować. Wprawdzie nic nie ma już dla pana uroku nowości, hrabio, i życie rodzinne nie może stanowić wielkiej atrakcji dla Sindbada Żeglarza: widział pan tyle ciekawszych rzeczy! A jednak proszę się zgodzić, bym w charakterze inicjacji w życie paryskie zaczął od wzajemnych uprzejmości, wizyt i prezentacji.

Monte Christo skłonił się, nie rzekłszy ni słowa. Przyjął propozycję bez zapału, ale nie okazywał niechęci — jak człowiek wychowany, który uważa za swoją powinność towarzyskie konwenanse.

Albert zawołał lokaja i kazał mu uprzedzić hrabiostwo de Morcerfów, że wkrótce pojawi się u nich hrabia Monte Christo.

Natychmiast też razem z hrabią udali się za lokajem.

W przedpokoju, nad wejściem do salonu, widniał kartusz[929] z herbem; bogato zdobiony, harmonizujący z ornamentami na ścianach wskazywał, ile wagi właściciel pałacu przypisywał swemu klejnotowi.

Monte Christo stanął na chwilę przed herbem i przypatrzył mu się uważnie.

— Na lazurowym polu siedem złotych kosów, na ukos. To z pewnością herb pańskiej rodziny? Pomijając to, że umiem rozszyfrować znaczenie tarczy herbowych, jestem w heraldyce[930] wielkim ignorantem, ja, hrabia z przypadku. Tytuł sfabrykowała mi komandoria[931] Świętego Szczepana w Toskanii; a obyłbym się zresztą bez tej godności, gdyby mi nie powtarzano bez przerwy, że w tak częstych podróżach jest to rzecz bardzo użyteczna. W końcu trzeba mieć coś na drzwiczkach karety, choćby po to, by dawała mi spokój straż celna. Proszę mi więc darować, że o to pytam.

— Pańskie pytanie bynajmniej nie jest niedyskretne — rzekł Morcerf z prostotą człowieka pewnego swojego pochodzenia. — Zgadłeś pan, to nasz herb, a raczej mojego ojca; jest, jak pan widzisz, połączony z innym herbem — mojej matki; po kądzieli[932] pocho-

[927] *antypatia* — niechęć. [przypis edytorski]

[928] *Gros, Antoine-Jean* (1771–1835) — fr. malarz, uważany za prekursora romantyzmu; w czasie wojen napoleońskich wstąpił do wojska i stworzył wiele obrazów, których tematem były dokonania Napoleona. [przypis edytorski]

[929] *kartusz* — obramowanie herbu, przybierające często bardzo skomplikowaną, dekoracyjną formę. [przypis edytorski]

[930] *heraldyka* — nauka pomocnicza historii zajmująca się badaniem herbów. [przypis edytorski]

[931] *komandoria* — order drugiego stopnia. [przypis edytorski]

[932] *po kądzieli* — ze strony rodziny matki. [przypis edytorski]

dzę z Hiszpanii, ale Morcerfowie to prastary francuski ród, ponoć jeden z najstarszych na Południu.

— Tak, tego dowodzą kosy w herbie. Niemal wszyscy zbrojni pielgrzymi, którzy wyruszali na podbój Ziemi Świętej, przyjmowali za godło krzyż jako znak swojego posłannictwa albo wędrownego ptaka, symbol długiej podróży, którą zamierzali odbyć na skrzydłach wiary. Jeden z pańskich przodków z linii męskiej musiał wziąć udział w takiej krzyżowej wyprawie, a choćby nawet było to za Ludwika Świętego[933], to i tak ród pański sięgałby XIII wieku — piękny klejnot.

— To możliwe — rzekł Albert. — W gabinecie mojego ojca jest gdzieś drzewo genealogiczne, które to nam może objaśnić. Napisałem do niego kiedyś uwagi, które mocno by zbudowały panów Hozier[934] i Jaucourt[935]. Teraz już się nad tym nie zastanawiam; ale wyznam panu, bo to należy do zakresu moich obowiązków jako przewodnika, że za obecnego ludowego rządu zaczynają znowu interesować się bardzo tymi rzeczami.

— Cóż, zdaje mi się, że wasz rząd mógłby wybrać ze swojej przeszłości coś lepszego niż te dwie tabliczki, którem widział na waszych pomnikach, a które nie mają żadnego sensu z punktu widzenia heraldyki. Ale pan, Albercie — zwrócił się hrabia do Morcerfa — masz więcej szczęścia niż twój rząd, bo herb twój jest naprawdę piękny i przemawia do wyobraźni. O tak, przecież pochodzisz pan jednocześnie z Prowansji i Hiszpanii; to mi wyjaśnia, jeżeli portret jest rzeczywiście podobny, tę piękną smagłą cerę, która mnie tak zachwyciła u Katalonki.

Chyba tylko Edyp[936] lub sam Sfinks mógłby wyczuć ironię, którą hrabia ukrył w tych słowach, z pozoru pełnych najwyższej uprzejmości; toteż Albert podziękował uśmiechem i poprzedzając hrabiego, pchnął drzwi do salonu.

Na honorowym miejscu w salonie wisiał drugi portret; był to wizerunek mężczyzny lat trzydziestu pięciu do trzydziestu ośmiu, w mundurze generała, noszącego epolety z bulionami[937], ową oznaką wysokiej godności; na szyi miał komandorską wstęgę Legii Honorowej, pierś zdobiły po prawej stronie oficerski medal Zbawiciela[938], po lewej — krzyż orderu Karola III; dowodziło to, że ów człowiek był na wojnie w Grecji i Hiszpanii lub wypełniał w tych krajach jakąś misję dyplomatyczną, za co także mógł owe odznaczenia otrzymać.

Monte Christo przypatrywał się temu portretowi równie uważnie, jak poprzedniemu, analizując szczegół po szczególe, gdy wtem otwarły się boczne drzwi i znalazł się twarzą w twarz z hrabią de Morcerfem.

Był to człowiek w wieku przeszło czterdziestu, a najwyżej czterdziestu pięciu lat, ale wyglądał na co najmniej pięćdziesiąt; jego czarne brwi i wąsy dziwnie kontrastowały z białymi niemal całkiem włosami, ostrzyżonymi po wojskowemu na jeża. Ubrany po cywilnemu, nosił w butonierce wstążki o różnych kolorach, przypominające o orderach, jakimi był dekorowany.

Wszedł dość spiesznie, ale krokiem wcale dystyngowanym.

Monte Christo nie postąpił ku niemu ani kroku; rzekłbyś, że nogi wrosły mu w ziemię. Nie odrywał oczu od twarzy hrabiego.

— Ojcze — rzekł młodzieniec — mam zaszczyt przedstawienia pana hrabiego de Monte Christo, tego szlachetnego przyjaciela, którego miałem szczęście spotkać w tak trudnych — jak wiesz — okolicznościach.

— Miło nam bardzo widzieć pana u nas — ukłonił się z uśmiechem hrabia de Morcerf. — Wyświadczyłeś pan naszemu domowi ogromną przysługę, zachowując mu jedynego dziedzica, za co zachowamy wobec pana dozgonną wdzięczność.

---

[933] *za Ludwika Świętego* — podczas ostatniej krucjaty w 1270 r. [przypis edytorski]

[934] *Hozier, Pierre de* (1592–1660) — fr. genealog, urodzony w Marsylii. [przypis edytorski]

[935] *Jaucourt, Louis de* (1704–1779) — fr. uczony, encyklopedysta. [przypis edytorski]

[936] *Edyp* (mit. gr.) — książę tebański, porzucony przez rodziców jako niemowlę ze względu na nieprzychylną przepowiednię. Udało mu się jako jedynemu prawidłowo odpowiedzieć na zagadkę Sfinksa, co sprawiło, że pokonany potwór rzucił się w przepaść. Tebańczycy, wdzięczni za uwolnienie od nękającego ich Sfinksa, uczynili Edypa swoim królem. [przypis edytorski]

[937] *buliony* (daw.) — frędzle będące ozdobą naramienników na mundurze (tzw. szlifów lub epoletów). [przypis edytorski]

[938] *medal Zbawiciela*, właśc. *Order Zbawiciela* — najwyższe gr. odznaczenie. [przypis edytorski]

To mówiąc, hrabia de Morcerf wskazał fotel hrabiemu Monte Christo i sam usiadł naprzeciwko okna.

Monte Christo, biorąc fotel wskazany przez Morcerfa, ustawił go tak, by pozostawać w cieniu wielkich aksamitnych zasłon a jednocześnie móc swobodnie czytać w zmęczonych i smutnych rysach twarzy hrabiego historię tajemnych cierpień, zapisanych w przedwczesnych zmarszczkach.

— Hrabina — rzekł Morcerf — właśnie ubierała się, gdy syn kazał ją uprzedzić, iż wkrótce będzie miała radość przyjąć pańską wizytę. Za dziesięć minut będzie w salonie.

— To dla mnie wielki honor — rzekł Monte Christo — że w dniu mojego przybycia do Paryża mogę zawrzeć znajomość z człowiekiem, którego zasługi równe są sławie. Choć raz fortuna nie omyliła się co do człowieka, jakiego obdarzyła łaskami; ale czy nie ma ona jeszcze schowanej dla pana laski marszałkowskiej, gdzieś na równinach Metydży[939] lub w górach Atlasu?

— O, dawno opuściłem służbę wojskową — odpowiedział Morcerf, rumieniąc się nieco — zostałem mianowany parem za Restauracji, brałem udział w pierwszej kampanii pod rozkazami marszałka de Bourmont[940]; mogłem ubiegać się o wyższy stopień i kto wie, co by się stało, gdyby starsza linia utrzymała się na tronie? Tylko że rewolucja lipcowa[941] potoczyła się na tyle pomyślnie, że mogła sobie pozwolić na niewdzięczność i okazała ją każdemu, kto nie służył za cesarstwa; poprosiłem więc o dymisję, bo kto zdobył szlify na polu bitwy, nie potrafi manewrować na śliskim terenie salonów; porzuciłem broń, oddałem się polityce i zajmuję się przemysłem, badam sztuki techniczne. Przez dwadzieścia lat służby pragnąłem zawsze się temu poświęcić, ale nie miałem na to czasu.

— Dzięki takim właśnie rzeczom pański naród utrzymuje swoją wyższość nad innymi — rzekł Monte Christo. — Pan, szlachcic, potomek wielkiego rodu, posiadający znakomitą fortunę, postanowiłeś zacząć drogę do zaszczytów jako prosty żołnierz, to rzecz rzadka; potem jako generał, par Francji, komandor Legii, chcesz na nowo rozpoczynać terminowanie[942], mając tylko jedną nadzieję i jedną nagrodę: że kiedyś możesz się stać użyteczny dla bliźnich... O, panie hrabio! To naprawdę piękne. Powiem więcej: to wzniosłe!

Albert patrzył na Monte Christa i słuchał go ze zdumieniem; nie przypuszczał, że hrabia może unosić się entuzjazmem wobec podobnych poglądów.

— Niestety! — mówił dalej cudzoziemiec, aby zapewne uspokoić Morcerfa, który nieco zachmurzył się na te słowa. — My we Włoszech żyjemy inaczej, rozwijamy się według zasad naszego rodu i naszego gatunku, zachowujemy przez całe życie to samo listowie, tę samą wysokość, a często i tę samą bezużyteczność.

— Ale przecież dla pana hrabiego, człowieka tak wybitnego, Włochy nie mogą być ojczyzną; wyciąga do pana ręce Francja, Francja nie wszystkim okazuje niewdzięczność; źle obchodzi się ze swoimi dziećmi, ale gościnnie przyjmuje cudzoziemców.

— E, mój ojcze — rzekł Albert z uśmiechem — widać dobrze, że nie znasz hrabiego Monte Christo, jego dążenia nie mają nic wspólnego ze świetnościami tego świata. Nie pragnie zaszczytów i bierze z nich tylko tytuły, które mu się przydadzą w paszporcie.

— To jest najsłuszniejsza opinia o mnie, jaką kiedykolwiek słyszałem — odparł cudzoziemiec.

— Hrabia był panem swojej przeszłości — westchnął Morcerf — i wybrał drogę usłaną różami.

— Właśnie tak, panie hrabio — odpowiedział Monte Christo z uśmiechem, którego żaden malarz nie byłby w stanie oddać, a fizjonomista na próżno by z rozpaczą analizował.

— Gdybym się nie lękał znużyć pana hrabiego — rzekł generał, widocznie zachwycony sposobem bycia Monte Christa — zabrałbym pana do Izby, bo dziś będzie posiedzenie ciekawe dla każdego, kto nie zna naszych nowożytnych senatorów.

---

[939] *Metydża* — równina w płn. Algierii. [przypis edytorski]

[940] *Bourmont, Louis-Auguste-Victor de Ghaisne de* (1773–1846) — fr. generał, marszałek i polityk. [przypis edytorski]

[941] *rewolucja lipcowa* — kilkudniowe powstanie we Francji w 1830 r., mające na celu zapobieżenie przywróceniu absolutyzmu; w jego wyniku obalony został Karol X Bourbon, a na tron powołano Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

[942] *terminowanie* — nauka rzemiosła u mistrza. [przypis edytorski]

— Niezmiernie byłbym panu wdzięczny, gdyby mi pan zechciał ponowić tę propozycję innym razem; dziś pozwolono mi wierzyć, że będę miał zaszczyt być przedstawionym pani hrabinie.

— O, a mama właśnie przyszła! — zawołał Albert.

Monte Christo, odwróciwszy się żywo, ujrzał panią de Morcerf: stała przy wejściu naprzeciwko drzwi, przez które wszedł jej mąż; gdy Monte Christo zwrócił się do niej, nieruchoma i blada opuściła bezwładnie rękę, którą — nie wiadomo dlaczego — oparła się była o złoconą framugę; była tam już od kilku chwil, słuchając ostatnich słów gościa.

Hrabia powstał i ukłonił się głęboko hrabinie, ta zaś w milczeniu oddała mu ceremonialny ukłon.

— Na Boga, cóż ci jest, pani? — spytał hrabia. — Czy zaszkodziło ci gorąco w salonie?

— Mamo, czy ci słabo? — wykrzyknął Albert, podbiegając do Mercedes.

Podziękowała im uśmiechem.

— Bynajmniej — rzekła. — Wzruszyłam się na widok pana hrabiego; przecież gdyby nie jego interwencja, bylibyśmy teraz we łzach i w żałobie. Panie hrabio — mówiła hrabina, podchodząc z majestatem królowej — winnam ci życie mojego syna i za to dobrodziejstwo błogosławię pana. I dziękuję panu, że ofiarował mi pan okazję, bym panu podziękowała, a czynię to tak, jak pana błogosławiłam — z głębi mojej duszy.

Hrabia skłonił się ponownie, jeszcze głębiej; twarz jego była jeszcze bledsza niż lica Mercedes.

— Pani — rzekł — wynagradzacie mnie państwo zbyt hojnie za czyn tak skromny. Ocalić syna, zaoszczędzić cierpień ojcu i matce, to nie jest dobry czyn, to po prostu czyn ludzki.

Na te słowa, wymówione z wyszukaną łagodnością i uprzejmością, pani de Morcerf odpowiedziała z prawdziwym wzruszeniem:

— To zaiste szczęście dla mojego syna, że znalazł w panu przyjaciela, składam dzięki Bogu za taki zbieg okoliczności.

I Mercedes podniosła piękne oczy ku niebu, z wyrazem tak nieskończonej wdzięczności, że wydało się hrabiemu, jakby zabłysły w nich łzy.

Pan de Morcerf zbliżył się do niej.

— Żono — rzekł — przepraszałem już hrabiego, że muszę go opuścić, zechciej go przeprosić raz jeszcze; sesja otwarła się o drugiej, już jest trzecia, a ja mam przemawiać.

— Idź, mój drogi, a ja postaram się, by nasz gość nie odczuł twojej nieobecności — rzekła hrabina równie wzruszonym co poprzednio głosem. — Panie hrabio — zwróciła się do Monte Christa — raczysz nam wyświadczyć tę łaskę i spędzić resztę dnia u nas?

— Dziękuję pani, chociaż proszę mi wierzyć, że jestem niezmiernie wdzięczny za zaproszenie, ale właśnie dziś rano wysiadłem u drzwi państwa z powozu podróżnego. Nie wiem jeszcze, jak mnie urządzono w Paryżu; wiem zaledwie, i to mniej więcej, gdzie mieszkam. To wprawdzie mała niedogodność, ale jednak nie najbłahsza.

— Zachowujemy więc sobie tę przyjemność na inny raz, przyrzeka pan? — odpowiedziała hrabina.

Monte Christo skłonił się w milczeniu, a ukłon ten mógł ujść za zgodę.

— Nie zatrzymuję więc pana — rzekła hrabina — bo nie chciałabym, aby moja wdzięczność stała się natrętna lub nietaktowna.

— Panie hrabio — odezwał się Albert — jeśli pozwolisz, chciałbym ci się w Paryżu zrewanżować za pańską uprzejmość w Rzymie i oddać ci na usługi mój powóz, póki nie będziesz miał pan własnych.

— Dziękuję stokrotnie, panie Albercie — rzekł Monte Christo. — Spodziewam się jednak, że Bertuccio wykorzystał należycie te cztery i pół godziny, jakie mu zostawiłem, i że w bramie zastanę już mój własny powóz.

Albert, obznajomiony ze sposobem życia hrabiego, nie dziwił się niczemu; chciał tylko sprawdzić, w jaki sposób wykonano jego rozkazy, towarzyszył mu więc do drzwi pałacu.

Hrabia nie mylił się: gdy tylko weszli do przedpokoju, ten sam lokaj, co w Rzymie przyniósł dwóm przyjaciołom bilet wizytowy Monte Christa, wybiegł przed kolumnadę, tak że kiedy znakomity podróżny wyszedł na podest przed drzwiami, powóz już na niego czekał.

Był to ekwipaż z warsztatu Kellera, a zaprzężone konie były to te, których Drake, jak głosiła plotka, nie chciał sprzedać poprzedniego dnia za osiemnaście tysięcy franków.

— Panie Albercie — rzekł Monte Christo — nie zapraszam cię do siebie, gdyż mógłbym panu pokazać tylko naprędce urządzony dom, a jak pan wiesz, mam ustalone zdanie o improwizacjach i chciałbym je zachować; proszę mi darować dzień zwłoki i przyjąć zaproszenie na jutro; będę wtedy pewien, że nie uchybię prawom gościnności.

— Jeśli prosi mnie pan o jeden dzień, panie hrabio, to jestem pewien, że pokaże mi pan raczej pałac niż dom. Stanowczo, musisz mieć pan na swoje rozkazy jakiegoś geniusza.

— O, proszę rozpowszechniać tę opinię — rzekł Monte Christo, wchodząc po aksamitnych stopniach wspaniałego powozu — to mi się przyda wobec dam.

Wskoczył do powozu, zatrzasnął drzwiczki i konie puściły się galopem, ale nie na tyle prędko, by nie był w stanie dostrzec, jak w oknie salonu, gdzie rozstał się z panią de Morcerf, poruszyła się nieznacznie firanka.

Gdy Albert wrócił do matki, zastał ją w buduarze, zagłębioną w wielkim aksamitnym fotelu; cały pokój pogrążony był w mroku, tylko gdzieniegdzie na wypukłościach wazonów lub w załamaniach złoconych ram połyskiwały złotawe refleksy.

Albert nie mógł dostrzec twarzy matki, osłoniętej gazowym[943] szalem, którym spowiła włosy jak jaką mglistą aureolą; ale wydało mu się, że miała zmieniony głos; rozpoznał nadto wśród woni róż i heliotropów[944], zdobiących kwietnik, ostry ślad zapachu soli trzeźwiących; istotnie — na rzeźbionym gzymsie kominka zauważył z niepokojem flakon soli, wydobyty z szagrynowego[945] etui.

— Mamo, źle się czujesz? — zawołał, wchodząc. — Czyżbyś zasłabła, gdy wyszedłem?

— Ja? Nie, nie. Ale widzisz, zapach róż, tuberoz[946] i kwiatów pomarańczowych jest tak silny w początkach upałów, do których nie jesteśmy przyzwyczajeni...

— Więc, mamo — rzekł Albert, wyciągając rękę do dzwonka — trzeba wynieść je wszystkie do przedpokoju. Przecież ty się naprawdę nie czujesz najlepiej; już wtedy, gdy wchodziłaś do salonu, byłaś bardzo blada.

— Mówisz, że byłam blada?

— Z tą bladością jest ci bardzo do twarzy, moja mamo; jednak i mnie, i ojca to bardzo przeraziło.

— Ojciec ci o tym mówił? — zapytała żywo hrabina.

— Nie, powiedział to wprost mamie. Nie pamiętasz?

— Nie.

Wszedł służący, którego przywołał dźwięk dzwonka.

— Wynieś te kwiaty do przedpokoju albo do gotowalni — rzekł Albert. — Szkodzą pani hrabinie.

Służący wziął się do pracy. Podczas tej krzątaniny w pokoju panowało milczenie.

— A tak właściwie, co to za nazwisko, Monte Christo? — zagadnęła hrabina, gdy służący wyszedł, zabierając ostatni wazon. — Czy to nazwisko rodowe, pochodzące od majątku, czy po prostu przydomek?

— To musi być przydomek i nic więcej. Hrabia kupił wyspę w Archipelagu Toskańskim, a z tego, co mówił dziś rano, wynika, że ufundował komandorię. Wiesz, że tak się teraz robi: we Florencji można kupić komandorię Świętego Szczepana, w Parmie[947] Świętego Jerzego, w podobny sposób można zostać kawalerem maltańskim. Zresztą nie ma on wcale pretensji do znakomitego rodu i sam się nazywa hrabią z przypadku, chociaż w Rzymie uważa się go za prawdziwego wielkiego pana.

— Jego maniery są zachwycające — rzekła hrabina. — Sądząc przynajmniej z tego, co mogłam spostrzec przez tych kilka chwil, które u nas zabawił.

---

[943] *gazowy* — tu: wykonany z gazy, tj. lekkiej, przezroczystej tkaniny. [przypis edytorski]

[944] *heliotrop* — roślina o silnym, waniliowym zapachu. [przypis edytorski]

[945] *szagrynowy* — wykonany z szagrynu, tj. ze skóry koziej, cielęcej lub owczej garbowanej w taki sposób, że przypomina skórę jaszczurki. [przypis edytorski]

[946] *tuberoza* — kwiat o białych lub jasnoróżowych płatkach, o charakterystycznym mocnym, upojnym, słodkim zapachu. [przypis edytorski]

[947] *Parma* — miejscowość w płn. Włoszech. [przypis edytorski]

— O, tak, mamo, wśród ludzi, których znam, a pochodzących z najwytworniejszej szlachty w Europie, to znaczy francuskiej, hiszpańskiej i niemieckiej, jego dystynkcja nie ma sobie równej.

Hrabina zastanawiała się przez chwilę i po krótkim wahaniu podjęła:

— Widziałeś, kochany Albercie... chcę cię o to zapytać jako matka, rozumiesz? Widziałeś hrabiego de Monte Christo w jego własnym domu; jesteś inteligentny, obyty, masz więcej intuicji niż twoi rówieśnicy; sądzisz, że hrabia jest rzeczywiście tym, na kogo wygląda?

— A na kogóż on wygląda?

— Sam mówiłeś przed chwilą, że na prawdziwego magnata.

— Mówiłem, mamo, że go za takiego uważają.

— Ale co ty o tym myślisz, Albercie?

— Przyznam się, że nie mam o nim sprecyzowanego zdania; sądzę, że jest Maltańczykiem.

— Nie pytam o jego pochodzenie, pytam o to, jaki jest.

— A, to zupełnie inna rzecz. Widziałem w nim tyle dziwnych cech, że skoro mam ci, mamo, powiedzieć, co o tym myślę, wyznam, że uważałbym go chętnie za jednego z bohaterów Byrona, którego nieszczęście napiętnowało swoim fatalnym znamieniem; jakiś Manfred, Lara albo Werner; jeden z tych potomków starożytnego rodu, którzy wyzuci z ojcowskiego spadku, znajdują sobie własną fortunę siłą swego awanturniczego geniuszu, który stawia ich ponad prawami społeczeństwa.

— Co mówisz?

— Po prostu: Monte Christo to wysepka na Morzu Śródziemnym; bezludna, bez załogi wojskowej, jest bezpieczną kryjówką dla przemytników i piratów wszystkich narodowości i ze wszystkich możliwych krajów. Kto wie, czy zacni przedsiębiorcy nie płacą swemu władcy haraczu za prawo azylu?

— To możliwe — rzekła hrabina w roztargnieniu.

— Mniejsza o to. Kimkolwiek jest, przemytnikiem czy nie, przyznasz wszak, kochana mamo, boś go już widziała, że hrabia de Monte Christo jest człowiekiem niezwykłym i zrobi karierę w salonach paryskich. O właśnie, już dziś rano, u mnie, stawiając pierwsze kroki w świecie, wprawił w zdumienie wszystkich, nawet takiego Château-Renauda.

— Ile też może mieć lat? — spytała Mercedes, przywiązując wyraźnie wielką wagę do tego pytania.

— Trzydzieści pięć do trzydziestu sześciu.

— Taki młody! To niemożliwe — szepnęła Mercedes, odpowiadając jednocześnie na to, co powiedział Albert, i na to, co nasuwały jej myśli.

— A jednak tak jest. Kilka razy mówił mi i to bez konkretnego celu: wtedy a wtedy miałem lat pięć, wtedy a wtedy dziesięć, a kiedy indziej dwanaście. Ciekawość sprawiła, że uważałem na te szczegóły, porównywałem daty i nigdy nie złapałem go na najmniejszej sprzeczności. Ten szczególny człowiek, który nie ma określonego wieku, liczy na pewno około trzydziestu pięciu lat. Prócz tego, przypominasz sobie, mamo? jak żywo spoglądają jego oczy; nie ma ani jednej srebrnej nitki we włosach, a na jego czole, choć bladym, nie widać ani jednej zmarszczki. To nie tylko organizm żywotny, ale do tego jeszcze młody.

Hrabina opuściła głowę, jakby pod ciężarem gorzkich myśli.

— I ten człowiek okazuje ci przyjaźń? — odezwała się z nerwowym drgnieniem.

— Tak mi się przynajmniej zdaje.

— A ty... ty też go polubiłeś?

— Bardzo mi przypadł do gustu, cokolwiek by o tym mówił Franz, który chciał mi wmówić, że hrabia wrócił z tamtego świata.

Hrabina drgnęła z przerażenia.

— Albercie — rzekła z trudem — mówiłam ci tyle razy, abyś ostrożnie zawierał nowe znajomości; teraz jesteś już mężczyzną i mógłbyś mi sam udzielać rad; a jednak powtarzam: bądź ostrożny.

— Mamo, żebym mógł skorzystać z twojej rady, najpierw powinienem wiedzieć, czego mam się strzec. Hrabia nie grywa, hrabia pije tylko czystą wodę zabarwioną kilku kroplami wina hiszpańskiego; hrabia jest tak bogaty, że pożyczałby ode mnie pieniędzy chyba na żarty; czego więc miałbym się obawiać ze strony hrabiego?

— Masz słuszność. Moje obawy są niedorzeczne, tym bardziej względem człowieka, który ci ocalił życie... Ale, ale, czy twój ojciec dobrze go przyjął? Musimy być dla hrabiego nadzwyczaj uprzejmi, to bardzo ważne. Ojciec jest często zaaferowany, przejmuje się swoimi interesami, mógłby więc mimo woli...

— Ojciec zachował się doskonale — przerwał Albert. — Powiem więcej: wydało mi się, że go bardzo ujęły komplementy, niezwykle zręczne, które hrabia mu podrzucił tak zgrabnie, a jednocześnie trafnie, jakby go znał od trzydziestu lat. Każda z tych pochwalnych strzałek bardzo przyjemnie połechtała papę — roześmiał się Albert — do tego stopnia, że rozstali się jak najlepsi przyjaciele. A papa chciał go nawet zaprowadzić do Izby, żeby się popisać przed nim swoją mową.

Hrabina nie odpowiedziała ani słowa; była tak głęboko zatopiona w myślach, że z wolna zamknęły jej się oczy.

Młodzieniec stał przed nią i patrzył na nią z ową synowską miłością, o tyle tkliwszą i serdeczniejszą, jeśli matka jest młoda i wciąż piękna. Spostrzegłszy, że przymknęła powieki i pogrążyła się w słodkim odrętwieniu, przez chwilę przysłuchiwał się jej oddechowi, a sądząc, że zasnęła, oddalił się lekko na palcach, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

— To diabeł, nie człowiek — mruczał sam do siebie, potrząsając głową. — Przepowiedziałem mu, że wywoła tu sensację; a właśnie widzę tego efekt na niezawodnym termometrze. Zauważyła go matka, a więc musi być naprawdę godzien uwagi.

Zszedł do stajni, nie bez skrywanej irytacji, że Monte Christo, nawet o tym nie myśląc, położył rękę na zaprzęgu, który odeśle jego gniadosze[948] w oczach znawców na miejsce nr 2.

— Stanowczo — rzekł — ludzie nie są sobie równi. Muszę poprosić ojca, aby rozwinął tę tezę przed Wysoką Izbą.

41. BERTUCCIO

Hrabia przyjechał tymczasem do domu; zajęło mu to sześć minut. Tych sześć minut wystarczyło, by przyuważyło go ze dwudziestu złotych młodzieńców znających dobrze cenę zaprzęgu, którego sami nie byli w stanie kupić, i spięło konie w galop, aby zerknąć na magnata, który sobie sprawiał konie po dziesięć tysięcy franków sztuka.

Ali wybrał na miejską rezydencję hrabiego Monte Christo dom położony po prawej stronie u końca Pól Elizejskich, z dziedzińcem i ogrodem; gęste drzewa wznoszące się pośrodku dziedzińca zakrywały część fasady; kępę drzew ujmowały niczym ramiona dwie alejki, którymi powozy mogły zajeżdżać od okratowanej bramy przed sam ganek o podwójnych schodach; na każdym stopniu stał porcelanowy wazon z kwiatami.

Dom stał samotnie; miał oprócz wejścia głównego jeszcze inne, wychodzące na ulicę Ponthieu.

Zanim stangret zawołał odźwiernego, żelazna krata obróciła się na zawiasach; widziano, jak zbliżał się powóz i hrabia został obsłużony z równie błyskawiczną szybkością, jak to się działo w Rzymie.

Stangret wjechał, zakreślił półkole, nie zwalniając ani trochę; brama zamknęła się, nim koła przestały zgrzytać na piasku alejki.

Powóz zatrzymał się po lewej stronie ganku; przy drzwiczkach natychmiast pojawiło się dwóch ludzi; jednym z nich był Ali, który uśmiechnął się do swego pana z niewymowną, najszczerszą radością, uszczęśliwiony jednym spojrzeniem Monte Christa.

Drugi skłonił się nisko i podał rękę hrabiemu, by pomóc mu wysiąść z powozu.

— Dziękuję, panie Bertuccio — rzekł hrabia, zeskakując lekko ze stopni powozu. — Co z notariuszem?

— Czeka w małym salonie, ekscelencjo.

— A bilety wizytowe, które ci kazałem zamówić, skoro będziesz znał numer domu?

— Już gotowe, panie hrabio. Byłem u najlepszego litografa[949] w Palais Royal[950] i w mojej obecności przygotował płytkę; pierwszy odbity bilet został odniesiony natych-

[948] *gniadosz* — koń o maści gniadej, czyli brązowej. [przypis edytorski]

[949] *litograf* — osoba wykonująca odbitki za pomocą płyty kamiennej. [przypis edytorski]

[950] *Palais Royal* — pałac w centrum Paryża; za panowania Ludwika I Filipa pełnił funkcję rezydencji królewskiej; w arkadach pałacu funkcjonowały kawiarnie i sklepy. [przypis edytorski]

miast stosownie pańskich rozkazów do pana barona Danglarsa, deputowanego, Chaussée-d'Antin 7, inne leżą na kominku w sypialni pana hrabiego.

— Dobrze. Która godzina?

— Czwarta.

Monte Christo oddał rękawiczki, cylinder i laskę lokajowi francuskiemu, temu samemu, który wybiegł z antyszambrów[951] u Morcerfów, aby przywołać powóz; następnie poszedł do saloniku — drogę wskazywał mu Bertuccio.

— Nie najładniejsze te marmury w przedpokoju — rzekł Monte Christo. — Spodziewam się, że je stąd usuniecie.

Bertuccio skłonił się.

Jak uprzedził intendent, notariusz czekał w saloniku.

Miał poczciwą fizjonomię podrzędnego urzędnika, któremu udało się zdobyć rzecz nieosiągalną — stanowisko notariusza na przedmieściu.

— To pan jesteś notariuszem, który w imieniu właścicieli ma sprzedać dom, który chciałbym kupić? — spytał Monte Christo.

— Tak, panie hrabio — odrzekł notariusz.

— Czy akt sprzedaży już gotów?

— Gotowy, panie hrabio.

— Przyniósł go pan?

— Oto i on.

— Doskonale. A gdzie się ten dom znajduje? — zapytał niedbale Monte Christo, zwracając się w połowie do Bertuccia, w połowie do notariusza.

Intendent wykonał gest, który znaczył: „nie wiem".

Notariusz spojrzał zdziwiony na Monte Christo.

— Jak to? — rzekł. — To pan hrabia nie wie, gdzie się znajduje dom, który chce kupić?

— Ano nie — odparł hrabia.

— I pan hrabia go wcale nie zna?

— Jak miałbym, u diabła, go znać? Dziś rano przyjechałem z Kadyksu[952], nie byłem nigdy wcześniej w Paryżu i pierwszy raz noga moja stanęła we Francji.

— A, to co innego — odpowiedział notariusz. — Dom, który pan hrabia pragnie kupić, leży w Auteuil.

Na te słowa Bertuccio zbladł.

— A gdzież to? — zapytał Monte Christo.

— Dwa kroki stąd, panie hrabio. Zaraz za Passy, cudowne położenie, w samym środku Lasku Bulońskiego.

— Tak blisko? Ależ to nie na wsi? Panie Bertuccio, jak mogłeś, u diabła, wybrać mi dom tuż przy rogatkach Paryża?

— Ja? — zawołał intendent z osobliwym pośpiechem. — O, to na pewno nie mnie pan hrabia polecił wyszukanie tego domu; niech pan hrabia raczy sobie przypomnieć, poszperać w pamięci...

— A, prawda — rzekł Monte Christo — przypominam sobie teraz! Przeczytałem ogłoszenie w jakimś dzienniku i dałem się zwieść kłamliwemu tytułowi „Dom wiejski".

— Jeszcze czas — wtrącił spiesznie Bertuccio. — Jeżeli pan hrabia raczy mi zlecić, bym poszukał gdzie indziej, znajdę na pewno, co tylko będzie najlepszego w Enghien, Fontenay-aux-Roses czy w Bellevue.

— E, nie trzeba — rzekł niefrasobliwie Monte Christo. — Skoro już znaleźliśmy ten dom, niech tak zostanie.

— I pan hrabia ma słuszność — wtrącił skwapliwie notariusz, z obawy, by nie stracić honorarium[953]. — To prześliczna posiadłość: strumyki, gęste zagajniki, mieszkanie wygodne, chociaż od dawna opuszczone; nie mówiąc już o meblach, które są wprawdzie stare, ale mają pewną wartość, szczególnie dziś, kiedy wszyscy szukają staroci. Ale przepraszam, pan hrabia chyba gustuje w dzisiejszej epoce.

---

[951] *antyszambr* (z fr.) — przedpokój. [przypis edytorski]

[952] *Kadyks* — miasto w płd. Hiszpanii, w regionie Andaluzja. [przypis edytorski]

[953] *honorarium* — wynagrodzenie za usługę dla osoby wykonującej wolny zawód (np. dla lekarza, prawnika). [przypis edytorski]

— Ależ proszę mówić dalej, nie szkodzi. A więc jest przyzwoity?

— Panie hrabio, przyzwoity? Wspaniały!

— Tam do kata, nie traćmy takiej okazji — rzekł Monte Christo. — Proszę o kontrakt.

Podpisał szybko, rzuciwszy okiem na miejsce, gdzie w akcie określono położenie domu i nazwisko właścicieli.

— Panie Bertuccio, proszę dać panu notariuszowi pięćdziesiąt pięć tysięcy franków.

Intendent wyszedł dość niepewnym krokiem i wrócił z plikiem banknotów, które notariusz, jako człowiek nienawykły przyjmować pieniądze bez niezbędnych formalności, uważnie przeliczył.

— A teraz — zapytał hrabia — dopełniliśmy już wszystkich formalności?

— Tak, panie hrabio.

— Czy masz pan klucze?

— Klucze zostawiono u odźwiernego, który pilnuje domu; ale tu jest list z poleceniem, by przyjął pana jako właściciela.

— Bardzo dobrze.

I Monte Christo kiwnął głową notariuszowi, co znaczyło wyraźnie: „już pana nie potrzebuję, możesz sobie iść".

— Ale przepraszam — rzekł nieśmiało poczciwy notariusz. — Pan hrabia zapewne omylił się, należy mi się tylko pięćdziesiąt tysięcy.

— A pańskie honorarium?

— Już jest zawarte w tej sumie, panie hrabio.

— Ale czyż nie pofatygowałeś się pan z Auteuil?

— Tak.

— A więc trzeba pana wynagrodzić za fatygę — zakończył hrabia i pożegnał go gestem.

Notariusz wyszedł tyłem, kłaniając się aż do ziemi. Pierwszy to raz od chwili, gdy objął swój urząd, zdarzył mu się taki klient.

— Proszę odprowadzić pana notariusza — zwrócił się do Bertuccia hrabia.

Intendent wyszedł za notariuszem.

Skoro tylko hrabia został sam, wydobył z kieszeni zamknięty pugilares i otworzył go małym kluczykiem, który zawsze nosił na szyi.

Przez chwilę szperał, aby w końcu zatrzymać się nad karteluszkiem z jakimiś notatkami; porównał je z aktem sprzedaży złożonym na stole, i zbierając wspomnienia, rzekł sam do siebie:

— Auteuil, ulica de la Fontaine 28; to właśnie to. A teraz, czy mam wyrwać wyznanie, odwołując się do obaw religijnych czy do środków bardziej świeckich? W każdym razie za godzinę będę wiedział wszystko. Bertuccio! — zawołał, uderzając młoteczkiem o giętkiej rączce w dzwonek, który wydał dźwięk ostry i przeciągły, podobny do brzmienia tam-tamu[954]. — Bertuccio!

Intendent stanął w drzwiach.

— Panie Bertuccio — rzekł hrabia — czy nie mówiłeś mi kiedyś, żeś dużo podróżował po Francji.

— Tak, ekscelencjo, zwiedziłem niektóre prowincje Francji.

— A więc na pewno znasz też i okolice Paryża?

— Nie, panie hrabio, nie — odparł intendent i wstrząsnął nim nerwowy dreszcz, który Monte Christo, znawca ludzkich emocji, odczytał jako wyraz żywego zaniepokojenia.

— O, to szkoda — rzekł — żeś nigdy nie był w okolicach Paryża, bo chciałbym jeszcze dziś wieczorem zwiedzić moją nową posiadłość; a mógłbyś mi więc po drodze udzielić paru użytecznych objaśnień.

— Do Auteuil! — zawołał Bertuccio, a jego oliwkowa twarz powlekła się trupią bladością. — Ja mam jechać do Auteuil?

— A cóż w tym dziwnego, że masz pan jechać ze mną do Auteuil? Kiedy tam zamieszkam, i pan tam będziesz musiał mieszkać jako jeden z moich domowników.

---

[954] *tam-tam* — odmiana gongu, azjatycki instrument muzyczny w postaci zawieszanej pionowo metalowej tarczy, w którą uderza się pałką o miękkiej główce. [przypis edytorski]

Bertuccio spuścił głowę pod władczym wzrokiem pana; nie odpowiadając, stał nieruchomo w miejscu.

— Ale cóż to się z panem dzieje? Mam po raz drugi zadzwonić o konie? — spytał Monte Christo tonem, którego użył Ludwik XIV, gdy wymawiał słynne: „O mało nie czekałem!”[955].

Bertuccio podskoczył błyskawicznie z saloniku do przedpokoju i krzyknął chrapliwym głosem:

— Konie dla pana hrabiego!

Monte Christo napisał w międzyczasie kilka listów, a gdy pieczętował ostatni, powrócił intendent.

— Powóz pana hrabiego gotowy.

— A więc bierz pan rękawiczki i kapelusz.

— Mam jechać z panem hrabią? — wykrzyknął Bertuccio.

— Naturalnie! Przecież mam tam zamieszkać, a więc powinieneś pan wydać odpowiednie rozkazy.

Sprzeciwić się hrabiemu było rzeczą bez precedensu.

Intendent więc już bez dalszych obiekcji poszedł za swym panem, który wsiadł do powozu i dał mu znak, aby wsiadł z nim razem.

Intendent usadowił się z uszanowaniem na przedzie powozu.

42. DOM W AUTEUIL

Monte Christo spostrzegł, że schodząc ze schodów, Bertuccio przeżegnał się na sposób korsykański, to znaczy nakreślił w powietrzu kciukiem kształt krzyża, a siadając do powozu, wymamrotał po cichu jakąś krótką modlitwę.

Każdy inny, mniej ciekawy, ulitowałby się, widząc taki wstręt u czcigodnego intendenta do tej przejażdżki *extra muros*[956]; hrabia jednak był zbyt ciekawy, aby podarować Bertucciowi ten mały spacer.

Po dwudziestu minutach dojechali do Auteuil. Gdy wjechali do wsi, Bertuccio, wciśnięty w kąt powozu, jął z gorączkowym podnieceniem przyglądać się pilnie wszystkim budowlom, jakie mijali.

— Każ pan stanąć na ulicy de la Fontaine 28 — rzekł hrabia, uporczywie i bezlitośnie wpatrując się w intendenta.

Pot zrosił twarz Bertuccia; a jednak usłuchał rozkazu i wychylając się z powozu, zawołał do stangreta:

— Ulica de la Fontaine 28.

Numer 28 znajdował się na końcu wsi. Tymczasem, gdy jechali, zapadła noc — albo raczej na niebo nasunęła się czarna chmura; przepełniona elektrycznością nadawała tej przedwczesnej ciemności uroczysty wygląd jakowejś dramatycznej chwili.

Powóz stanął, lokaj pospieszył, aby otworzyć drzwiczki.

— Cóż to, panie Bertuccio, nie zamierza pan wysiadać? Chcesz pan zostać w powozie? O czymże, u diabła, dziś pan myślisz?

Bertuccio wyskoczył z powozu i podał ramię hrabiemu, który tym razem oparł się na nim i z wolna zszedł stopień po stopniu.

— Zastukaj — rzekł hrabia — i oznajmij mnie.

Bertuccio zastukał, drzwi się otwarły i wyszedł odźwierny.

— O co chodzi? — zapytał.

— O to, dobry człowieku, że przyjechał twój nowy pan — odparł lokaj.

I podał odźwiernemu list od notariusza.

— A to dom jest już sprzedany — zapytał odźwierny — i ten pan ma w nim zamieszkać?

— Tak, przyjacielu — rzekł hrabia. — Postaram się, abyś nie żałował dawnego pana.

---

[955] *O mało nie czekałem!* — słowa te Ludwik XIV miał powiedzieć, gdy jego karoca podjechała pod Wersal punktualnie. [przypis edytorski]

[956] *extra muros* (łac.) — poza murami. [przypis edytorski]

— O, proszę pana, nie mam powodu go żałować, bośmy go bardzo rzadko widywali; od pięciu lat nie był tu nawet raz i do licha, dobrze zrobił, że sprzedał dom, który mu nie dawał wcale dochodu.

— Jakże się twój dawny pan nazywał? — spytał Monte Christo.

— Pan markiz de Saint-Méran. O, jestem pewny, że go nie sprzedał za tyle, za ile kupił.

— Markiz de Saint-Méran... — zastanowił się Monte Christo. — Zdaje mi się, że to nazwisko nie jest mi obce... Markiz de Saint-Méran...

I zdawał się szukać czegoś w pamięci.

— Stary szlachcic — mówił odźwierny — wierny sługa Burbonów, miał jedyną córkę, która poszła za pana de Villeforta, niegdyś prokuratora królewskiego w Nîmes, a potem w Wersalu.

Monte Christo zerknął na Bertuccia: intendent był bledszy niż ściana, o którą się oparł, aby nie upaść.

— Czy ta córka aby nie umarła? Zdaje mi się, że coś takiego słyszałem...

— Tak, proszę pana, lat temu około dwadzieścia i od tego czasu nasz biedny pan markiz był tu tylko dwa czy trzy razy.

— Dziękuję, dziękuję — rzekł Monte Christo, sądząc po zrozpaczonym wyglądzie intendenta, że nie powinien dłużej naciągać struny, aby nie pękła. — Daj nam jakie światło, dobry człowieku.

— Mam iść z panem?

— Nie trzeba, Bertuccio mi poświeci — i Monte Christo do tych słów dołączył dwie sztuki złota, za co odźwierny zasypał go błogosławieństwami.

— O, proszę pana — odezwał się odźwierny, obmacawszy na próżno gzyms kominka i półki — ale nie mam tu świecy.

— Panie Bertuccio, proszę wziąć latarnię i obejść ze mną pokoje — rzekł hrabia.

Intendent bez żadnych uwag spełnił rozkaz, ale było widać z drżenia ręki, w której trzymał latarnię, ile kosztuje go to posłuszeństwo.

Zwiedzili dosyć obszerny parter, a następnie pierwsze piętro, składające się z salonu, łazienki i dwóch sypialni; z jednej z nich wychodziło się na kręcone schodki prowadzące do ogrodu.

— Patrz, schody dla służby — zauważył hrabia. — To całkiem wygodne. Poświeć no, panie Bertuccio; idź przodem, zobaczymy, gdzie nas te schody zaprowadzą.

— Panie hrabio, te schody prowadzą do ogrodu.

— A skądże o tym wiesz?

— To znaczy, tak mi się wydaje.

— A więc trzeba się przekonać.

Bertuccio westchnął i poszedł naprzód.

Schody wychodziły rzeczywiście na ogród.

Przy drzwiach na zewnątrz intendent zatrzymał się.

— No, dalej, panie Bertuccio — mówił hrabia.

Ale intendent stał prawie bez zmysłów, oszołomiony i pognębiony; jego błędne oczy jakby szukały wokół śladów jakiejś straszliwej przeszłości; dłonie kurczowo zaciśnięte jakby próbowały odepchnąć okropne wspomnienia.

— No, czemu pan nie idzie? — nalegał hrabia.

— Nie, nie! — wykrzyknął Bertuccio, stawiając w rogu latarnię. — Nie, panie hrabio, nie pójdę dalej ani kroku! Nie mogę.

— Co to ma znaczyć? — wycedził Monte Christo głosem, któremu trudno było się oprzeć.

— Ale pan hrabia nie widzi — zawołał intendent — że to wszystko nie może być rzeczą naturalną? Chce pan kupić dom w Paryżu i kupuje go pan właśnie w Auteuil; i jest to akurat dom pod nr 28 przy ulicy de la Fontaine... Ach, panie hrabio, czemużem nie powiedział panu wszystkiego od razu! Na pewno by pan wtedy nie wymagał, abym tu przyjechał. Nie sądziłem zresztą, że pan hrabia kupi akurat ten dom. Jak gdyby nie było w Auteuil innych domów oprócz tego, w którym doszło do morderstwa!

— Oho! — zatrzymał się nagle Monte Christo. — A cóż to za okropne wyrzekłeś słowo! Diabeł nie człowiek! Niepoprawny Korsykanin, nic, tylko tajemnice i zabobony!

No, dalej, weź pan latarnię i przejdźmy się po ogrodzie. Ze mną nie będziesz się chyba bał!

Bertuccio podniósł latarnię i usłuchał.

Za otwartymi drzwiami ukazało się sine niebo, gdzie księżyc na próżno próbował walczyć z istnym morzem chmur, które zakrywały go ciemnymi falami. Rozświetlał je na chwilę, a potem ginęły jeszcze ciemniejsze w otchłaniach nieskończoności.

Intendent chciał zwrócić się na lewo.

— Nie, mój panie — rzekł Monte Christo. — Po co mamy wchodzić na alejki? Mamy przed sobą tak piękny trawnik, idźmy prosto.

Bertuccio otarł pot spływający mu z czoła, ale posłuchał, a mimo to nadal próbował kierować się w lewo.

Monte Christo przeciwnie, szedł cały czas w prawą stronę i zatrzymał się pod kępą drzew. Intendent nie wytrzymał.

— Panie hrabio, proszę stamtąd odejść, błagam! — zawołał. — Jest pan dokładnie w tym miejscu!

— W jakim miejscu?

— W miejscu, gdzie on upadł.

— Kochany panie Bertuccio — roześmiał się Monte Christo. — Opamiętaj się, proszę; nie jesteśmy w Sartene ani w Corte[957]. To nie *maquis*[958], to ni mniej ni więcej angielski ogród[959]; źle utrzymany, przyznaję, ale nie trzeba go od razu za to oczerniać.

— Niech pan hrabia stamtąd odejdzie, błagam, błagam!

— Mości Bertuccio, ty chyba zwariowałeś — rzekł zimno hrabia. — A jeśli tak, to uprzedź mnie, będę cię mógł wtedy zamknąć w domu dla wariatów, zanim zdarzy się jakie nieszczęście.

— Niestety, ekscelencjo — rzekł Bertuccio, potrząsając głową i załamując ręce takim gestem, że rozśmieszyłby tym hrabiego, gdyby go tak mocno nie pochłonęła ta ważna chwila, przez co obserwował pilnie najmniejszy odruch tego człowieka, objawiający stan jego zatrwożonego sumienia. — Niestety, panie hrabio, nieszczęście się już stało!

— Panie Bertuccio — rzekł hrabia. — Muszę ci wyznać, że machasz i wywijasz rękami, i do tego wywracasz oczami jak potępieniec, z którego diabeł za nic nie chce wyjść; a zdążyłem zauważyć, że najbardziej uparty diabeł, co nie chce opuścić człowieka, to jego tajemnica. Wiem, żeś Korsykanin, wiem, żeś człowiek ponury i że drąży cię jakaś stara historia vendetty; we Włoszech puszczałem to mimo, bo we Włoszech te rzeczy są bardzo zwyczajne; ale we Francji morderstwo uważa się powszechnie za rzecz w najgorszym tonie: zajmują się tym żandarmi, potępiają to sędziowie, a szafot dokonuje zemsty.

Bertuccio złożył ręce, a ponieważ wykonując wciąż te dziwne gesty, nie wypuszczał latarni, blask oświetlił jego zmienioną twarz.

Monte Christo patrzył na niego przez chwilę tym wzrokiem, jakim w Rzymie przypatrywał się egzekucji na Andrei; a potem odezwał się głosem, który na nowo przejął wskroś dreszczem biednego intendenta:

— A więc ksiądz Busoni oszukał mnie, gdy po swojej podróży po Francji, w 1829 roku, przysłał cię do mnie z listem rekomendacyjnym, polecając mi twoje cenne zalety? No cóż, napiszę do księdza, że jest odpowiedzialny za swego protegowanego, a z pewnością dowiem się, o co chodzi z tym morderstwem. Jednak uprzedzam cię, panie Bertuccio, że kiedy mieszkam w jakimś kraju, zwykłem stosować się do jego praw i nie mam bynajmniej ochoty, by poróżnić się dla ciebie z francuską sprawiedliwością.

— O, niech pan tego nie robi, ekscelencjo! Czyż nie służyłem panu wiernie? — zawołał w rozpaczy Bertuccio. — Byłem zawsze uczciwym człowiekiem, a nawet więcej: spełniałem, ile się tylko dało, dobre uczynki.

— Nie mówię, że nie — odparł hrabia — ale dlaczego u diabła tak się dziś pan podniecasz? Zły to znak; czyste sumienie nie powleka taką bladością twarzy ani nie wywołuje takiego drżenia rąk.

---

[957] *Sartene, Corte* — miejscowości na Korsyce. [przypis edytorski]

[958] *maquis* (fr.) — makia, tj. typowe dla obszaru śródziemnomorskiego gęste zarośla; kryli się w nich bandyci, a w czasie II wojny światowej partyzanci. [przypis edytorski]

[959] *angielski ogród* — typ ogrodu, który ma naśladować krajobraz naturalny; przeciwieństwo geometrycznego, silnie aranżowanego ogrodu francuskiego. [przypis edytorski]

— Ależ, panie hrabio — zawahał się Bertuccio — czyż sam nie powiedziałeś, że ksiądz Busoni, który wysłuchał mej spowiedzi w więzieniu w Nîmes, uprzedził cię, że moje sumienie obciąża wielki grzech?

— Tak, ale kiedy cię do mnie przysłał, zapewniając, że nadasz się na wybornego intendenta, myślałem, żeś coś gdzieś ukradł i nic więcej!

— O, panie hrabio! — zawołał z oburzeniem Bertuccio.

— Albo że, jako Korsykanin, dobrałeś się komuś do skóry, jak to się u was eufemistycznie[960] mówi na zabójstwo.

— Ano właśnie, panie hrabio, właśnie tak! — zawołał Bertuccio, rzucając się do nóg hrabiemu. — Tak, to była tylko zemsta, przysięgam, zwykła zemsta.

— Rozumiem, ale jednak nie mogę zrozumieć, dlaczego tak cię poraża ten dom.

— Ale, jaśnie wielmożny panie, to zupełnie naturalne. W tym domu została dokonana zemsta.

— Jak to? W moim domu?

— O, jaśnie panie, wtedy nie należał do pana — odpowiedział naiwnie Bertuccio.

— Ale do kogo więc należał? Do markiza de Saint-Mérana, jak mówił odźwierny? Za cóż u diabła mściłeś się na markizie de Saint-Méranie?

— O, to nie na nim, panie hrabio, na kim innym.

— To dopiero szczególny zbieg okoliczności — rzekł Monte Christo, jakby przez chwilę pogrążył się w myślach — że ni stąd ni zowąd, zupełnie niechcący znalazł się pan w domu, w którym odbył się akt, przyprawiający cię o tak okropne wyrzuty sumienia.

— Panie hrabio, to nic więcej, tylko fatalność[961], jestem tego pewien. Najpierw kupiłeś pan dom, akurat w Auteuil, akurat ten dom, gdzie popełniłem morderstwo; schodzisz pan do ogrodu właśnie po tych schodach, po których on schodził; stajesz pan właśnie w miejscu, gdzie dostał śmiertelny cios; dwa kroki dalej, pod platanem, był grób, w którym pochował dziecko... To wszystko nie jest dziełem przypadku, o nie! Bo w takim razie przypadek zbyt przypominałby Opatrzność.

— No, to mój panie z Korsyki, załóżmy, że to Opatrzność, ja zwykle zgadzam się na wszystko; a zresztą chorym umysłom trzeba ustępować. Dalej, pozbieraj myśli i opowiedz mi wszystko.

— Raz tylko w życiu opowiadałem o tym, właśnie księdzu Busoniemu. Takie rzeczy — dodał Bertuccio, potrząsając głową — wyjawia się tylko pod tajemnicą spowiedzi.

— A więc, mój drogi Bertuccio, pogodzisz się z tym, że cię odeślę do twojego spowiednika; będziecie się razem zabawiali w kartuzów[962] lub bernardynów[963] i będziecie sobie gwarzyli do woli o waszych sekretach. Ale ja boję się takich ludzi, których przerażają zjawy; nie podoba mi się, gdy służba nie śmie wieczorem wychodzić do ogrodu. Ponadto, wyznaję szczerze, nie życzyłbym sobie odwiedzin komisarza policji; powinieneś bowiem wiedzieć, panie Bertuccio, że we Włoszech płaci się sprawiedliwości tylko wtedy, gdy milczy, ale we Francji płaci się jej przeciwnie — kiedy gada. Do licha, wiedziałem, że jesteś po trosze Korsykaninem, w dużej mierze przemytnikiem i nadzwyczaj dobrym intendentem, ale widzę teraz, że masz jeszcze wiele w zanadrzu. Odprawiam cię, panie Bertuccio.

— O, jaśnie panie, jaśnie panie! — zawołał intendent przerażony tą groźbą. — Jeśli tylko od tego zależy moje miejsce u pana, opowiem panu, opowiem wszystko; a jeżeli pana opuszczę, o, wtedy pójdę prosto na szafot.

— To co innego — rzekł Monte Christo. — Ale gdybyś chciał kłamać, zastanów się dobrze: już lepiej, żebyś nic nie mówił.

— O, nie, panie hrabio! Przysięgam na zbawienie duszy mojej, powiem wszystko! Nawet sam ksiądz Busoni poznał tylko część mojej tajemnicy. Ale błagam pana, niech pan najpierw odejdzie od tego platana; o, księżyc zaraz rozświetli tę chmurę i jak pan tak stoi w tym miejscu, owinięty w pelerynę, który kryje sylwetkę, wydaje się pan podobny do pana de Villeforta...

---

[960] *eufemistycznie* — używając łagodniejszego określenia. [przypis edytorski]

[961] *fatalność* — nieszczęśliwy zbieg okoliczności. [przypis edytorski]

[962] *kartuzi* — założony w 1084 r. przez św. Brunona z Kolonii katolicki zakon o bardzo surowej regule. [przypis edytorski]

[963] *bernardyni* — członkowie odłamu zakonu franciszkanów w Polsce. [przypis edytorski]

— Jak to? — wykrzyknął Monte Christo. — To był pan de Villefort?...

— Ekscelencja go zna?

— Dawny prokurator królewski w Nîmes?

— Ten sam.

— Który się ożenił z córką markiza de Saint-Mérana? I który w środowisku adwokatów ma opinię najuczciwszego, najsurowszego i najbardziej nieugiętego prokuratora?

— A więc, panie hrabio — zawołał Bertuccio — ten człowiek o nieposzlakowanej reputacji...

— Tak?

— To kanalia.

— Oho, to niemożliwe.

— Jest tak, jak ja mówię.

— Doprawdy? — spytał Monte Christo. — I masz na to dowody?

— A przynajmniej miałem.

— I zgubiłeś je, niezdaro?

— Tak, ale gdyby dobrze poszukać, może by się znalazły.

— Coś podobnego! Opowiedzże mi to wszystko, panie Bertuccio, bo to rzeczywiście zaczyna mnie interesować.

I hrabia, nucąc jakąś aryjkę[964] z *Łucji*[965], poszedł usiąść na ławce; Bertuccio, przywołując wspomnienia, podążył za nim.

43. VENDETTA

— Od czego pan hrabia sobie życzy, bym rozpoczął opowiadanie? — spytał Bertuccio.

— Od czego ci się żywnie podoba — rzekł Monte Christo. — Przecież jeszcze nic nie wiem.

— A ja myślałem, że ksiądz Busoni mówił ekscelencji...

— Tak, na pewno mi podał kilka szczegółów, ale to było przeszło siedem czy osiem lat temu; już nic nie pamiętam.

— Mogę więc bez obawy, że znudzę pana hrabiego...

— Mów, panie Bertuccio, proszę bardzo, zastąpisz mi dziennik wieczorny.

— Rzecz sięga roku 1815.

— Oho ho! Rok 1815 to rzeczywiście dawno temu.

— A jednak wszystkie najdrobniejsze szczegóły tak mi się wyryły w pamięci, jakby to wszystko stało się wczoraj.

Miałem starszego brata, który służył w wojsku za cesarza. Był porucznikiem w pułku złożonym z samych Korsykaninów. Był moim jedynym przyjacielem; zostaliśmy sierotami, gdy ja miałem lat pięć, a on osiemnaście; wychowywał mnie jak własnego syna. W 1814 roku, za Burbonów, ożenił się. Gdy cesarz powrócił z Elby, brat poszedł znów do wojska; raniony lekko pod Waterloo wycofał się z armią za Loarę[966].

— Ależ pan mi opowiada historię Stu Dni, panie Bertuccio — rzekł hrabia — jeśli się nie mylę, już ją napisano.

— Przepraszam jaśnie panie, ale te wstępne szczegóły są konieczne, a pan hrabia obiecał mi słuchać cierpliwie.

— No, dobrze, dobrze, obiecałem, to dotrzymam.

— Pewnego dnia odebraliśmy list. A trzeba panu hrabiemu wiedzieć, żeśmy mieszkali w wiosce Rogliano na krańcu Przylądka Korsykańskiego; był to list od brata; donosił nam, że armia została rozpuszczona i że wraca przez Châteauroux, Clermont-Ferrand, Puy i Nîmes; i prosił, gdybym miał trochę pieniędzy, bym mu je przesłał do Nîmes, do znajomego nam oberżysty, z którym utrzymywałem stosunki.

— Przemytnicze — dokończył hrabia.

— Ech, mój Boże, trzeba przecież jakoś żyć, panie hrabio.

— Oczywiście. Mów dalej.

---

[964] *aryjka* — zdr. od aria; pieśń solowa w operze. [przypis edytorski]

[965] *Łucja*, właśc. *Łucja z Lammermooru* — opera Gaetana Donizettiego. [przypis edytorski]

[966] *Loara* — najdłuższa rzeka Francji (1020 km). [przypis edytorski]

— Mówiłem panu, że szczerze kochałem brata; postanowiłem więc nie posyłać mu pieniędzy, ale sam mu je zawieźć. Miałem tysiąc franków, pięćset zostawiłem Assuncie, bratowej, a pięćset wziąłem ze sobą i udałem się do Nîmes. Była to rzecz prosta, miałem własną łódź, ładunek do zabrania po drodze — wszystko sprzyjało mojemu planowi. Ale gdy załadowaliśmy łódź, wiatr zaczął nam wiać na przekór, tak że przez cztery czy pięć dni nie mogliśmy wpłynąć do Rodanu. W końcu udało się. Dopłynęliśmy do Arles, zostawiłem łódź między Bellegarde i Beaucaire, a sam udałem się do Nîmes.

— Zbliżamy się do rzeczy, prawda?

— Tak, panie hrabio; przepraszam, ale jak się pan sam przekona, mówię tylko to, co jest niezbędne. A było to akurat wtedy, gdy się działy owe osławione rzezie na południu. Słynęło wówczas paru bandytów — nazywali się Trestaillon, Truphemy i Graffan — którzy wprost na ulicy podcinali gardła ludziom podejrzanym o bonapartyzm. Na pewno pan hrabia słyszał o tych mordach?

— Niewiele, byłem wtedy daleko od Francji. Mów pan dalej.

— W Nîmes dosłownie brodziło się we krwi; co krok widziało się trupy; mordercy, zebrawszy się w bandy, zabijali, łupili i palili. Na widok takiej rzezi przejął mnie dreszcz. Lękałem się nie o siebie — ja, prosty rybak z Korsyki, nie miałem się czego obawiać; przeciwnie, był to dla nas, przemytników, bardzo dobry okres; bałem się o brata, cesarskiego żołnierza, który wracał znad Loary, miał na sobie mundur i szlify, wszędzie groziło mu niebezpieczeństwo. Pobiegłem do naszego oberżysty. Moje przeczucia nie były mylne. Mój brat przybył dzień wcześniej do Nîmes i u drzwi oberżysty, którego chciał prosić o gościnę, został zamordowany. Zrobiłem wszystko, by odkryć, kim byli mordercy, nikt jednak nie śmiał zdradzić ich nazwisk, tak się ich lękano. Przyszło mi więc do głowy odwołać się do sprawiedliwości francuskiej, bo tyle mi o niej mówiono, że niczego się nie boi. I poszedłem do prokuratora królewskiego.

— A tym prokuratorem był Villefort? — spytał niedbale Monte Christo.

— Tak, panie hrabio, przybył z Marsylii, gdzie był podprokuratorem. Za gorliwość otrzymał awans. Mówiono, że był jednym z pierwszych, którzy donieśli rządowi o wylądowaniu Napoleona.

— A więc stawiłeś się u niego? — podjął Monte Christo.

— „Proszę pana — rzekłem do niego. — Mój brat został zabity wczoraj na ulicy w Nîmes, nie wiem, kto go zabił, ale pan ma obowiązek dowiadywać się takich rzeczy. Jest pan tu naczelnym zwierzchnikiem sprawiedliwości i do niej należy mścić się za tych, których nie potrafiła obronić".

„A kimże był ten pański brat?" — zapytał prokurator królewski.

„Porucznikiem batalionu korsykańskiego".

„A więc żołnierzem uzurpatora, czy tak?"

„Żołnierzem wojsk francuskich".

„Cóż — odpowiedział prokurator. — Kto od miecza wojuje, ten od miecza ginie".

„Myli się pan, on zginął od sztyletu".

„Ale cóż mam na to poradzić?".

„Ależ powiedziałem panu: chcę, byście go pomścili".

„Na kimże?".

„Na jego mordercach. Każ ich pan odszukać".

„A to na co? Pański brat musiał się z kimś pokłócić i został zabity w pojedynku. Wszyscy ci byli żołnierze posuwają się do wybryków, które im uchodziły za cesarstwa, ale dziś wychodzą im na złe. A nasi ludzie, tu na Południu, nie lubią ani żołnierzy, ani wybryków".

„Ale, panie prokuratorze, nie proszę pana dla siebie. Ja mogę go opłakać albo się zemszczę, i tyle; ale mój biedny brat zostawił żonę. Jeśliby mnie z kolei spotkało nieszczęście, biedaczka umrze z głodu, bo tylko mój brat ją utrzymywał. Wyjednaj jej pan jakąś pensyjkę od rządu".

„Każda rewolucja pociąga za sobą katastrofy — odparł pan de Villefort. — Pański brat padł ofiarą właśnie tej ostatniej; jest to zwykłe nieszczęście i rząd nie jest nic winien pańskiej rodzinie. Gdybyśmy chcieli osądzić wszystkie akty zemsty, jakich dopuszczali się stronnicy uzurpatora, gdy byli przy władzy, na wiernych królowi, pański brat byłby

może dziś skazany na śmierć. To, co się teraz dzieje, to rzecz naturalna: zwyczajne prawo odwetu".

„Jak to? Czy to możliwe, aby pan tak do mnie mówił? — zawołałem. — Pan, urzędnik sądowy!...".

„Na honor, wszyscy Korsykanie są szaleńcami — odpowiedział pan de Villefort. — Zdaje się wam, że wasz ziomek jest jeszcze cesarzem. Spóźnił się pan, mój drogi, trzeba było przyjść z tym do mnie dwa miesiące temu. Teraz już za późno. Idź więc pan precz, a jeżeli nie zechcesz odejść, każę cię wyprowadzić".

Patrzyłem przez chwilę na niego, by się upewnić, czy ponowne prośby nie mogłyby go zmiękczyć. Ale to człowiek z kamienia. Podszedłem więc do niego i rzekłem półgłosem:

„A więc, skoro pan tak dobrze zna Korsykanów, musisz pan wiedzieć, że umieją dotrzymywać słowa. Uważasz pan, że dobrze się stało, że zamordowano mi brata, bonapartystę, bo pan jesteś rojalistą; a więc ja, który także jestem bonapartystą, powiem panu jedno: zabiję cię. Od tej chwili wypowiadam ci vendettę; strzeż się pan, pilnuj się najlepiej, jak możesz. Bo gdy następnym razem spotkamy się oko w oko, będzie to twoja ostatnia godzina".

Przysięga, Zemsta, Wróg

I natychmiast, zanim ochłonął z zaskoczenia, otworzyłem drzwi i uciekłem.

— O, panie Bertuccio — odezwał się Monte Christo — wyglądasz pan na tak poczciwego człowieka, a tak się zabawiasz, i to z prokuratorem królewskim! O, niładnie! A wiedział przynajmniej, co to vendetta?

— Wiedział tak dobrze, że od tej chwili nigdy nie wychodził sam i zabarykadował się w domu, rozkazawszy mnie szukać wszędzie. Na szczęście tak dobrze się schowałem, że mnie nie znaleźli. Wtedy zdjął go strach: bał się zostać dłużej w Nîmes i poprosił o translokację[967], a że miał naprawdę wielkie wpływy, dostał mianowanie w Wersalu. Ale jak pan hrabia wie, dla Korsykanina, który przysiągł zemstę nieprzyjacielowi, odległość nie istnieje, a choć jego powóz jechał szybko, nigdy mnie nie wyprzedzał o więcej jak o pół dnia, a przecież szedłem za nim pieszo.

Nie szło tylko o to, aby go zabić, bo miałem po temu sto sposobności; trzeba go było zabić tak, aby mnie nie odnaleziono i nie aresztowano. Od tej pory przecież nie należałem już tylko do siebie — musiałem zaopiekować się i żywić moją bratową.

Przez trzy miesiące chodziłem ślad w ślad za Villefortem, przez te trzy miesiące nie zrobił jednego kroku, nie ruszył się gdzieś, nie poszedł na spacer, abym go nie śledził. W końcu odkryłem, że jeździ w tajemnicy do Auteuil; poszedłem za nim i zobaczyłem, że wchodzi do domu, w którym jesteśmy my; ale nigdy jednak nie wchodził tu przez bramę od ulicy, ale — czy przyjeżdżał konno, czy powozem — konia lub powóz zostawiał w oberży, a sam przemykał się tą furtką, którą pan tu widzisz.

Monte Christo skinieniem głowy dał znak, że rzeczywiście widzi w ciemnościach furtkę wskazaną przez Bertuccia.

— Nie było już po co siedzieć w Wersalu, przeniosłem się do Auteuil i zebrałem informacje. Jeśli chciałem go podejść, to oczywiście tutaj musiałem zastawić sidła.

Dom należał, jak oświadczył panu hrabiemu odźwierny, do pana de Saint-Mérana, teścia Villeforta. Mieszkał on w Marsylii, więc ta letnia rezydencja była mu niepotrzebna; mówiono też, że wynajął go młodej wdowie, o której wiedziano tylko, że jest baronową.

Istotnie, pewnego wieczora, gdym zaglądał przez mur, spostrzegłem młodą i piękną kobietę przechadzającą się samotnie w ogrodzie; na ogród nie wychodziło żadne okno; często spoglądała w stronę tej furtki i domyśliłem się, że czeka tego wieczoru na pana de Villeforta. Gdy zbliżyła się do mnie na tyle, bym pomimo ciemności mógł rozpoznać jej rysy, ujrzałem, że to piękna, wysoka blondynka, najwyżej dziewiętnastoletnia. Miała na sobie tylko luźny peniuar, po czym mogłem poznać, że jest brzemienna i że ciąża jest zaawansowana.

W chwilę potem furtka otwarła się; wszedł jakiś mężczyzna; młoda kobieta pobiegła ku niemu tak szybko, jak tylko mogła; rzucili się sobie w objęcia, ucałowali się czule i poszli razem do domu.

Tym mężczyzną był pan de Villefort.

[967] *translokacja* (z łac.) — przeniesienie. [przypis edytorski]

Pomyślałem, że kiedy wyjdzie, a zwłaszcza jeśli będzie wychodził w nocy, będzie musiał, i to na pewno sam, przejść przez cały ogród.

— A czy nie dowiedziałeś się potem, jak się zwała ta kobieta?

— Nie, panie hrabio. Jak się pan później przekona, nawet nie miałem kiedy.

— Mów dalej.

— Tegoż wieczora — ciągnął Bertuccio — mogłem zapewne zabić prokuratora; ale nie znałem jeszcze wszystkich zakątków ogrodu. Bałem się, że mógłbym go nie zabić na miejscu i że ktoś na jego krzyk by przybiegł i uniemożliwił mi ucieczkę. Odłożyłem zamiar do następnej schadzki, a żebym nie stracił żadnej okazji, wynająłem sobie pokoik z oknem na ulicę na wprost ogrodowego muru.

Trzy dni później, około siódmej wieczorem, ujrzałem, jak z domu wyjechał konno służący i pogalopował drogą wiodącą do traktu na Sèvres; domyśliłem się, że jedzie do Wersalu. Nie myliłem się. Po trzech godzinach człowiek ten wrócił, okryty kurzem; jego poselstwo było wypełnione.

Dziesięć minut później przyszedł jakiś człowiek okryty peleryną; otworzył furtkę od ogrodu, która sama się za nim zamknęła.

Zbiegłem co żywo na dół. Chociaż nie widziałem twarzy Villeforta, serce mówiło mi, że to on; przeszedłem ulicę i wspiąłem się na słup przy węgle[968] muru, skąd po raz pierwszy oglądałem ogród.

Ale tym razem nie zadowoliłem się widokiem; dobyłem nóż z kieszeni, upewniłem się, czy jest dość ostry na końcu i przeskoczyłem przez mur.

Najpierw pobiegłem do furtki; Villefort zostawił klucz w zamku, przekręcając go tylko dwukrotnie.

A zatem z tej strony nic nie przeszkadzało mi w ucieczce. Zacząłem więc badać miejsce. Ogród tworzył długi czworobok, pośrodku rozciągał się miękki angielski trawnik; w jego rogach rosły kępy drzew o gęstych koronach i jesienne kwiaty.

Aby dojść do domu lub z niego wrócić, Villefort musiał zawsze przechodzić koło jednej z tych kęp.

Było to pod koniec września; wiał silny wiatr; blady skrawek księżyca, zakrywany co chwila przez wielkie chmury, co przemykały szybko po niebie, posrebrzał piasek alejek, prowadzących do domu; nie mógł jednak przeniknąć ciemności, jakie panowały pod gęstymi kępami drzew, gdzie ktokolwiek mógłby się ukryć bez obawy, że ktoś go przyuważy.

Schowałem się w tej kępie drzew, koło której musiał przechodzić Villefort; zaledwie się tam zaczaiłem, gdy wśród podmuchów wiatru uginających drzewa nad moją głową zdało mi się, że słyszę jakieś jęki.

Ale jak pan hrabia wie, a raczej nie wie, człowiek, który czeka chwili, w której ma popełnić morderstwo, zawsze słyszy w powietrzu jakieś głuche jęki.

Minęły dwie godziny, a mnie wiele razy wydawało się, że słyszę te jęki.

Wybiła północ.

Gdy ostatni dźwięk zegara, ponury i donośny, jeszcze wibrował w powietrzu, spostrzegłem, jak w oknach tych schodów, którymiśmy zeszli, migocze słabe światełko.

Otwarły się drzwi i wyszedł człowiek w pelerynie.

Straszliwa to była chwila, ale od tak dawna przygotowywałem się do niej, że nic nie mogło mną zachwiać; dobyłem noża, otwarłem go i stanąłem w pogotowiu.

Człowiek w pelerynie szedł prosto na mnie; ale w miarę jak się zbliżał po trawniku, wydało mi się, że w prawej ręce trzyma broń; przeląkłem się — nie walki, ale aby mój zamiar nie spełzł na niczym.

Kiedy był już tylko o parę kroków ode mnie, zrozumiałem, że broń była ni mniej, ni więcej, jak łopatą.

Gdy zastanawiałem się na próżno, po co mu była łopata, pan de Villefort zatrzymał się na skraju kępy drzew, rozejrzał się wokół i zaczął kopać dół. Dopiero wtedy zauważyłem, że chował coś pod peleryną, bo właśnie położył ową rzecz na murawie, aby mieć swobodę ruchów.

[968] *węgieł* — narożnik. [przypis edytorski]

Przyznam się, że wtedy do przepełniającej mnie nienawiści wniknęło nieco ciekawości: chciałem zobaczyć, co właściwie robi pan de Villefort; stałem więc bez ruchu, wstrzymując oddech, i czekałem.

A potem zabłysła mi w głowie pewna myśl, a utwierdziłem się w niej, gdy ujrzałem, jak prokurator wyciąga spod peleryny kuferek na dwie stopy długi, a na jakie osiem cali szeroki.

Poczekałem, aż złoży kuferek w dole i przykryje ją ziemią; a potem udeptał ją jeszcze, by zatrzeć ślady swego dzieła.

Wówczas rzuciłem się na niego i zatopiłem mu w piersi nóż, mówiąc:

„Jestem Giovanni Bertuccio! Twoja śmierć za mojego brata, twój skarb dla wdowy po nim; i widzisz, moja zemsta jest pełniejsza, niż się spodziewałem".

Nie wiem, czy słyszał te słowa; zapewne nie, bo upadł, nawet nie krzyknąwszy; poczułem jak strumień gorącej krwi trysnął mi na ręce i na twarz; ale byłem pijany, byłem w szale; ta krew rzeźwiła mnie, zamiast palić. Wziąłem łopatę i w mgnieniu oka odkopałem kuferek; a potem, by nie spostrzeżono, że go zabrałem, zasypałem jamę, wyrzuciłem łopatę przez mur, wybiegłem przez furtkę, zamknąłem ją na dwa spusty, a klucz zabrałem ze sobą.

— No, nieźle — rzekł Monte Christo. — Z tego, co widzę, było to drobne morderstwo powiększone o kradzież.

— Nie, panie hrabio — odpowiedział Bertuccio. — To była vendetta, połączona z odebraniem należności.

— A czy sumka była przynajmniej okrągła?

— Tam nie było pieniędzy.

— A prawda, przypominam sobie. Wspominałeś coś o dziecku.

— Właśnie, ekscelencjo. Pobiegłem nad rzekę, usiadłem na stromym brzegu, a że bardzo byłem ciekaw, co było w tym kuferku, podważyłem zamek nożem.

W cienkiej batystowej[969] pieluszce leżał noworodek; purpurowa twarzyczka i sine rączki wskazywały, że umarło uduszone pępowiną, która owijała mu szyję; ale ponieważ jeszcze nie było całkiem zimne, zawahałem się, czy aby rzucić je do wody. Istotnie, po krótkiej chwili wydało mi się, że jego serduszko lekko bije; odwinąłem pępowinę z jego szyi, a ponieważ byłem w Bastii pielęgniarzem w szpitalu, zrobiłem więc wszystko, co mógłby w podobnych okolicznościach zrobić lekarz: użyłem sztucznego oddychania i po kwadransie największych wysiłków ujrzałem, że oddycha, i usłyszałem, jak zakrzyczało.

Ja także wydałem okrzyk — ale z radości.

A więc Bóg — powiedziałem sobie — nie przeklął mnie, skoro pozwolił mi ocalić życie istocie ludzkiej, w zamian za życie, którym zniszczył!

— I cóżeś zrobił z tym dzieckiem? — spytał Monte Christo. — Bo to przecież dość niewygodny bagaż dla człowieka, który musi uciekać.

— Toteż ani przez chwilę nie myślałem, by je zatrzymać. Wiedziałem, że jest w Paryżu przytułek, gdzie przyjmują takie biedactwa. Przechodząc przez rogatkę, oświadczyłem, że znalazłem dziecko przy drodze i zapytałem, gdzie jest przytułek. Kuferek świadczył, że mówię prawdę; batystowe pieluszki wskazywały, że rodzice byli bogaci; krew, którą byłem zbryzgany, mogła się wziąć z cucenia dziecka. Nie wypytywano mnie więc o nic i wskazano przytułek, który znajdował się na końcu ulicy d'Enfer. Nie zapomniałem jednak rozciąć pieluszki na pół, tak aby na każdej części była jedna z liter monogramu[970]; położyłem mój ciężar na kole[971], zadzwoniłem i uciekłem co żywo.

Dwa tygodnie później byłem z powrotem w Rogliano; powiedziałem Assuncie:

— Pociesz się, bratowo; Izrael[972] zginął, ale jest pomszczony!

Spytała, co mam przez to na myśli i opowiedziałem jej wszystko, co się stało.

---

[969] *batystowy* — wykonany z batystu, cienkiej tkaniny lnianej lub bawełnianej. [przypis edytorski]

[970] *monogram* — znak będący połączeniem dwóch lub więcej liter, zwykle inicjałów imion i nazwiska, używany jako podpis lub oznaczenie własności. [przypis edytorski]

[971] *koło* — urządzenie w ścianie sierocińca, które pozwalało oddać niemowlę anonimowo; rodzaj okna życia. [przypis edytorski]

[972] *Izrael* — starож. państwo żydowskie na Bliskim Wschodzie; jego tereny od XVI do XX w. wchodziły w skład Imperium Osmańskiego. [przypis edytorski]

— Giovanni — rzekła Assunta — powinieneś był przywieźć tu to dziecko, bylibyśmy mu zastąpili rodziców, których utraciło; nazwalibyśmy go Benedetto i Bóg by nam za to na pewno pobłogosławił.

Nie odpowiedziałem, pokazałem jej natomiast połowę pieluszki, którą zachowałem, by upomnieć się o dziecko, gdybyśmy się wzbogacili.

— Jakież litery były wyhaftowane na tej pieluszce? — spytał Monte Christo.

— H. i N., a nad nimi korona baronowska.

— O, jak mi Bóg miły, panie Bertuccio! Posługujesz się pan terminami heraldycznymi! Gdzieś, u diabła, uczył się heraldyki?

— Na służbie u pana hrabiego, tu wszystkiego można się nauczyć.

— Mów dalej, jestem ciekaw dwóch rzeczy.

— Jakichże, jaśnie panie?

— Co się stało z tym chłopczykiem? Bo zdaje mi się, panie Bertuccio, że mówiłeś o chłopczyku.

— Nie przypominam sobie, panie hrabio, abym to mówił.

— A, widać tylko mi się zdawało, to i pomyliłem się.

— O, nie, panie hrabio, nie pomylił się pan, to był rzeczywiście chłopczyk. Ale pan hrabia mówił, że chciał dowiedzieć się dwóch rzeczy; jaka jest druga?

— O jaką zbrodnię oskarżono pana, gdyś zażądał spowiednika i kiedy ksiądz Busoni odwiedził cię w więzieniu w Nîmes?

— Ale to może być naprawdę długa opowieść, ekscelencjo.

— Nie szkodzi, jest zaledwie dziesiąta, wiesz przecież, że prawie nie sypiam, a myślę, że i tobie niezbyt chce się dziś spać.

Bertuccio ukłonił się i podjął znowu opowieść.

— W części dlatego, by odegnać wspomnienia, które mnie trapiły, a w części dlatego, by utrzymać nieszczęśliwą wdowę, zabrałem się znów z zapałem do rzemiosła przemytniczego, które stało się dużo łatwiejsze, bo jak zwykle po każdej gwałtownej zmianie władzy, prawa nie przestrzegano zbyt ściśle. A szczególnie źle strzeżone były wybrzeża Morza Śródziemnego — z powodu ciągłych rozruchów, to w Awinionie, to w Nîmes, to Uzes.

Wykorzystaliśmy to szczególne zawieszenie broni, którego nam udzielił rząd, aby nawiązać stosunki na całym wybrzeżu. Od czasu, jak w Nîmes zamordowano mi brata, nie chciałem wracać do tego miasta. Dlatego też karczmarz, z którym robiliśmy dawniej interesy, widząc, że już nie chcemy do niego przychodzić, sam przyszedł do nas — założył drugą karczmę o nazwie Pont-du-Gard, przy drodze między Bellegarde a Beaucaire. Tym sposobem mieliśmy w okolicach Aigues-Mortes, Martigues i Bouc ze dwanaście składów, gdzie zostawialiśmy nasz towar i gdzie oprócz tego mogliśmy się ukryć przed celnikami i żandarmami. Rzemiosło przemytnika może przynosić duże zyski, tym bardziej, gdy komuś nie zbywa na inteligencji i energii. A ja zamieszkałem w górach, bo miałem teraz dwa powody, aby lękać się żandarmów i celników; gdybym stanął przed sądem, jak w każdym dochodzeniu sięgnięto by do przeszłości, a w mojej przeszłości można by się teraz było doszukać czegoś dużo gorszego niż przemyt cygar i baryłek wódki.

Przekładając tedy śmierć nad więzienie, dokazywałem cudów. I to mnie przekonało, że zbytnia troska o życie jest niemal zawsze jedyną przeszkodą w wykonaniu tych zamiarów, które wymagają szybkiej decyzji, energicznej realizacji i ryzyka. Rzeczywiście — gdy ktoś raz zaryzykuje życiem, przewyższa przez to innych ludzi, albo raczej inni ludzie już nie są mu równi; a ktokolwiek raz powziął taką decyzję, czuje od razu, jak rosną jego siły i rozszerzają się przed nim horyzonty.

— O, panie Bertuccio, jak filozoficznie! — przerwał hrabia. — Widzę, że popróbowałeś w życiu wszystkiego.

— O, pan hrabia raczy darować.

— Nie, nie! Chciałem tylko powiedzieć, że filozofowanie o wpół do jedenastej to trochę późno. Ale nie mam innych zastrzeżeń, zważywszy, że twoja filozofia jest całkiem słuszna, czego nie można bynajmniej powiedzieć o innych filozofiach.

— Zakres moich działań stawał się coraz obszerniejszy i coraz bardziej korzystny. Assunta była gospodarna i nasza fortunka zaokrąglała się.

Pewnego dnia, gdy wyjeżdżałem na jakąś wyprawę, rzekła do mnie:

„Jedź, po powrocie będzie na ciebie czekać niespodzianka".

Pytałem na próżno, co to za niespodzianka: nie chciała powiedzieć. Wyruszyłem więc.

Wyprawa tym razem trwała blisko sześć tygodni. Byliśmy w Lucce po oliwę i w Livorno po bawełnę angielską; wyładowaliśmy towar bez kłopotu.

Rozliczyliśmy się z zysku i weseli wróciliśmy.

Gdy wszedłem do domu, pierwsze, co zobaczyłem w izbie Assunty, na honorowym miejscu, to kołyska kontrastująca wspaniałością z resztą mieszkania; w kołysce leżało ośmiomiesięczne niemowlę.

Krzyknąłem z radości. Jedyne chwile smutku, jakie napadały mnie po zabiciu prokuratora, przeżywałem tylko wtedy, gdy przypominałem sobie o porzuceniu dziecka.

Rozumie się, że bynajmniej nie miałem wyrzutów sumienia z powodu morderstwa.

Biedna Assunta wszystkiego się domyśliła: skorzystała z mojej nieobecności i zanotowawszy wcześniej dzień i godzinę, w której zostawiłem dziecko w przytułku, zabrała połowę pieluszki, udała się do Paryża, aby je odebrać. Nie wysunięto tam żadnych przeszkód i oddano jej dziecko.

Ach, panie hrabio, przyznam się, że kiedym zobaczył tę biedną istotkę śpiącą w kołysce, wzruszenie chwyciło mnie za serce i łzy popłynęły mi z oczu.

„O, Assunto! — zawołałem. — Jesteś naprawdę szlachetną kobietą i Opatrzność ci za to pobłogosławi".

— No, to już nie było tak logiczne — odezwał się Monte Christo — jak twoja filozofia; to była już tylko wiara.

— Niestety, pan hrabia ma rację, bo to dziecko zesłał mi Bóg, aby mnie pokarać. Nigdy jeszcze wcześniej nie objawiła się tak przewrotna natura, a przecież nie można rzec, by dziecko nie było dobrze chowane — bratowa obchodziła się z nim jak z książątkiem; chłopczyk miał prześliczną twarzyczkę: oczy miał jasnobłękitne jak kolor ornamentów na chińskiej porcelanie, który tak pięknie zgadza się z mlecznobiałym tłem; tylko jasne włosy wpadające w rudość nadawały jego twarzyczce szczególny jakiś charakter, który uwydatniał jeszcze żywość spojrzenia i złośliwy uśmiech. Nieszczęściem przysłowie uczy, że rudy albo jest samą dobrocią, albo samą złością; przysłowie to nie kłamało w przypadku Benedetta — od samego początku objawiał się w nim zły charakter.

Dziecko, Zło, Przeczucie

Prawda, że łagodność przybranej matki wspomogła rozwój jego wrodzonych skłonności; dziecko, dla którego biedna moja bratowa chodziła na targ do miasta o pięć mil stamtąd, aby kupować mu wczesne owoce i najdelikatniejsze cukry, wolało kasztany kradzione u sąsiada albo suszone jabłka na jego strychu od pomarańcz z Parmy i genueńskich konfitur, mając przy tym do woli kasztanów i jabłek w naszym sadzie.

Pewnego razu, gdy Benedetto mógł mieć pięć lub sześć lat, sąsiad nasz Wasilio, który zgodnie z obyczajami naszego kraju nie zamykał ani pieniędzy, ani kosztowności, bo pan hrabia wie lepiej niż kto inny, że na Korsyce nie ma złodziei — otóż nasz sąsiad Wasilio użalił się przed nami, że mu zginął z sakiewki jeden ludwik. Myśleliśmy, że może źle policzył, ale on twierdził, że się nie myli.

Tego dnia Benedetto wyszedł z domu wczesnym rankiem i już mocno się niepokoiliśmy, gdy zobaczyliśmy go znów wieczorem; przyprowadził ze sobą małpkę, którą znalazł, jak powiedział, przywiązaną do drzewa.

Niedobry dzieciak, który już sam nie wiedział, czego ma sobie zażyczyć, roił sobie od miesiąca, że musi mieć małpkę. Tę nieszczęsną zachciankę powziął zapewne wtedy, gdy przechodził przez Rogliano kuglarz[973] z kilkoma małpkami; sztuki wyprawiane przez nie bardzo mu się podobały.

„W naszych lasach nie ma małp — powiedziałem — a tym bardziej małp przywiązanych do drzew. Przyznaj się, skąd ją wziąłeś".

Benedetto upierał się przy kłamstwie i popierał je takimi szczegółami, że przynosiły większy zaszczyt jego wyobraźni, niż prawdomówności; rozgniewałem się, a on się roześmiał; pogroziłem mu, odskoczył parę kroków.

„Nie możesz mnie uderzyć — rzekł — nie masz prawa, nie jesteś moim ojcem".

[973] *kuglarz* — wędrowny aktor, sztukmistrz. [przypis edytorski]

Nie dowiedzieliśmy się nigdy, kto mu odkrył tę fatalną tajemnicę, którą staraliśmy się jak najusilniej przed nim ukrywać. W każdym razie odpowiedź ta, w której przejawił się cały charakter dziecka, niemal mnie przeraziła; opuściłem wzniesioną już rękę, nie tknąłem nawet winowajcy; dziecko odniosło triumf, a zwycięstwo to nauczyło je takiej zuchwałości, że od tej chwili wszystkie pieniądze Assunty — a kochała go chyba tym więcej, im mniej był tego wart — szły na jego kaprysy i szaleńcze fantazje; nie umiała ani ich zwalczyć, ani sprzeciwić się im.

Kiedy byłem w Rogliano, sprawy nie szły jeszcze najgorzej; ale gdy tylko stamtąd odjeżdżałem, Benedetto stawał się panem domu i wszystko przybierało znów zły obrót. W wieku zaledwie jedenastu lat zadawał się wyłącznie z osiemnasto-, dwudziestoletnimi wyrostkami, największymi łobuzami z Bastii i Corte, i już otrzymaliśmy parę upomnień od wymiaru sprawiedliwości za jego psikusy, które warte były surowszego miana.

To mnie przerażało; jakiekolwiek śledztwo w sprawie chłopca mogło mieć fatalne następstwa, a właśnie miałem wyjechać z Korsyki z powodu ważnej wyprawy. Długom się namyślał, a pragnąc uniknąć jakiego nieszczęścia, postanowiłem wziąć Benedetta ze sobą. Miałem nadzieję, że pracowite i surowe życie przemytnika, dyscyplina panująca na pokładzie, zmienią ten charakter tak podatny na zepsucie, jeżeli nawet nie był już zupełnie zepsuty. Wziąłem więc Benedetta na stronę i zaproponowałem mu, aby jechał ze mną, osładzając tę propozycję obietnicami, które mogłyby znęcić dwunastoletnie dziecko.

Poczekał, aż skończę mówić, a potem parsknął śmiechem.

„Zwariowałeś, wuju? — spytał (tak mnie zwykle nazywał, gdy był w dobrym humorze). — Miałbym zamienić życie, jakie teraz prowadzę, na takie, jakie ty prowadzisz? Moje wspaniałe próżnowanie na okropną pracę, którą sam sobie narzuciłeś? Spędzać noce na zimnie, dni na upale; kryć się bez ustanku, narażać się na kule i to wszystko po to, by zarobić trochę grosiwa[974]! Przecież mam tyle pieniędzy, ile chcę! Mama Assunta daje mi, kiedy tylko zażądam. Widzisz sam dobrze, że byłbym idiotą, gdybym się zgodził".

Osłupiałem wobec takiej bezczelności i takiego rozumowania. Benedetto wrócił do swoich kolegów i widziałem z daleka, jak mnie pokazywał palcem jak przygłupka.

— Urocze dziecię — szepnął Monte Christo.

— O, gdyby był moim synem — odpowiedział Bertuccio — a chociażby i bratankiem, sprowadziłbym go na właściwą drogę; czyste sumienie dodaje siły. Ale sama myśl, że miałbym bić dziecko, któremu zabiłem ojca, sprawiała, że opadały mi ręce. Dawałem bratowej dobre rady, ona jednak zawsze broniła małego łobuza; a kiedy przyznała mi się, że często giną jej dość spore sumki, wskazałem jej miejsce, gdzie ma przechowywać nasz drobny majątek. I powziąłem decyzję. Benedetto umiał znakomicie czytać, pisać i rachować, bo kiedy przypadkiem zachciało mu się przyłożyć do pracy, w jeden dzień był w stanie nauczyć się tyle, co inni przez cały tydzień. Postanowiłem, że uczynię go gryzipiórkiem[975] na jakimś statku, co się wypuszcza w dalekie rejsy; nie uprzedzać go o niczym i załatwić, by pewnego dnia raniuteńko zabrano go siłą i przewieziono na pokład; tam cała jego przyszłość zależałaby od kapitana, któremu bym go specjalnie polecił.

Powziąwszy taki plan, wyjechałem do Francji.

Tym razem mieliśmy wszystko załatwić w Zatoce Lwiej[976], a nasze operacje stawały się coraz trudniejsze, bo to już było w 1829 roku. Spokój przywrócono już całkiem, a przez to i służba nadbrzeżna stała się dużo lepiej zorganizowana i bardziej surowa. Wkrótce miał się rozpocząć jarmark w Beaucaire, co spowodowało, że jeszcze bardziej zwiększyła się ich czujność.

Początek wyprawy odbył się bez przeszkód.

Zacumowaliśmy naszą łódź o podwójnym dnie, gdzie ukrywaliśmy towar z przemytu, wśród mnóstwa innych łodzi kołyszących się wzdłuż obu brzegów Rodanu od Beaucaire aż po Arles. Po przybyciu zaczęliśmy nocami wypakowywać nasze zakazane towary i upłynniać je w mieście za pośrednictwem naszych wspólników lub oberżystów, u których mieliśmy składy.

Czy dlatego, że powodzenie uczyniło nas nieostrożnymi, czy też dlatego, że ktoś nas wydał, dość że pewnego dnia około piątej po południu przybiegł do nas w wielkim stra-

[974] *grosiwo* (pot.) — pieniądze. [przypis edytorski]
[975] *gryzipiórek* (pogard.) — pracownik biurowy. [przypis edytorski]
[976] *Zatoka Lwia* — zatoka u płd. wybrzeży Francji. [przypis edytorski]

chu nasz chłopiec okrętowy, krzycząc, że widział, jak idzie w naszą stronę oddział celników. Nie przestraszyliśmy się bynajmniej celników; całe ich oddziały snuły się wtedy nad brzegami Rodanu; przeraziliśmy się, że — jak mówił chłopiec — celnicy próbowali nas podejść cichaczem.

W jednej chwili zerwaliśmy się na nogi, ale już za późno.

Naszej to łodzi szukali i zdążyli ją właśnie otoczyć. Wśród celników spostrzegłem kilku żandarmów i chociaż zwykle odważny byłem wobec każdego rodzaju wojska, żandarmów bałem się panicznie. Pobiegłem pod pokład, wyśliznąłem się przez bulaj[977] i popłynąłem — pod wodą, wypływając dla zaczerpnięcia oddechu jak najrzadziej; w ten sposób nikt mnie nie zauważył i dostałem się do głębokiego przekopu, łączącego Rodan z kanałem, który prowadzi z Beaucaire do Aigues-Mortes.

Tam byłem już bezpieczny, gdyż mogłem niepostrzeżony przedostać się tym rowem dalej. Dopłynąłem bez przeszkód do kanału. Nie przypadkiem wybrałem tę drogę. Mówiłem już panu hrabiemu, że oberżysta w Nîmes założył na drodze między Bellegarde i Beaucaire austerię[978].

— A tak, bardzo dobrze pamiętam — rzekł Monte Christo. — Zacny ten mąż, jeśli się nie mylę, był pańskim wspólnikiem.

— Tak, ale jakieś siedem czy osiem lat temu odstąpił austerię byłemu krawcowi z Marsylii, któremu jego rzemiosło przyniosło tylko biedę; chciał spróbować szczęścia na innej drodze. Oczywiście utrzymaliśmy z nim układziki, jakie mieliśmy z poprzednim właścicielem; no i właśnie u tego człowieka zamierzałem poszukać schronienia.

— A jakże się nazywał? — zapytał hrabia, zaczynając słuchać opowiadania jakby z większym zainteresowaniem.

— Kacper Caderousse, a miał ze sobą żonę ze wsi Carconte, którą znaliśmy tylko pod przezwiskiem, jakie nadał jej mąż: Karkontka. Biedna kobiecinka cierpiała na malarię, okropnie ją to wycieńczało. A mąż jej to był istny chłop na schwał[979], miał ze czterdzieści pięć lat; wiele razy dawał nam w kłopotach dowody przytomności umysłu i odwagi.

— I mówisz pan, że to było w roku...

— 1829, panie hrabio.

— W jakim miesiącu?

— W czerwcu.

— Na początku czy pod koniec?

— Trzeciego, wieczorem.

— Aha... Trzeciego czerwca 1829... Dobrze, mów dalej.

— Chciałem więc poprosić o schronienie Caderousse'a; ale że zwykle, nawet przy normalnych okolicznościach nie wchodziliśmy do niego przez główne drzwi, od traktu, postanowiłem, że nie naruszę tej zasady. Przelazłszy do ogrodu przez płot, przeczołgałem się między oliwkami i figowcami i w obawie, by Caderousse nie miał właśnie jakiego gościa, dotarłem do schowka, w którym nieraz wcześniej spędziłem noc równie wygodnie, jak w najlepszym łóżku. Schowek ów dzieli od sali jadalnej tylko ścianka z desek, w których zostały dla nas wywiercone otwory, abyśmy mogli czekać swobodnie na właściwy moment, w którym można było zawiadomić karczmarza o naszym przybyciu. Liczyłem, że jeśli Caderousse jest sam jeden, dam mu znać, że tu jestem, dokończę posiłek, który nam przerwali celnicy, a potem, korzystając ze zbierającej się burzy, wrócę nad Rodan i dowiem się, co się stało z łodzią i moimi towarzyszami. Wśliznąłem się więc do schowka i dobrze zrobiłem, bo oto do karczmy zbliżył się Caderousse z jakimś nieznajomym.

Siedziałem cicho i czekałem; nie dlatego, ażebym chciał podglądać jakieś tajemnice gospodarza — nie mogłem zrobić nic innego; zresztą nie pierwszy raz tak się działo.

Mężczyzna, z którym siedział Caderousse, nie wyglądał na mieszkańca południa Francji: był to jeden z wędrownych kupców, co przyjeżdżają do Beaucaire na jarmark z klejnotami na sprzedaż. Tacy kupcy w ciągu trwającego miesiąc jarmarku, na który przybywają z niemal całej Europy i sprzedający, i nabywcy, robią czasem interesy na sto lub sto pięćdziesiąt tysięcy franków.

---

[977] *bulaj* — rodzaj okna w kajucie statku. [przypis edytorski]

[978] *austeria* — karczma, zajazd. [przypis edytorski]

[979] *na schwał* — zdrowo wyglądający, dobrze zbudowany, silny. [przypis edytorski]

Caderousse wszedł pierwszy do środka. Widząc, że sala na dole jest jak zwykle pusta, i tylko pod strażą psa, zawołał żonę:

„Hej, Karkontko! Ten zacny kapłan nie oszukał nas wcale, nasz brylant jest prawdziwy".

Rozległ się okrzyk radości i natychmiast usłyszałem, jak trzeszczą schody pod ciężkim krokiem chorej.

„Co ty mówisz?" — zapytała kobieta blada jak śmierć.

„Mówię, że brylant jest dobry i że ten właśnie pan, jeden z najznakomitszych paryskich jubilerów, gotów jest kupić go od nas za pięćdziesiąt tysięcy franków. Żąda tylko dla pewności, że ten diament jest rzeczywiście nasz, abyś opowiedziała mu, jak i ja to zrobiłem, w jaki to cudowny sposób brylant wpadł w nasze ręce. A tymczasem, bardzo proszę, niech pan spocznie, a ja pójdę po coś dla orzeźwienia, bo strasznie dziś parno".

Jubiler oglądał z uwagą wnętrze karczmy, widząc jasno ubóstwo ludzi, którzy mieli mu sprzedać brylant, który mógł pochodzić z książęcego skarbca.

„Proszę, niech pani opowiada" — rzekł, pragnąc niewątpliwie wykorzystać nieobecność karczmarza, aby ten nie wpłynął na żonę jakimś porozumiewawczym znakiem; chciał sprawdzić, czy też opowiadania obojga zgodzą się we wszystkich szczegółach.

„O mój Panie Boże! — rozgadała się kobieta. — Toż to prawdziwe błogosławieństwo nieba, wcaleśmy się tego nie spodziewali. Wyobraź pan sobie, że mąż mój przyjaźnił się w 1814 roku albo jakoś w 1815 z pewnym marynarzem, Edmundem Dantesem. Biedny ten chłopak, o którym Caderousse zupełnie zapomniał, sam o nim nie zapomniał i to on właśnie, umierając, zostawił mu brylant, który pan widziałeś".

„Ale jak on sam doszedł do tego brylantu? — zapytał jubiler. — Miał go, zanim zamknięto go do więzienia?".

„O, nie, proszę pana — odparła kobieta — ale w więzieniu miał się poznać z jakimś bogatym Anglikiem, byli w jednej celi; gdy zaś jego towarzysz zachorował, Dantès pielęgnował go jak własnego brata; Anglik, wychodząc z więzienia, zostawił biednemu Dantesowi — któremu się tak nie poszczęściło, bo umarł w więzieniu — ten brylant; a Dantès, umierając, zapisał go nam i powierzył go bardzo godnemu księdzu, który dziś rano przyjechał, by nam go dać".

„To samo, co mówił tamten — mruknął jubiler. — W końcu ta historia może być prawdziwa, chociaż na pierwszy rzut oka wcale tak nie wygląda. Idzie więc już tylko o cenę, co do której nie możemy się ugodzić".

„Jak to? — oburzył się Caderousse. — Zdawało mi się, żeś pan przystał na cenę, jaką podałem".

„To znaczy — odpowiedział jubiler — że zaofiarowałem panu czterdzieści tysięcy".

„Czterdzieści tysięcy! — zawołała Karkontka. — O, na pewno nie oddamy go za tę cenę. Ksiądz nam mówił, że brylant, i to bez oprawy, wart jest pięćdziesiąt tysięcy".

„Jakże się ten ksiądz nazywał?" — zapytał niezmordowany jubiler.

„Ksiądz Busoni" — odpowiedziała kobieta.

„Więc to jakiś cudzoziemiec?".

„Jak mi się zdaje, Włoch z okolic Mantui[980]".

„Proszę mi pokazać ten brylant — rzekł jubiler. — Niech no jeszcze raz go obejrzę, często źle oceniamy brylanty na pierwszy rzut oka".

Caderousse dobył z kieszeni maleńkie szagrynowe etui, otworzył i podał jubilerowi. Na widok brylantu, który był wielki jak laskowy orzech, pamiętam to, jakbym to jeszcze widział, oczy Karkontki zabłysły chciwością.

— A co ty o tym myślałeś, mój panie podsłuchiwaczu? — spytał Monte Christo. — Czyś przywiązywał jakąkolwiek wiarę do tej pięknej bajeczki?

— O tak, ekscelencjo. Nie uważałem Caderousse'a za złego człowieka, miałem go zawsze za niezdolnego do zbrodni, a nawet kradzieży.

— Więcej to przynosi zaszczytu twojemu sercu niż doświadczeniu. A znałeś może tego Dantesa, o którym mówili?

— Nie, ekscelencjo, słyszałem o nim pierwszy raz, a potem tylko ksiądz Busoni wymienił to nazwisko, gdy odwiedził mnie w więzieniu w Nîmes.

[980] *Mantua* — miejscowość w płn. Włoszech, w regionie Lombardia. [przypis edytorski]

— Dobrze, mów dalej.

— Jubiler wziął pierścień, z kieszeni dobył stalową pęsetę i maleńką miedzianą wagę, następnie wyjął kamień ze złotej oprawy i zaważył[981] go skrupulatnie.

„Mogę dać najwyżej czterdzieści pięć tysięcy, ale ani szeląga więcej; ponieważ na tyle oszacowałem ten brylant, wziąłem ze sobą tylko tyle".

„To nie szkodzi — rzekł Caderousse. — Wrócę z panem do Beaucaire po te pięć tysięcy franków".

„Nie — rzekł jubiler, zwracając oprawę i brylant Caderousse'owi. — Nie jest tyle wart i teraz jestem nawet na siebie zły, żem podał taką sumę, bo ten kamień ma skazę, której przedtem nie spostrzegłem; ale mniejsza o to, mam tylko jedno słowo, powiedziałem czterdzieści pięć tysięcy franków i nie wycofam się z tego".

„Włóż pan przynajmniej brylant na powrót do pierścienia" — rzekła kwaśno Karkontka.

„A, racja" — rzekł jubiler i oprawił kamień w pierścionek.

„Dobrze, dobrze — rzekł Caderousse, chowając etui do kieszeni. — Sprzeda się komu innemu".

„Z kim innym nie będzie tak prosto jak ze mną; kto inny nie poprzestanie na wyjaśnieniach, któreście mi państwo dali. To dość dziwne, że człowiek taki jak pan jest właścicielem brylantu wartego pięćdziesiąt tysięcy. Kto inny da znać do sądu, trzeba będzie szukać księdza Busoniego, a księża ofiarujący brylanty wartości dwóch tysięcy ludwików nie zdarzają się zbyt często; sąd rozpocznie badania od tego, że zamknie pana do więzienia, a jeśli uzna cię za niewinnego, wypuszczą cię po trzech lub czterech miesiącach, a tymczasem pierścień zabłąka się gdzieś w kancelarii albo też dadzą panu kamień fałszywy, wart trzy tysiące, zamiast brylantu wartego pięćdziesiąt, a może pięćdziesiąt pięć tysięcy — ale sam pan przyznasz, że kupując go, ponosi się pewne ryzyko".

Caderousse i jego żona spojrzeli po sobie pytająco.

„Nie — rzekł Caderousse. — Nie jesteśmy na tyle bogaci, aby tracić pięć tysięcy franków".

„Mój drogi panie, jak pan chcesz. Ale jak widzisz, mam ze sobą brzęczącą monetę".

I wydobył z kieszeni garść złota, błysnął nim przed oczyma olśnionemu oberżyście, a w drugiej ręce pokazał plik banknotów.

W duszy Caderousse'a wyraźnie rozgrywała się ciężka walka: widać było, że trudno mu było sobie wyobrazić, aby to maleńkie etui z szagrynu, które obracał nieustannie w ręku, odpowiadało wartością tej ogromnej sumie, co teraz przyciągała mu wzrok.

Odwrócił się do żony i zapytał po cichu:

„I co ty na to?".

„Daj mu go, daj — szepnęła. — Jak wróci do Beaucaire bez brylantu, zadenuncjuje nas, a jak powiedział, kto może wiedzieć, czy będziemy w stanie odszukać księdza Busoniego".

„A więc zgoda — rzekł Caderousse. — Weź go pan sobie za czterdzieści pięć tysięcy. Ale dodaj pan mojej żonie złoty łańcuszek, a mnie parę srebrnych kolczyków".

Jubiler wyjął z kieszeni długie płaskie pudełko, w którym trzymał różne rodzaje ozdób, jakie wymienił Caderousse.

„No, ze mną łatwo zrobić interes, proszę sobie wybrać".

Kobieta wybrała złoty łańcuszek wart jakieś pięć ludwików, a jej mąż kolczyki za mniej więcej piętnaście franków.

„Mam nadzieję, że nie będziecie państwo narzekali" — rzekł jubiler.

„Ksiądz mówił, że kamień wart jest pięćdziesiąt tysięcy" — zamruczał Caderousse.

„Dalejże, niech mi go pan da! Cóż za okropny człowiek! — rzekł jubiler, wyjmując mu z ręki brylant. — Daję mu czterdzieści pięć tysięcy gotówką, to znaczy dwa i pół tysiąca liwrów rocznej renty, fortunkę, którą sam bym chętnie posiadał, a ten mi tu narzeka".

„A nasze czterdzieści pięć tysięcy? — zapytał Caderousse chrapliwie. — Gdzież są, chciałbym je zobaczyć?".

„Oto i one" — odparł jubiler i wyliczył na stół piętnaście tysięcy franków w złocie, a trzydzieści tysięcy banknotami.

[981] *zaważyć* — tu: określić dokładną wagę. [przypis edytorski]

„Poczekaj pan, zapalę lampę — odezwała się Karkontka. — Już trochę ciemno, można się łatwo pomylić".

Istotnie, podczas tej rozmowy zapadła noc, nadciągała też burza, grożąca już od półgodziny. Słychać było, jak w oddali głucho dudnią grzmoty, jednak ani jubiler, ani Caderousse, ani Karkontka nie zdawali się na nie zważać, tak ich opanował demon zysku.

Ja sam byłem jak urzeczony widokiem tego złota i banknotów. Zdało mi się, że to sen i jak to często we śnie bywa, czułem, że coś mnie przykuwa do miejsca.

Caderousse liczył i przeliczał złoto i banknoty, a potem podał wszystko żonie, która znowu je dwa razy przeliczyła.

Jubiler zaś obracał diament przy świetle lampy, który rzucał takie błyski, że sprawiały one, iż zapominało się o błyskawicach wieszczących burzę.

„I co, wszystko jest w porządku?" — spytał jubiler.

„Tak — rzekł Caderousse. — Karkontko, daj no mi pugilares i poszukaj sakwy".

Karkontka podeszła do szafy i wyjęła z niej stary skórzany pugilares, z którego wyciągnęli kilka zatłuszczonych listów i schowali na ich miejscu banknoty. Znalazła też sakwę, która zawierała ze trzy talary — był to zapewne cały majątek tego biednego stadła[982].

„Chociaż zabrałeś nam pan z dziesięć tysięcy franków — rzekł Caderousse — może jednak zje pan z nami kolację? Zapraszamy ze szczerego serca".

„Bardzo dziękuję, ale już późno, muszę wracać do Beaucaire, żona będzie się o mnie martwiła".

Wyjął zegarek.

„O, do wszystkich diabłów! — zawołał. — Prawie dziewiąta! W Beaucaire nie będę przed dwunastą. Bądźcie zdrowe, moje dziatki[983]; jeśli przypadkiem przyjdzie tu do was jeszcze jakiś ksiądz Busoni, pamiętajcie o mnie".

„Przecież za tydzień już pana w Beaucaire nie będzie — zauważył Caderousse — bo w przyszłym tygodniu kończy się jarmark".

„Nic nie szkodzi, możecie pisać do mnie do Paryża, nazywam się Joannes, a sklep mam w Palais Royal, galeria Kamienna nr 45. Mogę przyjechać umyślnie, jeżeli będzie po co".

Uderzył piorun i błysnęło tak mocno, że niemal zaćmiło blask lampy.

„Oj, ale chce pan iść w taką pogodę?" — spytał Caderousse.

„E, nie boję się piorunów" — odpowiedział jubiler.

„A rabusiów? — odezwała się Karkontka. — Drogi w czasie jarmarku nie są zbyt bezpieczne".

„Na bandytów mam lekarstwo".

I wyjął z kieszeni parę niewielkich nabitych pistoletów.

„Oto pieski, co szczekają i kąsają jednocześnie; nimi potraktuję pierwszych, którym się zachce twojego brylantu, ojczulku Caderousse".

Małżonkowie spojrzeli posępnie po sobie. Zdaje się, że jednocześnie przyszła im do głowy ta sama straszna myśl.

„No, to szerokiej drogi" — rzekł Caderousse.

„Dziękuję" — odparł jubiler.

Zabrał laskę, którą był oparł o stary kufer i wyszedł. W chwili, gdy otwierał drzwi, do środka wdarł się silny powiew wiatru i o mało nie zgasił lampy.

„O! — rzekł jubiler — nieźle zanosi się, a ja mam przejść dwie mile!".

„To niech pan zostanie — zaproponował Caderousse. — Prześpisz się pan u nas".

„Tak, tak, niech pan zostanie — zawtórowała Karkontka drżącym głosem. — Dobrze tu pana przyjmiemy".

„Nie, muszę iść do Beaucaire. Dobranoc".

Caderousse z wolna podszedł do drzwi.

„Czarno choć oko wykol — odezwał się jubiler już zza drzwi. — Mam się kierować na prawo, czy na lewo?".

„Na prawo — odparł Caderousse. — Nie może pan zabłądzić, droga po obu stronach obsadzona jest drzewami".

---

[982] *stadło* (daw.) — małżeństwo. [przypis edytorski]

[983] *dziatki* (daw.) — dzieci. [przypis edytorski]

„Dziękuję, już widzę" — odezwał się głos niknący w dali.

„Zamknijże drzwi — rzekła Karkontka. — Nie lubię, jak są otwarte, gdy grzmi".

„A zwłaszcza wtedy, gdy w domu są pieniądze, nieprawdaż?" — odpowiedział Caderousse, zamykając drzwi na dwa spusty.

Podszedł do szafy, wyciągnął sakwę i pugilares i razem zaczęli po raz trzeci przeliczać złoto i banknoty.

Chciwość, Ambicja, Grzech, Kobieta demoniczna, Przemiana

Nigdy jeszcze nie widziałem takiego wyrazu chciwości, jaki malował się na tych dwóch twarzach oświeconych wątłym blaskiem lampy. Szczególnie Karkontka wyglądała wstrętnie; gorączkowe drżenie, które ją zazwyczaj trzymało, wzmogło się w dwójnasób. Blada jej twarz zabarwiła się na sino, straszliwie błyszczały zapadłe oczy.

„A to dlaczego — rzekła przytłumionym głosem — zapraszałeś go tu na noc?".

„Ależ — wzdrygnął się Caderousse — po to... po to, żeby nie wracał do Beaucaire w taką pogodę".

„Aha — odparła kobieta, a nie sposób oddać wyrazu jej głosu. — A ja sądziłam, że z innego powodu".

„Kobieto, kobieto! — zawołał Caderousse. — Jak mogą ci przychodzić do głowy podobne myśli? I czemu ich nie zachowasz dla siebie?".

„Zresztą wszystko jedno — odezwała się po chwili milczenia Karkontka. — Nie jesteś mężczyzną".

„Jak to?".

„Gdybyś był mężczyzną, on by stąd nie wyszedł".

„Milcz, kobieto!".

„Albo nie dotarłby do Beaucaire".

„Milcz, kobieto!".

„Droga robi łuk; on musi iść prosto, a wzdłuż kanału jest skrót".

„Kobieto, obrażasz Boga! Proszę, posłuchaj...".

I rzeczywiście straszliwie zagrzmiało, a niebieskawa błyskawica rozświetliła całą salę; i grom cichnąc z wolna oddalał się jakby z żalem od tego przeklętego domu.

„Jezus Maria!" — rzekła Karkontka żegnając się.

W tejże chwili, pośród przeraźliwej ciszy, jaka następuje zawsze po uderzeniu pioruna, ktoś zapukał do drzwi.

Caderousse i jego żona zadrżeli i przerażeni spojrzeli na siebie.

„Kto tam?" — krzyknął Caderousse, zrywając się, by zgarnąć złoto i banknoty na jeden stos i zakryć je obiema rękami.

„Ja!" — odpowiedział ktoś.

„Co za ja?".

„Do licha, no ja, Joannes, jubiler".

„A widzisz? Dopiero mówiłeś — odezwała się Karkontka z okropnym uśmiechem — że obrażam Boga? A oto sam Bóg nam go sprowadza".

Caderousse padł blady i drżący na krzesło.

Karkontka przeciwnie: wstała, poszła pewnym krokiem do drzwi i otwarła.

„Prosimy, niech pan wejdzie" — rzekła.

„Przysięgam — wysapał jubiler przemoknięty do suchej nitki — chyba sam diabeł nie chce, abym wrócił dziś do Beaucaire. Im komu prędzej wraca zdrowy rozsądek, tym lepiej, drogi panie Caderousse. Zaproponował mi pan gościnę: przyjmuję, wróciłem do państwa na noc".

Caderousse wybąkał kilka słów, ocierając pot płynący mu z czoła strumieniem.

Karkontka zamknęła drzwi za jubilerem na dwa spusty.

44. KRWAWY DESZCZ

Jubiler, wchodząc do środka, rozejrzał się badawczo wokół; nic jednak nie obudziło w nim podejrzeń, jeśli ich nie miał, a gdyby je miał, nic ich nie potwierdzało.

Caderousse przytrzymywał ciągle rękami kupkę złota i banknotów, a Karkontka uśmiechała się do gościa, jak tylko mogła najuprzejmiej.

„O, jak widzę — zdziwił się jubiler — nie byliście państwo pewni, czy was nie oszukałem? Jeszcze raz liczyliście pieniądze, gdy odszedłem?".

„Nie — rzekł Caderousse — tylko że tak niespodzianie ten majątek dostał się nam, że nie możemy w to uwierzyć. Kiedy nie mamy tego przed oczyma, zdaje się nam, że to sen".

Jubiler uśmiechnął się.

„Macie państwo podróżnych w oberży?" — zapytał.

„Nie, nie nocujemy już nikogo, oberża jest pod samym miastem, nikt więc tu nie staje".

„O, to znaczy, że narażam państwa na kłopot!".

„Pan miałby nam sprawić kłopot! Drogi panie — rzekła przymilnie Karkontka — wcale a wcale, przysięgam".

„Gdzież mnie położycie?".

„W pokoiku na górze".

„Ale czy to nie wasz pokój?".

„Nic nie szkodzi, mamy drugie łóżko w pokoju obok".

Caderousse spojrzał ze zdumieniem na żonę.

Jubiler zanucił jakąś melodyjkę, grzejąc sobie plecy przy wiązce drewna, które Karkontka tylko co podpaliła na kominku, aby gość mógł się osuszyć.

Tymczasem Karkontka nakryła róg stołu serwetą i postawiła na niej jakieś nędzne resztki obiadu, do których dorzuciła parę jaj.

Caderousse włożył do pugilaresu banknoty, złoto wsypał do sakwy i wszystko zamknął w szafie. Przechadzał się wzdłuż i wszerz sali, ponury i zamyślony, spoglądając niekiedy na jubilera, na którym parowała odzież; w miarę jak ubranie wysychało, jubiler odwracał się odpowiednią stroną do ognia.

„No — rzekła Karkontka stawiając na stole butelkę wina. — Jak pan chce wieczerzać, to wszystko gotowe".

„A państwo?" — zapytał jubiler.

„Ja nie będę jadł" — odparł Caderousse.

„Bardzo późno jedliśmy obiad" — spiesznie dodała Karkontka.

„Więc mam sam jeść?" — sprzeciwił się jubiler.

„My pana będziemy obsługiwać" — odpowiedziała Karkontka z takim ugrzecznieniem, jakiego nigdy nie okazywała, nawet wobec gości płacących.

Caderousse rzucał co chwilę na żonę błyskawiczne spojrzenie.

Burza nie ustawała.

„Słyszy pan? — ozwała się znowu Karkontka. — Bardzo dobrze pan zrobiłeś, żeś wrócił".

„Co nie znaczy — odparł jubiler — że nie wyruszę w drogę, jeśli podczas kolacji wicher się uspokoi".

„To mistral — stwierdził Caderousse, kręcąc głową. — Potrwa na pewno do jutra".

I westchnął.

„Tym gorzej dla tych — rzekł jubiler, siadając do stołu — co teraz w drodze".

„O tak — dodała Karkontka — będą mieli okropną noc".

Jubiler zaczął jeść, Karkontka zaś nie przestawała usługiwać mu jak najtroskliwsza gospodyni; zwykle tak zrzędliwa i szorstka, była teraz wzorem uprzejmości i grzeczności. Gdyby jubiler znał ją wcześniej, tak wielka zmiana na pewno by go uderzyła i mogłaby go natchnąć jakimś podejrzeniem.

Caderousse nie mówił ani słowa, przez cały czas chodził po izbie i starał się nawet nie patrzeć na gościa.

Gdy skończył wieczerzę, Caderousse otwarł drzwi i rzekł:

„Zdaje mi się, że burza się uspokaja".

Ale w tej samej chwili, jakby przecząc jego słowom, nagłe uderzenie pioruna zatrzęsło całym domem, a silny powiew wiatru zmieszanego z deszczem zgasił lampę.

Caderousse zamknął drzwi, a jego żona zapaliła świecę od głowni[984] dogorywającej na kominku.

„No, musisz być pan znużony — rzekła do jubilera. — Dałam panu świeżą pościel, idź pan do pokoju i śpij spokojnie".

[984] *głownia* — tlący się kawałek drewna. [przypis edytorski]

Jubiler został jeszcze na chwilę, aby się przekonać, czy burza na pewno nie ustaje, a gdy już nabrał pewności, że deszcz i pioruny tylko się wzmagają, powiedział gospodarzom „dobranoc" i poszedł na górę.

Przechodził nad moją głową i słyszałem, jak stopnie trzeszczą pod jego krokami.

Karkontka patrzyła za nim wzrokiem pełnym chciwości; Caderousse odwrócił się do niego plecami i nawet nań nie spojrzał.

Wszystkie te szczegóły, które mi się przypominały dopiero później, wtedy wcale mnie nie uderzały; wszystko, co się działo, było bardzo zwyczajne, pomijając historię diamentu, która mi się wydała dość nieprawdopodobna.

Ponieważ sam byłem wykończony, postanowiłem przespać się parę godzin, aby potem, zaraz jak ucichną żywioły, wyruszyć jeszcze w nocy.

Słyszałem, jak w pokoiku na górze jubiler czynił przygotowania, aby spędzić jak najwygodniej noc; wkrótce zatrzeszczało pod nim łóżko: właśnie się położył.

Oczy zamykały mi się mimo woli, a ponieważ niczego nie podejrzewałem, nawet nie spróbowałem powalczyć przeciw snowi; ostatni raz zerknąłem do kuchni.

Caderousse siedział przy długim stole na drewnianej ławie zastępującej w oberżach krzesła; był odwrócony tyłem do mnie, tak że nie mogłem dojrzeć jego twarzy; a gdyby nawet siedział inaczej, trudno by mi było się jej przyjrzeć, bo chował ją w dłoniach.

Karkontka popatrzyła na niego, wzruszyła ramionami i usiadła naprzeciwko.

W tejże chwili dogorywający płomień ogarnął resztę suchego drzewa, które do tej pory oszczędzał; żywszy blask rozjaśnił ponurą izbę...

Karkontka wpatrywała się w męża, że zaś on siedział bez ruchu, wyciągnęła szponiastą rękę i trąciła go palcem w czoło.

Caderousse zadrżał. Zdawało mi się, że Karkontka porusza ustami; ale albo mówiła bardzo cicho, albo moje zmysły oszołomiła już senność — dość że jej słowa do mnie nie dochodziły. Widziałem wszystko jak przez mgłę, jak tuż przed snem, gdy zdaje się nam, że zaczynamy właśnie śnić. Na koniec oczy mi się zamknęły i straciłem świadomość.

Zapadałem w twardy sen, gdy wyrwał mnie z niego strzał z pistoletu i okropny krzyk.

Nad głową zadudniły mi chwiejne kroki i jakiś bezwładny ciężar runął na schody, tuż nade mną.

Jeszcze niezupełnie wróciłem do przytomności.

Słyszałem jęki, następnie stłumione krzyki, jak podczas walki wręcz.

Ostatni przeciągły krzyk, który zakończył się cichnącymi jękami, wyrwał mnie ostatecznie z letargu.

Uniosłem się, otwarłem oczy, ale w ciemności nic nie było widać; podniosłem rękę do czoła, bo wydało mi się, że przez szpary w deskach lecą na mnie obfite i ciepłe krople.

Po tym okropnym hałasie nastała głęboka cisza. Usłyszałem nad głową męskie kroki, pod tymi krokami zatrzeszczały schody.

Mężczyzna zszedł do sali jadalnej, podszedł do kominka i zapalił świecę.

Mężczyzną tym był Caderousse: blady, w pokrwawionej koszuli.

Zapaliwszy świecę, pobiegł znowu na górę — i znowu słyszałem jego szybkie, niespokojne kroki.

Po chwili wrócił na dół. W ręku trzymał etui; upewnił się, czy brylant jest na swoim miejscu, zastanawiał się przez chwilę, w której kieszeni go schować; w końcu przekonał się, że żadna kieszeń nie jest bezpieczną kryjówką, zawinął go w swoją czerwoną chustkę i okręcił nią szyję.

Potem podbiegł do szafy, wyciągnął banknoty i złoto, złoto schował do kieszeni w spodniach, banknoty do kieszeni w kamizelce, chwycił parę koszul, po czym wypadł przez drzwi i zniknął w ciemnościach.

Wtedy dopiero wszystko stało się dla mnie jasne i zacząłem sobie czynić wyrzuty, jakbym sam był winowajcą. Zdawało mi się, że słyszę jęki; być może nieszczęsny jubiler jeszcze nie skonał; być może, udzielając mu pomocy, zdołam naprawić zło, które nie było moim dziełem, ale na które pozwoliłem. Naparłem ramionami na deski krzywo połączone, które dzieliły mój schowek od sali jadalnej; deski ustąpiły i znalazłem się w środku.

Pobiegłem po świecę i rzuciłem się na schody; drogę zagrodziło mi na nich ciało: był to trup Karkontki.

Wystrzał z pistoletu, który słyszałem, ugodził właśnie ją; kula przeszyła jej gardło na wskroś, krew buchała z obu ran i otwartych ust.

Była martwa.

Przestąpiłem ciało i poszedłem dalej.

W pokoju panował okropny nieład. Sprzęty były powywracane, pościel, której uczepił się nieszczęsny jubiler, walała się na podłodze: on sam leżał na ziemi z głową opartą o ścianę, skąpany w kałuży krwi, która ciekła z trzech dużych ran w piersi.

W czwartej ranie tkwił aż po rękojeść długi nóż kuchenny.

Nadepnąłem na drugi pistolet, który nie wystrzelił, gdyż zapewne zamókł proch.

Podszedłem do jubilera; jeszcze żył: na odgłos moich kroków, a zwłaszcza dlatego, że zadrżała podłoga, otworzył błędne oczy, zdołał spojrzeć na mnie i poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć, i skonał.

To wszystko było tak okropne, że niemal postradałem zmysły; skoro już nie mogłem nikomu pomóc, odczuwałem jedną tylko potrzebę: uciekać.

Rzuciłem się na schody, wczepiając palce we włosy, rycząc z trwogi.

Na dole w jadalni było z pięciu czy sześciu celników i trzech żandarmów, wszyscy uzbrojeni.

Pochwycili mnie; nawet nie próbowałem się opierać, byłem zupełnie oszołomiony; chciałem coś powiedzieć, ale wybełkotałem tylko jakieś nieartykułowane dźwięki i ot, wszystko.

Widziałem, że celnicy i żandarmi wskazywali mnie palcami, popatrzyłem po sobie byłem cały pokryty krwią. Ten ciepły deszcz, który padał na mnie przez szpary w podłodze, to była krew Karkontki.

Pokazałem palcem miejsce, gdzie byłem ukryty.

„Co on chce powiedzieć?" — zapytał żandarm.

Jeden z celników poszedł zobaczyć.

„Chce powiedzieć, że tamtędy wszedł" — odparł i wskazał dziurę, przez którą rzeczywiście przechodziłem.

Wtedy zrozumiałem, że biorą mnie za mordercę. Odzyskałem głos i siły; wyrwałem się ludziom, co mnie trzymali i krzyknąłem:

„To nie ja! To nie ja!".

Dwóch żandarmów wymierzyło we mnie karabiny.

„Jeśli się ruszysz — rzekli — zginiesz".

„Ale — krzyknąłem — przecież mówię, że to nie ja!".

„Opowiesz tę swoją bajeczkę sędziom w Nîmes — odparli. — A teraz idziesz z nami; możemy ci udzielić rady: nie stawiaj oporu".

Nie miałem nawet zamiaru, obezwładniało mnie osłupienie i strach. Założyli mi kajdany i zaprowadzono na sznurze za koniem do Nîmes.

Po prostu — śledził mnie jakiś celnik; stracił mnie z oczu niedaleko karczmy, domyślił się, że spędzę tam noc; pobiegł po kolegów i wszyscy dotarli na miejsce akurat w chwili, gdy padł strzał z pistoletu; schwytali mnie w tak obciążających dla mnie okolicznościach, że zrozumiałem od razu, jak trudno będzie mi udowodnić, że jestem niewinny.

I dlatego uczepiłem się jednej rzeczy: błagałem sędziego śledczego, aby szukano wszędzie niejakiego księdza Busoniego, który w tym dniu zatrzymywał się w karczmie Pont-du-Gard.

Jeśli Caderousse wymyślił tę całą historię, jeśli ten ksiądz w ogóle nie istniał, byłem oczywiście zgubiony, chyba że schwytano by z kolei Caderousse'a i ten by się do wszystkiego przyznał.

Upłynęły tak dwa miesiące, podczas których — muszę to przyznać na pochwałę mojego sędziego — zrobiono wszystko, by odnaleźć księdza.

Straciłem całą nadzieję.

Caderousse bynajmniej nie został schwytany.

Miano mnie sądzić na pierwszej sesji po letniej przerwie, kiedy 8 września, to jest trzy miesiące i pięć dni po całym wypadku, w więzieniu stawił się ksiądz Busoni, na co już nie liczyłem; oświadczył, że powiedziano mu o jakimś więźniu, który pragnął z nim mówić. Dowiedział się o tym, jak powiadał, w Marsylii, i pospieszył, aby spełnić moje życzenie.

Rozumie pan, że przyjąłem go z wielką radością; opowiedziałem mu wszystko, czego byłem świadkiem; poruszyłem z niepokojem historię diamentu — wbrew moim oczekiwaniom była prawdziwa od początku do końca; ponadto, znów wbrew moim oczekiwaniom, ksiądz uwierzył mi we wszystko, co powiedziałem.

Wtedy, ośmielony jego łagodnością i miłosierdziem, widząc, że zna dogłębnie obyczaje mojego kraju, mając też nadzieję, że z tak litościwych ust padną może słowa przebaczenia za moją jedyną zbrodnię, opowiedziałem mu w szczegółach wszystkie wypadki w Auteuil.

To, co uczyniłem z porywu serca, doprowadziło do takiego skutku, jakbym działał z największym wyrachowaniem: przyznanie się do pierwszego morderstwa, do czego nic mnie nie zmuszało, dowiodło księdzu, żem nie popełnił drugiego; odszedł, zalecając mi ufność i przyrzekł, że zrobi wszystko, aby tylko przekonać sędziów o mojej niewinności.

Miałem wyraźne dowody, że się mną opiekował: stopniowo zaczęto mnie łagodniej traktować w więzieniu i dowiedziałem się, że odłożono moją sprawę do następnej sesji sądu przysięgłych.

W tym czasie Opatrzność zrządziła, że Caderousse został zatrzymany za granicą i sprowadzony do Francji. Wyznał wszystko, zrzucając pomysł zabójstwa na żonę, pod której namową miał działać. Skazano go na dożywotnie galery, a mnie uwolniono.

— I to właśnie wtedy — rzekł Monte Christo — przyszedłeś do mnie z listem od księdza Busoniego?

— Tak, panie hrabio; ksiądz naprawdę się mną zainteresował. „Rzemiosło twoje cię zgubi — rzekł do mnie. — Jeśli stąd wyjdziesz, porzuć je".

„Ale jakże ja wyżyję, wielebny ojcze? — zapytałem — ja sam i moja biedna bratowa?".

„Jeden z moich penitentów[985] darzy mnie wielką estymą[986]; ostatnio prosił mnie, bym mu wyszukał człowieka godnego zaufania. Czy chciałbyś, bym cię do niego skierował?".

„Ach, mój ojcze! Ile dobroci!" — zawołałem.

„Ale przysięgniesz mi, że nie będę tego żałował?".

Podniosłem rękę do przysięgi.

„Nie trzeba. Znam i lubię Korsykanów, masz tu list z rekomendacją".

Napisał kilka słów; oddałem list panu hrabiemu i ekscelencja raczył przyjąć mnie do służby. A teraz ośmielę się zapytać, panie hrabio, z całą dumą, czy miał pan kiedykolwiek powód, by się na mnie skarżyć?

— Nie — odpowiedział hrabia. — Wyznaję z radością, że jesteś dobrym sługą, panie Bertuccio, chociaż sam nie miałeś zbyt wiele zaufania do mnie.

— Ja? Panie hrabio...

— Tak, ty. Jakże to, masz bratową i przysposobionego syna, a nigdy mi o nich nie powiedziałeś?

— Niestety, panie hrabio, jeszcze nie dopowiedziałem panu najsmutniejszej części mojego życia. Pojechałem na Korsykę. Spieszno mi było, ekscelencja rozumie, by zobaczyć i pocieszyć moją biedną bratową. Ale gdy przybyłem do Rogliano, zastałem żałobę. W naszym domu zdarzyło się coś potwornego, sąsiedzi rozpamiętują to do tej pory. Biedna bratowa, zgodnie z moimi radami opierała się żądaniom Benedetta, który co chwila domagał się, aby dała mu wszystkie pieniądze. Pewnego ranka pogroził jej i przez cały dzień się nie pokazał. Moja poczciwa Assunta gorzko płakała, bo kochała tego nędznika jak matka. Nadszedł wieczór, a czekała, nie kładąc się spać. O jedenastej wrócił, prowadził ze sobą dwóch przyjaciół, z którymi wyprawiał zazwyczaj wszystkie swoje wybryki; wyciągnęła do niego ręce, a oni uchwycili ją i jeden z trzech, drżę, czy właśnie nie ten pomiot piekielny, wrzasnął:

„Dalej, weźmy ją na spytki[987], na pewno powie, gdzie ma pieniądze".

Sąsiad nasz Wasilio był właśnie wtedy w Bastii, jego żona została w domu sama. Ona tylko jedna widziała i słyszała wszystko, co się działo u mojej bratowej.

Dwaj trzymali biedną Assuntę, a ona, nie dowierzając, że mogliby popełnić taką zbrodnię, uśmiechała się do tych, którzy mieli stać się jej katami; trzeci zabarykadował drzwi i okna, a gdy wrócił, zakneblowali usta Assuncie, aby stłumić krzyki, jakie się jej wyrwały, gdy widziała, że przygotowania stają się coraz poważniejsze; zaczęli przypalać

[985] *penitent* (z łac.) — osoba przystępująca do spowiedzi. [przypis edytorski]
[986] *estyma* (daw.) — szacunek, poważanie. [przypis edytorski]
[987] *wziąć na spytki* — wypytać, przesłuchać. [przypis edytorski]

jej stopy i zbliżając je do paleniska, chcieli ją zmusić, by wyznała, gdzie chowamy nasz szczupły majątek; w szamotaninie ogień przeszedł na jej suknie; puścili ofiarę, aby się nie poparzyć.

Assunta, cała w płomieniach, pobiegła do drzwi, ale drzwi były zamknięte.

Rzuciła się do okna: okno było zabarykadowane.

Sąsiadka usłyszała przeraźliwe krzyki: to Assunta wołała o pomoc.

Wkrótce jej głos osłabł, krzyki zmieniły się w jęki; żona Wasilia spędziła noc w wielkiej trwodze, ośmieliła się wyjść dopiero rankiem; wezwała sędziego, a gdy otwarli drzwi, znaleźli Assuntę na wpół spaloną, choć jeszcze oddychała; szafy były rozbite siłą, pieniądze znikły.

Benedetto wyfrunął z Rogliano i nigdy tam nie wrócił. Od tego czasu nie widziałem go ani o nim nie słyszałem.

I właśnie wtedy — ciągnął Bertuccio — udałem się do pana hrabiego. Nie było po co mówić o Benedetcie, bo przepadł, ani o bratowej, bo już nie żyła.

— I cóż sobie pan pomyślałeś po tym wypadku? — spytał Monte Christo.

— Że to była kara za występek, który popełniłem. — O, ci Villefortowie to przeklęta rasa!

— I ja tak sądzę — szepnął posępnie hrabia.

— A teraz — dodał Bertuccio — ekscelencja rozumie, poznawszy przyczynę, jak strasznych uczuć doznałem na widok tego domu, którego od tej pory nie widziałem, tego ogrodu, gdzie się tak niespodzianie znalazłem, tego miejsca, na którym zabiłem człowieka? W końcu, kto wie, czy tu, pod moimi stopami, w grobie, jaki wykopał dla swojego dziecka, nie spoczywa pan de Villefort...

— Tak, wszystko jest możliwe — rzekł Monte Christo, wstając z ławki — a nawet to — szepnął do siebie — że prokurator nie umarł. Ksiądz Busoni dobrze zrobił, że cię do mnie przysłał; a pan dobrze zrobiłeś, żeś mi opowiedział swoje życie, bo już cię o nic nie będę posądzał. A co się tyczy Benedetta, którego imię tak nie pasuje do charakteru, nigdy nie starałeś się odszukać jego śladów albo dowiedzieć, co się z nim stało?

— Nigdy. Gdybym się nawet dowiedział, gdzie jest, zamiast go szukać, uciekłbym przed nim jak przed potworem. Na szczęście nigdy o nim nie słyszałem ani słowa; mam nadzieję, że nie żyje.

Zło, Zemsta, Bóg

— Nie ciesz się, Bertuccio. Źli tak łatwo nie umierają: Bóg bierze ich pod opiekę, aby ich użyć jako narzędzie swojej zemsty.

— Być może. A ja proszę Boga tylko o to, bym go nigdy nie zobaczył. A teraz — dodał intendent, pochylając głowę — wie pan wszystko; teraz jest pan moim sędzią na ziemi, jak Bóg będzie kiedyś w niebie. Czy nie rzeknie mi pan hrabia nic na pociechę?

— Masz pan rację, i mogę panu powiedzieć to, co by powiedział ksiądz Busoni: ten, którego ugodziłeś, Villefort, zasługiwał na karę za to, co ci zrobił, a może i za wiele innych rzeczy. Benedetto, jeśli jeszcze żyje, posłuży, jak ci powiedziałem, za narzędzie bożej zemsty, a potem sam zostanie ukarany. A na tobie ciąży naprawdę jeden tylko grzech: dlaczego nie oddałeś tego dziecka matce? W tym tkwi cała twoja zbrodnia, Bertuccio.

— Prawda, panie hrabio, to była prawdziwa zbrodnia, bo zrobiłem tak z tchórzostwa. Gdy już uratowałem to dziecko, powinienem był natychmiast, jak to pan hrabia powiedział, odesłać go do matki. Ale w takim wypadku musiałbym rozpocząć poszukiwania, a wtedy mógłbym ściągnąć na siebie uwagę, a nawet zostać pojmany. A ja nie chciałem umrzeć, chciałem żyć dla bratowej i ze względu na miłość własną, wrodzoną nam wszystkim: pragniemy wychodzić z zemsty cało i zwycięsko. A może zresztą zależało mi na życiu po prostu dlatego, że je kochałem? O, nie jestem tak odważny, jak mój brat!

Bertuccio zakrył twarz rękami, a Monte Christo utkwił weń swój uporczywy, zagadkowy wzrok.

Na chwilę zapadło milczenie, które nocna godzina i miejsce czyniło jeszcze bardziej uroczystym.

— Aby godnie zakończyć tę rozmowę, do której już nie wrócimy — odezwał się hrabia z akcentem niezwykłej dla niego melancholii — zachowaj pan dobrze te słowa w pamięci, a nieraz powtarzał mi je ksiądz Busoni; na wszystkie boleści są dwa lekarstwa: czas i milczenie. A teraz, panie Bertuccio, zostaw mnie samego, chciałbym przejść się

po tym ogrodzie. Sceneria, która w tobie budzi tak bolesne wspomnienia, bo sam w niej występowałeś, u mnie wywoła uczucie przyjemne i nada podwójną wartość tej posiadłości. Widzi pan, lubimy drzewa, gdyż rzucają cień, a cień pociąga nas dlatego, że kryją się w nim marzenia i widziadła. Kupiłem ogród z myślą, że kupię po prostu jakiś obszar ziemi, ogrodzony murem, a tu wcale nie: nagle okazuje się, że w ogrodzie aż się roi od zjaw; które bynajmniej nie były objęte kontraktem. A ja lubię zjawy, nigdy nie słyszałem, aby zmarli wyrządzili tyle zła w sześć tysięcy lat, co żywi potrafią zrobić w ciągu jednego dnia. Proszę wracać do domu, mój Bertuccio, i spać spokojnie. Jeśli twój spowiednik nie będzie dla ciebie tak pobłażliwy jak ksiądz Busoni, gdy będziesz umierał, przywołaj mnie, jeśli jeszcze żyć będę, a znajdę dla ciebie słowa, co ukołyszą łagodnie twoją duszę w chwili, gdy będzie gotowa odlecieć w ciężką podróż, którą nazywamy wiecznością.

Bertuccio skłonił się hrabiemu z szacunkiem i oddalił się z westchnieniem.

Monte Christo pozostał sam; postąpił cztery kroki naprzód i szepnął sam do siebie:

— Tu, przy tym platanie pochowano dziecko; tam jest furtka, przez którą wchodzono do ogrodu, tu schodki, które prowadzą do sypialni. Chyba nie muszę tego notować, bo mam tu przecież plan tego wszystkiego, wypukły, żywy plan.

I hrabia, obszedłszy jeszcze raz ogród, skierował się do powozu.

Bertuccio, widząc zamyślenie hrabiego, nie rzekł ani słowa i usiadł na koźle obok stangreta.

Powóz ruszył do Paryża.

Tegoż wieczoru, przybywszy do domu na Polach Elizejskich, hrabia obejrzał go w całości, czyniąc to tak, jakby go znał od lat; ani razu, choć szedł pierwszy, nie pomylił się, otwierając drzwi; wszystkie korytarze i schody prowadziły go tam, dokąd chciał dojść. W tym nocnym przeglądzie towarzyszył mu Ali.

Hrabia wydał Bertucciowi parę rozporządzeń: trzeba było upiększyć dom i przebudować go wewnątrz. Następnie spojrzał na zegarek i rzekł do uważnego na każdy jego ruch Nubijczyka:

— Wpół do dwunastej, Hayde powinna już niebawem przyjechać. Uprzedzono o tym służące Francuzki?

Ali wyciągnął rękę, wskazując apartament przeznaczony dla pięknej Greczynki; był on tak odosobniony, że gdy drzwi zakrywał gobelin[988], można było obejść cały dom i nie domyślić się, że są tam jeszcze salon i dwa pokoje. Ali tedy, jak powiedzieliśmy, wskazał ręką apartament, podniósł trzy palce lewej ręki, na tej ręce oparł głowę i przymknął oczy jak do snu.

— Aha! — rzekł Monte Christo przyzwyczajony do mowy znaków — więc są trzy i czekają w sypialni?

„Tak" — kiwnął głową Ali.

— Pani będzie dziś wieczór znużona — mówił Monte Christo. — Zechce zapewne położyć się, niechaj jej nie nudzą rozmową: Francuzki mają tylko złożyć uszanowanie nowej pani i wyjść; uważaj, by służąca Greczynka nie rozmawiała z Francuzkami.

Ali skłonił się.

Wkrótce dało się słyszeć, jak ktoś nawołuje odźwiernego; brama się otwarła, powóz pojechał aleją i zatrzymał się przed schodkami. Zszedł hrabia; drzwiczki były już otwarte; podał rękę młodej kobiecie okrytej jedwabną zieloną mantylą[989], zahaftowaną złotem.

Młoda kobieta ujęła podaną dłoń, ucałowała ją z miłością i szacunkiem; zamienili parę słów w tym dźwięcznym języku, którym przemawiali bogowie Homera[990]: kobieta mówiła z czułością, hrabia z łagodnością i powagą.

Następnie Ali, idąc przodem ze świecą z różowego wosku, odprowadził kobietę — a nie był to nikt inny, jak piękna Greczynka, towarzysząca hrabiemu we Włoszech — do jej apartamentów; za czym hrabia udał się do skrzydła, które przeznaczył dla siebie.

O wpół do pierwszej w całym domu pogasły światła i można by sądzić, że wszystko pogrążyło się we śnie.

---

[988]*gobelin* — ręcznie wykonana tkanina dekoracyjna z nici wełnianych i jedwabnych, naśladująca malowidło, stosowana do ozdoby ścian. [przypis edytorski]

[989]*mantyla* — krótka peleryna damska. [przypis edytorski]

[990]*Homer* — legendarny autor *Iliady* oraz *Odysei*, gr. wędrowny pieśniarz i recytator. [przypis edytorski]

45. KREDYT NIEOGRANICZONY

Nazajutrz około drugiej przed drzwi hrabiego Monte Christo zajechał powóz zaprzężony w pyszną parę angielskich koni; w środku siedział mężczyzna w błękitnym fraku z guzikami obciągniętymi jedwabiem, w białej kamizelce, w którą wrzynała się wyraźnie gruba złota dewizka[991], i w pantalonach koloru orzechowego; jego włosy były tak czarne i tak nisko zachodziły na czoło, że trudno było uwierzyć, że są naturalne — tak bardzo kontrastowały ze zmarszczkami na czole, których nie zdołały zakryć; ów mężczyzna, lat pięćdziesięciu do pięćdziesięciu pięciu, pragnący uchodzić za czterdziestolatka, wysunął głowę przez okienko powozu — poniżej widniała korona baronowska — i posłał swojego *grooma*[992], by zapytał odźwiernego, czy hrabia Monte Christo jest u siebie.

Przez ten czas przybysz przypatrywał się (z taką skrupulatnością, że ocierała się o niegrzeczność) domowi, ogrodowi i liberii krzątającej się służby.

Spojrzenie miał żywe, ale raczej sprytne niż inteligentne; wargi tak wąskie, że aż wklęsłe; szerokie, wystające policzki świadczyły o przebiegłości; cofnięte czoło i czaszka tak rozrośnięta w tylnej części, że szersza od rozstawu wielkich, bynajmniej niearystokratycznych uszu, nadawały temu obliczu dla każdego fizjonomisty[993] charakter niemal odstręczający; chociaż gmin bardzo poważał tę osobistość z uwagi na wspaniałe konie, wielką brylantową spinkę w koszuli i czerwoną wstęgę orderową przeciągniętą z jednej do drugiej butonierki w surducie.

Groom zastukał w okienko odźwiernego i zapytał:

— Czy tu mieszka pan hrabia de Monte Christo?

— Tak — odpowiedział odźwierny — ale...

I spojrzał pytająco na Alego.

Ali potrząsnął przecząco głową.

— Ale? — zapytał *groom*.

— Ale ekscelencja nie przyjmuje nikogo — dokończył odźwierny.

— W takim razie proszę oddać panu hrabiemu bilet wizytowy mojego pana, przy czym proszę powiedzieć, że mój pan, baron Danglars, jadąc na posiedzenie Izby nadłożył drogi[994], aby mieć zaszczyt złożenia mu wizyty.

— Nie mam dostępu do pana hrabiego — odparł odźwierny. — Odda mu go jego lokaj.

Groom wrócił do powozu.

— No i co? — zapytał Danglars.

Chłopiec, dość zawstydzony nauczką, jakiej doznał, powtórzył swemu panu odpowiedź odźwiernego.

— O! — obruszył się baron — a więc to jakiś książę. Tytułują go ekscelencją, może do niego wejść tylko osobisty lokaj! Mniejsza z tym. Ma u mnie otwarty kredyt, a więc zobaczę go na pewno, gdy mu się zachce pieniędzy.

I Danglars opadł na siedzenie, wołając do stangreta tak, aby go słyszano na całej ulicy:

— Do Izby Deputowanych!

Monte Christo, powiadomiony w czas, obserwował barona zza żaluzji za pomocą wybornej lunety z taką samą uwagą, z jaką Danglars studiował dom, ogród i służbę.

— O, stanowczo — rzekł, wzdrygając się z niesmakiem i składając lunetę w futerale z kości słoniowej — stanowczo ohydna to kreatura; jakże tu na pierwszy rzut oka nie poznać węża po tym spłaszczonym czole, po tym nabrzmiałym łbie sępa, po tym ostrym dziobie drapieżcy?

— Ali! — zawołał i uderzył w miedziany dzwonek.

Wszedł Ali.

— Zawołaj mi Bertuccia.

W tejże chwili wszedł Bertuccio.

— Ekscelencja mnie wzywał?

---

[991] *dewizka* — łańcuszek, na którym wieszało się zegarek; dewizkę zaczepiało się na guziku kamizelki, żeby łatwo było wyjąć zegarek z kieszeni. [przypis edytorski]

[992] *groom* (ang.) — chłopiec zajmujący się końmi, stajenny. [przypis edytorski]

[993] *fizjonomista* — osoba odczytująca charakter osoby z jej twarzy. [przypis edytorski]

[994] *nadłożyć drogi* — przebyć dłuższą drogę niż planowano. [przypis edytorski]

— Tak. Czy widziałeś konie, co przed chwilą stanęły przed bramą?

— Tak, panie hrabio, bardzo piękne konie.

— A zatem, jak to się stało — rzekł Monte Christo, marszcząc brew — że tych koni nie ma w mojej stajni, gdy poleciłem panu, byś kupił parę najpiękniejszych koni w Paryżu, a tu okazuje się, że w Paryżu jest jeszcze jedna para koni równie pięknych jak moje?

Na widok zmarszczonych brwi, słysząc surowy głos hrabiego, Ali pochylił głowę.

— To nie twoja wina, mój dobry Ali — rzekł hrabia po arabsku ze słodyczą, jaką rzadko można było u niego zauważyć. — Nie znasz się na koniach angielskich.

Ali rozpogodził się.

— Panie hrabio — rzekł Bertuccio. — Te konie nie były na sprzedaż.

Monte Christo wzruszył ramionami.

— Trzeba panu wiedzieć, że wszystko jest na sprzedaż, jeżeli ktoś umie wyznaczyć cenę.

— Panie hrabio, pan Danglars zapłacił za te konie szesnaście tysięcy franków.

— Trzeba mu było zapłacić trzydzieści dwa; to bankier, a bankier nigdy nie minie okazji podwojenia kapitału.

— Pan hrabia serio to mówi?

Monte Christo spojrzał tak, jakby dziwił się, że ktoś śmie go o to pytać.

— Dziś wieczór wybieram się z wizytą. Chcę, aby te konie były zaprzężone do mego powozu, w nowych szorach[995].

Bertuccio ukłonił się i odszedł; u drzwi zapytał jeszcze:

— O której pan hrabia ma złożyć tę wizytę?

— O piątej.

— Śmiem zwrócić uwagę panu hrabiemu, że jest druga — zaryzykował intendent.

— Wiem — zakończył Monte Christo i zwrócił się do Alego:

— Każ wszystkie konie przeprowadzić przed panią, niech sobie wybierze te, które jej się podobają; niech też powie, czy zechce dziś zjeść ze mną kolację; jeśli tak, niech nakryją w jej pokoju. Idź i przyślij mi tu kamerdynera.

Zaledwie Ali znikł, pojawił się kamerdyner.

— Panie Baptysto — odezwał się hrabia — już rok służysz u mnie; jest to zwykle czas próby, jaki wyznaczam moim ludziom; odpowiadasz mi pan.

Baptysta skłonił się.

— Trzeba jeszcze uzgodnić, czy ja odpowiadam tobie.

— Ależ, panie hrabio! — zawołał Baptysta.

— Posłuchaj, posłuchaj do końca. Masz pensję wynoszącą tysiąc pięćset franków na rok, to jest tyle, ile ma gaży dobry, odważny oficer, który na co dzień naraża życie; stół masz taki, jakiego by ci pozazdrościł niejeden wysoki urzędnik, skądinąd dużo bardziej zaharowany niż ty. Jesteś sługą, a sam masz służbę, która myśli o twojej bieliźnie i ubraniu. Prócz tych tysiąca pięciuset franków płacy, okradasz mnie na sprawunkach dotyczących mojej toalety mniej więcej na drugie tyle.

— Och, ekscelencjo!

— Nie gniewam się, mój Baptysto, to rozsądne; ale pragnąłbym jednak, by to się skończyło. Lepszego miejsca od tego, które ci zesłał łaskawy los, nie znajdziesz nigdzie. Nigdy nie biję moich ludzi, nigdy nie wymyślam, nigdy się nie złoszczę, przebaczam zawsze błąd, choć nigdy niedbalstwo lub zapomnienie. Moje rozkazy są zazwyczaj krótkie, ale jasne i wyraźne, wolę powtórzyć je dwa albo i trzy razy, aniżeli widzieć, że są źle zrozumiane. Jestem na tyle bogaty, że mogę dowiadywać się o wszystkim, co mnie interesuje; a uprzedzam, jestem ciekawy. Gdybym się więc dowiedział, że mówisz o mnie źle albo dobrze, że komentujesz moje sprawy albo zbyt w nie wnikasz, zostaniesz natychmiast odprawiony. Raz tylko pouczam moich służących; zostałeś poinformowany, możesz pan odejść. Gospodarz

Baptysta ukłonił się i ruszył w stronę drzwi.

— Ale, ale — dodał hrabia — zapomniałem panu powiedzieć, że co rok odkładam dla moich ludzi pewną sumę. Oczywiście odprawieni tracą te pieniądze i przechodzą one

[995] *szor* — rodzaj końskiej uprzęży. [przypis edytorski]

na tych, którzy zostają i którym przypadną po mojej śmierci. Rok już u mnie służysz, twoja kariera rozpoczęła się, postępuj tak dalej.

To przemówienie, wygłoszone w obecności Alego, który stał nieruchomo, zważywszy, że nie rozumiał ni słowa po francusku, wywarło na Baptyście skutek, jaki pojmie każdy, kto studiował psychologię francuskiego służącego.

— Będę się starał dostosowywać całkowicie do pragnień pana hrabiego — rzekł Baptysta. — Za wzór wezmę sobie pana Alego.

— O, tylko nie to — rzekł hrabia z chłodem marmuru. — Ali ma wiele wad, przemieszanych z zaletami. Nie bierz pan z niego przykładu, bo Ali jest wyjątkiem: nie ma pensji, bo i nie jest służącym; to mój niewolnik, mój pies; gdyby w czymkolwiek uchybił, nie wypędziłbym go, ale zabił. Niewola

Baptysta wytrzeszczył oczy.

— Myśli pan, że żartuję? — spytał Monte Christo.

I powtórzył Alemu po arabsku to, co mówił po francusku do Baptysty.

Ali wysłuchał, uśmiechnął się, podszedł do pana, ukląkł na jedno kolano i z głęboką czcią ucałował go w rękę.

Ta przedziwna nauczka wprawiła Baptystę w najwyższe zdumienie.

Hrabia dał znak Baptyście, że może wyjść; Alemu zaś kazał pójść za sobą. Przeszli do gabinetu, gdzie długo jeszcze rozmawiali.

O piątej hrabia trzykrotnie zadzwonił.

Wszedł intendent.

— Konie! — rozkazał Monte Christo.

— Są zaprzęgnięte, panie hrabio — odpowiedział Bertuccio. — Czy mam jechać z panem hrabią?

— Nie; stangret, Baptysta i Ali, to wystarczy.

Hrabia zszedł na dół i ujrzał przy swoim powozie konie, które mu się tak spodobały przy powozie Danglarsa.

— Piękne, rzeczywiście, dobrze, żeś je kupił; szkoda jednak, że tak późno.

— Panie hrabio, niełatwo mi przyszło je kupić i słono kosztowały.

— Czy dlatego tracą na urodzie? — wzruszył ramionami hrabia.

— Skoro pan hrabia jest kontent, to wszystko w porządku. Gdzie pan hrabia każe jechać?

— Na ulicę Chaussée-d'Antin, do barona Danglarsa.

Rozmowa ta odbywała się na podeście schodów. Bertuccio zrobił krok, chcąc zejść.

— Panie Bertuccio, czekaj pan — powstrzymał go Monte Christo. — Chcę mieć jakiś majątek nad brzegiem morza, na przykład w Normandii[996], między Hawrem a Boulogne. Jak widzisz, masz dosyć miejsca do wyboru. W tych dobrach musi być jaki mały port, przystań, zatoczka, gdzie mogłaby zawinąć i rzucić kotwicę korweta[997]. Zanurza się tylko na piętnaście stóp. Statek ma być zawsze gotowy do wyjścia w morze, o każdej porze w dzień i w nocy, kiedy tylko mi się spodoba. Pytaj pan notariuszy, czy nie mają gdzieś właśnie takiego terenu na sprzedaż; kiedy już ci coś wskażą, pojedziesz obejrzeć ten teren, a jeśli będzie taki, jak trzeba, kupisz go na swoje nazwisko. Korweta powinna być już w drodze do Fécamp[998], prawda?

— Tego wieczoru, kiedyśmy wyjeżdżali z Marsylii, widziałem, jak wypływała na morze.

— A jacht?

— Jacht zgodnie z rozkazem stoi w Martigues[999].

— Dobrze! Pisz pan co jakiś czas do obu kapitanów, żeby nie pozasypiali.

— A co ze statkiem parowym?

— Jest w Châlon[1000], prawda?

— Tak.

---

[996] *Normandia* — kraina hist. i region w płn. Francji. [przypis edytorski]

[997] *korweta* — niewielki okręt żaglowy. [przypis edytorski]

[998] *Fécamp* — miasto portowe w Normandii. [przypis edytorski]

[999] *Martigues* — miasto portowe w płd. Francji. [przypis edytorski]

[1000] *Châlon*, właśc. *Chalon-sur-Saône* — miejscowość w śr.-wsch. Francji, leżąca nad rzeką Saoną. [przypis edytorski]

— Te same rozkazy, które wydałem dla żaglowców.

— Na rozkaz.

— Gdy już kupisz mi tę posiadłość, każ rozstawić dla mnie konie co dziesięć mil, na trakcie południowym i północnym.

— Ekscelencja może na mnie liczyć.

Hrabia skinął zadowolony głową i wsiadł do powozu; wspaniały zaprzęg ruszył kłusem, aby zatrzymać się przed pałacem bankiera.

Danglars prezydował właśnie debatom komisji powołanej do budowy kolei żelaznej, gdy zaanonsowano mu hrabiego de Monte Christo. Posiedzenie zresztą prawie się kończyło.

Usłyszawszy nazwisko hrabiego, Danglars wstał.

— Panowie wybaczą — zwrócił się do kolegów, z których wielu było czcigodnymi członkami Izb Parlamentu — że muszę was pożegnać. Proszę sobie wyobrazić, że firma Thomson i French w Rzymie przysyła mi niejakiego hrabiego de Monte Christo, otwierając mu u mnie nieograniczony kredyt. To najzabawniejszy żart, na jaki sobie wobec mnie pozwolili moi zagraniczni korespondenci. O, na pewno panowie rozumiecie, że zdjęła mnie ciekawość i jeszcze nie mogę się jej pozbyć. Dziś rano byłem właśnie u tego rzekomego hrabiego; gdyby był rzeczywiście hrabią, nie byłby tak bogaty. Jaśnie pan nie przyjmował nikogo. Jak się panom zdaje, czyż imć Monte Christo nie zachowuje się jak książątko albo piękna kobieta? Wprawdzie dom przy Polach Elizejskich, który należy faktycznie do niego (zasięgnąłem na ten temat informacji), wygląda nieźle. Ale kredyt nieograniczony — dodał Danglars, śmiejąc się na swój prostacki sposób — czyni bankiera, u którego ten kredyt jest otwarty, bardzo wymagającym. Dlatego chciałbym czym prędzej poznać jegomościa. Zdaje mi się, że ktoś mi tu mydli oczy. Ale ten ktoś nie wie, z kim ma do czynienia: śmieje się ten, co się śmieje ostatni.

Kończąc tę przemowę, którą wygłaszał z taką emfazą, że aż mu się rozdymały nozdrza, pan baron ukłonił się kolegom i przeszedł do salonu, którego białe, wyzłacane ściany słynęły na całej Chaussée-d'Antin.

Do tego to salonu kazał wprowadzić gościa, aby z miejsca go olśnić.

Hrabia stał, przyglądając się kilku kopiom Albana[1001] i Fattorego[1002], które bankierowi sprzedano jako oryginały — a chociaż były to tylko kopie, mocno gryzły się ze złotą pstrokacizną na suficie.

Na odgłos kroków Danglarsa hrabia odwrócił się.

Danglars kiwnął mu nieznacznie głową i zaprosił go gestem, aby usiadł w złoconym fotelu z białym atłasowym obiciem przetykanym złotem. Hrabia usiadł.

— Czy mam honor z panem de Monte Christo?

— A ja czy mam honor z panem baronem Danglarsem, kawalerem Legii Honorowej i członkiem Izby Deputowanych?

Monte Christo wymienił wszystkie tytuły, jakie były na bilecie wizytowym Danglarsa.

Danglars uczuł ten przytyk i przygryzł wargi.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł — że nie wymieniłem od razu tytułu, pod jakim mi pana zapowiedziano. Ale jak pan wie, mamy teraz rząd ludowy, a ja właśnie jestem reprezentantem ludu.

— Dlatego też, zachowując zwyczaj tytułowania się baronem, zaprzestał pan przyznawać innym tytuł hrabiego.

— Och, ja wcale nie dbam o ten tytuł — rzekł niedbale Danglars. — Mianowali mnie baronem i zrobili kawalerem Legii Honorowej za parę przysług, ale...

— Ale pan zrzekłeś się tych tytułów jak niegdyś panowie Montmorency i Lafayette[1003]? Drogi panie, to piękny przykład i godny naśladowania.

— No, niezupełnie — odparł zakłopotany Danglars. — Rozumie pan, wobec służby...

[1001] *Albane*, właśc. *Francesco Albani* (1578–1660) — wł. malarz barokowy, twórca sielskich obrazów mitologicznych i alegorycznych. [przypis edytorski]

[1002] *Fattore*, właśc. *Gianfrancesco Penni* (1488/1496–1528)— wł. artysta, nadworny malarz Henryka VIII. [przypis edytorski]

[1003] *Lafayette, Marie-Joseph de* (1757–1834) — fr. polityk, liberał i dowódca wojskowy, uczestnik wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Rewolucji Francuskiej i rewolucji lipcowej; podczas Restauracji należał do liberalnych członków Izby Deputowanych. [przypis edytorski]

— Aha, dla służących jesteś pan jaśnie wielmożnym panem, dla dziennikarzy panem, a dla komitentów[1004] — obywatelem. O, to niuanse bardzo praktyczne pod rządami konstytucyjnymi. Rozumiem to bardzo dobrze.

Danglars przygryzł znowu wargi; przekonał się, że na tym polu nie dorównuje siłami hrabiemu i przeszedł na teren bardziej mu znajomy.

— Panie hrabio — i tu się ukłonił — otrzymałem list awizowy[1005] od firmy Thomson i French.

— Bardzo mnie to cieszy, panie baronie. Niech mi pan pozwoli, abym go tytułował tak, jak go tytułuje służba; zły to zwyczaj nabyty w krajach, w których istnieją jeszcze baronowie, i to właśnie dlatego, że ich się więcej nie robi. Niezmiernie mnie to cieszy, powtarzam, bo nie będę musiał sam się panu przedstawiać — to zawsze jest dość kłopotliwe. Mówił więc pan, że otrzymał awizo?

— Tak — odpowiedział Danglars. — Ale wyznam, że nie zrozumiałem dobrze jego treści.

— Coś takiego!

— Dlatego miałem zaszczyt wstąpić do pana, by poprosić o parę objaśnień.

— Proszę pytać, słucham i gotów jestem odpowiadać.

— Mam chyba ten list przy sobie — i mówiąc to, poszperał w kieszeni. — Tak, to właśnie ten list, który otwiera u mnie panu hrabiemu Monte Christo kredyt nieograniczony.

— I cóż w tym pan widzisz niejasnego?

— Nic, proszę pana; tylko to słowo „nieograniczony"...

— Hm, czy to nie francuski wyraz? Choć wie pan, że pisali ten list Anglo-Niemcy.

— O, nie! Nie ma tu bynajmniej błędów w gramatyce, ale pismo jest błędne z punktu widzenia rachunkowości.

— Czyżby firma Thomson i French — spytał Monte Christo, przybierając minę tak naiwną, jak tylko potrafił — nie była według pana pewna? Do licha! To byłoby przykre, bom tam ulokował trochę funduszy.

— O, nie! Jest absolutnie pewna — odpowiedział Danglars, uśmiechając się niemal drwiąco — ale sens słowa „nieograniczony" w kwestiach finansowych jest tak niejasny...

— Że owa niejasność jest bez granic, czy tak?

— O, to właśnie chciałem powiedzieć. A niejasność, to wątpliwość, a jak powiada jakiś mędrzec, kiedy wątpisz, nie czyń nic pochopnie.

— To ma znaczyć — podjął Monte Christo — że o ile dom Thomson i French gotów jest popełniać szaleństwa, bank Danglarsa nie ma zamiaru iść za jego przykładem.

— To znaczy, panie hrabio?

— No tak: panowie Thomson i French podejmują się interesów, nie zważając na cyfry, ale pan Danglars ma dla swoich cyfr granicę, jest bowiem mędrcem, jak to przed chwilą powiedział.

— Panie łaskawy — odrzekł dumnie bankier — nikt jeszcze nie zawiódł się na moim banku.

— Cóż, zdaje mi się, że ja będę pierwszy — rzucił zimno Monte Christo.

— Co panu każe tak sądzić?

— Żądasz pan wyjaśnień, a to wskazuje, że się pan waha.

Danglars przygryzł wargi. Po raz drugi pokonał go ten człowiek, i tym razem już na jego własnym terenie.

Drwiąca uprzejmość hrabiego była jedynie maską i graniczyła z tym, co paradoksalnie jest jej bardzo bliskie: z impertynencją.

Monte Christo przeciwnie: uśmiechał się najuprzejmiej w świecie, a miał dar przybierania na zawołanie swoistej naiwnej miny, która mu zapewniała wielką przewagę.

— Zresztą, panie hrabio — odezwał się Danglars po chwili milczenia — spróbuję panu wytłumaczyć, o co mi chodzi, prosząc, abyś wyznaczył sumę, jaką zamierzasz u mnie podjąć.

[1004] *komitent* — osoba będąca właścicielem przedmiotów oddanych w komis, zleceniodawca. [przypis edytorski]

[1005] *list awizowy* a. *awizo* — tu: zawiadomienie w sprawie operacji handlowej lub bankowej. [przypis edytorski]

— Ależ, panie baronie — odrzekł Monte Christo z postanowieniem, aby nie ustąpić ani jednej piędzi[1006] ziemi w tej potyczce — skoro prosiłem o nieograniczony kredyt, to przecież dlatego, że sam nie wiedziałem, ile będę potrzebował.

Bankier uznał, że nareszcie będzie mógł wziąć górę; rozparł się w fotelu i rzekł z tępym, pełnym pychy uśmiechem:

— No, bez obawy możesz pan żądać, ile się panu spodoba; będziesz mógł się pan przekonać, że jakkolwiek budżet banku Danglarsa jest ograniczony, może jednak zaspokoić największe potrzeby. Choćbyś pan nawet prosił o milion...

— Co proszę? — wtrącił Monte Christo.

— Milion — powtórzył Danglars z butą, jaka charakteryzuje głupotę.

— A cóż bym począł z milionem? Mój Boże! Panie baronie, gdybym przecież potrzebował tylko miliona, nie kazałbym sobie otwierać kredytu dla tak mizernej sumy. Milion? Ależ milion mam zawsze przy sobie.

I Monte Christo wyjął z pugilaresika, w którym trzymał bilety wizytowe, dwa bony, każdy na pięćset tysięcy franków, płatne na okaziciela[1007] przez skarb państwa.

Takiego człowieka jak Danglars należało walić po głowie, nie zaś kłuć. Cios pałką wywarł skutek: bankier zachwiał się, zawróciło mu się w głowie. Wytrzeszczył na hrabiego obłąkane oczy, a źrenice straszliwie mu się rozszerzyły.

— No, niech się pan teraz przyzna, że nie ufasz pan firmie Thomson i French. Boże drogi, to bardzo proste: przewidziałem taką możliwość i choć nie znam się na interesach, zabezpieczyłem się. Oto dwa podobne listy: jeden napisali panowie Arstein i Eskeles z Wiednia do barona Rotszylda, a drugi pan Baring z Londynu do pana Laffite[1008]. Powiedz pan słowo, a przestanę pana kłopotać i pójdę do jednego z tych dwóch banków.

To był koniec; Danglars poddał się: otwarł drżącymi rękoma listy od bankierów wiedeńskich i londyńskiego i sprawdził autentyczność podpisów ze skrupulatnością, która byłaby obraźliwa, gdyby nie to, że spowodowana była oszołomieniem bankiera.

— O, proszę pana, te trzy podpisy warte są wiele milionów — powiedział Danglars, podnosząc się, jakby chcąc oddać hołd potędze złota uosobionej w człowieku, który stał przed nim. — Trzy nieograniczone kredyty w trzech naszych bankach! Pan hrabia mi wybaczy, ale choć nie podlegają one wątpliwości, trudno jednak zapanować nad zdziwieniem.

— O, bank taki, jak pański, panie baronie, nie mógłby się dziwić takim listom — rzekł Monte Christo nadzwyczaj uprzejmie. — A więc będzie mi pan mógł przysłać trochę pieniędzy?

— Proszę mówić, panie hrabio, jestem na pańskie rozkazy.

— A więc teraz, gdyśmy się już porozumieli, a zrozumieliśmy się, prawda?

Danglars kiwnął potakująco głową.

— I nie ma pan już żadnych wątpliwości?

— Ależ, panie hrabio, nie miałem ich od samego początku!

— Nie, żądał pan tylko dowodów i nic więcej. A więc — powtórzył hrabia — skoro się porozumieliśmy i ponieważ nie ma już pan żadnych wątpliwości, ustalmy, jeśli pan pozwoli, przybliżoną sumę na pierwszy rok: powiedzmy sześć milionów.

— Sześć milionów! Dobrze! — zakrztusił się Danglars.

— Jeżeli będzie mi trzeba więcej — dodał niedbale Monte Christo — zawiadomię pana, ale nie sądzę, bym zabawił we Francji dłużej niż rok, a przez ten czas nie wydam chyba więcej... zresztą zobaczymy... Na początek racz mi pan przesłać na jutro rano pięćset tysięcy franków, nie wychodzę z domu do południa; gdyby mnie zresztą nie było, zostawię pokwitowanie memu intendentowi.

— Będzie miał pan hrabia pieniądze jutro rano o dziesiątej. Życzy pan sobie złoto, banknoty czy srebro?

— Połowę w złocie, połowę w banknotach.

I hrabia podniósł się.

[1006] *piędź* — daw. jednostka miary długości, równa szerokości dłoni (pięciu palców, stąd nazwa) i wynosząca ok. 20 cm. [przypis edytorski]

[1007] *okaziciel* — ktoś, kto okazuje jakiś dokument. [przypis edytorski]

[1008] *Laffite*, właśc. *Jacques Laffitte* (1767–1844) — dyrektor Banku Francji, polityk. [przypis edytorski]

— Jedną rzecz muszę panu wyznać — rzekł Danglars z kolei. — Zdawało mi się, że mam jak najdokładniejsze wiadomości o największych fortunach Europy, a jednak pańska, która jest chyba dość znaczna, nie obiła mi się o uszy. To zapewne jakaś świeża fortunka?

— Nie, panie baronie. Przeciwnie, jest bardzo stara; było to coś w rodzaju familijnego skarbu, którego nie wolno było naruszać, a tymczasem procenty potroiły całą wartość; termin wyznaczony przez testatora[1009] upłynął dopiero przed kilku laty, a więc używam tego majątku zaledwie od kilku lat; pańska niewiedza w tym względzie jest naturalna; zresztą niebawem pozna pan te sprawy lepiej.

Słowa te wymówił z owym bladym uśmiechem, który takim dreszczem przejmował Franza d'Epinaya.

— Przy pańskim usposobieniu i zamiarach — powiedział Danglars — zabłyśnie pan u nas w stolicy takim przepychem, że zaćmisz nas, biednych milionerów. A jednak poproszę, by zechciał pan rzucić okiem na moją galerię, bo jesteś pan amatorem sztuki — widziałem, jak oglądał pan moje obrazy. Wszystkie obrazy są stare: dzieła posiadające metrykę[1010], że wyszły spod pędzla dawnych mistrzów, bo obecnego malarstwa nie lubię.

— Ma pan rację; współczesne malarstwo ma zazwyczaj jedną wielką wadę: nie zdążyło się jeszcze zestarzeć.

— Zechce pan obejrzeć moje rzeźby Thorwaldsena[1011], Bartoliniego[1012], Canovy[1013]? To sami obcy artyści, bo jak pan widzi, nie bardzo cenię artystów francuskich.

— Masz pan prawo być dla nich niesprawiedliwym, to pańscy ziomkowie.

— Ale to wszystko na później, kiedy się bliżej poznamy; dziś rad bym tylko, jeżeli pan pozwoli, przedstawić go żonie, baronowej Danglars; proszę darować ten pośpiech, panie hrabio, ale tak znakomity klient jak pan należy prawie do rodziny.

Monte Christo ukłonił się na znak, że przyjmuje zaszczyt, który tak bardzo pragnął wyświadczyć mu bankier.

Danglars zadzwonił i wszedł służący ubrany w pyszną liberię.

— Czy pani baronowa jest u siebie? — zapytał Danglars.

— Tak, panie baronie.

— Sama?

— Nie, ma u siebie gości.

— Czy nie uzna pan tego za nietakt, panie hrabio, jeśli przedstawię pana w czyjejś obecności? Wszak nie zachowuje pan incognito?

— Bynajmniej, panie baronie — uśmiechnął się Monte Christo. — Nie roszczę sobie praw do tego.

— A któż jest u pani? Pan Debray? — spytał Danglars z taką dobrodusznością, że Monte Christo uśmiechnął się w duchu, znał już bowiem domowe tajemnice bankiera.

— Tak, pan Debray — odpowiedział lokaj.

Danglars skinął głową.

Po czym zwrócił się do Monte Christa:

— Pan Lucjan Debray jest przyjacielem domu, piastuje stanowisko sekretarza przy ministrze spraw wewnętrznych. Co do mojej żony, utraciła ona swoje szlachectwo, wychodząc za mnie, pochodzi bowiem ze znakomitego rodu; z domu nazywa się de Servieres, a ożeniłem się z nią, gdy była wdową po pułkowniku markizie de Nargonne.

— Nie mam honoru znać pani baronowej Danglars, ale pana Lucjana Debraya już spotkałem.

— Gdzież to?

— U pana Alberta de Morcerfa.

— O, to pan znasz naszego młodego wicehrabiego?

— Spotkaliśmy się w Rzymie podczas karnawału.

[1009] *testator* — autor testamentu, spadkodawca. [przypis edytorski]

[1010] *metryka* — tu: zaświadczenie o pochodzeniu. [przypis edytorski]

[1011] *Thorwaldsen, Bertel* (1770–1844) — duński rzeźbiarz pochodzenia islandzkiego, przedstawiciel klasycyzmu, autor licznych rzeźb figuralnych o tematyce mitologicznej (Amor, Psyche, Apollo, Adonis), a także płaskich reliefów przedstawiających sceny m.in. z *Iliady*. [przypis edytorski]

[1012] *Bartolini, Lorenzo* (1777–1850) — wł. rzeźbiarz, przedstawiciel neoklasycyzmu. [przypis edytorski]

[1013] *Canova, Antonio* (1757–1822) — wł. rzeźbiarz, malarz i architekt, czołowy przedstawiciel klasycyzmu. [przypis edytorski]

— A, tak, tak — rzekł Danglars. — chyba słyszałem o jakiejś dziwnej przygodzie z bandytami czy złodziejami w jakichś ruinach... Wyszedł z tego cudem. Zdaje mi się, że opowiadał o tym mojej żonie i córce po powrocie z Włoch.

— Pani baronowa czeka na jaśnie panów — oznajmił lokaj, wchodząc.

— Pójdę przodem, by wskazać panu hrabiemu drogę — rzekł z ukłonem Danglars.

— A ja za panem — odparł Monte Christo.

46. ZAPRZĘG SIWOJABŁKOWITY[1014]

Baron poprowadził hrabiego przez długi szereg pokoi, uderzających ciężkim, niegustownym przepychem. Doszli do buduaru pani Danglars: niewielka ta komnatka miała ośmiokątny kształt, a wybita była różowym atłasem, który powleczono indyjskim muślinem; stare pozłacane fotele pokrywała równie staroświecka materia; w supraportach[1015] zawieszono pasterskie scenki rodzajowe w stylu Bouchera[1016]; na koniec dwa ładne pastelowe medaliony[1017], harmonizujące z resztą umeblowania, sprawiały, że w całym pałacu tylko ten jeden pokój miał jakiś charakter; choć prawda, że wymknął się on jakoś ogólnemu planowi, jaki pan Danglars ułożył ze swoim architektem — jedną z największych sław za czasów cesarstwa. Cały jego wystrój obmyślili pani baronowa i Lucjan Debray. Dlatego też pan Danglars, wielki miłośnik starożytności, tak jak ją rozumiano za Dyrektoriatu[1018], lekceważył ów przytulny, kokieteryjny buduarek, do którego zresztą wpuszczano go tylko pod warunkiem, że usprawiedliwił swoją obecność, przyprowadzając kogoś ze sobą. A zatem to nie Danglars wprowadzał tu gościa, ale gość gospodarza, i doznawał przyjęcia dobrego lub złego w zależności od tego, czy gość spodobał się pani baronowej.

Pani Danglars, o której wciąż mówiono jako o piękności, choć miała już trzydzieści sześć lat, siedziała przy fortepianie ozdobionym wspaniałą mozaiką; Lucjan Debray przeglądał jakiś album przy stoliczku.

Przed przybyciem hrabiego Lucjan zdążył o nim dużo opowiedzieć pani baronowej. Wiadomo, jakie wrażenie wywołał Monte Christo na śniadaniu u Alberta; choć Debray był raczej zblazowany, wrażenie to było wciąż żywe w jego pamięci i wszystko, co opowiadał baronowej, tchnęło jeszcze tym niezwykłym wrażeniem. Ciekawość pani Danglars, pobudzona opowiadaniem Alberta i świeższymi wiadomościami od Lucjana, sięgała więc szczytu.

Dlatego też jedno siadło do fortepianu, a drugie zajęło się albumem — było to tylko zręczne maskowanie prawdziwego zaciekawienia jednym z owych drobnych podstępów wielkiego świata.

Dlatego też baronowa przyjęła męża z uśmiechem, z czym mógł się tu spotkać nader rzadko.

Hrabiego przyjęła zaś głębokim, ceremonialnym, ale pełnym wdzięku ukłonem.

Lucjan wymienił z hrabią ukłon taki, jak wypada przy świeżej znajomości, a z Danglarsem skinienie, dowodzące zażyłych stosunków między nimi.

— Pani baronowa pozwoli — rzekł Danglars — przedstawić sobie hrabiego de Monte Christo, którego polecają mi jak najusilniej moi rzymscy korespondenci. Dodam jeszcze tylko, że wkrótce szaleć będą za nim wszystkie nasze piękne kobiety; przybywa do Paryża z zamiarem, by zabawić tu rok i przez ten czas wydać sześć milionów. To zapowiada bale, obiady, kolacje; a mamy nadzieję, że gdy pan hrabia będzie je wydawał, nie zapomni o nas, podobnie jak i my nie zapomnimy o nim, zapraszając go na nasze skromne zabawy.

Chociaż prezentacja ta stanowiła dość grube pochlebstwo, rzadko się bowiem zdarza, aby jakiś człowiek przybył do Paryża, aby wydać w ciągu jednego roku książęcą fortunę, że pani Danglars spojrzała na hrabiego z dużym zainteresowaniem.

[1014] *siwojabłkowity*, właśc. *siwy jabłkowity* — odmiana siwej maści końskiej, charakteryzująca się plamkami na tułowiu i zadzie konia wielkości jabłka. [przypis edytorski]

[1015] *supraporta* (z łac.) — malowidło lub płaskorzeźba nad drzwiami. [przypis edytorski]

[1016] *Boucher, François* (1703–1770) — fr. malarz, grafik i dekorator, jeden z najbardziej znanych przedstawicieli rokoka. [przypis edytorski]

[1017] *medalion* — tu: dekoracja naścienna w kształcie owalu, zwykle rzeźbiona. [przypis edytorski]

[1018] *Dyrektoriat* — pięcioosobowy rząd Republiki Francuskiej ustanowiony w 1795, w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej; także: okres działania tego rządu, tj. do zamachu stanu dokonanego przez Napoleona w 1799. [przypis edytorski]

— Dawno pan przybyłeś?... — spytała.

— Wczoraj, pani.

— I przybywasz pan swoim zwyczajem, jak mi powiedziano, niemal z końca świata?

— Tym razem tylko z Kadyksu.

— Przybył pan w najgorszej porze roku. Paryż w lecie jest nie do wytrzymania, nie ma balów ani rautów[1019], ani żadnych zabaw. Opera Włoska[1020] wyjechała do Londynu, Opera Francuska występuje wszędzie, tylko nie w Paryżu; Komedia Francuska[1021] jakby się rozpłynęła w powietrzu. Na całą uciechę zostały nam nędzne wyścigi na Polu Marsowym i w Satory. Będzie pan wystawiał konie?

— Ja, pani baronowo, zamierzam robić wszystko, co się robi w Paryżu, jeżeli tylko znajdę kogoś, kto pouczy mnie dokładnie o francuskich zwyczajach.

— Pan hrabia lubi konie?

— Spędziłem większą część życia na Wschodzie, a na Wschodzie, jak pani wiadomo, dwie tylko rzeczy się ceni: piękne konie i piękne kobiety.

— O, panie hrabio — obruszyła się baronowa. — Wypadało przez grzeczność wspomnieć najpierw o kobietach.

— I widzi pani, że miałem rację przed chwilą, gdy wyraziłem chęć znalezienia sobie preceptora[1022], który byłby mi przewodnikiem po obyczajach francuskich.

W tej chwili weszła pokojówka, ulubienica pani Danglars, a zbliżywszy się do pani, szepnęła jej na ucho kilka słów.

Pani Danglars zbladła.

— To niemożliwe! — zawołała.

— Ale to prawda, proszę pani — odparła pokojówka.

Pani Danglars odwróciła się do męża:

— Czy to prawda, mój panie? — zapytała.

— Co, takiego? — zapytał Danglars, wyraźnie zmieszany.

— To, co mi mówi moja panna służąca...

— A cóż ona mówi?

— Że gdy mój stangret chciał zaprzęgać moje konie do powozu, nie zastał ich w stajni; pytam tedy, co to znaczy?

— Żono, racz posłuchać — rzekł Danglars.

— O, posłucham chętnie, bom bardzo ciekawa, co mi powiesz; panowie rozsądzą sprawę, a więc najpierw wyjawię, w czym rzecz. Mój mąż ma dziesięć koni, w tym dwa są moje, prześliczne, najpiękniejsze w Paryżu; wie pan, które, panie Debray, te siwo-jabłkowite! I oto w chwili, gdy pani de Villefort prosi mnie, abym jej pożyczyła powozu z końmi, bo chciała się przejechać jutro do Lasku Bulońskiego, a ja jej to obiecuję: konie znikają ze stajni! Pan Danglars zapewne mógł na nich zarobić kilka tysięcy franków i je komuś sprzedał. O, ci finansiści!... cóż za nikczemna rasa!

— Pani — odpowiedział Danglars. — Konie twoje były nadto ogniste, zaledwie czterolatki, przez nie zawsze o ciebie drżałem.

— E, mój mężu, wiesz przecież, że od miesiąca mam najlepszego stangreta w Paryżu, chyba żeś go sprzedał razem z końmi.

— Droga moja, wystaram ci się o równie piękne, piękniejsze nawet, jeżeli się znajdą, ale za to łagodne, spokojne i nie będę miał już powodu tak się o ciebie bać.

Baronowa z największą pogardą wzruszyła ramionami.

Danglars jakby nie spostrzegł tego gestu, który aż zbyt dobrze zdradzał, jakie stosunki panują między małżonkami, i zwrócił się do Monte Christo:

— Doprawdy żałuję, żem nie poznał wcześniej pana hrabiego; urządzasz się pan tu ze wszystkim?

— A tak.

[1019] *raut* — oficjalne przyjęcie wieczorne bez tańców. [przypis edytorski]

[1020] *Opera Włoska*, właśc. *Comédie-Italienne* a. *Théâtre-Italien* — teatr i opera w Paryżu, która wystawiała wł. sztuki. [przypis edytorski]

[1021] *Komedia Francuska* a. *Teatr Francuski* — paryski teatr założony w 1680 r.; znany z tego, że wystawiał klasyczne fr. komedie, a jego patronem był Molier. [przypis edytorski]

[1022] *preceptor* (daw., z łac.) — nauczyciel, wychowawca. [przypis edytorski]

— Byłbym je panu chętnie odstąpił. Proszę sobie wyobrazić, żem je sprzedał prawie pół darmo, ale naprawdę chciałem się ich pozbyć, to konie dla młodego człowieka.

— Dziękuję panu — rzekł hrabia. — Właśnie dzisiaj rano kupiłem niezłe, i to całkiem tanio. Panie Debray, niech pan zobaczy, jest pan podobno koneserem.

Gdy pan Debray podszedł do okna, Danglars przystąpił do żony.

— Moja droga, wyobraź sobie — szepnął jej — że dziś właśnie ktoś dał mi za te konie niesłychaną sumę; nie wiem, co to za wariat, ale na pewno się zrujnuje; przysłał mi swojego intendenta; w każdym razie zarobiłem na nich szesnaście tysięcy franków. Więc nie dąsaj się, dam ci za to cztery tysiące, a Eugenia dostanie dwa.

Pani Danglars spojrzała na męża miażdżącym wzrokiem.

— O Boże! — zawołał Debray.

— Co się dzieje? — zapytała baronowa.

— Ależ nie, nie mylę się, to pani konie, pani własne konie są zaprzężone do powozu pana hrabiego.

— Jak to, moje siwosze[1023]? — krzyknęła pani Danglars i pobiegła do okna.

— Ależ tak, to one!

Danglars osłupiał.

— Czy to możliwe! — odezwał się Monte Christo udając zdziwienie.

— Ale to nie wiary — szepnął bankier.

Baronowa szepnęła coś do Debraya, a ten poszedł do hrabiego Monte Christo.

— Pani baronowa prosiła mnie zapytać, za ile jej mąż sprzedał panu ten zaprzęg?

— Na honor, nie wiem dobrze — rzekł hrabia. — To mój intendent zrobił mi niespodziankę.... a kosztowała mnie chyba trzydzieści tysięcy.

Debray zaniósł tę odpowiedź baronowej.

Danglars był tak blady i pomieszany, że hrabia wydawał się nad nim litować.

— Widzi pan — rzekł — jakie kobiety są niewdzięczne! Pańska troskliwość nie wzruszyła pani baronowej ani na chwilę. Niewdzięczne... nie, to niewłaściwie wyrażenie, powinienem raczej powiedzieć: nierozumne. Ale cóż robić, zawsze lubimy to, co nam szkodzi; a więc, krótko mówiąc, drogi baronie, najlepiej pozwolić, by robiły, co im żywnie do głowy przyjdzie; a jeśli ją sobie przy okazji rozbiją, to mogą mieć pretensje tylko do siebie. Kobieta, Mizoginia

Danglars nic nie odpowiedział, bo przeczuwał, że go czeka okropna scena; pani baronowa zmarszczyła już brew, a to jak u Jowisza Olimpijskiego zapowiadało burzę; Debray, widząc, że się zanosi na nawałnicę, zmyślił jakiś pretekst i wyszedł.

Monte Christo, nie chcąc sobie zaszkodzić dłuższą wizytą, a zamierzał sobie w tym domu zapewnić dobrą pozycję, pożegnał panią Danglars i oddalił się, zostawiając barona na pastwę gniewu żony.

„Znakomicie — pomyślał odchodząc — osiągnąłem to, co chciałem. Mam teraz w ręku spokój tej pary i zdobędę za jednym zamachem serce męża i serce żony; co za szczęście! Nie udało mi się poznać panny Eugenii Danglars, a chciałbym. Ale — rzekł do siebie ze szczególnym uśmiechem — jestem przecież w Paryżu i mam przed sobą dużo czasu... Co się odwlecze, to nie uciecze". Z tą myślą hrabia wsiadł do powozu i odjechał do domu.

Dwie godziny później pani Danglars odebrała czarujący list od hrabiego Monte Christo, w którym oświadczył, iż nie chcąc, aby jego wejście w świat paryski wiązało się z rozpaczą pięknej kobiety, błaga ją, aby raczyła przyjąć z powrotem swoje konie.

Miały na sobie te same szory, co rano, z tą tylko różnicą, że w środku każdej rozetki[1024] nad uszami hrabia kazał naszyć po diamencie.

Danglars także otrzymał list. Hrabia prosił go, aby pozwolił żonie przyjąć ów dar, stanowiący kaprys milionera, a zarazem, by przebaczył mu ów hojny wedle wschodnich obyczajów sposób zwrotu koni.

Wieczorem Monte Christo pojechał do Auteuil w towarzystwie Alego.

Nazajutrz o trzeciej Ali na wezwanie dzwonka zjawił się w gabinecie hrabiego.

— Ali — rzekł do niego. — Mówiłeś mi często, że zręcznie rzucasz lasso.

Ali potwierdził skinieniem głowy i wyprostował się dumnie.

[1023] *siwosz* a. *siwek* — koń maści siwej. [przypis edytorski]

[1024] *rozetka* — tu: wstążka. [przypis edytorski]

— Świetnie!... A więc mógłbyś na takie lasso zatrzymać byka?

Ali pokiwał potakująco głową.

— A tygrysa?

Ali powtórzył ten sam znak.

— I lwa?

Ali stanął w takiej postawie, jakby rzucał lasso, i wydał dźwięk naśladujący ryk duszonego zwierza.

— O, rozumiem — rzekł Monte Christo. — Polowałeś na lwy?

Ali dumnie skinął głową.

— Ale czy mógłbyś w biegu zatrzymać parę koni?

Ali uśmiechnął się.

— A więc słuchaj. Za niedługo przejedzie tędy powóz, z parą siwojabłkowitych koni, tych samych, którymi wczoraj jeździłem. Konie poniosą, a ty, choćbyś się miał pogruchotać, musisz zatrzymać ten powóz przed bramą.

Ali wyszedł na ulicę i nakreślił na bruku przed bramą linię. Następnie wrócił i wskazał ją hrabiemu, który patrzył na niego bacznie. Hrabia poklepał go lekko po ramieniu: tak to zazwyczaj dziękował Alemu.

Następnie Nubijczyk usiadł na słupku przed domem i zapalił fajkę, gdy Monte Christo spokojnie wrócił do siebie.

O piątej jednak, to jest o godzinie, w której spodziewał się, że powóz nadjedzie, widać było, jak niemal niedostrzegalnie rośnie w nim zniecierpliwienie. Przechadzał się po pokoju, którego okna wychodziły na ulicę, niekiedy nasłuchiwał i podchodził do okna, wpatrując się w Alego, który wypuszczał kłęby dymu z fajki z niezwykłą regularnością, która wskazywała, że ważna ta czynność pochłania go całkowicie.

Nagle rozległ się daleki turkot, zbliżający się z szybkością błyskawicy. Po chwili ukazał się powóz, który stangret na próżno usiłował zatrzymać; unosiła go para oszalałych koni z najeżoną grzywą, szarpiących się nierozumnie w galopie.

W powozie młoda kobieta i dziecko siedmio- lub ośmioletnie przytulali się do siebie z taką trwogą, że brakło im siły, by krzyczeć.

Lada kamyk pod kołem lub zwisający konar, a powóz byłby zdruzgotany na kawałki. Pędził środkiem ulicy, a wokół rozlegały się krzyki przestrachu.

Ali odłożył fajkę, dobył z kieszeni lasso, rzucił, oplótł potrójnie przednie nogi konia z lewej strony — gwałtowne szarpnięcie pociągnęło go kilka kroków do przodu; ale po tych kilku krokach związany koń pada na dyszel[1025], łamie go i paraliżuje wysiłki drugiego konia, który wyrywa się dalej. Stangret, korzystając z tej okazji, zeskakuje z siedzenia, lecz Ali porwał już za nozdrza drugiego konia w swe stalowe palce, tak że zwierzę, rżąc z bólu, upadło w konwulsyjnych drganiach obok towarzysza.

Wszystko to nie trwało dłużej niż czas, jakiego potrzeba kuli, aby dolecieć do celu. Z domu, przed którym zdarzył się wypadek, wybiegł jakiś mężczyzna, a za nim służący.

Stangret otwiera drzwiczki, mężczyzna wynosi z powozu damę, która jedną ręką uczepiła się poduszki, a drugą przytuliła do łona omdlałego synka.

Monte Christo wnosi oboje do salonu i kładzie na kanapie.

— Niech się pani nie lęka — rzekł. — Już jesteś ocalona.

Dama przyszła do siebie, ale zamiast odpowiedzieć, wskazała dziecko wzrokiem wymowniejszym od wszelkich błagań.

Dziecko rzeczywiście nie ocknęło się z omdlenia.

— Tak, rozumiem — rzekł hrabia, badając dziecię — ale bądź pani spokojna, nic mu się nie stało, zemdlał ze strachu.

— Ach, proszę pana! — zawołała matka. — Może mnie pan tylko chcesz pocieszyć? Patrz, jaki blady! Synku, dziecko moje! Edwardku! Odpowiedz mamie! Ach, proszę posłać po lekarza. Oddam majątek temu, kto mi ocali syna!

Monte Christo uspokoił gestem rozszlochaną matkę, otwarł szkatułkę, wyjął z niej flaszeczkę z czeskiego kryształu inkrustowaną złotem, w której był czerwony jak krew płyn, i wpuścił jedną kroplę w usta dziecka.

[1025] *dyszel* — drąg przymocowany do przedniej części podwozia wozu konnego, umożliwiający kierowanie wozem z zaprzężonymi końmi. [przypis edytorski]

Chłopczyk, choć nadal blady, otwarł natychmiast oczy.

Na ten widok radość matki nie miała granic.

— Gdzież jestem — zawołała — i komuż jestem dłużna tyle szczęścia po tak okropnym doświadczeniu?

— Jest pani u człowieka bardzo szczęśliwego — odpowiedział Monte Christo — że ci oszczędził smutku.

— O, przeklęta moja ciekawość — rzekła dama. — Cały Paryż mówił tylko o wspaniałych rumakach pani Danglars, a ja, szalona, chciałam ich popróbować.

— Jak to! — zawołał hrabia z iście aktorskim zdziwieniem. — To konie pani baronowej?

— Tak, czyżby pan ją znał?

— Panią Danglars?... Mam ten zaszczyt i radość moja jest tym większa, żem ocalił panią od tego niebezpieczeństwa. Bo niewiele brakowało, a mogłaby mi je pani przypisać. Wczoraj kupiłem te konie od barona, ale pani baronowa tak bardzo ich żałowała, że jeszcze wczoraj odesłałem je i poprosiłem, aby przyjęła je ode mnie w darze.

— Ale w takim razie to pan jesteś hrabią de Monte Christo, o którym Herminia tyle mi mówiła?

— Tak, droga pani.

— A ja nazywam się Heloiza de Villefort.

Hrabia ukłonił się, tak jakby pierwszy raz słyszał to nazwisko.

— Jakże wdzięczny panu będzie mój mąż! Przecież zawdzięcza panu życie nas obojga, ocaliłeś mu żonę i syna; gdyby nie pański szlachetny sługa, bylibyśmy zginęli.

— O tak, droga pani. Dotąd drżę na wspomnienie niebezpieczeństwa, jakie pani groziło.

— Mam nadzieję, że mi pan pozwolisz godnie wynagrodzić poświęcenie tego człowieka.

— Pani — odpowiedział Monte Christo — proszę mi nie psuć Alego ani pochwałami, ani nagrodą, błagam: nie chciałbym, aby się do tego przyzwyczajał. Ali jest moim niewolnikiem, ocaliwszy pani życie, służył mnie, a służyć mi jest jego powinnością.

— Ależ on ryzykował życiem! — zawołała pani de Villefort, pozostając pod wrażeniem władczego tonu hrabiego.

— Ocaliłem to życie — rzekł Monte Christo — a więc należy do mnie.

Pani de Villefort zamilkła. Być może zastanawiała się, cóż to za człowiek, który już od pierwszego wejrzenia wywiera tak wielkie wrażenie.

Gdy tak milczała, hrabia miał sposobność do woli przypatrzyć się chłopcu, którego matka okrywała pocałunkami.

Był niewysoki, szczuplutki, miał bardzo jasną cerę, jak to się zdarza u dzieci rudych, choć twarz okalały mu, opadając na wypukłe czoło i ramiona, gęste czarne pukle, oporne na interwencje grzebienia. Owa czarna czupryna dodawała tylko żywości spojrzeniu, pełnemu dziecięcej złośliwości i obłudy; usta, które właśnie odzyskały kolor, były szerokie, choć same wargi raczej cienkie; miał lat osiem, ale jego rysy nadawały mu wygląd dwunastolatka.

Natychmiast po oprzytomnieniu wyrwał się szarpnięciem z objęć matki i sięgnął do szkatułki, skąd hrabia wyjął flakonik z eliksirem; po czym, nie pytając nikogo o pozwolenie, jak to czynią dzieci zwykłe spełniać wszystkie swoje zachcianki, zaczął otwierać fiolkę po fiolce.

— Nie dotykaj tego, kochaneczku — zawołał żywo hrabia. — Niektóre z tych napojów są niebezpieczne, nie tylko do picia, ale nawet do wąchania.

Pani de Villefort zbladła, przytrzymała ręce dziecka i przyciągnęła je do siebie; ale uspokoiwszy się zaraz, rzuciła szybkie, ale wymowne spojrzenie na szkatułkę, co przyuważył w przelocie hrabia.

W tej chwili nadszedł Ali.

Pani de Villefort drgnęła z radości i przyciągając synka do siebie, rzekła:

— Edwardku, popatrz na tego poczciwego sługę, jaki odważny; naraził swoje życie, aby zatrzymać konie, które poniosły nasz powóz, a o mało się nie rozbiliśmy! Podziękuj mu, gdyby nie on, już byśmy może nie żyli.

Chłopczyk wydął usteczka i z pogardą odwrócił głowę.

— E, takiemu brzydalowi! — rzekł.

Hrabia uśmiechnął się, jakby dziecię spełniło jego nadzieje. Pani de Villefort zaś upomniała synka z umiarem, który nie spodobałby się Rousseau, gdyby mały Edwardek zwał się Emilem[1026].

— Widzisz — rzekł hrabia po arabsku do Alego. — Ta dama prosi swego syna, aby podziękował za życie, któreś im ocalił, a chłopczyk odpowiedział tylko, że jesteś brzydalem.

Ali zwrócił na chwilę swój bystry wzrok na dziecko, nie zdradzając bynajmniej żadnych uczuć; ale nozdrza mu zadrżały i Monte Christo zrozumiał, że cios trafił go w samo serce.

— Czy pan tu mieszka na stałe? — zapytała pani de Villefort, wstając i gotując się do wyjścia.

— Nie, pani. Kupiłem sobie ten dom po to, by czasem tu zaglądać; mieszkam na Polach Elizejskich pod nr 30. Widzę, że przyszłaś pani zupełnie do siebie i chcesz odjechać. Właśnie kazałem, by zaprzężono te same konie do mego powozu. Ali zaś, ten brzydki człowiek — uśmiechnął się do dziecka — będzie miał zaszczyt odwieźć was do domu. Stangret tymczasem zostanie, aby naprawić kocz. Gdy tylko skończą tę małą, ale konieczną naprawę, odeślę powóz moimi końmi do pani Danglars.

— Ależ tymi samymi końmi nie odważę się pojechać! — rzekła pani de Villefort.

— Zobaczysz pani, że będą łagodne, jak baranki, w ręku Alego.

Ali poszedł do koni, które z trudnością postawiono na nogach. W ręku trzymał małą gąbkę nasiąkniętą octem aromatycznym, natarł nim koniom pokryte potem i pianą nozdrza i skronie. Niemal natychmiast zaczęły parskać i drżeć na całym ciele.

A potem wśród licznego tłumu, co na wieść o wypadku i na widok zgruchotanego powozu zbiegł się przed dom, Ali kazał zaprząc konie do powozu hrabiego, ujął wodze, siadł na koźle i ku zdziwieniu obecnych — co widzieli wcześniej te konie w szalonym pędzie — musiał dobrze użyć bata, aby ruszyły z miejsca; słynne siwojabłkowite rumaki, odurzone, odrętwiałe jakby i niemal nieprzytomne, ruszyły tak wolnym, niepewnym krokiem, że pani de Villefort stanęła dopiero po dwóch godzinach przed domem na Przedmieściu Saint-Honoré.

Po przybyciu, ochłonąwszy z pierwszego wzruszenia, napisała następujący bilecik do pani Danglars.

> Kochana Herminio!
>
> Przed chwilą zostałam uratowana cudem tylko wraz z moim synem przez tego samego pana de Monte Christo, o którym tak wiele mówiłyśmy wczoraj; nie myślałam nawet, że go dziś poznam. Wczoraj mówiłaś o nim z takim zapałem, żem nie mogła się powstrzymać od kpin, na jakie tylko pozwalał mi mój jakże skromny dowcip; dziś jednak widzę, że Twój entuzjazm wobec niego był zdecydowanie zbyt mały.
>
> Twoje konie poniosły w Ranelagh, jakby wpadły w jakiś szał, i prawdopodobnie rozbilibyśmy się w kawałki z moim biednym Edwardkiem o pierwsze lepsze drzewo lub kamień przydrożny, gdyby jakiś Arab, Murzyn czy Nubijczyk, słowem — czarny służący hrabiego, na znak dany przez pana, jak mi się zdaje, nie zatrzymał w biegu koni, sam narażając się na śmierć. Hrabia wybiegł natychmiast, przeniósł nas do siebie i mojego synka przywrócił do życia. Do domu wróciłam jego powozem, twój zaś zostanie ci odesłany jutro. Po tym wypadku zobaczysz, że konie są bardzo osłabione; chciałoby się rzec, że nie mogą darować sobie, iż mógł je poskromić jeden człowiek. Hrabia poprosił, bym ci przekazała, że po dwóch dniach odpoczynku i jęczmiennej diety przyjdą zupełnie do pierwotnego zdrowia, to znaczy, że będą równie straszne jak wczoraj.
>
> Bywaj zdrowa, nie dziękuję ci wcale za ten spacer; gdy jednak się zastanowię, wydaje mi się niewdzięcznością, gdybym miała czuć do ciebie ja-

[1026] *nie spodobałby się Rousseau, gdyby mały Edwardek zwał się Emilem* — poemat dydaktyczny Jeana Jacques'a Rousseau (1712–1778) zatytułowany *Emil, czyli o wychowaniu*, który ukazał się w 1762 r., propagował koncepcję wychowania naturalnego, tj. rozwijania w dziecku naturalnych skłonności, umożliwienie mu swobodnego wzrostu i dojrzewania oraz chronienie jego rozwoju przed zgubnymi wpływami zewnętrznymi; Rousseau przedstawia swój model wzorowego wychowania na przykładzie tytułowego bohatera poematu, Emila. [przypis edytorski]

kikolwiek żal za kapryśność twoich koni; przecież dzięki temu poznałam hrabiego Monte Christo, a ten znakomity cudzoziemiec pomijając już jego miliony — zdaje mi się kimś tak ciekawym, że za wszelką cenę chciałabym mu się bliżej przyjrzeć, chociażbym miała jeszcze raz odbyć spacer do Lasku twoimi końmi.

Edwardek zniósł ten wypadek z zadziwiającą odwagą. Zemdlał, ale ani nie krzyknął przed wypadkiem, ani nie uronił jednej łzy po wszystkim. Powiesz może, że zaślepia mnie miłość macierzyńska, ale w tym ciałku, tak wątłym i delikatnym, mieszka żelazna dusza.

Nasza droga Valentine przesyła uśmiechy twojej Eugenii, a ja ściskam Cię z całego serca.

Heloiza de Villefort.

PS[1027] Postaraj się, proszę, abym mogła się spotkać u Ciebie z hrabią, muszę go koniecznie zobaczyć. Zresztą uprosiłam już męża, żeby mu złożył wizytę, mam nadzieję, że hrabia przyjdzie do nas z rewizytą[1028].

Wieczorem wypadek w Auteuil był na ustach wszystkich.

Albert opowiedział o nim matce, Debray w salonie ministra, nawet Beauchamp uczynił hrabiemu zaszczyt i zamieścił w rubryce „Rozmaitości" swojej gazety całe dwadzieścia wierszy o wypadku, co sprawiło, że wszystkie damy z arystokracji uznały cudzoziemca za bohatera.

Wiele osób przesłało bilety wizytowe pani de Villefort, aby mieć później prawo złożyć jej wizytę i usłyszeć z jej własnych ust szczegóły tak malowniczej przygody.

A pan de Villefort, jak pisała Heloiza, ubrał się w czarny frak i białe rękawiczki, kazał przywdziać służbie najparadniejszą liberię, wsiadł do karety i pojechał pod nr 30 domu na polach Elizejskich.

47. IDEOLOGIA

Gdyby hrabia de Monte Christo żył dłużej w paryskim światku, potrafiłby wówczas ocenić w całej rozciągłości wartość odwiedzin pana de Villeforta.

Dobrze widziany na dworze, niezależnie od tego, czy panujący pochodził ze starszej czy młodszej linii; czy minister był formalistą, liberałem czy konserwatystą; zażywał opinii człowieka zręcznego, jak to zazwyczaj poczytuje się za ludzi zręcznych tych, którzy nigdy nie ponieśli klęski politycznej; nienawidzony przez wielu, ale gorąco protegowany przez niektórych, chociaż w nikim nie miał przyjaciela — pan de Villefort zajmował wysokie stanowisko w strukturach sądowych.

Jego salon, który na nowo stworzyły mu młoda żona i zaledwie osiemnastoletnia córka z pierwszego małżeństwa, zaliczał się mimo to do owych salonów, w których panuje atmosfera surowa, a etykieta i tradycje otaczane są wielką czcią.

Zimna grzeczność, absolutna wierność polityce rządu, najgłębsza pogarda dla teorii i teoretyków, nienawiść nieubłagana dla ideologów — oto zasady, jakie pan de Villefort otwarcie pielęgnował w życiu publicznym i domowym.

Pan de Villefort był nie tylko sądownikiem, ale i dyplomatą, stosunki jego z dawnym dworem, o którym mówił zawsze z wielką czcią i szacunkiem, zjednały mu poważanie u nowego; a wiedział tak wiele, że nie tylko się z nim liczono, ale także zasięgano jego rady.

Pozycja społeczna, Urzędnik, Władza, Prawnik

Zapewne tak by się nie działo, gdyby można było pozbyć się pana de Villeforta; lecz on przebywał — jak dawni panowie feudalni[1029] zbuntowani przeciw monarsze — w niezdobytej fortecy. Fortecą tą był jego urząd prokuratora królewskiego. Umiał zręcznie wyciągać wszelkie możliwe korzyści z tego urzędu i nie opuściłby go nigdy, chyba dla fotela deputowanego, a wtedy z osoby neutralnej stałby się członkiem opozycji.

[1027] *PS* — skrót od *post scriptum*. [przypis edytorski]

[1028] *rewizyta* — odwzajemnienie wcześniejszych odwiedzin. [przypis edytorski]

[1029] *pan feudalny* — właściciel majątku ziemskiego, osoba położona wysoko w średniowiecznej hierarchii społecznej. [przypis edytorski]

Pan de Villefort składał bardzo mało wizyt i bardzo mało przyjmował. Jego żona robiła to za niego; wielki świat uznawał ten stan rzeczy, składając na karb ważnych i licznych zajęć urzędnika to, co było w istocie tylko wyrachowaniem człowieka dumnego, kwintesencją zasad arystokratycznych, wcieleniem w życie maksymy: „Udawaj, że się szanujesz, a będziesz szanowany"; o ileż w naszym społeczeństwie użyteczniejsza jest ta zasada niż greckie „Poznaj samego siebie[1030]", zastąpione dziś przez łatwiejszą, a korzystniejszą sztukę poznawania innych.

Dla przyjaciół pan de Villefort był potężnym protektorem, dla nieprzyjaciół przeciwnikiem cichym, ale zapamiętałym; dla obojętnych — żywym posągiem wyobrażającym prawo. W obejściu wyniosły, oblicze niewzruszone, spojrzenie nieruchome i bez blasku, choć mogło być też bezczelne, przenikliwe i badawcze — taki był człowiek, któremu cztery rewolucje zbudowały i utwierdziły piedestał.

Pan de Villefort miał reputację człowieka najdyskretniejszego i najmniej banalnego we Francji; co rok wydawał bal, na którym sam gościł przez kwadrans, to znaczy o trzy kwadranse mniej niż król w czasie swoich balów; nikt nigdy nie widział go w teatrze, na koncertach, ani w żadnym publicznym miejscu; czasem, i to bardzo rzadko, grał w wista[1031], a wówczas starannie dobierano mu stosownych partnerów: jakiegoś ambasadora, arcybiskupa, księcia, prezesa, ewentualnie jakąś sędziwą księżnę na dożywociu[1032].

Ów to człowiek zajechał właśnie przed dom hrabiego de Monte Christo.

Służący zameldował pana de Villeforta w chwili, gdy hrabia, nachylony nad wielkim stołem, oglądał na mapie szlak wiodący z Sankt Petersburga do Chin.

Prokurator wszedł krokiem poważnym i sztywnym, jakim wchodził na salę sądową; był to ten sam człowiek, albo raczej dalszy ciąg tego człowieka, którego poznaliśmy niegdyś jako zastępcę prokuratora królewskiego w Marsylii. Natura, konsekwentnie trzymająca się swych zasad, nie naniosła żadnych istotnych poprawek w jego wyglądzie. Z człowieka szczupłego zrobił się chudy; cera, dawniej blada, pożółkła; oczy, niegdyś głęboko osadzone, zapadły się jeszcze bardziej; okulary w złotej oprawie, idealnie dopasowane do oczodołów, zdawały się tworzyć jedną całość z twarzą; poza białym halsztukiem ubrany był cały na czarno; ten pogrzebowy kolor złamany był tylko czerwoną wstążeczką przeciągniętą przez butonierkę, niby smużką krwi namalowaną pędzlem.

Chociaż Monte Christo zawsze panował nad sobą znakomicie, oddając sądownikowi ukłon, obserwował go z wyraźną ciekawością. Villefort, nieufny z natury, był niedowiarkiem, jeśli szło o „cuda w towarzystwie", i był bardziej skłonny widzieć w tym szlachetnym cudzoziemcu — jak już nazywano powszechnie pana de Monte Christo — jakiegoś szarlatana, który chciał rozwinąć skrzydła na nowym terenie, lub zbiegłego przestępcę, aniżeli księcia Stolicy Apostolskiej lub sułtana z *Tysiąca i jednej nocy*.

— Panie — rzekł Villefort owym szczekliwym tonem, jakiego używają prawnicy w swoich oratorskich popisach i czy nie chcą, czy nie mogą, nie wyzbywają się go w zwyczajnej rozmowie — ogromna przysługa, jaką pan wyświadczył wczoraj mojej żonie i synowi, sprawiła, że jest mym obowiązkiem złożenie panu podziękowań. Przychodzę więc wypełnić ten obowiązek i wyrazić panu najszczerszą wdzięczność.

W ciągu tej przemowy surowy wzrok prokuratora nie stracił nic ze swojej zwykłej arogancji. Powyższe słowa wypowiedział tonem prokuratora generalnego, stojąc tak sztywno, jakby połknął kij — z powodu tej właśnie jego postawy pochlebcy zwykli go nazywać żywym pomnikiem prawa.

— Panie — odrzekł lodowato hrabia — poczytuję się za szczęśliwego, żem mógł ocalić dziecko matce, bo jakoby uczucie macierzyńskie jest najświętsze ze wszystkich. Szczęście zatem, które mnie spotkało, uwalnia od wypełnienia obowiązku, choć stanowi on dla mnie wielki zaszczyt, wiem bowiem, że pan de Villefort niechętnie udziela takiej łaski. Zresztą fawor ten, tak cenny, jest dla mnie wart mniej niż moje wewnętrzne zadowolenie.

[1030] *poznaj samego siebie* — gr. aforyzm, który miał być wyryty na świątyni Apollona w Delfach; różnie interpretowany przez filozofów starożytnych i późniejszych, jednak w najszerszym znaczeniu uznaje się go za wezwanie do poznania własnych granic. [przypis edytorski]

[1031] *wist* — daw. gra w karty podobna do brydża, popularna w XVIII i XIX w. [przypis edytorski]

[1032] *dożywocie* — tu: świadczenie wypłacane dożywotnio, np. na mocy testamentu. [przypis edytorski]

Na tak niespodziewaną replikę Villefort zdumiał się i zadrżał jak żołnierz, gdy przeszywa go kula, mimo okrywającej go zbroi; skrzywił wzgardliwie usta, co wskazywało, że nie uważa hrabiego Monte Christo za szlachcica dobrze wychowanego.

Rozejrzał się naokoło, by znaleźć jakiś wątek, który wznowiłby przerwaną rozmowę, zdawało się bowiem, że nawiązać ją będzie bardzo trudno.

Zauważył mapę, którą Monte Christo przeglądał przed chwilą, i odezwał się:

— Interesuje się pan geografią? To wspaniały przedmiot do studiów, szczególnie dla pana, który, jak powiadają, zwiedził już tyle krajów, ile jest w tym atlasie.

— Tak, chciałem przeprowadzić studia nad rodzajem ludzkim, branym jako całość, studia takie, jakie pan przeprowadza codziennie na jednostkach; słowem, to badania fizjologiczne. Doszedłem do wniosku, że łatwiej mi będzie zbadać poszczególne części, znając już całość, niż na odwrót; to zresztą zasada algebraiczna: od rzeczy wiadomych przechodzimy do niewiadomych, a nie od niewiadomych do wiadomych... Ale proszę, niechże pan spocznie.

Monte Christo wskazał prokuratorowi fotel, który ten musiał sam sobie przysunąć, gdy hrabia usiadł po prostu na tym, na którym klęczał przy mapie, gdy wszedł prokurator; tym sposobem hrabia był zwrócony do gościa profilem — plecami do okna, łokciem zaś oparty o mapę, która była obecnie tematem rozmowy; a dyskusja ta miała potoczyć się podobnie jak u Morcerfa i Danglarsa.

— Jak widzę, filozofujesz pan — podjął Villefort po chwili milczenia, zebrawszy przez ten czas zapas sił jak atleta, gdy spotyka niebezpiecznego adwersarza. — O, drogi panie, gdybym jak pan naprawdę nie miał nic do roboty, daję słowo, że poszukałbym sobie weselszych zajęć.

— Prawda — rzekł Monte Christo — człowiek jest brzydkim robakiem, gdy popatrzeć nań przez mikroskop. Ale pan, zdaje się, mówił, że nie mam nic do roboty. No, to zastanówmy się, czy przypadkiem panu zdaje się, że ma pan coś do roboty? Albo, mówmy jaśniej, czy sądzi pan, że to, co pan robisz, jest warte tego, by to w ogóle wspominać?

Pod tym drugim ciosem zdziwienie Villeforta wzrosło w dwójnasób; dziwny był ten jego adwersarz: już dawno prokurator nie słyszał równie wymownego paradoksu, a mówiąc ściśle, zdarzyło mu się to pierwszy raz.

Rozważył tedy starannie odpowiedź.

Kara, Zemsta, Sprawiedliwość, Prawo

— Jesteś pan cudzoziemcem i, jak sam mówisz, podobno spędziłeś znaczną część życia w krajach Wschodu; nie wiesz przeto, że sprawiedliwość, wykonywana w tych krajach błyskawicznie, u nas działa ostrożnie i powoli.

— Oczywiście, mój panie, oczywiście, to starożytna *pede claudo*[1033]. Wiem o tym wszystkim dobrze, ponieważ zajmowałem się przede wszystkim sprawiedliwością różnych krajów; procedurę karną u wszystkich narodów porównywałem ze sprawiedliwością naturalną i muszę wyznać panu, że prawo ludów pierwotnych, to jest prawo odwetu, uważam za najbliższe sercu Boga.

— Gdyby to prawo zostało przyjęte, nasze kodeksy bardzo by się uprościły, a wtedy urzędnicy nie mieliby nic do roboty, jak pan przed chwilą powiedziałeś.

— Być może kiedyś do tego dojdzie. Wie pan przecież, że ludzkie pomysły zmierzają od skomplikowanych do uproszczonych: prostota jest zawsze doskonałością.

— A tymczasem nasze kodeksy składają się z paragrafów o sprzecznej treści, wywodzących się ze zwyczajów galijskich, praw rzymskich, obyczajów Franków; i zgodzi się pan, że wiedzy o nich nie można nabyć bez mozolnej pracy. Trzeba długotrwałych studiów i znakomitej pamięci, aby tej wiedzy nie zapomnieć.

— Zgadzam się z panem, ale wszystko to, co pan wiesz o kodeksie francuskim, ja wiem także, ale nie tylko; znam w takiej samej mierze kodeksy innych narodów: prawa angielskie, tureckie, japońskie, indyjskie znam równie dobrze jak francuskie; słusznie więc powiedziałem, że w porównaniu do tego (wie pan przecież, że wszystko jest względne), co zrobiłem, pan ma niewiele do zrobienia, a w porównaniu do tego, czegom się nauczył, pan jeszcze masz wiele do zrobienia.

[1033] *pede claudo*, właśc. *pede Poena claudo* (łac.) — Kara o kulawej nodze (Horacy, *Pieśni* III 2, 32); w starożytnym Rzymie Poena (personifikacja kary) wyobrażana była jako kulawa, ponieważ nadchodziła powoli, ale nieuchronnie. [przypis edytorski]

— Ale w jakimże celu pan się uczyłeś tego wszystkiego? — zapytał zdziwiony Villefort.

Monte Christo uśmiechnął się.

— Dobrze — odparł — widzę, że pomimo reputacji człowieka wielkich zdolności, spoglądasz pan na wszystko z materialnego i bardzo pospolitego punktu widzenia, jak ogół ludzi: zaczynasz od człowieka i kończysz na człowieku, to znaczy, że ograniczasz się pan do najciaśniejszego punktu widzenia, na jaki stać rozum ludzki.

— Wytłumacz się pan jaśniej — rzekł Villefort coraz bardziej zdziwiony. — Nie rozumiem pana... zbyt dobrze...

Obraz świata, Społeczeństwo, Bóg, Człowiek

— Powiadam, że patrząc na organizm społeczeństw, widzisz pan tylko kółeczka całej machiny, ale nie dostrzegasz wspaniałego robotnika, który nimi porusza; to jest, uznajesz tylko urzędników, których nominacje podpisali ministrowie lub król, a ludzi, których Bóg postawił wyżej od urzędników, ministrów i królów, poruczając im posłannictwo, a nie stanowisko do zapełnienia — ci ludzie umykają pańskiemu krótkiemu wzrokowi. To właściwość ludzkiej słabości, niedoskonałej i kalekiej. Tobiasz[1034] wziął anioła, co mu miał przywrócić wzrok, za zwykłego młodzieńca; narody uważały Attylę[1035], co przyszedł, by je zniszczyć, za zdobywcę jak wielu; obaj musieli objawić swoją niebiańską misję, jeden musiał wyrzec: „jestem Aniołem Bożym", a drugi: „jestem biczem Bożym". Tylko dzięki temu poznano, że są wysłannikami bożymi.

— A więc — rzekł Villefort, popadając w coraz większe zdziwienie i sądząc, że rozmawia z szaleńcem lub nawiedzonym — a więc uważasz się pan za jedną z owych nadzwyczajnych istot, o których tylko co wspominałeś?

— Czemuż by nie? — rzekł zimno Monte Christo.

— Przepraszam — odpowiedział osłupiały Villefort — ale przychodząc tutaj, nie wiedziałem, że spotkam człowieka, którego wiedza i umysł przewyższają tak dalece wiedzę i umysł większości ludzi. Nieczęsto się to zdarza u nas, biedaków zepsutych cywilizacją, aby arystokraci, posiadający do tego, jak powiadają, ogromną fortunę, tracili czas na rozważania o społeczeństwie i na marzenia filozoficzne, które służą raczej do tego, aby pocieszać tych, którzy zostali pokrzywdzeni przez los.

— Ech, proszę pana, czyżby osiągnął pan swoją znakomitą pozycję, nie spotkawszy i nie zgodziwszy się na żadne wyjątki? Czyż nie ćwiczysz nigdy spojrzenia, abyś mógł w mgnieniu oka odgadnąć, jaki człowiek przed panem stoi? Przecież pański wzrok musi być przenikliwy i niezawodny... Wszak urzędnik powinien być nie tylko jak najlepszym wykonawcą prawa, najprzebieglejszym interpretatorem rozmaitych wykrętów prawa, ale także i stalową sondą, która może wypróbować serce kamieniem probierczym[1036], który wypróbowuje złoto, z którego zrobiona jest dusza z mniejszą lub większą domieszką, czyż nie?...

— Mój panie — rzekł Villefort — na honor, czuję się zakłopotany tym, co mówisz; nigdy jeszcze nie słyszałem, aby ktoś mówił tak jak pan.

— To dlatego, że jest pan stale zamknięty w kręgu ogólnych warunków i nigdy się pan nie ośmielił wzbić jednym zamachem w wyższe sfery, które Bóg zaludnił niewidzialnymi, wyjątkowymi istotami.

— Przypuszczasz pan tedy, że te sfery istnieją, że owe wyjątkowe i niewidzialne istoty są między nami?

— Dlaczego nie? Czyż widzi pan powietrze, którym oddychasz, a bez którego nie mógłbyś żyć?

— Nie widzimy więc tych istot, o których pan mówisz?

— Ależ tak, widzisz je pan wtedy, gdy Bóg pozwoli, aby się zmaterializowały; wtedy dotyka ich pan, ociera się pan o nie, mówi do nich, a one panu odpowiadają.

[1034] *Tobiasz* — postać biblijna, bohater *Księgi Tobiasza*: na polecenie ojca, który utracił wzrok, wyruszył do Medii odebrać dług; w podróży towarzyszył mu Azariasz, który namówił go do ślubu z Sarą, pomógł w uwolnieniu jej od złego ducha i przekazał mu sposób, w jaki może uzdrowić ślepotę ojca; po powrocie Azariasz okazał się zesłanym przez Boga aniołem Rafałem. [przypis edytorski]

[1035] *Attyla* — wódz Hunów, twórca rozległego imperium, wielokrotnie najeżdżał Rzymian. Ze względu na okrucieństwo zyskał przydomek „bicza Bożego". Został pokonany przez wojska rzymskie wspierane przez germańskich sprzymierzeńców w wielkiej bitwie na Polach Katalaunijskich w 451 r. n.e. [przypis edytorski]

[1036] *kamień probierczy* — kamień używany w jubilerstwie do szacowania zawartości metalu szlachetnego w stopach jubilerskich; przen. miernik, standard, kryterium oceny. [przypis edytorski]

— Cóż — rzekł Villefort z uśmiechem — wyznam, że wolałbym, aby mnie uprzedzono, gdyby któraś z takich istot miała ze mną się spotkać.

— Ależ stało się już, jak pan sobie życzy: właśnie przed chwilą został pan uprzedzony i teraz jeszcze raz pana uprzedzam.

— A więc to pan?...

— Tak, jestem jedną z owych wyjątkowych istot. I jestem przekonany, że żaden człowiek aż do dziś nie znalazł się w podobnej sytuacji. Królestwa władców są ograniczone, czy to górami, czy rzekami, czy odmiennymi obyczajami i językami. Moje królestwo jest tak wielkie, jak świat: nie jestem ani Włochem, ani Francuzem, ani mieszkańcem Indii, ani Amerykaninem, ani Hiszpanem; jestem kosmopolitą. Żaden kraj nie może powiedzieć, że wydał mnie na świat. I tylko Bóg sam wie, w jakiej stronie świata umrę. Przyjmuję wszystkie obyczaje, mówię wszystkimi językami. Pan uważa mnie za Francuza, bo mówię po francusku z taką płynnością i czystością, jak pan, czyż nie? Ali, mój Nubijczyk uważa mnie za Araba; Bertuccio, mój intendent, za Rzymianina; Hayde, moja niewolnica — za Greka. Rozumiesz pan tedy, że jeśli nie należę do żadnego kraju, nie potrzebuję opieki żadnego rządu, nie uznaję w żadnym człowieku brata — nie paraliżuje mnie ani nie powstrzymuje żaden ze skrupułów i przeszkód, które powstrzymują silnych, a słabych paraliżują. Znam tylko dwóch przeciwników — przeciwników, nie zwycięzców, bowiem ujarzmiam ich wytrwałością: to czas i przestrzeń. Trzeci, najstraszliwszy, to moja nietrwałość jako człowieka śmiertelnego. Ona jedna może wstrzymać mnie na drodze do celu; całą resztę obliczyłem. Przewidziałem wszystko to, co ludzie nazywają wypadkiem losu: ruinę, nagłą odmianę, możliwości; nawet jeśli któraś z nich mnie dosięgnie, żadna nie będzie w stanie mnie obalić. Póki żyję, będę tym, czym jestem; oto dlaczego mówię panu takie rzeczy, jakich nigdy nie słyszałeś nawet z ust królewskich, bo królowie pana potrzebują, a inni drżą przed panem. Któż nie mówi sobie czasem w równie śmiesznym społeczeństwie jak nasze: „kto wie, czy nie stanę kiedyś przed prokuratorem królewskim!".

Obcy, Bezdomność, Podróż

— Ale przecież pan sam możesz tak do siebie powiedzieć! Wszak z chwilą przybycia do Francji, podlegasz prawom francuskim.

— Wiem, mój panie. Ale gdy mam się udać do jakiegoś kraju, najpierw staram się za pomocą własnych metod poznać dobrze ludzi, których mógłbym się lękać lub których mógłbym potrzebować. Udaje mi się poznać ich tak dobrze, jak oni sami się znają, a może nawet lepiej. Dzięki temu jakikolwiek na przykład prokurator królewski, z którym miałbym do czynienia, byłby w większych kłopotach niż ja.

— To by znaczyło — podjął, wahając się, Villefort — że natura człowieka jest słaba i że według pana każdy popełnił... jakiś błąd.

— Błąd... albo zbrodnię — odpowiedział niedbale Monte Christo.

— I że tylko pan jeden pomiędzy ludźmi, których nie uznajesz za braci — dokończył Villefort lekko zmienionym głosem — jesteś doskonały.

— Nie, nie doskonały. Po prostu nieprzenikniony. Ale dajmy temu spokój, jeżeli ta rozmowa nie podoba się panu; ani mnie nie grożą pańskie sądy, ani panu mój podwójny wzrok.

— Ależ nie, nie, mój panie — zawołał żywo Villefort, lękając się zapewne, by go nie posądzono, że ustępuje z pola. — Poprzez swoje błyskotliwe i wysublimowane rozważania wyniósł mnie pan na poziom wyższy od zwyczajnych; my przecież już nie rozmawiamy, ale dysputujemy[1037]. Wie pan, ile okrutnych prawd mówią sobie teologowie wykładający na Sorbonie[1038] albo filozofowie w swoich dysputach; a więc przypuśćmy, że rozmawiamy właśnie o teologii społecznej i filozofii teologicznej, a powiem panu taką oto przykrą prawdę: bracie mój, duma cię zaślepia, wznosisz się nad wszystkich, ale nad tobą jest jeszcze Bóg.

Duma, Kondycja ludzka, Bóg

— Tak, nad wszystkimi, mój panie — powtórzył Monte Christo z taką mocą, że Villefort mimo woli zadrżał. — Dumny jestem wobec ludzi, bo to są węże gotowe rzucić się na tego, kto je przerasta, a jednocześnie nie depcze. Ale dumę moją składam przed Bogiem, co mnie wyciągnął z nicości, abym się stał tym, czym jestem.

[1037] *dysputować* — prowadzić dysputę, czyli poważną dyskusję. [przypis edytorski]

[1038] *Sorbona* — tradycyjna nazwa Uniwersytetu Paryskiego, od nazwy kolegium zał. w 1257. [przypis edytorski]

— A więc podziwiam pana, hrabio — rzekł Villefort, używając po raz pierwszy w tej dziwnej rozmowie tytułu arystokratycznego, który dotąd stale pomijał, zwracając się do cudzoziemca per pan[1039]. — O tak, jeśli jest pan istotnie silny, wybitny, święty lub nieprzenikniony, masz pan prawo być pysznym: to przywilej władzy. Ale przecież musi mieć pan poza tym jakieś ambicje?

— Mam jedną.

— Jaką?

Szatan, Kuszenie, Dusza, Sprawiedliwość

— I mnie także, jak to się zdarza każdemu człowiekowi raz w życiu, szatan wyniósł na najwyższą górę ziemi[1040] i stamtąd pokazał mi cały świat; a jak niegdyś mówił do Chrystusa, tak rzekł i do mnie: „Synu człowieczy, czego chcesz za oddanie mi pokłonu?". Długo się namyślałem, bo rzeczywiście od dawna straszliwa ambicja zżerała mi serce i wreszcie powiedziałem: „Słuchaj, mówiono mi zawsze o Opatrzności, ale nigdy Jej nie widziałem, ani niczego, co by Ją przypominało — wywnioskowałem z tego, że Jej nie ma. A więc chcę zostać Opatrznością, bo według mnie nic nie ma piękniejszego i wznioślejszego w świecie, jak nagradzać i karać". Ale szatan pochylił głowę i westchnął. „Mylisz się — rzekł. — Opatrzność istnieje, tylko jej nie widzisz, bo to Córka Boża i tak jak Ojciec jest niewidzialna. Nie widziałeś nic, co byłoby do Niej podobne, bo działa, wprawiając w ruch tajemne trybiki i porusza się po nieznanych ścieżkach. Jedno tylko mogę dla ciebie zrobić — możesz zostać jednym z wysłanników Opatrzności". Dobiliśmy targu, być może zgubię przez to duszę, ale nieważne — dodał Monte Christo — gdybym mógł jeszcze raz dobić takiego targu, zrobiłbym to.

Villefort spojrzał na Monte Christo z najwyższym zdziwieniem.

— Panie hrabio, czy ma pan rodziców?

— Nie, jestem sam na świecie.

— Tym gorzej.

— Czemu?

— Bo mógłby pan w ten sposób być świadkiem widowiska, które złamałoby pańską dumę. Mówił pan, że lękasz się tylko śmierci?

— Nie mówiłem, że się lękam; mówiłem, że tylko śmierć mogłaby mnie zatrzymać.

— A starość?

— Moja misja zakończy się, nim się zestarzeję.

— A szaleństwo?

— O mało kiedyś nie straciłem zmysłów, ale zna pan maksymę: *ne bis in idem*[1041]; to maksyma z prawa karnego, a więc należy do pańskiego resortu.

— Mój panie, oprócz śmierci — podjął Villefort — oprócz starości lub szaleństwa są jeszcze rzeczy, których należy się obawiać: na przykład apopleksji[1042]. Spada jak grom, uderza i nie zabija — a przecież potem kończy się wszystko. To ciągle pan, a jednak nie pan; pan, który miałeś w sobie jak Ariel[1043] coś z anioła, zamieniasz się w bezwładną masę, podobną jak Kaliban[1044] — zwierzęciu. Otóż ten stan, jak panu mówiłem, w mowie ludzkiej nazywa się po prostu apopleksją. Proszę, niech pan przyjdzie, jeśli pan tylko zechce, do mego domu i na dalszy ciąg tej rozmowy, gdy weźmie pana ochota spotkać przeciwnika, który cię pojmie, choć chętnie będzie panu zaprzeczał — a przedstawię panu mojego ojca, pana Noirtiera de Villeforta. To był jeden z najbardziej zapalonych jakobinów podczas rewolucji francuskiej, czyli inaczej mówiąc, najświetniejsza odwaga, jaka poświęciła się służbie najpotężniejszej organizacji. Może nie widział, jak pan, wszystkich królestw na ziemi, ale przyczynił się do obalenia jednego z najpotężniejszych. To wreszcie człowiek,

[1039] *per pan* — tytułując kogoś panem. [przypis edytorski]

[1040] *I mnie także (…) szatan wyniósł na najwyższą górę ziemi* — nawiązanie do opisanego w Ewangelii epizodu z życia Jezusa, kiedy był on kuszony przez diabła podczas swojego czterdziestodniowego postu na pustyni. [przypis edytorski]

[1041] *ne bis in idem* (łac.: nie dwa razy za to samo) — pojęcie wywodzące się z prawa rzymskiego, które oznacza, że nie można być dwukrotnie sądzonym w tej samej sprawie. [przypis edytorski]

[1042] *apopleksja* — wylew krwi do mózgu. [przypis edytorski]

[1043] *Ariel* — imię oznaczające z hebr. „lew Boga" (także: Uriel); anioł, duch opisany w Starym Testamencie w *Księdze Izajasza* (29:1), synonim miasta Jerozolimy; także: duszek powietrzny w *Burzy* Shakespeare'a. [przypis edytorski]

[1044] *Kaliban* — postać z *Burzy* Williama Shakespeare'a, dziki człowiek o złych instynktach trzymany w niewoli przez maga Prospera; jego imię stanowi anagram słowa „kanibal". [przypis edytorski]

który jak pan uważał się za wysłannika nie Boga, ale Istoty Najwyższej, nie Opatrzności, ale nieubłaganego losu. No i co? Pękła mu w mózgu żyłka i unicestwiła to wszystko nie w jeden dzień, nie w godzinę, ale w sekundę. Jeszcze wczoraj: pan Noirtier, dawny jakobin, były senator i karbonariusz, co szydził z gilotyny, kul i sztyletu; pan Noirtier traktujący rewolucje jak rozrywkę, a Francję jak szachownicę, na której ginęły pionki, wieże, laufry i królowa, byle tylko król dostał mata; ów niebezpieczny pan Noirtier na drugi dzień stał się „tym biednym Noirtierem", sparaliżowanym starcem, zależnym od najsłabszej istoty w domu — wnuczki Valentine; jest teraz niemym, zlodowaciałym trupem, co wegetuje, zresztą bez cierpień, po to tylko, aby dać czas swojemu ciału, aby uległo stopniowo, bez nagłych wstrząsów, do ostatecznego rozkładu.

— Niestety — rzekł Monte Christo — takie widowisko nie jest obce ani mym oczom, ani myśli; jestem po trosze lekarzem i jak i moi koledzy szukałem nieraz duszy w materii żyjącej lub martwej, ale dusza pozostała jak Opatrzność niewidzialna dla mego oka, chociaż ją czułem sercem. Od Sokratesa[1045], Seneki[1046], świętego Augustyna[1047] i Galla ze stu autorów dokonało wierszem lub prozą takiego porównania, jak pan przed chwilą. Pojmuję jednak, że cierpienia ojca mogą znacząco wpłynąć na duszę syna. A zatem przyjdę do pana, skoro raczy mnie pan do tego zachęcać, aby ujrzeć ten straszliwy widok, na pewno wywrze korzystny wpływ na moją pokorę. Niewątpliwie zasmuca to pańską rodzinę.

— Zasmucałoby, gdyby Bóg nie udzielił mi za to sowitej rekompensaty. Obok starca, co zstępuje, powłócząc nogami, do grobu, dwoje dzieci wstępuje w życie: Valentine, moja córka z pierwszego małżeństwa z panną Renatą de Saint-Méran, i Edward, któremu ocaliłeś pan życie.

— Jaki wyciąga pan wniosek z tej rekompensaty?

— Taki, że ojciec oszołomiony namiętnościami popełnił kilka takich grzechów, które uchodzą sprawiedliwości ludzkiej, ale podlegają sprawiedliwości Boga... i że Bóg, chcąc karać tylko grzesznika, uderza tylko w niego.

Monte Christo, z uśmiechem na ustach, w duszy wydał taki krzyk straszliwy, że Villefort umknąłby, gdyby tylko mógł go usłyszeć.

— Żegnam pana — rzekł prokurator, który już dawno się podniósł. — Odchodzę i unoszę ze sobą wobec pana głębokie uczucie szacunku, które (mam nadzieję) będzie dla pana przyjemnym, gdy poznasz mnie pan bliżej; nie zaliczam się raczej do ludzi banalnych. Ponadto zdobył pan dozgonną przyjaźń mojej żony.

Hrabia ukłonił się, ale odprowadził prokuratora tylko do drzwi gabinetu. Prokurator zszedł do powozu poprzedzany przez dwóch lokajów, którzy na znak pana skwapliwie otwarli drzwiczki.

Wkrótce Monte Christo stracił powóz z oczu.

— Dosyć, dosyć tego jadu — rzekł i odetchnął z trudem, bo czuł w piersi ogromny ciężar — mam go pełne serce, poszukajmy antidotum.

I uderzył raz w dzwonek.

— Idę do pani — rzekł do Alego. — Za pół godziny ma być gotowy powóz.

48. HAYDE

Przypominamy sobie, jacy to nowi, a raczej starzy znajomi hrabiego Monte Christo zamieszkiwali przy ulicy Meslay: Maksymilian, Julia i Emanuel.

Nadzieja na tak miłe odwiedziny, na tych kilka szczęśliwych chwil, jakie miał tam spędzić, na ten rajski promyk wślizgujący się do piekła, w którym się dobrowolnie zabłąkał, rozświetliła twarz hrabiego — gdy tylko stracił z oczu Villeforta — tak czarodziejską pogodą, że Ali, który wbiegł na odgłos dzwonka, widząc radość promieniującą z twarzy

[1045] *Sokrates* (469–399 p.n.e.) — filozof gr., nauczyciel Platona; stosował metodę żywego dialogu, dysputy jako sposób dochodzenia do prawdy; oskarżony o niewyznawanie bogów uznawanych przez państwo i demoralizację młodzieży, skazany na śmierć przez wypicie trucizny. [przypis edytorski]

[1046] *Seneka*, właśc. *Lucius Annaeus Seneca Minor* (ok. 4 p.n.e.–65 n.e.) — rzym. filozof stoicki, autor wielu tekstów moralistycznych, wychowawca Nerona; oskarżony o spisek przeciwko cesarzowi, na rozkaz Nerona popełnił samobójstwo. [przypis edytorski]

[1047] *św. Augustyn* (354–430) — filozof i teolog chrześcijański, autor licznych traktatów, m.in. *Państwo Boże*, oraz autobiograficznych *Wyznań*; jeden z tzw. ojców i doktorów Kościoła. [przypis edytorski]

hrabiego, odszedł na palcach, tłumiąc oddech — jak gdyby po to, by nie spłoszyć tych dobrych myśli, które, jak mu się zdawało, unosiły się w powietrzu wokół pana.

Było południe. Hrabia zarezerwował sobie godzinę, którą chciał spędzić u Hayde; można by pomyśleć, że radość nie od razu mogła wstąpić do tej duszy dręczonej tak długo, i że musiała gotować się do miłych wrażeń, tak jak inne muszą przygotowywać się do wzruszeń gwałtownych.

Mówiliśmy już, że Greczynka mieszkała w apartamencie zupełnie oddzielonym od apartamentów hrabiego. Komnaty te urządzone były całkowicie na sposób wschodni: parkiety wysłane puszystymi tureckimi dywanami, ściany powleczone brokatami[1048], każdy pokój otaczała otomana.

Hayde miała cztery służące — trzy Francuzki i Greczynkę. Francuzki siedziały w pierwszym pokoju, gotowe nadbiec na każdy dźwięk złotego dzwoneczka i wysłuchać rozkazów greckiej niewolnicy, która znała na tyle francuski, by móc przekazywać wolę pani pokojówkom; hrabia Monte Christo polecił im, by traktowały Hayde z wszelkimi względami należnymi królowej.

Dziewczyna była w najodleglejszym pokoju — okrągłym buduarze, do którego światło przenikało tylko od góry, przez różowe szybki. Leżała na podłodze, na atłasowych niebieskich poduszkach haftowanych srebrem; opierała się o brzeg otomany, ogarniając wdzięcznie prawą ręką głowę; lewą ręką podnosiła do ust koralowy ustnik kończący rurkę nargile i wdychała spokojnie dym, który przefiltrowywał się przez wodę perfumowaną będźwinem[1049].

Jej poza, całkowicie naturalna u kobiety Wschodu, u Francuzki uszłaby za przesadną kokieterię.

Miała na sobie strój taki, jaki noszą kobiety w Epirze[1050]: atłasowe białe szarawary haftowane w różowe kwiaty, spod których wyglądały dwie drobne, dziecięce stópki, które można by wziąć za marmur z Paros[1051], gdyby nie igrały w małych sandałkach z zakręconymi do góry czubkami, wyszywanych złotem i perłami; kaftanik w biało-niebieskie paski z szerokimi rozciętymi rękawami, dziurkami od guzików — obszytymi srebrem — i guzikami z pereł; gorsecik miał wycięcie w serduszko odsłaniające szyję i dekolt, a spinały go trzy diamentowe guziki. Dół gorsetu i górę szarawarów zakrywał szeroki kolorowy pas z długimi jedwabnymi frędzlami — obiekt pożądania wszystkich paryskich elegantek.

Na główce nosiła złoty toczek[1052] naszywany perłami, włożony lekko na bakier; we włosach tak czarnych, że zdawały się granatowe, żarzyła się purpurą wspaniała róża.

Twarz jaśniała urodą doskonale grecką: ogromne, czarne oczy o aksamitnym wejrzeniu, prosty nos, usta jak korale, zęby jak perły.

Urokliwa postać dziewczyny promieniała młodością — w całym jej rozkwieconym blasku i woni.

Mogła mieć dziewiętnaście, najwyżej dwadzieścia lat.

Monte Christo zawołał służebną Greczynkę i kazał zapytać Hayde, czy może wejść. Zamiast odpowiedzieć, Hayde skinęła na służącą, by podniosła tapiserię, która zakrywała drzwi, i dziewczyna ukazała się w ich ramie jak jaki zachwycający obraz.

Monte Christo podszedł. Hayde uniosła się na ręce, w której trzymała nargile i podała z uśmiechem dłoń hrabiemu.

— Dlaczego — spytała dźwięcznym językiem cór Sparty i Aten — dlaczego pytasz mnie o pozwolenie, gdy chcesz do mnie wejść? Czyżbyś już nie był moim panem, a ja twoją niewolnicą?

Monte Christo uśmiechnął się.

— Hayde — rzekł — pani wiesz...

— Czemuż nie mówisz do mnie „ty", jak zwykle? — przerwała Greczynka. — Czyżbym zrobiła coś złego? Jeśli tak, to trzeba mnie ukarać, a nie mówić do mnie „pani".

— Hayde — rzekł hrabia. — Wiesz, że jesteśmy we Francji i tym samym jesteś wolna.

— Wolna? Co to znaczy?

[1048] *brokat* — gruba tkanina jedwabna z wypukłym wzorem, przetykana złotą nicią. [przypis edytorski]

[1049] *będźwin* — żywica drzewa z rodzaju styrakowatych. [przypis edytorski]

[1050] *Epir* — górzysta kraina w płn.-zach. Grecji nad Morzem Jońskim. [przypis edytorski]

[1051] *Paros* — gr. wyspa na Morzu Egejskim, na której wydobywa się słynny, biały marmur. [przypis edytorski]

[1052] *toczek* — niewielki kapelusz bez ronda. [przypis edytorski]

— Że możesz mnie opuścić.

— Opuścić ciebie?... A dlaczegóż miałabym cię opuścić?

— Czyż ja wiem... Będziemy bywać w towarzystwie...

— Nie chcę spotykać się z nikim.

— A gdybyś wśród pięknych młodych ludzi, jakich poznasz, znalazła takiego, który by ci się podobał, nie mogę być tak autorytarny i...

— Nie widziałam jeszcze mężczyzny piękniejszego od ciebie i nie kochałam nikogo prócz ojca i ciebie.

— Biedne dziecko... boś rozmawiała tylko z ojcem i ze mną.

— A po cóż mam rozmawiać z innymi? Ojciec nazywał mnie zawsze swoją radością, ty nazywasz mnie swoją miłością, obaj zaś nazywaliście mnie swoim dzieckiem.

— Pamiętasz ojca?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Jest tu i tu — rzekła kładąc rękę na oczach i na sercu.

— A ja gdzie jestem? — spytał z uśmiechem Monte Christo.

— Ty jesteś wszędzie.

Monte Christo ujął rękę Hayde, chcąc ją pocałować — ale naiwna dziewczyna cofnęła rękę i podała mu czoło.

— Teraz, Hayde — rzekł hrabia — wiesz, żeś wolna, że jesteś panią i królową, możesz zachować ten strój albo też odrzucić go, jak wolisz; możesz być w domu i z niego wychodzić, kiedy ci się spodoba, zawsze będzie dla ciebie czekał zaprzężony powóz; Ali i Mirto będą ci towarzyszyć wszędzie, gotowi na twoje rozkazy; proszę cię tylko o jedno...

— Mów.

— Nie zdradzaj swojego pochodzenia, nie wspominaj nigdy słowem o przeszłości; i w żadnym wypadku nie wymieniaj imienia twego dostojnego ojca ani nieszczęsnej matki.

— Panie mój, już ci powiedziałam, że nikogo nie chcę widywać.

— Posłuchaj, Hayde: nie sądzę, aby takie wschodnie odosobnienie było możliwe w Paryżu; ucz się dalej życia naszych północnych krajów, tak jak uczyłaś się żyć we Florencji, Mediolanie, Rzymie i Madrycie; to ci się zawsze przyda, czy zostaniesz tu, czy wrócisz na Wschód.

Dziewczyna podniosła na hrabiego wielkie wilgotne oczy i odparła:

— Chciałeś raczej powiedzieć, panie mój, wrócimy na Wschód, czyż nie?...

— Tak, moja córko — rzekł Monte Christo. — Wiesz dobrze, że ja cię nigdy nie opuszczę. Wszak drzewo nigdy nie opuszcza kwiatu, to kwiat opuszcza drzewo.

— Nigdy cię nie opuszczę, panie. Jestem pewna, że nie mogłabym bez ciebie żyć.

— Biedactwo! Za dziesięć lat będę już stary, a ty będziesz nadal młoda.

— Mój ojciec miał długą białą brodę, a przecież go kochałam; mój ojciec miał lat sześćdziesiąt, a przecież zdawał mi się piękniejszy niż wszyscy młodzi ludzie, jakich widziałam.

— No, dajmy temu spokój. Myślisz, że przyzwyczaisz się do życia tutaj?

— A będę cię widywała?

— Co dzień.

— Więc po co o to pytasz, panie mój?

— Boję się, żebyś się tu nie nudziła.

— Nie, mój panie; z rana będę myślała o tym, że przyjdziesz, wieczorem będę wspominała twoje odwiedziny. Zresztą, gdy jestem sama, bawią mnie wspaniałe wspomnienia, przeglądam ogromne obrazy, rozległe krajobrazy z górami Pindu[1053] i Olimpu w oddali; ponadto serce wypełniają mi trzy uczucia, dzięki którym nigdy nie można się nudzić: smutek, miłość i wdzięczność.

— Hayde, jesteś godną córą Epiru, nosisz w sobie wdzięk i poezję; widać, że pochodzisz z rodu bogiń, które wydała twoja kraina. Bądź więc spokojna, córko moja, postaram się, aby twoja młodość nie poszła na marne; jeśli ty mnie kochasz jak ojca, ja kocham cię jak dziecko.

[1053] *Pindus*, właśc. Pindos — gasmo górskie na granicy dzis. Grecji i Albanii. [przypis edytorski]

— Mylisz się, panie, nie kochałam mojego ojca tak, jak ciebie: moja miłość do ciebie to inna miłość; ojciec umarł, a ja przecież żyję, ale gdybyś ty umarł, i ja bym umarła.

Hrabia podał dziewczynie rękę z uśmiechem pełnym głębokiej czułości, ona zaś jak zwykle przylgnęła do niej ustami.

I hrabia, zapewniwszy sobie w ten sposób najlepszy z możliwych nastrój, wyszedł na spotkanie z Morrelem i jego rodziną, powtarzając cicho te wiersze Pindara[1054]:

„Młodość jest kwiatem, a miłość jego owocem... Szczęśliwy, kto go zbiera, napatrzywszy się najpierw, jak z wolna dojrzewa".

Stosownie do rozkazów powóz był gotowy. Wsiadł, konie ruszyły jak zwykle galopem.

49. RODZINA MORRELÓW

W kilka minut hrabia dotarł pod siódemkę na ulicę Meslay.

Dom był biały, wesoły, a na dziedzińcu z przodu rosły dwie kępy pięknie ukwieconych krzewów.

W odźwiernym, co mu otworzył bramę, hrabia poznał starego Koklesa. Ale Kokles, jak sobie przypominamy, miał tylko jedno oko, które mu na dodatek znacznie osłabło w ciągu ostatnich dziewięciu lat — i nie poznał hrabiego.

Aby zajechać przed ganek, powozy musiały okrążyć małą fontannę w kształcie muszli; zbytek ten budził ogólną zazdrość w całej dzielnicy i dzięki niemu dom zyskał sobie przydomek Małego Wersalu.

Dom miał dwa piętra z mansardą; poniżej, w suterenie[1055], znajdowała się kuchnia, a jeszcze niżej — piwnice.

Młodzi ludzie zakupili go razem z przyległościami[1056]: ogromną szopą-warsztatem i dwoma pawilonami w tyle ogrodu.

Emanuel zrozumiał w mig, że przy takim rozkładzie posiadłości można zrobić interes; zatrzymał dom i połowę ogrodu i odgrodził się murem od pawilonów i warsztatu, które wynajął razem z resztą ogrodu — tym sposobem to, co wydał na kupno domu, zwracało mu się z czynszu, a jednocześnie mógł się czuć całkowicie u siebie, jak najbardziej wygodny właściciel pałacu na Przedmieściu Saint-Germain.

Sala jadalna była dębowa, salon z mahoniu[1057], wybity błękitnym aksamitem, sypialnia z drzewa cytrynowego i zielonego adamaszku; był tu jeszcze gabinet dla Emanuela, choć w nim nie pracował; i pokoik muzyczny dla Julii, choć na niczym nie grywała.

Całe drugie piętro zajmował Maksymilian; był tu taki sam rozkład, jak u siostry, tyle tylko, że jadalnię zamieniono na pokój do gry w bilard — tu Maksymilian przyjmował przyjaciół.

Gdy powóz hrabiego zatrzymał się przed bramą, Maksymilian właśnie doglądał czyszczenia swojego konia, stojąc przy wejściu do ogrodu i paląc cygaro.

Kokles otworzył bramę, jakeśmy już mówili, a Baptysta, zeskoczywszy z kozła, zapytał, czy państwo Herbault i Maksymilian Morrelowie raczą przyjąć hrabiego de Monte Christo.

— Hrabiego de Monte Christo! — zawołał Morrel, rzucając cygaro i wybiegając naprzeciw gościowi. — Oczywiście! O, panie hrabio, dzięki tysięczne, żeś pamiętał o obietnicy.

Młody oficer tak serdecznie uścisnął dłoń hrabiego, iż hrabia nie mógł wątpić, że uczucie to było szczere; ujrzał, że oczekiwano go tu niecierpliwie, i przyjęto z radością.

— Niech pan pozwoli, hrabio — mówił Maksymilian — sam pana wprowadzę; taki człowiek jak pan nie może być anonsowany przez lokaja. Siostra jest właśnie w ogrodzie, obcina zwiędłe róże; szwagier czyta swoje dwa ulubione dzienniki, „Presse" i „Débats", gdzieś przy niej, bo tam, gdzie jest pani Herbault, tam z pewnością w odległości najwyżej czterech metrów znajdzie się też pan Emanuel, i na odwrót.

[1054] *Pindar* (ok. 520–ok. 438 p.n.e.) — wybitny poeta gr., twórca liryki chóralnej, znany głównie z utworów na cześć zwycięzców igrzysk. [przypis edytorski]

[1055] *suterena* — kondygnacja mieszkalna znajdująca się poniżej parteru, częściowo pod ziemią. [przypis edytorski]

[1056] *przyległość* — sąsiadujący budynek lub teren. [przypis edytorski]

[1057] *mahoń* — cenione czerwonobrunatne, twarde drewno tropikalnego mahoniowca, pochodzącego z Ameryki Środkowej i basenu Morza Karaibskiego. [przypis edytorski]

Na odgłos kroków, młoda, dwudziestopięcioletnia kobieta w porannym jedwabnym peniuarze, przycinająca właśnie z wielką uwagą krzak herbacianej róży, uniosła głowę.

Była to nasza mała Julka, obecnie — jak jej to wysłannik domu Thomson i French przepowiedział — pani Emanuelowa Herbault.

Ujrzawszy nieznajomego, krzyknęła z zakłopotania.

Maksymilian roześmiał się.

— Ależ nie przeszkadzaj sobie, siostrzyczko; pan hrabia, chociaż jest dopiero od dwóch dni w Paryżu, wie już dobrze, co to jest rentierka z Marais[1058]; a jeśli nawet nie wie, to ty mu powiesz.

— Ach, proszę pana — zawołała Julia — mój brat przyprowadził tu pana zdradziecko, nie ma żadnych względów dla swojej biednej siostry... Penelon! Penelon!

Staruszek, który okopywał grządkę róż bengalskich, wbił w ziemię motykę i zbliżył się z czapką w ręku, kryjąc w kąciku ust, najlepiej jak się tylko dało, prymkę. Białe kosmyki srebrzyły się w jego czuprynie, a ogorzała twarz, śmiałe i żywe oko wskazywały, że to stary wilk morski, spalony równikowym słońcem, wysmagany wichrami burz.

— Panienka mnie wołała? Oto jestem.

Penelon zwykł nadal nazywać córkę swego pryncypała panienką Julią i nie mógł za skarby nauczyć się mówić jej „pani".

— Penelonie — rzekła Julia. — Idźże zaraz i daj znać panu Emanuelowi, że mamy wspaniałego gościa; a tymczasem Maksymilian zaprowadzi pana do salonu.

I zwróciła się do Monte Christa:

— Pan pozwoli, abym na chwilkę pobiegła do siebie?

I nie czekając na odpowiedź, zniknęła za krzewem, biegnąc do domu boczną ścieżką.

— Hmm, drogi panie Morrel — rzekł Monte Christo — przykro mi, że narobiłem tyle zamieszania u państwa.

— O, o, niech pan patrzy — roześmiał się Maksymilian — o tam, teraz mąż zamienia kurtkę na surdut! O, proszę mi wierzyć, znają tu pana, uprzedziłem o pańskich odwiedzinach.

— Zdaje mi się, że ma pan bardzo szczęśliwą rodzinę — rzekł hrabia, jakby odpowiadając własnym myślom.

— O, tak, ręczę za to, panie hrabio. I nie ma w tym nic dziwnego. Do szczęścia nie brakuje im niczego; są młodzi, weseli, kochają się, a mając dwadzieścia pięć tysięcy liwrów renty na rok, zdaje im się, że to iście Rotszyldowe bogactwa, choć widzieli wiele ogromnych fortun.

— Jednak to mało, dwadzieścia pięć tysięcy — rzekł Monte Christo z tak łagodną troską w głosie, że Maksymilianowi rozrzewniło się serce, jakby słyszał głos ojca. — Ale oni na tym nie poprzestaną, z czasem dojdą do milionów. Pański szwagier jest adwokatem?... lekarzem?...

— Był kupcem, panie hrabio, objął firmę po moim biednym ojcu. Ojciec umarł i zostawił nam pięćset tysięcy franków; podzieliliśmy się po połowie, bo tylko dwoje nas było. Gdy Emanuel żenił się z siostrą, nie miał nic, oprócz absolutnej uczciwości, wspaniałej inteligencji i reputacji bez skazy; pragnął posiadać tyle, ile jego żona. Pracował dopóty, aż zgromadził po sześciu latach dwieście pięćdziesiąt tysięcy franków. Naprawdę, panie hrabio, można się było wzruszyć, patrząc na tych dwoje dzieci tak pracowitych i zgodnych; dzięki swoim zdolnościom mogli zrobić wielki majątek, ale nie chcąc nic zmieniać w ojcowskich zasadach, trudzili się przez sześć lat, choć kto inny mógłby zarobić tyle w ciągu lat trzech. Toteż w całej Marsylii jeszcze głośno od pochwał wobec takiego szlachetnego wyrzeczenia. Na koniec, pewnego dnia Emanuel poszedł do żony, która właśnie wypłacała należności.

„Juleczko — rzekł do niej — oto ostatnie sto franków, których potrzebowaliśmy do pełnej sumy dwustu pięćdziesięciu tysięcy franków; osiągnęliśmy granicę, jaką sobie wyznaczyliśmy. Będziesz w stanie zadowolić się tą sumką, która ma odtąd stanowić cały nasz majątek? Bo popatrz: firma ma milion obrotu na rok, a więc może nam przynosić czterdzieści tysięcy franków rocznie. Możemy sprzedać, jeśli chcemy, naszą klientelę w ciągu

[1058] *Marais* — dzielnica Paryża. [przypis edytorski]

godziny za trzysta tysięcy franków: tu jest list od pana Delaunay, który tyle zapłaci, bo chce połączyć naszą firmę ze swoją. Co o tym myślisz?".

„Kochany — rzekła siostra — firma Morrela może być prowadzona tylko przez Morrela. Czy nie warto wyrzec się trzystu tysięcy, aby uchronić dobre imię ojca przed nieżyczliwymi kaprysami losu?".

„Tak też myślałem — odpowiedział Emanuel — ale chciałem zasięgnąć twojej rady".

„A więc, kochany, taka jest moja rada: wszystkie nasze wierzytelności już wpłynęły, zapłaciliśmy należności, możemy podsumować rachunek z ostatnich dwóch tygodni i zamknąć kasę. Zróbmy tak i zamykajmy".

I tak też się stało. Kwadrans po trzeciej przybył jakiś klient, chcąc ubezpieczyć dwa statki; zysk wyniósłby dla nich na czysto piętnaście tysięcy franków gotówką.

„Szanowny panie — rzekł Emanuel — proszę się udać do naszego kolegi, pana Delaunay. Wycofaliśmy się z interesów".

„Kiedy?" — zdumiał się klient.

„Piętnaście minut temu".

— I oto dlaczego, panie hrabio — ciągnął z uśmiechem Maksymilian — siostra i szwagier mają tylko dwadzieścia pięć tysięcy dochodu.

Zaledwie Maksymilian skończył opowieść, podczas której w hrabi coraz bardziej rosło serce, nadszedł Emanuel przebrany w surdut i kapelusz; skłonił się tak, jak należało równie dostojnemu gościowi, po czym oprowadził hrabiego po wirydarzyku[1059] pełnym kwiatów i przeszedł z nim do domu.

Salon napełniała woń kwiatów, które ledwo mieściły się w ogromnej japońskiej wazie.

Julia, elegancko ubrana, uczesana zalotnie (udało jej się dokonać tej sztuki w dziesięć minut!) czekała na nich w drzwiach.

Z sąsiedniej ptaszarni dochodził świergot ptasząt.

Kiście szczodrzeńca[1060] i różowych akacji wyglądały zza niebieskich aksamitnych zasłon w oknach.

Wszystko w tym urokliwym przytulnym domku tchnęło spokojem, od śpiewu ptaków po uśmiechy gospodarzy.

Z chwilą, gdy tu przybył, hrabia jął chłonąć to szczęście; milczał więc w rozmarzeniu, nie zauważając, że po pierwszej wymianie komplementów wszyscy czekali na dalszy ciąg przerwanej pogawędki.

Spostrzegł wreszcie, że milczenie to nie było na miejscu, i wyrwał się z trudem z zadumy.

— Pani, proszę mi darować — rzekł — to wzruszenie, które państwa może zadziwiać, bo jesteście przyzwyczajeni do tego spokoju i szczęścia; ale dla mnie to zadowolenie na ludzkich twarzach jest zjawiskiem tak nowym, że nie mogę się nasycić widokiem pani i jej męża.

— Rzeczywiście, jesteśmy bardzo szczęśliwi — odpowiedziała Julia. — Wycierpieliśmy jednak wiele i mało kto tak drogo okupił szczęście.

W oczach hrabiego odmalowała się ciekawość.

— O, to istna historia rodu, jak niedawno powiedział to panu Château-Renaudowi — stwierdził Maksymilian. — Pan, hrabio, widział tyle wielkich nieszczęść i radości, że ten obrazek szczęścia rodzinnego nie wydałby się panu ciekawy. A przecież, wycierpieliśmy wiele, jak powiedziała Julia, chociaż te cierpienia zamknięte były w skromnych ramach naszej rodziny.

— I Bóg zesłał państwu, jak to zwykle bywa, pociechę w nieszczęściu?

— O, tak, panie hrabio — rzekła Julia. — Możemy tak powiedzieć, bo Bóg zrobił dla nas to, co robi tylko dla swych wybrańców: zesłał nam anioła.

Hrabia zaczerwienił się nagle i zakaszlał, podnosząc do ust chusteczkę, aby ukryć w ten sposób wzruszenie.

— Ci, co się urodzili w purpurze i nigdy niczego nie pragnęli — odezwał się Emanuel — nie znają szczęścia, jakie daje życie; podobnie ten, czyje życie nigdy nie pozostawało na łasce czterech desek pośród wzburzonego morza, nie doceni nigdy czystego nieba.

[1059] *wirydarzyk* — zdr. od wirydarz; ozdobny, zacieniony ogród. [przypis edytorski]

[1060] *szczodrzeniec* —roślina z rodziny bobowatych. [przypis edytorski]

Monte Christo wstał, nic nie mówiąc, bo głos drżałby mu tak, że z łatwością można by zauważyć miotające nim emocje — i zaczął przechadzać się tam i z powrotem po salonie.

— Uśmiecha się pan, to na widok naszych zbytków, panie hrabio? — spytał Maksymilian, podążający spojrzeniem za Monte Christem.

— O, nie — odparł Monte Christo; blady, przyciskał dłoń do serca, tłumiąc jego bicie, a drugą wskazał Maksymilianowi kryształowy klosz, pod którym leżała na poduszeczce z czarnego aksamitu jedwabna sakiewka. — Zadawałem sobie tylko pytanie, do czego też może służyć ta sakiewka, w której jest chyba jakiś karteluszek i całkiem piękny diament.

Twarz Maksymiliana spoważniała.

— To, panie hrabio, najcenniejszy ze skarbów naszej rodziny.

— O tak, diament jest naprawdę piękny — zgodził się Monte Christo.

— O, brat nie mówi wcale o tym kamieniu, chociaż oszacowano go na sto tysięcy franków. Chciał przez to powiedzieć, że przedmioty w sakiewce są naszymi relikwiami po aniele, o którym przed chwilą mówiliśmy.

— Hm, nie rozumiem, ale chyba nie wypada mi pytać, droga pani — odpowiedział Monte Christo z ukłonem. — Przepraszam, nie chciałem być niedyskretny.

— Pan, niedyskretny? Och, przecież to dla nas wielkie szczęście, że dzięki panu możemy o tym opowiedzieć! Gdybyśmy chcieli ukrywać piękny czyn, który nam ta sakiewka przypomina, nigdy byśmy jej tak nie wystawili na widok. O, chcielibyśmy rozgłosić tę historię całemu światu, wtedy może by zadrżał nasz dobroczyńca i po tym moglibyśmy go poznać!

— Ach, doprawdy! — wykrztusił Monte Christo.

— Panie hrabio — rzekł Maksymilian, podnosząc klosz i całując z nabożeństwem sakiewkę — tej sakiewki dotykała ręka człowieka, który ocalił naszego ojca od śmierci, nas od ruiny, a nasze imię od hańby; człowieka, dzięki któremu my, biedne dzieci skazane na nędzę i łzy, dziś możemy słyszeć, jak ludzie unoszą się nad naszym szczęściem. Ten list — i Maksymilian wyjął list z woreczka i podał hrabiemu — ten list napisała jego ręka w dniu, gdy mój ojciec podjął rozpaczliwą decyzję, a ten diament siostra moja otrzymała w posagu od szlachetnego nieznajomego.

Monte Christo otworzył list i przeczytał z nieopisanym szczęściem; list ten znany jest naszym czytelnikom — był to bilecik od Sindbada Żeglarza zaadresowany do Julii.

— Nieznajomy, mówi pan? A więc nie wiecie, kim był człowiek, co oddał wam tę przysługę?

— Nie, nigdy nie mieliśmy szczęścia uścisnąć jego ręki; nie z naszej winy, bo nieraz gorąco prosiliśmy Boga o tę łaskę — odparł Maksymilian. — W całym tym wypadku jest jakieś tajemnicze zrządzenie, którego jeszcze nie zdołaliśmy pojąć; wszystkim kierowała jakaś tajemnicza ręka, niewidzialna i potężna jak u czarodzieja.

— O, ale ja nie straciłam jeszcze nadziei — odezwała się Julia — że ucałuję kiedyś tę rękę, jak teraz całuję sakiewkę, której dotykał on. Przed czterema laty Penelon był w Trieście. Penelon, panie hrabio, to ów poczciwy marynarz, którego widział pan z łopatą w ręku, z szypra[1061] zrobił się ogrodnikiem. W Trieście Penelon zauważył w porcie jakiegoś Anglika, co wsiadał do jachtu, i poznał, że to ten sam człowiek, który był u mego ojca piątego czerwca 1829 roku, a piątego września napisał ten list. Penelon twierdzi, że był to na pewno jeden i ten sam człowiek, ale nie śmiał do niego przemówić.

— Anglik! — rzekł w zamyśleniu Monte Christo; każde spojrzenie Julii niepokoiło go. — Anglik, powiadacie państwo?

— Tak — odpowiedział Maksymilian. — Anglik, co przedstawił się nam jako wysłannik firmy Thomson i French w Rzymie. Dlatego właśnie zadrżałem, gdy pan hrabia powiedział u pana de Morcerfa, że Thomson i French są twoimi bankierami. Na litość boską, działo się to w roku 1829; czy znał pan tego Anglika?

— Ale przecież mówiłeś mi pan, że Thomson i French zawsze zaprzeczali, że oddali państwu tę przysługę?

— Tak.

[1061] *szyper* — dowódca statku, kapitan. [przypis edytorski]

— A więc ten Anglik to może jakiś człowiek wdzięczny waszemu ojcu za jakieś dobrodziejstwo, o jakim ojciec sam dawno zapomniał, i oddał państwu przysługę pod taką przykrywką?

— Wobec takiego wydarzenia wszystko jest możliwe — nawet cud.

— Jakże się ten Anglik nazywał? — zapytał Monte Christo.

— Nie podał nam nazwiska — odparła Julia, wpatrując się w hrabiego z głęboką uwagą — poza tym, którym podpisał list: Sindbad Żeglarz.

— A to oczywiście nie nazwisko, ale pseudonim.

A widząc, że Julia przypatruje mu się jeszcze uważniej, że stara się uchwycić w locie i skojarzyć brzmienie głosu, rzekł:

— Czy to nie był aby mężczyzna mniej więcej mojego wzrostu, może nieco wyższy i nieco szczuplejszy, w halsztuku pod samą brodę? Czy nie był zapięty na wszystkie guziki, ciasno opięty surdutem? Sztywny, jakby kij połknął, zawsze z ołówkiem w ręku?

— O, ale przecież pan go znasz? — zawołała Julia, a oczy jej błysnęły radością.

— Nie, tylko się domyślam. Znałem niejakiego lorda Wilmore'a, który rozsiewał na wszystkie strony takie szlachetne uczynki.

— I nie chciał się dać rozpoznać?

— Dziwak to był, nie wierzył wcale we wdzięczność.

— Och! — zawołała Julia w najwyższym uniesieniu i złożyła ręce. — To w co ten nieszczęśnik wierzył?

— Nie wierzył przynajmniej wtedy, gdy go poznałem — rzekł Monte Christo, w którym głos Julii, dobywający się z samej duszy, poruszył wszystkie, najgłębsze nawet struny. — Ale może od tego czasu zdobył jakiś dowód, że wdzięczność ludzka istnieje.

— I pan zna tego człowieka? — zawołał Emanuel.

— O, proszę pana, jeżeli go pan zna, błagam, niech pan nam powie, czy mógłbyś nas do niego zaprowadzić, pokazać go nam albo powiedzieć, gdzie jest? Maksymilianie, Emanuelu, powiedzcie sami, gdybyśmy go kiedy odnaleźli, przecież będzie musiał wtedy uwierzyć, że istnieje pamięć serca!

Monte Christo poczuł, że do oczu napłynęły mu łzy. Znowu przeszedł się po salonie.

— Na litość! — rzekł Maksymilian. — Jeżeli wie pan cokolwiek o tym człowieku, proszę, powiedz nam wszystko!

— Niestety — odparł Monte Christo, tłumiąc wzruszenie — jeżeli to lord Wilmore jest waszym dobroczyńcą, obawiam się, że możecie go nigdy nie spotkać. Przed dwoma czy trzema laty rozstałem się z nim w Palermo: odpływał w jakieś egzotyczne kraje. Wątpię, czy stamtąd powróci.

— O, jakże pan jesteś okrutny! — zawołała Julia z przestrachem.

I łzy zakręciły się jej w oczach.

— Pani — rzekł poważnie Monte Christo, pochłaniając wzrokiem te dwie płynne perły, co spływały po policzkach Julii — gdyby lord Wilmore widział to, co ja tutaj widzę, może pokochałby jeszcze życie, bo pani łzy pogodziłyby go z rodzajem ludzkim.

Wyciągnął rękę do Julii, a ona podała mu swoją, jak urzeczona wzrokiem i tonem głosu hrabiego.

— Przecież ten lord Wilmore — spytała, podchwytując tę ostatnią nadzieję — musi mieć jakąś rodzinę, krewnych, ktoś go przecież znał? Czyż nie moglibyśmy?...

— O, nie, nie szukaj go pani — przerwał hrabia. — Nie buduj pięknych złudzeń na słowach, jakie mi się niechcący wymknęły. Nie, lord Wilmore raczej nie jest człowiekiem, którego pani szukasz. Był moim przyjacielem, znałem jego tajemnice, opowiedziałby mi o tym wydarzeniu.

— Nic panu o tym nie mówił? — zawołała Julia. — Nigdy nie napomknął ani słowem, z czego można by wywnioskować?...

— Nie.

— A przecież wymienił go pan od razu?

— O, wie pani... zawsze się snuje jakieś przypuszczenia w podobnych przypadkach.

— Siostrzyczko, siostrzyczko — rzekł Maksymilian, idąc na pomoc hrabiemu — pan hrabia ma rację. Przypomnij sobie, co nam tak często mówił ojciec: „to nie żaden Anglik ofiarował nam tyle szczęścia".

Monte Christo zadrżał.

— Ojciec mówił wam coś takiego? — podchwycił żywo.

— Ojciec widział w tym wydarzeniu cud. Ojciec wierzył, że nasz dobroczyńca powstał dla nas z grobu. O, to był doprawdy wzruszający przesąd, sam w to nie wierzyłem, ale nie chciałem niszczyć tej wiary w jego szlachetnym sercu! Ileż razy ojciec w zadumaniu szeptał imię drogiego przyjaciela, przyjaciela utraconego; a gdy umierał, gdy bliskość wieczności jakby ofiarowała mu dar objawienia, jego myśl, dotąd tylko przy puszczenie, zmieniła się w przekonanie, albowiem ostatnie słowa, jakie wyrzekł, to: „Maksymilianie, to był Edmund Dantès!".

Hrabia od kilku chwil bladł coraz bardziej, a słysząc te słowa, pobladł przerażająco.

Krew napłynęła mu do serca, nie mógł wyrzec słowa.

Spojrzał na zegarek, jakby zapomniał, która godzina, wziął cylinder, pożegnał panią Herbault, mamrocąc w zakłopotaniu jakąś formułkę grzecznościową, i uścisnął ręce Emanuelowi i Maksymilianowi.

— Pani, proszę mi pozwolić, abym mógł ją czasem odwiedzić. Dom państwa jest uroczy i jestem wdzięczny za tak serdeczne przyjęcie, pierwszy raz od wielu lat tak się zasiedziałem.

I wyszedł wielkimi krokami.

— Co za dziwaczny człowiek, ten twój hrabia de Monte Christo — odezwał się Emanuel.

— Tak — odparł Maksymilian — ale myślę, że ma złote serce i jestem pewien, że bardzo nas polubił.

— A mnie — rzekła Julia — jego głos zapadł w samo serce; kilka razy wydało mi się, że nie słyszę go po raz pierwszy.

50. PYRAM I TYSBE[1062]

Jakoś tak w dwóch trzecich Przedmieścia Saint-Honoré, za pięknym pałacem (godnym uwagi nawet wśród wielu pięknych budowli, jakie znajdują się w tej dzielnicy), rozciąga się rozległy ogród, w którym bujne kasztany sięgają ponad wysokie niczym mury miejskie kamienne ogrodzenie, tak że z nadejściem wiosny obsypują biało-różowym kwieciem dwa dzbany umieszczone na czworobocznych filarach, pomiędzy które wbudowana jest żelazna kuta brama z czasów Ludwika XIII.

Pomimo wspaniałych pelargonii rosnących w owych dwóch dzbanach i kołyszących na wietrze żyłkowanych liści i purpurowych kwiatów, los tego paradnego wejścia został przypieczętowany, odkąd właściciele pałacu ograniczyli swą posiadłość do samego budynku, dziedzińca obsadzonego drzewami od strony ulicy i do ogrodu, który ta brama właśnie niegdyś oddzielała od wspaniałego, morgowego[1063] warzywnika przylegającego do całej posesji. Demon spekulacji wyznaczył jednak na krańcach warzywnika linię, to znaczy ulicę; a że owa ulica, nim jeszcze zaczęła istnieć, otrzymała wraz z wypolerowaną blaszką nazwę, właściciel pomyślał, że sprzeda warzywnik komuś, kto chciałby budować przy nowej ulicy, która miała stać się konkurencją dla wielkiej paryskiej arterii, zwanej Przedmieściem Saint-Honoré.

Ale gdy chodzi o interesy, człowiek projektuje, pieniądz decyduje i zaledwie ochrzczona ulica zmarła w kolebce. Nabywca warzywnika, uiściwszy całą sumę, nie mógł go odsprzedać z zyskiem i czekając na wzrost cen, który prędzej czy później powinien był nastąpić, wynagradzając mu straty i uwalniając zamrożony kapitał, wydzierżawił ten teren ogrodnikom za pięćset franków rocznie.

Przynosiło im to pół procenta zysku, co naturalnie niewiele znaczy w dzisiejszych czasach, gdy wielu lokuje swój kapitał na pięćdziesiąt od sta[1064], narzekając przy tym jeszcze na zbyt skromny dochód.

Niemniej, jak już powiedzieliśmy, brama prowadząca niegdyś do warzywnika, dziś nie służy nikomu i rdza zżera jej zawiasy. Więcej nawet: aby niegodni ogrodnicy, osoby

[1062] *Pyram i Tysbe* (mit. gr.) — kochankowie pochodzący z wrogich sobie rodów babilońskich, którzy widywali się ze sobą w tajemnicy przed rodziną dzięki szczelinie w ścianie ich domów; pewnego razu Pyram odnalazł zakrwawiony szal ukochanej i sądząc, że ta nie żyje, popełnił samobójstwo; Tysbe, odnalazłszy jego ciało, również targnęła się na swoje życie. [przypis edytorski]

[1063] *morgowy* — o powierzchni jednego morga; przen. duży. [przypis edytorski]

[1064] *od sta* — od stu (sta: daw. D. słowa „sto", odmienianego jak rzeczownik); dziś: procent. [przypis edytorski]

z gminu, nie plamili swoim wzrokiem wnętrza tej arystokratycznej posesji, kratę zasłoniono wysokimi na sześć stóp deskami. Zasłona owa nie była po prawdzie zbyt szczelna, można więc było ukradkiem zerkać przez szpary, a i w domu tym panowały tak surowe obyczaje, że nie lękano się niedyskretnej ciekawości.

W warzywniku tym zamiast kapusty, buraków, rzodkwi, grochu i melonów rośnie wybujała lucerna — tylko to świadczyło, że ktoś jeszcze myśli o tym opuszczonym miejscu. Od strony projektowanej ulicy wchodzi się do niego przez niską furtkę. Jednak ziemia była coraz bardziej nieurodzajna i dzierżawcy opuścili ją tydzień temu, ponieważ zamiast dotychczasowego pół procenta zysku, nie przynosiła już nic.

Od strony pałacu mur wieńczą wspomniane już kasztany, co nie przeszkadza innym rosnącym bujnie i kwitnącym drzewom wciskać między nie gałęzi spragnionych powietrza i słońca.

Ogród, Kochanek, Miłość, Spotkanie

W zakątku pod tak gęstym listowiem, że światło z trudem przedostaje się przez nie, stoi szeroka, kamienna ława i krzesła wskazujące, że jest to ulubione miejsce spotkań lub ulubiona samotnia — mieszkańców pałacu, oddalonego o jakie sto kroków i ledwie dostrzegalnego zza zasłony zieleni. Łatwo zresztą zrozumieć, że wybrano właśnie to ustronie: nie dociera tu słońce, nawet w największy upał panuje chłód, śpiewają ptaki i daleko stąd zarówno do domu, jak i do ulicy, czyli do interesów i gwaru.

Pod wieczór jednego z owych gorących dni, którymi wiosna obdarowuje mieszkańców Paryża, na tej kamiennej ławie leżały książka, parasolka, koszyk z ręcznymi robótkami i batystowa chusteczka z rozpoczętym haftem; niedaleko zaś ławki, przy bramie, młoda kobieta obserwowała przez szpary w deskach znany już nam opuszczony teren.

W tejże właśnie chwili furteczka otwarła się cicho i pojawił się w niej wysoki, silnej budowy młodzieniec, w płóciennej bluzie i aksamitnej kaszkietówce[1065]; jednak jego czarne wąsy, broda i nadzwyczaj starannie ułożone włosy kłóciły się z tym ubiorem ludzi prostych. Rozejrzawszy się szybko wokół, jakby się chciał przekonać, czy go kto nie śledzi, wszedł przez furtkę, cicho zamknął je za sobą i szybkim krokiem zbliżył się do bramy.

Na widok tego, którego oczekiwała, ale przecież nie w takim stroju, dziewczyna przelękła się i gwałtownie cofnęła.

Lecz młodzieniec, spojrzeniem przynależnym jedynie zakochanym, zdołał przez szpary w bramie dostrzec jej białą suknię i długą, niebieską szarfę. Podbiegł do przegrody i przyłożywszy usta do szpary, zawołał:

— Valentine, nie lękaj się, to ja.

Dziewczyna zbliżyła się.

— Och, czemu przychodzisz pan dzisiaj tak późno? Czy nie wiesz, że niedługo obiad? Czy nie wiesz, jak wielu wybiegów musiałam użyć, jak się spieszyć, by pozbyć się macochy, która mnie śledzi, służącej, która mnie szpieguje, i brata, który mnie prześladuje, aby móc przyjść tutaj popracować nad haftem? A i tak obawiam się, że zajmie mi on jeszcze dużo czasu. Skoro już wytłumaczysz się ze spóźnienia, powiedz mi też, co oznacza ten strój. O mało, a bym cię nie poznała.

— Kochana — rzekł młodzieniec — moja miłość jest zbyt niegodna ciebie, abym śmiał ci o niej mówić; a jednak ilekroć cię widzę, muszę ci wyznawać, jak cię ubóstwiam, aby echo tych słów pieściło moje serce, gdy cię już opuszczę. Dziękuję ci za te wymówki; sprawiają mi przyjemność, gdyż mówią mi, że o mnie myślałaś, bo nie śmiałbym twierdzić, że na mnie czekałaś. Pytałaś o moje spóźnienie i strój. Powiem ci i mam nadzieję, że zechcesz mi wybaczyć; wybrałem sobie rzemiosło...

— Rzemiosło? Cóż chcesz przez to powiedzieć, Maksymilianie? Czyż jesteśmy już tak szczęśliwi, że możesz sobie pan żartować z tego, co nas dotyczy?

— Ależ niech mnie Bóg broni, bym żartował z tego, co jest moim życiem. Ale zmęczyło mnie nieustanne bieganie po polach i przeskakiwanie murów, przestraszyła też myśl, którą podsunęłaś mi wczoraj wieczór, że twój ojciec mógłby pewnego dnia wziąć mnie za złodzieja — a ubliżyłoby to honorowi całej armii francuskiej. No i przecież ktoś mógłby się w końcu zdziwić, czemu ja, kapitan spahisów, kręcę się tutaj nieustannie,

[1065] *kaszkietówka* a. *kaszkiet* — męska sztywna czapka z daszkiem. [przypis edytorski]

choć nie ma tu najmniejszej twierdzy do zdobycia ani blokhausu[1066], którego można by bronić. Zostałem więc ogrodnikiem i przybrałem strój odpowiedni dla mego stanu.

— Znakomicie! Ależ to szaleństwo!

— Przeciwnie, najrozsądniejsza rzecz, jaką, jak sądzę, zrobiłem w życiu: daje nam to pełne bezpieczeństwo.

— Jak? Chętnie się dowiem.

— A więc odszukałem właściciela tego placu, a ponieważ termin najmu z dawnymi dzierżawcami właśnie wygasł, ja wszedłem w ich prawa; cała ta lucerna, Valentine, należy do mnie i nic nie stoi na przeszkodzie, bym wybudował tu sobie chatkę i zamieszkał o dwadzieścia kroków od ciebie. O, nie mogę dłużej już zapanować nad radością i szczęściem! Valentine, potrafisz sobie wyobrazić, że można za nie zapłacić? Przecież to niemożliwe. A jednak, całe to szczęście, cała radość, za które oddałbym dziesięć lat życia, kosztowały mnie.... zgadnij ile? Pięćset franków, płatnych co kwartał. Widzisz więc, że odtąd nie mamy się już czego obawiać. Jestem tu u siebie, mogę przystawić drabinę do muru, żeby na ciebie patrzeć i mam prawo — bez obawy, że przeszkodzi mi w tym policjant — mówić, że cię kocham, tak długo, jak tylko twoja duma nie poczuje się urażona, słysząc te słowa z ust prostego robotnika w bluzie i kaszkietówce.

Wobec takiej niespodzianki Valentine aż pisnęła z radości. Ale nagle rzekła smutno, jakby jakaś zazdrosna chmura przysłoniła promień, który rozjaśnił jej serce:

— Niestety, Maksymilianie, teraz będziemy zanadto swobodni i nasze szczęście skusi los. Nadużyjemy naszego poczucia bezpieczeństwa i to nas zgubi.

— Jak możesz mówić takie rzeczy do mnie, który od chwili, gdy cię poznałem, każdego dnia dowodzę, że wszystkie moje myśli i całe życie podporządkowałem twojemu życiu i twoim myślom? Co wzbudziło twą ufność wobec mnie? Czy nie mój honor? Gdy powiedziałaś mi, że jakieś nieokreślone przeczucie każe obawiać ci się wielkiego niebezpieczeństwa, zaoferowałem ci pomoc, nie prosząc w zamian o żadną zapłatę prócz szczęścia, że mogę ci usłużyć. Czy od tej chwili słowem jakimś, gestem najmniejszym dałem ci powód do żalu, że to mnie właśnie wybrałaś spośród tylu, co z ochotą gotowi byliby umrzeć dla ciebie? Powiedziałaś mi, że jesteś zaręczona z panem d'Epinayem, że ojciec tak zadecydował; a że cokolwiek pan de Villefort postanowi, musi się spełnić, tak też bez wątpienia będzie i w tym wypadku. Dobrze więc, usunąłem się w cień, zdając się nie na własną wolę, nie na twoją, lecz na bieg wypadków, na Opatrzność, na Boga. I oto pokochałaś mnie, ulitowałaś się nade mną i wyznałaś mi to. Dziękuję ci za te słowa, proszę tylko, byś czasem mi je powtarzała, bo pozwalają mi zapomnieć o wszystkim.

— I to właśnie uczyniło cię zbyt śmiałym, Maksymilianie, i sprawiło, że jestem szczęśliwa, a zarazem nieszczęśliwa tak bardzo, że zastanawiam się często, co jest lepsze: zgryzota, którą powoduje surowość mojej macochy i jej zaślepienie względem jej syna, czy też pełne niebezpieczeństw szczęście, którego doznaję, gdy cię widzę.

— Pełne niebezpieczeństw! — zawołał Maksymilian. — Jak mogłaś wypowiedzieć tak twarde i niesprawiedliwe słowa? Czy kiedykolwiek widziałaś bardziej uległego niewolnika? Pozwoliłaś mi czasem mówić do siebie, ale zabroniłaś, bym próbował się z tobą spotkać w świecie; usłuchałem. Odkąd znalazłem sposób, by zakradać się do tego ogrodu i choćby przez kratę rozmawiać z tobą, być w końcu tak blisko, ale nie móc cię widzieć, czy kiedykolwiek poprosiłem, byś mi pozwoliła dotknąć choćby rąbka twej sukni? Czy uczyniłem cokolwiek, by pokonać ten mur, tak nędzną dla mnie przeszkodę — bo jestem przecież silny i młody? Nigdy nie skarżyłem się na twoją surowość i żadnym słowem nie wspomniałem głośno o moich pragnieniach. Jestem wierny danemu słowu jak dawni rycerze. Przyznaj chociaż to, abym nie myślał, że jesteś niesprawiedliwa.

— To prawda — rzekła Valentine, wsuwając w szparę delikatny paluszek, który Maksymilian natychmiast ucałował. — To prawda, jesteś pan wiernym przyjacielem. Ale Maksymilianie, postępujesz tak zgodnie z własnym interesem; wiesz przecież doskonale, że niewolnik, który zaczyna stawiać żądania, traci wszystko. Przyrzekłeś braterską miłość mnie, która nie ma przyjaciół, o której ojciec zapomniał, a macocha prześladuje; mnie, której jedynym oparciem jest niemy, znieruchomiały i zimny starzec niezdolny do tego,

[1066]*blokhaus* (z niem.) — niewielki ufortyfikowany budynek ze strzelnicami, przystosowany do samodzielnej obrony z kilku stron. [przypis edytorski]

by ręka jego mogła uścisnąć moją, choć serce bez wątpienia bije dla mnie resztką uczucia. Gorzki żart losu uczynił mnie wrogiem i ofiarą silniejszych ode mnie, dając jako podporę i przyjaciela żywego trupa. O, naprawdę, Maksymilianie, jestem bardzo nieszczęśliwa i masz rację, że kochasz mnie dla mnie, nie dla siebie.

— Valentine — rzekł młodzieniec głęboko wzruszony. — Nie powiem, że tylko ciebie kocham na świecie, bo kocham także siostrę i szwagra; jest to jednak uczucie łagodne i spokojne, tak różne od tego, które odczuwam wobec ciebie. Gdy o tobie myślę, krew mi się burzy, pierś wzbiera, serce bije jak szalone. Ale siły tej, płomienia i nadludzkiej mocy używać będę tylko po to, by cię kochać, póki sama nie poprosisz, abym użył jej, by ci rzeczywiście usłużyć. Podobno Franz d'Epinay zabawi rok jeszcze za granicą. W ciągu tego roku ileż to okazji może nam się nadarzyć, ile wydarzeń może nam dopomóc! Nie traćmy nadziei, tak dobrze i błogo jest ufać! Ale ty, Valentine, zarzucasz mi egoizm, a jak traktujesz mnie sama? Jesteś niczym piękny i zimny posąg wstydliwej Wenus[1067]. Cóż dajesz mi w zamian za moje oddanie, za poświęcenie i powściągliwość? Niewiele. Mówisz o panu d'Epinayu i wzdychasz na myśl, że kiedyś zostaniesz jego żoną. Tylko tyle masz w duszy? Ja oddaję ci życie i duszę, tobie poświęcam najdrobniejsze drgnienie serca. I gdy ja cały jestem twój, gdy mówię sobie cicho, że jeśli cię stracę, umrę, ciebie wcale nie przeraża myśl, że będziesz należała do innego. Och, Valentine, gdybym był na twoim miejscu i czuł się tak kochany, jak ty, a masz przecież pewność, że cię kocham, sto razy już przesunąłbym dłoń między tymi kratami i uścisnął rękę biednego Maksymiliana, mówiąc: „Do ciebie, Maksymilianie, do ciebie tylko należę na tym i na przyszłym świecie".

Kochanek, Miłość niespełniona

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, ale młodzieniec usłyszał, jak westchnęła i zapłakała.

Jego reakcja była natychmiastowa:

— Valentine, zapomnij o tych słowach, jeśli było w nich coś, co mogło cię zranić.

— Nie — rzekła. — Masz rację, Maksymilianie. Ale czy nie widzisz, że jestem biedną istotą, osamotnioną w obcym domu, bo ojciec jest mi niemal obcy? Od dziesięciu lat, dzień po dniu, minuta po minucie, moja wola łamana jest przez żelazną wolę otoczenia. Nikt nie widzi, jak cierpię i nikomu o tym nie mówię, tylko tobie. Pozornie w oczach świata jest mi dobrze, wszyscy odnoszą się do mnie ciepło, a w rzeczywistości każdy jest mi wrogiem. Ludzie mówią: „Pan de Villefort jest zbyt poważny i surowy, by okazywać czułość córce. Ale ma ona to szczęście, że znalazła w pani de Villefort drugą matkę". Otóż świat się myli. Ojciec pozostawił mnie obojętnie własnemu losowi, macocha zaś nienawidzi z tym większą zaciętością, że skrywać ją musi pod wiecznym uśmiechem.

— Nienawidzi! Czy to w ogóle możliwe?

— Niestety, najdroższy, muszę przyznać, że ta nienawiść jest właściwie zupełnie naturalna. Macocha ubóstwia swojego syna, mojego brata, Edwardka.

— I co z tego?

— Dziwne to uczucie mówić z tobą o pieniądzach. Ale to właśnie jest źródłem nienawiści. Macocha sama nie ma majątku, a ja jestem bogata po matce, a będę dwa razy bogatsza, gdy odziedziczę majątek dziadków, państwa de Saint-Méran. Otóż zdaje mi się, że ona jest o to zazdrosna. Mój Boże, gdybym mogła oddać jej połowę tej fortuny, a być traktowana w domu jak córka, nie wahałabym się ani chwili.

— Biedactwo!

— Tak, jestem jakby związana, a równocześnie czuję się tak słaba, że czasem wydaje mi się, że więzy te mnie podtrzymują i boję się je zerwać. Poza tym mój ojciec nie jest osobą, której rozkazy można by bezkarnie łamać. Ma nade mną władzę, ty również nie poradzisz nic przeciwko niemu, a i sam król nie mógłby tu nic zrobić, zważywszy na nieskalaną przeszłość, która czyni pozycję mego ojca nietykalną. Maksymilianie, przysięgam ci, że jeżeli nie walczę, czynię to z lęku, by nie zniszczyć w tej wojnie nie tylko siebie, ale i ciebie. Nie mogę walczyć, bo lękam się, abym w tej walce nie poświęciła siebie i ciebie.

— Ale dlaczego tak rozpaczasz, dlaczego widzisz przyszłość w tak czarnych barwach?

— Ach, kochany, bo znam przeszłość.

— Ale przecież zastanów się chwilę, może nie jestem znakomitą partią z punktu widzenia arystokracji, ale z wielu względów nie jestem obcy światu, w którym żyjesz.

[1067] *Wenus wstydliwa* — motyw w sztuce polegający na przedstawieniu nagiej kobiety (a zwłaszcza bogini Wenus) zasłaniającej swoje części intymne. [przypis edytorski]

Czas, gdy we Francji istniały dwie odrębne Francje, już dawno minął. Najznakomitsze rody monarchii przemieszały się z rodzinami cesarstwa. Arystokracja krwi poślubiła szlachtę wojskową, do której ja przecież należę. Czeka mnie niezła przyszłość w armii, dysponuję niewielką wprawdzie fortuną, ale daje mi ona niezależność, a mojego ojca wspomina się z szacunkiem w naszych okolicach jako jednego z najuczciwszych ludzi interesu. Mówię „w naszych okolicach", bo przecież ty również pochodzisz z Marsylii.

— Maksymilianie, nie mów mi o Marsylii, to słowo przypomina mi moją matkę, tego anioła, którego wszyscy nadal opłakują. Krótko dane jej było czuwać nade mną na ziemi, lecz mam nadzieję, że teraz czuwa nadal: w niebie. Och, gdyby żyła, nie miałabym się czego obawiać. Powiedziałabym jej, że cię kocham, a ona chroniłaby tę miłość.

— Niestety, Valentine! — odrzekł Maksymilian. — Gdyby twoja matka żyła, myślę, że nie miałbym okazji cię poznać. Sama powiedziałaś, że byłabyś szczęśliwa, a Valentine szczęśliwa spoglądałby na mnie za swych wyżyn z pogardą.

— Teraz ty jesteś niesprawiedliwy dla mnie... Ale powiedz mi...

— Co mam ci powiedzieć? — zapytał, widząc, że Valentine się waha.

— Powiedz mi — podjęła — czy w przeszłości, w Marsylii jeszcze, nie było jakiś nieporozumień pomiędzy moim ojcem i twoim?

— O ile wiem, nie — odpowiedział Maksymilian. — Twój ojciec był żarliwym stronnikiem Burbonów, mój zaś oddany był całą duszą cesarzowi i jedynie to mogłoby ich dzielić. Ale skąd to pytanie?

— Powiem ci, bo chcę, żebyś wszystko wiedział. W dniu, kiedy twoja nominacja na kawalera Legii Honorowej została publicznie ogłoszona, byliśmy wszyscy u dziadka, pana Noirtier, i był tam jeszcze pan Danglars, ów bankier, ten, którego konie przedwczoraj o mało co nie stratowały mojej macochy i brata. Czytałam dziadkowi na głos dziennik, oni zaś rozmawiali o przyszłym małżeństwie pana de Morcerfa z panną Danglars. Gdy doszłam do ustępu odnoszącego się do ciebie — i który sama już znałam, bo poprzedniego dnia doniosłeś mi tę radosną nowinę — otóż, kiedy doszłam do tego ustępu, byłam tak szczęśliwa, a równocześnie tak bałam się wypowiedzieć na głos twoje imię, że z pewnością ominęłabym je, gdyby nie obawa, że moje milczenie zostanie niewłaściwie zrozumiane. Więc zebrałam całą odwagę i przeczytałam.

— Kochana Valentine!

— Zaledwie wymówiłam twoje imię, mój ojciec odwrócił głowę. Byłam tak święcie przekonana (widzisz, jaki ze mnie głuptas), iż twoje nazwisko wywoła wszędzie piorunujące wrażenie, że zdawało mi się, że mój ojciec zadrżał, podobnie zresztą jak i pan Danglars; choć tutaj jestem niemal pewna, że się mylę.

„Morrel — rzekł mój ojciec — Zaraz, zaraz... — zmarszczył brwi — czy to nie z tych Morrelów z Marsylii, zaciekłych bonapartystów, co takie nieszczęście sprowadzili na nas w 1815 roku?".

„Z tych samych — odpowiedział pan Danglars. — Zdaje mi się nawet, że to syn ówczesnego armatora".

— Doprawdy? — zdziwił się Maksymilian. — A co twój ojciec na to odpowiedział?

— Och, coś tak strasznego, że nie śmiem ci nawet powtórzyć.

— Nie bój się — rzekł z uśmiechem Maksymilian.

— „Ich cesarz — mówił dalej marszcząc brwi — wiedział dobrze, jak radzić sobie z tymi fanatykami. Mówił na nich mięso armatnie i to jedyne miano, na jakie zasługiwali. Cieszę się ogromnie, że nowy rząd powraca do tej zbawiennej praktyki. Nawet jeśli byłby to jedyny powód, dla którego władze upierają się, by zachować Algierię, to i tak podziękowałbym im za to, choć ciut drogo nas to kosztuje".

— To rzeczywiście brutalna polityka — rzekł Maksymilian. — Ale nie musisz wstydzić się za słowa ojca, Valentine. W tym względzie mój ojciec w niczym twojemu nie ustępował, bo i on ciągle powtarzał: „Nie wiem, czemu cesarz, który tyle dobrych rzeczy zrobił, nie utworzy pułku z sędziów i adwokatów i nie pośle ich na pierwszy ogień?". Widzisz tedy, kochana moja, że obie strony są siebie warte, jeżeli chodzi o barwność wypowiedzi i miłe pomysły. Ale co odpowiedział na to pan Danglars?

— Roześmiał się tym swoim obłudnym śmiechem, który mnie przeraża. Posiedzieli jeszcze chwilę, po czym podnieśli się i wyszli. Dopiero wtedy spostrzegłam, że kochany dziadek jest ogromnie poruszony. Tylko ja jestem w stanie odgadnąć, co dzieje się w jego

sercu i lękam się, czy ta rozmowa, która toczyła się w jego obecności, bo już teraz nikt nie zważa na tego biednego starca, nie wywarła na nim zbyt silnego wrażenia, zważywszy, że tak źle mówiono o cesarzu, którego przecież był zawsze najgorliwszym stronnikiem.

— No tak, przecież to jeden z bardziej znanych ludzi z czasów cesarstwa. Był zdaje się senatorem i nie wiem, czy wiesz, ale za Restauracji maczał palce w prawie wszystkich spiskach bonapartystowskich.

— Owszem, nieraz słyszałam, jak ktoś szeptał po kątach o tych sprawach, które wydają mi się bardzo dziwne: dziadek bonapartysta, ojciec rojalista, a zresztą... Odwróciłam się więc do dziadka, a on wzrokiem wskazał mi dziennik.

„No jak tam, dziadziu? — zapytałam. — Jesteś zadowolony?"

Kiwnął potakująco.

„Z tego, co powiedział mój ojciec?"

Zaprzeczył.

„A więc z tego, że pan Morrel został mianowany kawalerem Legii Honorowej?".

Skinął głową, że tak.

Czy uwierzysz, Maksymilianie? Cieszył się, że otrzymałeś order, a przecież wcale cię nie zna. Być może jest to tylko dowód jego szaleństwa, bo mówią, że dziecinnieje. A ja go kocham za to jeszcze bardziej.

„Dziwne" — pomyślał Maksymilian.

— Czyżby twój ojciec mnie nienawidził, dziadek natomiast... Osobliwe są te sympatie i antypatie między partiami.

— Cicho — szepnęła nagle Valentine. — Ukryj się, uciekaj, ktoś idzie!

Maksymilian chwycił za motykę i jął bez litości kopać lucernę.

— Panienko! Panienko! — zawołał głos zza drzewa. — Jaśnie pani szuka wszędzie panienki. Przyszedł jakiś gość, jest już w salonie.

— Gość? — zdziwiła się Valentine, cała jeszcze poruszona. — A któż to składa nam wizytę?

— Wielki pan, książę podobno, pan hrabia de Monte Christo.

— Już idę — odpowiedziała Valentine.

Maksymilian zadrżał po drugiej stronie bramy: to „już idę" oznaczało, jak zwykle, koniec ich spotkania — służyło za pożegnanie.

— No, no — rzekł do siebie Maksymilian oparty w zamyśleniu na motyce. — A skądże to hrabia Monte Christo zna pana de Villeforta?

51. TOKSYKOLOGIA[1068]

Był to istotnie hrabia Monte Christo, który składał rewizytę u pana de Villeforta. Rozumiemy dobrze, że w całym domu zapanowało poruszenie.

Pani de Villefort, która właśnie była w salonie, gdy zaanonsowano hrabiego, posłała natychmiast po syna, by ten ponownie podziękował hrabiemu. Edwardek, który od dwóch dni słuchał, jak wszyscy mówili tylko o hrabi, nadbiegł w te pędy, kierowany nie tyle posłuszeństwem wobec matki, ile ciekawością i chęcią spłatania jakiegoś psikusa. Matka bowiem mawiała w takich razach: „Niedobre dziecko, ale takie inteligentne, że muszę mu wybaczyć!".

Wymienili zwyczajowe grzeczności i hrabia zapytał o pana de Villeforta.

— Mąż jest na obiedzie u kanclerza — odpowiedziała młoda kobieta. — W tej chwili wyjechał. Jestem pewna, że będzie niepocieszony, że ominął go taki zaszczyt, jak pańskie odwiedziny.

Goście, którzy przybyli z wizytą przed hrabią, a którzy pożerali go wręcz wzrokiem, odczekali przepisową chwilę, kierując się w równej mierze etykietą, co własną ciekawością, po czym dyskretnie się pożegnali.

— A co robi twoja siostra? — zapytała Edwardka pani de Villefort. — Trzeba ją powiadomić, bym mogła ją panu hrabiemu przedstawić.

— To masz pani również córkę? — zapytał hrabia. — Zapewne jeszcze dziecko?

[1068] *toksykologia* — nauka o substancjach toksycznych i leczeniu zatruć. [przypis edytorski]

— To córka męża z pierwszego małżeństwa — odpowiedziała pani de Villefort. — Jest już dorosła i bardzo ładna.

— Tylko że melancholiczka — przerwał Edwardek, który chcąc sporządzić sobie pióropusz do kapelusza, zajmował się właśnie wyrywaniem piór z ogona pięknej ary[1069], wrzeszczącej z bólu na swym złoconym drążku.

Pani de Villefort zwracając się do chłopca, powiedziała tylko:

— Cicho bądź, Edwardku! — I dodała: — Ten mały trzpiot[1070] ma niestety rację i powtarza jedynie to, o czym niejednokrotnie sama mówiłam. Panna de Villefort, mimo wszystkich naszych wysiłków, by ją rozerwać, ma dość smutne i mrukliwe usposobienie, co niewątpliwie szkodzi jej wdziękom. Ale dlaczego jej nie ma? Zobacz no, Edwardku.

— O, bo szukają ją tam, gdzie jej nie ma.

— A gdzie jej szukają?

— U dziadka.

— Skąd wiesz, że jej tam nie ma?

— Nie ma, nie ma, nie ma, nie ma — zanucił chłopiec.

— W takim razie, gdzie jest? Skoro wiesz, czemu nic nie mówisz?

— Jest pod wielkim kasztanem — odpowiedział złośliwie chłopiec, karmiąc papugę mimo napomnień matki żywymi muchami, papudze zaś zdawała się mocno odpowiadać owa zwierzyna.

Pani de Villefort właśnie sięgała do dzwonka, by powiedzieć służącej, gdzie ma szukać dziewczyny, gdy Valentine zjawiła się w drzwiach. Wydawała się rzeczywiście smutna, a przyglądając się uważnie, można było nawet dostrzec w jej oczach ślady łez.

Przez spieszny tok narracji zapomnieliśmy opisać czytelnikowi Valentine. Było to dziewczę lat dziewiętnastu, wysokie i smukłe. Włosy miała jasne, oczy ciemnoniebieskie, chód pełen powagi i naznaczony jakąś uroczą dystynkcją, która przypominała do żywego jej matkę. Białe dłonie, długie i szczupłe palce, szyja o iście perłowej barwie, lica blade, na których z rzadka gościł przelotny rumieniec, czyniły ją na pierwszy rzut oka podobną do jednej z tych pięknych Angielek, które przyrównać można poetycko do łabędzi wdzięcznie przeglądających się w wodzie.

Weszła, a spostrzegłszy obok matki cudzoziemca, o którym tak wiele już słyszała, skłoniła się lekko, nie krygując się[1071], jak to zwykle czynią dziewczęta, i nie spuszczając wzroku, z takim wdziękiem, że hrabia spojrzał na nią z jeszcze większą uwagą.

Monte Christo podniósł się.

— Panna de Villefort, moja pasierbica — rzekła pani de Villefort do hrabiego, wychylając się z sofy i wskazując dziewczynę ręką.

— Pan hrabia de Monte Christo, król Chin, cesarz Kochinchiny — dodał mały błazen, rzucając siostrze ukradkowe spojrzenie.

Tym razem pani de Villefort nieco zbladła i zdawało się nawet, że rozgniewa się na tę plagę domową zwaną Edwardkiem. Ale hrabia lekko się uśmiechnął i spojrzał na dziecko jakby z życzliwością, co doprowadziło entuzjazm matki na wyżyny.

— Ale — podjął hrabia, powracając do przerwanej na chwilę rozmowy, spoglądając to na dziewczynę, to na macochę. — Czy nie miałem już zaszczytu spotkać obu pań? Zastanawiałem się nad tym i gdy panna Valentine weszła, jej widok rzucił dodatkowe światło na to mętne wspomnienie; proszę wybaczyć mi takie wyrażenie.

— To raczej niemożliwe, panie hrabio. Córka nie przepada za towarzystwem i rzadko wychodzimy — odpowiedziała kobieta.

— Toteż to nie na salonach spotkałem pannę Valentine, panią i tego uroczego łobuziaka. Zresztą paryski światek jest mi zupełnie obcy, ponieważ, jak miałem już zaszczyt powiedzieć, bawię tutaj zaledwie od kilku dni. Nie, jeśli panie pozwolą, spróbuję sobie przypomnieć... Zaraz, zaraz...

Hrabia przyłożył rękę do czoła, jakby chciał zebrać myśli.

— Nie... To było gdzie indziej... Nie wiem gdzie, ale zdaje mi się, że to wspomnienie łączy się z pięknym, słonecznym dniem i jakąś religijną uroczystością... panna Valenti-

[1069] *ara* — rodzaj papugi. [przypis edytorski]
[1070] *trzpiot* — osoba lekkomyślna i beztroska. [przypis edytorski]
[1071] *krygować się* — wdzięczyć się. [przypis edytorski]

ne trzymała kwiaty w ręku; malec uganiał się w ogrodzie za pięknym pawiem, a pani znajdowała się w altance. Proszę mi pomóc. Czy to nic pani nie przypomina?

— Nie, doprawdy. Wydaje mi się zresztą, że jeżeli gdziekolwiek bym pana spotkała, obraz ten niezawodnie pozostałby w mojej pamięci.

— Może pan hrabia widział nas we Włoszech — szepnęła nieśmiało Valentine.

— Tak, to mogły być Włochy — rzekł Monte Christo. — Podróżowała pani po Włoszech?

— Udałyśmy się tam dwa lata temu. Lekarze obawiali się o moje płuca i zalecili mi powietrze Neapolu. Przejeżdżałyśmy przez Bolonię, Peruzę[1072] i Rzym.

— Otóż to! — zawołał Monte Christo, jakby ta prosta wskazówka wystarczyła mu, aby przywołać wspomnienie. — Właśnie w Peruzie, w dzień Bożego Ciała, miałem szczęście spotkać panie przypadkiem w ogrodzie hotelowym, wraz z małym Edwardkiem.

— Pamiętam doskonale Peruzę i hotel pocztowy, i ten dzień uroczysty — rzekła pani de Villefort — ale wstydzę się za mój brak pamięci, nie mogę sobie w ogóle przypomnieć, że miałam przyjemność spotkać tam pana.

— To dziwne, ale ja też tego nie pamiętam — Valentine uniosła piękne oczy na Monte Christa.

— A ja sobie przypominam — powiedział Edwardek.

— Pomogę paniom — rzekł hrabia. — Dzień był upalny. Czekałyście panie na konie, które z powodu uroczystości nie mogły nadjechać. Panna Valentine oddaliła się w głąb ogrodu, a syn pani zniknął, goniąc za pawiem.

— Pamiętasz mamo, złapałem go w końcu. I nawet wyrwałem mu z ogona trzy pióra.

— Pani zaś pozostawałaś w altanie, oplecionej winogronem. Siedząc na białej kamiennej ławce, gdy nie było przy pani ani syna, ani panny Valentine, długo pani z kimś rozmawiała... Pamięta to pani?

— Tak, oczywiście — tu młoda kobieta lekko się zarumieniła. — Przypominam sobie, rozmawiałam z mężczyzną w długim, wełnianym płaszczu. Zdaje się, że był on lekarzem.

— Właśnie. A tym mężczyzną byłem właśnie ja. Już od dwóch tygodni mieszkałem w owym hotelu i leczyłem z malarii mojego służącego, a gospodarza z żółtaczki, tak iż w końcu zaczęto mnie brać za wielkiego lekarza. Rozmawialiśmy długo o różnych rzeczach: o Peruginim[1073] i Rafaelu[1074], o zwyczajach, ubiorach, o słynnej *aqua-tofana*[1075], której sekret znało jeszcze wówczas kilku ludzi w Peruzie.

— Tak, tak — rzekła żywo pani de Villefort z pewnym niepokojem w głosie. — Już sobie przypominam.

— Nie pamiętam szczegółów naszej rozmowy — rzekł hrabia, całkowicie opanowany. — Wiem tylko, że podobnie jak inni, biorąc mnie za lekarza, poprosiłaś mnie pani o radę w kwestii zdrowia panny Valentine.

— Ale przecież faktycznie byłeś pan wówczas lekarzem i wyleczyłeś tych chorych.

— Molier albo Beaumarchais[1076] odpowiedzieliby, że właśnie dlatego, iż nim nie byłem, moi pacjenci zostali uleczeni, a raczej wyleczyli się sami... Mogę pani jedynie powiedzieć, że nieźle zgłębiłem chemię i nauki przyrodnicze, ale jedynie jako amator.

W tej chwili wybiła szósta godzina.

— Już szósta — rzekła pani de Villefort, wyraźnie poruszona. — Valentine, nie zobaczyłabyś, czy dziadek już gotowy do obiadu?

Dziewczyna podniosła się i skłoniwszy się hrabiemu, wyszła bez słowa z pokoju.

— O Boże, czy to z mojego powodu oddalasz pani córkę? — zaniepokoił się hrabia.

[1072] *Peruza* — właśc. Peruzja. [przypis edytorski]

[1073] *Perugino*, właśc. *Pietro di Cristoforo Vannucci* (ok. 1450–1523) — wł. malarz i rysownik okresu renesansu, przedstawiciel szkoły umbryjskiej, oryginalny artysta tworzący w stylu typowym dla XV wieku (*quattrocenta*). [przypis edytorski]

[1074] *Rafaell*, właśc. *Raffaello Santi* a. *Raffaello Sanzio* (1483–1520) — wł. malarz, rysownik, architekt, jeden z najważniejszych twórców późnego renesansu; znany m.in. wielu z obrazów przedstawiających Madonnę z Dzieciątkiem. [przypis edytorski]

[1075] *aqua-tofana* — silna trucizna na bazie arszeniku, wynaleziona w XVII w. we Włoszech. [przypis edytorski]

[1076] *Beaumarchais, Pierre Augustin* (1732–1799) — fr. pisarz i dramaturg, autor komedii takich jak *Wesele Figara* czy *Cyrulik sewilski*. [przypis edytorski]

— Bynajmniej — odpowiedziała żywo młoda kobieta — tyle że to godzina, w której zwykliśmy jadać razem z panem Noirtier. Zapewne pan wiesz, w jak tragicznym stanie znajduje się ojciec mojego męża.

— Tak, mąż pani wspominał coś o tym. Zdaje się paraliż...

— Niestety! Tak właśnie jest, biedny starzec nie może w ogóle się ruszać, dusza jedynie czuwa jeszcze w tym ciele, choć i ona świeci tylko bladym, drżącym światłem, niczym lampa, co wkrótce zgaśnie. Proszę mi jednak darować, że mówię panu o tych rodzinnych nieszczęściach. Zdaje się, że przerwałam panu, gdy mówiłeś, że jesteś dość zręcznym chemikiem.

— Och, nie to miałem na myśli — odpowiedział hrabia z uśmiechem. — Przeciwnie, uczyłem się chemii, gdyż wybrawszy Wschód na miejsce zamieszkania, chciałem pójść w ślad króla Mitrydatesa[1077].

— *Mithridates rex ponticus*[1078] — dał o sobie znać Edwardek, który zajmował się wycinaniem rycin z pięknego albumu. — To ten sam, który co ranka pił na śniadanie filiżankę trucizny ze śmietanką.

— Edward! Niedobre dziecko! — zawołała pani de Villefort, wyrywając mu zniszczoną książkę. — Jesteś nieznośny, przeszkadzasz tylko! Idź do dziadka.

— Nie pójdę, póki nie dostanę albumu — odpowiedział i rozsiadł się wygodnie w fotelu, nie mając najmniejszego zamiaru ustąpić.

— Masz i idź sobie — rzekła pani de Villefort.

Oddała mu album i poszła z nim do drzwi. Hrabia nie spuszczał z niej wzroku.

— Zobaczymy, czy zamknie za nim drzwi — rzekł cicho do siebie.

Pani de Villefort bardzo starannie zamknęła drzwi za synkiem. Hrabia udał, że tego nie widzi. I obejrzawszy się wokół siebie raz jeszcze, kobieta usiadła na dawnym miejscu.

— Proszę mi wybaczyć tę uwagę, ale uważam, że jesteś pani zbyt surowa dla tego zachwycającego malca — rzekł hrabia z właściwą mu dobrodusznością, którą już znamy.

— Kiedy tak właśnie trzeba — odpowiedziała pani de Villefort z iście matczyną pewnością siebie.

— Mówiąc o Mitrydatesie, Edwardek powtarzał tylko Korneliusza Neposa[1079], pani zaś mu przerwała w środku cytatu, który jedynie dowodzi, że jego nauczyciel nie traci czasu i że syn pani jest nad wiek rozwinięty.

— To prawda — odpowiedziała matka, mile połechtana pochlebstwem — że wszelka nauka przychodzi mu łatwo. Jest jednak zbyt samowolny. Wróciwszy jednak do tego, o czym wspomniał, czy według pana rzeczywiście Mitrydates stosował takie środki ostrożności i czy były one skuteczne?

— Tak i to do tego stopnia, że ja sam używałem tego środka, by mnie nie otruto w Neapolu, Palermo i Smyrnie. Gdyby nie to, już dawno bym nie żył.

— Więc sposób okazał się skuteczny?

— Najzupełniej.

— Tak, przypominam sobie teraz, że wspominałeś coś takiego w Peruzie.

— Doprawdy? — hrabia udał zdziwienie. — Nie przypominam sobie niczego takiego.

— Pytałam pana, czy trucizna działa z jednakową siłą na mieszkańców północy i południa, pan zaś mi odpowiedział, że ludzie północy, o zimnych, flegmatycznych naturach, mniej są podatni na działanie trucizny niż ci z południa z całą ich energią i żywotnością.

— Owszem, widziałem jak Rosjanie, bez żadnej szkody dla ich zdrowia, zjadali substancje roślinne, które zabiłby niechybnie Neapolitańczyka czy Araba.

— Można stąd wnosić, że rezultat u nas byłby daleko pewniejszy niż na Wschodzie. Wśród naszych mgieł i deszczy można łatwiej przyzwyczaić organizm do trucizny, jeżeli przyjmować ją stopniowo, niż w ciepłych krajach?

— Z pewnością. Ale uchronić się można w ten sposób tylko przed jedną trucizną, inne działają nadal.

[1077] *Mitrydates*, właśc. *Mitrydates VI Eupator* (132–63 p.n.e.) — król Pontu, władca Bosporu, jeden z groźniejszych wrogów Rzymu; mecenas sztuki, autor prac przyrodoznawczych; zażywając codziennie niewielką dawkę trucizn, miał się na nie uodpornić. [przypis edytorski]

[1078] *Mithridates rex ponticus* (łac.) — Mitrydates, król Pontu. [przypis edytorski]

[1079] *Korneliusz Nepos* a. *Cornelius Nepos* (ok. 110–ok. 24 p.n.e.) — rzym. historyk, autor zbioru biografii *O wybitnych mężach*, z którego zachowały się głównie życiorysy sławnych wodzów. [przypis edytorski]

— Rozumiem; w jaki sposób przyzwyczaiłbyś się pan, lub raczej, jak już tego dokonałeś?

— Nic łatwiejszego; przypuśćmy, że wiesz pani wcześniej, jakiej trucizny zamierzają użyć przeciw pani; przypuśćmy, że będzie to na przykład brucyna[1080]...

— Brucynę uzyskuje się z fałszywej chininy[1081]... — rzekła pani Villefort.

— Otóż to. Widzę, że niewiele mogę panią nauczyć, winszuję, winszuję... Rzadko spotyka się taką wiedzę u kobiet.

— Przyznam się panu — rzekła pani de Villefort — że mam szczególne upodobanie do tajemnych nauk; przemawiają one do wyobraźni jak poezja, a oprócz tego można je sprowadzić do liczb jak równania algebraiczne; ale mów pan dalej, proszę, to, co pan opowiada, wyjątkowo mnie ciekawi.

— Otóż — rzekł Monte Christo — przypuśćmy, że tą trucizną jest brucyna i że bierze jej pani pierwszego dnia jeden miligram, drugiego dnia dwa miligramy; po dniach dziesięciu będzie to już jeden centygram; zaś po następnych dwudziestu dniach, zwiększając dawkę o miligram, będzie pani mogła zażyć trzy centygramy, to jest taką dawkę, którą pani sama zniesie z największą łatwością, a która dla innej osoby, co nie przedsięwzięłaby tych samych środków ostrożności, stałaby się zabójcza; i tak po upływie miesiąca będzie mogła Pani pić zatrutą wodę z karafki; osoba, która razem z panią będzie pić tę samą wodę, umrze, pani zaś poczuje tylko lekką niedyspozycję i tylko po tym będzie mogła zauważyć, że jakaś trucizna była rozpuszczona w tej wodzie.

— Ale czy innego sposobu na truciznę pan nie znasz?

— Nie znam.

— Często czytałam i powtarzałam sobie historię Mitrydatesa, a zawsze uważałam ją za bajkę — rzekła w zamyśleniu pani de Villefort.

— O! Nie, pani, wbrew charakterowi historii, historia o Mitrydatesie jest prawdziwa; ale to, co pani mi powiadasz, to, czego pani żądasz ode mnie, nie jest przypadkiem, bo już przed dwoma laty o to samo pytałaś mnie pani; mówiłaś, że historia Mitrydatesa od dawna szczególnie cię zajmowała.

— To prawda, od wczesnej młodości miałam dwie ulubione nauki: botanikę i mineralogię; dowiedziawszy się później, że użycie ziół tłumaczy często historię ludów i całe życie mieszkańców Wschodu, podobnie jak kwiaty wyrażają u nich miłość; żałowałam bardzo, żem się nie urodziła mężczyzną, bobym niezawodnie była albo Flamelem[1082], albo Fontaną[1083], albo Cabanisem.

— Tym bardziej rzecz godna zgłębienia — odpowiedział Monte Christo — że mieszkańcy Wschodu używają trucizny nie jak Mitrydates dla ochrony od ciosu, ale często i zamiast w charakterze sztyletu, w ich ręku nauka ta staje się nie tylko odporną bronią, ale częstokroć nawet zaczepną, jednej używają przeciw cierpieniom fizycznym, drugiej przeciw swym nieprzyjaciołom; za pomocą opium, belladonny, brucyny, żmijowca i laurowiśni usypiają tych, którzy chcieliby ich zbudzić. Kobiety w Egipcie, Turcji lub Grecji, które tu nazywacie babkami, mają takie wiadomości chemiczne, że zdumiałyby niejednego lekarza, a swoją wiedzą o psychologii przeraziłyby niejednego spowiednika.

— Doprawdy? — rzekła pani de Villefort, a w jej oczach w czasie tej rozmowy płonął dziwny jakiś ogień.

Trucizna

— O tak, droga pani. Tym sposobem zawiązują się i rozwiązują wszystkie tajemne dramaty na Wschodzie: albo za pomocą rośliny, która budzi miłość, albo za pomocą rośliny, co zabija; napój, który otwiera niebo, to taki, który może pogrążyć człowieka w piekle. Tyle tu odcieni, ile kaprysów i dziwactw w naturze człowieka, zarówno materialnej, jak psychicznej. A powiem więcej: rzemiosło tych chemików jest w stanie przystosować owe leki i cierpienia zarówno do potrzeb miłosnych, jak i do żądzy zemsty.

[1080] *brucyna* — toksyczny związek organiczny występujący w nasionach kulczyby; pochodna strychniny. [przypis edytorski]

[1081] *chinina* — związek organiczny występujący w korze drzewa chinowego. [przypis edytorski]

[1082] *Flamel, Nicolas* (1330–1418) — słynny fr. alchemik, wg. legend odkrywca kamienia filozoficznego (hipotetycznej substancji zmieniającej metale nieszlachetne w złoto). [przypis edytorski]

[1083] *Fontana, Felice* (1730–1805) — wł. chemik, fizyk i anatom; jego badania nad truciznami przyczyniły się do powstania współczesnej dziedziny toksykologii. [przypis edytorski]

— Ależ wobec tego wschodnie narody, wśród których spędziłeś znaczną część życia, wydają się tak fantastyczne jak baśnie, które do nas przychodzą z tych pięknych krain? A więc można tam bezkarnie zabić człowieka? Czy takie są w rzeczywistości Bagdad i Bassora[1084] pana Gallanda[1085]? Czyżby sułtanowie i wezyrowie[1086], co rządzą tymi ludami i stanowią to, co we Francji nazywamy rządem, są istotnie Harun al Raszydami[1087] i Dżafarami[1088], co nie tylko przebaczają trucicielowi, ale jeszcze go wynoszą na stanowisko pierwszego ministra, jeżeli tylko zbrodnia była zręczna, i każą napisać jej historię złotymi głoskami, aby służyła im za rozrywkę w chwilach nudy?

— Nie, pani; świat fantastyczny nie istnieje już nawet na Wschodzie; tam także są, tylko pod inną nazwą i w innych kostiumach, komisarze policji, sędziowie śledczy, prokuratorzy królewscy i biegli. Kryminalistów wieszają tam, ścinają głowy i wbijają na pal z wielką przyjemnością, z tą tylko różnicą, że przestępcy jako zręczni oszuści umieją zwieść sprawiedliwość i zapewnić powodzenie swoim zamiarom za pomocą sprytnych kombinacji. U nas głupiec, którego opanował demon nienawiści lub chciwości, jeśli ma wroga albo po prostu dziadka, którego chce zniszczyć, idzie do sklepu, podaje tam fałszywe nazwisko, przez co tym szybciej go można wykryć, i kupuje pod pozorem, że mu szczury spać nie dają, kilka gramów arszeniku[1089]; jeśli jest bardzo sprytny, udaje się do pięciu lub sześciu sklepów, po to, żeby go można było rozpoznać jeszcze łatwiej. A gdy już ma swój specyfik, aplikuje swemu wrogowi taką dozę arszeniku, od której zdechłby mamut albo mastodont, i w ten sposób, zupełnie bez sensu, sprawia, że krzyki ofiary alarmują całą dzielnicę. Wtedy zjawia się cały rój policjantów i żandarmów; posyłają po lekarza, ten robi sekcję i łyżkami wybiera arszenik z żołądka i wnętrzności. Nazajutrz sto gazet rozgłasza wypadek, oznajmia nazwisko ofiary i mordercy. Tegoż wieczoru kupcy korzenni schodzą się jeden za drugim i oświadczają: „To ja sprzedałem arszenik temu panu". A żeby nie pominąć przypadkiem właściwego nabywcy, wskazują ich ze dwudziestu. Durnowaty przestępca zostaje aresztowany i uwięziony: śledztwo, konfrontacja, udowodnienie winy, wyrok i gilotyna. Chyba że to kobieta, zwłaszcza niepowszedniej urody — wtedy dostaje dożywocie. Tak to ludzie Północy, droga pani, rozumieją chemię. Przyznam jednak, że Desrues[1090] zaszedł dużo dalej.

— Trudna rada — roześmiała się młoda kobieta — robimy, co możemy. Nie wszyscy znają tajemnice Medyceuszy i Borgiów.

— A chce pani wiedzieć — wzruszył ramionami hrabia — skąd się biorą te wszystkie idiotyzmy? Stąd, że w waszych teatrach, jak wnioskuję ze sztuk, które czytałem, zawsze widzimy, jak ktoś połyka zawartość flaszeczki albo przegryza oczko pierścienia i natychmiast pada trupem. Pięć minut potem spada kurtyna; widzowie się rozchodzą. Nikt nie wie, jakie są dalsze skutki zabójstwa; nie widzimy tam komisarza policji ani kaprala z czterema ludźmi; dlatego wiele osób o słabej inteligencji sądzi, że wszystko się dzieje właśnie w ten sposób. Ale niech pani wyjdzie nieco poza Francję, proszę pojechać do Aleppo, do Kairu albo chociaż do Neapolu lub Rzymu, a zobaczy pani na ulicy ludzi prosto się trzymających, żwawych i rumianych; ale Diabeł Kulawy[1091], gdyby musnął panią płaszczem, mógłby pani powiedzieć: „ten tu jegomość jest truty od trzech tygodni, a za miesiąc umrze".

— Hmm, to znaczy, że odkryto tam sekret owej słynnej *aqua-tofana*, która, jak mi mówiono w Peruzie, miała zaginąć?

— Ech, mój Boże! Proszę pani, czy cokolwiek ginie u ludzi? Umiejętności przechodzą tylko z miejsca na miejsce i okrążają cały świat. Rzeczy zmieniają tylko nazwę i nic

[1084] *Bagdad, Bassora* — miasta znajdujące się na terenie dzis. Iraku. [przypis edytorski]

[1085] *Galland, Antoine* (1646–1715) — fr. orientalista i archeolog, autor pierwszego europejskiego przekładu *Baśni tysiąca i jednej nocy*. [przypis edytorski]

[1086] *wezyr* — dostojnik państwowy w państwach muzułmańskich. [przypis edytorski]

[1087] *Harun al Raszyd*, właśc. *Harun ar-Raszid* (763–809) — kalif z dynastii Abbasydów i bohater *Baśni tysiąca i jednej nocy*. [przypis edytorski]

[1088] *Dżafar*, właśc. *Dżafar ibn Jahja* (767–803) — perski wezyr i bohater *Baśni tysiąca i jednej nocy*. [przypis edytorski]

[1089] *arszenik* — bezzapachowy biały proszek, bardzo silnie trujący. [przypis edytorski]

[1090] *Desrues, Antoine François* (1744–1777) — słynny fr. truciciel. [przypis edytorski]

[1091] *Diabeł Kulawy* — demon Asmodeusz; pojawia się we fr. powieści Lesage'a pt. *Diabeł kulawy* z 1707 r., w której wyjawia swojemu towarzyszowi podróży wszystkie tajemnice mieszkańców Madrytu. [przypis edytorski]

więcej, a ludzie zwyczajni dają się na to złapać; ale efekt jest zawsze ten sam. Poszczególne trucizny uderzają zwykle w konkretny organ: jedna atakuje żołądek, druga mózg, trzecia jelita. Któraś z tych trucizn wywołuje kaszel, kaszel — zapalenie płuc albo inną chorobę zarejestrowaną w księgach medycznych, co nie przeszkadza, żeby była absolutnie śmiertelna; a nawet gdyby taka nie była, to będzie śmiertelna dzięki lekom, które przepisują naiwni lekarze, zazwyczaj fatalni chemicy; środki te pomogą albo zaszkodzą, ale delikwent umrze i tak, zabity umiejętnie i zgodnie z wszelkimi zasadami sztuki, a sprawiedliwość nic nie będzie miała do gadania w jego przypadku, jak powiadał jeden straszliwy chemik, mój przyjaciel — zacny opat Adelmonte z Taorminy[1092], który badał dogłębnie zjawisko trucicielstwa u różnych narodów.

— To okropne, a zarazem godne podziwu — rzekła młoda kobieta, zastygła z wrażenia w miejscu. — Przyznam się panu, że uważałam wszystkie te historie za wynalazki średniowiecza.

— Tak, oczywiście, ale za naszych czasów te wynalazki zostały udoskonalone. Jak pani sądzisz, do czego służy czas, zachęty, medale, ordery, nagrody Montyona? Czyż nie do tego, aby prowadzić społeczeństwo do coraz większej doskonałości? A przecież człowiek osiągnie doskonałość dopiero wtedy, gdy będzie umiał stwarzać i niszczyć jak Bóg; niszczyć już umie, a więc doszedł już do połowy drogi.

— Tak więc — podjęła pani de Villefort, z uporem nawracając do tematu — trucizny Borgiów, Medyceuszy i Ruggierich, Rénégo, a później też prawdopodobnie barona von Trenk, których tak nadużywa współczesny dramat i powieść...

— Były dziełami sztuki i niczym więcej — odpowiedział hrabia. — Sądzi pani, że prawdziwy uczony banalizuje swą sztukę, stosując ją dla jednostki? Bynajmniej. Nauka lubi rykoszety, wyczyny, fantazję, jeśli tak można powiedzieć. I na przykład ksiądz Adelmonte, o którym pani przed chwilą mówiłem, poczynił w tej materii zadziwiające doświadczenia.

— Doprawdy?

— Tak, opowiem pani o jednym. Miał bardzo ładny ogród, pełen warzyw, kwiatów i owoców; z warzyw wybierał najpoczciwsze, na przykład kapustę. Przez trzy dni podlewał tę kapustę roztworem arszeniku; na trzeci dzień kapusta chorowała i żółkła: była to chwila, żeby ją zabrać; wszyscy sądzili, że jest dojrzała — zachowywała wygląd przyzwoity i tylko Adelmonte wiedział, że jest zatruta. Zanosił kapustę do siebie, brał królika — a miał kolekcję królików, kotów i świnek morskich, która w niczym nie ustępowała kolekcji warzyw, kwiatów i owoców — brał więc królika, częstował go liściem kapusty i królik zdychał. Który sędzia śledczy ośmieliłby się wystąpić tu z jakimś podejrzeniem, który prokurator sporządziłby akt oskarżenia przeciw panom Magendie[1093] i Flourens[1094], że zabili mnóstwo królików, świnek i kotów? Żaden. Królik zatem zdechł, a sprawiedliwość nie zatroszczyła się o niego. Adelmonte kazał kucharce sprawić królika, a wnętrzności wyrzucić na kupę gnoju. Po gnoju drepce sobie kura, dziobie wnętrzności królika, choruje i zdycha następnego dnia. W chwili, gdy jeszcze drga w agonii, nadlatuje sęp (w kraju Aldemonta jest wiele sępów), rzuca się na kurę, unosi ją na skałę i zjada kolację. Po trzech dniach biedny sęp, co po tej uczcie czuł się nie najlepiej, dostaje nagle pośród obłoków zawrotu głowy i spada do pani sadzawki. Szczupak, węgorz i murena zawsze łapczywie się posilają, jak pani wie, i pożerają sępa. I teraz proszę sobie wyobrazić, że nazajutrz podają u pani na kolację tego węgorza, szczupaka albo murenę, zatrute w czwartym pokoleniu: pani gość zostanie zatruty w piątym i po tygodniu czy dziesięciu dniach umrze z bólami wnętrzności, nudnościami, niby to na wrzód żołądka. Lekarze zrobią sekcję zwłok i powiedzą: chory umarł na raka wątroby albo na tyfus[1095].

— Ale cały ten łańcuch przypadków może być zerwany przez najmniejszy wypadek; sęp może nie nadlecieć wcale albo upaść sto kroków od stawu.

— O, i w tym tkwi właśnie sekret sztuki. Aby być na Wschodzie wielkim chemikiem, trzeba umieć kierować przypadkami.

Pani de Villefort słuchała w zamyśleniu.

[1092] *Taormina* — miejscowość na Sycylii. [przypis edytorski]
[1093] *Magendie, François* (1783–1855) — fr. badacz, pionier fizjologii. [przypis edytorski]
[1094] *Flourens, Jean Pierre* (1794–1867) — fr. fizjolog, pionier anestezjologii. [przypis edytorski]
[1095] *tyfus* — bakteryjna choroba zakaźna, przyczyna ciężkich epidemii. [przypis edytorski]

— Ale arszenik zawsze zostawia ślad. W jakikolwiek sposób się go zażyje, można go znaleźć w ciele człowieka — oczywiście wtedy, gdy jego ilość wystarczy, aby zadać śmierć.

— Znakomicie — zawołał Monte Christo — znakomicie! To właśnie powiedziałem poczciwemu Adelmonte. Zastanowił się, uśmiechnął i odpowiedział mi przysłowiem sycylijskim, które ma, jak mi się zdaje, odpowiednik we Francji: „moje dziecię, świat nie powstał w jeden dzień, ale w siedem; przyjdź w niedzielę".

Przyszedłem więc w niedzielę; tym razem ksiądz nie podlewał kapusty arszenikiem, ale roztworem soli na bazie strychniny. Kapusta nie wyglądała wcale na chorą; królik zabrał się do niej z największą ufnością i po pięciu minutach zdechł. Kura podziobała królika i nazajutrz także zdechła. Tym razem my się zabawiliśmy w sępa — wzięliśmy ją i rozkroiliśmy. Nie znaleźliśmy żadnych objawów konkretnych, a tylko ogólne. W organach nie było żadnych szczególnych zmian; podrażnienie układu nerwowego i ślad wylewu krwi do mózgu — to wszystko. Kura nie została otruta — zdechła na apopleksję. To rzadki przypadek u kur, ale u ludzi bardzo częsty.

Pani de Villefort wpadała w coraz głębsze zamyślenie.

— Jak to dobrze — rzekła — że tego rodzaju rzeczy tylko chemicy umieją przyrządzać, bo inaczej połowa ludzkości otrułaby drugą.

— Chemicy albo osoby interesujące się chemią — dokończył niedbale Monte Christo.

— A jednak — rzekła pani de Villefort, otrząsając się z trudem z zamyślenia — zbrodnia, choćby była przygotowana z naukowego punktu widzenia, będzie zawsze zbrodnią: a jeżeli uniknie sprawiedliwości ludzkiej, oku boskiemu nie ujdzie. Mieszkańcy Wschodu mniej przejmują się wyrzutami sumienia, przezornie zlikwidowali piekło; to wszystko.

Zło, Zbrodnia, Morderstwo, Wyrzuty sumienia

— E, droga pani, to skrupuły, które rodzą się zupełnie naturalnie w szlachetnych duszach, takich jak twoja, ale logiczne rozumowanie może go szybko wykorzenić. Zło istniejące w człowieku streszcza się w paradoksie Jeana-Jacquesa Rousseau: mandaryn[1096], którego ktoś zabija na odległość pięciu tysięcy mil, kiwnąwszy końcem palca. Życie ludzkie upływa na takich rzeczach, a inteligencja zużywa się na wymyślaniu takich zbrodni. Mało znajdziesz pani takich, co śmiało wbiliby sztylet w serce bliźniego albo takich, co zaaplikowaliby tyle arszeniku, ile mówiliśmy, aby usunąć raz na zawsze danego człowieka z powierzchni ziemi. To rzeczywiście jest ekscentryczność albo głupota. Aby dojść do czegoś takiego, trzeba, żeby krew się zagrzała, aby podniosło się ciśnienie, a dusza pozbyła się zwyczajnych ograniczeń. Ale jeżeli, jak to robią filolodzy, przejdziemy od słowa do eufemizmu, dokonuje pani zwykłej eliminacji: zamiast popełnić niecne morderstwo, po prostu usuwasz sobie z drogi tego, kto ci zawadza — i to bez gwałtu, bez walki, bez zadawania cierpienia, które stając się torturą, czynią z ofiary męczennika, a ze sprawcy kata. A jeżeli nie ma ani krwi, ani jęków, ani konwulsji, a przede wszystkim, jeżeli zabójstwa nie dokonano nagle, w jednej chwili, bo to straszne i kompromitujące — to unikniesz pani sprawiedliwości ludzkiej, która mówi: „Nie zakłócaj spokoju w społeczeństwie!". Oto, jak postępują — i to skutecznie — ludzie Wschodu, poważni, flegmatyczni, których nie obchodzi czas, jeżeli idzie o ważne sprawy.

— Zostaje sumienie — rzekła pani de Villefort poruszonym tonem, tłumiąc westchnienie.

Wyrzuty sumienia

— O, tak, na szczęście jest jeszcze sumienie, bez którego bylibyśmy bardzo nieszczęśliwi. Po każdym bardziej gwałtownym czynie w sukurs[1097] przychodzi nam sumienie: dostarcza nam tysiące wymówek, które rozsądzamy tylko my sami; a te usprawiedliwiające nas wymówki, choć na tyle dobre, że dzięki nim możemy spokojnie spać, okazałyby się niewystarczające przed trybunałem, byśmy mogli ocalić swoje życie. I tak na przykład Ryszardowi IV[1098] doskonale przydało się sumienie, gdy zlikwidował dzieci Edwarda IV[1099], mógł sobie rzeczywiście powiedzieć: „te dzieci okrutnego nieubłaganego króla

[1096] *mandaryn* — wysoki urzędnik w Chinach w czasach cesarstwa. [przypis edytorski]

[1097] *w sukurs* (fr.) — na ratunek. [przypis edytorski]

[1098] *Ryszard IV*, właśc. *Ryszard III York* (1452–1485) — ostatni król Anglii (od 1483) z dynastii Yorków; regent w imieniu swojego bratanka, Edwarda V, którego miał uśmiercić, aby przejąć całkowite panowanie nad królestwem. [przypis edytorski]

[1099] *Edward IV* (1442–1483) — król Anglii w latach 1461–1483, brat Ryszarda III i ojciec Edwarda V. [przypis edytorski]

odziedziczyły po ojcu wady, które tylko ja zdołałem dostrzec w ich młodzieńczych skłonnościach; dzieci te zawadzały mi na drodze, po której chcę iść, aby zapewnić szczęście ludowi angielskiemu, który z pewnością spotkałyby przez nie wielkie nieszczęścia". Tak też się przysłużyło sumienie lady Makbet[1100], która chciała, co by nie mówił Szekspir, zapewnić tron nie mężowi, ale synowi. O, miłość macierzyńska to tak wielka cnota, tak potężny motor, że wszystko usprawiedliwić zdoła. Tak, po śmierci Duncana lady Makbet byłaby niezmiernie nieszczęśliwa, gdyby nie takie sumienie.

Pani de Villefort chciwie podchwytywała te straszliwe maksymy i paradoksy, które głosił hrabia ze swoją szczególną niewinną ironią.

Po chwili milczenia rzekła:

— Czy wiesz, hrabio, że umiesz straszliwie argumentować, a widzisz pan świat w iście widmowych barwach? Czyż ocenił pan tak ludzkość, patrząc przez alembiki[1101] i retorty[1102]? Ma pan rację, jesteś wielkim chemikiem, a ten eliksir, który podałeś memu synowi, a który tak prędko przywrócił go do życia...

— O, proszę, niech pani zbyt nie ufa temu eliksirowi. Kropla potrafiła przywrócić życie dziecku, ale trzy krople pobudziłyby krążenie krwi tak, że spowodowałoby to nadmierne bicie serca; sześć wstrzymałoby mu oddech i sprowadziło omdlenie dużo cięższe od tego, w którym się znajdował. Dziesięć kropli zabiłoby go natychmiast. Widziałaś pani, jak żywo wyrwałem mu fiolki, których nieostrożnie dotykał?

— A więc to straszna trucizna?

— E, nie, mój Boże! Zresztą najpierw załóżmy, że wyraz „trucizna" nie istnieje, bo w medycynie stosuje się dużo gwałtowniejsze trucizny, które przecież, jeśli używać ich we właściwy sposób, stają się lekami zbawiennymi.

— A więc co to było?

— Preparat, który według naukowych prawideł sporządził mój przyjaciel, zacny ksiądz Adelmonte; a nauczył mnie także, jak go używać.

— Musi to być doskonały środek — rzekła pani de Villefort — na skurcze?

— Najdoskonalszy, widziałaś pani sama, i często go używam; oczywiście z jak największą ostrożnością — odpowiedział z uśmiechem.

— Domyślam się — odparła podobnym tonem pani de Villefort. — A ja jestem taka nerwowa, tak łatwo mdleję... przydałby mi się taki doktor Adelmonte, by mi wynaleźć środek, dzięki któremu mogłabym swobodnie oddychać i nie bać się już, że pewnego dnia się uduszę. A tymczasem, skoro nie można tego eliksiru dostać we Francji, a pański ksiądz zapewne niezbyt miałby ochotę przejechać się dla mnie do Paryża, poprzestanę na środkach pana Planche'a; mięta i krople Hoffmana grają u mnie na co dzień olbrzymią rolę. O, proszę spojrzeć, to pastylki, które sobie robię na zamówienie, w podwójnej dawce.

Monte Christo otworzył szylkretowe pudełeczko podane przez kobietę i jął wąchać pastylki ze znawstwem amatora, godnego ocenić ów preparat.

— Doskonałe — rzekł — tyle tylko, że je trzeba połykać, co dla osoby zemdlonej jest zazwyczaj nie do wykonania. Wolę mój eliksir.

— Ba, i ja bym go wolała, zwłaszcza sądząc po skutkach, jakie widziałam; ale to na pewno tajemnica, a nie będę na tyle niedyskretna, aby poprosić pana o przepis.

— Ale ja — rzekł Monte Christo, wstając — będę na tyle elegancki, aby go pani ofiarować. Jedno tylko proszę zapamiętać: w małej dawce to lekarstwo, w większej — trucizna. Jedna kropla przywraca życie, jak to pani sama widziałaś, pięć albo sześć zabiłoby z pewnością i w tym straszniejszy sposób, że gdy je rozpuścić w szklance wina, w ogóle nie zmienią jego smaku. Ale nie powiem więcej, i tak mogłoby się wydawać, że udzielam pani jakichś rad.

Wybiło wpół do siódmej; zaanonsowano przyjaciółkę pani de Villefort, która przyszła do niej na obiad.

— Gdybym miała zaszczyt widzieć pana hrabiego po raz kolejny, a nie dopiero drugi — rzekła pani de Villefort — i gdybym miała zaszczyt być pańską przyjaciółką, a nie

[1100] *lady Makbet* — postać z dramatu *Makbet* autorstwa Williama Shakespeare'a (1564–1616); żona tytułowego bohatera, która nakłania go do zabicia króla Duncana w celu przejęcia władzy w Szkocji. [przypis edytorski]

[1101] *alembik* — daw. sprzęt laboratoryjny służący do destylacji (metalowe lub w postaci szklanego naczynia zamkniętego pokrywą z długą szyjką). [przypis edytorski]

[1102] *retorta* — naczynie szklane w kształcie fajki, stosowane do destylacji. [przypis edytorski]

tylko osobą wobec pana zobligowaną, nalegałabym, aby został pan u nas na obiedzie i nie zraziłabym się w namowach, nawet gdybyś pan z początku odmówił.

— Serdeczne dzięki, droga pani, ale ja mam również umówione spotkanie i nie mogę mu uchybić. Przyrzekłem jednej z moich znajomych, księżniczce greckiej, że pojadę z nią dziś na spektakl. Nie widziała jeszcze paryskiej Opery i właśnie na mnie liczy.

— A więc proszę iść, ale niech pan nie zapomni o przepisie.

— Ależ, droga pani! Musiałbym chyba zapomnieć o naszej godzinnej rozmowie, a to byłoby zupełnie niemożliwe.

Monte Christo skłonił się i wyszedł. Pani de Villefort wpadła w zamyślenie.

— To mi dopiero dziwny człowiek! — rzekła sama do siebie. — Widzi mi się, że tak naprawdę na chrzcie dano mu na imię Adelmonte.

Rezultat rozmowy przeszedł wszelkie oczekiwania hrabiego.

— O, to dobry grunt — mówił do siebie, wychodząc — mogę być pewien, że ziarno rzucone tam nie zginie.

A na drugi dzień, wierny obietnicy, przysłał przepis.

52. ROBERT DIABEŁ

Opera stanowiła tym lepsze usprawiedliwienie, że właśnie tego wieczoru miała się tam odbyć uroczystość Akademii Muzycznej.

Levasseur[1103] po długich niedomaganiach miał znów pokazać się w roli Bertrama[1104] i występ popularnego maestra jak zwykle ściągnął paryską śmietankę towarzyską.

Morcerf, podobnie jak większość bogatej młodzieży, miał swój fotel na parterze; prócz tego mógł zawsze poprosić o miejsce w jednej z dziesięciu lóż, które zajmowali jego znajomi, nie licząc już prawa wstępu do „loży lwów".

Château-Renaud miał fotel obok Morcerfa. Beauchamp, jako dziennikarz, był królem sali i mógł się usadowić, gdzie mu się tylko podobało.

Lucjan Debray miał na ten wieczór do dyspozycji lożę ministra, ale ofiarował ją hrabiemu de Morcerfowi, a ten, ponieważ Mercedes nie chciała jechać do teatru, posłał rezerwację Danglarsowi i przekazał, że złoży podczas spektaklu wizytę pani baronowej i pannie Eugenii, jeżeli raczą przyjąć ofiarowaną im lożę.

Panie Danglars naturalnie nie odmówiły. Nikt się tak bardzo nie łakomi na darmową lożę, jak milioner.

Danglars oświadczył, że jego polityczne zasady i mandat deputowanego opozycji nie pozwalają mu pokazywać się w loży ministerialnej; toteż pani baronowa napisała do Lucjana, aby po nie przyjechał — nie mogła przecież udać się sama z córką do Opery.

Istotnie, gdyby obie panie pokazały się tam same, uznano by to za coś bardzo niestosownego; podczas gdy nikt nie powiedziałby złego słowa, że panna Danglars jechała do Opery z matką i kochankiem matki — cóż, trzeba brać świat takim, jaki jest.

Kurtyna podniosła się, gdy teatr jak zwykle był jeszcze prawie pusty. To jeden z obyczajów paryskich wyższych sfer: przybywać do teatru, gdy spektakl już się zaczął. Dlatego też widzowie, którzy przybyli punktualnie, podczas całego pierwszego aktu nie patrzą na scenę, ale na tych, którzy wchodzą spóźnieni, a słyszą tylko trzaskanie drzwiami i brzęk rozmów.

— Popatrz, popatrz! — odezwał się nagle Albert, widząc, jak otwiera się boczna loża na pierwszym piętrze — hrabina G***!

— Znasz ją? — spytał Château-Renaud.

— Tak — odparł Albert. — Franz przedstawił mnie w Rzymie.

— A nie chciałbyś tego samego zrobić dla mnie w Paryżu?

— Chętnie.

— Pssst! — zwrócił im ktoś uwagę.

Młodzi ludzie nie przerwali rozmowy, nie troszcząc się o to, że na parterze chciano posłuchać muzyki.

— Była na wyścigach na Polu Marsowym — stwierdził Château-Renaud.

[1103] *Levasseur, Nicolas* (1791–1871) — fr. śpiewak operowy, bas. [przypis edytorski]

[1104] *Bertram* — postać z opery romantycznej Giacomo Meyerbeera pt. *Robert Diabeł*; zły duch i ojciec tytułowego bohatera. [przypis edytorski]

— Jaki koń wygrał?
— Nautilus. Na niego stawiałem.
— Ale przecież były trzy gonitwy?
— Tak. O nagrodę Jockey Clubu: złoty puchar. I nawet zaszło przy tym coś dziwnego.
— Cóż takiego?
— Cicho tam! — zirytował się ktoś.
— Cóż takiego? — powtórzył Albert.
— Ten bieg wygrali koń i dżokej zupełnie nieznani.
— Jak to?
— Ano tak! Nikt nawet nie zauważył konia zapisanego pod imieniem Vampa i dżokeja wpisanego pod pseudonimem Hiob, gdy nagle zaczął się przebijać do przodu pyszny kasztan[1105] z dżokejem niewiele większym od pięści; musiano mu wpakować dwadzieścia funtów ołowiu w kieszenie, a jednak przybył do mety, wyprzedzając o trzy długości Ariela i Barbara, które z nim biegły.
— I nikt nie wiedział, do kogo należy koń i dżokej?
— Nie.
— Mówisz, że koń był zapisany pod imieniem...
— Vampa.
— To mam przewagę: wiem, czyj to koń i czyj dżokej.
— Ależ cicho! — zawołano po raz trzeci z parteru.

Tym razem poruszyło się tyle osób, że nasi młodzieńcy zorientowali się wreszcie, że to do nich zwraca się ktoś z publiczności. Odwrócili się i szukali przez chwilę człowieka, który zdecydował się na to, co brali za impertynencję; nikt jednak nie zwrócił im ponownie uwagi, więc odwrócili się do sceny.

Wtem otwarto lożę ministra: weszli pani Danglars, jej córka i Lucjan Debray.

— O, o! — odezwał się Château-Renaud. — A oto i twoje znajome. Po kiego diabła patrzysz w prawo? Szukają cię.

Albert odwrócił się i napotkał spojrzenie baronowej, która skinęła mu lekko wachlarzem na powitanie. Jeśli chodzi o pannę Eugenię, to ledwie raczyła spuścić swe wielkie czarne oczy na przód parteru.

— Wiesz, mój drogi — rzekł Château-Renaud — doprawdy nie rozumiem (pomijając mezalians, bo myślę, że niezbyt cię to obchodzi), co cię może zrażać do panny Danglars; to prawdziwa piękność.

— O, tak, jest bardzo piękna. Przyznam ci się jednak, że wolałbym, jeśli idzie o piękne dziewczęta, znaleźć coś... bardziej pociągającego i kobiecego.

— Ech, ta dzisiejsza młodzież — rzekł Château-Renaud, który miał koło trzydziestki i z tej racji lubił przybierać wobec Alberta ton ojcowski — nigdy nie są zadowoleni. Jak to, mój drogi, wyszukali ci narzeczoną zbudowaną jak Diana Łowczyni[1106], a ty masz jakieś ale?

— No właśnie wolałbym coś w rodzaju Wenus z Milo[1107]. Taka Diana wiecznie otoczona nimfami cokolwiek mnie przeraża. Boję się, żeby mnie nie potraktowała jak Akteona[1108].

Istotnie, rzuciwszy okiem na dziewczynę, można było zrozumieć uczucia Alberta.

Kobieta, Mężczyzna, Obyczaje

Panna Danglars była piękna, ale jak się wyraził Albert, jej uroda była mało kobieca: czarne włosy miały piękny odcień, ale po jej naturalnie skręcających się puklach można było poznać, że opierały się stanowczo dłoni, która pragnęła narzucić im jakiś ład; oczy, równie czarne jak włosy, ocienione były prześlicznymi brwiami, które miały jedną tylko wadę: czasem się marszczyły, a wtedy spojrzenie Eugenii wyrażało niezwykłą u kobiety stanowczość; nos dziewczyny miał tak idealne proporcje, że jakiś rzeźbiarz mógłby je

[1105] *kasztan* — koń o maści kasztanowej. [przypis edytorski]
[1106] *Diana Łowczyni* a. *Diana z Wersalu* — staroż. marmurowa rzeźba przedstawiająca rzym. boginię łowów i lasów, utożsamianą z gr. Artemidą. [przypis edytorski]
[1107] *Wenus z Milo* — słynna marmurowa rzeźba z końca II w. p.n.e., przedstawiająca półnagą gr. boginię miłości Afrodytę (rzym. Wenus), znaleziona na wyspie Milo w 1820, eksponowana w Luwrze; ręce posągu nie zachowały się. [przypis edytorski]
[1108] *Akteon* (mit. gr.) — myśliwy, który zobaczył przypadkiem boginię łowów, Artemidę, w kąpieli; za to świętokradztwo został zamieniony przez nią w jelenia, rozszarpały go jego własne psy. [przypis edytorski]

wziąć za wzór dla nosa Junony[1109]; tylko jej usta były nieco za duże, a piękne ząbki tylko uwydatniały karmin[1110] warg, zbyt mocno kontrastujący ze śnieżną cerą; wreszcie czarny pieprzyk w kąciku ust, większy, niż bywają zazwyczaj owe kaprysy natury, dokonywał dzieła, nadając twarzy Eugenii ostrość, która z lekka przerażała Alberta.

Cała zresztą postać Eugenii pozostawała w harmonii z twarzą. Wyglądała jak Diana Łowczyni, co stwierdził Château-Renaud, ale w jej urodzie było coś jeszcze bardziej męskiego i twardszego.

Jeżeli można byłoby postawić jakiś zarzut edukacji, jaką odebrała, to tylko jeden: była podobna do jej wyglądu, to jest stanowiła raczej edukację męską. Eugenia mówiła kilkoma językami, miała zdolności plastyczne, pisała wiersze i komponowała muzykę. Pasjonowała się szczególnie tą ostatnią sztuką, a studiowała ją razem z koleżanką z pensji[1111], osóbką ubogą, ale która — jak mówiono — miała wszelkie predyspozycje do tego, by stać się znakomitą śpiewaczką. Pewien wielki kompozytor zajął się nią z niemal ojcowską troską i kształcił jej zdolności w nadziei, że głos zapewni kiedyś uczennicy majątek.

Ponieważ prawdopodobne było, że panna Luiza d'Armilly — tak się nazywała młoda wirtuozka — wstąpi kiedyś na deski sceniczne, panna Danglars przyjmowała ją u siebie, ale nigdy nie pokazywała się z nią publicznie. Zresztą choć Luiza nie miała w domu bankiera pozycji takiej, jak inne przyjaciółki Eugenii, stała w hierarchii wyżej niż zwykła nauczycielka.

Kilka chwil po tym, jak pani Danglars weszła do loży, opadła kurtyna, po czym parter stopniowo opustoszał, bowiem długie, półgodzinne antrakty umożliwiały spacer po foyer i odwiedziny w lożach.

Morcerf i Château-Renaud wyszli jako jedni z pierwszych. Pani Danglars pomyślała, że pośpiech Alberta miał na celu wizytę u niej; nachyliła się do ucha córki, aby go zapowiedzieć, ale Eugenia tylko potrząsnęła głową i uśmiechnęła się; w tejże chwili, jakby na dowód, że racja była po stronie Eugenii, Morcerf ukazał się w bocznej loży na pierwszym piętrze.

Była to loża hrabiny G**.

— Jak się pan ma, panie podróżniku — rzekła hrabina, wyciągając do Alberta rękę tak serdecznie, jakby znali się od dawna. — Miło mi bardzo, żeś mnie pan rozpoznał, a jeszcze milej, że na pierwszą wizytę wybrał pan moją lożę.

— Proszę mi wierzyć, że gdybym wiedział o przybyciu pani do Paryża i gdybym znał pani adres, nie czekałbym z tą wizytą tak długo. Ale pozwól pani przedstawić sobie barona de Château-Renaud, mego przyjaciela, jednego z nielicznych przedstawicieli prawdziwej francuskiej szlachty. Właśnie się od niego dowiedziałem, że byłaś pani na wyścigach, na Polu Marsowym.

Château-Renaud ukłonił się.

— O, był pan na wyścigach? — spytała żywo hrabina.

— Tak, pani.

— A więc — podjęła spiesznie hrabina — czy wie pan może, do kogo należał koń, który wygrał nagrodę Jockey Clubu?

— Nie, pani hrabino — odparł Château-Renaud — i właśnie o to samo pytałem Alberta.

— Bardzo pani na tym zależy? — odezwał się Albert.

— Na czym?

— Aby się dowiedzieć, czyj to był koń.

— Niezmiernie. Wyobraź pan sobie... ale czyżby pan wiedział, kto to taki?

— Ale chciałaś pani nam coś opowiedzieć; powiedziała pani: „wyobraź pan sobie...".

— Otóż wyobraź pan sobie, że ów śliczny kasztan i ten maleńki dżokej w różowej kurtce od pierwszej chwili obudzili we mnie tak żywą sympatię, że modliłam się, by wygrali tak, jakbym postawiła na nich pół majątku; a więc gdy zobaczyłam, jak dobiegają do mety, wyprzedzając inne konie o trzy długości, tak się uradowałam, że zaczęłam klaskać w ręce jak szalona. Wystawcie sobie, panowie, moje zdumienie, gdy wróciwszy do domu

[1109] *Junona* (mit. rzym.) — bogini kobiet, małżeństwa i macierzyństwa, żona władcy bogów Jowisza, utożsamiana z gr. Herą. [przypis edytorski]

[1110] *karmin* — intensywny odcień czerwonego; też: barwnik tego samego koloru. [przypis edytorski]

[1111] *pensji* — tu: prywatna szkoła, zwykle z internatem. [przypis edytorski]

spotkałam na schodach tego małego różowego dżokeja. Pomyślałam, że zwycięzca wyścigu mieszka także w tym domu; ale gdy otwarłam drzwi do salonu, ujrzałam złoty puchar — nagrodę, jaką zdobyli tajemniczy koń i dżokej. W pucharze był bilecik, a na nim kilka słów: „Dla hrabiny G*** od lorda Ruthwena".

— Właśnie — rzekł Morcerf.

— Jak to właśnie? Co pan przez to rozumiesz?

— To lord Ruthwen we własnej osobie.

— Jaki znowu lord Ruthwen?

— Ten nasz, wampir z teatru Argentina.

— Nie może być! — zawołała hrabina. — To on tu jest?

— Naturalnie.

— I widujesz go pan? Bywa u ciebie? A pan u niego?

— To mój przyjaciel, a pan de Château-Renaud miał także zaszczyt go poznać.

— Ale skąd bierze się pańskie przekonanie, że to on wygrał?

— Koń jest zapisany pod imieniem Vampa.

— I cóż stąd?

— No, nie przypomina sobie pani, jak się zwał ów słynny bandyta, który mnie pojmał?

— Ach, prawda!

— I z którego rąk cudownym sposobem oswobodził mnie hrabia?

— Tak.

— Nazywał się Vampa. Widzi więc pani, że to hrabia.

— Nie rozumiem jednak, dlaczego mnie przysłał ten puchar?

— Po pierwsze dlatego że, jak pani hrabina może się domyślić, wiele mu o pani mówiłem; po drugie był zachwycony, że spotkał rodaczkę, która tak żywo zainteresowała się jego udziałem w wyścigach.

— Mam nadzieję, żeś mu pan nie opowiadał tych głupstw, jakie o nim snuliśmy?

— Nie ręczę za to, bo w końcu jeśli podarował pani ten złoty puchar, podając się za lorda Ruthwena...

— Ale to straszne, będzie miał do mnie śmiertelną urazę.

— Czyż zachowuje się jak wróg?

— Nie, przyznaję.

— Sama pani widzi.

— Jest więc w Paryżu?

— Tak.

— I jakie tu zrobił wrażenie?

— Mówiono o nim przez cały tydzień. Potem była koronacja królewska, kradzież brylantów panny Mars[1112] i mówiono już tylko o tym.

— Mój drogi — wtrącił Château-Renaud — dobrze widać, że hrabia jest twoim przyjacielem, przywykłeś już do niego. Niech mu pani hrabina nie wierzy — przeciwnie, w Paryżu mówi się tylko o hrabi de Monte Christo. Zadebiutował przysyłając pani Danglars konie za trzydzieści tysięcy franków; następnie ocalił życie pani de Villefort; potem, jak słyszę, wygrał wyścig Jockey-Clubu. Niezależnie od tego, co mówi Albert, ja wiem, że wszyscy nadal interesują się hrabią i za miesiąc też się będą interesować, jeżeli nadal będzie zachowywał się w tak ekscentryczny sposób, a zdaje się, że to jego zwykły tryb życia.

— To możliwe — rzekł Morcerf — ale popatrzcie, kto zajął lożę po ambasadorze rosyjskim.

— Która to? — spytała hrabina.

— W pierwszym rzędzie, pod kolumnami, chyba jest zupełnie odnowiona.

— Fakt — rzekł Château-Renaud. — Był tam kto w czasie pierwszego aktu?

— Nie widziałam nikogo — odpowiedziała hrabina. — A więc sądzi pan — podjęła przerwany wątek — że to ten pański hrabia de Monte Christo zajął pierwsze miejsce?

— Jestem tego pewien.

— I to on mi przysłał puchar?

— Oczywiście.

[1112] *panna Mars*, właśc. *Anne Françoise Hyppolyte Boutet Salvetat* (1779—1847) — fr. aktorka. [przypis edytorski]

— Ale ja go nie znam i bierze mnie chętka, aby odesłać mu go z powrotem.

— O, niech pani tego nie robi. Odeśle pani inny, rżnięty w szafirach albo wydrążony w rubinie. Tak ma zwyczaj postępować i nie ma rady, trzeba się z tym oswoić.

Wtem rozległ się dzwonek zapowiadający drugi akt.

Albert wstał, aby wrócić na miejsce.

— Zobaczymy się jeszcze? — zapytała hrabina.

— W antrakcie, jeśli pani pozwoli, przyjdę zapytać, czy nie będę mógł w Paryżu przydać się pani na coś.

— Panowie — odparła hrabina — mieszkam przy ulicy Rivoli 22, a przyjaciół przyjmuję w sobotnie wieczory. Proszę to uważać za zaproszenie.

Młodzi ludzie ukłonili się i wyszli.

Wszedłszy na salę ujrzeli, że wszyscy z parteru stali, wpatrując się w jeden punkt. Spojrzeli w tym samym kierunku: chodziło o dawną lożę ambasadora rosyjskiego.

Właśnie wszedł do niej mężczyzna ubrany na czarno, lat najwyżej czterdziestu w towarzystwie kobiety w stroju wschodnim. Kobieta jaśniała urodą, a strój był tak bogaty, że, jakeśmy już mówili, wszystkie spojrzenia natychmiast zwróciły się na nią.

— O — rzekł Albert — to Monte Christo ze swoją Greczynką.

Po chwili młoda kobieta stała się przedmiotem zainteresowania nie tylko parteru, ale całej widowni. Kobiety wychylały się z lóż, by przypatrzeć się migoczącej w świetle lamp kaskadzie diamentów.

Drugi akt został rozegrany wśród nieustającego szmeru rozmów, jaki świadczy, że tłum został poruszony jakimś nadzwyczajnym wydarzeniem.

Nikt już nie wołał o ciszę.

Najciekawsze widowisko na sali stanowiła owa kobieta, tak młoda, tak piękna, tak olśniewająca.

Tym razem wyraźny znak pani Danglars dał Albertowi do zrozumienia, że baronowa życzy sobie, aby przyszedł do nich podczas następnej przerwy.

Morcerf był zbyt dobrze wychowany, aby zwlekać, gdy go tak wyraźnie zapraszano.

Gdy akt się zakończył, pospieszył natychmiast do loży.

Skłoniwszy się obu damom, podał rękę Debrayowi.

Baronowa przyjęła go uroczym uśmiechem, Eugenia ze zwykłym chłodem.

— Na honor, mój drogi — rzekł Debray — masz przed sobą człowieka, co czeka na ciebie jak na zbawienie, abyś go zastąpił. Pani baronowa dręczy mnie pytaniami o hrabiego, mam według niej wiedzieć, skąd się wziął, skąd pochodzi i dokąd zmierza. Dalibóg, nie jestem Cagliostrem[1113] i żeby się jakoś wykaraskać, powiedziałem: Albert ma w małym palcu wszystkie tajemnice Monte Christa. Dlatego też zostałeś wezwany.

— Czyż to nie jest niesłychane — odezwała się baronowa — że ktoś, kto ma pół miliona tajnych funduszy do dyspozycji, jest tak źle poinformowany?

— Pani — rzekł Lucjan — proszę mi wierzyć, że gdybym miał do dyspozycji taką sumę, użyłbym jej do czegoś innego niż zbieranie wiadomości o panu hrabi de Monte Christo, który zasługuje na uwagę tylko dlatego, że jest dwa razy bogatszy niż nabab. Ale oddaję głos Albertowi, proszę sobie porozmawiać, mnie to już nie obchodzi.

— Nabab na pewno nie przysłałby mi pary koni wartości trzydziestu tysięcy franków, do tego z czterema diamentami w uprzęży — po pięć tysięcy każdy.

— O, diamenty, to jego mania — roześmiał się Morcerf. — On ma chyba jak Potiomkin[1114] pełno diamentów w kieszeniach i rozrzuca je po drodze jak Tomcio Paluch[1115] kamyki.

— Pewnie znalazł jakąś kopalnię diamentów — rzekła pani Danglars. — Wiesz pan, że ma nieograniczony kredyt w banku mego męża?

— Nie, nie wiedziałem — odparł Albert — chociaż to bardzo naturalne.

[1113] *Cagliostro, Alessandro di*, właśc. *Giuseppe Balsamo* (1743–1795) — słynny wł. awanturnik i szarlatan; uczestnik afery naszyjnikowej, tj. skandalicznego oszustwa, którego celem było zszarganie reputacji królowej Marii Antoniny. [przypis edytorski]

[1114] *Potiomkin, Grigorij Aleksandrowicz* (1739–1791) — jeden z faworytów carycy Katarzyny Wielkiej, ros. feldmarszałek, prezydent Kolegium Wojskowego, głównodowodzący w wojnie Rosji z Turcją (1787–1792), książę Świętego Cesarstwa Rzymskiego od 1776, książę taurydzki od 1783. [przypis edytorski]

[1115] *Tomcio Paluch* — postać z baśni europejskich. [przypis edytorski]

— Mówił memu mężowi, że zamierza zabawić w Paryżu rok i wydać w ciągu tego okresu sześć milionów.

— To szach[1116] perski, co podróżuje *incognito*.

— Panie Lucjanie — wtrąciła Eugenia — a zauważył pan, jaka piękna ta kobieta?

— O, naprawdę, panno Eugenio, tylko pani umie przyznać sprawiedliwość osobom swojej płci.

Lucjan przyłożył monokl do oka.

— Prześliczna! — rzekł.

— Panie Albercie, wie pan, kim jest ta kobieta?

— Wiem mniej więcej — odparł Albert — bo niczego, co dotyczy naszego tajemniczego hrabiego, nie można znać dokładnie. To Greczynka.

— To widać od razu po jej stroju. Poinformował pan nas o tym, o czym już wiemy, podobnie jak i cała widownia.

— Przykro mi, że jak na gawędziarza wiem tak mało, ale muszę się przyznać, że na tym kończy się moja wiedza. No, wiem także, że jest muzykalna, bo pewnego razu, gdy byłem na śniadaniu u hrabiego, słyszałem dźwięki guzli; na pewno ona na niej grała.

— Więc pański hrabia przyjmuje u siebie gości? — zapytała pani Danglars.

— Przyjmuje i to wspaniale, mogę panią zapewnić.

— Muszę namówić męża, aby wydał na jego cześć obiad albo bal, wtedy pójdziemy do niego z rewizytą.

— Jak to, pójdzie pani do niego? — zaśmiał się Debray.

— Czemużby nie, jeśli z mężem?

— Przecież ten tajemniczy hrabia to kawaler.

— A widzisz pan przecież, że nie — teraz roześmiała się baronowa i wskazała piękną Greczynkę.

— Mówił nam na śniadaniu, że to niewolnica; pamiętasz, Albercie?

— Przyznaj jednak, drogi Lucjanie — wtrąciła baronowa — że wygląda raczej na księżniczkę.

— Z *Tysiąca i jednej nocy*.

— No, nie mówię, że z *Tysiąca i jednej nocy*. Co tak naprawdę stanowi księżniczkę, mój drogi? To diamenty. A ona jest nimi okryta.

— I ma ich nawet zbyt wiele — zauważyła Eugenia. — Byłaby piękniejsza bez nich, bo widać byłoby jej kształtną szyję i ręce.

— Co za artystka! — zawołała pani Danglars — Ileż uniesienia w głosie!

— Kocham wszystko, co piękne — odparła Eugenia.

— A cóż pani powiesz o hrabi? — zapytał Debray. — Zdaje mi się, że to także przystojny mężczyzna?

— Hrabia? — rzekła Eugenia tonem, jakby nie przyszło jej jeszcze do głowy na niego spojrzeć. — Hm, hrabia jest bardzo blady.

— O, właśnie — rzekł Morcerf. — W jego bladości tkwi tajemnica, którą staramy się odkryć. Wie pani, hrabina G*** uważa go za wampira.

— A więc hrabina G*** już wróciła? — spytała baronowa.

— Mamo, siedzi w loży niemal naprzeciw nas — rzekła Eugenia. — Ta kobieta o prześlicznych blond włosach to ona.

— A, tak — odparła pani Danglars. — Nie domyślasz się, panie Albercie, co masz teraz zrobić?

— Jestem na pani rozkazy.

— Proszę pójść z wizytą do pana hrabiego i przyprowadzić go tu do nas.

— A to po co? — spytała Eugenia.

— Żebyśmy mogły z nim porozmawiać. Nie zaciekawił cię?

— Wcale.

— Dziwna dziewczyna! — mruknęła baronowa.

— Oho — zauważył Morcerf. — Zdaje mi się, że on sam tu przyjdzie. Proszę, spostrzegł panią i kłania się właśnie.

Baronowa odkłoniła się hrabiemu z czarującym uśmiechem.

[1116]*szach* — perski monarcha, król. [przypis edytorski]

— Dobrze, poświęcę się — rzekł Morcerf. — Opuszczę panie na chwilę, zobaczę, czy uda mi się z nim porozmawiać.

Ukłonił się i wyszedł.

Istotnie, gdy dochodził do loży hrabiego, drzwi się otwarły; hrabia powiedział coś po arabsku do Alego, który stał na korytarzu, i ujął Alberta pod ramię.

Ali zamknął drzwi i stanął przed nimi; wokół Nubijczyka zebrał się tłumek gapiów.

— Zaiste — rzekł Monte Christo — szczególny jest ten wasz Paryż, szczególny naród, ci paryżanie; myślałby kto, że pierwszy raz widzą Nubijczyka. Spójrz pan, jak się tłoczą wokół tego biednego Alego, a ten sam nie wie, co to ma znaczyć. Zaręczam panu, że gdy na przykład paryżanin pojedzie do Tunisu, do Konstantynopola, do Bagdadu lub Kairu, nikt nie będzie się zbiegał, aby go zobaczyć.

— Bo pańscy mieszkańcy Wschodu są rozsądni i patrzą tylko na to, co jest warte uwagi; ale niech mi pan wierzy, Ali cieszy się taką popularnością tylko dlatego, że należy do pana, a pan, hrabio, jest tu teraz bardzo w modzie.

— Doprawdy? A co sprawiło, że mnie spotkał taki zaszczyt?

— Pan sam, do licha! Rozdaje pan zaprzęgi po tysiąc ludwików, ratuje życie żonom prokuratorów królewskich, jako major Brack wystawia pan na wyścigach konie czystej krwi i dżokejów niewiele większych od małpek, wygrywa złote puchary i rozsyła je ładnym kobietom.

— A któż panu naopowiadał tych bzdur?

— Po pierwsze pani Danglars, która pali się, aby zobaczyć pana w swojej loży, albo raczej aby pana widziano w jej loży; po wtóre dziennik Beauchampa, po trzecie mój własny pomyślunek. Dlaczego nazywasz pan swego konia Vampą, jeśli chcesz zachować *incognito*?

— O, prawda, to była nieostrożność — rzekł hrabia. — Ale niech mi pan powie, czy pański ojciec, hrabia de Morcerf, nie bywa w Operze? Patrzyłem za nim, ale nie zauważyłem go.

— Będzie dzisiaj.

— A gdzie usiądzie?

— Pewnie w loży baronowej.

— Czy to jej córka, ta urocza osóbka obok niej?

— Tak.

— O, to można panu powinszować.

Albert uśmiechnął się.

— Co pan powie o muzyce?

— Uważam, że jest naprawdę dobra, jak na muzykę skomponowaną przez człowieka, a wykonywaną przez dwunożne, bezpióre ptaki, jak mówił nieboszczyk Diogenes[1117].

— No, no, drogi hrabio, mogłoby się wydawać, że gdy tylko masz na to ochotę, słuchasz siedmiu chórów anielskich?

— Ależ niemal tak jest. Kiedy chcę posłuchać wspaniałej muzyki, muzyki, jakiej ludzkie ucho nie słyszało, zasypiam.

— No to trafił pan znakomicie. Proszę sobie spać, drogi hrabio, Operę wynaleziono właśnie po to...

— Nie, wasza orkiestra robi za wiele hałasu. Aby cieszyć się snem, o jakim mówiłem, potrzeba ciszy i spokoju, a ponadto pewnego preparatu...

— Ach, słynnego haszyszu?

— Nie inaczej, drogi hrabio. Kiedy będziesz chciał posłuchać muzyki, przyjdź do mnie na kolację.

— Ale już słyszałem u pana muzykę, w czasie śniadania.

— W Rzymie?

— Tak.

— Aha, to Hayde grała na guzli. Tak, biedna wygnanka lubi mi czasem zagrać jakąś melodię ze swojego kraju.

Wtem rozległ się dzwonek.

[1117] *Diogenes z Synopy* (413–323 p.n.e.) — filozof gr., przedstawiciel cyników, znany z ostentacyjnej niedbałości o własne warunki życiowe; gdy Platon zdefiniował człowieka jako „stworzenie dwunożne bez piór", Diogenes miał wg jednej z anegdot przynieść mu obskubaną kurę, twierdząc, że przyprowadził ze sobą człowieka. [przypis edytorski]

— Proszę przekazać hrabinie G*** dużo serdeczności od jej wampira.

— A co mam powiedzieć baronowej?

— Powiedz pan, że jeśli pozwoli, jeszcze tego wieczora złożę jej moje uszanowanie.

Rozpoczął się akt trzeci.

Podczas tego aktu hrabia de Morcerf pojawił się zgodnie z obietnicą w loży pani Danglars.

Hrabia nie należał do ludzi, co robią zamieszanie na sali; nikt przeto nie zauważył, jak przyszedł — oprócz tych, co znajdowali się w loży.

Monte Christo spostrzegł go jednak i lekki uśmiech pojawił się na jego ustach.

Trzeci akt upłynął jak zwykle; panny Noblet, Julia i Leroux tańczyły; książę Grenady został wyzwany przez Roberta Mario; na koniec ów majestatyczny król, trzymając za rękę córkę, obchodził komnatę, aby wszyscy mogli zobaczyć jego aksamitny płaszcz.

Kurtyna opadła i publiczność wylała się na korytarze i do foyer[1118].

Hrabia wyszedł z loży i po chwili zjawił się w loży baronowej Danglars.

Baronowej nie udało się powstrzymać okrzyku zdziwienia zmieszanego z radością.

— Ach, proszę, proszę do nas, panie hrabio — zawołała — naprawdę bardzo pragnęłam złożyć panu podziękowania osobiście, uzupełniając to, co napisałam w liście.

— Czyżby pani jeszcze raczyła pamiętać o tej drobnostce? Ja już zapomniałem.

— Nie, nie zapomniałam; ale tak naprawdę nie da się zapomnieć przede wszystkim o tym, że następnego dnia ocalił pan życie mojej ukochanej przyjaciółce, pani de Villefort.

— I za to, droga pani, nie zasługuję na podziękowanie; to Ali, mój Nubijczyk, miał szczęście wyświadczyć tę usługę pani de Villefort.

— Czy to także Ali — spytał hrabia de Morcerf — wyrwał mego syna z rąk rzymskich zbójców?

— Nie, panie hrabio — rzekł Monte Christo, ściskając podaną mu przez generała rękę — tym razem podziękowania należy zapisać na mój rachunek; ale już mi pan raz dziękował, przyjąłem te podziękowania i proszę mnie nie zawstydzać swoją stałą wdzięcznością. Pani baronowo, racz mi uczynić zaszczyt i przedstawić mnie córce.

— O, ona już pana dobrze zna, przynajmniej z nazwiska; od trzech dni rozmawiamy tylko o panu. Eugenio — rzekła baronowa odwracając się do córki — pan hrabia de Monte Christo.

Hrabia skłonił się; panna Danglars lekko skinęła głową.

— Przyszedł pan z prześliczną osóbką, hrabio. Czy to pańska córka? — zagadnęła Eugenia.

— Nie, pani — odpowiedział Monte Christo zdumiony tym pytaniem, albo naiwnym, albo nader obcesowym. — To nieszczęśliwa Greczynka, której jestem opiekunem.

— Greczynka! — mruknął hrabia de Morcerf.

— Tak, hrabio — odezwała się pani Danglars. — Czy widział pan kiedykolwiek na dworze Ali-Tebelina[1119], któremu tak chwalebnie służyłeś, równie piękny strój?

— To pan hrabia służył w Janinie[1120]? — spytał Monte Christo.

— Jako generał byłem instruktorem wojskowym przy oddziałach paszy — odparł Morcerf — i nie kryję, że mój niewielki majątek zawdzięczam szczodrej ręce tego wspaniałego albańskiego przywódcy.

— Ale niechże pan popatrzy — upierała się pani Danglars.

— Gdzie? — wyjąkał Morcerf.

— Tam! — rzekł Monte Christo.

I objąwszy ramieniem hrabiego, wychylił się wraz z nim z loży.

W tej chwili Hayde, wypatrując Monte Christa, dojrzała jego bladą twarz obok oblicza Morcerfa.

Widok ten wywarł na dziewczynie taki efekt, jakby zobaczyła głowę Meduzy[1121]. Rzuciła się do przodu, jakby chciała ich pożreć wzrokiem — a potem cofnęła się i wydała

[1118] *foyer* — pomieszczenie bądź korytarz w pobliżu sali teatralnej, w którym podczas przerw przebywa publiczność. [przypis edytorski]

[1119] *Ali-Tebelina* — inaczej: Ali Pasza z Tepeleny. [przypis edytorski]

[1120] *Janina* — miejscowość w Epirze. [przypis edytorski]

[1121] *Meduza* (mit. gr.) — najmłodsza i najgroźniejsza z trzech Gorgon, potworów o wężowych włosach i ostrych szponach, jej wzrok zamieniał w kamień. [przypis edytorski]

słaby okrzyk, na tyle jednak silny, że usłyszały go osoby siedzące w pobliżu, a także Ali, który natychmiast otworzył drzwi.

— Co to się stało pańskiej pupilce, panie hrabio? — spytała Eugenia. — Czy aby nie zasłabła?

— Być może — rzekł hrabia — ale proszę się tym nie przerażać; Hayde jest bardzo nerwowa i wrażliwa na zapachy; wystarczy, że poczuje niemiłą dla niej woń, a już mdleje. Ale mam na to lekarstwo — dodał wyjmując z kieszeni flakonik.

Złożył ukłon baronowej i jej córce, uścisnął rękę hrabiemu i Debrayowi, po czym wyszedł.

Gdy wrócił do swojej loży, Hayde była nadal bardzo blada; zaledwie wszedł, uchwyciła go za rękę.

Monte Christo poczuł, że jej dłonie były zarazem wilgotne i zlodowaciałe.

— Z kim to rozmawiałeś, panie? — spytała dziewczyna.

— Ależ z hrabią de Morcerfem, który służył pod twoim znakomitym ojcem i nawet przyznaje, że zawdzięcza mu swój majątek.

— O, nędznik! — zawołała Hayde. — To on go sprzedał Turkom! A jego majątek to nagroda za zdradę. Czyż o tym nie wiedziałeś, panie mój najdroższy?

— Słyszałem coś o tym w Epirze — odparł Monte Christo. — Ale nic nie wiem o szczegółach sprawy. Chodź, drogie dziecko, opowiesz mi o tym, to może być ciekawe.

— O tak, chodźmy stąd, chodźmy, bo zdaje mi się, że umrę, jeśli będę dłużej na niego patrzeć.

Hayde podniosła się szybko, otuliła w biały kaszmirowy burnus naszywany perłami i koralami i wyszła w chwili, gdy podnosiła się kurtyna.

— No popatrz pan, ten człowiek nic nie robi jak wszyscy — rzekła hrabina G*** do Alberta, który powrócił na swoje przy niej miejsce. — Z istnym nabożeństwem słucha trzeciego aktu, a wychodzi, kiedy zaczyna się czwarty.

53. HOSSA I BESSA[1122]

W kilka dni po tym spotkaniu Albert de Morcerf odwiedził hrabiego de Monte Christo w domu na Polach Elizejskich; właściwie dom ów stał się już pałacem, hrabia bowiem, dzięki ogromnym środkom, jakimi dysponował, nadawał taki wygląd wszystkim miejscom, gdzie zamieszkiwał choćby przez krótki czas.

Albert przybył przekazać ponowne podziękowania pani Danglars, które zdążyła już wyrazić w liście podpisanym baronowa Danglars, z domu Herminia de Salvieux.

Albertowi towarzyszył Lucjan Debray; do słów przyjaciela dodał parę uprzejmości, a choć nie przemawiał „oficjalnie", hrabia z właściwą dla siebie spostrzegawczością domyślał się, kto naprawdę za nimi stoi.

Wydało mu się nawet, że Lucjan odwiedził go kierowany podwójną ciekawością i że połowa tej ciekawości emanowała z ulicy Chaussée d'Antin. Istotnie, mógł przypuszczać, nie lękając się pomyłki, że pani Danglars — nie mogąc zobaczyć na własne oczy domu człowieka, który rozdaje konie po trzydzieści tysięcy franków wartości i chodzi do Opery z grecką niewolnicą ustrojoną w diamenty warte milion — zleciła ten obowiązek oczom Lucjana, przez które zwykle oglądała świat, aby później opowiedział jej, co widział.

Ale hrabia nie okazał, że domyśla się związku między wizytą Lucjana i ciekawością baronowej.

— Niemal bez przerwy widujesz się pan z baronem Danglarsem? — zapytał Monte Christo Alberta.

— O tak, wszak mówiłem panu hrabiemu...

— A więc te projekty są nadal aktualne?

— Bardziej niż kiedykolwiek — rzekł Lucjan — to już ułożone.

I sądząc niewątpliwie, że tych kilka słów wtrąconych do rozmowy pozwoli mu już się z niej wyłączyć, włożył szylkretowy monokl do oka i gryząc złotą gałkę laseczki, zaczął obchodzić pokój i przypatrywać się broni i obrazom.

— Aha! — zdziwił się Monte Christo — ale sądząc z tego, co pan mówił, nie przypuszczałem, że tak szybko do tego dojdzie.

[1122] *bessa* — spadek cen papierów wartościowych na giełdzie. [przypis edytorski]

— Co w tym dziwnego? Sprawy jakoś się toczą, a my ani się tego nie domyślamy; my o nich zapominamy, ale one o nas nie zapominają, a gdy się obrócimy, zdziwieni spostrzegamy, że już ubiegły spory kawał drogi. Mój ojciec i pan Danglars razem służyli w Hiszpanii; mój ojciec na froncie, a pan Danglars w intendenturze[1123]. Ojciec był zrujnowany przez rewolucję, a pan Danglars nigdy nie miał majątku rodowego, a więc obaj zakładali wtedy fundamenty pod karierę: ojciec pod piękną karierę polityczną i wojskową, a pan Danglars finansową i polityczną, godną podziwu.

— Zdaje mi się, że pan Danglars mówił mi o tym, gdy byłem u niego. A ładna jest ta panna Eugenia? — spytał, rzucając okiem na Lucjana przeglądającego jakiś album. — Bo chyba nazywa się Eugenia, prawda?

— Bardzo ładna albo raczej bardzo piękna — odpowiedział Albert. — Ale ja nie mogę się poznać na tej jej urodzie. Nie jestem jej godzien!

— Mówisz tak, jakbyś już był jej mężem!

— Być może — odpowiedział Albert, rozglądając się, aby zobaczyć, co robi Lucjan.

— Wie pan — rzekł Monte Christo, zniżając głos — nie widzę, abyś się pan palił do tego małżeństwa.

— Panna Eugenia jest dla mnie za bogata i to mnie przeraża.

— Phi, to ciekawy powód! Czyż pan sam nie jesteś bogaty?

— Mój ojciec ma jakieś pięćdziesiąt tysięcy liwrów renty, a gdy mnie ożeni, da mi pewnie ze dwanaście tysięcy.

— Prawda, to skromnie, zwłaszcza jak na Paryż. Ale przecież w świecie majątek to nie wszystko; liczy się też piękne nazwisko i znakomita pozycja. Ma pan świetne nazwisko, pozycję towarzyską wspaniałą, a poza tym hrabia Morcerf jest żołnierzem; to rzecz chwalebna, gdy w kimś łączy się prawość Bayarda i ubóstwo Dugueslina[1124]; bezinteresowność to najpiękniejszy promień słońca, który może zabłysnąć od szlachetnego miecza. Uważam, że wręcz przeciwnie — to znakomita partia dla ciebie; panna Danglars wniesie ci majątek, a pan jej da szlachectwo!

Albert potrząsnął głową i zamyślił się.

— Jest tu jeszcze jedna rzecz — rzekł.

— Przyznam, że nie mogę zrozumieć, jak można żywić taki wstręt do takiej ładnej, bogatej dziewczyny.

— Na miłość Boską! Wstręt! Wstręt, jeśli istnieje, to nie z mojej strony.

— A z czyjejże? Bo mówił pan, że pański ojciec życzy sobie tego małżeństwa.

— Ze strony matki. A matka ma oko roztropne i pewne. Nie uśmiecha się jej to małżeństwo, żywi jakieś uprzedzenie do Danglarsów.

— O! To łatwo zrozumieć — rzekł hrabia nieco sztucznym tonem. — Pani hrabina, arystokratka, która jest wcieleniem dystynkcji i delikatności, wzdraga się nieco na myśl, że ma uścisnąć tę rękę chamską, grubą i ordynarną.

— Hm, nie wiem, czy to o to chodzi — rzekł Albert. — Ale zdaje mi się, że będzie bardzo nieszczęśliwa, jeśli to małżeństwo przyjdzie do skutku; mieliśmy się spotkać przed sześciu tygodniami, ale nagle zacząłem dostawać migren, i to jednej za drugą...

— Rzeczywiście dostawałeś pan migren? — rzekł hrabia z uśmiechem.

— O tak, ze strachu... I odłożono wszystko na dwa miesiące. To nic pilnego, rozumie pan; nie mam jeszcze dwudziestu jeden lat, Eugenia ma tylko siedemnaście. Ale te dwa miesiące kończą się w przyszłym tygodniu. Trzeba będzie coś postanowić. Nawet sobie pan nie wyobraża, kochany hrabio, w jakim jestem kłopocie... O, jaki jesteś pan szczęśliwy, żeś wolny!

— Ależ bądź pan również wolny; kto panu w tym przeszkadza? Proszę mi powiedzieć.

— O, sprawiłbym wielką przykrość ojcu, gdybym się nie ożenił z panną Danglars.

— Więc się z nią żeń — rzekł hrabia, wzruszając w szczególny sposób ramionami.

— No tak — rzekł Albert — ale wtedy sprawię matce przykrość.

— No to nie żeń się z nią!

[1123] *intendentura* (daw.) — służby zaopatrzeniowe wojska. [przypis edytorski]

[1124] *Bayard i Dugueslin* — fr. rycerze schyłku średniowiecza, obaj uznawani za uosobienie ideału rycerskiego. [przypis edytorski]

— Zobaczę jeszcze, pomyślę, pan, hrabio, nie odmówisz mi rady, prawda? A jeżeli to możliwe, wyciągnie mnie pan z tego kłopotu. O, żeby nie sprawić przykrości mojej wspaniałej mamie, mógłbym poróżnić się z ojcem.

Monte Christo odwrócił się; rzekłbyś, że go to wzruszyło.

— Ej, co ty robisz? Szkic według Poussina[1125]? — zwrócił się Albert do Debraya, który siedział w głębokim fotelu na końcu salonu z ołówkiem w prawej ręce, a notesem w lewej.

— Ja? — odparł spokojnie. — Szkic? O nie, zbyt lubię malarstwo! Nie, nie, zajmuję się czymś przeciwstawnym do malarstwa — robię obliczenia.

— Obliczenia?

— Tak; i pośrednio dotyczy to ciebie, Albercie; obliczam, ile bank Danglarsa mógł zyskać na ostatniej hossie Haiti: w ciągu trzech dni akcje podskoczyły z dwustu sześciu na czterysta dziewięć; nasz przezorny bankier zakupił ich całkiem sporo po dwieście sześć; powinien na tym zyskać ze trzysta tysięcy liwrów.

— O, to nie jest jego największe osiągnięcie — rzekł Albert. — Czy nie zarobił w tym roku miliona na obligacjach hiszpańskich?

— Słuchaj no, mój drogi — odparł Lucjan — pan hrabia powie ci, jak powiadają Włosi: *danaro e santia metà della metà*[1126]. A to i tak wiele. A więc kiedy mi ktoś mówi podobne rzeczy, wzruszam ramionami.

— Ale mówiłeś pan o Haiti? — zagadnął Monte Christo.

— O, Haiti to rzecz całkiem inna; Haiti we francuskich spekulacjach giełdowych jest jak *ecarté*. Można lubić *buillotte*, cenić grę w wista, szaleć za bostonem[1127], a przecież z czasem znużyć się nimi. Ale zawsze po tych grach wrócimy do *ecarté*, bo to jest jak przystawka. Otóż pan Danglars sprzedał wczoraj po czterysta sześć i schował do kieszeni trzysta tysięcy; dzisiaj papiery spadły do dwustu pięciu — gdyby czekał do dziś, straciłby dwadzieścia pięć tysięcy.

— A dlaczego to papiery spadły tak bardzo? — spytał Monte Christo. — Przepraszam, ale jestem zupełnym ignorantem, jeśli chodzi o intrygi giełdowe.

— Bo wiadomości następują jedne po drugich, ale nie są podobne do siebie — roześmiał się Albert.

— Do diabła! — zawołał hrabia. — To pan Danglars gra tak ryzykownie, że stawia na jedną kartę trzysta tysięcy w jednym dniu? Ależ musi być chyba jakimś krezusem[1128]?

— To nie on! — zawołał szybko Lucjan. — To pani Danglars, jest nieustraszona.

— Ale ty, Lucjanie, tak rozumny, wiesz dobrze, jak niepewne bywają te wiadomości, bo jesteś u ich źródła, powinieneś jej przeszkodzić — zauważył z uśmiechem Albert.

— Jakże mógłbym tego dokazać, kiedy sam jej mąż nie może? Znasz charakter baronowej, nikt na nią nie ma wpływu, robi tylko to, co jej się podoba.

— Gdybym ja był na twoim miejscu...

— No, no, co takiego?

— Wyleczyłbym ją z tego, byłaby to wielka przysługa dla jej przyszłego zięcia.

— Jak?

— Twoje stanowisko sekretarza przy ministrze czyni z ciebie autorytet, jeśli idzie o wiadomości. Ledwie otworzysz usta, a agenci giełdowi już w lot stenografują[1129] twoje słowa. Spraw, aby przegrała raz po razie ze sto tysięcy franków, a będzie rozważniejsza.

— Nie rozumiem — wyjąkał Lucjan.

— A przecież to jasne — odparł młody człowiek z nieudawaną naiwnością. — Donieś jej na przykład któregoś dnia coś nadzwyczajnego, coś, co przyszło telegrafem i tylko ty

---

[1125] *Poussin, Nicolas* (1594–1665) — wybitny malarz fr., przedstawiciel klasycyzmu w malarstwie barokowym. [przypis edytorski]

[1126] *danaro e santia metà della metà*, popr. *danaro e santità metà della metà* (wł.) — pieniądze i świętość, pół na pół (wł. przysłowie oznaczające, że majątek i cnota to dwie rzeczy, które zawsze są wyolbrzymiane). [przypis edytorski]

[1127] *ecarté, buillotte, wist, boston* — rodzaje gier karcianych. [przypis edytorski]

[1128] *krezus* (daw.) — bogacz. [przypis edytorski]

[1129] *stenografować* — zapisywać systemem skrótów; przed rozpowszechnieniem techniki nagrań dźwiękowych stenografia była popularną metodą w pracy protokolantów, dziennikarzy, sekretarek itp. [przypis edytorski]

o tym wiesz. Na przykład, że Henryk IV[1130] odwiedził wczoraj Gabrielę[1131]; po takiej wieści papiery przecież na pewno skoczą do góry; baronowa ulokuje w tych papierach sporą sumkę i straci ją od razu, bo nazajutrz Beauchamp napisze w swojej gazecie:

> Ludzie jakoby dobrze poinformowani nie mają racji utrzymując, że widziano, jak król Henryk IV odwiedził wczoraj Gabrielę. Wieść ta jest absolutnie nieprawdziwa. Król Henryk IV nie opuścił Pont-Neuf.

Lucjan roześmiał się nieszczerze. Monte Christo, obojętny na pozór, nie stracił ani słowa z całej tej rozmowy, a jego przenikliwy wzrok wyczytał nawet w zakłopotaniu sekretarza jakąś tajemnicę.

Albert wcale nie dostrzegł zakłopotania Lucjana — a jednak właśnie przez nie Lucjan zabawił u hrabiego krócej, niż zamierzał. Wyraźnie czuł się nieswojo.

Hrabia, odprowadzając go do drzwi, szepnął mu kilka słów do ucha, na które Lucjan odpowiedział:

— Jak najchętniej, panie hrabio, zgadzam się.

Hrabia wrócił do Morcerfa.

— Panie Albercie, czy zastanowiwszy się dobrze — rzekł — nie myślisz pan, że postąpiłeś trochę niezręcznie, mówiąc w ten sposób do pana Debraya o swojej przyszłej teściowej?

— E, panie hrabio — obruszył się Albert — proszę, niech pan jej tak nie nazywa.

— Pańska matka naprawdę jest aż tak przeciwna temu małżeństwu?

— Do tego stopnia, że baronowa bardzo rzadko jest do nas zapraszana, a nie wiem, czy matka była u niej choć ze dwa razy.

— No, to mogę bez obawy porozmawiać z panem otwarcie: pan Danglars jest moim bankierem, pan de Villefort obsypał mnie grzecznościami za przysługę, którą mu przypadkowo wyświadczyłem. Podejrzewam, że przez to wszystko czeka mnie lawina obiadów i rautów. A więc, aby nie przesadzać z wystawnością tych przyjęć, a zarazem uprzedzić i być górą nad naszymi znajomymi, postanowiłem zaprosić do mojego wiejskiego domu w Auteuil państwa Danglarsów i państwa de Villefortów. Jeżeli zaproszę także pana i pańską rodzinę, czy nie będzie to aby wyglądało na jakieś spotkanie matrymonialne? A przynajmniej pańska matka mogłaby tak pomyśleć, zwłaszcza jeśli pan Danglars uczyni mi zaszczyt i zabierze ze sobą córkę. I wtedy pańska matka mnie znienawidzi, a ja tego absolutnie sobie nie życzę. Wręcz przeciwnie i proszę, abyś pan powtarzał pani hrabinie przy każdej okazji, że zależy mi niezmiernie, aby myślała o mnie jak najlepiej.

— Do licha, hrabio, dziękuję panu bardzo za tę szczerość i zgadzam się, aby nas pan nie zapraszał. Mówisz pan, że chciałbyś, aby moja matka myślała o panu ciepło. Ależ ona ma na pana temat same ciepłe myśli!

— Tak pan sądzisz? — spytał Monte Christo z zaciekawieniem.

— Ależ jestem tego pewien. Po pana wizycie u nas rozmawialiśmy przez godzinę tylko o panu. Wrócę jednak do tego, o czym mówiliśmy. A więc, gdyby mama dowiedziała się o tym dowodzie delikatności z pana strony (a spróbuję jej o tym napomknąć), jestem przekonany, że byłaby panu za to nieskończenie wdzięczna. Hm, choć ojciec byłby na pewno wściekły.

Hrabia roześmiał się.

— A więc uprzedziłem pana — rzekł. — Ale zdaje mi się, że nie tylko pański ojciec będzie wściekły. Państwo Danglarsowie uznają, że jestem bardzo źle wychowany. Wiedzą, że jesteśmy w dość bliskich stosunkach, że jest pan moim pierwszym paryskim znajomym, a jednak nie zastaną cię u mnie. Zapytają, dlaczego cię nie zaprosiłem. Wymyśl pan sobie jakieś wcześniejsze zaproszenie, choć trochę prawdopodobne i napisz do mnie jakiś liścik. Wiesz pan przecież, u bankierów tylko dowód na piśmie ma jakąś wartość.

— Mam jeszcze lepszy pomysł, panie hrabio — zawołał Albert. — Matka chce pojechać nad morze, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Kiedy ma się odbyć ten obiad u pana?

[1130] *Henryk IV* (1553–1610) — król Nawarry (od 1572), następnie król Francji (od 1589), pierwszy z dynastii Burbonów. [przypis edytorski]

[1131] *Gabriela*, właśc. *Gabrielle d'Estrées* (1550/1553–1599) — kochanka Henryka IV, króla Francji. [przypis edytorski]

— W sobotę.

— Dziś jest wtorek; znakomicie. Jutro wieczorem wyjedziemy, pojutrze będziemy w Treport[1132]. Umie pan w czarujący sposób dogadzać swoim znajomym!

— Ja? Doprawdy lepiej pan o mnie sądzisz, niż na to zasługuję.

— Kiedy rozsyła pan zaproszenia?

— Właśnie dzisiaj.

— Natychmiast pędzę do pana Danglarsa i oświadczam mu, że jutro wyjeżdżamy z Paryża, ja i moja matka. Nie widziałem się z panem, a więc nic nie wiem o tym obiedzie.

— Chybaś zwariował! Przecież widział cię u mnie Debray!

— Oj, to prawda.

— Inaczej: zaprosiłem pana na obiad dziś, ot tak, po prostu, a pan mi z całą szczerością odparł, że nie możesz, bo się wybierasz do Treport.

— No dobrze, to postanowione. Ale może przyjdzie pan jeszcze dziś do mojej matki, zanim wyjedziemy?

— O, dziś byłoby mi trudno. A zresztą pojawiłbym się w samym środku przygotowań do wyjazdu.

— A więc niech pan zrobi inaczej, jeszcze lepiej. Jesteś pan tylko człowiekiem czarującym, a tak byłbyś człowiekiem wręcz nieocenionym.

— Cóż mam zrobić, aby osiągnąć aż taki status?

— Jesteś teraz, hrabio, wolny jak ptak: przyjdź pan do nas na obiad. Będziemy w maleńkim kółku: pan, matka i ja. Przyjrzał się jej pan zaledwie przelotnie, teraz poznasz ją lepiej. To wyjątkowa kobieta i żałuję tylko jednego: że nie ma drugiej takiej, tylko młodszej o dwadzieścia lat. Zapewniam pana, że wtedy byłaby i hrabina, i wicehrabina de Morcerf. Ojca w domu nie będzie, ma zebranie komisji, a potem obiad u kanclerza. Niech pan przyjdzie, porozmawiamy o podróżach. Zwiedził pan cały świat, opowiesz nam pan o swoich przygodach, opowiesz nam historię tej pięknej Greczynki. No, niech się pan zgodzi, matka będzie panu szczerze wdzięczna.

— Serdeczne dzięki, zaproszenie jest niezmiernie miłe i bardzo żałuję, że nie mogę go przyjąć. Nie jestem wolny, jak pan myślał, mam dziś nadzwyczaj ważne spotkanie.

— Ejże, proszę uważać: tylko co nauczył mnie pan, jak uniknąć zaprosin, które są dla nas nieprzyjemne. Muszę mieć jakiś dowód. Nie jestem na szczęście bankierem, jak pan Danglars, ale — uprzedzam pana — jestem takim samym podejrzliwcem.

— No to dam panu ten dowód — odparł hrabia i zadzwonił.

— Hm, to już drugi raz, jak pan odmawia przyjść na obiad do matki — zastanawiał się głośno Albert. — Musi coś w tym być, hrabio.

Monte Christo drgnął.

— O, na pewno pan tak nie myśli — rzekł — zresztą przybywa oto mój dowód.

Wszedł Baptysta i stanął przy drzwiach z miną oczekującą.

— Nie wiedziałem, że pan dziś do mnie przyjdzie, prawda?

— Do licha, jest pan człowiekiem tak nadzwyczajnym, że nie ręczyłbym za to.

— Ale za to z pewnością nie mogłem przewidzieć, że zaprosi mnie pan na obiad.

— No tak, to raczej prawdopodobne.

— A więc słuchaj, Baptysto... Co ci powiedziałem dziś rano, kiedy cię wezwałem do gabinetu?

— Abym po piątej nie wpuszczał już nikogo do pana hrabiego — odpowiedział służący.

— A następnie?

— Och, panie hrabio!... — wtrącił Albert.

— Nie, nie, chcę koniecznie pozbyć się tej aureoli tajemnicy, jaką mi pan stworzył. Granie roli Manfreda jest męczące na dłuższą metę. Chcę, aby ściany mojego domu były przezroczyste. Następnie... mów dalej, Baptysto.

— A następnie, bym wpuścił tylko pana majora Bartolomea Cavalcantiego i jego syna.

— Słyszy pan? Pan major Bartolomeo Cavalcanti wywodzi się z jednego z najstarszych rodów Italii, Dante raczył wspomnieć o nim.... pamiętasz pan, a może nie, w dziesiątej pieśni *Piekła*. A jego syn, uroczy młody człowiek, mniej więcej w pańskim wieku i tak

[1132] *Treport* — miejscowość nadmorska w Normandii. [przypis edytorski]

jak pan wicehrabia, wchodzi właśnie w świat paryski z milionami swojego ojca. Major ma dziś właśnie przedstawić mi swojego syna, *il contino*[1133] Andreę, jak zwykliśmy mówić we Włoszech. Powierza go mojej opiece. Wprowadzę go w świat, jeśli na to zasługuje. Pomoże mi pan, prawda?

— Oczywiście! A więc to jakiś pański stary przyjaciel?

— Wcale nie. To po prostu zacny magnat. Spotkałem go parę razy we Florencji, w Bolonii albo w Lukce. Uprzedził mnie teraz o swoim przyjeździe; bardzo kłopotliwe są znajomości, jakie się zawiera w podróży: raz okaże się komuś uprzejmość, a potem ten ktoś już wszędzie będzie się domagał tego samego. Jak gdyby człowiek dobrze wychowany, który potrafi spędzić godzinę z przygodnie spotkanym nieznajomym, tym samym stawał się całkowicie gotowy na usługi wobec tego drugiego! Poczciwy major Cavalcanti, zamierza znów zwiedzić Paryż; był tu kiedyś na chwilę, za Cesarstwa, podążając do Moskwy, aby sobie tam zamarznąć. Ugoszczę go dobrym obiadem, on zostawi mi syna; przyrzeknę mu, że będę nad nim czuwał; pozwolę mu robić wszelkie głupstwa w granicach przyzwoitości — i będziemy kwita.

— Widzę, że jest pan nieocenionym mentorem. A propos, dostałem list od Franza.

— O, coś takiego! I ciągle mu się tak podoba we Włoszech?

— Myślę, że tak. Ale żałuje, że nie ma tam już pana. Mówi, że był pan słońcem rozświetlającym Rzym i że bez pana jest szaro.

— A, to pański przyjaciel Franz zmienił zdanie na mój temat?

— Wręcz przeciwnie. Nadal uważa pana za jakąś niesłychaną fantastyczną postać. Dlatego tak za panem tęskni.

— To dopiero czarujący chłopiec! Poczułem do niego sympatię już za pierwszym razem, tego wieczora, gdy szukał jakiejś kolacji i zgodził się przyjąć moje zaproszenie. Czy jego ojcem nie był aby generał d'Epinay? Ten, który został w 1815 roku tak nikczemnie zamordowany?

— I to przez bonapartystów.

— O właśnie! Tak, bardzo lubię tego chłopca. A dla niego nie ma aby jakich planów małżeńskich?

— Tak, ma się ożenić z panną de Villefort.

— Śmiejesz się pan... Dlaczego?

— Dlatego, że według mnie z tamtej strony jest tyle chęci do małżeństwa, ile we mnie i pannie Danglars. Ale naprawdę, kochany hrabio, rozmawiamy tu o kobietach zupełnie tak, jak kobiety rozmawiają o mężczyznach; to niewybaczalne!

Albert wstał.

— Już pan idziesz?

— To mi pytanie! Już od dwóch godzin pana zamęczam, a pan w swojej uprzejmości pytasz mnie, czy już idę! Doprawdy, jesteś pan, hrabio, najuprzejmiejszym człowiekiem pod słońcem! A pańska służba jaka jest wyszkolona! Zwłaszcza Baptysta! Nigdy nie udało mi się takiego dostać. Jeśli kiedykolwiek odprawi pan Baptystę, proszę go zaraz przysłać do mnie.

— Dobrze.

— To jeszcze nie wszystko: proszę pozdrowić ode mnie pana Cavalcantego dei Cavalcanti[1134], a jeśli przypadkiem chciałby ożenić syna, proszę mu znaleźć bogatą pannę, z dobrego rodu, przynajmniej po kądzieli, ale za to baronównę po ojcu. Ja panu w tym pomogę.

— Oho ho, czy to aby nie za wiele?

— Ach, hrabio — wykrzyknął Albert — sam pan nie wie, jaką by mi pan oddał przysługę i jak bardzo byłbym panu oddany, gdybym dzięki panu pozostał jeszcze kawalerem, nawet gdyby to miało być jeszcze dziesięć lat.

— Wszystko jest możliwe — odparł poważnie Monte Christo.

Pożegnał się z Albertem, wrócił do siebie i zadzwonił trzy razy. Zjawił się Bertuccio.

[1133] *il contino* (wł.) — syn hrabiego, tj. wicehrabia; zdr. od *il conte*. [przypis edytorski]

[1134] *Cavalcante dei Cavalcanti* (XIII w.) — wł. filozof, ojciec poety Guida Cavalcantiego, który był przyjacielem Dantego. [przypis edytorski]

— Panie Bertuccio — rzekł hrabia — wiesz pan, że w sobotę będę miał gości w Auteuil.

Bertuccio zadrżał lekko.

— Dobrze, panie hrabio — rzekł.

— I do pana będzie należało przygotowanie wszystkiego, jak należy. Dom jest piękny, a przynajmniej może być piękny.

— Trzeba by wszystko w nim zmienić, panie hrabio. Obicia są już bardzo stare.

— To zmień wszystko, ale nie dotykaj jednego pokoju: sypialni wybitej czerwonym adamaszkiem. Zostaw ją bezwzględnie w takim stanie, jak jest.

Bertuccio skłonił się.

— Ogrodu też nie wolno ruszać. Ale na dziedzińcu możesz zrobić wszystko, co ci się podoba; byłbym nawet bardzo zadowolony, gdyby nie można go było rozpoznać.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby pan hrabia był zadowolony.

Bertuccio skłonił się i wyszedł.

54. MAJOR CAVALCANTI

Hrabia i Baptysta nie skłamali, mówiąc Albertowi o wizycie toskańskiego majora, którą Monte Christo posłużył się jednocześnie jako pretekstem, by odmówić przyjęcia zaproszenia na obiad.

Wybiła siódma. Zgodnie z otrzymanymi wcześniej instrukcjami Bertuccio już od dwóch godzin znajdował się w drodze do Auteuil, gdy przed bramą pałacu zatrzymała się dorożka i jakby lekko spłoszona natychmiast uciekła, pozostawiając przed domem jegomościa lat około pięćdziesięciu dwóch, odzianego w jedną z owych zielonych czamarek[1135] z czarnymi szamerunkami[1136], które chyba nigdy nie zaginą w Europie. Szerokie granatowe pantalony, buty wcale jeszcze przyzwoite, lecz o wątpliwym połysku i nazbyt grubej podeszwie, zamszowe rękawiczki, kapelusz z kształtu nieco podobny do kaszkietu żandarma, czarny halsztuk, spod którego wystawał rąbek kołnierzyka, mogący spokojnie uchodzić za żelazną obręcz skazańców, gdyby właściciel nie nosił go z własnej woli: w takim oto malowniczym stroju zjawiła się owa osobistość. Gość zadzwonił do drzwi, zapytując, czy przypadkiem to nie tu właśnie mieszka pan hrabia de Monte Christo. Otrzymawszy od odźwiernego potwierdzenie, wszedł, zamknął za sobą drzwi i skierował się prosto ku gankowi.

Baptysta czekał już w przedsionku. Natychmiast rozpoznał gościa — był uprzedzony o jego wyglądzie — po małej, lekko kanciastej głowie, siwiejących włosach, gęstym, szpakowatym wąsie. Toteż gdy tylko ów podał swoje nazwisko, Baptysta zaraz poinformował hrabiego.

Wprowadzono cudzoziemca do najskromniejszego salonu. Tam czekał już na niego hrabia i z uśmiechem wyszedł mu naprzeciw.

— Witam, witam drogiego pana — rzekł. — Spodziewałem się tej wizyty.

— Doprawdy? Pan hrabia się mnie spodziewał? — zdziwił się Toskańczyk.

— Tak. Uprzedzono mnie, że będziesz pan u mnie dziś o godzinie siódmej.

— Że będę u pana? Tak panu powiedziano? O, tym lepiej. Bałem się, czy nie zapomniano o tym drobiazgu.

— Jakim?

— Żeby uprzedzić pana hrabiego.

— Ależ skąd!

— I jesteś pan pewien, że się nie mylisz?

— Oczywiście.

— Więc to mnie ekscelencja oczekiwał dziś o siódmej?

— Zgadza się. Zresztą możemy to sprawdzić.

— Ależ nie ma takiej potrzeby, skoro pan hrabia na mnie czekał, to nie ma potrzeby — zapewnił Toskańczyk.

[1135] *czamarka* — daw. męskie okrycie wierzchnie, sięgające bioder lub połowy ud, zapinane pod szyję, z długimi, wąskimi rękawami, z ozdobnymi guzikami i szamerunkiem (obszyciami z ozdobnego sznura). [przypis edytorski]

[1136] *szamerunek* — ozdoba ubrań, szczególnie daw. mundurów, wykonana z pasmanterii (taśm, sznurów itp.) naszytej wymyślnie na materiale. [przypis edytorski]

— Ależ warto, ależ warto!

Toskańczyk lekko się zaniepokoił.

— Czyż nie jesteś pan markizem Bartolomeem Cavalcantim?

— We własnej osobie — zgodził się radośnie Toskańczyk.

— Byłym majorem wojsk austriackich?

— Majorem? Byłem majorem? — zmieszał się eks-żołnierz.

— Tak — rzekł Monte Christo. — Tak się mówi we Francji na stopień, w jakim pan służyłeś we Włoszech.

— Ach tak. To mi w zupełności wystarczy. Widzi pan hrabia, ja...

— Nie przychodzisz pan z własnej nieprzymuszonej woli?

— O, naturalnie, że nie.

— Ktoś pana do mnie skierował?

— Tak.

— Zacny ksiądz Busoni?

— Tak, tak, to on — zawołał uradowany major.

— I masz pan list?

— Tak, proszę bardzo.

— No, widzi pan. Proszę mi go dać.

Monte Christo wziął list, otwarł i przeczytał.

Major przyglądał się hrabiemu oczyma wytrzeszczonymi ze zdziwienia. Przypatrywał się też nadzwyczaj uważnie każdemu szczegółowi apartamentu, lecz jego wzrok za każdym razem niezmiennie powracał do hrabiego.

— Tak, właśnie tak, ten kochany ksiądz...

> Major Cavalcanti, czcigodny patrycjusz z Lukki, potomek florenckiego rodu Cavalcantich — czytał głośno Monte Christo — posiadający fortunę dającą pół miliona rocznego dochodu...

Monte Christo spojrzał znad kartki i skłonił się majorowi.

— Niech mnie diabli wezmą, panie Cavalcanti, pół miliona!

— Tam jest napisane pół miliona? — upewnił się Toskańczyk.

— Słowo w słowo. I musi to być prawda, gdyż jeśli chodzi o wielkie fortuny Europy ksiądz Busoni jest najlepiej poinformowanym człowiekiem w Europie.

— Niech więc będzie pół miliona — rzekł Toskańczyk. — Jednak, słowo honoru, nie myślałem, że mam aż tyle.

— Bo masz pan intendenta, który pana okrada. Cóż robić, to niestety nieuniknione.

— Czego to się dowiaduję — rzekł poważnie Toskańczyk. — Przepędzę tego niecnotę.

Monte Christo czytał dalej:

> Majorowi brakuje do szczęścia tylko jednego...

— Tak, na Boga, tylko jednego — rzekł Toskańczyk z westchnieniem.

> Chciałby odnaleźć ukochanego syna.

— Ukochanego syna!

> Którego porwał w dzieciństwie albo jakiś wróg szlachetnej rodziny Cavalcantich, albo Cyganie.

— Miał tylko pięć latek, proszę pana — rzekł Toskańczyk z głębokim westchnieniem, wznosząc oczy do nieba.

— Biedny ojcze — wzruszył się Monte Christo i czytał dalej:

> Uczyniłem mu nadzieję, wróciłem mu życie, panie hrabio, oświadczając, że możesz pan odnaleźć mu syna, którego szuka na próżno od piętnastu lat.

Toskańczyk spojrzał z trudnym do opisania niepokojem na Monte Christo.

— Tak, mogę — rzekł Monte Christo.

Major wyprostował się.

— Ach — odezwał się — to znaczy, że list mówi prawdę od początku do końca?

— Drogi panie Bartolomeo, czyżbyś pan w to wątpił?

— Ależ nie, skąd! Jakże by! Człowiek tak poważny, w szacie duchownego, taki jak ksiądz Busoni nie pozwoliłby sobie na podobny żarcik. Ale ekscelencja jeszcze nie przeczytał listu do końca.

— Prawda, jest jeszcze jakieś *postscriptum*.

— Tak — powtórzył Toskańczyk — jjest... je... jeszcze... *postscriptum*.

> Aby uchronić majora Cavalcantiego przed kłopotem (musiałby w związku z kosztami podróży wycofać część gotówki z banku) wysyłam mu przekaz na dwa tysiące franków i otwieram mu u Pana kredyt na czterdzieści osiem tysięcy, które mi jeszcze jesteś pan winien.

Major z widocznym niepokojem śledził oczyma owo *postscriptum*.

— Dobrze — odparł krótko hrabia.

— Powiedział: dobrze — szepnął do siebie Toskańczyk. — A więc... — podjął głośno.

— A więc?.... — zapytał Monte Christo.

— A więc to *postscriptum*...

— No, co z tym *postscriptum*?...

— Uznaje je pan hrabia równie chętnie jak resztę listu?

— Naturalnie. Mamy ze sobą rozrachunki, to znaczy ksiądz Busoni i ja. Nie wiem dobrze, czy jestem mu jeszcze winien dokładnie czterdzieści osiem tysięcy, ale przecież nie będę się spierał o kilka banknotów. Coś takiego, ale przywiązywał pan aż taką wagę do tego *postscriptum*?

— Przyznam się panu, że licząc ufnie na podpis księdza Busoniego, nie zaopatrzyłem się w fundusze, no i gdyby omyliło mnie to źródło, znalazłbym się w Paryżu w nielichym kłopocie.

— Czyż taki człowiek jak pan mógłby się znaleźć gdziekolwiek w kłopocie? — zaoponował Monte Christo. — No, niechże pan nie przesadza.

— Do diabła! Nie znam tu nikogo.

— Ale za to pana znają!

— No tak, znają, ale...

— Proszę dokończyć, drogi panie Cavalcanti!

— Ale pan hrabia wypłaci mi te czterdzieści osiem tysięcy?

— Kiedy tylko pan zażąda.

Osłupiały major wytrzeszczył oczy.

— Ale niechże pan usiądzie — powiedział Monte Christo. — Doprawdy, nie zauważyłem... stoisz pan od już kwadransa.

— O, nie szkodzi.

Major przysunął sobie fotel i usiadł.

— Może ma pan ochotę się czegoś napić? — zaproponował hrabia. — Szklaneczkę xeres, porto, alicante?

— Jeśli łaska, alicante. To moje ulubione wino.

— Mam właśnie wyborne. Z biszkopcikiem?

— Z biszkopcikiem, jeśli pan hrabia koniecznie chce.

Monte Christo zadzwonił, zjawił się Baptysta.

Hrabia podszedł ku niemu.

— I co?... — spytał po cichu

— Młody panicz już jest — odszepnął lokaj.

— Gdzie go zaprowadziłeś?

— Do błękitnego salonu, tak jak ekscelencja rozkazał.

— Wybornie. Przynieś nam alicante i biszkopty.

Baptysta wyszedł.

— Doprawdy czuję się skrępowany — odezwał się Toskańczyk — że sprawiam panu tyle kłopotu.

— Ależ skąd!

Baptysta wrócił z kieliszkami, winem i biszkoptami.

Hrabia napełnił jeden kieliszek, a do drugiego nalał tylko kilka kropel rubinowego płynu; butelka była osnuta pajęczyną — co pewniej dowodzi wieku wina aniżeli zmarszczki na twarzy wieku człowieka.

Major nie pomylił się: zabrał się za pełny kieliszek i sięgnął po biszkopt, skosztował delikatnie alicante, na twarzy rozlała mu się błogość — i ostrożnie umoczył biszkopt w winie.

— Tak więc — zagadnął Monte Christo — mieszkasz pan w Lukce, jesteś bogaty, pochodzisz ze szlachetnego rodu, cieszysz się powszechnym szacunkiem, słowem masz wszystko, co człowiekowi jest potrzebne do szczęścia?

— Wszystko, panie hrabio — odparł major, przełykając biszkopt. — Absolutnie wszystko.

— I tylko jednej rzeczy brakowało panu do szczęścia?

— Tylko jednej — powtórzył Toskańczyk.

— Aby się odnalazł pański syn?

— Ach! — rzekł major, biorąc drugi biszkopt. — Tak, bardzo mi go brakowało.

Zacny Toskańczyk wzniósł oczy do nieba i spróbował westchnąć.

— A teraz, kochany panie Cavalcanti, jak to było z tym nieodżałowanym synem? — zagadnął Monte Christo — Mówiono mi bowiem, że pan jesteś kawalerem?

— Tak myślano — wybąkał major. — A ja sam...

— Tak, pan sam nawet potwierdzałeś te pogłoski. Chciał pan zataić przed światem grzech młodości.

Toskańczyk wyprostował się, przybrał minę spokojną i pełną godności — tak godną, jak się tylko dało, spuszczając przy tym jak najskromniej oczy, czy to dlatego, by nie stracić na kontenansie[1137], czy po to, aby dopomóc swojej imaginacji. Jednocześnie cały czas popatrywał na hrabiego, który swoim charakterystycznym uśmiechem objawiał wciąż tę samą życzliwą ciekawość.

— Nie inaczej, panie hrabio. Chciałem ten błąd ukryć przed wszystkimi.

— I to nie przez wzgląd na siebie, bo mężczyzna jest ponad tymi drobiazgami.

— O, nie, nie przez wzgląd na siebie, oczywiście — rzekł major, kiwając z uśmiechem głową.

— Chodziło o matkę dziecięcia.

— Tak, o jego matkę! — zawołał Toskańczyk, biorąc trzeci biszkopt. — O jego biedną matkę!

— Niech pan pije, drogi panie Cavalcanti — tu Monte Christo nalał mu drugą szklankę alicante. — Aż dławi pana wzruszenie.

— O jego matkę! — szepnął Toskańczyk, badając, czy siłą woli nie zdołałby wycisnąć z gruczołów łzowych choć jednej fałszywej łzy.

— Pochodziła podobno z jednej z najświetniejszych włoskich rodzin?

— Patrycjuszka z Fiesole[1138], panie hrabio, patrycjuszka z Fiesole!

— Jak się nazywała?

— Olivia Corsinari.

— Markiza?

— Markiza.

— I w końcu jednak ożeniłeś się pan z nią pomimo oporu rodziny?

— O Boże! Tak, na tym się skończyło.

— I przywiózł pan ze sobą wszystkie potrzebne dokumenty?

— Jakie dokumenty?

— Akt ślubu z Olivią Corsinari i metrykę urodzenia dziecka.

— Metrykę urodzenia dziecka?

— No, metrykę pańskiego syna, Andrei Cavalcantiego.

— Panie hrabio, przyznaję z żalem, że nie wziąłem ich ze sobą, bo nikt mnie nie uprzedził, że powinienem je zabrać

[1137] *kontenans* (daw., z fr.) — pewność siebie, odwaga. [przypis edytorski]

[1138] *Fiesole* — miejscowość w Toskanii. [przypis edytorski]

— A niech to diabli! — zawołał Monte Christo.

— Są aż tak potrzebne?

— Naturalnie: gdyby ktoś wątpił, że pańskie małżeństwo jest ważne, a syn pański jest pańskim legalnym dzieckiem...

— Prawda. Mogłyby powstać jakieś wątpliwości.

— We Francji, jak pan wie, przepisy są bardzo surowe. Nie wystarczy, jak we Włoszech, pójść do księdza i powiedzieć mu: kochamy się, połącz nas. We Francji małżeństwo jest aktem cywilnym i aby zawrzeć takie małżeństwo, trzeba przedstawić dowody tożsamości.

— Co za nieszczęście! Że ja tych papierów nie wziąłem!

— Na szczęście ja je mam.

— Pan hrabia?

— Tak.

— Ach, doprawdy, ależ mamy szczęście! — zawołał Toskańczyk, który sądził, że cel jego podróży został chybiony z braku dokumentów i zląkł się, że przez to mogą wystąpić pewne trudności w sprawie czterdziestu ośmiu tysięcy liwrów. — W ogóle o tym nie pomyślałem.

— Dalibóg, trudno myśleć o wszystkim. Na szczęście ksiądz Busoni pomyślał o tym za pana.

— To człowiek godny podziwu! A więc przysłał panu te papiery?

— Oto one.

Pełen zachwytu Toskańczyk złożył dłonie jak do modlitwy.

— Poślubiłeś pan Olivię Corsinari w kościele Świętej Pauliny de Monte Catini. Oto zaświadczenie kapłana.

— No tak! Coś podobnego! — rzekł major spoglądając ze zdumieniem na zaświadczenie.

— A to metryka chrztu Andrei Cavalcantiego, wydana przez proboszcza w Saravezza.

— Wszystko się zgadza — oznajmił major.

— Weź pan te dokumenty, bo nic mi po nich. Oddasz je synowi, będzie je starannie przechowywał.

— Ja myślę!...

— A teraz, co się tyczy matki tego młodzieńca...

— O Boże! — zawołał Toskańczyk, któremu zdawało się, że co krok pojawia się nowa trudność — jej też będziemy do tego potrzebować?

— O nie, majorze. A zresztą, czyż ona już nie...

— O tak, o tak — wtrącił major.

— Czyż nie spłaciła już długu naturze?...

— Niestety, tak — odparł spiesznie Toskańczyk.

— Wiedziałem o tym — powiedział Monte Christo. — Umarła dziesięć lat temu.

— A ja nadal opłakuję jej śmierć — major wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa i otarł najpierw jedno, potem drugie oko.

— Co robić, wszyscy jesteśmy śmiertelni — pocieszył go Monte Christo. — Teraz rozumie pan, że nie trzeba, aby ktoś we Francji dowiedział się, że byłeś z synem rozłączony przez piętnaście lat. Wszystkie te historyjki o Cyganach porywających dzieci są u nas niemodne. Posłałeś go pan do kolegium, gdzieś na prowincji, a teraz chcesz, aby tę edukację doszlifował w paryskich wyższych sferach. Właśnie dlatego wyjechałeś pan z Viareggio, gdzieś mieszkał od śmierci żony. To wystarczy.

— Tak pan myśli?

— Oczywiście.

— No to świetnie.

— A gdyby ktoś dowiedział się o tej długiej rozłące...

— A tak. Co mam mówić?

— Że zdradziecki preceptor, zaprzedany wrogom pańskiej rodziny...

— Corsinarim?

— Oczywiście... porwał dziecko, aby pańskie nazwisko wygasło. A teraz, skoro już ustaliliśmy wszystko, skoro odświeżyliśmy pańskie wspomnienia i już pana nie zawiodą, domyślasz się pan, że przygotowałem mu niespodziankę.

— Przyjemną?

— O, jak widzę, nie da się oszukać ojcowskiego serca i oka.

— Hmm — odchrząknął major.

— Może ktoś panu coś niedyskretnie powiedział albo po prostu sam pan odgadł, że on tu jest.

— Kto?

— Pańskie dziecko, pański syn, Andrea.

— Tak, domyśliłem się tego — rzekł Toskańczyk z doskonałą flegmą. — Naprawdę tu jest?

— Tak — rzekł Monte Christo. — Lokaj, który tu był, dał mi właśnie znak, że już przybył.

— Ach, to cudownie, cudownie — powtarzał major, dociskając szamerowania czamarki.

— Drogi panie, pojmuję twoje wzruszenie, trzeba ci dać czas, abyś ochłonął. Chcę także przygotować naszego młodego człowieka do tak upragnionego spotkania. Na pewno niecierpliwi się nie mniej niż pan.

— O, na pewno.

— A więc za jakiś kwadransik wrócimy tu do pana.

— A więc przyprowadzisz go pan do mnie? Okażesz aż tyle dobroci, by mi go sam przedstawić?

— Nie, nie mam zamiaru stawać między ojcem i synem. Zostawię was samych, panie majorze. Ale proszę się nie martwić, gdyby głos krwi zamilkł na chwilę, nie pomyli się pan. Wejdzie tymi drzwiami. To piękny blondyn, może trochę zanadto jasny, o ujmujących manierach, zobaczy pan.

— A propos — odezwał się major — wie pan, że miałem ze sobą tylko dwa tysiące franków, które przekazał mi ksiądz Busoni. Wydałem sporo na podróż i...

— Potrzeba panu pieniędzy... Nic oczywistszego, panie Cavalcanti. Proszę, osiem tysięcy franków akonto[1139].

Oczy majora zabłysły jak karbunkuły.

— Winien jestem panu jeszcze czterdzieści tysięcy franków — rzekł Monte Christo.

— Czy dać ekscelencji pokwitowanie? — spytał major, chowając banknoty do wewnętrznej kieszonki czamary.

— A po co?

— Żeby miał pan hrabia dowód dla księdza Busoniego.

— No, to dasz pan pokwitowanie na całą sumę, kiedy już dostaniesz pozostałe czterdzieści tysięcy. Pomiędzy ludźmi uczciwymi niepotrzebne są takie środki ostrożności.

— A, tak, pomiędzy ludźmi uczciwymi — zawtórował major.

— I jeszcze jedno słówko.

— Ależ słucham.

— Otóż byłoby dobrze, gdybyś pan rozstał się z tą czamarką.

— Doprawdy? — zdumiał się major, patrząc na czamarkę z pewnym upodobaniem.

— Tak właśnie. To się może jeszcze nosi w Viareggio, ale w Paryżu taki strój, choć bardzo elegancki, wyszedł już z mody.

— Ale co tu mam na siebie włożyć?

— To, co pan ma w swoich kufrach.

— W jakich kufrach? Mam ze sobą tylko tłumoczek[1140].

— Przy sobie, oczywiście. Po co się obarczać bez potrzeby? A zresztą, taki stary żołnierz lubi podróżować na lekko.

— I właśnie dlatego...

[1139] *akonto* (z wł. *a conto*) — zaliczka. [przypis edytorski]

[1140] *tłumoczek* — tobołek. [przypis edytorski]

— Ale pan jesteś człowiekiem przezornym i wysłałeś swoje kufry wcześniej. Przybyły wczoraj do Hotelu Książęcego przy ulicy Richelieu. Przecież tam zamówiłeś pan sobie apartament.

— To w tych kufrach?...

— Mniemam, że kazał pan lokajowi włożyć tam wszystko, co się może panu przydać: ubrania cywilne, mundury. Przy ważnych okazjach ubierzesz pan oczywiście mundur. Proszę nie zapominać o orderze. We Francji wszyscy się z tego śmieją, ale kto tylko może, zawsze je nosi.

— Znakomicie, znakomicie, znakomicie! — powtarzał major zaskakiwany wciąż czymś nowym.

— A teraz — rzekł Monte Christo — skoro przygotował pan już serce na żywsze wzruszenia, proszę szykować się na spotkanie z synem.

I ukłoniwszy się z wdziękiem oszołomionemu z radości Toskańczykowi, zniknął za drzwiami.

55. ANDREA CAVALCANTI

Monte Christo wszedł do błękitnego salonu, gdzie czekał już nań młody człowiek dość elegancko ubrany, o swobodnej postawie, który wysiadł pół godziny wcześniej przed bramą pałacu z wynajętego kabrioletu[1141].

Baptysta łatwo go poznał; rysopis dany mu przez hrabiego zgadzał się co do joty: młody, wysoki, jasnowłosy, z rudawą bródką, czarnym okiem, o nadzwyczaj bladej skórze i rumianych policzkach.

Spostrzegłszy Monte Christa, podniósł się żywo.

— Czy to pan jesteś hrabią de Monte Christo?

— Tak — odparł Monte Christo. — A ja mam zapewne zaszczyt z wicehrabią Andreą Cavalcantim?

— Z wicehrabią Andreą Cavalcantim — powtórzył młodzieniec, kłaniając się dość nonszalancko.

— Musisz pan mieć przy sobie list, który mi pana poleca?

— Nic o nim jeszcze nie mówiłem, gdyż podpis wydaje mi się naprawdę dziwny.

— Sindbad Żeglarz, prawda?

— A tak. Ponieważ zaś znam tylko jednego Sindbada Żeglarza, tego z *Tysiąca i jednej nocy*...

— No cóż, to jeden z jego potomków, a mój przyjaciel, bardzo bogaty Anglik, oryginał, prawie wariat; naprawdę nazywa się lord Wilmore.

— A, teraz rozumiem wszystko. Tak, wszystko jest w porządku. Właśnie tego samego Anglika poznałem w... tak, doskonale!... Jestem więc na rozkazy pana hrabiego.

— Jeśli to prawda, coś mi pan raczył powiedzieć — uśmiechnął się hrabia — mam nadzieję, że będziesz tak łaskaw i opowiesz mi trochę o sobie i swojej rodzinie.

— Chętnie, panie hrabio — i młodzieniec jął opowiadać z płynnością, która dowodziła, że ma znakomitą pamięć.

— Jestem wicehrabią Andreą Cavalcantim, synem majora Bartolomea Cavalcantiego wywodzącego się z rodu zapisanego we florenckiej złotej księdze. Choć nasza rodzina jest bardzo bogata — ojciec ma pół miliona renty — wiele wycierpiała. Ja sam, panie hrabio, zostałem porwany w wieku pięciu lat przez zdradzieckiego guwernera[1142] i od piętnastu lat nie widziałem się z ojcem. Odkąd zacząłem myśleć jak człowiek dorosły, gdy osiągnąłem pełnoletniość i stałem się panem samego siebie, szukam go wszędzie, ale bezskutecznie. Dopiero pański przyjaciel Sindbad doniósł mi w liście, że ojciec jest w Paryżu, i upoważnił mnie, abym się udał do pana po dalsze informacje.

— Istotnie, mój panie, to, co mi pan opowiadasz, jest bardzo ciekawe — rzekł hrabia, wpatrując się z ponurym zadowoleniem w tę nonszalancką twarz, przypominającą z urody upadłego anioła. — Dobrześ pan uczynił, że się tak we wszystkim zastosowałeś do rad Sindbada: ojciec pański rzeczywiście tu jest i szuka pana.

[1141] *kabriolet* (daw.) — lekki jednokonny dwukołowy powóz ze składaną budą. [przypis edytorski]

[1142] *guwerner* (z fr. *gouverner*: zarządzać, kierować) — prywatny nauczyciel, wychowawca. [przypis edytorski]

Hrabia od chwili wejścia do salonu nie spuszczał młodzieńca z oka. Był pełen podziwu dla pewności, jaką okazywał w spojrzeniu i w głosie; ale gdy padły tak naturalne słowa: „ojciec pański rzeczywiście tu jest i szuka pana", Andrea podskoczył i wykrzyknął:

— Mój ojciec! Mój ojciec tutaj?!

— No tak — odparł Monte Christo — pański ojciec, major Bartolomeo Cavalcanti.

Przestrach znikł natychmiast z twarzy młodzieńca, jak starty gąbką.

— A tak, tak — odetchnął. — Major Bartolomeo Cavalcanti. I mówi pan hrabia, że mój kochany ojciec tu jest?

— Tak, drogi panie. Dodam, że tylko co się z nim rozstałem, a to, co mi opowiadał o swoim utraconym synku, mocno mnie przejęło. Naprawdę, jego cierpienie, obawy, nadzieje mogłyby stworzyć wzruszający poemat. Wreszcie pewnego razu otrzymał wiadomość, że ci, co porwali mu syna, mogą mu go oddać lub wskazać, gdzie się znajduje za dość znaczną sumę. Ale zacny ojciec nie cofnąłby się przed niczym. Wysłał te pieniądze na granicę piemoncką — razem z paszportem opatrzonym we wszystkie potrzebne wizy do Włoch. Bo przebywałeś pan przecież w południowej Francji, dobrze mi się wydaje?

— Tak — odparł Andrea, cokolwiek zakłopotany — przebywałem właśnie w południowej Francji.

— Powóz miał na pana czekać w Nicei?

— Tak, panie hrabio. Z Nicei pojechałem do Genui, z Genui do Turynu, z Turynu do Chambery, z Chambery do Pont-de-Beauvoisin, a stamtąd do Paryża.

— No proszę! Ojciec wyznaczył panu tę trasę, bo i sam tamtędy jechał i miał nadzieję, że się spotkacie po drodze.

— Ale nawet gdybyśmy się spotkali, wątpię, czy mój kochany ojciec by mnie poznał. Troszeczkę się zmieniłem od czasu, gdy widzieliśmy się po raz ostatni.

— Ale jest przecież głos krwi — zareplikował Monte Christo.

— Aha, no tak, nie pomyślałem o głosie krwi.

— A teraz jedna tylko rzecz niepokoi markiza Cavalcantiego: co pan robiłeś w czasie tej rozłąki? Jak obchodzili się z tobą prześladowcy? Czy przestrzegali względów, jakie ci się należały z uwagi na urodzenie? Czy wreszcie cierpienia duchowe, tysiąckroć gorsze od cierpień fizycznych, nie nadwyrężyły u pana zdolności, jakimi obdarzyła pana natura i czy czujesz się pan w stanie godnie reprezentować w świecie swój ród?

— Panie hrabio — wyjąkał oszołomiony młodzieniec — mam nadzieję, że żadna fałszywa plotka...

— Ależ usłyszałem o panu po raz pierwszy od mego przyjaciela, lorda Wilmore'a, filantropa. Wiem od niego, że znalazł pana w bardzo trudnej sytuacji, nie wiem, o co chodziło, i nie pytałem go o nic, nie jestem wścibski. Zainteresowały go pańskie nieszczęścia, a więc był pan godzien zainteresowania. Powiedział mi, że chce panu zwrócić pozycję, jaką pan stracił, że poszuka pańskiego ojca, że go odnajdzie; i zdaje się, że go znalazł, skoro pański ojciec tu jest. Wreszcie wczoraj uprzedził mnie o pańskim przyjeździe, dając mi jednocześnie pewne instrukcje co do pańskiego majątku; ot, i wszystko. Wiem, że lord to oryginał, ale jest zarazem człowiekiem, na którym można polegać, a bogatym jak kopalnia złota — i może sobie pozwolić na takie dziwactwa bez obawy, że go zrujnują. Toteż obiecałem, że zastosuję się do jego instrukcji. Proszę mi więc nie mieć za złe tego pytania: będę musiał panu nieco patronować i dlatego chciałbym wiedzieć, czy nieszczęścia, których przecież nie jest pan winien i które nie umniejszają w niczym szacunku, jaki do pana żywię, nie sprawiły, że stał się pan w pewnym sensie obcy światu, w którym miał pan zrobić tak świetną karierę dzięki fortunie i nazwisku.

— Panie hrabio — odpowiedział młodzieniec, który w miarę, jak mówił hrabia, odzyskiwał poprzednią pewność siebie — jeśli o to chodzi, możesz pan być zupełnie spokojny. Porwano mnie ojcu z pewnością po to, aby mu później mnie odsprzedać, co też i uczynili. Dlatego wykalkulowali sobie, że aby uzyskać za mnie lepszą cenę, należało podwyższyć moją wartość. Otrzymałem więc dość staranną edukację. Traktowano mnie jak owych niewolników w Azji Mniejszej, których panowie uczyli gramatyki, medycyny i filozofii, aby następnie sprzedać ich drożej w Rzymie.

Monte Christo uśmiechnął się z zadowoleniem. Chyba nie spodziewał się aż tyle po panu Andrei Cavalcantim.

— Gdyby zresztą — dodał młodzieniec — w moim wychowaniu ujawniły się jakieś usterki albo raczej w moim obyciu, mam nadzieję, że świat będzie miał dla mnie trochę pobłażliwości, zważywszy na nieszczęścia, jakie mnie spotkały w dzieciństwie i w młodości.

— No cóż, zrobi pan tak, jak się panu będzie podobało — odparł niedbale Monte Christo. — Jesteś panem własnej woli, to wszystko tylko pana dotyczy; ale przysięgam, że nie powiedziałbym na pańskim miejscu ani słowa o tych przygodach. Pańska historia to romans, a świat, który uwielbia romanse w żółtych okładkach, jakoś nie chce ufać tym, które stanowią żywy welin[1143], nawet jeżeli miałby on takie złocenia, jak pan. To jest trudność, którą pozwalam sobie panu zasygnalizować. Zaledwie opowie pan komuś tę wzruszającą historię, a już pomknie w świat zupełnie zniekształcona. Byłby pan takim pozerem, jak Anthony, a czasy Anthony'ego już trochę przebrzmiały. Być może dzięki temu wszyscy by się panem zainteresowali, ale nie wszyscy lubią być w centrum uwagi i przedmiotem komentarzy. W końcu by to pana zmęczyło.

— Chyba ma pan słuszność — odparł młodzieniec, blednąc pod przenikliwym spojrzeniem Monte Christa. — Bardzo by mi to przeszkadzało.

— Och, ale nie trzeba też przesadzać, bo wtedy, aby uniknąć błędu, popadlibyśmy w jakiś obłęd. Nie, trzeba tylko ustalić prosty plan postępowania. A człowiekowi tak inteligentnemu jak pan będzie się tym łatwiej do niego zastosować, że jest on zgodny z pańskim interesem. Musi mieć pan jakieś dowody i nawiązać przyjaźń z ludźmi godnymi szacunku, aby przeważyło to nad tym, co w pańskiej przeszłości jest niezbyt jasne.

Andrea wyraźnie stracił kontenans.

— Chętnie zaświadczałbym za pana — ciągnął Monte Christo — ale mam w zwyczaju nie tylko wątpić o moich najlepszych przyjaciołach, ale nawet starać się, by inni o nich wątpili. Dlatego też odegrałbym tu rolę niezgodną z moim charakterem, jak mówią dramatopisarze, i naraziłbym się na wygwizdanie, czego sobie wcale nie życzę.

— Ale, panie hrabio, przez wzgląd na lorda Wilmore, który mnie polecił panu hrabiemu... — rzekł zuchwale Andrea.

— No tak, ale lord Wilmore nie ukrywał przede mną, kochany panie Andreo, że pańska młodość była dość burzliwa. Och — rzekł hrabia, widząc, że Andrea drgnął niespokojnie — bynajmniej nie żądam od pana spowiedzi. Zresztą właśnie dlatego, aby nie musiał pan szukać jakiegoś obcego protektora, posłano do Lukki po pańskiego ojca, markiza Cavalcantiego. Zaraz się pan z nim zobaczy. Jest może trochę sztywny, trochę sztuczny, ale to sprawka munduru. Kiedy wszyscy dowiedzą się, że służy od osiemnastu lat w armii austriackiej, wszystko będzie jasne; zazwyczaj nie wymagamy zbyt wiele od Austriaków. Podsumowując, zupełnie wystarczy panu ten ojciec.

— O, uspokaja mnie pan. Rozstaliśmy się tak dawno, że nie zostało mi o nim nawet jedno wspomnienie.

— A poza tym wie pan, że dużo wybacza się osobom o wielkim majątku.

— To mój ojciec jest naprawdę tak bogaty?

— Jest milionerem... pięćset tysięcy liwrów renty.

— A więc — zapytał młodzieniec — znajdę się w dość... przyjemnej sytuacji?

— Drogi panie, w najprzyjemniejszej. Ojciec da panu pięćdziesiąt tysięcy liwrów rocznie, póki będziesz pan w Paryżu.

— W takim razie zostanę tu na zawsze.

— Hm, kto może ręczyć za to, co się kiedyś stanie, drogi panie? Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

Andrea westchnął.

— Jeżeli jednak przez czas mojego pobytu w Paryżu nie zdarzy się nic, co by mnie zmusiło do wyjazdu, będę na pewno otrzymywał te pieniądze?

— Ależ oczywiście.

— Od ojca osobiście? — zaniepokoił się Andrea.

— Tak, ale sumę tę zagwarantował panu lord Wilmore, który na prośbę pańskiego ojca otworzył panu kredyt, w wysokości pięciu tysięcy franków miesięcznie, u pana Danglarsa, jednego z najpewniejszych bankierów w Paryżu.

— A mój ojciec długo zamierza zabawić w Paryżu? — zapytał Andrea z niepokojem.

[1143] *welin* — rodzaj wysokiej jakości cienkiego pergaminu z cielęcej skóry. [przypis edytorski]

— Tylko kilka dni. Obowiązki nie pozwalają mu na wyjazdy dłuższe niż dwa do trzech tygodni.

— Kochany ojczulek! — westchnął Andrea wyraźnie uradowany rychłym odjazdem.

— Dlatego też nie chciałbym — rzekł Monte Christo, udając, że nie poznał się na prawdziwym znaczeniu słów Andrei — opóźniać dłużej waszego spotkania. Jesteś pan gotów uściskać zacnego pana Cavalcantiego?

— Chyba pan w to nie wątpi?

— No to proszę wejść do salonu, drogi przyjacielu. Ojciec czeka tam na pana.

Andrea skłonił się głęboko i wszedł do salonu.

Hrabia odprowadził go wzrokiem, a gdy młodzieniec znikł za drzwiami, nacisnął ukrytą sprężynę; w jednym z obrazów płótno odchyliło się od ramy, tworząc szparę, przez którą można było obserwować, co się dzieje w salonie.

Andrea zamknął za sobą drzwi i podszedł do majora, który wstał na odgłos kroków.

— Ach, panie ojcze, ojcze najdroższy! — zawołał Andrea tak głośno, aby hrabia mógł to usłyszeć przez zamknięte drzwi — czy to naprawdę ty?

— Witaj, ukochany synu — rzekł z powagą major.

— Po tak długiej rozłące, cóż to za radość, że możemy się znów spotkać! — mówił Andrea, popatrując wciąż w stronę drzwi.

— Jak sobie życzysz, synu.

I mężczyźni uściskali się tak, jak to się robi w Teatrze Francuskim — to znaczy padli sobie sztywno i z rozmachem w ramiona.

— I już nigdy się nie rozłączymy, prawda?

— Ależ oczywiście. Ale zdaje mi się, synku, że uważasz teraz Francję za swoją drugą ojczyznę?

— Prawdą jest, że byłbym zrozpaczony, gdybym musiał opuścić Paryż.

— A ja, rozumiesz, mogę żyć tylko w Lukce. Wracam więc jak najprędzej do Włoch.

— Ale przed odjazdem, kochany ojcze, oddasz mi na pewno dokumenty, za pomocą których łatwo mi będzie dowieść mojego pochodzenia?

— Ależ tak, właśnie dlatego przyjechałem, zbyt wiele trudów to wymagało, aby cię odnaleźć i oddać ci je, byśmy mieli znów zacząć się szukać. Zajęłoby mi to resztę życia.

— A gdzież te papiery?

— Oto i one.

Andrea porwał chciwie akt ślubu ojca i swoją metrykę chrztu, a rozłożywszy je ze skwapliwością naturalną u dobrego syna, przebiegł błyskawicznie wzrokiem oba dokumenty, co świadczyło o wprawnym oku i najżywszej ciekawości.

Gdy skończył, twarz rozświetliła mu niewypowiedziana radość; spojrzał na majora z dziwnym uśmiechem i zagadnął:

— Coś podobnego — i w jego ustach zabrzmiała czysta toskańska mowa — czyżby we Włoszech nie było galer?

Major wyprostował się.

— Skąd to pytanie?

— No, jeżeli fabrykuje się tam bezkarnie podobne dokumenty! Za jeden taki papierek, mój kochany ojczulku, posłano by cię we Francji na lat pięć świeżego powietrza do Tulonu.

— Co proszę? — oburzył się Toskańczyk, usiłując zachować majestatyczną minę.

— Kochany panie Cavalcanti — rzekł Andrea i uścisnął znacząco ramię majora — ile ci płacą, abyś był moim ojcem?

Major zaczerpnął tchu do odpowiedzi.

— Ćśś! — rzekł Andrea, zniżając głos — ja pierwszy dam ci dowód zaufania. Dają mi pięćdziesiąt tysięcy franków rocznie, abym był twoim synem. Rozumiesz pan więc, że byłbym ostatnią osobą, która przeczyłaby, że jest pan moim ojcem.

Major rozejrzał się wokół z niepokojem.

— E, niech się pan nie boi, jesteśmy sami — rzekł Andrea. — Zresztą mówimy po włosku.

— No, to mnie dają jednorazowo pięćdziesiąt tysięcy franków — oświadczył Toskańczyk.

— Panie Cavalcanti, wierzy pan w bajki?
— Do tej pory nie wierzyłem, ale teraz chyba muszę zacząć.
— A więc ma pan dowody?
Major wyjął z zanadrza garść złota.
— I to namacalne, jak pan widzi.
— I sądzisz pan, że mogę wierzyć obietnicom, jakie mi dają?
— Tak mi się zdaje.
— I ten zacny hrabia dotrzyma słowa?
— Co do joty. Ale rozumiesz pan, aby dotrzymał, musimy dobrze odegrać nasze role.
— Kim są ci „oni"?
— Do licha, bo ja wiem? Ci, którzy napisali do pana. Nie otrzymałeś pan listu?
— No tak.
— I co było w tym liście?
— A nie zdradzisz mnie pan?
— O, na pewno nie, nasze interesy się pokrywają.
— No to niech pan czyta.
I major podał list młodzieńcowi.
Andrea przeczytał półgłosem:

Jesteś ubogi. Czeka Cię nieszczęśliwa starość. Czy chciałbyś pan, jeśli nawet nie zostać bogatym, to przynajmniej uzyskać niezależność?

Jedź natychmiast do Paryża, udaj się do hrabiego de Monte Christo (Pola Elizejskie 30) i zapytaj go o syna, którego miałeś z markizą Corsinari, a którego porwano, gdy miał pięć lat.

Syn ten nazywa się Andrea Cavalcanti.

Abyś nie miał pan wątpliwości, jeśli idzie o dobre chęci niżej podpisanego, załączam:

1. Bon na dwa tysiące czterysta lirów[1144] toskańskich, płatny u pana Gozzi we Florencji;

2. List rekomendacyjny do pana hrabiego de Monte Christo, u którego otwieram panu kredyt w wysokości czterdziestu ośmiu tysięcy franków.

Przyjdź do hrabiego 26 maja o siódmej wieczorem.

Podpisano:

Ksiądz Busoni.

— Dostałem niemal identyczny list.
— Od księdza Busoniego?
— Nie. Od jakiegoś Anglika, lorda Wilmore'a, który używa przydomku Sindbad Żeglarz.
— Widziałeś go pan?
— Raz w życiu.
— Gdzie?
— A, właśnie tego nie chcę panu powiedzieć. Nie może pan wiedzieć tyle, co ja.
— No, a co było w tym pańskim liście?
— Czytaj pan.

Jesteś pan biedny, masz przed sobą nędzną przyszłość. Chcesz zdobyć pozycję, być wolnym i bogatym?

— Do licha! — wtrącił młodzieniec, kołysząc się na piętach — po co w ogóle pytać o takie rzeczy!

Wsiądź do dyliżansu pocztowego, który będzie na Ciebie czekać gotowy przy wyjeździe z Nicei za rogatką genueńską. Pojedziesz przez Turyn, Chambery i Pont-de-Beauvoisin.

[1144] *lir* — daw. wł. waluta. [przypis edytorski]

26 maja o siódmej wieczorem staw się u hrabiego de Monte Christo (Pola Elizejskie) i zapytaj go o Twego ojca.

Jesteś synem markiza Bartolomea Cavalcantiego i markizy Olivii Corsinari, jak to stwierdzają dokumenty, które Ci doręczy markiz. Dzięki nim będziesz mógł występować pod tym nazwiskiem na paryskich salonach.

Dochód w wysokości pięćdziesięciu tysięcy franków rocznie pozwoli ci na życie zgodne z Twoją pozycją.

Załączam bon na pięć tysięcy franków, płatny u pana Ferrea, bankiera w Nicei, i list polecający do hrabiego de Monte Christo. Zobowiązałem hrabiego, aby zaspokajał pańskie potrzeby.

Sindbad Żeglarz

— Widziałeś się pan z hrabią?

— Właśnie przed chwilą.

— I co, potwierdził?

— Tak, wszystko.

— Ktoś tutaj jest na pewno robiony w konia.

— W każdym razie to chyba ani ja, ani pan, prawda?

— Nic nas to nie obchodzi, nieprawdaż?

— No właśnie, to samo chciałem powiedzieć. Grajmy do końca, ale ostrożnie.

— Dobrze. Zobaczysz pan, że jestem godzien, aby być pańskim partnerem.

Monte Christo wybrał tę chwilę, aby wejść do salonu.

Słysząc jego kroki, ojciec i syn rzucili się sobie w objęcia; tak zastał ich hrabia.

— I cóż, panie markizie? — spytał Monte Christo. — Zdaje mi się, że odnaleziony syn przypadł panu do serca?

— O, panie hrabio! Z radości aż zaparło mi dech w piersiach!

— A pan, młodzieńcze?

— O, panie hrabio, ze szczęścia odjęło mi mowę!

— Szczęśliwy ojciec! Szczęśliwy syn! — wzruszył się hrabia.

— Smuci mnie tylko jedno — odezwał się major — że muszę tak prędko opuścić Paryż.

— O, drogi panie Cavalcanti — rzekł Monte Christo — zanim pan odjedziesz, mam nadzieję, że pozwolisz, abym cię przedstawił kilku moim przyjaciołom.

— Jestem na rozkazy pana hrabiego.

— A teraz, młody człowieku, wyspowiadaj się.

— Ale przed kim?

— No, przed ojcem. Powiedz mu cokolwiek o stanie twoich finansów.

— Tam do diabła! — zafrasował się Andrea. — Dotykasz pan delikatnej struny.

— Słyszy pan, majorze? — zagadnął Monte Christo. — Twoje ukochane dziecko mówi, że potrzeba mu pieniędzy.

— Cóż ja na to poradzę?

— Do licha, dasz mu je pan!

— Ja?

— No tak, pan.

Monte Christo stanął pomiędzy obu panami.

— Masz — rzekł, wsuwając Andrei do ręki plik banknotów.

— Co to?

— Odpowiedź twojego ojca.

— Mojego ojca?

— No tak. Przecież dałeś mu do zrozumienia, że potrzebujesz pieniędzy?

— Tak. I co z tego?

— To z tego, że pański ojciec poprosił, abym przekazał to panu.

— Zaliczka na poczet moich dochodów? O, kochany ojcze!

— Bądź pan cicho, widzisz przecież, że nie chce, abyś wiedział, że to od niego.

— Doceniam jego delikatność — rzekł Andrea, chowając bilety bankowe do kieszeni spodni.

— Dobrze — odparł Monte Christo — a teraz się pożegnamy.

— A kiedy będziemy mieli znów zaszczyt ujrzeć pana hrabiego? — zapytał Cavalcanti.

— A, tak. Kiedy będziemy mieli ten zaszczyt? — powtórzył Andrea.

— W sobotę, jeśli już jesteście panowie tak mili... no tak... w sobotę. Będę miał na obiedzie w domu przy ulicy de la Fontaine 28 w Auteuil kilka osób, między innymi pana Danglarsa, pańskiego bankiera. Przedstawię mu panów: musicie się przecież poznać, macie wspólne rachunki.

— W stroju galowym? — spytał półgłosem major.

— W stroju galowym: mundur, pludry, order.

— A ja? — zapytał Andrea.

— O, pan jak najskromniej. Czarne spodnie, lakierki, biała kamizelka, frak czarny albo granatowy, halsztuk. Do tego polecam panu firmę Blin albo Véronique. Jeśli nie zna pan adresów, proszę się zwrócić do Baptysty. Jesteś pan bogaty — im mniej będziesz okazywał pretensjonalności w ubiorze, tym lepsze wrażenie pan zrobisz. Jeśli zechcesz pan kupić konie, idź pan do pana Devedeux. Faeton[1145] możesz pan kupić w wozowni Baptiste.

— O której godzinie mamy się stawić? — spytał młodzieniec.

— Och, około wpół do siódmej.

Panowie Cavalcanti pożegnali hrabiego i wyszli.

Hrabia podszedł do okna: szli pod rękę przez dziedziniec.

— To dopiero wyjątkowe łotry — szepnął do siebie. — Co za szkoda, że nie są naprawdę ojcem i synem!

Na chwilę zatonął w posępnych myślach, po czym rzekł:

— Pójdę do Morrelów. Mdli mnie od niesmaku jeszcze bardziej niż od nienawiści.

56. POLE LUCERNY

Niech czytelnicy zgodzą się, byśmy wrócili na pole graniczące z pałacem pana de Villeforta; przy bramie osłoniętej gałęziami kasztanów spotkamy osoby znane nam już dobrze.

Tym razem Maksymilian stawił się pierwszy.

Przylgnąwszy okiem do szpary, wypatruje, czy w głębi ogrodu nie przemknie się między drzewami jakiś cień, nasłuchuje, czy jedwabny trzewiczek nie zazgrzyta na piasku alejki.

Wreszcie zaskrzypiały tak upragnione kroki, ale zamiast jednego cienia, ukazały się dwa.

Valentine spóźniła się, ponieważ pani Danglars i Eugenia przedłużyły wizytę aż do godziny, na którą się umówili. Aby nie uchybić schadzce, dziewczyna zaproponowała Eugenii spacer po ogrodzie; chciała w ten sposób pokazać Maksymilianowi, że nie z jej winy nastąpiło to spóźnienie, bo przecież już na pewno się tym martwił.

Młody człowiek zrozumiał wszystko — zakochanych cechuje szczególna, działająca błyskawicznie intuicja — i poczuł, że kamień spadł mu z serca.

A poza tym Valentine, kierowała spacerem tak, że Maksymilian mógł widzieć, jak przechadzają się tam i z powrotem, a za każdym razem, gdy przechodziły tuż obok, rzucała w kierunku bramy spojrzenia, których nie dostrzegała Eugenia, ale przechwytywał Maksymilian. Spojrzenia te zdawały się mówić:

— Kochany, bądź cierpliwy, widzisz, że to nie moja wina.

I Maksymilian starał się zachować cierpliwość, podziwiając jednocześnie kontrast między urodą obu panien — jasnowłosej, o tęsknym spojrzeniu, lekko pochylonej jak wdzięczna iwa[1146], i czarnowłosej, o wejrzeniu dumnym, a wyniosłej jak topola.

Po półgodzinnym spacerze dziewczęta odeszły; Maksymilian zrozumiał, że odwiedziny pani Danglars dobiegały końca.

Istotnie, po chwili znów pojawiła się Valentine, tym razem sama. Z obawy, aby czyjeś niepożądane oczy nie zaciekawiły się tym powrotem, szła wolniutko, przyglądając się

[1145] *faeton* — tu: niezadaszony pojazd konny, najczęściej dwuosobowy. [przypis edytorski]

[1146] *iwa* — gatunek wierzby. [przypis edytorski]

uważnie kępom drzew i krzewów oraz penetrując wzrokiem alejki, a zamiast skierować się prosto ku bramie, usiadła najpierw na ławeczce.

A wreszcie podbiegła do kraty.

— Witaj, kochana moja!

— Witaj, Maksymilianie. Musiałeś czekać, ale widziałeś, dlaczego.

— Tak, rozpoznałem pannę Danglars. Nie myślałem, że się aż tak przyjaźnicie.

— A któż ci powiedział, że się przyjaźnimy?

— Nikt; wydało się tylko, że tak się zachowujecie. Spacerowałyście, trzymając się pod ramię, a rozmawiałyście tak, jak dwie przyjaciółki z pensji, które się sobie zwierzają.

— No tak, zwierzałyśmy się — rzekła Valentine. — Eugenia przyznała mi się, jaki wstręt czuje do małżeństwa z panem de Morcerfem, a ja przyznałam się, że ślub z panem d'Epinayem będzie dla mnie strasznym nieszczęściem.

— Kochana moja!

— I dlatego, mój miły, wydało ci się, że nie ma między nami żadnego dystansu. Przecież mówiąc o człowieku, którego nie mogę kochać, myślałam o człowieku, którego kocham.

— Ależ ty jesteś dobra, Valentine! I masz w sobie coś, czego panna Danglars nigdy nie będzie miała: jakiś nieokreślony czar, który jest u kobiety tym, czym zapach dla kwiatu, a słodycz dla owocu. Bo to za mało, jeśli kwiat czy owoc są tylko piękne.

— Kochany, patrzysz tak na to wszystko, bo miłość przysłania ci wzrok.

— O nie, przysięgam ci. No, na przykład przypatrywałem się wam obu i przysięgam, oddawałem sprawiedliwość urodzie panny Danglars, ale trudno mi było przypuścić, że ktoś mógłby się w niej zakochać.

— No właśnie, bo ja tam byłam i to cię zaślepiało, kochany.

— Nie... ale powiedz mi... a pytam z czystej ciekawości; obudziły ją we mnie pewne poglądy, jakie sobie wyrobiłem o pannie Danglars.

— Na pewno niesprawiedliwe, chociaż nie wiem, jakie. Kiedy wydajecie sądy o nas, biednych kobietach, nie możemy liczyć na pobłażliwość.

— No tak, za to same o sobie wydajecie bardzo sprawiedliwe sądy!

— Bo niemal zawsze w naszych opiniach biorą udział żywe uczucia. Ale o co chciałeś zapytać?

— Czy panna Danglars obawia się małżeństwa z panem de Morcerfem dlatego, że kogoś kocha?

— Ależ mówiłam ci, że nie jestem przyjaciółką Eugenii.

— E, wy, dziewczęta, choć nie jesteście przyjaciółkami, i tak robicie sobie zwierzenia. Przyznaj się, że zapytałaś ją o to? Aha, widzę, że się uśmiechasz!

— O, to znaczy, że przenikasz wzrokiem deski?

— No, co ci powiedziała?

— Powiedziała, że nie kocha nikogo, że ma w ogóle wstręt do małżeństwa; że pragnie prowadzić życie spokojne i niezależne, a nawet wolałaby niemal, by jej ojciec stracił cały majątek, byle mogła zostać artystką taką, jak jej przyjaciółka, panna Luiza d'Armilly.

— No i widzisz!

— No, ale czego to ma dowodzić?

— Niczego — odpowiedział Maksymilian z uśmiechem.

— No to dlaczego się uśmiechasz?

— Widzisz? Ty też przenikasz wzrokiem te deski.

— Mam sobie pójść?

— O nie, nie! To już lepiej mówmy o tobie.

— Oj, dobrze, zostało nam tylko dziesięć minut.

— O Boże! — zawołał zmartwiony Maksymilian.

— Tak, Maksymilianie — rzekła melancholijnie Valentine — wybrałeś sobie nie najlepszą kochankę. Biedaku, na jakie życie cię narażam, a ty przecież tak zasługujesz na szczęście! Uwierz, gorzko to sobie wyrzucam.

— Miła moja, nie martw się tym, ja i tak jestem szczęśliwy. To ciągłe oczekiwanie wynagradza mi, że cię widzę przez pięć minut, że powiesz do mnie parę słów. Wynagradza mi to głębokie, niezmienne przekonanie, że Bóg nie stworzył jeszcze dwóch serc, które by tak do siebie pasowały, i że nie po to nas połączył, aby nas potem rozłączyć.

— Dziękuję, wierz w to za nas oboje, kochany. Czuję się w połowie szczęśliwa.

— A co się stało, że musisz tak szybko uciekać?

— Nie wiem; macocha kazała mi wstąpić do siebie, chce mi powiedzieć coś o moim majątku. Dobry Boże! Niech sobie wezmą ten mój majątek, i tak jestem zbyt bogata, niech mi tylko zostawią spokój i wolność. Przecież kochałbyś mnie tak samo, gdybym była biedna, prawda?

— O, ja cię zawsze będę kochał. Byleby tylko moja Valentine była przy mnie i bylebym miał pewność, że nikt mi jej nie zabierze: reszta jest nieważna! Ale czy ona ci aby nie chce powiedzieć czegoś nowego o twoim ślubie?

— Nie sądzę.

— Ale posłuchaj, najdroższa i nie bój się, bo póki tylko będę żyć, nie spojrzę na inną kobietę...

— Myślisz, Maksymilianie, że uspokajasz mnie, mówiąc w taki sposób?

— Daruj, masz rację, brutal ze mnie. No więc chciałem ci powiedzieć, że spotkałem się ostatnio z panem de Morcerfem.

— I co dalej?

— Jak wiesz, Franz to jego przyjaciel.

— Tak, no i co?

— No i dostał właśnie list, w którym Franz pisze o swoim rychłym powrocie.

Valentine zbladła i oparła rękę o bramę.

— O Boże — wyszeptała — a jeżeli o to chodzi? Ale nie, gdyby chodziło o to, to nie macocha by mi o tym powiedziała.

— A to czemu?

— Czemu... sama nie wiem... ale zdaje mi się, że chociaż macocha nie sprzeciwia się otwarcie temu małżeństwu, ale nie jest z niego zadowolona.

— No, moja miła, zacznę chyba uwielbiać twoją macochę.

— Nie spiesz się tak, Maksymilianie — odparła Valentine ze smutnym uśmiechem.

— No bo w końcu, jeśli żywi taką niechęć do tego mariażu, że gotowa byłaby go zerwać, może wysłuchałaby przychylnie innych oświadczyn.

— Nie łudź się. Nie chodzi jej o osobę męża, ona po prostu nie chce, bym wyszła za mąż.

— Jak to? Jeżeli do tego stopnia nie cierpi małżeństwa, dlaczego sama wyszła za mąż?

— Nie rozumiesz mnie. Rok temu, kiedy mówiłam, że chętnie wstąpiłabym do klasztoru, macocha wysunęła parę zastrzeżeń — bo powinna była to zrobić — ale przyjęła mój pomysł z radością. Nawet mój ojciec na to przystał, na pewno za jej podszeptem. Powstrzymywał mnie przed tym tylko mój biedny dziadek. Maksymilianie, nie wyobrażasz sobie nawet, ile potrafi wyrazić wzrok staruszka, który na całym świecie tylko mnie kocha i — Boże, wybacz, jeśli to bluźnierstwo — którego tylko ja kocham. Gdybyś wiedział, jak spojrzał na mnie, gdy się dowiedział o tym zamiarze, ile w tym wzroku było wyrzutu, ile rozpaczy wyrażały łzy, które popłynęły mu po nieruchomej twarzy! O, kochany, poczułam straszne wyrzuty sumienia, rzuciłam mu się do kolan i zawołałam: „przebacz, przebacz, dziadziu! Niech robią ze mną, co chcą, nigdy cię nie opuszczę". I wtedy wzniósł oczy do nieba... Maksymilianie, wiele mogę wycierpieć; to spojrzenie dziadka z góry wynagrodziło mi wszystkie cierpienia.

— Valentine, jesteś aniołem! Ale powiedz mi, jaką korzyść odniosłaby pani de Villefort, gdybyś została starą panną?

— Przecież mówiłam przed chwilą, nie słyszałeś, Maksymilianie? że jestem bogata, a nawet zbyt bogata. Mam po matce blisko pięćdziesiąt tysięcy renty, dziadkowie de Saint-Méran zostawią mi pewnie drugie tyle, dziadek Noirtier wyraźnie chce, abym była jego jedyną spadkobierczynią. W porównaniu ze mną mój braciszek, który po pani de Villefort nie odziedziczy żadnego majątku, jest biedny. A macocha uwielbia to dziecko! Gdybym wstąpiła do klasztoru, cała scheda[1147], która przypadłaby po dziadkach de Saint-Méran i po mnie mojemu ojcu, przeszłaby ostatecznie na jej syna.

— Przedziwna chciwość w takiej młodej, ładnej kobiecie!

[1147] *scheda* — spadek, odziedziczony majątek. [przypis edytorski]

— Zauważ, że pragnie tego nie dla siebie, ale dla synka. To, co jej wyrzucasz, z punktu widzenia miłości macierzyńskiej jest niemal cnotą.

— Najdroższa, a gdybyś ofiarowała braciszkowi część majątku?

— Tylko jak coś takiego zaproponować, i to kobiecie, która bez przerwy mówi o bezinteresowności?

— Valentine, miłość nasza jest dla mnie czymś świętym i jak każdą świętość okryłem ją szacunkiem i zamknąłem w sercu. Nikt na świecie, nawet siostra, nie domyśla się tej miłości, nikomu się z niej nie zwierzyłem. Czy pozwolisz, abym powiedział o tej miłości przyjacielowi?

Valentine zadrżała.

— Przyjacielowi? O mój Boże, dreszcz mnie przebiega, gdy tak mówisz. Przyjacielowi? Kim jest ten przyjaciel?

— Posłuchaj, Valentine: czy ci się zdarzyło kiedykolwiek poczuć nieprzezwyciężoną sympatię do osoby, którą widzisz po raz pierwszy? Zdaje ci się wtedy, że znasz ją od wieków, zastanawiasz się, kiedy i gdzie ją widziałaś, a ponieważ nie możesz sobie przypomnieć, dochodzisz do wniosku, że to było chyba w poprzednim życiu i że ta sympatia to tylko budzące się wspomnienie?

— Tak.

— Otóż właśnie tego doświadczyłem, gdy po raz pierwszy ujrzałem tego nadzwyczajnego człowieka.

— Nadzwyczajnego człowieka?

— Tak.

— To pewnie znasz go już od dawna?

— Od siedmiu czy dziesięciu dni.

— I człowieka, którego znasz dopiero od tygodnia, nazywasz przyjacielem? O, Maksymilianie, nie sądziłam, że jesteś tak rozrzutny w nazywaniu ludzi tym pięknym imieniem.

— Z punktu widzenia logiki masz rację. Ale cokolwiek powiesz, nie przestanę ufać temu instynktownemu uczuciu. Wierzę, że ten człowiek wywrze wpływ na wszystko, co mi się dobrego zdarzy w przyszłości. Wydaje się, przenika wzrokiem tę przyszłość i kieruje nią swoją potężną ręką.

— To chyba jakiś jasnowidz? — uśmiechnęła się Valentine.

— Naprawdę, aż mnie kusi, aby wierzyć, że widzi przyszłość... a zwłaszcza to, co w niej dobre.

— O! — rzekła ze smutkiem Valentine. — Poznaj mnie z nim, niech mi powie, czy miłość wynagrodzi mi wszystko, co wycierpiałam.

— Biedactwo, przecież go znasz!

— Ja?

— Tak, ty. To on przecież uratował twoją macochę i Edwarda.

— Hrabia Monte Christo?

— No tak.

— O! On nigdy nie będzie moim przyjacielem — zawołała Valentine — bo jest przyjacielem mojej macochy.

— Hrabia? Przyjacielem twojej macochy? O, instynkt nie oszukałby mnie aż do tego stopnia. Jestem pewien, że się mylisz.

— Ech, gdybyś tylko wiedział, Maksymilianie! W naszym domu już nie rządzi Edwardek, ale hrabia. Macocha mu nadskakuje, uważa go za człowieka, co posiadł całą ludzką wiedzę. Mój ojciec, słyszysz? Mój własny ojciec unosi się nad nim, powiada, że nigdy nie słyszał, aby ktoś formułował z taką elokwencją takie wzniosłe myśli. Edwardek otacza go niemal boską czcią; choć boi się tych wielkich czarnych oczu hrabiego, gdy tylko hrabia wejdzie, natychmiast do niego biegnie i sam otwiera mu dłoń, a zawsze znajdzie tam dla siebie jakąś wspaniałą zabawkę. Pan de Monte Christo nie jest tu gościem ojca, nie jest tu gościem macochy, pan de Monte Christo jest tu u siebie.

— Jeżeli jest tak, jak mówisz, to musisz już odczuwać albo odczujesz wkrótce skutki jego obecności. Spotkał we Włoszech Alberta de Morcerfa — po to, aby go ocalić z rąk bandytów; poznał panią Danglars — i ofiarował jej królewski podarunek; twoja macocha i brat przejeżdżają koło bramy jego domu — i Nubijczyk ocala im życie. Ten człowiek

otrzymał władzę wpływania na wypadki. Nigdy nie widziałem, aby w kimś łączyło się takie upodobanie do prostoty z tak królewskim sposobem bycia. Uśmiecha się do mnie tak miło, że zapominam, jak gorzki jest ten uśmiech w oczach innych. Najdroższa, powiedz, czy uśmiechnął się tak do ciebie? Jeśli tak, będziesz szczęśliwa.

— Do mnie? Mój Boże! Maksymilianie, on na mnie w ogóle nie zwraca uwagi, a jeśli przypadkiem przed nim przechodzę, odwraca ode mnie wzrok. O, on wcale nie jest szlachetny, dajże spokój! I niesłusznie obdarzasz go tak bystrym wzrokiem, co ma czytać w sercach. Gdyby był szlachetny, zauważyłby, jaka jestem samotna i nieszczęśliwa w tej rodzinie, użyłby swojego wpływu, aby mnie chronić. A jeśli byłby takim słońcem, jak mówisz, rozgrzałby mi serce w cieple swoich promieni. Mówisz, że cię lubi; a skąd ty możesz to wiedzieć? Wszyscy się uśmiechają do takiego oficera jak ty: postawnego, z pięknym wąsem i długą szablą. I wszyscy też myślą, że można bez obaw pomiatać biedną, zapłakaną dziewczyną.

— Przysięgam, mylisz się.

— No, gdyby było inaczej, gdyby zachowywał się dyplomatycznie, chcąc się rządzić w naszym domu, zaszczyciłby mnie choć raz tym uśmiechem, który mi tak zachwalasz. Ale nie, zobaczył, że jestem nieszczęśliwa, zrozumiał, że na nic mu się nie przydam i postanowił nie zwracać na mnie uwagi. Kto wie, czy aby nie przypochlebić się ojcu, macosze albo mojemu bratu, też nie zacznie mnie prześladować? No, naprawdę, przecież nie można mnie nienawidzić bez powodu, sam tak mówiłeś. O, przebacz — zawołała, widząc, jakie wrażenie zrobiły na Maksymilianie te słowa — niedobra jestem, mówię ci o tym człowieku takie rzeczy, a nawet nie wiedziałam, że tyle mam na sercu. Słuchaj, nie mówię, że nie istnieje ten wpływ, o którym wspominałeś, może i na mnie on działa. Ale jeśli tak, to działa w sposób szkodliwy i jak widzisz, wykrzywia nawet dobre myśli.

— Dobrze, nie mówmy już o tym — westchnął Morrel. — Nic mu nie powiem.

— Oj, widzę, że ci sprawiłam przykrość. O, jakżebym chciała uścisnąć ci rękę na przeprosiny! Ale przecież spróbuj mnie przekonać, o nic więcej nie proszę! Powiedz, co takiego zrobił dla ciebie hrabia Monte Christo?

— Oj, to kłopotliwe dla mnie pytanie. Właściwie nic namacalnego nie zrobił. Jak ci mówiłem, moja sympatia do niego jest zupełnie instynktowna, nie ma w niej nic wyrozumowanego. Czy słońce coś dla mnie zrobiło? Nie — ogrzewa mnie, dzięki temu, że świeci, mogę widzieć, ot, i wszystko. Czy piękny zapach coś dla mnie zrobił? Nie — sprawia tylko przyjemność jednemu z moich zmysłów. Kiedy mnie pytają, dlaczego mi się ten zapach podoba, nie potrafię powiedzieć nic więcej. I moja przyjaźń do hrabiego jest tak osobliwa, jak przyjaźń, którą darzy mnie on sam. Coś mi szepcze, że ta niespodziewana, wzajemna sympatia to nie przypadek. Widzę jakiś związek w tym, co myślimy i robimy. Będziesz się śmiała, ale od kiedy go znam, przychodzi mi do głowy absurdalna myśl, że wszystko, co mnie dobrego spotyka, pochodzi od niego. A przecież żyłem trzydzieści lat i nie potrzebowałem takiego opiekuna, prawda? Zresztą nieważne; o, dam ci przykład: zaprosił mnie w sobotę na obiad, to dość naturalne, skoro jesteśmy w takiej zażyłości, prawda? No i czego się potem dowiaduję? Twój ojciec i macocha też będą na tym obiedzie. Poznam ich, no i kto wie, co może kiedyś z tego wyniknąć? Wydaje się to zwyczajnym przypadkiem, a jednak widzę w tym coś, co mnie zadziwia; i czerpię z tego dziwną otuchę. Mówię sobie, że hrabia, ten człowiek, który wie wszystko, zamierza mnie zetknąć z państwem de Villefortów, a czasem, przysięgam ci, szukam w jego oczach potwierdzenia, że odgadł moją miłość do ciebie.

Przeczucie, Przyjaźń, Uczucie, Los

— Mój kochany, gdybym słyszała od ciebie tylko takie argumenty, pomyślałabym, że masz jakieś halucynacje i naprawdę bałabym się o twoje zmysły. Co, naprawdę widzisz w tym spotkaniu coś więcej, niż tylko przypadek? Zastanów się. Mój ojciec nie bywa nigdzie i odmówiłby dziesięć razy, gdyby nie macocha, która aż się pali, żeby zobaczyć, jak mieszka ten nadzwyczajny nabab. Z wielkim trudem nakłoniła go, by poszedł tam razem z nią. O nie, wierz mi, poza tobą nie mam oparcia w nikim — mogłabym go szukać jeszcze tylko u dziadka, który jest żywym trupem, i u matki, która jest w świecie cieni.

— Czuję, że masz rację, logika przemawia za tobą; ale twój łagodny głos, który zawsze tak potężnie na mnie działa, dziś mnie nie przekonał.

— Ty też mnie nie przekonałeś — odparła Valentine — i jeżeli nie masz innych argumentów...

— Mam jeszcze jeden — rzekł z wahaniem Maksymilian — ale muszę sam przyznać, moja kochana, że jest jeszcze bardziej absurdalny niż poprzednie.

— Tym gorzej — roześmiała się Valentine.

— A jednak jest zupełnie oczywisty dla mnie — dla człowieka, który kieruje się instynktem i natchnieniem. Odkąd jestem żołnierzem, czyli od dziesięciu lat, nieraz ocaliłem życie dzięki tym wewnętrznym olśnieniom, które każą nam zrobić krok do przodu lub do tyłu, aby minęła nas kula, co miała nas zabić.

— Najdroższy, a czemu nie przypiszesz tego moim modlitwom? Kiedy tam jesteś, modlę się do Boga i matki już tylko o ciebie.

— No tak, od kiedy się znamy — uśmiechnął się Morrel — a wcześniej?

— Okropny jesteś! Skoro nie chcesz mi niczego zawdzięczać, wróćmy do tego przykładu, który sam uważasz za niedorzeczny.

— No, to popatrz przez szparę. Widzisz? Tam, przy drzewie, stoi mój nowy koń, na którym dziś przyjechałem.

— O, jaki śliczny! Dlaczego nie przyprowadziłeś go pod bramę? Przemówiłabym do niego, a on by mnie zrozumiał.

— To rzeczywiście dość cenny koń. Hm, wiesz, że mam dość ograniczone środki, a jestem, jak się to mówi, człowiekiem rozsądnym. I cóż, zobaczyłem u kupca tego wspaniałego Medeaha (tak go nazwałem). Pytam o cenę — cztery i pół tysiąca franków. Musiałem więc zapomnieć, jaki jest piękny; rozumiesz, prawda? I odszedłem z ciężkim sercem, bo koń patrzył na mnie czule, otarł się o mnie głową, a nosił mnie z takim wdziękiem... Tego samego wieczoru było u mnie paru znajomych: Château-Renaud, Debray i jeszcze kilku nicponi, których na szczęście nie znasz nawet z nazwiska. Ktoś zaproponował *bouillotte*. Nigdy nie gram w karty, bo nie jestem na tyle bogaty, by móc przegrywać, ani na tyle biedny, by pożądać wygranej. Ale byłem gospodarzem, wypadało mi więc posłać po te karty. Kiedy siadaliśmy do gry, pojawił się hrabia Monte Christo. Zajął miejsce, zaczęliśmy grać i wygrałem. Ledwo śmiem ci się do tego przyznać wygrałem pięć tysięcy. Rozstaliśmy się o północy. Nie mogłem wytrzymać, wziąłem dorożkę i pojechałem do handlarza koni. Rozdygotany, rozgorączkowany zadzwoniłem — odźwierny wziął mnie chyba za wariata. Popędziłem do stajni, rozejrzałem się po żłobach... Co za radość! Medeah żuł sobie spokojnie siano. Osiodłałem go w mig, założyłem uzdę; Medeah z wdziękiem godził się na wszystko. Wcisnąłem zdumionemu handlarzowi pięć tysięcy, a potem do samego rana jeździłem po Polach Elizejskich. No i w oknach hrabiego widziałem światło, zdawało mi się nawet, że widać za firankami jego cień. Przysiągłbym teraz, Valentine, że hrabia wiedział o tym koniu i umyślnie przegrał do mnie tyle, żebym mógł go kupić.

— Mój kochany, naprawdę, masz za dużą wyobraźnię... nie będziesz mnie długo kochał... Człowiek tak rozpoetyzowany nie będzie umiał gasnąć w tak monotonnej miłości jak nasza... O Boże! Wołają mnie, słyszysz?

— O, Valentine, jeszcze twój najmniejszy paluszek... przesuń go przez szparę, żebym go mógł pocałować.

— Maksymilianie, mieliśmy być dla siebie tylko dwoma głosami, dwoma cieniami.

— Jak chcesz, Valentine.

— Będziesz szczęśliwy, jeśli zrobię, czego chcesz?

— O, tak!

Pocałunek

Valentine weszła na ławkę i zamiast przesunąć palec przez szparę, podała mu ponad przegrodą całą rękę.

Maksymilian krzyknął z radości, wskoczył na kamień, pochwycił ukochaną dłoń i przycisnął do niej gorące usta. Ale zaraz potem drobna rączka wyślizgnęła się — i młodzieniec usłyszał, jak Valentine ucieka czym prędzej, zapewne przerażona wrażeniem, którego doznała.

57. PAN NOIRTIER

A oto, co się działo w domu prokuratora po odjeździe pani Danglars, podczas gdy Valentine rozmawiała z Maksymilianem.

Pan de Villefort przyszedł razem z żoną do pokoju ojca.

Przywitali się z nim, po czym kazali odejść Barrois — lokajowi, który służył u pana Noirtier już od dwudziestu pięciu lat — i usiedli przy starcu.

Ojciec, Starość, Oko, Wzrok

Pan Noirtier siedział w wielkim fotelu na kółkach. Usadzano go w nim rano, a wieczorem przenoszono do łóżka. Fotel stał przed wielkim lustrem, w którym odbijał się cały pokój, tak że starzec mógł widzieć, kto wchodził, kto wychodził i w ogóle wszystko, co się działo wokół niego.

Nieruchomy niczym trup, patrzył teraz uważnie bystrymi oczyma na swoje dzieci: ich ceremonialny ukłon zapowiadał, że przyszli w oficjalnej, a nieoczekiwanej sprawie.

Zostały mu tylko wzrok i słuch — tylko one ożywiały to ciało, będące już właściwie w trzech czwartych w grobie; a z owych dwóch zmysłów jeden zdradzał otoczeniu, że w posągu tym istnieje wewnętrzne życie — a spojrzenie to przypominało dalekie światło, które mówi człowiekowi zabłąkanemu w nocy na pustkowiu, że jest jeszcze ktoś, kto czuwa w ciszy i ciemnościach.

Oko, Starość

I tak w czarnym oku pana Noirtier, ocienionym czarną brwią — włosy za to, długie, opadające na ramiona, już pobielały — w tym oku zebrała się cała energia, cały spryt, cała siła i inteligencja, jakie niegdyś rozproszone były w całym ciele; bywa tak często: gdy zamierają inne organy, w jednym koncentruje się cała żywotność człowieka. Pan Noirtier nie mógł poruszyć ręką, nie mógł przemówić ani wstać, ale spojrzenie zastępowało mu wszystko: rozkazywał wzrokiem i wzrokiem dziękował.

Był to prawdziwy trup o żywych oczach; trudno o coś okropniejszego nad widok tej twarzy z marmuru, w której zapalały się nagle błyski gniewu lub radości. Trzy tylko osoby rozumiały ten język sparaliżowanego: Villefort, Valentine i stary sługa.

Ale pan de Villefort rzadko odwiedzał ojca — tylko wtedy, gdy koniecznie musiał, a gdy już zaszedł, nie starał się sprawić ojcu przyjemności rozmową. Toteż jedyną radością starca była jego wnuczka. Dzięki oddaniu, miłości i cierpliwości Valentine doszła do takiej wprawy, że rozumiała wszystko, co Noirtier chciał wyrazić spojrzeniem. Na tę mowę niemą i niezrozumiałą dla kogokolwiek innego odpowiadała słowami i mimiką, w którą wkładała całe swoje serce. I tak toczyły się między nimi ożywione dialogi; ów mniemany posąg, który już niemal obracał się w proch, był nadal człowiekiem o ogromnej wiedzy, niezwykłej przenikliwości i tak silnej woli, jak tylko może być silny duch zamknięty w nieposłusznej materii, nad którą utracił władzę.

Valentine nauczyła się więc rozumieć myśli starca i przekazywać mu swoje; a dzięki tym starannym analizom rzadko się zdarzało, przynajmniej jeśli chodzi o sprawy codzienne, by nie odgadła dokładnie jego życzeń lub potrzeb.

Stary sługa służył swojemu panu — jak już mówiliśmy — od dwudziestu pięciu lat i znał tak dobrze jego nawyki, że Noirtier niemal nigdy nie musiał go o nic prosić.

Villefort nie potrzebował jednak pomocy ani córki, ani służącego, aby przeprowadzić z ojcem zamierzoną rozmowę. Znał dobrze, jakeśmy powiedzieli, mowę starca, a jeśli z nim nie rozmawiał, to dlatego, że go to nudziło lub przez obojętność.

Pozwolił więc, by Valentine zeszła do ogrodu, odprawił sługę, usiadł po prawej stronie ojca (pani de Villefort zasiadła po lewej) i rzekł:

— Niech ojca nie dziwi, że Valentine nie przyszła razem z nami i że oddaliłem Barrois. Narada, jaką chcemy z ojcem odbyć, jest takiego rodzaju, że nie powinni być przy niej ani młoda panienka, ani służący. Pragniemy coś ojcu oznajmić.

Podczas tego wstępu twarz Noirtiera pozostała niewzruszona, zaś Villefort zatapiał w nim tak badawcze spojrzenie, jakby chciał mu przeniknąć do głębi duszy.

— Jesteśmy pewni — ciągnął prokurator swoim lodowatym tonem, który zdawał się nie dopuszczać żadnego sprzeciwu — że ci się spodoba to, co ci chcemy zakomunikować.

Wzrok starca pozostał bez wyrazu: słuchał, i tyle.

— Postanowiliśmy wydać za mąż Valentine.

Zapewne więcej emocji niż pan Noirtier okazałby na taką wieść posąg z wosku.

— Ślub odbędzie się za trzy miesiące.

Wzrok starca pozostał martwy.

Pani de Villefort wtrąciła więc szybko:

— Myśleliśmy, że ta wiadomość zainteresuje ojca, bo przecież Valentine cieszy się ojca szczególną sympatią. Pozostaje nam już tylko wymienić nazwisko człowieka, który zostanie jej mężem. To jedna z lepszych partii, o jakich Valentine mogłaby pomyśleć. Młodzieniec ten posiada majątek, piękne nazwisko, a jego znakomite wychowanie i upodobania gwarantują naszej Valentine prawdziwe szczęście. A zresztą jego nazwisko nie jest zapewne ojcu nieznane. Chodzi o pana Franza de Quesnela, barona d'Epinay.

Podczas przemówienia żony Villefort nie spuszczał ani na chwilę wzroku ze starca.

Gdy pani de Villefort wymówiła nazwisko Franza, oczy Noirtiera, którego syn znał tak dobrze, zadrgały; jego powieki rozwarły się jak wargi, które chcą wyrzucić z głębi słowa — i ze źrenic wystrzeliły mu błyskawice.

Villefort wiedział dobrze o dawnej nienawiści politycznej, jaka dzieliła jego ojca i ojca Franza, zrozumiał tę iskrę i to wzburzenie. Udał jednak, że tego nie dostrzegł i podjął rozmowę tam, gdzie skończyła jego żona:

— Ojcze, rozumiesz dobrze, że Valentine skończy niedługo lat dziewiętnaście i musi wreszcie wyjść za mąż. Niemniej nie zaniedbaliśmy pomyśleć tu także o ojcu. Upewniliśmy się, że mąż Valentine zgodzi się — może nie na to, aby mieszkać z nami, mogłoby to być krępujące dla młodego małżeństwa — ale na to, aby ojciec zamieszkał z nimi. Valentine kocha ojca bardzo, a ojciec odwzajemnia jej to uczucie; w ten sposób, mieszkając u nich, nie będzie się musiał ojciec wyrzekać żadnych swoich przyzwyczajeń, a oprócz wnuczki zyska też i wnuka; razem będą się ojcem opiekowali.

W oczach Noirtiera pojawił się krwawy blask.

Widać było, że przeżywa coś strasznego; krzyk bólu i gniewu podchodził mu do gardła, a nie mogąc z niego ujść, dusił go: spurpurowiała mu twarz, a wargi zsiniały.

Villefort spokojnie otworzył okno, mówiąc:

— Gorąco tu, upał ojcu szkodzi.

Podszedł znów do ojca, ale już nie usiadł.

— Mariaż ten — dodała pani de Villefort — bardzo podoba się panu d'Epinayowi i jego rodzinie. A zresztą cała jego rodzina składa się tylko ze stryja i ciotki. Jego matka umarła, wydając go na świat, a ojciec został zamordowany w roku 1815. Dziecko miało wtedy zaledwie dwa lata. Pan Franz jest zatem całkowicie panem swojej woli.

— To było tajemnicze morderstwo — rzekł Villefort. — Jego sprawcy są do tej pory nieznani, chociaż podejrzewano wiele osób; jednak nikogo ostatecznie nie oskarżono.

Noirtierowi udało się skrzywić usta, jakby w uśmiechu.

— Jakoż prawdziwi winowajcy — ciągnął Villefort — to znaczy ci, którzy rozumieją, że popełnili zbrodnię, których może dotknąć sprawiedliwość ludzka, a po śmierci i boska, byliby bardzo szczęśliwi, gdyby mogli być na naszym miejscu — gdyby mogli wydać córkę za pana Franza. Uwolniliby się bowiem w ten sposób od wszelkich podejrzeń.

Noirtier uspokoił się dzięki sile woli, którą trudno byłoby podejrzewać w tak zniszczonym organizmie.

— Tak, rozumiem — odpowiedział spojrzeniem Villefortowi; a w spojrzeniu tym malowała się głęboka wzgarda i gniew.

Villefort odpowiedział na to lekkim wzruszeniem ramion.

Następnie dał znak żonie, aby powstała.

— A teraz, ojcze — odezwała się pani de Villefort — przyjmij wyrazy naszego uszanowania. Chciałby ojciec, aby przyszedł też do niego Edwardek?

Ustalone było, że starzec wyraża zgodę przymykając powieki, a odmowę — mrugając nimi kilkakrotnie; jeżeli zaś czegoś sobie życzył, podnosił oczy w górę.

Gdy chciał, aby przyszła do niego Valentine, przymykał prawe oko.

Gdy wołał Barrois, przymykał lewe.

Na propozycję pani de Villefort szybko zamrugał oczyma.

Na ten wyraźny znak odmowy pani de Villefort przygryzła sobie usta.

— Przysłać więc ojcu Valentine? — spytała.

— Tak — dał znak starzec, przymykając szybko oczy.

Państwo de Villefort ukłonili się starcowi i wyszli, rozkazawszy służącemu, aby wezwał Valentine, która zresztą wiedziała, że będzie panu Noirtier potrzebna.

Zaraz potem wbiegła do pokoju Valentine, wciąż zaróżowiona z emocji.

Spojrzała na dziadka i natychmiast odgadła, jak bardzo cierpiał i że ma jej wiele do powiedzenia.

— Och, dziaduniu, co tu się stało? — zawołała. — Ktoś cię rozgniewał? Gniewasz się, prawda?

— Tak — dał znak starzec, przymykając oczy.

— Na kogo? Na ojca? Nie; na macochę? Nie... Na mnie?

— Tak.

— Na mnie? — zdumiała się Valentine.

Starzec przytaknął.

— Ale co ja takiego zrobiłam, dziaduniu?

Nie było odpowiedzi, więc pytała dalej:

— Nawet u ciebie dziś nie byłam; ktoś ci coś musiał o mnie powiedzieć?

— Tak — przytaknął żywo pan Noirtier.

— No, niechże się zastanowię. Boże drogi, przysięgam ci, dziadziu... A!... Właśnie wyszedł stąd ojciec z macochą?

— Tak.

— I to oni ci powiedzieli coś takiego, że się tak zdenerwowałeś? Co to mogło być? Mam ich zapytać, o co chodzi, abym się mogła przed tobą usprawiedliwić?

— Nie, nie! — odpowiedział spojrzeniem.

— Przerażasz mnie! Boże, co oni ci mogli powiedzieć?

Zastanowiła się.

— O, już mam! — zniżyła głos i podeszła do dziadka. — Czy aby nie mówili ci o moim ślubie?

— Tak — odpowiedział gniewny wzrok.

— Rozumiem. Masz mi za złe, że ci nic nie powiedziałam. Ale widzisz, zakazali mi wspominać ci o tym. Zresztą mnie też o tym nie powiedzieli, dowiedziałam się przypadkiem. Dlatego byłam tak powściągliwa. Przebacz, dziadziu.

Oczy pana Noirtier zmatowiały i znieruchomiały, zdając się mówić: smuci mnie nie tylko twoje milczenie.

— O co chodzi? — spytała dziewczyna. — Może myślałeś, że cię opuszczę? Że gdy wyjdę za mąż zapomnę o tobie?

— Nie — dał znak starzec.

— To powiedzieli ci, że pan Epinay zgodził się, abyśmy zamieszkali razem?

— Tak.

— No to dlaczego się gniewasz?

Oczy starca przybrały wyraz nieskończonej czułości.

— Tak, rozumiem. Dlatego, że mnie kochasz?

Starzec potwierdził.

— Boisz się, żebym nie była nieszczęśliwa?

— Tak.

— Nie lubisz pana Franza?

— Nie, nie, nie! — zamrugały oczy.

— Więc bardzo się tym martwisz, dziaduniu?

— Tak.

— No to posłuchaj, dziadziu — rzekła Valentine, klękając przy panu Noirtier i obejmując go za szyję. — I ja się martwię, bo ja też nie lubię pana Epinaya.

Błysk radości pojawił się w oczach starca.

— Przypominasz sobie, jak się na mnie rozgniewałeś, gdy chciałam wstąpić do klasztoru?

Łza zrosiła wyschłą powiekę starca.

— A chodziło o to, by uciec przed tym ślubem, który mnie doprowadza do rozpaczy.

Pierś pana Noirtier unosiła się w coraz szybszym oddechu.

— Czyli to małżeństwo przysparza ci, dziadziu, aż takiej zgryzoty? Boże, gdybyś mógł mi pomóc, gdybyśmy mogli razem udaremnić ten projekt! Ale jesteś wobec nich bezsilny, choć umysł masz tak przytomny, a wolę tak silną. Ale w takiej walce jesteś słaby, słabszy nawet niż ja. Niestety, byłbyś dla mnie tak potężnym opiekunem, gdybyś miał nadal

wszystkie swoje siły i zdrowie... Ale dzisiaj możesz mnie już tylko rozumieć i albo się ze mną radować, albo smucić. To jedyne szczęście, jakie Bóg zapomniał mi wydrzeć.

Gdy skończyła mówić, oczy Noirtiera zabłysły takim sprytem, że dziewczyna jakby wyczytała w nich tę myśl: „Mylisz się, jeszcze wiele mogę dla ciebie zrobić".

— Możesz coś dla mnie zrobić, dziaduniu? — zapytała Valentine.

— Tak.

Noirtier wzniósł oczy ku niebu. Znaczyło to, że czegoś sobie życzy.

— Czego chcesz, dziadziu? No, zastanówmy się.

Valentine namyślała się przez chwilę i zaczęła wymieniać wszystko, co tylko przychodziło jej po kolei do głowy, ale starzec nieustannie odpowiadał: nie.

— No, skoro jestem taka niedomyślna, weźmy się do poważniejszych środków.

I jęła wymieniać po kolei litery alfabetu, patrząc pytająco na sparaliżowanego. Przy literze N, Noirtier mrugnął na znak potwierdzenia.

— Aha! Rzecz, o którą ci chodzi, zaczyna się na N! No, zobaczmy, co dalej z tym N: na... ne... ni... no...

— Tak, tak tak — zamrygał pan Noirtier.

— Aha, więc No?

— Tak.

Valentine pobiegła po słownik i położyła go na pulpicie przed panem Noirtier. Otwarła go, a kiedy starzec spojrzał na kartki, zaczęła sunąć szybko żywo palcem z góry na dół po kolumnach.

Rozmawiali tak często od sześciu lat, to jest od czasu, gdy Noirtier znalazł się w tym ciężkim stanie. Valentine miała już w tym taką wprawę, że odczytywała myśli dziadka tak szybko, jakby starzec sam szukał słów w słowniku.

Przy słowie „notariusz" Noirtier dał znak, aby się zatrzymała.

— Notariusz; chcesz się widzieć z notariuszem?

Starzec przytaknął.

— Mam posłać po niego?

— Tak.

— Powiadomić o tym ojca?

— Tak.

— Chcesz, aby notariusz przyszedł natychmiast?

— Tak.

— No to, dziadziu, zaraz po niego poślę. To wszystko, czego chcesz?

— Tak.

Valentine podbiegła do dzwonka; gdy wszedł służący, poprosiła go, aby poszedł po pana albo panią de Villefortów.

— I co, jesteś kontent? — spytała dziadka. — No... ja myślę... Nie tak łatwo było na to wpaść.

I dziewczyna uśmiechnęła się do starca tak, jak uśmiechnęłaby się do dziecka.

Barrois wprowadził pana de Villefort.

— Czego ojciec sobie życzy? — spytał Villefort.

— Ojcze, dziadek chce, aby wezwać notariusza — wyjaśniła Valentine.

Wobec tak dziwnego, a co najmniej niespodziewanego żądania, Villefort spojrzał na sparaliżowanego.

— Tak — mówiło spojrzenie starego ze stanowczością, która wskazywała, że z pomocą Valentine i sługi, który już wiedział, czego chce jego pan, jest gotów wytrzymać walkę.

— Żąda ojciec notariusza? — powtórzył Villefort.

— Tak.

— Ale po cóż?

Noirtier nie odpowiedział.

— Po co ojcu notariusz?

Wzrok sparaliżowanego pozostawał nieruchomy, jakby wyrażał: „Taka jest moja wola i koniec".

— Po to, by nam wyrządzić jakąś złą psotę? — indagował Villefort. — Czy aby warto?

— Ale w końcu — odezwał się Barrois z uporem właściwym starym sługom — jeżeli mój pan domaga się notariusza, to widocznie ma do niego jakąś sprawę. Idę po notariusza.

Barrois uznawał pana tylko w starym Noirtierze i nie dopuszczał nigdy, aby można było podważać jego rozkazy.

— Tak, chcę notariusza — potwierdził starzec, zamykając oczy, a wyglądało to tak, jakby mówił: „ciekaw jestem, czy odważycie się nie spełnić mojej woli".

— Notariusz przyjdzie, skoro ojciec tego koniecznie chce; ale będę go musiał przeprosić i to przeprosić za ojca, bo ta scena będzie doprawdy śmieszna.

— Nieważne — odrzekł Barrois — i tak po niego pójdę.

I stary sługa wyszedł z triumfującą miną.

58. TESTAMENT

Gdy Barrois wyszedł, Noirtier spojrzał na Valentine z przejęciem wyrażającym spryt i wiele obiecującym. Dziewczyna zrozumiała to spojrzenie, ale Villefort także, toteż zachmurzyło mu się czoło i zmarszczyły brwi.

Przysunął sobie krzesło, usadowił się — i czekał.

Noirtier spoglądał na niego z całkowitą obojętnością; kątem zaś oka dał wnuczce znak, aby się nie martwiła i też została w pokoju.

Po trzech kwadransach wrócił sługa z notariuszem.

— Drogi panie — rzekł Villefort, przywitawszy się z nim — został pan wezwany przez obecnego tu pana Noirtiera de Villeforta. Paraliż odjął mu władzę w członkach i głos. Tylko my, najbliżsi, jesteśmy w stanie pochwycić strzępy jego myśli.

Noirtier spojrzał na Valentine wzrokiem tak poważnym i rozkazującym, że natychmiast się odezwała:

— Proszę pana, ja rozumiem wszystko, co dziadek chce powiedzieć.

— Tak — zawtórował sługa — absolutnie wszystko, mówiłem o tym panu notariuszowi, jak tu szliśmy.

— Państwo wybaczą — rzekł notariusz do Villeforta i Valentine — ale to jeden z tych przypadków, w których prawnik nie może postępować nierozważnie, bo mógłby się narazić na poważną odpowiedzialność. Aby akt był prawomocny, muszę najpierw koniecznie być przekonany, żem właściwie zinterpretował wolę klienta. A w tym przypadku nie mogę być nawet pewien, czy pan Noirtier wyraża aprobatę, czy też dezaprobatę, bo przecież jest niemy! Zważywszy na jego kalectwo, nie mogę jasno stwierdzić, czego sobie życzy, a czego nie. Dlatego też moje usługi są tu zupełnie niepotrzebne, a nawet byłyby wykonywane niezgodnie z prawem.

I notariusz uczynił krok do wyjścia. Na ustach prokuratora zarysował się niemal niedostrzegalny uśmiech triumfu.

Noirtier spojrzał na Valentine z takim cierpieniem w oczach, że natychmiast zastąpiła drogę notariuszowi.

— Proszę pana — odezwała się — języka, którym porozumiewam się z dziadkiem, można się nauczyć bardzo łatwo, mogę pana tego nauczyć w kilka minut. Proszę powiedzieć, czego panu trzeba, abyś miał pan całkowicie spokojne sumienie?

— Aby akt był ważny, muszę mieć pewność, czy klient wyraża aprobatę czy też dezaprobatę. Testator może być chory na ciele, ale musi mieć zdrowy umysł.

— A więc dzięki dwóm znakom upewni się pan, że mój dziadek jest w pełni władz umysłowych. Dziadek nie może mówić ani się poruszać, ale gdy chce powiedzieć „tak", zamyka oczy, a gdy chce powiedzieć „nie" — mruga nimi. Wystarczy to panu, aby się z dziadkiem porozumieć. Proszę spróbować.

W spojrzeniu, które starzec przesłał Valentine, malowało się tyle czułości i wdzięczności, że zrozumiał je i sam notariusz.

— Słyszał pan i zrozumiał wszystko, co powiedziała pańska wnuczka? — zapytał.

Noirtier przymknął powoli oczy i otwarł je po chwili.

— I potwierdzasz to, co powiedziała? To znaczy, czy potwierdzasz pan znaki, dzięki którym — jak mówiła — komunikujesz pan swoje myśli?

— Tak — dał znak starzec.

— Czy to pan kazałeś mnie wezwać?

— Tak.

— Aby spisać testament?

— Tak.

— I nie chcesz pan, bym odszedł, nim nie spiszemy tego testamentu?

Sparaliżowany zamrugał żywo oczyma.

— Już pan rozumiesz? — zagadnęła Valentine. — Będzie miał pan spokojne sumienie?

Ale zanim notariusz zdołał odpowiedzieć, Villefort odprowadził go na stronę.

— Czy sądzisz pan, że tak straszliwy wstrząs fizyczny, jakiego doznał mój ojciec, mógł nie wpłynąć wcale na jego władze umysłowe?

— To mnie zbyt nie martwi — odparł notariusz. — Zastanawiam się tylko, jak odgadniemy jego myśli, aby sprowokować odpowiedzi.

— Widzisz więc pan, że to niemożliwe.

Valentine i starzec słyszeli tę rozmowę. Noirtier spojrzał na Valentine stanowczo — było oczywiste, że wymaga od niej jakiejś repliki.

— Niech się pan tym nie martwi — rzekła do notariusza. — Choć trudno odgadnąć, co dziadek ma na myśli, a raczej tylko się tak panu wydaje, przekażę jego myśli tak, aby nie było żadnych wątpliwości. Od sześciu lat opiekuję się dziadkiem. Może sam panu powiedzieć, czy choć jedno jego życzenie zostało niespełnione dlatego, że nie udało mi się go zrozumieć.

— Nie — dał znak starzec.

— Wobec tego spróbujmy — zgodził się notariusz. — Zgadza się pan, aby wnuczka służyła panu za tłumaczkę?

— Tak.

— No dobrze. A więc, czego pan sobie ode mnie życzysz i jaki akt mam sporządzić?

Valentine wymieniła wszystkie litery alfabetu aż do T.

Przy tej literze Noirtier zatrzymał ją wzrokiem.

— Chodzi panu o literę T — odezwał się notariusz — widać wyraźnie.

— Proszę poczekać — rzekła Valentine i zwróciła się do dziadka: — Ta... te...

Starzec dał znak przy drugiej sylabie.

Valentine wzięła słownik i pod uważnym spojrzeniem notariusza, zaczęła przewracać kartki.

Wzrok Noirtiera zatrzymał jej palec przy słowie „testament".

— Testament! — zawołał notariusz. — To oczywiste, pan Noirtier chce spisać testament.

— Tak — potwierdził Noirtier.

— Przyznaj pan — zwrócił się notariusz do osłupiałego Villeforta — że to jest coś niesłychanego.

— Istotnie — odparł Villefort — a czymś jeszcze bardziej niesłychanym będzie ów testament, bo doprawdy nie wydaje mi się, żeby można było przenieść jego paragrafy na papier słowo po słowie tak, aby nie brała w tym udziału moja córka. A Valentine, jako osoba zbyt zainteresowana tym testamentem, nie powinna wyjaśniać woli mojego ojca, którą ten będzie przecież formułował niejasno.

— Nie, nie! — dał znak sparaliżowany.

— Jak to! — zdziwił się Villefort. — Valentine nie jest tu osobą zainteresowaną?

— Nie.

— Drogi panie — odezwał się notariusz, który uradowany ze swojego udziału w tak malowniczym wydarzeniu, obiecywał sobie, że porozpowiada o tym na salonach — to, co z początku uważałem za niemożliwe, teraz wydaje mi się niezmiernie łatwe. Spiszemy po prostu tak zwany testament mistyczny, przewidziany i dozwolony przez prawo. Musi być tylko odczytany w obecności siedmiu świadków, testator musi go przy nich poświadczyć, a notariusz zamknąć. Będzie to trwało niewiele dłużej niż spisywanie zwykłego testamentu. Wszędzie są te same uświęcone formuły, a szczegółów dostarczy nam stan interesów testatora. Pan także udzielisz nam informacji, przecież kierujesz sprawami majątkowymi testatora. Aby jednak akt ten był niepodważalny, nadamy mu absolutną autentyczność; pomoże mi w tym jeden z kolegów: choć tak się raczej nie robi, będzie asystował mi przy dyktowaniu. No, jesteś pan zadowolony? — notariusz odwrócił się do starca.

— Tak — odpowiedział Noirtier, promieniejąc z radości, że go zrozumiano.

„Cóż on zamierza zrobić?" — głowił się Villefort; wysokie stanowisko, jakie zajmował, wymagało od niego jak największej powściągliwości, a zresztą i tak nie mógł odgadnąć, co zamyśla jego ojciec.

Odwrócił się więc, aby posłać po drugiego notariusza; ale Barrois, który był przy rozmowie, domyślił się, jakie będzie życzenie pana i zdążył już wyjść.

Prokurator kazał więc sprowadzić żonę.

Po kwadransie wszyscy zgromadzili się już w pokoju sparaliżowanego, nadszedł także drugi notariusz.

Prawnicy porozumieli się w kilku słowach.

Odczytali panu Noirtier ogólnikowy, banalny tekst testamentu; następnie przystąpili do badania władz umysłowych testatora i pierwszy z notariuszy zapytał go:

— Testament, proszę pana, sporządza się zwykle na czyjąś korzyść.

— Tak.

— Czy wie pan mniej więcej, ile może wynosić w cyfrach pański majątek?

— Tak.

Przesłuchanie to miało w sobie coś uroczystego. Nigdy dotąd walka ducha z materią nie objawiła się tak wyraźnie; było to widowisko jeśli nie wzniosłe, jak mieliśmy ochotę powiedzieć, to przynajmniej ciekawe.

Wszyscy stali wokół starca; drugi notariusz siedział przy stole gotów do pisania, pierwszy stał przed panem Noirtier i pytał:

— Pański majątek przekracza zapewne trzysta tysięcy franków?

Noirtier potwierdził.

— Czy posiadasz pan czterysta tysięcy franków?

Nie było odpowiedzi.

— Pięćset tysięcy?

Nadal brak odpowiedzi.

— Sześćset tysięcy? Siedemset? Osiemset? Dziewięćset?

Noirtier przytaknął.

— Posiadasz pan dziewięćset tysięcy franków?

— Tak.

— W nieruchomościach?

— Nie.

— W obligacjach?

— Tak.

— Masz pan te papiery u siebie?

Noirtier spojrzał na Barrois. Sługa wyszedł i po chwili wrócił, trzymając w rękach niewielką szkatułkę.

— Pozwoli pan, że otworzymy tę szkatułkę? — zapytał notariusz.

— Tak.

Otwarto szkatułkę; w środku były obligacje na dziewięćset tysięcy franków.

Pierwszy notariusz podawał kolejno obligacje koledze; suma wynosiła dokładnie tyle, ile oznajmił Noirtier.

— Wszystko w porządku — rzekł notariusz. — To oczywiste, że ten pan jest w pełni władz umysłowych.

I zwrócił się do sparaliżowanego:

— Masz pan więc dziewięćset tysięcy franków kapitału. Sposób, w jaki je pan ulokował, musi panu zapewniać czterdzieści tysięcy liwrów renty?

— Tak.

— Komu pragnie pan zostawić ten majątek?

— O, to nie podlega wątpliwości — wtrąciła pani de Villefort. — Pan Noirtier kocha jedynie swoją wnuczkę, Valentine. To ona go pielęgnuje od sześciu lat. Potrafiła swoimi pilnymi staraniami zjednać nie tylko miłość, ale i wdzięczność dziadka. Jest słuszne, że otrzyma nagrodę za tyle poświęcenia.

Oczy Noirtiera zabłysły — nie dał się oszukać fałszywej aprobacie, jakiej pani de Villefort udzieliła projektom, które mu przypisywała.

— A więc czy to pannie Valentine de Villefort zapisujesz pan owe dziewięćset tysięcy franków? — zapytał notariusz; wydawało mu się, że zostało mu już tylko umieszczenie

takiej klauzuli w testamencie, ale chciał uzyskać potwierdzenie pana Noirtier w obecności wszystkich świadków tej osobliwej sceny.

Valentine cofnęła się i płakała ze spuszczoną głową.

Starzec patrzył na nią przez chwilę z głęboką czułością, następnie odwrócił się do notariusza i zamrugał kilkakrotnie oczyma w bardzo wymowny sposób.

— Nie? — zdziwił się notariusz. — Jak to? To nie pannie Valentine chce pan zapisać cały swój majątek?

— Nie.

— Nie pomylił się pan? — zawołał zdziwiony notariusz. — Na pewno mówi pan „nie"?

— Nie! Nie! — powtórzył Noirtier.

Valentine podniosła głowę. W osłupienie wprawiło ją nie to, że została wydziedziczona, ale to, że wzbudziła w dziadku uczucie, które zazwyczaj dyktuje podobny czyn.

Ale Noirtier patrzył na nią tak tkliwie, że zawołała:

— O mój kochany dziaduniu, widzę, że zabierasz mi tylko swój majątek, ale zostawiasz mi nadal swoje serce!

— Tak, tak, oczywiście — mówiły oczy sparaliżowanego, a przymknął je z takim wyrazem, że Valentine nie mogła się mylić.

— Dzięki, dzięki! — wyszeptała dziewczyna.

Tymczasem w sercu pani de Villefort zbudziła się nieoczekiwana nadzieja.

Podeszła do starca i zapytała:

— A więc kochany ojciec zapisuje fortunę wnuczkowi, Edwardkowi?

Stary zamrugał oczyma gwałtownie, jakby wyrażał nienawiść.

— Nie — stwierdził notariusz. — A więc obecnemu tu synowi?

— Nie.

Notariusze spojrzeli po sobie osłupiali.

Villefort i jego żona poczuli, że się czerwienią — on ze wstydu, ona ze złości.

— Ale co takiego zrobiliśmy, dziadku? Już nas nie kochasz? — spytała Valentine.

Starzec zerknął szybko na syna i synową, po czym zatrzymał pełne ciepła spojrzenie na Valentine.

— A więc — odezwała się — jeżeli mnie kochasz, dziadziu, spróbuj jakoś połączyć tę miłość z tym, co robisz teraz. Znasz mnie, wiesz, że nigdy nie myślałam o twoim majątku; zresztą mam podobno wielką fortunę po matce, nawet zbyt wielką. Wyjaśnij nam, o co ci chodzi.

Noirtier utkwił pałający wzrok w ręce Valentine.

— O moją rękę?

— Tak.

— O jej rękę! — powtórzyli wszyscy zebrani.

— Widzą państwo, że to wszystko było zupełnie niepotrzebne. Mój ojciec jest niespełna rozumu — rzekł Villefort.

— Och! Rozumiem! — wykrzyknęła Valentine. — Chodzi o moje małżeństwo, prawda, dziadku?

— Tak, tak, tak! — i z oczu sparaliżowanego wystrzeliły trzy błyskawice.

— Masz nam za złe ten projekt mariażu, czy tak?

— Tak.

— Ależ to niedorzeczność! — żachnął się Villefort.

— Pan daruje — wtrącił notariusz — ale przeciwnie, wszystko to jest bardzo logiczne, jedno wynika z drugiego.

— Nie chcesz, dziadziu, abym wyszła za pana Franza d'Epinaya?

— Nie — dał znak starzec.

— I wydziedziczasz pan wnuczkę — zawołał notariusz — bo zawiera małżeństwo, które panu nie odpowiada?

— Tak.

— A gdyby nie ten mariaż, byłaby pańską spadkobierczynią?

— Tak.

Zapadło głębokie milczenie.

Notariusze naradzali się; Valentine złożyła dłonie i patrzyła na dziadka z uśmiechem pełnym wdzięczności; Villefort przygryzał cienkie wargi; pani de Villefort nie mogła powstrzymać uczucia radości, które rozjaśniło jej twarz.

— Ale zdaje mi się — odezwał się Villefort, jako pierwszy przerywając milczenie — że tylko ja mam prawo oceniać korzyści, jakie przemawiają za tym związkiem. Tylko ja rozporządzam ręką mojej córki. Chcę, aby wyszła za pana Franza d'Epinaya i tak będzie.

Valentine zalała się łzami i osunęła się na fotel.

— Proszę pana — zwrócił się notariusz do starca — co zamierza pan zrobić ze swoim majątkiem, jeżeli panna Valentine poślubi pana Franza?

Starzec nie odpowiedział.

— Ale zamierza pan nim jakoś rozporządzić, prawda?

— Tak.

— Na rzecz kogoś z rodziny?

— Nie.

— A więc na rzecz ubogich?

— Tak.

— Ale czy pan wie, że prawo zabrania wydziedziczać całkowicie syna?

— Tak.

— A więc rozporządzi pan częścią, którą prawo panu pozwala wyłączyć?

Noirtier nawet nie drgnął.

— Chce pan nadal rozporządzić wszystkim?

— Tak.

— Ale po pańskiej śmierci testament zostanie zakwestionowany.

— Nie.

— Mój ojciec zna mnie dobrze — odezwał się Villefort — wie, że jego wola będzie dla mnie święta. Prócz tego wie, że na moim stanowisku nie mogę procesować się z ubogimi.

Oczy Noirtiera zabłysły triumfalnie.

— I jaka jest pańska decyzja? — zagadnął Villeforta notariusz.

— Nic, drogi panie. Mój ojciec już w duchu postanowił, a wiem, że nigdy nie zmienia swoich postanowień. Rezygnuję. Rodzina straci dziewięćset tysięcy franków, wzbogacą się dzięki nim szpitale; ale nie ustąpię kaprysowi starca i zrobię to, co mi nakazuje sumienie.

I Villefort wyszedł wraz z żoną, aby ojciec mógł spisać testament tak, jak sobie tego życzył.

Tegoż samego dnia testament został ukończony. Posłano po świadków, starzec potwierdził testament w ich obecności, akt zapieczętowano i złożono u pana Deschamps, notariusza rodziny.

59. TELEGRAF

Gdy państwo de Villefortowie wrócili do siebie, dowiedzieli się, że w salonie czeka na nich hrabia de Monte Christo. Pani de Villefort, zbyt roztrzęsiona, by tak od razu ukazać się gościowi, wstąpiła do sypialni, zaś prokurator, który bardziej nad sobą panował, udał się wprost do salonu.

Chociaż umiał nie okazywać swoich emocji i nadawać twarzy dowolny wyraz, nie zdołał rozchmurzyć się na tyle, aby hrabia, promiennie uśmiechnięty, nie zauważył tego posępnego zamyślenia.

— Mój Boże, cóż się panu stało? — zapytał po wymianie obowiązkowych grzeczności. — Czyżbym przyszedł w chwili, gdy przygotowywał pan jakiś wyrok śmierci?

Villefort spróbował się uśmiechnąć.

— Nie, panie hrabio, w tej sprawie ja jestem ofiarą. To ja przegrałem proces, a pozwały mnie przypadek, upór i głupota.

— O co chodzi? — dopytywał się Monte Christo, wybornie odgrywając przejęcie. — Czyżby naprawdę przydarzyło się panu jakieś nieszczęście?

— Ach, panie hrabio, nie warto o tym mówić — odparł Villefort ze spokojem, w którym przebijała gorycz. — To tylko zwykła strata pieniężna.

— Istotnie — odparł Monte Christo — strata pieniężna to dla pana niewielki kłopot: przy takiej fortunie i przy tak filozoficznym sposobie myślenia, jak pański.

— Toteż nie martwię się tak ze względu na pieniądze, chociaż strata dziewięciuset tysięcy franków godna jest żalu, a na pewno może nieco zdenerwować. Ale bardziej dokucza mi to dziwne zrządzenie losu, przypadku, fatalności... Bo ja wiem, jak nazwać tę siłę, która wymierzyła we mnie ten cios, który obraca wniwecz moje nadzieje majątkowe, a może i przyszłość córki — i to wszystko przez kaprys zdziecinniałego starca.

— Na litość boską, ale o co chodzi? — wykrzyknął hrabia. — Powiedziałeś pan: dziewięćset tysięcy franków? No, to jest suma, której mógłby żałować nawet filozof. A któż to przyprawił pana o taką zgryzotę?

— Mój ojciec, wspominałem panu o nim.

— Pan Noirtier! Ale przecież mówił mi pan chyba, że jest kompletnie sparaliżowany i że odstąpiły go wszystkie władze?

— Fizyczne tak: nie może się ruszyć, nie może mówić, ale pomimo to myśli, upiera się przy swojej woli i — jak pan widzi — działa. Wyszedłem od niego pięć minut temu: właśnie dyktuje testament dwóm notariuszom.

— Czyli przemówił?

— Lepiej, doskonale się z nimi porozumiewa.

— Jak?

— Wzrokiem. Jego oczy nie przestały żyć, no i proszę: zabijają.

— Mężu — rzekła pani de Villefort, wchodząc do salonu. — Czy trochę nie przesadzasz?

— Witam panią — ukłonił się hrabia.

Pani de Villefort oddała ukłon, uśmiechając się czarująco.

— Cóż mi tu opowiada pani małżonek? — spytał Monte Christo. — Co to za niezrozumiała przykrość...

— Niezrozumiała, to dobre określenie — odpowiedział, wzruszając ramionami prokurator. — Kaprys starego człowieka.

— W żaden sposób nie da się go przekonać, aby zmienił decyzję?

— Ależ tak — oznajmiła pani de Villefort — i to zależy jedynie od mego męża, aby ten testament wydziedziczający Valentine został sporządzony znów na jej korzyść.

Widząc, że małżonkowie zaczynają rozmawiać parabolami[1148], udał, że przestał się tym interesować i jął przyglądać się z największym skupieniem pełnym aprobaty, jak Edwardek nalewa atrament do poidełka dla ptaków.

— Moja droga — odpowiedział żonie Villefort — wiesz, że niezbyt lubię pozować w domu na patriarchę i że nigdy nie sądziłem, że losy wszechświata zależą od mojego skinienia. Niemniej jest dla mnie ważne, aby rodzina szanowała moje decyzje. Zdziecinnienie starca i kaprys dziecka nie zniszczą projektu, jaki ustaliłem już wiele lat temu. Baron d'Epinay był moim przyjacielem, przecież wiesz pani o tym, i trudno o lepszą partię niż związek z jego synem.

— Sądzisz — spytała pani de Villefort — że Valentine jest w zmowie z dziadkiem?... No tak... Zawsze się sprzeciwiała temu mariażowi; nie zdziwiłabym się, gdyby to, co się dziś stało, było przez nich ukartowane.

— Moja żono, wierz mi, nikt tak łatwo nie wyrzeka się dziewięciuset tysięcy.

— Ale przecież rok temu chciała się wyrzec świata i wstąpić do klasztoru.

— Mniejsza z tym. Powtarzam ci: ten ślub musi dojść do skutku!

— Wbrew woli twojego ojca? — spytała pani de Villefort, chcąc poruszyć inną strunę. — Czyż tak można!

Monte Christo udawał, że nie słucha, ale nie tracił ani jednego słowa z całej tej rozmowy.

— Moja żono — odparł Villefort — śmiało mogę powiedzieć, że zawsze szanowałem ojca, bo naturalne uczucie synowskie łączyło się u mnie z przekonaniem o jego wybitnym charakterze; ponadto ojciec jest świętością z dwóch względów: daje nam życie i nami kieruje. Ale teraz nie mogę już widzieć dawnego rozumu w starcu, który pamiętając o nienawiści, jaką żywił do ojca, chce dziś prześladować syna! Byłoby śmieszne, gdybym podporządkowywał się jego kaprysom. Nadal darzę ojca wielkim szacunkiem. Zniosę bez skargi tę finansową karę, jaką mi nakłada — ale nie zmienię mojej woli, a świat niech

Ojciec, Syn, Rodzina, Wierność

[1148] *parabola* — tu: wypowiedź pełna przenośni. [przypis edytorski]

osądzi, za kim jest zdrowy rozsądek. A więc wydam córkę za barona d'Epinaya, bo w moim przekonaniu ten mariaż jest dobry i zaszczytny. I ostatecznie wolno mi ją wydać za tego, kto mi się podoba.

— Coś podobnego, coś podobnego! — odezwał się hrabia, na którego prokurator wciąż popatrywał, szukając wzrokiem aprobaty. — Czyli pan Noirtier wydziedzicza, jak państwo mówicie, pannę Valentine dlatego, że ma wyjść za Franza Epinaya?

— Mój Boże, tak, panie hrabio, to cała przyczyna — wzruszył ramionami Villefort.

— Taką przynajmniej przyczynę nam podał — dodała pani de Villefort.

— To prawdziwa przyczyna, żono. Wierz mi, znam mojego ojca.

— Czy można coś takiego pojąć? A czemuż to, mężu, pan d'Epinay nie podoba się ojcu bardziej niż ktokolwiek inny?

— Hm, poznałem pewnego Franza d'Epinaya — wtrącił hrabia. — Czy to nie syn generała de Quesnela, któremu Karol X nadał tytuł barona d'Epinaya?

— Tak — odpowiedział Villefort.

— Ależ to według mnie czarujący młody człowiek!

— I dlatego jestem pewna — rzekła pani de Villefort — że to tylko pretekst. Starzy ludzie, kiedy kochają, stają się tyranami. Mój teść po prostu nie chce, aby jego wnuczka wyszła teraz za mąż.

— Ale państwo nie znacie — zagadnął Monte Christo — co jest przyczyną tej nienawiści?

— E, któż to może wiedzieć?

— Może to jakaś antypatia polityczna?

— No tak. Ojciec i ojciec pana Epinaya żyli w bardzo burzliwych czasach — wyjaśnił Villefort — których ja pamiętam tylko ostatnie chwile.

— Czy pański ojciec nie był aby bonapartystą? Chyba mi coś pan o tym wspominał?

— Mój ojciec przede wszystkim był jakobinem — oznajmił Villefort, wychodząc w podnieceniu poza granice rozwagi. — Toga senatorska, którą Napoleon zarzucił mu na ramiona, nie zmieniła mu serca. Ojciec spiskował nie w sprawie cesarza, ale przeciwko Burbonom; ponieważ ojciec był tym groźniejszy, że nigdy nie walczył dla niemożliwych utopii, ale dla rzeczy możliwych. A żeby je zrealizować, stosował się do straszliwych teorii jakobinów, którzy nie cofali się przed żadnymi środkami.

— A, widzą państwo, to tak! — rzekł Monte Christo. — Panowie Noirtier i d'Epinay musieli się gdzieś spotkać na polu walki politycznej. Czy pan d'Epinay, chociaż służył pod Napoleonem, nie zachował na dnie serca uczuć rojalistowskich? Czy to aby nie on został zamordowany pewnego wieczora, gdy wychodził z klubu bonapartystowskiego, do którego zwabili go, sądząc, że jest im bratem?

Villefort spojrzał na hrabiego niemal z przerażeniem.

— Mylę się? — spytał Monte Christo.

— Nie, bynajmniej — odparła pani de Villefort. — I to właśnie dlatego mój mąż wpadł na pomysł, aby połączyć tych dwoje dzieci, których ojciec i dziadek się nienawidzili, aby na zawsze wygasły te stare nienawiści.

— To dopiero wzniosła myśl! — zawołał Monte Christo. — Myśl pełna miłosierdzia, wszyscy powinni jej przyklasnąć. O, byłoby to naprawdę piękne, gdyby panna Valentine de Villefort nazywała się panią baronową d'Epinay!

Villefort drgnął i przeszył hrabiego Monte Christo wzrokiem, jakby chciał zajrzeć mu w głąb duszy i wyczytać, co podyktowało mu takie słowa.

Ale hrabia uśmiechał się nadal życzliwie, zwyczajnie; i tym razem przenikliwy wzrok prokuratora nic ponadto nie zdołał dojrzeć.

— Choć utrata tego spadku to wielkie nieszczęście dla Valentine — podjął Villefort — nie sądzę, aby pan d'Epinay cofnął się z powodu pieniędzy. Przekona się, że może jestem więcej wart niż pieniądze, skoro zrezygnowałem z nich, aby móc dotrzymać mu słowa. Wyliczy sobie, że Valentine i tak jest bogata po matce — tym majątkiem zawiadują[1149] jej dziadkowie, państwo de Saint-Méran. Bardzo kochają Valentine.

— I naprawdę zasługują na taką miłość i na taką opiekę, jaką Valentine otaczała dziadka — wtrąciła pani de Villefort. — Najwyżej za miesiąc przyjadą do Paryża, a po

[1149] *zawiadować* (daw.) — zarządzać, np. pieniędzmi. [przypis edytorski]

afroncie[1150], jaki Valentine doznała od dziadka, nie musi już się tak poczuwać do obowiązku i ciągle zagrzebywać w pokoju teścia.

Hrabia z zadowoleniem przysłuchiwał się tym dwóm rozbieżnym wypowiedziom, dyktowanym przez zranioną miłość własną i zawód natury finansowej.

— Ale zdaje mi się — zagadnął Monte Christo po chwili milczenia — i z góry przepraszam za to, co powiem; zdaje mi się, że pan Noirtier wydziedziczył pannę Valentine za to, że chce wyjść za młodzieńca, którego ojca nienawidził, ale nie ma powodu zarzucać czegokolwiek naszemu kochanemu Edwardkowi.

— Prawda? — zawołała pani de Villefort tonem, którego nie sposób opisać. — Prawda, że to jest głęboko niesprawiedliwe? Biedny Edwardek przecież jest tak samo wnukiem pana Noirtier jak Valentine! A jednak, gdyby Valentine nie wychodziła za pana Franza, zapisałby jej cały majątek. Powiem więcej: Edwardek dziedziczy nazwisko rodziny, a mimo to, nie licząc tego majątku po dziadku, Valentine i tak będzie od niego trzy razy bogatsza.

Po takiej wypowiedzi hrabia już nie powiedział ni słowa i poprzestał na słuchaniu.

— No, przestańmy, panie hrabio — wtrącił Villefort — mówić o tych familijnych kłopotach. Tak, to prawda, że mój majątek podniesie dochody ubogich, którzy dziś stają się prawdziwymi bogaczami. Tak, niech ojciec odbierze mi bez powodu tę prawowitą nadzieję. A ja i tak postąpię tak, jak wypada człowiekowi rozsądnemu i szlachetnemu. Przyrzekłem panu Epinayowi dochód od tej sumy i będzie go miał, choćbym miał na siebie nałożyć najokrutniejsze wyrzeczenia.

— Myślę jednak, czy nie lepiej byłoby — podjęła pani de Villefort, wracając do tej jednej myśli, która ciągle tliła się jej na dnie serca — gdybyśmy wyznali ten smutny fakt panu Epinayowi, aby sam zwrócił nam słowo?

— O, to by było prawdziwe nieszczęście! — zawołał Villefort.

— Nieszczęście? — powtórzył Monte Christo.

— Oczywiście — odpowiedział, uspokajając się Villefort — bo jeżeli ślub nie dochodzi do skutku, nawet z przyczyn pieniężnych, rzuca to cień na opinię młodej panienki. A oprócz tego nabrałyby siły dawne pogłoski, które chciałem raz na zawsze stłumić. Ale nie, nic z tego nie będzie. Pan d'Epinay, jeśli jest człowiekiem porządnym, uzna, że wobec wydziedziczenia Valentine, jest tym bardziej zobowiązany. Inaczej postąpiłby jak zwyczajny chciwiec; o nie, to niemożliwe.

— Jestem zdania pana prokuratora — rzekł Monte Christo, nie spuszczając z oka pani de Villefort. — A gdybym należał do pańskich przyjaciół, pozwoliłbym sobie udzielić rady: słyszałem, że pan d'Epinay ma wkrótce wrócić. Nakłoniłbym go wobec tego, aby doprowadził tę sprawę ostatecznie do skutku; czyli wykonałbym ten plan, którego pomyślne zakończenie przyniosłoby panu największy zaszczyt.

Villefort wstał, wyraźnie uradowany, ale twarz jego żony powlekła się lekką bladością.

— Wybornie! Nic innego sobie nie życzyłem i zaufam opinii takiego doradcy, jak pan — rzekł Villefort, podając rękę hrabiemu. — A więc możemy uznać wszystko, co się dziś stało, za niebyłe. Nic nie zmieniło się w naszych planach.

— Panie de Villefort — rzekł hrabia — świat, choć tak niesprawiedliwy, będzie podziwiał, ręczę za to, pańską decyzję. Pańscy przyjaciele będą z tego dumni, a pan d'Epinay, choćby miał wziąć pannę Villefort bez żadnego posagu (co się raczej nie zdarzy), będzie szczęśliwy, że wejdzie do rodziny, która potrafi ponosić najwyższe poświęcenia, aby dotrzymać słowa i spełnić obowiązek.

Po tych słowach powstał i szykował się do odejścia.

— Już nas pan opuszcza? — spytała pani de Villefort.

— Muszę, łaskawa pani; przyszedłem tylko przypomnieć o zaproszeniu na sobotę.

— Sądził pan, że moglibyśmy zapomnieć?

— Jesteś pani zbyt uprzejma... Ale pan prokurator ma tak poważne obowiązki, a czasem tak pilne...

— Ale mąż dał panu słowo. Właśnie się pan przekonał, że dotrzymuje słowa, nawet gdy ma przez to wszystko stracić, a tu przecież rzecz wygląda zupełnie inaczej.

— A gdzież to odbędzie się obiad? Na Polach Elizejskich? — zagadnął Villefort.

[1150]*afront* — obraza, zniewaga. [przypis edytorski]

— O nie — odparł Monte Christo — i to sprawia, że pańskie poświęcenie staje się jeszcze godniejsze uznania: odbędzie się to aż na wsi.

— A gdzież to? Zapewne blisko Paryża?

— Tuż za rogatkami, pół mili dalej, w Auteuil.

— W Auteuil! — wykrzyknął Villefort. — A, prawda, żona mówiła mi, że masz pan dom w Auteuil, bo przecież przeniósł ją pan do niego po wypadku. A gdzie dokładnie?

— Na ulicy de la Fontaine pod dwudziestym ósmym.

— Ależ to pan kupiłeś dom pana de Saint-Méran? — zawołał Villefort.

— Pana de Saint-Méran? — zapytał Monte Christo. — Ten dom był własnością pana de Saint-Méran?

— Tak — odparła pani de Villefort. — A uwierzy pan w jedną rzecz, panie hrabio?

— W jakąż to?

— Podoba się panu ten dom, prawda?

— Jest prześliczny.

— Widzi pan, a mój mąż nigdy nie chciał w nim zamieszkać.

— O, doprawdy, nie rozumiem — odparł Monte Christo — skąd to pańskie uprzedzenie?

— Nie lubię Auteuil — rzekł prokurator, starając się zachować panowanie nad sobą.

— Ale chyba nie sprawisz mi pan przykrości — zatroskał się Monte Christo — i z powodu tej antypatii nie pozbawisz mnie radości goszczenia tam państwa?

— Nie, panie hrabio... mam nadzieję... proszę mi wierzyć... zrobię wszystko, co w mojej mocy — jąkał się Villefort.

— O, nie przyjmę żadnych usprawiedliwień. Czekam na państwa w sobotę, o szóstej. Jeśli państwo nie przyjdziecie, gotów jestem myśleć... czy ja wiem?... że nad tym domem, pustym od dwudziestu lat, ciąży jakaś okropna klątwa albo że opowiada się o nim jakąś krwawą legendę.

— Przyjdę, panie hrabio, przyjdę — pospieszył z zapewnieniem Villefort.

— Dziękuję — odpowiedział Monte Christo. — A teraz państwo pozwolą, muszę się pożegnać.

— A, prawda, mówiłeś pan przed chwilą, że musisz nas opuścić — rzekła pani de Villefort — a nawet zdaje mi się, że chciałeś powiedzieć nam dlaczego, gdy nagle zmieniłeś pan wątek.

— Tak naprawdę, łaskawa pani, chyba nie ośmielę się pani przyznać, dokąd idę.

— Ależ proszę powiedzieć.

— Zamierzam w charakterze prawdziwego gapia, którym zresztą jestem, przyjrzeć się pewnej rzeczy, nad którą nieraz rozmyślałem godzinami.

— Cóż to takiego?

— Telegraf. O, do licha, no nic, trudno, wymknęło mi się.

— Telegraf. — powtórzyła pani de Villefort.

Maszyna

— No tak, mój Boże, telegraf. Widziałem czasem, jak na końcu drogi w piękny, słoneczny dzień wznoszą się na wzgórzu czarne ramiona, zginając się jak łapy olbrzymiego owada, i zawsze czyniło to na mnie ogromne wrażenie, przysięgam. Myślałem o tych dziwacznych znakach, które z taką precyzją mkną przez powietrze i przenoszą nieznaną wolę człowieka siedzącego przy stole — przez trzysta mil, do drugiego człowieka przy drugim stole, na drugim końcu linii. I myślałem, że te znaki rysuje na szarym tle chmur lub na lazurze nieba sama siła woli tego wszechmocnego człowieka. Przychodziły mi wtedy do głowy dżinny[1151], sylfy[1152], gnomy[1153], słowem — jakieś tajemne moce, i śmiałem się z tego. Nigdy nie naszła mnie chęć, aby podglądnąć z bliska te ogromne, białobrzuche owady z czarnymi, cienkimi łapami — bałem się ujrzeć pod ich kamiennymi skrzydłami jakiegoś małego karzełka, pedantycznego nudziarza, nafaszerowanego po uszy wiedzą ludzką i czarnoksięską. Aż tu razu jednego dowiaduję się, że tym, co wprawia w ruch telegraf jest biedny urzędniczyna, zarabiający rocznie tysiąc dwieście franków. Taki człowieczek przez cały dzień patrzy nie na niebo jak astronom, nie w wodę jak rybak, nie

[1151] *dżinn* — w wierzeniach staroarabskich: istota ukształtowana z ognia lub powietrza, mogąca wpływać na ludzki los. [przypis edytorski]

[1152] *sylf* — mitologiczny duch powietrza. [przypis edytorski]

[1153] *gnom* — tu: duch żywiołu ziemi. [przypis edytorski]

na piękne krajobrazy jak myśliciel o niebieskich migdałach — ale na drugiego takiego owada z białym brzuchem i czarnymi łapami, oddalonego o pięć mil. I wtedy zdjęła mnie ogromna ciekawość: zapragnąłem przyjrzeć się z bliska tej poczwarce, która pociągając za sznurki, daje ze swojej skorupy znaki innej takiej poczwarce.

— I tam się pan właśnie wybierasz?

— Tak.

— A do jakiej stacji? Ministerstwa Spraw Wewnętrznych czy Obserwatorium[1154]?

— O nie! Tam natknąłbym się na ludzi, którzy zmusiliby mnie, abym zrozumiał rzeczy, o których nic nie chcę wiedzieć, i którzy wytłumaczyliby mi tajemnice, na których sami się nie znają. A ja, do licha, chcę zachować złudzenie, że to wielkie owady. Wystarczy, że straciłem już wszelkie złudzenia co do ludzi. Toteż nie pójdę ani na stację ministerstwa, ani do Obserwatorium. Chcę telegrafu w szczerym polu, aby zobaczyć człowieczka, co zaskorupiał w swojej wieży.

— Jest z hrabi naprawdę wyjątkowy wielki pan — stwierdził Villefort.

— Jaką linię radzisz mi pan zbadać?

— No, tę, która jest w tej chwili najbardziej zajęta.

— Świetnie! Czyli hiszpańską?

— No właśnie. Chce pan list od ministra, który wyjaśni panu...

— Nie, nie, przecież powiedziałem panu, że nie chcę nic rozumieć. W chwili, gdy coś zrozumiem, nie będzie już telegrafu — będzie tylko znak, który jakiś pan Duchâtel przesyła prefektowi Bajonny, przebrany w te dwa greckie słowa: *tele graphein*[1155]. A ja chcę zachować w pamięci z czcią tylko owada o czarnych odnóżach i to przerażające słowo.

— No, to niech pan idzie, bo za dwie godziny będzie już ciemno i nic pan nie zobaczysz.

— Do diabła, przerażasz mnie pan. Do jakiej stacji najbliżej?

— Hm, na drodze do Bajonny[1156].

— Dobrze, to jadę na trakt bajoński.

— O, raczej ten w kierunku na Châtillon?

— A poza Châtillon?

— Chyba jeszcze wieża w Monthléry.

— Dziękuję, do widzenia! W sobotę opowiem państwu o wrażeniach.

W drzwiach hrabia spotkał się z notariuszami, którzy właśnie wydziedziczyli Valentine; wychodzili uradowani, że spisali akt, co przyniesie im z pewnością wielką sławę.

60. JAK UWOLNIĆ OGRODNIKA OD KOSZATEK[1157], KTÓRE WYJADAJĄ MU BRZOSKWINIE

Nie tego samego wieczoru, jak mówił, ale następnego ranka hrabia de Monte Christo wyjechał rogatką d'Enfer, skierował się na drogę do Orleanu i minął wioskę Linas, nie zatrzymując się przy telegrafie, który właśnie poruszał swoimi długimi, kościstymi ramionami; zatrzymał się w końcu dopiero przy wieży Monthléry, która, jak nam wiadomo, wznosi się w najwyższym punkcie równiny o tej samej nazwie.

U stóp tego pagórka hrabia wysiadł i ruszył na szczyt krętą ścieżyną, szeroką na osiemnaście cali. Na szczycie zatrzymał go żywopłot, na którym różowobiałe kwiaty ustępowały miejsca zielonym jeszcze owockom.

Wkrótce odnalazł furtkę.

Była to mała drewniana krata na zawiasach z wikliny — zamykało się ją, zaczepiając sznurek o kołek. Hrabia w mig rozpatrzył się w tym mechanizmie i drzwiczki otwarły się.

[1154] *Obserwatorium Paryskie* — fr. instytut badawczy i obserwatorium astronomiczne, założone w 1667 r. w Paryżu. [przypis edytorski]

[1155] *tele graphein* — transkrypcja dwóch gr. słów, z których utworzona została nazwa telegrafu: τῆλε (daleko, z dala) i γράφειν (pisać). [przypis edytorski]

[1156] *Bajonna* — miejscowość w płd. Francji, na granicy z Hiszpanią. [przypis edytorski]

[1157] *koszatka* — gatunek nadrzewnego gryzonia. [przypis edytorski]

Znalazł się w małym ogródku o wymiarach dwadzieścia stóp na dwanaście; z jednej strony zamykał go żywopłot z furtką o wspomnianej przemyślnej konstrukcji, a z drugiej strony ściana starej wieży zarosłej bluszczem, z której okien wychylały się lewkonie[1158].

Pomarszczona, w kwiecistej sukni, wyglądała jak staruszka, której wnuczęta złożyły właśnie życzenia imieninowe — zdawało by się, że potrafiłaby opowiedzieć o wielu straszliwych dramatach, gdyby tylko jej ściany miały nie tylko uszy, które przypisuje murom stare przysłowie, ale i głos.

Przez ogródek przechodziło się ścieżyną wysypaną czerwonawym piaskiem, którą obrastały z obu stron gęste, wieloletnie bukszpany[1159] — barwy zestawione były tak pięknie, że uradowałyby oko pana Delacroix, naszego współczesnego Rubensa[1160]. Ścieżyna[1161] wiła się w ósemkę, dzięki czemu w ogródku długim na dwadzieścia stóp można było zażyć przechadzki na stóp sześćdziesiąt.

Nigdy jeszcze Flora[1162], roześmiana, świeża bogini poczciwych rzymskich ogrodników nie była otaczana tak skrupulatnym, nabożnym kultem.

Spomiędzy dwudziestu róż na rabacie żadna nie miała choćby jednego listka upstrzonego przez muchę; nigdzie nie nie było ani jednej gromadki zielonych mszyc, które pożerają rośliny w wilgotnych ogrodach.

A przecież nie brakowało tu wilgoci: ziemia czarna jak sadza i ciemna zieleń drzew mówiły same za siebie. Ewentualnej suszy zawsze zaradziłaby woda z beczki wkopanej w ziemię w kącie ogródka; na zielonym kożuchu pokrywającym jej powierzchnię przysiadły tyłem do siebie żaba i ropucha — zapewne chodziło o niezgodność charakterów.

Monte Christo zamknął furtkę i jednym rzutem oka ogarnął całą tę przestrzeń.

— Hm, albo telegrafista wynajmuje ogrodników — rzekł do siebie — albo też pasjonuje się ogrodnictwem.

Wtem natknął się na kogoś, kto przycupnął za taczkami wyładowanymi liśćmi. Ów ktoś wyprostował się z okrzykiem wyrażającym zdumienie — i Monte Christo znalazł się twarzą w twarz z człowiekiem lat około pięćdziesięciu; poczciwiec zbierał właśnie truskawki i układał je na winogronowych liściach.

Było dwanaście winogronowych liści i niemal tyleż truskawek.

Zrywając się, poczciwiec o mało nie upuścił truskawek, liści i talerzyka.

— Zajmujesz się pan zbiorami? — rzekł z uśmiechem Monte Christo.

— Przepraszam pana — odparł poczciwiec, podnosząc rękę do kaszkietu — to prawda, nie jestem na górze, ale zszedłem stamtąd tylko co.

— Ależ nie chcę ci przeszkadzać, przyjacielu. Zbieraj sobie swoje truskawki, jeśli jeszcze coś zostało.

— Mam jeszcze dziesięć, bo tu jest już jedenaście, a wszystkich było dwadzieścia jeden — o pięć więcej niż rok temu. Nic dziwnego, mieliśmy gorącą wiosnę, a widzi pan, truskawka lubi ciepło. Dlatego też zamiast szesnastu, jak w roku ubiegłym, zebrałem już jedenaście... dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście, szesnaście, siedemnaście, osiemnaście... Chryste Panie! Brakuje dwóch, a wczoraj jeszcze były, jestem pewien, były tutaj, sam liczyłem. Na pewno podwędził je ten synalek Simonowej, widziałem, jak się tu dziś kręcił. O ty niecnoto, będziesz mi tu okradał ogrody! Nie wie, gdzie go to może zaprowadzić...

— No tak, to poważna sprawa, ale niech pan zważy, że to jeszcze dzieciak — a dzieci są łakome.

— Oczywiście, ale człowiekowi i tak przykro. Ale przepraszam, może jest pan moim zwierzchnikiem, a ja tak pana trzymam?

Spojrzał bojaźliwie i pytająco na hrabiego i jego granatowy surdut.

[1158] *lewkonia* — roślina ozdobna z rodziny kapustowatych, o kwiatach w kolorze białym lub różnych odcieniach różu i fioletu, wydzielających silny, odurzający zapach; jej odmianą jest maciejka ogrodowa. [przypis edytorski]

[1159] *bukszpan* — rodzaj krzewu zimozielonego. [przypis edytorski]

[1160] *Rubens, Peter Paul* (1577–1640) — malarz flamandzki, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli baroku. [przypis edytorski]

[1161] *ścieżyna* — ścieżka, droga. [przypis edytorski]

[1162] *Flora* (mit. rzym.) — bogini kwiatów i wiosennej roślinności; na jej cześć w Rzymie świętowano na przełomie kwietnia i maja wesołe Floralia. [przypis edytorski]

— Uspokój się, przyjacielu — rzekł hrabia z uśmiechem, w którym umiał zawierać straszliwą groźbę lub ogromną życzliwość, a który wyrażał teraz tylko życzliwość. — Nie jestem twoim zwierzchnikiem, nie przyjechałem na inspekcję. Jestem tylko zwykłym podróżnym, przywiodła mnie tu ciekawość i zaczynam już sobie wyrzucać, że narażam cię na stratę czasu.

— O, mój czas nie jest drogi — odrzekł poczciwiec, uśmiechając się z melancholią. — Choć wprawdzie ten czas jest własnością rządu i nie powinienem go tracić. Ale otrzymałem zawiadomienie, że mogę godzinkę odpocząć — to mówiąc, rzucił okiem na zegar słoneczny, bo w ogródku było wszystko, nawet zegar słoneczny — a jak pan widzisz, mam jeszcze dziesięć minut, a poza tym truskawki już dojrzały i jeden dzień więcej... Dasz pan wiarę, że podjadają mi je koszatki?

— O, nigdy bym nie przypuszczał — odparł poważnie Monte Christo. — Koszatki to niemili sąsiedzi, zwłaszcza dla nas, bo przecież nie jadamy ich, tak jak Rzymianie, smażonych w miodzie.

— A, Rzymianie to jadali? — zdumiał się ogrodnik. — Jadali koszatki?

— Tak, wyczytałem to u Petroniusza[1163].

— Naprawdę? Ale to chyba niedobre, choć mówi się: tłusty jak koszatka. Nie dziwota, że tłuste: śpią sobie cały boży dzień, a budzą się dopiero na noc po to, żeby pożreć wszystko, co się tylko da. Proszę pana, miałem w zeszłym roku cztery morele — nadgryzły mi jedną. Miałem brzoskwinię, jedną jedyną, prawda, że to rzadki owoc? I proszę pana, zżarły mi ją od strony muru do połowy. Wspaniała była, a smaczna... Nigdy w życiu nie jadłem lepszej.

— Czyli w końcu ją pan zjadłeś?

— No, tę połowę, co została. Ale powiadam panu, była przepyszna. O, te waćpanny[1164] wybierają sobie to, co najlepsze. To tak, jak ten chłopak Simonowej: on też nie wybrał sobie najgorszych truskawek, o nie! Ale w tym roku — ciągnął ogrodnik — o, może pan być pewien, nic mi nie zrobią, choćbym miał pilnować owoców po nocach.

Monte Christo dowiedział się już, czego chciał.

Każdy z nas ma jakąś namiętność, co mu zżera serce, jak każdy owoc ma robaka; namiętnością telegrafisty było ogrodnictwo.

Jął obrywać liście winorośli, które zasłaniały słońce winnym gronom — i zaskarbił sobie ostatecznie serce ogrodnika.

— Pan dobrodziej przyszedł obejrzeć telegraf?

— Tak, jeśli nie zabraniają tego przepisy.

— O nie, przecież niczym to nie grozi, bo nikt nie zna naszego szyfru.

— Tak, słyszałem, że panowie przekazujecie sobie sygnały, których sami nie rozumiecie.

— Pewnie; a ja nawet tak wolę — uśmiechnął się telegrafista.

— A to dlaczego?

— Bo tym sposobem jestem wolny od wszelkiej odpowiedzialności. Jestem po prostu machiną i niczym więcej; bylebym funkcjonował, to nic mi nikt nie powie.

„Do diabła — pomyślał Monte Christo — czy aby nie trafiłem na człowieka pozbawionego ambicji? O, to byłby dopiero pech".

— Proszę pana — rzekł ogrodnik, spojrzawszy na zegar — już się prawie kończy te dziesięć minut, muszę wracać na stanowisko. Może zechcesz pan pójść ze mną?

Monte Christo wszedł do wieży. Miała ona trzy kondygnacje. Na parterze stały pod ścianami narzędzia rolnicze: motyki, grabie, konewki — nic poza tym tu nie było.

Na drugiej kondygnacji telegrafista mieszkał, a raczej nocował. Umeblowanie było skromne: łóżko, stół, dwa krzesła, kamionkowa misa na wodę; pod sufitem wisiały pęczki ziół — hrabia rozpoznał groszek pachnący i niełuskaną fasolkę; poczciwiec zaopatrzył

[1163] *u Petroniusza* — tj. w przypisywanym Gajuszowi Petroniuszowi utworze prozatorskim z I w. n.e. pt. *Satyricon*, którego najsłynniejszym fragmentem jest scena wystawnej uczty u bogacza Trymalchiona. [przypis edytorski]

[1164] *waćpanna* — skrót od daw. zwrotu grzecznościowego: waszmość panna (wasza miłość panna). [przypis edytorski]

każdy pęczek w etykietkę tak skrupulatnie, jakby był głównym botanikiem w paryskim Ogrodzie Botanicznym[1165].

— Długo trzeba się uczyć pańskiego zawodu? — zapytał Monte Christo.

— Nie, ale długo się czeka, zanim dostanie się posadę na stacji.

— A pensja ile wynosi?

— Tysiąc franków na rok, proszę pana.

— To niewiele.

— Tak, ale jest przy tym mieszkanie, jak pan widzisz.

Monte Christo rozejrzał się po pokoju.

— Żeby tylko nie zależało mu na mieszkaniu — szepnął.

Weszli na trzecią kondygnację: tu znajdował się telegraf.

Monte Christo przyjrzał się kolejno dwóm żelaznym dźwigniom, za pomocą których urzędnik poruszał maszyną.

— To bardzo interesujące, ale na dłuższą metę takie życie chyba może się wydać zbyt jednostajne?

— O tak, na początku dostaje się od tego patrzenia kurczów w szyi, ale po roku czy dwóch człowiek się do tego przyzwyczaja. Poza tym mamy godziny odpoczynku, a i dni wolne od pracy.

— Dni wolne?

— Tak.

— A kiedy?

— Kiedy jest mgła.

— A, no tak.

— To dopiero dla mnie święto: spędzam wtedy całe dnie w ogrodzie, sadzę, przycinam, szczepię, zdejmuję liszki[1166]... I tak jakoś leci.

— Od kiedy pan tu jesteś?

— Od dziesięciu lat, pięć stażu, to razem piętnaście.

— A ma pan... ile lat?

— Pięćdziesiąt pięć.

— Ile lat pracy trzeba, aby zasłużyć na emeryturę?

— O, proszę pana, dwadzieścia pięć.

— A ile tej emerytury?

— Sto dukatów.

— Biedak! — szepnął Monte Christo.

— Przepraszam, nie dosłyszałem?...

— Powiedziałem, że to niezmiernie interesujące.

— Co takiego?

— No, to wszystko, co mi pan pokazujesz... I pan nic a nic nie pojmujesz z tych znaków?

— Nic zupełnie.

— I nie starałeś się pan czegoś zrozumieć?

— Nigdy, bo i po co?

— Ale są przecież znaki, które odnoszą się wprost do pana?

— Oczywiście. One są zawsze takie same.

— A co mówią?

— „Nic nowego”... „masz godzinę przerwy”... albo „następne wiadomości jutro”.

— No, rzeczywiście nie ma w tym nic ważnego — rzekł hrabia. — Ale patrz pan, czy pański kolega nie zaczyna wysyłać ci jakiejś wiadomości?

— A, prawda; dziękuję panu.

— I cóż powiada? Rozumiesz to pan?

— Tak, pyta, czy jestem gotowy.

— A pan, co mu odpowiadasz?

— Wysyłam znak, który mówi mu, że jestem gotów, a mojemu drugiemu koledze po lewej, żeby się przygotował.

[1165] *Ogród Botaniczny*, właśc. *Jardin des Serres d'Auteuil* — założony w 1761 r. paryski ogród botaniczny, znajdujący się na obrzeżach Lasku Bulońskiego. [przypis edytorski]

[1166] *liszka* — tu: gąsienica. [przypis edytorski]

— To bardzo pomysłowe — stwierdził hrabia.
— Zobaczy pan — dodał z dumą poczciwiec — za pięć minut zacznie gadać.
— Mam więc pięć minut, czyli więcej, niż mi trzeba. Mogę panu zadać jedno pytanie?
— Ależ proszę.
— Lubisz pan ogrodnictwo?
— Pasjami.
— I byłbyś szczęśliwy, gdybyś zamiast ogródka na dwadzieścia stóp miał ogród na dwie morgi?
— Proszę pana! Zrobiłbym z niego raj na ziemi.
— Przy tysiącu franków pensji chyba żyjesz pan dość biednie, prawda?
— No biednie, ale jakoś się żyje.
— Tak, ale masz pan tylko taki nędzny ogródek...
— Och, no tak, wielki to on nie jest.
— A jeszcze aż się tu roi od tych koszatek, co panu wszystko pożerają.
— O, to moja plaga.
— Powiedz pan, co by się stało, gdybyś nieszczęściem odwrócił głowę akurat wtedy, gdy twój kolega z prawej nadawałby wiadomość?...
— Nie zobaczyłbym tego.
— I co by się stało?
— Nie mógłbym powtórzyć jego sygnałów.
— A potem?...
— A potem uznano by to za niedbalstwo i musiałbym zapłacić karę.
— Ile?
— Sto franków. Ach! — urzędnik aż zadrżał.
— Zdarzyło się to już panu? — spytał Monte Christo.
— Raz jeden, szczepiłem wtedy różę herbacianą.
— Mhm. A, co by się stało, gdybyś pan coś zmienił w sygnałach albo przekazał inne?
— O, to co innego. Wyrzuciliby mnie z pracy i straciłbym emeryturę.
— Trzysta franków, czy tak?
— Sto dukatów, tak. Rozumie pan, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobił.
— Nawet za piętnastoletnią pensję? No, to chyba jest warte zastanowienia, czyż nie?
— Piętnaście tysięcy franków?
— Tak.
— Przerażasz mnie pan. Proszę pana, czy pan mnie chce skusić?
— Owszem! Piętnaście tysięcy franków, rozumiesz pan?
— Proszę pana, muszę spojrzeć na kolegę z prawej!
— E, lepiej popatrz pan na to, co ja panu pokazuję.
— Cóż to takiego? Banknoty!
— Ni mniej ni więcej. Jest ich piętnaście.
— A czyjeż są?
— Pańskie, jeśli zechcesz.
— Moje! — urzędnik aż zachłysnął się ze zdumienia.
— No tak, mój Boże, pańskie, i tylko pańskie.
— Proszę pana, kolega z prawej nadaje sygnały. Zbałamucił mnie pan i będę musiał zapłacić karę.
— Będzie to pana kosztować sto franków. Widzi pan sam, że bardzo się panu przydadzą te banknoty.
— Proszę pana, kolega z prawej zniecierpliwił się, powtarza sygnał.
— Niech sobie powtarza, a pan trzymaj.
I hrabia wsunął urzędnikowi plik banknotów do ręki.
— Ale to nie wszystko, mój panie. Za te piętnaście tysięcy nie wyżyjesz pan.
— Przecież nie stracę pracy.
— Owszem, stracisz, bo zamiast sygnałów, jakie przesyła ci kolega, nadasz inne.
— Oj, proszę pana, co też mi pan proponuje? Musiałby pan użyć siły...
— A właśnie zamierzam.
I Monte Christo wyjął z kieszeni drugi plik banknotów.

— Tu jest jeszcze dziesięć tysięcy. Razem z piętnastoma, które już pan masz, da to dwadzieścia pięć tysięcy. Za pięć tysięcy franków kupisz pan sobie śliczny domek i dwie morgi ziemi, a za pozostałe dwadzieścia tysięcy będziesz miał tysiąc rocznej renty.

— Ogród na dwie morgi, tysiąc franków na rok? O Boże! Boże!

— Bierz pan!

I Monte Christo siłą wcisnął banknoty w dłoń urzędnika.

— I co mam zrobić?

— To nic trudnego. Nadać te sygnały.

Monte Christo wyjął z kieszeni kartkę, na której były dokładnie nakreślone trzy znaki oraz numery oznaczające kolejność ich nadawania.

— Jak pan widzisz, nie ma tego dużo.

— Tak, ale...

— Będzie miał pan za to wspaniałe brzoskwinie i inne rzeczy.

Marchewka zadziałała.

Policzki płonęły poczciwcowi jak w gorączce, pocił się jak mysz — ale nadał jeden po drugim sygnały podane przez hrabiego, mimo rozpaczliwych sygnałów ze strony kolegi z prawej, który nie rozumiejąc, co się dzieje, zaczynał przypuszczać, że hodowca brzoskwiń oszalał.

Telegrafista zaś z lewej posłał dalej jak najwierniej te same znaki — aż doszły do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

— A teraz jesteś pan bogaty — odezwał się Monte Christo.

— Tak, ale za jaką cenę!

— Posłuchaj, przyjacielu — rzekł Monte Christo. — Nie chciałbym, abyś miał wyrzuty sumienia. Uwierz mi, przysięgam, że nikomu nie wyrządziłeś krzywdy, a tylko pomogłeś w spełnieniu bożych zamysłów.

Urzędnik przyglądał się banknotom, dotykał ich, liczył; to bladł, to czerwieniał; na koniec rzucił się do swojego pokoju, aby napić się wody. Nim jednak dotarł do misy, zemdlał wśród swoich grochowin[1167].

Pięć minut po tym, jak do ministerstwa dotarła telegrafem ta wiadomość, Debray kazał zaprząc do powozu i popędził do państwa Danglarsów.

— Czy pani mąż ma obligacje pożyczki hiszpańskiej? — spytał baronową.

— No chyba! I to na jakieś sześć milionów.

— Niech je sprzeda za jakąkolwiek cenę.

— A to czemu?

— Don Carlos uciekł z Bourges i wrócił do Hiszpanii.

— Skąd pan wiesz?

— Do licha — rzekł Debray, wzruszając ramionami — stąd, skąd zazwyczaj.

Baronowa nie kazała sobie tego samego powtarzać dwa razy. Pobiegła co żywo do męża, Danglars pobiegł do swojego agenta giełdowego i nakazał mu sprzedać wszystko za każdą cenę.

Gdy tylko wszyscy spostrzegli, że Danglars sprzedaje, obligacje hiszpańskie spadły natychmiast. Danglars stracił na tym pięćset tysięcy, ale pozbył się wszystkich akcji.

Tego samego wieczora w dzienniku „Messager" można było przeczytać:

> DEPESZA TELEGRAFICZNA
>
> Król don Carlos wymknął się straży, pod jaką przebywał w Bourges i wrócił do Hiszpanii przez granicę katalońską. W Barcelonie wybuchło popierające go powstanie.

Przez cały wieczór wszyscy mówili tylko o wyczuciu, z jakim Danglars wysprzedał swoje akcje; podziwiano zręczność gracza — stracił na tym tylko pięćset tysięcy franków.

Ci, którzy nie sprzedali obligacji albo zakupili je od Danglarsa, byli pewni, że są zrujnowani i spędzili nader nieprzyjemną noc.

Ale nazajutrz „Monitor" ogłosił:

[1167] *grochowiny* — słoma z wymłóconego grochu. [przypis edytorski]

Wiadomość o ucieczce don Carlosa i powstaniu w Barcelonie, którą podał wczoraj „Messager", jest bezpodstawna.

Don Carlos nie opuścił Bourges, a na Półwyspie Iberyjskim panuje zupełny spokój.

Przyczyną tej pomyłki były sygnały telegraficzne, odczytane źle z powodu mgły.

Wartość papierów wzrosła dwukrotnie.

W związku z tym straty Danglarsa wyniosły w sumie milion franków.

— Znakomicie — oświadczył Monte Christo Morrelowi, który był u niego właśnie w chwili, gdy ogłoszono wiadomość o dziwacznym zawirowaniu na giełdzie, którego padł ofiarą Danglars — za dwadzieścia pięć tysięcy franków odkryłem coś takiego, że zapłaciłbym za to sto tysięcy.

— Cóż to pan odkrył? — zapytał Maksymilian.

— Odkryłem, jak uwolnić ogrodnika od koszatek, które wyjadają mu brzoskwinie.

61. WIDMA

Na pierwszy rzut oka dom w Auteuil nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, nic, czego można by się spodziewać po rezydencji pana równie znakomitego jak Monte Christo; ale owa prostota wynikała z rozkazów hrabiego, który zażyczył sobie, by nie zmieniano w niczym zewnętrznego wyglądu domu. Aby się przekonać, że wydał zupełnie inne rozkazy co do wnętrza, wystarczyło otworzyć drzwi.

Pan Bertuccio przeszedł sam siebie — umeblowanie było w najlepszym guście, a wszystko zostało urządzone błyskawicznie. Jak niegdyś książę d'Antin[1168] wyciął w jedną noc całą aleję drzew, bo zasłaniała widok Ludwikowi XIV, tak w ciągu trzech dni pan Bertuccio obsadził dziedziniec — do tej pory zupełnie pusty — wspaniałymi topolami i sykomorami. Drzewa ocieniły fasadę domu, a przed nią, zamiast dotychczasowego bruku zarośniętego zielskiem, ułożono owego sobotniego ranka rozległy kobierzec trawy, na której wciąż perliły się krople wody, którą ją zroszono.

Wszystkie te rozkazy wydał zresztą sam hrabia; sam wręczył Bertucciowi plan, na którym oznaczył ilość drzew i miejsce, gdzie miały być zasadzone, a także wymiary gazonu[1169].

Tym sposobem dom zmienił się nie do poznania — sam Bertuccio przyznawał, że trudno mu go rozpoznać w takiej oprawie zieleni.

Intendent nie zmartwiłby się zbytnio, gdyby mógł dokonać także paru zmian w ogrodzie; ale hrabia kategorycznie zakazał dotykać tam czegokolwiek. Bertuccio wynagrodził to sobie, przystrajając mnogością kwiatów przedpokoje, schody i kominki.

Dom

O nadzwyczajnych uzdolnieniach intendenta i wielkiej wiedzy jego pana o tym, że jeden znakomicie umiał służyć, a drugi wiedział, jak kierować służbą, świadczyło to, że dom ten, pusty od dwudziestu lat, jeszcze wczoraj ponury i smutny, przesycony mdłym zapachem — chciałoby się rzec: zapachem czasu — w ciągu jednego dnia obudził się do życia, nabrał zapachu i zajaśniał wedle gustów właściciela. Przyjechawszy na miejsce hrabia zastał tu swoje książki, broń, obrazy, a w przedpokojach psy, za których karesami[1170] przepadał, i ptaki, których śpiew lubił. Cały ten dom zbudził się z długiego snu — niczym pałac Śpiącej Królewny — i wszystko w nim żyło, śpiewało i jaśniało radością, jak w tych naszych ukochanych domach, w których zawsze zostawiamy część naszego ja, nawet jeśli nieszczęście zmusi nas, byśmy z nich wywędrowali.

Na pięknym dziedzińcu uwijała się wesoło służba; ci, którzy zajmowali się kuchnią, przemykali po odnowionych wczoraj schodach, jakby mieszkali tu od dawna; inni krzątali się w wozowni; każdy powóz, opatrzony numerem, wyglądał tak, jakby stał w swojej przegrodzie już od lat pięćdziesięciu; konie u żłobu odpowiadały rżeniem stajennym,

[1168] *książę d'Antin*, właśc. *Louis-Antoine Pardaillan de Gondrin* (1665–1736) — fr. wojskowy i arystokrata, nadzorował prace budowlane na Wersalu. [przypis edytorski]

[1169] *gazon* — duży, ozdobny trawnik w geometrycznym kształcie znajdujący i się przed wejściem do rezydencji. [przypis edytorski]

[1170] *kares* (daw., z fr.) — pieszczota, czułość. [przypis edytorski]

którzy traktowali je z szacunkiem o wiele większym od tego, jakim niejeden sługa darzy swojego pana.

W bibliotece szafy ciągnęły się naprzeciw siebie wzdłuż dwóch ścian, a zawierały mniej więcej dwa tysiące tomów. Jeden regał przeznaczony był na literaturę współczesną; nowość, która wydana została zaledwie wczoraj, już pyszniła się na półce, wystawiając na pokaz czerwoną oprawę ze złoceniami.

Po drugiej stronie domu, symetrycznie do biblioteki, umieszczono oranżerię[1171], pełną rzadkich roślin, rozrosłych bujnie w szerokich japońskich wazach; pośrodku owej oranżerii, radującej zarazem wzrok i powonienie, stał stół bilardowy — i chciałoby się rzec, że gracze zostawili go zaledwie przed godziną, porzucając na suknie zamarłe w bezruchu kule.

Wspaniały Bertuccio uszanował tylko jeden jedyny pokój.

Obok tego pokoju, leżącego w lewym skrzydle na pierwszym piętrze, do którego prowadziły schody paradne, ale z którego można było też wyjść ukrytymi schodkami, służba przechodziła z ciekawością, a Bertuccio z drżeniem.

Punktualnie o piątej hrabia zajechał z Alim przed dom. Bertuccio czekał na przyjazd pana z niecierpliwością i niepokojem; miał nadzieję na słowa pochwały, a jednocześnie obawiał się, że hrabia zmarszczy brwi.

Monte Christo wysiadł na dziedzińcu, zwiedził dom i obszedł ogród, nie wypowiedziawszy jednego słowa, nie pokazawszy po sobie ani zadowolenia, ani rozczarowania.

I tylko, gdy wszedł do sypialni, wyciągnął rękę w kierunku szufladki toaletki z drzewa różanego, którą zauważył już przy pierwszej wizycie.

— To może służyć chyba tylko na rękawiczki — rzekł.

— I owszem, panie hrabio — odparł zachwycony Bertuccio. — Proszę otworzyć, a znajdzie tam pan rękawiczki.

W innych szufladach innych mebli hrabia zastał to, czego się spodziewał: flakoniki, cygara, klejnoty.

— No, dobrze! — wyrzekł na koniec.

A imć Bertuccio odszedł uszczęśliwiony — tak wielki, potężny i prawdziwy wpływ ten człowiek wywierał na wszystkich, co go otaczali.

Dokładnie o szóstej przed bramą zastukały końskie kopyta.

Był to nasz kapitan spahisów na swoim Medeahu.

Monte Christo czekał na niego na ganku z uśmiechem na twarzy.

— Przyjechałem pierwszy, jestem pewien! — zawołał Morrel. — Zrobiłem to umyślnie, aby mieć pana tylko dla siebie choć przez chwilkę. Julia i Emanuel przesyłają panu tysiące serdeczności. O, hrabio, ależ tu ślicznie! Ale niech mi pan powie, pańscy ludzie będą potrafili zaopiekować się moim koniem?

— Niech się pan nie martwi, kochany Maksymilianie, już oni się na tym znają.

— No, bo trzeba go zaraz wytrzeć. Ale żebyś pan wiedział, jak pędził! Istny huragan!

— No, ja myślę, koń za pięć tysięcy... — odparł Monte Christo tonem takim, jakiego użyłby ojciec mówiący do syna.

— Żałujesz pan tych pieniędzy? — rzekł Morrel ze swoim szczerym uśmiechem.

— Niech mnie Bóg broni! Żałowałbym tylko wtedy, gdyby koń nie był dobry.

— Taki jest dobry, kochany hrabio, że Château-Renaud, największy koneser koni we Francji, i Debray, co jeździ na arabach[1172] ministerialnych, zostali za mną nieco w tyle, a do tego doganiają ich konie pani Danglars, które są w stanie zrobić na godzinę sześć mil.

— Czyli jadą za panem? — upewnił się Monte Christo.

— A tak, i oto są.

Rzeczywiście — w tejże chwili przed bramą stanęły spienione konie ciągnące powóz, a za nimi dwa zdyszane wierzchowce. Brama otwarła się, powóz wraz z dwoma końmi zakreśliły łuk i zatrzymały się przed gankiem.

[1171] *oranżeria* — szklarnia służąca do uprawy roślin egzotycznych. [przypis edytorski]

[1172] *arab* — koń czystej krwi arabskiej, rasy pochodzącej z Półwyspu Arabskiego. [przypis edytorski]

Debray w mgnieniu oka zeskoczył na ziemię i podbiegł do drzwiczek. Podał rękę baronowej, a ta wychodząc z powozu uczyniła ruch tak dyskretny, że uszedł uwagi obecnych — poza hrabią.

Monte Christo zawsze wszystko dostrzegał — i tym razem zauważył więc, jak mignął, przechodząc z ręki baronowej do ręki Debraya, biały bilecik, a zręczność, z jaką się to odbyło, wskazywała, że jest to między nimi stały manewr.

Za żoną wysiadł bankier, blady, jakby wychodził z grobu, a nie z powozu.

Pani Danglars rozejrzała się wokół badawczo — tylko Monte Christo mógł zrozumieć to spojrzenie, którym obrzuciła dziedziniec, perystyl[1173] i fasadę; następnie, tłumiąc wzruszenie, które na pewno zdradziłaby jej twarz, gdyby baronowa była jeszcze w stanie zblednąć, wspięła się po schodach, mówiąc do Morrela:

— Gdyby pan należał do moich przyjaciół, zapytałabym, czy pański koń jest na sprzedaż...

Morrel uśmiechnął się — ale przypominało to raczej grymas — i spojrzał na Monte Christa, jakby chciał go prosić o wydobycie z tego kłopotu.

Hrabia zrozumiał.

— O, droga pani — rzekł — dlaczego nie zwracasz się do mnie z tym pytaniem?

— Przy panu nie należy wypowiadać żadnych życzeń, bo natychmiast je spełniasz — odparła baronowa. — Dlatego zwróciłam się do pana Morrela.

— Niestety, mogę zaświadczyć, że pan Morrel nie może odstąpić tego konia, od tego bowiem zależy jego honor.

— Jak to?

— Założył się, że w pół roku ujeździ Medeaha. Rozumie więc pani, że gdyby pozbył się go przed terminem, nie tylko przegrałby zakład, ale jeszcze mówiono by, że się przestraszył. A kapitan spahisów nie może narażać się na podobne plotki, choćby nawet szło o zaspokojenie kaprysu pięknej kobiety, co według mnie jest jedną z najświętszych rzeczy pod słońcem.

— Widzi więc pani... — rzekł Morrel, kierując jednocześnie do Monte Christo uśmiech pełen wdzięczności.

— Zdaje mi się przecież — wtrącił Danglars tonem gburowatym, którego nie zdołał zamaskować szeroki uśmiech — że masz, moja żono, koni aż nadto?

Pani Danglars nie miała w zwyczaju pozostawiać takich uszczypliwości bez riposty ale tym razem, ku zdumieniu młodych ludzi, udała, że nie słyszy i nie odpowiedziała ani słowa.

Monte Christo uśmiechał się: milczenie to zdradzało jakiś niezwykły przypływ pokory.

Pokazywał właśnie baronowej dwie ogromne wazy z chińskiej porcelany, na których wiły się niczym węże algi morskie, oddane z taką precyzją i kunsztem, że tylko sama natura może zawrzeć w swym dziele takie bogactwo, taką żywotność i takiego ducha.

Baronowa była zachwycona.

— O, w takiej wazie można by posadzić kasztanowiec z Tuileriów! — dziwiła się. — Jakże im się udało wypalić takie olbrzymy?

— Ach, droga pani, nie należy stawiać takich pytań nam, którzy potrafimy wyrabiać tylko figurki i cacka z cieniutkiego szkła — odparł Monte Christo — to praca dawnych wieków, dzieło geniuszów ziemi i morza.

— Jak to? Z jakiejże epoki może być to dzieło?

— Nie wiem; słyszałem tylko, że jakiś cesarz chiński kazał zbudować specjalny piec i w tym piecu odlano, jedna po drugiej, dwanaście takich waz. Dwie popękały pod wpływem ognia, dziesięć pozostałych zatopiono na głębokości trzystu sążni w morzu. Morze, które wyczuło, czego od niego wymagają, oplotło je swoimi lianami i koralami i wprawiło w nie muszle; wszystko to cementowało się w tych niesłychanych głębinach przez dwieście lat, gdyż cesarza, który chciał dokonać tego doświadczenia, uniosła ze sobą rewolucja. Został tylko protokół, który zaświadczał o wypaleniu waz i o spuszczeniu ich na dno morza. Po dwustu latach odnaleziono ów protokół i postanowiono je wydobyć. Nurkowie w specjalnych machinach przeszukali zatokę, ale z dziesięciu waz odnaleźli tylko

[1173] *perystyl* — wewnętrzny dziedziniec otoczony kolumnami. [przypis edytorski]

trzy — resztę potłukły i porozrzucały fale. Lubię te wazy. Zdaje mi się czasem, że dostrzegam w ich wnętrzu owe niekształtne potwory, straszliwe i tajemnicze, które widzieli li tylko[1174] nurkowie; albo wyobrażam sobie, jak śpią w nich miriady[1175] drobnych rybek, które schroniły się tu, uciekając przed pogonią wroga.

Tymczasem Danglars, niezbyt wielki amator osobliwości, machinalnie obrywał kwiaty ze wspaniałego drzewa pomarańczowego; skończywszy z pomarańczą, zabrał się do kaktusa, ale kaktus, mający mniej łagodny charakter niż pomarańcza, ukłuł go złośliwie.

Drgnął i przetarł sobie oczy, jakby obudził się nagle ze snu.

— Proszę pana — rzekł doń z uśmiechem Monte Christo — jest pan takim koneserem malarstwa, ma pan u siebie tak znakomite dzieła, nie będę nawet zachwalał moich. A jednak mam tutaj dwóch Hobbemów[1176], jednego Paula Pottera[1177], Mierys[1178], dwóch Gerardów Dow[1179], Rafaela, van Dycka[1180], Zurbarana[1181] i jeszcze kilka Murillów[1182]. Zasługują na pańską uwagę.

— No popatrz — zdziwił się Debray — tego Hobbemę skądś znam.

— Naprawdę?

— Tak, ktoś proponował go dyrekcji muzeum.

— Ale ostatecznie muzeum go nie posiada — odezwał się Monte Christo.

— No nie, nie chciało go kupić.

— Czemuż to? — zapytał Château-Renaud.

— Ty to jesteś rozbrajający. Rząd nie ma na tyle pieniędzy.

— O, bardzo cię przepraszam — rzekł Château-Renaud. — Słyszę tę piosnkę codziennie od ośmiu lat i nadal nie mogę się do niej przyzwyczaić.

— Przyjdzie ci to z czasem.

— Nie sądzę.

— Pan major Bartolomeo Cavalcanti! Pan wicehrabia Andrea Cavalcanti! — zaanonsował Baptysta.

Czarny atłasowy kołnierz prosto spod igły, świeżo ogolona broda, siwy wąs, mundur ze szlifami majora ozdobiony trzema medalami i pięcioma krzyżami — jednym słowem, stary żołnierz, jak się patrzy: tak właśnie pojawił się major Bartolomeo Cavalcanti, ów kochający ojciec, którego już znamy.

Ramię w ramię, we fraku aż pachnącym nowością kroczył z uśmiechem na ustach wicehrabia Andrea Cavalcanti, ów pełen szacunku dla rodziciela syn, którego także już znamy.

Trzej młodzi ludzie stali właśnie razem i gwarzyli; ich spojrzenia przeniosły się z ojca na syna — i tu oczywiście zatrzymały się na dłużej, nie pomijając żadnego szczegółu.

— Cavalcanti? — rzekł Debray.

— No, no, piękne nazwisko — zauważył Morrel.

— O tak — dorzucił Château-Renaud. — Włosi nazywają się dobrze, ale ubierają się fatalnie.

— Wybredny jesteś — odparł Debray. — Ubiera się u świetnego krawca, a frak jest prosto spod igły.

— I właśnie to mu zarzucam. Wygląda tak, jakby ubrał się w ten sposób po raz pierwszy w życiu.

— Co to za jedni? — zapytał Danglars hrabiego.

— Słyszałeś pan: panowie Cavalcanti.

— To tylko nazwisko, nic mi to nie mówi.

[1174] *li tylko* (daw.) — tylko, wyłącznie. [przypis edytorski]

[1175] *miriada* (z gr.) — gr. liczebnik oznaczający dziesięć tysięcy, używany zwykle w liczbie mnogiej na określenie ogromnej, trudnej do policzenia liczby czegoś. [przypis edytorski]

[1176] *Hobbema, Meinddert* (1638–1709) — hol. malarz pejzażysta. [przypis edytorski]

[1177] *Paul Potter*, właśc. *Paulus Pieterszoon Potter* (1625–1654) — hol. malarz pejzażysta. [przypis edytorski]

[1178] *Mierys* — hol. malarz Frank van Mieris (1635–1681) a. jego syn i uczeń Willem van Mieris (1662–1747). [przypis edytorski]

[1179] *Dow, Gerard* a. *Gerrit Dou* (1613–1675) — hol. malarz; jego mistrzem był Rembrandt. [przypis edytorski]

[1180] *van Dyck, Antoon* (1599–1641) — barokowy malarz flamandzki, znany głównie jako autor portretów. [przypis edytorski]

[1181] *Zurbaran*, właśc. *Francisco de Zurbarán* (1598–1664) — hiszp. malarz. [przypis edytorski]

[1182] *Murillo, Bartolomé Esteban* (1617–1682) — hiszp. malarz. [przypis edytorski]

— A, prawda, zapomniałem, że pan nie znasz naszej włoskiej szlachty. Powiedzieć „Cavalcanti" to to samo, co powiedzieć „ród książęcy".

— Ładną mają fortunkę? — zaciekawił się bankier.

— Kolosalną.

— Cóż porabiają w życiu?

— Próbują je jakoś przejeść, ale nie bardzo im to wychodzi. Mają zresztą u pana kredyt; powiedzieli mi o tym przedwczoraj, kiedy u mnie byli. I zaprosiłem ich głównie ze względu na pana. Przedstawię ich panu.

— Ale zdaje mi się, że bardzo czysto mówią po francusku — zauważył Danglars.

— Syn wychowywał się w jakimś kolegium na Południu, w Marsylii albo gdzieś w okolicach. Przekona się pan, jaki rozentuzjazmowany.

— Czym? — zagadnęła baronowa.

— Francuzkami, droga pani. Chce się absolutnie ożenić z paryżanką.

— Też sobie wymyślił! — wzruszył ramionami Danglars.

Pani Danglars spojrzała na niego w sposób, który w każdej innej sytuacji zwiastowałby burzę; ale po raz drugi nie zareagowała.

— Baron chyba jest dziś mocno zasępiony — szepnął Monte Christo pani Danglars. — Czyżby przypadkiem chciano go posadzić na stołku ministra?

— Nie, nie, o ile wiem. Myślę raczej, że przegrał coś na giełdzie i sam nie wie, na kim się wyładować.

— Państwo de Villefortowie! — zawołał Baptysta.

Weszły zaanonsowane osoby.

Pan de Villefort, choć umiał zachować zimną krew, był wyraźnie poruszony.

Gdy się witali, Monte Christo poczuł, że drżała mu dłoń.

— O, tylko kobiety umieją się maskować — szepnął do siebie Monte Christo, spoglądając na panią Danglars, która uśmiechała się do prokuratora i całowała jego żonę.

Po zwykłych uprzejmościach hrabia zauważył, że Bertuccio krzątający się do tej pory w kredensie[1183], wśliznął się do saloniku przylegającego do sali, w której byli goście. Poszedł do niego.

— Czego się pan chcesz dowiedzieć, Bertuccio? — zagadnął.

— Ekscelencja nie powiedział mi, ile osób będzie przy stole.

— Policz pan sam.

— Wszyscy już przybyli?

— Tak.

Bertuccio zerknął przez szparę w drzwiach.

Monte Christo nie spuszczał zeń oka.

— O Boże! — zawołał Bertuccio.

— Co się stało?

— Ta kobieta... ta kobieta! No ta, w białej sukni, cała w diamentach!... ta blondynka!...

— Pani Danglars?

— Nie wiem jak się nazywa. Ale to ona, panie hrabio! To ona! Kobieta z ogrodu! Ta w ciąży! Ta, która spacerowała, czekając na!... Czekając...

Bertuccio stanął z otwartymi ustami, blady, z najeżonym włosem.

— No, na kogo?

Bertuccio nie odpowiedział i tylko wskazał palcem Villeforta, mniej więcej takim gestem, jak Makbet wskazywał Banka[1184].

— O!... O!... — wyszeptał. — Widzi pan? To on.

— On?!... Pan de Villefort, prokurator królewski? Oczywiście, że go widzę.

— Więc ja go nie zabiłem?!

— No coś takiego! Chybaś oszalał, mój dobry Bertuccio.

— To on nie umarł?

— Ależ nie! Widzisz przecież, że żyje. Pewnie zamiast wbić mu nóż między szóste i siódme żebro po lewej stronie, jak to zwykle czynią pańscy ziomkowie, ugodziłeś go

[1183] *kredens* (daw.) — pomieszczenie, w którym przechowywano zastawę stołową. [przypis edytorski]

[1184] *jak Makbet wskazywał Banka* — nawiązanie do sceny z *Makbeta* Szekspira, w której tytułowemu bohaterowi ukazuje się duch zamordowanego przez niego Banka. [przypis edytorski]

nieco wyżej lub niżej. A prawnicy mają twardy żywot — albo raczej wszystko, coś mi opowiedział, to nieprawda, zmyśliłeś to sobie, przyśniło ci się, miałeś przywidzenia. Nie przetrawiłeś dobrze myśli o zemście i zasnąłeś, zaciążyło ci to na żołądku i przyśniły ci się jakieś koszmary, ot i wszystko. No, uspokój się i policz: państwo de Villefortowie to dwoje; pan i pani Danglarsowie — czworo; pan de Château-Renaud, pan Debray i pan Morrel to siedmioro; pan major Cavalcanti, ośmioro.

— Ośmioro — powtórzył Bertuccio.

— Ale dokąd to, dokąd, do diabła, ależ panu śpieszno! Zapomniałeś pan o jeszcze jednym gościu. Tam, trochę bardziej na lewo... o, tam... to ten młodzieniec w czerni, pan Andrea Cavalcanti, ogląda sobie *Madonnę* Murilla, o, właśnie się odwraca.

Tym razem Bertuccio omal nie krzyknął — ale spojrzenie Monte Christa wstrzymało mu głos.

— Benedetto! — szepnął. — Fatalność!

— Bije wpół do siódmej, panie Bertuccio — rzekł surowo hrabia. — Mówiłem, że o tej porze siądziemy do stołu. Wiesz dobrze, że nie lubię czekać.

I Monte Christo wszedł do salonu, gdzie czekali goście; a tymczasem Bertuccio chwiejnie powrócił do jadalni, podpierając się o ściany.

Pięć minut później otwarły się podwoje salonu.

Na progu stanął Bertuccio i czyniąc ostatni heroiczny wysiłek, jak Vatel w Chantilly[1185], oznajmił:

— Panie hrabio, podano do stołu.

Monte Christo podał ramię pani de Villefort.

— Panie prokuratorze — rzekł — racz podać ramię pani baronowej.

Villefort usłuchał — i wszyscy przeszli do jadalni.

62. OBIAD

Było oczywiste, że gości zmierzających do jadalni nurtowała jedna i ta sama myśl.

Zapytywali się, jaka niezwykła siła sprowadziła ich do tego domu; ale choć wszyscy się dziwili, a niektórych dręczył niepokój, nikt nie żałował, że się tam znalazł.

A przecież znajomość z hrabią była świeżej daty, gospodarz był człowiekiem ekscentrycznym i samotnikiem, nikt nie wiedział, skąd pochodziła jego niemal bajeczna fortuna — powinno to skłaniać mężczyzn do ostrożności, a kobietom wręcz nie wypadało wchodzić do tego domu, w którym brak było kobiety, aby je stosownie przyjąć. A jednak mężczyźni zlekceważyli ostrożność, a kobiety konwenanse, pchnięci ostrogą niepohamowanej ciekawości.

I nawet panowie Cavalcanti — sztywny ojciec i nonszalancki syn — wydawali się przejęci, znalazłszy się w towarzystwie zupełnie obcych im osób u tego człowieka, którego zamiarów nie potrafili pojąć.

Pani Danglars aż drgnęła, kiedy pan de Villefort podszedł do niej, aby na zaproszenie Monte Christa podać jej ramię, a pan de Villefort czuł, jak zaćmiło mu się przed oczyma, osłoniętymi złotymi okularami, gdy baronowa wsunęła mu rękę pod ramię.

Ich wzruszenie nie uszło uwagi hrabiego; bo też zachowanie tych dwojga ludzi w tak banalnej sytuacji mogłoby stanowić ciekawy przedmiot badań dla każdego obserwatora.

Pan de Villefort miał po prawej ręce panią Danglars, a po lewej Morrela.

Hrabia siedział pomiędzy panią de Villefort a Danglarsem.

Debray został usadzony między panami Cavalcanti, a Château-Renaud między panią de Villefort i Morrelem.

Uczta była wspaniała.

Monte Christo postanowił całkowicie przeciwstawić się zwyczajom paryskim i zaspokoić bardziej ciekawość biesiadników, niż ich apetyt. Była to więc uczta wschodnia, ale taka, jak zapewne wyglądały biesiady w arabskich baśniach.

[1185] *Vatel w Chantilly* — François Vatel był majordomem Ludwika II Kondeusza; miał on popełnić samobójstwo po tym, jak podczas uczty w pałacu Chantilly (na której gościł Ludwik XIV) nie dostarczono na czas świeżych ryb. [przypis edytorski]

W chińskich wazach i japońskich czarach ułożone były w piramidach wszelkie owoce, jakie cztery strony świata mogą dostarczyć, nietknięte i smakowite, do europejskiego rogu obfitości.

Rzadkie ptaki o wspaniałym upierzeniu, olbrzymie ryby na podłużnych srebrnych półmiskach, wina egejskie[1186] z Azji Mniejszej i południowej Afryki, zamknięte w butelkach o dziwacznych kształtach, których sam wygląd jeszcze przydawał smaku, defilowały — niczym na uczcie u Apicjusza[1187] — przed paryżanami, którzy byli w stanie zrozumieć, że można wydać tysiąc ludwików na obiad dla dziesięciu osób, ale pod warunkiem, że jak u Kleopatry będzie się jadło perły albo piło — jak u Wawrzyńca Medyceusza[1188] — płynne złoto.

Wobec ogólnego zdumienia Monte Christo jął się śmiać i żartować sam z siebie.

— Drodzy panowie — rzekł — sami przyznacie, że kto dojdzie do pewnego stopnia majątku, zaczyna potrzebować już wyłącznie rzeczy zbędnych, tak jak panie przyznają mi, że osiągnąwszy pewien stopień egzaltacji[1189], zwracamy uwagę już tylko na ideał. Idąc dalej w tym kierunku, czymże jest cudowność? Tym, czego nie rozumiemy. Czym jest dobro, którego pragniemy? Tym, czego nie możemy zdobyć. I dlatego całe moje życie spędzam na tym, aby oglądać to, czego nie mogę zrozumieć, i zdobywać rzeczy, których zdobyć nie można. Udaje mi się to za pomocą dwóch środków: pieniędzy i woli. Aby doścignąć jakąś moją fantazję, okazuję taką samą wytrwałość, jaką pan Danglars, gdy buduje linię kolejową albo pan de Villefort, gdy chce skazać na śmierć człowieka; pan Debray — gdy pragnie zaprowadzić pokój w jakimś królestwie; pan de Château-Renaud — gdy się chce spodobać kobiecie; a pan, panie Morrel, gdy chcesz ujarzmić konia, którego nikt nie zdołał ujeździć. A więc na przykład popatrzcie państwo na te ryby: jedna urodziła się pięćdziesiąt mil od Petersburga, a druga pięć mil od Neapolu. Czy to nie zabawne mieć je razem na jednym stole?

Ambicja, Bogactwo, Marzenie, Chciwość

— Cóż to za ryby? — spytał Danglars.

— Pan de Château-Renaud mieszkał w Rosji, powie panu, jak się nazywa jedna, a pan major Cavalcanti jako Włoch powie panu coś o drugiej.

— To chyba sterlet — rzekł Château-Renaud.

— Właśnie tak!

— A tamta — odezwał się Cavalcanti — o ile się nie mylę, to lampreda.

— Oczywiście. A teraz proszę zapytać, panie baronie, gdzie się poławia te ryby.

— Sterlety tylko w Wołdze — rzekł Château-Renaud.

— O ile wiem, tylko w jeziorze Fusaro można znaleźć lampredy takiej wielkości — oznajmił Cavalcanti.

— Niemożliwe! — zakrzyknęli goście.

— No właśnie, i to mnie najwięcej bawi — rzekł Monte Christo. — Jestem jak Neron: *cupitor impossibilium*[1190]. Ale widzę, że w tej chwili państwa też bawi. I dlatego to mięso, które w rzeczywistości chyba nie dorównuje okoniowi czy łososiowi, wyda się wam zaraz wyśmienite: bo myśleliście, że nie sposób go zdobyć, a jednak jest tu, na stole.

— Ale jak przetransportować takie ryby do Paryża?

— O, nic prostszego. Przyjechały w dwóch beczkach wysłanych jedna trzciną i wodorostami rzecznymi, a druga — sitowiem i roślinami z jeziora. Załadowano je na specjalny furgon. W ten sposób sterlet żył sobie dwanaście dni, a lampreda osiem, a żyłyby sobie dalej, gdyby nie mój kucharz, który usmażył sterleta w mleku, a lampredę w winie. O, ale pan Danglars mi chyba nie wierzy?

— A przynajmniej bardzo wątpię — odpowiedział Danglars, uśmiechając się jak zwykle prostacko.

— Baptysto — rzekł Monte Christo — każ tu przynieść innego sterletę i lampredę, wiesz, te, które przyjechały w innych beczkach i które jeszcze żyją.

[1186] *egejski* — związany z Morzem Egejskim i krainami leżącymi w jego basenie. [przypis edytorski]

[1187] *Apicjusz*, właśc. *Marcus Gavius Apicius* (I w. n.e.) — autor staroż. rzym. księgi kulinarnej. [przypis edytorski]

[1188] *Wawrzyniec Medyceusz*, właśc. *Lorenzo di Piero de' Medici*, znany jako *Wawrzyniec Wspaniały* (1449–1492) — faktyczny władca Republiki Florencji, wybitny polityk, entuzjastyczny mecenas kultury renesansowej, humanista. [przypis edytorski]

[1189] *egzaltacja* — wyrażanie uczuć w przesadny sposób. [przypis edytorski]

[1190] *cupitor impossibilium* (łac.) — żądny rzeczy niemożliwych. [przypis edytorski]

Danglars wytrzeszczył oczy, a zebrani klasnęli w dłonie.

Czterech służących przyniosło dwie beczki przystrojone algami; pluskały się w nich po jednej ryby, podobne do tych, które podano na stół.

— Ale dlaczego po dwie z każdego gatunku? — zapytał Danglars.

— Bo jedna mogła przecież umrzeć — odpowiedział z prostotą Monte Christo.

— O, jesteś pan naprawdę cudotwórcą — rzekł Danglars. — Filozofowie mogą sobie mówić, co chcą — być bogatym to wspaniała rzecz.

— A zwłaszcza, gdy się ma takie pomysły — dodała pani Danglars.

— O, pani baronowa czyni mi zbyt wielki zaszczyt. Ten zwyczaj był bardzo w cenie u starożytnych Rzymian. Pliniusz opowiada, że z Ostii sprowadzano do Rzymu pewien gatunek ryb o nazwie *mulus* — to zapewne nasza dorada. Niewolnicy nieśli je na głowach, przekazując je co jakiś czas po drodze następnym. Mieć żywą doradę, to był dopiero zbytek; ale było też ciekawe patrzeć, jak umiera: kilkakrotnie zmieniała wtedy barwę, przechodziła przez wszystkie kolory tęczy, a potem — odsyłało się ją do kuchni. Jej agonia stanowiła jedną z jej zalet. Gdyby nie widziano dorady za życia, gardzono by nią po śmierci.

— No tak, ale z Ostii do Rzymu jest tylko siedem mil — zauważył Debray.

— A tak, to prawda. Ale gdybyśmy nie prześcignęli Lukullusa, nie mielibyśmy żadnej zasługi, bo przecież urodziliśmy się tysiąc osiemset lat po nim — odparował Monte Christo.

Panowie Cavalcanti wybałuszyli oczy, ale mieli na tyle rozsądku, żeby się nie odezwać.

— Wszystko to jest godne podziwu — rzekł Château-Renaud — ale przyznam się, że największe wrażenie robi na mnie prędkość, z jaką jest pan obsługiwany. Przecież kupił pan hrabia ten dom zaledwie pięć czy sześciu dni temu?

— Na pewno nie więcej — przytaknął Monte Christo.

— A jestem pewien, że w ciągu tych paru dni uległ zupełnemu przekształceniu. Jeśli dobrze pamiętam, było tu inne wejście, a dziedziniec był wybrukowany i zupełnie pusty. Dziś jest tam wspaniały trawnik otoczony drzewami, które wyglądają na sto lat.

— No cóż, po prostu lubię zieleń i cień — rzekł Monte Christo.

— Rzeczywiście — wtrąciła pani de Villefort. — Dawniej wchodziło się przez drzwi od drogi, właśnie tamtędy wniósł mnie pan do domu, gdy tak cudownie ocalił mi pan życie.

— Tak, droga pani, ale inne wejście bardziej mi się spodobało: przez kraty widać Lasek Buloński — rzekł Monte Christo.

— I to wszystko w ciągu czterech dni? — zdumiał się Morrel. — To jakiś cud!

— No, to naprawdę cud, zrobić ze starego domu zupełnie nowy — rzekł Château-Renaud. — Bo dom był naprawdę stary, a do tego bardzo ponury. Matka przysłała mnie tutaj parę lat temu, abym go obejrzał, gdy pan de Saint-Méran wystawił go na sprzedaż.

— Pan de Saint-Méran? — zdziwiła się pani de Villefort. — Ten dom należał wcześniej do pana Saint-Méran?

— Chyba tak — odparł Monte Christo.

— Jak to: chyba? To nie wiesz pan, od kogo ten dom kupiłeś?

— Ależ nie, takimi szczegółami zajmuje się mój intendent.

— No, ale ten dom stał pustkami co najmniej dziesięć lat — rzekł Château-Renaud. — Aż smutno było patrzeć na te zamknięte okiennice, drzwi i dziedziniec zarosły trawą. Gdyby nie należał do teścia prokuratora królewskiego, można by go wziąć za dom przeklęty, w którym popełniono jakąś wielką zbrodnię.

Villefort do tej pory nie tknął ani jednego z kielichów, które stały przed nim, napełnione różnymi rzadkimi gatunkami win — teraz porwał pierwszy lepszy i opróżnił go duszkiem.

Monte Christo odczekał chwilę, po czym, wśród ciszy, jaka zapadła po słowach Château-Renaud, powiedział:

— Dziwne, panie baronie, ale to samo przyszło mi do głowy, gdy po raz pierwszy wszedłem do środka i dom wydał mi się tak posępny, że nigdy bym go nie kupił, gdyby mój intendent nie załatwił wcześniej tej sprawy. Nicpoń musiał dostać coś w łapę od notariusza.

— To możliwe — wyjąkał Villefort, usiłując się uśmiechnąć — ale proszę mi wierzyć, że nie brałem udziału w tym przekupstwie. Pan de Saint-Méran chciał koniecznie

sprzedać ten dom, część posagu swojej wnuczki, bo gdyby jeszcze stał tak niezamieszkały przez parę lat, popadłby w ruinę.

Tym razem zbladł Morrel.

— Był tu zwłaszcza jeden taki pokój — podjął Monte Christo — pokój na pozór zwyczajny, pokój jak każdy inny, obity czerwonym adamaszkiem. A wydał mi się — sam nie rozumiem, czemu — dramatyczny jak nie wiem co.

— A dlaczego — zapytał Debray — dlaczego dramatyczny?

— Czy rozumiemy dokładnie rzeczy, które wyczuwamy instynktownie? — rzekł Monte Christo. — Czyż nie zdarzają się takie miejsca, które wprost tchną jakimś smutkiem? Dlaczego? Nie wiemy. Może kojarzą się nam z tym jakieś wspomnienia, może kaprys myśli przenosi nas w inne czasy, inne miejsce, które nie mają zapewne żadnego związku z czasami, w których żyjemy i miejscem, w którym jesteśmy. W każdym razie pokój ten przypomniał mi w plastyczny sposób pokój markizy de Ganges[1191] lub sypialnię Desdemony[1192]. O, właśnie! Skoro skończyliśmy obiad, mogę teraz państwu pokazać ten pokój, a potem pójdziemy na kawę do ogrodu: po obiedzie spektakl.

I Monte Christo spojrzał pytająco — pani de Villefort wstała, Monte Christo wstał więc także i wszyscy poszli za ich przykładem.

Pan de Villefort i pani Danglars siedzieli jeszcze przez chwilę, jak przykuci do miejsca. Spojrzeli na siebie pytająco, nie mówiąc ni słowa, nieruchomi, zmrożeni.

— Słyszał pan? — odezwała się pani Danglars.

— Trzeba tam pójść — odpowiedział Villefort i wstając, podał jej ramię.

Goście rozproszyli się już po domu: pchała ich ciekawość; wszyscy byli pewni, że zwiedzanie nie ograniczy się do tego jednego pokoju i że można będzie obejrzeć całą resztę tej rudery, którą Monte Christo przekształcił na pałac.

Wszyscy wyszli więc czym prędzej z jadalni.

Monte Christo poczekał jeszcze na tych dwoje, którzy się tak ociągali; a gdy i oni wyszli, zamknął pochód, uśmiechając się w taki sposób, że gdyby któryś z gości mógł pojąć ów uśmiech, przeraziłby się dużo bardziej, niż widokiem sławetnego pokoju, do którego zmierzali.

Najpierw jednak rzeczywiście zwiedzono po kolei inne apartamenty; pokoje urządzone jak na Wschodzie, bez mebli, a nawet bez łóżek, ale za to pełne sof, poduszek, fajek i broni; salony obwieszone obrazami starych mistrzów i buduary obite chińskimi tkaninami o kapryśnych barwach i fantastycznych deseniach.

Na koniec wszyscy znaleźli się w słynnym pokoju.

Nie było w nim nic szczególnego, poza tym, że chociaż zapadał już zmrok, nie zapalono tu świateł; uderzał też jego staroświecki wygląd, tym bardziej, że wszystkie inne pokoje zostały całkowicie odnowione.

To wystarczyło, aby nadać mu posępny charakter.

— Och! — zawołała pani de Villefort. — Wygląda naprawdę przerażająco!

Pani Danglars chciała wybełkotać kilka słów — ale nikt nic nie dosłyszał.

Każdy rzucił jakąś uwagę, a uwagi te sprowadzały się do jednego: że pokój obity czerwonym adamaszkiem ma w sobie rzeczywiście coś złowróżbnego.

— Prawda? — zagadnął Monte Christo. — Spójrzcie, jak dziwacznie wygląda to łóżko, co za ponure, krwawe obicia! A te dwa pastelowe portrety, wyblakłe od wilgoci? Czyż te blade wargi i oczy pełne przerażenia nie zdają się mówić: „Widziałem!".

Villefort posiniał, pani Danglars osunęła na szezlong[1193] stojący przy kominku.

— O, nie boi się pani siadać na tym szezlongu? Może właśnie tutaj została popełniona zbrodnia! — rzekła pani de Villefort z uśmiechem.

Pani Danglars zerwała się natychmiast.

— A to jeszcze nie wszystko — rzekł Monte Christo.

— A co jeszcze? — zapytał Debray, któremu nie umknęło wzruszenie pani Danglars.

[1191] *markiza de Ganges*, właśc. *Diane de Joannis de Chateaublanc* (1635–1667) — fr. arystokratka; zabita przez swoich szwagrów, z których jeden był opatem Ganges. [przypis edytorski]

[1192] *Desdemona* — postać z dramatu Szekspira *Otello*, córka weneckiego senatora, uduszona przez swojego chorobliwie zazdrosnego męża (tytułowego bohatera tragedii). [przypis edytorski]

[1193] *szezlong* — kanapa w kształcie wydłużonego fotela, na której można odpoczywać w pozycji półleżącej. [przypis edytorski]

— No właśnie, co jeszcze? — zapytał Danglars. — Bo przyznam się państwu, że nic tu nadzwyczajnego nie widzę. A pan, panie majorze?

— Och, my to mamy w Pizie wieżę Ugolina, w Ferrarze więzienie Tassa[1194], a w Rimini pokój Paola i Franceski[1195] — oświadczył Cavalcanti.

— To prawda, ale nie macie takich schodków — odparł Monte Christo, otwierając drzwi ukryte w ścianie. — Spójrzcie państwo i powiedzcie, co o nich sądzicie?

— Ależ są kręte i ponure! — roześmiał się Château-Renaud.

— Nie wiem, czy to wino z Chios[1196] tak skłania do melancholii — rzekł Debray — ale cały dom widzę w jakichś ponurych barwach.

Od chwili, gdy wspomniano o posagu Valentine, Morrel chodził smutny i nic nie mówił.

— Proszę sobie wyobrazić — ciągnął Monte Christo — jak wśród ciemnej, burzliwej nocy jakiś Otello albo ksiądz de Ganges schodzi krok po kroku po tych schodach, niosąc jakieś straszne zawiniątko, chcąc je ukryć czym prędzej przed okiem ludzkim, jeśli już nie przed okiem Boga...

Pani Danglars zasłabła na ramieniu Villeforta, który musiał się aż oprzeć o ścianę.

— O Boże, co się pani stało? — zawołał Debray. — Jak pani pobladłaś!

— Co jej jest? — rzekła pani de Villefort. — Ależ to proste. Pan hrabia de Monte Christo opowiada nam straszliwe historie, abyśmy poumierali ze strachu i pani baronowa się przeraziła.

— Oczywiście — przytaknął Villefort. — Oj, hrabio, naprawdę wystraszy nam pan damy.

— Co pani jest? — powtórzył Debray szeptem swoje pytanie.

— Nic, nic — odparła z wysiłkiem — potrzeba mi tylko świeżego powietrza.

— Chce pani zejść do ogrodu? — zapytał Debray, podając jej ramię i zwracając się w stronę schodów.

— Nie, nie — odpowiedziała. — Już wolę zostać tutaj.

— O, mój Boże — uśmiechnął się Monte Christo — to przecież tylko dzieło wyobraźni. Równie dobrze możemy sobie wystawić, że to była sypialnia dobrej, zacnej matki. To łóżko osłonięte purpurową kotarą nawiedziła bogini Lucina[1197], a po tych tajemniczych schodkach, aby nie zakłócić snu krzepiącego położnicę, schodzi po cichu lekarz albo mamka, a może sam ojciec, niosąc śpiące dziecko?...

Ale ten pogodny obraz bynajmniej nie uspokoił pani Danglars — jęknęła i zemdlała naprawdę.

— Pani Danglars zasłabła — wyjąkał Villefort. — Może by ją zanieść do powozu?

— O Boże! — zawołał Monte Christo. — Nie mam ze sobą flakonika!

— Ale ja mam — rzekła pani de Villefort.

I podała hrabiemu flakonik napełniony czerwonym płynem, podobnym zupełnie do tego, który tak dobrze podziałał na Edwardka.

— A! — zdziwił się i wziął z rąk pani de Villefort flakonik.

— Tak — szepnęła — spróbowałam zastosować pański przepis.

— I udało się?

— Tak mi się zdaje.

Przeniesiono panią Danglars do sąsiedniego pokoju.

Monte Christo zwilżył jej usta jedną kroplą czerwonego płynu i pani Danglars odzyskała przytomność.

— Ach! Co za okropny sen! — westchnęła.

Villefort ścisnął mocno jej rękę, chcąc dać jej do zrozumienia, że to wcale nie był sen.

[1194] *Tasso, Torquato* (1544–1595) — poeta wł. renesansu, autor sławnego poematu epickiego *Jerozolima wyzwolona*. Był owiany legendą związaną m.in. z pobytem w szpitalu psychiatrycznym; bardzo popularny w okresie romantyzmu. [przypis edytorski]

[1195] *Paolo i Francesca* — Francesca da Rimini była wł. szlachcianką żyjącą w XIII w., która zdradzała swojego męża Giovanniego Malatestę z jego bratem, Paolem; oboje kochankowie zostali przedstawieni w *Piekle* Dantego. [przypis edytorski]

[1196] *Chios* — gr. wyspa na Morzu Egejskim. [przypis edytorski]

[1197] *Lucina* (mit. rzym.) — bogini narodzin, opiekunka rodzących kobiet i noworodków; także: epitet Junony. [przypis edytorski]

Rozejrzano się za panem Danglarsem; ale że bankier nie był usposobiony do poetyckich wzruszeń — zszedł do ogrodu i gawędził z panem Cavalcantim ojcem o projekcie linii kolejowej z Livorno do Florencji.

Monte Christo wydawał się być w rozpaczy. Ujął ramię pani Danglars i zaprowadził do ogrodu, gdzie ujrzeli, jak pan Danglars pije kawę w towarzystwie panów Cavalcantich.

— Naprawdę tak bardzo panią przestraszyłem? — zagadnął hrabia.

— E, nie, ale wie pan, różne rzeczy wywierają na nas różne wrażenie w zależności od naszego stanu ducha.

Villefort zmusił się do uśmiechu.

— A wtedy — dodał — wystarczy jakaś hipoteza, rozumie pan, jakaś chimera...

— Cóż — odparł Monte Christo — uwierzą mi państwo lub nie, ale jestem pewien, że w tym domu popełniono zbrodnię.

— Niech pan uważa — rzekła pani de Villefort — jest między nami prokurator!

— A to bardzo dobrze — odpowiedział Monte Christo — jeśli tak się składa, skorzystam z tego i złożę zeznanie.

— Zeznanie? — powtórzył Villefort.

— Tak, i to wobec świadków.

— Wszystko to jest bardzo zajmujące — wtrącił Debray — a jeśli rzeczywiście miała tu miejsce jakaś zbrodnia, taka wiadomość wybitnie pomoże nam w trawieniu.

— A miała miejsce — oświadczył Monte Christo. — Proszę, tędy, panowie, tędy, panie prokuratorze. Aby zeznanie było ważne, muszę je uczynić wobec właściwych czynników.

Monte Christo wziął pod ramię Villeforta, nie puszczając bynajmniej ramienia pani Danglars i zaciągnął ich pod platan, gdzie mrok był najgłębszy.

Pozostali goście podążyli za nimi.

— O, właśnie — odezwał się Monte Christo i tupnął w ziemię — tu, w tym miejscu, aby zasilić stare drzewa, kazałem wykopać dół i nasypać próchnicy. I gdy robotnicy zaczęli kopać, odkryli kuferek, a raczej okucia po nim. Pomiędzy nimi leżał szkielecik noworodka. To już nie jest żaden mój wymysł.

Monte Christo poczuł, jak sztywnieje ręka pani Danglars i drży ramię Villeforta.

— Noworodek? — powtórzył Debray. — Do diabła! To już poważna sprawa.

— Hm, a więc nie myliłem się — rzekł Château-Renaud — gdy utrzymywałem, że domy, jak ludzie, mają swoją duszę i oblicze i że w ich wyglądzie odbija się ich wnętrze. Ten dom wyglądał smutno, bo miał wyrzuty sumienia, a miał te wyrzuty, bo taił zbrodnię.

— Och, ale przecież nie wiadomo, czy to była zbrodnia — odezwał się Villefort, zdobywając się na ostatni wysiłek.

— Jak to? Zakopać żywcem niemowlę w ogrodzie to nie zbrodnia? — zawołał Monte Christo. — A więc jak pan nazwie taki czyn, prokuratorze?

— Ale co nam mówi, że dziecko zostało pogrzebane żywcem?

— Ale po co by je tu grzebano, gdyby nie żyło? W tym ogrodzie nigdy nie było cmentarza.

— Jaka kara spotyka w tym kraju dzieciobójcę? — zapytał prostolinijnie major Cavalcanti.

— O Boże, po prostu ścinają takiemu łeb, i tyle! — odparł Danglars.

— Ach tak, ścinają mu łeb? — zdziwił się Cavalcanti.

— Podobno... Czy tak, panie prokuratorze? — spytał Monte Christo.

— Tak, panie hrabio — odparł prokurator głosem, w którym nie było już nic ludzkiego.

Monte Christo stwierdził, że dwie osoby, dla których przygotował całą tę scenę, nie wytrzymają już nic więcej, i aby nie przeciągać struny:

— Ale, ale, a kawa? — rzekł. — Chyba zapomnieliśmy o kawie?

I zaprowadził gości do stołu, ustawionego na trawniku.

— Doprawdy, panie hrabio — westchnęła pani Danglars — wstyd się przyznać do własnej słabości, ale te wszystkie okropne historie mną wstrząsnęły. Muszę usiąść, przepraszam.

I osunęła się na krzesło.

Monte Christo ukłonił się jej i zbliżył się do pani de Villefort.

— Zdaje mi się, że pani Danglars przydałby się jeszcze flakonik pani.

Nim jednak pani de Villefort podeszła do przyjaciółki, prokurator zdołał szepnąć pani Danglars na ucho:

— Muszę z panią pomówić.

— Kiedy?

— Jutro.

— Gdzie?

— U mnie, w prokuraturze, jeśli pani pozwoli. Tam najbezpieczniej.

— Przyjdę.

W tejże chwili przystanęła obok pani de Villefort.

— Dziękuję ci, kochana — rzekła pani Danglars, próbując się uśmiechnąć. — Już przeszło, już mi lepiej.

63. ŻEBRAK

Zbliżała się noc; pani de Villefort objawiła chęć powrotu do Paryża, na co nie odważyła się do tej pory pani Danglars, chodź widać było wyraźnie, że źle się czuje.

Na życzenie żony pan de Villefort pierwszy dał znak do odjazdu. Zaproponował pani Danglars miejsce w swoim landzie[1198], aby przyjaciółka mogła się nią zaopiekować. Pan Danglars na nic nie zwracał uwagi, zajęty nadzwyczaj ciekawą rozmową na tematy przemysłowe z panem Cavalcantim.

Monte Christo, prosząc panią de Villefort o flakonik, spostrzegł jednocześnie, że pan de Villefort podszedł do pani Danglars; a wyciągając wnioski z sytuacji, domyślił się, czego od niej chciał prokurator, choć szeptał tak cicho, że zaledwie słyszała to sama pani Danglars.

Nie zatrzymywał Morrela, Debraya i Château-Renauda, którzy odjechali konno, ani obu pań, które wsiadły do landa pana de Villeforta. Danglars tymczasem, coraz bardziej zachwycony panem Cavalcantim, zaprosił go do swego powozu.

Andrea Cavalcanti zaś wsiadł do swego tilbury[1199]. Czekało nań przed bramą; *groom*, ubrany wedle kanonów mody angielskiej, ale z dużą przesadą, wspinał się na palce, przytrzymując za uprzęż olbrzymiego konia stalowej maści.

Andrea nie mówił zbyt wiele podczas obiadu; ustrzegła go przed tym jego wrodzona inteligencja — lękał się bowiem całkiem naturalnie, by nie strzelić jakiegoś głupstwa w towarzystwie ludzi tak bogatych i tak wysoko postawionych; zapewne też z lekką obawą zerkał na prokuratora królewskiego.

Po obiedzie obu panów Cavalcantich zagarnął dla siebie pan Danglars: zmierzywszy szybkim spojrzeniem sztywnego majora i nieco nieśmiałego syna, wspomniawszy, że są oni gośćmi hrabiego, wpadł na myśl, że stary Cavalcanti to jakiś nabab, który przybył do Paryża, aby doszlifować edukację jedynaka w wielkim świecie.

Z wielkim tedy upodobaniem kontemplował olbrzymi diament migoczący na małym palcu majora, major bowiem jako człowiek rozsądny i doświadczony, z obawy, by nic złego nie przydarzyło się jego banknotom, obrócił je natychmiast na przedmiot wartościowy. Następnie, po obiedzie, pod pretekstem rozmowy o przemyśle i podróżach, powypytywał ojca i syna, jaki tryb życia prowadzą — a oni, uprzedzeni, że mają otwarty kredyt właśnie u Danglarsa (pierwszy na jednorazową wypłatę czterdziestu ośmiu tysięcy franków, drugi na pensję roczną w wysokości pięćdziesiąt tysięcy), zachowywali się wobec bankiera czarująco, a nawet tak uniżenie, że niewiele brakowało, a uścisnęliby — dając upust wdzięczności — dłoń jego lokajom.

Jedna rzecz wzmogła szczególnie szacunek, a chciałoby się wręcz rzec: uwielbienie, jakie Danglars odczuwał dla pana Cavalcantiego. Major, wierny zasadzie Horacego: *nil admirari*[1200], dał dowód swojej wiedzy, wymieniając nazwę jeziora, w którym łowi się najlepsze lampredy i poprzestał na tym; zjadł swoją porcję, nie mówiąc już ani słowa.

[1198] *lando* — rodzaj czteroosobowego powozu konnego z opuszczaną budą [przypis edytorski]

[1199] *tilbury* — lekki, otwarty powóz dwukołowy o dużych kołach, opracowany na pocz. XIX w. przez londyńską firmę Tilbury; dostosowany do szybkiego poruszania się po nierównych drogach. [przypis edytorski]

[1200] *nil admirari* (łac.) — niczemu się dziwić; sentencja pitagorejska, którą przytacza w swoich *Listach* Horacy (I 6, 1). [przypis edytorski]

Danglars wniósł z tego, że tego rodzaju zbytek na stole był czymś zwyczajnym dla tego znakomitego potomka rodu Cavalcantich, który zapewne jadał w swojej Lukce pstrągi ze Szwajcarii i langusty z Bretanii[1201], sprowadzane w taki sam sposób, jak lampredy i sterlety hrabiego.

Przyjął tedy z widocznym zadowoleniem takie oto oświadczenie pana Cavalcantiego:

— Jutro będę miał honor złożyć panu wizytę w interesach.

— Pańska wizyta sprawi mi wielką radość — odpowiedział Danglars.

Po czym zaproponował majorowi, że jeśli nie sprawi mu przykrości chwilowe rozstanie z synem, odwiezie go do Hotelu Książęcego.

Cavalcanti odparł, że Andrea już od dawna prowadzi niezależne kawalerskie życie, a więc posiada również własne konie i powozy, a skoro nie przyjechali tu razem, nie widział powodu, dlaczego nie mieliby odjechać osobno.

Major wsiadł zatem do powozu Danglarsa; bankier umościł się koło niego, coraz bardziej oczarowany poglądami na temat porządku i oszczędności tego człowieka, który przecież jednocześnie dawał swojemu synowi pięćdziesiąt tysięcy franków rocznie, co zakładało, że sam miał fortunę przynoszącą co najmniej pięćset tysięcy liwrów rocznie.

Andrea zaś, aby zrobić wrażenie wielkiego pana, wyłajał *grooma*, że nie zajechał po niego przed sam ganek, ale czekał przy bramie i naraził w ten sposób Andreę na przejście piechotą aż trzydziestu kroków.

Groom przyjął tę burę z pokorą i aby wstrzymać niecierpliwiącego się konia, który już grzebał w ziemi kopytem, ujął jedną ręką wędzidło, a drugą podał Andrei lejce. Młodzian pochwycił je i postawił lekko na schodkach stopę w lakierowanym trzewiku.

W tej samej chwili czyjaś ręka opadła na jego ramię. Młodzieniec odwrócił się, myśląc, że to Danglars albo Monte Christo zapomnieli mu czegoś powiedzieć i zatrzymali go w ostatniej chwili.

Ale zamiast jednego z nich ujrzał przed sobą dziwną, ogorzałą od słońca twarz, obrośniętą bujną brodą, w której jak karbunkuły[1202] błyszczały oczy; na ustach igrał szyderczy uśmiech, odsłaniając białe, równe i zdrowe zęby, a ostre i drapieżne jak u wilka lub szakala.

Głowę i szpakowate, ziemiste włosy osłaniała chustka w czerwoną kratę. Długi i wychudły korpus tego człowieka okrywała obrzydliwie poplamiona i podarta na strzępy bluza; pod nią można mu było zapewne policzyć wszystkie jego kości i mogłoby się wydawać, że chodząc, klekocze nimi jak szkielet. Ręka, którą wsparł na ramieniu Andrei, wydała się młodzieńcowi olbrzymia. Czy młody człowiek rozpoznał w świetle latarni tę twarz, czy też przeraził go straszliwy wygląd napastnika? Tego nie wiemy; dość że zadrżał i odskoczył.

— Czego ode mnie chcesz? — spytał.

— Niech mi panicz wybaczy — odpowiedział mężczyzna i dotknął ręką chustki — pewnie panu przeszkadzam, ale muszę pogadać z paniczem.

— Nie wolno żebrać wieczorem — zawołał *groom* i uczynił ruch, jakby chciał gwałtownie odpędzić natręta.

— Ja nie żebrzę, mój śliczny chłopaczku — rzekł nieznajomy, uśmiechając się tak ironicznie i tak złowróżbnie zarazem, że *groom* natychmiast się cofnął. — Chcę tylko zamienić dwa słówka z twoim paniczem, który mi dwa tygodnie temu dał pewne zlecenie.

— No, czego chcesz? Tylko, przyjacielu, mów prędko — rzekł z kolei Andrea, starając się, by służący nie zauważył jego zmieszania.

— Chciałbym... chciałbym... — szepnął mężczyzna w czerwonej chustce — abyś raczył oszczędzić mi trudu: nie chce mi się wracać pieszo do Paryża. Jestem bardzo zmęczony; nie jadłem takiego dobrego obiadku jak ty i ledwie trzymam się na nogach.

Młodzieniec wzdrygnął się na tak poufałe słowa.

— Ale w końcu, czego ode mnie chcecie? — zapytał.

— No, chcę, abyś był łaskaw wziąć mnie do tego ślicznego powozu i zawiózł do Paryża.

Andrea zbladł — i nic nie odpowiedział.

[1201] *Bretania* — kraina hist. we Francji, na Półwyspie Bretońskim. [przypis edytorski]

[1202] *karbunkuł* (daw.) — czerwony kamień szlachetny (rubin) lub półszlachetny (granat). [przypis edytorski]

— No, po prostu przyszło mi nagle coś takiego do głowy — i mężczyzna w czerwonej chustce włożył ręce do kieszeni, spoglądając na młodzieńca wyzywająco — rozumiesz, mój mały Benedetto?...

Słysząc to imię, młodzieniec zreflektował się, gdyż podszedł do *grooma* i rzekł doń:

— Rzeczywiście, zleciłem coś temu człowiekowi, a teraz ma mi o tym opowiedzieć. Idź piechotą do rogatki, a potem weź sobie dorożkę, żebyś nie był na miejscu zbyt późno.

Zdziwiony *groom* odszedł.

— Przynajmniej odejdźmy trochę w cień — mruknął Andrea.

— O, jeśli o to ci idzie, sam znajdę dobre miejsce — rzekł mężczyzna w czerwonej chustce.

Wziął konia za uzdę i odprowadził tilbury w miejsce, gdzie rzeczywiście nikt nie mógłby dojrzeć, z jakimi honorami Andrea obchodzi się z nędzarzem.

— Naprawdę nie stoję o zaszczyt paradowania w pięknym powozie, jestem po prostu mocno zmęczony. A poza tym chciałbym pogadać z tobą o interesach.

— No, wsiadaj — rzekł Andrea.

Szkoda, że nie odbywało się to w dzień; zaiste, byłoby to ciekawe widowisko: włóczęga rozpierający się na haftowanych poduszkach, tuż obok wykwintnego chłopca odgrywającego rolę stangreta.

Andrea poganiał konia aż do ostatniego domu wsi, nie przemówiwszy ani słowem do towarzysza; a ten tymczasem uśmiechał się i milczał, jakby radowała go niezmiernie przejażdżka tak dobrym środkiem lokomocji.

Zaledwie wyjechali za Auteuil, Andrea rozejrzał się wokół, aby się upewnić, że nikt nie może ich widzieć ani podsłuchać; zatrzymał konia, skrzyżował ramiona i zawołał:

— Dlaczego chcesz zakłócać mi spokój?

— Ale dlaczego, mój chłopaczku, przestałeś mi ufać?

— Kiedy ci okazałem brak zaufania?

— Kiedy? Jeszcze pytasz? Rozstajemy się na moście w Var[1203] i mówisz mi, że wybierasz się do Piemontu i Toskanii, a ty tymczasem lądujesz w Paryżu.

— A w czym ci to przeszkadza?

— Ależ w niczym. Wręcz przeciwnie, mam nadzieję, że mi to pomoże.

— Oho, to znaczy, że chcesz mnie pan zaszantażować.

— O, no wiesz! Takie brzydkie słowo!

— Panie Caderousse, nie uda się to panu.

— E, Boże kochany, nie gorączkuj się tak, mój mały. A przecież powinieneś wiedzieć, co to jest nieszczęście. Człowiek nieszczęśliwy staje się zazdrosny. Myślałem, że jesteś w Piemoncie albo w Toskanii, pracujesz jako tragarz albo przewodnik, i żal mi cię było z całego serca, jak własnego dziecka. Wiesz przecie, że cię zawsze nazywałem moim dzieckiem. Aż tu nagle widzę, jak przejeżdżasz przez rogatkę Bons-Hommes, w tilbury, z *groomem*, w ubranku jak spod igły. Coś takiego! Odkryłeś kopalnię złota, kupiłeś stanowisko agenta giełdowego czy co?

— Czyli, jak sam pan mówisz, jesteś zazdrosny.

— Ależ nie, jestem kontent, taki kontent, że chciałem ci pogratulować, mój malusi! Ale ponieważ nie byłem ubrany jak należy, zachowałem pewne środki ostrożności, aby cię nie skompromitować.

— Ładna ostrożność! Zaczepiłeś mnie pan przy służącym.

— E, a co miałem zrobić, dzieciaku? Zaczepiłem cię wtedy, kiedy mogłem. Konia masz prędkiego, powozik leciutki; a sam wyślizgujesz się jak węgorz. Gdyby mi się dziś nie udało, mógłbym cię już nigdy nie spotkać.

— Przecież widzisz pan, że się nie ukrywam.

— Masz szczęście. Chciałbym to samo powiedzieć o sobie, bo ja się niestety ukrywam, nie mówiąc o tym, że bałem się, iż możesz mnie nie rozpoznać. Ale rozpoznałeś mnie — ciągnął Caderousse ze złośliwym uśmiechem — no, to było milutkie z twojej strony.

— No, a czego panu trzeba?

— O, już mi nie mówisz na ty. Niełądnie, Benedetto, toć jesteśmy starzy kamraci. Uważaj, bo zacznę być wymagający.

[1203] *Var* — fr. departament. [przypis edytorski]

Ta groźba zmniejszyła złość młodzieńca — ostudził ją powiew przymusu.

— Sam niełądnie postępujesz — rzekł — że się tak obchodzisz z dawnym towarzyszem. Jesteś marsylczykiem, a ja...

— To już wiesz, kim jesteś?

— Nie, ale wychowałem się na Korsyce. Ty jesteś stary i uparty, a ja jestem młody i uparty. Pomiędzy takimi jak my pogróżki nie doprowadzą do niczego dobrego, musimy zawrzeć jakąś ugodę. Czy to moja wina, że uśmiechnął się do mnie los, który ciebie wciąż prześladuje?

— A, to naprawdę się uśmiechnął? Nie nająłeś tego grooma ani tego powozu, ani tych ubranek? No, tym lepiej — zawołał Caderousse, a oczy zabłysły mu chciwością.

— O, dobrze o tym wiesz, skoroś mnie zaczepił — odparł Andrea, zdenerwowawszy się znowu. — Gdybym miał na głowie taką chustkę jak ty, na plecach taką szmatę, a na nogach takie dziurawe chodaki, nie zechciałbyś mnie poznać.

— I widzisz, źle o mnie myślisz, chłopaczku, a nie masz racji. Ale teraz, jak cię już znalazłem, któż mi zabroni, abym się ubrał w takie cienkie sukno, jak inni? Znam przecież twoje dobre serduszko: gdybyś miał dwa ubrania, dałbyś mi jedno. Przecie ja sam oddawałem ci moją zupę i fasolę, kiedyś był głodny.

— To prawda.

— Ależ byłeś nienażarty! Ciągle masz taki dobry apetyt?

— Pewnie, że tak — roześmiał się Andrea.

— No, to musiałeś sobie nieźle podjeść u tego księcia!

— To nie książę, zwyczajny hrabia.

— Hrabia? Jakiś bogacz, co?

— Tak, ale nie myśl sobie za dużo, nie jest zbyt przystępny.

— E, Boże kochany, nie martw się tak! Nie mam żadnych planów co do tego twojego hrabiego, zostawię go dla ciebie. Ale — i Caderousse uśmiechnął się znów złowróżbnie — trzeba mi będzie coś za to dać, rozumiesz?

— No, czego chcesz?

— Myślę, że za sto franków miesięcznie... Mógłbym wyżyć...

— Za sto franków?

— Ale byłoby dość kiepsko, sam rozumiesz. Ale za... Za sto pięćdziesiąt żyłbym całkiem zadowolony.

— No, to masz dwieście — rzekł Andrea i wsunął Caderousse'owi do ręki dziesięć złotych ludwików.

— Dobra — powiedział Caderousse.

— Przychodź co miesiąc do odźwiernego, a zawsze będzie na ciebie tyle czekało.

— O! I znowu mnie upokarzasz!

— A to czemu?

— Mam łazić do jakiegoś fagasa? Nie, kochaniutki, chcę mieć do czynienia tylko z tobą.

— No dobrze, zgłaszaj się do mnie na początku miesiąca. Póki będę dostawał rentę, ty też będziesz ją miał.

— No, no! Widzę, żem się nie omylił, jesteś zacny chłopak. To prawdziwe błogosławieństwo, kiedy szczęście spotyka takich jak ty. Ale opowiedz, jak ci się to przydarzyło.

— Ale co ci do tego?

— E, znowu mi nie ufasz?

— No nie... Dobrze: odnalazłem ojca.

— Prawdziwego?

— Do licha, póki będzie płacił...

— Będziesz go czcił i szanował... Bardzo słusznie. Jakże się zowie?

— Major Cavalcanti.

— A kto ci odnalazł tego papę?

— Hrabia Monte Christo.

— Słuchaj, podsuń mu mnie na dziadka, skoro prowadzi takie biuro pośrednictwa.

— Dobrze, wspomnę mu o tobie; ale tymczasem co zamierzasz robić?

— Troszczysz się o to? Zbytek łaski.

— Zdaje mi się przecież, że skoro ty interesujesz się mną — odpowiedział Andrea — mogę i ja zasięgnąć o tobie informacji.

— Racja, racja... Wynajmę sobie pokoik w jakimś porządnym domu, sprawię sobie przyzwoitą garderobę, będę się co dzień golił i chodził do kawiarni poczytać gazety. Wieczorami będę bywał w teatrze — porozumiem się z jakimś dowódcą klaki[1204]. Będę wyglądał na piekarza, co się wycofał z zawodu, dawno już o tym marzę.

— No, świetny pomysł! Jeśli tylko doprowadzisz go do skutku i będziesz rozsądny, wszystko pójdzie jak z płatka.

— Też mi się znalazł Bossuet! A ty, kim zamierzasz zostać?... Parem Francji?

— No, kto wie.

— Pan major Cavalcanti może nawet jest parem, ale niestety, obalili dziedziczne parostwo.

— Nie gadaj o polityce! Dostałeś, czego chciałeś, jesteśmy na miejscu, zeskakuj, już cię nie ma.

— O nie, przyjacielu!

— Jak to nie?

— Zastanów się tylko, mój malutki: czerwona chustka na głowie, buty w rozsypce, żadnych dokumentów, a za to dziesięć złotych napoleonów w kieszeni, nie licząc tego, co tam było, a co razem daje dwieście franków; przecież zatrzymaliby mnie na rogatkach jak nic! Musiałbym się wtedy przyznać, aby się wytłumaczyć, że to ty mi dałeś te dziesięć napoleonów. No i śledztwo: dowiadują się, że opuściłem Tulon bez pożegnania i odstawiają mnie nad Morze Śródziemne. Znowu staję się tylko i wyłącznie numerem 106 i żegnaj śnie, aby wyglądać jak emerytowany piekarz! Nie, nie, synku, wolę ja sobie mieszkać w stolicy i cieszyć się szacunkiem.

Andrea zmarszczył brwi — jak wiemy i jak sam się tym chwalił, nie był dobrym chłopcem. Przystanął na chwilę, błyskawicznie rozejrzał się wokół, a jego ręka wśliznęła się niewinnie do kieszeni i zaczęła delikatnie odwodzić kurek pistoletu kieszonkowego.

Ale Caderousse nie spuszczał go z oka: założył ręce w tył i powolutku otworzył długi hiszpański nóż, który na wszelki wypadek miał zawsze przy sobie.

Jak widać, dwaj przyjaciele byli godni siebie i doskonale się zrozumieli; ręka Andrei opuściła niewinnie kieszeń, podniosła się do rudych wąsów i przygładziła je.

— Dobrze — rzekł — czyli będziesz sobie żyć szczęśliwie?

— Będę się starał, ile wlezie — odpowiedział były oberżysta, chowając nóż do rękawa.

— No to jedźmy do Paryża. Ale jakże przejdziesz przez rogatkę, aby nie wzbudzić podejrzeń? W takim stroju ryzykujesz chyba więcej w powozie niż na piechotę.

— Chwileczkę, a zobaczysz.

Włożył cylinder Andrei i obszerną opończę, którą w powozie zostawił *groom*, po czym przybrał obrażoną minę, jak lokaj z dobrego domu, kiedy pan sam powozi.

Przejechali rogatkę bez przeszkód.

Przy pierwszej napotkanej przecznicy Andrea zatrzymał konia i Caderousse wyskoczył z kabrioletu. Zagłębił się w uliczce i zaraz znikł.

— Niestety! — westchnął Andrea. — Widać nie można być zupełnie szczęśliwym na tym świecie.

64. SCENA MAŁŻEŃSKA

Na placu Ludwika XV młodzieńcy rozstali się: Morrel pojechał bulwarem, Château-Renaud przez most Rewolucji, a Debray nabrzeżem Sekwany.

Dojechał tuż przed Luwr, skręcił w lewo, przeciął kłusem plac du Carrousel, minął ulicę Saint-Roch i Michodière, a dojechał do pałacu państwa Danglarsów w chwili, gdy lando prokuratora, odwiózłszy wcześniej do domu państwa de Villefortów, zatrzymało się przy bramie, aby wysadzić panią Danglars.

Debray był tu zadomowiony — wjechał więc pierwszy na dziedziniec, rzucił cugle służącemu i pobiegł do drzwiczek powozu, aby podać pani Danglars ramię i zaprowadzić ją do apartamentów.

[1204] *klaka* — grupa ludzi wynajętych w celu oklaskiwania sztuki teatralnej. [przypis edytorski]

Zaledwie brama się zamknęła i zostali na dziedzińcu sami, Debray zapytał:

— Co ci się stało, Herminio? Dlaczegoś tak zasłabła, kiedy hrabia opowiadał tę historię albo raczej tę bajkę?

— Mój drogi, cały wieczór czułam się okropnie.

— O, nie, Herminio, nie wmówisz mi. Czułaś się znakomicie, gdy przyjechałaś do hrabiego. Twój mąż był dość ponury, to prawda, ale wiem, że nie zwracasz uwagi na jego humory. Ktoś ci sprawił jakąś przykrość? Powiedz, wiesz dobrze, że nigdy nie pozwolę, aby ktoś obrażał cię bezkarnie.

— Zapewniam cię, że się mylisz. Było tak, jak mówię, a do tego doszedł jeszcze jego zły humor, który zauważyłeś. Ale nie sądziłam, że warto ci o tym mówić.

Widać było, że pani Danglars uległa jednemu z tych nerwowych rozdrażnień, z których kobiety czasem nie zdają sobie same sprawy, albo — jak się domyślił Debray — poruszyło ją coś, o czym nikomu nie chciała powiedzieć. Wiedział, że humory stanowią konieczny składnik życia kobiecego, nie nalegał więc dłużej, postanawiając poczekać na bardziej odpowiedni moment, aby jeszcze raz zapytać, albo na wyznanie *proprio motu*[1205].

W drzwiach pokoju baronowa spotkała pannę Kornelię, która była jej zaufaną pokojówką.

— Co robi moja córka? — zagadnęła pani Danglars.

— Cały wieczór ćwiczyła na fortepianie — odparła panna Kornelia — a potem się położyła.

Weszli do sypialni. Debray rozsiadł się na kanapie, a pani Danglars przeszła z panną Kornelią do gotowalni.

— Kochany panie Lucjanie — odezwała się pani Danglars zza portiery[1206] w drzwiach — wciąż się skarżysz, że Eugenia nigdy nie raczy rzec do ciebie ani słowa?

— Droga pani, nie ja jeden mogę się na to skarżyć — odpowiedział Lucjan, bawiąc się z pieskiem baronowej, który rozpoznał go i łasił się doń przymilnie. — Chyba i Albert de Morcerf żalił się pani, że nie jest w stanie wydobyć ani słowa z narzeczonej.

— To prawda, ale myślę, że pewnego ranka wszystko się zmieni i zobaczysz, jak Eugenia wchodzi do twojego gabinetu w ministerstwie.

— Jak to, do mojego gabinetu? A to po co?

— Z prośbą o angaż do Opery. Naprawdę, nigdy jeszcze nie widziałam, aby ktoś się tak pasjonował muzyką. U osoby z naszej sfery to śmieszne!

Debray uśmiechnął się.

— No cóż — rzekł — niech przyjdzie; byle miała pozwolenie barona i pani, zaangażujemy ją i będziemy się starać, aby wynagrodzenie odpowiadało jej talentowi, choć jesteśmy za biedni na tak wspaniałe umiejętności.

— Idź już sobie, Kornelio — rzekła pani Danglars. — Nie będziesz mi już potrzebna.

Kornelia odeszła, a po chwili pani Danglars wyszła z gotowalni w czarującym negliżu i usiadła przy Lucjanie.

Zadumana, zaczęła pieścić spanielka.

Lucjan wpatrywał się w nią przez chwilę, nic nie mówiąc.

— Powiedz, Herminio — rzekł wreszcie — ale szczerze, coś cię zraniło, prawda?

— Nie, nic...

A jednak coś przeszkadzało jej swobodnie oddychać; wstała, chcąc odetchnąć głębiej, i poszła przejrzeć się w lustrze.

— Wyglądam tak, że można się mnie przestraszyć.

Debray już się zrywał, uśmiechnięty, aby biec do niej i uspokoić ją pod tym względem, ale wtem otwarły się drzwi.

Wszedł pan Danglars; Debray usiadł.

Gdy skrzypnęły drzwi, pani Danglars odwróciła się i spojrzała na męża ze zdziwieniem, którego nawet nie starała się ukryć.

— Dobry wieczór, pani — rzekł bankier — dobry wieczór, panie Debray.

Baronowa pomyślała zapewne, że pod tą niespodziewaną wizytą kryła się chęć małżonka, aby jakoś naprawić gorzkie słowa, które mu się wymknęły w ciągu tego dnia.

[1205] *proprio motu* (łac.) — z własnej inicjatywy. [przypis edytorski]

[1206] *portiera* — zasłona z grubego materiału, umieszczana przy drzwiach. [przypis edytorski]

Uzbroiła się w całą swoją godność i nie odpowiadając mężowi, odwróciła się do Lucjana.

— Proszę mi coś przeczytać, panie Lucjanie — rzekła.

Debray, którego ta wizyta z początku lekko zmieszała, wobec spokoju zachowywanego przez baronową, sam się uspokoił i sięgnął po książkę, w której wystawał w charakterze zakładki nóż z macicy perłowej[1207] inkrustowany złotem.

— Przepraszam cię, żono — odezwał się bankier — ale na pewno zmęczysz się, siedząc tak do późna. Już jedenasta, a pan Debray mieszka dość daleko.

Debray osłupiał: nie żeby Danglars mówił podniesionym tonem, bynajmniej — ale przez jego spokój i uprzejmość przebijało jakieś niezwykłe postanowienie, aby sprzeciwić się woli żony.

Baronowa zdziwiła się także i zdziwienie to wyraziła w spojrzeniu, które zapewne przywołałoby do porządku małżonka, gdyby nie to, że baron utkwił właśnie wzrok w gazecie, szukając informacji o giełdzie.

Toteż owo tak dumne spojrzenie zostało wymierzone na próżno i chybiło celu.

— Panie Lucjanie — rzekła baronowa — oświadczam panu, że nie chce mi się spać nic a nic. Muszę panu opowiedzieć mnóstwo rzeczy: zostaniesz tu pan całą noc i będziesz mnie słuchał, choćbyś miał zasnąć na stojąco.

— Do usług, łaskawa pani — odparł z flegmą Debray.

— Drogi panie Debray — rzekł bankier — proszę, niech się pan nie zamęcza, słuchając bzdur, jakie chce ci opowiedzieć moja żona; równie dobrze możesz posłuchać ich jutro. Ten wieczór należy jednak do mnie, rezerwuję go dla siebie, a poświęcę go, jeśli mi pozwolisz, na przedyskutowanie z żoną ważnych interesów.

Cios był tak stanowczy i tak dobrze wymierzony, że ogłuszył tak Lucjana, jak baronową. Spojrzeli na siebie, jakby nawzajem szukali u siebie pomocy wobec takiego ataku; ale siła była po stronie pana domu i zatriumfował mąż.

— Ale niechże pan nie myśli, że pana wypędzam, drogi panie Lucjanie — podjął Danglars. — Nie, nie, bynajmniej. Nieprzewidziane okoliczności zmuszają mnie, abym dziś jeszcze porozmawiał z żoną. Proszę mi tego nie mieć za złe, przecież tak rzadko mi się to zdarza.

Debray wybełkotał coś w odpowiedzi, ukłonił się i wyszedł, obijając się o kanty ścian jak Natan[1208] w *Atalii*[1209].

— Nie do wiary — szepnął do siebie, kiedy zamknęły się za nim drzwi — jak łatwo ci mężowie, których uważamy za tak zabawnych, biorą nad nami górę!

Danglars zajął na kanapie miejsce Lucjana, zamknął otwartą książkę, a przybierając pozę straszliwie pretensjonalną, jął się bawić z pieskiem. Ale piesek nie żywił dla niego takiej sympatii, jak do Debraya, i chciał go ugryźć — baron chwycił go więc za skórę na karku i cisnął na szezlong stojący na drugim końcu pokoju.

Zwierzę, wyrzucone w powietrze, zaskowyczało; po czym ucichło i schowało się za poduszkę, zdziwione tym niecodziennym dla niego traktowaniem.

— Wiesz co, mężu, robisz postępy — rzekła baronowa nie zmarszczywszy nawet brwi. — Zwykle bywałeś tylko grubiański, dziś zachowujesz się jak cham.

— Bo dziś jestem w humorze gorszym niż zwykle.

Herminia spojrzała na bankiera z najwyższą pogardą. Takie spojrzenia zawsze irytowały dumnego bankiera, ale dziś niemal nie zwrócił na to uwagi.

— A cóż mnie to może obchodzić, że masz zły humor? — odpowiedziała baronowa, zdenerwowana zimną krwią męża. — Czy mnie to dotyczy? Schowaj dla siebie swój zły humor albo dla swoich urzędników, płacisz im, to możesz wyładowywać się na nich!

— Nie, pani. Mylisz się w swoich radach i nie będę z nich korzystał. Moje biuro to mój Paktol[1210], nie będę zakłócał tam spokoju i biegu spraw. Moi urzędnicy to ludzie uczciwi: pracują na mój majątek, a ja im płacę daleko mniej, niż na to zasługują, jeśli

[1207] *macica perłowa* — wewnętrzna warstwa muszli, używana w celach dekoracyjnych ze względu na swój tęczowy odblask. [przypis edytorski]

[1208] *Natan*, właśc. *Mathan* — bohater *Atalii* Racine'a, kapłan Baala. [przypis edytorski]

[1209] *Atalia* — tragedia fr. dramaturga Jeana Baptiste'a Racine'a z 1691 r. [przypis edytorski]

[1210] *Paktol* — rzeka w Lidii (dzis. Turcja), z której koryta w starożytności wydobywano surowiec służący do wybijania monet. [przypis edytorski]

zważyć zyski, jakie mam dzięki nim. Nie będę się na nich złościł. Mój gniew skieruję na tych, co jedzą u mnie obiady, zajeżdżają mi konie i rujnują moją kasę.

— A któż to taki rujnuje ci kasę? Mów jaśniej, proszę.

— Och, nie martw się, jeśli to aż taka zagadka, nie każę ci zgadywać długo. Ludzie, którzy szkodzą mojej kasie, to ci, którzy w godzinę wyciągają z niej siedemset tysięcy franków.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi, mężu — rzekła baronowa, usiłując jednocześnie ukryć wzruszenie, jakie brzmiało w jej głosie i zapanować nad rumieńcem.

— Przeciwnie, bardzo dobrze rozumiesz. Ale jeżeli nadal chcesz okazywać złą wolę, to dodam, że straciłem siedemset tysięcy na pożyczce hiszpańskiej.

— No, no, coś takiego! — zadrwiła baronowa. — I to ja mam być za to odpowiedzialna?

— A czemu nie?

— Czyż to moja wina, żeś stracił siedemset tysięcy?

— W każdym razie nie moja.

— Zapowiedziałam ci kiedyś raz na zawsze, mój mężu — odpowiedziała z gniewem baronowa — żebyś mi nigdy nie mówił o pieniądzach; nie poruszało się takich kwestii ani u moich rodziców, ani w domu mojego pierwszego męża.

— Bo i po co, przecież nie mieli złamanego grosza.

— I to jeszcze jeden powód, dla którego nie nauczyłam się pańskiego bankowego żargonu, który nęka tu moje uszy od rana do nocy. Ohydny wydaje mi się ten ustawiczny brzęk przeliczanych monet i tylko twój głos jest dla mnie jeszcze bardziej nieznośny.

— Jakie to dziwne! A mnie się zdawało, że bardzo interesujesz się moimi operacjami.

— Ja? Kto sprawił, że uwierzyłeś w coś tak niedorzecznego?

— Ty sama.

— O, doprawdy?

— Oczywiście.

— Bardzo chciałabym wiedzieć, przy jakiej okazji.

— Boże, ależ to proste. W lutym ty pierwsza wspomniałaś mi o akcjach dotyczących Haiti. Śniło ci się, że do Hawru zawinął statek, który przywiózł wieść, że lokaty te będą wypłacone, choć już myślano, że nie nastąpi to nigdy. Wiem, jak jasnowidzące są twoje sny, i kazałem cichcem wykupić wszystkie akcje, jakie tylko można było znaleźć. Zarobiłem na tym czterysta tysięcy, z których sto tysięcy sumiennie wręczyłem tobie. Zrobiłaś z tym, co ci się podobało, to już mnie nie obchodzi.

W marcu szło o koncesję[1211] na budowę kolei żelaznej. Do przetargu stanęły trzy towarzystwa z jednakowymi gwarancjami. Mówisz, że jesteś obca wszelkim spekulacjom, a jednak sądzę, że masz bardzo czujny instynkt w niektórych sprawach. Powiedziałaś mi wtedy, że instynkt ci mówi, iż koncesję uzyska towarzystwo zwane Południowym. Kupiłem natychmiast dwie trzecie akcji tego towarzystwa. Rzeczywiście uzyskało koncesję, jak przewidziałaś, akcje jego potroiły swoją wartość, a ja zainkasowałem milion, z którego dostałaś na szpilki dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Co z nimi zrobiłaś, to też nie moja rzecz.

— Ale mężu, do czego zmierzasz? — wykrzyknęła baronowa, trzęsąc się ze złości i niecierpliwości.

— Cierpliwości, już kończę.

— Chwała Bogu!

— W kwietniu byłaś na obiedzie u ministra; mówiono tam o Hiszpanii, podsłuchałaś poufną rozmowę: szło o plan wypędzenia don Carlosa; zakupiłem papiery hiszpańskie. Don Carlosa wygnano, a w dniu, w którym Karol V[1212] powracał przez Bidassoa[1213], zarobiłem sześćset tysięcy. Z tego dostałaś pięćdziesiąt tysięcy dukatów; miałaś do nich prawo, wydałaś je zgodnie z własnymi kaprysami i nie żądam, abyś się z nich rozliczyła. Ale nie podlega wątpliwości, żeś dostała w tym roku pięćdziesiąt tysięcy liwrów.

— No i co dalej?

— A tak, co dalej... No, dalej sprawy zaczynają śmierdzieć.

[1211] *koncesja* — pozwolenie, wydawane przez odpowiedni organ władzy. [przypis edytorski]

[1212] *Karol V* — Don Carlos, jako pretendent do tronu po swoim ojcu, Karolu IV. [przypis edytorski]

[1213] *Bidassoa* — rzeka na granicy Francji z Hiszpanią. [przypis edytorski]

— Wiesz... naprawdę... wyrażasz się jak...

— Ale dobrze oddaje to moje myśli i o to mi tylko idzie... Owóż to „dalej" nastąpiło trzy dni temu. Trzy dni temu rozmawiałaś o polityce z panem Debrayem i wywnioskowałaś z jego słów, że don Carlos wrócił do Hiszpanii; sprzedaję więc moje akcje, nowina się rozchodzi, powstaje panika, już nie sprzedaję, ale rozdaję za darmo; a nazajutrz okazuje się, że wieść była fałszywa — i tracę siedemset tysięcy!

— I co z tego wynika?

— Wynika z tego rzecz następująca: ponieważ daję ci czwartą część zysku, powinnaś mi zwracać czwartą część tego, co tracę; a jedna czwarta z siedmiuset tysięcy to sto siedemdziesiąt pięć tysięcy...

— To, co mi tu opowiadasz, to jakieś niedorzeczności i doprawdy nie wiem, czemu mieszasz do tej sprawy pana Debraya.

— Bo gdybyś przypadkiem nie miała dla mnie tej sumy, pożyczysz ją u swoich przyjaciół, a przecież pan Debray jest jednym z nich.

— Jak śmiesz! — zawołała baronowa.

— O, nie, tylko bez takich gestów i krzyków, jak w nowoczesnych dramatach, bo ci coś powiem! Pan Debray dostał od ciebie w tym roku pięćdziesiąt tysięcy liwrów, śmieje się w duchu i powiada sobie, że odkrył to, czego nigdy najlepsi gracze nie zdołali odkryć — ruletkę, na której wygrywa się, nie przystępując samemu do gry, i na której nie traci się, nawet jeśli się traci.

Baronowa o mało nie wybuchła.

— Łotrze, i ty ośmielasz się mówić, że nie wiedziałeś o tym, co mi teraz zarzucasz?

— Nie mówię, że wiedziałem, i nie mówię, że nie wiedziałem, mówię tylko: zastanów się, jak postępuję od czterech lat, jak przestałaś być moją żoną, a ja twoim mężem w pewnym sensie tego słowa, a zobaczysz, jak bardzo byłem w tym konsekwentny. Niedługo przed naszym zerwaniem zapragnęłaś postudiować muzykę z tym słynnym barytonem[1214], który miał taki wspaniały debiut w Teatrze Włoskim; a ja zapragnąłem wtedy uczyć się tańca u tej tancerki, co tak wielką zyskała sławę w Londynie. Nasza wspólna nauka kosztowała mnie sto tysięcy franków. Nic nie mówiłem, ponieważ harmonia to ważna rzecz w małżeństwie. To niedużo, sto tysięcy franków za to, aby mąż poznał dogłębnie taniec, a żona muzykę. Wkrótce jednak znudziła ci się muzyka i przyszło ci do głowy, aby postudiować dyplomację u sekretarza ministra. I pozwalam ci się uczyć. No, rozumiesz: co mnie to obchodzi, jeśli płacisz za te lekcje z własnej kasy? Ale dziś stwierdziłem, że skorzystałaś z mojej i że te twoje lekcje mogą mnie drogo kosztować. Basta[1215], moja pani, tak dłużej być nie może. Albo dyplomata będzie ci dawał lekcje... gratis, a wtedy będę go tolerował, albo też jego noga nie postanie więcej w tym domu, zrozumiałaś?

— O, to za wiele, mój panie! — zawołała zdławionym głosem Herminia. — Przekraczasz granice podłości!

— Ale widzę z przyjemnością — zauważył Danglars — że z własnej woli stosujesz się do paragrafu kodeksu: „żona iść powinna za mężem".

— To zniewaga!

— Masz rację. Dajmy temu spokój i rozważmy sprawę na zimno. Nigdy się nie mieszałem do twoich interesów, chyba dla twojego własnego dobra; róbże tak samo. Mówisz, że nie obchodzi cię moja kasa? Dobrze — spekuluj za pomocą własnej, ale do mojej już nic nie dokładaj, ani nie wyjmuj. A zresztą, kto wie, czy to nie jakiś polityczny cios w moje plecy? Może to minister, wściekły, że należę do opozycji, i zazdrosny, że ludzie darzą mnie sympatią, porozumiał się z panem Debrayem, aby mnie zrujnować?

— Czy to możliwe!

— Ależ tak, bo kto to widział... Fałszywa wiadomość telegraficzna? To niemożliwe! Żeby dwa telegrafy nadały zupełnie inne znaki?... Ktoś na pewno przygotował to na moją cześć.

— Mężu, zapewne wiesz — rzekła baronowa nieco pokorniej — że ten urzędnik został wyrzucony, że chciano mu nawet wytoczyć proces, że wydano nakaz jego aresztowania

[1214] *baryton* — tu: śpiewak, którego głos ma skalę barytonu. [przypis edytorski]
[1215] *basta* (wł.) — dosyć. [przypis edytorski]

i zatrzymano by go, gdyby nie uciekł, co dowodzi albo o jego winie, albo o obłąkaniu... To była pomyłka.

— Tak, głupcy się z tego śmiali, minister spędził przykrą noc, panowie sekretarze zabazgrali mnóstwo papieru, ale mnie kosztowało to siedemset tysięcy.

— Ale — rzekła nagle Herminia — jeżeli według ciebie wina jest po stronie pana Debraya, dlaczego, zamiast powiedzieć to wszystko panu Debaray'owi, napadasz na mnie? Czemu jego oskarżasz, a pretensje masz do mnie?

— A czy ja znam pana Debraya? Czy chcę go znać? Czy chcę wiedzieć, że to on ci doradza? Czy chcę się stosować do jego rad? Czy gram na giełdzie? To ty robisz to wszystko, a nie ja.

— Ale skoro z tego korzystasz...

Danglars wzruszył ramionami.

— Cóż to za szalone stworzenia, te kobiety! Mają się za geniuszy, bo udało im się przeprowadzić parę intryg tak, by nie dowiedział się o nich cały Paryż! Ale zastanów się: nawet gdyby ci się udało ukryć swoje miłostki przed własnym mężem, co jest rzeczą banalną, bo mężowie zazwyczaj nie chcą nic widzieć, i tak byłabyś tylko nader mizerną naśladowczynią tego, co robi połowa twoich przyjaciółek. Ale ze mną nie jest tak łatwo: widziałem wszystko, widziałem zawsze. Przez te szesnaście lat mogłaś może zataić przede mną swoje myśli, ale nie swoje czyny i nie swoje grzeszki. Cieszyłaś się z własnej zręczności i byłaś święcie przekonana, że mnie oszukujesz; no i co z tego? Nic. Mimo mojej rzekomej niewiedzy, drżeli przede mną wszyscy twoi amanci: od pana de Villeforta po pana Debraya. Wszyscy traktowali mnie jak należy traktować pana domu, tylko tego wymagałem jako twój mąż. Żaden z nich nie odważył ci się mówić o mnie tak, jak ja dziś mówię o nich. Możesz mnie przedstawiać jako obrzydliwca, ale nie pozwolę, byś mnie ośmieszała, a przede wszystkim kategorycznie zabraniam ci doprowadzać do ruiny mój majątek!

Póki Danglars nie wymienił nazwiska Villeforta, baronowej ani na chwilę nie zrzedła mina; ale gdy tylko padło to nazwisko, zbladła, podniosła się sztywno, wyciągnęła ręce, jakby broniła się przed jakąś zjawą, i przystąpiła do męża, jak gdyby chciała wydrzeć mu sekret, którego końca zapewne nie znał, a może nie chciał wypowiedzieć w całości, z właściwym sobie obrzydliwym wyrachowaniem.

— Pan de Villefort! Co to znaczy? Co przez to rozumiesz?

— To znaczy, moja droga, że pan Nargonne, twój pierwszy mąż, nie będąc ani filozofem, ani bankierem, a może i będąc, a widząc, że nic nie poradzi na prokuratora królewskiego, umarł ze zgryzoty albo ze złości, gdy wrócił po dziewięciu miesiącach do domu, a ty akurat byłaś w szóstym miesiącu ciąży. Jestem brutalny, wiem o tym, a nawet się tym chlubię. To jeden ze środków, dzięki którym odnoszę sukces w operacjach handlowych. Dlaczego, zamiast zabić, sam się zabił? Bo nie musiał ratować kasy. Ale ja mam wobec mojej kasy obowiązki. Pan Debray, mój wspólnik, przyprawił mnie o stratę siedmiuset tysięcy: niech przyjmie na siebie część tej straty, a dalej będziemy prowadzili nasze interesy. W innym przypadku pokryję tę stratę, ale on niech zrobi to, co robią bankruci — niech ucieka. Mój Boże, wiem, że to czarujący chłopak, jeśli dostarcza prawdziwych wiadomości. Ale kiedy dostarcza fałszywe, znajdę z pięćdziesięciu lepszych od niego.

Pani Danglars była zdruzgotana. A jednak, czyniąc najwyższy wysiłek, zniosła jakoś ten ostatni atak.

Osunęła się na fotel, myśląc o Villeforcie, o scenie z obiadu u hrabiego i o tej dziwacznej serii nieszczęść, które od kilku dni spadały na jej dom, zmieniając spokojne małżeńskie życie w pasmo skandalicznych sporów.

Danglars nawet na nią nie spojrzał, chociaż robiła wszystko, co tylko mogła, aby zemdleć. Nie wyrzekł więcej ani słowa, otworzył drzwi i wrócił do siebie.

I kiedy pani Danglars wyrwała się z tego półomdlenia, mogła pomyśleć, że był to zły sen.

65. PLANY MATRYMONIALNE

Debray miał zwyczaj, jadąc co rano do biura, wstępować na chwilkę do pani Danglars. Ale nazajutrz, po scenie, jaką opisaliśmy, jego kabriolecik nie pojawił się na dziedzińcu.

Wreszcie, o wpół do pierwszej, pani Danglars zawołała o powóz i wyjechała.

Za firankami czatował Danglars — spodziewał się tego wyjazdu. Rozkazał, aby go zawiadomiono natychmiast, gdy pani wróci; ale o drugiej jeszcze jej nie było.

Zawołał więc o powóz, pojechał do Izby i wpisał się na listę mówców: miał skrytykować budżet.

Od dwunastej do drugiej nie wychodził ze swego gabinetu: czytał depesze i chmurząc się coraz bardziej, piętrzył na papierze kolumny cyfr. Przyjął też kilku interesantów, między innymi majora Cavalcantiego; major, jak zwykle ubrany w błękitny mundur, sztywny i punktualny, stawił się o wyznaczonej godzinie, aby załatwić u bankiera swoje sprawy.

Danglars, wyszedłszy z Izby po posiedzeniu — podczas którego, wyraźnie wzburzony, zawzięcie atakował ministra — kazał się wieść na Pola Elizejskie pod numer trzydzieści.

Monte Christo był w domu, ale że miał właśnie kogoś u siebie, przekazał prośbę, by Danglars chwilę zaczekał na niego w salonie.

Gdy tak czekał, otwarły się drzwi i wszedł jakiś ksiądz, ale nie czekał tak jak Danglars — widać musiał być tu dość zadomowiony — ukłonił się i znikł za drzwiami prowadzącymi w głąb apartamentów.

Po chwili te same drzwi otwarły się i na progu stanął Monte Christo.

— Drogi baronie, przepraszam pana — rzekł — ale był u mnie właśnie jeden z moich dobrych przyjaciół, ksiądz Busoni, który tylko co przybył do Paryża, a którego widziałeś tu przed chwilą. Dawno się nie widzieliśmy i nie mogłem go tak od razu opuścić. Mam nadzieję, że ze względu na to wybaczysz mi pan, że musiałeś tak czekać.

— Ależ oczywiście, przecież to ja wybrałem się nie w porę.

— Ależ nie, proszę siadać. Ale, na litość boską, co się stało? Jesteś pan bardzo zmartwiony, przeraża mnie to. Zasmucony bogacz to jak kometa, zawsze zapowiada światu jakąś katastrofę.

— Cóż, od wielu dni ciąży na mnie pech, co chwilę przychodzą jeszcze gorsze wieści.

— Boże! Znowu jakiś spadek kursu na giełdzie?

— Nie, te straty już pokryłem, przynajmniej na kilka dni. Idzie teraz o bankructwo w Trieście.

— Coś takiego! A czy pański bankrut nie nazywa się aby Jacopo Manfredi?

— To właśnie on! Wyobraź pan sobie, że co rok nasze wspólne obroty wynosiły osiemset do dziewięciuset tysięcy, Bóg wie, od jak dawna. Nigdy żadnej pomyłki, żadnego opóźnienia; płacił iście jak książę... jeśli książęta płacą. Miałem u niego milion do zwrotu, i proszę, ten szatan zawiesza wypłaty.

— Naprawdę?

— To jakiś niesłychany, fatalny zbieg okoliczności. Chcę dostać od niego chociaż sześćset tysięcy: nie zapłacił; nie dosyć na tym, mam jeszcze jego weksle na czterysta tysięcy, płatne u jego korespondenta końcem tego miesiąca. Dziś trzydziesty: posyłam po pieniądze, a tu korespondent przepadł. Dodać do tego całą aferę z akcjami hiszpańskimi — i miesiąc kończy się dla mnie ślicznie.

— Ale naprawdę coś pan straciłeś na tej aferze hiszpańskiej?

— A pewnie, ni mniej ni więcej jak siedemset tysięcy.

— Do diabła, jak pan, taki wytrawny lis, mogłeś się dać tak złapać!

— E, to wina żony. Śniło się jej, że don Carlos wkroczył do Hiszpanii, a ona wierzy w sny; ma to być coś metafizycznego, jak powiada — kiedy jej się coś śni, to się na pewno stanie. Kiedy wierzy w takie rzeczy, pozwalam jej grać na giełdzie: ma swoją kasę i swojego agenta giełdowego, gra i przegrywa. To prawda, gra własnymi pieniędzmi, nie moimi... Zresztą to nieważne, bo rozumiesz pan: kiedy żona roztrwoni siedemset tysięcy, mąż to jednak zauważy. Ale jak to? Nie słyszał pan o tym? Przecież aż o tym huczało!

— Owszem, słyszałem, ale nie znałem szczegółów. Zresztą jestem zupełnym laikiem, jeśli idzie o giełdę.

— To wcale pan nie grasz?

— Ja? Ale po co? I tak mam kłopot z zarządzaniem dochodami. Musiałbym oprócz intendenta przyjąć jeszcze księgowego i kasjera. Ale wracając do Hiszpanii: zdaje mi się, że sen baronowej o powrocie don Carlosa niezupełnie był snem... Czy gazety też o tym czegoś nie mówiły?

— Wierzy pan dziennikom? Pan?

— Ależ nie, tylko zdaje mi się, że ten szacowny „Messager" jest wyjątkiem od reguły i że podaje jedynie wiadomości pewne, przekazane przez telegraf.

— I tego właśnie nie mogę zrozumieć: wieść o powrocie don Carlosa była rzeczywiście nadana przez telegraf.

— Czyli stracisz pan w tym miesiącu około miliona siedmiuset tysięcy?

— Nie około, bo dokładnie tyle.

— Do diabła! Dla fortuny trzeciego rzędu to przykry cios — rzekł ze współczuciem Monte Christo.

— Trzeciego rzędu! — rzekł Danglars, nieco upokorzony w swej ambicji. — Co pan przez to rozumiesz?

— No tak; dzielę wielkie majątki na trzy kategorie: pierwszego rzędu, drugiego i trzeciego. Fortuną pierwszego rzędu nazywam taką, na którą składają się majątki ziemskie, kopalnie, dochody z podatków — mają je na przykład państwa takie jak Francja, Austria, Anglia; ale te skarby, kopalnie i dochody muszą dawać razem przynajmniej sto milionów. Fortuna drugiego rzędu to na przykład fabryki, spółki akcyjne i księstwa, dające dochód półtora miliona franków z całkowitym kapitałem pięćdziesięciu milionów. Fortunę trzeciego rzędu tworzą procenty od kapitału, zyski zależne od czyjejś woli lub przypadku: bankructwo może ją podłamać, nowina telegraficzna może nią wstrząsnąć. O fortunie takiej stanowią spekulacje, których rezultat zależy od losu. Cała taka fortuna opiera się na kapitale rzeczywistym lub fikcyjnym w wysokości około piętnastu milionów. Czyż to nie jest mniej więcej pańska sytuacja?

— Do licha, no tak.

— Z tego wynika, że jeszcze sześć takich miesięcy — ciągnął niewzruszonym głosem Monte Christo — i firma trzeciego rzędu jest w agonii.

— Och! Daleko pan zaszedłeś! — odparł Danglars, uśmiechając się dość blado.

— No, powiedzmy: siedem miesięcy — rzekł spokojnie Monte Christo. — Niech mi pan powie, myślał pan kiedykolwiek, że siedem razy milion siedemset tysięcy daje mniej więcej dwanaście milionów?... Nie? No cóż, i miał pan rację, bo gdyby ktoś myślał o takich rzeczach, nigdy nie inwestowałby kapitału, który jest dla finansisty tym, czym skóra dla człowieka ucywilizowanego. Mamy ubrania mniej lub bardziej strojne, ale kiedy ktoś umiera, zostaje mu tylko jego własna skóra. Tak samo, gdy się pan wycofujesz z interesów, masz pan tylko swój majątek rzeczywisty: pięć czy najwyżej sześć milionów. Bo fortuna trzeciego rzędu stanowi w rzeczywistości jedną trzecią tego, na co wygląda — jak lokomotywa wśród dymu, który ją otula i wyolbrzymia, jest zawsze tylko maszyną, silniejszą lub słabszą. A więc na te pięć milionów, które stanowią pańskie prawdziwe aktywa, stracił pan właśnie prawie dwa — tyle samo zmniejszył się pański kredyt, czyli pańska fortuna fikcyjna. To znaczy, kochany panie baronie, że nacięto panu skórę i puszczono krew, a jeśliby to powtórzyć jeszcze cztery razy, wykrwawi się pan na śmierć. Ejże, panie baronie, niech pan uważa! Może trzeba panu pieniędzy? Pożyczyć panu?

— E, zły z pana rachmistrz! — zawołał Danglars, przyzywając na pomoc wszystkie swoje umiejętności maskowania się. — W tej właśnie chwili pieniądze wróciły do moich kufrów, bo udały mi się inne spekulacje. Upuszczono mi krwi, ale odbudowało ją jadło. Przegrałem bitwę w Hiszpanii, zostałem pobity w Trieście, ale moja flota wojenna zdobyła w Indiach kilka statków, a moi pionierzy w Meksyku chyba odkryli kopalnię złota.

— Bardzo dobrze! Ale blizna zostaje i przy następnej stracie się otworzy.

— Nie, bo wędruję tylko po pewnym terenie — ciągnął Danglars z banalną swadą[1216] szarlatana, który zawodowo zachwala swój kredyt — żebym zbankrutował, musiałyby runąć trzy kolejne rządy.

— Do licha, zdarzały się takie rzeczy.

— Musiałoby w ogóle nie być zbiorów.

— Niech pan sobie przypomni siedem krów tłustych i siedem chudych.

— Albo musiałoby się rozstąpić morze, jak za czasów faraona; ale mamy dużo mórz, a zresztą zamiast statków mógłbym wysyłać karawany.

[1216] *swada* — płynność i łatwość w wypowiadaniu się. [przypis edytorski]

— Tym lepiej, po stokroć tym lepiej, kochany baronie! Widzę, że się nie myliłem, niewiele panu brakuje do fortuny drugiego rzędu.

— Myślę, że mogę ubiegać się o ten zaszczyt — odparł Danglars ze swoim obleśnym uśmiechem; gdy uśmiechał się w ten sposób, jego twarz przypominała hrabiemu ciastowaty księżyc, jaki nędzni malarze zawieszają nad ruinami. — No, ale skoro jesteśmy przy interesach — mówił dalej kontent, że znalazł powód, aby zmienić rozmowę — niech mi pan powie, co mogę zrobić dla pana Cavalcantiego?

— Dać mu pieniędzy, skoro tylko ma u pana otwarty kredyt, a list kredytowy uważasz pan za ważny.

— Wybornie! Był u mnie dziś rano z bonem na czterdzieści tysięcy, płatnym na okaziciela na pański kredyt, a wystawionym przez księdza Busoniego. Oczywiście natychmiast wyliczyłem mu te czterdzieści tysięcy.

Monte Christo skinął głową na znak aprobaty.

— Ale na tym nie dosyć. Otwarł u mnie kredyt dla syna.

— Ile, jeśli wolno spytać, dla niego przeznaczył?

— Pięć tysięcy franków na miesiąc.

— To znaczy sześćdziesiąt tysięcy na rok. Domyślałem się — tu hrabia wzruszył ramionami — że ci Cavalcanti to ostrożnisie! Co ma ten chłopak zrobić z pięcioma tysiącami na miesiąc?

— Ale rozumie pan, że jeśli będzie potrzebował paru tysięcy więcej...

— Nie radzę, ojciec nie przyjmie tego na swój rachunek. Nie zna pan jeszcze tych milionerów zza Alp, to prawdziwe harpagony[1217]. A któż mu otwarł u pana ten kredyt?

— Bank Fenzi, jeden z najlepszych we Florencji.

— Bynajmniej nie mówię, że pan stracisz, ale nie przekraczaj pan sumy, na którą opiewa list.

— Czyżbyś pan nie ufał temu Cavalcantiemu?

— Ja? Ależ dałbym mu na weksel i dziesięć milionów. To fortuna drugiego rzędu, mówiłem, co to znaczy, panie baronie.

— A przy tym ile w nim prostoty! Wziąłbym go za zwykłego majora i tyle.

— A i tak by mu pan pochlebił. Racja, nie jest zbyt reprezentacyjny. Kiedy go ujrzałem po raz pierwszy, wydało mi się, że to jakiś porucznik, zardzewiały w wojsku. Tyle że wszyscy Włosi tak wyglądają; jeśli nie wyglądają olśniewająco jak wschodni magowie, to przypominają starych Żydów.

— Młody wygląda dużo lepiej.

— A tak... może trochę nieśmiały, ale wydał mi się w sumie raczej przyzwoity. Niepokoiłem się o to.

— A to czemu?

— Bo gdyś go pan u mnie spotkał, był to, jak mi mówiono, jego pierwszy raz w towarzystwie. Podróżował z bardzo surowym guwernerem i nigdy nie postawił nogi w Paryżu.

— Włoska szlachta zazwyczaj żeni się między sobą, prawda? — zapytał od niechcenia Danglars. — Lubią łączyć majątki?

— Zazwyczaj tak, ale Cavalcanti to taki oryginał, że nic nie robi jak inni. Jestem pewien, że wysłał syna do Francji, aby znalazł tu sobie żonę.

— Sądzi pan?

— Jestem pewien.

— A słyszałeś pan co o jego majątku?

— Dużo się mówi we Włoszech. Tyle że jedni przypisują im miliony, a drudzy mówią, że nie mają złamanego grosza.

— A co na to pan?

— Nie powinien się pan opierać na moim zdaniu, bo to tylko moje osobiste przekonanie.

— Ale w końcu...

[1217] *harpagon* — skąpiec. [przypis edytorski]

— Według mnie ci wszyscy dawni podestowie[1218] i kondotierzy[1219] (bo Cavalcanti dowodzili wojskiem) rządzili różnymi prowincjami; otóż jestem przekonany, że zakopali tu i ówdzie ogromne miliony, a kryjówki znają tylko najstarsi w rodzie, przekazując tajemnicę z pokolenia na pokolenie. Dowód, że są żółci i zasuszeni jak ich floreny z czasów Republiki[1220]: wciąż się w nie wpatrując, zarazili się od nich kolorem.

— A to dobre! A tym prawdziwsze, że nikt nie wie, aby posiadali choćby skrawek ziemi.

— A jeśli któryś ma, to bardzo mało. Wiem na pewno tylko, że Cavalcanti ma pałac w Lukce.

— O, ma pałac! — uśmiechnął się Danglars. — To już zawsze coś.

— Tak, ale wynajmuje go ministrowi finansów, sam mieszka w jakimś domeczku. Mówiłem, że to wielki sknera.

— No, nie bardzo starasz mu się pan pochlebić.

— Proszę posłuchać, prawie go nie znam: widzieliśmy się chyba ze trzy razy w życiu. To, co o nim wiem, pochodzi od księdza Busoniego i od niego samego. Mówił mi dziś rano o swoich zamiarach względem syna i dał mi do zrozumienia, że ma zamrożony znaczny majątek we Włoszech i że mu się już to sprzykrzyło. Włochy to kraj martwy, a on chciałby jakoś korzystnie zainwestować swoje miliony we Francji albo w Anglii. Ale pamiętaj pan, że choć ufam ogromnie księdzu Busoniemu, sam za nic nie ręczę.

— Nic nie szkodzi, dziękuję panu, żeś mi przysłał takiego klienta. Mogę wpisać do rejestrów piękne nazwisko, a mojego kasjera aż rozpiera duma, bo mu opowiedziałem, co to za ród, ci Cavalcanti. A propos (a pytam o to z czystej ciekawości): gdy ci ludzie żenią synów, dają im wiano[1221]?

— Hm... To zależy. Znałem pewnego włoskiego księcia, bogaty był jak nabab indyjski, jedno z pierwszych nazwisk w Toskanii; kiedy jeden z jego synów żenił się zgodnie z jego wolą, dawał mu miliony — jeśli nie, tylko trzydzieści dukatów na miesiąc. Przypuśćmy, że Andrea żeni się zgodnie z widokami ojca: dostanie wtedy milion, dwa, albo nawet trzy. Gdyby to była na przykład córka bankiera, może zainteresowałby się interesami jego banku; ale gdyby synowa mu się nie spodobała, bywaj zdrów! Papa Cavalcanti zabiera klucz od swojej kasy pancernej, zamyka ją na dwa spusty, a imć Andrea musi sobie żyć, jak każdy chłopak z paryskiej rodziny, kantując w grze w karty czy w kości.

— O, ten chłopak znajdzie sobie jakąś księżniczkę bawarską albo peruwiańską. Zachce mu się korony albo jakiegoś Eldorado[1222].

— E, ci wielcy panowie zza Alp żenią się przeważnie ze zwykłymi śmiertelniczkami. Lubią krzyżować rasy jak Jowisz. O, ale czyżbyś pan chciał ożenić Andreę, panie baronie, że mnie tak wypytujesz?

— No, nie wydaje mi się to najgorszą spekulacją, a ja jestem przecież spekulantem.

— Ale chyba nie z pańską córką? Przecież nie chce pan, aby Albert poderżnął gardło temu biednemu Andrei?

— Albert? — wzruszył ramionami Danglars. — Jego to jakoś szczególnie nie obchodzi.

— Ale przecież jest chyba zaręczony z Eugenią?

— To znaczy, parę razy mówiliśmy o tym z Morcerfem, ale pani de Morcerf i Albert...

— Przecież mi pan nie powie, że to zła partia!

— No, no, Eugenia co najmniej dorównuje Albertowi!

— Panna Eugenia rzeczywiście będzie miała piękny posag, jeżeli tylko telegraf nie będzie już wyprawiał takich figli.

— E, nie chodzi tu tylko o posag. Ale à propos, mogę o coś zapytać?

[1218] *podesta* — główny reprezentant władz miasta a. prowincji skupionej wokół ośrodka miejskiego; średniowieczny urząd ustanowiony w XII w. przez cesarza Fryderyka I Barbarossę, utrzymujący się do XVI w. w niektórych wł. republikach miejskich; podesta posiadał uprawnienia sądownicze i wojskowe. [przypis edytorski]

[1219] *kondotier* — dowódca oddziałów najemnych we Włoszech (od XIV do XVI w.), które działały w służbie miast lub dworów książęcych . [przypis edytorski]

[1220] *floreny z czasów Republiki* — za czasów Republiki Florenckiej (1115–1532) zaczęto bić złote monety zwane florenami, które szybko stały się wzorem dla innych nominałów europejskich. [przypis edytorski]

[1221] *wiano* (daw.) — ślubny dar męża dla żony, zabezpieczenie posagu. [przypis edytorski]

[1222] *Eldorado* — legendarny kraj w Ameryce, w którym złoto było tak powszechne, że tubylcy nie uważali go za cenne. [przypis edytorski]

— Tak?

— Dlaczego nie zaprosił pan na obiad Alberta i państwa de Morcerfów?

— Owszem, zaprosiłem, ale Albert odrzucił zaproszenie. Wyjeżdżał do Dieppe[1223] z panią de Morcerf, której lekarz zalecił morskie powietrze.

— A tak, tak — roześmiał się Danglars — na pewno jej dobrze zrobi.

— A to czemu?

— Oddychała nim w młodości...

Monte Christo puścił mimo uszu ten złośliwy *bon mot*[1224].

— Ale w końcu, nawet jeśli Albert nie ma takiego majątku jak Eugenia — zauważył hrabia — nie może pan zaprzeczyć, że nosi piękne nazwisko.

— No tak, ale tak samo dobre jak moje.

— Oczywiście, pańskie nazwisko jest słynne i to ono zdobi tytuł, który pan otrzymał, a nie na odwrót. Ale jesteś pan człowiekiem zbyt inteligentnym, aby nie rozumieć, że według pewnych przesądów, zakorzenionych tak głęboko, że nie da się ich wykrzewić, szlachta, która ma za sobą pięć wieków jest więcej warta od szlachty, która ma za sobą tylko dwadzieścia lat.

— Właśnie dlatego — rzekł Danglars, próbując się sardonicznie uśmiechnąć — wolałbym pana Andreę Cavalcantiego od pana Alberta de Morcerfa.

— Ale przecież Morcerfowie chyba w niczym nie ustępują Cavalcantim?

— Morcerfowie!... E... Drogi hrabio, jesteś pan arystokratą, prawda?

— Mniemam, że tak.

— I znasz się pan na heraldyce?

— Cokolwiek.

— No to popatrz pan na moje barwy: są trwalsze niż na herbie Morcerfa.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że chociaż nie jestem baronem z urodzenia, ale przynajmniej nazywam się Danglars!

— No i co?

— A on nie nazywa się Morcerf.

— Jak to, nie nazywa się Morcerf?

— Mnie ktoś nadał tytuł barona, czyli nim jestem; a on sam zrobił się hrabią, czyli wcale nim nie jest.

— Coś podobnego!

— Posłuchaj, drogi hrabio — ciągnął Danglars — pan de Morcerf jest moim przyjacielem, albo raczej znajomym od lat trzydziestu. Jak pan wiesz, tanio szacuję mój klejnot, bo nigdy nie zapomniałem, od czego wyszedłem.

— To dowodzi albo wielkiej pokory, albo wielkiej pychy — wtrącił Monte Christo.

— Otóż, kiedy byłem sobie skromnym urzędniczyną, Morcerf był tylko zwykłym rybakiem.

— A wtedy jak się nazywał?

— Fernand Mondego.

— Jesteś pan tego pewien?

— Do licha, myślę, że dość ryb się u niego nakupiłem!

— A więc dlaczego chcesz pan wydać córkę za jego syna?

— Bo Fernand i Danglars to dwaj parweniusze[1225]; razem zdobyli szlachectwo, razem się wzbogacili: jeden wart drugiego. No, może oprócz paru rzeczy, bo mówiono o nim to, czego nigdy nie powiedziano by o mnie.

— Aha, tak, chyba wiem. To nazwisko, Fernand Mondego, odświeżyło mi pamięć. Słyszałem o nim w Grecji.

— W związku ze sprawą Ali Paszy?

— Właśnie.

— To dopiero tajemnica. Przyznam się, że dałbym wiele, aby ją wyjaśnić.

— To nie byłoby zbyt trudne, gdybyś pan miał na to wielką ochotę.

[1223] *Dieppe* — miasto portowe w Normandii. [przypis edytorski]

[1224] *bon mot* (fr.) — dowcipne i trafne powiedzenie. [przypis edytorski]

[1225] *parweniusz* (z fr.) — dorobkiewicz, który wszedł do warstwy ludzi zamożnych i nieumiejętnie ich naśladuje. [przypis edytorski]

— Jak to?

— Masz pan z pewnością jakichś korespondentów w Grecji?

— Ba! W całej Grecji...

— No to napisz pan do swojego korespondenta w Janinie i zapytaj go, jaką rolę odegrał Francuz nazwiskiem Fernand w tragedii Ali Tebelina.

— Masz pan rację! — zawołał Danglars, zrywając się z krzesła. — Napiszę jeszcze dziś.

— Napisz pan. A gdybyś pan odebrał jakieś mocno skandaliczne wiadomości...

— Powiem o tym panu.

— Sprawi mi pan przyjemność.

Danglars wybiegł z salonu i wskoczył do powozu.

66. GABINET PROKURATORA KRÓLEWSKIEGO

Zostawmy bankiera, którego konie kłusem unoszą do domu, i wybierzmy się z panią Danglars na poranną przejażdżkę.

Mówiliśmy, że o wpół do pierwszej pani Danglars zawołała o konie i wyjechała.

Udała się w kierunku Przedmieścia Saint-Germain, minęła ulicę Mazarine i kazała przystanąć niedaleko Pont-Neuf. Wysiadła i poszła dalej piechotą.

Ubrała się bardzo skromnie, jak przystoi wytwornej damie podczas rannej przechadzki.

Na ulicy Guénégaud wzięła dorożkę i kazała się wieźć na ulicę Harlay.

Zaledwie wsiadła do fiakra, wyjęła bardzo gęsty, czarny woal i przymocowała go do słomkowego kapelusza; włożyła z powrotem kapelusz i z zadowoleniem popatrzyła w kieszonkowe lusterko: za woalem widać było tylko jej białą skórę i skrzące się oczy.

Dorożka przejechała przez Pont-Neuf i wjechała na dziedziniec Pałacu Sprawiedliwości[1226]; dorożkarz otwarł drzwiczki, pani Danglars zapłaciła mu i pospieszyła ku schodom; wbiegła na nie lekko i niebawem znalazła się w sali des Pas-Perdus[1227].

Rano załatwia się tu wiele spraw i wielu zaaferowanych ludzi krząta się w Pałacu; ludzie zaaferowani raczej nie przypatrują się kobietom; nikt więc nie przyglądał się szczególnie pani Danglars, gdy przechodziła przez salę, podobnie jak nie zwracało niczyjej uwagi dziesięć innych kobiet, które czatowało tu na swoich adwokatów.

W przedpokoju u pana de Villeforta panował tłok, ale pani Danglars nie potrzebowała nawet wymieniać nazwiska; gdy tylko weszła, wstał woźny, podszedł do niej i zapytał, czy to ona ma umówione spotkanie z panem prokuratorem; a gdy potwierdziła, zawiódł ją korytarzem, wzbronionym dla osób postronnych, do gabinetu pana de Villeforta.

Urzędnik siedział w fotelu i pisał, odwrócony tyłem do drzwi.

Słuchał, jak otwierają się drzwi, jak woźny powiedział: „proszę wejść, łaskawa pani", jak zamknął drzwi — i nawet nie drgnął. Ale gdy tylko kroki woźnego ucichły, prokurator poderwał się szybko, zamknął wszystkie zasuwy w drzwiach, zaciągnął zasłony w oknach i obejrzał dokładnie wszystkie kąty. Przekonawszy się, że nikt nie może go ani widzieć, ani słyszeć, uspokoił się zupełnie i rzekł:

— Dziękuję pani, dziękuję za słowność.

I przysunął jej krzesło, na którym pani Danglars natychmiast usiadła, bo serce biło jej tak, że trudno jej było złapać oddech.

— Bardzo już dawno nie zdarzyło mi się szczęście porozmawiania z panią sam na sam i przykro mi niewymownie, że się tu spotykamy, aby przeprowadzić nader trudną rozmowę — odezwał się prokurator, obracając fotel tak, aby znajdować się twarzą w twarz z panią Danglars.

— A jednak widzisz pan, że przyszłam na pierwsze pańskie wezwanie, chociaż rozmowa ta będzie z pewnością dużo cięższa dla mnie niż dla pana.

Villefort gorzko się uśmiechnął.

[1226] *Pałac Sprawiedliwości* (fr. *Palais de Justice*) — zespół budynków na wyspie Île de la Cité na Sekwanie, stanowiący siedzibę najważniejszych organów wymiaru sprawiedliwości we Francji. [przypis edytorski]

[1227] *des Pas-Perdus*, właśc. *Salle des Pas Perdus* — słynna, reprezentacyjna poczekalnia w paryskim Pałacu Sprawiedliwości. [przypis edytorski]

— A więc to prawda — rzekł, odpowiadając raczej na własną myśl niż na słowa pani Danglars. — A więc to prawda, że wszystkie nasze czyny pozostawiają po sobie w naszej przeszłości ślady — raz ciemne, raz jasne! A więc to prawda, że wszystkie nasze kroki przypominają czołganie się węża po piasku, na którym zostaje wyraźna bruzda? Niestety, wielu ludzi zostawia w niej swoje łzy!

Kondycja ludzka, Wyrzuty sumienia, Wina

— Mój panie, rozumujesz pan chyba moje wzruszenie? A więc, proszę cię, oszczędzaj mnie. Ten pokój, przez który przeszło tylu winnych, drżących i zawstydzonych, ten fotel, w którym teraz ja usiadłam drżąca i zawstydzona!... O, muszę odwoływać się do całego mojego rozumu, aby nie widzieć w sobie kobiety winowajczyni, a w panu groźnego sędziego.

Villefort potrząsnął głową i westchnął.

— A ja — odparł — powtarzam sobie, że moje miejsce nie jest w fotelu sędziowskim, ale na ławie oskarżonych.

— E, zdaje mi się, że pański purytanizm[1228] wyolbrzymia sytuację — rzekła pani Danglars i w jej jakże pięknym oku zapalił się przelotny błysk. — Ślady, o których pan mówisz, zostawia po sobie każda płomienna młodość. Na dnie namiętności ponad rozkoszą unosi się zawsze nieco wyrzutów sumienia. Dlatego właśnie Ewangelia, to trwałe źródło pociechy dla nieszczęśliwych, dała nam, biednym kobietom, w charakterze wsparcia duchowego cudowną przypowieść o jawnogrzesznicy i wiarołomnej żonie. I przyznam się panu, że ilekroć wspomnę szaleństwa mojej młodości, myślę sobie, czasem, że Bóg mi je wybaczy — bo jeżeli nawet nie biłam się za to w piersi, to na pewno je odpokutowałam moimi cierpieniami. Ale pan, mężczyzna, a więc ten, którego świat zawsze usprawiedliwia, a skandal uszlachetnia, czegóż się w tym wszystkim możesz lękać?

Kobieta, Wyrzuty sumienia, Grzech, Młodość

— Znasz mnie pani dobrze — odparł Villefort — hipokrytą nie jestem, a przynajmniej nie jestem nim nigdy bez potrzeby. Jeżeli moja twarz jest surowa, to dlatego, że zachmurzyły ją liczne nieszczęścia; moje serce skamieniało, aby wytrzymać ciosy, jakie otrzymało. W młodości nie byłem taki, nie byłem taki w dzień moich zaręczyn, gdyśmy w Marsylii, przy ulicy du Cours siedzieli sobie wszyscy przy stole. Ale od tego czasu zmieniło się wiele — we mnie i wokół mnie; zużyłem życie, szukając rzeczy niemożliwych i łamiąc tych, którzy z własnej woli lub przypadkiem stawali mi na drodze. Rzadko się zdarza, aby to, czego gorąco pragniemy, nie było przed nami zażarcie bronione przez ludzi, od których chcemy to dostać lub którym chcemy to wyrwać. Dlatego większość złych czynów sama się ludziom podsuwa, przybierając złudny kształt konieczności. Popełniamy coś złego z obawy, w uniesieniu lub w szaleństwie, a potem sami dostrzegamy, że mogliśmy tego uniknąć. Nagle staje nam przed oczyma, wcześniej jakoś zakrytymi łuskami, środek uczciwy, łatwy i prosty; mówimy sobie: czemuż zrobiłem tak, zamiast tak? A was, kobiety, przeciwnie — rzadko dręczą wyrzuty sumienia, gdyż rzadko decyzja wypływa z waszej woli, wasze nieszczęścia są wam narzucone, a wasze grzechy prawie zawsze wynikają z występku innych.

Zło, Wyrzuty sumienia

— W każdym razie przyznaj pan, że jeśli popełniłam grzech, to nawet jeśli był to tylko mój grzech, zostałam wczoraj za niego surowo ukarana.

— Biedna! — rzekł Villefort, ściskając jej dłoń. — Zbyt surowo, jak na twoje siły, bo o mało nie zemdlałaś, a jednak... zbierz pani całą odwagę, bo to jeszcze nie koniec.

— Boże drogi — przeraziła się pani Danglars — a co się jeszcze może stać?

— Widzi pani tylko przeszłość, z pewnością jest ona ponura. No cóż, wyobraź sobie, że przyszłość może być jeszcze bardziej ponura.... straszna to na pewno... a może nawet krwawa!...

Baronowa znała zimną krew Villeforta; przeraziła się jego zdenerwowaniem tak dalece, że usta otwarły się jej do krzyku, ale krzyk zamarł jej w piersi.

— Jak zmartwychwstała ta okropna przeszłość? — zawołał Villefort. — Jak mogła, pogrzebana w grobie i na dnie naszych serc, powstać nagle niczym upiór, byśmy pobledli, by okrył nas rumieniec?

— Niestety, to z pewnością przypadek...

— Przypadek? O, nie, nie, pani, to nie przypadek!

[1228] *purytanizm* — tu: rygorystyczność, surowość zasad moralnych. [przypis edytorski]

— Ależ tak: czyż nie przypadek to wszystko sprawił? Przypadek fatalny, to prawda... Czy to nie przez przypadek hrabia de Monte Christo nabył ten dom? Czyż to nie przez przypadek kazał kopać w ziemi? Czy wreszcie nie przez przypadek znaleziono pogrzebane pod drzewami to nieszczęsne dzieciątko? Moja biedna, niewinna istotka, której nawet nie mogłam pocałować, a za którą tak płakałam! O, aż mi się serce krajało, gdy hrabia mówił o tym szkieleciku, znalezionym pod kwiatami.

— Otóż nie, pani — odparł głucho Villefort. — I to jest ta straszna rzecz, którą miałem pani powiedzieć. Nie było żadnego szkieleciku pod kwiatami, nie wykopano żadnego dziecka; nie, nie trzeba nam płakać i lamentować — trzeba nam drżeć.

— Co pan mówisz? — zawołała rozdygotana pani Danglars.

— Pan de Monte Christo nie mógł znaleźć w ziemi pod drzewami ani szkieleciku dziecka, ani okuć kuferka, bo ich tam nie było.

— Nie było ich tam? — powtórzyła pani Danglars, a jej źrenice, utkwione w prokuratorze, rozszerzyły się od strachu. — Nie było? — powtórzyła raz jeszcze, jakby chciała dźwiękiem słów uchwycić myśl, która gotowa była jej umknąć.

— Nie — potwierdził Villefort i wsparł czoło na dłoniach. — Nie i jeszcze raz nie!...

— A więc to nie tam pogrzebałeś pan dziecko? Po cóż mnie było oszukiwać? W jakim celu? No, mów pan!

— Pogrzebałem je właśnie tam; ale wysłuchaj mnie, pani, wysłuchaj, a może mnie pożałujesz, bo przez dwadzieścia lat nosiłem sam jeden bolesny ciężar.

— O Boże! Przerażasz mnie pan! Ale nieważne, mów, słucham.

— Pamiętasz pani, jak zakończyła się ta okropna noc, kiedy o mało nie umarłaś w swoim łożu, w tym czerwonym pokoju, a ja czekałem, dysząc tak strasznie jak ty, na chwilę rozwiązania. Dziecko urodziło się; gdy mi je podano, było nieruchome, nie oddychało, nie płakało, myśleliśmy, że nie żyje.

Pani Danglars drgnęła nagle, jakby chciała się zerwać z krzesła. Villefort powstrzymał ją, składając ręce, jakby błagał, by słuchała dalej.

— Myśleliśmy, że nie żyje — powtórzył. — Włożyłem je do kuferka, który miał mu zastąpić trumienkę, poszedłem do ogrodu, wykopałem dół i szybko je pogrzebałem. Zaledwie przysypałem je ziemią, wyciągnęła się ku mnie ręka Korsykanina.

Ujrzałem, jak wyrasta przede mną jakiś cień i coś błysnęło. Poczułem ból, chciałem krzyczeć, zimny dreszcz przebiegł mi całe ciało i zmroził mi gardło...

Upadłem, myśląc, że umieram.

Nigdy nie zapomnę, jaką odwagę wtedy okazałaś: gdy przyszedłem do siebie i podczołgałem się, konający, do schodów, ty, pani, sama ledwo żywa, zeszłaś mi naprzeciw. Musieliśmy zachować milczenie o tym okropnym wypadku. Ty miałaś na tyle męstwa, aby wrócić zaraz do domu w towarzystwie swojej niańki; ja wytłumaczyłem, że ranę odniosłem w pojedynku.

Nad wszelkie oczekiwanie nasz sekret się nie wydał. Zawieziono mnie do Wersalu, przez trzy miesiące walczyłem ze śmiercią, a gdy poczułem się nieco lepiej, lekarze zalecili mi słońce i powietrze Południa. Czterech ludzi przeniosło mnie z Paryża do Châlon, pokonując po sześć mil dziennie. Moja żona jechała w powozie za noszami. W Châlon wsiedliśmy na statek, spłynęliśmy Saoną do Rodanu i tak z prądem dotarliśmy do Arles. W Arles znów położono mnie na noszach i tak niesiono aż do Marsylii. Moja rekonwalescencja trwała pół roku. Nie słyszałem o tobie nic, nie odważyłem się dowiadywać, co się z tobą dzieje. Kiedy wróciłem do Paryża, dowiedziałem się, że owdowiawszy po panu de Nargonne, wyszłaś za pana Danglarsa.

O czym myślałem, odkąd odzyskałem przytomność? Ciągle o jednym — o nieżywym dziecku. Co noc śniłem, że wyrywa się spod ziemi i unosi się nad mogiłką, grożąc mi oczyma i gestem.

I gdy tylko wróciłem do Paryża, zasięgnąłem informacji: po naszych spotkaniach w domu nikt nie zamieszkał, ale właśnie został wynajęty na dziewięć lat. Poszedłem do najemcy, udałem, że mi jest bardzo przykro, iż dom rodziców mojej żony idzie w obce ręce, zaproponowałem odszkodowanie za zerwanie umowy. Lokator zażądał sześciu tysięcy franków; dałbym za to i dziesięć, i dwadzieścia tysięcy. Miałem tyle przy sobie, lokator podpisał zaraz akt zrzeczenia; gdy dostałem go do ręki, puściłem się galopem do Auteuil. Od czasu, gdy opuściliśmy ten dom, nikt nie przestąpił jego progu.

Była piąta po południu, wszedłem do czerwonego pokoju i jąłem czekać, aż zapadnie zmrok.

I tu stanęło mi przed oczyma wszystko to, co sobie powtarzałem przez rok niemocy, tylko groźniejsze niż kiedykolwiek.

Ten Korsykanin, co mi wypowiedział vendettę, co mnie z Nîmes ścigał aż do Paryża, co się ukrył w ogrodzie, co mnie ugodził nożem, widział, jak wykopałem grób i pochowałem dziecko; mógł przecież widzieć i ciebie, a może i widział... Czy aby nie każe ci kiedyś zapłacić za zachowanie tajemnicy z tej strasznej sprawy?... Czy nie postanowi się zemścić w ten sposób dodatkowo, jeśli się dowie, że nie zginąłem od jego sztyletu? Dlatego musiałem przede wszystkim zniszczyć na wszelki wypadek materialne ślady tego wydarzenia. I tak byłyby aż nazbyt obecne w mojej pamięci.

Nadeszła noc, ale chciałem, aby ciemności zgęstniały na dobre. Siedziałem po ciemku; podmuchy wiatru poruszały kotarami i zdawało mi się, że czai się za nimi jakiś szpieg. Czasami zdejmował mnie dreszcz: zdawało mi się, że słyszę na łóżku za sobą twoje skargi, ale nie śmiałem się odwrócić. W tej ciszy słyszałem uderzenia własnego serca, a biło mi tak gwałtownie, że obawiałem się, by nie otwarła mi się rana. Wreszcie wszystkie odgłosy wsi ucichły. Byłem już pewien, że niczego nie muszę się już lękać, że nikt mnie nie podejrzy ani nie podsłucha, i zdecydowałem się zejść.

Słuchaj, Herminio, uważam, że nie ustępuję w odwadze nikomu; ale kiedy zdjąłem kluczyk od schodków, który nosiłem na piersi — nasz kochany kluczyk, który chciałaś przywiązać do złotej obrączki — kiedy otwarłem drzwi i ujrzałem, jak księżyc rzucił na kręcone schody długie pasmo bladego światła, podobnego do widma, przywarłem do ściany i o mało nie krzyknąłem; myślałem, że tracę zmysły.

Na koniec odzyskałem nad sobą władzę. Schodek po schodku zacząłem iść na dół; nie mogłem tylko zapanować nad drżeniem nóg. Wczepiłem się palcami w poręcz; gdybym ją puścił, runąłbym w dół.

Dotarłem do drzwi na dole; o ścianę, na zewnątrz, oparta była łopata. Wziąłem ze sobą ślepą latarnię; zatrzymałem się na środku trawnika, zapaliłem ją i ruszyłem dalej.

Kończył się listopad: zieleń znikła, drzewa były już tylko szkieletami o długich kościstych ramionach, pod nogami zgrzytał piasek i szeleściły zeschłe liście.

Lęk tak mocno ściskał mi serce, że gdy zbliżyłem się do kępy drzew, wyjąłem pistolet i odciągnąłem kurki. Zdawało mi się, że zza gałęzi wychyla się twarz Korsykanina.

Oświetliłem drzewa latarnią — nikogo tam nie było. Rozejrzałem się — byłem sam; nic nie przerywało nocnej ciszy, tylko sowa pokrzykiwała piskliwie i ponuro, jakby wzywała nocne mary.

Przywiązałem latarnię do rozwidlonej gałęzi, którą pamiętałem jeszcze sprzed roku, w tym samym miejscu, gdzie wykopałem dół.

Przez lato wyrosła tu gęsta trawa, a choć nadeszła jesień, nikt jej nie skosił. Ale w jednym miejscu rosła rzadziej — i to przyciągnęło moją uwagę; oczywiście, grób był tutaj.

Zabrałem się do dzieła.

Nadeszła godzina, na którą czekałem rok!

Pracowałem, sondowałem trawnik łopatą, nie omijając ani jednego kawałka ziemi, sądząc, że wyczuwam opór — i nic! A przecież wykopałem dół dwukrotnie większy niż ten sprzed roku. Pomyślałem, że się pomyliłem; rozejrzałem się i przyjrzałem się drzewom, próbując odnaleźć jakieś szczegóły, które rzuciły mi się wtedy w oczy.

Wśród nagich gałęzi poświstywał zimny północny wiatr, a mimo to z czoła spływał mi pot. Przypomniałem sobie, że gdy otrzymałem cios, udeptywałem właśnie grób, a depcząc ziemię, opierałem się o hebanowiec[1229]; za mną stał sztuczny głaz, służący za ławkę; gdy bowiem upadłem, puściłem drzewo i moja ręka otarła się o kamień — czułem jeszcze jego chłód. Po prawej miałem hebanowiec, za mną był głaz; położyłem się więc w takiej samej pozycji, jak wtedy, po czym podniosłem się i znów zabrałem się do kopania i poszerzania dołu. I nic! Kuferka nie było!

— Nie było? — wyszeptała pani Danglars zdławionym przez trwogę głosem.

[1229] *hebanowiec* — rodzaj drzewa liściastego. [przypis edytorski]

— Nie myśl, pani, że poprzestałem na tej próbie — ciągnął Villefort. — Skopałem ziemię wszędzie pod drzewami. Pomyślałem, że morderca odkopał skrzynkę, sądząc, że jest tam skarb, a kiedy ujrzał, że tak nie jest, zakopał ją gdzie indziej. Ale nic nie znalazłem. Potem przyszło mi do głowy, że nie zachowywał aż takiej ostrożności i po prostu cisnął ją w jakiś kąt. Ale by sprawdzić tę hipotezę, musiałem poczekać, aż nastanie dzień. Wróciłem więc do pokoju i czekałem. Nastał ranek, a ja zszedłem znowu. Najpierw poszedłem pod drzewa, mając nadzieję, że znajdę ślady, których nie zauważyłem w ciemności. Zorałem ziemię na powierzchni dwudziestu stóp kwadratowych, a na głębokość dwóch. Zapewne wyrobnikowi ledwo starczyłoby dnia, aby zrobić to, co ja uczyniłem w godzinę. I nic nie znalazłem.

Zacząłem więc szukać kuferka po całym ogrodzie. Morderca rzuciłby go najprawdopodobniej przy alejce prowadzącej do furtki, ale i te poszukiwania okazały się daremne. Ze ściśniętym sercem wróciłem do kępy drzew; nie miałem już żadnej nadziei.

— O! — zawołała pani Danglars — przecież można było oszaleć!

— Przez chwilę myślałem, że tak się stanie, ale nie spotkało mnie to szczęście. Zebrałem wszystkie moje siły i głowa zaczęła mi pracować; spytałem sam siebie: „po co ten człowiek miałby zabierać ze sobą trupka?".

— Ależ sam powiedziałeś: aby mieć dowód!

— E, nie! Nie mogło o to chodzić. Nikt by przez rok nie trzymał u siebie trupa! Pokazuje się go prokuratorowi i składa zeznanie. A nic takiego się nie wydarzyło.

— Czyli?... — zapytała, dygocząc, Herminia.

— Czyli stało się coś znacznie gorszego, dla nas dużo bardziej fatalnego i strasznego: dziecko musiało jeszcze żyć, a morderca je uratował.

Pani Danglars krzyknęła okropnie i chwyciła Villeforta za ręce:

— Moje dziecko żyło! — zawołała. — Pogrzebałeś pan żywcem moje dziecko! Nie byłeś pewien, czy zmarło i pogrzebałeś je! Ach!...

Zerwała się, zacisnęła swoje kruche palce wokół przegubów jego dłoni i stała tak przed prokuratorem, niemal mu grożąc.

— Czy ja wiem?... Tak tylko powiedziałem, może było inaczej... — odparł Villefort, a patrzył tak nieprzytomnie, jakby ten człowiek, tak potężny, był o krok od szaleństwa albo jakiegoś desperackiego czynu.

— O moje dziecko, moje biedne dziecko! — zawołała baronowa, opadając na krzesło i tłumiąc szloch w chusteczce.

Villefort tymczasem przyszedł do siebie; pojął, iż aby odwrócić burzę wypływającą z uczuć macierzyńskich, która zbierała mu się nad głową, musi sprawić, aby panią Danglars przejęła ta sama trwoga, którą odczuwał on sam.

— Rozumiesz pani, że jeżeli rzeczywiście tak jest — odezwał się, wstając z fotela i podchodząc do baronowej, aby słychać było jego szept — jeżeli tak jest, to jesteśmy zgubieni. Dziecko żyje i ktoś o tym wie, ktoś zna naszą tajemnicę. A skoro Monte Christo mówi przy nas, że wykopał dziecko, którego tam nie było, to Monte Christo zna naszą tajemnicę.

— O Boże! Boże sprawiedliwy! Boże pomsty! — szepnęła pani Danglars.

Villefort zgrzytnął zębami.

— Ale to dziecko, co się stało z tym dzieckiem? — powtarzała z uporem matka.

— Ileż ja się go naszukałem! — odpowiedział Villefort, załamując ręce. — Ile razy przyzywałem je w długie, bezsenne noce! Ile razy marzyłem o królewskich bogactwach, aby móc kupić milion tajemnic od miliona ludzi i wśród nich znaleźć tę jedną! Wreszcie, pewnego dnia, gdy chwyciłem łopatę po raz setny, zastanowiłem się też po raz setny, co ten Korsykanin mógł zrobić z dzieckiem? Niemowlę to kłopot dla kogoś, kto ucieka. Może widząc, że jeszcze żyje, rzucił je do rzeki.

— O, niemożliwe! — krzyknęła pani Danglars. — Można zabić z zemsty, ale nikt z zimną krwią nie utopi dziecka!

— A może — ciągnął Villefort — oddał je do domu podrzutków.

— O, tak, tak!... Moje dziecko jest tam!

— Pobiegłem do przytułku i dowiedziałem się, że owej nocy, dwudziestego września, podrzucono do koła niemowlę; owinięte było w pieluszkę z delikatnej tkaniny, przedartą

umyślnie na dwie części. Na tym kawałku pieluszki była połowa korony baronowskiej i litera H.

— Tak, to samo! Cała moja bielizna była tak oznaczona. Nargonne był baronem, a ja mam na imię Herminia. Dzięki ci, Boże! Moje dziecko nie umarło przy porodzie!

— Nie, nie umarło.

— I pan mi to mówisz i nie boisz się, że umrę z radości? Gdzież ono? Gdzież jest moje dziecko?

Villefort wzruszył ramionami.

— Skąd mam wiedzieć? Myślisz pani, że gdybym wiedział, kazałbym ci przechodzić przez te wszystkie stadia napięcia, jak to czyni dramaturg lub powieściopisarz? Niestety, nie wiem... Pół roku po fakcie zjawiła się jakaś kobieta z drugą połową pieluszki. Dostarczyła wszystkich dowodów, jakich wymaga prawo i oddano jej dziecko.

— Ale trzeba było się dowiedzieć, kto ona, poszukać jej!

— A jak pani myślisz, co zrobiłem? Pod przykrywką śledztwa rozesłałem na wszystkie strony najlepszych agentów, o najczulszym węchu. Odkryliśmy, że zawędrowała do Châlon, ale w Châlon ślad po niej zaginął.

— Zaginął?

— Tak, zaginął na zawsze.

Pani Danglars słuchała tej opowieści zalewając się łzami.

— I to wszystko? — rzekła. — Na tym pan poprzestałeś?

— O nie, nigdy nie przestałem poszukiwać i wywiadywać się. Zaniedbałem to nieco jakieś trzy lata temu. Teraz jednak rozpocznę na nowo z jeszcze większą wytrwałością i zawziętością. I wie pani? Uda mi się, bo już nie tylko sumienie nie daje mi spokoju, ale i strach.

— Ależ hrabia Monte Christo nic o tym nie wie, bo przecież nie starałby się być z nami w tak dobrych stosunkach.

— O, złość sięga głęboko do serca ludzkiego, głębiej niż dobroć Boga. Czyś pani zauważyła, jak ten człowiek patrzył, gdy nam to opowiadał?

— Nie.

— Ale chyba czasem przyglądałaś mu się baczniej?

— No tak. To dziwak, i tyle. Tylko jedno mnie uderzyło: podczas tej wspaniałej uczty, jaką dla nas wydał, sam nie tknął niczego, nie skosztował żadnej potrawy.

— Tak, tak! I ja to zauważyłem. Gdybym wiedział to, co teraz, też bym niczego nie tknął: myślałbym, że chce nas otruć.

— I byłbyś się pan pomylił, jak sam widzisz.

— No tak, ale niech mi pani wierzy, ten człowiek ma inne zamiary. Dlatego chciałem się z panią widzieć, dlatego poprosiłem o rozmowę, dlatego chciałem panią ostrzec przed wszystkimi, ale przede wszystkim przed nim. Powiedz mi, pani — i Villefort spojrzał na nią tak przenikliwie, jak nigdy — czyś nigdy nie mówiła nikomu o naszym związku?

— Nigdy i nikomu.

— Rozumiesz, pani — rzekł serdecznie — że kiedy mówię „nikomu", proszę mi darować tę natarczywość, to znaczy „nigdy nikomu na świecie", czy tak?

— Och! Tak, tak, rozumiem bardzo dobrze — odparła baronowa, oblewając się rumieńcem. — Nigdy, przysięgam.

— Nie zapisujesz sobie aby wieczorem, co się działo w danym dniu? Nie prowadzisz pani diariusza[1230]?

— Niestety nie! Życie moje upływa na ulotnych głupstwach; ja sama o nich zapominam.

— A nie mówisz pani czasem przez sen?

— Śpię jak dziecko. Już nie pamiętasz?

Na twarz baronowej wystąpił purpurowy rumieniec, policzki Villeforta powlekły się bladością.

— To prawda... — przyznał tak cicho, że ledwie było słychać.

— A więc co teraz? — spytała baronowa.

[1230]*diariusz* (daw.) — tu: dziennik, pamiętnik. [przypis edytorski]

— Teraz już wiem, co mam robić — odpowiedział Villefort. — Nim minie tydzień, będę wiedział, kim jest pan de Monte Christo, skąd się wziął, jakie ma zamiary i dlaczego mówi przed nami o dzieciach wykopywanych w jego ogrodzie.

Villefort wypowiedział te słowa takim tonem, że gdyby słyszał je hrabia, przejęłyby go dreszczem.

Uścisnął rękę baronowej, choć ta podała mu ją z ociąganiem i odprowadził ją z szacunkiem do drzwi.

67. BAL LETNI

Tego samego dnia, prawie o tej samej porze, gdy pani Danglars naradzała się z prokuratorem, podróżny kocz zajechał na dziedziniec domu nr 27 przy ulicy Helderskiej.

Drzwiczki się otwarły, wysiadła pani de Morcerf, opierając się na ramieniu syna.

Odprowadziwszy matkę do jej pokojów, Albert zamówił sobie kąpiel, każąc jednocześnie przygotować konie; przebrał się i pojechał na Pola Elizejskie do hrabiego de Monte Christo.

Hrabia powitał go swoim zwykłym uśmiechem.

Dziwna rzecz: w znajomości z hrabią nie można było posunąć się ani kroku dalej poza pewną granicę. Ci, którzy chcieli sforsować wejście do jego serca, jeśli wolno nam użyć takiego wyrażenia, napotykali na ścianę nie do przebycia.

Morcerf, który biegł ku niemu z otwartymi ramionami, opuścił je nagle i mimo przyjaznego uśmiechu u hrabiego zaledwie ośmielił mu się podać dłoń.

A Monte Christo jak zwykle jej dotknął, ale jej nie uścisnął.

— No to jestem, kochany hrabio.

— Cieszę się bardzo.

— Przyjechałem godzinę temu.

— Z Dieppe?

— Z Tréport. I odwiedzam pana jako pierwszego.

— To niezmiernie miło z pana strony — odrzekł Monte Christo takim tonem, jakby mówił zupełnie co innego.

— No i co, wydarzyło się coś nowego? To znaczy, czy zrobiłeś pan coś dla mnie?

— Czyżbyś mi pan dał jakieś zlecenie przed wyjazdem? — spytał Monte Christo, udając niepokój.

— No, no, niech pan nie udaje. Podobno są sygnały, które możemy odbierać uczuciami na dalekie odległości: otóż w Tréport dostałem taki elektryczny sygnał. Albo zrobiłeś coś dla mnie, albo przynajmniej o mnie myślałeś.

— To możliwe. Istotnie, myślałem o panu, ale muszę się przyznać, że prąd, którego byłem przewodnikiem, działał niezależnie od mojej woli.

— Naprawdę? Niech mi pan opowie, błagam.

— To proste: był u mnie na obiedzie pan Danglars.

— Dobrze o tym wiem, bo właśnie dlatego z matką uciekliśmy.

— Ale był także u mnie pan Cavalcanti.

— Ten pański włoski książę?

— E, nie przesadzajmy. Pan Andrea używa tylko tytułu wicehrabiego.

— Powiadasz pan, że używa?

— Tak, używa.

— A więc nim nie jest?

— E, czy ja wiem? Sam się tak tytułuje, więc i ja go tak tytułuję, i wszyscy inni też. Czy to nie tak, jakby rzeczywiście miał ten tytuł?

— Ależ oryginał z pana! I co dalej? Pan Danglars był więc u pana na obiedzie?

— Był z wicehrabią Cavalcantim, jego ojcem markizem, panią Danglars, państwem de Villefortami (o, to czarujący ludzie), z panami Debrayem, Morrelem, i kto tam jeszcze był?... Chwileczkę... Aha! I z panem de Château-Renaudem.

— Była mowa o mnie?

— Ani słowa.

— Tym gorzej.

— A to czemu? Zdaje mi się, że sam pan sobie życzył, aby o panu zapomniano.

— Kochany hrabio, jeżeli nic o mnie nie mówiono, to dowodzi, że wiele o mnie myślano; a to mnie doprowadza do rozpaczy.

— Ale co to pana może obchodzić, jeśli nie było tam panny Danglars! A, prawda, mogła o panu myśleć w domu.

— O to jestem spokojny: nawet jeśli myślała, to na pewno tak, jak ja myślę o niej.

— Wzruszające, co za sympatia! A wiec oboje się nie znosicie?

— Proszę posłuchać: gdyby panna Eugenia była zdolna ulitować się nad moimi męczarniami i nagrodzić pozamałżeńskimi konwenansami, ogromnie by mi to odpowiadało. Krótko mówiąc, sądzę, że panna Eugenia byłaby uroczą kochanką, ale żoną... Brr!

— To tak pan myślisz o swojej przyszłej połowicy? — roześmiał się Monte Christo.

— O Boże, no dobrze, powiedziałem to w nieco brutalny sposób, ale za to szczery. Skoro więc nie można sprawić, by to marzenie się spełniło, skoro, aby osiągnąć ów cel, musiałbym ożenić się z panną Danglars — a to znaczy, że miałaby ze mną żyć, myśleć przy mnie, przy mnie śpiewać, komponować wiersze i muzykę o parę kroków ode mnie, i to przez całe moje życie — na samą myśl o tym ogarnia mnie przerażenie. Kochankę, drogi hrabio, można porzucić; ale z żoną, do licha, to co innego. Żonę ma się na wieki, czy blisko, czy daleko, ale na wieki. A posiadać na wieczność pannę Danglars, choćby nawet na odległość, to straszne.

— Jesteś pan wymagający.

— Tak, bo często marzy mi się rzecz niemożliwa.

— Co takiego?

— Znaleźć taką kobietę, jaką ojciec znalazł dla siebie.

Monte Christo zbladł i spojrzał na Alberta; aż skrzypnęły sprężyny prześlicznych pistoletów, którymi się właśnie bawił, gdy nagle naciągnął kurki.

— A więc ojciec pański miał dużo szczęścia — rzekł.

— Wiesz pan, co myślę o mojej matce: to istny anioł; zawsze piękna, zawsze dowcipna, zawsze dobra. Wracam z Tréport. Boże, synowie towarzyszą zwykle swoim matkom przez uprzejmość albo traktują to jako pańszczyznę. A ja spędziłem z nią cztery dni, mówię panu, tak przyjemnie, tak swobodnie, w atmosferze takiej poezji, jakbym zabrał do Tréport Królową Mab[1231] lub Tytanię[1232].

— Taka doskonałość może przyprawić o rozpacz. Gdy pan tak mówi, ma się ochotę zostać na zawsze starym kawalerem.

— I właśnie dlatego, wiedząc, że jest na świecie kobieta skończenie doskonała, niezbyt się palę do ożenku z panną Danglars. Zauważył pan kiedykolwiek, jak nasz egoizm ubiera w świetne barwy wszystko, co do nas należy? Diament, który migocze w witrynie u Marlégo czy Fossina, staje się dużo piękniejszy, gdy staje się nasz. Ale rozumiesz pan, jakie to cierpienie, kiedy wiemy, że istnieje inny diament, dużo czyściejszej wody, a my jesteśmy skazani już wiecznie na ten jeden?

— Myśli światowca — mruknął hrabia.

— I dlatego właśnie będę skakał z radości w dniu, kiedy panna Eugenia spostrzeże, że jestem tylko mizernym atomem i że mam zaledwie tyle tysięcy, ile ona milionów.

Monte Christo uśmiechnął się.

— Długo myślałem o czym innym — ciągnął Albert. — Franz lubi rzeczy ekscentryczne, chciałem go jakoś rozkochać w pannie Danglars; ale choć napisałem do niego cztery ogniste listy, Franz niezachwianie odpowiadał mi: „Jestem ekscentryczny, to prawda, ale ekscentryczność moja nie posuwa się do tego stopnia, abym złamał dane raz słowo".

— To mi dopiero prawdziwe poświęcenie, tylko przyjaźń na takie stać: oddać komuś kobietę, której samemu by się nie chciało, chyba że na kochankę.

Albert uśmiechnął się.

— A propos — odezwał się — nasz kochany Franz przyjedzie tu lada dzień; ale to raczej pana nie obejdzie, bo zdaje mi się, że go pan raczej nie lubisz?

— Ja? — zdziwił się Monte Christo. — E, drogi panie Albercie, dlaczego pan tak myśli? Ja lubię wszystkich.

[1231] *Królową Mab* — postać wróżki, o której pierwsza wzmianka pojawia się w *Romeo i Julii*; późniejsza tradycja literacka uznawała ją za królową wróżek, podobną do Tytanii. [przypis edytorski]

[1232] *Tytania* — królowa wróżek, postać ze *Snu Nocy Letniej* Szekspira. [przypis edytorski]

— A więc i mnie pan zawarł w tych wszystkich... bardzo dziękuję.

— O, ale nie mylmy pojęć. Kocham wszystkich tak, jak Bóg nakazuje kochać bliźniego (to znaczy po chrześcijańsku), a nienawidzę tylko kilku osób. Ale wracając do pana Franza, mówi pan, że przyjeżdża?

— Tak, ponaglony przez pana de Villeforta. Prokurator chyba tak samo na gwałt chce wydać za mąż pannę Valentine, jak pan Danglars pannę Eugenię. Stanowczo zdaje mi się, że bycie ojcem dorosłej córki jest wybitnie męczące. Dostaje się od tego gorączki, a puls bije dziewięćdziesiąt razy na minutę, póki nie uda się takiej córki wypchnąć z domu.

— Ale pan d'Epinay nie zachowuje się podobnie do pana: cierpliwie znosi swoje nieszczęście.

— Lepiej, bierze sprawę na poważnie; zakłada białe halsztuki i już opowiada o swojej rodzinie. Zresztą żywi do Villefortów wielki szacunek.

— Chyba nie bezzasadny?

— No tak. Pan de Villefort uchodzi za człowieka surowego, ale sprawiedliwego.

— Chwała Bogu. Chociaż nim nie pomiatasz pan tak, jak tym biednym Danglarsem.

— Może dlatego, że nie muszę się żenić z jego córką — odparł ze śmiechem Albert.

— Drogi panie, doprawdy oburzająca jest pańska pyszałkowatość!

— Moja pyszałkowatość?

— No tak. Proszę sobie wziąć cygaro.

— Chętnie. A czemu to jestem pyszałkiem?

— Bo bronisz się pan tu i miotasz przeciw małżeństwu z panną Danglars. Lepiej zostaw pan rzeczy ich zwyczajnemu biegowi, a kto wie, czy to pan nie będziesz musiał pierwszy cofnąć słowo?

— Co? — zatchnął się Albert, wytrzeszczając oczy.

— Ależ tak, kochany hrabio, nie wezmą cię gwałtem do ołtarza! A mówiąc poważnie — zmienił ton Monte Christo — naprawdę masz ochotę zerwać?

— Dałbym za to sto tysięcy.

— No to ciesz się pan: pan Danglars dałby na ten sam cel dwa razy tyle.

— Czy to prawda, takie szczęście? — upewnił się Albert, ale jednak mimo woli lekko się zachmurzył. — Ale jakież pan Danglars ma powody?

— O, widzieliście go, pyszałka i egoistę! Brawo, znów mam przed sobą człowieka, który gotów jest porąbać siekierą cudzą miłość własną, a sam krzyczy, kiedy go kto szpilką draśnie.

— Ależ nie! Tylko zdaje mi się, że pan Danglars...

— Powinien bić przed panem pokłony, czy tak? Cóż, pan Danglars, jak wiadomo, nie ma zbyt dobrego gustu i ma ochotę pobić pokłony przed kim innym...

— A przed kim to?

— Ja nic nie wiem. Obserwuj pan, przyglądaj się, chwytaj aluzje i postaraj się zrobić z tego własny użytek.

— Dobrze, rozumiem... Ale proszę posłuchać: moja matka... nie, nie matka: mój ojciec miał ten pomysł, żeby wyprawić bal.

— Bal? O tej porze roku?

— Bale letnie są teraz w modzie.

— Nawet gdyby nie były, pani hrabina sama byłaby zdolna wprowadzić je w modę.

— O tak. Domyślasz się pan zapewne, że to bale w pełnym znaczeniu tego słowa; ci, którzy zostają w Paryżu w lipcu, to sami najprawdziwsi Paryżanie. Zaprosi pan w naszym imieniu panów Cavalcantich?

— A kiedy będzie ten bal?

— W sobotę.

— Starego Cavalcantiego już tu nie będzie.

— Ale młody Cavalcanti zostaje. Przyprowadziłby go pan?

— Niech pan posłucha, ja go przecież nie znam.

— Nie znasz go pan?

— Nie. Pierwszy raz widziałem go przed paru dniami. Nie mogę za niego ręczyć.

— Ale u siebie go pan przyjmujesz.

— To co innego. Został mi polecony przez bardzo zacnego księdza, ale przecież i on może się mylić. Niech go pan sam zaprosi, proszę bardzo, ale niech mi pan nie każe go do

was wprowadzać. Gdyby później ożenił się z panną Danglars, mógłbyś mnie pan oskarżyć o jakąś intrygę i doszłoby do rozlewu krwi... Zresztą sam nie wiem, czy przyjdę...

— Ale dlaczego miałby pan tam nie przyjść?

— Po pierwsze dlatego, żeś mnie pan jeszcze nie zaprosił.

— Przyszedłem właśnie po to, aby pana zaprosić.

— Och, zbyt to uprzejme z pańskiej strony, ale może mi coś przeszkodzić.

— Gdy panu coś powiem, hrabio, z pewnością będziesz pan tak uprzejmy, że poświęcisz dla nas wszystkie przeszkody.

— Słucham.

— Moja matka prosi pana o to.

— Pani hrabina de Morcerf? — wzdrygnął się hrabia.

— Och, kochany hrabio, uprzedzam cię, że rozmawiamy z matką bardzo szczerze; i jeżeli nie poczuł pan tych sygnałów sympatii, to chyba dlatego, że brakuje panu odpowiednich strun, bo przez te cztery dni mówiliśmy tylko o panu.

— O mnie? Ależ pochlebiacie mi państwo.

— Pan wybaczy, ale to przywilej kogoś, kto jest żyjącą zagadką dla wszystkich, tak samo dla mojej matki, jak i dla innych; zagadką zaakceptowaną, ale nierozwiązaną: ciągle pozostajesz pan w stadium tajemnicy, proszę się nie martwić. Moja matka zastanawia się tylko ciągle, jak udało się panu zachować młodość. Coś mi mówi, że matka bierze pana w gruncie rzeczy za Cagliostra albo hrabiego de Saint-Germain[1233], tak jak hrabina G*** uważa pana za lorda Ruthwena. Jak tylko się pan zobaczy z matką, proszę ją utwierdzić w tym przekonaniu. Łatwo to panu przyjdzie, masz pan przecież kamień filozoficzny[1234] Cagliostra, a inteligencję jak sam Saint-Germain.

— Dziękuję, żeś mnie pan uprzedził — uśmiechnął się hrabia — postaram się godnie stawić czoła tym wszystkim przypuszczeniom.

— Czyli przyjdziesz pan w sobotę?

— Skoro prosi mnie o to pani de Morcerf... A pan Danglars?

— Och, on był już zapraszany parę razy, zajął się tym ojciec. Postaramy się też o naszego wielkiego uczonego, pana de Villeforta, ale nie ma na to wielkiej nadziei.

— Nigdy nie należy tracić nadziei, jak mówi przysłowie.

— Tańczy pan, drogi hrabio?

— Nie, nie tańczę, ale lubię patrzeć, jak tańczą inni. A pani de Morcerf tańczy?

— Nigdy. Pogadacie sobie, ona wprost marzy o rozmowie z panem!

— Doprawdy?

— Słowo honoru! I muszę panu powiedzieć, że matka jeszcze nigdy się tak nikim nie zainteresowała, jak panem.

Albert wziął cylinder i wstał; hrabia odprowadził go do drzwi.

— Żałuję jednej rzeczy — rzekł hrabia, przystanąwszy z Albertem na ganku — że byłem niedyskretny. Nie powinienem był mówić panu o panu Danglarsie.

— Przeciwnie, niech mi pan o nim nadal mówi, i to często, jak najczęściej: byle tylko w taki sam sposób.

— No, trochę mnie pan uspokoił. A zmieniając temat: kiedy wraca pan Franz?

— Za pięć, sześć dni.

— A kiedyż się żeni?

— Jak tylko przyjadą państwo de Saint-Méranowie.

— Przyprowadźże go do mnie, jak tylko będzie w Paryżu. Choć utrzymujesz pan, że go nie lubię, oświadczam, że bardzo ucieszą mnie jego odwiedziny.

— Dobrze, rozkazy twe zostaną spełnione, o panie.

— Do widzenia.

Hrabia odprowadził spojrzeniem Alberta i uniósł dłoń na znak pożegnania. Gdy młodzieniec wsiadł do swojego faetonu, odwrócił się. Za nim stał Bertuccio.

— I co? — zapytał.

— Pojechała do Pałacu Sprawiedliwości — odparł intendent.

[1233] *hrabia de Saint-Germain* (zm. 1784) — fr. arystokrata, podróżnik i artysta, którego przeszłość owiana jest tajemnicą; zajmował się alchemią i miał rzekomo dar jasnowidzenia. [przypis edytorski]

[1234] *kamień filozoficzny* — legendarna substancja, która miała zmieniać metale nieszlachetne w złoto i zapewniać nieśmiertelność; główny cel badawczy alchemików. [przypis edytorski]

— Długo była?

— Półtorej godziny. Potem wróciła prosto do domu.

— Wobec tego, kochany panie Bertuccio, poradzę ci, abyś teraz pojechał do Normandii i poszukał tego mająteczku, o którym ci mówiłem.

Bertuccio ukłonił się, a ponieważ jego pragnienia zgadzały się doskonale z tym rozkazem, wyjechał jeszcze tego samego wieczora.

68. INFORMACJE

Pan de Villefort dotrzymał słowa pani Danglars — a przede wszystkim sobie samemu — usiłując odkryć, jak hrabia de Monte Christo mógł dowiedzieć się o historii związanej z domem w Auteuil.

Jeszcze tego samego dnia napisał, zwracając się o informacje, do niejakiego pana de Boville'a, który niegdyś był inspektorem więzień, a obecnie piastował wysokie stanowisko w policji bezpieczeństwa. Pan de Boville poprosił o dwa dni na wyszukanie osób, u których można byłoby dowiedzieć się jakichś szczegółów.

Dwa dni później pan de Villefort otrzymał następującą notę:

> Osoba tytułująca się hrabią de Monte Christo znana jest szczególnie dobrze lordowi Wilmore'owi, bogatemu cudzoziemcowi, który bywa czasem w Paryżu i jest tu właśnie w obecnej chwili; jest on również znany księdzu Busoniemu, duchownemu z Sycylii, cieszącemu się wielką sławą na Wschodzie dla swoich dobrych uczynków.

Pan de Villefort nakazał, aby o tych dwóch cudzoziemcach zgromadzono jak najszybciej jak najdokładniejsze informacje; rozkazy wykonano i następnego dnia wieczorem otrzymał następujące wiadomości:

Ksiądz miał zabawić w Paryżu tylko miesiąc; mieszkał za kościołem świętego Sulpicjusza w jednopiętrowym domku, na który składały się cztery pokoje, po dwa na dole i na górze; ksiądz, jako jedyny lokator, zajmował całość.

Na dole była jadalnia; w skład orzechowego umeblowania wchodziły stół, dwa krzesła i kredens. Obok był salon obity boazerią pomalowaną na biało; nie było w nim żadnych ozdób, nawet dywanu czy zegara. Widać było, że ksiądz ograniczał się do przedmiotów niezbędnych.

Choć prawda, że najchętniej przebywał w salonie na pięterku. Salon ten był całkowicie zawalony księgami teologicznymi i pergaminami, w których — jak powiadał lokaj — ksiądz zagrzebywał się na całe miesiące; było oczywiste, że była to raczej biblioteka niż salonik.

Lokaj przyglądał się pukającym do drzwi przez małe okieneczko, a kiedy nie znał tej osoby lub mu się nie spodobała, odpowiadał, że ojciec Busoni wyjechał z Paryża — i wielu zadowalało to oświadczenie, wiedzieli bowiem, że ksiądz często podróżuje i że czasem długo z takich podróży nie wraca.

Ponadto, gdziekolwiek by nie był — w Paryżu czy w Kairze — przez owo okienko lokaj zawsze rozdawał w imieniu pana jałmużnę.

Pokój przylegający do biblioteki stanowił sypialnię. Na całe umeblowanie składały się łóżko bez kotar, klęcznik, cztery fotele i kanapka z żółtego aksamitu.

Lord Wilmore mieszkał przy ulicy Fontaine-Saint-Georges. Był to jeden z tych Anglików-turystów, którzy przejadają cały swój majątek w podróżach. Wynajmował umeblowany apartament, w którym spędzał zaledwie dwie czy trzy godziny dziennie, a sypiał bardzo rzadko. Wśród jego rozlicznych manii była i taka: absolutnie nie chciał mówić po francusku, choć — jak zapewniano — posługiwał się tym językiem w piśmie nader poprawnie.

Następnego dnia jakiś mężczyzna wysiadł z powozu na rogu ulicy Férou i zastukał do drzwi pomalowanych na zielony, oliwkowy kolor i zapytał o księdza Busoniego.

— Ojciec Busoni wyszedł z samego rana — odparł służący.

— Nie mogę poprzestać na tej odpowiedzi — rzekł nieznajomy — ponieważ przysłała mnie tu osoba, dla której trzeba zawsze być w domu. Ale proszę doręczyć księdzu Busoniemu...

— Już panu mówiłem, że go nie ma.

— Jak wróci, proszę mu oddać tę kartkę i tę zapieczętowaną kopertę. O ósmej będzie u siebie?

— O, na pewno, proszę pana, chyba że będzie pracował, bo wtedy to tak samo, jakby go nie było.

— Czyli wrócę o ósmej — odparł nieznajomy.

O ósmej powrócił rzeczywiście, tym samym powozem, ale tym razem nie zatrzymał go na rogu, tylko pod samymi drzwiami.

Zastukał, otworzono mu i wszedł.

Z szacunku, jaki okazał mu służący, domyślił się, że list wywarł pożądany skutek.

— Ksiądz jest w domu? — zapytał.

— Pracuje w bibliotece, ale czeka na pana — odpowiedział służący.

Nieznajomy wszedł na dosyć strome schody. W salonie tonącym w mroku jaśniał tylko stół oświetlony lampą osłoniętą dużym abażurem; siedział przy nim ksiądz w sutannie; na głowie miał kaptur, jakie przywdziewali w wiekach średnich uczeni mnisi.

— Czy mam zaszczyt z księdzem Busonim? — zapytał przybysz.

— Tak. A pan zapewne przybyłeś w imieniu pana de Boville'a, który przysłał tu pana w imieniu prefekta policji?

— Tak, proszę księdza.

— Jesteś pan jednym z wyższych agentów paryskiego bezpieczeństwa?

— Tak, proszę księdza — odparł przybysz z lekkim wahaniem i lekko się zarumienił.

Ksiądz poprawił wielkie okulary, które zasłaniały mu nie tylko oczy, ale i skronie, usiadł i zaprosił gestem nieznajomego do zajęcia miejsca.

— Słucham pana — rzekł ksiądz z wyraźnym włoskim akcentem.

— Zlecenie, które mi dano — odezwał się przybyły, wymawiając każde słowo z takim naciskiem, że zdawało się, jakby trudno mu było je wymówić — jest misją poufną, co oznacza, że obaj jesteśmy zobowiązani do zachowania ścisłej tajemnicy.

Ksiądz skłonił się.

— Tak — ciągnął nieznajomy — uczciwość księdza jest dobrze znana prefektowi policji. Dlatego też chciałby się dowiedzieć od pana z urzędu pewnej rzeczy interesującej bezpieczeństwo publiczne, w którego imieniu występuję. Spodziewamy się, że ksiądz nie będzie zważał na żadne względy przyjaźni, czy też znajomości i nie będzie ukrywał prawdy przed sprawiedliwością.

— Oczywiście, byleby tylko to, czego chcesz się pan dowiedzieć, w niczym nie narażało mojego sumienia. Jestem księdzem, proszę pana, i na przykład tajemnica spowiedzi musi pozostać pomiędzy mną i sprawiedliwością boską, nie zaś mną i sprawiedliwością ludzką.

— O, może ksiądz być spokojny, nie zamierzamy wkraczać w kwestie związane z sumieniem księdza.

Po tych słowach ksiądz przechylił abażur tak, że cały blask lampy padł na twarz gościa; sam pozostał nadal w cieniu.

— Niech ksiądz daruje — odezwał się wysłannik prefekta — ale światło bardzo mnie razi.

Ksiądz obniżył zielony karton.

— A teraz proszę mówić, słucham.

— A więc do rzeczy. Czy ksiądz zna pana hrabiego de Monte Christo?

— Mówi pan zapewne o panu Zaccone?

— Zaccone?!... Czyli nie nazywa się Monte Christo?!

— Monte Christo to nazwa ziemi albo raczej skały, ale nie nazwisko rodowe.

— Dobrze, dobrze; nie kłóćmy się o słowa, a skoro pan de Monte Christo i pan Zaccone to jeden i ten sam człowiek...

— Oczywiście, że ten sam.

— Pomówmy więc o panu Zaccone. Pytałem księdza, czy go ksiądz zna? Któż to taki?

— Bardzo dobrze. To syn bogatego armatora z Malty.

— Wiem, tak się mówi, ale rozumiesz pan, że policja nie może zadowalać się tym, co mówią ludzie.

— Ale — odparł ksiądz z miłym uśmiechem — gdy to, co się mówi, jest prawdą, wszystkim to powinno wystarczyć, a tym samym i policji.

— Ale jest ksiądz pewien tego, co mówi?

— Jak to, czy jestem pewien?

— Proszę mi wierzyć: w niczym nie podważam tu pańskiej dobrej wiary. Pytam tylko: czy ksiądz jest pewien.

— Niech pan posłucha: przecież znałem jego ojca, a jako dziecko bawiłem się z jego synem w ich stoczniach.

— No to skąd ten tytuł hrabiego?

— Przecież pan wie, że można go kupić.

— We Włoszech?

— Wszędzie.

— A te bogactwa, podobno olbrzymie...

— No, z tym się zgodzę, olbrzymie to dobre słowo.

— Jak ksiądz uważa, ile on może mieć?

— No, ma na pewno jakieś sto pięćdziesiąt do dwustu tysięcy liwrów renty.

— O, to jest rozsądna suma... Ale mówi się o trzech czy czterech milionach!

— Dwieście tysięcy renty, mój panie, daje akurat cztery miliony kapitału.

— Ależ mówi się o trzech czy nawet czterech milionach samej renty!

— E, to bzdury.

— A zna ksiądz tę jego wyspę, Monte Christo?

— Oczywiście. Zna ją każdy, kto udaje się do Francji morzem z Palermo, Neapolu czy Rzymu, ponieważ statek przepływa tuż obok.

— Podobno to zachwycające miejsce?

— To naga skała.

— No to po co hrabia kupił taką skałę?

— Właśnie po to, aby być hrabią. Aby być hrabią we Włoszech, koniecznie trzeba mieć jakieś hrabstwo.

— Z pewnością słyszał ksiądz, co pan Zaccone wyprawiał w młodości?

— O, tu zaczynają się braki w moich wiadomościach, bo straciłem go wtedy z oczu.

— Był na wojnie?

— W marynarce.

— Ksiądz nie jest przypadkiem jego spowiednikiem?

— Nie, mój panie. Chyba jest nawet luteraninem[1235].

— Luteraninem?

— Powiadam „chyba", nie mówię, że na pewno. Ale zdawało mi się, że we Francji panuje wolność wyznania?

— Naturalnie. I dlatego nie zajmujemy się w tej chwili jego wyznaniem, ale postępkami. W imieniu pana prefekta policji wzywam księdza, aby ksiądz powiedział, co o nim wie.

— Uchodzi za człowieka bardzo miłosiernego. Ojciec Święty zrobił go rycerzem Chrystusa, tego zaszczytu dostępują zazwyczaj tylko książęta; otrzymał go za znakomite usługi, jakie oddał chrześcijanom na Wschodzie. Ma też kilka wysokich orderów za przysługi wyświadczone różnym władcom i państwom.

— I nosi je?

— Nie, ale jest z nich dumny. Mówi, że woli nagrody przyznawane dobroczyńcom ludzkości niż jej niszczycielom.

— Ma jakichś przyjaciół?

— No tak, wszyscy jego znajomi są jego przyjaciółmi.

— Ale przecież musi mieć i wrogów?

— Jednego jedynego lorda Wilmore'a.

— Gdzie przebywa?

— W tej chwili w Paryżu.

— Będzie w stanie udzielić mi jakichś informacji?

[1235] *luteranin* — chrześcijanin wyznania ewangelicko-augsburskiego, założonego przez Marcina Lutra. [przypis edytorski]

— O, i to cennych. Przebywał w Indiach wtedy, co i Zaccone.

— A nie wie pan, gdzie mieszka?

— Podobno niedaleko Chaussée d'Antin, ale nie wiem, na jakiej ulicy, ani w którym domu.

— Nie jest pan w najlepszych stosunkach z tym Anglikiem?

— Lubię Zacconego, a on go nie cierpi. Dlatego nasze stosunki są dość chłodne.

— Proszę księdza, jak ksiądz sądzi: czy hrabia de Monte Christo był kiedykolwiek wcześniej we Francji, zanim przyjechał teraz do Paryża?

— O, na to pytanie mogę panu odpowiedzieć z całą stanowczością. Nie, mój panie, nigdy tu wcześniej nie był, bowiem pół roku temu zwrócił się do mnie o pewne wiadomości właśnie w związku z tym przyjazdem. A ponieważ nie wiedziałem wtedy sam, kiedy wrócę do Paryża, skierowałem do niego pana Cavalcantiego.

— Andreę?

— Nie, Bartolomea, jego ojca.

— Dobrze, proszę księdza; zapytam księdza jeszcze tylko o jedno, ale zaklinam na honor, ludzkość i religię, niech mi ksiądz odpowie jasno i bez ogródek.

— Słucham.

— Czy ksiądz wie, w jakim celu hrabia kupił dom w Auteuil?

— Oczywiście, mówił mi o tym.

— A więc, w jakim to celu?

— Chce założyć szpital dla obłąkanych, na wzór tego, który baron Pisani[1236] stworzył w Palermo. Słyszał pan o tym szpitalu?

— Tak.

— To wspaniała instytucja.

I ksiądz ukłonił się agentowi, chcąc dać mu do zrozumienia, że cieszyłby się, gdyby mógł wrócić do przerwanej pracy.

Gość zrozumiał ten gest, a może nie miał już więcej pytań — dość, że wstał.

Ksiądz odprowadził go do drzwi.

— Ksiądz rozdziela podobno wspaniałe jałmużny — zagadnął agent — a chociaż mówią, że jest ksiądz bogaty, ośmielę się ofiarować datek dla ubogich; raczy go ksiądz przyjąć?

— Bardzo panu dziękuję, ale poczytuję sobie za punkt honoru, aby to, co rozdaję, pochodziło tylko ode mnie.

Ksiądz skłonił się po raz ostatni i otwarł drzwi; agent skłonił się także i wyszedł.

Powóz zawiózł go prosto do pana de Villeforta.

Godzinę później powóz pojechał na ulicę Fontaine-Saint-Georges i stanął przed numerem piątym. Tu właśnie mieszkał lord Wilmore.

Nieznajomy napisał był do lorda Wilmore'a, prosząc go o spotkanie, które tamten wyznaczył na godzinę dziesiątą. Toteż, gdy wysłannik pana prefekta zjawił się za dziesięć dziesiąta, powiedziano mu, że lord Wilmore jeszcze nie wrócił, ale jako wcielenie słowności i punktualności będzie tu niezawodnie, gdy wybije dziesiąta.

Gość czekał w salonie.

Nie było tu nic szczególnego: ot, salon, jak wszystkie wynajmowane lokatorom.

Kominek, a na nim dwa nowoczesne sewrskie wazony[1237]; zegar wiszący z amorkiem napinającym łuk; lustro o dwóch taflach; po obu jego stronach grawiury[1238]: na jednej Homer niosący swojego przewodnika[1239], na drugiej Belizariusz[1240] żebrzący o jałmużnę; szare tapety, meble obite czerwoną tkaniną w czarny deseń — taki był salon lorda Wilmore'a.

[1236] *Pisani, Pietro* (1761–1837) — wł. baron, archeolog i założyciel pierwszego szpitala psychiatrycznego w Palermo, słynącego z nowoczesnych metod terapii. [przypis edytorski]

[1237] *sewrskie wazony* — wazony wyprodukowane we fr. mieście Sèvres, które słynęło z wysokiej jakości porcelany. [przypis edytorski]

[1238] *grawiura* — rodzaj ryciny wykonanej przy użyciu płytki metalowej. [przypis edytorski]

[1239] *Homer niosący swojego przewodnika* — wg tradycji Homer był ślepy, dlatego w podróży pomagał mu przewodnik (w sztuce przedstawiany zwykle jako młody chłopak). [przypis edytorski]

[1240] *Belizariusz*, właśc. *Flavius Belisarius* (ok. 505–565) — wódz bizantyjski z czasów cesarza Justyniana I Wielkiego, dowodził armią bizantyjską, która w 536 r. wyparła Gotów z Italii i samego Rzymu. Wg legendy pod koniec życia miał zostać oślepiony i zmuszony do życia żebraczego. [przypis edytorski]

Dwie kuliste lampy z matowego szkła rzucały słabe światło — jakby umyślnie, ze względu na znużony wzrok wysłannika prefekta.

Po dziesięciu minutach zegar zaczął bić na dziesiątą; za piątym uderzeniem otwarły się drzwi i wszedł lord Wilmore.

Był raczej wysoki, miał jasną cerę, faworyty rzadkie i rude, siwiejące blond włosy. Ubrany jak typowy Anglik, czyli ekscentrycznie: miał na sobie błękitny frak ze złotymi guzikami i wysokim pikowanym kołnierzem — nosiło się takie w roku 1811; całości dopełniała biała kaszmirowa kamizelka i nankinowe pantalony, przykrótkie o trzy cale — nie uciekały pod kolana tylko dlatego, że przytrzymywały je strzemiączka z tej samej tkaniny.

Bez żadnych wstępów oświadczył:

— Wie pan, że nie mówię po francusku.

— Wiadomo mi raczej, że nie lubisz pan mówić naszym językiem — odparł wysłannik prefekta.

— Ale pan możesz mówić po francusku. Choć nie mówię waszym językiem, rozumiem go.

— Ale ja — rzekł agent, przechodząc na angielski — mówię za to na tyle biegle po angielsku, abyśmy mogli porozmawiać w tym języku. Niechże się więc pan nie przejmuje.

— *Ou*! — zdziwił się lord z akcentem, jaki cechuje wyłącznie najprawdziwszych synów Albionu[1241].

Agent podał lordowi Wilmore'owi list od prefekta policji. Lord przeczytał go z iście angielską flegmą, a gdy skończył, oznajmił:

— Rozumiem, bardzo dobrze rozumiem.

Po czym rozpoczęły się pytania. Miały mniej więcej taką samą treść jak te, które agent zadał księdzu Busoniemu. Ale jako że lord Wilmore był nastawiony nieprzyjaźnie do hrabiego, nie odpowiadał tak powściągliwie, tylko znacznie szczegółowiej.

Opisał młodość hrabiego.

Monte Christo miał według niego już w dziesiątym roku życia wejść na służbę u jednego z indyjskich książąt toczących walki z Anglikami. Tam właśnie Wilmore spotkał go po raz pierwszy — walczyli po dwóch przeciwnych stronach. Podczas tej wojny Zaccone dostał się do niewoli; odesłano go do Anglii i umieszczono go na zakotwiczonym statku służącym za więzienie, ale uciekł stamtąd i dostał się wpław na brzeg.

Wtedy to zaczęły się jego podróże, pojedynki i miłostki; wtedy nadeszło też powstanie w Grecji. Zaciągnął się w greckie szeregi i w czasie tej służby odkrył w górach Tesalii żyłę srebra, jednakże nikomu o tym nie powiedział. Po klęsce Turków pod Navarino[1242], gdy rząd grecki się ustalił, poprosił króla Ottona[1243] o przywilej na eksploatację tejże kopalni; przywilej został mu przyznany. Stąd ta niesłychana fortuna. Według lorda Wilmore'a dochody Monte Christa mogły wynosić od jednego do dwóch milionów rocznie. Niemniej dochody te mogły się nagle wyczerpać, jeśli wyczerpie się żyła srebra.

— A nie wie pan, w jakim celu przybył do Francji?

— Ma zamiar spekulować na kolei żelaznej. A poza tym, jako zręczny chemik i nie mniej znakomity fizyk, wynalazł nowy rodzaj telegrafu, który pragnie uskutecznić.

— Ile też może wydawać na rok?

— O, pięćset, a najwyżej sześćset tysięcy franków — rzekł z przekąsem lord Wilmore. — To skąpiec.

Widać było wyraźnie, że przez Anglika przemawiała nienawiść: sam nie wiedział już, co mógłby zarzucić hrabiemu, a więc zarzucał mu skąpstwo.

— A wie pan coś może o jego domu w Auteuil?

— Cóż, hrabia to spekulant i kiedyś na pewno zrujnują go te jego doświadczenia i utopie. Utrzymuje, że w Auteuil, niedaleko domu, który nabył, są źródła mineralne,

[1241] *Albion* — daw. nazwa Wysp Brytyjskich występująca u pisarzy starож., później stosowana jako literackie określenie Anglii. [przypis edytorski]

[1242] *bitwa pod Navarino* (12 X 1827) — bitwa morska stoczona w zatoce Navarino w ramach gr. wojny o niepodległość. [przypis edytorski]

[1243] *Otton I Wittelsbach* (1815–1867) — książę bawarski, pierwszy król Grecji po ogłoszeniu jej niepodległości w 1830 r. [przypis edytorski]

które mogłyby konkurować z wodami z Bagnères, Luchon czy Cauterets[1244]. Chce na swojej posesji założyć *badhaus*[1245], jak mówią Niemcy. Już ze trzy razy przekopał cały ogród, szukając tego słynnego źródła; a ponieważ nic nie znalazł, zobaczysz pan, że wkrótce wykupi wszystkie posesje dokoła. Nie przepadam za nim i dlatego żywię nadzieję, że zrujnuje się na tych swoich kolejach, telegrafie elektrycznym i mineralnych kąpielach. Śledzę pilnie to, co robi, aby nie stracić okazji radowania się z jego porażki, która prędzej czy później, ale nastąpi.

— A dlaczego darzy go pan taką niechęcią?

— Gdy był przejazdem w Anglii, uwiódł żonę mojego przyjaciela.

— Ale jeśli mu pan tak źle życzysz, dlaczego sam się na nim nie zemścisz?

— Biłem się z nim już trzy razy. Pierwszy raz na pistolety, drugi raz na szpady i trzeci na szable.

— A jaki był rezultat tych pojedynków?...

— Za pierwszym razem zgruchotał mi ramię, za drugim przebił mi płuco, a za trzecim zadał mi taką ranę.

I Anglik, odchyliwszy kołnierz koszuli, który sięgał mu aż do uszu, pokazał bliznę — wciąż jeszcze zaczerwienioną, a więc świeżą.

— Tak więc bardzo nie lubię hrabiego — ciągnął Anglik — i na pewno zginie z mojej ręki.

— Ale chyba nie zamierza go pana zamordować — wtrącił wysłannik prefekta.

— O, codziennie chadzam na strzelnicę i codziennie przychodzi do mnie Grisier.

Było to wszystko, czego gość się dowiedział — a raczej wszystko, co wiedział Anglik.

Agent powstał więc, ukłonił się lordowi Wilmore'owi, który odpowiedział mu typowym dla Anglików, uprzejmym, sztywnym ukłonem — i wyszedł.

Przebranie

Usłyszawszy, jak zamykają się za nim drzwi od ulicy, lord Wilmore poszedł do sypialni i jednym ruchem ręki pozbył się jasnych włosów, rudych faworytów, fałszywej szczęki i blizny. Ukazały się czarne włosy, matowa płeć i zęby jak perły — hrabia Monte Christo we własnej osobie.

Choć z drugiej strony prawda, że agentem, który powrócił do domu pana de Villeforta, nie był wysłannik pana prefekta, ale sam pan de Villefort.

Prokurator uspokoił się nieco po tych dwóch wizytach, bo choć nie dowiedział się dzięki nim nic krzepiącego, ale przynajmniej nie powiedziano mu nic, co mogłoby go jeszcze bardziej zaniepokoić.

I po raz pierwszy od owego obiadu w Auteuil spał w nocy dość spokojnie.

69. BAL

Nastały upalne lipcowe dni, a wraz z nimi owa sobota, kiedy miał odbyć się bal u pana de Morcerfa.

Była dziesiąta wieczorem; olbrzymie drzewa pałacowego ogrodu hrabiego rysowały się wyraziście na tle nieba, gdzie, odsłaniając jedynie fragmenty lazurowego błękitu usianego złocistymi gwiazdami, przemieszczały się obłoki — ostatnie ślady burzy, której pomruki słychać było przez cały dzień.

W salach na parterze grzmiała muzyka, raz w rytm walca, raz galopu, a intensywne pasma światła przenikały poprzez szpary między żaluzjami.

W ogrodzie krzątała się w tej chwili służba, gdyż pani domu, upewniona, że rozpogadza się coraz bardziej, nakazała podać kolację na świeżym powietrzu.

Aleje ogrodu oświetlono kolorowymi lampionami, jak nakazywał zwyczaj włoski, a stół do kolacji tonął w światłach i w kwiatach, co jest powszechne wszędzie, gdzie okazuje się trochę zrozumienia dla przepychu przy stole. Jest jednak rzeczą niezwykle rzadką tak doskonała forma przepychu.

W chwili gdy hrabina de Morcerf po wydaniu ostatnich rozkazów służbie wracała do salonu, dom zaczął napełniać się zaproszonymi, których przyciągała bardziej niezwykła gościnność i urok pani domu aniżeli dostojna pozycja samego hrabiego.

[1244] *Bagnères, Luchon, Cauterets* — fr. miejscowości leżące w Pirenejach, znanych ze swoich źródeł mineralnych i termalnych. [przypis edytorski]

[1245] *badhaus* (z niem.) — łaźnia, uzdrowisko. [przypis edytorski]

Pani Danglars, poważnie zaniepokojona przebiegiem zdarzeń, wahała się przed pójściem do pani Morcerf. Jednak rankiem spotkała w drodze powóz pana Villeforta.

— Zapewne będzie pani u hrabiny de Morcerf? — zapytał prokurator królewski wychylając się przez okienko w drzwiczkach.

— Nie — odpowiedziała pani Danglars — zbyt źle się czuję.

— Niedobrze pani zrobi — odpowiedział Villefort ze znaczącym spojrzeniem. — Koniecznie musi się tam pani pokazać.

— W takim razie będę.

Pani Danglars pojawiła się, jaśniejąc nie tylko urodą, ale i przepychem toalety; weszła na salę dokładnie w tym momencie, kiedy Mercedes wracała z ogrodu.

Hrabina wysłała Alberta na powitanie pani Danglars; Albert podszedł, i wziąwszy ją pod rękę, zaprowadził na wybrane przez nią miejsce.

Albert obejrzał się wokoło.

— Z pewnością szuka pan mojej córki — rzekła z uśmiechem baronowa.

— Czyżby była pani tak okrutna, by jej z sobą nie przyprowadzić?

— Proszę się nie martwić, spotkała pannę de Villefort i idą razem, tuż za nami; oto i one w białych sukniach, jedna z bukietem kamelii, druga z bukietem niezapominajek; ale niech mi pan powie...

— A kogóż pani tym razem wypatruje? — zapytał z uśmiechem Albert.

— Czy będzie dziś u państwa hrabia de Monte Christo?

— Siedemnaście! — odpowiedział Albert.

— Co to znaczy?...

— To znaczy — odpowiedział, śmiejąc się, wicehrabia — że jest pani już siedemnastą osobą, która mi to pytanie zadaje; szczęśliwy hrabia! Już mu składałem wyrazy uznania...

— Czy pan wszystkim odpowiada w ten sam sposób?

— A prawda, przepraszam, jeszcze pani nie odpowiedziałem; zapewniam panią, że będziemy dzisiaj gościć owego tak popularnego człowieka, jesteśmy uprzywilejowani.

— Był pan wczoraj w Operze?

— Nie.

— A on był.

— Ach tak? I cóż, czy nasz ekscentryk popisał się czymś nowym?

— Inaczej nie byłby sobą. Elssler[1246] tańczyła w *Diable kulawym*; księżniczka grecka była zachwycona. Gdy skończyła tańczyć *cachuchę*[1247], hrabia włożył przepiękny pierścień w bukiet i rzucił czarującej tancerce, a ta, by uczcić hrabiego, ukazała się w trzecim akcie z pierścieniem na palcu. Czy ta księżniczka grecka też będzie u państwa?

— Nie, tej przyjemności musimy sobie odmówić; pozycja księżniczki w domu hrabiego nie jest właściwie ustalona...

— O, proszę, niech mnie pan tu zostawi i pójdzie przywitać się z baronową: widzę, że nie może doczekać się rozmowy z panem.

Albert ukłonił się pani Danglars i odszedł do pani de Villefort, która w miarę jak się zbliżał, już otwierała usta do zapytania.

— Założyłbym się — rzekł Albert, przerywając jej — że wiem, o co chce mnie pani zapytać.

— A tak? A o co na przykład? — rzekła pani de Villefort.

— Jeżeli zgadnę, przyzna się pani?

— O tak, z pewnością.

— Zamierzała pani zapytać, czy hrabia de Monte Christo przybył lub czy przybędzie?

— Wcale nie. W tej chwili to nie jego osoba mnie interesuje. Chciałam pana zapytać, czy ma pan jakieś wiadomości od pana Franza.

— Dostałem wczoraj.

— Cóż pisał?

— Że wyjeżdża natychmiast w ślad za owym listem.

— No, dobrze; a teraz, co z hrabią?

[1246] *Elssler, Fanny*, właśc. *Franziska Elssler* (1810–1884) — austr. primabalerina; wprowadzała do swoich choreografii elementy tańców ludowych, np. krakowiaka. [przypis edytorski]

[1247] *cachucha* — hiszp. taniec ludowy. [przypis edytorski]

— Hrabia przyjdzie, proszę być spokojną.

— Czy wie pan, że on ma jeszcze inne nazwisko oprócz Monte Christo?

— Nie, nie wiedziałem.

— Monte Christo jest nazwą wyspy, nazwisko rodowe hrabiego jest inne.

— Nigdy o tym nie mówił.

— Wiem więc więcej od pana. Otóż nazywa się Zaccone i jest Maltańczykiem.

— To możliwe.

— Synem właściciela okrętu.

— O, powiem szczerze: jeśli rozpowiedziałaby pani o tym, zrobiłaby pani furorę!

— Służył w Indiach, posiada kopalnię srebra w Tessalii[1248], a do Paryża przybył, aby założyć rozlewnię wód mineralnych[1249] w Auteuil.

— To dopiero niezwykłe wiadomości! — dziwił się Albert. — Pozwoli pani, że je rozgłoszę?

— Tak, lecz powoli, nie wszystkie od razu i nie ujawniając, że pochodzą ode mnie.

— A to dlaczego?

— Bo to jest tajemnica wykradziona.

— Od kogo?

— Od policji.

— Więc mówiono o tym...

— Wczoraj wieczór u prefekta. Cały Paryż już o tym plotkował, rozumie pan — o tym niezwyczajnym zbytku. Policja zaczęła więc szukać informacji...

— No, to trzeba jeszcze było zatrzymać hrabiego jako włóczęgę, pod pretekstem, że jest zanadto bogaty.

— Niewątpliwie, tak by się stało, gdyby nie przychylne dla niego informacje.

— Biedny hrabia! Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu groziło?

— Nie sądzę.

— Ze względów czysto ludzkich należałoby go o tym powiadomić. Jak tylko przyjdzie, zaraz mu powiem.

W tym momencie piękny czarnowłosy młodzieniec, o zadbanych wąsach i bystrym spojrzeniu, powitał z wielkim uszanowaniem panią de Villefort. Albert wziął go za rękę.

— Mam honor przedstawić pani pana Maksymiliana Morrela, kapitana spahisów, znakomitego, dzielnego oficera.

— Miałam przyjemność poznać już pana w Auteuil, u pana hrabiego de Monte Christo — surowo odpowiedziała pani de Villefort, odwracając się.

Flirt, Obyczaje

Odpowiedź ta, a szczególnie jej ton, ścisnęły serce biednego Morrela; wkrótce jednak nie ominęła go nagroda, bo zaledwie odwrócił się, ujrzał w drzwiach uroczą, jasną postać, która spojrzała nań ogromnymi, błękitnymi oczyma — pozornie obojętnymi — a tymczasem bukiet niezapominajek podnosił się wolno do ust.

Dobrze zrozumiał to powitanie, bo natychmiast z podobnym, obojętnym wyrazem twarzy podniósł do ust chustkę; w tej chwili te dwa żywe posągi o jakże mocno bijących sercach, oddzielone całą przestrzenią salonu, zapomniały się na chwilę, albo raczej zapomniały o całym świecie, pogrążone w cichej kontemplacji.

Mogliby i dłużej pozostać tak zapatrzeni w siebie i nikt by tego nie spostrzegł, wszedł bowiem właśnie hrabia Monte Christo.

Wspomnieliśmy już wcześniej, że hrabia, czy to w sposób naturalny, czy sztuczny, przyciągał uwagę wszędzie, gdzie się pojawiał; a nie wzbudzały zainteresowania ani czarny frak, któremu nie można było nic zarzucić w kroju (choć był prosty i pozbawiony odznaczeń), ani biała kamizelka nieozdobiona żadnym haftem, ani spodnie modelujące smukłą nogę — tylko ta blada cera, kruczoczarny włos, spokojna twarz o czystych liniach, melancholijny, na wskroś przeszywający wzrok i wreszcie usta o delikatnym konturze, które z taką łatwością przybierały wyraz najwyższej pogardy.

Zdarzali się mężczyźni piękniejsi od niego, ale nikt nie był tak imponujący; wszystko w hrabi miało swoje odrębne znaczenie i wagę; hrabia nigdy nie rzucał słów na wiatr,

[1248] *Tessalia* — kraina hist. w płn. Grecji, nad Morzem Egejskim. [przypis edytorski]

[1249] *rozlewnia wód mineralnych* — zakład wydobywający i przetwarzający wodę ze źródeł mineralnych. [przypis edytorski]

co nadawało jego rysom, wyrazowi jego twarzy i najmniejszemu gestowi wytworność i nieporównaną stanowczość.

Wprawdzie nasz dziwaczny paryski świat nigdy nie zwróciłby na to wszystko uwagi, gdyby nie łączyła się z tym tajemniczość ozłocona bogactwami.

Hrabia szedł więc pod ostrzałem spojrzeń i odwzajemniając niedbale ukłony, zbliżył się do pani Morcerf, która stała przy kominku zastawionym kwiatami i ujrzała go wcześniej w lustrze zawieszonym naprzeciw drzwi.

Pani de Morcerf była pewna, że hrabia przemówi do niej pierwszy, zaś hrabia był pewien, że to ona powita go jakimś słowem; i tak oboje zachowali milczenie, uważając, że banalne uprzejmości nie są ich godne; po czym hrabia odwrócił się do Alberta, który właśnie szedł do niego z otwartymi ramionami.

— Widział się już pan z moją matką? — zapytał Albert.

— Właśnie miałem honor ją powitać — rzekł hrabia — ale nie dostrzegłem pańskiego ojca.

— Tam stoi, rozmawia o polityce w gronie wielkich znakomitości.

— Istotnie? — rzekł Monte Christo. — Nigdy bym się tego nie domyślił; w jaki sposób zasłynęli? Bo wie pan, można zasłynąć w bardzo wielu dziedzinach.

— Ten wysoki chudy pan to uczony; odkrył w okolicach Rzymu gatunek jaszczurki, która podobno ma o jeden krąg więcej w kręgosłupie niż inne; zaraz po powrocie zdał raport o tym odkryciu w Instytucie[1250]; długo podawano pod wątpliwość to odkrycie: ale szala przeważyła się na stronę chuderlaka. Kręgosłup narobił wielkiego hałasu w sferach naukowych, a nasz chuderlak awansował z kawalera Legii Honorowej na jej oficera.

— A cóż to za jeden, ten drugi, który ośmielił się ubrać w granatowy frak z zielonym haftem?

— To nie on sam wybrał taki ubiór, lecz Republika, która (jak pan wie) nie szczyciła się zbyt wielkim gustem artystycznym i chcąc przywdziać swoich uczonych, zwróciła się do Davida z prośbą o zaprojektowanie mundurów.

— Doprawdy? A zatem to członek Akademii?

— Od ośmiu dni zasiada w tym uczonym gronie.

— A czym się zasłużył, w czym się specjalizuje?

— Jego specjalność? Zdaje mi się, że wbija królikom w głowę szpilki, karmi kury marzanną[1251] i wpycha fiszbiny psom w rdzeń kręgowy.

— Zapewne nauka poczyniła ogromne postępy dzięki jego doświadczeniom?

— Nie, ale pisze bardzo dobrym stylem.

— To powinno — rzekł Monte Christo — niezmiernie pochlebić królikom, którym wbija szpilki w głowę, kurom, których kości maluje na czerwono, i psom, którym wpycha fiszbiny[1252].

Albert wybuchnął śmiechem.

— A ten pan? — zapytał hrabia.

— To znajomy hrabiego, który zdecydowanie przeciwstawił się, aby członkowie Izby Parów nosili uniformy; odniósł w tym wielki sukces; miał dość napięte stosunki z liberalną prasą, lecz oponował przeciw planom dworu i pojednał się z nią; mówi się, że ma zostać ambasadorem.

— Jakie ma prawo do parostwa?

— Napisał parę oper komicznych, nabył kilka akcji „Siècle'a"[1253] i przez pięć czy sześć lat głosował za rządem.

— Brawo, wicehrabio — rzekł, śmiejąc się Monte Christo. — Jest pan doskonałym przewodnikiem i informatorem; a teraz wyświadczy mi pan jedną przysługę?

— Jaką?

— Nie przedstawi mnie pan tym znakomitościom, a jeśli zechcą mi się przedstawić, to mnie pan ostrzeże.

[1250] *Instytut Francji* — fr. towarzystwo naukowe z siedzibą w Paryżu, w którego skład wchodzą m.in. Akademia Francuska, Akademia Nauk oraz Akademia Napisów i Literatury. [przypis edytorski]

[1251] *marzanna*, właśc. *marzana* — gatunek rośliny o drobnych kwiatach. [przypis edytorski]

[1252] *fiszbin* — giętka, rogowa substancja tworząca płyty na podniebieniu wielorybów, z której dawniej wytwarzano usztywniające pręty w gorsetach i stanikach, pręty parasoli, uchwyty pejczy itp. [przypis edytorski]

[1253] *„Siècle"* — fr. dziennik ukazujący się w l. 1835–1932. [przypis edytorski]

Wtem hrabia poczuł, że ktoś położył mu rękę na ramieniu; odwrócił się — był to Danglars.

— A, to pan, baronie?

— Dlaczego nazywa mnie pan baronem — odpowiedział Danglars. — Nie przywiązuję przecież wagi do tytułu, nie tak, jak pan, wicehrabio.

— Zapewne — odpowiedział Albert — zważywszy, iż gdybym nie był wicehrabią, byłbym niczym, a jeśliby pan utracił tytuł, wciąż pozostaje pan milionerem.

— Co według mnie za monarchii lipcowej[1254] jest najpiękniejszym tytułem — odpowiedział Danglars.

— Niestety — rzekł Monte Christo — tylko że milionerem nie można być do końca życia, tak jak baronem, parem Francji albo członkiem Akademii; najlepszym przykładem są milionerzy Frank i Pulmann we Frankfurcie, którzy właśnie zbankrutowali.

— Doprawdy? — rzekł, blednąc, Danglars.

— Tak, odebrałem właśnie dziś wieczorem tę wiadomość przez kuriera; miałem tam u nich tak coś koło miliona, ale ponieważ mnie wcześniej ostrzeżono, zażądałem wypłaty miesiąc temu.

— O mój Boże! — zawołał Danglars. — Toć ulokowałem u nich dwieście tysięcy franków!

— Cóż — rzekł Monte Christo. — Skreślisz pan kolejne dwieście tysięcy franków...

— Ćśś — szepnął Danglars. — Nie mówmy już o tym... — tu Danglars przysunął się do Monte Christa — a zwłaszcza przy panu Andrei Cavalcantim.

I bankier zwrócił się z uśmiechem w stronę młodego Cavalcantiego.

Albert tymczasem pozostawił hrabiego, aby porozmawiać z matką. Danglars również odszedł, by przywitać się z młodym Cavalcantim. Tym sposobem Monte Christo pozostał na chwilę sam.

Upał coraz bardziej dawał się we znaki. Lokaje krążyli po salonach z tacami pełnymi owoców i lodów.

Monte Christo starł chustką pot z twarzy; ale cofnął się, gdy lokaj podsunął mu tacę i nie wziął nic, aby się orzeźwić.

Pani de Morcerf nie odrywała wzroku od Monte Christa; widziała, jak zignorował poczęstunek na tacach; dostrzegła nawet sposób, w jaki się wycofał.

— Albercie — rzekła. — Czy zauważyłeś pewną rzecz?

— Cóż takiego, matko?

— Że hrabia nigdy nie dał się zaprosić do nas na obiad.

— No tak, ale był u mnie na śniadaniu, tym śniadaniem zapoczątkował swoje wejście do towarzystwa paryskiego.

— U ciebie, ale nie u nas — szepnęła Mercedes. — Od chwili, gdy tu wszedł, bacznie go obserwuję.

— I co?

— Do tej chwili niczym się nie poczęstował.

— Hrabia bardzo mało je i pije.

Mercedes uśmiechnęła się ze smutkiem.

— Podejdź do niego — rzekła. — Jak tylko będą przenosili tacę, nalegaj, by się poczęstował.

— Po co, mamo?

— Zrób mi tę przyjemność, Albercie — rzekła Mercedes.

Albert ucałował matkę w rękę i podszedł do hrabiego.

Lokaj przyniósł kolejną tacę pełną owoców i lodów. Widziała, jak Albert nalegał, podając nawet hrabiemu puchar z lodami, ale hrabia stanowczo odmówił.

Albert wrócił do matki. Hrabina była bardzo blada.

— A widzisz, nie mówiłam ci? Odmówił.

— Tak, ale dlaczegóż się tym martwisz?

[1254] *monarchia lipcowa* — okres panowania we Francji monarchii konstytucyjnej (1830–1848). [przypis edytorski]

— Wiesz, Albercie, kobiety mają swoje kaprysy. Ogromną przyjemność sprawiłoby mi, gdyby hrabia zjadł u nas cokolwiek, chociażby odrobinę granatu. Być może nie przyzwyczaił się jeszcze do francuskiej kuchni, albo ma swoje szczególne upodobania.

— Ależ skąd, we Włoszech widziałem, że jadł wszystko; może nie jest dysponowany.

— Poza tym — rzekła hrabina — mieszkał zawsze w gorących krajach, nie odczuwa upałów tak dotkliwie, jak my.

— Nie sądzę, bo właśnie skarżył się, że jest duszno i pytał, dlaczego nie podniesiono żaluzji, skoro otwarto już okna.

— O, w takim razie — rzekła Mercedes — mam sposób, jak wybadać, czy ta wstrzemięźliwość jest zamierzona.

I wyszła z salonu.

Po chwili otwarto żaluzje i za oknami przybranymi w powojnik i jaśmin ukazał się ogród, rozświetlony lampionami, i przygotowany do kolacji namiot.

Tancerze i ci, którzy grali w karty lub gawędzili, wykrzyknęli z radości, wciągając z rozkoszą w płuca powietrze, które napłynęło do środka.

W tejże chwili Mercedes powróciła do sali bledsza jeszcze niż przedtem, ale jej oczy wyrażały stanowczość, którą w pewnych okolicznościach potrafiła okazać.

Podeszła do grupki zgromadzonej wokół pana de Morcerfa.

— Mężu, nie zmuszaj tych panów, aby tu stali, może woleliby odetchnąć świeżym powietrzem w ogrodzie.

— Ach, pani hrabino — odezwał się szarmancko stary generał. — Sami do ogrodu nie pójdziemy.

— Dobrze — rzekła Mercedes — dam więc panom sama przykład.

Zwróciła się do Monte Christa i rzekła:

— Panie hrabio, proszę podać mi ramię.

Na te proste słowa hrabia niemal zachwiał się, po czym spojrzał na Mercedes. Chwila to była krótka jak błyskawica, a jednak hrabinie wydało się, że trwa wiek — tyle Monte Christo potrafił zawrzeć myśli w tym jednym spojrzeniu.

Podał ramię hrabinie, ona wsparła się na nim — albo raczej musnęła je tylko swoją małą rączką — i oboje zeszli, między krzewami rododendronów i kamelii, po schodach werandy do ogrodu.

Za nimi do ogrodu pospieszyło całe rozbawione i hałaśliwe towarzystwo, około dwudziestu osób.

70. CHLEB I SÓL

— W salonie było za gorąco, nieprawdaż, panie hrabio? — spytała.

— O tak. I miała pani hrabina doskonały pomysł, każąc otworzyć okna i żaluzje. — Mówiąc te słowa, hrabia poczuł, że ręka Mercedes drży.

— Domyśla się pan, gdzie pana prowadzę? — rzekła hrabina, nie odpowiadając na pytanie Monte Christo.

— Nie wiem, ale jak pani widzi, nie sprzeciwiam się.

— Do oranżerii, którą widać tam, na końcu alei.

Weszli do budynku pełnego wspaniałych owoców, które dojrzewały już od początku lipca w temperaturze tak utrzymywanej, aby mogła zastąpić ciepło słoneczne, którego tak często u nas brak.

Hrabina puściła ramię Monte Christa i poszła zerwać kiść winogron.

— Proszę, panie hrabio — rzekła z tak smutnym uśmiechem, że można było niemal ujrzeć, jak w oczach jej lśnią łzy — proszę skosztować; wiem wprawdzie, że winogrona we Francji nie mogą równać się z sycylijskimi i syryjskimi, ale spodziewam się, że będzie pan pobłażliwy dla naszego słabego północnego słońca.

Hrabia skłonił się i cofnął.

— Nie przyjmie ich pan? — spytała drżącym głosem.

— Pokornie proszę panią o wybaczenie — odpowiedział Monte Christo — ale nie jadam winogron.

Mercedes wypuściła z dłoni kiść i westchnęła.

Na sąsiednim krzaku rumieniła się prześliczna brzoskwinia, dojrzała jak i winogrona w sztucznym cieple oranżerii. Mercedes wyciągnęła rękę i zerwała aksamitny owoc.

— A więc proszę skosztować tego.

Lecz hrabia uczynił ten sam gest odmowy.

— Och, i tego nie? — rzekła z boleścią tłumiąc szloch. — Doprawdy, nie mam szczęścia!

Po tej scenie nastało długie milczenie. Brzoskwinia — podobnie jak kiść winogron upadła na piasek.

— Panie hrabio — odezwała się w końcu Mercedes, spoglądając na Monte Christo błagalnie — istnieje u Arabów wzruszający zwyczaj: ci, którzy podzielą się chlebem i solą pod jednym dachem, pozostaną na wieki przyjaciółmi.

— Znam ten zwyczaj — odpowiedział hrabia. — Ale jesteśmy we Francji, nie w Arabii. We Francji nie ma czegoś takiego jak wieczna przyjaźń, nikt też nie dzieli się chlebem i solą.

— Tak czy inaczej — rzekła hrabina, zaglądając z drżeniem w oczy hrabiemu i chwytając dłońmi konwulsyjnie rękę hrabiego — jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

Krew spłynęła hrabiemu do serca — zbladł śmiertelnie; a potem, gdy znów uderzyła mu do głowy, policzki ubarwił mu ciemny rumieniec. Oczy zamgliły się, jakby poraziło go nagle jakieś ostre światło.

— Oczywiście, że jesteśmy przyjaciółmi, pani hrabino — odparł — dlaczego mielibyśmy nimi nie być?

Jednak ton tej odpowiedzi daleko odbiegał od tego, jakiego życzyłaby sobie pani de Morcerf. Odwróciła się więc i westchnęła, a raczej jęknęła cicho.

— Dziękuję — rzekła.

I poszła dalej.

Tym sposobem obeszli w milczeniu cały ogród.

— Panie hrabio — odezwała się nagle hrabina po dziesięciu minutach ciszy — czy to prawda, że wiele pan widział, podróżował i wiele wycierpiał?

— Tak, wiele wycierpiałem.

— Ale teraz jest pan szczęśliwy?

— No tak — odpowiedział hrabia — nikt chyba nie słyszy, bym się skarżył.

— I to obecne szczęście nie ułagodziło panu myśli?

— Moje obecne szczęście równa się dawnemu nieszczęściu.

— Czy nie jesteś pan żonaty?

— Ja, żonaty? — zadrżał hrabia. — Któż mógł to pani powiedzieć?

— Nikt, ale widać pana w Operze z jakąś młodą i piękną osobą.

— To moja niewolnica, którą kupiłem w Konstantynopolu, księżniczka, którą adoptowałem i nie kocham poza tym nikogo.

— I tak sam pan żyje?

— Tak.

— A siostry, bracia, ojciec? Nie ma pan nikogo?

— Nie.

— Jakże można tak żyć, nie mając niczego, co łączyłoby pana z życiem?

— To nie moja wina. Na Malcie kochałem pewną dziewczynę, miałem się z nią ożenić, ale nastała wojna i oderwała mnie od niej jak fala. Myślałem, że kocha mnie tak bardzo, by poczekać, by zostać mi wierną aż do grobu. Jednak gdy wróciłem, okazało się, że wyszła za kogoś innego. To zwykła historia każdego, kto miał dwadzieścia lat. Serce moje było może wrażliwsze niż u innych, dlatego cierpiałem znacznie więcej; i to wszystko.

Hrabina zatrzymała się na chwilę, jakby zabrakło jej powietrza.

— Tak — rzekła — i ta miłość ciągle jest w pańskim sercu... kocha się przecież naprawdę tylko raz... Spotkał pan kiedyś jeszcze tę kobietę?

— Już nigdy nie wróciłem tam, gdzie mieszka.

— Na Maltę?

— Tak, na Maltę.

— I ona tam jeszcze mieszka?

— Zapewne.

— Przebaczył jej już pan?

— Jej tak.

— Ale tylko jej. Czyli wciąż nienawidzi pan tych, którzy ją panu odebrali?

— Dlaczego miałbym ich nienawidzić?

Hrabina stanęła naprzeciw Monte Christa; w ręku trzymała jeszcze kilka winogron.

— Niech pan spróbuje — poprosiła.

— Nigdy nie jadam winogron, pani hrabino — odpowiedział Monte Christo takim tonem, jakby o tym nie rozmawiali.

Hrabina w geście rozpaczy rzuciła winogrona w najbliższą kępę krzewów.

— Nieugięty! — szepnęła.

Monte Christo stał nieporuszony, jakby go ten wyrzut nie dotykał.

Wtem nadbiegł Albert.

— Kochana matko — rzekł. — Co za nieszczęście!

— Co takiego, co się stało? — zapytała hrabina, jakby wyrwana ze snu. — Nieszczęście? O tak, na pewno spotka nas wiele nieszczęść.

— Pan de Villefort przyjechał, po żonę i córkę.

— Dlaczego?

— Pani markiza de Saint-Méran przyjechała do Paryża z wiadomością, że pan de Saint-Méran umarł na pierwszej stacji, jak tylko wyjechali z Marsylii. Pani de Villefort była tak wesoła, że nie chciała ani tego przyjąć do wiadomości, ani w to uwierzyć. Ale panna Valentine domyśliła się wszystkiego po pierwszych słowach ojca, zemdlała jak rażona gromem.

— Kimże jest pan de Saint-Méran dla panny de Villefort? — zapytał hrabia.

— Dziadkiem po kądzieli. Jechał właśnie, by przyspieszyć małżeństwo Franza ze swoją wnuczką.

— Ach tak!

— A Franz się spóźnił. Dlaczegóż pan de Saint-Méran nie był także dziadkiem panny Danglars?

— Albercie, Albercie, co ty mówisz — skarciła go łagodnie matka. — Panie hrabio, on tak bardzo pana szanuje, proszę mu powiedzieć, że niestosownie się wyraził!

I postąpiła kilka kroków naprzód.

Monte Christo spojrzał na nią wzrokiem tak dziwnym, tak przepojonym rozmarzeniem i pełnym podziwu, że Mercedes zawróciła.

Wzięła go za rękę i ściskając jednocześnie dłoń syna, połączyła je, mówiąc:

— Jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie?

— O, nigdy nie ośmieliłbym się nazywać pani przyjacielem — odparł hrabia — ale w każdym razie jestem pani oddanym sługą.

Hrabina odeszła. Serce ściskało się jej tak mocno, że po chwili hrabia zobaczył, jak wyjmuje chusteczkę, by otrzeć oczy.

— Czy zaszło jakieś nieporozumienie między matką a panem? — spytał zdziwiony Albert.

— O, przeciwnie, przecież dopiero co powiedziała, że jesteśmy przyjaciółmi.

I udali się do salonu, który właśnie opuściła Valentine i państwo de Villefortowie.

71. PANI DE SAINT-MÉRAN

Tymczasem dom państwa Villefortów nawiedziła żałoba.

Obie panie, mimo długich i cierpliwych nalegań pani de Villefort, pojechały na bal same, bez prokuratora. Prokurator zamknął się jak zwykle w swoim gabinecie ze stosami papierów, których sam widok mógłby niejednego przestraszyć — a przecież te stosy zaledwie wystarczały, by zaspokoić jego niepohamowaną żądzę pracy.

Ale tym razem stosy akt stanowiły tylko pretekst — pan Villefort zamknął się nie, aby pracować, lecz aby móc rozmyślać. Zamknął drzwi, wydawszy rozkaz, by mu przeszkadzano tylko dla spraw wielkiej wagi, zasiadł w fotelu i zaczął jeszcze raz przywoływać w swojej pamięci wszystkie zdarzenia z ostatniego tygodnia, ożywiając smutek i gorycz wspomnień.

Zamiast więc zabrać się do stosu akt, otworzył szufladę biurka, nacisnął sprężynę skrytki i wyjął z niej plik swoich osobistych notatek — były to bardzo ważne dokumenty, sklasyfikowane i oznaczone nalepkami, na których Villefort wypisał szyfrem nazwiska ludzi, których uważał za swoich wrogów, czy to w sprawach politycznych i zawodowych, czy to w interesach, czy to w jego tajemniczych romansach.

Ich liczba była tak imponująca, że sam zadrżał o siebie; a przecież ci wrogowie, choć potężni i groźni, budzili w nim uśmiech — taki uśmiech, jak u podróżnego, co spogląda z najwyższego szczytu na szpiczaste turnie[1255], niedostępne ścieżki i głębokie przepaście; wszystko to miał już za sobą; osiągnął cel podróży, wspinając się długo i mozolnie.

Kiedy przywołał wszystkie te nazwiska, kiedy przeczytał raz jeszcze i starannie przestudiował dokumenty, potrząsnął głową.

— To niemożliwe — rzekł sam do siebie — żaden z moich nieprzyjaciół nie byłby tak cierpliwy i wyrozumiały, aby czekać aż do dziś i zniszczyć mnie tym sekretem. Czasem, jak mówi Hamlet[1256], najgłębiej ukryta sprawa wychodzi spod ziemi i zabłyśnie w powietrzu; ale zabłyśnie tak, jak błędny ognik, na chwilę, tylko po to, aby nas omamić. Być może Korsykańczyk opowiedział całą historię jakiemuś księdzu, który z kolei opowiedział ją hrabiemu de Monte Christo; ten zaś z ciekawości...

— Ale skąd ta ciekawość? — podjął po chwili namysłu. — Jaki ma w tym interes pan de Monte Christo, pan Zaccone, syn armatora z Malty, posiadacz kopalni srebra w Tesalii, który po raz pierwszy przybywa do Francji? Jaki ma w tym interes, aby wyświetlić ten straszny, tajemniczy wypadek, nieprzydatny nikomu? Z tych luźnych informacji, udzielonych mi przez księdza Busoniego — przyjaciela, i lorda Wilmore'a — wroga hrabiego, wynika rzecz jasna, niepodważalna i oczywista: nigdy nie zetknąłem się w żadnych okolicznościach z tym panem.

Lecz Villefort nie wierzył własnym słowom. Odkrycie tej tajemnicy nie było dla niego najstraszniejsze, bo mógł wszystkiemu zaprzeczyć, a przynajmniej się wytłumaczyć; mało trwożyło go to *Mane, Tekel, Fares*, co nagle zarysowało się na murze krwawymi literami; trwogę budziło w nim to, że wiedział, do kogo należała ręka, która je nakreśliła.

Gdy tak próbował się uspokoić i stworzyć sobie w myśli wizję życia spokojnego, ograniczonego do radości domowych — zamiast zwyczajowych ambitnych marzeń politycznych (aby nie budzić z dawna uśpionego nieprzyjaciela), na dziedzińcu rozległ się turkot powozu. Po chwili usłyszał, jak ktoś z trudem — widać w podeszłym wieku — wchodził po schodach, a w tle doszły go głośne łkania i lament służby, która czyni tak zawsze, gdy chce okazać współczucie państwu.

Otwarł zasuwę u drzwi i natychmiast, niezapowiedziana, weszła do środka starsza pani z szalem na ramionach i kapeluszem w ręku. Siwe włosy, zaczesane do tyłu, odsłaniały pożółkłe czoło; w kącikach oczu, tak spuchniętych od łez, że prawie niewidocznych, rysowały się głębokie zmarszczki.

— Ach, drogi zięciu, co za nieszczęście! — zawołała. — Ja tego nie przeżyję! O, nie przeżyję!

Osunęła się na najbliższe krzesło obok drzwi i rozpłakała się głośno.

Słudzy stojący na progu nie ośmielali się postąpić kroku, popatrywali na sługę pana Noirtiera, który słysząc taką wrzawę, przybiegł tu także i stanął pośród innych.

Villefort zerwał się i podbiegł do teściowej.

— Wielki Boże! — zapytał. — Co się stało, czemu mama tak desperuje[1257]? Czemu nie ma z mamą pana de Saint-Mérana?

— Mój mąż nie żyje — rzekła bez żadnych wstępów, martwo i drętwo.

Villefort cofnął się i uderzył w dłonie.

— Umarł! — wyjąkał. — Umarł, tak po prostu umarł?.... Nagle?...

— Tydzień temu wsiedliśmy po obiedzie do powozu. Pan de Saint-Méran już od kilku dni źle się czuł, ale myśl, że wkrótce ujrzy naszą drogą Valentine, dodawała mu sił, dlatego też pomimo bólu chciał koniecznie jechać do Paryża. Sześć mil za Marsylią zażył swoje pastylki, a potem zasnął tak głęboko, że było to aż nienaturalne. Wahałam się,

[1255] *turnia* — stromy, skalisty szczyt górski. [przypis edytorski]

[1256] *Hamlet* — tytułowy bohater dramatu Szekspira: młody królewicz duński, targany dylematami, dążący do zdemaskowania zbrodni popełnionej przez stryja, który zamordował jego ojca i zagarnął tron. [przypis edytorski]

[1257] *desperować (daw.)* — rozpaczać. [przypis edytorski]

czy go budzić, choć widziałam, że twarz mu poczerwieniała, a krew nadmiernie pulsuje w skroniach. Zapadła noc i nic już nie mogłam dostrzec; pozwoliłam mu spać; ale nagle rozległ się głuchy jęk i głowa gwałtownie opadła mu w tył. Zawołałam natychmiast lokaja, kazałam zatrzymać konie, zaczęłam cucić męża, ale było za późno: nie żył. I tak z trupem u boku przyjechałam aż do Aix.

Villefort osłupiały stanął i szeroko otworzył usta.

— A wezwała pani doktora?

— Natychmiast; ale jak powiedziałam, było za późno.

— Zapewne, ale jednak może rozpoznał chorobę, na jaką markiz umarł?

— Powiedział mi, że była to apopleksja.

— I co mama potem zrobiła?

— Pan de Saint-Méran mówił mi zawsze, że gdyby umarł poza Paryżem, chciałby być pochowany w grobie rodzinnym. Kazałam więc włożyć go do ołowianej trumny, a sama wyprzedziłam karawan.

— O, mój Boże! Biedna mama! Taki cios, a potem jeszcze tyle trudów, i to w tym wieku!

— Bóg dał mi sił, bym wytrwała aż do końca; zresztą markiz z pewnością zrobiłby dla mnie to samo. Od momentu, gdy zostawiłam jego zwłoki, odchodzę od zmysłów. Nie mogę już płakać, mówią wprawdzie, że w moim wieku coraz mniej się płacze, ale sądzę, że miarą cierpienia jest ilość wylanych łez. Gdzie jest moja Valentine? Bo jechaliśmy przecież do niej. Chciałabym ją natychmiast zobaczyć.

Villefort pomyślał, że powiedzieć w tej chwili, iż Valentine jest na balu, byłoby czymś okrutnym. Rzekł więc tylko, że Valentine wyszła z macochą i że natychmiast po nie pośle.

— Tylko natychmiast! Natychmiast, błagam — rzekła stara dama.

Villefort wziął pod rękę panią de Saint-Méran i odprowadził do jej pokojów.

— Niech mama teraz odpocznie — rzekł.

Słysząc te słowa, markiza podniosła głowę i spojrzała na Villeforta, który przypominał jej opłakiwaną córkę, która przetrwała dla niej w Valentine; tak wzruszyło ją słowo „mama", że zalała się łzami i padła na kolana przy krześle, wciskając głowę w poduszki.

Villefort oddał markizę pod opiekę służby; tymczasem stary Barrois wrócił poruszony do swojego pana; nic bowiem tak nie przeraża starców, jak to, gdy śmierć przestaje się na chwilę zajmować nimi wszystkimi, aby zakrzątnąć się wokół jednego z nich.

Gdy pani de Saint-Méran, klęcząc, modliła się żarliwie, Villefort pojechał do pani Morcerf po żonę i córkę.

Był tak blady, gdy stanął w drzwiach salonu, że Valentine przybiegła do niego, wołając:

— Ojcze! Czyżby stało się coś złego?

— Babcia przyjechała — rzekł pan de Villefort.

— A dziadek? — spytała, drżąc, dziewczyna.

Pan Villefort nie odpowiedział nic, podał tylko córce rękę.

Uczynił to w samą porę.

Valentine poczuła, że kręci się jej w głowie i zachwiała się. Pani de Villefort przybiegła na ratunek i pomogła mężowi zaprowadzić ją do powozu, mówiąc:

— To zdumiewające! Kto mógłby się spodziewać? To rzeczywiście niezwykłe!

I cała zrozpaczona rodzina opuściła dyskretnie salę, zostawiając jednak po sobie ślad smutku, który niby czarna krepa[1258] rozsnuł się nad gośćmi.

Przy schodach Valentine spotkała Barrois.

— Pan Noirtier chce się z panią dziś widzieć — szepnął.

— Powiedz, że przyjdę natychmiast, jak tylko wyjdę od babci — rzekła Valentine.

Wrażliwa dziewczyna rozumiała dobrze, że teraz potrzebna jest przede wszystkim pani de Saint-Méran.

Zastała ją w łóżku.

Nieme uściski, serca nabrzmiałe cierpieniem, przerywane westchnienia, gorące łzy — tak wyglądały pierwsze chwile spotkania; pani de Villefort, która trzymając pod rękę męża, okazywała, przynajmniej pozornie, głęboki szacunek biednej wdowie.

Po chwili nachyliła się do męża i szepnęła:

[1258] *krepa* — tkanina o lekko pomarszczonej fakturze, kojarzona z żałobą. [przypis edytorski]

— Jeśli pozwolisz, lepiej odejdę; mój widok chyba tylko jeszcze bardziej przygnębia twoją teściową.

Pani de Saint-Méran usłyszała te słowa.

— O dobrze, dobrze, niech odejdzie — rzekła do ucha Valentine — ale ty zostań, zostań!

Pani de Villefort wyszła i Valentine została sama przy łożu babki, bo prokurator opuścił pokój wraz z żoną.

Tymczasem Barrois udał się spiesznie do pana Noirtiera.

Starzec usłyszał wcześniej, że coś się dzieje i wysłał służącego na przeszpiegi.

Gdy Barrois wrócił, Noirtier skierował nań pytające, jakże żywe i bystre spojrzenie.

— Niestety, proszę pana — rzekł Barrois — wielkie nieszczęście! Przyjechała pani de Saint-Méran, a jej mąż umarł.

Panowie de Saint-Méran i Noirtier nigdy nie byli bliskimi przyjaciółmi; jednak łatwo zrozumieć, co czuje człowiek starszy na wieść o śmierci rówieśnika.

Noirtier opuścił głowę, jakby zasmucony lub zamyślony, po czym przymknął jedno oko.

— Chodzi o pannę Valentine? — rzekł Barrois.

Noirtier dał znak potwierdzenia.

— Jak pan wie, jest na balu, przyszła zresztą pożegnać się z panem, była bardzo wytwornie ubrana.

Noirtier przymknął znowu lewe oko.

— Więc chce się pan z nią widzieć?

— Tak.

— Zaraz ktoś po nią pojedzie do pani de Morcerf, będę na nią czekał i powiem, aby tu przyszła. Czy tego sobie pan życzy?

— Tak.

Barrois czekał na powrót Valentine i jak wróciła, powiedział jej o życzeniu dziadka.

Toteż Valentine, pożegnawszy się z panią de Saint-Méran, która poddając się zmęczeniu, zapadła w głęboki sen, udała się do pana Noirtiera.

Do łóżka pani de Saint-Méran przysunięto mały stoliczek z karafką oranżady, którą zwykła pijać, i małą szklaneczką.

Po czym, jak już wspominaliśmy, dziewczyna poszła do pana Noirtiera.

Ucałowała staruszka, który tak czule na nią spoglądał, że łzy zalśniły jej znów w oczach.

Starzec patrzył na nią znacząco.

— Tak, tak — rzekła Valentine. — Chcesz powiedzieć, że wciąż mam jeszcze dobrego dziadka.

Starzec przytaknął.

— O, gdyby nie to, mój Boże, co by się ze mną stało?

Wybiła pierwsza w nocy.

Barrois, mając ochotę iść spać, odezwał się, że po tak bolesnym dniu wszyscy potrzebują odpoczynku. Starzec nie chciał się przyznać, że najlepszym wypoczynkiem dla niego jest widok ukochanej wnuczki — pożegnał więc Valentine, bo rzeczywiście cierpienie ją znużyło.

Nazajutrz, gdy przyszła do babki, zastała ją jeszcze w łóżku. Gorączka nie ustała; co więcej, posępny blask jarzył się w oczach markizy i wydawało się, że nie panuje nad nerwowym podnieceniem.

— O Boże! Babuniu, czyżbyś cierpiała jeszcze bardziej? — zawołała Valentine, widząc jej wzburzenie.

— O nie, moje dziecko — rzekła pani de Saint-Méran. — Lepiej mi, czekałam tylko z niecierpliwością na ciebie. Chciałam cię posłać po ojca.

Valentine nie śmiała sprzeciwić się woli babki, choć nie znała przyczyny tego życzenia — i po chwili przyszedł pan de Villefort.

— Drogi panie — rzekła pani de Saint-Méran bez żadnych wstępów, jakby się lękała, że zabraknie jej czasu. — Pisałeś mi, że chcesz małą wydać za mąż?

— Tak — odpowiedział Villefort. — To już postanowione.

— Twój przyszły zięć to Franz d'Epinay? Syn generała d'Epinaya, który należał do naszego stronnictwa; zamordowano go parę dni przed powrotem uzurpatora z wyspy Elby?

— Tak, właśnie ten.

— Nie przeraża go związek z wnuczką jakobina?

— Na szczęście wszystkie nasze zatargi ustały — rzekł Villefort. — Pan d'Epinay podczas śmierci swego ojca był jeszcze dzieckiem, niemal nie zna mego ojca, więc zapewne powita go jeśli nie z radością, to przynajmniej nie z odrazą.

— To dobra partia?

— Pod wszystkimi względami.

— Trzeba więc — rzekła po kilku chwilach rozwagi pani de Saint-Méran — przyspieszyć ten związek, bo ja już niedługo umrę.

— Ależ, pani! Kochana babuniu! — zawołali jednocześnie pan de Villefort i Valentine.

— Wiem dobrze, co mówię — odpowiedziała markiza. — Trzeba się spieszyć, bo to biedne dziecię nie ma matki, niechże ją przynajmniej babka pobłogosławi. Tylko ja jej zostałam po biednej Renacie, o której tak szybko zapomniałeś.

— A pani — rzekł Villefort — zapomina, że to biedne dziecko po utracie matki potrzebowało opieki.

— Macocha nigdy nie zastąpi matki, mój panie; ale nie o to tu chodzi, zostawmy zmarłych w spokoju.

Słowa te wyrzekła tak obojętnym i martwym tonem, że można by sądzić, iż wkrótce straci przytomność.

— Jak sobie mama życzy — rzekł Villefort — tym bardziej że oboje zgadzamy się w tym względzie; skoro tylko pan d'Epinay przybędzie do Paryża...

— Kochana babuniu — rzekła Valentine. — Przecież mamy żałobę, nie możemy tak postąpić... chciałabyś, abym zawarła ten związek pod tak smutną wróżbą?

— Moje dziecię — odpowiedziała żywo babcia. — Nie wysuwaj tak banalnych przyczyn, które przeszkadzają tylko słabym w budowaniu znakomitej przyszłości. Ja także wychodziłam za mąż w momencie śmierci mojej matki, a wcale nie byłam nieszczęśliwa z tego powodu.

— Znowu te myśli o śmierci — wtrącił Villefort.

— Znowu!... Znowu!... Powtarzam wam, że niedługo umrę, słyszycie! Ale przed śmiercią chcę się spotkać z przyszłym mężem Valentine; chcę wymóc na nim przysięgę, że uczyni moją wnuczkę szczęśliwą; chcę w jego oczach wyczytać, czy spełni przysięgę; wreszcie, chcę go po prostu poznać! — I dodała przerażającym tonem: — Bo ja wstanę z grobu i policzę się z nim, jeśli nie będzie taki, jakim być powinien.

— Pani — rzekł Villefort — proszę odsunąć od siebie te okropne myśli, bo graniczą z obłędem. Gdy już kogoś położą do grobu, będzie tam spał wiecznie — nigdy nie powstanie.

— O tak, tak, babciu, uspokój się — prosiła Valentine.

Duch, Sen, Przeczucie

— A ja ci mówię, mój panie, że wcale nie jest tak, jak ci się zdaje. Tej nocy miałam koszmarne sny; zdawało mi się, jakby moja dusza unosiła się nad śpiącym ciałem; chciałam otworzyć oczy, ale mimo woli zamykały się; wszystko to, jestem pewna, wydaje się wam nieprawdopodobne — a jednak przez te zamknięte drzwi widziałam, jak z kąta, tam, gdzie są drzwi do gotowalni pani de Villefort, jak wynurzyła się stamtąd jakaś biała postać.

Valentine krzyknęła.

— Miała mama gorączkę — rzekł Villefort.

— Możesz nie wierzyć, jeśli tak ci się podoba, ale ja jestem pewna; widziałam białą postać, a Bóg, jakby w obawie, że podważę świadectwo jednego tylko z moich zmysłów, sprawił, że usłyszałam, jak poruszyła się szklanka na stoliku.

— Ach, droga babuniu, to był sen!

— To wcale nie był sen, bo w tym momencie wyciągnęłam rękę do dzwonka i cień natychmiast zniknął, a pokojówka weszła ze światłem. Duchy pokazują się tylko tym, którzy je mają zobaczyć; to był duch mojego męża. Jeżeli dusza mojego męża zeszła tu i wzywa mnie do siebie, dlaczego moja dusza nie miałaby tu powrócić, aby obronić swoją wnuczkę? Przecież między nami więź jest jeszcze bliższa.

— O, pani — rzekł Villefort, mimo woli wzruszony do głębi — Nie pozwól, aby zawładnęły tobą takie ponure myśli. Będzie mama mieszkać z nami, będzie mama jeszcze długo szczęśliwa, kochana, czczona i przy nas zapomnisz...

— O, nigdy, nigdy, nigdy! — rzekła markiza. — Kiedy powraca pan d'Epinay?

— Spodziewamy się go lada chwila.

— To dobrze. Jak tylko przyjedzie, dajcie mi znać, nie traćmy czasu. Chciałabym zobaczyć się jeszcze z notariuszem i upewnić, że Valentine otrzyma po nas cały majątek.

— O, babuniu — wyjąkała Valentine, całując gorącymi ustami rozpalone czoło babki. — Czy chcesz, abym umarła? O mój Boże! Masz gorączkę, trzeba wołać doktora, a nie notariusza.

— Po co doktora — rzekła, wzruszając ramionami. — Nic mi nie jest, pić mi się tylko chce i to wszystko.

— Czego się napijesz, babuniu?

— Jak zwykle, oranżady, szklanka stoi na stole, podaj mi, moja kochana.

Valentine nalała oranżady do szklanki, wzięła ją z niejakim lękiem — gdyż była to ta sama szklanka, którą miał poruszyć cień — i podała babce.

Markiza wypiła duszkiem wszystko.

Następnie odwróciła się na drugi bok, powtarzając:

— Notariusza, notariusza!

Pan de Villefort wyszedł, a Valentine usiadła przy łóżku babki.

Biedactwo chyba bardziej potrzebowało lekarza niż jej babka. Policzki płonęły jej od wypieków, oddech miała krótki i urywany, a puls gwałtowny i szybki jak w gorączce.

Biedne dziewczę rozmyślało, jaka rozpacz ogarnie Maksymiliana, kiedy dowie się, że pani de Saint-Méran zamiast pomóc mu, działa tak, jakby uważała go za wroga, nie znając go zresztą wcale.

Valentine zamierzała powiedzieć wszystko babce i z pewnością powiedziałaby bez wahania, gdyby Maksymilian Morrel nazywał się Albert de Morcerf albo Raul de Château-Renaud; Morrel pochodził z ludu, a Valentine wiedziała, jaką pogardę żywi markiza de Saint-Méran dla tych, którzy nie mogli się poszczycić szlacheckim pochodzeniem.

Spychała więc tajemnicę swojej miłości na dno serca, wiedziała bowiem, że gdyby chciała ją wyjawić, niczemu by to nie służyło, a gdyby ojciec i macocha dowiedzieli się o tym, wszystko byłoby stracone.

Tak upłynęły dwie godziny.

Pani de Saint-Méran rzucała się niespokojnie w gorączkowym śnie.

Wreszcie lokaj dał znać, że przyszedł notariusz.

Chociaż uczynił to szeptem, pani de Saint-Méran uniosła się natychmiast na poduszce.

— Notariusz? — rzekła. — Niech zaraz wejdzie.

Notariusz stał już przy drzwiach — i wszedł.

— Valentine, odejdź — rzekła pani de Saint-Méran — i zostaw mnie samą z tym panem.

Wnuczka pocałowała babkę w czoło i odeszła, trzymając chusteczkę przy oczach.

W drzwiach spotkała służącego, który zawiadomił ją, że w salonie czeka lekarz.

Valentine zbiegła jak najszybciej po schodach. Lekarz ów był przyjacielem rodziny, a jednocześnie jednym z najznakomitszych lekarzy epoki; bardzo lubił Valentine — widział, jak przyszła na świat.

Miał córkę w tym samym wieku, co panna de Villefort, ale matka jej cierpiała na suchoty, żył więc ciągle w lęku o swe ukochane dziecko.

— Ach, panie d'Avrigny, czekaliśmy na pana z niecierpliwością. Ale przede wszystkim, jakże się mają Madeleine i Antoinette?

Madeleine była córką pana d'Avrigny'ego, Antoinette — siostrzenicą. Pan d'Avrigny uśmiechnął się smutno.

— Antoinette ma się bardzo dobrze — rzekł — Madeleine nieźle. Ale czemu po mnie posłałaś, moja kochana? Chyba ani twój ojciec, ani pani de Villefort nie są chorzy? A ty, moja droga, choć widzę, że dalej masz kłopoty z nerwami, też chyba mnie nie potrzebujesz? Może tylko ci doradzę, żebyś nie popuszczała wodzy fantazji.

Valentine spąsowiała. Pan d'Avrigny miał istny dar jasnowidzenia; był to jeden z tych lekarzy, którzy pomagają ciału poprzez kurowanie duszy.

— To nie ja potrzebuję teraz twojej pomocy, ale moja babka, panie doktorze. Nie wie pan, jakie spotkało nas nieszczęście?

— Nie wiem o niczym — rzekł pan d'Avrigny.

— Niestety! — rzekła Valentine, tłumiąc szloch. — Mój dziadek umarł.

— Pan de Saint-Méran?

— Tak. Na apopleksję.

— Na apopleksję? — powtórzył doktor.

— Tak jest i moja biedna babka trwa ciągle w tym przekonaniu, że jej mąż, którego nigdy nie opuszczała, wzywa ją do siebie, że wkrótce się z nim połączy. O, drogi panie doktorze, proszę wyleczyć babcię!

— Gdzież jest?

— W swoim pokoju, z notariuszem.

— Co dolega pani de Saint-Méran?

— Jest jakoś dziwnie rozdrażniona, śpi niespokojnie i ciężko; dziś rano mówiła, że miała dziwny sen: jej dusza unosiła się nad uśpionym ciałem — to na pewno majaki wynikające z gorączki; jest przekonana, że widziała w swoim pokoju jakąś zjawę, a nawet słyszała, jak zjawa trącała szklankę.

— To dziwne. Nie wiedziałem, że pani de Saint-Méran miewa takie przywidzenia.

— Pierwszy raz — rzekła Valentine — widziałam ją w tym stanie. Dziś rano przeraziła mnie niezmiernie, myślałam, że pomieszało się jej w głowie; wie pan, że mój ojciec ma bardzo logiczny umysł, a mimo to też był pod wrażeniem.

— Zobaczymy. To, co mówisz, jest naprawdę osobliwe.

Notariusz wyszedł i powiedziano Valentine, że babka została sama.

— Niech pan idzie na górę, proszę — rzekła do lekarza.

— A pani?

— Nie ośmielę się. Nie pozwoliła mi posyłać po pana; poza tym sam pan widzi, że nie umiem ukryć zdenerwowania, mam gorączkę, jestem znużona; przejdę się po ogrodzie, to mnie uspokoi.

Lekarz uścisnął dłoń Valentine i udał się do pani de Saint-Méran. Tymczasem dziewczyna zeszła do ogrodu.

Nie trzeba przypominać, jaką część ogrodu upodobała sobie Valentine. Zazwyczaj spacerowała chwilę wśród klombów przy domu, po czym zrywała różę, zatykała ją za pasek lub wpinała we włosy i szła cienistą alejką do ławki — i do bramy.

I teraz Valentine przeszła się tam i z powrotem między kwiatami, ale żadnego nie zerwała. Choć nie miała czasu ubrać się na czarno, w sercu nosiła żałobę i nie chciała przystrajać się niczym. Wreszcie weszła w alejkę.

Gdy zagłębiała się coraz dalej, wydało się jej, że ktoś powtarza jej imię.

Zdziwiona stanęła.

Wtedy usłyszała wyraźniej ów głos — i rozpoznała Maksymiliana.

72. OBIETNICA

Był to rzeczywiście Maksymilian. Od wczoraj przechodził prawdziwe katusze. Odgadł instynktem właściwym jedynie osobom zakochanym i matkom, że powrót pani de Saint-Méran i śmierć markiza będą miały wpływ na rodzinę Villefortów i na los jego miłości do Valentine.

Jak będziemy mogli się przekonać, przeczucie go nie myliło i niepokój, który — drżącego i wylęknionego — przywiódł go do bramy pod kasztanami, nie był bezpodstawny.

Dziewczyna szybko podbiegła do bramy.

— Ty tutaj? Nie spodziewałam się ciebie o tej porze! — zawołała.

— Tak, kochana — odpowiedział Morrel. — Przyszedłem po złe wiadomości i takie sam przynoszę.

— Ach! A więc nasz dom jest przeklęty! Mów, Maksymilianie, choć po prawdzie dość już nieszczęść na nas spadło.

— Valentine — rzekł Morrel, usiłując na tyle opanować wzruszenie, by móc mówić spokojnie. — Proszę, posłuchaj tego, co mam ci do powiedzenia, bo jest to niesłychanie ważne. Na kiedy zaplanowano twój ślub?

— Nie będę nic przed tobą ukrywać, Maksymilianie — odpowiedziała dziewczyna. — Dziś rano była o tym mowa i babcia, na której poparcie tak bardzo liczyłam, nie tylko popiera ten ślub, lecz nagli do niego, tak że w tym momencie jedynie całą sprawę odwleka nieobecność pana d'Epinaya. Zaledwie jednak wróci, intercyza zostanie podpisana.

Maksymilian ciężko westchnął i z głębokim smutkiem spojrzał na dziewczynę.

— Niestety! — rzekł stłumionym głosem. — To straszne uczucie słyszeć, jak ukochana kobieta mówi tak spokojnie: „Wyznaczono już termin twojej męki: zacznie się już za kilka godzin. Lecz cóż robić, tak widocznie być musi, nic na to nie mogę poradzić". Dobrze więc, skoro tak mówisz, skoro intercyza ma być podpisana natychmiast po powrocie Franza, będziesz jego już jutro, ponieważ dziś właśnie wrócił do Paryża.

Valentine krzyknęła.

— Przed godziną byłem u hrabiego de Monte Christo — rzekł Morrel. — Rozmawialiśmy, on o nieszczęściu, który wasz dom spotkał, ja o twoim smutku, gdy wtem na dziedziniec zajeżdża powóz. Słuchaj... nie wierzyłem dotąd w przeczucia, ale chyba muszę zmienić zdanie. Turkot powozu napełnił moje serce dziwnym drżeniem. Usłyszałem wkrótce czyjeś kroki na schodach i odgłos tych kroków przejął mnie większym lękiem niż ten, który zdjął Don Juana, gdy posłyszał dudniący krok Komandora[1259]. Na koniec otwierają się drzwi. Najpierw wchodzi Albert de Morcerf — i już miałem uwierzyć, że się pomyliłem, że zwiodły mnie zmysły — gdy za nim wkracza młodzieniec, którego hrabia powitał tak: „A, baron Franz d'Epinay!". Przywołałem całą moją odwagę i siłę, by się opanować. Nie powiem ci, czy zbladłem, czy drżałem, wiem na pewno, że się uśmiechałem. Ale gdy pięć minut później wyszedłem stamtąd, nie mogąc powtórzyć ani słowa z rozmowy, która przez owe pięć minut się toczyła — byłem jak martwy.

Dziewczyna spuściła przygnębiona głowę.

— Posłuchaj — rzekł Morrel. — Nie po raz pierwszy zastanawiasz się nad naszą sytuacją. Jest ona trudna, poważna, a teraz nadszedł moment ostatecznej próby. Nie czas oddawać się próżnemu smutkowi. Valentine, powiedz, czy masz siłę i chęć do walki wbrew losowi? Bo właśnie o to przyszedłem cię poprosić.

Dziewczyna zadrżała i przerażona spojrzała na Morrela. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby sprzeciwić się woli ojca, babki i wystąpić przeciw całej rodzinie.

— Co ty mówisz, Maksymilianie? — zapytała. — I co nazywasz walką? Nazwij to raczej świętokradztwem. Jak mogłabym sprzeciwić się rozkazom ojca i woli umierającej!

Morrel uczynił nieokreślony gest.

— Twoje serce jest nazbyt szlachetne, drogi Maksymilianie, abyś mnie nie rozumiał. I rozumiesz mnie doskonale, bo milczysz i nie znajdujesz żadnych argumentów. Ja miałabym walczyć! Niech mnie Bóg broni! Nie, nie... Nigdy się nie odważę sprawić przykrości ojcu i zamącić spokoju ostatnich chwil babki.

— Masz pani zupełną słuszność — odparł z flegmą Morrel.

— Jakim tonem to mówisz! — zawołała zraniona do żywego.

— Tonem człowieka, który cię uwielbia, pani — odpowiedział Maksymilian.

— Pani! — rozzłościła się Valentine. — Nazywa mnie pani! Egoista! Widzi moją rozpacz i udaje, że nie rozumie!

— Mylisz się, pani; rozumiem cię doskonale. Nie chcesz burzyć spokoju pana de Villefort, nie chcesz sprzeciwiać się markizie i jutro podpiszesz dokument, który jest podstawą twojego małżeństwa.

— A czy mam wybór?

— Nie zwracaj się, pani, z tym pytaniem do mnie, bo jestem złym sędzią i zaślepia mnie mój egoizm — w głuchym głosie Morrela, w jego zaciśniętych pięściach dawało się wyczuć narastającą rozpacz.

[1259] *Komandor* — postać z legendy o Don Juanie, sewilskim uwodzicielu. Wg jednej z wersji (podanie doczekało się wielu interpretacji tak literackich, jak i operowych) Komandor zginął z ręki Don Juana, w pojedynku o honor córki, Donny Anny. Zmarłemu wystawiono posąg, potem dla żartu wezwany przez Don Juana na ucztę. Zaproszona figura przybyła i zabrała uwodziciela do piekła. [przypis edytorski]

— A co byś mi zaproponował, gdybyś sądził, że jestem skłonna przyjąć twoją propozycję? No, proszę, odpowiedz. Nie dość powiedzieć: źle robisz. Trzeba dać radę.

— Valentine — odpowiedział Morrel, odrywając poluzowaną już deskę. — Podaj mi rękę na dowód, że wybaczasz mi mój gniew. Tracę już rozum, widzisz, od godziny najbardziej niedorzeczne myśli nie przestają krążyć mi po głowie. Ach, bo jeśli odrzucisz moją radę...

Dziewczyna spojrzała w niebo i westchnęła.

— Jestem wolny — podjął Maksymilian — i na tyle zamożny, by wystarczyło dla nas obojga. Przysięgam, że nie odważę się nawet pocałować cię w czoło, nim nie zostaniesz moją żoną.

— Przerażasz mnie! — rzekła dziewczyna.

— Chodź ze mną, zaprowadzę cię do mojej siostry, która godna jest stać się twoją siostrą. Wsiądziemy na jakiś statek do Algieru, Anglii albo do Ameryki. Lub jeśli wolisz, schronimy się gdzieś na prowincji i przeczekamy tam do chwili, gdy nasi przyjaciele zdołają pokonać opór twojej rodziny. Wtedy wrócimy do Paryża.

Valentine spuściła głowę.

— Tego się właśnie obawiałam, Maksymilianie, twoja rada jest szalona i byłabym bardziej szalona niż ty, gdybym ci w tym momencie nie przerwała jednym słowem: niemożliwe, Maksymilianie! Niemożliwe.

— Dobrze więc, powtórzę tylko raz jeszcze, masz rację. To ja jestem szalony, a ty mi pokazujesz, że namiętność oślepia najbardziej przytomne umysły. Dziękuję ci za twoje beznamiętne rozumowanie. Niech więc tak będzie, postanowione, jutro zostajesz żoną pana Franza d'Epinaya. Bynajmniej nie przez podpisanie intercyzy, czysto formalnego papierka, który wymyślono, by móc jakoś zakończyć komedię w teatrze, lecz z twojej własnej woli.

— Przywodzisz mnie do rozpaczy — zawołała Valentine. — Obracasz nóż w otwartej ranie! Powiedz, co zrobiłbyś, gdyby to twoja siostra była na moim miejscu i słuchała takiej rady, jaką ty mi dajesz?

— Pani — odpowiedział Morrel z gorzkim uśmiechem. — Jak sama powiedziałaś, jestem egoistą i jako egoista, nie zastanawiam się, co zrobiliby inni w mojej sytuacji, myślę tylko, co sam mam zrobić. Myślę, że znam cię od roku, że od kiedy cię poznałem, uzależniłem moje szczęście od twojej miłości, że nadszedł dzień, w którym powiedziałaś mi, że mnie kochasz, że tego dnia uzależniłem moje szczęście i moją przyszłość od małżeństwa z tobą. To było moim życiem. Więcej już nic nie myślę. Mówię sobie tylko, że szczęście się odwróciło, że wydawało mi się, że mogę zdobyć niebo i przegrałem. Zdarza się przecież każdego dnia, że jakiś gracz przegrywa nie tylko to co ma, ale i to, czego nie ma.

Morrel wypowiedział te słowa z absolutnym spokojem. Valentine spojrzała na niego badawczo, dbając jednak, by wzrok Morrela nie przeniknął w głąb jej serca, gdzie panował coraz większy zamęt.

— Co zamierzasz? — zapytała.

— Będę miał zaszczyt pożegnać cię, pani, biorąc na świadka Boga, co słyszy moje słowa i czyta w moim sercu, że życzę ci spokojnego, szczęśliwego i wypełnionego życia, takiego, aby nie było w nim miejsca na wspomnienie o mnie.

— Och! — wyszeptała.

— Żegnaj, Valentine, żegnaj — dodał Morrel, kłaniając się dziewczynie.

— Dokąd idziesz? — zawołała, wyciągając rękę przez kratę i chwytając Maksymiliana za suknię. Zrozumiała dobrze, że spokój jej ukochanego jest pozorny. — Dokąd idziesz?

Młodzieniec uśmiechnął się smutno.

— O powiedz, błagam! — zawołała Valentine.

— Czyżbyś, Valentine, zmieniła postanowienie?

— Biedaku, wiesz dobrze, że nie mogę!

— A więc żegnaj, Valentine!

Valentine wstrząsnęła kratą z siłą, o jaką nikt by jej nie posądził, przecisnęła ręce przez kratę i załamując je, zawołała:

— Co zamyślasz zrobić? Muszę to wiedzieć! Gdzie idziesz?

— O, uspokój się — rzekł Maksymilian, zatrzymując się kilka kroków od kraty. — Nie mam zamiaru zrzucić na nikogo odpowiedzialności za to cierpienie, które zesłał na mnie los. Może inny zagroziłby ci, że pójdzie do Franza d'Epinaya i wyzwie go na pojedynek; ale według mnie byłoby to szaleństwo. Cóż w tej sprawie zawinił pan Franz? Dziś rano widział mnie pierwszy raz w życiu i może już zapomniał o mnie, nie wiedział nawet o tym, że istnieję, gdy się toczyły układy między waszymi rodzicami w sprawie waszego małżeństwa.

— Do kogóż więc masz urazę? Do mnie?

— Do ciebie, Valentine? Kobieta, którą kocham, jest dla mnie święta.

— A więc, sam sobie to chcesz wyrzucać!... Nieszczęsny!... — westchnęła.

— Przecież to ja jestem winny, nieprawdaż?

— Maksymilianie, Maksymilianie! — zawołała Valentine. — Podejdź tu jeszcze, proszę!

Maksymilian podszedł, znów z łagodnym uśmiechem i gdyby nie jego bladość, każdy by pomyślał, że jest zupełnie spokojny.

Miłość niespełniona, Rozczarowanie, Samobójstwo, Kochanek

— Posłuchaj mnie, moja droga, ubóstwiana Valentine! — rzekł swoim dźwięcznym i poważnym głosem. — Ludzie tacy jak my, którzy nigdy nie dopuścili się myśli, za którą mogliby rumienić się przed światem, przed rodzicami i Bogiem — tacy ludzie mogą czytać w sercu wzajemnie myśli innych, jak w otwartej księdze. Nigdy nie była to dla mnie egzaltowana miłostka, nie jestem melancholijnym bohaterem romansu; bez zbędnych słów, bez żadnych zapewnień i przysiąg, złożyłem życie moje w twoje ręce. Opuszczasz mnie i rzeczywiście masz rację, powiedziałem ci to już i jeszcze raz powtarzam, kiedy nie będzie cię już przy mnie — życie straci dla mnie sens. Z chwilą, gdy się oddalasz, zostaję na świecie sam. Siostra jest szczęśliwa z mężem, jej mąż jest tylko moim szwagrem, to jest łączą mnie z nim tylko konwenanse społeczne. Nikomu nie jestem już potrzebny, moje życie staje się bezużyteczne. Oto, co zrobię: poczekam aż do ostatniej chwili, póki nie wyjdziesz za mąż, bo nie chcę stracić choćby cienia owej nieoczekiwanej szansy, którą czasem trzyma dla nas w zanadrzu przypadek — przecież pan d'Epinay może na przykład umrzeć, być może w chwili, gdy do niego podejdziesz, piorun roztrzaska ołtarz; skazanemu na śmierć wszystko wydaje się możliwe. Będę czekał, aż do ostatniej chwili, a kiedy, będzie po fakcie i nie będę już miał żadnej nadziei, napiszę poufny list do szwagra i drugi do prefekta policji, wyjaśniając mój zamiar, a potem gdzieś w jakimś lesie, nad rowem lub nad rzeką palnę sobie w łeb, jakem syn najuczciwszego człowieka, jakiego kiedykolwiek wydała Francja.

Konwulsyjne drżenie owładnęło Valentine; puściła kratę, ręce jej opadły bezwładnie, po licach potoczyły się dwie wielkie łzy.

Młodzieniec stał przed nią ponury i zdecydowany.

— O, litości, litości — wyszeptała — nie zrobisz tego, prawda?

— Zrobię, na mój honor. Zresztą cóż cię to może obchodzić? Ty wypełnisz swój obowiązek i będziesz miała czyste sumienie.

Valentine padła na kolana, przyciskając ręce do piersi, jakby miało jej pęknąć serce.

— O, Maksymilianie, błagam cię, uczyń jak ja, żyj z tym cierpieniem, a może kiedyś jeszcze się połączymy.

— Bądź zdrowa — powtórzył Morrel.

— O mój Boże — rzekła Valentine, podnosząc obie ręce do nieba — widzisz, żem uczyniła wszystko, co powinnam jako posłuszna córka; ani mych próśb, ani łez, ani błagań nie posłuchał. A więc — mówiła dalej, ocierając łzy i opanowując się — nie chcę umierać z wyrzutów sumienia, wolę umrzeć ze wstydu. Ty będziesz żył, Maksymilianie, a ja będę tylko twoja. Powiedz, rozkazuj, jestem gotowa.

Morrel, który już był odszedł o kilka kroków, zawrócił — i blady z radości, z sercem rozszalałym od szczęścia wyciągnął przez kratę ręce do Valentine.

— Valentine! — zawołał. — Najdroższa! Nie tak powinnaś do mnie mówić; albo pozwól mi po prostu umrzeć. Na cóż byś sobie miała gwałt zadawać, jeśli mnie kochasz, tak jak ja cię kocham? Czyżbyś chciała, abym żył tylko z ludzkiego współczucia? Ale w takim razie wolę umrzeć.

— Ale właściwie — szepnęła Valentine — któż mnie tu kocha na świecie? On. Kto mnie pociesza w smutku? On. W kim jest cała moja nadzieja? W nim. Na kim spoczął

mój wzrok obłąkany, przy kim moje poranione serce znajduje ulgę? Zawsze chodzi o niego, tylko o niego. O, jaka jestem niewdzięczna — rozpłakała się Valentine — porzucę wszystkich, a przecież zapomniałam o moim kochanym dziadku!

— O nie, nie opuścisz go. Mówiłaś, że pan Noirtier jakby okazywał mi sympatię. A więc, nim uciekniesz z domu, powiesz mu wszystko, zgoda dziadka będzie cię tłumaczyć przed Bogiem; a potem, gdy się pobierzemy, zamieszka u nas i zamiast jednego wnuka, będzie nas miał dwoje. O, przysięgam ci, że nie rozpacz nas czeka, ale szczęście!

— No, popatrz tylko, jak potężną masz nade mną władzę, już prawie wierzę w to, co mówisz, chociaż to, co mówisz, jest szaleństwem, bo ojciec przeklnie mnie, ja go znam; ma niezłomne serce, nigdy mi nie przebaczy. I posłuchaj, Maksymilianie: jeśli jakimkolwiek sposobem uda mi się opóźnić to małżeństwo, poczekasz?

— Tak, przysięgam ci, jak ty mnie przysięgniesz, że to okropne małżeństwo nigdy nie zostanie zawarte!

— Przysięgam ci, Maksymilianie, na to, co mam najświętszego: na pamięć mojej matki.

— A więc zaczekajmy.

— Tak, zaczekajmy — odrzekła Valentine, lżej przy tym słowie oddychając. — Ileż to okazji może nam się nadarzyć, które mogą nas, nieszczęśliwych, ocalić.

— Ufam ci, cokolwiek zrobisz, będzie słuszne; ale jeżeli nie wysłuchają twych próśb, jeśli twój ojciec albo markiza de Saint-Méran zażądają, aby pan d'Epinay przyjechał jutro, aby podpisać intercyzę...

— Wtedy masz już moje słowo.

— Nie podpiszesz...

— Tylko wymknę się do ciebie i uciekniemy. Ale nie kuśmy więcej Boga, nie spotykajmy się przez jakiś czas: to cud albo zrządzenie Opatrzności, że dotąd nikt nas nie przyuważył. Gdybyśmy zostali przyłapani, gdyby się ktoś dowiedział, że się tu widujemy, nasze nadzieje ległyby w gruzach.

— Masz rację, Valentine, ale jakim sposobem się dowiem?...

— Od notariusza, pana Deschamps.

— Tak, znam go.

— I ode mnie. Napiszę do ciebie, bądź pewien. O Boże, Maksymilianie, czuję do tego małżeństwa taki sam wstręt, jak ty!

— Dobrze, dobrze, dzięki ci, kochana moja Valentine! A więc powiedzieliśmy sobie już wszystko; skoro tylko wyznaczysz mi godzinę, przybiegnę tu, wespniesz się na mur i złapię cię w ramiona, powóz będzie czekał przy bramie ogrodu, wsiądziemy, odwiozę cię do siostry. Tam, jeśli będziesz tak chciała, możemy ukryć się przed światem albo ujawnimy się publicznie, pewni naszej siły i zamiarów; i nie pozwolimy, aby nas zarżnięto jak jagnięta, które zamiast bronić się, tylko beczą.

— Niech tak będzie — rzekła Valentine. — Teraz i ja ci powiem, Maksymilianie: wszystko, co zrobisz, będzie dobre.

Valentine zbliżyła usta do kraty i w wonnym jej tchnieniu słowa doleciały ust Morrela, który przycisnął wargi do zimnej, nieugiętej zapory.

— Do widzenia — rzekła, niwecząc nagle tę chwilę szczęścia.

— Więc napiszesz?

— Napiszę.

— Dziękuję ci, ukochana żono, do widzenia.

Delikatny odgłos niewinnego lekkiego pocałunku — i Valentine pobiegła z powrotem lipową aleją.

Morrel słyszał jeszcze, jak szeleściła jej suknia, zawadzając o pnie grabów i jak skrzypiały na piasku jej trzewiki. Potem podniósł oczy do nieba, uśmiechając się radośnie i dziękując Bogu, że Valentine ofiarowała mu taką miłość, i sam odszedł.

Wrócił do domu, cały wieczór spędził na oczekiwaniu, czekał cały następny dzień — lecz nie odebrał żadnych wiadomości. Trzeciego dnia, około dziesiątej rano, gdy już wychodził do pana Deschamps — notariusza, odebrał przez pocztę mały bilecik, który, jak się domyślił, był od Valentine, chociaż nigdy nie widział jej pisma.

Zawierał treść następującą:

Ani łzy, ani prośby, ani błagania nie pomogły. Wczoraj spędziłam dwie godziny w kościele Saint-Philippe du Roule i przez te dwie godziny modliłam się gorąco do Boga. Bóg jednak jest nieczuły, podobnie jak i ludzie: podpisanie intercyzy ma nastąpić dziś o dziewiątej wieczór.

Jedno mam słowo, a moje serce się nigdy nie odmienia: dałam Ci to słowo i ofiarowałam serce.

Dziś wieczór, kwadrans przed dziewiątą będę przy bramie.

Twoja żona

Valentine de Villefort

PS Biedna moja babcia ma się coraz gorzej, cierpienia jej wczoraj przeszły w malignę[1260]; dziś maligna ta zbliża się już do szaleństwa.

Będziesz mnie tak kochał, abym zapomniała, że opuściłam ciężko chorą, prawda?

Zdaje mi się, że przed dziadkiem trzymają w tajemnicy, że intercyza ma być podpisana dziś w wieczór.

Morrel nie poprzestał na wiadomościach od Valentine; poszedł do notariusza, który potwierdził, że podpisanie intercyzy wyznaczono na dziewiątą wieczór.

Następnie udał się do hrabiego de Monte Christo.

I tam dowiedział się najwięcej. Franz bowiem sam doniósł hrabiemu o tym uroczystym wydarzeniu.

Pani de Villefort także ze swej strony napisała do hrabiego, aby usprawiedliwić się, że go nie może zaprosić, albowiem śmierć pana de Saint-Mérana oraz stan, w jakim znajduje się wdowa po nim zebraniu temu nadają raczej atmosferę posępną, która mogłaby nie najlepiej wpłynąć na hrabiego; a prokuratorowa życzy mu tylko pomyślności i radości w życiu.

W wilię[1261] tego dnia Franz został przedstawiony pani de Saint-Méran, która wstała z łóżka tylko na chwilę, aby go poznać, i zaraz położyła się z powrotem.

Łatwo pojmujemy, jak poruszony był Morrel; poruszenie to nie mogło ujść bystremu oku hrabiego, toteż hrabia okazywał młodemu człowiekowi więcej sympatii niż kiedykolwiek i to do tego stopnia, że Maksymilian omal mu wszystkiego nie wyjawił.

Ale przypomniał sobie uroczystą obietnicę, jaką dał kiedyś w tej sprawie Valentine i pozostawił tajemnicę głęboko na dnie serca.

W ciągu tego dnia przeczytał ze dwadzieścia razy list od Valentine.

Pierwszy raz otrzymał od niej list i to w takich okolicznościach! Za każdą lekturą Maksymilian ponawiał sam przed sobą przysięgę, że uczyni Valentine szczęśliwą.

Dziewczyna, która podejmuje się tak odważnego kroku, zdobywa przez to władzę bez granic; a ten, dla którego dokonała podobnego poświęcenia, powinien jej być oddany bezgranicznie! Powinna być dla kochanka przedmiotem niemal boskiej czci. To zarazem królowa i kobieta — nie dość jednej duszy w człowieku, aby jej dziękować należycie i kochać. Z wielkim wzruszeniem myślał Morrel o chwili, gdy Valentine przyjdzie do niego i powie:

— Jestem twoja, Maksymilianie.

Przygotował już całą ucieczkę.

Dwie drabinki ukryte były w lucernie, czekał już także gotowy kabriolet, którym Maksymilian miał sam powozić. Nie chciał brać ze sobą ani sług, ani światła. Planował zapalić latarnie później, na zakręcie najbliższej ulicy, aby przez przesadną ostrożność nie wpaść w ręce policji.

Od czasu do czasu przejmował go nerwowy dreszcz.

Wyobrażał już sobie tę chwilę, gdy będzie pomagał Valentine schodzić z muru. Poczuje ją w swoich ramionach, drżącą i ufną — ją, której dotąd mógł tylko czasem uścisnąć dłoń lub ucałować końce paluszków.

[1260] *maligna* — wysoka gorączka połączona z majaczeniami. [przypis edytorski]

[1261] *wilia* (daw.) — wigilia. [przypis edytorski]

Gdy nadeszło popołudnie i coraz bardziej zbliżała się wyznaczona chwila, poczuł potrzebę samotności; krew mu wrzała w żyłach, raziły go najprostsze pytania, głos, nawet przyjaciela; zamknął się u siebie z zamiarem poczytania czegoś, ale nic nie rozumiał, jego wzrok tylko przebiegał po kartkach. Rzucił więc książkę i narysował po raz kolejny mur, plan ogrodu i dwie drabinki.

Zbliżyła się wreszcie upragniona chwila.

Żaden zakochany człowiek nie daje spokoju swoim zegarom. Morrel dręczył swoje zegary do tego stopnia, że o szóstej zaczęły wskazywać wpół do dziewiątej.

Uznał wówczas, że można wyruszyć; choć intercyza miała być podpisana o dziewiątej, Valentine najprawdopodobniej nie będzie czekać do ostatniej chwili, bo i po co?

Wyjechał zatem z ulicy Meslay o wpół do dziewiątej według swojego zegarka — ale gdy przybył do celu, na zegarze kościoła Saint-Philippe du Roule wybiła ósma. Powóz i konia ukrył za zrujnowaną chatką, gdzie zwykł sam często przesiadywać.

Zapadł zmierzch, gałęzie w ogrodzie zbijały się w gęste plamy nieprzeniknionej czerni. Wtedy Morrel wyszedł z kryjówki i z bijącym sercem zerknął przez szparę między deskami; za nimi nie było jeszcze nikogo.

Zegar wybił wpół do dziewiątej. Pół godziny zeszło na czekaniu.

Morrel przechadzał się tam i z powrotem, i tylko coraz częściej zaglądał przez szparę. Ogród mroczniał — ale na próżno jego oko wypatrywało w ciemności białej sukni, na próżno nasłuchiwał, czy w ciszy nie zaskrzypią kroki. Cały dom, widoczny spoza gałęzi, był ciemny. Nic w jego wyglądzie nie świadczyło, że miał się tu odbyć tak ważny akt jak podpisanie intercyzy. Spojrzał na zegarek — było trzy kwadranse po dziewiątej; lecz w tej samej chwili zegar wieżowy sprostował błąd zegarka, wybijając wpół do dziesiątej.

A więc czekał już na Valentine trzy kwadranse dłużej, niż się umówili.

Była to straszliwa chwila dla młodzieńca, każda sekunda biła mu w serce ołowianym młotem.

Najmniejszy szelest liści, najdrobniejszy powiew wiatru zwodziły go co chwilę; na czole perlił mu się pot; wreszcie z drżeniem postawił drabinę i aby nie tracić czasu, postawił jedną nogę na szczeblu.

I gdy tak na zmianę ogarniała go to obawa, to nadzieja, serce to ściskało mu się boleśnie, to biło szybko — na kościelnym zegarze wybiła dziesiąta.

— O, to niemożliwe — wyszeptał z trwogą Maksymilian — podpisywanie umowy nie może tyle trwać, chyba że zaszło coś nadzwyczajnego; rozważyłem wszystkie szanse, obliczyłem czas potrzebny do tych formalności: na pewno coś się stało.

I znowu przechadzał się niespokojnie przed kratą albo opierał rozpalone czoło o zimne pręty. Czyżby Valentine zemdlała po podpisaniu aktu albo też uniemożliwiono jej ucieczkę?

Młodzieniec nie mógł uwolnić się od tych dwóch rozpaczliwych myśli. Wreszcie przyszło mu do głowy, że może Valentine zabrakło sił i zemdlała gdzieś w alejce.

— O, jeśli tak jest — zawołał, wspinając się błyskawicznie po drabinie — utraciłbym ją przez moją własną nieostrożność!

Zły duch, który mu tę myśl podszepnął, już go nie odstąpił i ciągle brzęczał mu nad uchem — z uporem, który sprawia, że nasze przypuszczenia pod wpływem ciągłego ich roztrząsania zamieniają się w pewność.

Próbował coś wypatrzeć w coraz głębszych ciemnościach i wydało mu się, że dostrzega w mrocznej alejce jakąś leżącą postać. Odważył się nawet zawołać — i wydało mu się, że wiatr przyniósł mu w odpowiedzi niewyraźny jęk.

Wybiło wpół do jedenastej. Niepodobna już było dłużej czekać — można było przypuścić wszystko.

Maksymilianowi krew pulsowała w skroniach, ćmiło mu się przed oczyma; usiadł na murze i zeskoczył z drugiej strony.

Był u Villefortów — wdarł się do nich jak rabuś. Pomyślał o skutkach, jakie mógłby pociągnąć za sobą podobny czyn — ale nie zrobił tego po to, by się teraz cofnąć.

W jednej chwili znalazł się na skraju kępy drzew. Z tego miejsca widać już było dom. Potwierdziły się jego przypuszczenia, jakie powziął wcześniej, gdy usiłował wypatrzeć coś między gałęziami: w oknach nie jarzyło się światło, jak to bywa zwykle w dzień uroczystości rodzinnej; widział jedynie szare gmaszysko, rozmywające się jeszcze bardziej w cieniu

rzuconym przez wielką chmurę, co nasunęła się na księżyc. Dostrzec można było tylko światełko przesuwające się za trzema oknami na pierwszym piętrze; owe trzy okna należały do apartamentu pani de Saint-Méran. I jeszcze jedno światło błyszczało nieruchomo za pąsowymi zasłonami. Takie zasłony były w pokoju pani de Villefort.

Morrel domyślił się tego wszystkiego od razu. Tyle razy — aby towarzyszyć Valentine myślą o każdej porze — tyle razy prosił dziewczynę, aby narysowała mu plan tego domu, że choć go nigdy nie widział, znał jego rozkład.

Ta ciemność i cisza przeraziły młodzieńca bardziej niż bezskuteczne czekanie na Valentine.

Oszołomiony, półprzytomny z bólu był gotów odważyć się na wszystko, aby ujrzeć Valentine i przekonać się, co za nieszczęście się stało — bo przeczuwał, że coś musiało się stać. Wyszedł z krzewów i już chciał przebiec — tak prędko, jak się tylko da — odkryty parter kwiatowy, gdy wtem z wiatrem doleciał go daleki dźwięk głosu.

Cofnął się i ukrył na powrót w listowiu, stojąc nieruchomo pod tarczą ciemności.

Postanowił, co uczyni: jeśli to będzie Valentine, zatrzyma ją jednym słowem; jeśli Valentine nadejdzie z kimś jeszcze, to przynajmniej ją zobaczy i przekona się, że nic jej się nie przydarzyło; jeśli to będzie ktoś zupełnie obcy, podchwyci kilka słów z rozmowy i może zrozumie, o co chodzi w tej całej tajemnicy.

Księżyc właśnie wyjrzał zza chmury i Morrel ujrzał, jak w drzwiach na werandzie stoi Villefort i jakiś czarno odziany mężczyzna.

Zeszli ze schodów i ruszyli w stronę drzew. Gdy postąpili zaledwie kilka kroków, Morrel poznał w drugim mężczyźnie doktora d'Avrigny'ego.

Gdy tak podchodzili bliżej, cofał się machinalnie, aż dotknął plecami pnia sykomoru, który rósł w środku zagajnika; musiał więc się zatrzymać.

Wkrótce skrzypienie piasku pod stopami ucichło.

— Ach, drogi doktorze — mówił prokurator królewski — niebo rzuciło jakąś klątwę na nasz dom. Co za okropna śmierć! Jak grom! Niech mnie pan nie pociesza, rana jest zbyt świeża i zbyt głęboka. Umarła! Umarła!

Zimny pot wystąpił Maksymilianowi na czoło. Któż mógł umrzeć w tym domu, który Villefort nazwał przeklętym?

— Drogi panie prokuratorze — odpowiedział lekarz tonem, który zwiększył trwogę młodzieńca. — Nie po to tu pana przyprowadziłem, aby pocieszać, wręcz przeciwnie.

— Co to ma znaczyć? — zapytał przerażony prokurator.

— To znaczy, że za tym nieszczęściem, które cię dotknęło dzisiaj, kryje się inne, być może dużo poważniejsze.

— Wielki Boże! — szepnął Villefort, składając ręce. — Co mi pan jeszcze powie?

— Drogi przyjacielu, czy jesteśmy tu na pewno sami?

— O tak. Ale po co te środki ostrożności?

— Bo muszę panu wyznać straszną tajemnicę — rzekł lekarz. — Usiądźmy.

Villefort osunął się na ławkę. Lekarz stanął przed nim i położył mu rękę na ramieniu.

Morrel, zlodowaciały z trwogi, jedną rękę trzymał na czole, drugą przyciskał do serca, chcąc stłumić jego bicie.

„Umarła! Umarła!" — powtarzał w myśli.

I czuł się tak, jakby sam umierał.

— Niech pan mówi, doktorze, słucham — odezwał się Villefort. — Uderzaj, jestem gotowy na wszystko.

— Pani de Saint-Méran miała swoje lata, ale cieszyła się znakomitym zdrowiem.

Morrel po raz pierwszy od dziesięciu minut odetchnął.

— Zabiła ją zgryzota — rzekł Villefort. — Tak, mój doktorze, zgryzota! Od lat czterdziestu nie rozstawała się z mężem!...

— O, to nie zgryzota, drogi panie. Zgryzota może zabić, chociaż to bardzo rzadkie przypadki, ale nigdy nie zabija w jeden dzień, w jedną godzinę, ani w dziesięć minut.

Villefort nie odpowiedział; podniósł tylko głowę dotąd spuszczoną i przerażony spojrzał na lekarza.

— Był pan przy agonii, prawda? — zapytał pan d'Avrigny.

— No tak, sam mi pan nakazałeś szeptem, abym został.

— Zauważył pan symptomy choroby, która dotknęła panią de Saint-Méran?

— Tak: miała trzy coraz silniejsze ataki w kilkuminutowych odstępach, ale drugi odstęp — przed trzecim atakiem — był krótszy niż pierwszy. Kiedy pan przyszedł, pani de Saint-Méran od kilku minut już ciężko dyszała; dostała wtedy ataku, który wziąłem za zwykły atak nerwowy; przeraziłem się naprawdę dopiero, gdy rzuciła się na łóżku, wyprężona i z zesztywniałą szyją. Wtedy wyczytałem z twojej twarzy, że dzieje się coś poważniejszego, niż myślałem. Kryzys minął i chciałem zrozumieć coś z twojego spojrzenia, ale ty unikałeś mojego wzroku. Mierzyłeś jej pan puls, liczyłeś uderzenia, nie obracałeś się wcale w moją stronę, aż nadszedł drugi atak. Ten drugi atak był straszniejszy od pierwszego: znowu konwulsje, usta zacisnęły się i przybrały fioletową barwę. Przy trzecim ataku skonała. Podczas pierwszego ataku stwierdziłem, że to pewnie tężec, a pan się do tego przychylił.

— Tak, bo wokół byli ludzie — odparł lekarz. — Ale teraz jesteśmy sami.

— Co mi pan chcesz powiedzieć, na Boga?!

— Że symptomy tężca i zatrucia czynnikami roślinnymi są takie same.

Pan de Villefort poderwał się; przez chwilę stał nieruchomo, nic nie mówiąc, aż wreszcie opadł z powrotem na ławkę.

— Na litość boską, doktorze, zastanowił się pan nad tym, co mówi?

Morrel nie był pewien, czy aby nie śni.

— Proszę posłuchać — rzekł lekarz — wiem dobrze, jak ważne jest moje oświadczenie i kim jest człowiek, któremu je czynię.

— Mówisz pan do prawnika czy do przyjaciela?

— Do przyjaciela, tylko do przyjaciela. Tężec i zatrucie substancją roślinną mają tak podobne symptomy, że gdybym miał podpisać się pod tym, co tu panu mówię, zawahałbym się. A więc powtarzam, że to nie do prawnika się zwracam, ale do przyjaciela. I temu przyjacielowi mówię: przez trzy kwadranse obserwowałem agonię pani de Saint-Méran, jej konwulsje, chwilę śmierci... No cóż, mogę powiedzieć nie tylko, że markiza została otruta, ale też jaka trucizna ją zabiła.

— O, proszę pana!

— Wszystko się zgadza: senność przerywana nerwowymi napadami, nadpobudliwość mózgu, bezsiła[1262] ośrodków nerwowych. Panią de Saint-Méran pokonała ogromna dawka brucyny albo strychniny, którą ktoś zaaplikował jej naturalnie przypadkiem, a może przez pomyłkę.

Villefort porwał lekarza za rękę.

— Ależ to niemożliwe! To chyba sen, mój Boże! Jakiś zły sen! To okropne słyszeć coś podobnego od takiego człowieka jak pan! Ale na litość, błagam, doktorze, powiedz mi, że możesz być w błędzie!

— Oczywiście, mogę się mylić, ale...

— Ale?

— Ale raczej się nie mylę.

— Doktorze, proszę się nade mną ulitować, od kilku dni zdarzyło mi się tyle nieprawdopodobnych rzeczy, że tracę rozum.

— Czy ktokolwiek inny badał panią de Saint-Méran?

— Nie.

— Czy posyłano do apteki jakąkolwiek receptę, której bym nie podpisał?

— Nie.

— Czy ktoś mógłby odnieść korzyść z jej śmierci?

— Ależ nie, mój Boże! Nie! Jedyną osobą, która po niej dziedziczy, jest Valentine... O, gdyby przyszła mi do głowy taka myśl, sam bym się pchnął sztyletem, aby ukarać serce, że śmiało dopuścić na chwilę tę myśl!

— O, drogi przyjacielu — zawołał z kolei pan d'Avrigny. — Niech mnie Bóg uchowa, bym miał tu kogokolwiek oskarżać, mówię tylko o przypadku, o pomyłce. Ale przypadek czy pomyłka, nieważne — tą sprawą dręczy mnie cicho sumienie i każe mi panu o tym powiedzieć głośno. Proszę powypytywać o różne rzeczy.

— Ale u kogo? Jak? O czym?

[1262] *bezsiła* — bezsilność. [przypis edytorski]

— No, czy na przykład Barrois, stary sługa, nie omylił się czasem i nie przyniósł pani de Saint-Méran czegoś, co było przygotowane dla jego pana.

— Dla mojego ojca?

— Tak.

— Jakimże sposobem lek ojca mógłby otruć panią de Saint-Méran?

— Nic prostszego. Trzeba panu wiedzieć, że w niektórych chorobach trucizny są lekarstwami i właśnie do tych chorób należy paraliż. Wypróbowawszy wszystkie środki, aby przywrócić władzę nad ciałem i mowę panu Noirtierowi, postanowiłem trzy miesiące temu uciec się do ostatniego środka: od trzech miesięcy daję mu brucynę; ostatnim razem zapisałem mu dawkę sześciu centygramów; tych sześć centygramów, które nie działają na sparaliżowane członki pana Noirtiera (zresztą przyzwyczaił się już do takich dawek, bo poprzednie dawki były stopniowo zwiększane) — więc tych sześć centygramów wystarczą, aby zabić kogokolwiek innego.

— Drogi doktorze, pomiędzy pokojami ojca i pani de Saint-Méran nie ma żadnych drzwi, a Barrois nie bywa nigdy u mojej teściowej. A zresztą powiem to panu, doktorze: uważam cię za człowieka najzdolniejszego i najuczciwszego pod słońcem, ale hmm... No cóż, tutaj wolałbym oprzeć się na zasadzie *errare humanum est*[1263].

— Niech pan posłucha, Villefort; czy ufa pan któremuś z moich kolegów, tyle co mnie?

— Skąd to pytanie? Do czego pan zmierza?

— Wezwij go; powiem mu, co widziałem, co zauważyłem i dokonamy sekcji.

— I znajdziecie ślady trucizny?

— Nie, nie truciznę, tego nie mówię; ale stwierdzimy, że układ nerwowy został podrażniony, że pacjentka cierpiała na dusznicę bolesną i powiemy panu: drogi prokuratorze, jeśli się to stało przypadkiem, czuwaj dobrze nad służącymi; jeżeli przez nienawiść, strzeż się wrogów.

— O Boże! Co mi pan proponujesz, d'Avrigny? — zawołał Villefort, mocno przygnębiony. — Z chwilą, gdy dopuścimy do sekretu więcej osób, śledztwo stanie się nieuniknione. A sam rozumiesz, śledztwo w moim domu: to niemożliwe! Jeżeli jednak — ciągnął, starając się opanować i spoglądając z niepokojem na lekarza — jeżeli jednak koniecznie pan tego chcesz, jeżeli bezwzględnie sobie tego życzysz, zastosuję się do pana żądania. Być może rzeczywiście należy nadać sprawie oficjalny bieg. Tego wymaga mój urząd. Ale myśl o tym już teraz napawa mnie smutkiem. Narazić moją rodzinę na taki skandal po takim nieszczęściu! Żona i córka tego nie przeżyją. A co do mnie, to — jak pan wiesz — nie można osiągnąć takiej pozycji jak moja i sprawować funkcji prokuratora przez dwadzieścia pięć lat, nie narobiwszy sobie wrogów. Mam ich wielu i jeżeli sprawa nabierze rozgłosu, zatriumfują, ja zaś okryję się hańbą.

— Drogi panie — odpowiedział wstrząśnięty lekarz. — Moim pierwszym obowiązkiem jest służba ludzkości. Mógłbym ocalić panią de Saint-Méran, gdyby wiedza na to pozwoliła, ale markiza nie żyje i nic już nie poradzę. Mogę natomiast zrobić coś dla żyjących. Pogrzebmy więc tę straszną tajemnicę na dnie naszych serc. Gdyby ktokolwiek ją odkrył, zgadzam się, by złożono to na moją ignorancję. Ale nie zaprzestawaj pan energicznych poszukiwań, bo kto wie, czy na tym się skończy...

— Dziękuję, doktorze — zawołał Villefort z niewysłowioną radością. — Nigdy nie miałem lepszego przyjaciela.

I jakby w obawie, by d'Avrigny nie zmienił zdania, wstał i pociągnął go w stronę domu.

Morrel tymczasem wystawił głowę z krzaków, jakby potrzebował świeżego powietrza. Światło księżyca padało na jego twarz, bladą jak u widma.

— Bóg na pewno czuwa nade mną choć w sposób straszliwy! — rzekł. — Lecz czy Valentine zdoła znieść tyle nieszczęść?

To mówiąc, spoglądał to na okno z czerwonymi zasłonami, to na trzy inne, zasłonięte firankami białymi. W tym pierwszym światło prawie już zgasło. To pani de Villefort zgasiła lampę i szyby podświetlał jedynie blask lampki nocnej. Ale zobaczył, że ktoś otwiera

[1263] *errare humanum est* (łac.) — błądzić jest rzeczą ludzką. [przypis edytorski]

jedno z trzech białych okien. Na kominku stała zapalona świeca, jej blade światło przesączyło się na zewnątrz. Jakiś cień oparł się na chwilę o balustradę balkonu.

Morrel zadrżał. Wydało mu się, że słyszy szloch. Trudno się dziwić, że ten człowiek o duszy odważnej i silnej nagle, pod wpływem miłości i lęku — tych dwóch największych namiętności ludzkich — uległ przywidzeniom.

Choć niepodobna, by dziewczyna mogła go dostrzec w tym ukryciu, wydało mu się, że cień na balkonie go przyzywa. Mówił mu to jego zmącony umysł, serce zaś powtarzało za umysłem. Tak podwójnie w błąd wprowadzany, uwierzył, że jest to prawda i w jednym z owych niepojętych porywów młodości wyskoczył z kryjówki i dwoma susami, ryzykując, że zostanie zauważony, że przerazi dziewczynę, że jej mimowolny krzyk postawi cały dom na nogi, pokonał całą przestrzeń, jasną i spokojną niczym tafla jeziora w blasku księżyca, dopadł do rzędu donic z drzewkami pomarańczowymi, dalej do schodów, wbiegł na nie szybko i pchnął drzwi, które bez oporu przed nim ustąpiły.

Morrel oszalał. Na szczęście nie spotkał nikogo. Znajomość wewnętrznego układu domu, którą zyskał dzięki rozmowom z Valentine, bardzo mu się teraz przydała. Bez problemu dotarł do szczytu schodów i tu szloch, który tak dobrze w jego głowie utkwił, wskazał mu dalszą drogę. Odwrócił się. Przez lekko uchylone drzwi padał w jego kierunku wąski snop światła. Słychać też było czyjś szloch.

Pchnął drzwi i wszedł.

Żałoba, Rozpacz, Trup, Obyczaje

W głębi alkowy, pod białą tkaniną przykrywającą głowę i obrysowującą kontur ciała, leżała zmarła. Dla Morrela widok ten był jeszcze bardziej przerażający, od kiedy w tak przypadkowy sposób poznał tajemnicę jej śmierci.

Przy łóżku klęczała Valentine. Wtuliwszy głowę w poduszki obszernej berżery[1264], drżąca i wstrząsana szlochem, splotła nad głową zesztywniałe dłonie.

Oddaliwszy się od okna, w którym dostrzegł ją Morrel, modliła się teraz głośno, a modlitwa jej mogłaby wzruszyć nawet najtwardsze serce. Słowa padały szybko, niespójne i niezrozumiale, ból bowiem ścisnął jej gardło.

Wpadający przez szpary w okiennicach blask księżyca osłabiał światło świecy i nasycał ponurymi barwami ten obraz rozpaczy.

Morrel nie był w stanie znieść tego widoku. Nie odznaczał się szczególną pobożnością niełatwo było wywrzeć na nim wrażenie, lecz cierpienie dziewczyny, jej płacz, jej załamane ręce nie mogły pozostawić go obojętnym.

Westchnął, wyszeptał jej imię, a ona podniosła zalaną łzami twarzyczkę — i zwróciła ją ku niemu.

Widząc go, nie okazała bynajmniej zdziwienia. Serce przepełnione najwyższą rozpaczą nie zna uczuć pośrednich.

Morrel wyciągnął rękę do ukochanej.

Valentine za całe usprawiedliwienie — że nie przyszła do ogrodu — wskazała babkę leżącą pod śmiertelnym całunem i ponownie się rozpłakała.

Żadne nie śmiało przemówić w tym pokoju. Oboje lękali się przerwać milczenie, które zdawała się nakazywać Śmierć, stojąca w rogu z palcem na ustach.

Na koniec Valentine pierwsza odważyła się przemówić.

— Kochany — rzekła — jak się tu znalazłeś?

— Valentine — rzekł Morrel drżącym głosem, składając ręce — czekałem tam od wpół do dziewiątej; nie przyszłaś, zaczął mnie dręczyć niepokój, przeskoczyłem mur, dostałem się do ogrodu i podsłuchałem, jak ktoś rozmawiał o tym okropnym wypadku...

— Kto to był? — spytała Valentine.

Morrel zadrżał, bo przypomniał sobie całą rozmowę między lekarzem i panem de Villefortem i wydało mu się, że przez biały całun widzi pokurczone członki, zesztywniałą szyję i zsiniałe usta.

— Służący — odparł. — Ich rozmowa poinformowała mnie o wszystkim.

— Ale przyjść aż tutaj, to znaczy nas zgubić, ukochany — rzekła Valentine, nie okazując ani lęku, ani gniewu.

— Przebacz mi — odparł Morrel podobnym tonem. — Zaraz sobie pójdę.

[1264] *berżera* a. *berżerka* — niski, szeroki, wyścielany fotel z pełnym, nieco cofniętym oparciem i luźno położoną poduszką na siedzeniu [przypis edytorski]

— O nie! Mógłby się ktoś na ciebie natknąć, zostań.

— A jeśli ktoś tu przyjdzie?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Nikt nie przyjdzie — rzekła. — Nie martw się, ona nas chroni.

I wskazała ciało spowite w całun.

— Ale co z panem d'Epinayem? Powiedz, błagam!

— Pan Franz przyjechał, aby podpisać intercyzę właśnie w chwili, gdy babunia wydała ostatnie tchnienie.

— Niestety! — rzekł Morrel z uczuciem egoistycznej radości, myślał bowiem, że ta śmierć na długo opóźni małżeństwo Valentine.

— Ale boli mnie jeszcze bardziej — ciągnęła dziewczyna, jak gdyby Morrel miał być natychmiast ukarany za tę myśl — że biedna, kochana babcia, umierając, nakazała, aby mój ślub odbył się jak najszybciej. Mój Boże, ona też działała przeciwko mnie, myśląc, że mi pomaga.

— Posłuchaj! — rzekł Morrel.

Umilkli.

Słychać było, jak otwierają się drzwi; parkiet na korytarzu, a potem schody zatrzeszczały pod czyimiś krokami.

— To ojciec, wychodzi z gabinetu — rzekła Valentine.

— I odprowadza lekarza. — dodał Morrel.

— Skąd wiesz, że lekarza? — zapytała zdziwiona.

— Tak tylko się domyślam.

Valentine spojrzała na ukochanego.

Usłyszeli, jak zamykają się drzwi od ulicy.

Pan de Villefort zamknął jeszcze na klucz drzwi prowadzące do ogrodu i wrócił na górę. Zatrzymał się na chwilę na korytarzu, jakby się wahał, czy ma pójść do siebie, czy do pokoju pani de Saint-Méran.

Morrel rzucił się za kotarę. Valentine nawet nie drgnęła; rzekłbyś, że to ogromne cierpienie postawiło ją ponad zwykłe obawy.

Pan de Villefort wszedł do swego pokoju.

— A teraz — odezwała się Valentine — nie możesz wyjść ani przez drzwi ogrodowe, ani przez drzwi od ulicy.

Morrel popatrzył na nią ze zdziwieniem.

— Teraz — dodała — mamy tylko jedną dozwoloną i pewną drogę — przez apartament dziadka.

Podniosła się.

— Chodź — rzekła — do dziadka.

— Jak to, mam iść do pana Noirtiera? Naprawdę tak myślisz?

— Myślę o tym od dawna. To mój jedyny przyjaciel na ziemi i oboje potrzebujemy jego przychylności... Chodź.

— Zastanów się, Valentine — poprosił Morrel, wahając się, czy zrobić to, do czego nakłaniała go dziewczyna. — Zastanów się, bo łuski spadły mi już z oczu; to było szaleństwo, że tu przyszedłem. A ty, czy aby na pewno jesteś w stanie myśleć trzeźwo, najdroższa?

— Tak. I jedno mnie tylko wstrzymuje, że muszę zostawić babkę samą, a powinnam przy niej czuwać.

Valentine przeszła przez korytarz i zeszła schodami prowadzącymi do pana Noirtiera. Morrel szedł za nią na palcach. Na piętrze, przed drzwiami, natknęli się na starego sługę.

— Barrois — rzekła Valentine — zamknijcie drzwi i nie wpuszczajcie nikogo.

I weszła pierwsza.

Noirtier siedział jeszcze w fotelu, czujny na najmniejszy szmer; dowiedział się wcześniej od sługi o wszystkim, co się stało, i rzucał proszące spojrzenia na drzwi.

Gdy ujrzał Valentine, w oku jego zabłysła radość.

Dziewczyna wyglądała tak uroczyście i tak poważnie, że od razu uderzyło to starca. W jego oczach pojawiło się pytanie.

— Drogi dziadziu — rzekła spiesznie — posłuchaj mnie dobrze. Wiesz, że babcia umarła przed godziną i że teraz prócz ciebie nie mam już nikogo na świecie, kto by mnie kochał?

Wyraz najwyższej czułości pojawił się w oczach starca.

— I tylko tobie powinnam powierzać moje smutki i nadzieje, prawda?

Sparaliżowany przytaknął.

Valentine wzięła Maksymiliana za rękę.

— A więc przyjrzyj się dobrze temu panu.

Starzec utkwił z lekkim zdziwieniem swój badawczy wzrok w Morrelu.

— To pan Maksymilian Morrel, syn zacnego kupca z Marsylii, o którym zapewne słyszałeś.

— Tak — dał znać starzec.

— To nieskazitelne nazwisko Maksymilian może wkrótce uczynić sławnym, bo w trzydziestym roku życia jest kapitanem spahisów i oficerem Legii Honorowej.

Starzec dał znak, że sobie to przypomina.

— A więc, kochany dziaduniu — rzekła Valentine, klękając przed starcem i wskazując Maksymiliana — kocham go i będę należeć tylko do niego! Jeśli mnie zmuszą do wyjścia za innego, umrę ze smutku albo się zabiję.

Oczy sparaliżowanego świadczyły, że kłębią się w nim myśli.

— Dziaduniu, ty już lubisz pana Maksymiliana, prawda?

— Tak.

— I będziesz nas bronił, nas, twoje dzieci, przeciw woli ojca?

Noirtier utkwił swój inteligentny wzrok w Morrelu, jakby chciał wyrazić:

— To zależy.

Maksymilian zrozumiał.

— Pani — rzekł — musisz wypełnić najświętszy obowiązek przy zwłokach babki, proszę mi więc pozwolić, aby pan Noirtier uczynił mi zaszczyt i porozmawiał ze mną przez chwilę sam na sam.

— Tak, tak, właśnie tak — wyraził wzrok starca.

Następnie spojrzał z niepokojem na Valentine.

— Czy będzie potrafił cię zrozumieć, to chciałeś powiedzieć, dziaduniu?

— Tak.

— Nie martw się. Tak często rozmawialiśmy o tobie, że wie dobrze, jak się z tobą porozumiewam — i spojrzawszy na Maksymiliana z uśmiechem ślicznym, choć nieco przymglonym smutkiem, dodała: — On wie wszystko, co wiem ja.

Wstała, przysunęła krzesło Morrelowi, zaleciła Barrois, aby nikogo nie wpuszczał, ucałowała czule dziadka, pożegnała ze smutkiem Morrela i odeszła.

Wówczas Morrel, aby przekonać pana Noirtiera, że Valentine pokłada w nim zupełne zaufanie i że poznał wszystkie ich tajemnice, wziął słownik, pióro i papier i położył je na stole, gdzie stała lampa.

— Ale najpierw proszę mi pozwolić — rzekł — bym powiedział panu, kim jestem, jak pokochałem Valentine i jakie mam wobec niej zamiary.

— Słucham — dał znak Noirtier.

To był uderzający widok: starzec, na pozór bezużyteczne obciążenie dla bliskich, stający się jedynym opiekunem, jedyną podporą, jedynym sędzią dwojga młodych, zakochanych, pięknych i silnych ludzi, wchodzących dopiero w życie.

Jego nad wyraz szlachetna i surowa twarz czyniła na Morrelu takie wrażenie, że drżał, zaczynając opowiadanie.

Opowiedział, jak poznał i pokochał Valentine, jak Valentine, samotna i nieszczęśliwa, zgodziła się na jego miłość. Opowiedział o swoim urodzeniu, jak wygląda jego pozycja w świecie i jaki posiada majątek; a pytając co jakiś czas wzrokiem starca, otrzymywał znak:

— Dobrze, mów, mów.

— A teraz — rzekł Morrel, skończywszy pierwszą część wyznań — gdy już powiedziałem panu o mojej miłości i nadziejach, czy mam panu wyjawić, jakie mamy plany?

— Tak — dał znak starzec.

— Otóż postanowiliśmy, co następuje.

I opowiedział panu Noirtierowi wszystko: jak powóz miał czekać na polu, jak miał nim wykraść Valentine, zawieźć ją do siostry, poślubić i oczekiwać z największym szacunkiem przebaczenia pana de Villeforta.

— Nie — dał znak Noirtier.

— Nie? — spytał Morrel. — A więc nie tak mamy postąpić?

— Nie.

— Cóż, mam inny jeszcze sposób — rzekł Morrel.

Starzec spojrzał pytająco.

— Pójdę do pana Franza d'Epinaya. Rad jestem bardzo, że mogę to panu powiedzieć pod nieobecność panny de Villefort. I sprawię, że będzie musiał zachować się jak człowiek honoru.

Wzrok pana Noirtiera nadal wyrażał pytanie.

— Co takiego zrobię? Otóż tak: pójdę do niego, jak to już powiedziałem, wyjawię mu, jakie więzy łączą mnie z panną Valentine; jeśli to człowiek szlachetny, dowiedzie swej szlachetności zrzekając się ręki narzeczonej, a wtedy zapewni sobie moją przyjaźń i oddanie do grobu. Jeśli odmówi, interesownie lub z powodu śmiesznej dumy, wówczas dam mu do zrozumienia, że zmusza do ożenku moją, przeznaczoną mi żonę, że Valentine mnie kocha i nie może kochać nikogo innego — i wyzwę go na pojedynek, dając mu wszystkie przywileje; i albo go zabiję, albo on mnie; jeśli go zabiję, nie ożeni się z Valentine; jeśli to on mnie zabije, będę miał przynajmniej pewność, że po mojej śmierci Valentine go nie poślubi.

Noirtier z niewysłowioną sympatią wpatrywał się w tę szlachetną i otwartą fizjonomię, na której malowały się wszystkie uczucia, jakie wyrażał podczas rozmowy; dodawały one owej pięknej twarzy tego, co kolor dodaje rzetelnemu i prawdziwemu rysunkowi.

A jednak, gdy Morrel skończył mówić, Noirtier zamrugał kilkakrotnie oczyma, przez co, jak wiemy, wyrażał przeczenie.

— Nie? — rzekł Morrel. — A więc nie zgadza się pan na ten drugi projekt, podobnie jak na pierwszy?

— Tak — dał znak starzec.

— Ale co w takim razie mamy robić? — spytał Morrel. — Pani de Saint-Méran w ostatnich słowach nakazała, aby jej wnuczka jak najszybciej wyszła za mąż; mam biernie czekać, aż będzie po wszystkim?

Noirtier siedział bez ruchu.

— Rozumiem. Mam czekać.

— Tak.

— Ale jakakolwiek zwłoka zgubi nas, proszę pana — zaoponował młodzieniec. — Valentine, zupełnie sama, nie będzie już miała sił, zmuszą ją, jak zmusza się dziecko. Udało mi się wejść do tego domu cudem, aby się dowiedzieć, co się tu stało, cudem dostałem się do pana, ale rozsądek nie pozwala mi liczyć na to, że takie okazje będą się powtarzały. Proszę mi wierzyć, że możliwy jest tylko jeden z tych dwóch planów, proszę mi wybaczyć to młodzieńcze zarozumialstwo; proszę, niech pan powie przynajmniej, który z tych projektów pan wolisz. Pozwoli pan pannie Valentine, aby zaufała mi i uciekła ze mną?

— Nie.

— Woli pan, abym poszedł do pana d'Epinaya?

— Nie.

— Ale dobry Boże, to skąd przyjdzie pomoc, na jaką liczymy, że nam ześle niebo?

Starzec uśmiechnął się oczyma — jak zwykle, gdy ktoś wspomniał przy nim o niebie. W poglądach starego jakobina nadal pozostawało trochę ateizmu.

— Mamy liczyć na przypadek? — ciągnął Morrel.

— Nie.

— Na pana?

— Tak.

— Czy pan dobrze rozumie, o co pytam? Proszę mi wybaczyć, że tak się upieram, ale moje życie zależy od pańskiej odpowiedzi. Czy to pan nas ocali?

— Tak.

— Jesteś pan tego pewien?

— Tak.

Wzrok starca objawiał taką stanowczość, że niepodobna było wątpić jeśli nie o potędze starca, to o jego dobrej woli.

— O, dzięki, tysięczne dzięki! Ale w jaki sposób, chyba że cud boski wróci panu mowę, w jaki sposób pan oprze się temu związkowi, przykuty do fotela, niemy i nieruchomy?

Twarz starca rozjaśnił uśmiech, przedziwny uśmiech błyszczący w oczach na tle nieruchomej twarzy.

— Mam więc czekać?

— Tak.

— A intercyza?

W oczach starca pojawił się ten sam uśmiech.

— Chce pan powiedzieć, że nie zostanie podpisana?

— Tak — odpowiedział Noirtier.

Mimo takiego zapewnienia, Morrelowi trudno było w to uwierzyć. Obietnica, jaką złożył bezsilny starzec była tak dziwna, że mogła wypływać nie z siły woli, ale z osłabienia umysłu; czyż się nie zdarza, że człowiek niedomagający na umyśle, nie domyślając się swojego stanu, usiłuje wprowadzić w życie zamiary, które przechodzą jego siły?

Zapewne pan Noirtier pojął, że Maksymilian ma wątpliwości albo też nie dowierzał posłuszeństwu, jakie ten okazał — dość, że spojrzał na niego bacznie.

— Czego pan żąda? — spytał Morrel. — Abym ponowił obietnicę, że nic nie przedsięwezmę na własną rękę?

Noirtier patrzył nadal bacznie i stanowczo, jakby chciał wyrazić, że obietnica mu nie wystarczy, po czym przeszedł spojrzeniem z twarzy Maksymiliana na rękę.

— Chce pan, abym przysiągł?

— Tak — przytaknął sparaliżowany, patrząc wciąż tak samo uroczyście.

Morrel zrozumiał, że starzec przywiązuje wielką wagę do tej przysięgi.

Podniósł rękę do góry.

— Przysięgam na honor, że będę czekał, póki pan nie postanowisz, zanim zacznę działać przeciw panu d'Epinayowi.

— Dobrze — pochwaliły go oczy starca.

— A teraz, czy mam odejść?

— Tak.

— I nie mogę się przedtem zobaczyć z panną Valentine?

— Nie.

Morrel skinął głową na znak, że jest gotów usłuchać rozkazu.

— A teraz — rzekł — pozwoli pan, abym ucałował pana jak wnuk, podobnie jak przed chwilą ucałowała cię wnuczka?

Wyraz oczu pana Noirtiera był jednoznaczny.

Młodzieniec ucałował czoło starca w miejscu, którego dotknęły wargi Valentine.

Potem skłonił się raz jeszcze starcowi i wyszedł.

W korytarzu spotkał starego sługę, którego uprzedziła Valentine; czekał na Morrela i poprowadził go ciemnym i krętym korytarzem do furtki wychodzącej na ogród.

Morrel prędko pobiegł do bramy; po gałęziach niewysokiego grabu wdrapał się błyskawicznie na mur i zszedł po drabince na pole lucerny, gdzie nadal czekał nań kabriolet.

73. GRÓB FAMILIJNY

Pogrzeb, Obyczaje

Dwa dni później dość znaczne grono zebrało się o dziesiątej przed bramą domu pana de Villeforta; długi szereg powozów żałobników nadjeżdżał Przedmieściem Saint-Honoré i ulicą de la Pepinière.

Wśród powozów jeden odznaczał się szczególnym kształtem i wyglądał tak, jakby odbył daleką drogę. Był to furgon[1265] pomalowany na czarno, a przyjechał jako jeden z pierwszych na to żałobne spotkanie.

Ciekawi dowiedzieli się, że w furgonie przywieziono ciało margrabiego de Saint-Mérana, a zatem żałobnicy mieli iść w pogrzebowym kondukcie za dwoma trumnami.

[1265] *furgon* — duży transportowy wóz konny, kryty budą. [przypis edytorski]

A żałobnicy stawili się licznie. Markiz de Saint-Méran, jeden z najważniejszych dygnitarzy i wierny sługa dworu za Ludwika XVIII i Karola X, miał wielu przyjaciół, którzy razem z osobami połączonymi towarzyskimi konwenansami z panem de Villefortem tworzyli spory tłum.

Otrzymano zgodę władzy, aby oba pogrzeby odbyły się jednocześnie.

Przed dom pana de Villeforta zajechał więc drugi powóz, ustrojony na potrzeby uroczystości pogrzebowej, i trumna z furgonu pocztowego została przeniesiona do karawanu.

Małżonkowie mieli zostać pochowani na cmentarzu Père-Lachaise[1266], gdzie już dawno pan de Villefort kazał wybudować grobowiec dla całej rodziny. Złożone tam już były zwłoki biednej Renaty, z którą teraz mieli się połączyć ojciec i matka.

Paryż, zawsze ciekawy, zawsze wzruszający się pogrzebami, przyglądał się w religijnym milczeniu wspaniałemu konduktowi, jaki towarzyszył do miejsca spoczynku dwojgu przedstawicielom starej arystokracji, którzy słynęli za życia z hołdowania tradycjom, wiernej przyjaźni i upartego stosowania się do zasad.

W jednym z żałobnych powozów Beauchamp, Debray i Château-Renaud rozmawiali o tej nagłej śmierci markizy.

— Zaledwie rok temu — mówił Château-Renaud — widziałem panią de Saint-Méran w Marsylii, wracałem wtedy z Algierii. Kobieta ta wyglądała tak, jakby miała żyć sto lat: cieszyła się znakomitym zdrowiem, przytomnością umysłu i niezwykłą energią. Ile też mogła mieć lat?

— Siedemdziesiąt — odpowiedział Albert. — Tak mi przynajmniej mówił Franz. Ale to nie wiek ją zabił, tylko smutek po śmierci markiza; podobno jego śmierć spowodowała u niej taki wstrząs, że nie odzyskała w pełni władz umysłowych.

— Ale w końcu na co umarła? — wtrącił Debray.

— Chyba na zapalenie mózgu, a może na apopleksję. Czyż to nie wychodzi na jedno?

— No, mniej więcej.

— Na apopleksję? — zdumiał się Beauchamp. — Trudno mi w to uwierzyć. Widziałem panią de Saint-Méran ze dwa razy w życiu, była malutka, szczuplutka i raczej nerwowa, niż sangwiniczka[1267]. Apopleksja z rozpaczy rzadko się zdarza u osób o posturze takiej, jak u pani de Saint-Méran.

— W każdym razie — rzekł Albert — cokolwiek ją zabiło, czy choroba, czy lekarz, teraz pan de Villefort, albo raczej panna Valentine, albo nie — raczej nasz przyjaciel Franz, otrzymuje wspaniały spadek: podobno osiemdziesiąt tysięcy liwrów renty.

— A ten majątek jeszcze się niemal podwoi, gdy już umrze ten stary jakobin Noirtier.

— O, to uparty staruszek — rzekł Beauchamps. — *Tenacem propositi virum*. Na pewno założył się ze śmiercią, że pogrzebie wszystkich swoich spadkobierców. Kto wie, czy mu się to nie uda. Przecież to on, dawny członek Konwentu z 93 roku[1268], zawołał do Napoleona w 1814 roku: „Zbliżasz się do upadku, ponieważ twoje państwo to młoda łodyżka osłabiona nadzwyczajnym wzrostem. Schroń się pod opiekę Republiki, wracajmy z dobrą konstytucją na pola bitwy, a ja ci obiecuję pół miliona żołnierzy, nowe Marengo i drugie Austerliz. Idee nie umierają, czasem drzemią, ale budzą się silniejsze niż przedtem".

— Zdaje się — rzekł Albert — że on i ludzi uważa za idee. Jedno mnie tylko niepokoi: jak Franz poradzi sobie z dziadkiem, który nie może obejść się bez jego przyszłej żony. A właściwie gdzie jest ten Franz?

— Przecież w pierwszym powozie, z panem de Villefortem, który go już traktuje jak członka rodziny.

W każdym powozie w kondukcie toczyły się podobne rozmowy; wszędzie dziwiono się, że tak nagle nastąpiły po sobie te dwa zgony, nikt jednak nie podejrzewał strasznej tajemnicy, którą pan d'Avrigny wyjawił w czasie nocnej przechadzki panu de Villefortowi. W godzinę orszak dotarł do bramy cmentarnej; było bezwietrznie, ale niebo zasnuwały chmury — pogoda pasowała do ceremonii pogrzebowej.

[1266] *cmentarz Père-Lachaise* — największy cmentarz w Paryżu, miejsce spoczynku wielu wybitnych osobowości. [przypis edytorski]

[1267] *sangwiniczka* — kobieta o żywym temperamencie, wrażliwa, szybko i silnie reagująca. [przypis edytorski]

[1268] *Konwent z 93 roku* — właśc. Konwent Narodowy, zgromadzenie prawodawcze z okresu rewolucji francuskiej, wyłonione 21 września 1792; ogłosiło Francję republiką i skazało Ludwika XVI na śmierć. [przypis edytorski]

Wśród ludzi, którzy grupkami zmierzali w stronę grobowca familijnego, Château-Renaud zauważył Morrela, który przyjechał samotnie w kabriolecie; szedł sam, blady i milczący, małą alejką obsadzoną cisami.

— Pan tutaj? — rzekł Château-Renaud, ujmując za ramię kapitana. — A więc znasz pana de Villeforta? Wobec tego dlaczego nigdy się u niego nie spotkaliśmy?

— Pana de Villeforta nie znam wcale — odparł Morrel — ale znałem kiedyś panią de Saint-Méran.

W tejże chwili dogonili ich Albert z Franzem.

— Miejsce nie jest najlepsze na prezentację — odezwał się Albert — ale nieważne, przecież nie jesteśmy przesądni. Panie Morrel, pozwól, abym przedstawił panu pana Franza d'Epinaya. To wspaniały towarzysz podróży, objechałem z nim całe Włochy. Kochany Franz, to pan Maksymilian Morrel, przyjaciel, jakiego zyskałem pod twoją nieobecność. Jego nazwisko usłyszysz zawsze, gdy będziemy rozmawiać o odwadze, inteligencji i świetnych manierach.

Morrel zawahał się przez chwilę. Zadał sobie pytanie, czy nie będzie to nikczemna hipokryzja, jeśli złoży niemal przyjacielski ukłon człowiekowi, przeciw któremu potajemnie walczy; ale przypomniał sobie o przysiędze i o uroczystości chwili. Opanował się, przybrał — na tyle, na ile mógł — spokojny wyraz twarzy i ukłonił się Franzowi.

— Panna de Villefort jest zapewne w wielkim smutku? — spytał Franza Debray.

— O, smutna jest niezmiernie — odpowiedział Franz. — Tak zmizerniała, że zaledwie ją mogłem rozpoznać.

Te proste na pozór słowa zadały Morrelowi cios w samo serce. A więc ten człowiek widział się dziś z Valentine i zapewne nawet rozmawiali?!

Młody, porywczy oficer musiał zebrać wszystkie swoje siły, aby się oprzeć pragnieniu złamania przysięgi.

Wziął pod ramię Château-Renauda i pociągnął go szybko w stronę grobu, przed którym ludzie obsługujący uroczystości pogrzebowe tylko co złożyli obie trumny.

— Wspaniałe mieszkanie — rzekł Beauchamp, przypatrując się mauzoleum — pałac letni, a jednocześnie zimowy. I ty tu kiedyś zamieszkasz, kochany d'Epinay, bo wkrótce już będziesz należał do rodzinki. Ja zaś, jako filozof, chcę mieć mały wiejski domek, chatkę gdzieś pod drzewami i żeby na moim biednym ciele nie leżała taka sterta kamieni. Kiedy będę umierał, powiem tym, co mnie będą otaczali, to, co Wolter[1269] napisał do Pirona[1270]: *Eo rus*[1271] i wszystko się zakończy... No, do licha, Franz, odwagi: twoja żona bierze spadek.

— Naprawdę nieznośny jesteś, Beauchamp — odparł Franz. — Polityka wyszkoliła cię tak, że ze wszystkiego się śmiejesz; a politycy zazwyczaj niczemu nie wierzą; ale kiedy trafia ci się okazja, żeby się rozstać na chwilę z polityką, kiedy masz zaszczyt znajdować się w towarzystwie zwykłych ludzi, staraj się zabierać ze sobą serce, które zostawiasz w szatni Izby Deputowanych czy Izby Parów.

— E, mój Boże! — zawołał Beauchamp. — Czym jest życie? Czekaniem w przedsionku śmierci. Śmierć, Kondycja ludzka

— O, mam ciebie dość, Beauchamp — rzekł Albert i odszedł kilka kroków z Franzem, zostawiając Beauchampa, aby sobie dalej dysputował z Debrayem.

Grobowiec rodzinny Villefortów tworzył czworobok z jasnych kamieni, wysoki na dwadzieścia stóp; wewnątrz dzielił się na dwie części: jedna przeznaczona była dla familii Saint-Méranów, druga dla Villefortów; każda z sal miała osobne wejście. Tam można było dać do woli upust rozpaczy, porozmyślać, wypłakać się i pomodlić, nie ryzykując, że przeszkodzą w tym swawolni spacerowicze, którzy traktując Père-Lachaise jako znakomite miejsce na wycieczkę za miasto lub miłosne rendez-vous, śpiewają, pokrzykują i uganiają się za sobą.

Obie trumny wniesiono do komory familii de Saint-Méranów, po prawej stronie, i ustawiono na podpórkach. Do środka wszedł jedynie Villefort, Franz i kilkoro bliskich

[1269] *Wolter* — spolszczone: Voltaire, pseudonim François-Marie Aroueta (1694–1778), fr. pisarza i filozofa epoki oświecenia (autora m.in. powiastki filoz. *Kandyd*); zwolennika liberalizmu, krytyka wszelkich ideologii, hierarchii kościelnej i zabobonnych wierzeń (uznano go za patrona ateizmu i rewolucji). Voltaire był niezwykle wpływową osobistością swego czasu (korespondował m.in. z carycą Rosji, Katarzyną). [przypis edytorski]

[1270] *Piron, Alexis* (1689–1773) — fr. poeta i dramaturg. [przypis edytorski]

[1271] *eo rus* (łac.) — jadę na wieś. [przypis edytorski]

krewnych. Nabożeństwo zostało spełnione wcześniej, u wrót; nikt nie miał wygłaszać mowy pogrzebowej i żałobnicy zaczęli się rozchodzić.

Château-Renaud, Albert i Morrel poszli w jedną stronę, a Debray i Beauchamp w drugą.

Franz został z panem de Villefortem przy bramie cmentarza. Morrel zatrzymał się więc pod lada pretekstem. Zobaczył, jak Franz i pan de Villefort wsiadają do jednego powozu, wynosząc z tego złą wróżbę.

Wrócił do Paryża, a choć jechał w powozie z Château-Renaudem i Albertem, nie pojął ani słowa z ich rozmowy.

Villefort i Franz udali się na Przedmieście Saint-Honoré.

Prokurator królewski nie wstąpił do nikogo, nie przemówił ani do żony, ani do córki. Zaprowadził Franza do gabinetu i wskazał mu krzesło.

— Panie d'Epinay — odezwał się — chwila nie jest tak niestosowna, jakby z pozoru można było sądzić, albowiem posłuszeństwo zmarłym to pierwsza ofiara, jaką powinniśmy złożyć na ich grobie; otóż chciałbym panu przypomnieć życzenie, jakie przedwczoraj wyraziła na śmiertelnym łożu pani de Saint-Méran: aby nie zwlekać ze ślubem Valentine. Wie pan, że sprawy finansowe nieboszczki są w najlepszym porządku, że testament jej przeznacza cały majątek państwa Saint-Méranów mojej córce. Notariusz pokazywał mi wczoraj akta, na których podstawie można ostatecznie spisać intercyzę. Proszę pójść do notariusza i powołać się na mnie, aby pokazał panu wszystkie te akta.

— Panie prokuratorze — odparł Franz — to chyba jednak za wcześnie, aby panna Valentine, pogrążona w takim smutku, mogła myśleć o małżeństwie; naprawdę, obawiałbym się...

— Valentine — przerwał pan de Villefort — będzie miała tylko jedno pragnienie: aby spełnić ostatnią wolę babki. Mogę panu zaręczyć, że z tej strony nie będzie żadnych przeszkód.

— W takim razie, ponieważ i z mojej strony nie ma żadnych przeszkód, proszę robić to, co uważa pan za stosowne. Dałem słowo i wywiążę się z niego z przyjemnością, będzie to dla mnie wręcz szczęście.

— A więc nic już nas nie zatrzymuje. Intercyza miała być podpisana trzy dni temu, jest więc gotowa i możemy ją podpisać jeszcze dziś.

— A żałoba? — zawahał się Franz.

— Proszę się nie martwić. W moim domu nigdy nie zaniedbuje się konwenansów. Valentine może wyjechać na trzy miesiące do swoich dóbr w Saint-Méran; mówię do swoich, bo przecież od dziś już do niej należą. Tam, po tygodniu, jeśli pan pozwolisz, odbędzie się ślub cywilny — skromnie i bez rozgłosu.

— Jak pan sobie życzy.

— A teraz — dodał pan de Villefort — mam prośbę: niech pan tu poczeka pół godziny. Valentine przyjdzie do salonu. Poślę po notariusza pana Deschamps, odczytamy i podpiszemy natychmiast intercyzę, wieczorem pani de Villefort zawiezie Valentine do Saint-Méran, a za tydzień i my tam pojedziemy.

— O jedno tylko chciałbym pana prosić.

— Tak?

— Chciałbym, aby byli przy tym Albert de Morcerf i Raul de Château-Renaud; wiesz pan, że prosiłem ich już na świadków.

— Czekam więc tu na pana, za pół godziny Valentine będzie gotowa.

Franz pożegnał się i wyszedł. Zaledwie zamknęła się za nim brama, Villefort kazał uprzedzić Valentine, że ma zejść do salonu za pół godziny, gdzie będzie czekał na nią notariusz i świadkowie pana d'Epinaya.

Tak niespodziewana wiadomość sprawiła ogromne wrażenie w całym domu. Pani de Villefort nie chciała wierzyć własnym uszom, a w Valentine uderzył jakby grom z jasnego nieba.

Chciała pobiec do dziadka, ale na schodach natknęła się na pana de Villeforta, który wziął ją za rękę i zaprowadził do salonu.

W przedpokoju zobaczyła Barrois i rzuciła na niego rozpaczliwe spojrzenie.

Po chwili do salonu przyszła pani de Villefort z Edwardkiem. Widać było, że również brała udział w rodzinnym smutku. Była blada i wydawała się straszliwie znużona. Usiadła,

wzięła Edwardka na kolana i co chwila konwulsyjnie przyciskała do siebie to dziecko, na którym koncentrowało się jej całe życie.

Wkrótce zaturkotały powozy wjeżdżające na dziedziniec. Jednym przyjechał notariusz, drugim zaś Franz z przyjaciółmi. Po chwili wszyscy zebrali się w salonie. Valentine była tak blada, że na jej skroniach i policzkach przeświytywały przez skórę niebieskie żyłki. Franz nie mógł również pohamować wzruszenia.

Château-Renaud i Albert zdziwieni spoglądali po sobie. Wydawało im się, że pogrzeb, w którym wzięli dziś udział, był równie smutny jak ceremonia, która miała się właśnie zacząć.

Pani de Villefort usiadła w cieniu aksamitnej zasłony, a że bez przerwy pochylała się nad synkiem, trudno było wyczytać, co się działo w jej sercu.

Pan de Villefort był jak zwykle niewzruszony.

Notariusz, przygotowawszy sobie uprzednio — tak jak to czynią prawnicy — wszystkie papiery, zajął miejsce w fotelu, przesunął na czoło okulary i zwrócił się do Franza.

— Czy pan Franz de Quesnel, baron d'Epinay? — zapytał, chociaż dobrze wiedział, do kogo mówi.

— Tak, proszę pana — odpowiedział Franz.

Notariusz skłonił się.

— Muszę zatem pana uprzedzić ze strony pana de Villeforta, że projekt mariażu z panem zmienił rozporządzenia, jakie pan Noirtier powziął wobec wnuczki — to znaczy całkowicie ją wydziedziczył. Trzeba jednak dodać — ciągnął notariusz — że testator nie miał prawa jej wydziedziczyć, a ponieważ tak zrobił, testament może być łatwo unieważniony.

— Tak — rzekł Villefort — ale muszę też uprzedzić pana d'Epinaya, że póki żyję, nie pozwolę na obalenie testamentu. Moje stanowisko nie pozwala nawet na cień skandalu.

— Przykro mi — odezwał się Franz — że poruszamy podobną kwestię przy pannie Valentine. Nigdy nie dowiadywałem się o jej majątek, który nawet jeśli jest uszczuplony, zawsze będzie większy od mojego. Rodzina moja starała się o alians z państwem de Villefortami ze względu na znaczenie, a ja starałem się, myśląc o szczęściu.

Valentine podziękowała Franzowi niemal niedostrzegalnym gestem i ciche łzy spłynęły po jej policzkach.

— Zresztą, drogi panie — rzekł pan de Villefort, zwracając się do przyszłego zięcia — ten nieoczekiwany testament, zawodząc tylko nadzieje natury finansowej, nie ma w sobie nic takiego, co mogłoby urazić pana osobiście. Świadczy on tylko o zdziecinnieniu pana Noirtiera. Mojemu ojcu wcale nie chodzi o to, że Valentine ma pana poślubić, nie podoba mu się po prostu, że w ogóle kogoś poślubia. Na starość wszyscy są egoistami: panna de Villefort wiernie dotrzymywała towarzystwa panu Noirtierowi, czego nie może robić pani baronowa d'Epinay. Nieszczęsny stan ojca sprawia, że rzadko mówimy mu o ważnych sprawach, bo jego słaby umysł i tak by ich nie pojął. Przekonany jestem, że chociaż mój ojciec pamięta, że wnuczka jego wychodzi za mąż, to na pewno zapomniał, jak się nazywa jego przyszły wnuk.

Zaledwie pan de Villefort przestał mówić (Franz ukłonił się w odpowiedzi na te słowa), gdy otwarły się drzwi i na progu pojawił się Barrois.

— Wielmożni panowie — rzekł tonem dziwnie stanowczym jak na sługę, który przerywa swym panom w tak uroczystej chwili — pan Noirtier de Villefort pragnie mówić natychmiast z panem Franzem de Quesnelem, baronem d'Epinay.

Stary sługa wymienił w całości, podobnie jak notariusz, nazwisko i tytuł narzeczonego, aby nie zaszła pomyłka co do osoby.

Villefort zadrżał, pani de Villefort puściła Edwardka, który zsunął się jej z kolan, a Valentine podniosła się blada i niema jak posąg.

Albert i Château-Renaud wymienili jeszcze bardziej zdziwione spojrzenia.

Notariusz spojrzał na pana de Villeforta.

— To niemożliwe — rzekł prokurator — poza tym pan d'Epinay nie może w tej chwili wyjść z salonu.

— Ale właśnie w tej chwili — odezwał się Barrois z taką samą stanowczością w głosie — pan Noirtier pragnie pomówić z panem Franzem d'Epinayem o ważnych sprawach.

— O, to kochany dziadunio już mówi? — zapytał Edwardek ze zwykłą sobie bezczelnością.

Dowcip jednak nie ubawił nawet pani de Villefort, wszystkich bowiem pochłaniała ta równie poważna sytuacja.

— Powiedz panu Noirtierowi — rzekł Villefort — że to, czego żąda, jest niemożliwe.

— Pan Noirtier uprzedza w takim razie panów, że każe się przynieść do salonu — oznajmił Barrois.

Zdumienie doszło do najwyższego stopnia.

Na licach pani de Villefort pojawił się blady uśmiech, Valentine mimowolnie podniosła oczy, by podziękować Bogu.

— Valentine — rzekł Villefort — idź i dowiedz się, proszę, co to za nowa fantazja strzeliła do głowy dziadkowi.

Valentine szybko podeszła do drzwi, ale pan de Villefort rozmyślił się.

— Poczekaj, pójdę z tobą.

— Przepraszam — zwrócił się do niego Franz — ale ponieważ pan Noirtier chce się widzieć ze mną, to przede wszystkim ja powinienem do niego pójść. Zresztą będę szczęśliwy, mogąc mu złożyć uszanowanie, bo dotąd nie miałem tego zaszczytu.

— Ależ, mój Boże — zaprotestował Villefort z widocznym niepokojem — niech pan sobie nie zadaje trudu.

— Przepraszam pana — odparł stanowczo Franz — ale nie chcę przepuścić okazji, dzięki której przekonam pana Noirtiera, że niesłusznie powziął ku mnie niechęć. Zwyciężę te uprzedzenia, okazując mu głębokie oddanie.

I nie przejmując się już Villefortem, który próbował go zatrzymać, wstał i udał się za Valentine, która zbiegała po schodach z radością, jaką czuje tonący, gdy dotknie ręką skały.

Pan de Villefort poszedł za nimi.

Château-Renaud i Morcerf spojrzeli na siebie po raz trzeci — a ich zdumienie nie miało już granic.

74. PROTOKÓŁ

Noirtier ubrany na czarno, siedział w fotelu i czekał.

Gdy przybyły trzy osoby, których się spodziewał, spojrzał na drzwi, a służący zamknął je natychmiast.

— Pamiętaj — szepnął Villefort do Valentine, która nie mogła już pohamować radości — gdyby dziadek chciał zrobić cokolwiek, co mogłoby zerwać twój mariaż, nie wolno ci pokazać, że go rozumiesz.

Valentine zaczerwieniła się, ale nie odpowiedziała.

Villefort przystąpił do pana Noirtiera.

— Oto pan Franz d'Epinay — rzekł. — Chciał się z nim ojciec widzieć, uczynił więc zadość twojej woli. Pragnęliśmy od dawna, abyście się spotkali i byłbym niewymownie szczęśliwy, jeśli ojciec zrozumie teraz, że opór ze strony ojca wobec tego związku jest nieuzasadniony.

Noirtier odpowiedział takim spojrzeniem, że Villeforta przebiegł dreszcz.

Dał znak, aby zbliżyła się do niego Valentine.

Dzięki sposobom, jakich używała od lat w rozmowie z dziadkiem, domyśliła się szybko, o jakie słowo mu chodzi: klucz.

Spojrzała pytająco na dziadka. Jego wzrok przeniósł się na szufladę konsolki[1272], stojącej pomiędzy oknami.

Otworzyła szufladkę i znalazła w niej rzeczywiście klucz.

Noirtier potwierdził, że właśnie o ten klucz mu chodziło, po czym zwrócił oczy na stary, nieużywany od lat sekretarzyk, w którym — jak wszyscy sądzili — znajdowały się tylko bezwartościowe szpargały.

— Mam otworzyć sekretarzyk? — spytała Valentine.

— Tak.

— Szufladę z boku?

[1272] *konsolka* — ozdobny, wąski stolik umieszczany zwykle pod lustrem.. [przypis edytorski]

— Nie.
— Środkową?
— Tak.
Valentine otwarła środkową szufladkę i wyjęła plik papierzysk.
— Tego chciałeś, kochany dziadku?
— Nie.
Wyciągała więc kolejne pliki i pakiety papierów, aż w szufladzie nie pozostało nic.
— Nie ma tam już nic — rzekła.
Oczy Noirtiera zwróciły się na słownik.
— A, dobrze, dziadku, rozumiem — rzekła dziewczyna.
I zaczęła recytować litery alfabetu; przy literze S Noirtier dał znak, by się zatrzymała.
Otwarła słownik i jęła wodzić palcem aż do słowa „skrytka".
— Aha, więc w sekretarzyku jest skrytka? — spytała.
— Tak — odpowiedział Noirtier.
— Któż wie, jak ją otworzyć?
Noirtier spojrzał na drzwi, którymi wyszedł służący.
— Barrois? — rzekła.
— Tak.
Valentine podeszła do drzwi i zawołała sługę.
Przez ten czas Villefort denerwował się tak, że pot oblewał mu czoło, a Franz nie mógł wyjść z podziwu.
Wszedł stary sługa.
— Barrois — rzekła Valentine — dziadek kazał mi wziąć klucz z konsolki, otworzyć sekretarzyk i wysunąć szufladę; ale jest w niej skrytka. Podobno wiecie o niej, proszę ją więc otworzyć.
Barrois spojrzał na starca. Noirtier przytaknął słowom Valentine. Szuflada miała podwójne dno — w środku leżała gruba koperta przewiązana czarną wstążką.
— Czy mam oddać te papiery panu de Villefortowi? — spytał Barrios.
— Nie.
— Pannie Valentine?
— Nie.
— Panu d'Epinayowi?
— Tak.
Franz, zdumiony, podszedł do przodu, wziął papiery z rąk Barrois i rzucił okiem na kopertę, na której było napisane:

> Oddać po mojej śmierci mojemu przyjacielowi, generałowi Durand, który umierając, wręczy tę kopertę swemu synowi, zalecając, aby ją przechował u siebie, zawiera bowiem papiery wielkiej wagi.

— Cóż mam zrobić z tymi papierami, proszę pana? — zapytał Franz.
— Zapewne ma je pan przechować zapieczętowane u siebie — wtrącił prokurator.
— Nie, nie — zaprotestował żywo Noirtier.
— Chcesz, kochany dziadku, aby pan d'Epinay to przeczytał? — spytała Valentine.
— Tak — odpowiedział starzec.
— Czy słyszysz, panie baronie? Dziadek prosi, abyś pan to przeczytał.
— Więc usiądźmy — wtrącił niecierpliwie Villefort — bo to zajmie trochę czasu.
Villefort usiadł, a Valentine stanęła przy dziadku, wsparta o jego krzesło; Franz również stał, trzymając w ręku tajemnicze dokumenty.
— Czytaj pan — mówiły oczy starca.
Franz rozerwał kopertę — w pokoju zapanowała głęboka cisza. Wśród tego milczenia jął czytać na głos:

> Odpis z protokołu posiedzenia Klubu Bonapartystów, odbytego przy ulicy Saint-Jacques w dniu 5 lutego 1815 roku.

Franz zatrzymał się.
— 5 lutego 1815 roku dzień, w którym został zamordowany mój ojciec!
Valentine i Villefort milczeli; oko starca wyraźnie nakazywało:
— Czytaj dalej.
Franz przystąpił więc do lektury:

My, niżej podpisani: Ludwik Jakub Beauregard — podpułkownik artylerii, Stefan Duchampy — generał brygady i Klaudiusz Lecharpal — dyrektor Urzędu do spraw Lasów i Wód

oświadczamy niniejszym, iż dnia 4 lutego 1815 roku nadszedł list z Elby, zalecający członkom Klubu, by okazywali życzliwość i zaufanie generałowi Flawianowi de Quesnelowi. Generał ów służył cesarzowi od 1804 do 1814 roku, jest więc zapewne całkowicie oddany dynastii napoleońskiej, pomimo tytułu barona d'Epinay, jaki otrzymał od nazwy dóbr rozkazem Ludwika XVIII.

Napisano zatem list do generała Quesnela, zapraszając go na zebranie w dniu następnym — to jest 5 lutego. W liście nie wymieniono ani ulicy, ani numeru domu, gdzie odbyć się miało posiedzenie; nie podpisano też listu, zawiadamiając tylko generała, że jeżeli się zgadza, ktoś po niego przyjedzie o godzinie dziewiątej wieczór.

Posiedzenia trwały zazwyczaj od dziewiątej wieczór do północy.

O dziewiątej prezes klubu przyszedł do generała. Generał był gotów.

Prezes oświadczył mu, że może być wprowadzony do klubu, pod warunkiem że nie dowie się o miejscu zebrania, a więc tylko jeśli pozwoli sobie zawiązać oczy i przysięgnie, iż nie będzie usiłował podnieść opaski.

Generał de Quesnel przyjął ten warunek i przysiągł na honor, iż nie będzie usiłował zobaczyć, którędy go będą prowadzić.

Kazał zaprząc do powozu, ale prezes oświadczył mu, że nie mogą jechać jego własnym powozem, albowiem stangret generała mógłby wtedy poznać drogę.

— A zatem jak mamy to zrobić? — zapytał generał.

— Mam swój powóz — rzekł prezes.

— Możesz pan być tak pewien swojego stangreta, aby powierzyć mu tajemnicę, której mojemu nie chcesz powierzyć?

— Nasz stangret jest członkiem klubu — rzekł prezes. — Zawiezie nas sam radca stanu.

— Hm, w takim razie — roześmiał się generał — unikamy jednego niebezpieczeństwa, ale narażamy się na inne — może nas wywrócić.

Cytujemy ten żart na dowód, iż generała nikt nie zmuszał, by jechał na zebranie i że przybył tam z własnej woli.

W powozie prezes przypomniał generałowi obietnicę. Generał nie opierał się wcale tej formalności i pozwolił sobie zawiązać oczy fularem[1273], który był już przygotowany.

W drodze prezesowi wydało się, iż generał usiłuje zerkać spod chustki; przypomniał mu więc przysięgę.

— A, prawda, przepraszam — rzekł generał.

Powóz zatrzymał się na ulicy Saint-Jacques przed długą sklepioną sienią[1274]. Generał wysiadł, wspierając się na ramieniu prezesa, o którego godności zresztą nic nie wiedział i uważał go za prostego członka klubu.

Z sieni weszli na piętro, do sali obrad.

Posiedzenie już się rozpoczęło. Członkowie klubu, uprzedzeni, iż tego wieczora ma się odbyć prezentacja nowego członka, stawili się w komplecie.

Gdy generał znalazł się na środku sali, poproszono go, aby zdjął opaskę.

[1273] *fular* — chustka lub szal z jedwabnej tkaniny. [przypis edytorski]
[1274] *sień* — przelotowe pomieszczenie komunikacyjne pomiędzy głównym wejściem a dalszymi pomieszczeniami wewnątrz budynku. [przypis edytorski]

Uczyniwszy to, zdziwił się bardzo, ujrzawszy wielu swoich znajomych, należących do organizacji, której istnienia się nie domyślał.

Zapytano go o przychylność dla sprawy; odpowiedział, iż listy z Elby powinny go wystarczająco rekomendować...

Franz przerwał lekturę.

— Mój ojciec był rojalistą — rzekł. — Niepotrzebnie pytali go o przekonania, były wiadome wszystkim.

— Dlatego też byliśmy w takiej przyjaźni z pańskim ojcem — rzekł Villefort. — Podobne przekonania łatwo zbliżają ludzi.

— Czytaj dalej — mówiło oko starca.

Franz powrócił do czytania:

Prezes jął naciskać, aby generał wyraźniej wyjawił swoje poglądy; jednak pan de Quesnel odpowiedział, iż chce naprzód wiedzieć, czego od niego chcą.

Powiedziano więc generałowi, iż klub otrzymał list z Elby, w którym polecano go członkom klubu jako człowieka, na którego mogą liczyć.

Osobny paragraf listu mówił także o spodziewanym powrocie z Elby. Więcej szczegółów miał zawierać drugi list, przywieziony na statku „Faraon" należącym do niejakiego pana Morrela, armatora z Marsylii; kapitan statku był duszą i ciałem oddany cesarzowi.

W czasie lektury tego listu generał, na którego — jak sądziliśmy — można było liczyć jak na brata, wyraźnie okazywał niezadowolenie, a nawet odrazę.

Gdy zakończono odczytywanie listu, stał nadal, milcząc, ze zmarszczonymi brwiami.

— I co więc pan generał powie na ten list? — zapytał prezes.

— Nie po to dopiero co przysięgałem królowi Ludwikowi XVIII, abym miał łamać słowo dla eks-cesarza.

Odpowiedź była tak jasna, że nie można już było wątpić, jakie poglądy wyznaje generał.

— Generale — rzekł prezes — nie znamy żadnego Ludwika XVIII ani eks-cesarza. Jest tylko jeden cesarz i król wygnany zdradą i podstępem dziesięć miesięcy temu z Francji, nad którą nadal sprawuje władzę.

— Wybaczcie, panowie — odparł generał — być może nie istnieje dla panów Ludwik XVIII, ale dla mnie istnieje. Z jego rąk przyjąłem tytuł barona i szlify generała-kwatermistrza, i nigdy nie zapomnę, że oba te tytuły zawdzięczam jego szczęśliwemu powrotowi do Francji.

— Panie — odezwał się surowo prezes, powstając z miejsca — niech pan uważa na to, co mówi. Pańskie słowa dają wyraźnie do zrozumienia, że na Elbie popełniono błąd, licząc na pana, i w ten sposób nas samych w błąd wprowadzono! Powierzyliśmy panu pewne informacje, jako człowiekowi godnemu zaufania. Okazuje się, że byliśmy w błędzie. Tytuł i stopień wiążą pana z rządem, który my mamy zamiar obalić. Nie zmuszamy pana bynajmniej, abyś nam udzielił pomocy, nie wciągamy tu nikogo wbrew jego woli, ale będziemy naciskać, byś postąpił jak człowiek honoru, choćby to nawet sprzeciwiało się pana poglądom.

— Mówi pan, że byłby człowiekiem honoru ten, kto znając wasz spisek, nie wydałby go! A ja mówię, że taki człowiek byłby waszym wspólnikiem. Widzicie panowie, że jestem szczerszy od was...

— O, mój ojcze! — zawołał Franz. — Teraz rozumiem, czemu cię zamordowali!

Valentine mimo woli spojrzała na Franza; w tym synowskim uniesieniu młody człowiek był naprawdę piękny.

Villefort przechadzał się wzdłuż i wszerz po pokoju, stale za Franzem.

Noirtier — spokojny, surowy, pełen godności — śledził wzrokiem wyraz twarzy każdego z obecnych.

Franz zaczął znów czytać.

— Na to spotkanie pana zaprosiliśmy — rzekł prezes — a nie przywieźliśmy gwałtem. Zapytaliśmy, czy pozwolisz sobie zawiązać oczy, zgodziłeś się. Przystając na nasze dwie propozycje, wiedziałeś pan aż nadto, że nie pracujemy nad umocnieniem władzy Ludwika XVIII — przecież wtedy nie mielibyśmy powodu kryć się tak przed policją. Byłoby to zbyt wygodne przywdziać maskę, aby poznać naszą tajemnicę, a potem zrzucić ją, aby zgubić tych, którzy panu zaufali. O nie, mój panie, musisz pan nam wyraźnie powiedzieć, czy jesteś za królem, który w tej chwili rządzi z przypadku, czy też za Jego Cesarską Mością.

— Jestem rojalistą — oświadczył generał. — Przysięgałem Ludwikowi XVIII i nie złamię danego słowa.

Po tych słowach zebrani zaszemrali, a spojrzenia, jakie wymieniali, mówiły, iż mają zamiar dać odczuć panu d'Epinayowi, że pożałuje tych nieopatrznych słów.

Prezes wstał znowu i uciszył salę.

— Jesteś pan na tyle rozsądnym i poważnym człowiekiem — rzekł — że możesz przewidzieć, jakie konsekwencje może pociągnąć dla obu stron ta sytuacja, przeto sama pańska szczerość zmusza nas do postawienia panu warunków: przysięgnij na honor, że nie wyjawisz nic z tego, coś tu usłyszał.

Generał położył rękę na szpadzie i rzekł:

— Kiedy mówicie o honorze, przekonajcie mnie najpierw, że znacie jego zasady i nie zmuszajcie mnie do tego gwałtem!

— A ty, panie — zareplikował prezes ze spokojem groźniejszym niż gniew generała — radzę ci, nie dotykaj szpady.

Generał rozejrzał się wokół, a w jego oczach widać było narastający niepokój.

Jednak jeszcze nie uległ, przeciwnie — przygotował wszystkie siły do walki:

— Nie przysięgnę.

— A więc zginiesz — odparł spokojnie prezes.

Pan d'Epinay pobladł, raz jeszcze się rozejrzał; wielu zaczynało szeptać i szukać pod płaszczem broni.

— Generale — rzekł prezes — proszę się uspokoić, znajdujesz się pomiędzy ludźmi honoru; zrobimy wszystko, aby cię przekonać, zanim zostaniemy przywiedzeni do ostateczności; ale sam pan powiedziałeś: znajdujesz się wśród spiskowców, posiadłeś naszą tajemnicę i musisz dochować sekretu.

Po tych słowach nastąpiło znaczące milczenie, ale generał nie odpowiadał — i prezes rzekł do odźwiernych:

— Proszę zamknąć drzwi.

I znowu nastała grobowa cisza.

Natenczas generał postąpił naprzód i przezwyciężając się z trudem, rzekł:

— Mam syna, muszę o nim myśleć, gdy mnie otaczają mordercy.

— Generale — rzekł z godnością prezes — jeden człowiek ma zawsze prawo znieważać pięćdziesięciu; jest to przywilej słabości. Źle jednak czyni ten, gdy tego przywileju nadużywa. Generale, zastosuj się do mej rady, przysięgnij i nie znieważaj nas.

Generał poskromiony wyższością prezesa wahał się przez chwilę, a w końcu, zbliżywszy się do stołu prezydialnego, zapytał:

— Jakaż ma być rota[1275] przysięgi?

— Taka: „Przysięgam na honor, iż nigdy nikomu nie wyznam tego, com widział i słyszał dnia 5 lutego 1815 roku pomiędzy dziewiątą i dziesiątą wieczór; oświadczam, że zasłużę na śmierć, jeśli złamię przysięgę".

Generałem zawładnęło tak wielkie oburzenie, że na chwilę zatamowało mu głos; na koniec, przezwyciężając widoczny wstręt, wymówił słowa

[1275] *rota* — tu: formuła przysięgi. [przypis edytorski]

przysięgi, ale tak cicho, iż zaledwo można było dosłyszeć; wielu obecnych zażądało, aby powtórzył przysięgę głośniej i wyraźniej; tak też się stało.

— Teraz chciałbym stąd wyjść — rzekł generał. — Jestem już wolny?

Prezes powstał, wyznaczył trzech członków klubu, aby mu towarzyszyli i wsiadł z generałem do powozu, zawiązawszy mu wpierw oczy.

W liczbie tych ludzi był także i ten, który tu generała przywiózł.

Inni członkowie rozeszli się w milczeniu.

— Gdzie mamy pana wysadzić? — spytał prezes.

— Gdziekolwiek, bylebym jak najszybciej pozbył się waszego towarzystwa — odpowiedział pan d'Epinay.

— Zastanów się pan, co mówisz — rzekł doń wtedy prezes — bo już nie jesteś na zebraniu i masz do czynienia z ludźmi prywatnymi; nie znieważaj ich, jeśli nie chcesz odpowiadać za zniewagę.

Jednak pan d'Epinay nie chciał przyjąć do wiadomości tej rady i odparł:

— Jesteś pan taki odważny w powozie, jak i na zebraniu, bo jest was czterech na jednego.

Prezes kazał zatrzymać powóz.

Było to na quai des Ormes[1276], tuż przy miejscu, gdzie do rzeki prowadzą schody.

— Dlaczego kazał pan się tu zatrzymać? — spytał generał d'Epinay:

— Ponieważ mnie pan znieważyłeś — odparł prezes — i nie pojadę dalej, póki nie otrzymam od pana satysfakcji.

— O, to tak mam zostać zamordowany! — rzekł generał, wzruszając ramionami.

— Ani słowa więcej, mój panie — odparł prezes — jeśli nie chcesz, abym cię uważał za człowieka takiego, o jakim mówiłeś, to jest za tchórza, który ze swojej słabości robi sobie tarczę. Jesteś pan sam jeden, a więc będziesz miał do czynienia tylko z jednym przeciwnikiem; masz szpadę u boku, a ja mam szpadę schowaną w tej lasce; brak ci świadków, a więc wybierz sobie jednego z tych panów. A teraz, jeśli chcesz, możesz odsłonić oczy.

Generał natychmiast zerwał opaskę z oczu.

— Dowiem się w końcu — rzekł — z kim mam do czynienia.

Otwarto drzwiczki powozu i czterej mężczyźni wysiedli.

Franz przerwał raz jeszcze lekturę i otarł zimny pot z czoła.

Był to widok poruszający do żywego: syn, blady i drżący, czytający na głos o nieznanych sobie dotąd szczegółach śmierci własnego ojca.

Valentine złożyła ręce jak do modlitwy.

Noirtier patrzył na syna z wyrazem najwyższej pogardy i dumy.

Franz czytał dalej.

Było to, jakeśmy już powiedzieli, 5 lutego. Od trzech dni panował sześciostopniowy mróz i schody obmarzły lodem; generał był wysoki i tęgi, toteż prezes odsunął się, aby generał miał, schodząc, dostęp do poręczy.

Dwaj świadkowie szli za nimi. Noc była ciemna, brzeg rzeki pokrywał śnieg i lód, woda Sekwany płynęła ciemna, głęboka, unosząc na powierzchni kry lodu. Jeden ze świadków poszedł po latarnię na barkę z węglem; przy tym świetle obejrzano broń. Szpada prezesa, którą nosił w lasce, krótsza była o pięć cali od szpady przeciwnika i nie miała gardy. Generał d'Epinay przedłożył propozycję, aby o broń losowali, ale prezes odpowiedział, że skoro to on wyzwał, każdy powinien stanąć do walki z własną bronią.

Świadkowie oponowali, ale prezes nakazał im milczenie.

Postawiono latarnię na ziemi; przeciwnicy stanęli naprzeciwko siebie i walka się zaczęła.

Szpady migotały w świetle latarni jak dwie błyskawice, walczących zaś ledwie można było dojrzeć, tak gęste zalegały ciemności. Generał d'Epinay

[1276] *quai des Ormes* — daw. nabrzeże w Paryżu. [przypis edytorski]

uchodził w armii za jednego z lepszych szermierzy. Został jednak tak gwałtownie zaatakowany, że musiał uskoczyć — a wówczas zachwiał się i upadł. Świadkowie myśleli, że nie żyje, przeciwnik jednak, wiedząc, iż go nawet nie dotknął, podał mu rękę i pomógł się podnieść. Okoliczność ta, zamiast ułagodzić, rozzłościła jeszcze bardziej generała, tak że natychmiast natarł na przeciwnika. Przeciwnik nie ustąpił ani kroku. Parował uderzenia i generał po trzykroć ponawiał atak i po trzykroć musiał się cofnąć.

Za trzecim razem upadł znowu.

Pomyślano, że się znów pośliznął, że zaś leżał ciągle bez ruchu, świadkowie chcieli mu pomóc wstać; ale jeden z nich, obejmując go wpół, uczuł pod ręką ciepłą wilgoć.

Była to krew.

Generał, który na chwilę stracił przytomność, odzyskał zmysły.

— Aha! — odezwał się. — Poszczuli na mnie jakiegoś zawadiakę, jakiegoś fechmistrza pułkowego.

Prezes nie odpowiedział nic, tylko zbliżył się do świadka, który trzymał latarnię, i odwijając rękaw, pokazał rękę dwa razy pchniętą szpadą, potem rozpiął surdut i kamizelkę i pokazał zranioną pierś.

Jednak ani nie jęknął.

Generał d'Epinay ledwie już oddychał i po pięciu minutach skonał.

Franz odczytał te ostatnie słowa tak zduszonym głosem, że trudno było je dosłyszeć. Zatrzymał się, przeciągnął ręką po oczach, jakby chciał rozpędzić jakiś cień.

Po chwili jednak milczenia czytał dalej.

Prezes schował szpadę do laski i wszedł na schody, a ślady krwi znaczyły na śniegu każdy jego krok. Nie zdążył jeszcze dotrzeć na górę, gdy usłyszał głuchy plusk. Świadkowie, przekonawszy się, iż generał rzeczywiście nie żyje, wrzucili jego ciało do wody. Generał więc zginął w uczciwym pojedynku, nie zaś skutkiem zasadzki, jakby można utrzymywać.

Na potwierdzenie prawdziwości faktów podpisujemy niniejszy protokół, aby żaden z uczestników tego dramatu nie został kiedyś oskarżony o umyślne zabójstwo lub o niedochowanie praw honoru.

Podpisani:

Beauregard, Duchampy, Lecharpal

Franz zakończył tak okropną dla syna lekturę. Valentine, blada ze wzruszenia, otarła łzy. Villefort, kuląc się drżący w kącie i usiłując zapobiec burzy, patrzył błagającym wzrokiem na nieugiętego starca.

— Jeżeli znasz pan tę straszną historię w najdrobniejszych szczegółach — odezwał się Franz do Noirtiera — jeżeli kazałeś, aby poświadczyli ją podpisami wiarygodni świadkowie, jeżeli wreszcie, jak mi się zdaje, jest mi pan przychylny, chociaż dotąd ta przychylność sprawiła mi tylko ból, nie odmawiaj mi tej jedynej pociechy i wyjaw mi nazwisko owego prezesa. Niech poznam w końcu tego, co zabił mi ojca.

Villefort zaczął szukać klamki u drzwi, po omacku, jakby mu się robiło ciemno przed oczyma.

Valentine, odgadując, jaka będzie odpowiedź starca — nieraz widziała na jego przedramieniu dwie blizny — cofnęła się nagle o krok.

— Na litość boską! — zawołał Franz, zwracając się do narzeczonej. — Proszę się za mną wstawić, niechże dowiem się, kto mnie uczynił sierotą, gdy miałem zaledwie dwa lata!

Valentine stała milcząca, bez ruchu.

— O, proszę się uspokoić — wtrącił się Villefort. — Nie przedłużaj jeszcze tej dramatycznej sceny. Nazwisk nie podano rozmyślnie. Mój ojciec sam nie wie, kim był ów prezes, a gdyby go nawet znał, nie potrafiłby panu tego powiedzieć, bo imion własnych nie ma przecież w słowniku.

— O, ja nieszczęśliwy! — wykrzyknął Franz. — To była nadzieja, która dodawała mi sił, aby dobrnąć do końca tego dokumentu, nadzieja, że poznam przynajmniej nazwisko tego, który zabił mi ojca! O, na litość boską! — zwrócił się do Noirtiera. — Na litość, uczyń wszystko, co jesteś w stanie... błagam pana... proszę mi jakoś spróbować przekazać to nazwisko...

— Dobrze — dał znak Noirtier.

— O, pannno Valentine! — zawołał Franz. — Dziadek pani dał znak, że mi wyjawi, kto to był... proszę mi pomóc...

Noirtier spojrzał na słownik.

Franz z nerwowym drżeniem porwał słownik i jął wymieniać głoski alfabetu.

Starzec dał znak przy literze J.

Valentine zasłoniła dłońmi twarz.

Palec Franza niedługo wędrował po karcie słownika.

Zatrzymał się przy wyrazie *ja*.

— Tak — dał znak starzec.

— Pan?! — zawołał Franz i włosy powstały mu na głowie. — Pan, panie Noirtier, zabił mi ojca?!

— Tak — potwierdził Noirtier i utkwił w młodym człowieku pełen godności wzrok.

Franz opadł bezwładnie na fotel.

Villefort otwarł drzwi i uciekł: obawiał się, że byłby zdolny zadławić w straszliwym starcu tę resztkę istnienia, która wciąż jeszcze tliła się w jego sercu.

75. POSTĘPY MŁODEGO PANA CAVALCANTIEGO

Pan Cavalcanti, ojciec Andrei, odjechał, by ponownie podjąć służbę, jednakże nie w armii Jego Cesarskiej Mości Cesarza Austriackiego, lecz przy ruletce w Lukce — miejscowości kuracyjnej, gdzie należał do najgorliwszych dworzan.

Nie trzeba dodawać, iż z najdokładniejszą skrupulatnością wybrał, co do grosza, całą sumę przyznaną mu na podróż oraz wynagrodzenie za godny i pełen majestatu sposób, w jaki odegrał rolę ojca.

Wraz z tym odjazdem Andrea otrzymał wszystkie papiery świadczące o tym, że miał honor być synem margrabiego Bartolomea i margrabiny Leonory Corsinari. Zadomowił się mniej więcej w tym paryskim towarzystwie, które tak łatwo przyjmuje cudzoziemców i obchodzi się z nimi, ceniąc każdego nie wedle tego, kim jest, ale wedle tego, za i kogo chce uchodzić. Wreszcie — czegóż to w Paryżu wymaga się od młodzieńca? Żeby używał w miarę poprawnego języka, przyzwoicie się ubierał, grał śmiało i płacił złotem. Nie ulega wątpliwości, że od cudzoziemca wymagają mniej jeszcze niż od Paryżanina. Już po dwóch tygodniach więc Andrea zdobył sobie wcale niezłą pozycję; nazywano go panem hrabią, mówiono, że ma pięćdziesiąt tysięcy liwrów rocznego dochodu i powiadano, iż ojciec jego jest w posiadaniu niezmiernych skarbów ukrytych gdzieś w kamieniołomach Saravezza.

Pewien uczony, przy którym była mowa na temat tychże kamieniołomów, zapewnił, iż je widział, co nadało ogromnej wagi niepewnym dotychczas stwierdzeniom i nabrały one odtąd rzeczywistego charakteru.

Tak się sprawy miały w kręgu paryskiej socjety[1277], do którego wprowadziliśmy naszego czytelnika, gdy pewnego wieczoru Monte Christo odwiedził pana Danglarsa. Nie zastał go w domu, zaproszono więc hrabiego do baronowej, która naturalnie wizytę przyjęła.

Od obiadu w Auteuil i wypadków, które po nim nastąpiły, pani Danglars reagowała swego rodzaju niespokojnym drżeniem, ilekroć wymawiano nazwisko Monte Christo.

Kiedy brzmienie jego nazwiska nie było zwiastunem przybycia samego hrabiego, wtedy to bolesne uczucie wzmagało się jedynie; jeśli zaś hrabia zjawiał się, otwarta jego osoba, oczy błyszczące, uprzejmość, grzeczność nadzwyczajna dla pani Danglars, rozpraszały najmniejsze cienie jej obaw. Zdawało się baronowej rzeczą niepodobną, aby człowiek o tak zachwycającej powierzchowności mógł w stosunku do niej żywić jakieś złe zamiary;

[1277] *socjeta* (z fr.) — towarzystwo. [przypis edytorski]

zresztą najbardziej nawet zepsute serce nie wierzy w zło, którego nie może usprawiedliwić jakimś interesem. Zło bezużyteczne i bezpodstawne odstręcza samo przez się jako niedorzeczność.

Gdy hrabia wszedł do buduaru, dokąd wprowadziliśmy już raz naszego czytelnika, zastał baronową, jak niespokojnie przeglądała rysunki swojej córki, pokazane już wcześniej młodemu panu Cavalcantiemu. Jak zwykle zadrżała na wzmiankę nazwiska hrabiego, ale mimo zmieszania przyjęła go z uśmiechem.

Hrabia jednym rzutem oka pojął całą scenę.

Przy baronowej, która w pozycji półleżącej spoczywała na kozetce[1278], siedziała Eugenia; Cavalcanti stał.

Ubrany na czarno niczym bohater Goethego[1279], w lakierowanych trzewikach i ażurowych białych pończochach, przeciągał białą, dosyć starannie wypielęgnowaną ręką po swoich blond włosach, wśród których pobłyskiwał diament; w próżności swej bowiem, młodzieniec, mimo rad hrabiego, nie oparł się pokusie włożenia go na mały palec.

Ruchowi temu towarzyszyły zabójcze spojrzenia wymierzone w pannę Danglars oraz czułe westchnienia wysyłane w tę samą stronę.

Panna Danglars nie zmieniła się wcale; wciąż była piękna, zimna i szydercza. Żadne spojrzenie, żadne z westchnień Andrei nie uszło jej uwagi; rzekłbyś jednak, że ześlizgiwały się jak po pancerzu Minerwy[1280].

Eugenia skłoniła się chłodno hrabiemu i korzystając z pierwszych konwencjonalnych zdań rozmowy, zniknęła w swoim salonie do nauki, skąd wkrótce dały się słyszeć dwa wesołe głosy połączone z dźwiękami fortepianu. Monte Christo zrozumiał, że panna Danglars woli towarzystwo panny Ludwiki d'Armilly, swojej nauczycielki śpiewu, od towarzystwa jego i pana Cavalcantiego.

Rozmawiając z panią Danglars i udając, że jest całkowicie pod urokiem tej konwersacji, hrabia przyglądał się zachowaniu pana Andrei: Andrea podszedł do drzwi i z uwielbieniem nasłuchiwał dochodzącej zza nich muzyki, nie mogąc się zdobyć na przekroczenie progu.

Wkrótce powrócił bankier. Pierwsze jego spojrzenie przeznaczone było dla Monte Christa, ale już następne dla Andrei. Żonę powitał w sposób typowy dla niektórych mężów, którego to sposobu żaden kawaler pojąć nie zdoła, dopóki nie ukaże się obszerny kodeks małżeńskich stosunków.

— Cóż to, panny nie zaprosiły pana do swojego towarzystwa? — zapytał Danglars Andrei.

— Niestety nie — odpowiedział Andrea, wzdychając bardziej jeszcze wymownie niż poprzednio.

Danglars natychmiast podszedł do drzwi salonu i otworzył je. Dziewczęta siedziały przy fortepianie na jednej kanapce. Każda z nich grała jedną ręką; ćwiczenie to powtarzały często i doszły już do niezwykłej wprawy w jego wykonywaniu. W ramie otwartych drzwi tworzyły jakby pełen uroku obraz rodzajowy, podobny do tych, jakie się często maluje w Niemczech.

Ludwika była drobną, szczupłą blondynką o wyglądzie wróżki. Miała bujne, kręcone włosy opadające puklami na nieco przydługą szyję, w czym przypominała Madonny z obrazów Perugina. Oczy miała jakby przymglone zmęczeniem. Mówiono, że ma słabe płuca i że pewnego dnia umrze, śpiewając operową arię.

Monte Christo rzucił szybkie i ciekawe spojrzenie w głąb tego *gyneceum*[1281]; pierwszy raz widział pannę d'Armilly, chociaż tak często mówiono o niej w tym domu.

— Czyżbyśmy zostali wykluczeni z towarzystwa muzycznego? — zapytał baron córkę.

Poprowadził młodzieńca do saloniku i czy to przypadkiem, czy umyślnie, zamknął drzwi za Andreą w taki sposób, że ani Monte Christo, ani baronowa ze swoich miejsc

[1278] *kozetka* — wąski mebel bez oparcia przeznaczony do leżenia. . [przypis edytorski]

[1279] *Goethe, Johann Wolfgang* (1749–1832) — jeden z najwybitniejszych autorów niem., poeta, dramaturg, prozaik, uczony i polityk, główny reprezentant nurtu „burzy i naporu", przedstawiciel klasycyzmu weimarskiego. [przypis edytorski]

[1280] *Minerwy* (mit. rzym.) — bogini pochodzenia etruskiego, opiekunka sztuki, rzemiosła, nauki i literatury, utożsamiana z gr. boginią mądrości, Ateną; jako patronka wojny przedstawiana jest z orężem i w zbroi, na którą składa się napierśnik i hełm. [przypis edytorski]

[1281] *gyneceum* — pomieszczenie dla kobiet; pokoje kobiece. [przypis edytorski]

nie mogli już nic więcej dojrzeć; ale skoro sam pan Danglars go tam wprowadził, pani Danglars nie zwróciła na to uwagi.

Wkrótce też hrabia usłyszał głos Andrei śpiewającego przy akordach fortepianu jakąś korsykańską piosenkę.

Gdy hrabia przysłuchiwał się z uśmiechem piosence, zapomniał o Andrei, a przyszedł mu na myśl Benedetto; pani Danglars zaś wychwalała przed nim opanowanie męża, który tego ranka z powodu bankructwa w Mediolanie stracił jakieś trzysta do czterystu tysięcy franków.

Rzeczywiście, pochwała była zasłużona, hrabia bowiem, gdyby nie dowiedział się o tym od samej baronowej, czy też w jakiś inny, tylko sobie znany sposób, nie wyczytałby niczego z twarzy barona.

„To dobrze — pomyślał hrabia w duchu. — Zaczyna ukrywać swoje straty, a jeszcze przed miesiącem chełpił się nimi".

Po czym rzekł głośno:

— Droga pani, pan Danglars tak dobrze zna giełdę, że zawsze zdoła odzyskać, to co stracił.

— Widzę, że podziela pan powszechne, choć błędne przekonanie — rzekła pani Danglars.

— Jakież to przekonanie? — zapytał Monte Christo.

— Że pan Danglars gra na giełdzie, podczas gdy on wcale nie gra.

— A tak! Rzeczywiście przypominam sobie, że pan Debray mówił mi... a właśnie, co się z nim dzieje? Nie widziałem go od trzech czy czterech dni.

— I ja go nie widziałam — rzekła pani Danglars z osobliwym spokojem. — Ale zaczął pan jakieś zdanie i nie dokończył.

— Jakie zdanie?

— Że pan Debray mówił panu...

— A tak... pan Debray mówił mi, że to pani oddaje się demonowi gry.

— Tak, przyznaję, że przez jakiś czas sprawiało mi to przyjemność — rzekła pani Danglars — ale już mnie to nie bawi.

— I niesłusznie, proszę pani. Mój Boże, fortuna kołem się toczy; ja, gdybym był kobietą, a przypadkiem jeszcze żoną bankiera, oczywiście nie przestawałbym ufać szczęściu mego męża, bo jak sama pani wie: w spekulacjach wszystko zależy od szczęścia. Ale, jak powiadam, chociaż ufałbym zupełnie szczęściu mego męża, jednak chciałbym sobie zapewnić niezależny majątek, nawet gdyby przyszło mi zaryzykować wszystko, powierzając swoje interesy nieznanej mi osobie.

Pani Danglars mimo woli zarumieniła się.

— Proszę tylko pomyśleć — rzekł Monte Christo, udając, że niczego nie spostrzegł. — Wczoraj podobno ktoś zrobił całkiem niezły interes na akcjach neapolitańskich.

— Nie mam ich — odpowiedziała żywo baronowa — i nigdy ich nie miałam. Ale doprawdy, przestańmy już mówić o giełdzie, panie hrabio, wyglądamy bowiem jak dwaj maklerzy giełdowi; pomówmy raczej o tych biednych Villefortach, tak ciężko doświadczanych przez los.

— Cóż im się stało? — zapytał Monte Christo z dobrze udaną naiwnością.

— Musiał pan o tym słyszeć. Kilka dni po śmierci pana de Saint-Mérana przyjechała margrabina, po czym i ona zmarła.

— A tak — rzekł Monte Christo. — Słyszałem o tym, ale jak powiada Klaudiusz w *Hamlecie*, takie jest prawo natury: rodzice umierają przed dziećmi i dzieci po nich płaczą, po czym same umrą przed własnymi dziećmi i również będą opłakiwane przez swoich potomków.

— Ale to jeszcze nie wszystko.

— Jak to nie wszystko?

— Otóż, z pewnością wie pan, że mieli wydać córkę za mąż...

— Za pana d'Epinaya... czy małżeństwo nie doszło do skutku?

— Podobno wczoraj rano d'Epinay zwrócił dane im słowo.

— Doprawdy?... A znane są przyczyny tego zerwania?

— Nie.

— Coś podobnego! Jakże pan de Villefort znosi wszystkie te nieszczęścia?

— Jak zawsze, ze spokojem filozofa.

W tej chwili wszedł pan Danglars.

— Jak to — rzekła baronowa — zostawiłeś pana Cavalcantiego samego ze swoją córką?

— I z panną d'Armilly — rzekł bankier — Za kogóż ty ją masz?

Po czym, zwracając się do Monte Christa, rzekł:

— Czarujący młodzieniec ten książę Cavalcanti, nieprawdaż, hrabio? Tylko czy on rzeczywiście jest księciem?

— Za to nie mogę ręczyć — odpowiedział Monte Christo. — Jego ojca przedstawiono mi jako margrabiego, pan Andrea zatem powinien być hrabią; zdaje mi się jednak, że on sam nie wykazuje wielkich pretensji do tego tytułu.

— A to czemu? — zaoponował baron. — Jeżeli jest księciem, to nie ma racji, że się tym nie chlubi. Należy cenić swą godność. Ja sam nie lubię bardzo, gdy ktoś się wypiera własnego pochodzenia.

— Ale pan jest prawdziwym demokratą — rzekł z uśmiechem Monte Christo.

— Zauważ jednak, na co się narażasz — rzekła baronowa — gdyby pan de Morcerf przyszedł tu przypadkiem, zastałby pana Cavalcantiego w pokoju, do którego, on — narzeczony Eugenii — nigdy nie otrzymał prawa wstępu.

— Dobrze się wyraziłaś moja droga, że przypadkiem — odpowiedział bankier — bo też rzeczywiście chyba przypadek musiałby sprawić, by tak rzadki gość się tu zjawił.

— A jednak, gdyby przyszedł i zastał tego młodzieńca u naszej córki, byłby raczej niezadowolony.

— On! Dobry Boże! Bardzo się mylisz, moja droga, pan Albert nie zaszczyci nas raczej uczuciem zazdrości o swoją narzeczoną, aż tak bardzo jej nie kocha. Zresztą, co mnie obchodzi, czy będzie zadowolony czy nie.

— A jednak sprawy zaszły już tak daleko...

— O tak, sprawy zaszły już bardzo daleko, tak daleko, że na balu u swojej matki pan de Morcerf raz tylko zatańczył z moją córką, a pan Cavalcanti tańczył z nią trzy razy i wicehrabia wcale tego nie zauważył.

— Pan wicehrabia Albert de Morcerf! — zaanonsował lokaj.

Baronowa pospiesznie wstała. Chciała pójść do saloniku, by powiadomić córkę, ale pan Danglars przytrzymał ją za ramię.

— Daj spokój — rzekł.

Baronowa spojrzała na niego zdziwiona.

Monte Christo udał, że nie widział całej tej sceny.

Albert wszedł, a wyglądał dziś pięknie i był wyjątkowo radosny. Ukłonił się szarmancko pani Danglars, barona powitał poufale, a hrabiego przyjaźnie; następnie zwrócił się do baronowej:

— Czy wolno mi zapytać panią, jak samopoczucie panny Eugenii?

— Wyśmienicie, proszę pana — odpowiedział żywo pan Danglars — Właśnie w tej chwili zajęta jest muzyką w saloniku z panem Cavalcantim.

Albert pozostał niewzruszony i obojętny; może w duchu się zirytował, ale czuł na sobie spojrzenie Monte Christa.

— Pan Cavalcanti śpiewa bardzo pięknym tenorem — rzekł — a panna Eugenia ma wspaniały sopran, nie wspominając nawet, że gra na fortepianie jak sam Thalberg[1282]. To musi być prześliczny koncert.

— Rzeczywiście, zgadzają się wybornie — odparł Danglars.

Albert, zdawało się, nie dostrzegł tego dwuznacznika, tak grubiańskiego, że pani Danglars się zarumieniła.

— Ja także — rzekł następnie młodzieniec — jestem muzykalny, tak przynajmniej twierdzili moi nauczyciele; dziwna rzecz jednak, bo jak dotąd głos mój nie zgodził się z żadnym głosem, a zwłaszcza z sopranem.

Danglars uśmiechnął się z lekka, co miało znaczyć: „A złość się, złość!".

— Toteż książę z moją córką wzbudzili wczoraj powszechny zachwyt — rzekł, licząc zapewne, że w ten sposób osiągnie swój cel. — Nie było pana wczoraj, panie de Morcerf?

[1282] *Thalberg, Sigismund* (1812–1871) — austr. kompozytor, pianista. [przypis edytorski]

— Jaki książę? — zapytał Albert.

— Książę Cavalcanti — odpowiedział Danglars, tytułując uparcie młodzieńca w ten właśnie sposób.

— A, przepraszam — rzekł Albert. — Nie wiedziałem, że jest księciem. Aha, to książę Cavalcanti śpiewał wczoraj z panną Eugenią? Rzeczywiście musiało to być zachwycające, i mocno żałuję, że nie słyszałem. Nie mogłem jednak skorzystać wczoraj z państwa zaproszenia, musiałem bowiem towarzyszyć matce mojej w odwiedzinach u pani baronowej de Château-Renaud, gdzie występ mieli śpiewacy niemieccy.

Po chwili milczenia Albert jak gdyby nigdy nic zapytał:

— Czy mógłbym złożyć moje uszanowanie pannie Eugenii?

— Za chwilkę, za chwilkę, błagam — rzekł bankier, zatrzymując młodzieńca. — Niech pan posłucha jeszcze tej *cavatiny*[1283], ta, ta, ta, ti, ta ti, ta, ta.... zachwycające, skończą za sekundę: wspaniale! Bravo! Bravi! Brava!

I bankier począł zapalczywie klaskać.

— Istotnie — rzekł Albert. — Było to prześliczne, chyba nie można lepiej znać muzyki swego kraju, niż zna ją książę Cavalcanti. Nazwał go pan księciem, jeśli się nie mylę? Zresztą, choćby nawet nie był księciem, z pewnością nim zostanie, we Włoszech to nic trudnego. Ale, wracając do naszego urzekającego duetu, może by pan zrobił nam przyjemność, baronie, i nie mówiąc nic córce ani panu Cavalcantiemu, że słucha ich ktoś obcy, poprosiłby pan, aby zaśpiewali inny jeszcze kawałek. Tak dobrze jest rozkoszować się muzyką z pewnego oddalenia, w półmroku, nie widząc i nie będąc widzianym, nie krępując w ten sposób artysty, który może oddać się wtedy bez reszty porywom serca i geniuszu.

Tym razem zimna krew młodzieńca zbiła Danglarsa z tropu.

Wziął Monte Christa na stronę.

— No i co pan powie o naszym zakochanym?

— Do licha! Wydaje mi się zimny jak lód, nie da się zaprzeczyć; ale co począć? Pan się już zobowiązał.

— Niewątpliwie, zobowiązałem się, ale że oddam moją córkę człowiekowi, który ją kocha, a nie takiemu, który jej nie kocha wcale. No, niech pan na niego popatrzy, zimny jak marmur, dumny jak jego ojciec; gdyby chociaż był bogaty, gdyby miał taki majątek jak Cavalcanti, machnąłbym ręką. Ech, nie naradziłem się jeszcze z córką, ale jeśli ma dobry gust...

— No, nie wiem — odparł Monte Christo. — Być może zaślepia mnie przyjaźń, ale mogę pana zapewnić, że pan de Morcerf jest ujmującym młodzieńcem, który niewątpliwie uszczęśliwi pana córkę i prędzej czy później dojdzie do czegoś; w końcu jego ojciec ma znakomitą pozycję.

— Hmm! — chrząknął Danglars.

— Skąd ta wątpliwość?

— Chodzi o jego przeszłość... ciemną przeszłość.

— Ale przecież przeszłość ojca nie dotyczy syna.

— Prawda, prawda...

— E, niech pan nie wydziwia, baronie. Jeszcze przed miesiącem uważał pan to małżeństwo za doskonałą partię... Proszę też zrozumieć, że martwi mnie to, bo przecież właśnie u mnie poznał pan młodego Cavalcantiego, którego ja sam dobrze nie znam, powtarzam to panu.

— Ale ja go znam, to wystarczy — rzekł Danglars.

— Zna go pan? Zebrał więc pan o nim jakieś informacje? — zapytał Monte Christo.

— A to konieczne? Czyż nie jest tak, że od pierwszego rzutu oka wiadomo, z kim ma się do czynienia? Przede wszystkim jest bogaty.

— W granicach jakichś nędznych pięćdziesięciu tysięcy liwrów.

— Odebrał znakomite wychowanie.

— Ehmm! — odchrząknął z kolei Monte Christo.

— Jest pan dla niego niesprawiedliwy.

[1283] *cavatina* — rodzaj solowej pieśni lirycznej w operze. [przypis edytorski]

— Tak, przyznaję, ale z przykrością patrzę, jak ten młodzieniec, wiedząc o pańskich zobowiązaniach wobec Morcerfów, próbuje pokrzyżować wasze plany, a wykorzystuje do tego swój majątek.

Danglars roześmiał się.

— Jakiż purytanin z pana! — rzekł. — Takie rzeczy zdarzają się co dzień na świecie.

— Nie może pan jednak, drogi baronie, zrywać ot tak, dla kaprysu: Morcerfowie liczą na ten związek.

— Toteż muszą w końcu postawić sprawę jasno i otwarcie. Mógłby pan o tym kilka słów napomknąć generałowi, drogi hrabio, ma pan przecież względy w tym domu.

— Ja! Gdzie pan, u diabła, to spostrzegł?

— Jak to? Zdaje mi się, że widziałem u nich na balu, jak dumna hrabina Mercedes, ta pyszna Katalonka, która zaledwie raczy usta otworzyć do swych dawnych znajomych, wzięła pana pod rękę i wyszła z panem do ogrodu, gdzie przez blisko pół godziny spacerowaliście w bocznych alejkach.

— Ależ baronie, baronie! — zawołał Albert. — Pan nam przeszkadza słuchać; toż to barbarzyństwo, jak na takiego melomana!

— Cóż robić, szanowny panie żartownisiu — odparł Danglars.

A zwracając się do Monte Christa rzekł:

— To co, wspomni pan o tym generałowi?

— Chętnie, jeśli pan sobie tego życzy.

— Chodzi tylko o to, postawić rzecz jasno i stanowczo; przede wszystkim niech poprosi o rękę mojej córki dla swojego syna, niech wyznaczy datę, warunki pieniężne; musimy się wreszcie porozumieć lub ostatecznie wszystko zerwać; dość tego zwlekania.

— Dobrze. Misja zostanie spełniona.

Po tym oświadczeniu Danglars westchnął w taki sam sposób, jak przed pół godziną młody Cavalcanti.

— Bravi! Bravo! Brava! — zawołał Albert, przedrzeźniając bankiera i klaszcząc na zakończenie pieśni.

Danglars spojrzał krzywo na Alberta, ale w tej samej chwili lokaj szepnął mu parę słów do ucha.

— Zaraz wrócę — rzekł bankier do Monte Christa. — Proszę na mnie poczekać, być może będę miał panu jeszcze coś do powiedzenia.

Baronowa, korzystając z nieobecności męża, otworzyła drzwi do saloniku; w tej chwili obecni ujrzeli pana Andreę wstającego gwałtownie od fortepianu, przy którym siedział z panną Eugenią.

Albert z uśmiechem ukłonił się pannie Danglars, która bynajmniej niezmieszana odpowiedziała mu ukłonem jak zwykle chłodnym. Cavalcanti wyraźnie zdawał się być zakłopotany. Ukłonił się Morcerfowi, ten zaś odpowiedział mu ukłonem jawnie wyrażającym impertynencję. W tej chwili Albert zaczął rozpływać się w zachwytach nad głosem panny Danglars, wyrażając jednocześnie największy żal, iż nie mógł zjawić się na wczorajszym koncercie i słyszeć jej śpiewu.

Cavalcanti, pozostawiony samemu sobie, wziął na bok Monte Christa.

— Teraz już dosyć — odezwała się pani Danglars. — Dosyć tej muzyki i komplementów, proszę na herbatę.

Przeszli do sąsiedniego salonu, gdzie rzeczywiście herbata była już gotowa. Kiedy odkładano już, na sposób angielski, łyżeczki do pustych filiżanek, otworzyły się drzwi i wszedł Danglars wyraźnie czymś poruszony. Zwłaszcza Monte Christo spostrzegł to poruszenie i spojrzał na bankiera pytającym wzrokiem.

— Odebrałem właśnie — rzekł Danglars — korespondencję z Grecji.

— Jak się miewa król Otton? — zapytał radośnie Albert.

Danglars spojrzał na niego z ukosa i nic nie odpowiedział. Monte Christo odwrócił się, chcąc ukryć wyraz litości, który przemknął przez jego twarz, ale natychmiast zniknął.

Albert nie mógł pojąć, dlaczego bankier spojrzał na niego tak nieprzychylnie; obracając się więc do Monte Christa, który doskonale wiedział o co chodzi, zapytał:

— Widział pan, jak on na mnie popatrzył?

— Owszem — odpowiedział hrabia. — Ale czy było coś szczególnego w tym spojrzeniu?

— Tak sądzę; ale co też mogą znaczyć te jego wiadomości z Grecji?

Monte Christo uśmiechnął się w taki sposób, w jaki zawsze uśmiechał się, gdy chciał uniknąć odpowiedzi.

— Oto i on — rzekł Albert. — Zbliża się do pana; ja tymczasem podejdę do panny Eugenii i powiem parę komplementów na temat jej kamei[1284], a wtedy ojciec będzie mógł z panem pomówić.

— Jeżeli chce pan obdarzyć ją jakimś komplementem, niech pan przynajmniej pochwali jej głos — doradził Monte Christo.

— O nie. Głos przecież chwalą wszyscy.

— Mój kochany hrabio — rzekł Monte Christo. — Ma pan szczególny dar prawienia niegrzeczności.

Albert z uśmiechem podszedł do Eugenii.

Od razu też Danglars nachylił się do ucha hrabiego:

— Dał mi pan doskonałą radę — rzekł. — Okropna historia wiąże się z tymi dwoma słowami: Fernand i Janina.

— Ach tak? — zapytał Monte Christo.

— Tak, opowiem panu wszystko; ale niech pan zabierze stąd najpierw tego młodzieńca, zbyt krępowałaby mnie teraz jego obecność.

— Tak właśnie zamierzałem zrobić, razem wychodzimy. Czy wciąż pan chce, bym przysłał tu jego ojca?

— Bardziej niż kiedykolwiek.

Hrabia dał znak Albertowi. Ukłonili się obaj damom i wyszli: Albert wykazując największą obojętność dla wzgardy, jaką obdarzała go panna Danglars, Monte Christo — ponawiając przeznaczone dla pani Danglars rady odnośnie środków ostrożności, jakie żona bankiera powinna przedsięwziąć w trosce o swoją przyszłość.

Na polu bitwy zatriumfował pan Cavalcanti.

76. HAYDE

Ledwie konie hrabiego skręciły za róg bulwaru, Albert odwrócił się w kierunku Monte Christa, wybuchając śmiechem tak głośnym, że aż sztucznym.

— Zapytam teraz pana — rzekł — zadając to samo pytanie, jakie król Karol IX[1285] zadał Katarzynie Medycejskiej[1286] po nocy świętego Bartłomieja: jak sądzisz, czy dobrze odegrałem swoją rolę?

— W związku z czym? — zapytał Monte Christo.

— W związku z instalacją mojego rywala u pana Danglarsa.

— Jakiego rywala?

— Na Boga! Jak to, jakiego? Twego protegowanego, hrabio, pana Andreę Cavalcantiego!

— Mój hrabio; ja nie proteguję nigdzie pana Andrei, a tym bardziej u państwa Danglarsów.

— Czyniłbym panu ten zarzut, gdyby ten młodzieniec rzeczywiście potrzebował pańskiej protekcji. Na szczęście dla mnie, może się bez tego obejść.

— Jak to? Myśli pan, że już uderzył w konkury[1287]?

— Ręczę za to. Przewraca oczami, wzdycha i grucha miłośnie na różne tony, słowem: stara się o rękę dumnej panny Eugenii.

— I co z tego, skoro tam myślą tylko o panu?

— Kochany hrabio, pan raczy żartować. Atakowany jestem na dwa fronty.

[1284] *kamea* — ozdoba z kamienia szlachetnego lub półszlachetnego z płaskorzeźbą, często portretową. [przypis edytorski]

[1285] *Karol IX Walezjusz* (1550–1574) — król Francji (od 1560); pozostawał pod silnym wpływem matki, Katarzyny Medycejskiej, która sprawowała rządy podczas jego małoletności; na jego panowanie przypada początek wojen religijnych we Francji po masakrze hugenotów (francuskich protestantów) w Wassy (1562) oraz krwawa rozprawa z hugenotami w Paryżu (tzw. noc św. Bartłomieja, 1572). [przypis edytorski]

[1286] *Katarzyna Medycejska* (1519–1589) – księżna z rodu wł. Medyceuszy, żona króla Francji Henryka II; po śmierci swego męża w 1559 wywierała decydujący wpływ na politykę swych synów, kolejnych królów Francji: Franciszka II, Karola IX i Henryka III Walezego; oskarżana o sprowokowanie rzezi hugenotów w noc św. Bartłomieja. [przypis edytorski]

[1287] *konkury* (daw.) — staranie się o rękę kobiety. [przypis edytorski]

— Jak to na dwa fronty?

— Tak jest: panna Eugenia ledwie raczy mi odpowiadać, a panna d'Armilly, jej przyjaciółka, wcale mi nie odpowiada.

— Tak, ale ojciec uwielbia pana — rzekł Monte Christo.

— On? Ależ przeciwnie, tysiące sztyletów wbija w moje serce, wprawdzie sztylety te, niczym w teatrze, godzą tylko w rękaw, on jednak myśli, że ranią mnie boleśnie.

— Zazdrość świadczy o uczuciu.

— Owszem, tylko że ja nie jestem zazdrosny. Zakładam się, że nim minie tydzień, zamknie mi z hukiem drzwi przed nosem.

— Myli się pan, kochany wicehrabio.

— Ma pan na to dowód?

— Zostałem zobowiązany, by poprosić pana hrabiego de Morcerfa o ostateczną rozmowę z baronem.

— Kto pana zobowiązał?

— Sam baron!

— Ale nie zrobi pan tego, kochany hrabio, prawda? — rzekł Albert tonem najmilszym, na jaki mógł się zdobyć.

— Myli się pan, Albercie, przyrzekłem i zrobię.

— No tak — westchnął Albert. — Wyraźnie chce mnie pan ożenić za wszelką cenę.

— Zależy mi, by utrzymywać ze wszystkimi dobre stosunki. Ale co się dzieje z Debrayem, nie widuję go już u baronowej?

— Podobno posprzeczali się.

— Z baronową?

— Nie, z baronem.

— Sądzi pan, że coś podejrzewa? — zapytał Monte Christo z rozbrajającą naiwnością w głosie.

— Co też pan mówi, drogi hrabio! Wrócił pan z księżyca?

— Wydaje się panu, że ja znam się na wszystkich tych pańskich paryżanach?

— Kochany hrabio, ludzie są wszędzie tacy sami; gdy w jakimkolwiek kraju pozna pan dokładnie jednostkę, będzie pan miał wyobrażenie o całym rodzaju.

— Z jakiej więc przyczyny poróżnili się Danglars z Debrayem? Przecież tak dobrze ze sobą żyli — rzekł Monte Christo z tą samą naiwnością.

— I tu właśnie natykamy się na misteria Izydy[1288], do których ja nie jestem dopuszczony. Kiedy pan Cavalcanti wejdzie już do rodziny, zapyta pan go o to.

Kareta stanęła.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł Monte Christo. — Jest dopiero wpół do jedenastej, może pan wejdzie.

— Bardzo chętnie.

Weszli do domu i zasiedli w oświetlonym salonie.

— Zrób nam herbaty, Baptysto — rzekł hrabia.

Baptysta wyszedł bez słowa. Po dwóch sekundach wrócił z zastawioną tacą — zupełnie, jakby ktoś wypowiedział magiczne zaklęcie „Stoliczku, nakryj się"[1289].

— W istocie, mój drogi hrabio — rzekł Albert — to, co najbardziej w panu podziwiam, to nie pański majątek (bo być może są bogatsi od pana), nie jest to też pański dowcip (bo Beaumarchais nie miał go więcej, ale z pewnością nie mniej od pana); imponuje mi za to sposób, w jaki jest pan obsługiwany: bez słowa, a wszystko jest podane w minutę lub sekundę, jakby pańska służba odgadywała po uderzeniu dzwonka, czego pan sobie życzy lub też jakby wszystko było gotowe i tylko na pana czekało.

— Jest w tym coś z prawdy. Znają wszystkie moje zwyczaje; i tak na przykład, może ma pan ochotę na coś jeszcze, pijąc herbatę?

— A, rzeczywiście, chętnie bym zapalił.

Monte Christo wstał i raz zadzwonił.

[1288] *Izyda* (mit.) — bogini płodności, patronka macierzyństwa i rodziny, w starож. Rzymie przyjęta jako jedno z wcieleń Wielkiej Matki; na cześć Izydy odbywały się misteria (tajne obrzędy, na które wstęp miały tylko wybrane osoby). [przypis edytorski]

[1289] *Stoliczku, nakryj się* — nawiązanie do baśni braci Grimm. [przypis edytorski]

W sekundę drzwi się otworzyły i wszedł Ali z dwiema fajkami tureckimi nabitymi wybornym tytoniem.

— To fenomenalne! — wykrzyknął Morcerf.

— Ależ skąd, to bardzo proste — odrzekł Monte Christo. — Ali wie dobrze, że przy herbacie lub kawie zwykle palę fajkę; wie, że chciałem herbaty i widział, że przyszedłem z panem; teraz słyszał, że go wołam, a jako że pochodzi z kraju, gdzie dowodem gościnności jest właśnie fajka, domyślił się i przyniósł dwie zamiast jednej.

— No tak, ale w ten sposób można wszystko wyjaśnić; niemniej tylko u pana... ale co ja słyszę?

Albert pochylił się ku drzwiom, przez które rzeczywiście dochodziły jakieś dźwięki przypominające tony gitary.

— Kochany hrabio, jesteś skazany dziś wieczór na muzykę; zaledwie uciekł pan od fortepianu panny Danglars, wpada pan z kolei na guzlę mojej Hayde.

— Hayde! Śliczne imię! To naprawdę istnieją kobiety, które nazywają się tak jak w poematach lorda Byrona?

— Oczywiście; Hayde jest bardzo rzadkim imieniem we Francji, ale dość pospolitym w Albanii i Epirze; oznacza ono, w przybliżeniu: czystość, wstydliwość, niewinność. Jest to rodzaj imienia chrzestnego, jak mawiacie w Paryżu.

— O, jakież to urocze! Jakbym chciał, by nasze Francuzki nazywały się, dajmy na to: panna Dobroć, panna Milczenie, panna Miłosierdzie Chrześcijańskie! Niech sam pan powie, gdyby tylko panna Danglars, zamiast nazywać się Klara Maria Eugenia, nosiła imiona Czystość Wstydliwość Niewinność, do licha, ale zrobiłoby to efekt przy zapowiedziach.

— Szaleńcze! — rzekł hrabia. — Niech pan nie żartuje tak głośno, Hayde mogłaby usłyszeć.

— Rozgniewałaby się?

— O, nie — rzekł hrabia ze zwykłą sobie wyniosłością.

— Czy to tak dobra osoba? — zapytał Albert.

— Nie chodzi tu tyle o dobroć, ile o poczucie obowiązku: niewolnica nie może gniewać się na swego pana.

— Dałby pan spokój tym żartom; czyż istnieją jeszcze niewolnice?

— Najwyraźniej tak, skoro Hayde jest moją niewolnicą.

— Niebywałe, że z pana taki indywidualista; robi pan wszystko inaczej niż ogół. Niewolnica hrabiego de Monte Christo! To we Francji niesłychane. Sądząc z tego, jak pan sypie złotem, posada niewolnicy przynosi jej ze sto tysięcy dukatów rocznie.

— Sto tysięcy dukatów! Biedactwo to miało bez porównania więcej; gdy przyszła na świat, otaczały ją skarby, wobec których bogactwa z *Baśni tysiąca i jednej nocy* są prawie niczym.

— Więc to naprawdę księżniczka?

— Tak. Z jednego z najbardziej szacownych rodów w swoim kraju.

— Tak też podejrzewałem. Ale jakim sposobem tak wielka księżniczka stała się niewolnicą?

— Wojna, przypadek, kochany wicehrabio, kaprys losu...

— A jej nazwisko jest tajemnicą?

— Dla wszystkich tak, ale nie dla pana, drogi Albercie — mojego przyjaciela, jeżeli tylko przyrzeknie mi pan, że będzie milczał.

— Daję słowo honoru.

— Czy zna pan historię Paszy z Janiny?

— Alego Tebelina? Oczywiście, to u niego na służbie mój ojciec zrobił majątek.

— A prawda. Zapomniałem o tym.

— Co więc wspólnego ma Hayde z Alim Tebelinem?

— Po prostu jest jego córką.

— I jest pana niewolnicą? Jak to?

— A tak, do licha! Pewnego dnia kupiłem ją w Konstantynopolu, gdy przechodziłem przez tamtejszy targ.

— To niezwykłe! Z panem, drogi hrabio, przeżywa się ciągły sen na jawie. Proszę i mnie teraz posłuchać, ale być może... będzie to z mojej strony nietaktowna prośba.

— Proszę mówić.

— Otóż, skoro pan z nią wychodzi i bywa w Operze... To niech mnie pan hrabia przedstawi swojej księżniczce.

— Chętnie, ale mam dwa warunki.

— Z góry się na nie zgadzam.

— Po pierwsze: nie powie pan nigdy nikomu, że przedstawiłem ją panu.

— Oczywiście! — Morcerf podniósł rękę — przysięgam.

— Po drugie: nie powie jej pan, że pana ojciec służył u jej ojca.

— Przysięgam.

— A więc dobrze. Niech pan jednak pamięta o tych dwóch przysięgach.

— Och! — obruszył się Albert.

— Dobrze, dobrze. Wiem, że jest pan człowiekiem honoru.

Hrabia uderzył znowu w dzwonek; pojawił się Ali.

— Powiedz Hayde, że wypiję u niej kawę i daj jej do zrozumienia, że pytam, czy mogę jej przedstawić jednego z moich przyjaciół.

Ali skłonił się i wyszedł.

— Jeszcze jedno, drogi Albercie, proszę jej nie zadawać żadnych pytań. Jeżeli będzie pan chciał się czegoś dowiedzieć, proszę zapytać najpierw mnie, a ja powtórzę pytanie.

— Zgoda.

Ali pojawił się po raz trzeci i odsunął portierę na znak, że hrabia i Albert mogą wejść.

Albert poprawił ręką włosy i podkręcił wąsa; hrabia wziął kapelusz, włożył rękawiczki i poprowadził Alberta do apartamentu, którego niczym strażnik strzegł Ali, a broniły go trzy francuskie pokojówki dowodzone przez Myrto.

Hayde czekała w pokoju, który służył za salon. Otwarła ze zdumienia oczy, ponieważ Monte Christo po raz pierwszy przyprowadził do niej obcego mężczyznę.

Siedziała po turecku w rogu sofy, niczym ptaszek w gnieździe uwitym z najkosztowniejszych jedwabnych tkanin wschodnich, haftowanych złotem. Przy niej leżał instrument, z którego jeszcze przed chwilą rozchodziły się dźwięki.

Była zachwycająca.

Na widok hrabiego powstała i powitała go z uśmiechem córki i kochanki zarazem. Monte Christo podszedł do niej i podał jej rękę, do której jak zwykle przylgnęła ustami.

Albert przystanął we drzwiach, oszołomiony tą niezwykłą pięknością, tak odmienną od naszych, że nikt we Francji nie może mieć o niej żadnego wyobrażenia.

— Kogo mi przyprowadzasz? — zapytała po nowogrecku dziewczyna. — Brata, przyjaciela, zwykłego znajomego czy wroga?

— Przyjaciela — rzekł Monte Christo w tym samym języku.

— Kto to?

— Wicehrabia Albert, ten sam, którego w Rzymie wyswobodziłem z rąk bandytów.

— Jakim językiem mam się do niego zwracać?

Monte Christo zwrócił się do Alberta.

— Czy mówi pan językiem nowogreckim? — zapytał młodzieńca.

— Niestety nie! — zmartwił się Albert. — Nie znam też starożytnej greki; ani Homer, ani Platon[1290] nie mieli nigdy bardziej nędznego ucznia, powiedziałbym nawet bardziej niewdzięcznego, ode mnie.

— A więc — rzekła Hayde, dowodząc, że zrozumiała zarówno pytanie hrabiego, jak i odpowiedź Alberta — będę mówiła po francusku lub po włosku, jeśli tylko, mój panie, chcesz, abym mówiła.

Monte Christo zastanowił się chwilę.

— Mów po włosku — rzekł.

A zwracając się do Alberta:

[1290] *Platon* (427–347 p.n.e.) — filozof gr., kluczowa postać w rozwoju filozofii europejskiej; uczeń Sokratesa, nauczyciel Arystotelesa. [przypis edytorski]

— Wielka szkoda, że nie zna pan ani współczesnego, ani starożytnego greckiego, bo Hayde prześlicznie mówi tymi dwoma językami; biedaczka będzie zmuszona mówić z panem po włosku, dlatego może wyrobi pan sobie o niej fałszywe wyobrażenie.

I dał znak Hayde.

— Bądź pozdrowiony, przyjacielu, który przychodzisz z moim panem i władcą — rzekła dziewczyna najczystszą mową toskańską z łagodnym akcentem rzymskim, co uczyniło z języka Dantego mowę tak dźwięczną jak mowa Homera. — Ali! Podaj kawę i fajki.

Hayde skinęła na Alberta, aby się zbliżył, Ali tymczasem odszedł, by spełnić rozkazy swej młodej pani.

Monte Christo wskazał Albertowi dwa składane krzesełka, które przysunęli do małego okrągłego stolika. Pełno było na nim kwiatów, rysunków i nut, a pośród tego wszystkiego leżało nargile.

Ali wrócił z kawą i fajkami; do tych pokojów Baptyście nie wolno było wchodzić.

Albert nie przyjął fajki, którą podał mu Nubijczyk.

— Ależ proszę, niech pan zapali — rzekł Monte Christo. — Hayde jest wychowana prawie jak paryżanka; nie lubi cygar hawańskich ze względu na ich nieprzyjemną woń, ale tytoń wschodni ma piękny zapach, sam pan wie.

Filiżanki z kawą już czekały; cukiernicę podano tylko Albertowi. Monte Christo i Hayde pili napar na sposób arabski — bez cukru.

Hayde wyciągnęła rękę i końcami swoich drobnych, różowych i smukłych palców wzięła filiżankę z japońskiej porcelany, podniosła ją do ust rozkoszując się naiwnie kawą, jak dzieci, gdy jedzą lub piją coś, co szczególnie lubią.

W tej samej chwili weszły dwie służące z tacami pełnymi lodów i sorbetów[1291], stawiając je na dwóch niskich, przeznaczonych do tego stoliczkach.

— Mój drogi gospodarzu i pani, signora[1292] — odezwał się Albert po włosku. — Proszę mi wybaczyć moje zdumienie; jestem całkiem oszołomiony, ale to chyba naturalne, przecież znajduję tu Wschód i to Wschód prawdziwy, nie taki, jaki widziałem, ale o jakim marzyłem. I znajduję go tu, w sercu Paryża! Przed chwilą słyszałem turkot omnibusów[1293] i brzęk dzwoneczków sprzedawców lemoniady. O signora! Dlaczego nie znam greckiego! Rozmowa z panią byłaby dopełnieniem baśniowej atmosfery tego wieczoru, którego nigdy nie zapomnę!

— Mówię na tyle dobrze po włosku, że mogę z panem rozmawiać — rzekła Hayde — a skoro tak bardzo lubi pan Wschód, dołożę wszelkich starań, by odnalazł pan go tutaj.

— O czym mogę z nią mówić? — zapytał Albert szeptem hrabiego.

— O czym pan tylko zechce; o jej kraju, o jej młodości, wspomnieniach, a jeśli pan woli: o Rzymie, Neapolu lub Florencji.

— Och nie! — odparł Albert. — Jaki sens miałaby rozmowa z Greczynką na tematy poruszane zwykle z paryżankami. Będziemy rozmawiać o Wschodzie, jeśli pan pozwoli.

— Doskonale, kochany panie Albercie, będzie to dla niej najprzyjemniejsza rozmowa.

Albert zwrócił się do Hayde.

— W jakim wieku opuściła pani Grecję?

— Miałam wtedy pięć lat — odpowiedziała Hayde.

— Pamięta pani jeszcze swoją ojczyznę? — zapytał Albert.

Wspomnienia, Wyobraźnia, Wzrok

— Gdy zamykam oczy, oglądam wszystko, co kiedyś widziałam. Mamy dwa rodzaje wzroku: wzrok ciała i wzrok duszy. To, co wzrok ciała może nieraz zapomnieć, wzrok duszy zachowa na zawsze w pamięci.

— Jakie jest pani najwcześniejsze wspomnienie?

— Ledwie umiałam chodzić; moja matka, na imię jej było Vasiliki, Vasiliki znaczy królewska — dodała dziewczyna, unosząc głowę — brała mnie za rękę i szłyśmy obie, z przysłoniętymi twarzami, włożywszy całe nasze złoto do sakiewek, prosić o jałmużnę dla więźniów. Mówiłyśmy wtedy: „Ten, co ubogim daje, Wiecznemu daje". Gdy już napełniła się nasza sakwa, wracałyśmy do pałacu i nie mówiąc nic ojcu, odsyłałyśmy wszystkie

[1291] *sorbet* — deser z soku owocowego, przypominający lody. [przypis edytorski]

[1292] *signora* (wł.) — pani. [przypis edytorski]

[1293] *omnibus* — duży pojazd konny, używany w komunikacji miejskiej tak, jak dziś autobus. [przypis edytorski]

pieniądze, które zebrałyśmy jako ubogie kobiety, mnichom, oni zaś rozdzielali je między więźniów.

— Ile miała pani wtedy lat?

— Trzy — odpowiedziała Hayde.

— Hrabio — szepnął Morcerf do Monte Christa. — Czy pozwoli pan, aby signora opowiedziała nam coś ze swojego życia? Zabronił mi pan wspominać o moim ojcu, ale, być może, ona sama coś o nim opowie; nie wyobraża pan sobie, jaki byłbym szczęśliwy, gdybym usłyszał jego imię z tak pięknych ust.

Monte Christo odwrócił się ku Hayde i podnosząc brwi, dał jej znak, aby z uwagą zastosowała się do polecenia, które usłyszy, po czym rzekł po grecku:

— Opowiedz nam o losach swojego ojca, ale ani słowa o zdrajcy i samej zdradzie.

Hayde westchnęła głęboko, a jej jasne czoło zachmurzyło się.

— Co jej pan powiedział? — szepnął Morcerf.

— Jeszcze raz jej powtórzyłem, że jest pan naszym przyjacielem i że nie musi nic przed panem ukrywać.

— A zatem — powiedział Albert — pani pierwszym wspomnieniem są te wyprawy dla wsparcia więźniów? Czy coś jeszcze pani pamięta?

— Co jeszcze? Otóż widzę siebie w cieniu sykomorów, nad jeziorem, a pośród listowia prześwituje drżące zwierciadło wody; mój ojciec siedzi na poduszkach pod najstarszym i najgęstszym z drzew, ja — słabe dziecię jeszcze, a moja matka leży u stóp ojca. Bawiłam się jego siwą brodą opadającą na piersi albo kindżałem o rękojeści wysadzanej diamentami, który trzymał za pasem; od czasu do czasu podchodził jakiś Albańczyk i mówił coś ojcu, na co ja wcale nie zwracałam uwagi, a ojciec odpowiadał na to zawsze tym samym tonem: „zabij!". Albo: „daruj życie!".

— To dziwne, słyszeć podobne rzeczy, jakie do tej pory słyszałem tylko w teatrze, z ust tak młodej osoby i móc powiedzieć sobie: to nie fikcja. Jakże po tych poetyckich i cudownych dziejach czuje się pani we Francji?

— Zdaje mi się, że to piękny kraj — rzekła Hayde. — Widzę jednak Francję taką, jaką jest, bo patrzę na nią oczami kobiety; mój kraj zaś przeciwnie, widziałam go tylko oczami dziecka, zawsze więc jest zasnuty mgłą świetlistą lub mroczną, stosownie do tego, jak moje wspomnienia go przedstawiają: jako miłą ojczystą ziemię czy jako miejsce gorzkich cierpień.

— Jest pani tak młoda — rzekł Albert, nieświadomie wpadając w banał — jak to możliwe, że tyle pani wycierpiała?

— Dusza ludzka jest sumą pierwszych wspomnień, a z wyjątkiem tych, które już panu opowiedziałam, wszystkie inne wspomnienia z mojej młodości są smutne.

— Niech pani opowiada, signora — rzekł Albert. — Przysięgam, że będę pani słuchać z niewysłowioną przyjemnością.

Hayde uśmiechnęła się smutno.

— Miałam cztery lata, gdy pewnego wieczoru matka mnie obudziła. Byłyśmy w zamku, w Janinie; matka podniosła mnie z poduszek, na których spałam, a gdy otworzyłam oczy, spostrzegłam, że jest zalana łzami. Wzięła mnie bez słowa. Widząc, że płacze, ja również się rozpłakałam.

— Cicho, moje dziecię! — rzekła.

Nieraz, kapryśna jak każde dziecko, pomimo gróźb i pocieszeń nie przestawałam płakać; teraz jednak w głosie mojej matki było tyle strachu, że natychmiast ucichłam.

Szybko wyniosła mnie stamtąd. Schodziłyśmy po szerokich schodach; przed nami szły służące matki, niosąc kufry, sakwy, woreczki ze złotem, szaty i kosztowności. Za służącymi szło dwudziestu strażników uzbrojonych w długie strzelby i pistolety, a ubranych w stroje, jakie znacie i we Francji, od kiedy Grecja odzyskała niepodległość.

— Proszę mi wierzyć, było coś złowieszczego — dodała Hayde, potrząsając głową i blednąc na samo wspomnienie — w tym długim szeregu niewolnic i służących, zaspanych jeszcze, jak mi się zdawało, bo sama nie byłam dobrze rozbudzona.

Na schodach kołysały się olbrzymie cienie sosnowych pochodni, wprawiając w ruch wysokie sklepienia.

— Prędzej — zawołał głos z głębi galerii.

Na dźwięk tego głosu wszyscy pochylili się, jak kłosy pochylają się do ziemi, ulegając sile wiatru.

I ja zadrżałam. Był to głos mojego ojca

Ojciec szedł ostatni. Odziany we wspaniałe szaty, z karabinem w ręku, darowanym mu przez waszego cesarza, wsparty na ramieniu swojego faworyta — Selima. Poganiał nas przed sobą jak pasterz zatrwożoną trzodę.

— Mój ojciec — tu Hayde podniosła głowę — znany był w całej Europie jako Ali Tebelin, pasza Janiny, przed którym drżała cała Turcja.

Alberta, nie wiedzieć czemu, przeszedł dreszcz, na dźwięk tych słów wypowiedzianych tonem osobliwie wyniosłym i godnym; wydawało mu się, że oczy dziewczyny rozbłysły czymś posępnym i strasznym, gdy podobna do Pytii[1294] odprawiającej czary, przywołała wspomnienie tego krwawego władcy, którego straszna śmierć sprawiła, że stał się olbrzymem w oczach współczesnej Europy.

— Wkrótce — rzekła następnie Hayde — pochód zatrzymał się; zeszliśmy już ze schodów nad brzeg jakiegoś jeziora. Matka tuliła mnie do drżących piersi, za nami zobaczyłam mojego ojca, jak rzucał dookoła niespokojne spojrzenia. Przed nami rozciągały się cztery marmurowe stopnie, a w dole kołysała się łódka. Z brzegu widzieliśmy majaczącą na wodzie pośrodku jeziora jakąś czarną masę; był to pałacyk, do którego mieliśmy dotrzeć. Wydawał mi się bardzo oddalony, zapewne z powodu ciemności. Zeszliśmy do łodzi. Pamiętam, że zanurzane w wodzie wiosła nie wydawały najmniejszego szelestu, nachyliłam się, aby je zobaczyć i spostrzegłam, że były poobwijane tkaninami. Na łódce nie było nikogo oprócz wioślarzy, służebnych, mojego ojca, matki, Selima i mnie.

Wierni ojcu żołnierze, palikarowie[1295], pozostali na brzegu jeziora, klęcząc na ostatnim stopniu, a na wypadek pogoni z trzech wyższych utworzyli sobie szaniec.

Łódź nasza leciała jak wiatr.

— Dlaczego łódka płynie tak prędko? — zapytałam matki.

— Cicho, moje dziecię — rzekła. — My uciekamy.

Nie rozumiałam tego. Dlaczego mój ojciec uciekał? On, tak potężny, on, przed którym uciekali zawsze inni, on, którego dewizą było: „Nienawidzą mnie, więc się mnie boją!".

Rzeczywiście, była to ucieczka na jezioro, zamierzona przez mojego ojca. Powiedział mi później, że garnizon zamku w Janinie znużony długą służbą...

W tym miejscu Hayde utkwiła wymowne spojrzenie na twarzy Monte Christa, który odtąd nie spuszczał jej już z oczu. Dziewczyna mówiła więc dalej powoli, jak ktoś, kto zmyśla lub pomija pewne zdarzenia.

— Mówiła pani — podjął Albert, który z nadzwyczajną uwagą słuchał tego opowiadania — że garnizon z Janiny znużony długą służbą...

— Rozpoczął układy z seraskierem[1296] Kurszydem[1297], wysłanym przez sułtana w celu pojmania mojego ojca; to wtedy mój ojciec postanowił uciec, wysyłając przedtem do sułtana francuskiego oficera, którego darzył bezgranicznym zaufaniem. Miejsce ucieczki przygotowane było już od dawna; nazywał je *karaphygion*, co znaczy schronienie.

— Czy pamięta pani — zapytał Albert — nazwisko tego oficera?

Monte Christo wymienił z dziewczyną szybkie spojrzenie, Morcerf nie dostrzegł tego jednak.

— Nie przypominam sobie — rzekła — ale być może przypomnę sobie później, wtedy panu powiem.

Albert już miał wymienić nazwisko swojego ojca, gdy Monte Christo podniósł delikatnie palec na znak milczenia; młodzieniec przypomniał sobie o przysiędze i zamilkł.

[1294] *Pytia* — kapłanka świątyni Apollina w Delfach w starož. Grecji, słynąca z niejasnych przepowiedni, które wygłaszała wśród dymów i oparów wydobywających się ze skalnej pieczary; przed wieszczeniem żuła liście laurowe; wróżyła, siedząc na trójnogu. [przypis edytorski]

[1295] *palikar* — gr. żołnierz walczący przeciwko Turkom w trakcie wojny o niepodległość Grecji. [przypis edytorski]

[1296] *seraskier* (tur.) — wezyr dowodzący armią. [przypis edytorski]

[1297] *Kurszyd* a. *Hurszid Ahmed Pasza* (zm. 1822) — wielki wezyr Imperium Osmańskiego. [przypis edytorski]

— Płynęliśmy do tego pałacyku. Jego parter zdobiły arabeski, tarasy skąpane były w wodzie, a okna pierwszego piętra wychodziły na jezioro. To było wszystko, co można było stamtąd dojrzeć.

Poniżej parteru w głąb wyspy ciągnęły się podziemia i była tam obszerna jaskinia, gdzie zaprowadzono nas z moją matką i służącymi. Piętrzyło się tam sześćdziesiąt tysięcy worków i dwieście beczek; w workach zgromadzonych było dwadzieścia pięć milionów w złocie, w beczkach trzydzieści tysięcy funtów prochu.

Przy beczkach stał Selim, faworyt[1298] mojego ojca, o którym już wspominałam; dniem i nocą czuwał z zapalonym na końcu lancy knotem; miał rozkaz wysadzić wszystko w powietrze — kiosk, straże, samego paszę, kobiety i złoto — na pierwszy znak mojego ojca.

Pamiętam nasze niewolnice, które świadome tego niebezpieczeństwa, całymi dniami i nocami modliły się, płakały i zawodziły.

Ciągle jeszcze widzę młodego żołnierza o bladej cerze i czarnych oczach; gdy anioł śmierci po mnie zstąpi, pewna jestem, że rozpoznam w nim Selima.

Nie pamiętam, ile dni spędziliśmy w takim stanie; wtedy nie wiedziałam jeszcze, co to czas. Zdarzało się, ale bardzo rzadko, że ojciec wzywał do siebie matkę i mnie na taras przed pałacem; były to dla mnie chwile prawdziwej radości, w podziemiach bowiem widziałam tylko zawodzące cienie niewolnic i zapaloną lancę Selima. Ojciec mój, siedząc przed wielkim oknem, wytężał wzrok, wpatrując się posępnie w bezkres horyzontu, badał uważnie każdy czarny punkt, który pojawiał się na powierzchni jeziora. Matka moja, na pół leżąc przy boku ojca, opierała głowę na jego ramieniu. Ja bawiłam się u ich stóp; jak każde dziecko, pełna podziwu i oszołomiona olbrzymimi rozmiarami otaczającego mnie świata, wodziłam wzrokiem po szczytach gór Pindu rysujących się na horyzoncie, po białych i kanciastych zamkach Janiny wyłaniających się z błękitnych wód jeziora, po rozległych kępach ciemnej zieleni przyklejonej jak porosty do górskich skał. Z dala wyglądały one jak muchy, a z bliska okazywały się gigantycznymi jodłami i potężnymi mirtami.

Pewnego ranka ojciec po nas posłał; był dość spokojny, tylko bledszy niż zwykle.

— Bądź cierpliwa, moja Vasiliki — rzekł. — Dzisiaj wszystko się zakończy; ma przybyć firman[1299] od sułtana i mój los się rozstrzygnie. Jeśli otrzymam całkowitą łaskę, wracamy natychmiast triumfalnie do Janiny, jeśli zaś wieści są niepomyślne, jeszcze tej nocy uciekniemy.

— A jeżeli nie pozwolą nam uciec? — spytała moja matka.

— O to bądź spokojna — odpowiedział z uśmiechem Ali. — Selim z zapaloną lancą to moja rękojmia. Tamci chcieliby, żebym umarł, ale nie chcą umierać razem ze mną.

Moja matka westchnęła tylko, nic nie odpowiadając na te słowa pocieszenia, w które ojciec sam zapewne nie wierzył.

Przyrządziła mu wodę z lodem, którą pił co chwila, bo od naszej ucieczki paliła go silna gorączka. Skropiła wonnościami jego siwą brodę i zapaliła mu fajkę, którą całymi godzinami palił i roztargnionym wzrokiem wpatrywał się w rozpływający się w powietrzu dym.

Nagle wykonał tak gwałtowny ruch, że aż przejął mnie strach. Nie odwracając wzroku od jakiegoś punktu, który przyciągnął jego uwagę, zażądał lunety. Matka, bledsza jeszcze od gipsowej podłogi, na której leżała, podała mu lunetę. Spostrzegłam, że ręka mojego ojca drżała.

— Łódź... jedna!... dwie!... trzy!... cztery! — wyrzekł ojciec stłumionym głosem.

Wstał, chwycił za broń i przypominam sobie, że nasypał prochu na panewki pistoletów.

— Vasiliki — odezwał się do mojej matki, drżąc wyraźnie. — Zbliża się chwila, która rozstrzygnie nasze losy; za pół godziny będziemy mieli odpowiedź od wielkiego sułtana; weź Hayde i wracajcie do podziemi.

— Nie opuszczę cię, mój panie — rzekła matka. — Jeśli ty masz umrzeć, chcę umrzeć z tobą.

[1298] *faworyt* — ulubieniec. [przypis edytorski]

[1299] *firman* — wydany na piśmie dekret sułtana. [przypis edytorski]

— Idź do Selima! — krzyknął ojciec.

— Żegnam cię, panie! — wyszeptała posłusznie matka i zgięła się w pół, jakby poczuła na sobie pierwsze tchnienie śmierci.

— Odprowadźcie Vasiliki — rzekł mój ojciec do palikarów.

Ale ja, o której zapomniano, podbiegłam do ojca i wyciągnęłam do niego ręce; dostrzegł mnie, nachylił się nade mną i przycisnął usta do mojego czoła.

To był ostatni pocałunek, i do dziś czuję go na moim czole.

Schodząc, widziałyśmy pomiędzy okratowaniami tarasu łodzie, które stale rosły na jeziorze, jeszcze przed chwilą podobne do czarnych punkcików, przypominały teraz ptaki tnące powierzchnię wody.

W tym samym czasie dwudziestu palikarów, siedzących u stóp mojego ojca albo ukrytych za drewnianą balustradą, śledziło nabiegłym krwią wzrokiem nadpływające łodzie. Trzymali w pogotowiu długie fuzje, inkrustowane srebrem i macicą perłową. Wokół leżało mnóstwo amunicji porozrzucanej na ziemi. Mój ojciec spoglądał na zegarek i przechadzał się, dręczony niepokojem. Takie właśnie wspomnienie ojca wyryło mi się w pamięci po jego ostatnim pocałunku.

Zeszłyśmy z matką do podziemi. Selim, stojąc wciąż na swoim posterunku, uśmiechnął się do nas smutno. Z drugiego końca jaskini przyniosłyśmy poduszki i usiadłyśmy na nich przy Selimie. W obliczu wielkich niebezpieczeństw zlęknione serca szukają innych, by się z nimi połączyć — tak i ja, choć byłam wtedy dzieckiem, instynktownie wyczułam, że nad naszymi głowami wisi wielkie niebezpieczeństwo.

Albert nieraz słyszał, choć nie od ojca, bo ten nigdy o tym nie mówił, opowieści o ostatnich chwilach wezyra Janiny. Czytał nawet rozmaite relacje z jego śmierci, ale właśnie ta historia, która ożyła w osobie i w głosie dziewczyny, ta nuta życia brzmiąca w żałobnej elegii, przejmowały go niewymownym zachwytem, ale i zgrozą.

Hayde przerwała na chwilę wspomnienia tragicznych wydarzeń; czoło, niczym kwiat pochylony pod naporem burzy, oparła na dłoni, a jej oczy, przesłonięte mgłą zadumy jakby wpatrzone w horyzont, błądziły po zielonych stokach Pindu i po błękitnych wodach jeziora Janiny, które jak magiczne zwierciadło odbijało zarysy tego posępnego obrazu. Monte Christo patrzył na nią z wyrazem niewymownej ciekawości i współczucia.

— Mów dalej, moja córko — odezwał się hrabia po grecku.

Hayde podniosła czoło, jakby dźwięk tych słów, wypowiedzianych przez Monte Christa, wyrwał ją ze snu. Zaczęła opowiadać dalej:

— Była czwarta po południu; na zewnątrz panował jasny dzień, ale nas otaczały w podziemiach najgłębsze ciemności. W całej jaskini migotał tylko jeden promień, podobny do drżącej gwiazdy na firmamencie czarnego nieba — była to zapalona lanca Selima. Moja matka, chrześcijanka, odmawiała pacierze. Selim co jakiś czas powtarzał te oto uświęcone słowa:

— Bóg jest wielki.

Moja matka nie straciła jeszcze wszelkiej nadziei. Schodząc do podziemi, zdawało się jej, że dostrzegła Francuza, wysłanego do Konstantynopola. Ojciec ufał mu bez reszty, wiedząc, że żołnierze francuskiego sułtana są szlachetni i wspaniałomyślni. Podeszła kilka kroków do schodów i zaczęła słuchać.

— Nadchodzą — rzekła. — Oby nam przynieśli pokój i życie.

— Czego się lękasz, Vasiliki? — odpowiedział Selim głosem łagodnym i dumnym zarazem. — Jeżeli nie przynoszą nam pokoju, my ofiarujemy im śmierć.

I podsycił płonący knot gestem upodabniającym go do Dionizosa[1300] z antycznej Krety[1301].

Ja w swej dziecięcej nieświadomości zlękłam się tej odwagi, bo wydała mi się ona okrutna i szalona. Bałam się tej straszliwej śmierci w płomieniach.

Matka moja odczuwała chyba to samo. Wyraźnie drżała.

— O Boże! Boże! Mamo — zawołałam. — Czy my umrzemy?

[1300] *Dionizos* (mit. gr.) — bóg ekstazy religijnej, sił witalnych natury, wina, związany z życiem pozagrobowym; przedstawiany zazwyczaj jako dojrzały, brodaty mężczyzna albo młodzieniec o długich włosach; jego małżonką była Ariadna, królewna kreteńska. [przypis edytorski]

[1301] *Kreta* — największa gr. wyspa, znajdująca się na Morzu Śródziemnym; wg mit. gr. była siedzibą króla Minosa. [przypis edytorski]

Na moje słowa niewolnice zaczęły modlić się i zawodzić jeszcze donośniej.

— Dziecko moje! — rzekła Vasiliki. — Niech Bóg cię ochroni przed tym, byś kiedykolwiek pragnęła śmierci, której teraz tak się lękasz.

A potem ciszej zapytała:

— Selimie, jaki jest rozkaz pana?

— Jeśli przyśle mi sztylet, będzie to znaczyć, że sułtan nie obdarzył go łaską, a wtedy mam podłożyć ogień; jeżeli przyśle pierścień, będzie to znaczyć, że sułtan przebaczył i opuszczę prochownię.

— Przyjacielu — rzekła moja matka. — Kiedy przyjdzie rozkaz od pana i będzie to sztylet, przebijesz nas tym sztyletem, nie chcemy bowiem ginąć z Hayde śmiercią, która tak nas przeraża.

— Dobrze, Vasiliki — odpowiedział spokojnie Selim.

Z dala zaczęły nas dochodzić głuche krzyki. Poczęłyśmy nadsłuchiwać: były to okrzyki radosne. Nasi palikarowie powtarzali nazwisko Francuza, wysłanego do Konstantynopola. Było oczywiste, że przyniósł on odpowiedź od najwyższego sułtana, i to łaskawą odpowiedź.

— I nie pamięta pani jego nazwiska? — rzekł Morcerf, chcąc dopomóc pamięci opowiadającej.

Monte Christo dał mu znak.

— Nie przypominam sobie — odpowiedziała Hayde.

Hałas wzmagał się, słychać było echa zbliżających się kroków; ktoś schodził do podziemia.

Selim przygotował lancę.

Wkrótce, w błękitnawym blasku, jaki tworzyły promienie dnia przenikające do otwartej jaskini, ukazał się cień.

— Kto tam? — zawołał Selim. — Kimkolwiek jesteś, ani kroku dalej.

— Chwała sułtanowi! — wyrzekła postać. — Sułtan udzielił łaski wezyrowi Alemu; nie tylko darowane mu jest życie, ale zwrócone cały majątek i dobra.

Matka moja krzyknęła z radości i przycisnęła mnie do serca.

— Stój! — rzekł Selim spostrzegłszy, że moja matka rzuciła się już ku wyjściu. — Wiesz przecież, że muszę mieć pierścień.

— Prawda — odparła ona.

I padła na kolana, podnosząc mnie ku niebu; jakby modląc się dziękczynnie do Boga, chciała zarazem ofiarować mnie jemu.

Tu po raz drugi Hayde zamilkła dławiona wzruszeniem, a pot zrosił jej pobladłe czoło. Jej stłumiony głos jakby zanikał, nie mogąc wydostać się ze ściśniętego gardła.

Monte Christo nalał jej trochę zimnej wody do szklanki. Podając ją, rzekł łagodnie, a zarazem z nutą tonu rozkazującego w głosie:

— Odwagi, moja córko!

Hayde otarła łzy i czoło, po czym znowu zaczęła mówić.

— Nasze oczy przywykłe już do ciemności, rozpoznały w postaci posłańca paszy; był to nasz przyjaciel.

Selim też go poznał; ale ten dzielny młodzieniec znał tylko jedną zasadę: wypełniać rozkazy!

— W czyim imieniu przychodzisz? — rzekł.

— Przychodzę w imieniu naszego pana, Alego Tebelina.

— Jeżeli przychodzisz w imieniu Alego, wiesz, co powinieneś mi doręczyć?

— Wiem — rzekł posłaniec — i przynoszę ci pierścień.

Uniósł rękę w górę, a że był zbyt daleko, a w jaskini panował półmrok Selim nie mógł dostrzec ani rozpoznać pokazywanego przedmiotu.

— Nie widzę, co masz w ręku — rzekł Selim.

— Zbliż się — rzekł posłaniec — albo ja zbliżę się do ciebie.

— Nie zgadzam się ani na jedno, ani na drugie — odpowiedział młody żołnierz. — Połóż przedmiot w tym miejscu, gdzie stoisz, tam, gdzie pada promień światła, a potem oddal się, dopóki nie zobaczę, co zostawiłeś.

— Dobrze — rzekł posłaniec.

Położył umówiony przedmiot na wskazanym miejscu i oddalił się.

Serca nam biły, bo rzeczywiście przedmiot ten wydawał się pierścieniem. Tylko czy był to pierścień mojego ojca? Selim z zapaloną w ręku lancą podszedł do wejścia i cały w promieniach wpadającego do jaskini słońca schylił się. Podniósł przedmiot.

— To pierścień pana — rzekł całując go. — Wszystko dobrze!

Obrócił zapalony knot ku ziemi i zadeptał płomień.

Posłaniec krzyknął z radości i klasnął w ręce. Na ten znak czterech żołnierzy seraskiera Kurszyda wpadło do jaskini i Selim upadł przeszyty pięcioma sztyletami. Chociaż bladzi jeszcze z trwogi, ale już upojeni zbrodnią, rzucili się do podziemi, szukając wszędzie ognia i tarzając się na workach ze złotem.

Moja matka porwała mnie na ręce i biegnąc przez zawiłe korytarze, nam tylko znane, dotarła do ukrytych schodów prowadzących do pałacu, gdzie panował potworny tumult. Dolne sale zapełniali czodoarowie Kurszyda, nasi nieprzyjaciele.

W chwili gdy moja matka miała już otworzyć drzwiczki, rozległ się złowieszczy głos paszy. Matka przyłożyła oko do szczeliny i ja przypadkiem także znalazłam otwór, przez który mogłam widzieć.

— Czego chcecie? — zwrócił się mój ojciec do ludzi, którzy trzymali w rękach papier zapisany złotymi literami.

— Czego chcemy? — odpowiedział jeden z nich. — Chcemy oznajmić ci wolę Jego Wysokości. Czy widzisz ten firman?

— Widzę — odparł ojciec.

— No to czytaj. Sułtan żąda twojej głowy.

Mój ojciec wybuchnął śmiechem przeraźliwszym niż groźba — jeszcze nie skończył się śmiać, gdy oddając dwa strzały z pistoletu, położył trupem obu tych ludzi. Palikarowie, spoczywający przy moim ojcu twarzą do ziemi, zerwali się i dali ognia. Komnata wypełniła się krzykiem, płomieniami i dymem. W tej samej chwili ogień rozgorzał także z drugiej strony i kule przeszyły deski wokół nas. Och, jak piękny był, jak wspaniały był wtedy wezyr Ali Tebelin, mój ojciec, wśród tych kul, z bułatem[1302] w ręku i twarzą poczerniałą od prochu! A jak uciekali jego wrogowie!

— Selimie! Selimie! — krzyczał. — Strażniku ognia, spełnij swój obowiązek!

— Selim zginął! — odpowiedział głos dochodzący jakby z otchłani — i ty, mój panie, jesteś zgubiony!

Wtem rozległ się głuchy huk i podłoga wokół mojego ojca wyleciała w powietrze.

To czodoarowie Kurszyda strzelali teraz od dołu. Kilku palikarów padło od razu.

Ojciec ryknął, wsadziwszy palce w otwory po kulach, wyrwał z podłogi deskę.

Ale w tej chwili przez otwór w podłodze posypały się strzały, niczym wylewająca się z krateru lawa buchnęły płomienie i zaczęły ogarniać podłogę i obicia.

Wśród tego straszliwego zgiełku, wśród przerażających wrzasków, rozległy się dwa wystrzały i dwa krzyki bardziej przejmujące od innych. Krzyki te zmroziły mnie.

Te dwa wystrzały ugodziły śmiertelnie mojego ojca, i to z jego piersi wyrwały się dwa krzyki. Stał jeszcze, przytrzymując się framugi okna. Moja matka szarpnęła drzwi, by dostać się do niego i umrzeć razem z nim, ale drzwi były zamknięte od środka. Wokół niego wili się palikarowie, konając w konwulsjach; pozostali, którzy uniknęli śmiertelnych strzałów lub byli tylko lekko zranieni, wyskakiwali przez okno.

W tej samej chwili podłoga zatrzeszczała i zawaliła się. Ojciec upadł na kolana, a dwadzieścia rąk uzbrojonych w szable, pistolety i sztylety podniosło się nad nim. Dwadzieścia ciosów ugodziło jednego człowieka i mój ojciec zniknął w kłębach ognia roznieconego przez bandę rozwścieczonych demonów, jak gdyby pod jego nogami rozwarły się czeluście piekieł.

Poczułam, że padam na ziemię; to zemdlała moja matka.

Hayde opuściła ręce, wydając z siebie rozdzierające westchnienie i spojrzała na hrabiego, jakby pytała, czy jest zadowolony, że spełniła jego żądanie.

Hrabia wstał, podszedł do niej, wziął za rękę i rzekł po grecku:

— Odpocznij, drogie dziecko i niech pokrzepi cię myśl, że Bóg karze zdrajców.

[1302] *bułat* — rodzaj szabli pochodzenia orientalnego; niezwykle ostrej, o krótkiej, zakrzywionej, rozszerzającej się klindze, wykonanej z bardzo twardej i sprężystej stali, zw. stalą damasceńską. [przypis edytorski]

— Potworna historia — rzekł Albert przerażony bladością Hayde. — Teraz wyrzucam sobie, że byłem ciekawy w tak okrutny sposób.

— Nic nie szkodzi — odpowiedział Monte Christo.

I kładąc rękę na głowie dziewczyny, rzekł:

— Hayde jest odważną kobietą i często opowiadanie o tych tragicznych wypadkach przynosi jej ulgę.

— To dlatego, mój panie — odpowiedziała żywo dziewczyna — że moje cierpienia przypominają mi o twojej dobroci.

Albert spojrzał z zaciekawieniem na dziewczynę, nie opowiedziała bowiem jeszcze tego, co najgoręcej pragnął usłyszeć: jak stała się niewolnicą hrabiego.

Hayde wyczytała to samo pragnienie z oczu obu mężczyzn. I podjęła opowiadanie:

— Gdy moja matka odzyskała zmysły, znajdowałyśmy się przed obliczem seraskiera.

— Zabij mnie — rzekła matka — nie pozwól zhańbić honoru wdowy po Alim.

— Nie do mnie powinnaś się zwracać — odparł Kurszyd.

— Do kogo więc?

— Do twojego nowego pana.

— Kim on jest?

— Oto on.

— I w tej chwili Kurszyd wskazał na jednego z tych, którzy najbardziej przyczynili się do śmierci mojego ojca — dodała dziewczyna z ponurym gniewem.

— A więc — zapytał Albert — stałyście się własnością tego człowieka?

— Nie — odpowiedziała Hayde. — Nie miał śmiałości zatrzymać nas przy sobie. Sprzedał nas handlarzom niewolników, którzy podążali do Konstantynopola. Przebyłyśmy Grecję i umierające dotarłyśmy do bram sułtana. Kłębiący się tłum ciekawskich rozstąpił się; nagle moja matka, przenosząc wzrok w kierunku, w którym zwrócone były spojrzenia tłumu, krzyknęła i padła, pokazując mi wiszącą nad bramą głowę.

Pod głową tą widniał napis:

> Oto głowa Alego Tebelina, paszy Janiny.

Płacząc, starałam się podnieść moją matkę: już nie żyła!

Zaprowadzono mnie na targ i sprzedano bogatemu Ormianinowi[1303], który przyjął nauczycieli i kazał mnie uczyć, a gdy miałam trzynaście lat, sprzedał mnie sułtanowi Mahmudowi[1304].

— Od którego ja — rzekł Monte Christo — odkupiłem ją, jak już panu mówiłem, za szmaragd podobny do tego, w którym trzymam pastylki haszyszu.

— Jesteś dobry i wielki, mój panie — rzekła Hayde, całując dłoń hrabiego — jestem szczęśliwa, że należę do ciebie.

Albert był oszołomiony tym wszystkim, co usłyszał.

— Niech pan wypije swoją kawę — rzekł hrabia. — Opowieść skończona.

77. DONIESIENIA Z JANINY

Franz wyszedł z pokoju Noirtiera, chwiejąc się na nogach i tak znękany, że serce Valentine ścisnął żal.

Villefort, który przez cały czas wyjąkał zaledwie kilka słów, zaszył się w swoim gabinecie, a dwie godziny potem odebrał list następującej treści:

> Po tym, co się okazało, pan Noirtier de Villefort nie może się spodziewać, aby związek między jego rodziną i rodziną pana d'Epinaya mógł dojść do skutku. Pan Franz d'Epinay przerażony jest faktem, że pan de Villefort, który musiał znać opowiedziane dziś wypadki, nie uprzedził go o nich.

Ktokolwiek widziałby w tej chwili, jak ten cios zdruzgotał prokuratora, nie uwierzyłby, że był on już na ten cios przygotowany. On sam nigdy by nie pomyślał, że jego ojciec posunie się do tego stopnia w swojej szczerości albo raczej bezwzględności, by opowiedzieć podobną historię. To prawda, że pan Noirtier miał raczej wzgardliwy stosunek do opinii

[1303] *Ormianin* — człowiek należący do narodu Ormian. [przypis edytorski]

[1304] *Mahmud II* (1785–1839) — sułtan Imperium Osmańskiego w latach 1808–1839. [przypis edytorski]

swojego syna, nigdy też nie przedstawił mu jasno przebiegu zdarzeń; Villefort myślał więc zawsze, że generał de Quesnel, czy też jak kto woli — baron d'Epinay, w zależności od tego, jak się nazywał, czy jak nazywali go inni, został zamordowany, a nie zginął w pojedynku.

List ten tak ostry, choć napisany przez młodego człowieka, do tej pory pełnego szacunku, zranił śmiertelnie dumę Villeforta.

Ledwie wszedł do gabinetu, pojawiła się tam również jego żona.

Wyjście Franza wezwanego do pana Noirtiera tak dalece wszystkich zdumiało, że położenie pani de Villefort, która została sama z notariuszem i świadkami, z minuty na minutę stawało się coraz bardziej kłopotliwe. W końcu pani Villefort powzięła decyzję i wyszła, oświadczając, że idzie sprawdzić, co się stało. Pan de Villefort oznajmił jej tylko, że na skutek rozmowy, jaką przeprowadził z ojcem i z panem d'Epinayem, narzeczeństwo Valentine z Franzem zostało zerwane.

Nie sposób było przekazać taką wiadomość oczekującym, dlatego też, wchodząc, pani de Villefort oświadczyła jedynie, iż spisanie intercyzy musi zostać odłożone na kilka dni, bo pan Noirtier dostał na początku spotkania ataku apopleksji. Wiadomość ta, jakkolwiek nieprawdziwa, wydała się zebranym osobliwie pasować do dwóch poprzednich nieszczęść tego samego rodzaju; słuchacze, spojrzeli po sobie zdziwieni i odeszli, nie rzekłszy ani słowa.

Valentine tymczasem — nieco przestraszona, ale szczęśliwa — uściskała i podziękowała słabemu starcowi, co jednym ruchem zerwał cały ten łańcuch — jak się jej zdawało — niemożliwy do zerwania, i poprosiła następnie o pozwolenie odejścia do siebie, by móc wypocząć. Noirtier skinieniem zezwolił jej na to.

Valentine jednak, zamiast wrócić do siebie, przeszła przez korytarz i małymi drzwiczkami czmychnęła do ogrodu. Pośród tylu zdarzeń, tak nieprzerwanie po sobie następujących, jej serce ogarnęła głucha trwoga. Obawiała się, że lada chwila przyjdzie Morrel blady i groźny jak laird[1305] Ravenswood z *Łucji z Lammermooru*.

W rzeczy samej powinna była iść już do kraty ogrodowej. Maksymilian domyślał się już przebiegu zdarzeń. Widział, jak Franz wraz z panem Villefortem opuszczali cmentarz, i poszedł za nimi; widział jak Franz wszedł, widział także, jak wyszedł, po czym wrócił znowu z Albertem i Château-Renaudem. Przeczuwał już, że nie może mieć żadnych złudzeń. Udał się więc w umówione miejsce, gotowy na wszystko i pewien, że przy najbliższej sposobności Valentine przybiegnie na spotkanie. Nie zawiódł się. Wypatrując przez szparę dojrzał w końcu dziewczynę, która nie stosując żadnych środków ostrożności, biegła ku niemu. Już pierwszy rzut oka na nią sprawił, że Maksymilian uspokoił się, a po pierwszym słowie podskoczył z radości:

— Ocaleni! — wykrzyknęła Valentine.

— Ocaleni! — powtórzył Morrel, nie dowierzając swojemu szczęściu. — Ale kto nas ocalił?

— Mój dziadek. O, pokochaj go, drogi Morrelu!

Morrel przysiągł, że będzie kochać starca z całej duszy. Przysięga nie była trudna, bo w tej chwili nie kochał go jak przyjaciela, czy jak ojca, ale wielbił jak bóstwo.

— Jak to się mogło stać? — zapytał Morrel. — Jakiego użył środka?

Valentine otworzyła już usta, by wszystko opowiedzieć. Pomyślała jednak, że w głębi tej strasznej tajemnicy jest przecież coś, co nie dotyczy tylko jej dziadka.

— Opowiem ci wszystko później.

— Kiedy?

— Gdy zostanę twoją żoną.

Zamknąwszy temat tym sposobem, mogła Maksymiliana owinąć sobie wkoło palca; przystał więc na to, że na razie musi się zadowolić tym, co mu opowiedziała. Nie chciał jednak odejść, dopóki Valentine nie przyrzekła, że przyjdzie na spotkanie również nazajutrz wieczorem.

Świat nagle zmienił się w jej oczach. Łatwiej było jej teraz uwierzyć, że wyjdzie za Maksymiliana, niż jeszcze przed godziną uwierzyć, że nie będzie poślubiona Franzowi.

W tym czasie pani de Villefort udała się do Noirtiera.

[1305] *laird* — szkocki tytuł, określenie posiadacza ziemskiego. [przypis edytorski]

Noirtier spojrzał na nią ponurym i surowym wzrokiem, jakim miał zwyczaj ją witać.

— Drogi ojcze — rzekła. — Nie muszę ci oznajmiać, że narzeczeństwo Valentine zostało zerwane, ponieważ zerwanie to dokonało się tutaj.

Noirtier siedział niewzruszony.

— Nie wiedziałeś jednak ojcze — rzekła następnie pani de Villefort — że ja byłam zawsze przeciwna temu małżeństwu i że miało być ono zawarte wbrew mojej woli.

Noirtier spojrzał na synową, oczekując wyjaśnień.

— Teraz gdy małżeństwo, które napawało cię taką odrazą, zostało zerwane, ośmielę się przedstawić ojcu prośbę, bo ani mój mąż, ani Valentine nie odważą się z nią zwrócić.

Noirtier zapytał wzrokiem, jaka to prośba.

— Przychodzę cię prosić, ojcze — ciągnęła pani Villefort — ponieważ ja jedna mogę zwrócić się do ciebie o to jako osoba całkiem niezainteresowana; otóż przychodzę cię prosić, abyś przywrócił swojej wnuczce cały majątek; nie mówię o przywróceniu łask, bo wiem, że tego nigdy jej nie odmówiłeś.

Na chwilę we wzroku Noirtiera pojawiło się wahanie; szukał przyczyn uzasadniających tę prośbę, ale ich nie znalazł.

— Czy mogę mieć nadzieję — rzekła pani de Villefort — że twoje zamiary, ojcze, są zgodne z moją prośbą?

— Tak — odpowiedział Noirtier.

— W takim razie — rzekła pani de Villefort — odchodzę wdzięczna i uszczęśliwiona.

Nazajutrz Noirtier kazał wezwać notariusza, pierwszy testament został zniszczony, a spisany nowy, w którym zapisywał cały majątek Valentine pod warunkiem, że wnuczka nie opuści dziadka.

Kilka osób obliczyło, że panna Villefort, dziedziczka państwa de Saint-Méranów, łącznie z majątkiem swojego dziadka będzie miała w przyszłości około trzystu tysięcy liwrów rocznego dochodu.

W tym czasie, gdy u państwa de Villefortów ważyły się losy planowanego małżeństwa, hrabia Morcerf złożył wizytę panu Danglarsowi.

Dla okazania Danglarsowi szacunku Morcerf włożył na siebie paradny mundur generalski, przypiął do niego wszystkie swoje ordery i kazał zaprzęgnąć najlepsze konie.

Tak wystrojony pojechał na ulicę Chaussée d'Antin i kazał oznajmić swoje przybycie Danglarsowi. Danglars obliczał właśnie miesięczny bilans. Nie był to najlepszy moment: od jakiegoś czasu owe obliczenia wprawiały bankiera w zły humor. I dlatego na widok swojego dawnego przyjaciela, Danglars przybrał wyniosłą minę i rozparł się wygodnie w fotelu.

Morcerf przeciwnie: zwykle nadęty, dziś był wesoły i serdeczny. Naturalnie był pewny, że jego propozycja spotka się z jak najlepszym przyjęciem i nie bawiąc się w dyplomację, od razu przystąpił do rzeczy.

— Oto przyszedłem baronie, by załatwić to, co już od dawna chodzi nam po głowach i o czym już kiedyś rozmawialiśmy...

Morcerf spodziewał się, że po tych słowach bankier rozpromieni się, wyniosłość jego tłumaczył sobie bowiem własnym długim milczeniem; niewiarygodne, ale twarz Danglarsa stała się jeszcze bardziej nieprzystępna i oziębła.

Oto dlaczego Morcerf przerwał w połowie zdania.

— O czym to kiedyś rozmawialiśmy, hrabio? — zapytał bankier, jakby starając się na próżno zrozumieć, o co generałowi chodzi.

— O, widzę — rzekł hrabia — że jest pan formalistą, mój szanowny panie, i przypominasz mi, iż ceremonia musi się odbywać według wszelkich obrządków. Bardzo dobrze! Proszę mi darować, ale ponieważ mam tylko jednego syna i pierwszy raz w życiu myślę o ożenieniu go, więc nie mam w tym jeszcze dostatecznej wprawy, ale... przechodzę do rzeczy.

To powiedziawszy, Morcerf wstał, uśmiechając się sztucznie, ukłonił się głęboko i rzekł:

— Baronie, mam zaszczyt prosić pana o rękę pańskiej córki, panny Eugenii Danglars, dla mojego syna, wicehrabiego Alberta de Morcerfa.

Danglars jednak, zamiast przyjąć to oświadczenie przychylnie, czego też spodziewał się Morcerf, zmarszczył brwi i nie prosząc nawet hrabiego, który stał przed nim, by znowu usiadł, rzekł:

— Panie hrabio, zanim panu odpowiem, muszę się namyślić.

— Jak to namyślić?! — zawołał Morcerf coraz bardziej zdziwiony. — Przez osiem lat, odkąd po raz pierwszy mówiliśmy o tym związku, mało miał pan czasu do namysłu?

— Panie hrabio — rzekł Danglars. — Codziennie zdarza się coś, co sprawia, że raz podjęte i przemyślane decyzje wymagają ponownego rozważenia.

— Pan wybaczy — przerwał Morcerf — ale czy my nie odgrywamy tutaj jakiejś komedii?

— Jak to komedii?

— Widział się pan z hrabią de Monte Christo?

— Widuję się z nim bardzo często — rzekł Danglars, poprawiając żabot[1306] — to mój dobry przyjaciel.

— Otóż ostatnio, kiedy go pan widział, powiedział mu pan, iż chyba zapomniałem o wspomnianym małżeństwie lub wykazuję w tym względzie niezdecydowanie.

— To prawda.

— Dlatego też przyszedłem. Nie zapomniałem i nie jestem niezdecydowany, jak pan widzi, skoro przychodzę tu i nalegam, by dotrzymał pan słowa.

Danglars nic nie odpowiedział.

— Czyżby właśnie zmienił pan zdanie? — dodał Morcerf. — Czy też zmusił mnie pan do powtórzenia mojej prośby, by dla własnej przyjemności mnie upokorzyć?

Danglars zrozumiał, iż jeśli dalej będzie prowadził rozmowę tonem takim, jakim ją rozpoczął, skutki mogą być dla niego opłakane.

— Panie hrabio — rzekł. — Ma pan prawo dziwić się mojej rezerwie, rozumiem to. Niech mi pan jednak uwierzy, że mnie samego bardzo to martwi; ale zmuszają mnie do tego nader ważne okoliczności.

— Co za puste słowa, mój kochany panie — rzekł hrabia. — Mógłby pan nimi zbyć pierwszego lepszego; ale ja nie jestem pierwszym lepszym i kiedy ktoś taki jak ja przychodzi do kogoś i przypomina o danym słowie, a ten ktoś słowa nie dotrzymuje, mam prawo w miejsce pustych słów żądać wyjaśnienia powodów.

Danglars był tchórzem, nie chciał jednak za takiego uchodzić. Uraził go też ton Morcerfa.

— Toteż, kochany hrabio, powodów mi nie brakuje — odpowiedział — ale...

— Co pan przez to rozumie?

— Że trudno by mi je było wyjawić.

— Rozumie pan jednak — rzekł Morcerf — że nie może mnie zadowolić pańskie milczenie; i jedna tylko rzecz zdaje się być oczywista w całej tej sprawie: odmawia pan związania się z moją rodziną.

— O nie, bynajmniej, proszę pana — rzekł Danglars. — Ja tylko wstrzymuję się na razie od ostatecznej decyzji. To wszystko.

— Nie sądzę jednak, by pan przypuszczał, że ulegnę pańskim kaprysom i będę spokojnie, z pokorą oczekiwał, aż mnie pan przywróci do łask i względów?

— Jeżeli więc, panie hrabio, nie chce pan czekać, możemy uznać nasze projekty za niebyłe.

Hrabia, z natury dumny i porywczy, przygryzł wargi do krwi, by nie wybuchnąć. Zrozumiał jednak, że w podobnych okolicznościach byłoby to śmieszne z jego strony. Kierował się już ku wyjściu z salonu, gdy wtem rozmyślił się nagle i zawrócił.

Jego czoło zachmurzyło się, ale nad jego obrażoną dumą zaczęły brać górę oznaki jakiegoś niejasnego niepokoju.

— Niech pan posłucha, drogi panie Danglars — rzekł — znamy się już od wielu lat i w związku z tym powinniśmy mieć dla siebie pewne względy. Należy mi się jakieś usprawiedliwienie, abym wiedział, z jakiej nieszczęsnej przyczyny mój syn utracił pańską przychylność.

[1306] *żabot* — ozdoba z marszczonej tkaniny umieszczana na przodzie koszuli lub bluzki. [przypis edytorski]

— Nie chodzi o żadne osobiste uprzedzenia do wicehrabiego, tyle tylko mogę panu powiedzieć — odpowiedział Danglars, przybierając ton impertynencki, gdy spostrzegł, że Morcerf łagodnieje.

— Do kogo ma pan więc osobiste uprzedzenia? — zapytał Morcerf łamiącym się głosem, a jego czoło pobladło.

Danglars, któremu nie umknęła żadna zmiana na twarzy generała, wymierzył w niego jeszcze pewniejsze niż dotąd spojrzenie.

— Proszę mi raczej podziękować, że nie dostarczyłem więcej wyjaśnień.

Gwałtowne drżenie, wynikłe z tłumionej wściekłości, wstrząsnęło Morcerfem.

— Mam prawo — odpowiedział, czyniąc wielki wysiłek, by się opanować — mam prawo żądać wyjaśnień; czy ma pan coś do zarzucenia pani de Morcerf? Czy mój majątek jest niewystarczający? Czy może różnimy się zbytnio poglądami...

— Ależ skąd, szanowny panie — odpowiedział Danglars. — Nie miałbym wtedy żadnego usprawiedliwienia, bo dałem słowo, znając to wszystko dobrze. Nie, niech pan się więcej nie doszukuje, bo wstyd mi doprawdy, że robi pan przede mną ten rachunek sumienia; zostawmy to. Za chwilowe rozwiązanie sprawy przyjmijmy teraz zwłokę, nie będzie to ani zerwanie, ani składanie zobowiązań. Nic nas przecież nie nagli! Mój Boże! Moja córka ma siedemnaście lat, pana syn dwadzieścia jeden. Poczekajmy jeszcze, a czas zrobi swoje, pokieruje wypadkami; sprawy, które dziś wydają się nam niejasne, dnia następnego stają się zbyt oczywiste, często w jeden dzień obalane zostają najokropniejsze pomówienia.

— Pan powiedział, pomówienia? — zawołał Morcerf, siniejąc. — Ktoś mnie o coś oskarża?

— Panie hrabio, powiedziałem panu, dajmy spokój wyjaśnieniom.

— Mam więc znieść spokojnie tę odmowę?

— Przykrą przede wszystkim dla mnie, drogi panie. Tak, przykrzejszą dla mnie niż dla pana, bo liczyłem na zaszczyt połączenia mojego z pańskim domem, a poza tym zerwane zaręczyny są zawsze większą szkodą dla narzeczonej niż dla narzeczonego.

— Dobrze więc, mój panie, nie będziemy więcej o tym mówić — rzekł Morcerf.

I mnąc z wściekłością rękawiczki, wyszedł z pokoju.

Danglars zauważył, że Morcerf nie ośmielił się spytać ani razu, czy to on sam nie jest przyczyną zerwania.

Wieczorem odbył długą naradę z wieloma przyjaciółmi, a pan Cavalcanti, który przebywał wciąż w salonie z damami, wyszedł z domu bankiera jako ostatni.

Nazajutrz, obudziwszy się, Danglars zawołał od razu o dzienniki. Przyniesiono mu je natychmiast; odłożył kilka i sięgnął po „Impartial". Naczelnym redaktorem dziennika był pan Beauchamp. Szybko rozerwał kopertę, z nerwowym pośpiechem rozłożył gazetę, przesunął wzgardliwym wzrokiem po rubryce „Premier Paris" i przeglądnął kronikę różnych wydarzeń; ze złośliwym uśmiechem zatrzymał wzrok na krótkiej wzmiance zaczynającej się od słów: *Doniesienia z Janiny*...

— No, chwała Bogu — rzekł, odkładając gazetę — ten maleńki artykuł na temat pułkownika Fernanda, według wszelkiego prawdopodobieństwa uwolni mnie od konieczności tłumaczenia się przed panem hrabią de Morcerfem.

W tym samym momencie, to jest z wybiciem godziny dziewiątej, Albert de Morcerf, ubrany na czarno, ze skrupulatnie zapiętym każdym guzikiem, milczący i podekscytowany zatrzymał się przed domem na Polach Elizejskich.

— Pan hrabia właśnie wyszedł, jakieś pół godziny temu — rzekł odźwierny.

— Czy wziął ze sobą Baptystę? — zapytał Morcerf.

— Nie, panie wicehrabio.

— Zawołajcie go więc, chcę z nim pomówić.

Odźwierny poszedł po kamerdynera i po chwili wrócili razem.

— Mój przyjacielu — rzekł Albert. — Przepraszam cię za moją niedyskrecję, ale chciałbym dowiedzieć się od ciebie samego, czy rzeczywiście twojego pana nie ma w domu?

— Nie ma, proszę pana. — zapewnił Baptysta.

— Nawet dla mnie?

— Wiem, z jaką radością mój pan zawsze pana przyjmuje u siebie i nie śmiałbym nigdy potraktować pana jak resztę bywających u hrabiego gości.

— Słusznie, bo muszę z nim pomówić w bardzo ważnej sprawie. Jak myślisz, czy długo go nie będzie?

— Nie, bo kazał przygotować śniadanie na godzinę dziesiątą.

— Przejdę się więc trochę po Polach Elizejskich i na godzinę dziesiątą będę tu; jeżeli pan hrabia wróci przede mną, poproś go, aby na mnie zaczekał.

— Dobrze, proszę pana, może pan być spokojny.

Albert zostawił przed domem hrabiego wynajętą dorożkę, a sam udał się piechotą na przechadzkę. Mijając Aleję Wdów[1307], wydało mu się, że spostrzegł konie hrabiego przed bramą strzelnicy Grosseta; podszedł bliżej i rozpoznał także stangreta.

— Czy pan hrabia jest na strzelnicy? — zapytał go Morcerf.

— Tak, proszę jaśnie pana — odpowiedział stangret.

Rzeczywiście, gdy Morcerf przechodził koło bramy strzelnicy, doszły go stamtąd odgłosy kilku regularnych wystrzałów.

Wszedł. W ogródku zastał chłopca.

— Przepraszam bardzo pana wicehrabiego, czy nie zechciałby pan tu chwilkę zaczekać?

— A to czemu, Filipie? — zapytał Albert, który będąc tu bywalcem, zdziwił się bardzo, że go zatrzymano.

— Dlatego, proszę pana, że ten pan, który teraz ćwiczy się w strzelaniu, nie strzela nigdy w czyjejś obecności.

— A kto nabija mu pistolety?

— Służący. Murzyn.

— Tak, tak.

— To zna pan tego pana?

— Właśnie go szukam; to mój przyjaciel.

— A, to co innego. Pójdę go uprzedzić.

I Filip, wiedziony własną ciekawością, wszedł do pomieszczenia strzelnicy. Po chwili na progu pojawił się Monte Christo.

— Wybacz, kochany hrabio, że nachodzę pana nawet tutaj — rzekł Albert. — Ale od razu pana uprzedzam, że to bynajmniej nie jest wina twoich służących, ale moje natręctwo. Byłem u pana w domu i powiedziano mi, że hrabia pojechał na spacer, ale ma wrócić o dziesiątej na śniadanie. Poszedłem na przechadzkę, by zaczekać do dziesiątej, ale przypadkiem spostrzegłem pańskie konie i powóz.

— Z tego co pan powiedział, wnoszę, że chce pan ze mną zjeść śniadanie.

— Nie, dziękuję, nie chodzi o śniadanie; ale do licha, niemiłe to będzie towarzystwo!

— Do diabła, co też pan mówi?

— Kochany hrabio, mam dziś pojedynek.

— Pan? Po co? Z jakiego powodu? Można się bić w zasadzie o wszystko.

— O obrazę honoru.

— Aha, to sprawa poważna.

— Tak poważna, że właśnie przychodzę prosić pana o przysługę.

— Jaką?

— Żeby był pan moim sekundantem.

— Nie będziemy o tym mówić tutaj, chodźmy do mnie. Ali, podaj mi wody.

Hrabia podwinął rękawy i poszedł do przedsionka strzelnicy, gdzie strzelający zwykle myli ręce.

— Niech pan wejdzie, panie hrabio — rzekł po cichu Filip. — Zobaczy pan coś bardzo ciekawego.

Morcerf wszedł. Do tarczy przyklejone były karty do gry.

Z daleka Morcerfowi wydało się, że był tam cały komplet, ale karty kończyły się na dziesiątce, począwszy od asa.

— Ho ho! — rzekł Albert. — Grał pan w pikietę[1308]?

[1307] *Aleja Wdów* — obecnie avenue Montaigne. [przypis edytorski]

[1308] *pikieta* — daw. gra w karty dla dwóch osób, pochodząca z Francji. [przypis edytorski]

— Nie — odrzekł hrabia. — Zabierałem się do innej gry.

— Jak to?

— A tak, widzi pan tam tylko asy i dwójki, a ja kulami porobiłem z nich trójki, piątki, siódemki, ósemki, dziewiątki i dziesiątki.

Albert zbliżył się.

Rzeczywiście, w miejscach gdzie zwykle znajdują się oznaczenia kolorów, na kartach widniały idealnie równe, w perfekcyjnie identycznych odległościach otworki po kulach. Podchodząc do tarczy, Morcerf spostrzegł też leżące tu i ówdzie jaskółki, które przelatując, nieopatrznie znalazły się w zasięgu wystrzału pistoletowego i popadały od kul hrabiego.

— A niech to diabli! — zakrzyknął Morcerf.

— No cóż, kochany wicehrabio? — rzekł Monte Christo, wycierając ręce w podany przez Alego ręcznik. — Muszę przecież czymś wypełnić czas w wolnych chwilach; ale chodźmy już, jestem gotowy.

Wsiedli do powozu hrabiego i wkrótce stanęli przed bramą domu numer trzydzieści.

Monte Christo wprowadził Morcerfa do swojego gabinetu i wskazał mu krzesło. Usiedli.

— Z kim pan chce się pojedynkować?

— Z panem Beauchampem.

— To przecież pana przyjaciel!

— Bo też zwykle pojedynkujemy się z przyjaciółmi.

— Ale musi być jakiś powód.

— We wczorajszym dzienniku znajduje się... ale proszę niech pan sam czyta.

> Doniesienia z Janiny:
>
> Dotarliśmy do faktów dotąd nieznanych, a przynajmniej niepublikowanych: twierdze broniące miasta zostały wydane w ręce Turków przez oficera francuskiego, do którego wezyr Ali Tebelin miał bezgraniczne zaufanie. Oficer ten nazywał się Fernand.

— I co z tego? — zapytał Monte Christo. — Co pan znajduje w tym obraźliwego? Co pana obchodzi, że zamki Janiny wydane zostały w ręce Turków przez jakiegoś oficera o imieniu Fernand?

— Obchodzi mnie, bo imię chrzestne mojego ojca, hrabiego de Morcerfa, brzmi Fernand.

— Czy twój ojciec służył u Ali-Paszy?

— To znaczy walczył tam o niepodległość Grecji; w tym właśnie jest pomówienie.

— A, to co innego! Kochany wicehrabio, pomówmy rozsądnie.

— Tego właśnie sobie życzę.

— No, niech pan powie: kto u diabła może wiedzieć we Francji, że Fernand i hrabia de Morcerf to jedna i ta sama osoba i kto wreszcie zajmuje się dziś Janiną, która zdaje mi się, padła w 1822 czy 1823 roku?

— W tym właśnie zawiera się cała perfidia; stało się to przecież tak dawno, a dziś wywlekają zapomniane wypadki by wywołać skandal i zhańbić znane nazwisko. Dlatego ja, jako dziedzic nazwiska mojego ojca, nie pozwolę, aby nad tym nazwiskiem ciążył choć cień wątpliwości. Posyłam do pana Beauchampa, bo w jego dzienniku ukazała się ta wzmianka, dwóch świadków. Niech odwoła, co napisał.

— Beauchamp niczego nie odwoła.

— Więc będziemy się bić.

— Nie będzie się pan bił, bo on panu odpowie, że w armii greckiej mogło być i pięćdziesięciu francuskich oficerów o imieniu Fernand.

— Choćby i tak odpowiedział, będziemy się bić. To musi być odwołane... Mój ojciec, taki szlachetny żołnierz, taka świetna kariera wojskowa...

— Może również umieścić notkę: „Mamy podstawy sądzić, że wzmiankowany Fernand nie ma nic wspólnego z panem hrabią de Morcerfem, któremu jest również na imię Fernand".

— On musi odwołać wszystko i kategorycznie; nie wystarczy mi taka notka!

— Niesłusznie.

— To znaczy, że odmawia mi pan przysługi, o którą proszę?

— Przecież zna pan dobrze moją teorię na temat pojedynków; przedstawiłem ją panu w Rzymie, jeśli sobie pan przypomina.

— A jednak, kochany hrabio, zastałem pana dziś rano na ćwiczeniach niezgodnych z zasadami tej teorii.

— Bo widzi pan, mój drogi przyjacielu, nigdy nie należy się ograniczać. Gdy żyje się między wariatami, trzeba nauczyć się być wariatem; w każdej chwili może się zdarzyć, że jakiś zapaleńczy umysł, bez żadnych przyczyn będzie szukał ze mną zwady, podobnie jak na przykład pan szuka jej teraz u Beauchampa; przy byle okazji mnie wyzwie, przyśle mi swoich świadków, albo mnie znieważy w publicznym miejscu; i co oczywiste, takiego szaleńca muszę zabić.

— Przyznaje pan więc, że sam by się pojedynkował? Dlaczego więc nie chce pan, żebym ja się pojedynkował?

— Nie mówię wcale, że nie powinien się pan pojedynkować; mówię tylko, iż pojedynek jest sprawą bardzo poważną, nad którą trzeba się zastanowić.

— A on, czy zastanowił się, znieważając mojego ojca?

— Jeśli zrobił to nieumyślnie i przyzna się do tego, trzeba dać mu spokój.

— O, kochany hrabio, jest pan zbyt pobłażliwy!

— A pan zbyt zasadniczy. Bo przypuśćmy... niech pan posłucha i niech się pan nie obrazi za to, co powiem! Przypuśćmy, że ta wiadomość jest prawdziwa...

— Syn nigdy nie powinien robić podobnych przypuszczeń szargających imię jego ojca.

— Ech, mój Boże! Żyjemy w czasach, kiedy pozwala się na robienie tylu przypuszczeń!

— To właśnie wada naszej epoki.

— Miły Boże! Jakiż pan rygorystyczny!

— Taki właśnie jestem.

— Czy uważa mnie pan za swojego przyjaciela?

— Tak.

— Tak więc, zanim pan pośle sekundantów do pana Beauchampa, niech pan najpierw zasięgnie informacji.

— U kogo?

— Na Boga! Na przykład u Hayde.

— Mieszać w to wszystko kobietę? Co ona może na to poradzić?

— Ona może panu powiedzieć, że pana ojciec nie miał nic wspólnego z klęską i śmiercią jej ojca albo przeciwnie... jeżeli przypadkiem pana ojciec...

— Powiedziałem już panu, mój drogi hrabio, że ja nie mogę pozwolić na robienie podobnych przypuszczeń.

— Odrzuca pan więc takie wyjście?

— Odrzucam.

— Dam ci więc ostatnią radę.

— Dobrze! Ale niech będzie rzeczywiście ostatnia.

— Niech pan nie posyła świadków do Beauchampa. Niech pan sam do niego pójdzie.

— To wbrew wszelkim zwyczajom. A po co ja mam pójść do niego?

— Ponieważ w ten sposób cała sprawa pozostanie między wami. Jeżeli Beauchamp gotów jest zamieścić sprostowanie, musi mu pan pozwolić wykazać się dobrą wolą, a i tak stanie się, jak pan sobie życzy; jeżeli zaś nie zgodzi się na to, zawsze będzie pan miał dość czasu, by dopuścić do tajemnicy dwie obce osoby.

— Czyli sądzi pan, że sam powinienem pójść do pana Beauchampa.

— Tak. Jeżeli chce pan cokolwiek zyskać na miłości własnej człowieka, potrzeba tę miłość własną oszczędzać, nawet, jeżeli miałoby się na tym ucierpieć.

— Chyba ma pan rację. Pójdę sam.

— Niech pan idzie; ale byłoby jeszcze lepiej, gdyby pan nie poszedł wcale.

— To niemożliwe.

— Niech więc pan idzie. Zawsze to będzie lepsze, niż to, co chciał pan zrobić.

— W takim razie jednak chciałbym wiedzieć, czy jeśli działania moje zawiodą i będę się jednak pojedynkował, będzie pan hrabio moim sekundantem?

— Kochany wicehrabio — rzekł Monte Christo z najwyższą powagą. — W swoim czasie dałem panu dowody na to, że w razie potrzeby jestem zawsze do twojej dyspozycji; jednak przysługa, o którą teraz mnie pan prosi, nie wchodzi w zakres tych, jakie mogę panu wyświadczyć.

— A to czemu?

— Być może kiedyś się pan dowie.

— A teraz?

— Proszę pana o uszanowanie mojej tajemnicy.

— Dziwny z pana człowiek, mój hrabio! Więc wcale nie chce się pan do tego mieszać?

— Wcale.

— Skończmy więc ten temat. Do widzenia.

— Do widzenia.

Morcerf wziął cylinder i wyszedł.

Przed bramą czekała na niego dorożka; powstrzymując z całej mocy gniew, kazał się wieźć do Beauchampa.

Beauchamp był w redakcji dziennika, siedział w swoim gabinecie, ciemnym i zakurzonym, jakie bywają redakcje dzienników. Albert kazał się do niego zaprowadzić.

Gdy zaanonsowano Alberta de Morcerfa, kazał to sobie powtórzyć dwa razy; w końcu, wciąż nie dowierzając, zawołał:

— Proszę!

Albert wszedł.

Beauchamp wydał z siebie okrzyk zdziwienia, ujrzawszy przyjaciela grzęznącego w stosach papierów i niezręcznie stąpającego po gazetach wszelkiego formatu, pokrywających podłogę biura.

— Tędy, tędy kochany Albercie — rzekł, wyciągając rękę. — Cóż cię tu u diabła sprowadza? Zgubiłeś się jak Tomcio Paluch w lesie czy też przychodzisz zaprosić mnie po prostu na śniadanie?

— Posłuchaj, Beauchamp — rzekł Albert. — Przychodzę, by pomówić z tobą o twojej gazecie.

— Ty, Albercie? A czego od niej chcesz?

— Chcę sprostowania.

— Ty? Ale sprostowania czego, Albercie? No usiądź, proszę cię.

— Dziękuję — odpowiedział znowu Albert z lekkim skinieniem głowy.

— O co chodzi?

— Żądam sprostowania pewnych przytoczonych faktów, które godzą w honor jednego z członków mojej rodziny.

— A to ciekawe! — rzekł Beauchamp zaskoczony. — Co to za fakty? To chyba niemożliwe.

— Fakty doniesione z Janiny.

— Z Janiny?

— Tak, z Janiny. Doprawdy, wyglądasz jakbyś naprawdę nie wiedział, co mnie tu sprowadza?

— Na mój honor! Nie wiem. Baptysto, przynieś wczorajszą gazetę! — zawołał Beauchamp.

— Nie trzeba, przyniosłem ją ze sobą.

Beauchamp przeczytał, mrucząc pod nosem:

— *Doniesienia z Janiny* itd., itd.

— Widzisz teraz, że sprawa jest poważna — rzekł Morcerf, gdy Beauchamp skończył.

— Czy ten oficer jest twoim krewnym? — zapytał dziennikarz.

— Tak — odpowiedział, rumieniąc się Albert.

— Co więc mogę dla ciebie zrobić? — rzekł Beauchamp łagodnie.

— Chciałbym, mój drogi, żebyś odwołał tę wiadomość.

Beauchamp spojrzał na Alberta z uwagą, która świadczyła o dużej życzliwości.

— Słuchaj — rzekł — musimy na ten temat więcej pogadać; przecież odwołanie jest bardzo poważną rzeczą. Siadaj, jeszcze raz to przeczytam.

Albert usiadł, a Beauchamp ponownie odczytał kontrowersyjną wzmiankę, tym razem z większą uwagą.

— No, sam widzisz — rzekł Albert stanowczo, ostro nawet — w twoim dzienniku znieważono kogoś z mojej rodziny, żądam więc odwołania.

— Żądasz?... Z całym szacunkiem, drogi hrabio, ale dyplomatą to ty nie jesteś.

— I nie chcę być — odpowiedział młodzieniec, wstając. — Żądam odwołania wiadomości, zamieszczonej wczoraj w waszym dzienniku i dopnę swego. Jesteś moim przyjacielem — rzekł Albert, cedząc słowa, gdy spostrzegł, że Beauchamp zaczął dumnie podnosić głowę — jesteś moim przyjacielem i znasz mnie chyba, spodziewam się więc, że zrozumiesz moją stanowczość w tej sprawie.

— Jestem twoim przyjacielem, Morcerf, ale twoje słowa mogą sprawić, że za chwilę nim już nie będę... Ale zastanówmy się jeszcze, tylko bez gniewu, przynajmniej na razie... jesteś zaniepokojony, poirytowany, urażony... powiedz mi, który twój krewny ma na imię Fernand?

— To po prostu mój ojciec — rzekł Albert — pan Fernand Mondego, hrabia de Morcerf, stary żołnierz, który walczył w dwudziestu bitwach, a którego szlachetne rany dziś chcą obrzucić rynsztokowym błotem.

— To twój ojciec? — rzekł Beauchamp. — A to co innego; teraz pojmuję, kochany Albercie, twoje oburzenie. Przeczytajmy jeszcze raz.

I znowu odczytał notatkę, rozważając każde słowo.

— Ale gdzie tu widzisz — zapytał Beauchamp — że Fernand, o którym mowa w artykule, to twój ojciec?

— Nigdzie, wiem dobrze, że to nie on, ale inni tak to odczytają. I dlatego żądam, by ta wiadomość została odwołana.

Na słowo „żądam" Beauchamp podniósł wzrok na Morcerfa, ale natychmiast spuścił oczy i zamyślił się na chwilę.

— Ogłosisz więc, że ta wiadomość jest nieprawdziwa. Tak, mój Beauchampie? — powtórzył Morcerf z narastającym, chociaż hamowanym jeszcze, gniewem.

— Tak — rzekł Beauchamp.

— No to wspaniale!

— Ale tylko wtedy, kiedy będę pewny, że jest nieprawdziwa.

— Jak to?

— Tak, bo rzecz warta jest wyjaśnienia i ja ją wyjaśnię.

— Ale co według pana należy tu wyjaśniać? — wybuchnął Albert. — Jeżeli pan nie wierzy, że to był mój ojciec, proszę to powiedzieć natychmiast, a jeżeli uważa pan, że to był on, proszę się z tego wytłumaczyć.

Beauchamp spojrzał na Alberta ze swoim specyficznym uśmiechem, którym był w stanie wyrazić każdy rodzaj uczucia.

— Drogi panie — odrzekł. — Skoro już nie jesteśmy na ty; jeżeli przyszedł pan tu żądać ode mnie satysfakcji, trzeba było od tego zacząć, a nie mówić mi o przyjaźni i innych tym podobnych rzeczach, których wysłuchuję cierpliwie już od pół godziny. Jeśli się nie mylę, na taki grunt i ton teraz przechodzimy, czy tak?

— Tak, jeżeli nie odwołasz nikczemnego oszczerstwa!

— Chwileczkę! Tylko bez gróźb, łaskawy panie Albercie Mondego, hrabio de Morcerf. Nie znoszę pogróżek ze strony wrogów, a tym bardziej od przyjaciół. Chce pan więc, abym zdementował notatkę na temat pułkownika Fernanda, której zamieszczenie, daję na to słowo honoru, nie było moim pomysłem.

— Tak, chcę — rzekł Albert coraz bardziej zamroczony.

— A w przeciwnym razie bijemy się, tak? — ciągnął Beauchamp z tym samym spokojem.

— Tak — odparł Albert podniesionym głosem.

— Dobrze — rzekł Beauchamp — drogi panie, oto moja ostateczna odpowiedź: nie ja zamieściłem tę notatkę i nic o niej nie wiedziałem, ale pan swoim zachowaniem zwrócił na nią moją uwagę; nie zostawię więc tej sprawy, dopóki nie sprawię, aby ten, kto zamieścił tę wiadomość, odwołał ją lub potwierdził.

— W takim razie, drogi panie — rzekł Albert, wstając — będę miał honor przysłać panu moich świadków, z którymi uzgodni pan rodzaj broni i miejsce.

— Doskonale, drogi panie.

— Tak więc, jeśli pan pozwoli, spotkamy się dziś wieczorem albo najpóźniej jutro rano.

— Co to, to nie! Owszem, stawię się, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale zdaje mi się — mam bowiem prawo sam zdecydować kiedy, ponieważ to ja zostałem wyzwany — otóż zdaje mi się, że nie nadeszła jeszcze na to pora. Wiem, że pan doskonale włada szpadą, ja znośnie; wiem, że na sześć strzałów chybia pan zaledwie trzy, ja radzę sobie ze strzelaniem podobnie; wiem, że pojedynek między nami będzie poważny, ponieważ jest pan mężny, a i ja, jak się zdaje, nie ustępuję w tym panu. Nie chciałbym więc zabić pana albo samemu narażać się na śmierć bez powodu. Teraz z kolei ja postawię sprawę bardzo kategorycznie: czy tak bardzo zależy panu na tym odwołaniu, że jeżeli tego nie zrobię, to mnie pan zabije, mimo że powiedziałem, powtórzyłem i przysiągłem na honor, że zupełnie o tym nie wiedziałem, i mimo że nawet teraz jeszcze oświadczam panu, iż niemożliwe jest, aby ktokolwiek, poza panem chyba, połączył imię hrabiego de Morcerfa z imieniem owego Fernanda?

— Zależy mi na tym bezwzględnie!

— Dobrze więc, kochany panie, zgoda, nadstawię panu gardło do poderżnięcia, ale żądam trzech tygodni czasu; za trzy tygodnie spotkamy się i albo panu powiem: „Tak jest, wiadomość była fałszywa" i odwołam ją, albo też: „Tak jest, wiadomość jest prawdziwa" i oddam się na łaskę pańskiej szpady lub pistoletu — pan zdecyduje.

— Trzy tygodnie! — krzyknął Albert. — Ale trzy tygodnie to dla mnie trzy wieki hańby!

— Gdyby pozostał pan moim przyjacielem, odpowiedziałbym: „Bądź cierpliwy, przyjacielu"; dziś staje pan przede mną jako wróg, odpowiem więc: „Co mnie to obchodzi?".

— Niech tak będzie, czekam trzy tygodnie — rzekł Morcerf. — Ale niech pan zapamięta, że po trzech tygodniach żadna zwłoka ani żaden wykręt nie uwolni pana...

— Panie Albercie de Morcerf — rzekł Beauchamp, wstając. — Miałbym prawo wyrzucić pana przez okno dopiero za trzy tygodnie, to znaczy za dwadzieścia jeden dni, tak więc dziś i pan także nie ma prawa, aby roznieść mnie na strzępy. Mamy dzisiaj dwudziesty dziewiąty sierpnia, zobaczymy się dwudziestego pierwszego września. Do tego dnia, radzę panu jako człowiek uczciwy, przestańmy na siebie szczekać jak dwa uwiązane na powrozach psy.

I Beauchamp skłonił się poważnie młodzieńcowi, odwrócił do niego plecami i wyszedł do drukarni.

Albert zemścił się na stosie gazet, które rozrzucił, smagając z rozmachem szpicrutą, po czym wyszedł, odwracając się jeszcze kilkakrotnie ku drzwiom drukarni.

Po chwili zaczął smagać konia z tą samą zaciętością, z jaką przed chwilą wyżywał się na Bogu ducha winnych papierach. Mijając bulwar, spostrzegł Morrela, który z zadartą głową, błyszczącym okiem i wymachując energicznie rękami przechodził obok chińskiej łaźni, idąc, od bramy Św. Marcina, w kierunku kościoła Świętej Magdaleny.

— Ech — westchnął Albert. — Oto szczęśliwy człowiek.

I przypadkiem nie mylił się.

78. LEMONIADA

Morrel był bardzo szczęśliwy.

Pan Noirtier tylko co po niego posłał, a Morrel tak bardzo pragnął dowiedzieć się czym prędzej, jaka jest przyczyna tego wezwania, że nie wziął dorożki. Wolał zaufać swoim własnym nogom niż czterem końskim, wybiegł więc z ulicy Meslay na przedmieście Świętego Honoriusza.

Morrel szedł sprężystym krokiem, a nieszczęsny Barrois starał się jak mógł dotrzymać mu kroku: Morrel miał lat trzydzieści jeden, a Barrois sześćdziesiąt; Morrel był upojony miłością, Barrois zaś znużony niezmiernym upałem.

Dwóch tych mężczyzn, różnych zupełnie pod względem wieku i dążeń, przypominało dwa ramiona trójkąta rozchodzące się u podstawy, a zbiegające u wierzchołka.

Wierzchołkiem był pan Noirtier, który posłał po Morrela i polecił się mu pospieszyć. Polecenie to, ku wielkiej rozpaczy Barrois, młodzieniec wypełniał nader gorliwie.

Morrel przyszedł na miejsce, nie zasapawszy się nawet, bo miłość dodała mu skrzydeł; ale Barrois, który od dawna już nie kochał, był cały oblany potem.

Stary sługa wpuścił Morrela bocznymi drzwiami, zamknął drzwi gabinetu, a po chwili szelest sukni sunącej po podłodze obwieścił przybycie Valentine.

Valentine wyglądała zachwycająco w żałobnej sukni.

Morrel tak słodko się rozmarzył, że niemal mógł się obejść bez rozmowy z panem Noirtierem, ale wózek starca zaturkotał po podłodze, a po chwili ukazał się on sam.

Noirtier życzliwym wzrokiem przyjął wylewne podziękowania Morrela za cudowne włączenie się do sprawy, które uchroniło Valentine i jego od desperacji. Następnie wzrok Morrela przeniósł się pytająco na inny przejaw łaski, którą został obdarzony, czyli na młodą dziewczynę. Onieśmielona, siedziała w pewnej odległości od młodzieńca, czekając, aż dziadek nakaże jej mówić.

Noirtier także na nią spojrzał.

— Czy mam powiedzieć to, co mi, dziadku, zaleciłeś? — zapytała.

— Tak — odparł Noirtier.

— Panie Morrel — rzekła Valentine do młodzieńca, który pożerał ją oczami. — Mój dziadunio ma panu do powiedzenia wiele rzeczy, które mnie powiedział już trzy dni temu. Dziś posłał po pana, żebym je panu powtórzyła; powtórzę więc wszystko, gdyż dziadek obrał mnie za swoją pośredniczkę i nie zmienię ani słowa z tego, co od niego usłyszałam.

Valentine spuściła oczy; słodka wydała się ta przepowiednia Morrelowi, bo Valentine tylko w szczęściu okazywała oznaki słabości.

— Mój dziadek chce opuścić ten dom — rzekła. — Barrois szuka mu teraz przyzwoitego mieszkania.

— A pani? — rzekł Morrel. — Pani, tak droga i tak potrzebna panu Noirtierowi?

— Ja — odpowiedziała dziewczyna — nie zostawię mojego dziadka, to już uzgodniliśmy między sobą. Zamieszkam obok niego. Albo uzyskam na to pozwolenie ojca, albo też nie pozwoli mi na to; w pierwszym przypadku natychmiast stąd odchodzę, w drugim czekam, aż osiągnę pełnoletność, co nastąpi za dziesięć miesięcy. Wówczas będę wolna, będę miała mój własny majątek i...

— I co? — zapytał Morrel.

— I za pozwoleniem drogiego dziadka dotrzymam obietnicy, którą panu złożyłam.

Valentine ostatnie słowa wymówiła tak cicho, że Morrel z pewnością by ich nie dosłyszał, gdyby nie wielkie pragnienie odgadnięcia ich.

— Czy dobrze przedstawiłam twoje zamysły, kochany dziadku? — dodała Valentine, zwracając się do pana Noirtiera.

— Tak — odparł Noirtier.

— Kiedy zamieszkam z dziadkiem, będzie mnie pan mógł widywać w obecności tego zacnego i godnego opiekuna. A jeżeli więzy, które zaczęły łączyć nasze nieświadome, czy też kapryśne serca, okażą się mocnym i pewnym gwarantem naszego przyszłego szczęścia (chociaż! mówi się przecież, że serca podsycane przeciwnościami losu gasną w bezpiecznym zaciszu), wtedy będzie pan mógł prosić mnie o rękę. Ja zaczekam.

— Och! — zawołał Morrel, a chciało mu się paść na kolana przed starcem jak przed Bogiem, a przed Valentine jak przed aniołem. — Co tak dobrego zrobiłem w życiu, że na tyle szczęścia zasłużyłem?

— Aż do tej chwili — rzekła następnie dziewczyna swym dźwięcznym i poważnym głosem — będziemy szanować konwenanse i wolę naszych rodziców, jeżeli nie będą oni dążyć do rozdzielenia nas na zawsze. Jednym słowem (i słowo to powtarzam, ponieważ jest dla nas decydujące): zaczekamy.

— Jakichkolwiek to słowo wymaga poświęceń — rzekł Morrel do Noirtiera — przysięgam panu, że jestem na nie gotowy i to nie z rezygnacją, ale z radością.

— Odtąd — odezwała się znowu Valentine, a Maksymilian rozpłynął się pod jej spojrzeniem — odtąd, mój przyjacielu, nie możemy popełnić żadnej nieostrożności. Nie narażaj honoru tej, która już dziś uważa się za przeznaczoną, by godnie nosić twoje nazwisko.

Morrel położył rękę na sercu.

Noirtier spoglądał na nich oboje z czułością. Barrois, przed którym niczego nie ukrywano, stał na uboczu i uśmiechał się tylko, ocierając wielkie krople potu z czoła.

— O mój Boże! Jak gorąco naszemu poczciwemu Barrois — zakrzyknęła Valentine.

— Bo też ja, proszę panienki, okropnie się zbiegałem — rzekł Barrois. — Ale muszę oddać sprawiedliwość panu Morrelowi, że prędzej biegł ode mnie.

Noirtier wskazał okiem tacę, na której stała karafka z lemoniadą i szklanka. Karafka nie była pełna, bo pół godziny temu trochę lemoniady wypił pan Noirtier.

— Napij się, kochany Barrois — rzekła dziewczyna. — Napij się, mój drogi, bo widzę, że już oczami pijesz tę lemoniadę.

— To prawda — rzekł Barrois — że umieram z pragnienia i że chętnie wypiłbym za zdrowie państwa szklankę lemoniady.

— To wypij — rzekła Valentine — i zaraz wracaj.

Barrois wyniósł tacę i ledwie znalazł się na korytarzu, przez niedomknięte drzwi widać było, jak przechylając do tyłu głowę, duszkiem wypił całą szklankę napełnioną przed chwilą przez Valentine.

Valentine i Morrel żegnali się właśnie w obecności Noirtiera, gdy wtem dał się słyszeć odgłos dzwonka na schodach od apartamentu pana Villeforta.

Zwiastowało to czyjąś wizytę. Valentine spojrzała na zegar.

— Już dwunasta — rzekła. — Dziś sobota, dziadziu, to na pewno lekarz.

Noirtier dał znak, że faktycznie powinien to być lekarz.

— Przyjdzie tu, trzeba więc, aby pan Morrel wyszedł; czy tak, dziadziu?

— Tak — odpowiedział starzec.

— Barrois — zawołała Valentine. — Barrois! Chodź tutaj!

Z daleka dał się słyszeć głos starego sługi:

— Już idę, panienko.

— Barrois odprowadzi pana do drzwi — rzekła Valentine do Morrela. — I teraz niech pan, panie oficerze, nie zapomni jednej rzeczy, że mój dziadek zalecił panu nie czynić nic, co mogłoby nas skompromitować.

— Obiecałem czekać — rzekł Morrel — i czekać będę.

W tej chwili wszedł Barrois.

— Kto to dzwonił? — zapytała Valentine.

— Pan lekarz d'Avrigny — rzekł Barrois, chwiejąc się na nogach.

— Cóż to, co ci jest, mój Barrois? — zawołała Valentine.

Starzec nie odpowiedział, spojrzał tylko na swojego pana przerażonym wzrokiem, a kurczowo zaciśniętą ręką usiłował znaleźć jakieś oparcie, by nie upaść.

— On zaraz upadnie! — zawołał Morrel.

I rzeczywiście, Barrois drżał coraz mocniej; rysy twarzy zmieniły mu się pod wpływem konwulsyjnych drgnięć mięśni i zwiastowały silny atak nerwowy.

Noirtier, widząc Barrois w takim stanie, zaczął nerwowo mrugać oczami, a w jego wzroku pełnym życia i przenikliwości, malowały się wszystkie uczucia miotające jego sercem.

Barrois zrobił kilka kroków w kierunku swego pana.

— O mój Boże! Boże... Panie! Co mi jest? Ja okropnie cierpię... nic już nie widzę — krzyknął Barrois. — Tysiące ogni spala od środka moją czaszkę. Nie dotykajcie mnie, nie dotykajcie mnie!

Wzrok starca stawał się coraz ostrzejszy i coraz bardziej błędny, głowa przechyliła mu się w tył, a ciało zaczęło sztywnieć.

Valentine przerażona krzyknęła; Morrel ogarnął ją ramionami, jakby chciał obronić od jakiegoś niebezpieczeństwa.

— Panie doktorze, panie doktorze! — krzyknęła Valentine stłumionym głosem. — Do nas, na ratunek!

Barrois obrócił się, zrobił trzy kroki w tył, potknął się i upadł wprost pod nogi Noirtiera. Opierając się ręką o jego kolana wołał:

— Mój panie! Mój dobry panie!

W tym samym momencie, zwabiony krzykami, ukazał się na progu pan Villefort.

Morrel puścił na pół omdlałą Valentine, cofnął się i zniknął w kącie pokoju, schowany za portierą. Blady, utkwił nieruchomy wzrok w konającym nieszczęśniku.

Noirtier wrzał cały ze zniecierpliwienia i trwogi; całą swoją duszą rwał się, by biec starcowi na pomoc. Był on przecież bardziej jego przyjacielem niż sługą. Widać było, jak

okrutną walkę stacza w nim właśnie życie ze śmiercią. Na czole starca nabrzmiały żyły, a wokół oczu niektóre mięśnie jego twarzy drgały jeszcze w skurczach.

Barrois ze zmienioną twarzą, z oczami nabiegłymi krwią, z szyją wygiętą do tyłu, wyciągnięty był na podłodze. Jego ręce biły o ziemię, a nogi miał tak zesztywniałe, że łatwiej byłoby je na pół złamać, niż zgiąć.

Z ust wytoczyło mu się trochę piany; pojękiwał boleśnie.

Villefort stał przez chwilę osłupiały, wpatrując się z wytrzeszczonymi oczami w tę scenę.

Morrela nie dostrzegł. W czasie tej krótkiej chwili, kiedy niemo obserwował scenę, twarz jego pobladła, a włosy zjeżyły się na głowie:

— Doktorze! Doktorze! — krzyknął, rzucając się ku drzwiom. — Prędzej!

— Proszę mamy! Proszę mamy! — zawołała Valentine macochę, wybiegając na schody. — Prędzej! I niech mama weźmie sole trzeźwiące!

— Co tam się stało? — odezwał się metaliczny i opanowany głos pani de Villefort.

— Ach, prędzej, niech mama przyjdzie!

— Ale gdzie jest lekarz? — wołał Villefort. — Gdzie on jest?

Pani de Villefort schodziła powoli, a schody skrzypiały pod jej stopami. W jednym ręku trzymała chustkę, którą ocierała sobie twarz, w drugiej miała flakonik z solami angielskimi.

Wszedłszy, spojrzała najpierw na Noirtiera, którego twarz pomimo naturalnego w podobnych okolicznościach wzruszenia, nie przejawiała żadnych znamion choroby; potem wzrok jej przeniósł się na konającego. Zbladła i przeniosła wzrok ze sługi na pana.

— Ależ na miłość boską! Żono, gdzie jest lekarz? — zawołał Villefort. — Wszedł przecież do ciebie. To jakiś apoplektyczny atak, trzeba upuścić krew, żeby go uratować.

— Jadł coś przed chwilą? — zapytała pani Villefort, zmieniając temat.

— Matko — rzekła Valentine. — Nie jadł dziś śniadania, ale bardzo dużo się nabiegał od rana, bo załatwiał interesy. Jak wrócił, wypił tylko szklankę lemoniady.

— O! A dlaczego nie napił się wina? — zdziwiła się pani de Villefort. — Lemoniada jest bardzo niezdrowa.

— Lemoniada była pod ręką, w karafce u dziadunia; biedny Barrois bardzo chciał się napić i wypił, co było.

Pani de Villefort zadrżała. Noirtier przenikliwie na nią spojrzał.

— Jaki on ma krótki oddech — rzekła.

— Moja żono, pytałem, gdzie jest lekarz — rzekł Villefort. — Na miłość boską, odpowiedz!

— W pokoju Edwarda, który jest trochę niezdrów — odpowiedziała pani de Villefort, nie mogąc już dłużej zwlekać z odpowiedzią.

Villefort wypadł na schody i pobiegł po lekarza.

— Weź to ode mnie — rzekła pani Villefort, oddając flakonik Valentine. — Ja wracam do siebie, bo krew mu na pewno puszczą, a ja nie znoszę widoku krwi.

I wyszła za swoim mężem. Morrel wyszedł ze swojego ukrycia, gdzie dotąd nikt go nie dojrzał, tak wielkie było ogólne poruszenie.

— Wychodź prędko, Maksymilianie — rzekła Valentine — i czekaj, aż cię wezwę. Idź już, idź!

Morrel zapytał wzrokiem Noirtiera. Noirtier, który zachował zimną krew, dał znak, potwierdzający słowa wnuczki, przycisnął więc rękę Valentine do serca i wymknął się chyłkiem przez korytarz. Niemal w tej samej chwili, drugimi drzwiami, weszli lekarz i pan Villefort.

Barrois zaczął odzyskiwać przytomność. Kryzys minął, był w stanie wyjąkać parę słów i usiłował się podnieść, przyklękając na jednym kolanie.

Lekarz d'Avrigny i pan Villefort przenieśli Barrois na kanapę.

— Co pan zaleca, doktorze? — zapytał Villefort.

— Niech mi tu przyniosą wodę i eter[1309]. I niech ktoś pobiegnie po terpentynę[1310] i emetyk[1311].

— Już! — rzekł Villefort.

— A teraz niech wszyscy wyjdą.

— Ja też? — zapytała nieśmiało Valentine.

— Tak! Panienka przede wszystkim! — rzekł ostro lekarz.

Valentine spojrzała ze zdziwieniem na pana d'Avrigny'ego, pocałowała dziadka w czoło i wyszła.

Lekarz, zachmurzony, zamknął za nią drzwi.

— Doktorze, proszę patrzeć, on już przychodzi do siebie; widać był to tylko lekki atak.

Pan d'Avrigny uśmiechnął się ponuro.

— Jak się czujesz, mój Barrois?

— Trochę lepiej, panie doktorze.

— Czy mógłbyś wypić tę szklankę wody z eterem?

— Spróbuję, ale niech mnie pan nie dotyka. Bo zdaje mi się, że jeśli mnie pan dotknie, choćby końcem palca, atak natychmiast powróci.

— Wypij to.

Barrois wziął szklankę, podniósł ją do zsiniałych ust i wypił prawie do połowy.

— Gdzie cię boli? — zapytał lekarz.

— Wszędzie, czuję jakby okropne skurcze.

— A ćmi ci się w oczach?

— Tak, panie.

— W uszach ci szumi?

— Okropnie.

— Kiedy cię to napadło?

— Niemal w tej chwili.

— A wczoraj, przedwczoraj nic nie czułeś?

— Nic.

— Co dzisiaj jadłeś?

— Nic nie jadłem, wypiłem tylko szklankę lemoniady od pana i nic więcej.

I ruchem głowy wskazał na pana Noirtiera, który nieporuszony siedział w swoim fotelu i obserwował tę okropną scenę, nie tracąc z niej żadnego słowa i ani żadnego ruchu.

— Gdzie jest ta lemoniada? — zapytał natychmiast lekarz.

— W karafce, w kuchni.

— Czy chce pan, żebym poszedł i przyniósł ją tutaj, doktorze? — zapytał Villefort.

— Nie trzeba, niech pan tu zostanie i postara się, aby chory wypił resztę tej wody. Ja sam po nią pójdę.

D'Avrigny skoczył do drzwi, otworzył je i zbiegając po schodach dla służby, o mało nie przewrócił pani de Villefort, która także szła do kuchni.

Pani de Villefort krzyknęła.

D'Avrigny zupełnie nie zwrócił na to uwagi i kierowany jedną myślą zbiegał po kilka schodów naraz. Wpadł do kuchni i spostrzegł karafkę, która opróżniona w trzech czwartych, stała na tacy.

Rzucił się na nią jak orzeł na swoją zdobycz.

Pobiegł znowu na górę i zdyszany wpadł do pokoju.

Pani de Villefort wracała powoli po schodach do swoich pokojów.

— Czy to była ta karafka? — zapytał lekarz. — I to ta sama lemoniada, którą piłeś?

— Tak mi się wydaje.

— Jaki smak miała?

— Gorzki.

[1309] *eter* — eter dietylowy, szybko się ulatniająca ciecz o odurzającym zapachu; stosowany w XIX w. jako środek znieczulający. [przypis edytorski]

[1310] *terpentyna* — bezbarwna lub żółtawa ciecz uzyskiwana z żywicy drzew iglastych. Stosowana m.in. do produkcji farb, lakierów i rozpuszczalników. W medycynie używana do nacierania. Może być trująca i działa drażniąco. [przypis edytorski]

[1311] *emetyk* — środek wywołujący wymioty. [przypis edytorski]

Lekarz nalał kilka kropel lemoniady na dłoń, dotknął jej wargami, wypłukał nimi usta, jakby kosztował wina, po czym wypluł do kominka.

— Niewątpliwie ta sama — rzekł. — Czy pan także ją pił, panie Noirtier?

— Tak — odpowiedział starzec.

— I także pan czuł, że była gorzka?

— Tak.

— Och, panie doktorze — zawołał Barrois. — Znowu mi to wraca! O Boże wszechmogący, zlituj się nade mną!

— Gdybym miał jakiś środek, żeby wpuścić mu powietrze do płuc — rzekł lekarz rozglądając się wkoło — może w ten sposób zapobiegłbym uduszeniu. Ale nie ma nic! Nic!

— O, mój panie! — krzyczał Barrois. — Pozwoli mi pan tak umrzeć? Umieram! Boże mój! Umieram!

— Pióro, pióro, dajcie pióro! — zawołał lekarz.

Spostrzegł pióro na stole.

Próbował włożyć pióro w usta chorego, który w konwulsjach daremnie starał się zwymiotować, ale szczęki miał tak zaciśnięte, że włożenie pióra okazało się niemożliwe.

Ten atak był dużo silniejszy od pierwszego. Barrois zsunął się z kanapy na ziemię i zesztywniał.

Lekarz, nie mogąc w żaden sposób ulżyć jego cierpieniu, pozostawił go na podłodze i zbliżył się do Noirtiera:

— Jakże się pan czuje, dobrze? — zapytał pospiesznie cichym głosem.

— Tak.

— Lekko w żołądku czy czuć jakiś ciężar? Lekko?

— Tak.

— Czy tak jak po pigułce, którą pan bierze co niedziela, jak panu zaleciłem?

— Tak.

— Czy Barrois przyrządził dla pana lemoniadę?

— Tak.

— Czy to pan pozwolił mu się jej napić?

— Nie.

— Czy pan de Villefort?

— Nie.

— Pani de Villefort?

— Nie.

— Więc zapewne Valentine?

— Tak.

Wtem Barrois wydał z siebie westchnięcie i jego szczęki rozwarły się z chrzęstem, co zwróciło uwagę lekarza; zostawił pana Noirtiera i pobiegł do chorego.

— Mój Barrois — rzekł lekarz — czy możesz mówić?

Barrois niezrozumiale wybełkotał kilka słów.

— Spróbuj mój przyjacielu, postaraj się.

Barrois otworzył przekrwione oczy.

— Kto zrobił lemoniadę?

— Ja.

— Czy od razu po zrobieniu zaniosłeś ją do pana?

— Nie. Zostawiłem w oficynie, bo mnie zawołano.

— Kto ją tu przyniósł?

— Panna Valentine.

Lekarz klepnął się w czoło.

— O mój Boże! Mój Boże — mruknął do siebie.

— Panie doktorze, panie doktorze — zawołał Barrois, czując, że zbliża się trzeci atak.

— Przyniosą mi dziś ten emetyk, czy nie? — krzyknął lekarz.

— Oto przynoszę całą szklankę — rzekł Villefort, wchodząc.

— A kto go przygotował?

— Chłopiec aptekarski, który ze mną przyszedł.

— Napij się.

— Nie mogę, doktorze, już za późno; gardło mam ściśnięte; duszę się! Moje serce! I głowa!... Co za piekło!... Długo jeszcze będę tak cierpiał?

— Nie, mój przyjacielu — rzekł lekarz. — Za chwilę przestaniesz cierpieć.

— Ach rozumiem! — zawołał nieszczęśnik. — O mój Boże, zmiłuj się nade mną!

Wydał z siebie krzyk i upadł na wznak jakby powalony piorunem.

Lekarz przyłożył rękę do jego serca, a do ust zbliżył lusterko.

— I co? — zapytał Villefort.

— Niech pan idzie do kuchni i każe mi natychmiast przynieść syropu fiołkowego.

Villefort wyszedł w jednej chwili.

— Niech pan się nie obawia, panie Noirtier — rzekł lekarz. — Przeniosę chorego do innego pokoju i upuszczę mu krew; przecież tego rodzaju ataki to przerażający widok.

Wziął Barrois pod ręce i przeciągnął go do sąsiedniego pokoju; ale natychmiast wrócił do Noirtiera, by zabrać resztę lemoniady.

Noirtier przymknął prawe oko.

— Valentine? Pragnie pan widzieć Valentine, czy tak? — zapytał lekarz. — Zaraz powiem, żeby ją do pana przysłano.

Villefort już wracał i lekarz spotkał go na korytarzu.

— No i jak? — zapytał.

— Chodźmy — rzekł lekarz.

I wprowadził Villeforta do pokoju.

— Wciąż jeszcze nieprzytomny? — zapytał prokurator.

— On umarł.

Villefort cofnął się kilka kroków, złapał się za głowę i patrząc na zmarłego, rzekł z niekłamanym współczuciem:

— Umarł tak prędko...

— Tak, bardzo prędko, prawda? — rzekł lekarz — Ale nie powinno to pana dziwić, bo i państwo de Saint-Méranowie poumierali prędko. O, w tym domu bardzo prędko się umiera, panie Villefort!

— Jak to — zawołał prokurator struchlały i zmieszany jednocześnie. — Znowu pan wraca do tej okropnej historii?

— Znowu, drogi panie, znowu! — rzekł uroczyście d'Avrigny. — Bo ta historia wciąż zaprząta moje myśli i może być pan pewien, że tym razem się nie mylę. Niech pan posłucha uważnie, panie Villefort.

Villefort zatrząsł się.

— Istnieje trucizna, która zabija, nie zostawiając niemal śladu. Ja znam bardzo dobrze tę truciznę, przestudiowałem dokładnie jej działanie, wszystkie objawy jej zażycia. I tę truciznę rozpoznałem od razu u biednego Barrois, tak jak rozpoznałem ją również w przypadku pani de Saint-Méran. Jest pewien sposób by rozpoznać tę truciznę; przywraca ona niebieski kolor papierkowi lakmusowemu[1312], który się zaróżowił od kwasu. Poza tym barwi ona na zielono syrop fiołkowy. Nie mamy tu lakmusowego papierka, ale właśnie mi niosą syrop fiołkowy, o który prosiłem.

Rzeczywiście słychać było już kroki w korytarzu; lekarz uchylił drzwi i wziął z rąk pokojówki naczynie, na jego dnie było parę łyżek syropu. Zamknął drzwi.

— Niech pan popatrzy — rzekł do prokuratora, któremu serce waliło jak młotem. — Oto jest naczynie z fiołkowym syropem, a tu karafka z resztą lemoniady, której napili się już pan Noirtier i Barrois. Jeżeli lemoniada jest czysta i nie zawiera trujących składników, syrop nie zmieni koloru; jeżeli jest zatruta, syrop stanie się zielony. Niech pan teraz uważa!

Lekarz, powoli, nalał kilka kropel lemoniady z karafki do naczynia z syropem — na dnie natychmiast uformował się obłoczek, który początkowo miał kolor niebieskawy, potem szafirowy, a następnie zaczął wpadać w opal, a z opalu w szmaragd.

Po ostatniej zmianie pozostał w tym samym kolorze. Doświadczenie nie zostawiało więc żadnych wątpliwości.

[1312] *papierek lakmusowy* a. *papierek wskaźnikowy* — rodzaj bibułki, która zmienia kolor w zależności od odczynu substancji, z którą ma kontakt. [przypis edytorski]

— Nieszczęsny Barrois został otruty fałszywą angosturą[1313] i orzechem świętego Ignacego[1314] — rzekł lekarz. — Teraz mogę to śmiało przysiąc przed ludźmi i Bogiem.

Villefort nic nie odpowiedział, tylko wzniósł ręce do nieba, otworzył szeroko błędne oczy i, jak powalony piorunem, opadł na fotel.

79. OSKARŻENIE

D'Avrigny ocucił natychmiast prokuratora, który w tym grobowym pokoju wyglądał niczym drugi trup.

— O, śmierć jest w moim domu! — zawołał Villefort.

— Niech pan raczej powie: zbrodnia — odrzekł lekarz.

— Panie d'Avrigny! — zawołał Villefort. — Nie potrafię wyrazić tego, co się w tej chwili we mnie dzieje: bo ogarnia mnie groza, boleść i szaleństwo zarazem.

— Zapewne — rzekł lekarz z imponującym spokojem. — Ale zdaje mi się, że najwyższy czas, abyśmy zaczęli działać; nadszedł czas, byśmy powstrzymali ten strumień śmierci. Co do mnie, nie potrafię już dłużej w żaden sposób ukrywać takiej tajemnicy, nie mogąc mieć nadziei, że sprawiedliwości stanie się zadość i że społeczeństwo pomści śmierć ofiar.

Villefort rozejrzał się wokół ponurym wzrokiem.

— I to w moim domu! — wyszeptał. — W moim domu!

— Ależ panie prokuratorze — rzekł lekarz. — Niech pan będzie człowiekiem. Pan przecież zna się na prawie, to może panu przynieść zaszczyt, ale będzie pan musiał się zdobyć na całkowitą ofiarę.

— Pan mnie przeraża, doktorze! Ofiara! Podejrzewa pan kogoś?

— Nie podejrzewam nikogo; śmierć puka do pańskich drzwi, wchodzi, ale nie błądzi na ślepo, tylko z rozmysłem przechodzi z pokoju do pokoju. A ja podążam ciągle w ślad za nią, rozpoznaję jej kroki! Sięgam do mądrości starożytnych i błądzę po omacku, bo moja przyjaźń i szacunek dla pana i pańskiej rodziny są jak opaska, która przesłania moje oczy. Ale jednak...

— Niech pan mówi, niech pan mówi, doktorze, ja znajdę odwagę.

— Trzeba znaleźć tego, komu zbrodnia przyniesie korzyść, mówi zasada prawa.

— Doktorze — zawołał Villefort. — Doktorze, ileż razy sprawiedliwość ludzką zmyliły te okropne słowa! Nie wiem, nie wiem, ale zdaje mi się, że ta zbrodnia...

— Przyznaje pan więc w końcu, że miała tu miejsce zbrodnia?

— Tak, przyznaję. Cóż począć. Rzecz nie ulega wątpliwości, proszę pozwolić mi jednak mówić dalej. Zdaje mi się, że ta zbrodnia spada przede wszystkim na mnie, a nie na ofiary. Mam przeczucie, że za tymi wszystkimi klęskami innych czai się moja klęska.

Kondycja ludzka

— O człowieku — wyszeptał lekarz — najbardziej egoistyczny ze wszystkich zwierząt, najbardziej egocentryczny ze wszystkich stworzeń. Zawsze zdaje ci się, że Ziemia kręci się tylko wokół ciebie, że słońce świeci wyłącznie dla ciebie, że śmierć zbiera żniwo tylko dla ciebie. Mrówko, co złorzeczysz Bogu z wierzchołka trawy! Czy ci, co stracili życie, nic nie stracili? Pani de Saint-Méran, pan de Saint-Méran, pan Noirtier...

— Jak to pan Noirtier?

— A tak! Czy według pana, komuś zależało na śmierci tego biednego sługi? Wcale nie. Jak Poloniusz[1315] u Szekspira, on zginął za kogoś innego. To dla pana Noirtiera została przygotowana lemoniada i to on, a nie kto inny, według logicznego porządku, miał ją wypić jako pierwszy. Służący napił się jej przypadkiem; i chociaż umarł Barrois, umrzeć miał pan Noirtier.

— Dlaczego więc nie umarł ojciec?

— Już to panu mówiłem kiedyś w ogrodzie, po śmierci pani de Saint-Méran. Jego ciało jest uodpornione na tę truciznę. Dawka, która dla niego jest nieszkodliwa, dla innego jest śmiertelna; ponieważ nikt nie wie, nawet morderca, że od roku leczę brucyną paraliż

[1313] *angostura* — rodzaj gorzkiej wódki. [przypis edytorski]

[1314] *orzech świętego Ignacego* — inaczej: owoc kulczyby, którego nasiona zwierają strychninę i brucynę. [przypis edytorski]

[1315] *Poloniusz* — drugoplanowa postać w tragedii Szekspira Hamlet, ojciec Ofelii i Laertesa, wcielenie dworaka. Hamlet zabił go w komnacie swej matki, ukrytego za zasłoną, ponieważ wziął go za swego znienawidzonego wuja. [przypis edytorski]

pana Noirtiera, zbrodniarz zaś jest przekonany, a doświadczenie go w tym upewniło, że brucyna jest najgwałtowniejszą trucizną.

— O mój Boże! Mój Boże! — zawołał Villefort, załamując ręce.

— Szukajmy tylko śladu zbrodniarza; on zabił pana de Saint-Mérana... Gotów jestem przysiąc, że tak było. Wszystkie symptomy, o których mi mówiono, w pełni zgadzają się z tymi, które widziałem na własne oczy.

Villefort poddał się i wydał z siebie bolesny jęk.

— Zabił pana de Saint-Mérana — powtórzył lekarz — zabił panią de Saint-Méran: po nich dziedziczy podwójny spadek.

Villefort otarł czoło oblane potem.

— Pan Noirtier — ciągnął bezlitośnie lekarz. — Pan Noirtier sporządził niegdyś testament, w którym przeznaczył cały swój majątek dla ubogich, a nie dla pana lub pańskiej rodziny. Trudno było wtedy czegokolwiek od niego oczekiwać, więc zostawiono go w spokoju. Ale gdy tylko zniszczył swój pierwszy testament i sporządził drugi, z obawy, aby nie zdążył sporządzić trzeciego, zadaje mu się śmiertelny cios. Jak mi się zdaje, drugi testament został zrobiony przedwczoraj; sam pan więc widzi, że czasu się tu nie traci.

— Litości, panie d'Avrigny! Ulituj się nad moją córką! — zawołał stłumionym głosem Villefort.

— Sam pan widzi, że to pan, a nie ja, wymienił jej imię. Pan, jej ojciec!

— Miej litość nad Valentine! Przecież to niemożliwe! Wolałbym już oskarżyć samego siebie! Valentine ma serce czyste jak kryształ, to lilia niewinności!

— Panie prokuratorze! Żadnej litości, bo zbrodnia jest oczywista. Panna de Villefort sama zapakowała lekarstwa, które zostały posłane panu de Saint-Méranowi, i pan de Saint-Méran umarł. Panna de Villefort sama przyrządziła napar z ziół dla pani de Saint-Méran i pani de Saint-Méran umarła. Panna de Villefort wzięła z rąk Barrois, który musiał wyjść, karafkę lemoniady, przygotowaną dla pana Noirtiera i starzec cudem tylko uszedł z tego z życiem. To panna de Villefort jest winowajczynią! To ona jest trucicielką! Panie prokuratorze, oskarżam pannę de Villefort winną zbrodni; niech pan czyni swoją powinność.

— Doktorze, już się panu nie sprzeciwiam, nie bronię się i wierzę panu; jednak przez litość, niech pan oszczędzi moje życie, mój honor!

— Panie de Villefort — powiedział lekarz z rosnącą siłą. — Zdarzają się okoliczności, kiedy nie oglądam się na ludzkie względy. Gdyby pana córka popełniła tylko pierwszą zbrodnię i gdybym zobaczył, że planuje następną, powiedziałbym wówczas: „Proszę ją przestrzec, proszę ją ukarać, niech spędzi resztę życia w jakimś klasztorze, niech płacze i modli się". Gdyby popełniła drugą zbrodnię, powiedziałbym panu: „Panie de Villefort, oto trucizna, na którą nie ma żadnego antidotum, nagła jak myśl, szybka jak błyskawica, śmiertelna jak uderzenie piorunem; daj jej tę truciznę i każ jej ją zażyć, polecając duszę Bogu. W ten sposób ocali pan swój honor i życie, ponieważ ona przyjdzie także do pana. Już ją widzę, jak czule przemawiając, z obłudnym uśmiechem zbliża się do pańskiego łóżka. Biada panu, panie de Villefort, jeśli nie uderzy pan pierwszy!". Oto, co bym panu powiedział, gdyby zabiła ona te dwie osoby. Ale jej oczy oglądały trzy agonie, była świadkiem trzech śmierci, klęczała przy trzech trupach; taka trucicielka musi zostać ukarana! Pan mówi o swoim honorze? Niech pan zrobi, jak mówię, a czeka pana nieśmiertelność!

Villefort padł na kolana.

— Proszę posłuchać — rzekł — nie jestem tak silny jak pan, ale pan też by nie był, gdyby nie chodziło tu o moją Valentine, ale o pańską Magdalenę.

Lekarz zbladł.

— Doktorze, każdy człowiek zrodzony z niewiasty urodził się po to, by cierpieć i umrzeć. Doktorze, będę cierpiał i czekał na śmierć.

— Niech pan pamięta — rzekł lekarz — że śmierć ta będzie powolna. Będzie pan patrzył jak się zbliża, poprzez śmierć pańskiego ojca, żony, może nawet syna.

Villefort chwycił lekarza za ramiona i ledwie był w stanie mówić:

— Posłuchaj mnie pan! — wykrzyknął. — Zlituj się nade mną... dopomóż mi... Moja córka jest niewinna... Zaciągnij nas przed trybunał; a ja powtórzę: „Moja córka jest niewinna"... W moim domu nie ma zbrodni... ja nie chcę, rozumie mnie pan, aby w moim domu była zbrodnia; bo jeśli gdziekolwiek pojawia się zbrodnia, jest jak śmierć:

nie wchodzi nigdy sama. Niech pan posłucha, co pana to obchodzi, że zostanę zamordowany?... Czy jest pan moim przyjacielem, czy jest pan człowiekiem, czy ma pan serce? Nie. Pan jest lekarzem!... Więc ja panu mówię: ja mojej córki nie oddam w ręce kata!... Ach, ta rozdzierająca myśl doprowadza mnie do szaleństwa!... Tak, że zacznę rozszarpywać sobie paznokciami piersi! A gdyby się pan mylił, doktorze, gdyby to był kto inny, nie moja córka! Gdybym kiedykolwiek przyszedł do pana blady jak śmierć i powiedział: „Morderco! Ty zabiłeś moją córkę!". Jestem chrześcijaninem, ale na pana miejscu odebrałbym sobie wtedy życie!

— Dobrze więc — rzekł lekarz po chwili milczenia. — Zaczekam.

Villefort spojrzał na niego, jakby jeszcze własnym uszom nie wierzył.

— Ale niech pan pamięta — rzekł następnie pan d'Avrigny głosem wolnym i uroczystym. — Jeżeli ktokolwiek w tym domu zachoruje, nawet jeżeli panu samemu się coś przytrafi, nie posyłajcie po mnie, bo nie przyjdę. Będę dzielił z panem tę potworną tajemnicę, ale nie chcę, aby wstyd i wyrzuty zawładnęły moim sercem i zaczęły rosnąć oraz mnożyć się, jak zbrodnia i nieszczęście narastają oraz mnożą się w pana domu.

— Więc opuszcza mnie pan, doktorze?

— Wszystkie te okropności, które zawładnęły teraz moimi myślami, czynią mi pański dom obrzydłym i strasznym. Żegnam pana!

— Jeszcze tylko jedno słowo, doktorze! Odchodzi pan i zostawia mnie w tym strasznym położeniu, które sam pan zaognił, wyjawiając mi tę przerażającą prawdę. Ale co teraz powiedzą o tej nagłej śmierci biednego starego sługi?

— Rzeczywiście — rzekł lekarz. — Proszę mnie odprowadzić.

Lekarz wyszedł pierwszy, a Villefort podążył za nim. Na korytarzach i na schodach, którędy lekarz przechodził, stała zaniepokojona służba.

— Panie de Villefort — rzekł lekarz głośno, tak aby wszyscy słyszeli. — Biedny Barrois od kilku lat mało się ruszał. On, który przywykł przemierzać wraz ze swoim panem, konno czy powozem, wszystkie krańce Europy, nie wytrzymał monotonnej służby, kręcąc się tylko wokół jednego fotela. Krew mu zgęstniała. Przytył, szyję miał tłustą i krótką, i ten nagły atak apopleksji powalił go, a mnie za późno dano znać.

— Aha — dodał z cicha. — Niech pan nie zapomni wylać fiołkowy syrop do kominka, w popiół.

To powiedziawszy, lekarz wyszedł, nie podając nawet Villefortowi ręki i nie wracając do tego, o czym mówili; do drzwi odprowadziły go łzy i zawodzenia wszystkich domowników.

Tego samego wieczora służący Villeforta zebrali się w kuchni i po długiej naradzie przyszli do pani de Villefort prosząc o zwolnienie ze służby. Nie pomogły prośby ani zapewnienia o wyższych zarobkach. Na wszystko mieli jedną odpowiedź: „Chcemy odejść, bo śmierć zawładnęła tym domem".

Na nic zdały się prośby. Odeszli, oznajmiwszy, że bardzo przykro im zostawiać tak dobrych państwa, a zwłaszcza pannę Valentine, taką miłą, łagodną panienkę, o tak gołębim sercu.

Pan Villefort, słysząc te słowa, spojrzał na Valentine.

Płakała.

Dziwne, ale pod wpływem wzruszenia, które poczuł, widząc łzy córki, spojrzał również na żonę i wydało mu się, że dostrzegł na jej wąskich wargach przelotny i złowieszczy uśmieszek, podobny do niepokojących meteorów, które prześlizgują się między chmurami po burzliwym niebie.

80. POKÓJ BYŁEGO PIEKARZA

Tego samego dnia, kiedy hrabia de Morcerf, wściekły i upokorzony — co zrozumiałe — chłodnym przyjęciem, opuścił dom pana Danglarsa, pan Andrea Cavalcanti, ufryzowany[1316] i wypomadowany, z podkręconym wąsem, w białych rękawiczkach, pod którymi rysowały się wyraźnie paznokcie, zajechał, niemal stojąc w swym faetonie, na dziedziniec u państwa Danglarsów.

[1316] *ufryzowany* — uczesany w wymyślny sposób. [przypis edytorski]

Po dziesięciu minutach rozmowy w salonie, znalazł sposób, by zaprowadzić bankiera w stronę okna, gdzie w okiennej niszy wyłożył panu Danglarsowi wszystkie zgryzoty, jakie trawią jego duszę po wyjeździe ojca. I tak zwierzył się, że po wspomnianym wyjeździe właśnie w rodzinie bankiera, gdzie czuł się traktowany jak rodzony syn, znalazł nie tylko najwięcej życzliwości, ale także nadzieję na przyszłe szczęście, którego każdy mężczyzna powinien szukać, nim ulegnie kaprysom uczucia; a co do samego uczucia, to miał wielkie szczęście odnaleźć je w pięknych oczach panny Eugenii.

Danglars słuchał tego z największą uwagą, już bowiem od blisko trzech dni czekał na takie wyznanie ze strony pana Andrei i gdy w końcu je usłyszał, jego oczy otwarły się szeroko i rozpromieniły z tą samą mocą, z jaką zmrużyły i zasępiły w czasie rozmowy z panem de Morcerfem.

Jednakowoż nie chciał od razu przyjmować propozycji Andrei i postanowił wybadać lepiej zamiary młodzieńca.

— Drogi panie — rzekł — czy nie jest pan zbyt młody, aby myśleć o małżeństwie?

— Ależ nie, proszę pana — odparł Cavalcanti — wcale tak nie uważam: we Włoszech wielcy panowie żenią się przeważnie w młodym wieku, to zresztą logiczne. Życie jest tak krótkie, że należy chwytać szczęście, gdy tylko zapuka do naszych drzwi.

— W takim razie, drogi panie Cavalcanti, zakładając, że pańska propozycja, która przynosi mi zaszczyt, zostanie przyjęta przychylnie przez moją żonę i córkę, z kim będziemy rozmawiać o interesach? Są to, jak sądzę, pertraktacje dość istotne i tylko ojcowie potrafią mówić o nich tak, by wyszły na dobre dzieciom.

— Panie, mój ojciec, człowiek mądry, rozsądny i szanujący konwenanse przewidział tego rodzaju okoliczność, na wypadek gdybym miał zamiar pozostać we Francji. Odjeżdżając, zostawił mi wszystkie dokumenty, które potwierdzają moją tożsamość, oraz list, który w przypadku, jeśli dokonam wyboru zgodnego z jego wolą, zapewnia mi sto pięćdziesiąt tysięcy liwrów dochodu, począwszy od dnia ślubu. Jest to, jak mi się zdaje, mniej więcej czwarta część majątku mojego ojca.

— Ja zawsze miałem zamiar — rzekł Danglars — dać mojej córce w posagu pięćset tysięcy franków, zresztą jest ona moją jedyną spadkobierczynią.

— Widzi pan więc — rzekł Andrea — że wszystko układa się jak najlepiej, zakładając, że pani baronowa i panna Eugenia nie odrzucą mojej oferty. W takim razie będziemy mieli sto siedemdziesiąt pięć tysięcy liwrów rocznego dochodu. Przypuśćmy jeszcze jedno: że ojciec zgodzi się wypłacić mi zamiast rocznego dochodu kapitał; nie będzie to łatwe, dobrze wiem, ale może się uda, pan z pewnością lepiej obracałby tymi dwoma lub trzema milionami. Dwa, trzy miliony w rękach zręcznego człowieka mogą przynieść i dziesięć procent zysku na rok.

— Ja zawsze daję tylko cztery procent, a nawet trzy i pół — rzekł bankier — jednak mojemu zięciowi dałbym i pięć, a zyski byśmy dzielili.

— Wybornie, kochany teściu! — rzekł Cavalcanti, nie panując nad swoją bądź co bądź nieco prostacką naturą, która wbrew wysiłkom, jakie czynił, od czasu do czasu dawała o sobie znać pomimo arystokratycznych manier, pod którymi chciał ją ukryć.

Po chwili jednak zreflektował się:

— Przepraszam, przepraszam najmocniej, drogi panie, sama nadzieja doprowadza mnie prawie do szaleństwa, a co dopiero, gdy się ziści?

— Jednak — rzekł Danglars, który nawet nie spostrzegł, kiedy ta bezinteresowna na początku konwersacja przerodziła się w rozmowę o interesach — istnieje z pewnością jeszcze jakaś część pańskiego majątku, której ojciec nie może panu odmówić?

— A to jaka? — zapytał młodzieniec.

— Majątek po pańskiej matce.

— A, naturalnie, majątek po mojej matce, Leonorze Corsinari.

— Ile on może wynosić?

— Przyznam się panu — rzekł Andrea — że nigdy się nad tym nie zastanawiałem, sądzę jednak, że musi wynosić co najmniej jakieś dwa miliony.

Danglars poczuł, jak radość zapiera mu dech w piersiach. Było to uczucie, jakiego doznaje skąpiec, gdy odnajduje zagubiony skarb, albo tonący, który zamiast wciągającej go otchłani, poczuje pod stopami ziemię.

— A więc, panie baronie — rzekł Andrea, oddając bankierowi pełen serdeczności i szacunku ukłon. — Czy mogę mieć nadzieję...?

— Panie Cavalcanti — rzekł Danglars. — Proszę mieć nadzieję i może pan być przekonany, że jeśli żadna przeszkoda z pańskiej strony nie zatrzyma biegu wypadków, może pan uważać naszą umowę za zawartą. Ale — rzekł Danglars, zastanowiwszy się chwilę — jak to możliwe, że pan hrabia de Monte Christo, pana paryski opiekun, nie przyszedł z panem, by złożyć te ofertę?

Andrea lekko się zarumienił.

— Właśnie w tej chwili wracam od hrabiego — rzekł. — Nie da się zaprzeczyć, że jest to człowiek niezwykle czarujący, ale również niebywały oryginał. Bardzo pochwalił moje zamiary, powiedział mi nawet, że, jak mu się zdaje, ojciec bez wahania zgodzi się oddać mi kapitał zamiast renty; przyrzekł nawet użyć swoich wpływów, by dopomóc mi w tej sprawie. Na końcu jednak dodał, że nie chce osobiście się do tego mieszać i że nigdy nie brał i nie chce brać na siebie odpowiedzialności proszenia o rękę w czyimś imieniu. Muszę mu jednak oddać sprawiedliwość, bo dodał potem, że w tym jednym przypadku — gdzie chodzi o mnie — przykro mu odmawiać, ale pewien jest, iż planowany związek będzie szczęśliwy i dobrany. I mimo tego, że nie chce występować oficjalnie, gotów jest w każdej chwili porozmawiać z baronem o tej sprawie, gdy tylko pan na ten temat wspomni.

— No to świetnie.

— A teraz — rzekł Andrea, uśmiechając się najprzymilniej, jak umiał — kiedy zakończyłem rozmowę z teściem, chciałbym porozmawiać z bankierem.

— A to ciekawe, słucham, o co chodzi? — roześmiał się Danglars.

— Pojutrze będę miał przyjemność odebrać u pana jakieś cztery tysiące franków; hrabia jednak zrozumiał moje położenie i to, że w tym miesiącu moje wydatki mogą się trochę zwiększyć, a moja kawalerska pensja mogłaby nie wystarczyć, dał mi więc bon na dwadzieścia tysięcy franków, zaznaczając jednak, że nie pożycza mi ich, ale darowuje. Podpisany jego ręką, jak pan widzi. Chyba nie ma pan zastrzeżeń?

— Może mi pan przynieść taki kwitek nawet na milion i też go chętnie przyjmę — rzekł Danglars, chowając weksel do kieszeni. — Niech pan powie, o której, a mój posłaniec wstąpi jutro do pana i przyniesie dwadzieścia cztery tysiące franków.

— Jeżeli można prosić, to niech pan przyśle pieniądze na dziesiątą rano; im wcześniej tym lepiej, chciałbym wyjechać jutro na wieś.

— Dobrze, o dziesiątej. Mieszka pan nadal w Hotelu Książęcym?

— Tak.

Nazajutrz, z największą punktualnością przynoszącą chlubę precyzyjności bankiera, młodzieńcowi przyniesiono dwadzieścia cztery tysiące franków. Andrea właśnie wychodził. Wychodząc, zostawił dwieście franków dla Caderousse'a.

To wczesne wyjście miało uchronić go od spotkania z niebezpiecznym przyjacielem; z tego też powodu wrócił do domu późną nocą.

Ledwie jednak wszedł na dziedziniec, spotkał się z portierem hotelowym, który czekał na niego z czapką w ręku.

— Panie — rzekł. — Był tu ten człowiek.

— Jaki człowiek? — zapytał niedbale Andrea, jakby nie pamiętał o kogo chodzi, a pamiętał aż nazbyt dobrze.

— Ten, któremu ekscelencja wypłaca pensyjkę.

— A tak! Ten stary sługa mojego ojca — rzekł Andrea. — No dobrze, i oddałeś mu dwieście franków, które dla niego zostawiłem?

— Tak, ekscelencjo, oczywiście.

Andrea kazał nazywać się ekscelencją.

— Ale on — ciągnął portier — nie chciał ich przyjąć.

Andrea zbladł i tylko dzięki panującym ciemnościom nikt tego nie dostrzegł.

— Jak to! Nie chciał ich przyjąć? — spytał lekko zmienionym głosem.

— Nie. Chciał tylko widzieć się z ekscelencją. Odpowiedziałem, że pan wyszedł, on jednak nalegał; wreszcie dał się przekonać i oddał mi dla pana ten opieczętowany list.

— Zobaczmy — rzekł Andrea.

Przeczytał przy świetle latarni swojego faetonu:

Wiesz, gdzie mieszkam. Czekam na ciebie jutro o dziewiątej rano.

Andrea obejrzał pieczątkę, czy nie była uszkodzona i czy ktoś ciekawy nie zajrzał do listu, był on jednak tak dokładnie złożony, pozaginany na bokach i na rogach, że nie dało się go przeczytać bez naruszenia pieczęci, a ta wyraźnie była nietknięta.

— Bardzo dobrze — rzekł. — Biedaczysko! To taki poczciwy człowiek.

Odszedł, zostawiając portiera, który tak był podbudowany tymi słowami, że nie wiedział, kogo ma obdarzyć większym uwielbieniem — młodego pana czy starego sługę.

— Wyprzęgaj natychmiast i przyjdź do mnie — rzekł Andrea do stajennego.

Andrea skoczył do swojego pokoju i natychmiast spalił list Caderousse'a, tak że został z niego tylko pył.

Gdy skończył tę czynność, wszedł stajenny.

— Jesteś tego samego wzrostu co ja, mój Piotrze — rzekł Andrea — i masz, zdaje się nową liberię, którą ci wczoraj przyniesiono?

— Tak, panie.

— Mam interes do jednej gryzetki[1317] i nie chciałbym, aby wiedziała, kim jestem i jakie mam pochodzenie; pożycz mi liberię i przynieś mi swoje papiery, w razie gdybym potrzebował przespać się w oberży.

Piotr spełnił rozkaz.

Pięć minut potem Andrea, w przebraniu i nierozpoznany przez nikogo, wychodził z hotelu. Wsiadł do dorożki i kazał się zawieźć do oberży Pod Czerwonym Koniem, w pobliżu bramy Picpus.

Nazajutrz wyszedł z oberży i tu także nikt nie zwrócił na niego uwagi. Udał się przedmieściem Świętego Antoniego, a następnie bulwarem aż na ulicę Ménilmontant i zatrzymał się przed bramą trzeciego domu na lewo. Nie było widać stróża, więc rozejrzał się za kimś, kto mógł mu udzielić potrzebnych informacji.

— Czego to szukasz, mój piękny chłopcze? — spytała handlarka owocami siedząca naprzeciwko.

— Pana Pailletin, byłego piekarza, mateczko — odpowiedział Andrea.

— W głębi podwórza, na lewo, trzecie piętro.

Andrea poszedł we wskazanym kierunku, a na trzecim piętrze pociągnął z uczuciem rozdrażnienia za zajęczą łapkę wiszącą u drzwi. Odezwał się dzwonek.

Po chwili w okratowanym okienku pojawił się Caderousse.

— O, jesteś punktualny.

I odsunął rygiel.

— E, do diabła! — rzekł, wchodząc, Andrea.

Rzucił czapką od liberii, a że nie trafił na krzesło, czapka upadła na ziemię i potoczyła się po pokoju.

— No, no, mój mały, nie złość się — rzekł Caderousse. — Widzisz, pomyślałem o tobie, no popatrz tylko, przygotowałem ci śniadanko; same rzeczy, za którymi przepadasz, ale pal licho!

Rzeczywiście Andrea poczuł zapachy dolatujące z kuchni, które mimo swej plebejskości nęciły zgłodniały żołądek. Była to mieszanina świeżego tłuszczu z czosnkiem, co zwiastowało kuchnię prowansalską pośledniego gatunku; czuło się też smażoną rybę, ale najsilniejszy był ostry zapach gałki muszkatołowej i goździków. Wszystkie te zapachy parowały z dwóch nakrytych półmisków, stojących na dwóch piecykach i z rondelka, który skwierczał w piecu.

W drugim pokoju Andrea dojrzał dość czysty stół z dwoma nakryciami i dwiema butelkami wina zapieczętowanymi jeszcze na zielono i na żółto, była też prawie pełna karafka wódki, a na fajansowym talerzu sałatka owocowa ułożona z artyzmem na liściu kapusty.

— No i co, jak ci się to podoba, mój mały? — rzekł Caderousse. — Nieźle pachnie? Do diabła! Wiesz dobrze, że byłem wtedy dobrym kucharzem! Pamiętasz, jak oblizywano palce po moich potrawach? A ty pierwszy kosztowałeś zawsze wszystkich moich sosów i nie gardziłeś nimi.

[1317] *gryzetka* (z fr. *gris*: szary; *grisette*: tania, szara tkanina ubraniowa) — młoda robotnica, szwaczka, ekspedientka; nazwa od koloru odzieży noszonej z konieczności przez takie osoby. [przypis edytorski]

I zaczął obierać resztę przygotowanej cebuli.

— Ładnie, ładnie — rzekł Andrea zirytowany. — Jeżeli jednak wezwałeś mnie, żebym zjadł z tobą śniadanie, to niech cię diabli wezmą!

— Mój synku — rzekł sentencjonalnie Caderousse. — Przy jedzeniu można pogawędzić. Jaki też z ciebie niewdzięcznik, czy nie jest ci miło zobaczyć się z przyjacielem? Ja, widzisz, aż płaczę z radości.

Caderousse rzeczywiście płakał; trudno było jednak stwierdzić, czy z radości, czy od cebuli, którą obierał dawny oberżysta z Pont-du-Gard.

— Cicho bądź, ty obłudniku — rzekł Andrea. — Już widzę, jak mnie kochasz.

— Niech mnie diabli wezmą, lubię cię bardzo. Mam jakąś słabość do ciebie i nic na to nie poradzę. To silniejsze ode mnie.

— Nie przeszkodziło ci to jednak wezwać mnie do siebie, pewnie chodzi o jakieś nowe machlojki.

— E, daj spokój — rzekł Caderousse, wycierając szeroki nóż o fartuch. — Gdybym cię nie lubił, czy zgodziłbym się na to nędzne życie, na które mnie skazałeś? Popatrz tylko, masz na sobie liberię swojego służącego, masz więc służącego, a ja go nie mam i muszę sam obierać jarzyny. Krzywisz się na moją kuchnię, bo jadasz przy stole Hotelu Książęcego albo w Café de Paris. A przecież ja także mógłbym mieć służącego; mógłbym mieć własne tilbury, ja także mógłbym jadać, gdzie bym zechciał. Dlaczego więc odmawiam sobie tego wszystkiego? Bo nie chcę robić kłopotów mojemu małemu Benedetto. Sam przyznaj, że mógłbym... prawda? — i bardzo wymowne spojrzenie Caderousse'a uzupełniło niedokończone zdanie.

— No dobrze — powiedział Andrea — przypuśćmy, że mnie kochasz, dlaczego więc domagasz się, żebym przychodził do ciebie na śniadanie?

— Żeby się z tobą zobaczyć, mój mały.

— Po co chciałeś się ze mną zobaczyć? Przecież już ustaliliśmy wszystkie warunki.

— Mój drogi przyjacielu, czy jakikolwiek testament może się obejść bez kodycylu[1318]? Ale przyszedłeś tu przede wszystkim na śniadanie, czy tak? No to usiądź sobie wygodnie i zacznijmy od sardynek i świeżego masła, które masz tu, na listku winnym, specjalnie dla ciebie, ty niecnoto. Aha! Rozglądasz się po moim pokoju, cztery wyplatane krzesła, obrazki po trzy franki sztuka. Co robić? To nie Hotel Książęcy.

— Już ci się, widzę, nie podoba — rzekł Andrea. — Już nie jesteś szczęśliwy, a wcześniej marzyłeś tylko o tym, żeby wyglądać na byłego piekarza.

Caderousse westchnął.

— No i czego ci jeszcze brakuje? Twoje marzenie się ziściło.

— No właśnie, mój drogi Benedetto, wiesz, jakie jest to marzenie: były piekarz jest człowiekiem bogatym, ma rentę.

— Do licha, masz ją, przecież daję ci co miesiąc dwieście franków.

Caderousse wzruszył ramionami.

— To upokarzające, otrzymywać pieniądze w ten sposób, z przymusu. Darowizna, która w każdej chwili może zostać zatrzymana, która dziś jest, a jutro może jej nie być. Wiesz przecież, że muszę oszczędzać na wypadek, gdyby twoje tłuste lata nagle się skończyły. A fortuna, mój przyjacielu, jest bardzo zmienna, jak mawiał kapelan... pułku. Wiem, że udaje ci się wszystko jak mało komu, ty nicponiu. Żenisz się z córką Danglarsa.

— Co ty gadasz!?

— A tak, z córką Danglarsa! Czy o to ci chodzi, że nie powiedziałem „z córką barona Danglarsa"? To prawie jakbym powiedział „hrabia Benedetto"... Przecież Danglars to mój były przyjaciel i gdyby tylko nie popsuła mu się pamięć, zaprosiłby mnie na twoje wesele... Bo musisz wiedzieć, że on był na moim... Tak, tak, był na moim! Do krocset! Nie był wtedy taki nadęty i nie zadzierał tak nosa; był sobie po prostu zwykłym subiektem[1319] u poczciwego pana Morrela. Nie raz jadałem obiady z nim i z hrabią de Morcerfem... a tak! Widzisz, jakie mam znajomości, i gdybym tylko zechciał je podtrzymać, bywalibyśmy teraz razem w tych samych salonach.

[1318] *kodycyl* — późniejszy dodatek do testamentu zawierający rozporządzenie majątkiem na wypadek śmierci, bez ustanowienia spadkobiercy. [przypis edytorski]

[1319] *subiekt* (daw.) — ekspedient a. osoba, jednostka. [przypis edytorski]

— E, nie pleć! Zazdrość całkiem przesłoniła ci oczy.

— Niech i tak będzie, Benedetto *mio*[1320], ale ja wiem, co mówię. A być może, że pewnego dnia i ja założę niedzielne ubranie, stanę przed jakąś bramą i zawołam „Otwierać". Tymczasem siadaj i jedzmy już.

Caderousse dał przykład i zaczął z apetytem zajadać, zachwalając kolejno każdą podawaną gościowi potrawę. Andrea wreszcie zaczął mężnie odkorkowywać butelki, zajadać prowansalską zupę i pałaszować zapiekanego w czosnku i oliwie dorsza.

— No jak, mój bratku — rzekł Caderousse. — Widzę, że przestajesz się już dąsać na swojego dawnego ochmistrza[1321]. I co, smakuje ci, łotrze?

— A tak, tak — odpowiedział Andrea, którego młodość i wigor sprawiły, że górę nad wszystkim wziął wilczy apetyt. — Nie rozumiem, jak człowiek, co potrafi przyrządzić takie frykasy[1322] i je jada, może żalić się, że życie mu doskwiera.

— Wiesz dlaczego? Bo jedna myśl zatruwa mi to szczęście.

— Jaka myśl?

— To, że żyję na koszt przyjaciela. Ja, co zawsze umiałem, i to dobrze, zarobić na siebie.

— Ho! Ho! Nie przejmuj się, doprawdy — rzekł Andrea. — To co mam, wystarczy dla dwóch. Nie obawiaj się.

— Nie mogę się nie przejmować. Wierz mi albo nie, ale mówię ci, że pod koniec każdego miesiąca mam wyrzuty sumienia. Do tego stopnia, że wczoraj w żaden sposób nie mogłem przyjąć tych dwustu franków.

— I chciałeś ze mną pomówić, ale czy to chodzi o twoje sumienie?

— Jak najbardziej. I oprócz tego przyszła mi do głowy jedna myśl.

Andrea zadrżał. Zawsze drżał, gdy słyszał o nowym pomyśle Caderousse'a.

— Bo to takie niemiłe — rzekł następnie — tak czekać i czekać na koniec miesiąca.

— No cóż — rzekł filozoficznie Andrea, by przekonać się, do czego zmierza Caderousse. — Czy nasze życie nie jest ciągłym czekaniem? A ja na przykład, co robię innego? Czekam. Uzbrajam się w cierpliwość i czekam.

— Tak, ale ty nie czekasz na nędznych dwieście franków, ale na jakieś pięć, sześć, być może dziesięć, a nawet i dwanaście tysięcy; czort cię tam wie, bo ty skryty jesteś. Ty zawsze coś tam miałeś pochowane, jakieś sakiewki, skarbonki, bo próbowałeś okpić swojego biednego przyjaciela Caderousse'a. Na szczęście, wspomniany przyjaciel Caderousse miał nosa.

— Dałbyś już spokój, znowu zaczynasz te swoje brednie — rzekł Andrea — gadasz i gadasz ciągle o starych rzeczach! Na co ci to, pytam, klepiesz tylko w kółko o jednym.

— Dlatego, widzisz, że ty masz lat dwadzieścia jeden i mógłbyś szybko zapomnieć stare czasy; ja mam lat pięćdziesiąt i jestem zmuszony, by wszystko pamiętać. Ale mniejsza o to, wróćmy do interesów. Chciałem ci powiedzieć, że gdybym był na twoim miejscu...

— To co?

— Poprosiłbym, żeby wypłacono mi za pół roku z góry, pod pretekstem, że chciałbym kandydować w wyborach i kupić folwark, a potem zniknąłbym z moją półroczną wypłatą.

— No popatrz, popatrz — rzekł Andrea. — Może to i niezła myśl...

— Mój drogi przyjacielu — rzekł Caderousse. — Jadaj w moim domu i słuchaj rad, a ręczę, że na dobre ci to wyjdzie i fizycznie, i duchowo.

— No dobrze — rzekł Andrea — ale dlaczego ty sam nie korzystasz z rad, które dajesz? Dlaczego nie weźmiesz pieniędzy za kwartał z góry, za cały rok nawet i nie ulotnisz się, na przykład do Brukseli? Zamiast udawać byłego piekarza, wyglądałbyś na bankruta, to przecież robi dobre wrażenie.

— Co ty u diabła? Chcesz, żebym uciekał, mając przy sobie jedyne tysiąc dwieście franków?

— Ho ho, przyjacielu — rzekł Andrea. — Jaki ty się zrobiłeś wymagający! Przed dwoma miesiącami umierałeś z głodu.

[1320] *mio* (wł.) — mój. [przypis edytorski]

[1321] *ochmistrz* (daw.) — urzędnik zarządzający dworem panującego lub magnata; opiekun dzieci na takim dworze. [przypis edytorski]

[1322] *frykas* — wyszukana, smakowita potrawa. [przypis edytorski]

— Apetyt rośnie w miarę jedzenia — odparł Caderousse, wyszczerzając zęby jak śmiejąca się małpa albo jak tygrys, który pomrukuje. — Otóż — dodał, odgryzając tymi, pomimo wieku, białymi i ostrymi zębami olbrzymi kęs chleba — mam plan.

Plany Caderousse'a przejmowały zawsze Andreę jeszcze większą trwogą niż jego pomysły; pomysł był dopiero zarodkiem, a plan — realizacją.

— Ciekawy jestem twojego planu — rzekł. — Musi być interesujący.

— Dlaczego nie? A plan, dzięki któremu udało nam się wymknąć z pewnego pensjonaciku, kto wymyślił, ha? Zdaje się, że ja, a i plan nie był taki zły, skoro tu jesteśmy?

— Wcale nie przeczę — odpowiedział Andrea. — Czasami masz szczęśliwe pomysły; no, ale jakiż to plan?

— Powiedz mi — rzekł następnie Caderousse — czy mógłbyś, nie tracąc nic z własnej kieszeni, zdobyć dla mnie jakieś piętnaście tysięcy franków?... Nie, to za mało, piętnaście tysięcy; za te pieniądze nie mógłbym stać się przyzwoitym człowiekiem, potrzeba mi co najmniej trzydzieści tysięcy.

— Nie — odpowiedział oschle Andrea. — To niemożliwe.

— Nie zrozumiałeś mnie chyba dobrze, jak mi się zdaje — odpowiedział Caderousse lodowato, ale spokojnie. — Powiedziałem ci przecież, że bez żadnej straty dla ciebie.

— Chciałbyś może, żebym kradł? Żebym popsuł szyki nie tylko sobie, ale i tobie, a potem żebyśmy znowu tam trafili?

— Mnie jest wszystko jedno — rzekł Caderousse. — Niech mnie złapią. Ja mam taką dziwną naturę, że mi czasem nudno bez starych kolegów; ale ty nie masz serca, najchętniej byś ich już nigdy nie oglądał!

Andrea nie zadrżał, ale już tym razem zbladł.

— No, no, Caderousse, nie gadaj głupstw.

— Możesz być spokojny, mój mały Benedetto; wskaż mi tylko jakiś sposób na zdobycie tych trzydziestu tysięcy franków, ale tak, żebyś się do niczego nie musiał mieszać, sam to załatwię! Tylko tyle.

— Dobrze! Zobaczę, postaram się — rzekł Andrea.

— A tymczasem dasz mi w tym miesiącu pięćset franków. Coś mnie napadło i koniecznie chciałbym przyjąć sobie służącą!

— Dobrze! Dostaniesz pięćset franków — odparł Andrea. — Ale to, Caderousse, utrudni mi życie... Ty nadużywasz...

— Ale, tam! Przecież czerpiesz z worków, które nie mają dna.

Andrea tak jakby czekał na te słowa — w jego oku pojawił się błysk, który jednak natychmiast zgasł.

— To prawda — odpowiedział. — Mam wspaniałego opiekuna.

— O tak, dobry opiekun — rzekł Caderousse. — Ile on ci daje na miesiąc?

— Pięć tysięcy franków — rzekł Andrea.

— To znaczy tyle tysięcy, ile ty mi dajesz setek — skwitował Caderousse. — Nie ma co, zawsze powtarzam, że tylko bękart ma szczęście. Pięć tysięcy franków na miesiąc... Co ty z tym do diabła robisz?

— Ech, dobry Boże, od razu się rozchodzi. Co do jednego się zgadzamy, chciałbym mieć jakiś kapitał.

— Kapitał... tak... rozumiem... Każdy chciałby mieć jakiś kapitał.

— A tak, i ja go będę miał.

— A skąd go weźmiesz? Od twojego księcia?

— Tak, od mojego księcia; niestety, muszę zaczekać.

— Na co zaczekać? — zapytał Caderousse.

— Na jego śmierć.

— A to dlaczego?

— Bo jest dla mnie jakiś zapis w jego testamencie.

— Na ile?

— Na pół miliona.

— Tylko tyle? Kłaniam się uniżenie.

— Mówię ci, że tyle.

— E tam, to niemożliwe.

— Dobrze. Wyjawię ci więc pewną tajemnicę. Otóż, wydaje mi się...

Andrea zamilkł i rozejrzał się.

— Wydaje ci się... Nie bój się, do diabła, nie ma tu nikogo.

— Wydaje mi się, że odnalazłem ojca.

— Twojego prawdziwego ojca?

— Tak.

— Ale nie chodzi o Cavalcantiego?

— Nie, tamten już odjechał. Prawdziwego, jak mówisz.

— I tym ojcem jest...

— Mój drogi, tym ojcem jest hrabia de Monte Christo.

— Do diaska!

— Tak; rozumiesz, teraz wszystko jest jasne. Nie może tak od razu się do tego przyznać, ale podstawił pana Cavalcantiego, żeby mnie uznał za syna i wypłaca mu za to pięćdziesiąt tysięcy franków.

— Pięćdziesiąt tysięcy franków za to, żeby być twoim ojcem! Jak mogłeś nie pomyśleć o mnie, ty niewdzięczniku?

— A czy ja mogłem o tym wiedzieć; to wszystko się działo, kiedy byliśmy tam.

— A racja. I mówisz, że w testamencie jest...

— Zapis dla mnie na pół miliona.

— O, łaskawy ojciec, poczciwy ojciec, najzacniejszy z ojców! — wykrzykiwał Caderousse, wywijając talerzem, który trzymał w obu rękach.

— I powiedz jeszcze teraz, że ja coś przed tobą kryję!

— Niech mnie Bóg broni! To zaufanie dodaje ci zacności w moich oczach. Twój ojciec-książę jest więc bogaty, szalenie bogaty?

— Na to wygląda. Podobno sam nawet nie wie, ile ma.

— A to możliwe?

— Przecież, do licha, dobrze widzę, a bywam u niego, kiedy zechcę. Pewnego dnia posłaniec od bankiera przyniósł mu pięćdziesiąt tysięcy franków w pugilaresie tak grubym jak twoja sakiewka, a wczoraj sam bankier przyniósł mu sto tysięcy franków w złocie.

Caderousse oniemiał; zdawało mu się, że słowa młodzieńca pobrzękują niczym metal i że słyszy w nich sypiące się kaskadami dukaty.

— I ty bywasz w tym domu? — zapytał prostodusznie.

— Kiedy mi się zechce.

Caderousse zamyślił się na chwilę. Widać było, że chodziła mu po głowie jakaś uporczywa myśl. Po czym rzekł:

— Jak ja bym chciał to wszystko widzieć — westchnął głośno — jakie to wszystko musi być pięknie!

— To prawda — rzekł Andrea. — To wszystko jest zachwycające.

— Nie mieszka on czasem na Polach Elizejskich pod trzydziestym?

— Tak. Przepiękny dom, na uboczu, z dziedzińcem i ogrodem, nie widziałeś jeszcze czegoś podobnego.

— O, z pewnością; ale mnie nie obchodzi, jak wygląda z zewnątrz, ciekawy jestem, jak wygląda w środku. Słuchaj, musisz mnie tam kiedyś wziąć ze sobą.

— Co ty wygadujesz! Pod jakim pretekstem?

— Racja; ale takiego narobiłeś mi apetytu, że aż mi ślinka cieknie. Muszę to zobaczyć i znajdę na to jakiś sposób.

— Caderousse, nie rób głupstw!

— Ech, do diabła! Muszę więc zadowolić się samą wyobraźnią.

— I wierz mi, że tak będzie najlepiej.

— Opowiedz mi jednak choć trochę, jak to wygląda. Czy to duże mieszkanie?

— Ani duże, ani małe.

— A jaki ma rozkład?

— Do pioruna! Daj mi kawałek papieru i atrament, to ci narysuję plan.

— To masz, proszę! — ożywił się Caderousse.

I wyjął ze swojego starego biurka arkusz białego papieru, kałamarz i pióro. Andrea, z ledwie dostrzegalnym uśmiechem, wziął pióro i zaczął rysować.

— Jak ci mówiłem, dom stoi w ogrodzie, a przed nim jest dziedziniec. O tak, widzisz?

I Andrea naszkicował linie ogrodu, dziedzińca i domu.

— A mury wysokie?

— Jakieś osiem do dziesięciu stóp. Nie więcej.

— Ale nieostrożność — zauważył Caderousse.

— Na dziedzińcu są drzewa pomarańczowe w donicach, trawniki i klomby z kwiatami.

— A stajnie gdzie?

— Po obu stronach bramy, o, tak jak tutaj, widzisz?

I Andrea rysował dalej.

— A jak wygląda parter? — spytał Caderousse.

— Parter: jadalnia, dwa salony, sala bilardowa; schody do sieni i schody dla służby.

— A okna?

— Okna wspaniałe, tak piękne, tak szerokie, że mówię ci, pewien jestem, że człowiek twojej postury mógłby się zmieścić z łatwością w jednej szybce.

— A gdzie śpi służba?

— W osobnym domu. Jest to prześliczny budynek, który znajduje się po prawej stronie od wejścia. Trzymają tam drabiny, na piętrze są pokoje dla służby i dzwonki do każdego pokoju.

— O do diabła, są dzwonki!

— Co mówisz?

— Ja? Nic. Mówiłem, że sporo kosztuje założenie takich dzwonków; a powiedz mi, na co im one?

— Dawniej był tam pies, który w nocy pilnował dziedzińca, ale zawieźli go do Auteuil. Wiesz, do którego, byłeś tam.

— A, tak.

— Mówiłem mu, i to jeszcze wczoraj: „To nierozsądnie z pana strony, hrabio, bo kiedy jedzie pan z całą służbą do Auteuil, dom zostaje bez opieki". „I co z tego?" on na to, a ja: „To z tego, że pewnego dnia ktoś pana okradnie".

— I co odpowiedział?

— Odpowiedział: „A co mnie to obchodzi, że mnie okradną?".

— Posłuchaj Andrea, a jest tam może jakiś mechaniczny sekretarzyk?

— Jaki sekretarzyk?

— No taki, co jak złodziej się do niego zbliży, to zatrzaskuje się za nim krata i pozytywka zaczyna grać jakąś melodię. Mówiono mi, że na ostatniej wystawie było coś takiego.

— Jest tam zwyczajny, mahoniowy sekretarzyk, przy którym zawsze widziałem kluczyk.

— I nikt go nie okrada?

— Nie, ludzie, którzy tam służą, są mu bardzo oddani.

— Musi tam coś być w tym sekretarzyku, co?... jakieś pieniądze? Gdzie on stoi?

— Może i są... ale kto go tam wie. Na pierwszym piętrze.

— Naszkicuj mi też, syneczku, plan pierwszego piętra; tak mniej więcej, jak parteru.

— Nic łatwiejszego.

I Andrea znowu wziął pióro.

— Na pierwszym piętrze, o tu, popatrz, jest przedpokój i salon. Na prawo od salonu jest biblioteka i gabinet; na lewo od salonu sypialnia i gotowalnia. Otóż właśnie w gotowalni znajduje się ów sławetny sekretarzyk.

Caderousse rozmarzył się.

— I on często wyjeżdża do Auteuil? — zapytał.

— Dwa, trzy razy na tydzień. Ma tam jechać na przykład jutro i zostać na noc.

— A niech go! To jest dopiero życie! — wykrzyknął Caderousse. — Dom w mieście, dom na wsi!

— Oto, co znaczy być bogatym.

— A będziesz tam na obiedzie?

— Prawdopodobnie.

— Jak jesteś tam na obiedzie, to i na noc zostajesz?

— Jeśli tylko mam na to ochotę. U hrabiego jestem przyjmowany, jakbym był we własnym domu.

Caderousse tak spojrzał na młodzieńca, jakby chciał mu wydrzeć jakąś prawdę ukrytą w najgłębszych zakamarkach serca. Ale Andrea wyjął z kieszeni pudełko hawańskich cygar, wziął jedno, podpalił spokojnie i bez emocji zaczął wypuszczać kłęby dymu.

— Kiedyż chcesz te pięćset franków? — zapytał Caderousse'a.

— Nawet od razu, jeśli je przy sobie masz.

Andrea wyjął z kieszeni dwadzieścia pięć ludwików.

— Złoto? — rzekł Caderousse. — O nie, bardzo dziękuję!

— Jak to, nie chcesz? Gardzisz złotem?

— Przeciwnie, bardzo szanuję złoto. Ale go nie chcę.

— Głupcze, przecież zarobisz, jak je wymienisz; pięć sous na sztuce.

— Bardzo możliwe, ale potem właściciel kantoru będzie śledzić poczciwego Caderousse'a, weźmie go za fraki i każe mu się wytłumaczyć, co za dzierżawcy płacą mu należności złotem. Nie, syneczku, wolne żarty! Dawaj mi zwyczajne pieniądze, okrągłe srebrniki z wizerunkiem jakiegokolwiek monarchy. Z pięciofrankówką w kieszeni może chodzić każdy człowiek na świecie.

— Ale ja nie mam przy sobie pięciuset franków w monecie, musiałbym chyba wynająć tragarza.

— No dobrze, to zostaw je u twojego portiera, to porządny człowiek, a ja po nie przyjdę.

— Niech i tak będzie, zostawię ci te pieniądze, wyjeżdżając jutro do Auteuil.

— Rozumiem, że mogę na ciebie liczyć?

— Niewątpliwie.

— Bo, rozumiesz, chciałbym już dziś wynająć sobie służącą.

— Zaczekaj no; ale pamiętaj, że na tym koniec! Nie będziesz mnie więcej męczył?

— Nigdy!

Caderousse zasępił się tak bardzo, że Andrea aż przeląkł się tej nagłej zmiany. By to zatuszować, zaczął udawać jeszcze większą wesołość i swobodę.

— Jaki jesteś wesoły — rzekł Caderousse. — Można by pomyśleć, że masz już w rękach ten spadek.

— Niestety, jeszcze nie! Ale przyjdzie dzień, w którym go odbiorę...

— A wtedy?

— Wtedy nie zapomnę o przyjaciołach. Więcej nie powiem.

— A rzeczywiście, masz przecież dobrą pamięć.

— Co ty gadasz? A ja myślałem, że chcesz zedrzeć ze mnie jakiś okup.

— Ja? Z ciebie? Co za pomysł! Ja, przeciwnie, chcę ci jeszcze dać przyjacielską radę.

— Jaką radę?

— Żebyś zostawił tutaj ten diament, który masz na palcu. Chcesz, żeby nas złapali? Chcesz nas obu zgubić. Jak można robić takie głupstwo? Wkładasz liberię, przebierasz się za służącego i nosisz na palcu diament warty jakieś pięć tysięcy franków.

— Do licha! Dobrze oszacowałeś. Dlaczego nie zostałeś taksatorem[1323]?

— Znam się na diamentach, miałem kiedyś jeden.

— A chwal się, chwal! — rzekł Andrea, nie gniewając się o ten nowy szantaż, czego obawiał się Caderousse, i zdjął pierścionek z palca.

Caderousse przyjrzał się z bliska diamentowi i Andrea od razu się domyślił, że bada, czy kanty szlifu są odpowiednio ostre.

— To fałszywy diament — rzekł Caderousse.

— E, nie żartuj sobie — odpowiedział Andrea.

— No nie gniewaj się, można to sprawdzić.

Caderousse podszedł do okna i przejechał kamieniem po szybie. Szyba zazgrzytała.

— *Confiteor*[1324]! Przyznaję! — rzekł Caderousse, wkładając pierścionek na mały palec. — Pomyliłem się, ale ci złodzieje jubilerzy tak dobrze umieją teraz fałszować kamienie szlachetne, że człowiek nie ma nawet ochoty okradać ich sklepów. Jeszcze jedna gałąź przemysłu sparaliżowana!

[1323] *taksator* — rzeczoznawca ustalający cenę (taksę) czegoś. [przypis edytorski]

[1324] *confiteor* (łac.) — przyznaję się. [przypis edytorski]

— Czy na tym koniec? — rzekł Andrea. — Może chciałbyś mnie jeszcze o coś poprosić i sobie wziąć? Doprawdy, nie krepuj się.

— Nie, jesteś przecież w gruncie rzeczy dobrym kompanem. Nie zatrzymuję cię dłużej i postaram się wyleczyć z moich ambicji.

— Ale zapamiętaj sobie, że jeśli sprzedasz ten diament, możesz napytać sobie tej samej biedy, co gdybyś sprzedawał złoto.

— Nie sprzedam go, bądź spokojny.

„Będę, ale nie dziś, tylko pojutrze" — pomyślał Andrea.

— Szczęściarz z ciebie, łotrze! — rzekł Caderousse. — Idziesz teraz do swojej służby, koni, powozów i do swojej narzeczonej. Mam tylko nadzieję, że dostanę od ciebie jakiś prezent ślubny w dniu, kiedy poślubisz córkę mojego przyjaciela Danglarsa.

— Mówiłem ci już, że coś ci się w głowie uroiło i pleciesz.

— Jaki ma posag?

— Powtarzam ci...

— Milionik?

Andrea wzruszył ramionami.

— Dobry i milion — rzekł Caderousse. — I tak nigdy nie będziesz miał tyle, żeby ci wystarczyło na moje potrzeby.

— Dziękuję ci — odparł młodzieniec.

— No, nie złość się! To z dobrego serca — rzekł Caderousse, śmiejąc się rubasznie na całe gardło. — Czekaj, odprowadzę cię.

— Nie fatyguj się.

— Muszę.

— A to dlaczego?

— Bo widzisz, drzwi te kryją w sobie pewien sekret. Rozwaga podpowiedziała mi, że przezorność nigdy nie zaszkodzi. Zamek firmy Huret i Fichet, rozpracowany i udoskonalony przez Kacpra Caderousse'a. Taki sam ci zmajstruję, kiedy zostaniesz kapitalistą.

— Dziękuję — odrzekł Andrea. — Uprzedzę cię o tym tydzień wcześniej.

Rozstali się. Caderousse stał na schodach i obserwował chłopaka, dopóki ten nie zszedł na dół i nie zniknął w bramie. Potem wpadł szybko do pokoju, zatrzasnął drzwi i z miną doświadczonego architekta zaczął oglądać plan, który mu zostawił Andrea.

— Poczciwy Benedetto — rzekł do siebie. — Sądzę, że się nie pogniewa, jeśli ktoś przyspieszy chwilę, w której odziedziczy te pół miliona franków, i podziękuje mu jak przyjacielowi.

81. WŁAMANIE

Nazajutrz po przytoczonej rozmowie hrabia de Monte Christo rzeczywiście pojechał do Auteuil, zabierając ze sobą Alego i kilkoro służących. Wziął też konie — chciał je wypróbować.

Dzień wcześniej hrabia nawet nie myślał o wyjeździe do Auteuil, o czym tym bardziej nie mógł mieć pojęcia Andrea. O wyjeździe tym przesądziło przede wszystkim przybycie Bertuccia, który wrócił z Normandii, przywożąc wiadomości o domu i korwecie. Dom był zakupiony, a korweta już od tygodnia stała na kotwicy w małej przystani; wszelkie formalności zostały dopełnione i załoga składająca się z sześciu ludzi tylko czekała, by wypłynąć w morze.

Hrabia pochwalił gorliwość Bertuccia i kazał mu poczynić przygotowania do rychłego wyjazdu, albowiem mieli jeszcze pozostać we Francji nie dłużej niż miesiąc.

— Bardzo możliwe — rzekł hrabia — że będę musiał w jedną noc dojechać do Tréport. Dlatego chcę, aby po drodze w ośmiu miejscach czekały na mnie przygotowane konie. Zrobię wtedy pięćdziesiąt mil w dziesięć godzin.

— Ekscelencja już raz wyraził to życzenie — rzekł Bertuccio — i konie są gotowe. Sam je kupiłem i porozstawiałem w najdogodniejszych miejscach, to jest po wsiach, w których nikt się zwykle nie zatrzymuje.

— Dobrze — rzekł Monte Christo. — Zabawię tu jeszcze dzień albo dwa, przygotuj więc wszystko jak należy.

Gdy Bertuccio miał odejść, aby wydać rozporządzenia dotyczące tego pobytu, drzwi się otwarły i wszedł Baptysta, trzymając na pozłacanej tacy list.

— Co ty tu robisz? — zapytał hrabia, spostrzegłszy, że Baptysta cały okryty jest kurzem. — Zdaje mi się, że cię nie wzywałem?

Baptysta zbliżył się bez słowa do hrabiego i podał mu list.

— Ważny i pilny — rzekł.

Hrabia rozpieczętował list i przeczytał:

> Ostrzegam Pana de Monte Christo, że jeszcze tej nocy do jego domu na Polach Elizejskich zakradnie się pewien mężczyzna, by wykraść papiery znajdujące się w sekretarzyku stojącym w gotowalni. Wiadomo, że Pan Hrabia de Monte Christo, znany ze swej odwagi, nie zechce zawiadomić policji, mogłoby to bowiem narazić na bardzo poważne nieprzyjemności autora tego listu. Pan Hrabia sam będzie mógł wymierzyć sprawiedliwość, zaczaiwszy się w drzwiach z sypialni do gotowalni albo w samej gotowalni. Zbyt duża ilość ludzi i jawne środki ostrożności mogą spłoszyć złoczyńcę, tak że Pan Hrabia nie będzie miał okazji, by poznać nieprzyjaciela, którego przypadkiem odkrył autor tego listu. Nie będę również w stanie ponownie uprzedzić Pana Hrabiego, gdyby po pierwszym nieudanym włamaniu złoczyńca odważył się na drugą próbę.

W pierwszej chwili hrabia pomyślał, że to tylko zwyczajny podstęp, złodziejska pułapka: ostrzegano go przed mniejszym niebezpieczeństwem, aby wystawić na prawdziwe.

Już więc chciał zanieść list komisarzowi policji, nie bacząc na zalecenie anonimowego przyjaciela, a może właśnie ze względu na to zastrzeżenie, gdy wpadła mu nagle do głowy myśl, że może to być jakiś jego osobisty wróg, którego tylko on sam potrafi rozpoznać i wyciągnąć z tego korzyść dla siebie.

Znamy już dobrze hrabiego. Nie potrzebujemy więc mówić, że ów człowiek o niespotykanej odwadze i energii był gotów, aby stawiać czoła niemożliwemu z zuchwałością właściwą tylko ludziom nieprzeciętnym.

— Nie chcą ukraść mi żadnych papierów — stwierdził Monte Christo — chcą mnie zabić. To nie rabusie, a mordercy. Nie chcę, aby prefekt policji mieszał się do moich prywatnych spraw. Do licha, jestem na to wystarczająco bogaty, po co mam obciążać budżet jego administracji?

Hrabia przywołał Baptystę.

— Wrócisz zaraz do Paryża — rzekł — i sprowadzisz tu wszystkich moich służących. Dziś wszyscy będziecie mi potrzebni w Auteuil.

— I nikt, panie hrabio, nie ma zostać w domu? — zaniepokoił się Baptysta.

— Zostanie odźwierny.

— Ale niech pan hrabia raczy pomyśleć, jaka odległość dzieli jego domek od pałacu.

— I co z tego?

— Mogliby okraść cały dom, a on nie usłyszy nawet szmeru.

— Kto mógłby to zrobić?

— No, rabusie.

— Głupiec z ciebie, mości Baptysto. Złodzieje mogliby okraść mój dom, a i tak mniej wyprowadziłoby mnie to z równowagi, niż gdyby źle wykonano jakiś mój rozkaz.

Baptysta skłonił się.

— Słyszałeś — rzekł hrabia. — Masz przywieźć tu wszystkich swoich kolegów, co do jednego, ale niech wszystko w domu zostanie bez zmian, pozamykajcie tylko okiennice na parterze.

— A na piętrze?

— Wiesz przecież, że nigdy nie są zamykane. Odejdź!

Hrabia zapowiedział, że zje obiad u siebie i że chce by usługiwał mu tylko Ali. Zjadł ze spokojem obiad — i ze zwykłą sobie wstrzemięźliwością; po obiedzie dał znak Alemu, aby poszedł za nim. Wyszli przez furtkę i spacerowym krokiem przeszli przez Lasek Buloński na drogę do Paryża. O zmroku stanęli naprzeciw domu na Polach Elizejskich.

Wszędzie panowały ciemności, tylko w mieszkaniu odźwiernego, odległego o czterdzieści kroków od domu, jarzyło się słabe światełko.

Monte Christo oparł się o drzewo i wzrokiem, który go tak rzadko mylił, jął sondować aleje; badał przechodniów i lustrował sąsiednie ulice, by upewnić się, czy nikt nie czai się w pobliżu. Po dziesięciu minutach przekonał się, że nikt na niego nie czatuje.

Podbiegli natychmiast z Alim do furtki i przemknęli się do domu. Schodami dla służby, od których hrabia miał przy sobie klucz, dostali się do sypialni. Nie drgnęła nawet jedna firanka; nawet odźwierny nie mógłby się domyślić, że do pustego domu zawitał jego główny lokator.

W sypialni hrabia dał Alemu znak, by tu pozostał, a sam poszedł do gotowalni i obejrzał ją dokładnie. Wszystko tu było jak zawsze. Szacowny sekretarzyk stał na swoim miejscu, w zamku tkwił kluczyk. Zamknął sekretarzyk na dwa spusty, wziął klucz, podszedł do drzwi sypialni, odsunął podwójną zasuwkę i wrócił.

Przez ten czas Ali ułożył na stole broń, o którą poprosił go hrabia: krótki karabinek i parę pistoletów o podwójnych lufach, które były tak niezawodne, jak pistolety używane w pojedynkach. Tak uzbrojony, hrabia miał w swoich rękach życie pięciu ludzi.

Było już prawie wpół do dziesiątej. Hrabia z Alim zjedli naprędce po kawałku chleba, popili hiszpańskim winem, po czym Monte Christo uniósł nieco w górę płótno jednego z obrazów, aby przez niewidoczną szparę obserwować drugi pokój.

Miał przy sobie pistolety i karabin, Ali natomiast trzymał w ręku małą arabską siekierkę. Takiej samej używano już za czasów wypraw krzyżowych.

Przez jedno z okien sypialni hrabia mógł obserwować ulicę.

Tak upłynęły dwie godziny.

Zapadły zupełne ciemności, lecz obaj — Ali dzięki swym wrodzonym zdolnościom, a hrabia dzięki tym, które w sobie wyrobił — byli w stanie dostrzec w tych ciemnościach najdrobniejsze ruchy gałązek drzew na dziedzińcu.

Światełko w mieszkaniu odźwiernego dawno już zgasło.

Należało się spodziewać, że złoczyńcy, jeśli rzeczywiście miało nastąpić jakieś włamanie, wedrą się przez schody na parterze, a nie przez okno.

Monte Christo domniemywał, że chodziło tu o jego życie, a nie o pieniądze.

A więc złoczyńcy zakradną się najpierw do sypialni, dokąd mogą się dostać albo przez schody dla służby, albo przez okno w gotowalni. Postawił więc Alego przy drzwiach wiodących na schody, a sam zaczaił się przy gotowalni.

Zegar Inwalidów[1325] wybił trzy kwadranse po jedenastej. Zachodni wiatr przyniósł w wilgotnych powiewach ponure dźwięki trzech uderzeń.

Gdy cichło echo ostatniego uderzenia, hrabiemu wydało się, że słyszy lekki szmer od strony gotowalni; po tym pierwszym szmerze, albo raczej zgrzytnięciu, nastąpiło drugie zgrzytnięcie, potem trzecie, a przy czwartym hrabia wiedział już, o co chodzi. Silna i wprawna ręka nacinała szybę diamentem.

Hrabia poczuł, że serce zabiło mu mocniej.

Nawet ludzie najbardziej zahartowani w niebezpieczeństwie, jeśli są na nie przygotowani, nie mogą pohamować drżenia serca i dreszczu przebiegającego im ciało. Uświadamia im to różnicę pomiędzy snem a rzeczywistością, pomiędzy zamiarem a jego wykonaniem.

Mimo to hrabia uprzedził Alego jednym tylko skinieniem; ten, zrozumiawszy, iż niebezpieczeństwo nadciąga od strony gotowalni, przysunął się o krok do pana.

Monte Christo aż palił się z ciekawości, kim są wrogowie i ilu ich rzeczywiście jest.

Okno, przy którym majstrował włamywacz, znajdowało się naprzeciw szpary, przez którą hrabia obserwował gotowalnię. Utkwił wzrok w oknie: rysował się za nim niewyraźny cień jakiejś postaci.

Po chwili szyba pociemniała jeszcze bardziej, jakby ktoś zakrył ją z zewnątrz papierem, potem delikatnie brzęknęła, ale nie upadła. Przez otwór wsunęła się ręka, szukając klamki; okno skrzypnęło na zawiasach i wszedł jakiś człowiek. Był sam.

— A to zuchwały łotr! — mruknął hrabia.

[1325] *Inwalidzi* (fr. *Les Invalides*) — wybudowany z inicjatywy króla Ludwika XIV wielki kompleks budynków w Paryżu, służący jako szpital i pensjonat dla inwalidów wojennych, obecnie mieszczący również muzea związane z wojskową historią Francji. [przypis edytorski]

W tej chwili Ali trącił go lekko w ramię. Hrabia obejrzał się: Ali wskazywał mu okno pokoju wychodzące na ulicę. Monte Christo podszedł do okna — znał ostry wzrok i czuły słuch wiernego sługi. Rzeczywiście, na ulicy odkleił się od bramy jakiś cień i wspiął na kamienny słupek, jakby chciał zobaczyć, co się dzieje u hrabiego.

— Dobrze! — rzekł do siebie. — Czyli jest dwóch; jeden działa, drugi pilnuje.

Dał znak Alemu, aby nie spuszczał z oka człowieka, który stał na ulicy, a sam jął z powrotem obserwować złodzieja w gotowalni.

Włamywacz po omacku, z wyciągniętymi rękami, posuwał się naprzód.

Po chwili zorientował się w otoczeniu. W gabinecie było dwoje drzwi — zatrzasnął zasuwy w jednych i w drugich.

Gdy zbliżył się do drzwi sypialni, Monte Christo, sądząc, że włamywacz tam wejdzie, przygotował pistolet, ale usłyszał tylko zgrzyt zasuwek. Była to tylko zwykła ostrożność.

Nocny gość nie wiedział, że hrabia usunął żelazne klamry, w które wchodziły zasuwy; mógł się więc czuć jak u siebie i sądzić, że może spokojnie działać.

Sam, uspokojony co do własnego bezpieczeństwa, wyciągnął coś ze swojej przepastnej kieszeni — co, tego hrabia nie widział — i położył to coś na stoliku. Podszedł do sekretarzyka, namacał ręką zamek i spostrzegł, że brakowało w nim kluczyka — tego się nie spodziewał.

Był jednak człowiekiem przezornym i przewidział wszystko. Wkrótce też hrabia usłyszał szczęk kluczy, których całe pęki przynoszą zwykle ślusarze, gdy muszą otworzyć komuś drzwi. Złodzieje nazywają je wytrychami lub słowikami, bez wątpienia ze względu na przyjemność, jakiego nocą dostarcza im znajomy zgrzyt wytrycha ocierającego się o mechanizm zamka.

— Aha! — szepnął do siebie Monte Christo i uśmiechnął się z rozczarowaniem. — To tylko zwyczajny złodziej.

Włamywacz nie mógł sobie poradzić w ciemnościach z doborem stosownego narzędzia. Wziął więc przedmiot położony wcześniej na stoliku, nacisnął sprężynę i natychmiast blade, ale dość jasne światło rzuciło złotawy poblask na jego ręce i twarz.

— A niech to! — szepnął Monte Christo, cofając się w zdziwieniu. — Przecież to...

Ali podniósł siekierę.

— Nie ruszaj się — szepnął Monte Christo. — Zostaw siekierę, nie będziemy jej potrzebować.

Po czym dodał jeszcze kilka słów bardziej zniżonym głosem, gdy bowiem szepnął po raz pierwszy, rabuś drgnął i zastygł w pozie antycznego szlifierza.

Był to jakiś rozkaz, gdyż sługa odszedł na palcach i zdjął ze ściany czarny ubiór i trójgraniasty kapelusz. W tym czasie Monte Christo zdjął szybko surdut, kamizelkę oraz koszulę. Przy blasku światła sączącego się przez szparę dostrzec można było na piersi hrabiego cieniutką, stalową koszulkę. Po raz ostatni może używał takiej koszulki we Francji, w której już dziś nikt nie lęka się sztyletów. Ludwik XVI obawiał się śmierci od sztyletu — a i tak zginął na gilotynie.

Koszulka znikła pod długą sutanną, włosy hrabiego zakryła peruka z tonsurą[1326]; trójgraniasty kapelusz ostatecznie zmienił go w księdza.

Tymczasem włamywacz, nie słysząc już żadnych szmerów, podszedł znów do sekretarzyka i rozległ się zgrzyt wytrycha.

„Dobrze", pomyślał hrabia, ufając z pewnością wymyślnemu zamkowi, który opierał się skutecznie włamywaczowi. „Świetnie, zajmie ci to parę minut".

I podszedł do okna.

Człowiek, który wcześniej wdrapywał się na słupek, przechadzał się teraz po ulicy i co ciekawe, zamiast niepokoić się tym, że w każdej chwili ktoś może nadejść — czy to od strony Pól Elizejskich, czy to od Przedmieścia Saint-Honoré — pochłonięty był tylko tym, co działo się u hrabiego. Starał się za wszelką cenę dojrzeć, co działo się w gotowalni.

Monte Christo uderzył się nagle w czoło i usta zadrgały mu w uśmiechu.

Podszedł do Alego.

[1326] *tonsura* — wygolone kółko na czubku głowy na znak przynależności do niektórych męskich zakonów katolickich. [przypis edytorski]

— Zostań tu — rzekł szeptem do służącego — ukryj się w cieniu. I cokolwiek byś słyszał, nie wychodź i nie pokazuj się, aż cię nie zawołam.

Ali skinął głową, że rozumie i będzie posłuszny.

Monte Christo wyjął z szufladki świecę i w chwili, kiedy złodziej szperał coraz niecierpliwiej w zamku, otwarł cicho drzwi, trzymając świecę tak, by jej światło padało mu wprost na twarz.

Drzwi otwarły się tak cicho, że złodziej nie dosłyszał najmniejszego szmeru.

Toteż wielkie było jego zdumienie, gdy w pokoju zabłysło światło.

Odwrócił się.

— A, dobry wieczór, kochany panie Caderousse! — rzekł Monte Christo. — Co pan tu u diabła robi o tej porze?

— Ksiądz Busoni! — krzyknął Caderousse.

I nie pojmując, skąd wzięło się to nagłe zjawisko — zważywszy, że pozamykał dokładnie za sobą drzwi — upuścił pęk wytrychów i znieruchomiał w osłupieniu.

Hrabia stanął pomiędzy nim a oknem, odcinając mu drogę ucieczki.

— Ksiądz Busoni! — powtórzył Caderousse z wytrzeszczonymi oczami.

— Tak, bez wątpienia, ksiądz Busoni we własnej osobie — podjął Monte Christo. — I bardzo jestem rad, że mnie pan od razu poznał, drogi panie Caderousse; dowodzi to, że obaj mamy dobrą pamięć, bo jeżeli się nie mylę, to już blisko dziesięć lat minęło od naszego ostatniego spotkania.

Ten spokój, ironia i pewność siebie tak przeraziły Caderousse'a, że aż zakręciło mu się w głowie.

— Ksiądz... ksiądz... — wyjąkał, zaciskając pięści i dzwoniąc zębami.

— Chcieliśmy więc okraść hrabiego de Monte Christo? — zagadnął rzekomy ksiądz.

— Księże dobrodzieju — bełkotał Caderousse, usiłując przesunąć się do okna, do którego dostęp zasłaniał mu hrabia. — Księże dobrodzieju, ja nie wiem... proszę, niech mi ksiądz uwierzy... przysięgam...

— Wycięta szyba — ciągnął Monte Christo — ślepa latarnia, pęk wytrychów, zamek do sekretarzyka prawie wyłamany; to chyba jasne?

Caderousse'a zaczęło dusić w gardle; wypatrywał już tylko mysiej dziury, w którą mógłby się wcisnąć i wymknąć stąd.

— No, no — rzekł hrabia. — Widzę, że nic się nie zmieniłeś, panie morderco.

— Księże dobrodzieju! Ksiądz przecież wie wszystko, to i na pewno ksiądz też wie, że to nie ja zrobiłem, ale Karkontka; przecież dowiodłem tego w procesie i dlatego skazano mnie tylko na galery.

— Czyli odsiedziałeś już karę, skoro spotykam cię w chwili, gdy robisz wszystko, by tam znowu wrócić?

— Nie odsiedziałem wszystkiego, księże dobrodzieju, zostałem przez kogoś uwolniony.

— Ten ktoś wyświadczył społeczeństwu ładną przysługę!

— Ach! — westchnął Caderousse. — Przyrzekłem uroczyście...

— Czyli złamałeś przysięgę, tak? — przerwał Monte Christo.

— No tak — rzekł Caderousse, mocno zaniepokojony.

— Szkaradna recydywa[1327]!... Jeśli się nie mylę, może to cię zawieść prosto na plac Gréve[1328]. Oj źle, bardzo źle, *al diavolo*[1329], jak mawia się w moim kraju.

— Proszę księdza, zostałem w to wciągnięty...

— Tak mówią wszyscy zbrodniarze.

— Nędza...

— Dajże pan spokój — rzekł z pogardą Busoni. — Nędza może zmusić człowieka do pójścia na żebry, do kradzieży bochenka w piekarni, ale żeby włamywać się do sekretarzyka w pozornie opuszczonym domu? A kiedy jubiler Joannes odliczył ci czterdzieści pięć tysięcy franków za diament, który ci podarowałem, a ty go zabiłeś, żeby mieć i pieniądze, i diament, czy to też zrobiłeś z nędzy?

[1327] *recydywa* — popełnienie przestępstwa przez osobę już wcześniej karaną. [przypis edytorski]

[1328] *plac Gréve* — plac przed paryskim ratuszem, był on miejscem publicznych egzekucji; dzis. Place de l'Hôtel de Ville. [przypis edytorski]

[1329] *al diavolo* (wł.) — do diabła. [przypis edytorski]

— Niech mi ksiądz przebaczy. Już raz mnie ksiądz ocalił, niech mnie ksiądz ocali po raz drugi.

— Niezbyt mam ochotę.

— Sam ksiądz dobrodziej jest? — zapytał Caderousse, składając ręce. — Czy są już na dole żandarmi, którzy czekają, aby mnie pojmać?

— Jestem sam — odparł ksiądz — i ulituję się nad tobą. Puszczę cię wolno, ryzykując, że swoją wyrozumiałością sprowadzę na ludzi nowe nieszczęścia. Ale musisz mi powiedzieć całą prawdę.

— Och, księże dobrodzieju! — zawołał Caderousse i składając ręce, zbliżył się o krok do hrabiego. — Śmiało mogę powiedzieć, że jest ksiądz moim prawdziwym zbawcą.

— Mówisz więc, że ktoś cię uwolnił z galer?

— Tak, proszę księdza, jakem Caderousse!

— Kto taki?

— Pewien Anglik. Lord Wilmore.

— Znam go. Dowiem się, jeśli kłamiesz.

— Księże dobrodzieju, mówię szczerą prawdę.

— Więc ten Anglik zaopiekował się tobą?

— Nie mną, ale pewnym młodym Korsykańczykiem, z którym byłem skuty.

— Jakże się nazywał ten Korsykańczyk?

— Benedetto.

— Ale to tylko imię!

— Nie miał nazwiska, był podrzutkiem.

— I uciekł razem z tobą? Jak to się stało?

— Pracowaliśmy razem w Saint-Mandrier pod Tulonem. Zna ojciec Saint-Mandrier?

— Znam.

— Otóż kiedy inni wypoczywali, my odeszliśmy trochę na bok, przepiłowaliśmy kajdany piłką, którą dostaliśmy od Anglika i uciekliśmy wpław.

— I co się stało z Benedettem?

— Nie mam pojęcia. Rozstaliśmy się w Hyères.

I aby nadać swoim zapewnieniom większą wagę, Caderousse zrobił jeszcze krok w stronę księdza. Ksiądz stał nieporuszony, zamierzając pytać dalej.

— Kłamiesz! — powiedział ksiądz Busoni stanowczo. — Ten człowiek wciąż jest twoim przyjacielem, a może nawet twoim wspólnikiem, co?

— Dobrodzieju!

— Gdy opuściłeś Tulon, jak żyłeś? Odpowiadaj!

— Jak się dało.

— Kłamiesz! — powtórzył ksiądz po raz trzeci i jeszcze bardziej władczo.

Caderousse spojrzał nań zmartwiały.

— Żyłeś za pieniądze, które on ci dawał.

— Tak, to prawda — przyznał się Caderousse. — Benedetto okazał się synem wielkiego pana.

— A kim ma być ten wielki pan?

— To hrabia de Monte Christo, ten, u którego teraz jesteśmy.

— Benedetto synem hrabiego? — zapytał zdumiony Monte Christo.

— Do diabła, chyba tak, bo hrabia wyszukał mu fałszywego ojca, daje mu cztery tysiące franków na miesiąc, a w testamencie zapisał mu pół miliona franków.

— Aha, aha — powiedział rzekomy ksiądz, zaczynał bowiem powoli pojmować. — Jak nazywa się teraz ten młodzieniec?

— Andrea Cavalcanti.

— O, więc to ten sam młodzieniec, którego mój przyjaciel hrabia przyjmuje u siebie i który ma się żenić z panną Danglars?...

— Tak.

— I jak ty to możesz znieść, nędzniku, znając jego życie i zbrodnie?

— Dlaczego miałbym wchodzić w drogę koledze, kiedy zaczyna mu się powodzić?

— Racja, i to nie ty, ale ja powinienem uprzedzić pana Danglarsa.

— Niech ksiądz tego nie robi!

— A to dlaczego?

— Bo tym sposobem pozbawi nas ksiądz naszego chleba.

— I ty myślisz, że aby tacy łajdacy, jak wy, mieli chleb, zostanę waszym wspólnikiem? Że pomogę wam w tym oszustwie?

— Księże dobrodzieju... — rzekł Caderousse, podchodząc jeszcze bliżej.

— Powiem wszystko.

— Komu?

— Panu Danglarsowi.

— A niech cię diabli! — wrzasnął Caderousse, wyciągając nóż otwarty z zanadrza i uderzając hrabiego w pierś. — Teraz już nic nie powiesz!

Ale ku jego zaskoczeniu sztylet ześliznął się stępiony.

W tejże chwili hrabia chwycił rękę, w której morderca trzymał sztylet i wykręcił ją z taką siłą, że nóż wypadł mu z palców. Caderousse krzyknął z bólu.

Hrabia nie poprzestał na tym. Dotąd wykręcał bandycie rękę, aż ten runął na kolana, a potem zwalił się twarzą do ziemi, oparł mu stopę na głowie i rzekł:

— Nie wiem, co mnie powstrzymuje od roztrzaskania ci czaszki, zbrodniarzu.

— O, litości! Litości! — krzyczał Caderousse.

Hrabia zdjął nogę.

— Wstań! — rzekł.

Caderousse podniósł się.

— Do krocset! Ale ksiądz ma rękę! — rzekł Caderousse rozcierając ramię zdrętwiałe od żelaznego uścisku hrabiego. — Niech to diabli, co za ręka!

— Milcz! Bóg dał mi siłę, żebym mógł ujarzmiać takie dzikie bestie jak ty! Działam w imieniu Boga! Zapamiętaj to sobie, nędzniku! A jeśli oszczędzę cię teraz, to tylko po to, byś służył jeszcze jego zamiarom. Weź pióro, papier i pisz, co ci podyktuję.

— Oj! — jęknął obolały Caderousse. — Nie umiem pisać.

— Kłamiesz! Bierz pióro i pisz!

Caderousse, posłuszny tej nadludzkiej potędze, usiadł i napisał:

> Szanowny Panie, człowiek, którego przyjmuje Pan u siebie i któremu chce Pan oddać za żonę swoją córkę, to były więzień, który uciekł ze mną z galer w Tulonie. Miał numer 59, a ja 58.
>
> Na imię było mu Benedetto, ale nie zna swojego prawdziwego nazwiska, bo nigdy nie znał swoich rodziców.

— Podpisz — rozkazał hrabia.

— Więc chce mnie ksiądz zgubić?

— Ty durniu, gdybym chciał cię zgubić, oddałbym cię w ręce pierwszego lepszego żandarma. Zresztą, kiedy ten bilecik zostanie oddany pod wskazany adres, raczej nie będziesz musiał się już niczego obawiać. Podpisz.

Caderousse podpisał.

— Jeszcze adres: Wielmożny Pan Baron Danglars, bankier, ulica Chaussée-d'Antin.

Ksiądz wziął bilecik.

— A teraz — rzekł — idź precz.

— Którędy?

— Drogą, którą przyszedłeś.

— Chce ksiądz dobrodziej, żebym wyszedł przez okno?

— Przecież tędy wszedłeś.

— Ksiądz coś już knuje przeciw mnie, prawda?

— Głupcze, co miałbym knuć?

— Dlaczego nie mogę wyjść drzwiami?

— Po cóż budzić odźwiernego?

— Niech ksiądz powie, że nie chce mojej śmierci.

— Chcę tego, czego chce Bóg.

— Ale niech mi ksiądz przysięgnie, że nie zabije mnie ksiądz, gdy będę złaził.

— Głupiec i tchórz z ciebie! Sam się zastanów. Próbowałem uczynić cię szczęśliwym, a zrobiłem z ciebie zbrodniarza.

— Niech ksiądz spróbuje ostatni raz.

— Cóż, dobrze. Wiesz, że dotrzymuję słowa, prawda? Jeśli więc wrócisz do domu cały i zdrowy...

— Czegóż mam się obawiać? Chyba tylko księdza?

— Jeśli wrócisz do domu cały i zdrowy, opuść Paryż, wyjedź z Francji i gdziekolwiek trafisz, żyj uczciwie, a ja będę posyłał ci małą pensyjkę; bo jeśli wrócisz do domu cały i zdrowy, to...

— To co? — zadrżał Caderousse.

— To będzie znaczyło, że Bóg ci przebaczył, a wtedy ja także ci przebaczę.

— Jakem chrześcijanin — wybełkotał Caderousse i cofnął się — boję się ojca!...

— Dalej, wynoś się! — rzekł hrabia, wskazując Caderousse'owi okno.

Caderousse, nie ufając jeszcze do końca obietnicy księdza, przełożył jedną nogę za okno i oparł stopę na szczeblu drabiny.

Zatrzymał się na chwilę, dygocząc ze strachu.

— Złaź — rzekł ksiądz, założywszy ręce.

Caderousse pojął, że ze strony księdza nic mu już nie grozi i zaczął schodzić.

Hrabia zbliżył się wtedy ze świecą do okna, tak by z Pól Elizejskich było dokładnie widać, że jakiś człowiek wychodzi z okna.

— Co ksiądz robi! — przestraszył się Caderousse. — Gdyby przechodził patrol...

Zdmuchnął świecę. I znów zaczął złazić, ale uspokoił się dopiero, gdy poczuł pod nogami ziemię.

Monte Christo wszedł do sypialni i jednym spojrzeniem ogarnął ogród i ulicę. Dostrzegł najpierw, jak Caderousse obszedł ogród dookoła i przystawił drabinę w rogu muru, aby wyjść z innej strony, niż przyszedł.

Człowiek, który czatował na ulicy, pobiegł w tym samym kierunku i stanął za rogiem.

Caderousse wspiął się powoli po drabinie, a gdy był na samej górze, wytknął głowę za mur, by sprawdzić, czy ulica na pewno jest pusta. Nie było nikogo, dookoła panowała cisza.

Zegar Inwalidów wybił pierwszą.

Caderousse usiadł okrakiem na murze, wciągnął drabinę, przeniósł ją na drugą stronę i zamiast schodzić, zaczął się raczej po niej ześlizgiwać. Robił to z wprawą świadczącą, że często miał okazję powtarzać to ćwiczenie.

Ale zjeżdżając w dół, nie mógł się już zatrzymać, gdy w połowie drogi ujrzał, jak z cienia wypada jakiś człowiek. Gdy dotykał stopami ziemi, czyjaś ręka uniosła się nad nim — nim zdążył przyjąć postawę obronną, ręka ta wymierzyła mu silny cios w plecy.

Wypuścił drabinę i krzyknął:

— Na pomoc!

Drugi cios otrzymał w bok. Padając, krzyknął:

— Mordują!

I gdy zwalił się na ziemię, napastnik złapał go za włosy i wbił mu nóż w pierś.

Caderousse chciał jeszcze krzyknąć, ale zamiast krzyku wydał z siebie tylko jęk; z trzech ran buchnęła krew. Nie krzyczał już; morderca chwycił go więc za włosy i podniósł mu głowę. Caderousse miał zamknięte oczy i wykrzywione usta. Morderca, przekonany, że go zabił, puścił głowę ofiary i zniknął.

Czując, że napastnik odszedł, Caderousse podniósł się na łokciu i zawołał resztką sił:

— Mordują! Umieram! Proszę księdza, na pomoc!

Rozpaczliwe to wołanie niosło się pośród ciemnej nocy. Drzwi od bocznych schodów otwarły się, skrzypnęła furtka i nadbiegli ze światłem Ali i jego pan.

82. PALEC BOŻY

Caderousse jęczał wciąż rozdzierająco:

— Już po mnie... Przyszliście za późno, zobaczycie już tylko, jak umieram... O, co za ciosy... Ile krwi...

I stracił przytomność.

Ali wraz z panem podnieśli rannego i zanieśli go do sypialni. Tu Monte Christo dał Alemu znak, aby rozebrał Caderousse'a — i ujrzał trzy straszliwe rany.

— Boże — rzekł — czasami długo zwlekasz, nim wymierzysz karę, ale twoja zemsta, gdy już kogoś dosięgnie, jest całkowita.

Ali spojrzał pytająco na pana, nie wiedząc co ma robić dalej.

— Pójdziesz na Przedmieście Saint-Honoré do pana prokuratora de Villeforta i przyprowadź go tutaj. Po drodze obudź odźwiernego i każ mu sprowadzić lekarza.

Ali wyszedł, pozostawiając rzekomego kapłana z nieprzytomnym Caderousse'em.

Gdy nieszczęśnik otworzył oczy, hrabia siedział obok i wpatrywał się w niego posępnie, ale i z litością. Jego usta poruszały się, jakby odmawiał modlitwę.

— Doktora, ojcze — stęknął Caderousse. — Każ wezwać doktora.

— Już po niego posłałem.

— Wiem, że to niepotrzebne, nie uratuje mi już życia, ale może doda mi sił i będę mógł złożyć zeznania.

— Dotyczące czego?

— Mojego mordercy.

— Więc go znasz?

— Ba, czy go znam! To Benedetto.

— Twój kompan?

— Tak... Dał mi plan domu hrabiego w nadziei, że go zabiję i że odziedziczy po nim majątek. Potem chciał zabić mnie, żeby się raz na zawsze ode mnie uwolnić. I dlatego czatował na ulicy i mnie zamordował.

— Posłałem po lekarza i po prokuratora.

— Przyjdzie za późno, za późno... Czuję, jak cała krew ze mnie uchodzi.

— Poczekaj — rzekł Monte Christo.

Wyszedł i po pięciu minutach wrócił z jakimś flakonem. Zatrwożone oczy konającego nie odrywały się ani na chwilę od drzwi, przez które, jak instynktownie wyczuwał, miała nadejść pomoc.

— Prędzej, księże dobrodzieju, prędzej!... Czuję, że znowu tracę przytomność.

Monte Christo podszedł i wlał w posiniałe usta rannego kilka kropel płynu z flaszeczki.

Caderousse westchnął.

— Ach, ojcze!... Życie we mnie wlewasz! Jeszcze, jeszcze...

— Dwie krople więcej i już byś nie żył.

— O, niech już przyjdzie ktoś, przed kim będę mógł oskarżyć tego łajdaka...

— Jeśli chcesz, spiszę twoje zeznanie, a ty je podpiszesz.

— Dobrze... dobrze... — rzekł Caderousse i oczy rozbłysły mu na myśl o tej pośmiertnej zemście.

Monte Christo napisał:

> Umieram zabity przez Korsykańczyka o imieniu Benedetto, mojego towarzysza z więzienia w Tulonie, który miał numer 59.

Następnie podał Caderousse'owi pióro. Ranny zebrał resztkę sił, podpisał, opadł znowu na łóżko i rzekł:

— Resztę ksiądz sam opowie; że występuje pod imieniem Andrea Cavalcanti, że mieszka w Hotelu Książęcym, że... Boże... Boże, umieram...

I Caderousse znowu zemdlał. Ksiądz zbliżył mu do nosa flakonik. Ranny znowu otworzył oczy. Pragnienie zemsty nie opuściło go nawet, gdy był nieprzytomny.

— Ksiądz powie im to wszystko, prawda?

— Powiem, że dał ci plan tego domu, w nadziei, że hrabia cię zabije. Powiem, że uprzedził hrabiego, wysyłając mu list. Powiem, że ponieważ hrabiego nie było, to ja odebrałem list i czekałem tutaj na ciebie.

— Pójdzie za to na gilotynę, prawda? Czeka go szafot? Niech mi ksiądz da słowo, że tak będzie... — stękał Caderousse. — Z tą nadzieją umieram, lżej mi będzie konać...

— Powiem, że przyszedł za tobą, że przez cały czas na ciebie czatował, i jak tylko wyszedłeś, ukrył się za rogiem muru.

— Ksiądz widział to wszystko?

— Przypomnij sobie moje słowa: „Jeśli wrócisz do domu cały i zdrowy to będzie znaczyło, że Bóg ci przebaczył, a wtedy i ja ci przebaczę".

— I nie ostrzegł mnie ksiądz? — zawołał Caderousse, usiłując podnieść się na łokciu. — Wiedział ksiądz, że kiedy stąd wyjdę, zostanę zabity, i nie uprzedził mnie o tym?

— Tak; bo uznałem Benedetta za narzędzie boskiej sprawiedliwości. Świętokradztwem byłoby sprzeciwienie się zamiarom Opatrzności.

— Boska sprawiedliwość! Niech ksiądz przestanie. Sam ksiądz najlepiej wie, że gdyby istniała boska sprawiedliwość, nie chodziłoby bezkarnie po świecie tylu łotrów.

— Cierpliwości — rzekł ksiądz takim tonem, że konający zadrżał. — Cierpliwości!

Caderousse spojrzał nań zdziwiony.

— A ponadto — ciągnął ksiądz — Bóg jest pełen miłosierdzia i ma je dla wszystkich. I tobie je okazał. Jest przede wszystkim ojcem, dopiero potem sędzią.

— O, to ksiądz wierzy w Boga?

— Gdybym miał nieszczęście nie wierzyć w Niego aż do tej chwili, teraz, patrząc na ciebie, na pewno bym uwierzył.

Caderousse zacisnął pięści i wzniósł je do nieba.

— Posłuchaj — rzekł ksiądz, wyciągając ręce nad rannym, jakby chciał przelać w niego wiarę. — Patrz, co zrobił dla ciebie ten Bóg, którego ty nie chcesz uznać nawet w ostatniej chwili życia. Dał ci zdrowie, siłę, pracę, a nawet przyjaciół. Dał ci też życie spokojne, jakie powinien wieść człowiek o czystym sumieniu. A ty, co zrobiłeś, zamiast korzystać z tych darów Pana, które przecież tak rzadko zsyła w całości ludziom? Oddałeś się próżniactwu i pijaństwu, a po pijanemu zdradziłeś najlepszego przyjaciela.

— Pomocy! — krzyknął Caderousse. — Ja nie potrzebuję księdza, ale doktora! Może nie jestem śmiertelnie ranny, może jeszcze nie umrę, może da się mnie uratować!

— Jesteś śmiertelnie ranny i gdyby nie trzy krople, które ci dałem przed chwilą, już byś nie żył. Słuchaj więc.

— Co za kapłan z ciebie! Zamiast pocieszyć umierającego, przyprawiasz go o jeszcze większą rozpacz.

Bóg, Kara, Sprawiedliwość, Zbrodnia, Zdrada

— Słuchaj — podjął ksiądz. — Kiedy zdradziłeś przyjaciela, Bóg nie zaczął cię jeszcze karać, ale zaczął cię ostrzegać; poznałeś co to nędza i głód; dopadła cię zazdrość i żal, że zmarnotrawiłeś połowę życia. Już wtedy obmyślałeś zbrodnię, tłumacząc ją koniecznością. Bóg jednak uczynił dla ciebie cud — za moim pośrednictwem zesłał ci wśród nędzy fortunę, wspaniałą jak dla ciebie, nędzarza, który nigdy nic nie miałeś. Ale ciebie ta fortuna, nieoczekiwana, niesłychana i niespodziewana, nie zadowoliła. Skoro już ją miałeś w ręku, postanowiłeś ją podwoić. A jak? Morderstwem. Podwoiłeś ją, a wtedy Bóg pozbawił cię jej i oddał w ręce ludzkiej sprawiedliwości.

— To nie ja chciałem zabić tego Żyda, ale Karkontka.

— Tak. Dlatego Bóg, nie w swojej sprawiedliwości, bo sprawiedliwość jego odebrałaby ci życie, ale w nieskończonym swoim miłosierdziu sprawił, że sędziowie, wzruszeni twoimi słowami, darowali ci życie.

— A pewnie! I skazali mnie dożywotnio na galery! Ładna mi łaska!

— Nędzniku, a jednak uważałeś tę łaskę za dobrodziejstwo. Twoje podłe serce, które drżało na myśl o śmierci, podskoczyło z radości, gdy dowiedziałeś się, że do końca życia będziesz cierpiał hańbę. Powiedziałeś sobie wtedy to, co mówią wszyscy zbrodniarze: „Z galer można wyjść, z grobu nie". I miałeś rację, bo drzwi twojego więzienia otwarły się dla ciebie w sposób cudowny i niespodziewany. Pewien Anglik zwiedzał Tulon; uczynił kiedyś ślub, iż uwolni dwóch ludzi od niesławy. Jego wybór padł na ciebie i twego towarzysza. Po raz drugi uśmiecha się do ciebie los: otrzymujesz pieniądze, odzyskujesz spokój, możesz rozpocząć nowe życie pomiędzy ludźmi, ty, który zostałeś skazany, aby żyć wśród zbrodniarzy. I wtedy, nędzniku, wtedy ośmieliłeś się po raz trzeci wystawić Boga na próbę. „Mało", mówisz sobie, chociaż masz więcej niż kiedykolwiek dotąd — popełniasz trzecią zbrodnię, zupełnie bez powodu, niczym nieusprawiedliwioną. Bóg się tym zmęczył i Bóg cię ukarał.

Caderousse słabł w oczach.

— Pić! — jęknął. — Pić... pali mnie!

Monte Christo podał mu szklankę wody.

— I wymknie się ten łajdak Benedetto — stęknął Caderousse, oddając szklankę.

— Nikogo nie minie kara, obiecuję ci to... Benedetto zostanie ukarany.

— Czyli i ksiądz zostanie ukarany, bo nie dopełnił kapłańskiego obowiązku... Powinien był ksiądz udaremnić plany Benedetta...

— Ja — rzekł hrabia z uśmiechem, który zmroził umierającego — ja miałem udaremnić plany Benedetta, kiedy twój nóż ześliznął się po koszulce na mojej piersi!... Tak, może nie pozwoliłbym ci zginąć z jego ręki, gdybym tylko widział, że się korzysz, że czujesz skruchę. Ale ty byłeś pyszny i żądny krwi, więc pozwoliłem, aby spełniła się wola boża.

— Nie wierzę w Boga! — wrzasnął Caderousse. — I ty także nie wierzysz... Łżesz... Łżesz...

— Milcz, bo utracisz resztę krwi, jak będziesz się tak wysilał... Nie wierzysz w Boga, ale umierasz ugodzony jego ręką!... Nie wierzysz w Boga, ale ten Bóg mimo wszystko tylko czeka na twoją modlitwę, na jedno słowo, jedną łzę, by móc ci przebaczyć... Bóg, który mógłby tak pokierować sztyletem mordercy, że zginąłbyś na miejscu... ten Bóg dał ci kwadrans na okazanie skruchy... Opamiętaj się, nieszczęsny, i okaż żal za grzechy.

— Nie... — jęknął Caderousse. — Nie okażę skruchy, nie ma Boga i nie ma Opatrzności, wszystkim rządzi przypadek...

— Jest Opatrzność i jest Bóg. A oto dowód na to: ty jęczysz, konasz w rozpaczy, wypierasz się Boga, a ja stoję tu przed tobą bogaty, szczęśliwy, cały i zdrowy, i składam ręce przed tym Bogiem, w którego ty chciałbyś nie wierzyć, a jednak w głębi serca wierzysz.

— Kim ksiądz właściwie jest? — stęknął Caderousse i utkwił gasnący wzrok w hrabi.

— Przyjrzyj mi się dobrze! — rzekł Monte Christo i przysunął świecę do twarzy.

— No, to przecież ksiądz... ksiądz Busoni...

Monte Christo zdjął perukę: na ramiona opadły mu piękne, czarne włosy i okoliły bladą twarz.

— Och — rzekł Caderousse z przerażeniem — gdyby nie te czarne włosy, powiedziałbym, że mam przed sobą tego Anglika, lorda Wilmore'a.

— Nie jestem ani księdzem Busonim, ani lordem Wilmore'em. Przyjrzyj się lepiej i dłużej, przywołaj dawne wspomnienia.

Słowa hrabiego wibrowały jakimś magnetyzmem, pod wpływem którego osłabione zmysły nieszczęśnika wyostrzyły się po raz ostatni.

— O tak, zdaje mi się, że już cię kiedyś widziałem... że cię kiedyś znałem...

— Tak, widziałeś mnie kiedyś i znałeś.

— Kim więc jesteś? I dlaczego, skoro mnie znałeś, pozwalasz mi teraz umrzeć?

— Nic nie może cię już uratować, bo twoje rany są śmiertelne. Gdybym mógł cię jeszcze ocalić, uznałbym to za ostatni znak boskiego miłosierdzia i usiłowałbym, przysięgam ci to na grób mojego ojca, usiłowałbym jeszcze ratować cię, byś odpokutował za swoje grzechy.

— Na grób twojego ojca! — zawołał Caderousse i jakby ożywiony jakąś świętą iskrą podniósł się, żeby lepiej zobaczyć człowieka, który wymówił tak uroczystą dla wszystkich ludzi przysięgę. — Kim jesteś?

Zemsta, Pamięć

Hrabia śledził pilnie wszystkie oznaki postępującej agonii. Zrozumiał, że był to już ostatni zryw życia w umierającym. Podszedł do niego i spojrzawszy na niego spokojnym, a zarazem smutnym wzrokiem, wyszeptał mu do ucha:

— Jestem...

I ledwie uchylając usta wypowiedział nazwisko głosem tak cichym, jakby sam bał się je usłyszeć.

Caderousse podniósł się na kolana, wyciągnął ręce, próbował się cofnąć — w końcu złożył dłonie i wznosząc je w ostatnim wysiłku do nieba, wyrzekł:

— O Boże, Boże, przebacz mi, że wyparłem się ciebie! Istniejesz. I jesteś ojcem ludzi w niebie, a sędzią ludzi na ziemi. Panie Boże, tak długo o tobie zapomniałem! Przebacz mi. Przyjmij moją duszę!

Zamknął oczy i upadł w tył, wydając z siebie ostatni krzyk i ostatnie westchnienie. Krew stygła na jego ranach. Skonał.

— Pierwszy! — rzekł tajemniczo hrabia, patrząc na wykrzywioną śmiercią twarz.

Dziesięć minut później przybyli lekarz i prokurator; jednego przyprowadził odźwierny, drugiego Ali. Zastali księdza Busoniego, jak modlił się przy zmarłym.

83. BEAUCHAMP

Przez następne dwa tygodnie w Paryżu nie mówiono o niczym poza zuchwałym włamaniem do domu hrabiego. Umierający podpisał zeznanie, w którym jako mordercę wskazywał niejakiego Benedetta. Policja rozesłała swoich agentów, aby wyśledzili mordercę.

Nóż Caderousse'a, ślepa latarnia, pęk wytrychów i ubranie, z wyjątkiem kamizelki, której nie można było znaleźć, złożono w kancelarii sądowej. Ciało zostało przewiezione do kostnicy.

Hrabia mówił wszystkim, że wypadek zdarzył się w czasie jego pobytu w Auteuil i że o wszystkim dowiedział się dopiero od księdza Busoniego, który przypadkiem właśnie tę noc spędzał w jego domu, by móc przejrzeć jakieś cenne księgi, jakie hrabia posiadał w swoich bibliotecznych zbiorach.

Jeden Bertuccio bladł na każdą wzmiankę o Benedetcie; ale dlaczego ktoś miałby zauważyć, że taki Bertuccio blednie?

Villefort, wezwany na miejsce zbrodni, sporządził akt oskarżenia i zarządził śledztwo, a prowadził je z taką zawziętością, jak wszystkie sprawy, w których występował z urzędu. Upłynęły jednak trzy tygodnie, a gorliwe poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu. Powoli zaczynano zapominać o włamaniu i zabójstwie. Cały Paryż zajmował się teraz mającym się wkrótce odbyć ślubem panny Danglars z wicehrabią Andreą Cavalcantim.

Mariaż ten był już niemal oficjalnie zapowiedziany i młodzieniec bywał w domu bankiera w charakterze narzeczonego.

Wysłano list do pana majora Cavalcantiego, który bardzo pochwalił ten związek, ubolewając niezmiernie nad tym, że obowiązki nie pozwalają mu opuścić Parmy. Zapewnił również, iż wypłaci synowi sumę przynoszącą sto pięćdziesiąt tysięcy liwrów renty.

Uzgodniono, że owe trzy miliony zostaną złożone u Danglarsa i że będzie on nimi obracał. Znaleźli się tacy, co ostrzegli młodzieńca, że pozycja jego przyszłego teścia jest nieco zachwiana, baron bowiem od jakiegoś czasu ponosił na giełdzie ciągłe straty. Cavalcanti jednak, bezinteresowny i pełen zaufania, nie zważał na te wszystkie pogłoski i przez delikatność nie wspomniał nic o tym baronowi.

Tak więc baron wprost przepadał za wicehrabią Cavalcantim.

Inaczej rzecz się miała z panną Eugenią Danglars. W swojej instynktownej niechęci do małżeństwa, dziewczyna przychylnie przyjmowała Andreę, bo był to dobry sposób, aby pozbyć się Morcerfa; ale teraz, gdy Andrea zajmował coraz bardziej miejsce Alberta, zaczęła odczuwać do niego jawną odrazę. Być może baron zauważył coś, ale tłumaczył to sobie zwykłym kobiecym kaprysem i udawał, że niczego nie dostrzega.

Tymczasem termin, którego zażądał Beauchamp, prawie już upłynął. Teraz też dopiero Albert miał okazję docenić wartość rady udzielonej mu przez Monte Christa, który powtarzał mu, że lepiej zostawić tę sprawę własnemu biegowi. Nikt nie odniósł tej wiadomości do generała i nikt nie upatrywał w oficerze, który wydał twierdzę w Janinie, szlachetnego hrabiego, członka Izby Parów.

Niemniej Albert nadal czuł się obrażony, ponieważ zniewaga była bez wątpienia w intencji osoby, która zamieściła w gazecie tych kilka zdań. Ponadto sposób, w jaki Beauchamp zakończył rozmowę, napełnił go szczególną goryczą. Pielęgnował więc w sobie myśl o przyszłym pojedynku, spodziewając się, że jeśli tylko Beauchamp podejmie wyzwanie, zdoła ukryć prawdę o całej sprawie, nawet przed sekundantami.

Beauchamp nie dawał znaku życia od ostatniej wizyty Alberta i każdemu, kto chciał się z nim widzieć, odpowiadano, że wyjechał na kilka dni. Gdzie był? Tego nie wiedział nikt.

Któregoś ranka lokaj obudził Alberta i oznajmił mu wizytę redaktora.

Albert przetarł oczy i kazał zaprowadzić pana Beauchampa do małego saloniku na dole. Ubrał się prędko i zszedł.

Redaktor przechadzał się po salonie wzdłuż i wszerz, a na widok Alberta przystanął.

— Wizyta, którą mi pan składa, nie czekając na moją, którą miałem panu dziś złożyć, zdaje mi się dobrą wróżbą — rzekł Albert. — Ciekaw jestem, czy będę mógł podać panu rękę i powiedzieć: „Beauchamp, przyznaj się do błędu i pozostań moim przyjacielem", czy będę musiał zapytać: „Jaką pan wybiera broń?".

— Albercie — rzekł Beauchamp ze smutkiem, który zdumiał młodzieńca. — Usiądźmy najpierw i porozmawiajmy.

— Wydaje mi się, że wprost przeciwnie, mój panie; zanim usiądziemy, powinien mi pan odpowiedzieć.

— Albercie — powiedział dziennikarz. — Pewne okoliczności sprawiają, że trudno mi jest odpowiedzieć.

— Mogę to panu ułatwić, ponawiając pytanie: odwoła pan czy nie?

— Nie wystarczy odpowiedzieć tak lub nie, gdy chodzi o honor, pozycję towarzyską i życie takiego człowieka, jakim jest generał porucznik, par Francji, hrabia de Morcerf.

— Co więc należy zrobić?

— Należy, Albercie, zrobić tak, jak ja zrobiłem. Należy sobie powiedzieć, że pieniądze, czas i trud są niczym, gdy chodzi o reputację całej rodziny. Nie wystarczy prawdopodobieństwo, trzeba mieć całkowitą pewność, aby zgodzić się walczyć na śmierć z przyjacielem. Jeśli podniosę szpadę albo jeśli strzelę z pistoletu do człowieka, któremu przez trzy lata ściskałem dłoń, muszę przynajmniej wiedzieć, dlaczego się do tego posuwam — aby stanąć do walki ze spokojnym sercem i z czystym sumieniem, skoro mam bronić swojego życia.

— No dobrze, dobrze, ale co to wszystko ma znaczyć? — zapytał Morcerf zniecierpliwiony.

— To znaczy, że wracam z Janiny.

— To niemożliwe!

— Kochany Albercie, spójrz, oto mój paszport, a w nim wizy: Genewa, Mediolan, Wenecja, Triest, Dobrudża[1330], Janina.

Albert spojrzał na paszport, a potem utkwił zdziwiony wzrok w twarzy Beauchampa.

— Byłeś w Janinie?

— Albercie, gdybyś był cudzoziemcem, nieznajomym albo jakimś tam lordem, jak ten Anglik, który żądał ode mnie satysfakcji przed kilkoma miesiącami, a którego zabiłem dla pozbycia się kłopotu, rozumiesz chyba, że nie zadałbym sobie takiego trudu. Wydało mi się jednak, że tobie należy się z mojej strony ten dowód szacunku i przyjaźni.

— O Boże, Boże! Jaki długi wstęp! Czemu nie mówisz mi tego, na co tak czekam!

— Bo w rzeczywistości...

— Boisz się wyznać, że twój korespondent cię oszukał? O, daj sobie spokój z tą miłością własną, przyznaj się już, przecież nie brakuje ci odwagi.

— Nie o to wcale chodzi — rzekł ciszej dziennikarz. — Przeciwnie...

Albert zbladł okropnie. Chciał coś powiedzieć, ale słowa zamarły mu na ustach.

— Przyjacielu — rzekł Beauchamp serdecznie — wierz mi, byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym mógł cię przeprosić, uczyniłbym to z całego serca, ale niestety!...

— Jak to? Ten francuski oficer... Ten zdrajca, co wydał zamek swojego dobroczyńcy...

— Wybacz mi, że muszę ci to powiedzieć, mój przyjacielu: to był twój ojciec.

Albert spiął się, aby rzucić się na Beauchampa, ale powstrzymała go nawet nie tyle jego wyciągnięta ręka, ile jego łagodne spojrzenie.

— Proszę — rzekł, wyciągając jakiś papier z kieszeni — oto dowód.

Albert rozłożył kartkę. Było to oświadczenie czterech notabli[1331] z Janiny, stwierdzające, że pułkownik Fernand Mondego, instruktor wojsk w armii wezyra Alego Tebelina wydał twierdzę za dwa tysiące worków złota. Podpisy były potwierdzone przez konsula.

Albert zachwiał się i padł zrozpaczony na fotel.

Nie było żadnej wątpliwości: na dokumencie widniało jego nazwisko.

Milczał chwilę głucho, a potem serce wezbrało mu bólem, żyły na skroniach nabrzmiały i z oczu trysnęły mu łzy.

Beauchamp z głębokim współczuciem przyglądał się cierpiącemu młodzieńcowi. Podszedł do niego i odezwał się:

— Albercie, rozumiesz mnie teraz, prawda? Chciałem wszystko zobaczyć na własne oczy i sam osądzić, w nadziei, że wyjaśnienie będzie korzystne dla twojego ojca i że będę mógł oddać mu należną sprawiedliwość. Ale okazało się, że jest inaczej.

[1330] *Dobrudża* — kraina hist. nad Morzem Czarnym. [przypis edytorski]

[1331] *notabl* — powszechnie znany i szanowany obywatel jakiegoś miasta. [przypis edytorski]

Albert ukrył twarz w dłoniach, jakby nie chciał, aby dosięgło go światło dzienne.

— Przybiegłem czym prędzej do ciebie — ciągnął Beauchamp — żeby ci powiedzieć: Albercie! Błędy ojców, które popełnili w tamtych burzliwych czasach, nie dotyczą dzieci. Niewielu zdołało przetrwać tę rewolucję, w czasie której się urodziliśmy, nie plamiąc błotem lub krwią żołnierskiego munduru czy sędziowskiej togi. Albercie, teraz, kiedy mam w ręku dowody i jestem panem twojej tajemnicy, nikt na świecie nie zmusi mnie do walki, którą, jestem przekonany, twoje sumienie wyrzucałoby ci jako zbrodnię; ale to, czego nie mógłbyś ode mnie żądać, ja sam chcę ci ofiarować. Chcesz, żeby te dowody, wyjaśnienia, świadectwa, które ja jeden posiadam, zniknęły? Chcesz, żeby ta straszna tajemnica została na zawsze pochowana między mną i tobą? Dam ci słowo honoru, że nigdy i nikomu jej nie zdradzę.

Albert rzucił się Beauchampowi na szyję.

— O, szlachetne serce! — zawołał.

— Weź to — rzekł Beauchamp, podając Albertowi papiery. List, Ogień

Albert złapał je kurczowo, zmiął i już chciał je podrzeć, powstrzymał się jednak ze strachu, że pewnego dnia jakiś strzęp tych kart powróci do niego niesiony wiatrem i uderzy go w twarz. Podszedł do palącej się stale świecy, która służyła do zapalania cygar i spalił je na drobny popiół.

— Niech przepadną jak zły sen — rzekł Beauchamp. — Niech znikną jak te ostatnie iskry igrające na poczerniałym papierze, niech się ulotnią jak resztki dymu unoszące się z tych niemych popiołów...

— O tak, tak — rzekł Albert — i niech zostanie tylko wieczna przyjaźń, której dochowam mojemu zbawcy, przyjaźń, którą moje dzieci dochowają twoim, przyjaźń, która zawsze będzie mi już przypominać, że tobie zawdzięczam życie i honor. Bo gdyby to wszystko wyszło na jaw, palnąłbym sobie w łeb. Nie! A moja biedna matka? Taki cios by ją zabił. Opuściłbym raczej Francję.

Po chwili jednak ta nagła, nienaturalna radość opuściła młodzieńca i ogarnął go jeszcze większy smutek.

— Co ci jest, przyjacielu? — zatroskał się Beauchamp.

— Widzisz, coś pękło mi w sercu, nie można w jednej chwili wyrzec się szacunku, zaufania i tej dumy, jaką czuje syn, przejmując po ojcu jego nieskazitelne imię. Przyjacielu, jak ja teraz będę się do niego zwracał? Mam cofnąć czoło, gdy zechce mnie pocałować? Mam cofnąć rękę, gdy ojciec poda mi swoją? O moja matko, moja biedna matko! — mówił Albert, patrząc przez łzy na portret matki. — Gdybyś tylko o tym wiedziała, jak bardzo musiałabyś cierpieć!

— Odwagi — rzekł Beauchamp, biorąc go za ręce.

— Ale kto nadesłał tamtą pierwszą wiadomość, która ukazała się w twoim dzienniku? — zawołał Albert. — Za tym wszystkim kryje się czyjaś ukryta nienawiść, jakiś nieznany wróg.

— Tym bardziej zdobądź się na odwagę. Nie okazuj ani śladu niepokoju. Noś w sobie ten ból, jak chmura nosząca w sobie zniszczenie do chwili, kiedy wybucha burza. Dalej, przyjacielu, oszczędzaj siły na moment, kiedy burza wybuchnie.

— Sądzisz więc, że to wszystko jeszcze się nie skończyło? — przeraził się Albert.

— Czy wciąż masz zamiar poślubić pannę Danglars?

— Dlaczego pytasz mnie o to właśnie teraz?

— Ponieważ, mam wrażenie, że zerwanie lub urzeczywistnienie się tego małżeństwa jest w ścisłym związku z tematem naszej dzisiejszej rozmowy.

— Jak to? — rzekł Albert, znów się rozpalając. — Myślisz, że pan Danglars...

— Pytam cię tylko, co z twoim przyszłym małżeństwem! Do diabła, nie dopatruj się w moich słowach czegoś, czego w nich nie ma, nie szukaj w nich jakiś ukrytych znaczeń!

— Nie szukam. A narzeczeństwo zostało zerwane.

— No tak — powiedział Beauchamp.

A widząc, że młodzieniec znowu popada w melancholię, rzekł:

— Słuchaj, Albercie, wyjdźmy na spacer. Przejedziemy się konno albo faetonem. Rozerwiesz się. Wstąpimy gdzieś na śniadanie, a potem ty pójdziesz do swoich, a ja do moich spraw.

— Chętnie — rzekł Albert. — Ale przejdźmy się piechotą, bo zdaje mi się, że jak się zmęczę, to mi dobrze zrobi.

— Dobrze — rzekł Beauchamp.

Przyjaciele wyszli na ulicę i poszli przez bulwar aż do kościoła Świętej Magdaleny.

— Słuchaj — rzekł Beauchamp. — Skoro już tu jesteśmy, może wstąpimy na moment do hrabiego de Monte Christo, rozerwiesz się. To człowiek stworzony do pokrzepiania duszy. On nigdy o nic nie pyta, a moim zdaniem, najlepszymi pocieszycielami są ci, którzy nigdy o nic nie pytają.

— Dobrze — rzekł Albert. — Chodźmy do niego. Lubię go.

84. PODRÓŻ

Monte Christo aż krzyknął z radości, widząc, że młodzieńcy przyszli razem.

— No, spodziewam się, że wszystko już skończone i wyjaśnione?

— Tak — odpowiedział Beauchamp. — Niedorzeczne pogłoski przycichły same, a jeśli zaczęłyby się znowu szerzyć, we mnie znalazłyby największego przeciwnika. Nie mówmy więc już o tym.

— Niech Albert powie panu — rzekł hrabia — że dałem mu taką właśnie radę. Ale dobrze, że tu jesteście, bo spędziłem dzisiaj tak fatalny ranek, jaki mi się jeszcze nie zdarzył.

— Ale co pan robi? — spytał Albert. — Porządkuje pan swoje papiery?

— Moje? Dzięki Bogu nie! W moich papierach jest zawsze porządek, po prostu dlatego, że ich nie mam. To papiery pana Cavalcantiego.

— Jakiego pana Cavalcantiego? — zapytał Beauchamp.

— A tak! Nie wiesz? To młody człowiek, którego pan hrabia wprowadza do towarzystwa. — wyjaśnił Morcerf.

— Zaraz, zaraz, chwileczkę — zaoponował hrabia — nikogo nie wprowadzam, a tym bardziej pana Cavalcantiego.

— I który ma zająć moje miejsce przy pannie Danglars — dodał Albert, siląc się na uśmiech — co mnie bardzo martwi, jak się zapewne domyślasz, mój kochany.

— Jak to? Cavalcanti żeni się z panną Danglars? — zdumiał się Beauchamp.

— Cóż to, wraca pan z dalekich krajów? — zdziwił się Monte Christo. — I to pan, dziennikarz ożeniony z plotką[1332] nic o tym nie wiesz! Cały Paryż o niczym innym nie mówi.

— To pan skojarzyłeś to małżeństwo? — zapytał Beauchamp.

— Ja? Panie ciekawski, niech pan nie opowiada podobnych rzeczy! Ja miałbym kojarzyć małżeństwa! Pan mnie jeszcze naprawdę nie zna. Sprzeciwiałem się temu ze wszystkich sił, odmówiłem nawet pośredniczenia.

— Teraz rozumiem — rzekł Beauchamp. — Zapewne przez wzgląd na naszego przyjaciela, Alberta?

— Przez wzgląd na mnie? — spytał młodzieniec. — Nie, na pewno nie. Niech hrabia sam przyzna i zaświadczy, że ciągle pana prosiłem o pomoc w zerwaniu tego narzeczeństwa. Na szczęście zostało zerwane. Hrabia utrzymuje, że nie jemu powinienem dziękować, wzniosę więc wzorem starożytnych ołtarz *deo ignoto*[1333].

— Panowie — rzekł Monte Christo — tak bardzo nie wtrącałem się do tej sprawy, że moje stosunki zarówno z teściem, jak i z tym młodym człowiekiem nieco się ochłodziły. Chyba tylko panna Eugenia, której najwidoczniej wcale nie spieszy się do małżeństwa, zachowała dla mnie trochę przyjaznych uczuć, bo zobaczyła, że nie mam zamiaru nastawać na jej ukochaną wolność.

— Mówi pan więc, że dojdzie do tego małżeństwa?

— O Boże, oczywiście, i to mimo tego, co na ten temat mówiłem. Ja wcale nie znam tego młodego człowieka — mówi się, że jest bogaty i z dobrej rodziny, ale dla mnie to wszystko oparte jest na pogłoskach. Powtarzałem to panu Danglarsowi do znudzenia, ale jemu ten Toskańczyk zawrócił w głowie. Doszło do tego, że wspomniałem o pewnej okoliczności, która jest chyba dość istotna: młodzieniec został jeszcze jako niemowlę

[1332] *plotka* (daw.) — tu: plotkara. [przypis edytorski]

[1333] *deo ignoto* (łac.) — nieznanemu bogu. [przypis edytorski]

porwany przez Cyganów czy zgubiony przez guwernera... Licho zresztą wie. Można być pewnym tylko jednego: ojciec stracił go z oczu na co najmniej dziesięć lat. Co on robił przez te dziesięć lat, gdzie się włóczył, Bóg jeden wie. Nie zrobiło to jednak na baronie żadnego wrażenia. Poprosił mnie tylko, żebym napisał do majora, aby przysłał papiery, i oto one. Odsyłam je baronowi i jak Piłat[1334] umywam ręce.

— A panna d'Armilly, jak się do pana odnosi teraz, kiedy jej zabierasz uczennicę? — spytał Beauchamp.

— E, skąd mogę wiedzieć. Wyjeżdża podobno do Włoch. Pani Danglars mówiła mi o tym i prosiła, abym dał jej listy rekomendacyjne do impresariów[1335]. Napisałem parę słów do dyrektora teatru Valle, który ma wobec mnie pewne zobowiązania. Ale co panu jest, Albercie? Tak pan posmutniał. Nie jest pan aby, sam o tym nie wiedząc, zakochany w pannie Danglars?

— O ile wiem, nie — odpowiedział Albert, uśmiechając się smutno.

Beauchamp zaczął oglądać obrazy.

— Ale mimo wszystko — mówił Monte Christo — chyba nie jesteś pan w humorze.

— Mam migrenę.

— A wie pan, kochany wicehrabio — rzekł Monte Christo — mam na tę chorobę niezawodne dla pana lekarstwo. Pomaga mi ono za każdym razem, gdy natykam się na jakieś przeciwności.

— Cóż to takiego? — zapytał młodzieniec.

— Zmiana miejsca.

— Naprawdę?

— Tak. Teraz na przykład spotkały mnie pewne przykrości — więc wyjeżdżam. Chce pan pojechać ze mną?

— Spotkały pana przykrości? — zdziwił się Beauchamp. — To niesłychane! Jakie?

— Mówi pan o tym tak niefrasobliwie... Bardzo chciałbym zobaczyć, jaką miałby pan minę, gdyby w pańskim domu toczyło się śledztwo!

— Śledztwo? Jakie śledztwo?

— No przecież pan de Villefort prowadzi dochodzenie przeciw memu zacnemu mordercy. To podobno bandyta, uciekinier z galer.

— A, prawda — rzekł Beauchamp. — Czytałem o tym w dziennikach. Co to za jeden, ten Caderousse?

— Zdaje się, że pochodził z Prowansji. Pan de Villefort słyszał o nim, gdy był jeszcze w Marsylii, a i pan Danglars przypomina sobie, że skądś go zna. Toteż prokurator bardzo wziął sobie całą sprawę do serca. Zainteresowała też mocno prefekta policji. I w konsekwencji tego ogólnego zainteresowania, za które jestem niezmiernie wdzięczny, przysyłają mi tu od dwóch tygodni najrozmaitszych bandytów z Paryża i okolic pod pretekstem, że jest wśród nich zabójca Caderousse'a. Jeśli tak dalej pójdzie, to już za trzy miesiące w całym pięknym królestwie francuskim nie będzie ani jednego złodzieja czy bandyty, który nie miałby w małym palcu rozkładu mojego domu. I dlatego zamierzam zostawić im mój dom i czmychnąć, gdzie mnie oczy poniosą. Niech pan jedzie ze mną, Albercie, nie pożałuje pan.

— Chętnie.

— A więc postanowione?

— Postanowione, ale dokąd?

— Nad morze, mój hrabio, nad morze. Musi pan wiedzieć, że jestem marynarzem. Jestem dzieckiem wykołysanym w ramionach starego Okeanosa[1336] i wypieszczonym na łonie pięknej Amfitryty[1337]; baraszkowałem na jego zielonym płaszczu i na jej błękitnej sukni. Kocham morze tak, jak kocha się kochankę, i gdy go długo nie widzę, zaczynam tęsknić.

[1334] *Piłat*, właśc. *Poncjusz Piłat* — prefekt Judei z ramienia Cesarstwa Rzymskiego w latach 26–36/37 n.e. Wg Nowego Testamentu przewodniczył procesowi Jezusa Chrystusa i zatwierdził wyrok na niego. [przypis edytorski]

[1335] *impresario* (wł.) — osoba organizująca pracę artysty (jego występy, podróże itp.). [przypis edytorski]

[1336] *Okeanos* (mit. gr.) — rzeka opływająca tarczę świata; pierwotny bóg wszelkich wód, patronujący rzekom i źródłom. [przypis edytorski]

[1337] *Amfitryta* (mit. gr.) — jedna z nereid, najpiękniejsza z córek Okeanosa, żona Posejdona. [przypis edytorski]

— Jedźmy, hrabio, jedźmy!

— No to, mój drogi Albercie, dziś wieczór na dziedzińcu będzie czekała podróżna bryka, w której można się wyciągnąć tak doskonale jak w łóżku; będzie zaprzężona w cztery pocztowe konie. Panie Beauchamp, może zabierze się pan z nami? Starczy miejsca i dla czterech osób, zmieścimy się.

— Bardzo dziękuję; właśnie wracam znad morza.

— Jak to znad morza?

— Albo prawie, to była taka mała wycieczka.

— No to co z tego, jedź z nami! — zawołał Albert.

— Nie, kochany Albercie. Zrozum, że skoro odmawiam, to znaczy, że naprawdę nie mogę jechać. Zresztą muszę przecież — dodał ciszej — pozostać w Paryżu, choćby po to, aby pilnować listów, jakie napływają do gazety.

— Jesteś wspaniałym przyjacielem. Tak, masz rację, zostań, pilnuj i postaraj się odkryć wroga, który zamieścił to ogłoszenie.

Beauchamp wyszedł. Ostatni uścisk dłoni, jaki wymienili z Albertem wyraził wszystko to, czego nie mogli sobie powiedzieć w obecności hrabiego.

— Co to za wspaniały chłopak, ten Beauchamp — rzekł Monte Christo po wyjściu redaktora. — Prawda, panie Albercie?

— O tak, sama szlachetność, mogę za to ręczyć. Kocham go z całej duszy. Ale skoro już jesteśmy sami, to niechże mi pan powie, dokąd się udamy?

— Do Normandii, jeśli się pan zgodzi.

— Cudownie. Na głuchą wieś, prawda? Żadnego towarzystwa, żadnych sąsiadów...

— Będziemy tam sam na sam z końmi, z psami do polowania i łódką, jeśli zechcemy wypłynąć na ryby.

— Tego mi trzeba, uprzedzę tylko matkę i jestem na pańskie rozkazy.

— Ale czy pozwoli panu, by wyjechał pan z człowiekiem, którego nazywają hrabią de Monte Christo...

— Hrabio, jaką ma pan krótką pamięć.

— Jak to?

— Czy nie mówiłem już panu wielokrotnie, że matka darzy pana szczególną sympatią?

— „Kobieta zmienną jest", jak mówił Franciszek I[1338]. „Kobieta to fala", jak mawiał Szekspir. Jeden był wielkim monarchą, drugi wielkim poetą, musieli więc znać się na kobietach.

— Na kobietach tak; ale moja matka jest kobietą jedyną w swoim rodzaju. Jest niezmiernie oszczędna w okazywaniu uczuć, ale gdy już nimi kogoś obdarzy, to na zawsze.

— Ach, doprawdy?... — westchnął Monte Christo. — I według pana pańska matka zaszczyca mnie innym uczuciem niż tylko doskonałą obojętnością?

— Już to panu mówiłem, ale powtórzę jeszcze raz: jest pan naprawdę bardzo dziwnym człowiekiem i doprawdy ponadprzeciętnym.

— Ho ho!

— Tak, bo moja matka nie tylko jest panem zaciekawiona, ale jest wyraźnie zainteresowana. Gdy jesteśmy sami, rozmawiamy wyłącznie o panu.

— I nie przestrzegła pana przede mną?

— Wprost przeciwnie. Powiedziała mi: „Albercie, jestem przekonana, że hrabia jest człowiekiem głęboko szlachetnym, staraj się pozyskać jego przyjaźń".

Monte Christo spuścił oczy i westchnął.

— Doprawdy?

— Tak więc nie tylko nie będzie się sprzeciwiać mojej podróży, ale pochwali ją z całego serca, bo w ten sposób będę mógł spełnić jej zalecenie, które powtarza mi co dzień.

— Niech pan więc idzie. I do wieczora, czekam o piątej. Będziemy na miejscu o północy, najpóźniej o wpół do pierwszej.

— Gdzie? W Tréport?! W osiem godzin chce pan przejechać czterdzieści osiem mil?

— Można i prędzej — odparł Monte Christo.

[1338] *Franciszek I Walezjusz* (1494–1547) — król Francji (od 1515); renesansowy patron sztuk i nauk, humanista. [przypis edytorski]

— Jesteś pan naprawdę cudotwórcą! Jeszcze trochę, a prześcignie pan nie tylko koleje żelazne, co we Francji nie będzie szczególnie trudne, ale nawet telegraf!

— A tymczasem niech pan będzie punktualny, bo czeka nas jakieś siedem, osiem godzin drogi.

— Proszę się nie martwić, będę musiał się tylko spakować.

Albert wyszedł. Monte Christo uśmiechnął się jeszcze, skinąwszy mu głową, po czym przystanął na chwilę, pogrążając się w zadumie. W końcu przesunął dłonią po czole, jakby chciał w ten sposób rozpędzić jakieś myśli, podszedł do dzwonka i zadzwonił dwa razy.

Wszedł Bertuccio.

— Panie Bertuccio — rzekł — nie jutro, ani nie pojutrze, jak zamierzałem na początku, ale dziś jeszcze wyjeżdżam do Normandii. Zdaje mi się, że do piątej ma pan dość czasu. Każ uprzedzić koniuszych[1339] na pierwszej stacji. Pan de Morcerf jedzie ze mną.

Bertuccio wyszedł i natychmiast spełnił rozkaz. Foryś[1340] popędził do Pontoise z wiadomością, że powóz nadjedzie o szóstej. Z Pontoise natychmiast wyruszył goniec do następnej stacji i tak po sześciu godzinach wzdłuż całej drogi czekały gotowe konie.

Przed wyjazdem hrabia poszedł do Hayde, zawiadomił ją o podróży i oddał cały dom pod jej rozkazy.

Albert przybył punktualnie.

Podróż, z początku smętna, stała się intrygująca na skutek szybkości, jakiej nabrali. Albert nie wyobrażał sobie nawet, że można tak pędzić.

— No tak — rzekł Monte Christo — waszymi dyliżansami jedzie się ledwo dwie mile na godzinę, a przy tym macie to głupie prawo, które mówi, że nie wolno wyprzedzać innych podróżnych bez odpowiedniego pozwolenia. Dlatego też ktoś chory i marudny może zmusić wesołych i zdrowych, by się za nim wlekli. Unikam więc, jak mogę tych niedogodności — jeżdżę z własnym pocztylionem i własnymi końmi, czy nie tak, Ali?

To mówiąc, hrabia wychylił się przez okienko i krzyknął lekko, co jakby dodało koniom skrzydeł. Nie biegły już, a leciały.

Powóz dudnił jak grom, tocząc się po królewskim gościńcu; zdumieni przechodnie oglądali się za tym ognistym meteorem. Ali pokrzykiwał na konie i uśmiechał się, łyskając[1341] białymi zębami i ściskając w silnych dłoniach ociekające pianą lejce; grzywy pędzących koni powiewały na wietrze. Ali, dziecię pustyni, był teraz w swoim żywiole.

— Oto rozkosz, jakiej nie znałem — westchnął Morcerf — rozkosz, jaką daje prędkość.

Jego twarz rozchmurzyła się, jakby ostatnie z pokrywających ją chmur zostały uniesione przez wiatr.

— Skąd, u diabła, bierze pan takie konie? — zapytał. — Chyba robią je panu na zamówienie?

— Ależ właśnie tak — odparł hrabia. — Sześć lat temu znalazłem na Węgrzech doskonałego ogiera, który słynął z wyjątkowej szybkości, i kupiłem go; nie pamiętam już za ile, bo płacił Bertuccio. Tego samego roku spłodził trzydzieści dwa źrebaki. Dziś przejrzymy sobie całą ich generację, bo wszystkie te rumaki pochodzą z jednego ojca. Wszystkie są do siebie podobne, zupełnie czarne, z jedną tylko gwiazdką na czole. Mój ogier był w stadninie jak pasza, wybierano mu faworyty.

— To fenomenalne!... Niech mi pan powie, co pan robi z tymi wszystkimi końmi?

— Widzi pan: podróżuję.

— Ale przecież nie podróżuje pan bez przerwy?

— Kiedy już nie będę ich potrzebował, Bertuccio je sprzeda, a twierdzi, że zarobi na tym interesie do czterdziestu tysięcy franków.

— Wątpię, czy w Europie znajdzie się monarcha dość bogaty, by je mógł kupić.

— Sprzedaje wtedy pierwszemu lepszemu wezyrowi ze Wschodu, który opróżni swój skarbiec, by je kupić, a potem znowu go napełni, bijąc poddanych rózgami po piętach.

— Zdaje mi się, że po panu Bertuccio jest najbogatszym człowiekiem w Europie.

— Otóż mylisz się, mój wicehrabio. Jestem przekonany, że gdybyś pan przetrząsnął kieszenie Bertuccia, znalazłbyś może z dziesięć sous.

[1339] *koniuszy* — urzędnik zarządzający królewskimi stadninami i stajniami. [przypis edytorski]

[1340] *foryś* (daw.) — konny pachołek, pomocnik stangreta. [przypis edytorski]

[1341] *łyskać* (daw.) — błyskać. [przypis edytorski]

— Jak to możliwe? — zdziwił się młodzieniec. — Z tego Bertuccia to jakiś fenomen. Na miłość boską, kochany hrabio, niech mnie pan przestanie zasypywać takimi cudami, bo ostrzegam — przestanę panu wierzyć.

— U mnie nie ma żadnych cudów, Albercie, tylko liczby i rozsądek. Niech pan posłucha: kradnie każdy intendent, ale dlaczego kradnie?

— Do licha! Bo złodziejstwo to jego druga natura, tak przynajmniej mi się zdaje.

— Otóż myli się pan, mój drogi. Kradnie, bo ma żonę, dzieci i wielkie ambicje w stosunku do siebie i w stosunku do swojej rodziny. Kradnie przede wszystkim dlatego, że nie jest pewien, jak długo jeszcze będzie u pana, chce więc zapewnić sobie przyszłość. Bertuccio zaś jest na świecie sam. Bierze z mojej kasy tyle, ile chce, nie zdaje mi rachunku i ma pewność, że go nigdy nie odprawię.

— Skąd ta pewność?

— Bo nie znajdę nikogo lepszego od niego.

— Jest pan w jakimś błędnym kole przypuszczeń.

— Bynajmniej. Jestem zupełnie pewien swoich ludzi, bo dla mnie dobry sługa to ten, którego życie i śmierć zależy ode mnie.

— Czyli życie i śmierć Bertuccia zależą od pana?

— Tak — odparł chłodno hrabia.

Istnieją słowa, które zamykają rozmowę jak żelazna brama. Taką siłę miało słowo „tak" wypowiedziane przez hrabiego.

Cała podróż przebiegła z tą samą szybkością; trzydzieści dwa konie, czekające czwórkami na ośmiu stacjach, pozwoliły im pokonać czterdzieści osiem mil w osiem godzin.

W środku nocy zajechali przed bramę pięknego parku. Odźwierny czekał przy otwartej bramie. O przyjeździe pana uprzedził go posłaniec wysłany z ostatniej stacji.

Było wpół do trzeciej nad ranem. Zaprowadzono Morcerfa do jego apartamentu, gdzie czekały nań już i kąpiel, i kolacja. Służący, który jechał z tyłu powozu, był na usługi Alberta. Baptysta, który przez drogę siedział na koźle, miał jak zwykle usługiwać hrabiemu.

Albert wykąpał się, zjadł kolację i położył się spać. Przez całą noc kołysał go melancholijny szum fal.

Kiedy się zbudził, podszedł od razu do okna, otworzył je, po czym wyszedł na mały taras: przed nim rozpościerało się bezkresne morze, a z tyłu widać było śliczny park, który łączył się z niewielkim lasem.

Tajemnica, Dziedzictwo

W niewielkiej zatoczce kołysała się zakotwiczona korweta o smukłych masztach. Na szczycie najwyższego z nich powiewała flaga z herbem hrabiego de Monte Christo. Na tarczy widniała złota góra na tle przejrzystego, błękitnego morza. Na wierzchołku góry wznosił się szkarłatny krzyż. Mogła to być zarówno aluzja do nazwiska hrabiego (przypominającego o Kalwarii — górze, którą męka Pana Naszego uczyniła droższą od złota) i do krzyża (hańbiącego narzędzia śmierci, które uświęciła boska krew), jak i do jakichś osobistych wspomnień. W spowitej mrokiem przeszłości tego człowieka zdawały się bowiem skrywać jakieś wielkie, nieznane cierpienia i równie tajemnicze odrodzenie.

Wokół korwety aż roiło się od rybackich łódek należących do chłopów z okolicznych wiosek. Łodzie te przypominały pokornych poddanych oczekujących na rozkazy królowej. Wszystko tutaj, jak i w każdym innym miejscu, w którym Monte Christo bawił choćby tylko dwa dni, było urządzone z najwyższym komfortem. Życie w jednej chwili stawało się tu wygodne i łatwe.

Albert zastał w przedpokoju dwie strzelby i wszelkie przybory myśliwskie.

Na parterze znajdowało się dość wysokie pomieszczenie, zawierające zestaw urządzeń przeznaczonych do wędkowania, stosowanych przez Anglików, wielkich pasjonatów łowienia ryb (co wynika z tego, że są zarazem cierpliwi i leniwi); jak dotąd nie zdołali oni jednak zarazić upodobaniem do tych zmyślnych urządzeń zawodowych rybaków we Francji.

Cały dzień upłynął na rozmaitych rozrywkach, w których wynajdywaniu hrabia Monte Christo był wprost niezrównany. Ustrzelili w parku dwanaście bażantów, złowili w strumykach tyle samo pstrągów, obiad zjedli w altanie z widokiem na morze, a herbatę wypili w bibliotece.

Trzeciego dnia wieczorem Albert zasnął w fotelu przy oknie, wyczerpany nieco takim trybem życia, które dla Monte Christa wydawało się fraszką. Hrabia tymczasem opracowywał z architektem plan oranżerii, którą chciał tu postawić. Nagle młodzieniec obudził się, wyrwany ze snu przez tętent konia galopującego po kamiennym gościńcu. Wyjrzał przez okno i ze zdziwieniem, a zarazem z niepokojem stwierdził, że był to jego lokaj, którego nie wziął ze sobą, żeby nie sprawiać hrabiemu kłopotu.

— Florentin tutaj? — zawołał, zrywając się z krzesła. — Czyżby moja matka zachorowała?

I rzucił się do drzwi.

Monte Christo odprowadził go spojrzeniem. Albert zbliżył się do zasapanego jeszcze lokaja, który wyjął z kieszeni jakiś pakiecik i wręczył go Albertowi.

W pakiecie była gazeta i list.

— Od kogo ten list? — zapytał żywo Albert.

— Od pana Beauchamp — odpowiedział Florentin.

— To Beauchamp cię tu przysyła?

— Tak, proszę jaśnie pana.

Zimny dreszcz przebiegł Alberta. Rozpieczętował list.

A przeczytawszy pierwszą linijkę, krzyknął i drżącymi rękoma porwał za gazetę.

Nagle zrobiło mu się ciemno przed oczami, zachwiał się i gdyby nie służący, który go podtrzymał, upadłby na ziemię.

— Biedny chłopak — szepnął Monte Christo tak cicho, że sam nie usłyszał nawet tych pełnych współczucia słów. — A powiedziano, że za winy ojców ich dzieci będą cierpieć aż do czwartego pokolenia.

Albert tymczasem odzyskał siły. Przeczytał list do końca, mierzwiąc ręką spocone włosy, po czym, mnąc w dłoni list i gazetę, rzekł:

— Florentin, czy twój koń mógłby odbyć jeszcze drogę powrotną do Paryża?

— E, to nędzna pocztowa szkapa.

— Boże! A jaka atmosfera panowała w domu, kiedy wyjeżdżałeś?

— Było dosyć spokojnie. Ale kiedy wróciłem od pana Beauchampa, zastałem panią we łzach. Spytała mnie, czy nie wiem, kiedy pan wróci. Powiedziałem, że właśnie jadę po jaśnie pana z rozkazu pana Beauchampa. W pierwszym odruchu wyciągnęła rękę, jakby mnie chciała zatrzymać, ale po chwili namysłu rzekła: „Dobrze, jedź natychmiast i powiedz, żeby wracał".

— Tak, mamo, wracam. — rzekł Albert. — Wracam natychmiast, bądź spokojna; i biada tej kanalii... Ale przede wszystkim muszę wyjechać.

Wrócił do pokoju, w którym został Monte Christo. Nie był to już ten sam człowiek. Pięć minut wystarczyło, by w Albercie dokonała się jakaś straszna zmiana. Twarz miał rozpaloną, oczy błyszczały mu gorączkowo, powieki mu posiniały, a krok miał tak chwiejny, jakby był pijany.

— Hrabio — rzekł — dziękuję panu za gościnność, z której chciałbym korzystać jak najdłużej; ale muszę wracać do Paryża.

— Cóż się stało?

— Wielkie nieszczęście. Niech mnie pan nie zatrzymuje, bo chodzi tu o rzecz dużo cenniejszą niż moje życie. Proszę o nic nie pytać, błagam tylko pana o konia!

— Moje stajnie są do pańskiej dyspozycji, ale jadąc konno padnie pan ze zmęczenia, niech pan lepiej weźmie kolasę, karetę, no, jakiś powóz.

— Nie, to by trwało za długo, a przy tym ja potrzebuję tego zmęczenia, którego chciałby mi pan oszczędzić. Dobrze mi to zrobi.

I Albert zatoczył się jak trafiony kulą, padając na krzesło przy drzwiach.

Monte Christo nie spostrzegł tego, bo już był przy oknie i wołał:

— Ali! Konia dla pana de Morcerfa, tylko prędko, bo się spieszy!

Te słowa przywróciły Alberta do życia; wybiegł z pokoju, a hrabia za nim.

— Dziękuję! — szepnął młodzieniec wskakując na siodło. — Florentin, wracaj, jak będziesz mógł najprędzej. Trzeba znać jakieś hasło, żeby pańscy ludzie dali mi konie na postojach?

— Nie. Zsiądzie pan tylko z konia, a następny już będzie osiodłany.

— Na pewno uważa pan mój nagły odjazd za dziwaczny i szalony — rzekł. — Ale nie wyobraża pan sobie, do jakiej rozpaczy może doprowadzić człowieka kilka wersów wydrukowanych w gazecie. Otóż — tu rzucił hrabiemu dziennik — niech pan to przeczyta, ale dopiero jak stąd odjadę, żeby nie widział pan rumieńca na mojej twarzy.

I gdy hrabia podnosił dziennik, Albert spiął konia ostrogami, które przed chwilą przymocowano mu do butów, a koń, zaskoczony, że jeździec ośmielił się zachęcić go w ten sposób, ruszył i pomknął jak strzała.

Hrabia odprowadził młodzieńca spojrzeniem, w którym malowało się ogromne współczucie, i dopiero gdy Albert zniknął mu zupełnie z oczu, przeniósł wzrok na gazetę i przeczytał:

> Oficer francuski w służbie Ali Paszy, wezyra Janiny, o którym przed trzema tygodniami wspomniał dziennik „Impartial", nie tylko wydał twierdzę Janiny w ręce nieprzyjaciela, ale także sprzedał swojego pana i dobroczyńcę Turkom. Nazywał się wówczas, jak donosi nasz szanowny korespondent, Fernand, później jednak dodał do swojego imienia chrzestnego szlacheckie nazwisko i tytuł.
>
> Dzisiaj występuje jako hrabia de Morcerf i jest członkiem Izby Parów.

85. SĄD

O godzinie ósmej rano Albert wpadł jak burza do Beauchampa. Lokaj był już uprzedzony i wprowadził go do pokoju swego pana, który właśnie zażywał kąpieli.

— To potworne! — zawołał Albert.

— Biedaku, czekałem na ciebie.

— Dlatego jestem. Nie pytam cię, mój drogi, czy to ty wyjawiłeś komuś tę tajemnicę, bo wiem, że jesteś dobry i lojalny. Nie traćmy więc czasu na czcze gadanie. Nie domyślasz się, skąd mógł paść ten cios?

— Powiem ci to zaraz w dwóch słowach.

— Dobrze, ale przede wszystkim opowiedz mi dokładnie historię tej nikczemnej zdrady.

Beauchamp opowiedział Albertowi wszystkie wypadki, które tu pokrótce przytaczamy.

Artykuł ukazał się przed dwoma dniami, nie w dzienniku Beauchampa, ale w gazecie rządowej, co nadało całej sprawie jeszcze większej wagi. Beauchamp jadł właśnie śniadanie, gdy spostrzegł notatkę w gazecie. Posłał natychmiast po dorożkę i nie dokończywszy śniadania, pojechał do redakcji gazety rządowej.

Chociaż miał zupełnie inne poglądy polityczne niż redaktor naczelny owego dziennika, byli szczerymi przyjaciółmi, co zdarza się czasem, a nawet całkiem często.

Redaktor czytał właśnie gazetę i wyraźnie zachwycał się artykułem o cukrze buraczanym. Notka owa zapewne wyszła spod jego własnego pióra.

— Bardzo dobrze! — rzekł Beauchamp. — Ponieważ masz w ręku własną gazetę, nie muszę ci mówić, co mnie tu sprowadza.

— Chyba nie jesteś zwolennikiem trzciny cukrowej?

— Nie, skąd! Zupełnie się na tym nie znam. Przychodzę w innej sprawie.

— W jakiej to?

— Chodzi mi o Morcerfa.

— Ach tak! Prawda, że to ciekawa sprawa?

— Tak ciekawa, że opublikowałeś oszczerstwo i narażasz się tym samym na proces, którego raczej nie wygrasz.

— Nieprawda, bo wraz z artykułem otrzymaliśmy wszystkie dowody i pewni jesteśmy, że pan de Morcerf będzie siedział cicho. Zresztą wyświadczamy przysługę całemu krajowi, demaskując nikczemników, którzy nie zasługują na oddawane im zaszczyty.

Beauchamp oniemiał.

— Ale kto udzielił ci tak dokładnych informacji? — spytał. — Bo moja gazeta, która jako pierwsza poruszyła tę kwestię, musiała ją z braku dowodów zostawić, choć

nam bardziej zależy na zdemaskowaniu pana de Morcerfa — jest parem Francji, a my należymy do opozycji.

— O Boże, to bardzo proste. Przecież nie szukaliśmy na siłę tego skandalu, sam wpadł nam w ręce. Jakiś człowiek przybył wczoraj z Janiny i przyniósł nam ogromny plik papierów, a kiedy zaczęliśmy się wahać, czy oskarżyć Morcerfa, oświadczył, że artykuł i tak zostanie opublikowany w innym dzienniku. Mój kochany, wiesz przecież dobrze, co dla nas znaczy taka sensacja, nie mogliśmy jej przepuścić. Cios już padł i rozniesie się echem aż po krańce Europy.

Beauchamp przekonał się, że nie pozostało mu nic, tylko spuścić głowę; wyszedł zrozpaczony i posłał natychmiast po Alberta.

Ale nie mógł napisać Albertowi — bo stało się to później — że tego dnia w Izbie Parów, tak zwykle spokojnej i nobliwej, zapanowało wielkie poruszenie. Członkowie Izby przybyli na sesję dużo wcześniej i żywo rozprawiali na temat owego nieszczęsnego wydarzenia, które obudziło powszechną uwagę opinii publicznej, kierując ją na jednego z członków tak świetnej instytucji.

Odczytywano po cichu artykuł, komentowano go i przypominano różne zdarzenia z przeszłości, mogące rzucić dodatkowe światło na obecną sprawę.

Hrabia de Morcerf nie był lubiany przez kolegów. Jak wszyscy parweniusze, zmuszony był okazywać wszem i wobec swoją wyższość otoczeniu, aby potwierdzać swój status arystokraty. Wielka arystokracja śmiała się z niego, ludzie wybitni nie mieli dla niego poważania, a ludzie, którzy zdobyli pozycję uczciwie, gardzili nim instynktownie.

Hrabia znalazł się w nad wyraz przykrym położeniu kozła ofiarnego.

Gdy już raz palec boży wskazał na niego jako na ofiarę, wszyscy gotowali się, by krzyknąć: „Na niego!".

Ale hrabia de Morcerf jeszcze o niczym nie wiedział. Nie otrzymywał dziennika, w którym ukazała się ta hańbiąca wiadomość, spędził więc ranek na pisaniu listów i ujeżdżaniu konia.

Przybył na posiedzenie o zwykłej porze; z podniesioną głową, spoglądając dumnie, wysiadł z powozu, pewnym krokiem przeszedł przez korytarze i wszedł do sali, nie spostrzegając, że woźni przepuszczali go z wahaniem, a koledzy ledwo raczyli mu się kłaniać.

Gdy Morcerf przybył, obrady trwały już od pół godziny. I choć hrabia, jak już mówiliśmy, nic jeszcze o niczym nie wiedział i zachowywał się tak jak zawsze, jego dumny chód i spojrzenie wydawały się wszystkim jeszcze bardziej pyszne niż zwykle. Zgromadzenie, wrażliwe na punkcie swojego honoru, uznało więc jego obecność za zachowanie wybitnie wyzywające; wszyscy potraktowali ją jak nietakt, niektórzy wzięli to za zuchwalstwo, a paru nawet za zniewagę. Cała Izba aż wrzała, by poruszyć tę kwestię.

Wszyscy trzymali w ręku dziennik zawierający oskarżenie, nikt jednak nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności i zaatakować pierwszy.

Wreszcie jeden z czcigodnych parów, jawny nieprzyjaciel Morcerfa, wyszedł uroczystym krokiem na mównicę, co zapowiadało, że nadeszła oczekiwana chwila.

Zapadło złowrogie milczenie. Jeden Morcerf nie przeczuwał nawet, dlaczego sala wpatruje się w takim skupieniu w mówcę, którego nie zawsze słuchano z uwagą.

Hrabia wysłuchał wstępu, w którym mówca prosił kolegów o jak największą uwagę, bo zamierzał zabrać głos w kwestii nadzwyczaj ważnej, drażliwej i żywotnej dla Izby.

Przy pierwszej wzmiance o Janinie i pułkowniku Fernandzie, hrabia zbladł tak straszliwie, że wśród obecnych, którzy cały czas wpatrywali się w niego, zapanowało wielkie poruszenie.

Rany natury moralnej mają to do siebie, że mogą się zabliźnić, ale nigdy nie zagoją się zupełnie; pozostają wciąż żywe, bolą, jątrzą się i krwawią przy byle dotknięciu.

Mówca przeczytał wzmiankę wśród ogólnego milczenia. Ciszę przerywały tylko szmery, które ustały, gdy znów zaczął rozwijać swoją myśl, przedstawiając swoje skrupuły i tłumacząc trudność położenia. Utrzymywał, że podnosząc na forum publicznym te drażliwe kwestie osobiste chciał ocalić honor Morcerfa i honor całej Izby. Na koniec zażądał, aby wszczęte zostało śledztwo, które jak najszybciej położy kres tym uwłaczającym kalumniom[1342], nim zdążą się one upublicznić.

[1342] *kalumnia* — oszczerstwo, fałszywe oskarżenie. [przypis edytorski]

W ten sposób pomści się hrabiego de Morcerfa i przywróci pozycję, jaką zajmował w oczach opinii publicznej.

Ten cios spadł na Morcerfa równie niespodziewanie i tak go przytłoczył, że hrabia zdołał wybąkać zaledwie kilka słów, rozglądając się błędnym wzrokiem po twarzach kolegów. To onieśmielenie, które równie dobrze mogło wynikać ze wstydu winowajcy, jak i ze zdumienia niewinnego, zjednało mu nieco sympatii.

Ludzie prawdziwie szlachetni zawsze gotowi są współczuć, gdy nieszczęście ich wrogów przekracza granice nienawiści, jaką do nich powzięli.

Prezydent zarządził głosowanie. Głosowano poprzez powstanie z miejsc; w wyniku podjęto decyzję, że należy wdrożyć śledztwo. Zapytano hrabiego, ile potrzebuje czasu na przygotowanie obrony.

Morcerfowi wróciła odwaga, kiedy poczuł, że mimo tego straszliwego ciosu jeszcze żyje.

— Wysoka Izbo — odpowiedział — zwłoka nie pomoże na ten atak, który skierowali na mnie nieznani wrogowie, ukryci w cieniu, bo widocznie obawiają się światła. Muszę natychmiast odpowiedzieć na tę błyskawicę, co oślepiła mnie tylko chwilowo, i to odpowiedzieć gromem. O, gdybym mógł od razu, zamiast się usprawiedliwiać, zmazać tę hańbę krwią, by przekonać was, szanowni koledzy, że godzien jestem stać tutaj, między wami...

Słowa te wywarły na słuchaczach dość korzystne wrażenie.

— Żądam więc, aby śledztwo rozpoczęło się jak najprędzej, ja zaś dostarczę Wysokiej Izbie wszystkie dowody do tego potrzebne.

— Jaki wyznaczasz pan termin? — zapytał prezydent.

— Od dziś jestem do dyspozycji Wysokiej Izby — odpowiedział hrabia.

Prezydent potrząsnął dzwonkiem.

— Czy Wysoka Izba zgadza się — zapytał — aby jeszcze dziś rozpoczęto dochodzenie?

— Tak! — odpowiedziało jednogłośnie całe zgromadzenie.

Wyznaczono czternastoosobową komisję, która miała przejrzeć dokumenty przedstawione przez Morcerfa. Pierwsze posiedzenie komisji miało się odbyć o ósmej wieczorem, w biurach Izby.

Po uchwaleniu tego postanowienia, Morcerf poprosił, aby pozwolono mu opuścić salę. Dowody, które miał dostarczyć na swoją obronę, zgromadził już dawno, bo ów szczwany i nieugięty człowiek przewidział, że może będzie musiał stawić kiedyś czoła takiej burzy.

Beauchamp opowiedział przyjacielowi wszystkie szczegóły, które tu przytoczyliśmy; jednak jego opowiadanie miało tę przewagę nad naszym, że przekazywane było na gorąco.

Albert słuchał go, to drżąc z nadziei, to z gniewu, to znów ze wstydu. Wiedział już bowiem od przyjaciela, że jego ojciec ponosił za to wszystko winę, a skoro tak, to jakim sposobem mógłby teraz dowieść swojej niewinności?

Dotarłszy w opowiadaniu do tego miejsca, Beauchamp zamilkł.

— I co dalej? — zapytał Albert.

— Mój drogi, to pytanie zmusi mnie do udzielenia ci przykrej odpowiedzi. Na pewno chcesz wiedzieć, co było dalej?

— Muszę to absolutnie wiedzieć. A wolę dowiedzieć się o tym od ciebie niż od kogoś innego.

— No to dobrze. Uzbrój się w największą odwagę, bo zapewne już nigdy nie będziesz potrzebować większej.

Albert przeciągnął ręką po czole, chcąc upewnić się o własnych siłach, podobnie jak ktoś, kto mając bronić swego życia, sprawdza swój pancerz i ogląda klingę szabli. Poczuł się silny, gdyż swoje rozgorączkowanie wziął za energię.

— No, gadaj — rzekł.

— Nadszedł wieczór — zaczął Beauchamp. — Cały Paryż oczekiwał na rozwój wypadków. Wielu utrzymywało, że twój ojciec obali oskarżenie, zaraz jak się pojawi. Inni twierdzili, że się wcale nie stawi, ktoś nawet zapewniał, że widział go już w drodze do Brukseli, niektórzy byli na policji, żeby się dowiedzieć, czy to prawda, że hrabia zabrał paszport. Przyznam ci się, że stanąłem na głowie, aby jeden z członków komisji, a mój przyjaciel, taki jeden par, wprowadził mnie na coś w rodzaju trybuny. O siódmej przyszedł więc po mnie, zabrał ze sobą i nim jeszcze ktokolwiek przyszedł, powierzył woźnemu.

Woźny zamknął mnie w czymś, co przypominało lożę. Zasłaniała mnie duża kolumna, a na dodatek było ciemno: spodziewałem się więc, że bez kłopotu obejrzę całą okropną scenę, która miała się przede mną rozegrać.

Wszyscy przybyli punktualnie o ósmej. Pan de Morcerf wszedł wraz z ostatnim uderzeniem zegara. Miał w ręku jakieś papiery i zdawał się tak spokojny, jak nigdy. Wbrew zwyczajowi wszedł skromnie, ubrany z wytworną prostotą. Jak to czynią często byli wojskowi, frak zapiął na wszystkie guziki — od góry do dołu. Już na wejściu sprawił jak najlepsze wrażenie. Komisja była nastawiona do niego przychylnie, wielu z członków podeszło do hrabiego i podało mu na powitanie rękę.

Albert miał wrażenie, że gdy będzie słuchał tych wszystkich szczegółów, w końcu pęknie mu serce; a jednak w jego boleść wśliznęło się uczucie wdzięczności. Chętnie uściskałby tych ludzi, co dali jego ojcu ów dowód szacunku, choć jego honor stał pod takim znakiem zapytania.

W tej chwili wszedł woźny i podał prezydentowi list.

„Oddaję panu głos, panie de Morcerf" — rzekł prezydent, rozpieczętowując podany list.

Hrabia rozpoczął swoją obronę i mogę cię zapewnić, Albercie — mówił Beauchamp — że był tak elokwentny i tak zręcznie to robił, że aż się zdumiałem. Przedstawił dowody potwierdzające, że wezyr Janiny darzył go swoim zaufaniem aż do ostatniej chwili i zlecił mu misję, od której zależało jego życie i śmierć. Pokazał pierścień, oznakę władzy, którym Ali Pasza pieczętował zwykle listy. Pierścień ten hrabia dostał od wezyra, aby mieć do niego wstęp o każdej porze dnia i nocy, nawet gdyby właśnie przebywał w haremie. Na nieszczęście jego poselstwo nie powiodło się i gdy wrócił, żeby bronić swojego dobroczyńcy, Ali Pasza był w agonii.

Zaufanie jego, mówił hrabia, było tak wielkie, że umierając, Ali Pasza oddał mu pod opiekę ukochaną faworytę i córkę.

Na te słowa Albert zadrżał, bowiem w miarę jak Beauchamp rozwijał opowiadanie, przypominała mu się Hayde — to, co mówiła mu o misji, o pierścieniu, o tym, jak została sprzedana i stała się niewolnicą.

— Jakie wrażenie wywarła przemowa ojca? — zapytał niespokojnie Albert.

— Przyznam ci się, że czułem się wzruszony, ale nie tylko ja, bo i całe zgromadzenie — rzekł Beauchamp.

Tymczasem prezydent rzucił niedbale okiem na list, który mu przyniesiono; ale już przy pierwszej linijce ożywił się, przeczytał do końca, potem jeszcze raz... I wpatrując się uważnie w hrabiego, rzekł:

„Panie hrabio, powiedział pan nam przed chwilą, że wezyr Janiny oddał panu pod opiekę swoją żonę i córkę?".

„Tak. Pech jednak prześladował mnie we wszystkim zarówno tam, jak i tutaj. Kiedy wróciłem, Vasiliki i jej córka Hayde gdzieś zaginęły".

„Znał je pan?".

„Widywałem je dosyć często, bo łączyły mnie z paszą ścisłe stosunki. W nagrodę za wierność darzył mnie on najwyższym zaufaniem".

„Wiesz pan może albo się domyślasz, co mogło się z nimi stać?".

„Owszem, wiem. Mówiono mi, że umarły ze zgryzoty, a może i nędzy. Nie byłem bogaty, wiodłem życie pełne niebezpieczeństw i mimo największego żalu nie mogłem wyruszyć na poszukiwania ich".

Prezydent zmarszczył lekko brwi.

„Panowie — rzekł. — Wysłuchaliście obrony pana hrabiego de Morcerfa. Panie hrabio, czy mógłby pan na poparcie swoich wyjaśnień przedstawić jakiegoś świadka?".

„Niestety, ale nie mogę. Wszyscy, co otaczali wezyra i znali mnie tam, poumierali albo rozproszyli się po świecie. Jako jedyny z moich rodaków, tak mi się przynajmniej zdaje, przeżyłem tę straszliwą rzeź. Mam tylko listy Alego Tebelina, które panom przedstawiłem; i mam pierścień, który otrzymałem w dowód przyjaźni — oto i on. Mam wreszcie najbardziej przekonywający dowód, jaki mogę przedstawić; jest nim fakt, że mój oskarżyciel i samo oskarżenie są anonimowe i nie pojawił się tu nikt, kto zaprzeczyłby moim słowom. Słowom uczciwego człowieka i wojskowego wiernego żołnierskim zasadom".

Przez całe zgromadzenie przebiegł szmer aprobaty. Gdyby w tej chwili nic się nie wydarzyło, twój ojciec, Albercie, wygrałby sprawę.

Trzeba już było tylko rozpocząć głosowanie, gdy zabrał jeszcze głos prezydent.

„Sądzę, że panowie — rzekł — a i pan, hrabio, nie będziecie mieli nic przeciwko przesłuchaniu bardzo ważnego świadka, który stawił się tu sam, z własnej inicjatywy. Świadek ten, nie wątpimy — po tym wszystkim, co opowiedział nam hrabia — potwierdzi zupełną jego niewinność. Oto list, który otrzymałem właśnie w tej sprawie. Czy chcecie panowie, abym go przeczytał, czy też uważacie, że należy pominąć ten incydent?".

Pan de Morcerf zbladł i zacisnął palce na papierach, które trzymał. Kartki zaszeleściły.

Komisja opowiedziała się za odczytaniem listu.

Hrabia wpadł w zadumę i nie wyraził swojej opinii.

Prezydent odczytał list następującej treści:

> Panie Prezydencie!
>
> Oświadczam, że mogę udzielić komisji dokładnych informacji na temat generała lejtnanta hrabiego de Morcerfa i jego działalności w Epirze i Macedonii, którą ma rozpatrzyć komisja.

Prezydent na chwilę przerwał.

Hrabia de Morcerf zbladł; prezydent skierował pytające spojrzenie na słuchających.

— Dalej, niech pan czyta! — rozległo się zewsząd.

Prezydent podjął lekturę:

> Byłam przy śmierci Ali Paszy; widziałam ostatnie chwile jego życia.
>
> Wiem, co się stało z Vasiliki i z Hayde.
>
> Stawiam się do dyspozycji komisji, a nawet domagam się, by udzielono mi tego zaszczytu i wysłuchano mnie. Kiedy list ten trafi do pańskich rąk, będę czekać w westybulu[1343] przed salą obrad.

„I kimże ma być świadek, albo raczej nieprzyjaciel?" — zapytał hrabia wyraźnie zmienionym głosem.

„Za chwilę się dowiemy — odpowiedział prezydent. — Czy komisja zgadza się na przesłuchanie tego świadka?"

„Zgadzamy się!" — odezwali się jednogłośnie zebrani.

Przywołano woźnego.

„Czy ktoś czeka w westybulu?" — zapytał prezydent.

„Tak, panie prezydencie".

„I któż to jest?"

„Jakaś dama ze służącym".

Wszyscy spojrzeli po sobie.

„Proszę wprowadzić tę damę" — rzekł prezydent.

Po pięciu minutach woźny wrócił. Oczy wszystkich zwróciły się w kierunku drzwi. Mnie także — mówił Beauchamp — udzielił się ten powszechny nastrój oczekiwania, przesycony niepokojem.

Za woźnym weszła kobieta otulona od stóp do głów wielkim szalem. Kształty, jakie rysowały się pod szalem i zapach perfum zdradzały, że jest to kobieta młoda i elegancka.

Prezydent poprosił nieznajomą, aby odsłoniła twarz i ujrzeliśmy, że ubrana była na wzór grecki; jej niezwykła uroda aż olśniewała.

— Ach! To ona! — szepnął Albert.

— Jaka znowu ona?

— Hayde.

— Skąd wiesz?

— Niestety, odgadłem! Ale proszę cię, Beauchamp, mów dalej. Widzisz, że jestem spokojny i trzymam się jakoś, a koniec opowieści chyba już blisko.

— Pan de Morcerf — podjął Beauchamp — przypatrywał się kobiecie zdziwiony i przerażony zarazem. Z tych zachwycających ust miał paść wyrok, skazujący go na śmierć

[1343] *westybul* — pomieszczenie w budynkach publicznych, prowadzące do głównej klatki schodowej; reprezentacyjny przedpokój. [przypis edytorski]

lub przywracający mu życie. Dla wszystkich zresztą było to wydarzenie tak dziwne i zaskakujące, że zbawienie czy zguba pana de Morcerfa przestały na chwilę obchodzić kogokolwiek.

Prezydent wskazał damie krzesło; ona jednak potrząsnęła głową, dając do zrozumienia, że chce stać.

Hrabia osunął się na fotel. Najwidoczniej nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

„Napisała pani do komisji — rzekł prezydent — że może udzielić informacji dotyczących wydarzeń w Janinie. Twierdzi pani, że była pani ich naocznym świadkiem".

„Rzeczywiście, byłam ich świadkiem" — odpowiedziała nieznajoma głosem pełnym urzekającego smutku. Głos ów brzmiał w charakterystyczny, dźwięczny sposób, właściwy ludziom Wschodu.

„Aczkolwiek — dodał prezydent — pozwolę sobie zauważyć, że musiała być pani wtedy bardzo młodziutka".

„Miałam cztery lata; ale że wypadki te były dla mnie szczególnie ważne, zachowałam w pamięci każdy najdrobniejszy szczegół".

„Jakie znaczenie mogły mieć dla pani te wszystkie wypadki? I kim pani jest, że ta wielka tragedia zapadła pani tak głęboko w pamięć?".

„Chodziło o życie lub śmierć mojego ojca — odparła dziewczyna. — Nazywam się Hayde, jestem córką paszy Janiny — Ali Tebelina i Vasiliki, jego ukochanej żony".

Rumieniec skromności i dumy pokrył twarz dziewczyny. Ogień w jej oczach i godność, z jaką wypowiedziała te słowa, wywarły na całym zgromadzeniu nieopisane wrażenie.

Gdyby w tej chwili uderzył piorun i pod nogami Morcerfa otworzył przepaść, nie mógłby być chyba bardziej unicestwiony.

„Droga pani — rzekł prezydent składając jej ukłon pełen szacunku — proszę pozwolić, że zadam jeszcze jedno pytanie. Bynajmniej nie poddaję w wątpliwość pani słów, ale czy może pani jakoś udokumentować ich prawdziwość?".

„Mogę — odrzekła Hayde, wyjmując spod szaty wonny atłasowy woreczek. — Oto akt mojego urodzenia spisany przez ojca i podpisany przez jego najwyższych urzędników. Oto akt mojego chrztu, gdyż ojciec pozwolił, abym wychowywała się w wierze mojej matki. Akt opatrzony jest pieczęcią arcybiskupa Macedonii i Epiru. Oto wreszcie najważniejszy dokument. Jest to akt sprzedaży. Francuski oficer sprzedał mnie i moją matkę El-Kobbirowi, ormiańskiemu handlarzowi niewolników. W swoim haniebnym układzie z Portą zastrzegł on sobie, że córka i żona jego dobroczyńcy będą stanowić część przypadającego mu łupu. Potem sprzedał nas za tysiąc cekinów, czyli za sumę, która w przybliżeniu wynosi jakieś czterysta tysięcy franków".

Hrabia de Morcerf zrobił się zielony, oczy nabiegły mu krwią. Wobec tak straszliwych oskarżeń na sali zapadło złowrogie milczenie.

Hayde wciąż spokojna, ale w spokoju tym dużo groźniejsza niż ktoś inny mógłby być w gniewie, podała prezydentowi akt sprzedaży, sporządzony w języku arabskim. Jako że spodziewano się, iż niektóre dowody mogą być napisane w języku arabskim, nowogreckim albo tureckim, na posiedzenie już wcześniej zawezwano tłumacza.

Jeden z dostojnych parów, który poznał był język arabski w czasie świetnej kampanii egipskiej, przebiegł wzrokiem akt, który tłumacz odczytał na głos:

> Ja, El-Kobbir, handlarz niewolników i dostawca haremu Sułtana zeznaję, iż odebrałem dla Jego Królewskiej Mości od hrabiego de Monte Christo, magnata Franków, szmaragd wartości dwóch tysięcy cekinów, jako zapłatę za chrześcijańską niewolnicę, mającą jedenaście lat, imieniem Hayde — córkę zmarłego Ali Tebelina, wezyra Janiny i Vasiliki, jego faworyty. Hayde i jej matkę, która zmarła po przybyciu do Konstantynopola, kupiłem przed siedmioma laty od Fernanda Mondego, pułkownika frankijskiego w służbie wezyra.
>
> Zakupu tego dokonałem na zlecenie Jego Królewskiej Mości, który przeznaczył na ten cel sumę tysiąca cekinów.

Spisano w Konstantynopolu za upoważnieniem Jego Sułtańskiej Mości, w roku 1247 roku hidżry[1344].

Podpisano: El-Kobbir

Dla rozwiania wszelkich zastrzeżeń co do autentyczności niniejszego aktu, zostanie opatrzony pieczęcią sułtańską, którą sprzedający zobowiązuje się tu złożyć.

Istotnie, obok podpisu kupca widniała pieczęć sułtana.

Po odczytaniu aktu i gdy przyjrzano się pieczęci, w sali nastało okropne milczenie. Wydawało się, że w hrabi żyły już tylko oczy — i hrabia nie mógł tych rozognionych, nabiegłych krwią oczu oderwać od Hayde.

„Droga pani — rzekł prezydent — czy byłoby możliwe wezwać tu do nas hrabiego Monte Christo, który, jak mi się zdaje, jest obecnie w Paryżu?".

„Hrabia Monte Christo, mój drugi ojciec, przebywa od trzech dni w Normandii".

„Kto więc doradził pani, aby zdobyła się pani na krok, za który jesteśmy pani wdzięczni? Krok ten zresztą jest zupełnie naturalny, jeśli wziąć pod uwagę, że jest pani córką Ali Paszy i że spotkało panią tyle nieszczęść".

„Krok ten — odpowiedziała Hayde — podyktowały mi ból i szacunek dla pamięci ojca. Chociaż jestem chrześcijanką, zawsze czekałam — Boże, wybacz mi — na dzień, w którym będę mogła pomścić mojego ojca. Gdy tylko znalazłam się we Francji i dowiedziałam się, że zdrajca mieszka w Paryżu, moje oczy i uszy były już stale czujne. Mieszkałam samotnie w domu mojego szlachetnego opiekuna, ale żyłam tak, ponieważ lubię ciszę i cień; dzięki nim mogę w spokoju rozmyślać. Pan hrabia de Monte Christo otacza mnie ojcowską opieką i dlatego życie światowe nie jest mi obce. Wolę jednak przysłuchiwać się z daleka jego echom wrzawy. Czytam więc gazety, otrzymuję też albumy z rycinami i najnowsze nuty. I tak śledzę życie, nie angażując się w nie. Dziś rano dowiedziałam się o tym, co się wydarzyło w Izbie Parów, i że wieczorem ma się zebrać komisja... Napisałam więc list".

„Czyli hrabia nic nie wie o pani kroku?" — zapytał prezydent.

„Nie wie o niczym i obawiam się nawet, że może tego nie pochwalić. A jednak jest to piękny dzień w moim życiu — dodała dziewczyna wznosząc ku niebu płomienny wzrok — dzień, w którym mogę pomścić mojego ojca!".

Hrabia przez cały ten czas nie wyrzekł ni słowa. Koledzy spoglądali na niego i bez wątpienia litowali się nad tą karierą rozwianą w pył wonnym tchnieniem kobiety. Rozpacz wypełzała coraz wyraźniej na jego twarz.

„Panie de Morcerf — rzekł prezydent — czy rozpoznaje pan w tej damie córkę Alego Tebelina, paszy Janiny?"

„Nie — odpowiedział Morcerf wstając z trudem. — To jakiś spisek moich nieprzyjaciół".

Hayde, która utkwiła właśnie wzrok we drzwiach, jakby czekała, że ktoś wejdzie, odwróciła się nagle i spostrzegłszy hrabiego, krzyknęła okropnie:

„Nie poznajesz mnie? Ale na szczęście ja poznaję ciebie! Jesteś Fernand Mondego, oficer francuski, instruktor armii mojego szlachetnego ojca! To ty wydałeś twierdzę! To ty zostałeś wysłany z poselstwem do Konstantynopola, by paktować z sułtanem w sprawie śmierci lub życia twojego dobroczyńcy, a wróciłeś z fałszywym firmanem zawierającym ułaskawienie! To ty zwiodłeś tym firmanem mojego ojca, by dostać od niego pierścień — znak zmuszający Selima, strażnika ognia, do posłuszeństwa! To ty sprzedałeś nas El-Kobbirowi! Morderco, morderco, morderco! Na czole masz wciąż krew twojego pana! Patrzcie wszyscy!".

Słowa te wypowiedziała z takim żarem, że oczy wszystkich zwróciły się na hrabiego, a on sam podniósł rękę do czoła, jakby była na nim ciepła jeszcze krew Alego Tebelina.

„Oświadcza więc pani ostatecznie, że w panu de Morcerfie rozpoznaje oficera Fernanda Mondego?".

[1344] *hidżra* — ucieczka Mahometa z Mekki do Medyny w 622 r., od którego liczone są lata w kalendarzu muzułmańskim. [przypis edytorski]

„Czy ja go poznaję? — zawołała Hayde. — O moja matko, powiedziałaś mi: byłaś wolna, miałaś kochającego ojca, przeznaczono cię już prawie do korony! Przypatrz się dobrze temu człowiekowi, on cię uczynił niewolnicą, on nadział na włócznię głowę twojego ojca, on nas sprzedał, on nas wydał w ręce nieprzyjaciół! Przypatrz się dobrze jego prawej ręce, ma tam szeroką bliznę. Jeśli zapomnisz jego twarzy, poznasz go po tej ręce, na którą El-Kobbir odliczał złote monety! Czy go poznaję? O, niech tylko spróbuje powiedzieć, że mnie nie poznaje!".

Każde słowo raziło Morcerfa niczym ostrze miecza; stopniowo tracił resztki sił. Mimo woli cofnął gwałtownie prawą rękę, na której miał bliznę, wsunął ją za frak i opadł na fotel, poddając się ponurej desperacji.

Na sali zapanowało ogromne wzburzenie — jakby to powiał północny wiatr i zakręcił w gwałtownym podmuchu zeschłymi liśćmi.

„Panie de Morcerf — rzekł prezydent. — Niech pan podejmie walkę, niech pan odpowie: nasza sprawiedliwość jest taka, jak sprawiedliwość boska — nie zna różnic między ludźmi; nie pozwoli zatriumfować pana nieprzyjaciołom, nie dając panu możliwości obrony. Chce pan, byśmy zarządzili nowe śledztwo? A może mam wysłać dwóch członków Izby do Janiny? Niech pan odpowie".

Morcerf milczał.

Członkowie komisji spojrzeli po sobie ze zgrozą. Znali energiczny i gwałtowny charakter hrabiego. Trzeba było naprawdę wyjątkowej siły, aby unicestwić wolę walki u tego człowieka. Spodziewali się, że po tym milczeniu, podobnym do chwilowego uśpienia nastąpi wybuch przypominający uderzenie piorunu.

„Więc jak? — zapytał prezydent. — Co pan postanowił?"

„Nic" — odpowiedział głucho hrabia de Morcerf powstając.

„Czyżby córka Ali Tebelina — zapytał prezydent — mówiła prawdę? Czyżby rzeczywiście była jednym z tych straszliwych świadków, których zeznaniom winowajca nie śmie zaprzeczyć? Naprawdę uczynił pan to wszystko?".

Sprawiedliwość, Zemsta, Sąd, Bóg

Hrabia rozejrzał się wokół z taką rozpaczą, że wzruszyłby nim dziką bestię — ale nie mógł tym poruszyć sędziów.

Wzniósł oczy w górę, ale spuścił je natychmiast, jakby z obawy, że się rozstąpi sklepienie i zajaśnieje w nim inny, niebiański trybunał z sędzią najwyższym — Bogiem.

Gwałtownie rozpiął frak, w którym się dusił i wypadł z sali jak szaleniec.

Na korytarzu zadudniły jego kroki; zaraz potem z kopyta ruszyły konie i rozległ się turkot powozu, aż zadrżał florencki portyk gmachu.

„Panowie — rzekł prezydent, gdy zapadła cisza. — Czy uważacie, że pan hrabia de Morcerf jest winny wiarołomstwa, zdrady i wszystkich tych nikczemnych czynów?".

„Tak!" — odpowiedzieli jednogłośnie wszyscy członkowie komisji.

Hayde pozostała na sali do końca posiedzenia. Wysłuchała wyroku z twarzą obojętną, nie objawiając ani radości, ani żalu.

Zasłoniła tylko twarz woalem, ukłoniła się majestatycznie członkom komisji i wyszła krokiem, jaki Wergiliusz podpatrzył u bogiń.

86. WYZWANIE

Wtedy — mówił Beauchamp — korzystając z ciemności panujących na sali, wymknąłem się niepostrzeżenie. Woźny, który mnie wprowadził, czekał na mnie przy drzwiach. Poprowadził mnie korytarzami aż do bocznego wejścia, to jest od ulicy Vaugirard. Wyszedłem zdruzgotany, ale jednocześnie, przebacz mi to, Albercie, zachwycony. Zdruzgotany, bo myślałem o tobie, a zachwycony — bo tak wspaniała była ta dziewczyna, której zależało na pomszczeniu ojca. Ale przysięgam ci, Albercie, że kimkolwiek jest ten, kto odkrył tę tajemnicę, choćby był nawet wrogiem, przekonany jestem, że zesłała go Opatrzność.

Albert siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Teraz podniósł głowę. Zalany łzami, czerwienił się ze wstydu. Pochwycił Beauchampa za rękę i rzekł:

— Przyjacielu, moje życie już się skończyło. I nie mogę powiedzieć jak ty, że Opatrzność wymierzyła we mnie ten cios; muszę odnaleźć człowieka, który darzy nas nienawiścią; a kiedy go znajdę, zabiję go albo on zabije mnie. Mam nadzieję, że jako przyjaciel pomożesz mi w tych poszukiwaniach. No, chyba że pogarda zgasiła w tobie przyjaźń.

— Bogu dzięki nie żyjemy już w czasach, kiedy na dzieci spadała odpowiedzialność za czyny ich ojców. Przyjrzyj się swojemu życiu, Albercie, wszeszło ono tak niedawno! Uwierz mi, jesteś przecież taki młody, bogaty, opuść Francję. W tym Babilonie, gdzie wszystko się kotłuje i nieustannie zmieniają się gusta, wszystko natychmiast puszcza się w niepamięć! Wrócisz za trzy, cztery lata, poślubisz jakąś rosyjską księżniczkę i nikt nie będzie już myślał o tym, co się stało wczoraj, a tym bardziej o tym, co zdarzyło się przed szesnastu laty.

— Dziękuję ci, mój kochany, za te słowa, dyktują ci je najszlachetniejsze intencje; ale to niemożliwe. Powiedziałem ci już, czego pragnę, a teraz dodam, że to pragnienie jest moją wolą. Moim zdaniem Opatrzność ma z tym wszystkim niewiele wspólnego, i całe szczęście, bo ja mam nadzieję, że zamiast niewidzialnej i nieuchwytnej wysłanniczki, co zsyła nagrody i kary niebieskie, znajdę widzialnego i uchwytnego człowieka, na którym się zemszczę! Przysięgam ci, zemszczę się za wszystko, co wycierpiałem przez ostatni miesiąc. I powtarzam ci, że wracam do życia, między ludzi, a ty, jeśli — jak twierdzisz — wciąż jesteś moim przyjacielem, dopomóż mi odnaleźć rękę, która zadała cios.

— Jeśli postanowiłeś odnaleźć wroga, pomogę ci w tym. I znajdę go, bo mój honor zainteresowany jest w tej sprawie prawie tak samo jak twój.

— A więc zacznijmy natychmiast. Każda minuta zwłoki to dla mnie wieczność. Donosiciel nie został jeszcze ukarany, ma więc nadzieję, że go ona ominie. Ale klnę się honorem: jeśli tak myśli, to myli się sromotnie.

— No to posłuchaj.

— Beauchamp! Widzę, że coś wiesz! Przyjacielu, przywracasz mi życie!

— Nie traktuj tego za pewnik, bo to dopiero światełko w ciemnościach, ale idąc za tym światełkiem być może trafimy do celu.

— Mów, błagam cię, widzisz przecie, że umieram z niecierpliwości.

— Było tak: w Janinie, aby zasięgnąć informacji, udałem się naturalnie najpierw do najbogatszego bankiera. Ledwie wspomniałem o tej sprawie, zanim jeszcze wymieniłem nazwisko twojego ojca...

„Ach, wiem — rzekł do mnie — domyślam się, co pana tu sprowadza".

„Jak to?".

„Ano tak; pytano mnie o to samo przed dwoma tygodniami".

„A kto taki?".

„Pewien paryski bankier, mój korespondent".

„A jakże się nazywa?".

„Danglars".

— On? — zawołał Albert. — A tak. To on przecież już od dawna prześladuje z zawiści mojego biednego ojca; on, który rzekomo opowiada się za lewicą, nie potrafi darować hrabiemu de Morcerf, że jest parem Francji. No oczywiście, nawet to nagłe zerwanie narzeczeństwa, bez żadnego powodu... No tak, jesteśmy w domu.

— Tylko spokojnie, Albercie, to już stary człowiek.

— Tak będę zważał na jego wiek, jak i on zważał na honor mojej rodziny! Jeżeli miał jakiś żal do mojego ojca, to dlaczego nie powiedział mu tego wprost? Ale on bał się stanąć twarzą w twarz z prawdziwym mężczyzną.

— Nie potępiam cię, tylko chcę cię trochę pohamować. Działaj roztropnie.

— O, nie obawiaj się, zresztą pójdziesz ze mną, sprawy tak uroczyste powinny odbywać się przy świadkach. Jeśli tylko Danglars okaże się winnym, to nim minie ten dzień, jeden z nas zginie. Do licha, chcę, aby mój honor miał piękny pogrzeb!

— To cóż, skoro decyzja już powzięta, trzeba natychmiast przystąpić do jej wykonania. Chcesz iść do pana Danglarsa? To chodźmy.

Posłali po dorożkę.

Przed pałacem bankiera stał faeton pana Cavalcantiego. W drzwiach czekał jego służący.

— Do diabła, nieźle się składa! — rzekł ponuro Albert. — Jeżeli Danglars nie zechce się ze mną pojedynkować, to zabiję mu zięcia. O tak, Cavalcanti musi się bić!

Zaanonsowano Alberta bankierowi. Danglars, wiedząc, co wydarzyło się w przeddzień, zabronił go wpuszczać.

Było już jednak za późno, Albert szedł zaraz za lokajem.

Słysząc rozkaz Danglarsa, pchnął drzwi i wpadł do gabinetu bankiera, a za nim Beauchamp.

— Mój panie! — zawołał bankier. — Chyba u siebie w domu mam prawo przyjmować albo nie przyjmować kogo mi się spodoba? Pan się zapomina!

— O nie, proszę pana — rzekł lodowato Morcerf. — Istnieją okoliczności, kiedy jesteśmy zmuszeni być dla pewnych osób w domu. Chyba że woli pan stchórzyć — zostawiam panu tę furtkę.

— Czegóż pan chce ode mnie?

— Chcę — rzekł Morcerf, nie zwracając uwagi na Cavalcantiego, który stał oparty o kominek — zaproponować panu spotkanie w ustronnym miejscu, gdzie nikt nam nie przeszkodzi. Potrwa to nie dłużej niż dziesięć minut i jeden z nas już tam zostanie, aż go liście pokryją. Nic więcej nie chcę.

Danglars zbladł.

Cavalcanti wzdrygnął się. Albert zwrócił się ku niemu:

— Ależ doprawdy, pan też może się z nami wybrać, zapraszam; należy pan już prawie do rodziny, a ja gotów jestem spotkać się tam ze wszystkimi, którzy tylko zechcą przyjąć moje zaproszenie.

Cavalcanti spojrzał osłupiały na Danglarsa, który dźwignął się z fotela, stając między Albertem a Cavalcantim.

Atak Morcerfa na Andreę sprowadzał sprawę na inny grunt. Danglars pomyślał z nadzieją, że odwiedziny Alberta zawdzięczał czemuś innemu, niż sądził z początku.

— Aha! No, jeśli przyszedł pan tutaj szukać zaczepki z panem Cavalcantim — rzekł do Alberta — bo przedłożyłem go nad pana, uprzedzam, że gotów jestem skierować tę sprawę do prokuratora królewskiego.

— Mylisz się pan bardzo — odparł Albert, uśmiechając się ponuro. — Nie mówię tu wcale o mariażu. Zwróciłem się do pana Cavalcantiego tylko dlatego, że zdawało mi się, iż miał zamiar wtrącić się do naszej rozmowy. Ale patrz pan, poza tym masz pan rację: szukam dziś zaczepki z całym światem, ale proszę się nie obawiać, panie baronie, ma pan pierwszeństwo.

— Mój panie — odparł Danglars, pobladły z gniewu i ze strachu — uprzedzam pana, że kiedy spotykam na swej drodze wściekłego psa, zabijam go, nie czując się wcale winnym, a przeciwnie, uważam, że wyświadczyłem społeczeństwu przysługę. Jeśli dotknęła pana wścieklizna i chce mnie pan ugryźć, ostrzegam, że zabiję bez litości. Czyż to moja wina, że pański ojciec został zniesławiony?

— Tak, kanalio! — krzyknął Albert. — Twoja!

Danglars cofnął się.

— Moja? Moja? Ależ pan oszalał! Czy ja znam historię Grecji? Czy to ja włóczyłem się po tych wszystkich kraikach? Czy to ja doradziłem pańskiemu ojcu, żeby sprzedał twierdzę Janiny? Żeby zdradził...

— Milcz! — rzekł głucho Albert. — To nie pan ściągnął to całe nieszczęście i nie pan wywołał skandal, ale pan go podstępnie sprowokował.

— Ja?

— Tak, pan! Skąd się wzięły te rewelacje?

— No chyba wyczytałeś pan w gazecie wyraźnie: z Janiny, do stu diabłów!

— Kto napisał do Janiny z prośbą o przysłanie wiadomości na temat mojego ojca?

— Zdaje mi się, że wszystkim wolno pisywać do Janiny?

— A jednak napisała tylko jedna osoba.

— Jedna?

— Tak! I tą osobą jest pan!

— Owszem, napisałem. Wydaje mi się, że kiedy ma się wydać własną córkę za mąż, ojciec ma prawo zasięgnąć informacji na temat jego rodziny; więcej nawet — ma nie prawo, a obowiązek.

— Napisałeś pan, wiedząc doskonale, jaka przyjdzie odpowiedź.

— Ja? Mogę panu przysiąc! — zawołał Danglars ze szczerością i przekonaniem, które wynikały nie tyle ze strachu, ile z sympatii, jaką w głębi duszy żywił dla nieszczęśliwego młodzieńca. — Przysięgam panu, że nigdy nawet mi przez myśl nie przyszło, żeby pisać do Janiny. Przecież ja nie wiedziałem nic o tragedii Ali Paszy!

— Czyżby ktoś to panu podszepnął?

— Właśnie tak.

— Kto? Niech pan mówi!

— Do licha, odbyło się to bardzo prosto. Gdy mówiłem o przeszłości pańskiego ojca, wspomniałem również, że nie wiadomo, jak się dorobił takiej fortuny. Osoba, z którą rozmawiałem, zapytała mnie, gdzie wobec tego pański ojciec zbił ten majątek. Odpowiedziałem: „w Grecji" i powiedziano mi: „więc niech pan napisze do Janiny".

— I kto to panu doradził?

— Do diabła, no kto, jak nie hrabia Monte Christo, pański przyjaciel.

— Hrabia Monte Christo namówił pana, żeby napisał pan do Janiny?

— No tak, i napisałem. Jeżeli chce pan zobaczyć tę korespondencję, mogę ją panu pokazać.

Albert i Beauchamp spojrzeli po sobie.

— Mój panie — Beauchamp zabrał głos po raz pierwszy — oskarża pan hrabiego w chwili, kiedy nie ma go w Paryżu i nie może się wytłumaczyć.

— Panie kochany — rzekł Danglars. — Ja nikogo nie oskarżam, ja po prostu to mówię i mogę to samo powtórzyć w obecności hrabiego.

— Czy hrabia wie, jaką pan otrzymał odpowiedź?

— Pokazałem mu ją.

— A wiedział przedtem, że Fernand to imię chrzestne mojego ojca, a Mondego to jego nazwisko rodowe?

— Wiedział to ode mnie już od dawna. Nie zrobiłem nic, czego kto inny nie zrobiłby na moim miejscu. Gdy nazajutrz po otrzymaniu tej odpowiedzi, za namową hrabiego Monte Christo przyszedł do mnie pański ojciec, aby oficjalnie, jak każe obyczaj, poprosić o rękę Eugenii, odmówiłem. Odmówiłem po prawdzie jasno i krótko, ale bez żadnych wyjaśnień i nie robiąc skandalu, bo dlaczego miałbym go robić? Co mnie obchodzi honor albo niesława pana de Morcerfa? Od tego kursy akcji ani nie rosną, ani nie spadają.

Albert poczuł, że twarz mu płonie. Nie było wątpliwości: Danglars bronił się tchórzliwie, ale stanowczo, z pewnością siebie — jak człowiek, który jeśli nie mówi nawet całej prawdy, to przynajmniej jej część, a dyktuje mu to nie tyle sumienie, ile strach.

A zresztą, czego chciał Albert? Przecież nie chodziło mu o winę Danglarsa czy Monte Christa. Szukał po prostu kogoś, kto mógł mu odpowiedzieć za zniewagę i stanąć z nim do pojedynku. Tu zaś było oczywiste, że Danglars bić się nie będzie. Teraz wszystkie zapomniane lub niedostrzegane dawniej szczegóły stawały mu przed oczyma i ożywały w jego pamięci.

Monte Christo wiedział wszystko, przecież to on kupił córkę Ali Paszy.

A wiedząc o wszystkim, doradził Danglarsowi, by napisał do Janiny.

Znając odpowiedź, uległ prośbie Alberta i przedstawił go Hayde; i tak pokierował rozmową, by Hayde wspomniała o śmierci ojca. Pozwolił jej opowiedzieć o tym wszystkim, ale przecież wyrzekł też do niej coś po grecku — były to na pewno jakieś instrukcje. A wcześniej jeszcze zabronił Albertowi wymawiać w obecności Hayde nazwisko jego ojca. Na koniec wywiózł Alberta do Normandii w momencie, kiedy miał wybuchnąć skandal. Nie było wątpliwości. Wszystko to zostało dokładnie obmyślone, a Monte Christo działał w porozumieniu z nieprzyjaciółmi ojca Alberta.

Albert wziął Beauchampa na stronę i przedstawił mu swoje domysły.

— Racja — odpowiedział Beauchamp. — Pan Danglars wykonał tutaj tylko najbardziej mokrą robotę. To od hrabiego Monte Christo powinieneś żądać wyjaśnień.

Albert odwrócił się do Danglarsa i rzekł:

— Rozumie pan, że nie uważam naszej rozmowy za definitywnie zakończoną. Muszę najpierw dowiedzieć się, czy pańskie oświadczenia są zgodne z prawdą. Udaję się natychmiast do pana de Monte Christo.

Skłonił się bankierowi i wyszedł, nie spojrzawszy nawet na Cavalcantiego. Beauchamp podążył za nim.

Danglars odprowadził ich aż do drzwi i przy drzwiach jeszcze raz zapewnił Alberta, że osobiście nie żywi żadnych wrogich uczuć do pana hrabiego de Morcerfa.

87. ZNIEWAGA

Za drzwiami Beauchamp zatrzymał Morcerfa.

— Zaczekaj — rzekł mu. — Przed chwilą powiedziałem ci, że powinieneś żądać wyjaśnień od hrabiego de Monte Christo, tak?

— Tak, idziemy do niego.

— Chwileczkę, najpierw się zastanówmy.

— Nad czym chcesz się zastanawiać?

— No tak. Pan Danglars to finansista, a jak wiesz, tacy ludzie przywiązani są do swoich kapitałów i trudno jest skłonić ich do pojedynku. A hrabia to zupełnie coś innego. Jest szlachcicem, na to przynajmniej wygląda, ale nie lękasz się, że pod suknią szlachcica znajdziesz bandytę?

— Ja się lękam jednego: że nie zechce się ze mną bić.

— O to możesz być spokojny. Na pewno będzie się bił. Obawiam się tylko, czy nie będzie się bił aż zbyt dobrze. Przemyśl to.

— Przyjacielu — rzekł Albert z dumnym uśmiechem — tego właśnie teraz pragnę. Największym szczęściem, o jakim teraz marzę, to zginąć za ojca. Ta śmierć ocaliłaby nas wszystkich.

— Twoja biedna matka nie przeżyłaby tego!

— Biedaczka — szepnął Albert, przeciągając ręką po oczach. — Wiem o tym. Ale lepiej, by umarła z bólu niż ze wstydu.

— To znaczy, że już postanowiłeś?

— Tak.

Wsiedli do powozu i kazali się zawieźć na Pola Elizejskie.

Beauchamp chciał sam pójść do hrabiego, Albert jednak wytłumaczył mu, że w tak ważnej sprawie można odstąpić od kodeksu rządzącego pojedynkami.

Młodzieniec działał w tak świętej sprawie, że Beauchamp nie miał wyjścia i posłusznie podporządkowywał się jego woli. Teraz również mu ustąpił — i poszedł za nim.

Albert minął domek portiera i wpadł na ganek. Powitał go Baptysta.

Hrabia rzeczywiście wrócił do Paryża, ale brał akurat kąpiel i nie pozwolił wpuszczać do siebie nikogo, nawet gdyby to był papież.

— A po kąpieli? — zapytał Morcerf.

— Jaśnie pan zje obiad. Potem godzinę będzie spał, a później idzie do Opery.

— Jesteś tego pewien? — zapytał Albert.

— Pewien absolutnie. Pan hrabia kazał przygotować konie punktualnie na ósmą.

— Bardzo dobrze — powiedział Albert. — To wszystko, czego chciałem się dowiedzieć.

I zwrócił się do Beauchampa:

— Jeśli masz coś teraz do załatwienia, załatw to natychmiast, jeśli masz jakieś spotkanie dziś wieczorem, odłóż je na jutro. Jak się domyślasz, liczę, że pójdziesz ze mną do Opery. Jeżeli możesz, przyprowadź ze sobą Château-Renauda.

Beauchamp rozstał się z Albertem, ale przyrzekł, że przyjdzie po niego za kwadrans ósma.

Albert wrócił do domu i natychmiast napisał do Franza, Debraya i Morrela, że chciałby się z nimi tego wieczoru zobaczyć w Operze.

Potem poszedł do swojej matki, która od wczoraj nikogo u siebie nie przyjmowała i nie wychodziła z pokoju. Zastał ją w łóżku; była zrozpaczona tym publicznym upokorzeniem. Widok Alberta wywarł na Mercedes skutek, jakiego można się było spodziewać: ścisnęła syna za rękę i zaniosła się płaczem.

Łzy te jednak przyniosły jej ulgę.

Albert stał przez chwilę, milcząc i wpatrując się w matkę. Z jej bladej twarzy i zmarszczonych brwi można było poznać, że pragnienie zemsty powoli w niej wygasało.

— Matko — zaczął Albert — czy pan de Morcerf ma jakichś wrogów?

Mercedes wzdrygnęła się, słysząc, że młodzieniec nie powiedział: „mój ojciec".

— Dziecko — odpowiedziała — ludzie o pozycji twojego ojca mają wielu nieprzyjaciół, o których nie wiedzą. Zresztą, sam wiesz najlepiej, że jawni nieprzyjaciele nie należą do najbardziej niebezpiecznych.

— Tak, wiem o tym. I dlatego odwołuję się do twojej wielkiej przenikliwości. Jesteś, mamo, kobietą tak czujną, że nic nie ujdzie twojemu oku.

— Dlaczego mówisz mi to wszystko?

— Bo zauważyłaś, na przykład, że na balu, który wydaliśmy, pan de Monte Christo nic nie wypił ani nie zjadł.

Mercedes podniosła się nagle i oparła na ręce, rozpalona gorączką.

— Hrabia Monte Christo? — zawołała. — A jakiż on może mieć związek z pytaniem, które mi zadałeś?

— Wszak wiesz, mamo, że pan de Monte Christo, może się prawie uważać za człowieka Wschodu, a według wschodnich obyczajów, by nie utracić prawa do zemsty, nie jada się nigdy ani nie pije w domu nieprzyjaciela.

— Twierdzisz, że pan de Monte Christo jest naszym nieprzyjacielem? — zapytała Mercedes bledsza od pościeli, w której spoczywała. — Kto ci naopowiadał takich rzeczy? Dlaczego? Oszalałeś chyba. Od pana de Monte Christo spotykały nas zawsze tylko uprzejmości. Ocalił ci życie i to ty sam nam go przedstawiłeś. Błagam cię, dziecko, wybij sobie z głowy tę myśl, porzuć ją i jeśli mogę ci cokolwiek poradzić, a nawet nie radzić, a prosić, to pozostań z nim w jak najlepszych stosunkach.

— Mamo — odparł młodzieniec, patrząc ponuro — z pewnością masz swoje powody, że każesz mi oszczędzać tego człowieka.

Mercedes znowu zadrżała i spojrzała badawczo na Alberta.

— Dziwne rzeczy mi mówisz; zdaje mi się, że powziąłeś do niego jakieś dziwne uprzedzenie. Co takiego ci zrobił hrabia? Jeszcze trzy dni temu byłeś z nim w Normandii; trzy dni temu i ty, i ja uważaliśmy go za naszego najlepszego przyjaciela.

Usta Alberta wygięły się w szyderczym uśmiechu. Mercedes spostrzegła ten uśmiech, a kierując się podwójnym instynktem kobiety i matki, odgadła wszystko. Roztropność nakazała jej jednak ukryć niepokój.

Albert nie odzywał się, więc po chwili hrabina sama podjęła rozmowę.

— Pytałeś mnie niedawno, jak się czuję? Odpowiem ci szczerze: nie najlepiej. Powinieneś dotrzymywać mi towarzystwa; nie chcę być teraz sama.

— Byłbym do dyspozycji, a wie mama, jak lubię z mamą przebywać, gdybym tylko nie miał dziś zajętego całego wieczoru. Muszę wyjść w pewnej bardzo ważnej sprawie.

— Dobrze — westchnęła Mercedes. — Nie chciałabym robić z ciebie niewolnika synowskich uczuć.

Albert udał, że nie słyszy, ukłonił się i wyszedł.

Ledwie zamknęły się za nim drzwi, Mercedes zawołała zaufanego sługę i kazała mu śledzić Alberta przez cały wieczór, a potem zdać jej z tego relację.

Następnie zadzwoniła na pokojówkę i chociaż była jeszcze bardzo słaba, ubrała się, aby być na wszelki wypadek gotową.

Misja zlecona służącemu nie była zbyt trudna.

Albert poszedł do siebie i ubrał się ze skromną elegancją. Za dziesięć ósma przyszedł do niego Beauchamp. Spotkał się z Château-Renaudem, który przyrzekł, że będzie na parterze Opery przed podniesieniem kurtyny.

Wsiedli obaj do powozu Alberta, a że nie zamierzali się ukrywać, młodzieniec krzyknął:

— Do Opery!

Tak się niecierpliwił, że wszedł na salę przed podniesieniem kurtyny.

Château-Renaud już na nich czekał. Albert nie musiał udzielać mu żadnych wyjaśnień, gdyż Beauchamp wszystko mu już naświetlił.

Syn chciał zemścić się za ojca — było to dla Château-Renauda rzeczą tak naturalną, że nie próbował nawet odwodzić Alberta od tego zamiaru, oświadczył tylko jeszcze raz, że jest w zupełności do dyspozycji Alberta.

Dzwonek wezwał wszystkich do zajęcia swoich miejsc i Albert usiadł na parterze pomiędzy Château-Renaudem i Beauchampem.

Ani na chwilę nie spuszczał z oka loży pomiędzy kolumnami, która jak na złość przez cały pierwszy akt była zamknięta.

Wreszcie, gdy Albert po raz setny spojrzał na zegarek i rozpoczynał się już drugi akt, drzwi loży otwarły się i wszedł Monte Christo, cały w czerni. Oparł się dłońmi o parapet i rozejrzał po sali.

Tuż za nim wszedł Morrel i także jął się rozglądać, poszukując siostry i szwagra. Spostrzegł ich w loży na drugim piętrze i pomachał im ręką.

Ogarniając salę spojrzeniem, hrabia natknął się na bladą twarz i gorejące oczy, które wyraźnie usiłowały przyciągnąć jego uwagę. Poznał Alberta, ale wzburzenie, widniejące na jego twarzy, skłoniło hrabiego, aby udać, że go nie dostrzegł. Nie zdradził się, nawet nie drgnął — siadł tylko spokojnie, wyjął lornetkę i jął spoglądać w przeciwną stronę.

Choć jednak udawał, że go nie widzi, nie spuszczał Alberta z oka i gdy kurtyna opadła na koniec aktu, dostrzegł, że młodzieniec w towarzystwie dwóch swoich przyjaciół opuszcza widownię. Po chwili też dojrzał jego twarz w loży naprzeciw.

Hrabia czuł nadciągającą burzę i gdy usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach loży, nie przerwał wesołej pogawędki z Morrelem, ale rozumiał już wszystko i na wszystko był już przygotowany.

Drzwi się otwarły.

Monte Christo odwrócił się dopiero teraz — Albert stał blady i rozdygotany. Za nim weszli Beauchamp i Château-Renaud.

— No proszę! — zawołał ze swoją zwykłą życzliwością, która tak odróżniała jego powitania od banalnych grzeczności cywilizowanego świata. — Widzę, że mój jeździec dotarł szczęśliwie do celu. Dobry wieczór, panie Albercie!

I w twarzy hrabiego, który jak nikt inny potrafił nad sobą panować, można było wyczytać niekłamaną serdeczność.

Morrel dopiero teraz przypomniał sobie, że dostał od wicehrabiego list, w którym Albert prosił go bez żadnych wyjaśnień, aby stawił się w Operze.

Domyślił się teraz, że za chwilę wydarzy się tu coś okropnego.

— Nie przychodzimy tu, aby bawić się w obłudną grzeczność i zapewniać się o fałszywej przyjaźni — odezwał się Albert. — Przyszliśmy, by żądać od pana pewnych wyjaśnień.

Drżący głos młodzieńca z trudem przeciskał mu się przez zaciśnięte zęby.

— Wyjaśnienia w Operze? — rzekł hrabia tak spokojnym tonem i patrząc tak przenikliwie, jak zwykł był mówić człowiek o niezachwianej pewności siebie. — Jakkolwiek mało jestem jeszcze oswojony z paryskimi zwyczajami, nie sądzę, mój panie, aby to było odpowiednie miejsce do wyjaśnień.

— Ale kiedy ktoś się ukrywa — odparł Albert — kiedy w żaden sposób nie można się do kogoś dostać, pod pretekstem, że jest w kąpieli, przy obiedzie albo w łóżku, trzeba niepokoić go tam, gdzie można go spotkać.

— Nie jest mnie trudno spotkać; przecież jeśli mnie pamięć nie myli, jeszcze wczoraj byłeś pan u mnie.

— Wczoraj — odparł młodzieniec, tracąc panowanie nad sobą — byłem u pana, bo nie wiedziałem jeszcze, z kim mam do czynienia.

Mówiąc to, tak podniósł głos, że dosłyszano go w sąsiednich lożach i na korytarzu. Tak więc widzowie siedzący w lożach odwrócili się w ich kierunku, a osoby spacerujące po korytarzu zatrzymały się na odgłos kłótni, tuż za Beauchampem i Château-Renaudem.

— Co się z panem dzieje? — spytał Monte Christo, nie okazując jakiegokolwiek zdenerwowania. — Zdaje mi się, żeś pan postradał zmysły.

— Jestem na tyle przy zdrowych zmysłach, aby pojąć pańską przewrotność i aby oświadczyć panu, że mam zamiar się zemścić, na to wystarczy mi rozumu — krzyknął rozwścieczony Albert.

— Wcale pana nie rozumiem — odparł Monte Christo — a gdybym nawet pana rozumiał, i tak nie uprawniałoby to pana do tego, by tak wysoko podnosić głos. Jestem tu u siebie i tylko ja jeden mam tu do tego prawo. Proszę wyjść!

I wskazał Albertowi drzwi imponującym, rozkazującym gestem.

— O, ja już stąd pana wypłoszę! — zawołał Albert, mnąc kurczowo w dłoniach rękawiczkę, której Monte Christo nie spuszczał z oka.

— Dobrze, dobrze — rzekł flegmatycznie Monte Christo. — Widzę wyraźnie, że szuka pan ze mną zwady, ale dam panu radę i weź ją pod uwagę: to zły nawyk, rzu-

cać komuś tak głośno wyzwanie. Rozgłos nie każdemu wychodzi na zdrowie, panie de Morcerf!

Na dźwięk tego nazwiska dał się słyszeć głuchy szmer zdziwienia.

Od wczoraj nazwisko Morcerfów było na ustach wszystkich.

Albert zrozumiał tę aluzję błyskawicznie i lepiej niż ktokolwiek — uczynił więc gwałtowny ruch, jakby chciał rzucić hrabiemu w twarz rękawiczkę, ale Morrel złapał go za rękę, a Beauchamp i Château-Renaud, w obawie, żeby scena nie wykroczyła zbyt daleko, przytrzymali go z tyłu.

Hrabia nie podniósł się nawet z fotela, pochylił się tylko, wyciągnął rękę i wyjął z zaciśniętych palców młodzieńca wilgotną i zgniecioną rękawiczkę:

— Uważam, żeś mi pan rzucił tę rękawiczkę — powiedział, a głos zabrzmiał mu złowrogo — odeślę ją panu owinąwszy w nią kulę. A teraz wynoś się pan, bo zawołam służbę i każę pana wyrzucić za drzwi.

Półprzytomny, oszołomiony, z oczyma nabiegłymi krwią, Albert cofnął się w tył.

Morrel skorzystał z tego, aby zamknąć drzwi.

Monte Christo wziął znowu lornetkę i zaczął rozglądać się po sali, jakby nie zaszło nic nadzwyczajnego.

Człowiek ten miał żelazne serce i twarz z marmuru.

Morrel nachylił się mu do ucha i rzekł:

— Co mu pan zrobił?

— Ja? Nic. A przynajmniej nie osobiście.

— Ale przecież to szczególne zajście musi mieć jakiś powód?

— Cała ta awantura z hrabią de Morcerfem doprowadziła Alberta do rozpaczy.

— Jest pan w nią zamieszany?

— To Hayde opowiedziała Izbie o zdradzie Morcerfa.

— Albert napisał dziś do mnie, prosząc o przybycie do Opery. Oczywiście, chciał mnie uczynić świadkiem zniewagi, jaką panu zadał.

— Bardzo możliwe — odparł Monte Christo z niezachwianym spokojem.

— I co pan z nim zrobi?

— Z Albertem? — odpowiedział Monte Christo równie spokojnie. — Co z nim zrobię? Zabiję go jutro przed dziesiątą rano. To pewne jak to, że siedzisz tu ze mną.

Morrel ujął dłoń Monte Christa i zadrżał, czując, jaka jest spokojna i zimna.

— O, hrabio, ojciec tak bardzo go kocha!

— Proszę nie mówić mi takich rzeczy! — zawołał Monte Christo po raz pierwszy unosząc się gniewem. — Będzie cierpiał! Chcę tego.

Morrel osłupiał i wypuścił rękę hrabiego.

— Ależ hrabio, hrabio!... — rzekł.

— Drogi panie Maksymilianie — przerwał hrabia — posłuchaj tylko, jak przecudownie Duprez[1345] śpiewa tę frazę: „O Matyldo! Bóstwo mojej duszy". Czy wiesz, że to ja jako pierwszy odkryłem w Neapolu ten wielki talent i jako pierwszy go oklaskiwałem? Brawo! Brawo!

Morrel zrozumiał, że na tym rozmowa skończona i postanowił zaczekać.

Kurtyna opadła. Ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę wejść — rzekł Monte Christo; jego głos nie zdradzał najmniejszego wzruszenia.

Wszedł Beauchamp.

— Dobry wieczór — rzekł Monte Christo, jakby go zobaczył pierwszy raz tego wieczora. — Proszę, niech pan siada.

Beauchamp skłonił się, wszedł i usiadł.

— Jak pan zapewne zauważył — odezwał się — przed chwilą towarzyszyłem panu de Morcerfowi.

— Co znaczy — odpowiedział, śmiejąc się Monte Christo — że byliście zapewne razem na obiedzie. Cieszy mnie bardzo, panie Beauchamp, że jest pan po nim trzeźwiejszy niż pan Albert.

[1345] *Duprez, Gilbert* (1806–1896) — fr. kompozytor, śpiewak operowy, tenor. [przypis edytorski]

— Panie hrabio — rzekł Beauchamp — przyznaję, że Albert nie miał prawa tak się unosić, przychodzę więc przeprosić pana za to, ale tylko w swoim imieniu; pan hrabia rozumie? To tyle, jeśli chodzi o mnie. A teraz chciałem pana prosić o pewne wyjaśnienia w kwestii pańskich stosunków z mieszkańcami Janiny i nie wątpię, że jako człowiek honorowy nie odmówi mi ich pan. Na koniec dodam parę słów na temat tej młodej Greczynki.

Monte Christo wydął wargi i spojrzał tak, że Beauchamp natychmiast zamilkł.

— No i tak — rzekł z uśmiechem. — Przepadły wszystkie moje nadzieje.

— Jakie nadzieje? — zapytał Beauchamp.

— Naturalnie robisz mi pan na lewo i prawo opinię człowieka ekscentrycznego; według pana jestem jakimś Larą, Manfredem czy lordem Ruthwenem. Gdy już się pan przyzwyczaiłeś do mojej ekscentryczności, próbuje pan zrobić ze mnie człowieka banalnego. Mam być nagle kimś pospolitym, wręcz prostakiem; a w końcu przychodzisz tu pan i żądasz wyjaśnień. No wie pan, to doprawdy jakieś żarty.

— Są jednak okoliczności, w których uczciwość nakazuje... — odparł wyniośle Beauchamp.

— Panie Beauchamp — przerwał hrabia — panu hrabiemu de Monte Christo może rozkazywać wyłącznie pan hrabia de Monte Christo. Proszę, ani słowa więcej na ten temat. Robię zawsze to, co mi się podoba, mój panie, i proszę mi wierzyć, że robię to dobrze.

— Nie zbywa się w ten sposób ludzi dobrze wychowanych, panie hrabio. Trzeba gwarancji honoru.

— Mój panie, sam jestem chodzącą gwarancją — odpowiedział spokojnie Monte Christo, a w jego oczach pojawiły się złowrogie błyski. — Nam obu płynie w żyłach krew i obaj chcemy ją przelać. To jest nasza wzajemna gwarancja. Taką odpowiedź proszę zanieść wicehrabiemu i proszę mu powiedzieć, że jutro przed dziesiątą popłynie jego krew.

— Pozostaje mi tylko uzgodnić warunki pojedynku.

— To dla mnie zupełnie obojętne, drogi panie. Dla takich szczegółów niepotrzebnie przerywał mi pan spektakl. We Francji ludzie biją się na szpady lub pistolety, w koloniach na karabiny, w Arabii na sztylety. Niech pan powie swojemu klientowi, że choć to ja zostałem znieważony, wytrwam do końca w roli dziwaka i zostawiam mu wybór broni. Przyjmę bez dyskusji i oporów wszelkie warunki. Dobrześ pan zrozumiał? Wszelkie. Zgodzę się nawet na ciągnięcie losów, choć uważam to za największą głupotę. Ale ja to co innego, jestem pewien zwycięstwa.

— Pewien zwycięstwa! — powtórzył Beauchamp, spoglądając z trwogą na hrabiego.

— Och, oczywiście — rzekł Monte Christo, wzruszając lekko ramionami. — Inaczej nie biłbym się z panem de Morcerfem. Zabiję go, bo tak trzeba, więc tak się stanie. Proszę mnie tylko poinformować dziś wieczorem o rodzaju broni i godzinie spotkania. Nie lubię, by na mnie czekano.

— Na pistolety, o ósmej rano, w lasku Vincennes — rzekł Beauchamp zupełnie już zbity z tropu, sam nie wiedząc, czy ma do czynienia z nieznającym granic pyszałkiem czy z jakąś istotą nadprzyrodzoną.

— Bardzo dobrze — rzekł Monte Christo. — Skoro wszystko uzgodnione, to proszę, aby mi pan dłużej nie przeszkadzał, bo chciałbym posłuchać opery. Aha, i proszę też powtórzyć pańskiemu przyjacielowi Albertowi, żeby już więcej do mnie nie przychodził. Mógłby sobie tylko zaszkodzić kolejnymi grubiaństwami. Niech wraca do domu i się prześpi.

Beauchamp wyszedł osłupiały.

— A teraz — rzekł Monte Christo zwracając się do Morrela — chyba mogę na pana liczyć?

— Oczywiście — odparł Morrel — jestem do pańskiej dyspozycji; ale...

— Ale?

— Zależałoby mi na tym, żeby poznać prawdziwą przyczynę...

— To znaczy, że odmawia mi pan?

— Ależ skąd!

— Prawdziwa przyczyna, panie kapitanie? Nie zna jej nawet ten młody człowiek, porusza się po omacku. Prawdziwą przyczynę zna tylko Bóg i ja; mogę jednak dać panu słowo honoru, że Bóg, który zna tę przyczynę, będzie z nami.

— To wystarczy, hrabio. Kto będzie pańskim drugim świadkiem?

— Nie znam w Paryżu nikogo, kto byłby godny tego zaszczytu, oprócz ciebie i twojego szwagra Emanuela. Sądzisz pan, że Emanuel zechciałby wyświadczyć mi tę przysługę?

— Ręczę za niego.

— Dobrze, więcej nie potrzebuję. A więc jutro o siódmej, u mnie?

— Będziemy obaj.

— Cśś!... Kurtyna idzie w górę, posłuchajmy. Staram się zawsze nie tracić ani jednej nuty z tej opery. Nie ma piękniejszej muzyki niż w *Wilhelmie Tellu*[1346]!

88. NOC

Monte Christo, jak to miał w zwyczaju, zaczekał, aż Duprez odśpiewa do końca słynną arię *Pójdź za mną*, po czym wstał i wyszedł.

Morrel pożegnał się z nim u drzwi, powtarzając obietnicę, że nazajutrz o siódmej rano stawi się u niego z Emanuelem.

Hrabia wsiadł do powozu jak zawsze spokojny i uśmiechnięty.

Pięć minut później był już w domu.

Kto jednak dobrze znał hrabiego, szybko domyśliłby się, jakie targają nim uczucia, słysząc, jak Monte Christo krzyknął od progu do Nubijczyka:

— Ali! Pistolety oprawne w kość słoniową!

Ali przyniósł panu pudełko, a hrabia zaczął oglądać broń ze starannością naturalną u człowieka, który ma zdać swoje życie na łaskę żelaza i ołowiu.

Były to specjalne pistolety, z których hrabia de Monte Christo strzelał do celu u siebie w domu. Były tak skonstruowane, że wytwarzała się siła wystarczająca, aby wyrzucić kulę z lufy, ale strzały były niemal bezgłośne. Ktoś siedzący w przyległym pokoju nigdy by się nie domyślił, że hrabia właśnie wprawia rękę w strzelaniu.

Wziął pistolet i mierzył w jakiś mały punkt na blaszanej płytce, która służyła mu za tarczę strzelniczą, gdy drzwi do gabinetu otwarły się i wszedł Baptysta. Nie zdążył się jeszcze odezwać, gdy hrabia spostrzegł w uchylonych drzwiach zawoalowaną kobietę. Weszła tuż za Baptystą i stała w sąsiednim pokoju, spowita półmrokiem. Spostrzegłszy pistolet w ręku hrabiego i dwie szpady na stole, rzuciła się do gabinetu.

Baptysta spojrzał pytająco na pana. Hrabia dał mu znak — i Baptysta wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

— Kim pani jest? — spytał hrabia.

Nieznajoma rozejrzała się wokół, chcąc się jakby przekonać, czy są sami, a potem pochyliła się, jakby chciała paść na kolana, złożyła ręce w geście rozpaczy i rzekła:

— Edmundzie! Nie zabijaj mi syna!

Hrabia cofnął się, wydał słaby krzyk, broń wypadła mu z ręki.

— Cóż to za imię wymówiła pani hrabina?

— Twoje! — krzyknęła, zrzucając woal. — Twoje, którego chyba ja jedna nie zapomniałam. Edmundzie, nie przychodzi do ciebie pani de Morcerf, ale Mercedes.

— Mercedes umarła, pani, a ja nie znam nikogo więcej o takim imieniu.

— Mercedes żyje, Mercedes pamięta! Ona jedna cię rozpoznała, jak tylko zobaczyła cię po raz pierwszy, a nawet zanim cię zobaczyła, poznała cię po głosie, Edmundzie, po twoim głosie. Od tej chwili idzie krok w krok za tobą, śledzi cię i lęka się. Ona nie potrzebowała pytać, czyja ręka wymierzyła cios w pana de Morcerfa.

— Fernanda, chciała pani zapewne powiedzieć? — podjął Monte Christo z gorzką ironią. — Skoro przypominamy sobie teraz nasze imiona, przypomnijmyż je sobie wszystkie.

Monte Christo wypowiedział to imię z taką nienawiścią, że dreszcz wstrząsnął całym ciałem Mercedes.

— Widzisz więc, Edmundzie, że nie pomyliłam się — zawołała Mercedes — i że mam prawo powiedzieć ci: nie zabijaj mi syna!

— A kto pani powiedział, że ja czegoś chcę od pani syna?

[1346] *Wilhelm Tell* — opera Rossiniego; bohater tytułowy jest postacią ze szwajcarskich legend, znaną m.in. ze swojej strzeleckiej precyzji. [przypis edytorski]

— Nikt, na Boga! Ale matki mają instynkt. Odgadłam wszystko; poszłam za nim dziś wieczorem do Opery i z ukrycia widziałam wszystko.

— Jeśli widziałaś pani wszystko, widziałaś pani również, że syn Fernanda znieważył mnie publicznie — rzekł Monte Christo ze strasznym spokojem w głosie.

— Litości!

— Widziałaś pani — ciągnął hrabia — że gdyby mój przyjaciel nie przytrzymał go za rękę, rzuciłby mi w twarz rękawiczkę.

— Posłuchaj mnie. Mój syn również się domyślił i tobie przypisuje wszystkie nieszczęścia, które spadły na jego ojca.

— Droga pani, mylisz pewne pojęcia; to nie nieszczęścia, ale kara. I to nie ja zesłałem ją na pana de Morcerfa, to Opatrzność go ukarała.

— A dlaczegóż to działasz pan w imieniu Opatrzności? — wykrzyknęła Mercedes. — Dlaczego pamiętasz o rzeczach, o których ona zapomniała? Co ciebie, Edmundzie, obchodzi Janina i jej wezyr? Jaką krzywdę wyrządził ci Fernand Mondego, zdradzając Ali Tebelina?

— Toteż, pani, jest to sprawa pomiędzy francuskim oficerem i córką Vasiliki. Nie dotyczy mnie to w najmniejszym stopniu, masz pani rację. I jeżeli poprzysiągłem zemstę, to nie francuskiemu oficerowi, ani hrabiemu de Morcerfowi, ale rybakowi Fernandowi, mężowi Katalonki Mercedes.

— O, jaka to okropna zemsta za błąd, do którego doprowadził mnie los! Bo winna jestem tu ja, Edmundzie. I jeżeli masz się na kimś mścić, to zemścij się na mnie: za to, że zabrakło mi siły, by wytrzymać twoją nieobecność i własną samotność.

— A dlaczegóż to — zawołał Monte Christo — byłem nieobecny? I dlaczego pani byłaś samotna?

— Ależ... bo cię aresztowano, bo zostałeś wtrącony do więzienia.

— A dlaczego mnie aresztowano? Dlaczego wtrącono mnie do więzienia?

— Tego nie wiem.

— O nie, tego pani nie wiesz. A taką mam przynajmniej nadzieję. No to ja pani powiem. Zostałem pojmany i wtrącony do więzienia, ponieważ w altance karczmy Pamfila, w przeddzień naszego ślubu, pewien człowiek o nazwisku Danglars napisał ten oto list, a rybak Fernand podjął się zanieść go na pocztę.

I Monte Christo podszedł do sekretarzyka, a otworzywszy szufladę, wyjął z niej pożółkłą kartkę, na której atrament nabrał rudawej barwy. Podstawił ją Mercedes pod oczy.

Był to list Danglarsa adresowany do prokuratora. Hrabia de Monte Christo wyjął ją z akt sprawy Edmunda Dantèsa tego dnia, kiedy przebrany za wysłannika firmy Thomson i French, wypłacił sumę dwustu tysięcy franków panu de Boville'owi.

Mercedes ze zgrozą przeczytała tych kilka linijek:

> Wierny poddany tronu i religii zawiadamia pana prokuratora królewskiego, że niejaki Edmund Dantès, oficer ze statku „Faraon", przybyły w dniu dzisiejszym ze Smyrny, zawitawszy po drodze do Neapolu i Portoferraio, otrzymał list od Murata do uzurpatora i od uzurpatora do stronnictwa bonapartystowskiego w Paryżu.
>
> Można przekonać się o występku Dantèsa po aresztowaniu go, jako że list ów znajduje się albo przy nim, albo u jego ojca, albo w jego pokoiku na statku „Faraon".

— O miłosierny Boże! — zawołała Mercedes, przesuwając ręką po spoconym czole. — I ten list...

— Odkupiłem go za dwieście tysięcy franków — rzekł Monte Christo — ale to dobra cena, skoro dziś mogę dzięki niemu oczyścić się w pani oczach.

— I co wynikło z tego listu?

— Wiesz pani, że zostałem aresztowany; ale nie wiesz pani, ile to trwało lat. Nie wiesz pani, że przez czternaście lat przebywałem o ćwierć mili od pani domu, w lochach zamku If. Nie wiesz pani, że każdego dnia przez te czternaście lat ponawiałem przysięgę o zemście, począwszy od pierwszego dnia niewoli; a przecież nie wiedziałem jeszcze, że została pani żoną Fernanda, który na mnie doniósł, i że mój ojciec umarł... z głodu!

— Boże sprawiedliwy! — krzyknęła Mercedes, chwiejąc się na nogach.

— Dowiedziałem się o tym dopiero po czternastu latach, po wyjściu z więzienia. I poprzysiągłem Fernandowi zemstę, ślubując na życie Mercedes i na śmierć ojca. I... i mszczę się.

— Jesteś pewien, że uczynił to ten nieszczęśnik Fernand?

— Przysięgam pani na moją duszę, że wszystko, co powiedziałem, jest prawdą. Zresztą, to przecież nie jeden jego ohydny czyn: Francja to jego przybrana ojczyzna, a on przeszedł do Anglików! Będąc rodowitym Hiszpanem, walczył przeciw Hiszpanom, a będąc na żołdzie u Alego, zdradził go i zamordował. W porównaniu z tymi zbrodniami, czym jest ten list, który pani przeczytałaś? Podstępem zakochanego, który kobieta może mężowi przebaczyć, dobrze to rozumiem. Ale nie wybaczy mu go mężczyzna, co sam tę kobietę miał poślubić. Francuzi nie zemścili się na zdrajcy; Hiszpanie zdrajcy nie rozstrzelali; Ali spoczywa w grobie. Ale ja, zdradzony, zamordowany, także wtrącony do grobu, powstałem z tego grobu dzięki bożej łasce. I Bogu jestem winien tę zemstę; po to mnie zesłał. Oto jestem.

Zemsta, Bóg, Miłość niespełniona, Cierpienie, Krzywda

Nieszczęsna kobieta ukryła twarz w dłoniach; nogi się pod nią ugięły, padła na kolana.

— Przebacz, Edmundzie, przebacz przez wzgląd na mnie, bo wciąż cię kocham!

Godność kobiety zamężnej pohamowała w niej jednak poryw kochanki i matki.

Pochylone jej czoło prawie dotykało ziemi. Podbiegł i podniósł ją.

Usiadłszy w fotelu, spoglądała przez łzy na surową twarz Monte Christa, którą cierpienie i nienawiść czyniły jeszcze groźniejszą.

— Niepodobna, pani, niepodobna! Muszę zetrzeć na proch to przeklęte plemię! Nie mogę sprzeciwiać się woli Boga, który mnie wskrzesił, by tamten został ukarany.

— Edmundzie — odezwała się biedna matka, chwytając się wszelkich środków. — Boże mój, skoro ja cię nazywam Edmundem, dlaczego ty nie mówisz do mnie Mercedes?

— Mercedes — powtórzył Monte Christo. — Mercedes! Dobrze, masz pani rację, wciąż jeszcze wymawiam to imię z rozkoszą i po raz pierwszy od tylu lat tak czysto zadźwięczało w moich ustach. O, Mercedes! Wymawiałem twoje imię wśród westchnień tęsknoty, jęcząc z bólu i krzycząc w obłąkaniu; wymawiałem je przemarznięty do szpiku kości, gdy leżałem skulony na słomie; wymawiałem je w palącej gorączce i gdy tarzałem się po kamiennej podłodze mojej ciemnicy! Mercedes! Ja muszę się zemścić, bo cierpiałem przez czternaście lat, przez czternaście lat płakałem i złorzeczyłem. Teraz, Mercedes, powtarzam ci, muszę się zemścić.

I hrabia, obawiając się, że ulegnie prośbom kobiety, którą kiedyś tak bardzo kochał, jął przywoływać wspomnienia, by rozjątrzyć swoją nienawiść.

— Zemścij się, Edmundzie! — zawołała nieszczęsna matka — ale zemścij się na winnych, zemścij się na nim, na mnie, ale się nie mścij na moim synu!

— W Piśmie Świętym napisano: „Za winy ojców cierpieć będą dzieci aż do trzeciego i czwartego pokolenia". Skoro sam Bóg podyktował takie słowa swojemu prorokowi, czemuż miałbym być lepszy od Boga?

— Bo Bóg ma czas i wieczność, dwie rzeczy dla ludzi nieuchwytne.

Monte Christo westchnął, ale to westchnienie przypominało jęk; i porwał się za swoje piękne włosy.

— Edmundzie! — podjęła Mercedes, wyciągając do niego ręce. — Edmundzie! Od kiedy cię poznałam, czciłam zawsze twoje imię, szanowałam pamięć o tobie. Edmundzie, przyjacielu... Nie pozwól, aby zamącił się ten szlachetny i czysty obraz w moim sercu, co odbija się w nim jak w zwierciadle. O, gdybyś słyszał te wszystkie modlitwy, które zanosiłam do Boga w twojej intencji, kiedy jeszcze wierzyłam, że ujrzę cię żywym, i potem, gdy już myślałam, żeś umarł! Tak, niestety, umarł! Wyobrażałam sobie, że twoje ciało zagrzebano w ciemnym lochu albo w jakiejś wieży, myślałam, że rzucono je w przepaść i że leży tam, pośród trupów i kości innych więźniów; i płakałam! Bo co ja mogłam dla ciebie zrobić? Tylko modlić się i płakać... Słuchaj: przez dziesięć lat, co noc, miałam ten sam sen. Mówiono, że chciałeś uciec z więzienia, że wśliznąłeś się w całun umarłego, że wyrzucono cię wtedy — ciebie, żywego trupa — z murów If i że twój krzyk, kiedy spadłeś i rozbiłeś się o skały, wyjawił tę zamianę twoim grabarzom, co stali się twoimi katami. Otóż, przysięgam ci na głowę mojego syna, o którego życie dzisiaj cię błagam:

przez dziesięć lat co noc widziałam ludzi stojących na szczycie skały i kołyszących jakiś bezkształtny, zagadkowy przedmiot. Przez dziesięć lat co noc okropny krzyk budził mnie ze snu, drżącą i oblaną zimnym potem. Edmundzie, wierz mi, że ja też, choć zawiniłam, przecierpiałam wiele, o tak, wiele!

— A czy wyobrażałaś sobie, jak umierał twój ojciec, samotny, bez ciebie? — zawołał Monte Christo, szarpiąc się znowu za włosy. — Ty nie widziałaś, konając na dnie lochu, jak ukochana oddaje rękę rywalowi!

— Nie — przerwała Mercedes. — Ale widzę, jak człowiek, którego kochałam, staje się mordercą mojego syna.

Wymówiła te słowa tak boleśnie i z taką rozpaczą, że z piersi hrabiego wyrwał się gwałtowny szloch. Lew został ujarzmiony. Mściciel — zwyciężony.

— Czego ode mnie żądasz? — spytał. — Aby żył twój syn? A więc będzie żył...

Mercedes krzyknęła, a w oczach hrabiego zakręciły się dwie łzy. Znikły jednak zaraz — to zapewne Bóg zesłał na ziemię anioła, aby zebrał te łzy, cenniejsze niż najcenniejsze perły Guzaraty i Ofiru[1347].

— O, dzięki ci, dzięki, Edmundzie! — zawołała Mercedes, chwytając rękę hrabiego i podnosząc ją do ust. — Jesteś taki, jakim byłeś w moich marzeniach, jakim zawsze cię kochałam. O, teraz mogę ci to już powiedzieć.

— Tym lepiej — odpowiedział Monte Christo — bo biedny Edmund niedługo będzie mógł być przez ciebie kochany. Umarły zstąpi do grobu, widmo powróci do królestwa nocy.

— Co mówisz?

— Cóż, umrę, skoro takie jest twoje życzenie.

— Umrzesz?! A kto ci to powiedział? Skąd ci to przyszło do głowy?

— Chyba nie sądzisz pani, że po tej publicznej zniewadze, wobec całej sali, wobec przyjaciół pani i pani syna, wyzwany przez młokosa, który będzie się chlubić moim przebaczeniem jak zwycięstwem, nie sądzisz pani chyba, że będzie we mnie choć cień chęci do życia. To, co najbardziej pokochałem po tobie, Mercedes, to jestem ja sam, to znaczy moja godność osobista, moja siła, która dała mi wyższość nad innymi ludźmi. Ta siła była moim życiem. Zdruzgotałaś ją jednym swoim słowem. Umrę więc.

— Ależ nie będzie tego pojedynku, Edmundzie, przecież przebaczyłeś.

— Owszem, będzie, łaskawa pani. Tylko że zamiast krwi twojego syna, popłynie moja.

Mercedes krzyknęła i rzuciła się ku Monte Christowi, nagle jednak zatrzymała się.

— Edmundzie — rzekła. — Bóg istnieje i czuwa nad nami, skoro żyjesz, skoro znowu cię zobaczyłam; pokładam w nim całą moją ufność. Będę czekać na jego wsparcie, a tymczasem zdaję się na twoje słowo. Powiedziałeś, że mój syn nie zginie, będzie żył?

— Tak, pani, będzie żył — odparł Monte Christo, zaskoczony, że Mercedes bez wahania przyjęła jego ofiarę.

Mercedes podała rękę hrabiemu.

— Edmundzie — rzekła i spojrzała na niego oczyma pełnymi łez — jak to pięknie z twojej strony! Jakie to wielkoduszne! Jakie to wspaniałe, że ulitowałeś się nad nieszczęsną kobietą, która zdała się tylko na twoje serce, prawie bez szans na powodzenie. Niestety, zestarzałam się bardziej od zgryzot niż z racji wieku; i ani spojrzeniem, ani uśmiechem nie mogę już mojemu Edmundowi przypomnieć tej Mercedes, w którą mógł się kiedyś wpatrywać godzinami. Uwierz mi, powtarzam, że ja także bardzo wiele przecierpiałam; a teraz powtórzę, że okropnie tak spędzić życie, nie mogąc przywołać w pamięci ani jednej radości, nie mając już żadnej nadziei. Ale to dowód na to, że nie wszystko kończy się tutaj, na ziemi. O nie, nie wszystko się tu kończy, czuję to, bo coś jeszcze tli się w moim sercu. O tak! Powtarzam ci, Edmundzie, że to piękne, szlachetne i wspaniałe przebaczać, tak jak ty umiałeś przebaczyć!

Klęska, Konflikt wewnętrzny, Sumienie

— Tak mówisz, Mercedes; ale co byś powiedziała, gdybyś wiedziała, jak wielką ofiarę czynię dla ciebie? Wyobraź sobie, jak Pan stwarza świat, zapładnia chaos, po czym zatrzymuje się w momencie, kiedy została mu już tylko jedna trzecia dzieła, po to, aby oszczędzić łez jednemu aniołowi. Łez, które popłynęłyby z jego nieśmiertelnych oczu na

[1347] *Ofir* — bliżej nieokreślone miejsce, z którego wg Biblii król Salomon miał wydobywać złoto. [przypis edytorski]

widok naszych zbrodni. Wyobraź sobie, jak po tylu przygotowaniach, gdy wszystko już jest wymieszane i zapłodnione, gdy pozostało jedynie zasiąść i podziwiać doskonałość dzieła, Bóg gasi słońce i popycha nogą świat w otchłanie wiecznej nocy... Wyobraź sobie to, a wtedy zrozumiesz... a może nie? Nie, jeszcze nie byłabyś w stanie zrozumieć, ile tracę, tracąc w tej chwili życie.

Mercedes spojrzała na hrabiego wzrokiem, w którym malowało się zdziwienie, uwielbienie i wdzięczność. Monte Christo oparł czoło na rozpalonych dłoniach, jakby nie mógł już unieść ciężaru swoich myśli.

— Edmundzie — odezwała się Mercedes — chcę ci powiedzieć jeszcze tylko jedno.

Hrabia uśmiechnął się gorzko.

— Edmundzie, choć twarz mi pobladła, moje oczy straciły blask, a moja uroda przygasła, chociaż podobna jestem do dawnej Mercedes już tylko w rysach twarzy, zobaczysz, że serce jest we mnie wciąż to samo!... Żegnaj więc, Edmundzie! O nic już nie będę prosić Boga... Spotkałam cię, jesteś tak samo szlachetny i wspaniały, jak kiedyś. Żegnaj, Edmundzie... Żegnaj... i dziękuję.

Lecz hrabia nie odpowiedział nic.

Mercedes otwarła drzwi gabinetu i znikła, nim hrabia wyrwał się z bolesnej, głębokiej zadumy, w której pogrążyła go myśl o niedokończonej zemście.

Na zegarze Inwalidów wybiła pierwsza, gdy powóz unoszący panią de Morcerf zaturkotał po bruku Pól Elizejskich i hrabia de Monte Christo uniósł głowę.

— Szaleńcze — szepnął do siebie. — Czemuż w dniu, gdym postanowił się zemścić, nie wyrwałem sobie serca?

89. POJEDYNEK

Po odjeździe Mercedes hrabia de Monte Christo popadł w mroczną zadumę. Jego myśli zatrzymały się, a energia omdlała, jak omdlewa ciało po największym wysiłku.

Konflikt wewnętrzny, Zwątpienie, Sumienie, Uczucie, Śmierć

— I tak to — mówił sam do siebie; lampa i świece pełgały coraz słabiej; służba niecierpliwie oczekiwała w przedpokoju. — I tak to, długo wznoszony i postawiony z takim mozołem gmach zawalił się pod jednym uderzeniem, pod jednym słowem, jednym dmuchnięciem! I cóż? Ja, który wierzyłem w siebie, który byłem tak z siebie dumny, który czułem się taki mały w lochach zamku If, a który wzniosłem się później tak wysoko, jutro mam się obrócić w garstkę prochu! Ech, nie boję się śmierci, bo unicestwienie życia jest przecież odpoczynkiem, do którego dąży wszystko, za którym tęskni każda najmarniejsza istota. To przecież ów spokój materii, za którym tyle lat wzdychałem, który chciałem osiągnąć głodem, nim Faria stanął w moim więzieniu. Czymże jest śmierć? To jeden krok głębiej w spokój, a może i w ciszę. Nie, nie żałuję życia, żałuję, że nic nie będzie z moich zamiarów, które tak długo i pracowicie obmyślałem. Myślałem, że Opatrzność je wspiera, ale nie, jest im przeciwna. A zatem Bóg nie chciał, aby się spełniły!

Ciężar, który dźwignąłem, ważył niemal tyle, co świat; zdawało mi się, że doniosę go do celu — ale okazało się, że brak mi na to sił. Będę go musiał zostawić w połowie drogi.

O, czyżbym znów miał się stać fatalistą? Ja, który po czternastu latach rozpaczy i dziesięciu latach nadziei nauczyłem się wierzyć w Opatrzność?

I to wszystko, Boże mój, dlatego, że moje serce, które uważałem za martwe, było tylko odrętwiałe; wszystko dlatego, że się zbudziło, że zabiło, że ustąpiłem, bo głos kobiety obudził we mnie cierpienie!

A jednak — ciągnął hrabia, zagłębiając się w myślach nad tym, co przyniesie mu owo straszliwe jutro, na które zgodziła się Mercedes — a jednak to niemożliwe, aby ta kobieta o tak szlachetnej duszy, zgodziła się, powodowana egoizmem, abym zginął — ja, pełen energii i woli życia! To niemożliwe, żeby posunęła ją do tego miłość albo raczej jakieś macierzyńskie obłąkanie! Są cnoty, które, gdy doprowadzić je do przesady, stają się zbrodnią.

Nie. Na pewno chce urządzić jakąś patetyczną scenę, rzuci się między szpady — i to, co tutaj było wzniosłe, tam będzie tylko śmieszne.

I na policzki hrabiego wystąpił rumieniec dumy.

— Śmieszne! — powtórzył. — I ta śmieszność spadnie na mnie... Ja, wystawiony na śmiech! E, to już wolę umrzeć.

I wyolbrzymiając tak tragiczne wydarzenie, jakie miało nastąpić następnego dnia, a na które sam się skazał, przyrzekając Mercedes, że daruje życie jej synowi, powiedział wreszcie do siebie:

— Głupota, głupota, głupota! To głupota, taka szlachetność: wystawianie się bezczynnie na kule tego chłopaka! Przecież on nigdy nie uwierzy, że to było samobójstwo! A jednak ze względu na mój honor i pamięć po mnie — Boże, powiedz, że to nie zwykła próżność, ale usprawiedliwiona duma! — świat musi się dowiedzieć, że z własnej i nieprzymuszonej woli wstrzymałem własne, potężne ramię, które już wznosiłem do ciosu, i że skierowałem je przeciw samemu sobie! Musi tak być. I tak uczynię.

Chwytając pióro, wyjął ze skrytki w sekretarzyku jakiś papier — był to testament, który sporządził po przyjeździe do Paryża — i dopisał u dołu notkę, która wyjaśniłaby najmniej domyślnym ludziom, jaka spotkała go śmierć.

— Boże! Czynię to — powiedział, wznosząc oczy do nieba — tak ze względu na Twoją chwałę, jak i na moją. Od dziesięciu lat poczytywałem się za wysłannika Twojej zemsty. Niech ci nędznicy, Morcerf, Danglars i Villefort nie wyobrażają sobie, że to przypadek uwolnił ich od wroga. Przeciwnie, niech się dowiedzą, że Opatrzność, która już wydała na nich wyrok, zrezygnowała z wykonania go tylko dzięki sile mojej woli. Niech wiedzą, że kara, której umknęli na tym świecie, czeka ich na tamtym. Niech wiedzą, że wymienili czas na wieczność.

Gdy tak przechodził z jednej ponurej myśli do drugiej — to mary, jakie dopadają człowieka, zbudzonego ze snu przez cierpienie — świt rozświetlił szyby i rozjaśnił niebieskawą kartkę papieru, na której hrabia skreślił uzasadnienie wyroków Opatrzności.

Była piąta rano. Nagle do jego uszu doleciał jakiś szmer. Wydało mu się, jakby ktoś stłumił westchnienie. Odwrócił się, rozejrzał — nie było nikogo.

Ale szmer powtórzył się i był na tyle wyraźny, żeby hrabia nabrał pewności.

Wstał i ostrożnie otworzył drzwi salonu. Na fotelu spała Hayde: ręce zwisały bezwładnie, śliczna główka odchyliła się jej w tył. Postawiła fotel przy samych drzwiach, aby nie mógł jej nie zobaczyć, wychodząc, ale wśród tego nużącego czuwania zaskoczył ją sen, tak potężny u młodych ludzi.

Skrzypnięcie drzwi nie wyrwało jej ze snu. Monte Christo spojrzał na nią ciepło, ale i ze smutkiem.

— Ona pamiętała, że ma syna — rzekł — a ja zapomniałem, że mam córkę!

I potrząsnął głową, przygnębiony.

— Biedna Hayde! Chciała się ze mną zobaczyć, chciała porozmawiać, przestraszyła się czegoś, a może domyśliła... O, nie mogę jej zostawić bez pożegnania, nie mogę umrzeć, zanim nie powierzę jej czyjejś opiece.

Podszedł cicho do sekretarzyka i napisał, co następuje:

> Zapisuję Maksymilianowi Morrelowi, kapitanowi spahisów, synowi mojego dawnego pryncypała, Piotra Morrela — armatora z Marsylii, sumę dwudziestu milionów franków, z której część przekaże swojej siostrze i szwagrowi, jeśli nie uzna, że taki nadmiar fortuny nie zaszkodzi ich szczęściu.
>
> Pieniądze te ukryte są w grocie na Monte Christo; jej sekret zna Bertuccio.
>
> Jeśli serce kapitana jest wolne, niech poślubi Hayde, córkę Alego, paszy Janiny; wychowałem tę dziewczynę, kochając ją jak własną córkę, ona zaś darzy mnie uczuciem jak ojca. Maksymilian Morrel spełni w ten sposób bynajmniej nie moją ostatnią wolę — tylko moje ostatnie życzenie.
>
> Niniejszy testament uczynił już Hayde spadkobierczynią reszty mojej fortuny — majątków ziemskich, umeblowania moich pałaców i domów oraz lokat kapitału w Anglii, Austrii i Holandii. Po odjęciu wzmiankowanych dwudziestu milionów oraz zapisów dla służby, wartość tej fortuny będzie sięgać około sześćdziesięciu milionów.

Kończył właśnie ostatnie zdanie, gdy usłyszał za sobą krzyk tak przeraźliwy, że pióro wypadło mu z ręki.

— Hayde — spytał — przeczytałaś to?

Istotnie, jasne światło poranka obudziło dziewczynę; wstała więc i podeszła do hrabiego; dywan stłumił jej lekkie kroki.

— Panie mój — rzekła, składając ręce — czemu piszesz o takiej porze? Czemu zapisujesz mi cały majątek? Czyżbyś mnie opuszczał?

— Aniele, muszę wyjechać w podróż — odparł Monte Christo z trudną do opisania melancholią i czułością. — Gdyby mnie spotkało coś złego... — Urwał.

— I cóż dalej?... — zapytała dziewczyna niezwykłym dla niej, a tak stanowczym tonem, że hrabia aż drgnął.

— Cóż, gdyby stało mi się coś złego, chciałbym, aby moja córka była szczęśliwa.

Hayde uśmiechnęła się ze smutkiem i potrząsnęła głową.

— Myślisz o śmierci, mój panie, prawda?

— Dziecko, jak mówi pewien mędrzec, to myśl zbawienna.

— Ale jeśli masz umrzeć, to zapisz sobie majątek komu innemu; bo jeśli umrzesz... niczego już potrzebować nie będę.

Wzięła papier, rozdarła go na cztery części i rzuciła na środek salonu. Po czym, wyczerpana tak niezwykłym dla siebie dowodem energii upadła zemdlona na ziemię.

Monte Christo pochylił się nad nią i chwycił w ramiona; a widząc tę bladość na pięknej twarzy, zamknięte oczy i bezwład ciała, po raz pierwszy dopuścił do siebie myśl, że Hayde kocha go może inaczej niż córka ojca.

— Niestety! — szepnął z przygnębieniem. — A więc jeszcze mógłbym być szczęśliwy.

Zaniósł Hayde do jej pokoju i oddał zemdloną w ręce pokojówek; wróciwszy do gabinetu, zatrzasnął drzwi i przepisał zniszczony testament. Gdy kończył, na dziedzińcu rozległ się turkot powozu. Monte Christo poszedł do okna i ujrzał, jak z powozu wysiadają Maksymilian i Emanuel.

— Prawda — rzekł do siebie — najwyższy czas!

I zapieczętował testament w trzech miejscach.

Po chwili usłyszał w salonie kroki i poszedł otworzyć drzwi gabinetu. Na progu stanął Morrel. Przyszedł dwadzieścia minut przed umówioną godziną.

— Może przychodzę trochę za wcześnie, panie hrabio — rzekł — ale wyznam panu szczerze, że całą noc nie mogłem zasnąć ani na chwilę, nikt zresztą u nas nie zmrużył oka. Aby dojść do siebie, trzeba mi było zobaczyć pańską odwagę i spokój.

Monte Christo nie mógł się powstrzymać wobec takiego dowodu przyjaźni i wyciągnął do kapitana już nie dłoń, ale obie ręce.

— Maksymilianie — rzekł, a w jego głosie brzmiało wzruszenie — to dla mnie piękny dzień, dzień, w którym czuję, że taki człowiek jak pan jest moim przyjacielem. Dzień dobry, panie Emanuelu! To jedzie pan ze mną, Maksymilianie?

— Do diabła! Wątpił pan o tym?

— No, bo jeśli ja niesłusznie...

— Proszę posłuchać: patrzyłem na pana podczas całej tej wczorajszej sceny, myślałem o pańskim spokoju przez całą noc i powiedziałem sobie, że albo słuszność jest po pańskiej stronie, albo uznamy, że ludzkim twarzom nigdy nie można wierzyć.

— Ale, panie Maksymilianie, Albert jest pańskim przyjacielem.

— Tylko znajomym, panie hrabio.

— Zobaczył go pan po raz pierwszy w dniu, w którym poznał pan i mnie.

— Tak, to prawda, i cóż z tego? Już o tym nie pamiętałem, aż mi pan musiał przypomnieć.

— Dziękuję, panie Maksymilianie.

I hrabia uderzył raz w dzwonek.

— Weź to — rzekł do Alego, gdy ten się zjawił — i zanieś do mojego notariusza. Panie Maksymilianie, to mój testament. Po mojej śmierci dowiesz się, co zawiera.

— Jak to, po pańskiej śmierci? — obruszył się Morrel.

— E, przyjacielu, trzeba być przewidującym. Co robiłeś wczoraj, po naszym rozstaniu?

— Byłem u Tortoniego, gdzie, jak się spodziewałem, zastałem Beauchampa i Château-Renauda. Przyznam ci się, hrabio, że chciałem się z nimi spotkać.

— Ale dlaczego, jeśli wszystko zostało ustalone?

— Panie hrabio, proszę posłuchać: sprawa jest poważna, nie da się uniknąć tego pojedynku.

— Wątpiłeś pan w to?

— Nie. Albert znieważył pana publicznie, wszyscy już o tym mówią. Myślałem, że uda mi się zmienić broń, z pistoletów na szpady. Pistolet jest ślepy.

— I udało ci się? — zapytał żywo Monte Christo, bo zaświtał mu promyk nadziei.

— Nie, bo wiedzą, jak się pan świetnie fechtujesz.

— E... A kto mnie zdradził?

— Nauczyciele szermierki, których pan pobiłeś.

— Maksymilianie, czy widział pan kiedykolwiek, jak strzelam z pistoletu?

— Nie.

— No, to mamy jeszcze trochę czasu, niech pan patrzy.

Monte Christo wziął pistolety, które trzymał, gdy weszła Mercedes, przymocował do ściany asa treflowego i czterema strzałami trafił po kolei wszystkie cztery listki.

Po każdym wystrzale Morrel bladł coraz bardziej. Obejrzał kule, którymi Monte Christo dokazał tych cudów zręczności i przekonał się, że były wielkości śrutu na sarny.

— To przerażające — rzekł. — Popatrz no, Emanuelu.

A zwracając się do Monte Christa, dodał:

— Hrabio, na litość, nie zabijaj Alberta! Ten nieszczęśnik ma matkę!

— To prawda. A ja nie mam matki...

Słowa te wyrzekł takim tonem, że Morrel aż zadrżał.

— Pan został obrażony. To znaczy, że strzelasz pan pierwszy.

— Ja strzelam pierwszy?

— O, uzyskałem to, albo raczej wymogłem. Zrobiliśmy i tak dosyć ustępstw, nie mogli nam tego odmówić.

— Na ile kroków?

— Na dwadzieścia.

Straszliwy uśmiech przemknął przez usta hrabiego.

— I dlatego liczę tylko na to, że Alberta ocali pańskie dobre serce, albo też pańska wspaniałomyślność, drogi przyjacielu. Wiedząc, jak pan strzela, mogę panu powiedzieć coś, czego nie mógłbym powiedzieć komu innemu, bo byłoby to śmieszne.

— Cóż takiego?

— Niech mu pan roztrzaska rękę, niech go pan zrani, ale niech go pan nie zabija.

— Posłuchaj mnie, Maksymilianie, nie trzeba mnie namawiać, abym oszczędzał pana de Morcerfa. Z miejsca oświadczam panu, że pan de Morcerf będzie tak oszczędzany, że wróci jak najspokojniej do domu z przyjaciółmi, a mnie...

— A pana?

— A mnie odniosą.

— Ale cóż znowu! — krzyknął Maksymilian, tracąc panowanie nad sobą.

— Tak, drogi Maksymilianie, potwierdzam: pan de Morcerf mnie zabije.

Morrel spojrzał na hrabiego i widać było, że nic nie rozumie.

— Co się panu stało od wczoraj?

— To samo, co Brutusowi w przeddzień bitwy pod Filippi[1348]: ujrzałem zjawę. I ta zjawa, Maksymilianie, powiedziała mi, że już dosyć żyłem.

Maksymilian i Emanuel spojrzeli po sobie. Monte Christo wyjął zegarek.

— Jedźmy, jedźmy — rzekł. — Już pięć po siódmej, a pojedynek ma być o ósmej.

Powóz już czekał. Monte Christo wsiadł razem z sekundantami.

Kiedy przechodzili korytarzem, Monte Christo zatrzymał się przed jakimiś drzwiami, zdając się nasłuchiwać. Maksymilian i Emanuel dyskretnie podeszli kilka kroków do przodu; posłyszeli jednak szloch, na który hrabia odpowiedział westchnieniem.

Gdy stanęli na miejscu, była ósma.

— Jesteśmy — rzekł Morrel, wyglądając z powozu — i to chyba jako pierwsi.

— Niech mi pan wybaczy — odezwał się Baptysta, który pojechał z nimi, trzęsąc się z trwogi — ale tam, pod drzewami, widzę chyba powóz.

[1348] *Filippi* — miasto w Macedonii, w okolicach którego w 42 p.n.e. rozegrały się dwie bitwy rzyms. wojny domowej. W drugiej z nich Marek Antoniusz i Oktawian August pokonali armię republikańską, dowodzoną przez Brutusa i Kasjusza, czyli przywódców spisku przeciw Cezarowi. Zwolennicy republiki ponieśli klęskę, a ich obydwaj dowódcy popełnili samobójstwo. [przypis edytorski]

Monte Christo wyskoczył lekko na ziemię i wyciągnął rękę, aby pomóc Emanuelowi i Maksymilianowi.

Maksymilian przytrzymał w dłoniach rękę hrabiego.

— Brawo — rzekł. — Podoba mi się taka pewna ręka u człowieka, którego życie zależy od słuszności jego sprawy.

— No tak — odezwał się Emanuel. — Są tam jacyś dwaj młodzi ludzie, przechadzają się, jakby na kogoś czekali.

Monte Christo pociągnął Morrela za rękę i zatrzymał go z tyłu.

— Maksymilianie — zapytał — czy pańskie serce jest wolne?

Morrel spojrzał zdziwiony na hrabiego.

— Nie chcę, przyjacielu, żebyś mi się zwierzał. To tylko proste pytanie, odpowiedz mi „tak" lub „nie", to wszystko, o co cię proszę.

— Kocham pewną panienkę.

— Bardzo ją kochasz?

— Nad życie.

— Cóż, jeszcze jedna moja nadzieja mnie omyliła.

I wyszeptał z westchnieniem:

— Biedna Hayde!

— Hrabio, naprawdę! — zawołał Morrel. — Gdybym nie znał pana dobrze, sądziłbym, że nie jest pan tak odważny, jak sądziłem!

— Bo myślę teraz o kimś, kogo opuszczam, dlatego westchnąłem. Ejże, Maksymilianie, czy to przystoi żołnierzowi tak źle się znać na odwadze? Sądzisz, że mi żal życia? Życie czy śmierć, to dla mnie nieważne, dwadzieścia lat spędziłem między życiem a śmiercią. A zresztą, bądź spokojny, jeśli to nawet była słabość, to nikt poza panem jej nie ujrzy. Wiem, że świat to salon, z którego trzeba wyjść grzecznie i uczciwie, to znaczy ukłonić się i zapłacić wcześniej wszystkie długi z hazardu.

— Taką mowę to rozumiem. Ale, ale, wziął pan ze sobą broń?

— Ja? A po co? Sądzę, że przynieśli ją ci panowie.

— Pójdę zapytać.

— Dobrze, ale pamiętaj, nie wchodź w żadne układy.

— O, niech pana o to głowa nie boli.

Morrel skierował się w stronę Beauchampa i Château-Renauda. Widząc to, sami podeszli kilka kroków. Przywitali się, jeśli nie przyjaźnie, to z pewnością grzecznie.

— Panowie darują — zagadnął Morrel — ale nie widzę pana de Morcerfa?

— Dziś rano dał nam znać — odparł Château-Renaud — że dołączy do nas już na miejscu.

Beauchamp wyjął zegarek.

— Pięć po ósmej — stwierdził. — To nie jest jeszcze wielkie spóźnienie, panie kapitanie.

— O, nie mówiłem tego wcale w tej myśli — odparł Maksymilian.

— A zresztą patrz pan — przerwał Château-Renaud — nadjeżdża powóz.

Istotnie, aleją łączącą się ze skrzyżowaniem, na którym stali, zbliżał się powóz; konie biegły tęgim kłusem.

— Panowie macie zapewne ze sobą pistolety? — upewnił się Morrel. — Pan de Monte Christo oświadczył, że zrzeka się prawa do użycia swojej broni.

— Przewidzieliśmy tę delikatność ze strony hrabiego — odpowiedział Beauchamp. — Przywiozłem pistolety, które kupiłem niedawno, sądząc, że mogą mi się przydać w podobnej sprawie. Są całkiem nowe, nikt z nich jeszcze nie korzystał. Chce pan je obejrzeć?

— O, skoro mówisz pan — rzekł z ukłonem Morrel — że pan de Morcerf nie zna jeszcze tej broni, to przecież pańskie słowo mi wystarczy.

— Panowie — odezwał się Château-Renaud. — To nie Morcerf przyjechał, ale, do diabła! Franz i Debray.

Wyżej wymienieni podeszli.

— Wy tutaj? — rzekł Château-Renaud, ściskając im dłonie. — A co to za przypadek?

— Albert prosił nas, abyśmy się stawili na miejsce spotkania — wyjaśnił Debray.

Beauchamp i Château-Renaud spojrzeli po sobie zdziwieni.

— Panowie, chyba rozumiem — rzekł Morrel. — Wczoraj po południu odebrałem list od pana de Morcerfa, abym przyszedł do Opery.

— I ja też — powiedział Debray.

— I ja też — powiedział Franz.

— I my też — odezwali się Château-Renaud i Beauchamp.

— Chciał, abyście byli obecni przy wyzwaniu — rzekł Morrel — a teraz chce, abyście byli świadkami pojedynku.

— No tak — odezwali się wszyscy. — Masz pan rację, panie Maksymilianie, chyba dobrze odgadłeś.

— Ale mimo to — mruknął Château-Renaud — Alberta jeszcze nie ma. Spóźnił się już dziesięć minut.

— Oto i on — zawołał Beauchamp. — Jedzie konno, tak pędzi, że koń niemal szoruje brzuchem po ziemi, a za nim lokaj.

— Co za nieostrożność — obruszył się Château-Renaud — jechać konno przed walką na pistolety! A tyle go uczyłem!

— No, popatrzcie tylko! — zawtórował Beauchamp. — Kołnierz wystaje mu spod halsztuka, frak rozpięty, biała kamizelka! Dlaczego sobie jeszcze kółka nie wymalował na brzuchu? Jeszcze łatwiej byłoby celować!

Tymczasem Albert był już tylko dziesięć kroków od grupki świadków; zatrzymał konia, zeskoczył i rzucił cugle służącemu.

Był blady, oczy miał zaczerwienione i podpuchnięte. Widać było, że przez całą noc ani na chwilę nie zmrużył oka.

— Dziękuję, panowie, żeście raczyli przyjechać — rzekł. — Wierzcie, że jestem wam niezmiernie wdzięczny za ten dowód przyjaźni.

Gdy Albert do nich podszedł, Morrel odszedł kilka kroków w tył i stanął na uboczu.

— I panu też dziękuję, panie kapitanie — ciągnął Albert. — Niech pan podejdzie, nie jest pan tu zbyteczny.

— Może pan o tym nie wie — rzekł Maksymilian — ale jestem sekundantem pana de Monte Christo.

— Nie byłem pewien, ale domyślałem się. Tym lepiej! Im więcej będzie tu ludzi honoru, tym bardziej będę się cieszył.

— Panie kapitanie — wtrącił Château-Renaud — może pan teraz powiedzieć panu hrabiemu, że pan de Morcerf już przyjechał i że jesteśmy do jego dyspozycji.

Morrel ruszył, by spełnić polecenie.

Beauchamp wyjmował z powozu pudło z pistoletami.

— Zaczekajcie, panowie — rzekł Albert. — Muszę najpierw powiedzieć dwa słowa panu hrabiemu de Monte Christo.

— Na osobności? — zapytał Morrel.

— Nie, przy wszystkich.

Świadkowie Alberta spojrzeli po sobie zdumieni. Franz i Debray wymienili szeptem parę słów, a Morrel uradowany z tak nieoczekiwanego obrotu rzeczy, podszedł do hrabiego, który przechadzał się z Emanuelem w bocznej alejce.

— Czegóż on chce ode mnie? — zdumiał się Monte Christo.

— Nie wiem, ale chce z hrabią pomówić.

— O, byle tylko nie kusił Boga jakąś kolejną zniewagą!

— Nie myślę, aby miał taki zamiar — odrzekł Morrel.

Hrabia poszedł więc naprzód w towarzystwie Maksymiliana i Emanuela. Spokój i pogoda malujące się na jego twarzy stanowiły osobliwy kontrast ze wzburzeniem Alberta, który kierował się właśnie w jego stronę; czterej sekundanci szli za nim.

Albert i hrabia stanęli w odległości trzech kroków od siebie.

— Zbliżcie się, panowie — odezwał się Albert. — Pragnę, byście nie uronili ani słowa z tego, co będę miał zaszczyt powiedzieć panu hrabiemu. Chcę bowiem, abyście rozgłosili wszystkim to, co powiem, choćby nawet wydało się to wam bardzo dziwne.

— Słucham pana — rzekł hrabia.

— Panie hrabio — zaczął Albert drżącym z początku głosem, który z każdą chwilą nabierał jednak większej pewności — zarzuciłem panu, żeś rozgłosił publicznie, co mój

ojciec czynił w Epirze. Nie sądziłem, abyś miał pan prawo go karać, niezależnie od tego, jaką winę ponosi. Ale dziś wiem już, że miałeś do tego prawo. Skłoniła mnie do tego wyznania nie zdrada Fernanda Mondego wobec Ali Paszy, ale zdrada, jakiej rybak Fernand dopuścił się wobec ciebie, bo pociągnęła za sobą niesłychane nieszczęścia. A więc i mówię panu, i głośno oświadczam: miałeś pan prawo do zemsty na moim ojcu, a ja, jego syn, dziękuję ci, że twoja zemsta ograniczyła się tylko do tego.

Gdyby z jasnego nieba padł pomiędzy widzów tej sceny grom, nie zdumiałby ich tak, jak oświadczenie Alberta.

Monte Christo powoli wzniósł oczy ku niebu z wyrazem nieskończonej wdzięczności. Nie mógł pojąć, jak porywczy charakter Alberta, który tak zuchwale zachowywał się wśród rzymskich bandytów, mógł się nagiąć do takiego upokorzenia. Domyślił się, że stało się to pod wpływem Mercedes, i zrozumiał, dlaczego szlachetna kobieta nie sprzeciwiła się jego ofierze — wiedziała, że nie będzie musiał jej dokonać.

Zgoda, Konflikt, Pojedynek

— A teraz — ciągnął Albert — jeśli uznajesz pan, że moje przeprosiny ci wystarczą, proszę, podaj mi rękę. Posiadasz pan, jak się zdaje, najwyższą z zalet — nieomylność. Sądzę, że zaraz po niej idzie jednak umiejętność przyznawania się do błędu. Ale to, że się przyznałem, dotyczy tylko mnie. Działałem zgodnie z prawami ludzkimi, ale pan działałeś zgodnie z prawami bożymi. Anioł tylko mógł jednego z nas uratować od śmierci i ów anioł zstąpił z nieba, a jeśli nie po to, by nas połączyć więzią przyjaźni — niestety, fatalny los to uniemożliwił — to przynajmniej więzią wzajemnego szacunku.

Monte Christo poczuł łzy w oczach, wzruszenie uniosło mu pierś; wyciągnął do Alberta rękę — Albert pochwycił ją i uścisnął z szacunkiem przemieszanym z trwogą.

— Panowie — rzekł — pan de Monte Christo zechciał przyjąć moje przeprosiny. Postąpiłem wobec niego porywczo. Porywczość to zła doradczyni: postąpiłem źle. Teraz błąd ten naprawiłem. Mam nadzieję, że świat nie uzna mnie za tchórza, ponieważ zrobiłem to, co nakazywało mi sumienie. Ale w każdym razie, gdyby ktoś pomylił się na mój temat — dodał, podnosząc dumnie głowę, jakby rzucał wyzwanie zarówno przyjaciołom, jak i wrogom — będę się starał prostować te mylne opinie.

— Cóż to się mogło stać dziś w nocy? — zapytał Beauchamp Château-Renauda. — Zdaje mi się, że odgrywamy tu bardzo smutną rolę.

— No tak. To, co zrobił Albert, jest albo bardzo nędzne, albo bardzo piękne — odparł Raul.

— E, do licha — zwrócił się do Franza Debray — o co w tym chodzi? Jak to! Hrabia Monte Christo okrywa niesławą pana de Morcerfa i w oczach jego syna miał do tego prawo? Ależ gdyby moja rodzina miała na sumieniu dziesięć takich Janin i tak bym uważał, że mam tylko jeden obowiązek: stanąć do dziesięciu pojedynków.

A Monte Christo pochylił głowę, opuścił bezwładnie ręce i zgięty pod ciężarem ponad dwudziestu lat wspomnień, nie myślał ani o Albercie, ani o nikim z obecnych. Przed oczyma stała mu wciąż ta odważna kobieta, która przyszła błagać o życie dla syna i której on chciał złożyć w ofierze swoje. A ona ocaliła go, odkrywając przed synem straszliwą tajemnicę rodzinną, która mogła na zawsze zniszczyć w chłopcu szacunek do ojca.

— I znów Opatrzność! — wyszeptał. — O, dopiero dziś jestem pewien, że to Bóg mnie tu przysłał!

90. MATKA I SYN

Hrabia de Monte Christo pożegnał młodych ludzi uśmiechem pełnym godności i melancholii, po czym wsiadł do powozu z Maksymilianem i Emanuelem.

Albert, Beauchamp i Château-Renaud pozostali sami na polu bitwy.

Młodzieniec spojrzał na świadków — jego wzrok bynajmniej nie był nieśmiały — pytając jakby, co o tym wszystkim sądzą.

— No, kochany przyjacielu — odezwał się nareszcie Beauchamp, pierwszy przerywając milczenie, może dlatego, że był wrażliwszy od innych, a może, że mniej umiał udawać. — Pozwól sobie powinszować; zakończyłeś w sposób zupełnie niespodziewany bardzo przykrą sprawę.

Albert milczał, stojąc w zamyśleniu. Château-Renaud uderzał giętką trzciną[1349] po butach.

— Jedziemy? — rzekł po chwili kłopotliwego milczenia.

— Kiedy zechcesz — odpowiedział Beauchamp. — Ale pozwól mi jeszcze raz powinszować Albertowi. Dał bowiem dziś dowód tak rycerskiej szlachetności... tak rzadkiej!

— Ach, no tak — rzekł Château-Renaud.

— To wspaniałe — mówił dalej Beauchamp — tak umieć panować nad sobą.

— O, z pewnością. Ja bym tak nie potrafił — rzekł Château-Renaud z oziębłością, która mówiła sama za siebie.

— Sądzę, panowie — przerwał Albert — żeście nie zrozumieli dobrze, że pomiędzy mną i panem de Monte Christo zaszło coś nader ważnego...

— Owszem, owszem, my rozumiemy — odezwał się natychmiast Beauchamp. — Ale nasi salonowi głupcy nie zrozumieją tego heroizmu i prędzej czy później będziesz zmuszony dobitniej wyłożyć im tę sprawę. Mogę ci dać przyjacielską radę? Wyjedź do Neapolu, Hagi albo Petersburga; to krainy spokojne, gdzie ludzie inteligentniej podchodzą do spraw honoru niż te nasze gorące paryskie głowy. Tam ucz się strzelać, fechtować; i gdy za parę lat wrócisz do Francji, to albo nikt już nie będzie o tobie pamiętał, albo będziesz takim strzelcem i takim fechmistrzem, że nikt cię nawet nie zaczepi. Panie de Château-Renaud, czy nie mam racji?

— Jestem zupełnie tego samego zdania. Nic człowieka tak nie naraża na niebezpieczne pojedynki, jak pojedynek, co nie przyszedł do skutku.

— Dziękuję panom — odpowiedział Albert z zimnym uśmiechem. — Pójdę za waszą radą, chociaż i tak miałem zamiar opuścić Francję. Dziękuję, żeście raczyli wyświadczyć mi przysługę i być moimi świadkami. Pamięć o tej przysłudze mocno wyryła mi się w sercu i po waszych słowach będę mógł pamiętać tylko o niej.

Château-Renaud i Beauchamp spojrzeli po sobie.

Słowa Alberta wywarły na obu wrażenie, a w jego głosie brzmiało takie zdecydowanie, że sytuacja mogła stać się kłopotliwa, gdyby rozmowa trwała dłużej.

— Bywaj zdrów, Albercie — odezwał się nagle Beauchamp, podając mu niedbale rękę.

Ale pożegnanie nie wyrwało Alberta z odrętwienia. Zdawać by się mogło, że nie zauważył wyciągniętej ręki.

— Żegnaj — powiedział z kolei Château-Renaud, trzymając w lewej ręce laseczkę, a prawą pozdrawiając Alberta.

Usta Alberta poruszyły się i usłyszeli ciche:

— Bądźcie zdrowi!

Ale jego spojrzenie było bardziej wymowne; zawierało cały poemat wstrzymywanego gniewu, dumnej pogardy i szlachetnego oburzenia.

Obaj sekundanci wsiedli do powozu, a Albert stał jeszcze nieruchomo czas jakiś w melancholijnej postawie; potem nagle odwiązał konia od drzewa, lekko wskoczył na siodło i galopem popędził drogą do Paryża.

W ciągu kwadransa dojechał do domu przy ulicy Helderskiej.

Gdy zsiadał z konia, wydało mu się, że za firanką w sypialni mignęła blada twarz ojca; westchnął, odwrócił głowę i wszedł do swojego pawilonu.

Tutaj raz ostatni popatrzył na te wszystkie bogactwa, dzięki którym od dzieciństwa pędził tak pogodne, przyjemne życie.

Spojrzał jeszcze raz na obrazy — postacie na nich zdawały się uśmiechać do niego, a krajobrazy mieniły się barwami.

Wyrwał ze złoconych ram portret matki i zwinął go; w złotych ramach pozostała czarna pustka.

Następnie uporządkował piękną broń turecką, angielskie fuzje, porcelanę japońską, puchary, brązy artystyczne z podpisami najznakomitszych mistrzów; przejrzał wszystkie szafy i przy każdej zostawił kluczyk; wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie, wrzucił do szuflady sekretarzyka; dorzucił do nich klejnoty i fantazyjną biżuterię; zrobił dokładny

[1349] *trzcina* — tu: bat wykonany z trzciny. [przypis edytorski]

inwentarz i położył go na stole w miejscu najbardziej widocznym, uprzątnąwszy najpierw wszystkie książki i papiery, które się tam walały.

Gdy zaczynał te porządki, do pokoju, mimo zakazu, wszedł lokaj.

— Czego tu chcesz? — zapytał go Albert tonem bardziej smutnym niż gniewnym.

— Przepraszam wielmożnego pana — odpowiedział służący. — Wiem, że zabronił mi pan tu przychodzić, ale pan hrabia nakazał mi przyjść do siebie.

— No i co?

— Nie chciałem iść do pana hrabiego, nie zapytawszy wcześniej pana o rozkazy.

— Ale po co?

— Pan hrabia na pewno wie, że pojechałem z panem na miejsce pojedynku.

— Być może.

— Jeżeli po mnie posłał, to na pewno po to, aby wypytać, co się tam stało. Co mam powiedzieć?

— Prawdę.

— Mam powiedzieć, że pojedynku nie było?

— Możesz powiedzieć, że przeprosiłem pana hrabiego de Monte Christo; idź.

Służący skłonił się i wyszedł. Albert zabrał się znowu do spisywania inwentarza.

Gdy kończył tę pracę, na dziedzińcu rozległ się stukot kopyt i szyby zadrżały od turkotu powozu; Albert podszedł do okna i zobaczył, że ojciec wyjeżdża gdzieś powozem.

Zaledwie brama pałacu zamknęła się za hrabią, Albert pobiegł do matki, a ponieważ nie było nikogo, kto mógłby go zapowiedzieć, wszedł dalej, aż do sypialni Mercedes.

Zatrzymał się na progu i serce mu się ścisnęło.

Jakby tych dwoje ożywiał ten sam duch, Mercedes robiła to, co Albert właśnie skończył.

Wszystko było już poukładane: koronki, stroje, biżuteria, srebra leżały w szufladach, a hrabina właśnie wiązała starannie klucze.

Zrozumiawszy, czemu służą te przygotowania, Albert krzyknął:

— Mamo! — i rzucił się Mercedes na szyję.

Gdyby jakiś malarz zdołał uchwycić wyraz twarzy tych dwóch postaci, namalowałby zaiste piękny obraz.

Rzeczywiście — wszystkie te przygotowania do realizacji podjętej decyzji nie przerażały Alberta, ale zatrwożył się, gdy ujrzał, że matka czyni to samo.

— Co robisz, mamo? — zapytał.

— A ty, co robiłeś? — odpowiedziała Mercedes.

— O, mamo! — zawołał Albert głosem zdławionym ze wzruszenia — ale ty to co innego! Nie, nie możesz podjąć takiej decyzji, jak ja; przyszedłem ci właśnie powiedzieć, że opuszczam dom... i ciebie.

— Ja także wyjeżdżam. Przyznam ci się: liczyłam, że mój syn będzie mi towarzyszył; czyżbym się myliła?

— Mamo — rzekł Albert stanowczo — nie mogę zgodzić się na to, abyś dzieliła mój los, jaki sobie sam obrałem; muszę teraz żyć nieznany, bez majątku. A żeby zacząć naukę tego twardego życia, pożyczę od przyjaciela bochen chleba, który ma mi wystarczyć do chwili, gdy zarobię na drugi. I tak, kochana mamo, idę do Franza poprosić go o pożyczenie małej sumki, która pokryje najniezbędniejsze potrzeby.

— Ty, moje biedne dziecko — zawołała Mercedes — ty masz cierpieć nędzę i głód! O, nie mów mi tak, bo zniszczysz wszystkie moje postanowienia!

— Ale moje są nieodwołalne, mamo — odparł Albert. — Jestem młody, silny, zdaje mi się, że odwagi mi nie brakuje. Wczoraj dowiedziałem się, co można osiągnąć dzięki woli. Są ludzie, co tyle wycierpieli, a jednak nie tylko nie umarli, ale nawet wznieśli wspaniałą fortunę na gruzach obietnic szczęścia, które niebo im dało, na ruinach nadziei, jaką zesłał im Bóg! Dowiedziałem się tego, widziałem tych ludzi; wiem, że z głębin przepaści, w którą pogrążył ich wróg, powstali z taką siłą i takim blaskiem, że zwyciężyli wroga i jego zepchnęli z kolei w przepaść. Tak, mamo, dziś zerwałem z przeszłością, od dziś nic od niej nie przyjmuję, odrzucam nawet nazwisko, bo... ty to rozumiesz, prawda? Nie mogę nosić nazwiska człowieka, który musi rumienić się przed innymi!

Przemiana, Dojrzewanie, Podróż, Życie jako wędrówka, Honor, Ucieczka

— Albercie, dziecko! Gdybym miała silniejsze serce, dałabym ci taką samą radę. Twoje sumienie przemówiło, gdy przygasły głos mój milczał; słuchaj sumienia, synku. Miałeś

przyjaciół, zerwij z nimi na razie, ale nie wpadaj w rozpacz, błagam cię jako twoja matka! Życie w twoim wieku jest jeszcze piękne, masz przecież zaledwie dwadzieścia dwa lata. A skoro tak czystemu sercu jak twoje potrzeba nazwiska bez skazy, przyjmij nazwisko mojego ojca: Herrera. Znam cię, Albercie; jakąkolwiek wybierzesz karierę, wkrótce twoje nazwisko stanie się głośne. Wtedy, mój kochany, wrócisz znów na salony, w blasku wszystkich nieszczęść, jakie przeżyłeś. A jeżeli tak się nie stanie, mimo wszystkich moich przewidywań, zostaw mi przynajmniej taką nadzieję. Będzie to dla mnie jedyna nadzieja, bo dla mnie przyszłość już nie istnieje, bo dla mnie grób zaczyna się za progiem tego domu.

— Zrobię tak, jak pragniesz, mamo! Ja mam tę samą nadzieję. Gniew nieba nie będzie nas ścigać, bo ty jesteś nieskazitelna, a ja niewinny. Ale jeśli już postanowiliśmy, co mamy czynić, działajmy szybko. Ojciec wyjechał z domu pół godziny temu; możemy więc uniknąć scen i wyjaśnień.

— Czekam na ciebie, synku — odparła Mercedes.

Albert pobiegł na bulwar, by sprowadzić fiakra. Znał pewien pensjonacik przy ulicy des Saints-Pères, gdzie matka mogłaby zamieszkać skromnie, ale w nie najgorszych warunkach.

W chwili gdy dorożka zajechała przed dom i Albert wysiadł z niej, podszedł doń jakiś człowiek i wręczył mu list.

Albert poznał intendenta.

— Od pana hrabiego — rzekł Bertuccio.

Albert wziął list, rozpieczętował i przeczytał.

Potem rozejrzał się za Bertucciem, ale już go nie było.

Albert ze łzami w oczach, z mocno bijącym od wzruszenia sercem wrócił do Mercedes i nie mówiąc ni słowa, podał jej list.

Mercedes przeczytała:

> Albercie!
>
> Okazując Ci, że domyśliłem się Twoich zamiarów, spodziewam się przekonać Cię zarazem, że umiem zachować się delikatnie.
>
> Jesteś wolny, opuszczasz pałac hrabiego i zabierasz ze sobą matkę, która też zerwała dawne więzy. Zastanów się jednak, Albercie: więcej jesteś jej winien, niż możesz jej teraz dać, biedny, szlachetny chłopcze.
>
> Stań do walki, nie unikaj cierpienia, ale jej oszczędź nędzy, która — to nieuniknione — będzie Ci towarzyszyć w Twoich początkowych wysiłkach. Twoja matka nie zasłużyła na to, by dotknął ją jeszcze kiedyś choćby cień nieszczęścia, które spotkało ją dziś — Opatrzność nie chce, by niewinny cierpiał za winowajcę.
>
> Wiem, że oboje macie dziś porzucić dom i nic ze sobą nie bierzecie. Nie staraj się dowiedzieć, jak się o tym dowiedziałem. Wiem, i tyle.
>
> Posłuchaj, Albercie.
>
> Przed dwudziestu czterema laty wesoły i pełen dumy wracałem do ojczyzny. Miałem narzeczoną, świętą dziewczynę, którą uwielbiałem. Przywiozłem jej sto pięćdziesiąt ludwików, zebranych mozolnie, ciężką pracą. Pieniądze te były dla niej, a wiedząc, jak zdradliwe jest morze, skarb nasz zakopałem w ogródku przy domu na Alejach Meilhańskich, w którym mieszkał mój ojciec.
>
> Matka Twoja, Albercie, zna dobrze ten biedny, kochany dom.
>
> Niedawno temu, jadąc do Paryża, przejeżdżałem przez Marsylię, poszedłem zobaczyć ten dom, z którym związanych jest dla mnie tyle bolesnych wspomnień; wieczorem skopałem łopatą kąt ogródka, w którym zakopałem pieniądze. Żelazna szkatułka była na swoim miejscu, niczyja ręka jej nie dotknęła. I nadal jest w tym kącie, pod pięknym figowcem, który ojciec mój zasadził w dzień moich urodzin.
>
> Otóż, Albercie, pieniądze te miały niegdyś pomóc i zapewnić spokojny byt kobiecie, którą ubóstwiałem. Dziś, przez szczególny, okropny zbieg

okoliczności, pieniądze te mogą jej wreszcie posłużyć. O, zrozum mnie dobrze — mnie, który mógłbym tej biednej kobiecie ofiarować miliony, a daję jej tylko kawałek czarnego chleba, zapomniany pod moim dachem od dnia, gdym się rozstał z tą, którą kochałem.

Albercie, jesteś człowiekiem szlachetnym — ale może zaślepiać Cię duma lub jakieś uprzedzenie. Jeśli mi odmówisz, jeśli poprosisz kogo innego o to, co mam prawo Ci ofiarować, powiem, że czynisz nieszlachetnie: odrzuciłbyś pomoc ofiarowaną Twojej matce przez człowieka, którego ojciec umierał przez Twojego ojca w piekle głodu i rozpaczy.

Gdy matka skończyła lekturę, Albert czekał blady i nieruchomy na to, co postanowi.

Mercedes podniosła wzrok ku niebu z wyrazem, który trudno oddać.

— Przyjmuję — rzekła. — Ma prawo zapłacić mi posag, który zaniosę do klasztoru.

I przyciskając list do serca, ujęła syna pod ramię i krokiem pewniejszym, niż sama mogła się spodziewać, skierowała się ku schodom.

91. SAMOBÓJSTWO

Tymczasem Monte Christo także wrócił do miasta w towarzystwie Emanuela i Maksymiliana.

Powrót był wesoły. Emanuel nie ukrywał radości, że po wojnie nastąpił pokój, i głośno rozprawiał o swoich filantropijnych uczuciach.

Morrel siedział w kącie powozu, nie przerywał radosnych wynurzeń szwagra i sam cieszył się szczerze w duchu, ale radość lśniła mu tylko w oczach.

Na rogatce du Trône spotkali Bertuccia; czekał tam nieruchomy jak szyldwach na warcie.

Monte Christo wychylił głowę z powozu, rozmówił się z nim szeptem i intendent znikł.

— Panie hrabio — rzekł Emanuel, gdy dojechali do Placu Królewskiego[1350] — proszę mnie podwieźć pod dom, jeśli łaska: nie chciałbym, aby żona niepokoiła się choćby chwilę dłużej o pana lub o mnie.

— Gdyby nie było śmiesznie rozgłaszać własny triumf — dodał Morrel — zaprosiłbym pana do nas; ale pan hrabia ma też na pewno serca, które drżą o niego i które musi uspokoić. To już tutaj, Emanuelu, pożegnajmy pana hrabiego i pozwólmy, niech jedzie dalej.

— Chwileczkę — przerwał Monte Christo. — Niech mnie panowie nie pozbawiają tak od razu dwóch towarzyszy; pan, Emanuelu, niech idzie do swojej uroczej żony i przekaże jej moje pozdrowienia, a pan kapitan niech mnie odwiezie na Pola Elizejskie.

— Chętnie — zgodził się Maksymilian — tym bardziej że mam tam coś do załatwienia.

— Mamy czekać na ciebie ze śniadaniem? — zapytał Emanuel.

— Nie.

Zatrzaśnięto drzwiczki i powóz ruszył w dalszą drogę.

— Widzi pan, przyniosłem panu szczęście — odezwał się Morrel. — Zapewne pan nawet o tym nie pomyślał?

— I owszem — odparł Monte Christo. — I właśnie dlatego chciałbym mieć pana zawsze przy sobie.

— To było niepojęte! — rzucił ni stąd ni zowąd Morrel, kończąc jakąś swoją myśl.

— Tak — odpowiedział hrabia z uśmiechem. — Dobrze pan powiedziałeś: to niepojęte.

— Bo przecież Albertowi nie brakuje odwagi.

— O, jest bardzo odważny. Widziałem kiedyś, jak spał najspokojniej, gdy nad jego głową chyliły się sztylety.

— A ja wiem, że pojedynkował się dwa razy, i to bardzo dzielnie — rzekł Morrel. — Jak to pogodzić z jego dzisiejszym zachowaniem?!

— To znowu twój wpływ — uśmiechnął się raz jeszcze Monte Christo.

[1350] *Plac Królewski* — dzis. Plac Wogezów, najstarszy plac miejski w Paryżu. [przypis edytorski]

— Ale Albert ma szczęście, że nie jest żołnierzem.

— A to czemu?

— Przepraszać przed pojedynkiem... — rzekł kapitan, wstrząsając głową.

— Ejże, drogi Maksymilianie — odparł łagodnie hrabia — niech pan nie wpada w przesądy ludzi pospolitych. Musisz przyznać, że skoro Albert jest odważny, nie może być tchórzem. Widocznie miał jakiś powód, aby się tak zachować, a przecież zachował się bohatersko?

— Owszem, owszem. Ale powiem i tak jak Hiszpan: dzisiaj mniej był odważny niż wczoraj.

— Zjesz pan ze mną śniadanie? — spytał hrabia, aby przerwać ten wątek.

— Nie mogę, muszę wyjść od pana o dziesiątej.

— A więc umówił się pan już z kimś na śniadanie?

Morrel uśmiechnął się i potrząsnął głową przecząco.

— Ale przecież musisz pan coś przekąsić!

— A jeśli nie jestem głodny? — odpowiedział młody człowiek.

— O! — rzekł hrabia. — Znam tylko dwa uczucia, które odbierają apetyt; cierpienie — ale widzę, żeś bardzo wesoły — i miłość. Sądząc z tego, coś mi powiedział o swoim sercu, mogę przypuszczać...

— Na honor — odparł wesoło Morrel — nie mówię, że nie.

— I nic mi o tym nie powiedziałeś, Maksymilianie? — zapytał hrabia tak żywo, że widać było wyraźnie, jak bardzo zainteresowała go ta tajemnica.

— Przecież powiedziałem dziś rano panu hrabiemu, że mam zajęte serce.

Zamiast odpowiedzieć, Monte Christo wyciągnął rękę do młodzieńca.

— No i odkąd moje serce nie jest przy panu w lasku Vincennes, jest gdzie indziej; i muszę tam pójść, żeby je odnaleźć.

— Idź więc, drogi przyjacielu — rzekł z namysłem hrabia — ale proszę, jeżeli miałbyś jakieś kłopoty, pamiętaj, że dysponuję na tym świecie pewną władzą — i cieszę się, gdy mogę pomóc tym, których bardzo lubię, a pana, Maksymilianie, naprawdę bardzo lubię.

— Dobrze, przypomnę sobie o tym, jak samolubne dzieci przypominają sobie o rodzicach, kiedy ich potrzebują. Kiedy będę w potrzebie, a być może nastąpi to już wkrótce, zwrócę się do pana.

— Trzymam pana za słowo. A zatem — bądź zdrów.

— Do widzenia.

Właśnie zajechali przed pałac na Polach Elizejskich. Monte Christo otworzył drzwiczki; Morrel wyskoczył z powozu.

Na ganku czekał już Bertuccio.

Morrel zniknął w alei Marigny, a Monte Christo skierował się prosto do Bertuccia.

— No i jak? — zapytał.

— No cóż — odpowiedział intendent — opuszcza dom.

— A syn?

— Jak mi mówił Florentin, jego lokaj, ma taki sam zamiar.

— Chodź ze mną.

Monte Christo zabrał Bertuccia do gabinetu, napisał list, któryśmy już czytali i oddał go intendentowi.

— Idź pan — rzekł — zrób to szybko. O, ale powiedz najpierw Hayde, że wróciłem.

— Jestem tu — zawołała dziewczyna, która zeszła zaraz na turkot powozu; twarz jaśniała jej radością: hrabia był zdrów i cały.

Miłość, Szczęście

Hayde czekała na hrabiego z niecierpliwością — a teraz przeżywała radość, taką jak córka, która znów ogląda ukochanego ojca, rozkosz taką, jak kochanka, gdy znów ujrzy swojego najdroższego. Choć hrabia nie okazywał otwarcie radości, cieszył się nie mniej niż Hayde. Radość dla serc, co długo cierpiały, podobna jest do rosy spadającej na ziemię spaloną słońcem. Serce i ziemia chłoną chciwie ten dobroczynny deszcz — i na powierzchni nie zostaje żaden ślad. Od kilku dni Monte Christo zaczynał pojmować, a długo nie śmiał w to wierzyć — że na świecie są dwie Mercedes, a to znaczy, że może jeszcze poznać szczęście. Wpatrywał się oczyma błyszczącymi szczęściem w wilgotne oczy Hayde, gdy nagle otwarły się drzwi. Hrabia zmarszczył brwi.

— Pan de Morcerf! — oznajmił Baptysta, jakby samo to nazwisko było dostatecznym usprawiedliwieniem.

Rzeczywiście, twarz hrabiego rozpogodziła się.

— Który? Ojciec czy syn?

— Ojciec.

— O mój Boże! — zawołała Hayde. — To się jeszcze nie skończyło?

— Nie wiem, czy się skończyło, moja kochana — rzekł Monte Christo, biorąc ją za ręce — ale wiem, że nie masz się czego obawiać.

— O, ale to przecież nędznik...

— Ten człowiek nic nie może mi zrobić. Należało się lękać tylko wtedy, gdy miałem do czynienia z jego synem.

— I tego, co wycierpiałam, nigdy się nie dowiesz, panie mój.

Monte Christo uśmiechnął się.

— Przysięgam ci na grób mojego ojca — rzekł, wyciągając rękę nad głową dziewczyny — że jeśli spotka kogoś nieszczęście, na pewno nie zdarzy się mnie.

— Panie mój, wierzę ci jak samemu Bogu — rzekła dziewczyna, podając mu czoło do pocałunku.

Monte Christo złożył pocałunek na tym czole, tak czystym i pięknym, a od tego pocałunku zabiły dwa serca — jedno gwałtownie, drugie głucho.

— Boże! — wyszeptał hrabia. — Czyżbyś pozwolił, abym mógł jeszcze kochać?...

— Wprowadź pana hrabiego do salonu — rzekł do Baptysty, odprowadzając piękną Greczynkę do bocznych schodów.

Winniśmy choć w kilku słowach wyjaśnić te odwiedziny, których Monte Christo być może się spodziewał, ale nasi czytelnicy z pewnością nie.

Gdy Mercedes spisywała u siebie inwentarz rzeczy, a Albert robił to u siebie, gdy układała biżuterię, zamykała szuflady, wiązała klucze, aby wszystko zostawić w jak najlepszym porządku, nie zauważyła, że jakaś blada, ponura twarz pojawiła się w oszklonych drzwiach wychodzących na korytarz. Stamtąd można było nie tylko widzieć, ale i słyszeć. Ten, co tak patrzył, widział więc i słyszał wszystko, co działo się u pani de Morcerf.

Następnie mężczyzna poszedł pobladły do swojej sypialni, chwycił kurczowo firankę w oknie wychodzącym na dziedziniec i podniósł ją.

Stał tak przez dziesięć minut, bez ruchu, niemy, przysłuchując się biciu własnego serca.

Dziesięć minut to bardzo długo.

Wtedy to właśnie Albert, wracając z pojedynku, spostrzegł, jak ojciec czatuje na jego powrót — i odwrócił głowę.

Oczy hrabiego rozszerzyły się: wiedział, że Albert mocno znieważył Monte Christa, że podobna zniewaga wszędzie, na całym świecie, pociąga za sobą pojedynek na śmierć.

Owóż Albert wracał zdrów i cały, a więc zemścił się za ojca. Błyskawica radości przemknęła po tej ponurej twarzy — jak ostatni promyk słońca, który ginie w chmurach, zdających się nie posłaniem, ale jego grobem.

Wiemy jednak, że na próżno czekał, by syn przyszedł do niego opowiedzieć o swoim triumfie. Rozumiało się samo przez się, że syn, wyruszając na pojedynek, nie chciał widzieć się z ojcem, którego honor miał pomścić; ale dlaczego, gdy już pomścił honor ojca, nie przyjdzie rzucić się ojcu w objęcia?

Wtedy to hrabia, nie mogąc doczekać się Alberta, posłał po jego lokaja. Wiemy, że ten kazał powiedzieć hrabiemu wszystko.

Dziesięć minut później generał de Morcerf wyszedł na ganek; miał na sobie czarny surdut zapięty po wojskowemu pod szyję, czarne spodnie i czarne rękawiczki.

Musiał już wcześniej wydać rozkazy, zaledwie bowiem zszedł ze schodów, z wozowni wyjechał powóz i zatrzymał się tuż przed nim. Lokaj włożył do powozu dwie szpady zawinięte w wojskowy płaszcz. Potem zamknął drzwiczki i siadł obok stangreta.

Stangret wychylił się z kozła, aby spytać o rozkazy.

— Na Pola Elizejskie — rzekł generał — do hrabiego de Monte Christo. Galopem!

Konie, smagnięte biczem, ruszyły z kopyta i po pięciu minutach zajechały przed pałac hrabiego.

Pan de Morcerf sam otworzył sobie drzwiczki i chociaż powóz jeszcze się nie zatrzymał, wyskoczył w biegu jak młodzieniaszek, zadzwonił i zniknął za drzwiami wraz ze służącym.

Po chwili Baptysta zaanonsował hrabiego de Morcerfa; Monte Christo odprowadził Hayde i nakazał wprowadzić hrabiego do salonu.

Generał przemierzał salon wzdłuż i wszerz już po raz trzeci, gdy odwróciwszy się, ujrzał na progu Monte Christa.

— A, pan de Morcerf! — rzekł spokojnie Monte Christo. — Myślałem, że źle usłyszałem.

— Tak, to ja, we własnej osobie — odrzekł hrabia, zaciskając usta tak mocno, że słowa ledwo mogły się z nich wydobyć.

— Pozostaje mi więc tylko zapytać — rzekł Monte Christo — czemu zawdzięczam przyjemność oglądania pana o tak wczesnej porze?

— Miałeś pan dziś rano pojedynkować się z moim synem, prawda? — spytał generał. — Wiem też, że mój syn miał słuszne powody, aby się z panem bić i zrobić wszystko, co tylko można, aby pana zabić.

— O tak, miał bardzo słuszne powody! Ale jednak, jak pan widzi, nie zabił mnie, a nawet nie zaczęliśmy się bić.

— A przecież uważał pana za główną przyczynę hańby swojego ojca, za tego, który doprowadził naszą rodzinę do straszliwej katastrofy.

— Wszystko to prawda — rzekł Monte Christo z przerażającym spokojem. — Ale nie byłem główną przyczyną katastrofy, tylko podrzędną.

— Zapewne go pan przeprosiłeś albo w jakiś sposób to wyjaśniłeś?

— Nie, nie udzielałem mu żadnych wyjaśnień i to on mnie przeprosił.

— Och! Ale jak pan sobie tłumaczysz taki postępek?

— Zapewne przekonaniem, że jest ktoś, kto tu bardziej zawinił niż ja.

— Kto taki?

— Jego ojciec.

— Niech i tak będzie — rzekł hrabia, blednąc. — Ale wie pan, że winowajca nie lubi, aby ktoś mu wyrzucał winę.

— Wiem... dlatego też spodziewałem się, że tak się potoczą sprawy.

— Spodziewałeś się pan, że mój syn okaże się tchórzem! — zawołał hrabia.

— Pan Albert nie stchórzył.

— Człowiek, co ma w ręku broń, a na wyciągnięcie ręki śmiertelnego wroga, i nie użyje tej broni, jest tchórzem! O, szkoda, że go tu nie ma, sam bym mu to powiedział!

— Mój panie — odparł zimno Monte Christo — nie sądzę, abyś przyszedł do mnie po to, aby mi opowiadać o swoich domowych problemach. Zapytaj pan o to wszystko pana Alberta, a być może on będzie potrafił panu odpowiedzieć.

— O nie! Nie pójdę! — odpowiedział generał z uśmiechem, który przemknął po jego twarzy jak błyskawica. — Nie! Ma pan rację, nie po to tu przyszedłem! Przyszedłem powiedzieć panu, że ja także uważam pana za wroga! Przyszedłem panu powiedzieć, że nienawidzę pana wręcz instynktownie! Że zdaje mi się, jakbym pana znał od zawsze i od zawsze nienawidził! I że wreszcie, skoro współczesna młodzież bić się nie lubi, to my się będziemy bić... Czy takie jest też pańskie zdanie?

— Oczywiście. Dlatego też, kiedym panu powiedział, że spodziewałem się, że tak się wszystko potoczy, miałem na myśli to, że zaszczyci mnie pan wizytą.

— Tym lepiej... Jesteś pan gotów?

— Ja zawsze jestem gotów.

— Wiesz pan, że będziemy się bić, póki jeden z nas nie zginie? — spytał generał, zaciskając z wściekłością zęby.

— Póki jeden z nas nie zginie — powtórzył Monte Christo, skinąwszy lekko głową.

— Możemy więc wyjść natychmiast, świadków nam nie trzeba.

— Istotnie — rzekł Monte Christo — świadkowie byliby niepotrzebni, wszak tak dobrze się znamy!

— Przeciwnie, wcale się nie znamy.

— No, no — odparł Monte Christo z taką samą irytującą flegmą — zastanówmy się. Czy nie jesteś pan aby żołnierzem Fernandem, który zdezerterował w wilię bitwy pod

Waterloo? Czy nie jesteś porucznikiem Fernandem, który służył za przewodnika i szpiega armii francuskiej w Hiszpanii? Czy nie jesteś kapitanem Fernandem, który zdradził, sprzedał i zamordował swego dobroczyńcę, Ali Paszę? I czy wszyscy ci trzej Fernandowie razem wzięci nie stworzyli przypadkiem generała lejtnanta, hrabiego de Morcerfa, para Francji?

— O, nędzniku! — krzyknął generał, którego te słowa paliły jak rozpalone żelazo. — Wyrzucasz mi moją hańbę, choć może za chwilę mnie zabijesz! Nie powiedziałem, że nic o mnie nie wiesz. Wiem dobrze, szatanie, żeś przeniknął w noc przeszłości i tam, przy blasku nieznanej mi pochodni, przerzuciłeś wszystkie karty mojego życia; może zostało mi jednak więcej honoru przy całej mojej hańbie niż tobie z twoimi znakomitymi pozorami. Tak, ty mnie znasz, wiem dobrze, ale nie wiem, kim ty jesteś, awanturniku błyszczący od złota i klejnotów! W Paryżu nazwałeś się hrabią de Monte Christo; we Włoszech Sindbadem Żeglarzem, na Malcie już nie pamiętam jak. Ale ja cię pytam o twoje prawdziwie nazwisko, chcę je poznać, pośród tych stu przybranych, aby je wymówić na miejscu walki, w chwili, gdy zatopię szpadę w twoim sercu.

Monte Christo zbladł straszliwie; w oczach zapalił mu się płomień. Znikł za drzwiami do gotowalni, w mgnieniu oka zerwał halsztuk, surdut i kamizelkę — ubrał marynarską bluzę i kapelusz, spod którego spłynęły długie czarne włosy.

I wrócił do gabinetu — szedł ze skrzyżowanymi ramionami, straszliwy i nieubłagany ku generałowi, który nie rozumiejąc tego nagłego wyjścia, stał w miejscu; widząc go teraz, zaszczękał zębami, zachwiał się i cofnął o krok, i cofał się tak, póki nie poczuł pod zaciśniętą kurczowo ręką stołu i nie oparł się o blat.

— Fernandzie! Wystarczy, że powiedziałbym ci tylko jedno spośród moich stu nazwisk, a padłbyś, jakby to grom cię poraził! Ale już się domyślasz, jakie to nazwisko, prawda? Albo raczej przypominasz je sobie? Bo przecież mimo wszystkich cierpień i udręk, jakich zaznałem, pokazuję ci dzisiaj twarz odmłodzoną dzięki szczęściu, jakie daje zemsta — twarz, którą na pewno widywałeś często w snach, od dnia, w którym pojąłeś za żonę... Mercedes, moją narzeczoną!

Generał, z głową odrzuconą do tyłu, wyciągniętymi rękoma, w milczeniu, nieruchomymi oczyma wpatrywał się w ten straszliwy obraz. A potem, podpierając się ręką o ścianę, powoli jął posuwać się tyłem ku drzwiom; a gdy przekraczał próg, z gardła wyrwał mu się tylko jeden, posępny, żałosny, rozdzierający krzyk:

— Edmund Dantès!

Wydając jęki, które nie miały w sobie nic ludzkiego, powlókł się na ganek, przeszedł dziedziniec, chwiejąc się jak pijany, i osunął się w ramiona lokaja, bełkocąc niemal niezrozumiale:

— Do domu! Do domu!

Po drodze świeże powietrze i wstyd, jaki odczuwał pod bacznymi spojrzeniami służących pozwoliły mu nieco zebrać myśli; ale trasa była krótka i w miarę, jak zbliżali się do domu, czuł, jak powraca cierpienie. Kazał stanąć nieco przed domem i wysiadł.

Brama na dziedziniec była otwarta na oścież. Na dziedzińcu stała dorożka. Fiakier nie mógł zrozumieć, czemu wezwano go do tak znakomitej siedziby.

Hrabia spojrzał z przestrachem na dorożkarza, ale nie odważył się go pytać o cokolwiek, pospieszył do swoich apartamentów. Dwie osoby schodziły ze schodów; ledwo zdążył ukryć się w gotowalni. Była to Mercedes, wsparta o ramię syna. Właśnie opuszczali pałac. Przeszli o włos obok nieszczęśnika, ukrytego za adamaszkową kotarą; jedwabna suknia Mercedes niemal go musnęła; poczuł na twarzy ciepły oddech syna, gdy Albert powiedział:

— Odwagi, mamo! Chodź, chodź, nie jesteśmy już tutaj u siebie.

Słowa ucichły, kroki oddaliły się. Generał wyprostował się, uczepiwszy się kurczowo kotary. Tłumił straszliwy szloch — szloch człowieka opuszczanego jednocześnie przez żonę i syna.

Samobójstwo, Upadek, Rozpacz, Rozstanie

Wkrótce usłyszał trzaśnięcie blaszanych drzwiczek dorożki, głos dorożkarza, a gdy koła ciężkiego powozu zaturkotały na bruku, zadrżały szyby. Rzucił się do sypialni, aby ujrzeć raz jeszcze dwie istoty, jakie ukochał w życiu; ale dorożka odjechała i nie wychyliła się z niej ani Mercedes, ani Albert nie wystawił z niej głowy, aby pożegnać opustoszały dom

i opuszczanego męża i ojca ostatnim spojrzeniem — spojrzeniem wyrażającym żal, a więc i przebaczenie.

I gdy dorożka zadudniła, przejeżdżając pod sklepieniem bramy, rozległ się strzał i ciemny dym wypłynął smużką przez okno sypialni, rozbite pod wpływem eksplozji.

92. VALENTINE

Domyślamy się, gdzie Morrel miał załatwiać owe interesy i z kim miał się spotkać.

Rozstawszy się z hrabią, skierował się wolno ku domostwu Villefortów.

Powiadamy: wolno — miał bowiem pół godziny, aby przejść pięćset kroków. Ale choć miał tyle czasu, pragnął pożegnać hrabiego jak najprędzej, by móc pozostać sam na sam z myślami.

Wiedział dobrze, o której ma być na miejscu: była to godzina, o której pan Noirtier jadał śniadanie. Valentine pomagała wtedy dziadkowi i było pewne, że nikt nie przeszkodzi jej w tym zbożnym obowiązku.

Noirtier i Valentine pozwolili mu na odwiedziny dwa razy w tygodniu i szedł właśnie, by skorzystać ze swojego prawa.

Gdy przyszedł, Valentine już na niego czekała. Zaniepokojona, niemal przerażona, chwyciła go za rękę i zaprowadziła do dziadka.

Niepokoiła się tak bardzo, gdyż plotka o awanturze, jaką urządził w Operze Albert, zdążyła się już rozejść (w wielkim świecie wszyscy o wszystkim wiedzą).

U Villefortów nikt nie wątpił, że konsekwencją tej kłótni będzie pojedynek. Valentine odgadła swoim kobiecym instynktem, że Morrel będzie sekundantem hrabiego, a znając odwagę Maksymiliana i wiedząc o przyjaźni, jaką darzył hrabiego, lękała się, że nie zdoła ograniczyć się do biernej roli sekundanta.

Rozumiemy więc, jak chciwie wypytywała o szczegóły i słuchała opowieści ukochanego. W jej oczach Maksymilian mógł wyczytać niewymowną radość, gdy dowiedziała się, że owa straszliwa sprawa zakończyła się równie szczęśliwie, co nieoczekiwanie.

— A teraz — rzekła Valentine dając znak Maksymilianowi, by usiadł obok pana Noirtiera i siadając na podnóżku — porozmawiajmy trochę o naszych sprawach. Wiesz, że dziadek chciał kiedyś wyprowadzić się z domu i zamieszkać gdzie indziej?

— Tak, oczywiście — odparł Maksymilian — pamiętam te plany i nawet im przyklasnąłem.

— A więc klaskaj, Maksymilianie, bo dziadunio wrócił do tych planów.

— Brawo! — zawołał Maksymilian.

— A wiesz, jaką podaje przyczynę tych zamiarów?

Noirtier spoglądał na wnuczkę, chcąc nakazać jej milczenie, ale Valentine nie patrzyła na dziadka; jej spojrzenie, uśmiech — wszystko było dla Maksymiliana.

— O, jakąkolwiek przyczynę podaje, oświadczam, że ma rację! — wykrzyknął Morrel.

— I to jaką. Twierdzi, że nie służy mi powietrze naszej dzielnicy.

— O tak... Słuchaj, Valentine, pan Noirtier może mieć rację: wydaje mi się, że od dwóch tygodni coś ci dolega, i to coraz bardziej.

— Hm, chyba tak. I dlatego dziadek ustanowił się moim lekarzem, a ponieważ wie wszystko, ufam mu jak nikomu.

— To ty naprawdę źle się czujesz? — zapytał z niepokojem Morrel.

— Oj, Boże, trudno to tak nazwać. Jestem ogólnie osłabiona, i to wszystko. Nie mam apetytu i wydaje mi się, jakby mój żołądek z czymś walczył.

Noirtier przysłuchiwał się uważnie słowom Valentine.

— A co zażywasz na to osłabienie?

— To bardzo proste: codziennie rano wypijam łyżkę mikstury, którą przynoszą z apteki dla dziadka, to znaczy zaczęłam od jednej łyżki, a teraz piję już cztery. Dziadek twierdzi, że to panaceum[1351].

Valentine uśmiechała się; ale w uśmiechu krył się jakiś smutek, jakieś cierpienie.

Maksymilian, upojony miłością, patrzył na nią w milczeniu. Była piękna jak zawsze, ale jej blada cera zmatowiała, oczy błyszczały gorączkowym blaskiem, dłonie o perłowym odcieniu skóry stały się żółtawe jak z wosku.

[1351] *panaceum* (łac.) — uniwersalny lek, skuteczny na wszystkie dolegliwości. [przypis edytorski]

Maksymilian przeniósł spojrzenie na pana Noirtiera. Starzec obserwował swoim przedziwnie bystrym wzrokiem dziewczynę, pochłoniętą w tej chwili przez swoją miłość; on także przyglądał się śladom owej skrytej choroby, tak mało zresztą widocznym, że nikt ich nie dostrzegł do tej pory poza dziadkiem i ukochanym.

— Ale ta mikstura — odezwał się Morrel — jest przecież przepisana panu Noirtierowi, a ty zażywasz już cztery łyżki?

— Wiem tylko, że jest bardzo gorzka, tak gorzka, że wszystko, co piję, smakuje mi gorzko.

Noirtier spojrzał na Valentine pytająco.

— Tak, dziadziu, właśnie tak. Chwilkę temu, zanim do ciebie przyszłam, napiłam się wody z cukrem. I cóż, zostawiłam pół szklanki, taka mi się wydała gorzka.

Noirtier zbladł i dał znak, że chce coś powiedzieć.

Valentine podniosła się, żeby przynieść słownik.

Noirtier śledził ją wzrokiem wyraźnie pełnym niepokoju.

Rzeczywiście — krew uderzyła dziewczynie do głowy, pokrywając policzki rumieńcem.

— No, no, coś takiego! — zawołała, nie tracąc pogody. — Ćmi mi się w oczach! Chyba oślepiło mnie słońce...

I uchwyciła się klamki u okna.

— Nie ma dziś słońca — rzekł Morrel, zaniepokojony bardziej wyrazem twarzy starca niż zasłabnięciem Valentine.

I podbiegł do dziewczyny. Valentine uśmiechnęła się.

— Nie martw się, dziadziu, nie martw się, Maksymilianie. To nic, już mi przeszło. Ale słuchajcie! Chyba słychać jakiś powóz na dziedzińcu?

Otwarła drzwi, wybiegła na korytarz, a wyjrzawszy przez okno, wróciła natychmiast.

— Tak, to pani Danglars z córką, przyjechały w odwiedziny. Do widzenia, muszę uciekać, bo jeszcze po mnie tu przyślą. Ale zostań z dziadkiem, Maksymilianie, obiecuję, że nie będę ich zatrzymywać.

Maksymilian odprowadził ją oczyma do drzwi. Słyszał, jak wchodziła po schodach prowadzących do jej i macochy pokojów.

Gdy tylko znikła, Noirtier dał mu znak, aby wziął słownik. Morrel wykonał polecenie; Valentine nauczyła go szybko porozumiewać się ze starcem.

Ale choć umiał to robić, trzeba było przecież recytować raz za razem cały alfabet, a potem szukać słów w słowniku — i dopiero po dziesięciu minutach złożył myśli starca w następujące zdanie:

„Idź po szklankę i karafkę do pokoju Valentine".

Morrel wezwał służącego, który zastąpił Barrois i w imieniu pana Noirtiera powtórzył jego rozkaz.

Służący był zaraz z powrotem. Karafka i szklanka były puste.

Noirtier dał znak, że chce znów przemówić.

— Dlaczego szklanka i karafka są puste? Valentine wypiła przecież tylko pół szklanki.

Składanie tego zdania trwało pięć minut.

— Nie wiem — odparł lokaj. — Ale w pokoju panienki Valentine jest pokojówka, może to ona wszystko wylała?

— Idźcie ją zapytać — rzekł Morrel, wyrażając myśl zawartą w spojrzeniu Noirtiera.

Lokaj wyszedł i natychmiast wrócił.

— Panienka Valentine, idąc do pani de Villefort, wstąpiła do swojego pokoju — rzekł — a ponieważ chciało się jej pić, wypiła wszystko, co zostało w szklance. Wodę z karafki wylał panicz Edward: robił staw dla swoich kaczek.

Noirtier wzniósł oczy do nieba, niczym gracz, który stawia wszystko na jedną kartę. Po czym utkwił wzrok w drzwiach i już go od nich nie odrywał.

Tak jak zdawało się Valentine, były to rzeczywiście pani Danglars i Eugenia. Poprowadzono je do pokoju pani de Villefort. Dlatego właśnie Valentine wstąpiła do swojego pokoju: od pokoju macochy dzielił ją tylko pokój Edwardka.

Kobiety weszły do salonu z miną uroczystą, jaką przybiera ktoś, kto ma oznajmić jakąś oficjalną wiadomość. Ludzie z tej samej sfery wyczuwają takie niuanse — i pani de Villefort przybrała taką samą uroczystą pozę.

W tym momencie weszła Valentine i znów zaczęły się reweransy[1352].

— Droga przyjaciółko — odezwała się pani Danglars, gdy dziewczęta chwyciły się za ręce — przyjechałyśmy z Eugenią, aby oznajmić, że niebawem nastąpi ślub mojej córki z księciem Cavalcantim.

Danglars podkreślał tytuł Cavalcantiego. Bankier, stronnik ludu, uznał, że książę to znacznie lepiej niż hrabia.

— A więc pozwól, bym ci złożyła najszczersze gratulacje — odpowiedziała pani de Villefort. — Książę Cavalcanti, jak mi się wydaje, to młody człowiek pełen rzadkich cnót.

— Proszę posłuchać, droga przyjaciółko — uśmiechnęła się baronowa — mówiąc między nami, książę jeszcze nie rozwinął swoich możliwości tak, jak rozwinie. Ma w sobie trochę cudzoziemszczyzny, którą każdy Francuz rozpozna na pierwszy rzut oka u szlachcica włoskiego czy niemieckiego. Ale wygląda na to, że ma dobre serce, jest błyskotliwy... a jeśli chodzi o pozycję, to mój mąż utrzymuje, że ma ogromny majątek. Tak mi powiedział.

— A poza tym — wtrąciła Eugenia, kartkując album pani de Villefort — dodaj, mamo, że masz szczególną słabość do tego młodzieńca.

Kobieta, Pozycja społeczna, Małżeństwo, Artysta

— A nie potrzebuję chyba pytać — rzekła pani de Villefort — czy ty, Eugenio, też masz do niego słabość?

— Ja? Ależ nie, wcale — odparła Eugenia, jak zwykle prosto z mostu. — Moim powołaniem nie są więzy małżeńskie i podporządkowanie się kaprysom mężczyzny, kimkolwiek by był. Moim powołaniem jest poświęcić się sztuce, a więc moje serce, osoba i myśli muszą być wolne.

Eugenia wypowiedziała te słowa tonem tak ostrym i stanowczym, że Valentine zarumieniła się. Nieśmiała dziewczyna nie mogła pojąć tej energicznej natury, która jakby zupełnie wyzbyła się kobiecej powściągliwości.

— Zresztą — ciągnęła Eugenia — jeśli już muszę wyjść za mąż, po dobrej czy złej woli, powinnam podziękować Opatrzności za wzgardę, jaką mi okazał pan Albert de Morcerf. Gdyby nie Opatrzność, byłabym dziś żoną człowieka okrytego hańbą.

— To prawda — dodała baronowa z ową naiwnością, którą można czasem spotkać u wielkich dam, a której nie tracą, nawet gdy przestają z ludźmi z gminu — to prawda. Gdyby nie to, że Morcerfowie się wahali, Eugenia wyszłaby za Alberta. Generałowi na tym bardzo zależało, był nawet u nas i próbował przymusić mojego męża.

— Ale przecież — wtrąciła nieśmiało Valentine — czy hańba ojca spada na syna? Zdaje mi się, że pan Albert nie jest winien zdrady, jakiej dopuścił się generał.

— Wybacz, kochana — rzekła nieugięta Eugenia — pan Albert zasługuje na swój udział w hańbie i sam się o to upomniał. Wczoraj w Operze wyzwał hrabiego Monte Christo, a dziś, tuż przed pojedynkiem, przeprosił go.

— Niemożliwe! — zawołała pani de Villefort.

— O, droga przyjaciółko — odezwała się pani Danglars, wciąż z tą samą naiwnością — to pewne, powiedział mi o tym pan Debray, który przy tym był.

Valentine wiedziała, jak się miały rzeczy, ale nie odezwała się słowem. Przez tę rozmowę ożyły w niej wspomnienia — i myślami przeniosła się do pokoju pana Noirtiera, gdzie czekał na nią Maksymilian. Zatopiona w rozmyślaniach, przestała interesować się rozmową. Nie byłaby nawet w stanie powtórzyć, o czym mówiono od paru minut; nagle pani Danglars położyła jej dłoń na ramieniu — i wyrwała ja z zadumy.

— Słucham, proszę pani? — zapytała, wzdrygając się pod dotykiem.

— Kochana Valentine, czy przypadkiem nie czujesz się źle? — zapytała baronowa.

— Ja? — rzekła dziewczyna i przeciągnęła dłonią po gorącym czole.

— No tak. Popatrz w lustro. W ciągu minuty na przemian czerwieniłaś się i bladłaś ze cztery razy.

— Rzeczywiście! — zawołała Eugenia. — Jesteś straszliwie blada!

— E, nie martw się, Eugenio, wyglądam tak już od paru dni.

I Valentine, choć nie była zbyt przebiegła, zrozumiała, że to dobry pretekst, aby wyjść.

A pani de Villefort jeszcze jej w tym pomogła.

[1352] *rewerans* (z fr.) — głęboki ukłon; przesadnie uprzejme zachowanie. [przypis edytorski]

— Idź, Valentine — rzekła. — Naprawdę źle się czujesz, obie panie wybaczą ci to. Napij się wody, to cię postawi na nogi.

Valentine ucałowała Eugenię, pozdrowiła panią Danglars, która zresztą już szykowała się do wyjścia, i opuściła salon.

— Biedne dziecko — rzekła pani de Villefort, gdy Valentine zniknęła za drzwiami — poważnie się o nią niepokoję. Nie zdziwiłabym się, gdyby nagle ciężko zachorowała.

A tymczasem Valentine, w gorączkowej ekscytacji, z której nie zdawała sobie sprawy, przeszła przez pokój Edwardka, nie odpowiadając na jakąś złośliwą zaczepkę chłopca, i doszła przez swoją sypialnię na schodki.

Zeszła już niemal na dół, brakowało tylko trzech stopni, już słyszała głos Maksymiliana — gdy nagle pociemniało jej w oczach, zachwiała się i runęła w dół.

Maksymilian jednym skokiem dopadł drzwi — i ujrzał Valentine leżącą na ziemi. Błyskawicznie porwał ją na ręce i posadził na fotelu. Valentine otwarła oczy.

— Ależ ze mnie gapa, już nie umiem chodzić! Zapomniałam, że są jeszcze trzy schodki! — mówiła gorączkowo.

— Nic sobie nie zrobiłaś? — wykrzyknął Morrel. — O Boże, Boże!

Valentine rozejrzała się wokół: zobaczyła, że w oczach dziadka maluje się straszliwa obawa.

— Nie martw się, dziadziu — rzekła, próbując się uśmiechnąć — nic mi nie jest... zakręciło mi się tylko w głowie, i ot, wszystko.

— Znowu ci się zakręciło w głowie! — rzekł Morrel, składając ręce. — O, proszę cię, uważaj na siebie!

— Ależ nie, to nic takiego, mówię wam, że już mi przeszło. A teraz posłuchaj, Maksymilianie, mam nowinę: za tydzień wychodzi za mąż Eugenia, a za trzy dni będzie wielka feta, przyjęcie zaręczynowe. Jesteśmy zaproszeni, ojciec, macocha, ja... przynajmniej tak zrozumiałam.

— A kiedy my będziemy wreszcie mogli zająć się takimi sprawami? Kochana, masz taki wpływ na dziadka, przekonaj go, aby odpowiedział: wkrótce!

— Czyli liczysz na to, że przyspieszę bieg rzeczy i przypomnę o wszystkim dziadkowi?

— Tak! I na litość, jak najszybciej. Tak długo jak nie będziesz należeć do mnie, będzie mi się zawsze wydawało, że mi się wymkniesz.

— Ejże — odparła Valentine wzdrygając się — naprawdę, jesteś zbyt bojaźliwy jak na oficera, jak na żołnierza, który podobno nie wie, co to lęk. Ha, ha, ha!

I wybuchnęła ostrym, bolesnym śmiechem; ręce jej zesztywniały i wyprostowały się, głowa opadła na oparcie fotela. Znieruchomiała.

Oczy Noirtiera krzyczały na trwogę. Morrel zrozumiał: trzeba było wołać o pomoc. Zatargał sznurem dzwonka. Pokojówka, która była właśnie w sypialni dziewczyny i lokaj — następca Barrois, wbiegli jednocześnie.

Valentine była tak blada, zimna, tak bez życia, że nie słuchając rozkazów Maksymiliana, ogarnięci strachem, który czuwał bez przerwy nad tym przeklętym domem, wybiegli na korytarz, wrzeszcząc o pomoc.

Pani Danglars i Eugenia właśnie wychodziły. Zdążyły się więc dowiedzieć, jaka była przyczyna tych hałasów.

— Przecież mówiłam — zawołała pani de Villefort. — Biedna mała!

93. WYZNANIE

W tejże chwili zabrzmiał z gabinetu głos pana de Villeforta:

— Co się dzieje?

Morrel spojrzał pytająco na Noirtiera. Starzec odzyskał już zimną krew i wskazał mu wzrokiem gotowalnię, w której Morrel już raz krył się w podobnych okolicznościach.

Chwycił tylko kapelusz i rzucił się zdyszany za zasłonę. Na korytarzu słychać już było bowiem kroki prokuratora.

Villefort wpadł do pokoju, podbiegł do Valentine i chwycił ją w ramiona.

— Lekarza! Lekarza! — krzyknął. — Idźcie po pana d'Avrigny'ego! Albo — sam po niego pójdę.

I wybiegł z pokoju.

Innymi drzwiami wymknął się Morrel. Jak obuchem uderzyło go straszliwe wspomnienie: przypomniał sobie rozmowę Villeforta i lekarza, którą podsłuchał w noc śmierci pani de Saint-Méran. Dziewczyna miała takie same objawy, jak te, które poprzedziły śmierć Barrois — były tylko nieco łagodniejsze. Jednocześnie wydało mu się, że znów brzmi mu w uszach głos Monte Christa:

„Gdybyś pan kiedyś potrzebował pomocy, proszę przyjść do mnie, mogę wiele".

Szybciej niż biegnie myśl, popędził Przedmieściem Saint-Honoré i ulicą Matignon, aż znalazł się na Polach Elizejskich.

Tymczasem Villefort dotarł dorożką przed dom pana d'Avrigny'ego. Zadzwonił tak gwałtownie, że przeraził odźwiernego, który otwarł przed nim drzwi. Villefort rzucił się w kierunku schodów, nie mając siły wyrzec choć słowa. Odźwierny znał go, więc wpuścił go do środka i tylko krzyknął za nim:

— W gabinecie, panie prokuratorze, w gabinecie!

Villefort otwierał już gwałtownie drzwi.

— A, to pan — rzekł lekarz.

— Tak, to ja — odparł Villefort, zamykając za sobą drzwi. — To ja teraz zapytam: jesteśmy sami? Doktorze, na moim domu ciąży klątwa!

— Coś takiego! — odparł d'Avrigny zimno z pozoru, choć w głębi duszy zadrżał. — Czyżby znów ktoś zachorował?

— Tak! — zawołał Villefort rwąc sobie konwulsyjnie włosy. — Tak!

Wzrok d'Avrigny'ego mówił: „Ostrzegałem pana".

I powoli zapytał:

— A więc kto z kolei umrze u pana? Jaka nowa ofiara oskarży nas o słabość przed Bogiem?

Z piersi Villeforta wyrwał się szloch. Przysunął się do lekarza i ścisnął go za ramię:

— Valentine! Kolej na Valentine.

— Pańska córka! — wykrzyknął zdumiony i zdjęty przerażeniem d'Avrigny.

— Widzisz pan, myliłeś się — wyszeptał prokurator. — Przyjdź do mnie i proś konającą o przebaczenie za te podejrzenia.

— Za każdym razem, gdy mnie pan wzywałeś, było za późno. Nieważne, idę. Ale spieszmy się, przy takim wrogu, jaki działa w pańskim domu, nie ma czasu do stracenia.

— O, tym razem, doktorze, nie będzie mi już pan wyrzucał słabości. Tym razem odnajdę mordercę i zmiażdżę go.

— Najpierw spróbujmy uratować Valentine, potem pomyślimy o zemście. Chodźmy.

Kabriolet uwiózł Villeforta i d'Avrigny'ego do domu, a w tej samej chwili Morrel pukał do drzwi Monte Christa.

Hrabia był w gabinecie i czytał, mocno zatroskany, list, który otrzymał od Bertuccia. Gdy zaanonsowano Morrela, z którym rozstał się zaledwie dwie godziny wcześniej, uniósł głowę. Również u Morrela musiały zajść jakieś nowe okoliczności, skoro młody człowiek, który żegnał go dwie godziny temu z uśmiechem na ustach, powracał teraz tak wstrząśnięty.

Hrabia wstał i podbiegł do Maksymiliana.

— Co się stało, Maksymilianie? — zapytał. — Jesteś pan blady, spływa z ciebie pot.

Morrel osunął się na fotel.

— Tak, biegłem tutaj — odparł. — Muszę z panem pomówić.

— Czy pańska rodzina ma się dobrze? — spytał hrabia ze szczerą życzliwością.

— Tak, dziękuję — rzekł młody człowiek, wyraźnie zakłopotany; nie wiedział, od czego ma zacząć. — Wszyscy zdrowi.

— To dobrze. Ale chcesz mi pan o czymś powiedzieć? — podjął hrabia, coraz bardziej zaniepokojony.

— Tak. Wyszedłem z domu, do którego zawitała śmierć, i pobiegłem do pana.

— Czyżby od państwa de Morcerfów?

— Nie. Ktoś tam umarł?

— Generał strzelił sobie w łeb.

— Ach, co za okropne nieszczęście! — wykrzyknął Maksymilian.

— No, ale nie dla hrabiny ani nie dla Alberta. Lepiej, gdy ojciec i mąż umiera, niż gdyby miał żyć z piętnem hańby. Krew je zmywa.

— Biedna hrabina! To jej mi żal przede wszystkim, taka szlachetna kobieta!

— Żałuj też i Alberta, uwierz mi, to godny syn swojej matki. Ale wróćmy do ciebie. Przybiegłeś do mnie — czyżby spotkało mnie to szczęście, że mnie potrzebujesz?

— O tak, potrzebuję, to znaczy pomyślałem jak szalony, że może zdołałby mi pan pomóc w sprawie, w której pomóc może tylko Bóg.

— Mimo to powiedz, o co chodzi.

— O, sam nie wiem, czy wolno mi wyjawić komuś taką tajemnicę, ale los, konieczność mnie do tego zmusza...

Morrel zawahał się.

— Wierzy pan, że jestem panu przyjacielem? — odezwał się Monte Christo, biorąc serdecznym gestem dłoń Maksymiliana w swoje dłonie.

— O, dodajesz mi pan odwagi, a poza tym coś mi mówi — tu Morrel przyłożył dłoń do serca — że nie powinienem mieć przed panem tajemnic.

— Ma pan rację, to Bóg podszeptuje te słowa pańskiemu sercu, a serce podszeptuje je panu. Proszę powtórzyć, co też to serce panu powiada?

— Hrabio, mógłbym posłać Baptystę, by dowiedział się, co się dzieje u kogoś, kogo pan zna?

— Powiedziałem, że jestem do pańskiej dyspozycji, a więc moja służba również.

— O, bo nie uspokoję się, dopóki się nie dowiem, że jest z nią lepiej.

— Mam zadzwonić po Baptystę?

— Nie, sam z nim porozmawiam.

Morrel wezwał Baptystę i cicho coś do niego powiedział. Lokaj natychmiast wybiegł.

— I co, załatwione? — zapytał hrabia, gdy Morrel wszedł do pokoju.

— Tak. I zaraz się trochę uspokoję.

— No, a ja czekam — odezwał się Monte Christo z uśmiechem.

— Tak, już mówię. Pewnego wieczoru byłem w pewnym ogrodzie. Ukrywałem się w kępie drzew i nikt nie domyślał się, że tam jestem. Obok mnie przeszło dwóch ludzi. Na razie nie wyjawię ich nazwisk. Rozmawiali cicho, ale tak mnie to zaciekawiło, że nie straciłem ani słowa z tego co mówili.

— Zapowiada się na ponurą historię, jeśli wierzyć pańskiej bladości; drży pan.

— O tak, to bardzo ponura historia, przyjacielu! Umarł właśnie ktoś z rodziny właściciela ogrodu. Jedną z tych osób był właśnie pan domu, drugą — lekarz. Pan domu wyznawał mu swoje obawy i cierpienia, to już drugi raz w tym miesiącu śmierć atakowała nieoczekiwanie ten dom, jakby jakiś anioł śmierci wskazywał go rozgniewanemu Bogu.

— No, no — wtrącił Monte Christo, wpatrując się uważnie w młodzieńca — i obrócił niedostrzegalnie fotel, tak aby usiąść w cieniu i aby na twarz Maksymiliana padało światło.

— Tak — ciągnął Maksymilian — w ciągu tego miesiąca śmierć dwukrotnie nawiedziła ten dom.

— A co odpowiedział lekarz?

— Odpowiedział... odpowiedział, że ta śmierć nie była naturalna i że przyczyniła się do niej... Trucizna!

— Doprawdy? — rzekł Monte Christo, lekko pokasłując; kasłaniem tym pokrywał duże wzruszenie, rumieniec, bladość albo zaintrygowanie. — Naprawdę słyszałeś takie rzeczy?

— Tak, kochany hrabio, słyszałem, i lekarz dodał, że jeśli coś takiego się powtórzy, będzie zmuszony zawiadomić policję.

Hrabia słuchał — lub udawał, że słucha — z największym spokojem.

— I cóż — ciągnął Maksymilian — śmierć uderzyła po raz trzeci, i ani pan domu, ani lekarz nic nikomu nie powiedzieli. Śmierć uderzy teraz być może po raz czwarty. Hrabio, jak pan sądzi, do czego zobowiązuje mnie znajomość takiej tajemnicy?

Przekleństwo, Wina, Kara, Rodzina, Wyrzuty sumienia, Sprawiedliwość

— Drogi przyjacielu, opowiadasz mi tu historię, jaką chyba każdy zna. Znam dom, w którym to podsłuchałeś, a przynajmniej tak mi się zdaje. Dom z ogrodem, pan domu, lekarz, dom, w którym nastąpiły trzy dziwne, niespodziewane zgony. No więc, spójrz na mnie: nie podsłuchiwałem nikogo, mimo to wiem o tym wszystkim tak dobrze, jak pan, a czy gnębią mnie jakieś wyrzuty sumienia? Nie. Nie obchodzi mnie to. Mówi pan, że

anioł śmierci wskazuje ten dom rozgniewanemu Bogu... Hm, a może tak rzeczywiście jest? Nie wnikaj w to, czego nie chcą znać ci, których to powinno interesować. Jeśli do tego domu zawitała sprawiedliwość boża, a nie boży gniew, odwróć głowę, Maksymilianie, i przepuść boską sprawiedliwość.

Maksymilian zadrżał. W głosie hrabiego pobrzmiewało coś posępnego, uroczystego i straszliwego.

— A zresztą — ciągnął hrabia głosem zmienionym do tego stopnia, że wydawało się, jakby przemówił nagle ktoś inny — skąd możesz wiedzieć, że to zacznie się znowu?

— Ale już się zaczyna, hrabio! — wykrzyknął Morrel. — Dlatego przybiegłem do pana.

— Ale co ja mam na to poradzić, kapitanie? Może przypadkiem chciałbyś, abym uprzedził prokuratora królewskiego?

Monte Christo położył taki nacisk na te słowa, że Morrel porwał się z miejsca i wykrzyknął:

— Hrabio! Ależ pan wie, o kim mówię?

— Ech, oczywiście, drogi przyjacielu, a dowiodę ci tego, stawiając kropkę nad i, a raczej nazwę ludzi, o których mówiłeś. Przechadzałeś się po ogrodzie pana de Villeforta; z tego, co mi powiedziałeś, wnioskuję, że było to w wieczór, gdy umarła pani de Saint-Méran. Podsłuchiwałeś, jak pan de Villefort rozmawia z panem d'Avrignym o śmierci pana de Saint-Mérana i nie mniej dziwnej śmierci markizy. Pan d'Avrigny mówił, że podejrzewa otrucie, a nawet dwa; a pan, wcielenie uczciwości, od tej chwili zgłębiasz swoją duszę, sondujesz sumienie i zastanawiasz się, czy wyjawić ten sekret, czy też nie. To nie średniowiecze, kochany przyjacielu, nie ma już świętej Vehme[1353] i sądów kapturowych[1354]. Czego, u diabła, chcesz pan od tych ludzi? „Sumienie, czegóż ode mnie chcesz?" mówi Sterne[1355]. Ejże, mój drogi, zostawże ich, niech sobie śpią, jeśli sypiają — a jeśli cierpią na bezsenność, pozwól im tak zmizernieć. I na litość boską, sam się wysypiaj, nie dręczą cię przecież wyrzuty sumienia.

Na twarzy Morrela odmalowało się okropne cierpienie. Chwycił Monte Christa za rękę.

— Ale to się znów zaczyna, czy pan nie słyszy?

— Ejże, to niech się zaczyna — odparł hrabia, zdumiony tym uporem, którego nie pojmował, i spojrzał uważnie na Maksymiliana. — To rodzina Atrydów[1356]. Bóg ich potępił, a jego wyrok zostanie wykonany. Choćby ich było dwustu, rozsypią się jak zabaweczki z papieru pod tchnieniem Pana. Trzy miesiące temu pan de Saint-Méran, dwa miesiące temu markiza, ostatnio — Barrois, a dziś stary Noirtier albo panna Valentine.

— Wiedział pan o tym? — zakrzyknął Morrel z taką zgrozą, że Monte Christo zadrżał, on, który zachowałby spokój, nawet gdyby niebo runęło na ziemię. — Wiedział pan o tym i nic pan nie mówił!

— A co mnie to obchodzi? — odparł Monte Christo, wzruszając ramionami. — Czy ja znam tych ludzi? Czy miałem ocalić jedno z nich, aby pogrążyć drugie? Do licha, nie, wszystko mi jedno, kto jest tam ofiarą, a kto mordercą.

— Ale ja — ryknął z rozpaczą Morrel — ja ją kocham!

— Kogo kochasz?! — zawołał Monte Christo, zrywając się na równe nogi i chwytając Morrela za ręce, które młodzieniec załamywał i wznosił do nieba.

[1353] *Vehme*, właśc. *Vehmgericht* — rodzaj sądów funkcjonujących w Westfalii w XIV–XV wieku, działających na ziemiach nieobjętych systemem sądownictwa dziedzicznych książąt; opierały się na bractwach ławników zwanych „wolnymi sędziami", a ich obrady, początkowo jawne, później często przebiegały w tajemnicy; zniesione w 1811, stały się synonimem samozwańczych tajnych sądów sprawowanych przez rozmaite sprzysiężenia. [przypis edytorski]

[1354] *sąd kapturowy* — nadzwyczajny sąd w daw. Rzeczypospolitej powoływany w czasie bezkrólewia, gdy zawieszały swą działalność sądy zwykłe, wydające wyroki w imieniu władcy; pot. określenie na działające w tajemnicy sądy samozwańcze. [przypis edytorski]

[1355] *Sterne, Laurence* (1713–1768) — pisarz ang. ur. w Irlandii, twórca sentymentalizmu; duchowny anglikański i działacz polityczny w stronnictwie wigów (autor kazań oraz pamfletów przeciw torysom). [przypis edytorski]

[1356] *Atrydzi* (mit. gr.) — potomkowie Atreusa, króla Myken; ród przeklęty przez bogów z powodu bratobójstwa, którego dopuścili się Atreus i Tyestes na swym przyrodnim bracie Chryzipposie; historię rodu znaczą najokrutniejsze zbrodnie popełniane w łonie rodziny; Atrydami byli m.in. Agamemnon i Menelaos, mąż Heleny Trojańskiej. [przypis edytorski]

— Kocham jak szaleniec, kocham tak, że dałbym z siebie całą krew wytoczyć, aby oszczędzić jej jednej łzy. Kocham Valentine, którą chcą zamordować, rozumiesz pan? Kocham ją i pytam Boga, pytam pana, jak mogę ją uratować!

Monte Christo wydał ryk, niczym zraniony lew.

— Nieszczęsny! — wykrzyknął, załamując ręce. — Nieszczęsny! Kochasz Valentine! Kochasz tę córkę przeklętego rodu!

Nigdy jeszcze Morrel nie widział takiego wyrazu twarzy. Nigdy jeszcze nie zapłonęły przed nim tak straszliwym blaskiem czyjeś oczy. Nigdy geniusz grozy, który pojawiał się przed nim tyle razy na polach bitwy albo podczas krwawych algierskich nocy, nie rozstrzelił wokół tak złowrogich ogni. Przerażony, cofnął się.

Monte Christo zaś zamknął na chwilę oczy po tym strasznym wybuchu, jakby oślepił go jakiś wewnętrzny blask. Zbierał się w sobie z taką mocą, że widać było, jak jego pierś wzburzona nawałem uczuć uspokaja się z wolna, niczym wzburzone i spienione po sztormie fale, gdy wreszcie wyjdzie słońce. Ta cisza, to skupienie i ta walka trwały przez jakiś czas. Następnie hrabia uniósł pobladłą twarz.

— Widzisz, drogi przyjacielu — rzekł zmienionym głosem — jak Bóg umie karać za obojętność największych, najzimniejszych fanfaronów, jeśli nie wzruszają ich straszliwe obrazy, jakie im stawia przed oczyma? Oglądałem chłodno i z ciekawością, jak rozwija się ta ponura tragedia, śmiałem się niczym szatan ze zła, jakie czynią ludzie, bezpieczny w ukryciu — a tak łatwo ukrywać się, gdy się jest bogatym i potężnym! I teraz właśnie i mnie ugryzł ten wąż, któremu się przypatrywałem, ugryzł mnie w samo serce!

Morrel głucho jęknął.

— No, no — mówił hrabia — dość tych płaczów. Bądź mężczyzną, bądź silny, nie trać nadziei, jestem tu i czuwam nad tobą.

Morrel potrząsnął smutno głową.

— Powtarzam, nie trać nadziei! Rozumiesz? — zawołał Monte Christo. — Wiedz pan, że nigdy nie kłamię, nigdy się nie mylę. Jest południe, Maksymilianie — podziękuj niebu, żeś przyszedł do mnie w południe, a nie wieczorem albo jutro rano. Posłuchaj mnie: jeżeli Valentine jeszcze nie umarła, już nie umrze.

— O Boże, Boże! — wykrzyknął Morrel. — Kiedy wychodziłem, była umierająca!

Monte Christo przyłożył dłoń do czoła. Co się działo w tej głowie, obciążonej tylo-ma straszliwymi tajemnicami? Co mówił temu człowiekowi, jednocześnie bezlitosnemu i ludzkiemu, anioł jasności lub anioł ciemności? Bóg jeden może to wiedzieć.

Monte Christo podniósł głowę i tym razem był pogodny jak budzące się dziecko.

— Maksymilianie — rzekł — wracaj spokojnie do siebie. Masz się stamtąd nie ruszać, nie podejmować żadnych kroków, nie pokazywać po sobie ani cienia rozpaczy. Dam ci znać. Idź już.

— Boże, Boże — rzekł Morrel — przeraża mnie pan tą swoją zimną krwią. A więc jest pan w stanie walczyć ze śmiercią? Jesteś czymś więcej jak człowiekiem? Jesteś aniołem? Jesteś Bogiem?

I młodzieniec, który nigdy nie cofał się przed niebezpieczeństwem, cofnął się przed hrabią, zdjęty niewypowiedzianą zgrozą. Ale Monte Christo spojrzał nań z uśmiechem pełnym takiej melancholii i łagodności, że Maksymilian poczuł łzy w oczach.

— Mogę wiele, przyjacielu — odparł hrabia. — Idź, muszę zostać sam.

Morrel, ulegając niezwykłemu wpływowi, jaki wywierał Monte Christo na swe oto-czenie, nawet nie próbował się spod niego wyrwać. Uścisnął dłoń hrabiego i wyszedł.

Ale w drzwiach zatrzymał się, aby poczekać na Baptystę — Baptysta bowiem wybiegł właśnie zza rogu ulicy Matignon.

Tymczasem Villefort i d'Avrigny przyjechali na miejsce.

Valentine była wciąż nieprzytomna. Lekarz zbadał ją ze starannością, którą nakazywały okoliczności, i tak wnikliwie, jak wskazywała znana mu tajemnica. Villefort zawiesił wzrok na jego ustach, czekając na diagnozę.

Noirtier, bledszy od wnuczki, czekał z jeszcze większą niecierpliwością, a oczy płonęły mu blaskiem pełnym inteligencji.

W końcu d'Avrigny wolno wyrzekł:

— Jeszcze żyje.

— Jeszcze! — wykrzyknął Villefort. — Doktorze, jak to strasznie brzmi!

— Tak — przytaknął lekarz — powtarzam: żyje jeszcze i bardzo mnie to dziwi.

— Ale da się ją ocalić?

— Tak, skoro żyje...

W tejże chwili wzrok d'Avrigny'ego skrzyżował się ze spojrzeniem Noirtiera. Oczy starca błyszczały taką radością, widać było w nich myśl tak bogatą, że aż to lekarza zastanowiło.

Ułożył znów na fotelu dziewczynę — jej zbielałe usta ledwie można było dojrzeć w równie zbielałej twarzy — i znieruchomiał, patrząc na Noirtiera, który bacznie śledził każdy gest lekarza.

— Proszę wezwać pokojówkę panny Valentine — zwrócił się do Villeforta d'Avrigny.

Villefort puścił głowę Valentine, którą podtrzymywał, i pobiegł po pokojówkę. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, d'Avrigny podszedł do Noirtiera.

— Chce mi pan coś powiedzieć? — zapytał.

Starzec zamrugał gwałtownie oczyma; jak wiemy, tylko tak mógł potwierdzać czyjeś słowa.

— Tylko mnie?

— Tak.

— Dobrze, zostanę tu trochę z panem.

W tejże chwili wrócił Villefort, za nim weszła pokojówka, a za pokojówką — pani de Villefort.

— Ale cóż to się stało naszej dziecince? — spytała. — Wyszła ode mnie, skarżyła się, że źle się czuje, ale nie sądziłam, że to coś poważnego

I młoda kobieta, ze łzami w oczach, czule jak rodzona matka utuliła rękę Valentine.

D'Avrigny patrzył ciągle na Noirtiera; starzec wytrzeszczył oczy, źrenice mu się rozszerzyły, policzki posiniały mu i zadrgały, pot wystąpił na czoło.

— A! — wyrwało mu się mimowolnie, gdy skierował wzrok w ślad za spojrzeniem Noirtiera — i ujrzał panią de Villefort, która właśnie w tej chwili mówiła:

— Biednemu dziecku będzie lepiej w łóżku. Fanny, chodź tu, położymy ją.

Pan d'Avrigny, który ujrzał w tej propozycji okazję, aby zostać sam na sam z Noirtierem, kiwnął głową na znak, że rzeczywiście tak będzie najlepiej. Zabronił jednak podawać jej cokolwiek do picia lub jedzenia prócz tego, co sam przepisze.

Wyniesiono Valentine, która właśnie odzyskała przytomność; nie mogła jednak ani mówić, ani się poruszać, tak była osłabiona wstrząsem, jakiego doznał jej organizm. Miała jednak tyle siły, aby pożegnać spojrzeniem dziadka, któremu wydało się, gdy ją wynosili, że mu wyrywają duszę.

D'Avrigny poszedł za chorą, wydał ostatnie rozporządzenia, kazał Villefortowi wsiąść do kabrioletu i pojechać do apteki, aby w jego obecności przygotowano lekarstwa; miał je przywieść osobiście i czekać na lekarza w pokoju córki. Powtórzył raz jeszcze zalecenie, aby nie pozwolono dziewczynie nic brać do ust, wrócił do Noirtiera, zamknął starannie drzwi, a upewniwszy się, że nikt nie słyszy, rzekł:

— Czy wiesz pan coś o tej chorobie wnuczki?

— Tak.

— Nie mamy czasu do stracenia; ja będę pytał, a pan będziesz odpowiadał.

Noirtier dał znak, że gotów jest odpowiadać.

— Przewidziałeś pan to, co się dziś przydarzyło pannie Valentine?

— Tak.

D'Avrigny zastanawiał się przez chwilę, a potem przysunął się bliżej Noirtiera:

— Proszę mi wybaczyć to, co powiem, ale nie możemy pominąć żadnego śladu w takich straszliwych okolicznościach, że tak pana zapytam. Czy widziałeś pan, jak umierał biedny Barrois?

Noirtier wzniósł oczy ku niebu.

— Czy wiesz pan, dlaczego umarł? — spytał d'Avrigny, kładąc rękę na ramieniu Noirtiera.

— Tak.

— Sądzisz pan, że to była śmierć naturalna?

Coś na kształt uśmiechu zarysowało się na nieruchomych ustach Noirtiera.

— Wpadł pan na myśl, że Barrois został otruty?

— Tak.

— Czy sądzisz pan, że trucizna była przeznaczona dla niego?

— Nie.

— A teraz, czy sądzisz pan, że ta sama ręka dziś podsunęła truciznę pannie Valentine?

— Tak.

— Więc i ona padnie ofiarą? — zapytał d'Avrigny i wlepił przenikliwy wzrok w pana Noirtiera, czekając, jaki skutek wywrą na nim te słowa.

— Nie! — odparł starzec, a patrzył tak triumfująco, że nikt by się tego po nim nie spodziewał.

— A więc ma pan nadal nadzieję? — zdziwił się d'Avrigny.

— Tak.

— Czegóż się pan spodziewasz?

Starzec dał spojrzeniem do zrozumienia, że nie może odpowiedzieć.

— A, prawda! — szepnął d'Avrigny.

I zwrócił się znów do Noirtiera:

— Spodziewasz się, że morderca odstąpi od swego zamiaru?

— Nie.

— A więc ma pan nadzieję, że trucizna nie podziała na Valentine.

— Tak.

— Bo przecież to dla pana nic nowego, że ktoś próbował ją otruć?

Starzec dał znak, że nie ma w tej kwestii żadnych wątpliwości.

— A więc skąd ta nadzieja, że Valentine ujdzie śmierci?

Noirtier wlepił wzrok z uporem w jedno miejsce; d'Avrigny spojrzał w tym samym kierunku i zrozumiał, że oczy Noirtiera utkwione były w butelce z lekarstwem, które mu podawano co dzień rano.

— A! — zawołał d'Avrigny, nagle zrozumiawszy — wpadł więc pan na pomysł...

Noirtier nie pozwolił mu dokończyć:

— Tak.

— Że można ją uodpornić na truciznę...

— Tak.

— Przyzwyczajając ją do niej po trochu...

— Tak, tak, tak — Noirtier nie posiadał się z radości, że lekarz go zrozumiał.

— Słyszałeś pan zapewne, jak mówiłem, że w skład tego leku wchodzi brucyna?

— Tak.

— I przyzwyczaił pan Valentine do brucyny, aby w ten sposób zneutralizować skutki podobnej trucizny?

W oczach Noirtiera błyszczała wciąż triumfalna radość.

— I dokazał pan swego! — zawołał d'Avrigny. — Gdyby nie ta przezorność, Valentine już by nie żyła, zamordowana bez litości, i wszelka pomoc byłaby daremna. Atak był gwałtowny, ale tylko nią wstrząsnął i osłabił; przynajmniej tym razem Valentine nie umrze.

Bezgraniczna radość zabłysła w oczach starca, wzniesionych ku niebu z wdzięcznością.

W tejże chwili wrócił Villefort.

— Proszę — rzekł do lekarza — mam lekarstwo, które pan zapisał.

— Przygotowano je w pańskiej obecności?

— Tak.

— I nie dawał go pan nikomu?

— Nie.

D'Avrigny wziął flakonik, nakapał sobie kilka kropel na rękę i skosztował.

— Dobrze — rzekł — chodźmy teraz do Valentine. Wydam wszystkim zalecenia, a pan ma dopilnować, aby nikt ich nie zaniedbywał.

Gdy lekarz szedł z Villefortem do pokoju Valentine, jakiś włoski ksiądz, o surowym wyglądzie i spokojnym, stanowczym głosie wynajmował właśnie dom przylegający do pałacu pana de Villeforta.

Nie wiadomo na podstawie jakiej transakcji dwie godziny później z kamieniczki wyprowadziło się trzech lokatorów; po dzielnicy rozeszła się plotka, że dom osuwał się na

fundamentach i że grozi mu ruina. Nie powstrzymało to jednak nowego lokatora i wprowadził się tam ze swoim skromnym dobytkiem tego samego dnia, około piątej.

Nowy lokator podpisał umowę na kilka lat, a zapłacił z góry na pół roku, jak tego zwykle żądają wynajmujący.

Był to, jak już powiedzieliśmy, włoski ksiądz, a nazywał się signor Giacomo Busoni.

Przywołano natychmiast rzemieślników i tejże samej nocy kilku przechodniów, wracających późno do domu, spostrzegło ze zdziwieniem, jak cieśle i murarze zabierają się do pracy przy niszczejącym domu.

94. OJCIEC I CÓRKA

Widzieliśmy w poprzednim rozdziale, jak pani Danglars zapowiedziała oficjalnie pani de Villefort ślub Eugenii z panem Andreą Cavalcantim.

Tę oficjalną zapowiedź, wskazującą, że wszyscy zainteresowani podjęli wspólną decyzję, poprzedziła scena, z której winniśmy zdać sprawę czytelnikom.

Wróćmy więc do poranka owego dnia, tak brzemiennego w tragiczne wydarzenia, i przenieśmy się myślą do kapiącego od złoceń salonu, przedmiotu dumy jego właściciela, pana barona Danglarsa. Pan baron przechadzał się około dziesiątej w tym salonie już od paru minut, zamyślony i wyraźnie zaniepokojony, spoglądając co chwilę na drzwi i przystając za byle szmerem. Kiedy wyczerpała się jego cierpliwość, wezwał lokaja.

— Stefanie — rzekł — idź zobacz, dlaczego panna Eugenia prosiła, bym czekał na nią w salonie, i dowiedz się, dlaczego każe mi na siebie tak długo czekać.

Wyładowawszy zły humor, baron uspokoił się nieco.

Istotnie, panna Danglars poprosiła przez pokojówkę o spotkanie z ojcem i wyznaczyła na miejsce tej rozmowy złoty salon. Ta szczególna prośba, a zwłaszcza jej oficjalny charakter, zdumiały barona tak, że zgodził się natychmiast i pierwszy stawił się w salonie.

Stefan wrócił niebawem.

— Pokojówka jaśnie panienki — rzekł — oznajmiła mi, że panienka kończy toaletę i zaraz się zjawi.

Maska, Pozory, Ojciec, Obyczaje

Danglars kiwnął głową na znak, że zadowala go to wyjaśnienie. Wobec znajomych, a nawet wobec służby Danglars pozorował poczciwca i pobłażliwego ojca: taką rolę obrał sobie w ludowej komedii, jaką grał. Przybrał sobie fizjonomię podobną do masek, jakie nosili ojcowie w antycznym teatrze. Lewa i prawa strona takiej maski różnią się: po prawej kącik ust jest uniesiony i uśmiechnięty, po prawej — płaczliwie opuszczony. Dodajmy zaraz, że w gronie rodzinnym część uśmiechnięta opuszczała się do poziomu części płaczliwej — i niemal przez cały czas miejsce poczciwca zajmował mąż-brutal i despotyczny ojciec.

— Dlaczego, u diabła, ta wariatka nie przyjdzie po prostu do mnie do gabinetu — mruknął Danglars — jeśli chce ze mną pogadać? A zresztą, po co?

Przetrawiał tę myśl już po raz dwudziesty, gdy w drzwiach stanęła Eugenia, ubrana w czarną, atłasową jedwabną suknię, haftowaną w matowe kwiaty tej samej barwy, uczesana wytwornie i w rękawiczkach — jakby właśnie miała zasiąść w swoim fotelu w Teatrze Włoskim.

— No, Eugenio, o co chodzi? — zawołał Danglars. — I czemu chcesz rozmawiać w tym uroczystym salonie, czy nie lepiej by nam było u mnie, w gabinecie?

— Drogi ojcze, masz zupełną rację — odparła Eugenia, wskazując mu fotel. — Postawił mi ojciec dwa pytania, w których streszcza się cała rozmowa, jaką chcę z ojcem przeprowadzić. Odpowiem na obydwa, ale wbrew zwyczajom najpierw na drugie, gdyż jest mniej skomplikowane. Wybrałam salon, aby uniknąć nieprzyjemnego wrażenia, jakie odczuwa się w gabinecie bankiera. Te księgi obrachunkowe, nawet jeżeli grubo złocone, te szuflady zamknięte na głucho jak bramy fortecy, te stosy banknotów, które się biorą nie wiadomo skąd, te listy z Anglii, Holandii, Hiszpanii, Indii, Chin i Peru, dziwnie działają na umysł ojca. Przez nie ojciec zapomina, że istnieje w życiu coś ważniejszego i świętszego niż pozycja społeczna i opinia kolegów. Wybrałam więc salon, bo wiszą tu w zdobionych ramach portrety ojca, matki i mój — wszyscy jesteśmy na nich uśmiechnięci i weseli, a poza tym są tu też wzruszające obrazki pasterskie. Ufam, że otoczenie wywiera na

nas wpływ. Być może to błąd, szczególnie gdy idzie o ojca. Ale cóż, nie byłabym chyba artystką, gdybym wyzbywała się całkiem złudzeń.

— Bardzo dobrze — rzekł Danglars, który wysłuchał tej tyrady z niezmąconą zimną krwią, ale nie zrozumiał ani słowa, pochłonięty był bowiem, jak to zazwyczaj bywa u ludzi podstępnych, doszukiwaniem się własnych myśli w myślach rozmówcy.

— A więc wyświetliłam mniej więcej punkt drugi — rzekła Eugenia, bez najmniejszego zakłopotania, z ową męską pewnością siebie, która charakteryzowała każdy jej gest i słowo — i zdaje mi się, że zadowoliła ojca moja odpowiedź. A teraz wróćmy do punktu pierwszego. Pytał mnie ojciec, dlaczego chciałam z nim porozmawiać. Odpowiem krótko: ojcze, nie chcę poślubić pana Andrei Cavalcantiego.

Danglars podskoczył na fotelu, wznosząc jednocześnie oczy i ramiona do nieba.

— Tak, ojcze — ciągnęła Eugenia tym samym spokojnym tonem. — Jesteś zdziwiony, jak widzę, bo od początku całej tej intryżki nie okazałam najmniejszego sprzeciwu, pewna, że w odpowiednim momencie przeciwstawię się zdecydowanie ludziom, którzy bynajmniej nie pytali mnie o zdanie, i sprawom, które mnie napawają odrazą. Tym razem ten spokój, ta bierność, jak mawiają filozofowie, wypływały z innego źródła. Jako uległa i oddana córka — na purpurowych ustach Eugenii zarysował się lekki uśmiech — ćwiczyłam się w posłuszeństwie.

— No i co?

— I starałam się, na ile pozwalały mi siły, a teraz, gdy nadszedł moment krytyczny, mimo wysiłków, nie jestem w stanie okazać posłuszeństwa.

— Ale w końcu jaka jest przyczyna tej odmowy, Eugenio, podaj mi przyczynę? — rzekł Danglars, którego mierny umysł zdawał uginać się pod ciężarem tego bezlitosnego logicznego rozumowania, zdradzającego siłę woli i nieustępliwość.

— Przyczyna? O Boże, bynajmniej nie chodzi o to, że pan Cavalcanti miałby być brzydszy, głupszy lub mniej sympatyczny niż inni, nie — pan Andrea może nawet uchodzić wśród tych, którzy oceniają mężczyzn po wzroście i urodzie, za całkiem piękny okaz. Nie chodzi też o to, że nie darzę go jakimś szczególnym uczuciem, byłby to argument godny pensjonarki[1357], a więc poniżej mojej godności. Nie kocham nikogo, ojciec przecież dobrze o tym wie. A więc nie rozumiem, dlaczego — jeśli nie przymusza mnie do tego absolutna konieczność — miałabym sobie obciążać życie wieczystym towarzyszem. Czyż nie powiedział jakiś mędrzec: „zachowaj umiar", a inny: „bierz tyle, ile zdołasz unieść"? Nauczono mnie nawet tych aforyzmów po łacinie i po grecku. Jeden jest chyba Fedrusa[1358], a drugi Biasa[1359]. A więc, drogi ojcze, w tej życiowej katastrofie — bo przecież życie jest jak katastrofa na morzu, w której toną nasze nadzieje — ot, wyrzucam do morza niepotrzebny bagaż i pozostaję panią mojej woli. Jestem gotowa żyć sama — a więc w całkowitej wolności.

— Nieszczęsna! Nieszczęsna! — wyszeptał Danglars, blednąc, wiedział bowiem z doświadczenia, jak oporna była przeszkoda, na którą nagle natrafił.

— Nieszczęsna? Ależ nie! I to słowo jest doprawdy zbyt teatralne i patetyczne. Wręcz przeciwnie, jestem szczęśliwa, bo przecież czego mi brakuje? Świat uważa, że jestem piękna, a to znaczy, że przyjmie mnie z otwartymi rękoma. A ja lubię, gdy spotyka mnie miłe przyjęcie: twarze rozjaśniają się i ci, którzy mnie otaczają, wydają się mniej brzydcy. Mam pewne zdolności i wrażliwość, które pozwolą mi na wydobycie z życia tego, co uważam za dobre, jak to robi małpa, gdy rozłupuje orzech, by dostać się do tego, co jest w środku. Jestem bogata — ojciec ma jedną z najpiękniejszych fortun we Francji, a ja jestem jedynaczką i przecież ojciec nie będzie aż tak uparty jak ojcowie ze sztuk teatralnych, którzy wydziedziczają córki, bo nie chcą im dać wnuków. Zresztą przewidujące prawo odbiera ojcu możliwość całkowitego wydziedziczenia mnie, podobnie jak zabrania zmuszać mnie do poślubienia pana takiego lub owakiego. A więc jestem piękna, inteligentna, bogata i zdobi mnie pewien talent, jak to się mówi w operetkach. Ależ to jest dopiero szczęście, ojcze! Dlaczego nazywasz mnie nieszczęsną?

[1357] *pensjonarka* — uczennica pensji dla dziewcząt; osoba niedoświadczona, niewinna. [przypis edytorski]

[1358] *Fedrus* właśc. *Phaedrus* (15 p.n.e.–50 r. n.e.) — rzym. bajkopisarz; wyzwoleniec; tłumacz i naśladowca Ezopa, twórca bajki jako odrębnego gatunku literackiego w literaturze łac. [przypis edytorski]

[1359] *Bias z Prieny* (VI w. p.n.e.) — mędrzec gr., w tradycji klasycznej zaliczany do tzw. siedmiu mędrców, żyjących w VII i VI w. p.n.e. [przypis edytorski]

Danglars, widząc córkę uśmiechniętą i okazującą dumę, która graniczyła z bezczelnością, nie mógł powstrzymać brutalnej myśli, która zdradziła się w jednym okrzyku. Gdy córka spojrzała nań pytająco i zdziwiona zmarszczyła lekko piękne czarne brwi, odwrócił się, jak nakazywała mu ostrożność, i uspokoił, ujarzmiony żelazną ręką roztropności.

— Rzeczywiście, moja córko — odrzekł z uśmiechem — masz wszystkie te zalety, jakie sobie przypisałaś z wyjątkiem jednej, ale nie będę ci od razu mówił, jakiej. Wolę, żebyś sama to odgadła.

Eugenia spojrzała na ojca, zdziwiona, że ktoś kwestionuje jeden z kwiatów wieńca, którym z taką dumą ozdobiła sobie głowę.

— Droga córko — ciągnął bankier — wyjaśniłaś mi dokładnie, jakie uczucia kierują dziewczyną twego pokroju, gdy decyduje, że nie wyjdzie za mąż. A teraz kolej na mnie, powiem ci, czym kieruje się ojciec, taki jak ja, gdy postanawia wydać córkę za mąż.

Eugenia skłoniła głowę, ale nie jak uległa córka, lecz jak przeciwnik w dyskusji, który czeka na argumenty drugiej strony.

— Córko — podjął Danglars — kiedy ojciec żąda, aby córka wyszła za mąż, zawsze czyni to z jakiegoś powodu. Jedni są dotknięci manią przedłużenia rodu poprzez wnuki. Jestem wolny od tej słabości i oświadczam ci zaraz na początku, że rozkosze domowe są dla mnie niemal obojętne. Mogę to wyznać przed córką, która posiada na tyle filozoficzny umysł, że zrozumie tę obojętność i nie poczyta mi jej za zbrodnię.

— Bardzo dobrze, zaczynamy mówić otwarcie, podoba mi się to.

— Och! Wiesz, zazwyczaj nie żywię aż takiej sympatii do otwartości, jak ty, ale jestem do niej zdolny, gdy zmuszają mnie do tego okoliczności. A więc do rzeczy. Wyszukałem ci męża, nie dla ciebie, bo doprawdy nie myślałem bynajmniej o tobie. Lubisz szczerość, proszę cię bardzo: po prostu potrzebuję, abyś jak najszybciej wyszła za mąż ze względu na pewne handlowe interesy, które właśnie zaczynam rozwijać.

Eugenia drgnęła.

— Nie powinnaś mieć do mnie żalu za te słowa, bo sama mnie zmusiłaś, bym ci to powiedział. Rozumiesz, niechętnie zagłębiam się w te arytmetyczne rozważania przy takiej artystce jak ty, która lęka się wejść do gabinetu bankiera, bo jest tam nieprzyjemnie i niepoetycznie.

Ale wiedz, droga panno, że w tym gabinecie bankiera, do którego jednak przedwczoraj zechciałaś zawitać po swoje comiesięczne tysiąc franków, jakie ci daję na twoje kaprysy — że w tym gabinecie może nauczyć się wiele nawet i taka młoda osoba jak ty, odżegnująca się od małżeństwa. Ale ze względu na twoje delikatne nerwy powiem ci o tym tu, w salonie: można się tam na przykład nauczyć, że kredyt stanowi o życiu fizycznym i duchowym bankiera, że podtrzymuje go przy życiu jak oddech, który ożywia ciało. Pan de Monte Christo zrobił mi kiedyś na ten temat cały wykład, nigdy tego nie zapomnę. Można się więc tam nauczyć, że w miarę jak kredyty się cofają, ciało zamienia się w trupa. W najbliższym czasie spotka to bankiera, który ma zaszczyt być ojcem tak logicznie myślącej córki.

Lecz Eugenia, zamiast pochylić się pod nagłym ciosem, wyprostowała się.

— Bankructwo! — rzekła.

— Trafiłaś na dobre wyrażenie, córeczko — rzekł Danglars, wbijając sobie paznokcie w pierś, ale na jego pospolitej twarzy nadal gościł uśmiech, który dowodził nie braku inteligencji, lecz uczuć. — Właśnie tak, bankructwo.

— Ach! — szepnęła Eugenia.

— Tak, jestem zrujnowany! Teraz znasz ową okropną tajemnicę, jak powiada któryś poeta tragiczny. A teraz, córko, powiem ci, jak można zmniejszyć to nieszczęście dzięki tobie, i to nie ze względu na mnie, ale na ciebie.

— O, złym jesteś fizjonomistą, ojcze — zawołała Eugenia — jeśli przypuszczasz, że przez wzgląd na siebie opłakuję to nieszczęście, które mi przedstawiasz. Że nie mam majątku? A cóż mnie to obchodzi? Czyż nie mam nadal mojego talentu? Czyż nie mogę jak panie Pasta[1360], Malibran czy Grisi[1361] zarobić tyle, ile byś mi nigdy nie potrafił dać — to jest sto czy sto pięćdziesiąt tysięcy renty, które zawdzięczałabym tylko sobie? A zdobywa-

[1360] *Pasta, Giuditta* (1797–1865) — wł. śpiewaczka, znana z głosu o bardzo szerokiej skali. [przypis edytorski]
[1361] *Grisi, Giulia* (1811–1869) — wł. śpiewaczka operowa, sopran. [przypis edytorski]

łabym te pieniądze wśród oklasków, braw i kwiatów, nie jak te nędzne dwanaście tysięcy, które ojciec daje mi, patrząc na mnie krzywo i wyrzucając mi rozrzutność. A gdybym nawet nie miała tego talentu, w który wątpisz, bo widzę, że się uśmiechasz, czyż nie zostaje mi moje szaleńcze przywiązanie do niezależności? Zastąpi mi wszelkie skarby, a jest u mnie silniejsze niż instynkt samozachowawczy.

O nie, nie smucę się ze względu na siebie, zawsze sobie jakoś poradzę. Książki, ołówki, fortepian, to wszystko kosztuje niewiele i zawsze będę miała do tego dostęp. Myślisz może, że martwię się przez wzgląd na matkę? Mylisz się. Jeśli aby nie jestem w błędzie, matka zabezpieczyła się dobrze przed katastrofą, która ci grozi, a która jej nawet nie dotknie. Nic jej się nie stanie, jestem pewna, miała czas się zajmować pomnażaniem swojego majątku, bo nie zajmowała się mną. Zostawiła mi dzięki Bogu zupełną swobodę, pod pretekstem, że kocham wolność.

O nie, ojcze, od dzieciństwa działo się na moich oczach zbyt wiele i zbyt dobrze to rozumiałam, aby taka katastrofa wywarła na mnie większe wrażenie, niż na to zasługuje. Odkąd pamiętam, nikt mnie nie kochał, tym gorzej! Doprowadziło to do tego, że i ja nikogo nie kocham — tym lepiej! Oto moje wyznanie wiary.

— A zatem, moja panno, postanowiłaś mnie pogrążyć ostatecznie w ruinie? — wycedził Danglars blady z gniewu, który bynajmniej nie wynikał z urażonych ojcowskich uczuć.

— Ja miałabym cię pogrążyć? Nie rozumiem?

— Tym lepiej, to mi daje promyk nadziej; posłuchaj.

— Słucham — rzekła Eugenia, spoglądając na ojca tak przenikliwie i z taką pewnością siebie, że musiał użyć wszystkich swoich sił, aby nie spuścić oczu.

— Jeśli pan Cavalcanti ożeni się z tobą, wniesie trzy miliony, które umieści w moim banku.

— Ach, to znakomicie — prychnęła Eugenia z głęboką pogardą, wygładzając sobie rękawiczki.

— Czy sądzisz, że ukrzywdziłbym cię o te trzy miliony? Bynajmniej. Te trzy miliony powinny przynieść co najmniej dziesięć. Otrzymałem do spółki ze znajomym koncesję na kolej żelazną. To jedyna gałąź przemysłu, która dziś zapewnia bajeczny i natychmiastowy zysk — taki, jaki kiedyś Law[1362] obiecywał paryżanom, sprzedając im legendarne tereny nad Missisipi. Obliczyłem, że wystarczy posiadać jedną milionową szyn, tak jak niegdyś wystarczało kupić morgę dziewiczej ziemi nad brzegiem Ohio. To tak, jak lokata hipoteczna, tyle że pieniądze lokuje się w kilkunastu, kilkudziesięciu czy stu funtach żelaza. No i cóż, za tydzień mam złożyć mój udział — cztery miliony! Te cztery miliony, jak ci już mówiłem, dadzą mi dziesięć do dwunastu zysku.

— Ale kiedy byłam u ciebie przedwczoraj, ojciec zainkasował — tak się mówi, prawda? — pięć i pół miliona. Pokazał mi ojciec dwa bony skarbowe na tę sumę i dziwił się ojciec, że mnie nie olśnił widok takiej sumy.

— Tak, ale te pieniądze nie należą do mnie, to tylko dowód zaufania. Jako bankier ludowy zyskałem sobie zaufanie szpitali i to do nich należy ta suma. Kiedy indziej nie wahałbym się użyć tych pieniędzy, ale dziś, gdy wszyscy wiedzą, jak wielkie poniosłem straty, gdy zaczynają cofać mi kredyt, muszę być ostrożny. W każdej chwili administracja może zażądać tego depozytu i gdybym nie miał go wtedy przy sobie, musiałbym ogłosić ze wstydem bankructwo. Wierz mi, nie gardzę bankructwami, ale takimi, które wzbogacają, a nie takimi, co niszczą. Jeżeli więc wyjdziesz za pana Cavalcantiego, dostanę trzy miliony, a nawet wystarczy, by tak myślano: znów będą mi udzielać kredytu i odzyskam majątek, który stopniowo ulatnia się z mych rąk od dwóch miesięcy. Rozumiesz to, Eugenio?

— Ależ doskonale. Ojciec daje mnie w zastaw za trzy miliony, prawda?

— Im większa suma, tym pochlebniej dla ciebie. Uświadamia ci, ile jesteś warta.

— Dziękuję. Jeszcze jedno pytanie: czy przyrzekasz, że będziesz tylko obracał pieniędzmi pana Cavalcantiego, ale ich nie naruszysz? Pytam nie przez egoizm, ale przez

[1362] *Law, John* (1671–1729) — szkocki finansista i ekonomista; w uzgodnieniu z władzami w 1716 stworzył w Paryżu bank, który jako pierwszy we Francji emitował banknoty; założył także finansowaną przez Banque Royale Kompanię Missisipi, która otrzymała monopol na handel z fr. koloniami w Ameryce; Kompania nie przyniosła jednak spodziewanych zysków i nastąpił krach finansowy; Law uciekł z Francji i do końca życia zajmował się hazardem. [przypis edytorski]

delikatność. Chciałabym przyczynić się do odbudowania twojej fortuny, ale nie chcę ci pomagać w rujnowaniu innych.

— Ale przecież mówię ci — zawołał Danglars — że z tymi trzema milionami...

— Myślisz, ojcze, że wydobędziesz się z kłopotów, nie naruszając tej sumy?

— Mam taką nadzieję, po waszym ślubie znów udzielą mi kredytu.

— A będziesz mógł zapłacić panu Cavalcantiemu pół miliona, które mi dajesz w posagu?

— Zaraz, gdy wrócicie z merostwa.

— Dobrze!

— Co to znaczy: dobrze? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ojciec chce mojego podpisu pod kontraktem ślubnym, ale w zamian zostawia mi ojciec całkowitą wolność?

— Tak.

— A zatem dobrze, zgadzam się wyjść za pana Cavalcantiego.

— Ale jakie masz dalsze plany?

— O, to moja tajemnica. Czyż miałabym przewagę nad ojcem, gdybym znając tajemnicę ojca, wyjawiła ojcu własną?

Danglars przygryzł sobie wargi.

— A więc jesteś gotowa — podjął — złożyć parę niezbędnych oficjalnych wizyt?

— Tak.

— I za trzy dni podpisać intercyzę?

— Tak.

— A więc teraz ja ci powiem: dobrze.

Danglars ujął dłoń córki w swoje ręce i uścisnął ją mocno. Ale — rzecz szczególna — ściskając jej dłoń, nie ośmielił się powiedzieć córce: „dziękuję ci, moje dziecko". A córka nie odpowiedziała ojcu nawet uśmiechem.

— Narada skończona? — zapytała Eugenia, podnosząc się z krzesła.

Danglars skinął głową na znak, że nie ma już nic do powiedzenia.

Pięć minut później zabrzmiał fortepian pod palcami panny d'Armilly, a panna Danglars zaśpiewała arię Brabancja[1363] rzucającego przekleństwo na Desdemonę.

Gdy kończyły utwór, wszedł Stefan i oznajmił Eugenii, że zajechał powóz i pani baronowa czeka na nią, aby rozpocząć składanie wizyt.

Widzieliśmy, jak obie panie odwiedziły Villefortów, skąd udały się dalej.

95. INTERCYZA

Trzy dni po scenie, którą właśnie opisaliśmy, około piątej po południu, w dniu, w którym miało się odbyć spisanie intercyzy panny Eugenii i Cavalcantiego, pod podmuchami chłodnego wietrzyku kołysały się liście w niewielkim ogrodzie przed domem hrabiego de Monte Christo. Hrabia właśnie szykował się do wyjścia, konie grzebały zniecierpliwione kopytami, powstrzymywane ręką stangreta siedzącego na koźle już od kwadransa — gdy nagle zza bramy wyłonił się elegancki faetonik, który znamy już od dawna, a szczególnie od pewnego wieczoru w Auteuil. Wyskoczył z niego prosto na stopnie ganku pan Andrea Cavalcanti, tak wytworny i rozpromieniony, jakby miał poślubić księżniczkę.

Zapytał jak zwykle prosto z mostu o zdrowie hrabiego i wbiegając lekko na pierwsze piętro, natknął się na niego tuż przy schodach.

Na widok młodzieńca hrabia zatrzymał się. Gdy Andrea Cavalcanti już się rozpędził, nic nie mogło go już pohamować.

— O, dzień dobry, kochany hrabio — zawołał.

— Ach, to pan Andrea! — odparł hrabia na wpół szyderczym tonem. — Jakże zdrowie?

— Jak pan widzi, znakomicie. Muszę z panem hrabią pomówić o całym mnóstwie spraw. Ale może najpierw zapytam: wychodził pan, czy wracał?

— Wychodziłem.

— No to żeby pana nie zatrzymywać, wsiądę — jeśli pan pozwolisz — do pańskiego powozu, a mój Tom pojedzie za nami.

[1363] *Brabancjo* — postać z dramatu Szekspira *Otello*, ojciec Desdemony, senator. [przypis edytorski]

— O nie — odrzekł hrabia z niemal niedostrzegalnym wzgardliwym uśmiechem — wolę już porozmawiać z panem tutaj. Łatwiej pomówić w pokoju i nie ma tu stangreta, który by podsłuchiwał.

Hrabia wszedł do saloniku na pierwszym piętrze, usadowił się, zakładając nogę na nogę, i zaprosił gestem młodzieńca, aby także usiadł.

Andrea tryskał radością.

— Wiesz pan zapewne, kochany hrabio — rzekł — że dziś wieczorem odbędą się moje zaręczyny? O dziewiątej podpisujemy u teścia intercyzę.

— O, doprawdy?

— Jak to? Czyżby pan o tym nie wiedział? Pan Danglars nie uprzedził hrabiego?

— Ależ tak, otrzymałem wczoraj list od niego, ale chyba nie wyznaczono w nim godziny.

— Możliwe, kochany teść myśli zapewne, że wszyscy o tym i tak wiedzą.

— A więc całkiem się panu poszczęściło — rzekł Monte Christo — to znakomita partia. Do tego panna Danglars jest naprawdę śliczna.

— O tak — przytaknął skromnie Cavalcanti.

— A poza tym bardzo bogata, jak mi się zdaje.

— Myśli pan, że aż tak bardzo?

— Ależ tak. Mówi się, że pan Danglars przyznaje się tylko do połowy swojego majątku.

— Mówi, że ma piętnaście do dwudziestu milionów — rzekł Andrea, a oczy iskrzyły mu się radością.

— Nie mówiąc już o tym — dodał Monte Christo — że właśnie zabiera się do interesów może już przestarzałych w Anglii, ale zupełnie nowych we Francji.

— A tak, wiem, o czym pan mówi. Chodzi o kolej, na którą podobno już uzyskał koncesję?

— Właśnie! Wszyscy twierdzą, że na tym interesie zarobi co najmniej dziesięć milionów!

— Dziesięć milionów? Ależ to wspaniale! — zawołał Cavalcanti, upajając się metalicznym brzmieniem tych złotych słów.

— I nie zapomnijmy, że cały ten majątek dostanie się kiedyś panu — panna Danglars jest jedynaczką. A zresztą, jak mówił mi pański ojciec, pański majątek niemal dorównuje fortunie narzeczonej. Ale zostawmy te sprawy pieniężne. Wie pan, bardzo zręcznie pan poprowadził całą tę intrygę.

— Nie najgorzej, to prawda. Jestem urodzonym dyplomatą.

— Toteż z pewnością zrobi pan karierę w dyplomacji. Jak pan wiesz, dyplomacji nie można się nauczyć: to kwestia instynktu... A więc serce zdobyte?

— Obawiam się, że tak — odpowiedział Andrea tonem, jaki podsłuchał w Komedii Francuskiej u Doranta czy Walerego odpowiadających Alcestowi[1364].

— A kocha pana choć trochę?

— Ma się rozumieć — rzekł Andrea z triumfalnym uśmiechem — skoro wychodzi za mnie... Ale nie zapominajmy o jednej ważnej sprawie.

— O jakiejże?

— Że nadzwyczaj pomógł mi w tym... Pan, hrabio.

— Ja? Dajżesz spokój, książę — rzekł Monte Christo, wymawiając z ironiczną przesadą tytuł młodzieńca. — Cóż dla pana zrobiłem? Czyż pańskie nazwisko, pozycja i zalety osobiste nie były wystarczające?

— O nie, nie. Może pan zaprzeczać, hrabio, a ja i tak będę twierdził, że pańska pozycja bardziej mi się przysłużyła niż moje nazwisko, pozycja i zalety.

— Mylisz się pan całkowicie — odrzekł zimno Monte Christo, który wyczuł perfidny plan młodzieńca i zrozumiał, dokąd zmierzają jego słowa. — Udzieliłem panu protekcji dopiero wtedy, gdy poznałem stosunki i majątek pańskiego ojca. Komuż zawdzięczam szczęście, że poznałem pańskiego ojca i pana samego? Dwóm moim przyjaciołom, lordowi Wilmore'owi i księdzu Busoniemu. Co było dla mnie zachętą, abym nie tyle ręczył za

[1364] *Dorant, Walery, Alcest* — postacie z komedii Moliera (odpowiednio: *Mieszczanin szlachcicem*, *Skąpiec*, *Mizantrop*) [przypis edytorski]

pana, ile panu patronował? Nazwisko pańskiego ojca, tak znane i szanowane we Włoszech. Przecież sam nie znam pana zbyt dobrze.

Ten spokój i obojętna swoboda dały odczuć Andrei, że uchwyciła go za kark ręka silniejsza niż jego własna i że nie tak łatwo wydostanie się z tego uścisku.

— Hm — odezwał się — a więc mój ojciec ma naprawdę spory majątek?

— Podobno tak — odparł Monte Christo.

— Nie wie pan, czy uposażenie na ślub już nadeszło?

— Odebrałem już awizo.

— A te trzy miliony?

— Niemal na pewno są już w drodze.

— I rzeczywiście je otrzymam?

— Do licha! Zdaje mi się, że do tej pory nie zawiódł się pan na żadnych obietnicach pieniężnych?

Andrea zdziwił się do tego stopnia, że aż zamyślił się na chwilę.

— Pozostaje mi więc tylko — podjął po tej krótkiej pauzie — zwrócić się do pana z prośbą, którą pan hrabia zrozumie, nawet gdyby nie sprawiła panu przyjemności.

— Słucham — rzekł Monte Christo.

— Zawiązałem dzięki memu majątkowi znajomości z wieloma znakomitymi ludźmi i mam tu już nawet wielu przyjaciół. Ale żeniąc się tak wobec całej tej paryskiej śmietanki potrzebuję poparcia — w braku ręki ojcowskiej — jakiegoś znakomitego nazwiska, którym mógłbym się podeprzeć, idąc do ołtarza. A mój ojciec nie przyjedzie przecież, prawda?

— Jest stary, okryty bliznami, twierdzi, że cierpi straszliwie za każdą podróżą.

— Rozumiem. No cóż, to poproszę pana o coś.

— Mnie?

— Tak, pana. Abyś raczył zastąpić mi ojca.

— O, drogi panie! Po tylu naszych spotkaniach zna mnie pan nadal tak źle, że występuje z podobną prośbą? Poproś, abym pożyczył ci pół miliona, a choć takie pożyczki zdarzają się rzadko, słowo honoru, mniej by mnie to krępowało. Wiedz pan — a sądziłem, że już o tym panu mówiłem — jeśli chodzi o mój udział w sprawach tego świata, mam w tym względzie skrupuły, żeby nie powiedzieć — przesądy człowieka Wschodu. Ja, który mam harem w Kairze, w Smyrnie i w Konstantynopolu, ja miałbym patronować małżeństwu?! Nie, nigdy.

— Więc odmawiasz pan?

— Tak. Nawet gdybyś pan był moim synem czy bratem, odmówiłbym tak samo.

— Ach! — wykrzyknął rozczarowany Andrea. — Ale co wobec tego mam robić?

— Masz pan stu przyjaciół, sam tak mówiłeś.

— Tak, ale to pan przedstawił mnie panu Danglarsowi.

— Ależ nie! Ustalmy fakty: zaprosiłem pana na obiad w Auteuil wtedy, kiedy i on był zaproszony, a pan sam mu się przedstawiłeś. Do licha, to pewna różnica.

— Tak, ale przyczynił się pan do mojego małżeństwa...

— Ja? Ależ bynajmniej, proszę mi wierzyć. Niech pan sobie przypomni, co panu powiedziałem, gdy przyszedł pan do mnie z prośbą, abym oświadczył się w pańskim imieniu: „nigdy nie kojarzę żadnych małżeństw, mój zacny książę, to moja stała zasada".

Andrea przygryzł wargi.

— Ale przyjdzie pan tam przynajmniej?

— Wszak cały Paryż tam będzie?

— O, z pewnością!

— A więc będę i ja.

— A podpisze się pan pod intercyzą?

— O, tu nie widzę żadnej trudności, moje skrupuły tak daleko nie sięgają.

— No, skoro nie chce mi pan dać nic więcej, muszę się tym zadowolić. Ale jeszcze jedno słówko, hrabio.

— Tak?

— Chcę prosić o radę.

— Zastanów się pan; rada to gorsze niż przysługa.

— O! Tę radę może mi pan dać, nie ma tu nic kompromitującego!

— Proszę mówić.

— Posag mojej żony ma wynosić pół miliona liwrów. Czy wypada, abym go odebrał, czy też mam go zostawić u notariusza?

— Jeśli rzeczy mają się odbyć tak jak trzeba, na ogół dzieje się tak: przy podpisaniu intercyzy notariusze umawiają się na spotkanie nazajutrz. I nazajutrz wręczają sobie nawzajem posagi i pokwitowania; następnie, po ślubie oddają te miliony do dyspozycji panu, jako głowie rodziny.

— Bo słyszałem — rzekł Andrea ze źle skrywanym niepokojem — że mój teść ma zamiar ulokować te pieniądze w koncesji na kolej, o której pan przed chwilą mówiłeś.

— Cóż, wszyscy zapewniają, że to sposób, aby potroić ten kapitał w ciągu jednego roku. Pan Danglars to dobry ojciec, umie liczyć.

— No, no, a więc wszystko idzie jak najlepiej — rzekł Andrea — i tylko pańska odmowa rani mi serce.

— Proszę ją przypisać jedynie skrupułom, zupełnie naturalnym w podobnych okolicznościach.

— Cóż robić, niech już tak zostanie. A więc do zobaczenia o dziewiątej.

— Do zobaczenia.

I pomimo lekkiego oporu hrabiego, który na zbielałych ustach zachował jednak konwencjonalny uśmiech, Andrea pochwycił go za rękę, uścisnął ją, wskoczył do faetonu i zniknął.

Kilka godzin, jakie pozostały do dziewiątej, Andrea spędził na załatwianiu różnych spraw; odwiedził między innymi wspomnianych przez siebie przyjaciół, zapraszając, aby pojawili się u bankiera w pełnej gali[1365] i olśniewając ich wizjami wspaniałej przyszłości.

Elita, Obyczaje, Bogactwo

Istotnie, o wpół do dziewiątej wieczorem wielki salon u państwa Danglars, galeria przylegająca do niego i trzy inne salony na piętrze zapełniły się wyperfumowanym tłumem gości; przyciągnęła ich tu nie tyle sympatia, ile przemożne pragnienie bycia tam, gdzie dzieje się coś nowego.

Pisarz należący do Akademii porównałby wieczory w wyższych sferach do kwiatów zwabiających niestałe motyle, wygłodniałe pszczoły i brzęczące trutnie.

Nie potrzebujemy dodawać, że salony jarzyły się od świec; światło spływało po złoconych sztukateriach i jedwabnych obiciach i całe to pretensjonalne bogate umeblowanie jaśniało pełnym blaskiem.

Eugenia ubrała się z najwykwintniejszą prostotą: biała jedwabna suknia z białym haftem, biała róża na wpół ukryta w czarnych włosach składały się na cały jej strój, którego nie wzbogaciła żadną ozdobą.

Trzydzieści kroków od niej pani Danglars gawędziła z Debrayem, Château-Renaudem i Beauchampem.

Pan Danglars, otoczony tłumem deputowanych i finansistów, wykładał teorię nowego systemu podatkowego, którą miał zamiar wprowadzić w życie, jeśliby rząd zmuszony był powołać go na stanowisko ministra.

Andrea pod rękę z jednym z największych dandysów Opery wyjaśniał mu dość bezczelnie — musiał okazać, że czuje się tu swobodnie — swoje plany na przyszłość i jakimi to zbytkownymi kaprysami olśni paryski światek dzięki stu siedemdziesięciu pięciu tysiącom liwrów renty.

Tłumy przewalały się w salonach jak odpływ i przypływ turkusów, rubinów, opali, szmaragdów i brylantów.

Jak zwykle, kobiety najstarsze były najstrojniejsze, a najbrzydsze — najmocniej wydekoltowane.

Białej lilii, na wpół rozkwitłej wonnej róży, trzeba było wypatrywać po kątach, gdzie skrywała ją starannie matka w zawoju albo ciotka z fryzurą zdobną w pióra rajskiego ptaka.

Co chwila wśród tej wrzawy, gwaru i śmiechów rozbrzmiewał głos lokajów, wykrzykujących nazwiska znane w świecie finansów, szanowane w armii, wsławione w literaturze; każde takie imię budziło lekki szmer wśród obecnych.

Lecz na jedno nazwisko, które miało przywilej poruszyć tę falę ludzką, ileż innych przebrzmiewało w zupełnej obojętności lub wśród lekceważących drwin!

[1365] *gala* — tu: strój na specjalną okazję. [przypis edytorski]

W chwili, gdy wskazówka masywnego zegara wyobrażającego uśpionego Endymiona[1366] wskazała dziewiątą, a mechanizm wybił pełną godzinę, zabrzmiało z kolei nazwisko hrabiego de Monte Christo i wszyscy goście pod wpływem jednego impulsu zwrócili się ku drzwiom.

Hrabia był ubrany na czarno ze zwykłą sobie prostotą; biała kamizelka podkreślała szeroką, kształtną pierś; przy matowej bladości cery czarny halsztuk nabierał szczególnie głębokiego odcienia. Nie nosił żadnych ozdób — poza dewizką tak cieniutką, że złota smużka ledwie odcinała się od białego tła pikowanej kamizelki.

Natychmiast wokół drzwi utworzył się krąg.

Hrabia w mgnieniu oka zauważył, gdzie stała pani Danglars — w głębi salonu, a gdzie pan Danglars — w rogu przeciwległym; panna Eugenia zaś była bliżej, zaraz naprzeciw. Najpierw podszedł do baronowej, która rozmawiała z panią de Villefort; prokuratorowa przybyła sama, Valentine bowiem nadal była w ciężkim stanie. Następnie hrabia skierował się ku Eugenii — a nie musiał nawet obchodzić rozmawiających, wszyscy się przed nim rozstępowali; powinszował jej w tak zwięzłych i chłodnych słowach, że aż zaskoczył dumną artystkę.

Obok stała panna Luiza d'Armilly; podziękowała hrabiemu za listy polecające, które był uprzejmy jej napisać do Włoch; jak mówiła, wkrótce miała zamiar zrobić z nich użytek.

Odchodząc od dam, odwrócił się i natknął natychmiast na pana Danglarsa, który pospieszył ku niemu, aby się przywitać.

Wypełniwszy obowiązki towarzyskie, Monte Christo stanął i powiódł dookoła wzrokiem pełnym dumy, a jego oczy zdawały się mówić: zrobiłem, co do mnie należało, kolej na innych.

Andrea, gawędzący w sąsiednim salonie, dostrzegł poruszenie, jakie wywarło na gościach nadejście Monte Christa, i przybiegł zaraz powitać hrabiego.

Hrabia otoczony był tłumem; dobijano się o każde jego słowo — jak zwykle przytrafia się to ludziom, którzy mówią niewiele, ale nigdy nie na próżno.

W tejże chwili weszli notariusze. Rozłożyli akta na pozłacanym stole, nakrytym aksamitem haftowanym złotem.

Jeden notariusz usiadł, drugi pozostał na stojąco.

Szykowali się do odczytania intercyzy, pod którą miała się podpisać połowa Paryża.

Wszyscy zajęli miejsca; to znaczy kobiety ustawiły się wokół kręgiem, a panowie, mniej ciekawi stylu urzędowego, komentowali gorączkowe podniecenie Andrei, skupienie Danglarsa, niewzruszoną minę Eugenii i żartobliwą lekkość, z jaką baronowa podchodziła do tej równie poważnej sprawy.

Podczas lektury zapadła głęboka cisza.

Ale gdy tylko notariusz ją ukończył, wszędzie znów podniósł się gwar, tym razem dwukrotnie większy. Te ogromne sumy, te miliony, na których miało się opierać życie dwojga młodych, a które uzupełniały wyprawę i diamenty panny młodej, wystawione na widok w specjalnym pokoju — to wszystko uczyniło ogromne wrażenie na zazdrosnym tłumie.

Urok panny Danglars podwoił się w tej chwili w oczach młodych ludzi, zaćmiewając blask słońca.

Naturalnie kobiety, choć zazdroszcząc milionów, przekonane były, że nie potrzeba im tych milionów, aby jaśnieć urodą.

Andrea, ściskany przez przyjaciół, którzy składali mu gratulacje i przypochlebiali się, zaczynając wierzyć w rzeczywistość tego, co — jak sądził — tylko mu się śniło, tracił coraz bardziej głowę.

Notariusz uroczyście ujął w dłoń pióro i rzekł:

— Panowie, przystępujemy do podpisywania aktu.

Najpierw miał podpisać baron, następnie pełnomocnik pana Cavalcantiego, dalej baronowa, a wreszcie i przyszli małżonkowie.

Podpisał baron, za nim pełnomocnik.

Baronowa podeszła bliżej, pod ramię z panią de Villefort.

[1366] *Endymion* (mit. gr.) — piękny pasterz, ukochany bogini księżyca Selene; obdarowany wieczną młodością, ale jednocześnie też nieprzerwanym snem. [przypis edytorski]

— Wyobraź sobie — rzekła do męża, sięgając po pióro — czy to nie okropne? Pan de Villefort nie mógł dziś do nas przyjść, gdyż zaszły jakiś nowe okoliczności w tej sprawie morderstwa i kradzieży, której ofiarą o mało nie stał się pan de Monte Christo.

— O mój Boże! — rzekł Danglars, tonem takim, jakby mówił: „Do licha, nic mnie to nie obchodzi!".

— Oj, obawiam się — odezwał się Monte Christo, podchodząc bliżej — że niechcący stałem się przyczyną nieobecności pana de Villeforta.

— Jak to? Pan, hrabio? — zdziwiła się pani Danglars, podpisując akt. — Jeśli tak, proszę uważać, nigdy tego panu nie daruję.

Andrea pilnie nadstawił ucha.

— Nie ma w tym mojej winy — rzekł hrabia do baronowej — zaraz to udowodnię.

Wszyscy chciwie słuchali: Monte Christo, który tak rzadko się odzywał, zamierzał przemówić.

— Przypominacie sobie państwo — rzekł hrabia wśród najgłębszego milczenia — że w moim domu umarł ten biedak, który chciał mnie okraść, a który wychodząc ode mnie, został śmiertelnie raniony, podobno przez swojego wspólnika.

— Tak, tak — wtrącił Danglars.

— Otóż, chcąc go opatrzyć, rozebrano go, a jego ubranie rzucono w kąt. Policja zabrała je stamtąd, ale zabrała tylko do kancelarii sądowej spodnie i surdut. Zapomniała o kamizelce.

Andrea wyraźnie zbladł i jął z wolna przesuwać się ku drzwiom. Nagle zobaczył chmury na horyzoncie i poczuł, że zbliża się burza.

— Otóż dziś znaleziono tę nieszczęsną kamizelkę, całą we krwi, przedziurawioną na wysokości serca.

Kilka dam krzyknęło, parę innych postanowiło zemdleć.

— Przyniesiono mi ją. Nikt nie mógł zgadnąć, skąd się tu wziął taki łachman — tylko ja pomyślałem, że kamizelka mogła należeć do zamordowanego. Nagle mój lokaj, grzebiąc w niej ze wstrętem i bardzo ostrożnie, wyczuł w kieszeni jakiś papier i wyjął go. Był to list. Czy pan baron wie, do kogo adresowany? Do pana.

— Do mnie? — zawołał Danglars.

— Tak, drogi Boże, do pana! List był poplamiony krwią, ale udało mi się odczytać pańskie nazwisko — odpowiedział Monte Christo wśród powszechnego zdumienia.

— Ale czemu — zapytała pani Danglars, spoglądając niespokojnie na męża — przeszkodziło to panu de Villefortowi?...

— Nic naturalniejszego — odparł Monte Christo. — Kamizelka i list stanowią dowody rzeczowe. Odesłałem je panu prokuratorowi. Rozumie pan, baronie, że w sprawach kryminalnych najbezpieczniejsza jest droga legalna; być może to jaka machinacja przeciw panu.

Andrea spojrzał bacznie na Monte Christa i zniknął w drugim salonie.

— Możliwe — przyznał Danglars. — Ten zamordowany nie był kiedyś na galerach?

— Tak, to były galernik nazwiskiem Caderousse.

Danglars zbladł nieco; Andrea przemknął się z drugiego salonu do antyszambrów.

— Ale proszę podpisywać, proszę podpisywać! — rzekł Monte Christo. — Zdaje się, że wywołałem spore poruszenie tym opowiadaniem. Pokornie proszę państwa Danglarsów i pannę Eugenię o przebaczenie.

Baronowa, która właśnie podpisała, oddała pióro notariuszowi.

— Jaśnie oświecony książę Cavalcanti — rzekł notariusz. — Gdzie jest książę Cavalcanti?

— Andrea! Andrea! — powtórzyło kilku młodych ludzi, którzy doszli ze szlachetnym Włochem do takiej zażyłości, że zwracali się doń po imieniu.

— Proszę poszukać księcia! Powiedzcie mu, że teraz on ma podpisywać! — zawołał Danglars do jednego z lokajów.

Ale w tej samej chwili przerażony tłum gości wlał się z powrotem do głównego salonu, jak gdyby do pałacu wkroczył jakiś straszliwy potwór, *quaerens quem devoret*[1367].

[1367] *quaerens quem devoret* (łac.) — szukając, kogo by pożreć (*Wulgata*, 1 P 5, 8; o diable). [przypis edytorski]

Można się rzeczywiście było przestraszyć. Przy wszystkich drzwiach ustawiło się po dwóch żandarmów na rozkaz oficera, który szedł właśnie w stronę Danglarsa z komisarzem policji przepasanym szarfą.

Pani Danglars krzyknęła i zemdlała. Danglars poszarzał na twarzy, spodziewając się najgorszego — niektóre sumienia nigdy nie są spokojne.

— O co chodzi, mój panie? — zapytał Monte Christo, podchodząc do komisarza.

— Który z panów — rzekł komisarz, nie odpowiadając hrabiemu — nazywa się Andrea Cavalcanti?

Goście krzyknęli ze zdumienia. Wszyscy jęli pytać się nawzajem i rozglądać się po sali.

— Ale kim ma być ten Andrea Cavalcanti? — zapytał osłupiały Danglars.

— To były galernik, zbiegły z Tulonu.

— Jaką popełnił zbrodnię?

— Oskarżony jest — wyjaśnił obojętnym tonem komisarz — o zamordowanie niejakiego Caderousse'a, swojego dawnego towarzysza z galer, w chwili gdy ten wychodził od hrabiego de Monte Christo.

Monte Christo szybko rozejrzał się wokół.

Andrea znikł.

96. DROGA DO BELGII

W kilka chwil po tej straszliwej scenie wielki pałac nagle opustoszał, jakby rozeszła się wieść, że jeden z zaproszonych zachorował na dżumę czy cholerę; w jednej chwili na wszystkie drzwi, schody i wyjścia naparł tłum gości, próbując się wymknąć jak najprędzej; okoliczności były tego rodzaju, że nie wypadało udzielać banalnych słów pociechy, które podczas każdej klęski z przyjaciół czynią natrętów.

W pałacu został tylko Danglars, zamknięty w gabinecie z żandarmem, składając mu zeznania; została zmrożona pani Danglars, która ukryła się w dobrze znanym nam buduarku; została wreszcie Eugenia, która patrząc wyniośle i wzgardliwie wydymając wargi, odeszła do swego pokoju ze swoją nieodłączną towarzyszką, panną Luizą d'Armilly.

Liczniejsza niż zazwyczaj służba (z uwagi na uroczystość zatrudniono do pomocy cukierników, kucharzy i garsonów z Café de Paris) poczytywała sobie za afront to, co się zdarzyło i wystawała tu i ówdzie w grupkach, nie przejmując się zupełnie spełnianiem swoich obowiązków, co zresztą przestało być teraz potrzebne.

Ale spośród wszystkich tych osób dwie tylko zasługują na naszą uwagę: panna Eugenia i panna Luiza.

Niedoszła narzeczona odeszła krokiem obrażonej królowej do pokoju; jej towarzyszka była bledsza i bardziej przejęta od niej.

W pokoju Eugenia zaryglowała drzwi, a Luiza osunęła się na krzesło.

— O mój Boże! Mój Boże! Ależ to okropne! — zawołała młoda artystka. — Kto by się tego spodziewał? Pan Andrea Cavalcanti... morderca... zbiegły więzień... galernik!...

Usta Eugenii wykrzywił ironiczny uśmiech.

— Cóż, to mi było przeznaczone — rzekła. — Uciekłam Morcerfowi, a trafiłam na Cavalcantiego!

— O, nie porównujże ich!

— Bądź cicho. Wszyscy mężczyźni są nikczemni. Bardzo się cieszę, że teraz mogę już nie tylko brzydzić się nimi, ale też nimi pogardzać.

— I co zrobimy? — zapytała Luiza.

— Co zrobimy? To samo, co miałyśmy zrobić za trzy dni... Wyjedziemy.

— Nadal tego chcesz, choć już nie musisz wyjść za mąż?...

— Posłuchaj, Luizo: nienawidzę tego światowego życia, w którym wszystko jest uporządkowane, uregulowane i ustalone jak układ nut na pięciolinii. To, o czym marzyłam zawsze, to życie artystki, życie wolne, w którym człowiek zależy tylko od siebie, w którym może liczyć tylko na siebie. Mam tu zostać? A po co? Po to, żeby za miesiąc próbowano mnie znów wydać za mąż? Na przykład za pana Debraya, była o tym kiedyś mowa. Nie, Luizo, nie. Dzisiejszy wypadek posłuży mi za usprawiedliwienie. Nie starałam się, aby doszło do takiej sceny, sam Bóg mi ją zesłał, niech będą mu dzięki.

Wolność, Artysta, Kobieta, Pozycja społeczna, Ucieczka

— Ależ jesteś silna i odważna! — rzekła z podziwem jasnowłosa, delikatna dziewczyna do swojej czarnowłosej przyjaciółki.

— Ejże, to chyba mnie jeszcze nie znałaś? No, Luizo, pomówmy o innych sprawach. Powóz pocztowy...

— Zarezerwowany trzy dni temu.

— Czyś kazała mu czekać tam, gdzie mamy wsiąść?

— Tak.

— A paszport?

— Oto i on.

Eugenia ze zwykłą sobie pewnością rozłożyła papier i przeczytała:

> Pan Leon d'Armilly, lat dwadzieścia, artysta; włosy czarne, oczy czarne; podróżuje z siostrą.

— Doskonale! Skąd wzięłaś ten paszport?

— Gdy prosiłam pana de Monte Christo o listy do dyrekcji teatrów w Rzymie i Neapolu, powiedziałam mu, że się bardzo obawiam podróżować jako kobieta. Zrozumiał to dobrze i zaproponował mi, że wyrobi mi paszport na nazwisko męskie, a dwa dni potem dostałam go do ręki. A to „podróżuje z siostrą" dodałam sama.

— No to mamy już tylko spakować walizki — rzekła wesoło Eugenia — wyjedziemy w dzień podpisania intercyzy, zamiast w dzień ślubu.

— Kochana, zastanów się dobrze.

— Och, zastanowiłam się. Dość się nasłuchałam o przelewach, obrachunkach miesięcznych, hossie, bessie, o pożyczce hiszpańskiej i o akcjach haitańskich. Zamiast tego, Luizo (rozumiesz to?) — przestrzeń, wolność, śpiew ptaków, równiny Lombardii, kanały weneckie, pałace Rzymu, plaże Neapolu. Ile mamy pieniędzy?

Luiza wyjęła z inkrustowanego sekretarzyka pugilaresik zamykany na kluczyk. Otwarła go i przeliczyła banknoty.

— Dwadzieścia trzy tysiące franków — rzekła.

— I przynajmniej tyle samo w perłach, diamentach i biżuterii — dodała Eugenia. — Jesteśmy bogate. Mając czterdzieści pięć tysięcy franków możemy żyć dwa lata jak księżniczki albo cztery lata — całkiem nieźle. Ale zanim minie pół roku, ty dzięki muzyce, a ja dzięki głosowi, podwoimy ten kapitał. No, ty weź pieniądze, a ja wezmę kosztowności. W ten sposób, gdyby jedna z nas zgubiła swój skarb, druga połowa zawsze zostanie. A teraz walizka, szybko, pakujmy się!

— Czekaj — rzekła Luiza i poszła posłuchać pod drzwiami pokojów pani Danglars.

— Czego się boisz?

— Żeby nas kto nie przyłapał.

— Drzwi są zamknięte.

— A jak nam każą otworzyć?

— Mogą sobie kazać — nie otworzymy.

— Prawdziwa z ciebie Amazonka[1368], Eugenio!

I przyjaciółki jęły z nadzwyczajnym pośpiechem upychać w kufrze wszystko, co — jak sądziły — może im się przydać podczas podróży.

— O, a teraz — rzekła Eugenia — pójdę się przebrać, a ty zamknij walizę.

Luiza drobnymi białymi rączkami z całych sił przycisnęła wieko kufra.

— Nie dam rady — stęknęła — jestem za słaba, zamknij ty.

— A, prawda — roześmiała się Eugenia — zapomniałam, że to ja jestem Herkulesem, a ty tylko bladą Omfalą[1369].

I przyciskając kolanem wieko, wytężyła białe mocne ręce, aż je docisnęła, a Luiza zatrzasnęła kłódkę.

Ukończywszy tę operację, Eugenia otwarła kluczem komodę i wyjęła z niej watowany[1370] płaszcz podróżny z fioletowego jedwabiu.

[1368] *Amazonka* (mit. gr.) — przedstawicielka mitycznego plemienia wojowniczek. [przypis edytorski]

[1369] *Omfala* (mit. gr.) — królowa Lidii, która występuje w mitach o Heraklesie; na jej rozkaz Herakles musiał nosić kobiece stroje i prząść. [przypis edytorski]

[1370] *watowany* — podszyty watą a. watoliną. [przypis edytorski]

— Patrz — rzekła — widzisz, że pamiętałam o wszystkim? W tym na pewno nie będzie ci zimno.

— A ty?

— Wiesz dobrze, że mnie nigdy nie jest zimno; zresztą w męskim ubraniu...

— Tu chcesz się przebrać?

— Naturalnie.

— Ale zdążysz?

— O nic się nie martw, tchórzu jeden. Cała służba gada o tej aferze. Zresztą, cóż w tym dziwnego, że się zamknęłam? Każdy myśli, że jestem zrozpaczona.

I z tej samej szuflady, skąd wyjęła płaszcz dla Luizy (Luiza zdążyła go już sobie narzucić na ramiona), wyciągnęła kompletny strój męski. Z szybkością dowodzącą, że nie pierwszy raz przywdziewała dla zabawy męskie ubranie, Eugenia włożyła buty, wciągnęła spodnie, zawiązała halsztuk, zapięła pod szyję kamizelkę i ubrała surdut, który podkreślał jej smukłą kibić.

— O, ślicznie ci w tym — powtarzała Luiza, patrząc z zachwytem — ale gdzie podziejesz te piękne czarne włosy, te cudowne warkocze, których ci zazdrościły wszystkie kobiety? Chyba się nie zmieszczą pod cylindrem.

— Zaraz zobaczysz.

I ujmując w lewą rękę warkocz tak gruby, że z trudem obejmowały go jej palce, w prawą wzięła długie nożyczki, przechyliła się w tył, aby uchronić surdut — zazgrzytały nożyczki i bujne, wspaniałe włosy upadły do stóp dziewczyny. Następnie przycięła sobie włosy na skroniach; nie okazywała przy tym najmniejszego żalu, przeciwnie — pod czarnymi jak heban brwiami tańczyły jej w oczach iskierki radości.

— O! Takie śliczne włosy! — zawołała z żalem Luiza.

— Czyż tak nie jest mi sto razy lepiej? — wykrzyknęła Eugenia przygładzając niesforne, krótkie kędziory. — Nie wydaje ci się, że teraz jestem piękniejsza?

— O, ty jesteś zawsze piękna! A teraz gdzie pojedziemy?

— Do Brukseli — tak najbliżej do granicy. Z Brukseli udamy się do Liège, Akwizgranu, a potem Renem do Strasburga. Przejedziemy przez Szwajcarię i dostaniemy się do Włoch przez Przełęcz Świętego Gotarda. Może być taki plan?

— Ależ tak.

— Na co tak patrzysz?

— Na ciebie. Naprawdę, ślicznie wyglądasz. Ktoś mógłby pomyśleć, że mnie porywasz.

— I miałby rację, do licha!

I dziewczęta, o których wszyscy zapewne myśleli, że pogrążone są we łzach, że jedna płacze nad sobą, a druga współczuje przyjaciółce, parsknęły głośnym śmiechem i zabrały się do porządkowania bałaganu, zwyczajnego w trakcie ucieczki.

Pogasiwszy światło, nadstawiając ucha i wytężając wzrok, otwarły drzwi gotowalni, z której schodki dla służby prowadziły aż na dziedziniec. Eugenia szła pierwsza, trzymając za ucho walizę, Luiza podążała za nią z trudem, trzymając oburącz drugie ucho.

Dziedziniec był pusty. Właśnie wybiła północ.

Odźwierny jeszcze się nie położył. Eugenia podeszła na palcach: zacny szwajcar[1371] drzemał w swoim domku, wyciągnięty w fotelu.

Wróciła do Luizy. Podniosły walizę z ziemi i przemknęły się w cieniu rzucanym przez mur aż do bramy.

Eugenia kazała Luizie schować się w kącie przy bramie, tak aby odźwierny, gdyby przypadkiem zechciał się obudzić, zobaczył tylko jedną osobę. Sama stanęła w świetle latarni dziedzińca.

— Otworzyć! — zawołała swoim najpiękniejszym kontraltem[1372], stukając w szybę.

Odźwierny zerwał się, jak to przewidziała Eugenia, i nawet podszedł parę kroków, aby zobaczyć, kto wychodzi, ale widząc młodzieńca, który niecierpliwie smagał sobie spodnie trzcinką, natychmiast otwarł bramę.

[1371] *szwajcar* (daw.) — odźwierny; służący pilnujący drzwi. [przypis edytorski]

[1372] *kontralt* (muz.) — najniższy głos żeński. [przypis edytorski]

Luiza prześliznęła się jak wąż przez uchylone wrota i wyskoczyła na ulicę. Eugenia na pozór spokojna, chociaż serce jej biło dużo mocniej niż zwykle, wyszła za nią.

Przechodził właśnie tragarz; dały mu bagaż, kazały zanieść pod numer 36 na ulicę de la Victoire i same poszły za nim. Obecność mężczyzny podnosiła Luizę na duchu. Sama Eugenia była odważna jak Judyta[1373] albo Dalila[1374].

Dotarli pod wyznaczony dom. Eugenia kazała tragarzowi złożyć kufer na ziemi, zapłaciła mu i odprawiła, a potem zastukała w okiennicę.

Było to mieszkanko młodej praczki, wtajemniczonej już wcześniej we wszystko. Nie spała jeszcze i otwarła natychmiast.

— Panienko — odezwała się Eugenia — powiedz odźwiernemu, aby wyciągnął powóz z wozowni i poszedł na pocztę po konie. Dasz mu za fatygę te pięć franków.

— Wiesz co, Eugenio — odezwała się Luiza — jestem dla ciebie pełna podziwu, budzisz we mnie niemal respekt.

Praczka patrzyła zdziwiona — ale miała dostać dwadzieścia ludwików za usługę i nie uczyniła najmniejszej uwagi.

W kwadrans później wrócił odźwierny z pocztylionem i końmi; w mgnieniu oka zaprzężono je do powozu, a odźwierny umocował kufer na dachu za pomocą sznura.

— Oto moje papiery — odezwał się pocztylion. — Którą drogą pojedziemy, mój paniczu?

— Do Fontainebleau — odpowiedziała Eugenia niemal męskim głosem.

— Co ty mówisz? — spytała Luiza.

— To podstęp — odszepnęła Eugenia — bo ta praczka, co nam pomaga za dwadzieścia ludwików, może nas zdradzić za czterdzieści. Na bulwarze pojedziemy w innym kierunku.

I dziewczyna wskoczyła, nie dotykając prawie stopni do powozu, w którym urządzono wygodne posłania.

— Ty zawsze masz rację — rzekła Luiza, siadając obok przyjaciółki.

Kwadrans później pocztylion, zwrócony na właściwą drogę, mijał, trzaskając z bicza, rogatkę Saint-Martin.

— Uff — odetchnęła Luiza — już jesteśmy za Paryżem!

— O tak, kochaniutka, porwanie się udało.

— No tak; i jeszcze obyło się bez przemocy.

— W razie czego będzie to dla mnie okoliczność łagodząca — odparła Eugenia.

Słowa te zagubiły się w turkocie kół toczących się po bruku la Villette.

Pan Danglars nie miał już córki.

97. OBERŻA POD DZWONEM I FLASZKĄ

Zostawmy na chwilę pannę Danglars i jej przyjaciółkę na drodze do Brukseli, a powróćmy do nieszczęsnego pana Andrei Cavalcantiego, od którego szczęście odwróciło się w szczytowym momencie jego kariery.

Chłopiec ów mimo swojego młodego wieku był wyjątkowo zmyślnym i inteligentnym filutem. Widzieliśmy, jak przy pierwszych słowach Monte Christa zaczął małymi kroczkami wycofywać się w kierunku drzwi; minął dwa pokoje — i zniknął.

Pominęliśmy jednak pewien istotny szczegół, o którym należy wspomnieć: w jednym z pokojów, przez które przechodził, znajdowała się wyprawa jego narzeczonej; leżały tam diamentowe brosze, kaszmirowe szale, koronki z Valenciennes[1375], angielskie woale; słowem wszystko to, co pociąga dziewczęce serca i napełnia je radością.

Otóż Andrea zabrał ze sobą najkosztowniejsze z klejnotów, co dowodzi, że był nie tylko chłopcem zmyślnym i inteligentnym, ale do tego przewidującym.

[1373] *Judyta* — bohaterka biblijnej *Księgi Judyty*, ocaliła rodzinne miasto przed Asyryjczykami: udała się do obozu wrogów, żeby uwieść ich wodza Holofernesa, a kiedy podczas wspólnej uczty upił się i zasnął, zabiła go. [przypis edytorski]

[1374] *Dalila* — imię kochanki biblijnego Samsona, która podstępem obcięła mu włosy, a tym samym pozbawiła siły. [przypis edytorski]

[1375] *Valenciennes* — miasto w płn. Francji, słynące ze sztuki i koronkarstwa. [przypis edytorski]

Zaopatrzony na drogę takim wiatykiem[1376], poczuł się o połowę lżejszy i zręcznie wyskakując przez okno, z łatwością umknął żandarmom.

Rosły, zgrabny niczym starożytny gladiator, muskularny jak Spartanin, biegł przez ponad kwadrans zupełnie na oślep, chcąc oddalić się jak najbardziej od miejsca, w którym groziło mu niebezpieczeństwo.

Biegł z ulicy du Mont-Blanc w stronę rogatek, wyczuwał je złodziejskim instynktem, jak koń czuje stajnię; i tak znalazł się u wylotu ulicy Lafayette'a. Tu dopiero przystanął, mocno zadyszany.

Był sam. Na lewo rozciągała się pusta przestrzeń ogrodu Świętego Łazarza, na prawo — otchłań Paryża.

— Jestem zgubiony? — zastanowił się. — Nie, jeśli wykażę się większym sprytem niż moi nieprzyjaciele. Moje ocalenie to kwestia sekund, jak w biegu do mety.

W tej chwili dostrzegł nadjeżdżający od strony przedmieścia Poissonnière jednokonny kabriolet. Woźnica ponuro palił fajkę, zmierzając zapewne w kierunku przedmieścia Saint-Denis, gdzie widocznie zazwyczaj zatrzymywał się na postoju.

— Hej, przyjacielu! — zawołał Benedetto.

— Co tam, paniczu? — zapytał woźnica.

— Wasz koń bardzo zmęczony?

— Zmęczony? Niby po czym? Przez cały boży dzień zrobił tylko cztery marne kursy. Siedem franków zarobku i dwadzieścia sous napiwku, a pryncypałowi muszę oddać dziesięć franków.

— Może chcielibyście do tych siedmiu franków zarobić jeszcze dwadzieścia?

— Z przyjemnością, paniczu, dwadzieścia franków drogą nie chodzi. A co mam zrobić?

— Nic szczególnego. O ile twój koń nie jest zmęczony.

— Ii, poleci jak zefir, tylko niech pan powie, w którą stronę.

— W stronę Louvres[1377].

— A wiem, wiem. To ojczyzna ratafii[1378].

— Właśnie. Chodzi o to, żeby dogonić mojego przyjaciela, z którym mam być jutro na polowaniu w Chapelle-en-Serval. Miał wpół do dwunastej czekać tutaj na mnie w swoim powozie, tymczasem jest już północ. Zniecierpliwił się pewnie i odjechał sam.

— A to możliwe.

— To co, spróbujecie go dogonić?

— Bardzo chętnie.

— Jeśli nie dogonimy go do Bourget, dostaniecie dwadzieścia franków, a jeśli i do Louvres go nie złapiemy, wtedy trzydzieści.

— A jeżeli go dogonimy?

— Czterdzieści! — odparł Andrea po krótkiej chwili wahania, wiedząc jednak, że nic tym nie ryzykuje.

— Zgoda! — rzekł woźnica. — Niech pan siada i w drogę. Prrr...!

Andrea wskoczył do kabrioletu i już po chwili przejeżdżali przez Przedmieście Saint-Martin, minęli rogatki i wjechali w niekończące się uliczki Villette.

Ów niecierpliwy przyjaciel był oczywiście zmyślony — ale co jakiś czas Andrea pytał przechodniów o zielony kabriolet zaprzężony w karogniadego[1379] konia, a jako że drogą do Belgii przejeżdża całe mnóstwo kabrioletów i dziewięć na dziesięć jest koloru zielonego, na każdym kroku wskazówki sypały się jak z rękawa.

Co chwilę ktoś mówił, że właśnie przejeżdżał taki powóz i wyprzedza ich o jakieś pięćset, dwieście, a może sto kroków; a gdy go doganiali, okazywało się zawsze, że to nie ten.

W pewnym momencie minął ich jakiś inny powóz. Była to kareta; konie pocztowe unosiły ją w galopie.

— O, gdybym i ja miał taką karetę, i takie dwa rącze konie! I oczywiście paszport, bo bez niego by mi ich nawet nie dali — westchnął głęboko.

[1376] *wiatyk* (daw., z łac.) — tu: zaopatrzenie na podróż. [przypis edytorski]

[1377] *Louvres* — miejscowość we Francji, w departamencie Dolina Oise. [przypis edytorski]

[1378] *ratafia* — słodka nalewka owocowa na spirytusie. [przypis edytorski]

[1379] *karogniady* a. *skarogniady* — o ciemnym, prawie czarnym umaszczeniu. [przypis edytorski]

Karetą jechały panna Danglars i panna d'Armilly.

— Jedźmy! Jedźmy! — pokrzykiwał Andrea. — Zaraz ich pewnie dogonimy!

I jak przy rogatce biedne konisko puściło się tęgim kłusem, tak do Louvres dotarło całe w pianie.

— Widać — rzekł Andrea — że go już nie dogonimy, a wasz koń jeszcze padnie. Lepiej więc będzie, jak się tu zatrzymam. Oto trzydzieści franków, a ja tymczasem prześpię się Pod Czerwonym Koniem i pojadę pierwszym powozem, w którym znajdę wolne miejsce. Dobranoc, dobry człowieku.

I Andrea, wcisnąwszy woźnicy w rękę sześć pięciofrankówek, lekko wyskoczył na drogę.

Woźnica z wesołą miną schował pieniądze do kieszeni i zawrócił na drogę do Paryża. Andrea udał, że idzie do oberży Pod Czerwonym Koniem, zaczekał chwilę przed drzwiami, póki kabriolet nie zniknął mu z oczu, po czym puścił się znowu biegiem i pokonał kolejne dwie mile.

Tu dopiero odpoczął. Musiał być w okolicach Chapelle-en-Serval, dokąd, jak powiedział woźnicy, chciał się udać.

Nie zatrzymał się jednak ze względu na zmęczenie, ale dlatego, że musiał w końcu coś zdecydować i powziąć jakiś plan.

Dyliżansem nie mógł jechać w żadnym wypadku, karetą pocztową tym bardziej. W obu przypadkach musiałby mieć paszport.

Nie mógł również zatrzymać się w departamencie Oise, bo lasów tu brakowało, a w zamian był to jeden z najbardziej strzeżonych przez policję departamentów. Andrea, posiadający sporą praktykę kryminalną, wiedział o tym aż za dobrze.

Usiadł nad rowem, oparł głowę na dłoniach i zamyślił się. Po dziesięciu minutach podniósł głowę. Wiedział już, co ma robić.

Przybrudził jeden bok palta, które zdążył jeszcze porwać z przedpokoju i zakrył dokładnie swój wieczorowy strój, po czym dotarł do Chapelle-en-Serval i zapukał śmiało do drzwi jedynej w tych okolicach oberży.

Otworzył mu oberżysta.

— Przyjacielu — rzekł Andrea. — Jechałem z Mortefontaine do Senlis, gdy mój koń, trudne bydlę, skoczył nagle w bok i wyrzucił mnie z siodła. Jeszcze dziś w nocy muszę koniecznie dostać się do Compiègne, bo moja rodzina będzie bardzo zaniepokojona. Moglibyście wynająć mi jakiegoś konia?

Oberżysta ma zawsze jakiegoś konia, lepszego lub gorszego.

Oberżysta z Chapelle-en-Serval zawołał stajennego i kazał mu osiodłać Siwka. Obudził też swojego siedmioletniego synka. Chłopczyk miał usiąść z tyłu za Andreą i odprowadzić konia z powrotem.

Andrea zapłacił oberżyście dwadzieścia franków, a wyjmując pieniądze z kieszeni, wypadł mu, niby przez przypadek, bilet wizytowy. Bilet ten należał do jednego z przyjaciół Andrei, z którym bywał w Café de Paris; gdy tylko Andrea odjechał, oberżysta podniósł z ziemi bilet i przekonał się, że wynajął konia hrabiemu de Mauléon, zamieszkałemu przy ulicy Saint-Dominique 25. Takie bowiem nazwisko i adres znajdowały się na bilecie.

Siwek nie biegł szybko, ale chód miał równy i pewny. W trzy i pół godziny Andrea przejechał dziewięć mil, które dzieliły go od Compiègne. Gdy zegar na ratuszu wybijał czwartą, wjechali na plac, gdzie zwykle stają dyliżanse.

W Compiègne znajduje się jeden doskonały hotel, o którym trudno zapomnieć, choćby spędziło się w nim tylko jedną noc. Andrea zatrzymał się tam kiedyś w czasie jednej ze swoich wycieczek w okolice Paryża — i teraz przypomniał sobie oberżę Pod Dzwonem i Flaszką. Stanął, rozejrzał się wokół i w blasku latarni dostrzegł szyld. Odprawił chłopaka, dając mu wszystkie drobne, jakie przy sobie znalazł, i udał się prosto do oberży. Uznał, i słusznie, że skoro ma kilka godzin czasu, najlepiej będzie, jeśli się pokrzepi i wypocznie przed trudami dalszej podróży.

Drzwi otworzył służący hotelowy.

— Mój przyjacielu — rzekł Andrea — przyjeżdżam z Saint-Jean-au-Bois, gdzie byłem na obiedzie. Myślałem, że zdążę na dyliżans, który przyjeżdża o północy, ale zabłądziłem jak ten głupi i już od czterech godzin błąkam się po lesie. Daj mi jeden z tych ładnych pokoików od dziedzińca i przyślij mi zaraz kurczaka na zimno i butelkę Bordeaux.

Służący nie podejrzewał niczego. Andrea mówił spokojnie; w ustach miał cygaro, a ręce trzymał w kieszeniach palta. Ubranie miał eleganckie, był gładko ogolony, buty lśniły; wyglądał po prostu na ziemianina, który po nocnej hulance spóźnił się do domu.

Gdy służący przygotowywał pokój, nadeszła gospodyni. Andrea powitał ją swoim czarującym uśmiechem, pytając, czy nie mógłby dostać trójki, bo już raz się tam zatrzymał w czasie ostatniego pobytu w Compiègne. Pech chciał, że trójka była już zajęta przez jakiegoś młodzieńca podróżującego z siostrą.

Andrea zrobił zrozpaczoną minę. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy gospodyni zapewniła go, że numer siódmy, który kazała właśnie dla niego przygotować, ma absolutnie takie samo położenie. Grzejąc nogi przy kominku rozprawiał więc o ostatnich gonitwach w Chantilly i czekał, aż pokój będzie gotowy.

Nie bez przyczyny Andrea dopominał się o ładny pokoik od dziedzińca. Dziedziniczyk hotelu Pod Dzwonem otoczony był potrójną galerią, która nadawała mu wygląd sali teatralnej; rosną tu krzewy jaśminu, powoje owijają się wokół kolumn — to jeden z najurokliwszych dziedzińców hotelowych, jakie istnieją.

Kurczak był świeży, wino stare, ogień trzaskający w kominku jasny. Andrea jadł z takim apetytem, jakby nic złego mu się nie przydarzyło. Po kolacji położył się spać i zasnął snem tak głębokim, na jaki stać tylko dwudziestoletniego młodzieńca, nawet jeśli trapią go jakieś wyrzuty sumienia.

Musimy jednak wyznać, że Andrea mógł mieć jakieś wyrzuty — ale nie miał ich wcale. Oto jaki plan obmyślił — i właśnie ten plan w największym stopniu dawał mu poczucie bezpieczeństwa.

Wstanie o świcie, wyjdzie z hotelu po zapłaceniu rachunków; dotrze do lasu i pod pretekstem, że jest malarzem i chce zrobić trochę szkiców, poprosi o gościnę jakiegoś wieśniaka, postara się o strój drwala i siekierę; jednym słowem z lwa salonowego zmieni się w wyrobnika. Wreszcie usmaruje sobie ręce, przyciemni włosy, czesząc się ołowianym grzebieniem, sprawi sobie ogorzałą cerę za pomocą mikstury, na którą receptę dali mu kiedyś kompani — i przemknie się lasami do najbliższego punktu granicy. Nocami będzie wędrował, a za dnia sypiał w lesie albo w opuszczonych kamieniołomach; a do terenów zamieszkałych będzie się zbliżał tylko po to, aby kupić od czasu do czasu chleb. A gdy przejdzie już granicę, sprzeda brylanty; do tego dojdą pieniądze uzyskane z wymiany kilkunastu banknotów, które nosił zawsze ze sobą na wszelki wypadek; wszystko razem da mu jakieś pięćdziesiąt tysięcy liwrów. Suma ta, jak podpowiadał mu jego filozoficzny umysł, wystarczy mu z pewnością na nie najgorsze życie.

Poza tym liczył na to, że państwu Danglarsom zależeć będzie na uciszeniu rozgłosu. I dlatego Andrea spał spokojnie i głęboko.

Aby obudzić się jak najwcześniej, nie pozamykał okiennic, zaryglował tylko drzwi, a na nocnym stoliku położył spiczasty nóż, którego znakomitą stal znał bardzo dobrze, bo nigdy się z nim nie rozstawał.

O siódmej rano obudził Andreę ciepły i jasny promień słońca, który igrał na jego twarzy.

Kto ma dobrze poukładane w głowie, ten budzi się z taką samą istotną myślą, z jaką zasnął. Andrea nie otworzył jeszcze dobrze oczu, a owa ważna myśl już szeptała mu do ucha, że spał za długo. Wyskoczył z łóżka i podskoczył do okna.

Przez dziedziniec przechodził żandarm. Żandarm jest najbardziej zajmującą istotą na świecie — zauważy go każdy, nawet człowiek o najczystszym sumieniu. A dla kogoś, kto ma niespokojne sumienie, kolor żółty, niebieski i biały, które składają się na mundur żandarma, stają się barwami wyjątkowo złowrogimi.

„Co tu robi żandarm?" — pomyślał Andrea. I natychmiast, z ową chłodną logiką, jaką czytelnik mógł już u niego zauważyć, sam odpowiedział sobie na to pytanie:

— Żandarm w hotelu nie powinien nikogo dziwić, nie ma się co zastanawiać, ale trzeba co prędzej się ubierać.

I młodzieniec ubrał się z szybkością, której nie zapomniał przez kilka miesięcy wygodnego życia w Paryżu i usług lokaja.

— Dobrze — mruknął ubierając się. — Poczekam sobie, aż odjedzie, a potem dam dyla.

To mówiąc, Andrea, już w obuwiu i w halsztuku, zbliżył się do okna i podniósł znowu muślinową firankę.

Pierwszy żandarm wcale nie odszedł; co więcej, przy jedynych schodach, którymi mógł zejść, spostrzegł drugi trójkolorowy mundur, a trzeci żandarm, na koniu, z krótkim karabinkiem w ręku, stał na straży przy bramie na ulicę — jedynej bramie, którą można było się wymknąć. Obecność trzeciego żandarma dawała najbardziej do myślenia, zwłaszcza że wokół niego zebrał się już tłumek gapiów, którzy ostatecznie blokowali przejście.

„Szukają mnie! — pomyślał natychmiast Andrea. — A niech to wszyscy diabli!".

Twarz mu pobladła; niespokojnie rozejrzał się dokoła. Jedyne wejście do jego pokoju, jak i do wszystkich innych na tym piętrze, prowadziło przez krużganek, widoczny ze wszystkich stron.

„No to po mnie!" — pomyślał w następnym odruchu.

Rzeczywiście, aresztowanie mogło oznaczać dla Andrei tylko jedno: sąd przysięgłych i wyrok śmierci, niechybnej i natychmiastowej. Ścisnął kurczowo głowę dłońmi. W chwili tej o mało nie oszalał ze strachu. Wkrótce jednak wśród chaosu myśli kłębiących mu się w głowie, zajaśniała mu nadzieja. Na zbielałych wargach zaigrał lekki uśmiech, ściągnięte w grymasie strachu policzki wygładziły się. Rozejrzał się wokół i znalazł to, czego szukał, na marmurze sekretarzyka: pióro, atrament i papier. Umoczył pióro w atramencie i powstrzymując drżenie ręki, napisał na pierwszej lepszej kartce tych kilka zdań:

> Nie mam czym zapłacić, jednak jako człowiek uczciwy zostawiam w zastaw tę szpilkę — warta jest dziesięć razy więcej niż to, co jestem winien. Proszę mi wybaczyć, że wymknąłem się o świcie, ale zrobiłem to ze wstydu.

Wyjął szpilkę z chustki i położył na papierze. Otwarł drzwi i zostawił uchylone, tak jakby zapomniał je zamknąć, a następnie, mając dużą wprawę w ćwiczeniach fizycznych tego rodzaju, wsunął się do kominka. Zastawił go jeszcze tekturowym ekranem, na którym widniała scena przedstawiająca Achillesa u Deidamii[1380], ślady w popiele zatarł stopami i jął wspinać się przez wąski przewód kominka. Było to w tej chwili jego jedyne zbawienie.

W tejże chwili pierwszy żandarm, którego spostrzegł był Andrea, wchodził już na schody tuż za komisarzem policji; drugi żandarm pozostał na dole, pilnując schodów, trzeci stał wciąż przy bramie, gotów w każdej chwili przybyć z pomocą.

Takim oto okolicznościom Andrea zawdzięczał wizytę, której tak skrzętnie starał się uniknąć: z samego ranka telegraf jął nadawać w różnych kierunkach, nakazując wszczęcie pościgu za mordercą Caderousse'a. Pobudzono w każdej miejscowości władze, które przystąpiły natychmiast do poszukiwań.

W Compiègne — rezydencji królewskiej, mieście polowań, siedzibie garnizonu — aż się mrowi od urzędników, żandarmów i komisarzy policji. Poszukiwania rozpoczęły się więc natychmiast po nadejściu depeszy, a że hotel Pod Dzwonem i Flaszką jest najpierwszym hotelem w mieście, tam oczywiście zajrzano najpierw.

Prócz tego z raportu wartowników strzegących ratusza, który znajduje się w sąsiedztwie oberży Pod Dzwonem i Flaszką, wynikało, iż nocą zjechało do hotelu wielu podróżnych.

Strażnik, który zszedł z warty o godzinie szóstej rano, oświadczył, że gdy rozpoczynał służbę, to jest o czwartej nad ranem, zauważył, jak na białym koniu, z wiejskim chłopcem w siodle, przyjechał jakiś młodzieniec; człowiek ów zsiadł na placu, odprawił chłopca z koniem i zapukał do hotelu Pod Dzwonem, otworzono mu od razu i zatrzasnęły się za nim drzwi. I właśnie ten młodzieniec, przybyły o tak późnej porze, stał się obiektem największych podejrzeń. A był nim oczywiście Andrea.

Opierając się na tych poszlakach, komisarz policji i kapral żandarmerii od razu udali się do pokoju Andrei. Drzwi były uchylone.

[1380] *Achilles u Deidamii* — wg mit. gr. Achilles był synem Peleusa, króla Ftyi, i Tetydy, nimfy morskiej; zgodnie z przepowiednią miał umrzeć na wojnie trojańskiej, więc matka, chcąc uchronić swojego syna przed tym losem, ukryła go na dworze króla Lykomedesa; tam Achilles, w kobiecym przebraniu, przebywał wśród królewskich córek i z jedną z nich, Deidamią, miał romans, który zakończył się narodzinami jego syna, Neoptolemosa. [przypis edytorski]

— No, no! — rzekł kapral, a był to stary lis, zjadł zęby na służbie w policji. — Drzwi otwarte, to zły znak, wolałbym, żeby były pozamykane na cztery spusty!

Liścik i szpilka, które Andrea zostawił na stole, potwierdziły tylko tę smutną prawdę — lub raczej na nią wskazywały.

Andrea wymknął się.

Mówimy, że wskazywały, bo kapralowi ten jeden dowód nie wystarczał.

Rozejrzał się wokół, zajrzał pod łóżko, odsłonił firanki, pootwierał szafy i wreszcie stanął koło kominka.

Dzięki ostrożności Andrei na popiele nie został ani jeden ślad.

A jednak mogło to być również wyjście z pokoju, a w tak poważnych okolicznościach nie można było niczego zlekceważyć.

Kapral kazał sobie przynieść pęk słomy, włożył do kominka i podpalił.

Cegły kominka zatrzeszczały od żaru, z komina buchnął snop ciemnego dymu i wzniósł się ku niebu jak z wulkanu, a jednak, wbrew oczekiwaniom, zbieg nie spadł na dół.

Andrea bowiem od wczesnej młodości zaprawiony był w walce ze społeczeństwem i jego doświadczenie równało się doświadczeniu żandarma, choć żandarm miał już stopień kaprala. Przewidział to, wymknął się na dach i przycupnął za kominem.

Przez chwilę łudził się, że już jest ocalony, bo usłyszał, jak kapral woła do dwóch żandarmów:

— Nie ma go!

Wychylając się jednak ostrożnie, spostrzegł, że żandarmi zamiast się oddalić, co byłoby chyba rzeczą naturalną po takim stwierdzeniu, przeciwnie — jakby jeszcze bardziej wzmogli czujność.

Rozejrzał się wokół siebie; ratusz — ogromna, szesnastowieczna budowla — wznosił się za nim ponuro na kształt fortecznych murów, a z okien budynku można było z łatwością zajrzeć w każdy zakątek dachu, tak jak z olbrzymiej góry można objąć spojrzeniem całą szerokość doliny.

Andrea domyślił się, że prawdopodobnie w jednym z tych okien dojrzy zaraz głowę kaprala żandarmerii.

Gdyby go spostrzeżono, byłby zgubiony; pościg na dachu nie wróżyłby mu powodzenia.

Postanowił więc zejść z dachu, ale nie tą samą drogą, tylko przez inny komin.

Poszukał wzrokiem komina, z którego nie wychodził dym, podczołgał się do niego i niedostrzeżony przez nikogo zniknął w otworze.

W tej samej chwili w ścianie ratusza otworzyło się małe okienko i pojawiła się w nim głowa kaprala. Na chwilę głowa ta znieruchomiała, przypominając jedną z głów na reliefach zdobiących budynek, po czym westchnęła z niezadowoleniem i znikła.

Kapral, spokojny i godny jak prawo, które reprezentował, przeszedł przez plac, nie odpowiadając na pytania kłębiącego się tam tłumu, i wrócił do hotelu.

— I co? — spytali dwaj żandarmi.

— No cóż, chłopcy, najwidoczniej nasz ptaszek rzeczywiście umknął z samego rana. Ale to nic, roześlemy straże na drogę do Villers-Coterêts i Noyon, przeszukamy las i na pewno go złapiemy.

Ledwie zacny funkcjonariusz wypowiedział te słowa tonem właściwym dla każdego kaprala żandarmerii, gdy rozległ się przeraźliwy krzyk i gwałtownie rozdzwonił się dzwonek na dziedzińcu.

— Co tam się dzieje? — zawołał kapral.

— Chyba jakiś podróżny bardzo się spieszy. Spod którego numeru dzwonią? — spytał gospodarz służącego.

— Spod trójki.

— To leć tam zaraz!

Nagle znów rozległ się krzyk i brzęk dzwonka. Chłopak skoczył ku schodom.

— Stój! — zatrzymał służącego kapral. — Ten, kto dzwoni, chyba nie potrzebuje pomocy służącego. Trzeba mu raczej żandarma. Kto mieszka pod trójką?

— Jakiś młodzieniec, przybył tu dziś w nocy karetą pocztową ze swoją siostrą i wziął pokój z dwoma łóżkami.

Dźwięk dzwonka rozległ się po raz trzeci, niczym na trwogę.

— Za mną, panie komisarzu! — zawołał kapral. — Pójdziemy razem!

— Chwileczkę, panowie — wtrącił się gospodarz. — Do numeru trzeciego można wejść z dwóch stron, schodami z zewnątrz albo od środka.

— Dobrze. Ja pójdę schodami wewnętrznymi, bo sprawy wewnętrzne to mój resort. Karabiny nabite?

— Nabite, panie kapralu.

— Zostajecie tu i pilnujecie z zewnątrz, jeśli będzie uciekał, strzelać! W rozkazach mówili, że to jakiś wielki zbrodniarz.

Kapral z komisarzem znikli na wewnętrznych schodach. Odprowadziły ich szepty i poruszenie tłumu, który usłyszawszy, co mówił kapral, przekazywał sobie rewelację o poszukiwanym.

Oto co zaszło:

Andrea zręcznie ześliznął się po dwóch trzecich przewodu komina, ale niespodzianie obsunęła mu się noga i mimo że starał się jakoś chwycić lub oprzeć, zjechał o wiele szybciej i głośniej, niż zamierzał. Nic by się nie stało, gdyby pokój był pusty, ale — niestety — ktoś go zajmował.

Hałas obudził dwie kobiety, śpiące w jednym łóżku. Spojrzały w kierunku, skąd dochodził, i zobaczyły, jak z otworu komina wyłania się jakiś mężczyzna.

To właśnie jedna z tych kobiet, blondynka, wydała z siebie okropny krzyk, który postawił na nogi cały dom, druga zaś, brunetka, złapała za sznur dzwonka i zaczęła nim z całej siły potrząsać.

Jak widać, Andrea miał pecha.

— Na litość boską! — zawołał blady i półprzytomny, nie widząc nawet, do kogo przemawia. — Na litość boską, nie wołajcie nikogo, ratujcie mnie! Nic złego wam nie zrobię.

— Andrea, morderca! — krzyknęła jedna z kobiet.

— Eugenia! Panna Danglars! — wybełkotał Cavalcanti, zgłupiawszy na dobre.

— Ratunku! Na pomoc! — krzyknęła panna d'Armilly, wyrywając ze znieruchomiałych rąk Eugenii sznurek od dzwonka i szarpiąc nim jeszcze gwałtowniej.

— Ratuj mnie, pani! Ścigają mnie! — rzekł Andrea, składając ręce. — Litości! Łaski! Nie wydawajcie mnie!

— Za późno, już idą na górę — odpowiedziała Eugenia.

— To niech mnie panie gdzieś ukryją. Niech panie powiedzą, że wystraszyły się bez przyczyny; zmylą panie pościg, a ja będę ocalony.

Eugenia i Ludwika przytulały się do siebie, po uszy okryte kołdrą, i pozostawały głuche na błagalny głos Andrei. Przerażenie walczyło w nich z odrazą.

— Dobrze! — rzekła wreszcie Eugenia. — Wracaj, nieszczęsny, tą samą drogą, którą przyszedłeś. Nic nie powiemy.

— Mamy go! Tu jest! — krzyknął głos za drzwiami. — Widzę go!

To kapral przyłożył właśnie oko do dziurki od klucza i ujrzał Andreę stojącego w błagalnej pozie.

Jedno silne uderzenie kolby rozbiło zamek, od następnych dwóch odpadły zawiasy i rygle. Drzwi zwaliły się na środek pokoju.

Andrea rzucił się do drugich drzwi, wychodzących na krużganek, otworzył je i spiął się do skoku na podwórze.

Ale na podwórzu dwóch żandarmów wymierzyło w niego lufy.

Zamarł. Blady, pochylony lekko do tyłu, ściskał kurczowo w dłoni bezużyteczny nóż.

— Niech pan ucieka! — zawołała panna d'Armilly, w której sercu strach ustąpił miejsca litości. — Niech pan ucieka!

— Albo niech się pan zabije! — rzekła Eugenia, przybierając ton i pozę westalki, która zwycięskiemu gladiatorowi daje kciukiem znak, by dobił umierającego przeciwnika.

Andrea drgnął i spojrzał na dziewczynę z pogardliwym uśmiechem. W swojej amoralności nie rozumiał tego okrucieństwa, dyktowanego poczuciem honoru.

— Mam się zabić? — rzekł rzucając nóż. — Niby dlaczego?

— Toć mówił pan — zdumiała się panna Danglars — że skażą pana na śmierć i że zostanie pan stracony jak najgorszy oprych!

— E — odpowiedział Cavalcanti, krzyżując ramiona. — Ma się tych przyjaciół.

Kapral podszedł do niego z szablą w dłoni.

— No dalej, dalej, nie ma potrzeby robić takich ceregieli, szanowny panie — rzekł Andrea. — Po co tyle szumu, przecież się poddaję.

I wyciągnął ręce, by nałożono mu kajdanki. Obie panny ze zgrozą obserwowały tę ohydną metamorfozę, jaka odbywała się na ich oczach. Oto człowiek światowy zrzucał skórę i przybierał swoje prawdziwe oblicze galernika.

Andrea odwrócił się w ich kierunku i z bezwstydnym uśmiechem rzekł:

— Czy mam może coś przekazać szanownemu papie, panienko Eugenio? Bo, jak się zdaje, właśnie wracam do Paryża.

Eugenia ukryła twarz w dłoniach.

— O, ależ nie ma się czego wstydzić — ciągnął Andrea. — I doprawdy nie mam panience za złe, że najęłaś karetkę i goniłaś za mną. Toć byłem już prawie twoim mężem!

Rzuciwszy tę drwinę, Andrea wyszedł, pozostawiając dwie uciekinierki na pastwę wstydu i komentarzy tłumu. Po godzinie, obie ubrane na powrót w kobiece stroje, wsiadły do powozu i odjechały. I mimo że zamknięto hotelową bramę, by uchronić je przed spojrzeniami ciekawskich, gdy opuszczały hotel, za bramą czatował na młode podróżniczki szpaler szepczących i wytrzeszczających oczy gapiów.

Eugenia zasłoniła okna karety, ale choć nie widziały już nikogo, długo goniły je szydercze śmiechy tłumu.

— Dlaczego świat nie jest pustynią! — zawołała Eugenia, padając w objęcia panny d'Armilly, a oczy jej gorzały niczym oczy Nerona, gdy pragnął, aby cały świat rzymski był głową, którą mógłby zrzucić jednym uderzeniem miecza.

Nazajutrz wysiadły przed Hotelem Flamandzkim w Brukseli.

Andrea już od dwudziestu czterech godzin siedział zamknięty w Conciergerie[1381].

98. PRAWO

Widzieliśmy, z jaką łatwością Eugenii i Luizie udało się przygotować wszystko do drogi i uciec. Nie dziwota: każdy był tak zajęty własnymi sprawami, że nie był w stanie interesować się sprawami innych.

Zostawimy na chwilę bankiera, przerażonego wizją bankructwa, niech sobie oblicza w pocie czoła długie kolumny cyfr składających się na jego pasywa. Udamy się za baronową, która lekko ogłuszona po ostatnim ciosie, jak zwykle pojechała po radę do pana Lucjana Debraya.

Matka, Córka, Obyczaje, Pozycja społeczna, Małżeństwo

Baronowa bardzo liczyła na ten mariaż, aby uwolnić się wreszcie od opieki nad córką, która zważywszy na charakter Eugenii, nie była zbyt łatwa.

Według niepisanych zasad, jakie podtrzymują więzy rodzinnej hierarchii, matka musi stanowić dla córki niepodważalny ideał mądrości i wzór do naśladowania.

A pani Danglars bardzo obawiała się bystrego umysłu Eugenii i rad udzielanych jej przez pannę d'Armilly. Dostrzegła wzgardliwe spojrzenia, jakie Eugenia słała panu Debrayowi; wskazywały one, że Eugenia zna dobrze tajemnicę jej miłosnych i finansowych relacji z sekretarzem ministra. Po bliższym i głębszym zbadaniu sprawy okazałoby się jednak, że panna Danglars nie znosi Debraya nie dlatego, że sieje on zamęt i zgorszenie, ale dlatego, że widzi w nim jednego z tych dwunogów, które Diogenes wahał się nazywać ludźmi, a Platon określał mianem dwunożnych nieopierzonych zwierząt.

Pani Danglars patrzyła na to z własnego punktu widzenia, który nie pozwalał jej widzieć rzeczy oczyma innych; a zatem, pani Danglars żałowała, że małżeństwo Eugenii nie doszło do skutku, nie dlatego, że związek ten miał być stosowny i miał zapewnić córce szczęście, ale dlatego, że uzyskałaby upragnioną niezależność.

Udała się więc spiesznie do pana Debraya, który — podobnie jak cały elegancki świat Paryża — był świadkiem podpisywania intercyzy, a gdy wybuchł publiczny skandal, czmychnął prędziutko do klubu i właśnie tam rozprawiał w towarzystwie kilku przyjaciół o tym, co się wydarzyło. A zresztą, tego wieczoru rozmawiało o tym trzy czwarte tej rozplotkowanej mieściny, którą zwykło się nazywać stolicą świata.

[1381] *Conciergerie* — średniowieczna część paryskiego Pałacu Sprawiedliwości, w której mieściło się więzienie polityczne. [przypis edytorski]

W chwili gdy pani Danglars, w czerni, z twarzą ukrytą za gęstą woalką, wchodziła po schodach prowadzących do mieszkania Debraya mimo zapewnień odźwiernego, iż pana nie ma w domu, Debray odpierał argumenty jednego z przyjaciół, który próbował mu udowodnić, że po tak okropnym skandalu jako przyjaciel domu powinien poślubić pannę Danglars wraz z jej dwoma milionami.

Debray bronił się jak człowiek, który w rzeczywistości tylko czeka, by go przekonano; myśl ta bowiem już dawno świtała mu w głowie. Znał jednak wyniosły i nieugięty charakter Eugenii i od czasu do czasu bronił się nieco gwałtowniej, mówiąc, że związek taki jest absolutnie niemożliwy, chociaż owa niemoralna myśl cały czas tkwiła w jego duszy, niczym Szatan wiecznie przyczajony za krzyżem. Ale myśli tego rodzaju hołubią czasem w sobie i najuczciwsi ludzie.

Karty, herbata, zajmująca rozmowa — a jak widzimy, dyskutowano o niezwykle palących kwestiach — trwały do pierwszej nad ranem.

Pani Danglars tymczasem, wprowadzona przez lokaja, zawoalowana i drżąca czekała w małym zielonym saloniku pomiędzy dwoma koszami kwiatów, które sama tego ranka wysłała Debrayowi i które on — trzeba to przyznać — własnoręcznie ustawił, poprawił i oberwał zeschłe listki ze starannością, która w jakimś stopniu wynagradzała nieszczęsnej kobiecie jego nieobecność.

Dwadzieścia minut przed północą pani Danglars, znużona daremnym czekaniem, wsiadła do dorożki i kazała się odwieźć do domu. Kobiety z wyższych klas mają jedną wspólną cechę łączącą je z gryzetkami, do których uśmiechnęło się szczęście w miłości — rzadko wracają do domu po północy.

Baronowa weszła do domu z taką samą ostrożnością, z jaką Eugenia go opuszczała. Ze ściśniętym sercem wspięła się cicho po schodach do swojego apartamentu, który sąsiadował, jak pamiętamy, z pokojami panny Eugenii. Panicznie lękała się jakichkolwiek komentarzy. Biedna kobieta niezłomnie wierzyła — i w tym przynajmniej zasługiwała na szacunek — w niewinność córki i w jej przywiązanie do domu rodzinnego.

Wróciwszy do siebie, stanęła pod drzwiami Eugenii, chwilę nasłuchiwała, czy nie dochodził zza nich jakiś szmer; spróbowała nacisnąć klamkę, ale drzwi były zamknięte od wewnątrz. Pani Danglars uznała, że po ciężkich przeżyciach minionego wieczoru Eugenia położyła się do łóżka i zasnęła. Zawołała pokojówkę i spytała o córkę.

— Panna Eugenia — odpowiedziała pokojówka — wróciła z panną d'Armilly do swojego apartamentu, wypiły razem herbatę, a potem odprawiły mnie, mówiąc, że nie będą mnie już potrzebować.

Od tego czasu pokojówka nie wychodziła z oficyny i jak wszyscy była pewna, że obie panienki są w swoich pokojach.

Pani Danglars położyła się także, niczego nie podejrzewając, ale już spokojniejsza o córkę. Nie mogła jednak oderwać myśli od fatalnego wydarzenia. W miarę jak jej myśli stawały się coraz bardziej klarowne, rozmiary całego zdarzenia nabierały coraz większych i bardziej przerażających kształtów. Nie była to już zwykła awantura, ale publiczny skandal, i nie był już wstyd, ale hańba.

Baronowa mimo woli przypomniała sobie, jak była bezlitosna dla biednej Mercedes, którą spotkało niedawno tak wielkie nieszczęście.

— Eugenia jest zgubiona — rzekła do siebie — a my razem z nią. Ta afera ściągnęła na nas hańbę, bo w naszej sferze śmieszność to jątrząca się, krwawiąca rana, której nie da się wyleczyć.

— Co za szczęście — szepnęła — że Bóg obdarzył ją tym dziwnym charakterem, który nieraz przyprawiał mnie o ból głowy. — Wzniosła dziękczynne spojrzenie ku niebu, gdzie tajemnicza Opatrzność z wyprzedzeniem układa wszystkie wypadki i czasem ze słabości lub wady czyni podstawę pod szczęście.

Potem jej myśli uleciały w przestrzeń i zatrzymały się na Cavalcantim, niczym ptak, który zawisa w locie nad przepaścią.

Andrea był nędznikiem, złodziejem, mordercą, a jednak posiadał maniery świadczące o pewnym wychowaniu, o ile nie odebrał nawet pełnej edukacji; Andrea wszedł do tego świata, chlubiąc się ogromnym majątkiem, protegowany przez szanowanych ludzi.

Jak można wybrnąć z tego labiryntu? Do kogo się udać, by wyjść z tak okropnego położenia? Debray, do którego udała się w pierwszym odruchu — jak każda kobieta,

która szuka rady i pocieszenia u mężczyzny, którego kocha, choć ten często ją gubi — Debray mógł jej tylko doradzić. Musiała więc zwrócić się do kogoś potężniejszego.

Przyszedł jej na myśl pan de Villefort.

To pan de Villefort kazał aresztować Cavalcantiego; to pan de Villefort bezlitośnie wprowadził do jej domu ten cały zamęt, jakby byli dla niego kimś zupełnie obcym.

Ale nie. Jeśli się zastanowić, prokurator nie jest człowiekiem bezlitosnym, jest tylko niewolnikiem swoich obowiązków; ale to zarazem lojalny i wierny przyjaciel, który choć brutalnie, ale pewną ręką, uderzył skalpelem tam, gdzie istniało zepsucie. Nie był to kat, ale zręczny chirurg, który chciał ocalić dom Danglarsów od niesławy — bo przecież ten młody przestępca, przedstawiany przez nich już jako zięć, zhańbiłby ich na pewno.

Skoro pan de Villefort, przyjaciel rodziny, postąpił w taki właśnie sposób, może to tylko znaczyć, że nie wiedział on nic o oszustwach Andrei. Tłumacząc tak sobie zachowanie Villeforta, baronowa uznała, że działał na ich korzyść.

Ale w tym miejscu jego prokuratorska zawziętość powinna się zatrzymać. Baronowa postanowiła, że nazajutrz pójdzie do niego i wyjedna, by nie tyle uchybił swym powinnościom urzędnika, lecz aby okazał przynajmniej trochę pobłażliwości.

Powoła się na przeszłość, przywoła wszystkie wspomnienia, będzie go zaklinać w imię tamtych grzesznych, ale przecież szczęśliwych czasów. Pan de Villefort zatuszuje całą sprawę albo przynajmniej pozwoli Cavalcantiemu uciec, a do tego wystarczy tylko, by na chwilę odwrócił oczy! I wyda wyrok zaoczny: nie na zbrodniarza, tylko na jego cień.

I dopiero wtedy, uspokojona, zasnęła.

Nazajutrz o dziewiątej wstała i nie zadzwoniwszy nawet na pokojówkę, ubrała się sama z taką samą prostotą jak wczoraj, zeszła po schodach i poszła pieszo aż na ulicę Provence. Tam wsiadła do dorożki i kazała się zawieźć do domu pana de Villeforta.

Już od miesiąca ów przeklęty dom przedstawiał okropny widok. Przypominał raczej szpital, w którym ogłoszono dżumę. Niektóre części domu dokładnie pozamykano zarówno od zewnątrz, jak i od wewnątrz. Zamknięte okiennice otwierano tylko na chwilę, by wpuścić trochę świeżego powietrza; pojawiała się wtedy w oknie wylękniona twarz lokaja, po czym okno zatrzaskiwało się z hukiem, jak płyta grobowa opada nad zmarłym. Sąsiedzi szeptali między sobą:

— Czy dziś znowu wyniosą trumnę z domu prokuratora?

Panią Danglars przejął dreszcz na ten posępny widok. Wysiadła z dorożki, na nogach miękkich jak z waty podeszła do zamkniętych drzwi i zadzwoniła.

Dzwonek odezwał się dopiero za trzecim razem. Jego żałobny dźwięk zdawał się wtórować ogólnemu smutkowi. Odźwierny uchylił drzwi, zostawiając tylko wąską szparę.

Dostrzegł kobietę elegancką, kobietę z towarzystwa — a jednak nie otworzył szerzej drzwi.

— No, otwierajcie! — zniecierpliwiła się baronowa.

— Ale muszę najpierw wiedzieć, kim łaskawa pani jest.

— Kim jestem? Przecież znacie mnie dobrze!

— My już nikogo nie znamy.

— Chyba postradaliście zmysły? — zawołała baronowa.

— Kto panią przysyła?

— Och! Tego już za wiele!

— Niech mi jaśnie pani wybaczy, ale taki mamy rozkaz. Pani godność?

— Baronowa Danglars. Widzieliście mnie przecież ze dwadzieścia razy.

— Bardzo możliwe, proszę jaśnie pani. W jakiej sprawie pani przychodzi?

— Co za człowiek! Poskarżę się panu de Villefortowi, że ma niegrzeczną służbę.

— Niech mi pani daruje, ale to nie jest niegrzeczność, tylko ostrożność. Nikomu nie wolno tu wchodzić bez wiedzy pana lekarza d'Avrigny'ego albo pana prokuratora.

— A ja mam właśnie sprawę do pana prokuratora.

— Czy to pilna sprawa?

— Jak widzicie, musi być pilna, skoro jeszcze tu sterczę! Ale dość tego, oto mój bilet wizytowy, zanieś go swojemu panu.

— Zechce pani zaczekać, dopóki nie wrócę.

— Dobrze, zaczekam.

Odźwierny zamknął drzwi i zostawił panią Danglars na ulicy.

Pani Danglars nie czekała jednak długo; po chwili drzwi otwarły się nieco szerzej, wpuszczając ją do środka, po czym natychmiast zamknęły się za nią.

Na dziedzińcu odźwierny, nie spuszczając oka z drzwi, wyjął z kieszeni świstawkę i zagwizdał.

Na ganku pojawił się lokaj pana de Villeforta.

— Niech pani raczy wybaczyć temu poczciwcowi — rzekł lokaj do baronowej. — Ale takie odebrał rozkazy i pan de Villefort kazał mi powiedzieć, że odźwierny nie mógł postąpić inaczej.

Na dziedzińcu baronowa zobaczyła dostawcę, który został wpuszczony po zastosowaniu takich samych środków ostrożności, a teraz dokładnie sprawdzano jego towar.

Baronowa weszła na ganek, głęboko poruszona tym wszechogarniającym smutkiem, jaki panował w całym tym domu. Lokaj, nie spuszczając jej z oczu ani na chwilę, zaprowadził ją do gabinetu prokuratora.

Choć pani Danglars była bardzo przejęta celem swojej wizyty, rozmowę zaczęła od skarg na niegodny sposób, w jaki została potraktowana.

Ale Villefort podniósł pochyloną pod brzemieniem cierpienia głowę i spojrzał na nią z tak smutnym uśmiechem, że przerwała w pół słowa.

— Proszę wybaczyć moim służącym takie zachowanie. Są wystraszeni, a ja nie mogę mieć im tego za złe. Podejrzewani, sami stali się podejrzliwi.

Pani Danglars już nie raz słyszała o trwodze, jaka opanowała służbę prokuratora, nigdy nie uwierzyłaby w nią jednak, gdyby nie zobaczyła na własne oczy, jakie może ona przybrać rozmiary.

— A więc także pan jest nieszczęśliwy? — zapytała.

— Tak, proszę pani! — odpowiedział dygnitarz.

— I współczuje mi pan?

— Współczuję pani szczerze.

— I wie pan, co mnie tu sprowadza?

— Chcesz pani zapewne porozmawiać o tym, co państwa spotkało?

— Tak, och, to straszne nieszczęście.

— Raczej niepowodzenie.

— Niepowodzenie! — zawołała baronowa.

— Niestety, droga pani — odpowiedział prokurator z niezmąconym spokojem — ostatnio nieszczęściem nazywam tylko sprawy, których nie da się odwrócić.

— I pan sądzi, że ludzie o tym zapomną?...

— Wcześniej czy później zapominają o wszystkim. Eugenia wyjdzie za mąż jeśli nie dziś, to jutro, jeśli nie jutro, to za tydzień. A nie sądzę, by żałowała pani narzeczonego panny Eugenii.

Pani Danglars spojrzała na Villeforta; jego szyderczy spokój zaskoczył ją.

— Czy przyszłam do przyjaciela? — zapytała tonem pełnym urażonej godności.

— Dobrze pani wie, że tak — odpowiedział Villefort, a gdy składał to zapewnienie, na jego policzki wystąpił lekki rumieniec.

Zapewnienie to bowiem było aluzją do innych spraw niż te, o których miał rozmawiać z baronową.

— A więc okaż mi pan trochę serca, kochany Villeforcie — rzekła baronowa. — Rozmawiaj ze mną jak przyjaciel, a nie jak urzędnik. I gdy spotkało mnie prawdziwe nieszczęście, nie mów mi, że mam być wesoła.

Villefort skłonił się.

— Droga pani, od trzech miesięcy, gdy ktoś mówi mi o swoich nieszczęściach, porównuję je zawsze do moich własnych. Wiem, że to egoistyczne z mojej strony, ale robię to mimowolnie. Oto dlaczego to, co zdarzyło się pani, w obliczu moich nieszczęść wydaje mi się tylko niepowodzeniem. Oto dlaczego, w obliczu moich straszliwych przeżyć, pani sytuacja wydaje mi się godna pozazdroszczenia. Ale sprawia to pani przykrość, dajmy więc temu pokój. Mówiłaś, pani...

— Chciałam się od pana dowiedzieć, jak wygląda sytuacja tego oszusta.

— Oszusta! — obruszył się Villefort. — Zdecydowanie, uparłaś się pani pewne wypadki łagodzić, a inne wyolbrzymiać. Pan Andrea Cavalcanti, albo raczej powiedzmy —

pan Benedetto, ma być oszustem?! Myli się pani, pan Benedetto to ni mniej, ni więcej, tylko morderca!

— Nie zaprzeczam słuszności tego sprostowania, ale im srożej potraktuje pan tego nieszczęśnika, tym dotkliwiej odczuje to nasza rodzina. Niechże pan na chwilę o nim zapomni; zamiast go ścigać, proszę pozwolić mu uciec.

— Za późno pani przychodzi, rozkazy zostały już wydane.

— Jeżeli go więc pochwycą... Jak pan sądzi, złapią go?

— Mam taką nadzieję.

— Jeżeli go więc złapią, to niech go pan zostawi w więzieniu, choć jak słyszałam więzienia są przepełnione.

Na te słowa prokurator pokręcił głową, dając do zrozumienia, że się nie zgadza.

— Przynajmniej do czasu, kiedy moja córka nie wyjdzie za mąż! — dodała baronowa.

— To niemożliwe, sprawiedliwość ma także swoją formalną stronę.

— Nawet dla mnie? — zapytała baronowa pół żartem, pół serio.

— Dla wszystkich bez wyjątku. W tym również i dla mnie.

— A! — zawołała baronowa. Nie dorzuciła nic więcej, ale wykrzyknik ten i tak zdradził jej myśl.

Villefort spojrzał na nią przenikliwie.

— Wiem, co chciałaś pani powiedzieć. Robisz pani aluzję do owych strasznych pogłosek, że wszystkie przypadki śmierci, które od trzech miesięcy okrywają mój dom nieustanną żałobą, a nawet śmierć, której cudem uszła Valentine, nie są zgonami naturalnymi.

— Nawet o tym nie pomyślałam — zaprzeczyła żywo pani Danglars.

— Ależ oczywiście, że pomyślałaś pani o tym; i miałaś rację. Czyż mogłaś pani o tym nie pomyśleć? I nie szepnąć sobie: „Ty, który ścigasz przestępców, odpowiadaj, dlaczego wokół ciebie wciąż popełniane są zbrodnie i uchodzą one bezkarnie?".

Baronowa zbladła.

— Tak sobie pani w duchu powiedziałaś, prawda?

— No cóż, przyznaję.

— A więc odpowiem pani na to.

Villefort przysunął swój fotel do krzesła pani Danglars, oparł dłonie o biurko i powiedział przytłumionym głosem:

— Istnieją przestępstwa, które uchodzą bezkarnie, bo nie można wykryć zbrodniarza, a strach poświęcić niewinną głowę zamiast winnej. Ale gdy zbrodniarz zostanie odkryty — Villefort wyciągnął rękę w kierunku krucyfiksu wiszącego naprzeciw jego biurka — gdy zbrodniarz zostanie odkryty — powtórzył — przysięgam pani na Boga, że kimkolwiek jest, zginie. A teraz, gdy złożyłem przed panią tę przysięgę i oświadczyłem, że przysięgi dotrzymam, wciąż chce mnie pani prosić o łaskę dla tego nędznika?

— Jest pan pewien, że jest on winny przestępstw, o które się go obwinia?

— Proszę, oto są jego papiery: „Benedetto, skazany w szesnastym roku życia na pięć lat galer za fałszerstwo". Jak pani widzisz, ten obiecujący młodzieniec uciekł, a następnie został zbójcą.

— Ale kim jest ten nieszczęśnik?

— Któż to może wiedzieć? To jakiś włóczęga, Korsykanin.

— I nikt się nigdy o niego nie upominał?

— Nikt. Nie wiadomo, kim są jego rodzice.

— A ten pan, który przybył z Lukki?

— To taki sam łotrzyk. Pewnie jego wspólnik.

Baronowa załamała ręce.

— Gerardzie! — rzekła tak przymilnie, jak tylko umiała.

— Na miłość boską! Niech mnie pani nigdy nie prosi o łaskę dla zbrodniarza — powiedział prokurator stanowczo, a nawet oschle. — Bo kim ja jestem? Prawem. Czy prawo ma oczy, żeby dojrzeć pani smutek? Czy prawo ma uszy, żeby je mógł przejąć pani łagodny głos? Czy prawo ma pamięć, którą mogą wzruszyć pani aluzje do pewnych wspomnień? Nie, szanowna pani, prawo wydaje wyrok, a jeśli go już wydało, musi ten wyrok wykonać. Może mi pani powie, że jestem istotą żyjącą, a nie kodeksem, że jestem człowiekiem, a nie księgą praw... Ale niech pani na mnie spojrzy i rozejrzy się wokół: czy

Prawo, Sprawiedliwość, Zło, Kara, Kondycja ludzka, Obraz świata, Wina

ludzie obeszli się ze mną jak z bratem? Gdzie dowód ich miłości? Czy mnie oszczędzali? Czy ktokolwiek poprosił o łaskę dla pana de Villeforta i czy tę łaskę panu Villefortowi przyznano? Nie! Nie! Nie! Nic, tylko same ciosy, jedne po drugich! Kobieto! Kusi mnie pani jak syrena! Przenika mnie pani tym czarującym, wymownym spojrzeniem, które przypomina mi, że powinienem się zarumienić. A więc dobrze, rumienię się. Wstydzę się za to, o czym dobrze pani wie, a może i za coś jeszcze, o czym pani nie wie. Jednak od czasu, kiedy sam zbłądziłem, może nawet bardziej niż inni, od tego czasu zdzieram z innych szaty, bo chcę znaleźć wrzód — i zawsze go znajduję. I powiem więcej — robię to z radością! Z rozkoszą doszukuję się tego śladu słabości i przewrotności ludzkiej! Bo każdy, którego uznam za winnego i dowiodę jego winę, jest dla mnie żywym dowodem, za każdym razem nowym dowodem na to, że nie byłem tylko ohydnym wyjątkiem! Niestety! Niestety, droga pani! Wszyscy ludzie są źli, udowodnijmy to i karzmy złych!

Villefort wymówił ostatnie słowa z gorączkową wściekłością, przez co nabrały one okrutnej wymowy.

— Ale mówi pan przecież — pani Danglars podjęła ostatnią próbę przekonania prokuratora. — Mówi pan, że ten młodzieniec jest włóczęgą, sierotą, że został opuszczony przez wszystkich.

— Tym gorzej, tym gorzej, droga pani, albo raczej tym lepiej. Opatrzność tak zrządziła, że nikt nie będzie po nim płakał.

— Pan się znęca nad słabszym.

— Słaby, który zabija!

— Jego hańba spadnie też na mój dom.

— A czy mojego domu nie prześladuje śmierć?

— Nie zna pan litości dla innych! Więc powiem panu, że dla pana również nikt nie znajdzie litości!

— I niech tak będzie! — rzekł Villefort, podnosząc groźnie rękę ku niebu.

— Ale gdy go już schwytacie, niech pan przynajmniej odroczy sprawę tego nieszczęśnika na następne posiedzenie sądu przysięgłych. Po sześciu miesiącach ludzie może zapomną.

— Nie mogę — rzekł Villefort. — Mam jeszcze pięć dni, śledztwo już skończone. Pięć dni czasu to i tak za dużo w tym przypadku; a zresztą, czy pani nie rozumie, że ja także chciałbym zagłuszyć czymś moją pamięć? I kiedy pracuję dzień i noc, gdy jestem tak bardzo zajęty, bywają chwile, w których o wszystkim zapominam, nawet o sobie, dopiero wtedy jestem szczęśliwy, jak szczęśliwi bywają umarli. A to zawsze lepsze niż cierpienie.

— On uciekł, niech go pan nie ściga. Obojętność to bardzo łatwa forma łaski.

— Powiedziałem pani, że już za późno. Telegraf nadał rozkazy z samego rana, i w tej chwili...

— Panie — rzekł lokaj, wchodząc do gabinetu. — Goniec przyniósł depeszę z ministerstwa spraw wewnętrznych.

Villefort chwycił list i pospiesznie go rozpieczętował.

Pani Danglars zadrżała z trwogi. Villefort zadrżał z radości.

— Schwytany! — zawołał prokurator. — W Compiègne. Sprawa skończona.

Pani Danglars podniosła się wyniosła i blada.

— Żegnam pana — rzekła.

— Żegnam panią — odpowiedział prokurator niemal z radością i odprowadził ją do drzwi.

Po czym wrócił do biurka i rzekł, uderzając prawą ręką w kartkę:

— Ładnie, miałem jedno fałszerstwo, trzy kradzieże, dwa podpalenia, brakowało mi tylko morderstwa, i mam je! Posiedzenie sądu będzie znakomite.

99. ZJAWA

Valentine, jak oświadczył prokurator pani Danglars, nadal nie wracała do zdrowia. Wciąż była osłabiona i nie opuszczała łóżka. O zaszłych wypadkach, to jest o tych, które przed chwilą zostały tu opowiedziane, czyli o ucieczce Eugenii i schwytaniu Andrei Cavalcantiego, albo raczej Benedetta, i o oskarżeniu go o morderstwo, dowiedziała się od pani de

Villefort. Była jednak tak słaba, że opowieść ta nie zrobiła na niej wrażenia, jakie niewątpliwie wywarłaby kiedy indziej. Przemknęło jej przez głowę tylko kilka niewyraźnych myśli, kilka niewyraźnych obrazów zamgliło jej się przed oczyma, ale wkrótce wszystko się zamazało i pogrążyła się z powrotem w swoich majakach.

Za dnia do rzeczywistości przywoływała ją obecność dziadka, bo pan Noitier kazał się zanosić do pokoju wnuczki i siedział przy niej, nie spuszczając z niej troskliwego spojrzenia. Potem jeszcze, wróciwszy z sądu, zaglądał do niej pan de Villefort i spędzał godzinę lub dwie w towarzystwie córki i ojca. O szóstej prokurator odchodził do swojego gabinetu, a o ósmej przychodził pan d'Avrigny, który osobiście przynosił dla Valentine lekarstwo na noc; następnie odwożono pana Noirtier.

Lekarz wybrał pielęgniarkę do pilnowania chorej, która czuwała przy niej mniej więcej do godziny jedenastej i wychodziła, gdy Valentine już spała. Odchodząc, oddawała klucze od pokoju Valentine panu de Villefortowi, tak że nikt nie mógł już wejść do chorej inaczej niż przez pokoje pani de Villefort i pokoik małego Edwarda.

Każdego ranka Morrel przychodził do Noirtiera dowiedzieć się o stan zdrowia Valentine i co ciekawe, z każdym dniem wydawał się spokojniejszy. Choć dziewczynę wciąż męczyła gwałtowna gorączka i dokuczały jej nerwy, miała się coraz lepiej. Poza tym sam Monte Christo powiedział przecież, że jeśli po dwóch godzinach Valentine nie skonała, na pewno będzie żyć. I rzeczywiście, Valentine wciąż żyła, mimo że upłynęły już cztery dni.

Ten nerwowy stan podniecenia prześladował Valentine przez cały dzień i trwał nadal, gdy zasypiała, a raczej zapadała w półsen. Dopiero wtedy, wśród nocnej ciszy, w półmroku, bo pokój oświetlała tylko nocna lampka stojąca na kominku, zjawy zaczynały nadlatywać na skrzydłach gorączki i zaludniać pokój chorej.

Zdawało jej się, że widzi złowrogą postać macochy, innym razem stawał przed nią Morrel z wyciągniętymi ramionami; pojawiały się i inne osoby, na przykład hrabia de Monte Christo; w tej gorączkowej malignie zaczynały się poruszać nawet meble. Trwało to zwykle do drugiej lub trzeciej nad ranem, dopiero wtedy zapadała w mocny sen, który krzepił ją do rana.

Kiedy więc Valentine dowiedziała się o ucieczce Eugenii i schwytaniu Benedetta, niebawem zaczęła o tym stopniowo zapominać i wspomnienie to zamazało się już całkiem, gdy wyszli od niej kolejno Villefort, lekarz i gdy odwożono pana Noirtiera. Na kościele Saint-Philippe-du-Roule wybiła jedenasta, pielęgniarka położyła tuż przy chorej lek przygotowany przez lekarza, po czym zamknęła drzwi od jej pokoju i udała się do kredensu, gdzie z drżeniem przysłuchiwała się komentarzom, jakimi służba kwitowała wydarzenia w domu, i ponurym historiom, jakie sobie opowiadała. Od trzech miesięcy takie historie stanowiły główną rozrywkę w kredensie i przedpokojach pana prokuratora.

A tymczasem w tym tak pilnie strzeżonym pokoju zaszło coś nieoczekiwanego.

Minęło dziesięć minut od chwili, gdy pielęgniarka wyszła. Valentine już od godziny zmagała się z gorączką, która powracała każdej nocy, a mózg chorej wytwarzał bez przerwy, niezależnie od jej woli, monotonnie i nieubłaganie, wciąż te same myśli i obrazy.

Choroba, Duch

Nocna lampka pełgała, a rzucane przez nią blaski przybierały dziwaczne kształty; i nagle Valentine wydało się, że w chybotliwym świetle lampki z wolna otwiera się jej biblioteczka przy kominku; zawiasy, na których obracała się szafa, nawet nie skrzypnęły.

O każdej innej porze Valentine porwałaby za sznur od dzwonka i wezwała pomoc; ale w rozgorączkowaniu, w jakim się znajdowała, nic jej już nie dziwiło. Przekonana była, że wszystkie widziadła, które ją otaczają, wynikają z maligny — bo przecież rankiem po tych nocnych marach nie pozostawał żaden ślad.

W drzwiach stanęła jakaś postać.

Valentine zdążyła się już tak przyzwyczaić do zjaw, które ją nawiedzały, że nie przeraziła się wcale. Otwarła tylko szeroko oczy w nadziei, że będzie to Morrel.

Postać zbliżała się do łóżka — nagle przystanęła i przez chwilę w największym skupieniu nasłuchiwała. Wtedy poblask światła zaigrał na twarzy nocnego gościa.

— To nie on — szepnęła.

Przekonana, że majaczy, czekała, aż ów człowiek zniknie albo zmieni się w inną osobę, jak to się często zdarza w snach. Dotknęła pulsu, a czując, że bije gwałtownie, przypomniała sobie, że najlepszy sposób na odpędzenie widziadeł to łyk napoju, który le-

karz przygotował specjalnie, aby koić nerwy Valentine; lek sprawiał, że gorączka opadała, a zamieszanie w głowie trochę ustawało, przynosząc dziewczynie ulgę. Sięgnęła więc po szklankę stojącą na kryształowym spodku; ale kiedy wyciągała drżącą rękę, zjawa szybko zbliżyła się do łóżka i podeszła tak blisko, że chora poczuła jakby tchnienie i dotknięcie palców.

Tym razem złudzenie albo raczej rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania Valentine. Zrozumiała, że nie śpi i że jest całkiem przytomna — a wtedy zadrżała.

Zjawa bowiem powstrzymała jej rękę.

Valentine wolno ją wycofała.

Postać, od której nie mogła oderwać wzroku — a wydawała się jej raczej przyjazna niż groźna — postać ta podniosła szklankę, podeszła do lampki i obejrzała napój pod światło, jakby chciała ocenić jego klarowność i przezroczystość. Jednak to pierwsze doświadczenie nie wystarczyło. Człowiek ów, a raczej duch — stąpał bowiem tak lekko, że dywan tłumił zupełnie jego kroki — nabrał płynu na łyżeczkę i połknął.

Valentine patrzyła na to wszystko w osłupieniu. Sądziła, że za chwilę zjawa zniknie, ustępując miejsca innemu obrazowi. Ale człowiek nie rozpłynął się w powietrzu jak duch. Podszedł do łóżka, podał chorej szklankę i rzekł głosem, w którym malowało się wzruszenie:

— A teraz wypij!

Valentine zadrżała. Po raz pierwszy przemówiła do niej jedna z jej nocnych mar. Otwarła usta do krzyku. Człowiek położył palec na ustach.

— Pan hrabia de Monte Christo — wyszeptała.

W jej oczach pojawił się strach, zaczęły jej drżeć ręce, skuliła się pod kołdrą — to wszystko wskazywało, że jeszcze nie może uwierzyć w to, co widzi. Bo przecież obecność pana de Monte Christo u niej w pokoju, o tej porze, jego tajemnicze, fantastyczne, niewytłumaczalne wejście przez mur były czymś zupełnie niepojętym dla oszołomionej Valentine.

— Niech pani nikogo nie woła i nie boi się — odezwał się hrabia. — Niech pani nie dopuszcza nawet do swojego serca najmniejszego cienia wątpliwości lub niepokoju. Człowiek, którego widzi pani przed sobą, nie jest bynajmniej zjawą. A dla pani jest najczulszym ojcem i najlepszym przyjacielem, o jakim kiedykolwiek mogłabyś marzyć.

Valentine nie wiedziała, co odpowiedzieć; tak przelękła się tego głosu, że nie śmiała przemówić. Ale jej przerażone spojrzenie mówiło: „Jeżeli twoje zamiary są uczciwe, dlaczego tu jesteś?".

Hrabia z właściwą sobie intuicją zrozumiał dobrze, co się dzieje w sercu dziewczyny.

— Posłuchaj albo raczej spójrz na mnie — rzekł — spójrz na moje zaczerwienione oczy i bledszą niż zwykle twarz. Od czterech nocy nie zmrużyłem oka, od czterech nocy czuwam nad tobą, pilnuję i pielęgnuję dla naszego drogiego Maksymiliana.

Chora aż zaczerwieniła się z radości; imię, które wymówił hrabia, rozwiało w jej sercu resztkę nieufności.

— Maksymilian — powtórzyła Valentine, tak cudowny był dla niej dźwięk tego imienia. — Maksymilian! Czyli wszystko panu wyznał?

— Wszystko. Powiedział mi, że bez pani jego życie nic nie jest warte, i przyrzekłem mu, że będzie pani żyć.

— Obiecał mu pan, że będę żyć? Zdaje mi się, że przed chwilą mówił pan o czuwaniu i opiece nade mną, jest pan lekarzem?

— Tak, i to najlepszym, jakiego w tej chwili niebo mogłoby pani zesłać, zaręczam.

— I czuwał pan nade mną? — zapytała niespokojnie Valentine. — Ale jak? Nie widziałam pana nigdzie.

Hrabia wskazał ręką na biblioteczkę.

— Ukrywałem się za tymi drzwiami. Prowadzą do domu obok, który wynająłem.

Valentine zawstydziła się, spuściła oczy i trwożnie odpowiedziała:

— To, co pan zrobił, to szaleństwo, a opieka, której mi pan udzielił, jest raczej zniewagą.

— Valentine, przez cały czas tego długiego czuwania jedyną rzeczą, na której skupiała się moja uwaga byli ludzie, jacy u pani bywali, jedzenie, picie i lekarstwa, jakie pani podawano. Kiedy jakieś napoje wydawały mi się dla pani niebezpieczne, wchodziłem, tak

jak przed chwilą, wylewałem je ze szklanki, a zamiast śmiertelnej trucizny wlewałem napój o dobroczynnych właściwościach. Krzepił panią i przywracał do życia, które chcą ci odebrać.

— Śmierć! Trucizna! — zawołała Valentine, myśląc, że znowu zaczyna majaczyć w malignie. — Co pan mówi?!

— Uspokój się, moje dziecko — rzekł Monte Christo, podnosząc znowu palec do ust. — Owszem, powiedziałem trucizna, powiedziałem również śmierć i powtórzę raz jeszcze: tak, chcą ci zadać śmierć. — Wyjął z kieszeni flaszeczkę z czerwonym napojem i nalał trochę do szklanki. — Jak to wypijesz, nie pij już nic więcej tej nocy.

Valentine wyciągnęła rękę, ale ledwie dotknęła szklanki, cofnęła rękę z przerażeniem.

Monte Christo wziął szklankę i wypił płyn do połowy, potem podał Valentine, a ona z uśmiechem wypiła resztę.

— Tak — rzekła. — Poznaję smak tego, co pijałam w nocy. Zawsze mnie to odświeża i uspokaja. Dziękuję panu, dziękuję.

— Oto dzięki czemu przeżyłaś już cztery dni, Valentine — rzekł hrabia — a ja, jak ja żyłem przez ten czas? Okropne godziny! Co za męki przeżywałem, widząc, jak do szklanki wlewano ci morderczą truciznę, gdy drżałem, żebyś nie wypiła tej trucizny, zanim zdążę wylać ją do kominka!

— Mówi pan — odrzekła Valentine śmiertelnie przerażona — że przeżywał pan najgorsze męki, widząc, jak wlewano do mojej szklanki truciznę? To skoro widział pan napój wlewany do szklanki, musiał pan także widzieć osobę, która to robiła?

— Tak.

Valentine podniosła się na łóżku, zakrywając bielszą od śniegu pierś batystowym prześcieradłem, zroszona zimnym potem.

— Widział pan? — powtórzyła.

— Tak.

— To straszne, co pan mówisz, zaraz uwierzę, że dzieje się tu coś szatańskiego. Jak to? Ktoś chce mnie zabić w domu mojego ojca, w moim pokoju, w moim własnym łóżku? Niech pan już wyjdzie, nie mogę w to uwierzyć, bluźnisz pan przeciw dobroci boskiej! To niemożliwe, niemożliwe!

— Czyżbyś, Valentine, byłą pierwszą osobą, którą to spotkało? Nie widziałaś, jak umierali państwo de Saint-Méranowie i Barrois? A o mały włos umarłby i twój dziadek, gdyby nie kuracja, którą prowadzi od trzech lat, nie uodporniła go na tę truciznę?

— O Boże, czy to dlatego dziadunio od miesiąca zmuszał mnie, żebym razem z nim łykała jego mikstury?

— A czy smakowały gorzko — zawołał Monte Christo — jak podsuszona skórka pomarańczowa?

— Tak, tak!

— Teraz wszystko rozumiem! Czyli on także wie, że jest tu truciciel, a może nawet wie, kim on jest. Uodpornił cię na tę zabójczą substancję, bo kocha cię jak nikogo w świecie i dlatego nie podziałała za pierwszym razem. Dlatego jeszcze pani żyjesz. A zachodziłem w głowę, jak to możliwe — bo uraczono panią trucizną, która nie daje pardonu[1382].

— Ale kto jest mordercą?

— A nie widziałaś nigdy, jak ktoś przychodzi w nocy do twego pokoju?

— Widziałam. Często zdawało mi się, że jakieś cienie przesuwają się, zbliżają, oddalają, a potem znikają, ale brałam je zawsze za halucynacje spowodowane gorączką. Nawet przed chwilą, gdy przyszedłeś tu pan, długo byłam przekonana, że to moje kolejne urojenia albo sen.

— Ale nie znasz pani osoby, która czyha na twoje życie?

— Nie. Dlaczego ktoś miałby pragnąć mojej śmierci?

— Zaraz się pani o tym dowie — rzekł Monte Christo, nasłuchując.

— Jak to? — spytała Valentine, rozglądając się trwożliwie wokół siebie.

— Ponieważ dzisiaj nie masz gorączki, nie majaczysz, ponieważ dziś nie śpisz, ponieważ oto bije dwunasta, a to godzina morderców.

[1382] *pardon* (daw.) — litość, zwłaszcza nad pokonanym. [przypis edytorski]

— Wielki Boże — wyszeptała Valentine, ocierając dłonią pot z czoła.

Istotnie, zegar powoli, żałobnie wybijał godzinę dwunastą, a każde uderzenie spiżowego młoteczka wymierzone był jakby prosto w serce dziewczyny.

— Valentine — ciągnął hrabia — zbierz wszystkie siły, pohamuj bicie serca, nie wydawaj z siebie głosu, udawaj, że śpisz, a wtedy sama zobaczysz.

Valentine chwyciła hrabiego za rękę.

— Chyba słyszę szmer — rzekła. — Niech pan idzie!

— Do zobaczenia — odparł hrabia.

I z uśmiechem tak smutnym i tkliwym, że serce dziewczyny wezbrało wdzięcznością, podszedł na palcach do drzwi biblioteki. Nim jednak drzwi zamknęły się za nim, odwrócił się i rzekł:

— Pamiętaj, ani jednego słowa, żadnego gestu; niech myśli, że śpisz, bo inaczej mogłabyś zginąć, zanim zdążyłbym przyjść ci z pomocą.

I po tym straszliwym ostrzeżeniu hrabia zniknął za drzwiami, które zamknęły się za nim bezszelestnie.

IOO. LOKUSTA[1383]

Valentine została sama. Północ wybiły jeszcze dwa inne zegary w różnych częściach miasta.

Wreszcie, gdy umilkł jakiś daleki turkot przejeżdżającego powozu, zapadła martwa cisza. Valentine skupiła całą swoją uwagę na wahadle pokojowego zegara, które miarowo wyznaczało mijające minuty. Zaczęła liczyć sekundy i okazało się, że ich rytm był dwakroć wolniejszy od rytmu, w jakim biło jej własne serce. Wciąż jednak wątpiła. Nikomu nie życzyła złego, nie mogła sobie wyobrazić, aby ktokolwiek mógł pragnąć jej śmierci; bo i po co? W jakim celu? Komu wyrządziła taką krzywdę, by stał się jej wrogiem?

Nie trzeba się jednak było obawiać, że Valentine zaśnie. Jedna jedyna straszliwa myśl utrzymywała ją w napięciu: jest na świecie ktoś, kto próbował ją zamordować i wciąż nie daje za wygraną. A gdyby teraz ten ktoś, widząc, że trucizna nie daje żadnego skutku, ucieknie się do sztyletu, jak sugerował Monte Christo?... Gdyby hrabia nie zdążył dobiec... Gdyby miała za chwilę umrzeć... Gdyby miała już nigdy nie ujrzeć Maksymiliana... Na tę myśl znowu śmiertelnie pobladła, a na twarz wystąpił jej zimny pot, tak że już prawie chwytała za sznurek dzwonka, by wołać o pomoc. Ale wydało jej się, że przez drzwi biblioteki widzi roziskrzone spojrzenie hrabiego. Spojrzenie, o którym się nie zapomina. I zawstydziła się tak straszliwie, że jęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek uczucie wdzięczności pokona w niej uraz do hrabiego za tak niedyskretną pomoc.

Upłynęło dwadzieścia minut, dwadzieścia minut, które zdawały się wiecznością. Minęło kolejnych dziesięć. Wreszcie zegar wydzwonił wpół do pierwszej.

W tejże chwili rozległo się delikatne drapanie w drzwi biblioteki, które przypomniało Valentine, że hrabia czuwa i że ona także ma czuwać. Wydało się, że z przeciwnej strony, jakby z pokoiku Edwardka, zaskrzypiał parkiet. Wytężyła słuch, stłumiła oddech.

Klamka skrzypnęła, drzwi odwróciły się w zawiasach. Valentine, oparta na łokciu, w ostatniej chwili zdążyła opaść na łóżko i zasłonić twarz ramieniem; drżąca, wzburzona, ze ściśniętym z przerażenia sercem czekała. Ktoś zbliżył się do łóżka i musnął firankę.

Valentine zebrała wszystkie siły, by oddychać spokojnie i miarowo jak we śnie.

— Valentine! — rozległ się szept.

Dziewczyna zadrżała, ale nie odezwała się.

— Valentine! — szepnął ktoś znowu.

Milczenie. Valentine przyrzekła, że nie da znaku życia.

W pokoju znów zapadła cisza. Valentine usłyszała tylko, jak do szklanki, którą niedawno opróżniła, spływa płyn. Dopiero teraz odważyła się uchylić powiekę i spojrzeć spod ramienia. Kobieta w białym peniuarze przelewała do szklanki płyn z buteleczki. Być może w czasie tej krótkiej chwili Valentine wstrzymała oddech, a może poruszyła się nieświadomie — w każdym razie zaniepokojona kobieta zatrzymała się i pochyliła nad łóżkiem, aby sprawdzić, czy dziewczyna aby na pewno śpi.

Była to pani de Villefort.

[1383] *Lokusta* (zm. 69) — rzym. zawodowa trucicielka; opisana w *Rocznikach* Tacyta, miała zaopatrywać w truciznę m.in. Agryppinę. [przypis edytorski]

Poznawszy macochę Valentine drgnęła tak gwałtownie, że poruszyło się także łóżko.

Pani de Villefort wycofała się natychmiast pod ścianę i schowana w ten sposób za kotarą łóżka, stanęła milcząca, obserwując z natężoną uwagą Valentine.

Dziewczyna przypomniała sobie straszliwe słowa hrabiego. Wydało jej się, że w ręku, w którym przed chwilą widziała buteleczkę z trucizną, połyskuje w tej chwili jakby długi, ostry nóż. Opanowała się jednak całą siłą woli i przymknęła oczy. Ale wzrok, ten najstrachliwszy ze zmysłów, choć przymknięcie oczu jest przecież rzeczą tak prostą, nie dał się ujarzmić: ciekawość siłą rozwarła dziewczynie powieki.

Upewniona ciszą i jednostajnym oddechem Valentine, sądząc, że pasierbica pogrążona jest w głębokim śnie, pani de Villefort wyciągnęła rękę i w cieniu kotary łóżka wylała resztę płynu z buteleczki do szklanki Valentine. I odeszła tak cicho, że najmniejszy szmer nie uprzedził o tym Valentine. Widziała tylko, że znikło ramię. Śliczne, krągłe ramię dwudziestopięcioletniej kobiety, niosące śmierć.

Trudno wyrazić, co Valentine przeżyła przez te półtorej minuty, kiedy pani de Villefort była w jej pokoju. Z osłupienia wyrwało ją drapanie w drzwi biblioteki. Podniosła z wysiłkiem głowę.

Drzwi otwarły się bezszelestnie i ponownie ukazał się Monte Christo.

— I co? — zapytał hrabia. — Jeszcze wątpisz, Valentine?

— O Boże! — wyszeptała dziewczyna.

— Widziałaś pani?

Valentine jęknęła.

— Tak, ale jeszcze nie mogę uwierzyć.

— Wolisz więc umrzeć i zabić Maksymiliana?

— O Boże! — odezwała się niemal nieprzytomnie. — Czy nie mogę uciec z tego domu?

— Valentine, ręka, która cię ściga, dosięgnie cię wszędzie; garściami złota opłaci twoich służących — i śmierć będzie na ciebie czyhać pod różnymi postaciami; znajdziesz ją w wodzie, której się napijesz ze źródła, i w owocu, który zerwiesz z drzewa.

— Ale sam pan mówił przed chwilą, że dzięki ostrożności dziadka jestem już uodporniona na truciznę?

— Jesteś uodporniona na truciznę, ale nie na dużą jej ilość. Zmienią truciznę albo zwiększą dawkę.

Podniósł szklankę do ust i umoczył wargi w płynie.

— Proszę — rzekł. — Jest tak, jak powiedziałem. Nie truje cię już brucyną, ale zwyczajnym narkotykiem. Poznaję alkohol, w którym go rozpuszczono. Gdybyś wypiła to, co ci nalała pani de Villefort, byłabyś zgubiona.

— Ale na Boga! — zawołała dziewczyna. — Czemuż ta kobieta mnie prześladuje?

— Jak to? Jesteś tak dobra i naiwna, że jeszcze tego nie pojęłaś?

— Nie. Nigdy nie zrobiłam jej nic złego.

— Ale jesteś bogata, Valentine. Masz dwieście tysięcy liwrów renty, a tym samym uboższy jest o nie jej syn.

— Jak to? Przecież to jest mój majątek, dziedziczę go po krewnych.

— No tak. I właśnie dlatego umarli państwo de Saint-Méranowie: abyś odziedziczyła ich majątek. Dlatego też w dniu, gdy zostałaś spadkobierczynią pana Noirtiera, wyrok zapadł także na niego; dlatego też i ty miałaś teraz umrzeć. Twój ojciec dziedziczyłby po tobie, a Edwardek, jego jedyny syn, odziedziczyłby wszystko po nim.

— Edwardek? Biedne dziecko, to dla niego popełniono tyle zbrodni?

— Zrozumiałaś wreszcie?

— O Boże, oby nie został za to ukarany!

— Jesteś aniołem, Valentine.

— Ale w takim razie postanowiła nie zabijać już mojego dziadka?

— Zorientowała się, że ta śmierć byłaby niepotrzebna, a nawet niebezpieczna. Gdybyś umarła, majątek po tobie i tak wcześniej czy później przypadłby twojemu bratu, uznała więc, że ponowna próba zabicia go byłaby już przesadą.

— Że też w głowie tej kobiety mógł narodzić się tak przewrotny plan! O Boże, Boże!

— Przypomnij sobie Peruzę i altankę przy hotelu pocztowym. Twoja macocha wypytywała tam pewnego mężczyznę w ciemnym płaszczu o działanie i właściwości *aqua tofana*. Ten szatański plan dojrzewał w jej głowie już w tamtej chwili.

— Ach! — zawołała dziewczyna i wybuchnęła płaczem. — Widzę już teraz, że jestem skazana na śmierć...

— O, nie, Valentine, bo ja wszystko przewidziałem i w ten sposób zwyciężyłem naszego wroga. Będziesz żyła, Valentine, będziesz żyła, aby kochać i być kochaną, aby być szczęśliwą i dać szczęście Maksymilianowi. Ale aby żyć, musisz całkowicie mi zaufać.

— Niech pan rozkazuje. Co mam zrobić?

— Musisz zażywać wszystko, co ci podam.

— Bóg mi świadkiem — zawołała Valentine — że gdybym była sama, wolałabym umrzeć.

— Nie ufaj nikomu, nawet własnemu ojcu.

— Ale mój ojciec chyba nie jest wplątany w tę straszliwą intrygę? — Valentine aż załamała ręce.

— Nie, ale jako znawca kryminologii powinien powziąć jakieś podejrzenia i spostrzec, że wszystkie te śmierci w waszym domu nie są naturalne. To twój ojciec powinien tu nad tobą czuwać. To on powinien być tu teraz na moim miejscu. To on powinien wylać truciznę ze szklanki. To on powinien zaczaić się na mordercę. Widmo oko w oko z widmem — dokończył hrabia ciszej.

— Zrobię wszystko, żeby żyć, bo są na tym świecie dwie istoty, które kocham i które umarłyby wraz ze mną: dziadek i Maksymilian.

— Będę nad nimi czuwał, tak jak czuwam nad tobą.

— Dobrze więc! Niech pan mi rozkazuje — rzekła Valentine, a po chwili cichszym głosem dodała:

— O mój Boże miłosierny! Co ze mną będzie?

— Cokolwiek się stanie, niczego się nie bój, Valentine. Nawet jeśli będziesz cierpieć, jeśli stracisz wzrok, słuch i czucie, niczego się nie bój. Nawet jeślibyś się obudziła i nie wiedziała gdzie jesteś, nawet jeśli będzie to grób i trumna, nie bój się. Opanuj się wtedy i powiedz sobie: w tym momencie przyjaciel, ojciec, człowiek, który pragnie szczęścia dla mnie i dla Maksymiliana, czuwa nade mną.

— O Boże! Jaka to straszna ostateczność!

— Valentine, czy wolałabyś oskarżyć macochę?

— Wolałabym raczej umrzeć!

— Nie umrzesz i przyrzeknij mi, że cokolwiek się stanie, nie będziesz się skarżyć i nie stracisz nadziei.

— Będę myślała o Maksymilianie.

— Jesteś, Valentine, moją ukochaną córką. Ja jeden mogę cię ocalić i ocalę.

Valentine w najwyższym przerażeniu załamała ręce, czując, że nadeszła chwila, w której musi zwrócić się o siłę do Boga; wzniosła oczy jak do modlitwy i zaczęła szeptać jakieś urywane słowa. Zapomniała, że białe ramiona osłaniają jej jedynie włosy i że pod cienkim batystem nocnej koszulki widać, jak bije jej serce.

Hrabia oparł delikatnie rękę na ramieniu dziewczyny, okrył ją aksamitną narzutą i rzekł, uśmiechając się jak ojciec:

— Dziecko, uwierz w moją życzliwość, jak wierzysz w dobroć Boga i miłość Maksymiliana.

Valentine spojrzała nań z wdzięcznością i uspokoiła się.

Hrabia wyjął z kieszeni kamizelki szmaragdowe pudełko, podniósł złote wieczko i wytrząsnął na dłoń Valentine małą, okrągłą pastylkę wielkości grochu.

Valentine wzięła pastylkę i spojrzała uważnie na hrabiego. Na twarzy tego nieustraszonego opiekuna malował się majestat i niemal boska moc.

Valentine podniosła pastylkę do ust i połknęła.

— Proszę iść — rzekła Valentine. — Przyrzekam, że cokolwiek się stanie, nie będę się bała.

Monte Christo długo jeszcze wpatrywał się w dziewczynę, która powoli zapadała w sen pod wpływem narkotyku, który jej podał. Potem wziął szklankę, trzy czwarte jej zawartości wylał do kominka, aby myślano, że Valentine wypiła trochę płynu, i odstawił ją na stolik.

Następnie znikł za drzwiami biblioteki, rzucając jeszcze ostatnie spojrzenie na Valentine, która zasypiała ufnie i słodko niczym anioł u stóp Pana.

CI. VALENTINE

Lampka na kominku w pokoju Valentine powoli się dopalała. Po wodzie pływały jeszcze ostatnie krople oliwy. Na alabastrowym kloszu rysował się coraz bardziej czerwony krąg, a żywy wciąż płomień skwierczał jakby w agonii, rzucając ostatnie blaski.

Wstawał ponury ranek, matowo rozświetlając białe firanki i zasłony w pokoju dziewczyny. Z ulicy nie dochodziły żadne odgłosy, w domu panowała przerażająca cisza.

Wtem drzwi do pokoju Edwardka otwarły się i w lustrze po przeciwnej stronie pojawiła się znajoma czytelnikowi twarz. Była to pani de Villefort. Przyszła sprawdzić efekty działania napoju. Stanęła na progu, przysłuchując się skwierczeniu dopalającej się lampy, która w tym pustym pokoju jako jedyna dawała oznaki jakiegokolwiek życia. Wolniutko podeszła do stołu, sprawdzając, czy szklanka Valentine jest pusta.

Jak wiemy, w szklance brakowało trzech czwartych płynu.

Pani de Villefort wzięła szklankę i wylała resztę napoju do kominka, wzruszyła popiół, aby ciecz lepiej się wchłonęła, po czym starannie wypłukała szklankę, wytarła chustką i znowu postawiła na stole.

Gdyby ktoś mógł zajrzeć wtedy do pokoju, dostrzegłby, jak pani de Villefort, patrząc niepewnie na dziewczynę, podchodzi z wahaniem do łóżka.

Ciemne światło, posępna cisza, makabryczna poezja nocy potęgowały się przez zetknięcie z upiorną poezją duszy tej kobiety: trucicielka nie miała odwagi stanąć twarzą w twarz ze swoim dziełem. Wreszcie odważyła się, odsłoniła kotarę, stanęła przy wezgłowiu i spojrzała na Valentine.

Dziewczyna nie oddychała. Spomiędzy rozchylonych warg nie dochodziło najmniejsze tchnienie; wargi były zbielałe i nieruchome. Powieki musnął fioletowy cień, jaśniejszy w wypukłej ich części. Długie czarne rzęsy kontrastowały z cerą, która przybrała już kolor wosku.

Pani de Villefort wpatrywała się w tę nieruchomą, a jednak pełną wyrazu twarz i nieco ośmielona podniosła kołdrę i przyłożyła dłoń do serca dziewczyny.

Było nieme i lodowate. Wyczuła jednak puls: ale to tylko krew pulsowała w jej własnej dłoni. Drżąc, cofnęła rękę.

Ramię Valentine zwisało z łóżka. Ramię piękne, jakby modelowane na wzór ramion z Gracji[1384] Germaina Pilona[1385]; ale poniżej łokcia rękę deformował nieco skurcz, a dłoń wspierała się sztywno rozwartymi palcami o mahoń łóżka. Paznokcie u nasady zsiniały.

Trucizna, Zbrodniarz, Śmierć, Trup

Pani de Villefort nie miała już wątpliwości; wszystko się udało, wykonała ostatnią część straszliwego planu. Trucicielka nie miała już w tym pokoju nic więcej do roboty. Jęła więc wycofywać się tak powoli i ostrożnie, jakby lękała się, by przypadkiem nie zaskrzypiał parkiet pod dywanem; wciąż jednak trzymała w dłoni kotarę, napawając się widokiem śmierci; śmierć bowiem jest fascynująca w swoim bezruchu i tajemnicy, ale tylko póki nie zacznie się rozkład, wywołujący obrzydzenie.

Minuty mijały, a pani de Villefort nie mogła wypuścić z rąk kotary, którą trzymała niby całun nad głową Valentine. Zamyśliła się nad mordem, którego właśnie dokonała a zatem musiały to być wyrzuty.

W tej chwili lampka zaskwierczała mocniej.

Pani de Villefort zadrżała i puściła firankę.

Lampa zgasła i pokój pogrążył się w ciemnościach. Zegar wybił wpół do piątej. Trucicielka, przestraszona tymi następującymi po sobie znakami, po omacku trafiła do drzwi i wróciła do siebie ze ściśniętym gardłem i oblana potem.

Rozwidniło się po dwóch godzinach.

Powoli blade światło dnia zaczęło przeciskać się do pokoju przez szpary w okiennicach, a wreszcie z mroku jęły wyłaniać się wyraźne kształty i barwy przedmiotów.

[1384] *Gracja* (mit. rzym.) — boginie radości, wdzięku i piękna; ich gr. odpowiedniczki to Charyty. [przypis edytorski]

[1385] *Pilon, Germain* (1535–1590) — fr. rzeźbiarz, jeden z czołowych przedstawicieli fr. renesansu. [przypis edytorski]

W tej chwili na schodach rozległ się kaszel pielęgniarki; po chwili z filiżanką w ręku weszła do pokoju Valentine.

Ojcu lub kochankowi wystarczyłby jeden rzut oka na Valentine, by zobaczyć, że nie żyje. Pielęgniarka była przekonana, że dziewczyna jeszcze śpi.

— Dobrze — rzekła, podchodząc do stolika. — Wypiła lekarstwo, bo w szklance zostało tylko trochę.

Potem podeszła do kominka, rozpaliła ogień, usiadła w fotelu, i choć dopiero wstała z łóżka, skorzystała ze snu Valentine, by zdrzemnąć się jeszcze na chwilę.

Obudził ją zegar, wybijający ósmą.

Zdziwiła się, że dziewczyna śpi tak twardo. Przeraziła ją zwisająca z łóżka ręka, której śpiąca do tej pory nie cofnęła. Podeszła do łóżka i dopiero teraz spostrzegła sine usta: Valentine była zimna.

Chciała podnieść zwisającą rękę i położyć ją przy ciele, ale ramię było tak sztywne, że pielęgniarka nie mogła już mieć wątpliwości.

Krzyknęła przeraźliwie. Rzuciła się do drzwi wołając:

— Ratunku! Ratunku!

— Ratunku? Co się stało? — spytał z dołu pan d'Avrigny.

Była to godzina odwiedzin doktora.

— Co się stało? — zawołał Villefort, wybiegając z gabinetu. — Słyszał pan, doktorze? Ktoś wzywał pomocy?

— Tak, tak, chodźmy — odpowiedział pan d'Avrigny. — Biegnijmy do Valentine.

Ale nim lekarz i ojciec zdążyli nadbiec, do pokoju Valentine wpadli służący, którzy byli na tym samym piętrze, a widząc, że leży na łóżku blada i sztywna, wznieśli ręce do nieba i nogi się pod nimi ugięły.

— Idźcie po panią! Obudźcie panią! — zawołał prokurator, stając we drzwiach, jakby bał się wejść dalej.

Ale nikt ze służby nawet nie drgnął. Wszyscy patrzyli na pana d'Avrigny'ego, który uniósł Valentine na łóżku.

— Jeszcze i ona... — rzekł ponuro, kładąc bezwładne ciało z powrotem na łóżko. — O miłosierny Boże! Kiedy się znużysz?

Villefort rzucił się do środka.

— Co pan mówi! — zawołał, wznosząc obie ręce ku niebu. — Doktorze! Doktorze!

— Valentine nie żyje — odparł pan d'Avrigny straszliwym w swej uroczystości głosem.

Villefort zachwiał się, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa, i osunął się twarzą na łóżko Valentine.

Służący struchleli; wybiegli z pokoju, płacząc i lamentując. Na schodach i korytarzach rozlegały się spieszne kroki, potem z dziedzińca doszedł jakiś zgiełk i nagle zapadła cisza.

Służący co do jednego opuścili przeklęty dom.

W tej chwili pani de Villefort, przytrzymując ręką rozchylający się peniuar, odchyliła portierę i zamarła na chwilę w progu, patrząc pytająco na obecnych. Przywołane na siłę łzy zabłysły w jej oczach.

Nagle wyciągnęła ręce i zrobiła szybki krok, a raczej skoczyła do stolika przy łóżku Valentine.

Pan d'Avrigny z ciekawością pochylał się właśnie nad stolikiem, po czym wziął do ręki szklankę, z której — była tego pewna — wylała w nocy resztę zawartości.

W szklance była taka sama ilość płynu, jaką wylała do kominka.

Mniejsze wrażenie zrobiłoby na niej widmo Valentine. Bo i rzeczywiście, kolor płynu był taki sam.

Była to trucizna, a tego lekarz nie mógł nie zauważyć, oglądając ją tak uważnie.

Bóg sprawił cud, by po mordercy, pomimo wszelkich środków ostrożności, jakie powziął, pozostał ślad, pozostał dowód zbrodni.

I gdy pani de Villefort stała nieruchoma jak posąg, a prokurator z twarzą ukrytą w pościeli na łóżku zmarłej nie widział nic, co się wokół niego działo, lekarz podszedł do okna, by dokładniej obejrzeć zawartość szklanki, a umoczywszy palec, skosztował.

— Aha... Więc to już nie brucyna. Sprawdźmy, co to takiego!

Pobiegł do szafy, przeznaczonej na apteczkę, wyjął ze srebrnej kasetki flakon z kwasem azotowym i wpuścił kilka kropel do szklanki z opalizującym napojem, który w tej samej chwili przybrał barwę szkarłatu.

— A! — zawołał lekarz, poruszony niczym sędzia, który odkrył właśnie prawdę, i radosny niczym uczony, co rozwiązał jakieś zagadnienie.

Pani de Villefort odwróciła się. Jej oczy zapłonęły i zgasły. Chwiejnie namacała drzwi i wyszła.

Chwilę później rozległ się głuchy odgłos — ktoś zwalił się na podłogę.

Nikt jednak nie zwrócił na to uwagi: pielęgniarka przyglądała się analizie chemicznej, Villefort zaś wciąż był półprzytomny.

Jedynie pan d'Avrigny nie tracił z oczu pani de Villefort i zauważył, jak nagle wyszła.

Odsunął portierę przy drzwiach; za pokojem Edwardka widać było apartament pani de Villefort — leżała bez ruchu na ziemi.

— Niech pani idzie pomóc pani de Villefort — rzekł do pielęgniarki. — Zdaje się, że zasłabła.

— A panna Valentine? — wybełkotała pielęgniarka.

— Panna Valentine nie potrzebuje już niczyjej pomocy — rzekł lekarz — bo panna Valentine nie żyje.

— Nie żyje! Nie żyje! — westchnął Villefort w paroksyzmie[1386] rozpaczy, tym dotkliwszej, że jeszcze nigdy dotąd to kamienne serce nie zaznało takiego bólu.

— Nie żyje? Co? — zabrzmiał nagle głos. — Kto powiedział, że Valentine nie żyje?

Obaj mężczyźni odwrócili się — na progu stał Morrel; blady, wstrząśnięty, wyglądał przerażająco.

Oto bowiem, co zaszło:

Morrel przyszedł do Noirtiera o zwykłej porze, jak zwykle wszedł bocznymi drzwiami. Dziwne, ale drzwi były otwarte; nie musiał więc dzwonić i wszedł.

W przedpokoju zaczekał chwilę, wołając służącego, by wprowadził go do Noirtiera. Ale nie przyszedł nikt.

Wszyscy służący opuścili już dom.

Tego dnia Morrel nie miał żadnego powodu do niepokoju; Monte Christo przyrzekł mu, że Valentine będzie żyć, i jak dotąd obietnicy wiernie dotrzymał. Co wieczór hrabia przynosił mu dobre nowiny, a nazajutrz potwierdzał je sam Noirtier.

A jednak ta szczególna pustka w domu zdziwiła go; zawołał po raz drugi i trzeci — odpowiedziała mu cisza. Postanowił więc wejść na górę.

Drzwi do pokoju Noirtiera — jak i wszystkie inne — były otwarte. Starzec jak zwykle siedział w fotelu. Szeroko rozwarte oczy wyrażały trwogę, którą potwierdzała bladość jego lic.

— Jak łaskawy pan się miewa? — zapytał młodzieniec, a serce mu się ścisnęło.

— Dobrze — dał znak starzec.

Ale widać było, że niepokoi się coraz mocniej.

— Jest pan dziwnie niespokojny. Może pan czegoś potrzebuje? — spytał Morrel. — Może mam zawołać służącego?

— Tak.

Morrel targnął sznur dzwonka, ale choćby go nawet i urwał, nikt by nie przyszedł.

Spojrzał na starca. Jego twarz była coraz bledsza, zdradzając rosnącą trwogę.

— Boże, Boże! — krzyknął Morrel. — Dlaczego nikt nie przychodzi? Czy ktoś zachorował?

Oczy Noirtiera zdawały się występować z orbit.

— Co panu jest? — zawołał Morrel. — Pan mnie przeraża! Valentine!... Valentine!...

— Tak! Tak! — mówiły oczy Noirtiera.

Maksymilian otwarł usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Zachwiał się i przytrzymał ręką ściany.

Po czym wyciągnął rękę w kierunku drzwi.

— Tak! Tak! — powtarzał wzrokiem starzec.

[1386] *paroksyzm* — atak, napad; nagłe wystąpienie lub zaostrzenie się objawów chorobowych; w odniesieniu do uczuć a. przeżyć: krótkie, gwałtowne i silne (niekiedy wstrząsające) doznanie. [przypis edytorski]

Maksymilian rzucił się na schody, a oczy Noirtiera zdawały się wołać:

— Prędzej! Prędzej!

Młodzieniec przebiegł pędem przez opustoszałe pokoje i wpadł do pokoju Valentine.

Nie musiał naciskać klamki. Drzwi były otwarte na oścież.

Najpierw usłyszał łkanie. Jak przez mgłę zobaczył jakąś czarną postać, która klęczała przy łóżku, ginąc wśród białych draperii[1387].

Paraliżujący strach przykuł go do progu.

W tej chwili usłyszał, jak ktoś mówi: „Valentine nie żyje!". A potem, niczym echo, drugi głos mówiący: „Nie żyje! Nie żyje!".

102. MAKSYMILIAN

Villefort podniósł się, zawstydzony, że ktoś obcy stał się świadkiem jego boleści. Okropny urząd, który sprawował już od dwudziestu pięciu lat, zrobił z niego coś więcej niż tylko człowieka, a może raczej coś mniej.

Jego nieprzytomny przez chwilę wzrok zatrzymał się wreszcie na Morrelu.

— Kim pan jest? — spytał. — Jakim prawem wchodzi pan do domu żałoby? Proszę natychmiast wyjść! Wyjdź pan!

Morrel stał nieporuszony; nie mógł oderwać oczu od tego łoża w nieładzie i bladej twarzy na wezgłowiu.

— Wyjdź pan! Słyszysz? — krzyknął Villefort, a lekarz podszedł do Morrela, by go wyprowadzić.

Morrel spojrzał obłąkanym wzrokiem na zmarłą i obu mężczyzn, po czym ogarnął spojrzeniem cały pokój. Wreszcie otwarł usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale mimo natłoku rozpaczliwych myśli nie mógł wymówić ani słowa; wybiegając, chwycił się za głowę takim gestem, że lekarz i Villefort osłupieli i spojrzeli na siebie porozumiewawczo, zdając się mówić:

— Wariat!

Nie minęło pięć minut, gdy zatrzeszczały pod ciężarem schody: Morrel dźwigał z nadludzkim wysiłkiem Noirtiera na fotelu. Wniósł fotel na pierwsze piętro, postawił i pchnął go gwałtownie aż do pokoju Valentine. W przypływie rozpaczy i szału wydobył z siebie aż taką siłę.

Przerażająco wyglądała twarz Noirtiera, gdy Morrel pchał fotel w kierunku łóżka Valentine. Nie znajdując innego ujścia, w jego oczach skupiła się cała jego inteligencja i cała potęga tego żywotnego umysłu.

Villefort przeraził się na widok tej bladej, strasznej twarzy i pałających oczu. Ilekroć miał do czynienia z ojcem, zdarzało się coś straszliwego.

— Patrz, co z nią zrobili! — zawołał Morrel opierając się jedną ręką o poręcz fotela, a drugą wskazując na Valentine. — Patrz, mój ojcze! Patrz!

Villefort cofnął się o krok i zdziwiony spojrzał na młodzieńca, którego znał zaledwie z widzenia, a który nazywał Noirtiera ojcem.

W tej chwili można było pomyśleć, że cała dusza starca zogniskowała się w jego nabiegłych krwią oczach. Na szyi nabrzmiały mu żyły, a twarz, skronie i czoło posiniały, jak przy ataku epilepsji. Temu wybuchowi duszy towarzyszył krzyk.

Krzyk wyrywał się z każdego skrawka jego skóry, krzyk straszliwy, rozdzierający w swoim bezgłosie.

D'Avrigny podbiegł do starca i dał mu do powąchania silny lek na uspokojenie.

— Proszę pana — zawołał Morrel, chwytając bezwładną rękę sparaliżowanego. — Pytają mnie, kim jestem i jakim prawem się tu znajduję. Pan to wie najlepiej, więc niech im pan powie! Powiedz im pan!

I słowa młodzieńca zmieniły się w szloch.

Starzec dyszał gwałtownie. Jego piersią wstrząsały drgawki, niczym w agonii. Wreszcie z jego oczu trysnęły łzy. Łzy, których młodzieniec uronić nie mógł, choć rozdzierało go gwałtowne łkanie.

Starzec nie mógł pochylić głowy, więc przymknął oczy.

[1387] *draperia* — tkanina ułożona w dekoracyjne fałdy. [przypis edytorski]

— Niech pan powie — rzekł Morrel stłumionym głosem — że byłem jej narzeczonym! Niech pan powie, że była moją narzeczoną, jedyną miłością na ziemi! Niech pan powie, że zmarła należy do mnie!

I młodzieniec, opadając z sił, runął na kolana przed łóżkiem dziewczyny, wpijając palce w łóżko. Jego cierpienie było tak przejmujące, że lekarz odwrócił twarz, by ukryć wzruszenie, a Villefort, nie domagając się już tłumaczeń, przyciągnięty magnetyzmem, który popycha nas w stronę tych, co kochali i co opłakują osobę, którą i myśmy kochali, wyciągnął do młodzieńca rękę.

Morrel nic nie widział, ściskał zlodowaciałą rękę Valentine, a że nie mógł zapłakać, jęcząc, gryzł prześcieradło.

Przez jakiś czas w pokoju rozlegały się tylko jęki, łkania i modlitwy. Jednak jeden odgłos wyraźnie górował nad innymi. Był to chrapliwy, rozdzierający pierś oddech Noirtiera. Wreszcie Villefort, najbardziej ze wszystkich opanowany, zabrał głos:

— Mówi pan, że kochał Valentine? Że był pan jej narzeczonym? Nie wiedziałem ani o tej miłości, ani o tym, że byliście po słowie. Ale jako jej ojciec przebaczam, bo widzę, że prawdziwie pan cierpisz. Moje cierpienie jest równie wielkie i nie ma już w moim sercu miejsca na gniew. Ale ten anioł, o którym pan marzył, opuścił ziemię, uwielbienie ludzkie nic dla niego nie znaczy, bo sam wielbi już tylko Boga. Niech pan więc pożegna te smutne szczątki, które tu nam zostały; niech pan weźmie po raz ostatni rękę, o którą pan prosił, i pożegna się z nią. Valentine potrzebuje już tylko księdza, by udzielił jej namaszczenia.

— Mylisz się pan — krzyknął Morrel, przyklękając na jedno kolano. Serce rozdarł mu teraz ból, któremu wcześniejsze cierpienie nie mogło się równać. — Mylisz się pan, Valentine umarła taką śmiercią, że potrzebuje nie tylko księdza, ale i mściciela. Pan niech pośle po księdza. Ja zostanę mścicielem.

— Co pan przez to rozumie? — wybełkotał Villefort, przerażony tą nową falą rozpaczy.

— To, że są w panu dwie osoby — odpowiedział Morrel. — Ojciec już się wypłakał. Teraz kolej na prokuratora.

Oczy Noirtiera rozbłysły. Zbliżył się lekarz.

— Wiem dobrze, co mówię — ciągnął młodzieniec, patrząc uważnie na twarze obecnych — i pan wie równie dobrze jak ja, co powiem. Valentine została zamordowana!

Villefort opuścił głowę; d'Avrigny zrobił jeden krok naprzód; Noirtier potwierdzał wzrokiem.

— W czasach, w jakich żyjemy — odezwał się znowu Morrel — nikt nie ginie taką śmiercią, choćby nie był tak młody, tak piękny i czarujący jak Valentine, by nie sprawdzono, dlaczego tak się stało. A więc, panie prokuratorze — dodał porywczo — nie miej litości! Powtarzam: popełniono morderstwo, pan niech szuka zabójcy!

I bezlitosnym wzrokiem patrzył na Villeforta, który z kolei spojrzał pytająco na Noirtiera i na lekarza. Ale zamiast ratunku u obu mężczyzn napotkał takie samo nieubłagane spojrzenie jak u Morrela.

— Tak! — mówił starzec oczyma.

— Oczywiście — rzekł d'Avrigny.

— Proszę pana — odpowiedział Villefort, próbując jeszcze walczyć z tą potrójną siłą woli i z własnymi emocjami — mylisz się pan, w moim domu nikt nie popełnił zbrodni. Prześladuje mnie zły los, Bóg mnie doświadcza; to okropne... ale nikogo tu nie zamordowano!

Oczy Noirtiera płonęły, a lekarz otwarł usta, chcąc przemówić.

Morrel podniósł rękę, nakazując milczenie.

— A ja panu mówię, że tu jest zabójca! — rzekł cicho, ale jego głos nie stracił akcentu groźby. — To już czwarta ofiara w ciągu czterech miesięcy! Przed czterema dniami ktoś już raz spróbował otruć Valentine i tylko cud oraz przezorność pana Noirtiera uchroniły ją od śmierci! Albo dawka trucizny została podwojona, albo zmieniono jej rodzaj i dlatego tym razem poskutkowało! Jestem pewien, że równie dobrze, jak ja, zdajesz pan sobie z tego sprawę, ponieważ ten pan, który tu stoi, już pana o tym uprzedzał — jako lekarz i jako przyjaciel.

— Bredzisz pan! — przerwał Villefort, na próżno usiłując wyrwać się z matni[1388].

— Bredzę! — zawołał Morrel. — A więc niech poświadczy pan d'Avrigny. Proszę go spytać, czy pamięta, co mówił w pańskim ogrodzie, w noc, gdy umarła pani de Saint--Méran. Przekonani, że jesteście zupełnie sami, rozmawialiście panowie o tej okropnej śmierci. Los, o którym pan wspomniał, i Bóg, którego niesprawiedliwie pan oskarża, jest winien tylko temu, że pozwolił narodzić się mordercy Valentine!

Villefort i lekarz spojrzeli po sobie.

— Tak, tak, musisz to pan pamiętać — ciągnął Morrel. — Myślałeś pan, że wokół była tylko cisza, ale słowa te dotarły do moich uszu. Już tego wieczora, widząc pańską karygodną pobłażliwość dla rodziny, powinienem był natychmiast donieść o tym władzom. Gdybym to zrobił, nie byłbym dziś współwinny twojej śmierci, moja najdroższa Valentine! Ale dziś winowajca zmieni się w mściciela. To czwarte morderstwo nie budzi już wątpliwości. Jeżeli ojciec cię opuści, Valentine, ja, przysięgam ci, ja sam będę ścigać mordercę.

Ostatnie słowa Morrela uwięzły mu w krtani. I jakby sama natura chciała ulitować się nad tym silnym człowiekiem, którego mogłaby zabić własna energia: piersią Morrela wstrząsnął szloch i łzy trysnęły mu z oczu. Skulił się i upadł z płaczem na kolana przy łóżku Valentine.

Przyszła kolej na lekarza.

— I ja także — odezwał się dobitnie — dołączam się do żądania pana Morrela. Domagam się, by zbrodnia została sprawiedliwie ukarana. Serce mi pęka na samą myśl, że moja tchórzliwa pobłażliwość dodała odwagi mordercy.

— O mój Boże! Mój Boże! — wyjąkał zdruzgotany Villefort.

Morrel podniósł głowę i wyczytał w płonących oczach starca, że chce zabrać głos.

— Pan Noirtier chce mówić — rzekł.

— Tak — potwierdziło dobitnie spojrzenie starca.

— Wiesz pan, kto jest mordercą? — zapytał Morrel.

— Tak — odpowiedział Noirtier.

— I wskażesz go pan nam? — zawołał młodzieniec. — Słuchajmy! Panie d'Avrigny, słuchajmy!

Noirtier spojrzał na Maksymiliana, a w jego oczach czaił się ów melancholijny, łagodny uśmiech, który tak lubiła Valentine. Morrel utkwił w nim baczny wzrok.

Przyciągnąwszy spojrzenie Morrela, skierował oczy ku drzwiom.

— Czy chce pan, bym wyszedł? — zawołał boleśnie Morrel.

— Tak.

— Dlaczego?... Niech pan się nade mną ulituje!...

Oczy starca utkwione były we drzwiach.

— Będę mógł przynajmniej wrócić?

— Tak.

— Tylko ja mam wyjść?

— Nie.

— Kto ma wyjść ze mną? Pan prokurator?

— Nie.

— Doktor?

— Tak.

— Chcesz pan zostać sam z panem de Villefortem?

— Tak.

— Ale czyż będzie w stanie pana zrozumieć?

— Tak.

— O! — rzekł Villefort niemal ucieszony, że rozmowa odbędzie się bez świadków. — Możesz pan być spokojny, bardzo dobrze rozumiem ojca.

Ale choć powiedział to, jak wspominaliśmy, niemal z radością, zęby mu dzwoniły. Lekarz wziął Morrela pod rękę i wyprowadził go do sąsiedniego pokoju.

W całym domu zapadła grobowa cisza. Po kwadransie Villefort stanął na progu salonu, w którym czekali lekarz i Morrel, pierwszy zamyślony, drugi w rozpaczy.

[1388] *matnia* — sytuacja bez wyjścia, pułapka. [przypis edytorski]

— Proszę, panowie — rzekł.

I zaprowadził ich do Noirtiera.

Morrel spojrzał z uwagą na Villeforta.

Prokurator był siny, rdzawe plamy wystąpiły mu na czoło, w palcach miętosił pióro — opadało w strzępach.

— Panowie — rzekł przytłumionym głosem do doktora i Morrela — dajcie mi słowo honoru, że zachowacie tę straszną tajemnicę dla siebie.

Skinęli głowami.

— Zaklinam was, panowie... — ciągnął Villefort.

— Ale... — rzekł Morrel — co ze zbrodniarzem... co z mordercą!

— Nie obawiaj się pan, sprawiedliwości stanie się zadość — rzekł Villefort. — Ojciec wyjawił mi nazwisko winowajcy i pragnie zemsty tak samo jak wy, ale i on zaklina was, żebyście dochowali tajemnicy. Prawda, ojcze?

— Tak — Noirtier kiwnął stanowczo głową.

Morrel zadrżał, zdjęty grozą i niedowierzaniem.

— Proszę pana! — zawołał Villefort, chwytając Maksymiliana za ramię. — Jeżeli mój ojciec, człowiek nieugięty, jak sam pan o tym wiesz, żąda od pana podobnej rzeczy, oznacza to, że Valentine będzie pomszczona! Prawda, ojcze?

Starzec potwierdził.

Villefort ciągnął dalej:

— Zna mnie dobrze, a ja dałem mu słowo. Bądźcie więc panowie spokojni i zaufajcie mi; błagam tylko o trzy dni czasu; sama sprawiedliwość domagałaby się więcej. Po trzech dniach zemszczę się tak, że zadrży nawet człowiek o najtwardszym sercu. Prawda, ojcze?

I mówiąc to, zgrzytał zębami i potrząsał bezwładną ręką starca.

— A czy ta obietnica zostanie dotrzymana, panie Noirtier? — zapytał Morrel, a d'Avrigny spojrzał na starca pytająco.

— Tak — odpowiedział Noirtier; w jego oczach malowała się złowroga radość.

— Niech więc panowie przysięgną — rzekł Villefort, łącząc ręce doktora i Morrela. — Niech panowie przysięgną, że ulitujecie się nad honorem mojego domu i że mnie pozostawicie zemstę.

Lekarz odwrócił się i niechętnie, ledwo słyszalnym głosem, wyjąkał zgodę; lecz Morrel wyrwał rękę prokuratorowi, rzucił się na łóżko, przycisnął usta do lodowatych ust Valentine i wybiegł, jęcząc z rozpaczy.

Jak mówiliśmy, w domu nie pozostał ani jeden służący. Pan de Villefort musiał więc poprosić lekarza, aby zajął się wszystkimi delikatnymi formalnościami, jakie w wielkich miastach wiążą się z czyjąś śmiercią, w tym przypadku o tyle trudniejszymi, że śmierć nastąpiła w szczególnych okolicznościach.

Bezgłośna rozpacz Noirtiera budziła wielkie współczucie; nieruchomy starzec mógł tylko ronić łzy.

Villefort wrócił do gabinetu. Lekarz udał się po lekarza urzędowego, który wystawiał akty zgonu. Nazywano go lekarzem umarłych.

Noirtier nie chciał ani na chwilę opuścić wnuczki.

Po pół godzinie pan d'Avrigny wrócił w towarzystwie kolegi. Drzwi od ulicy były zamknięte, a ponieważ odźwierny opuścił dom razem z innymi, wpuścił ich sam Villefort.

Nie miał już jednak siły, by wejść z powrotem do pokoju zmarłej.

Do pokoju Valentine weszli więc sami lekarze.

Noirtier siedział przy łóżku na fotelu, blady, nieruchomy i niemy jak śmierć.

Lekarz umarłych z obojętnością człowieka, który pół życia spędził ze śmiercią, podniósł zasłonę okrywającą dziewczynę i otwarł jej usta.

— Nie ma wątpliwości — westchnął d'Avrigny. — Biedne dziecko nie żyje.

— Tak — odparł lakonicznie lekarz opuszczając prześcieradło na twarz Valentine.

Noirtier wydał z siebie chrapliwe rzężenie.

D'Avrigny odwrócił się — oczy starca błyszczały.

Zacny lekarz zrozumiał, że Noirtier chciałby widzieć swoje dziecko.

Zbliżył się do łóżka i gdy lekarz umarłych dezynfekował palce w chlorowanej wodzie, odsłonił jej cichą i bladą twarz, twarz uśpionego anioła.

W oku Noirtiera zaszkliła się łza, na znak wdzięczności.

Lekarz umarłych spisał protokół na rogu stolika w pokoju Valentine, a po dopełnieniu tej ostatniej formalności wyszedł, odprowadzany przez pana d'Avrigny'ego.

Villefort usłyszał ich i stanął w drzwiach gabinetu. Podziękował lekarzowi i zwrócił się do pana d'Avrigny'ego:

— A teraz trzeba wezwać księdza.

— Ma pan jakiegoś kapłana, którego chciałby pan prosić o oddanie Valentine tej posługi? — zapytał d'Avrigny.

— Nie. Niech pan weźmie tego, który mieszka najbliżej.

— Najbliżej, bo w sąsiednim domu, mieszka jakiś poczciwy ksiądz włoski — rzekł lekarz miejski. — Pójść po niego?

— Doktorze, niech pan pójdzie z tym panem, jeśli łaska — zwrócił się Villefort do d'Avrigny'ego. — Oto klucz od bramy, będzie pan mógł swobodnie wchodzić i wychodzić. Niech pan sprowadzi księdza, by czuwał i modlił się przy moim biedactwie.

— Może chciałby pan z nim porozmawiać?

— Chcę być sam. Wybaczy mi to pan? Ksiądz powinien rozumieć każde cierpienie, także rozpacz ojca.

Pan de Villefort podał klucze panu d'Avrigny'emu, po raz ostatni ukłonił się drugiemu lekarzowi i wrócił do siebie, gdzie zabrał się od razu do pracy.

Dla niektórych praca jest jedynym lekarstwem na cierpienie.

Gdy wyszli na ulicę, ksiądz stał akurat na progu sąsiedniego domu.

— To właśnie ksiądz, o którym wspominałem — odezwał się lekarz umarłych.

Pan d'Avrigny podszedł do księdza.

— Czy ksiądz — zapytał d'Avrigny — nie raczyłby wyświadczyć wielkiej przysługi panu de Villefortowi, prokuratorowi królewskiemu? Nieszczęśliwy ojciec właśnie utracił córkę.

— A tak, wiem, że jego dom nawiedziła śmierć — odpowiedział ksiądz z mocnym włoskim akcentem.

— Więc nie potrzebuję panu tłumaczyć, o jaką posługę chodzi?

— Właśnie chciałem tam pospieszyć i sam się zaofiarować. Nasze powołanie zobowiązuje nas, byśmy byli zawsze gotowi do takich rzeczy.

— To była młodziutka dziewczyna.

— Wiem, mówili mi o tym służący, którzy uciekli z tego domu. Wiem też, że ma na imię Valentine, modliłem się już za nią.

— Dziękuję księdzu, bardzo dziękuję. A zatem, skoro ksiądz przystąpił już do swoich obowiązków, niechże ksiądz zechce teraz czuwać przy umarłej, a cała rodzina będzie księdzu niezmiernie wdzięczna.

— Już idę, proszę pana. I ośmielę się powiedzieć, że moje modlitwy są wyjątkowo żarliwe.

D'Avrigny wziął księdza pod rękę i (nie spotkali po drodze Villeforta), zaprowadził go prosto do pokoju Valentine. Ludzie przygotowujący zmarłych do pogrzebu mieli przyjść dopiero wieczorem.

Gdy ksiądz wszedł do pokoju, Noirtier popatrzył na niego i widocznie musiał wyczytać w oczach księdza coś szczególnego, gdyż od tej chwili nie spuszczał utkwionego w nim spojrzenia.

D'Avrigny polecił opiece księdza nie tylko umarłą, ale i starca, ksiądz zaś przyrzekł modlić się za Valentine i zająć Noirtierem.

Obietnica ta była solenna — a że ksiądz nie chciał, by przeszkadzano mu w modłach, a panu Noirtierowi w bolesnej kontemplacji, zaryglował drzwi nie tylko za panem d'Avrignym, ale i drzwi prowadzące do pokojów pani de Villefort.

103. PODPIS DANGLARSA

Nazajutrz ranek był smutny i ponury.

Żałobnicy dopełnili swojego obowiązku i w nocy zaszyto zmarłą w całun.

Cokolwiek by się mówiło o tym, że śmierć zrównuje ludzi, całun może być ostatnim świadectwem zbytku, jakim zmarły otaczał się za życia.

Valentine okryto sztuką cudownego batystu, który kupiła dwa tygodnie wcześniej.

Wieczorem wynajęci specjalnie ludzie przenieśli Noirtiera do jego pokoju; wbrew obawom starzec przystał na zabranie go z pokoju wnuczki bez żadnego sprzeciwu.

Ksiądz Busoni czuwał do samego rana; o świcie wyszedł, nie powiadamiając nikogo.

Około ósmej rano nadszedł d'Avrigny. Natknął się na Villeforta, który właśnie zmierzał do ojca. Udali się więc razem, by dowiedzieć się, jak Noirtier spędził noc.

Spał słodko, niemal się uśmiechając, w wielkim fotelu, który służył mu za łóżko.

Zdziwieni przystanęli na progu.

— Widzisz pan — rzekł d'Avrigny do Villeforta — oto jak natura potrafi ukoić największą boleść. Nikt nie mógłby zaprzeczyć miłości, jaką pan Noirtier darzył wnuczkę, a jednak śpi.

— To słuszna uwaga — odpowiedział zdumiony Villefort. — Śpi, to bardzo dziwne. Najmniejsze przykrości wytrącały go ze snu.

— Zmogło go cierpienie — odpowiedział d'Avrigny.

I obaj, zamyśleni, udali się do gabinetu prokuratora.

— Ja nie spałem wcale — rzekł Villefort, pokazując lekarzowi nietknięte łóżko. — Mnie cierpienie nie zmogło, nie śpię od dwóch nocy! Ale niech pan spojrzy na biurko. Ileż ja napisałem przez te dwa dni i dwie noce! Ileż papierzysk przejrzałem! Opatrzyłem uwagami akt oskarżenia tego mordercy, Benedetto... O moja praco! Ty jesteś moją namiętnością, radością, ty mi pomożesz stłumić cierpienie.

I kurczowo ścisnął rękę doktora.

— Potrzebuje mnie pan jeszcze? — zapytał d'Avrigny.

— Nie, nie. Tylko proszę, niech pan wróci o jedenastej; bo o dwunastej wyrusza... kondukt... Boże! Moje dziecko! Moje najdroższe dziecko!

W prokuratorze budził się człowiek.

— Będzie pan czekał w gościnnym salonie?

— Nie. Jeden z moich kuzynów przyrzekł zastąpić mnie w tej smutnej powinności. Ja, mój doktorze, będę pracować. Kiedy pracuję, zapominam o wszystkim.

Lekarz nie doszedł jeszcze do drzwi, gdy prokurator rzeczywiście zabrał się do pracy.

Na ganku d'Avrigny spotkał owego krewnego, o którym wspomniał Villefort. Osobistość ta, nie odgrywająca żadnej roli w naszym opowiadaniu, podobnie jak i w rodzinie prokuratora, była jedną z tych istot, które już przy urodzeniu otrzymują misję: bądź użyteczny.

Stawił się punktualnie. Ubrany na czarno, z krepą na ramieniu, udał się do swojego dostojnego kuzyna z miną stosowną do okoliczności — która po zakończeniu uroczystości żałobnych miała od razu zniknąć.

O jedenastej na bruku dziedzińca zadudniły koła powozów żałobników, a Przedmieście Saint-Honoré wypełnił szepczący tłum, który ciekawi się zawsze w takim samym stopniu radościami ludzi bogatych, jak i ich smutkami, który z tym samym pośpiechem biegnie za wspaniałym konduktem, jak i za orszakiem weselnym księżniczki.

Salon żałobny powoli zapełniał się. Przybyło tam wielu naszych starych znajomych: Debray, Château-Renaud, Beauchamp i wreszcie wszystkie znakomitości z kręgów sądowych, wojskowych i literackich. Pan de Villefort był bowiem jedną z najważniejszych osobistości w stolicy, nie tylko ze względu na pozycję towarzyską, ale i z uwagi na swoje zalety osobiste.

Krewniak stał przy drzwiach i witał wszystkich. Była to wielka ulga dla gości: sami dość obojętni, przyjmowani byli przez równie obojętną osobę, w stosunku do której nie trzeba było silić się na maskę smutku i fałszywe łzy — do czego byliby zobowiązani, mając do czynienia z ojcem, bratem lub narzeczonym zmarłej.

Znajomi witali się, pozdrawiali spojrzeniami i łączyli w grupy. W jednej z nich znaleźli się Debray, Château-Renaud i Beauchamp.

— Biedna dziewczyna! — rzekł Debray, spełniając tymi słowami, podobnie jak inni, obowiązek wyrażenia żalu po zmarłej. — Biedna dziewczyna, taka bogata, taka piękna! Przyszło by ci coś takiego do głowy, mój drogi Château-Renaud, kiedy byliśmy tu... kiedy to? Przed trzema czy czterema tygodniami, z okazji intercyzy, która w końcu nie została podpisana.

— Nigdy bym nie pomyślał — odpowiedział Château-Renaud.

— Znałeś ją?

— Rozmawiałem z nią raz czy dwa na balu u pani de Morcerf. Sprawiła na mnie czarujące wrażenie, choć może była nieco melancholijna. A gdzie macocha? Nie wiecie?

— Spędza dzień z żoną tego pana, który nas powitał.

— A kimże on jest?

— Kto?

— Ten pan, który nas witał? Deputowany?

— E, skąd — odpowiedział Beauchamp. — Skazany jestem na gapienie się na deputowanych, ale tego widzę po raz pierwszy.

— Napisałeś o jej śmierci w gazecie?

— Tak, ale to nie mój artykuł. Wątpię, by spodobał się panu de Villefortowi. Jest tam mowa między innymi o tym, że gdyby w innym domu miały miejsce cztery przypadki śmierci, pan prokurator niewątpliwie okazałby więcej zainteresowania tym faktem.

— Zresztą — rzekł Château-Renaud — d'Avrigny, domowy lekarz mojej matki, utrzymuje, że pan de Villefort jest zrozpaczony.

— Kogo szukasz, Debray?

— Hrabiego de Monte Christo — odpowiedział młodzieniec.

— Jadąc tu, spotkałem go na bulwarze. Zdaje się, że hrabia wyjeżdża, bo szedł do swego bankiera — rzekł Beauchamp.

— Do bankiera? A jego bankierem nie jest Danglars? — zapytał Château-Renaud.

— Podobno tak — odpowiedział Debray lekko zmieszany. — Ale nie tylko pana de Monte Christo tu brakuje, Morrela też nigdzie nie widać.

— Morrela? A był znajomym Villefortów? — zapytał Château-Renaud.

— Zdaje się, że był przedstawiany tylko pani de Villefort.

— Nieistotne. Powinien przyjść — rzekł Debray. — O czymże będzie gadał dziś wieczorem? Ten pogrzeb to wydarzenie dnia. Ale patrzcie, oto i pan minister sprawiedliwości i wyznań[1389]. Na pewno wygłosi jakiś krótki *speech* do zapłakanego kuzyna.

I trzej panowie podeszli bliżej drzwi, by posłuchać, jak minister sprawiedliwości i wyznań wygłasza swój krótki *speech*.

Beauchamp nie mylił się.

Gdy spotkał hrabiego de Monte Christo, ów jechał akurat do pałacu Danglarsa przy ulicy Chausse d'Antin.

Bankier spostrzegł z okna, jak powóz hrabiego wjeżdża na dziedziniec, i wyszedł, by go przywitać, zasmucony, ale spokojny.

— Źle, kochany hrabio — rzekł, podając rękę panu de Monte Christo. — Przychodzi pan zapewne, żeby mnie pocieszyć. To prawda, nieszczęście spadło na mój dom. Jak tylko pana zobaczyłem, zadałem sobie pytanie, czy nie życzyłem źle tym biednym Morcerfom, bo wtedy sprawdziłoby się przysłowie: kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada. E, do licha, przysięgam, nigdy nie życzyłem Morcerfowi źle. Był on może zbyt dumny jak na kogoś, kto tak jak ja zaczął od niczego i wszystko, do czego doszedł, zawdzięczał samemu sobie, ale nikt nie jest idealny. Sam pan hrabia wie, ludzie z naszego pokolenia... ale proszę mi wybaczyć, pan jest młodym człowiekiem... otóż ludzie z naszego pokolenia nie mają w tym roku szczęścia. Weźmy choćby naszego purytanina prokuratora, który właśnie stracił córkę. Policzmy więc: Villefort, dziwną koleją losu powoli traci członków rodziny, zhańbiony Morcerf zabił się; ja znowu okryłem się śmiesznością przez tego łapserdaka Benedetta, a do tego...

— Cóż jeszcze? — zapytał hrabia. — Jakieś nowe nieszczęście?

— Moja córka... Eugenia opuszcza nas.

— O Boże, co też pan mówi?

— To prawda, drogi hrabio. Mój Boże, jaki pan jest szczęśliwy, że nie ma żony i dzieci!

— Tak pan sądzi?

— Ach, naprawdę!

— I mówi pan, że panna Eugenia...

[1389] *minister wyznań* — daw. urząd we Francji, ustanowiony w 1804 r.; minister wyznań zajmował się sprawami religijnymi państwa. [przypis edytorski]

— Nie mogła znieść tej kompromitacji i poprosiła mnie, bym pozwolił jej wyjechać w podróż.

— Wyjechała?

— Wczoraj w nocy.

— Z panią Danglars?

— Z jedną taką kuzynką... obawiam się jednak, że i tak stracimy naszą kochaną córkę, bo o ile znam jej charakter, już nigdy nie będzie chciała wrócić do Francji!

— Co można poradzić na to, baronie?... Kłopoty rodzinne. Mogłyby one przygnieść i zabić biedaka, dla którego dziecko jest jedynym skarbem, milioner jakoś sobie z tym poradzi. Filozofowie mogą mówić, co chcą, ale ludzie praktyczni dobrze wiedzą, że pieniądz w wielu przypadkach przynosi dużą pociechę. Dlatego też, jeśli uznajesz pan moc tego wspaniałego balsamu, szybko się pan pocieszysz, pan, król finansów, szara eminencja władzy.

Danglars spojrzał kątem oka, jakby chciał się przekonać, czy hrabia kpi, czy też mówi poważnie.

— A tak — powiedział. — Jeśli majątek może dać pocieszenie, ja tę pociechę znajdę. Jestem bogaty.

— Jesteś pan do tego stopnia bogaty, drogi baronie, że pański majątek można porównać do piramid egipskich. Jeśli ktoś chciałby je zburzyć, nie ośmieli się, a jeśli się ośmieli — nie będzie w stanie.

Danglars uśmiechnął się do hrabiego. To dobroduszne zaufanie mile go połechtało.

— To mi przypomina — rzekł — że mam wystawić pięć rewersików[1390]. Dwa już podpisałem przed pańskim przyjściem, pozwoli pan, że podpiszę pozostałe?

— Oczywiście, drogi baronie, oczywiście!

Na chwilę zapadło milczenie, w którym rozlegał się tylko odgłos skrzypiącego pióra bankiera. Monte Christo przyglądał się złoconym sztukateriom na suficie.

— Rewersy hiszpańskie, neapolitańskie czy do Haiti?

— O nie — odpowiedział Danglars i roześmiał się pyszałkowato. — Weksle na okaziciela, do Banku Francuskiego[1391]. Niech pan spojrzy, pan — cesarz finansów, bo ja jestem ich królem. Czy widział pan kiedykolwiek tyle świstków o tak ogromnej wartości? Każdy z nich to milion.

Monte Christo zważył na dłoni kawałki papieru, które z dumą wręczył mu Danglars, i przeczytał:

> Pan Prezes Banku Francuskiego zechce wypłacić na moje zlecenie i z mojego rachunku milion franków.
>
> *Baron Danglars*

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć — rzekł Monte Christo. — Pięć milionów, do diabła! Ależ pan ma rozmach, krezusie!

— Takie właśnie robię interesiki.

— To wspaniałe, szczególnie, jeśli ta suma — a nie wątpię o tym — płatna jest w gotówce.

— Oczywiście, że tak.

— O, miło mieć taki kredyt. No tak, podobne rzeczy zdarzają się tylko we Francji. Pięć nędznych świstków wartych pięć milionów! Żeby w to uwierzyć, trzeba to zobaczyć.

— Wątpisz pan?

— Nie.

— Bo powiedziałeś to pan takim tonem... Ale może sprawi to panu przyjemność? Jedźże pan z moim komisantem do banku, a sam pan zobaczysz, że wyjdzie stamtąd z bonami skarbowymi na tę samą sumę.

— Nie ma potrzeby — rzekł Monte Christo, składając weksle. — Ale sprawa jest na tyle ciekawa, że sam zrobię to doświadczenie. Mój kredyt u pana wynosi sześć milionów,

[1390] *rewersik* — zdr. od rewers; tu: pokwitowanie otrzymania pieniędzy. [przypis edytorski]

[1391] *Bank Francuski*, właśc. *Bank Francji* (fr. *Banque de France*) — założony w 1800 r. w Paryżu centralny bank Francji. [przypis edytorski]

wziąłem już dziewięćset tysięcy franków, a więc zostało mi pięć milionów sto tysięcy. Biorę więc te pięć świstków papieru, które uważam za bony, bo widnieje na nich pański podpis, i daję panu kwit na sześć milionów. Tym sposobem rachunek między nami będzie wyrównany. Kwit przygotowałem już wcześniej, bo musi pan wiedzieć, kochany baronie, że bardzo dziś potrzebuję pieniędzy.

I Monte Christo schował pięć bonów do kieszeni, podając baronowi pokwitowanie.

Grom z jasnego nieba nie przeraziłby bardziej Danglarsa.

— Ależ, panie hrabio — wybełkotał — zabiera pan te pieniądze? Bardzo przepraszam, ale te pieniądze to depozyt, muszę je oddać szpitalom i przytułkom i obiecałem, że zrobię to do dziś rana.

— A, to co innego — rzekł Monte Christo. — Nie upieram się wcale przy tych wekslach, możesz mi pan wypłacić pieniądze innym sposobem. Wziąłem je jedynie przez ciekawość, aby móc ogłosić całemu światu: bank Danglarsa wypłacił mi pięć milionów franków bez żadnego uprzedzenia i bez najmniejszej zwłoki! Byłoby to coś niesłychanego! Ale zwracam panu te weksle; może mi pan dać inne.

Podał pięć świstków Danglarsowi.

Zsiniały baron wyciągnął rękę niczym sęp, co przez kraty żelaznej klatki chce pochwycić mięso, które wyrywa mu dozorca. Nagle przyszedł jednak do siebie i opanował się.

Na jego twarzy zabłysł uśmiech, wygładzając rysy zmarszczone niepokojem.

— A pański kwit — odezwał się — to przecież też gotówka...

— Oczywiście! Gdyby był pan w Rzymie, Thomson i French wypłaciliby panu gotówkę od razu, bez żadnych oporów.

— O, proszę mi wybaczyć, panie hrabio!

— To mogę zatrzymać te pieniądze?

— O tak — rzekł Danglars, ocierając pot z czoła. — Proszę je zatrzymać.

Monte Christo ponownie włożył do kieszeni weksle, ale wyraz jego twarzy mówił: „Do diabła, zastanów się pan. Jeszcze jest czas. Potem będziesz żałował".

— Tak, tak — powiedział Danglars — bezwzględnie musi je pan zatrzymać. Ale jak sam pan wie, nie ma większych formalistów od bankierów. Przeznaczyłem te bony dla przytułków i wydało mi się, że jeśli nie dam im tych właśnie bonów, to je okradnę. Tak jakby pieniądz nie był równy pieniądzowi. Proszę mi wybaczyć.

I roześmiał się głośno — ale był to śmiech nerwowy.

— Jest pan wytłumaczony — odparł uprzejmie Monte Christo — przyjmuję te bony.

To mówiąc, włożył je do pugilaresu.

— Ale jest jeszcze sto tysięcy franków — zauważył Danglars.

— To drobiazg — odparł Monte Christo. — Myślę, że *agio*[1392] wyniesie mniej więcej tyle samo. Niech pan zatrzyma te sto tysięcy i będziemy kwita.

— Pan hrabia mówi serio?

— Z bankierami nigdy nie żartuję — odpowiedział Monte Christo tak poważnie, że graniczyło to z nieuprzejmością.

I skierował się do drzwi, w chwili gdy lokaj zaanonsował:

— Pan de Boville, generalny skarbnik zarządu przytułków.

— No, no — rzekł Monte Christo — zdaje się, że przyszedłem po pańskie bony w samą porę, ludzie je sobie wprost wyrywają.

Danglars ponownie zbladł i szybko pożegnał się z hrabią.

Monte Christo i pan de Boville wymienili uprzejme ukłony, bowiem skarbnik już oczekiwał w salonie będącym zarazem poczekalnią; natychmiast po wyjściu pana de Monte Christo wprowadzono go do gabinetu Danglarsa.

Na widok teczki, którą trzymał pan skarbnik generalny, po surowej twarzy hrabiego przemknął uśmiech.

Wsiadł do powozu i natychmiast kazał się wieźć do banku.

Tymczasem Danglars, tłumiąc niepokój, szedł naprzeciw panu de Boville'owi. Nie musimy dodawać, że na twarzy miał przylepiony swój stereotypowy, uprzejmy uśmiech.

— Witam, zacnego wierzyciela, bo założę się, że w tym charakterze pan przybywa?

[1392] *agio* a. *ażio* (fr., z wł. *aggio*) — różnica pomiędzy wartością nominalną i wartością realną. [przypis edytorski]

— Zgadł pan — rzekł de Boville. — Przytułki przychodzą do pana w mojej osobie. Wdowy i sieroty błagają pana przez moje usta o jałmużnę w wysokości pięciu milionów.

— A mówi się, że trzeba współczuć sierotom! — zażartował Danglars. — Ładne biedactwa!

— Przychodzę w ich imieniu. Zapewne odebrałeś pan wczoraj mój list?

— Owszem.

— A tu przyniosłem pokwitowanie.

— Kochany panie, czy pańskie sierotki i wdowy mogą, jeśli łaska, zaczekać dwadzieścia cztery godziny?... Bo właśnie pan de Monte Christo, z którym zapewne minął się pan... spotkaliście się, panowie, prawda?

— No tak; i co z tego?

— Hm, cóż, pan de Monte Christo zabrał te pięć milionów!

— Jak to?

— Hrabia miał u mnie nieograniczony kredyt otwarty przez bank Thomson i French z Rzymu. Zażądał dziś pięciu milionów od ręki i wydałem mu weksel do Banku Francuskiego; bo tam ulokowane są moje fundusze. Sam pan rozumie, że wolałbym nie wypłacać jednego dnia dziesięciu milionów. Zaskoczyłoby to prezesa. Ale jutro — dodał Danglars z uśmiechem — to co innego.

— E, dajże pan spokój! — zawołał pan de Boville, nie dając wiary własnym uszom. — Ten pan wyszedł stąd z pięcioma milionami? Ukłonił mi się, jakbyśmy byli dobrymi znajomymi.

— Może zna pana, chociaż pan go nie zna. Pan de Monte Christo zna prawie wszystkich.

— Pięć milionów!

— Oto jego pokwitowanie. Proszę, patrz i dotykaj, niewierny Tomaszu.

Pan de Boville wziął do ręki kwit, który podał mu Danglars, i przeczytał:

> Pokwitowanie na sumę pięciu milionów stu tysięcy franków, które otrzymałem od pana barona Danglarsa. Suma ta zostanie mu wypłacona na każde żądanie w banku Thomson i French w Rzymie.

— Do licha, to prawda! — zdumiał się pan de Boville.

— Znasz pan bank Thomsona i Frencha?

— Tak, zrobiłem z nimi nawet kiedyś pewien interes na dwieście tysięcy franków, ale od tamtej pory nic o nich nie słyszałem.

— To jeden z najlepszych banków w Europie — rzekł Danglars, rzucając niedbale na biurko kwit, który podał mu pan de Boville.

— I ten hrabia, ot tak, po prostu, miał u pana jednego pięć milionów! Ależ to jakiś nabab!

— I to jeszcze jaki! Słowo daję, że sam tego nie rozumiem, ale on ma nieograniczone kredyty w trzech bankach: u mnie, u Rotszylda i u Lafitte'a i jak pan widzisz — dodał niedbale Danglars — darzy mnie szczególnymi względami, bo zostawił mi sto tysięcy franków *agio*.

Pan de Boville nie mógł wyjść ze zdziwienia.

— Będę musiał go odwiedzić — rzekł. — Może uzyskam u niego jakąś nabożną fundację.

— O, to już tak, jakby ją pan miał w kieszeni. Hrabia wydaje miesięcznie dwadzieścia tysięcy na jałmużny.

— To niesłychane! A zresztą, dam mu jeszcze za przykład panią de Morcerf i jej syna.

— Jak to?

— Oddali cały swój majątek na biednych.

— To znaczy jaki majątek?

— No, ich własny, spadek po nieboszczyku generale.

— A dlaczegóż tak postąpili?

— Nie chcieli mieć majątku zdobytego w tak nikczemny sposób.

— I z czegóż będą żyli?

— Matka wyjeżdża na prowincję, a syn idzie do wojska. Wczoraj właśnie sporządziłem akt darowizny.

— Jak duży był ich majątek?

— O, nic takiego. Jakieś milion dwieście, milion trzysta tysięcy. Ale wróćmy do naszych milionów.

— Chętnie — rzekł Danglars tonem najnaturalniejszym w świecie. — Oj, widzę, że bardzo się panu spieszy do tych pieniędzy?

— Tak. Jutro o drugiej mamy rewizję kasy.

— Jutro? Czemuż mi pan tego od razu nie powiedział! Przecież do jutra to jeszcze kawał czasu! No to przyślij pan kogoś o dwunastej — rzekł Danglars z uśmiechem.

Pan de Boville stał się niezbyt rozmowny; kiwnął tylko głową na znak zgody i wyginał teczkę.

— E, ale jak tak myślę — rzekł nagle Danglars — to można zrobić coś lepszego.

— Co takiego?

— Kwit pana de Monte Christo jest wart tyle, co pieniądze. Niech pan z nim pójdzie do Rotszylda albo do Lafitte'a, a ręczę, że każdy z nich przyjmie go bez mrugnięcia okiem.

— Chociaż jest płatny w Rzymie?

— To nie ma znaczenia. Może to pana kosztować najwyżej pięć do sześciu tysięcy eskonta[1393].

Skarbnik cofnął się gwałtownie.

— Nie, już wolę zaczekać do jutra. Co za pomysł!

— Niech mi pan wybaczy szczerość, ale wydawało mi się przez chwilę — rzekł Danglars bezczelnie — że masz pan tam jakiś deficycik do wyrównania.

— Ależ! — oburzył się skarbnik.

— No, nie ma w tym przecież nic niezwykłego. Takie rzeczy się zdarzają, a wtedy trzeba nastawić się na pewne straty.

— Dzięki Bogu, mnie to nie dotyczy.

— A więc do jutra, drogi panie, czy tak?

— Tak, do jutra. Tylko proszę nie zrobić mi już zawodu.

— Raczy pan żartować. Proszę przysłać kogoś jutro o dwunastej, bank będzie już zawiadomiony.

— Przyjdę osobiście.

— Tym lepiej, będę miał przyjemność znowu pana oglądać.

Uścisnęli sobie ręce.

— Ale, ale — odezwał się pan de Boville — nie wybierasz się pan na pogrzeb tej biednej panny de Villefort? Na bulwarze spotkałem kondukt.

— Nie. Od całego tego wypadku z Benedettem czuję się ośmieszony i nie wychodzę z domu.

— Źle pan robi. Przecież nie było w tym pańskiej winy.

— Drogi panie, ktoś o nazwisku tak nieskazitelnym jak moje musi być bardzo drażliwy.

— Ależ wszyscy bardzo panu współczują, możesz pan być pewien, a już zwłaszcza pańskiej córce.

— Biedna Eugenia — westchnął Danglars. — Wiesz pan, że chce wstąpić do klasztoru?

— Coś podobnego!

— Niestety, taka jest smutna prawda. Na drugi dzień po skandalu wyjechała ze swoją przyjaciółką, zakonnicą. Teraz szuka klasztoru o jakiejś surowej regule we Włoszech lub Hiszpanii.

— To straszne!

I pan de Boville, złożywszy ojcu wyrazy najszczerszego współczucia, wyszedł.

Ledwie zamknęły się za nim drzwi, Danglars zerwał się gwałtownie na nogi i wrzasnął:

— Głupiec!

A chowając kwit hrabiego de Monte Christo do pugilaresu, dodał:

— A przychodź sobie w południe, przychodź; ja już będę daleko.

[1393] *eskonto* (daw.) — dziś: dyskonto weksli, tj. wykupywanie weksla przed terminem jego płatności po potrąceniu pewnej części sumy, na jaką go wystawiono. [przypis edytorski]

Zamknął drzwi na podwójną zasuwę, wyciągnął z kasy pieniądze — a było tego jakieś pięćdziesiąt tysięcy franków w banknotach — spalił część swoich papierzysk, inne porozkładał na widocznych miejscach, napisał list, zapieczętował go i zaadresował: „Do pani baronowej Danglars".

— Dziś wieczór położę jej to na toaletce — mruknął.

Po czym wyjął z szuflady paszport i rzekł:

— Wybornie, ważny jeszcze przez dwa miesiące!

104. CMENTARZ PÈRE-LACHAISE

Pan de Boville istotnie spotkał po drodze kondukt żałobny Valentine.

Dzień był pochmurny i mglisty; wiatr wciąż ciepły, ale już groźny dla pożółkłych liści, strącał je z coraz bardziej ogołoconych gałęzi i unosił nad tłumem.

Pan de Villefort, urodzony paryżanin, uważał cmentarz Père-Lachaise za jedyne miejsce godne przyjąć zwłoki paryskiej rodziny. Inne cmentarze miał za prowincjonalne i mało eleganckie. Człowiekowi z dobrego towarzystwa wypadało być pochowanym tylko na Père-Lachaise.

Jakeśmy już to mówili, kupił tam miejsce pod rodzinny grób i wzniósł kaplicę, w której zdążyli już spocząć wszyscy członkowie jego pierwszej rodziny: pierwsza żona i jej rodzice. Na frontonie[1394] widniał napis:

GRÓB RODZINY DE SAINT-MÉRANÓW I DE VILLEFORTÓW

Takie było ostatnie życzenie biednej Renaty, matki Valentine.

Imponujący orszak kierował się więc z Przedmieścia Saint-Honoré ku Père-Lachaise.

Kondukt przemierzył cały Paryż; pojechano Przedmieściem du Temple i dalej zewnętrznymi bulwarami miasta. Na przedzie jechało dwadzieścia żałobnych powozów, za nimi przeszło pięćdziesiąt karet, a jeszcze dalej szło pieszo jakieś pięćset osób.

W większości była to młodzież, którą śmierć Valentine poraziła jak grom. Pomimo prozaiczności i chłodu naszej epoki wszyscy byli pod poetyckim wpływem tego obrazu: piękna, czysta, urocza dziewczyna, skoszona przez śmierć, w chwili gdy zaledwie zdążyła rozkwitnąć.

Gdy kondukt opuszczał granice miasta, dopędził go powóz zaprzężony w cztery konie; rumaki zatrzymały się tak gwałtownie, że ich pęciny[1395] napięły się jak stalowe sprężyny. Był to Monte Christo. Hrabia wysiadł i wmieszał się w pieszy tłum.

Spostrzegł go Château-Renaud; wysiadł zaraz ze swojego kabrioletu i podszedł do niego. Beauchamp udał się za jego przykładem i wyskoczył z dorożki.

Hrabia rozglądał się na prawo i lewo. Jakby kogoś szukał. Wreszcie nie wytrzymał:

— A gdzie jest Morrel? — zapytał. — Czy któryś z panów go nie widział?

— Sami się nad tym zastanawialiśmy, jeszcze w domu zmarłej — rzekł Château-Renaud — bo nikt nigdzie go nie widział.

Wreszcie kondukt dotarł na cmentarz.

Hrabia przeszukał szybko swym sokolim wzrokiem kępy cisów i sosen; wkrótce wypatrzył, że między młode graby wśliznął się jakiś cień. Najwidoczniej rozpoznał ów cień, gdyż uspokoił się.

Wiadomo, jak wygląda pogrzeb w tej wspaniałej nekropolii[1396]: grupki czarnych postaci rozsiane po białych alejach, milczenie nieba i ziemi; ciszę przerywa tylko czasem trzask łamanej gałęzi, szelest żywopłotu, o który ktoś się otarł, melancholijny śpiew księży, szloch dochodzący zza wiązanki kwiatów, trzymanej w złożonych dłoniach przez zrozpaczoną kobietę.

[1394] *fronton* — w architekturze: niski, trójkątny element zwieńczający budowlę, umieszczany również nad drzwiami i oknami. [przypis edytorski]

[1395] *pęcina* — część kończyny konia nad kopytem. [przypis edytorski]

[1396] *nekropolia* — starożytne, położone poza miastem, duże miejsce pochówku z architekturą pogrzebową; także: duży, stary cmentarz, na którym pochowano sławnych ludzi. [przypis edytorski]

Cień dostrzeżony przez hrabiego przemknął się szybko za grobem Heloizy i Abelarda[1397], dołączył do grabarzy, którzy szli przy koniach ciągnących karawan, i tak doszedł do miejsca pochówku.

Każdy przyglądał się czemu innemu. Monte Christo patrzył tylko na ów cień, którego poza nim nikt niemal nie zauważył. Dwukrotnie hrabia wybiegał z szeregu, by sprawdzić, czy ręce tego człowieka nie szukają pod surdutem broni.

Gdy kondukt zbliżył się, widać już było wyraźnie, że to Morrel. Sinoblady, z zapadniętymi policzkami, odziany w czarny surdut zapięty aż pod szyję, stał oparty o drzewo na małym wzgórku; stąd grób było widać tak, że nie tracił najmniejszego szczegółu z uroczystości pogrzebowej; w dłoniach trzymał cylinder, mnąc go nerwowo.

Wszystko odbyło się wedle zwyczaju.

Kilku panów, oczywiście takich, których najmniej poruszyła ta śmierć, wygłosiło mowy pogrzebowe. Jedni użalali się nad tą przedwczesną śmiercią; inni rozwodzili się nad cierpieniem ojca; znaleźli się też mówcy pomysłowi, którzy dowodzili, że Valentine niejednokrotnie wypraszała u pana de Villeforta łaskę dla winowajców, nad których głową wisiał już miecz sprawiedliwości.

Na koniec wyczerpano już wszystkie kwieciste metafory i żałobne frazesy, nawiązujące do stanz[1398], które Malherbe[1399] pisał do Dupériera.

Monte Christo nic nie słyszał, na nic nie patrzył — a właściwie patrzył, ale tylko na Morrela; spokój kapitana przerażał hrabiego, tylko on bowiem wiedział, co naprawdę dzieje się w jego duszy.

— Patrz — rzekł nagle Beauchamp do Debraya. — Jest Morrel! Ale po kiego diabła tam stoi?

I powiedzieli o tym Château-Renaudowi.

— Jaki blady — zaniepokoił się Château-Renaud.

— Pewnie mu zimno — odparł Debray.

— Nie sądzę — rzekł powoli Château-Renaud. — Myślę, że jest bardzo poruszony. To niezmiernie wrażliwy człowiek.

— E, przecież panny de Villefort prawie nie znał. Sam tak mówiłeś — sprzeciwił się Debray.

— To prawda. Ale przypominam sobie, że na balu u pani de Morcerf tańczył z panną Valentine trzy razy. Na tym balu, na którym wywołałeś pan taką sensację, panie hrabio.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł Monte Christo nieuważnie, nie patrząc, komu odpowiada, zajęty był bowiem czuwaniem nad Morrelem. Policzki Maksymiliana pokrywała coraz żywsza czerwień, jakby powstrzymywał oddech.

— Mowy pogrzebowe skończone, do widzenia panom — rzekł niespodziewanie hrabia.

I zniknął tak nagle, że nikt nawet nie dostrzegł, w którą stronę odszedł.

Po ceremonii żałobnicy podążyli z powrotem do Paryża. Tylko Château-Renaud rozglądał się jeszcze przez chwilę za Morrelem; ale gdy patrzył, jak odchodzi hrabia, Morrel gdzieś znikł — i Château-Renaud poszedł za Debrayem i Beauchampem.

Monte Christo ukrył się w zaroślach i zza szerokiego grobu śledził Morrela.

Maksymilian szedł wolno ku kaplicy, opuszczonej już przez ciekawskich i grabarzy. Rozejrzał się powoli nieprzytomnym wzrokiem; gdy zwrócił spojrzenie w inną stronę, Monte Christo niepostrzeżenie zbliżył się do niego o jakie dziesięć kroków.

Młodzieniec ukląkł.

Hrabia wyciągnął szyję i patrząc czujnie, jakby spięty do skoku, podkradł się jeszcze bliżej do Morrela.

Morrel oparł czoło o kamień, objął ramionami kratę i wyszeptał:

— Valentine!

[1397] *Heloiza i Abelard* — słynna para średniowiecznych fr. kochanków. Heloiza (1098–1164) była córką ważnego urzędnika i uczennicą dużo od siebie starszego filozofa Piotra Abelarda (1079–1142). Ich miłość wywołała skandal, który zmusił obojga do życia klasztornego. Z tego okresu zachowała się słynna korespondencja kochanków. Szczątki Heloizy i Abelarda mają rzekomo spoczywać w monumentalnym grobie na cmentarzu Père Lachaise. [przypis edytorski]

[1398] *stanza* (wł.) — zwrotka, zwłaszcza ośmiowersowa; przen. utwór. [przypis edytorski]

[1399] *Malherbe, François de* (1555–1628) — fr. poeta klasycystyczny, autor *Consolation à Du Périer* (*Konsolacja do Dupériera*). [przypis edytorski]

Hrabiemu o mało nie pękło serce. Podszedł o krok i łagodnie dotknął ramienia Morrela.

— Przyjacielu — rzekł — szukałem cię.

Monte Christo spodziewał się wybuchu, wyrzutów, oskarżeń. Mylił się. Morrel uniósł głowę i z pozornym spokojem powiedział:

— Widzisz pan, że się modliłem.

Hrabia spojrzał nań przenikliwie. I chyba się uspokoił.

— Chce pan, odwiozę pana do Paryża? — rzekł.

— Nie, dziękuję.

— A może czegoś panu trzeba?

— Niech mnie pan zostawi, chcę się pomodlić.

Hrabia oddalił się bez słowa sprzeciwu, ale tylko po to, aby znów się ukryć w pobliżu, i dalej obserwował Morrela.

Maksymilian wstał wreszcie, otrzepał spodnie na kolanach i poszedł w kierunku miasta, nie oglądając się ani raz. Schodził wolno ulicą de la Roquette.

Hrabia, odesławszy powóz, który czekał przy bramie cmentarza, szedł za Morrelem w odległości stu kroków.

Maksymilian przeszedł most na kanale i wrócił bulwarami na ulicę Meslay.

Pięć minut później te same drzwi otwarły się przed Monte Christem. Julia stała przy furtce do ogrodu i przypatrywała się imć Penelonowi, który jako ogrodnik traktujący na serio swoje obowiązki, szczepił właśnie róże bengalskie.

— A! Pan hrabia! — zawołała z radością. Wszyscy w rodzinie Morrelów cieszyli się, za każdym razem, gdy Monte Christo pojawiał się na ulicy Meslay.

— Maksymilian już wrócił, prawda? — spytał hrabia.

— Chyba tak — odparła Julia — ale może lepiej zawołam Emanuela?

— Pani wybaczy, ale muszę koniecznie pójść do Maksymiliana. Muszę mu powiedzieć coś bardzo ważnego.

— A więc nie zatrzymuję pana — rzekła i patrzyła za nim, uśmiechając się ślicznie, póki nie zniknął na schodach.

Monte Christo wbiegł szybko na drugie piętro, stanął i zaczął nasłuchiwać: ale panowała cisza jak makiem zasiał. Jak to zazwyczaj bywa w tych starych domach, w których mieszka tylko jedna rodzina, piętro oddzielone było od korytarza tylko oszklonymi drzwiami. Ale drzwi były zamknięte, a w zamku nie było klucza. Maksymilian zamknął się od wewnątrz. Nic nie było widać — szyby zasłonięte były pąsowymi jedwabnymi zazdrostkami[1400]. Niepokój wzrósł w nim do tego stopnia, że na twarz wystąpił mu żywy rumieniec — był to objaw niezwykłego wzruszenia u tego człowieka iście z żelaza.

— Co robić? — szepnął.

I zastanowił się przez chwilę.

— Zadzwonić? Nie. Dzwonek oznacza wizytę, a to tylko przyspiesza decyzję u ludzi w takiej sytuacji, jak Maksymilian. I wtedy zaraz po dzwonku następuje strzał.

Monte Christo zadrżał. Ale — jako że decydował się zawsze w jednej chwili — uderzył łokciem w szybę i szyba rozprysła się w kawałki. Podniósł firankę i zobaczył, jak Morrel z piórem w ręku podskoczył za biurkiem, gdy posypało się szkło.

— To nic — powiedział hrabia. — Bardzo cię przepraszam, kochany przyjacielu! Poślizgnąłem się i uderzyłem ręką w szybę; a skoro już ją wybiłem, to i wejdę do pana, niech pan sobie nie przeszkadza, proszę nie wstawać.

I sięgnąwszy ręką przez otwór po szybie przekręcił klucz i otworzył drzwi.

Morrel wstał z wyraźną niechęcią i wyszedł hrabiemu naprzeciw, raczej po to, by mu zagrodzić drogę, niż go przywitać.

— Do diabła, to wina twoich służących — rzekł Monte Christo, rozcierając sobie łokieć. — Posadzki lśnią u pana jak lustro.

— Nie zranił się pan przypadkiem? — zapytał zimno Morrel.

— E, nie wiem. Ale cóż pan robił? Pisałeś pan coś?

— Ja?

— Masz pan palce powalane atramentem.

[1400] *zazdrostka* — krótka firanka, zasłaniająca połowę okna a. oszkloną część drzwi. [przypis edytorski]

— A tak. Pisałem. Zdarza mi się to czasem, choć jestem żołnierzem.

Monte Christo podszedł nieco do przodu.

Chcąc nie chcąc Maksymilian musiał go przepuścić, ale zaraz podążył za nim.

— Pisałeś pan? — powtórzył Monte Christo, wlepiając w niego wzrok tak przenikliwy, że aż męczący.

— Już miałem zaszczyt oznajmić panu, że tak.

Hrabia rozejrzał się.

— O, pistolety obok papeterii[1401]! — zdziwił się, wskazując palcem broń na biurku.

— Wyjeżdżam w podróż.

— Kochany przyjacielu! — rzekł Monte Christo z niewysłowioną czułością.

— Niech mnie pan zostawi.

— Przyjacielu kochany, Maksymilianie, błagam, nie uciekaj się do ostateczności!

— Do ostateczności? — wzruszył ramionami Morrel. — Przepraszam, ale dlaczego niby podróż ma być ostatecznością?

— Maksymilianie, zrzućmy maski. Maksymilianie, nie oszukasz mnie tym pozorowanym spokojem, tak samo jak ja cię nie oszukam moją niefrasobliwością. Rozumiesz, że skoro tak zrobiłem, skoro wybiłem szybę i wdarłem się do pokoju przyjaciela, nie troszcząc się o jego poczucie intymności, musiałem zaniepokoić się nie bez powodu, albo raczej powziąć okropne przekonanie. Maksymilianie, ty chcesz popełnić samobójstwo.

— O! — wzdrygnął się Morrel. — A skąd to panu przyszło do głowy?!

— Powtarzam: chcesz popełnić samobójstwo — rzekł hrabia wciąż tym samym łagodnym tonem. — I oto dowód.

Podszedł do biurka, podniósł kartkę, którą młodzieniec zarzucił na rozpoczęty list, i wziął go.

Morrel rzucił się, aby mu go wyrwać.

Ale Monte Christo przewidział to i uprzedził Maksymiliana, chwytając go za rękę i więżąc przegub jego dłoni w stalowym uścisku.

— No i właśnie, chciałeś się zabić — powiedział hrabia — wyraźnie to napisałeś.

Samobójstwo, Miłość romantyczna, Rozpacz, Cierpienie

— A co! — wybuchnął Morrel, rezygnując z pozornego spokoju. — A co, nawet jeśli tak jest? Kto mógłby mi przeszkodzić, gdybym przystawił sobie lufę do skroni? Kto miałby tyle odwagi? Powiem coś panu: moje nadzieje legły w gruzach, serce mam złamane, życie już dla mnie nie istnieje, wokół mnie tylko rozpacz i ohyda, ziemia to popiół, głos ludzki tylko mnie rani. Powiem panu coś: jeśli mi pozwolisz umrzeć, okażesz tylko litość, bo jeśli nie umrę, stracę zmysły, zwariuję. Czy ktoś, kto widzi moje cierpienie i łzy, może mi powiedzieć: „Nie masz racji"? I czy ktoś przeszkodzi mi się uwolnić od tego cierpienia? Niech pan powie: ośmieli się pan to zrobić?

— Tak — odparł Monte Christo tonem, który dość szczególnie kontrastował ze wzburzeniem młodego człowieka — tak, ośmielę się.

— Pan! — krzyknął Morrel, a w jego głosie narastał ton wyrzutu i gniew — pan, który mnie łudziłeś głupią nadzieją! Który mnie powstrzymałeś, ukołysałeś, uśpiłeś próżnymi obietnicami, kiedy mogłem jeszcze coś zrobić, jakąś wariacką decyzją albo ją ocalić — albo przynajmniej umarłaby w moich ramionach. Pan, który zjadłeś ponoć wszystkie rozumy i masz władzę nad materią; pan, który grasz tutaj rolę Opatrzności, a przynajmniej taką rolę sobie uzurpujesz, nie byłeś w stanie znaleźć odtrutki dla tej dziewczyny! O, doprawdy, mój panie, budziłby pan we mnie litość, gdybym nie czuł do pana wstrętu!

— Maksymilianie...

— Tak, powiedziałeś, abym zdjął maskę. I proszę bardzo, zdjąłem! Zadowolony? Kiedyś pan poszedł na cmentarzu za mną, odpowiedziałem panu z dobrego serca. Kiedyś pan tu przyszedł, pozwoliłem panu wejść... Ale skoro posuwasz się pan do tego stopnia, skoro napadasz mnie aż w tym pokoju, w którym ukryłem się jak w grobie... Skoro znów obracasz mi nóż w ranie, choć myślałem, że już żadnej męczarni nie można mi zadać... To, hrabio de Monte Christo, mniemany mój dobroczyńco, hrabio de Monte Christo, zbawco całego świata, raduj się, zobaczysz, jak umiera przyjaciel!...

I Morrel, śmiejąc się jak szaleniec, rzucił się ku pistoletom.

[1401] *papeteria* — zestaw służący do korespondencji listownej, składający się z koperty i specjalnego papieru. [przypis edytorski]

Monte Christo zbladł jak ściana, ale z oczu trysnęły mu błyskawice. Położył rękę na pistoletach i oznajmił:

— A ja ci powtarzam, że nic z tego!

— Spróbuj mi pan tylko przeszkodzić! — zawołał Morrel, ale znów powstrzymało go stalowe ramię hrabiego.

— Przeszkodzę panu!

— Ale kimże ty jesteś, abyś sobie uzurpował prawo do władzy nad istotami wolnymi i myślącymi?

— Kim jestem? — powtórzył Monte Christo. — Słuchaj: jestem jedynym człowiekiem na ziemi, który ma ci prawo powiedzieć: „Maksymilianie! Nie chcę, aby syn twojego ojca dziś zginął".

I Monte Christo — majestatyczny, wspaniały, odmieniony — skrzyżował ramiona i podszedł do dygoczącego młodzieńca, który cofnął się, ulegając nadludzkiej potędze tego człowieka.

— Dlaczego mi pan mówisz o ojcu? — wybełkotał. — Dlaczego mieszasz jego wspomnienia z tym, co dziś przeżywam?

— Ponieważ to ja ocaliłem życie twojemu ojcu w chwili, gdy się chciał zabić, tak jak ty dzisiaj; ponieważ to ja przysłałem twojej siostrze sakiewkę, a twojemu ojcu „Faraona". I ponieważ nazywam się Edmund Dantès i na moich kolanach bawiłeś się w dzieciństwie.

Morrel cofnął się jeszcze o krok, chwiejnie, bez tchu, zdruzgotany; nagle zabrakło mu sił — krzyknął i osunął się na ziemię u stóp Monte Christa.

Po chwili jednak odezwała się w nim jego silna natura: otrząsnął się, podniósł i wypadł z pokoju na schody, krzycząc przeraźliwie:

— Julio! Julio! Emanuelu! Emanuelu!

Monte Christo chciał rzucić się za nim, ale Maksymilian przytrzymywał drzwi ze wszystkich sił.

Na jego krzyk przybiegli przestraszeni Julia, Emanuel, Penelon i kilku służących.

Morrel chwycił ich za ręce i otwierając drzwi, zawołał:

— Klęknijcie — głos dławiło mu łkanie — klęknijcie! To nasz dobroczyńca, to on ocalił ojca! To...

Już miał powiedzieć:

To Edmund Dantés!

Ale hrabia wstrzymał go, ściskając mu ramię.

Julia pochwyciła dłoń hrabiego. Emanuel ściskał go jak jakieś opiekuńcze bóstwo. Morrel padł znów na kolana i czołem uderzył w ziemię.

Wtedy ten człowiek z żelaza poczuł, jak mocno bije mu serce, za gardło chwyciło go wzruszenie — pochylił głowę i zapłakał.

Przez długą chwilę w pokoju wszyscy płakali; westchnienia rozbrzmiewały takim chórem, że musiało to zachwycić nawet najukochańszych aniołów Pana.

Julia, ochłonąwszy ze wzruszenia, wybiegła z pokoju, ciesząc się jak dziecko, zbiegła na dół, do salonu i podniosła kryształowy klosz osłaniający sakiewkę, którą dał jej nieznajomy w Alejach Meilhańskich.

Tymczasem Emanuel mówił urywanym głosem do hrabiego:

— Ach, panie hrabio, jak mógł pan czekać aż do dziś, aby powiedzieć, kim jest? Przecież widział pan, jak często mówiliśmy o naszym nieznanym dobroczyńcy, z jaką czcią i wdzięcznością przechowywaliśmy pamiątkę po nim! O, to było okrucieństwo, i to nie tylko wobec nas, ale, rzec się ośmielę, i wobec siebie samego.

— Posłuchaj, mój przyjacielu — rzekł hrabia — a mogę tak pana nazywać, bo nie wiedząc tego, byłeś pan moim przyjacielem od lat jedenastu. Tajemnica ta wyszła na jaw na skutek pewnego ważnego wydarzenia, którego nie mogę panu wyjawić. Bóg mi świadkiem, że chciałem ją na zawsze ukryć na dnie duszy, ale Maksymilian wyrwał mi ją gwałtem — i żałuje teraz za to, jestem pewien.

A widząc, że Maksymilian — ciągle na klęczkach — oparł głowę o fotel, dorzucił cicho, ściskając w znaczący sposób rękę Emanuela:

— Czuwaj pan nad nim.

— Czemuż to? — zdziwił się Emanuel.

— Nie mogę tego powiedzieć, ale czuwaj nad nim.

Emanuel ogarnął wzrokiem pokój i spostrzegł pistolety Maksymiliana.

Utkwił w nich przerażone oczy i wskazał palcem.

Monte Christo skinął głową.

Emanuel uczynił ruch, jakby chciał po nie pójść.

— Niech je pan zostawi — rzekł hrabia.

Podszedł do Morrela i wziął go za rękę. Gwałtowne emocje, które na chwilę wstrząsnęły młodym człowiekiem, przeszły w głębokie odrętwienie.

Weszła Julia, trzymając w ręku sakiewkę; na jej policzkach perliły się niczym krople porannej rosy łzy radości.

— Oto nasza relikwia — rzekła. — Niech pan nie sądzi, że od kiedy znamy już naszego wybawcę, będzie dla mnie mniej cenna.

— Dziecko — odparł, rumieniąc się, Monte Christo — proszę, zwróć mi teraz tę sakiewkę. Skoro już znasz rysy mojej twarzy, chcę, aby przypominała ci o mnie tylko przyjaźń, o którą się ubiegam.

— O, nie, nie! — rzekła Julia, przytulając sakiewkę do serca. — Błagam, niech mi jej pan nie odbiera. Przecież pewnego dnia możesz nas pan opuścić. Bo opuścisz nas pan pewnego dnia, prawda?

— Zgadłaś, pani — uśmiechnął się Monte Christo. — Za tydzień opuszczę ten kraj. Tylu ludzi, którzy zasługiwali na zemstę niebios, żyło tu w szczęściu, podczas gdy mój ojciec konał z głodu i rozpaczy!

Zapowiadając rychły wyjazd, Monte Christo nie spuszczał z oka Morrela i spostrzegł, że gdy mówił „opuszczę ten kraj", nie wyrwało to Morrela z letargu. Zrozumiał, że musi stoczyć z cierpieniem przyjaciela ostatnią walkę. Wziął ręce Julii i Emanuela, uścisnął je razem w swoich dłoniach i rzekł łagodnie, a zarazem stanowczo, niczym ojciec:

— Kochani moi, zostawcie nas samych z Maksymilianem.

Korzystając z tej chwili, Julia zabrała chyłkiem swoją cenną pamiątkę. Żywo pociągnęła męża za rękę.

— Zostawmy ich — rzekła.

Hrabia został z Morrelem, znieruchomiałym jak posąg.

— I cóż? — odezwał się, dotykając jego ramienia palcem, który sparzył Maksymiliana jak ogień. — Jesteś już znowu mężczyzną?

— Tak, znów zaczynam cierpieć.

Hrabia zmarszczył czoło i zagłębił się na chwilę w jakichś ponurych rozważaniach.

— Maksymilianie, Maksymilianie — rzekł — nie godzi się tak myśleć chrześcijaninowi.

— Uspokój się, przyjacielu — odparł Morrel, podnosząc głowę i uśmiechając się do hrabiego z niewymownym smutkiem. — Nie będę już szukał śmierci.

— Czyli już żadnej broni, koniec rozpaczy?

— Nie, bo mam coś lepszego, aby się wyleczyć z rozpaczy, niż lufa pistoletu czy nóż.

— Biedny szaleńcze!... Cóż to jest?

— Cierpienie. Ono samo mnie zabije.

— Posłuchaj mnie, przyjacielu — rzekł Monte Christo, a w jego głosie brzmiała taka sama melancholia — pewnego dnia i ja chciałem popełnić samobójstwo w przystępie rozpaczy takiej jak twoja. Pewnego dnia także twój ojciec chciał się zabić pogrążony w podobnej jak twoja desperacji. Gdyby ktoś powiedział twemu ojcu w chwili, gdy przykładał sobie lufę do skroni... Gdyby ktoś powiedział mi w chwili, gdy odsuwałem od siebie chleb więzienny, po trzech dniach głodówki... Gdyby powiedziano nam obu w tej krytycznej chwili: „Żyjcie! Nadejdzie dzień, w którym, szczęśliwi, będziecie błogosławić życie" — czyjkolwiek byłby to głos, uśmiechnęlibyśmy się z powątpiewaniem i niedowierzaniem. A przecież ile razy twój ojciec, całując cię, błogosławił życie, ile razy ja sam...

— Ach! — przerwał Morrel hrabiemu — ale pan straciłeś tylko wolność, mój ojciec utracił tylko majątek, a ja straciłem Valentine!

— Popatrz na mnie, Maksymilianie — rzekł Monte Christo, przybierając uroczysty ton, dzięki któremu to, co mówił, wywierało tak wielkie, przekonywujące wrażenie — popatrz na mnie: nie mam łez w oczach, nie chwyta mnie rozgorączkowanie, serce nie bije mi żałobnie... A przecież widzę, jak cierpisz, ty, którego kocham tak, jak kochałbym syna; czy nie przekonuje cię to, że cierpienie jest jak życie: na jego końcu czeka zawsze

coś nieznanego. Otóż jeśli cię błagam, jeśli nakazuję ci, abyś żył, to w przekonaniu, że pewnego dnia mi za to podziękujesz.

— Boże, Boże! Co mi pan mówisz? Niech pan zważa na słowa! A może nigdy pan nie kochałeś?

— Dzieciaku!

— Ale prawdziwą miłością. Bo widzi pan, od kiedy jestem mężczyzną, jestem żołnierzem. Nie kochałem do dwudziestego dziewiątego roku życia — uczucia, jakie odczuwałem wcześniej, nie zasługują na miano miłości. I cóż, w wieku dwudziestu dziewięciu lat zobaczyłem Valentine. Kocham ją od prawie dwóch lat, przez dwa lata czytałem w jej sercu cnoty dziewczęce i kobiece, wypisane tam ręką Pana. Hrabio, widziałem w życiu z Valentine szczęście bez granic, niezmierne, tajemnicze i zbyt wielkie, zbyt boskie jak na ten świat; skoro na tym świecie go nie zaznałem, rozumiesz, że bez Valentine na tej ziemi została mi już tylko rozpacz i zgryzota.

— Powiedziałem ci, abyś nie wyzbywał się nadziei.

— A ja powtórzę: zważ, co mówisz; bo gdybyś mnie przekonał, że jest jeszcze dla mnie nadzieja, oszalałbym — bo wmówiłby mi pan tym samym, że zobaczę jeszcze Valentine.

Hrabia uśmiechnął się.

— Przyjacielu, ojcze! — zawołał z uniesieniem Morrel. — Zważ, co mówisz, powtarzam ci po raz trzeci, bo twój wpływ na mnie zaczyna mnie przerażać. Zastanów się nad znaczeniem swoich słów, bo w oczach mi się przejaśnia, a serce odżywa. Zastanów się, bo zacznę zaraz wierzyć w rzeczy nadprzyrodzone. Usłuchałbym, gdybyś kazał mi podnieść kamień grobowy przykrywający córkę Jaira[1402], chodziłbym po falach, jak apostoł, gdybyś skinął ręką. Zastanów się, bo posłuchałbym.

— Miej nadzieję — powtórzył hrabia.

— Ech, drwisz pan ze mnie — westchnął Morrel, spadając z wyżyn uniesienia w otchłań smutku — zachowujesz się jak dobra czy raczej samolubna matka, która koi miodowymi słowami cierpienie dziecka, bo męczą ją jego płacze. Nie, przyjacielu, niepotrzebnie mówiłem ci, abyś się zastanowił. Nie, nie obawiaj się niczego — starannie pogrzebię mój ból w sercu, ukryję go i zataję, i nie będziesz mi pan musiał nawet współczuć. Żegnaj, przyjacielu!

— Wcale nie, Maksymilianie — odparł hrabia. — Od tej chwili będziesz mieszkał ze mną, nie będziemy się rozstawali, a za tydzień wyjeżdżamy obaj z Francji.

— I ciągle mi pan mówi, bym nie tracił nadziei?

— Mówię ci, byś jej nie tracił, bo znam sposób, aby cię wyleczyć.

— Hrabio, zasmucasz mnie tylko jeszcze bardziej, jeżeli to tylko możliwe. Wydaje się panu, że po tym ciosie dopadło mnie tylko zwyczajne cierpienie i chcesz mnie wyleczyć równie zwyczajnym środkiem — podróżą.

I Morrel potrząsnął głową z niedowierzaniem przemieszanym ze wzgardą.

— I cóż ja ci mam powiedzieć? — podjął Monte Christo. — Wierzę w moje obietnice, proszę cię, zróbmy doświadczenie.

— Hrabio, przedłużasz tylko moją agonię, to wszystko.

— Słabe masz serce. A więc nie masz już siły, aby ofiarować przyjacielowi parę dni na próbę, której chciałby dokonać! Czy ty wiesz, co może hrabia de Monte Christo? Czy wiesz, że ma na rozkazy niejedną ziemską potęgę? Czy wiesz, że ma dosyć wiary w Boga, by uzyskać cud u tego, który mówił, że wiara przenosi góry? A ja mam nadzieję na taki cud, poczekaj na niego i ty, albo...

— Albo... — powtórzył Morrel.

— Albo uważaj, bo nazwę cię niewdzięcznikiem.

— Miej nade mną trochę litości, hrabio!

— Mam dla ciebie tyle litości, słuchaj, Maksymilianie, tyle litości, że jeżeli za miesiąc, dokładnie do tej samej godziny nie zdołam cię uleczyć, to — zapamiętaj dobrze moje słowa — położę przed tobą te nabite pistolety i kielich trucizny włoskiej, pewniejszej, szybszej aniżeli ta, która zabiła Valentine.

— Przyrzekasz mi?

[1402] *Jair* — postać nowotestamentowa, ojciec ciężko chorej córki, który uznał Jezusa za Mesjasza i błagał Go o uzdrowienie dziecka. Choć dziewczynka zmarła przed przybyciem Jezusa, ten wskrzesił ją z martwych. [przypis edytorski]

— Tak, bo i ja jestem człowiekiem, bo i ja chciałem umrzeć, jak ci mówiłem... I często, nawet gdy już odstąpiło mnie nieszczęście, marzyłem nadal o rozkoszach wiecznego snu.

— Och, naprawdę mi to pan przyrzekasz? — zawołał Morrel w uniesieniu.

— Nie przyrzekam, ale przysięgam — rzekł Monte Christo, wznosząc rękę.

— To znaczy, że na swój honor przyrzekasz mi pan, iż jeśli za miesiąc nie znajdę pociechy, pozwolisz mi uczynić ze sobą, co zechcę, i cokolwiek zrobię, nie nazwiesz mnie niewdzięcznikiem?

— Tak, za miesiąc, tego samego dnia, o tej samej godzinie. A to święta data: nie wiem, czy o tym pomyślałeś, że mamy dziś piątego września. Dziesięć lat temu uratowałem twojego ojca, który też chciał umrzeć.

Morrel chwycił ręce hrabiego i ucałował.

Hrabia nie powstrzymywał go.

— Za miesiąc — odezwał się — będziemy siedzieli przy stole, na którym położę ci dobre pistolety i cichą truciznę. Ale obiecujesz mi w zamian, że będziesz żył, że zaczekasz?

— O, teraz ja przysięgam — zawołał Morrel.

Monte Christo przyciągnął go do siebie i długo tulił w objęciach.

— A teraz — rzekł — od dziś zamieszkasz u mnie. Zajmiesz pokoje Hayde: zamiast córki będę miał syna.

— Hayde? A cóż się z nią stało?

— Wyjechała tej nocy.

— Aby się z panem na zawsze rozstać?

— Aby na mnie czekać... Przygotuj się i przyjedź do mnie, a teraz pomóż mi wyjść tak, aby mnie nikt nie zauważył.

Maksymilian spuścił głowę i usłuchał, jak dziecko słucha ojca lub jak apostoł — Pana.

105. PODZIAŁ

W hotelu przy ulicy Saint-Germain-des-Près, który Albert wybrał dla siebie i dla matki, pierwsze piętro było wynajęte w całości przez jakąś tajemniczą osobistość.

Był to mężczyzna; ale jego twarzy nie zdołał nigdy dojrzeć nawet odźwierny, zimą bowiem ów człowiek owijał się szczelnie czerwonym szalem — jakie noszą stangreci z dobrych domów, którzy czekają na swoich państwa przed teatrem; w lecie zaś zawsze akurat wtedy, gdy mijał portiernię — wydmuchiwał nos w chustkę.

Należy przyznać, że wbrew przyjętym zwyczajom, nikt w hotelu nie szpiegował owego lokatora. Szanowano jego tajemnicę, chodziły bowiem pogłoski, że pod tym *incognito* skrywa się osobistość o długiej ręce, postawiona bardzo wysoko.

Przychodził zazwyczaj o ustalonej porze, czasem tylko trochę wcześniej lub później; niezależnie od pory roku przychodził mniej więcej o godzinie czwartej, nigdy jednak nie spędzał tu nocy.

W zimie, o wpół do czwartej, dyskretna służąca, która miała pieczę nad tym mieszkaniem, rozpalała ogień; latem o tej samej godzinie przynosiła lody.

O czwartej, jak wspomnieliśmy, zjawiała się tajemnicza osoba. Po dwudziestu minutach od jej przyjścia przed hotelem zatrzymywał się powóz; wysiadała z niego kobieta ubrana na czarno lub w granacie, lecz zawsze zawoalowana; przemykała niczym cień obok recepcji, następnie wchodziła bezszelestnie po schodach.

Nigdy nikt nie pytał, do kogo idzie. Odźwierni nigdy nie dojrzeli twarzy nieznajomej; byli to wprost modelowi odźwierni, wśród całej paryskiej konfraterni[1403] odźwiernych chyba jedyni dwaj zdolni do zachowania takiej dyskrecji.

Tajemnicza kobieta zatrzymywała się na pierwszym piętrze. Pukała w umówiony sposób. Drzwi otwierały się i zamykały równie szybko — więcej nie trzeba dodawać.

W ten sam sposób opuszczali hotel. Najpierw wychodziła nieznajoma, tak samo zawoalowana, wsiadała do powozu, który natychmiast znikał raz za jednym, raz za drugim rogiem ulicy. Po dwudziestu minutach wychodził z kolei nieznajomy, skrywając twarz za czerwonym szalem lub chusteczką, i znikał za zakrętem.

Nazajutrz po wizycie hrabiego de Monte Christo u Danglarsa, w dzień pogrzebu Valentine, tajemniczy lokator, zamiast jak zwykle o czwartej po południu, przyszedł tym

[1403] *konfraternia* (z łac.) — bractwo religijne a. miejskie stowarzyszenie zawodowe. [przypis edytorski]

razem o dziesiątej rano. Zaraz za nim, bez zwyczajowego odstępu dwudziestu minut, przyjechała dorożka i zawoalowana kobieta wbiegła na górę.

Drzwi otwarły się i zamknęły. Lecz zanim zdążyły się zamknąć, krzyknęła:

— Lucjanie! Najdroższy!

Usłyszał to niechcący odźwierny i dowiedział się, że lokator ma na imię Lucjan, ale jako wzór odźwiernych obiecał sobie, że nie powie o tym nawet żonie.

— Cóż się stało, najdroższa? — zapytał ten, którego imię zdradziło zdenerwowanie i pośpiech damy. — Mów, mów!

— Najdroższy, mogę ci zaufać?

— Oczywiście, przecież wiesz. Ale o co chodzi? Twój liścik, który otrzymałem dzisiaj rano, bardzo mnie zaniepokoił. I ten pośpiech, i ten bezładny list... co to znaczy?

— Lucjanie, stało się coś niezwykłego! — rzekła dama, spoglądając badawczo na Lucjana. — Tej nocy wyjechał mój mąż.

— Wyjechał? Pan Danglars wyjechał! A gdzie?

— Nie wiem.

— Jak to! Nie wiesz? Wyjechał bez zamiaru powrotu?

— Tak! O dziesiątej wieczorem kazał odwieźć się na rogatkę Charenton; tam przesiadł się do pocztowej berlinki[1404] i ruszył dalej, z jednym tylko służącym. Powiedział stangretowi, że jedzie do Fontainebleau.

— I co ty na to?

— Posłuchaj dalej, zostawił mi list.

Baronowa wyjęła z kieszeni rozpieczętowany list i podała Debrayowi. Nim Debray zaczął czytać, zawahał się przez chwilę, jakby chciał odgadnąć, co mogło być w liście, a raczej jakby już podjął decyzję, niezależnie od tego, co list mógł zawierać.

Po chwili, zastanowiwszy się, zabrał się do czytania.

Oto, co było w liście, który doprowadził panią Danglars do takiego zdenerwowania:

> Najwierniejsza wśród małżonek!

Debray spojrzał mimo woli na baronową, która zaczerwieniła się aż po białka oczu.

— Czytaj! — rzekła.

Gdy otrzymasz ten list, nie będziesz już miała męża! O, niech Cię to zbytnio nie alarmuje, tracisz męża tak, jak tracisz córkę — oznacza to, że będę już wtedy na jednym z czterdziestu gościńców prowadzących poza granice Francji.

Posłuchaj:

> Dziś przed południem musiałem wypłacić pięć milionów; zaraz potem zjawił się następny interesant, żądając takiej samej kwoty; przełożyłem wypłatę na jutro. Wyjeżdżam więc, aby uniknąć tego jutra, które byłoby dla mnie stanowczo zbyt nieprzyjemne.
>
> Rozumiesz to, prawda, najwspanialsza wśród małżonek?
>
> Mówię: rozumiesz, ponieważ równie dobrze jak ja znasz moje interesy; znasz je nawet lepiej ode mnie — nie wiem, gdzie przepadła połowa mojego majątku, niegdyś wcale ładnego, ale Ty, jestem tego pewien, potrafiłabyś tu udzielić bardzo dokładnych informacji.
>
> Kobiety mają niezawodny instynkt, który chroni je przed niebezpieczeństwem, a za pomocą swojej własnej algebry potrafią wyjaśnić nawet cuda. Ale ja znałem tylko moje cyfry i zupełnie się pogubiłem, kiedy mnie zawiodły.
>
> Czy nie zwróciłaś z podziwem uwagi na prędkość mojego upadku?
>
> Nie poraził Cię blask moich topniejących sztab złota?
>
> Bo przyznaję się, że ja widziałem tylko ogień; ale miejmy nadzieję, że odgrzebałaś z popiołu trochę złota.
>
> Z tą krzepiącą nadzieją odjeżdżam, najroztropniejsza wśród małżonek, nie mając najmniejszych wyrzutów sumienia; pozostali Ci jeszcze przyjaciele, owe popioły, o których wspomniałem, i swoboda, którą Ci zwracam.

[1404] *berlinka* — czterokołowy powóz na resorach a. rodzaj krytej barki rzecznej. [przypis edytorski]

Nadeszła jednak chwila, kiedy muszę zdobyć się na umieszczenie tu kilku słów w kwestii osobistej. Dopóki wierzyłem, że pracowałaś dla naszego dobra i szczęścia naszej córki, z filozoficznym spokojem przymykałem na wszystko oczy. Skoro jednak zamieniłaś nasz dom w ruinę, nie zamierzam kłaść fundamentów pod cudzą fortunę.

Kiedy się pobieraliśmy, byłaś bogata, ale niezbyt zasługiwałaś na szacunek. Wybacz mi tę szczerość, ale skoro słowa te przeczytamy najprawdopodobniej tylko my, po co owijać w bawełnę.

Powiększałem nasz majątek, który wzrastał przez piętnaście lat, aż nareszcie nadeszła chwila, w której zburzyło ją parę klęsk, których sam do końca nie rozumiem. Mogę tylko śmiało powiedzieć, że nie nastąpiło to z mojej winy.

Ty zaś pracowałaś jedynie nad powiększeniem własnego majątku — i to Ci się udało, jestem o tym w pełni przekonany. Zostawiam Cię więc taką, jaką wziąłem — bogatą, choć niezbyt zasługującą na szacunek.

Żegnaj.

Ja także będę od dziś pracował tylko na własny rachunek. Jestem Ci wdzięczny za wzór, który mi dałaś i według którego będę postępować.

Twój oddany mąż

baron Danglars

Podczas tej długiej i nieprzyjemnej lektury, baronowa patrzyła uważnie na Debraya; spostrzegła, że pomimo opanowania, z jakiego słynął, kilkakrotnie zmienił się na twarzy.

Skończywszy, złożył powoli papier i znów się zamyślił.

— No i co? — zapytała pani Danglars z zaniepokojeniem. — Co myślisz o tym liście?

— To proste, droga pani: twój mąż zostawił cię, żywiąc pewne podejrzenia.

— No tak, ale czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

— Nie rozumiem — rzekł Debray z lodowatym chłodem w głosie.

— On odjechał! Odjechał na zawsze!

— O, w to niech pani nie wierzy.

— Nie, nie wróci, znam go bardzo dobrze. To człowiek niewzruszony, jeśli jego postanowienia wypływają z jego osobistego interesu. Gdyby ocenił, że mogę mu się na coś przydać, zabrałby mnie ze sobą. Zostawia mnie w Paryżu — a to znaczy, że nasza separacja może przynieść mu w czymś korzyść. A więc separacja jest nieodwołalna, a ja jestem wolna na zawsze — zakończyła pani Danglars z prośbą w głosie.

Lecz Debray nie odpowiadał — a ona patrzyła nadal niespokojnie i prosząco.

— Jak to? — odezwała się wreszcie. — Nic mi nie odpowiesz?

— Pozostaje mi zapytać tylko, co zamierzasz teraz zrobić?

— Właśnie miałam ciebie o to zapytać — odpowiedziała baronowa; serce biło jej gwałtownie.

— A, rady ode mnie chcesz? — rzekł Debray.

— Tak, chcę od ciebie rady — powtórzyła baronowa, a serce jej się ścisnęło.

— Skoro chcesz rady — odparł chłodno — to radzę ci wyjechać w podróż.

— W podróż!... — wyszeptała pani Danglars.

— Oczywiście. Jesteś przecież bogata i wolna, jak napisał pan Danglars. Według mnie musisz opuścić Paryż, szczególnie po tym skandalu z małżeństwem Eugenii i po wyjeździe barona. Ludzie muszą koniecznie pomyśleć, że jesteś pani opuszczona i biedna. Nikt nie wybaczy żonie bankruta, która żyje w bogactwie i prowadzi otwarty dom. Trzeba tylko, abyś została jeszcze dwa tygodnie w Paryżu, powtarzając, że opuścił cię mąż i opowiadając przyjaciółkom, w jakich okolicznościach. Później wyprowadzisz się z pałacu, zostawisz tam całą swoją biżuterię i zrzekniesz się dożywocia. Wtedy wszyscy będą głosić peany[1405] o twojej bezinteresowności. Wszyscy będą wiedzieli, że jesteś porzucona, i sądzili, żeś

[1405] *pean* — tu: pieśń pochwalna. [przypis edytorski]

biedna — bo tylko ja znam twoją sytuację finansową i jako lojalny wspólnik jestem gotów zdać ci z tego rachunek.

Baronowa, blada, przygnębiona, słuchała z rozpaczą i przerażeniem tej spokojnej i rzeczowej przemowy.

— Porzucona! — powtórzyła. — Tak, porzucona, masz pan rację, nikt nie będzie wątpił, że tak jest.

To były jedyne słowa, na jakie mogła się zdobyć ta dumna i tak mocno zakochana kobieta.

— Ale bogata, i to bardzo bogata — kontynuował Debray, wyciągając z pugilaresu parę papierów i rozkładając je na stole.

Pani Danglars nie patrzyła na to wcale, usiłując stłumić bicie serca i powstrzymać łzy, które uporczywie napływały do oczu. W końcu poczucie godności zwyciężyło u baronowej; i jeśli nawet nie udało się jej stłumić bólu w sercu, powstrzymała łzy.

— Droga pani, mija już sześć miesięcy, od kiedy jesteśmy wspólnikami — rzekł Debray. — Wniosłaś sto tysięcy franków kapitału. Było to dokładnie w kwietniu. W maju zaczęliśmy operacje. Zarobiliśmy wtedy czterysta pięćdziesiąt tysięcy franków. W czerwcu zysk wzrósł do dziewięciuset tysięcy. W lipcu doszło do tego sto siedemdziesiąt tysięcy franków; był to, jak pani pamiętasz, miesiąc pożyczki hiszpańskiej. W sierpniu, na początku miesiąca, straciliśmy trzysta tysięcy. Ale w połowie miesiąca odzyskaliśmy wszystko, a pod koniec znów mieliśmy zyski. Na naszych kontach, które kazałem zablokować wczoraj, figurują aktywa wynoszące dwa miliony czterysta tysięcy, to znaczy po milion dwieście tysięcy dla każdego z nas. Teraz — ciągnął Debray, spoglądając wciąż do notatnika ze spokojem agenta giełdowego — dochodzi do tego jeszcze osiemdziesiąt tysięcy franków z oprocentowania.

— Ale skąd te procenty — przerwała baronowa — przecież nigdzie nie ulokowałeś pan tych pieniędzy?

— Wybaczy pani — odpowiedział zimno Debray — ale miałem twoje upoważnienie na lokatę i skorzystałem z niego. Tu ma pani czterdzieści tysięcy franków procentu plus sto tysięcy franków z początkowego wkładu, razem sto czterdzieści tysięcy franków. Zachowałem się przezornie i zgromadziłem twoją część przedwczoraj, czyli, jak widzisz, nie tak dawno; rzec by można, że spodziewałem się, że niebawem zostanę poproszony o zdanie rachunków. Mam więc tutaj pani pieniądze, połowa w banknotach, połowa w czekach na okaziciela. Mówię: tutaj, bo nie uważałem, aby mój dom był dla nich pewnym schronieniem, a notariusze nie są dyskretni. Zresztą nie mogłabyś pani nic kupić, bo weszłoby to do wspólnoty małżeńskiej. Przechowałem więc tę sumę — dziś jedyny pani majątek — w szkatułce, którą dla bezpieczeństwa osobiście zamurowałem w tej szafie. A teraz — i Debray otwarł szafę, a potem szkatułkę — ma tu pani osiemset tysiącfrankowych banknotów. Dodaję do tego obligacje na dwadzieścia pięć tysięcy franków renty. Ponadto weksel sto dziesięć tysięcy, płatny do mojego bankiera; a że moim bankierem nie jest pan Danglars, ręczę, że go zrealizujesz.

Pani Danglars machinalnie spojrzała na weksel, obligacje i plik banknotów. Ogromna ta fortuna wyglądała dość niepozornie, leżąc tak na stole. Nie uroniwszy ani jednej łzy, ale tłumiąc w piersi szloch, zebrała banknoty i włożyła je do torebki, obligacje i bon zamknęła w pugilaresie — i blada, milcząca, czekała choć na jedno ciepłe słowo, które pocieszyłoby ją wśród tego bogactwa. Czekała jednak na próżno.

— Teraz — rzekł Debray — masz przed sobą wspaniałe życie, masz przecież około sześćdziesięciu tysięcy franków renty. To ogromna suma, bo przecież nie możesz przez rok brać udziału w życiu towarzyskim. Dzięki temu możesz je zużyć na wszelkie fantazje, jakie ci przyjdą do głowy. A gdyby ci to nie wystarczało, zważywszy na styl życia, jaki wiodłaś do tej pory, gotów jestem ci dać do dyspozycji — o, naturalnie tytułem pożyczki — cały mój majątek, czyli milion sześćset tysięcy franków.

— Dziękuję panu. Wiesz pan dobrze, że to, co mi dajesz, to o wiele więcej, niż potrzeba takiej biednej kobiecie jak ja, która nie zamierza pojawiać się szybko na salonach.

Debray zdziwił się, lecz szybko się opanował i machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „Zrobisz pani, jak zechcesz".

Pani Danglars zapewne aż do tej chwili jeszcze na coś liczyła; ale widząc ów niefrasobliwy gest, który niechcący wykonał Debray, ukośne spojrzenie, jakie mu towarzyszyło

i głęboki ukłon złożony w znaczącym milczeniu, uniosła głowę, otwarła drzwi i spokojnie, bez scen, ale i bez wahania zbiegła ze schodów; nie raczyła nawet ukłonić się temu człowiekowi, który pozwolił jej w ten sposób odejść.

— Aha! — zawołał Debray po jej wyjściu. — Można radzić i radzić, a ona i tak zostanie w swoim pałacu, będzie czytała romanse i grała w lancknechta[1406], skoro nie może już grać na giełdzie.

Wziął swój rejestr i wykreślił starannie wszystkie sumy, jakie jej wypłacił.

— Pozostaje mi jeszcze milion pięćset tysięcy. Jaka szkoda, że panna de Villefort umarła! Byłaby dla mnie pod wszystkimi względami dobrą partią, chętnie byłbym się z nią ożenił.

I jak zwykle odczekał jeszcze z flegmą dwadzieścia minut, po czym wyszedł.

Diabeł Asmodeusz, twór Lesage'a, który zrywał dach z domów, aby zajrzeć do środka, ucieszyłby się bardzo, gdyby zajrzał do hoteliku przy ulicy Saint-Germain-des-Près w chwili, gdy Debray zajmował się liczeniem.

Nad pokojem, gdzie przed chwilą Debray dzielił miliony między siebie a panią Danglars, znajdował się inny pokój, w którym mieszkały znane nam osoby. Odegrały na tyle istotną rolę we wcześniejszych wydarzeniach, że wrócimy do nich z zainteresowaniem.

Mieszkali tam Mercedes i Albert.

Przemiana, Pozycja społeczna, Dama

Mercedes bardzo się zmieniła. Nie chodziło jednak o ubiór — nawet w najlepszych czasach nigdy nie nosiła zbytkownych, krzykliwych strojów, które do tego stopnia zmieniają wygląd kobiety, że nie rozpoznaje się jej w skromniejszej sukni; nie wpadła też w depresję, która mogłaby odbić się piętnem na jej twarzy; nie, Mercedes zmieniła się, ponieważ utraciła blask w oczach, a z jej ust zniknął uśmiech, ponieważ na skutek nieustannego zakłopotania, przygasł jej tak niegdyś błyskotliwy dowcip.

To nie ubóstwo stłumiło ów dowcip, nie z braku odwagi znosiła tak źle nędzę. Zagubiona w tej sferze, do której sama zeszła, jak człowiek, który wychodzi z jaśniejącego światłami salonu, aby pogrążyć się w najgłębszych ciemnościach, podobna była do królowej, która z pałacu przeniosła się do chaty. Zmuszona zadowalać się tylko rzeczami niezbędnymi, sama się w tym wszystkim nie poznawała, nakrywając sama do stołu, stawiając na nim grube, fajansowe talerze, śpiąc już nie w puchu, ale na twardym tapczanie.

Piękna Katalonka, czy raczej szlachetna hrabina, straciła dumne spojrzenie i czarujący uśmiech, ponieważ gdzie nie spojrzała, widziała tylko przygnębiające przedmioty.

Pokoik oklejony był szarą tapetą, jaką oszczędni właściciele hoteli wybierają najczęściej, ponieważ najmniej się brudzi. W pokoju nie było dywanu. Meble raziły fałszywym zbytkiem i krzykliwymi kolorami oczy nawykłe do wytwornego otoczenia.

Pani de Morcerf mieszkała tu, od kiedy opuściła swój pałac. Całkowita cisza, jaka tu panowała, przyprawiała ją o zawroty głowy, zupełnie jak podróżnego, gdy znajdzie się nad przepaścią. Zauważywszy, że Albert obserwuje ją ukradkiem, wysilała się na uśmiech, który wyglądał jak przyklejony — i ponieważ nie odbijał się wcale w jej oczach, już nie promieniował jak dawniej ciepłem.

Albert też czuł się źle w nowym otoczeniu: trudno mu było pozbyć się nawyków dawnego, zbytkownego życia. Chciał chodzić bez rękawiczek, ale uznał, że ma zbyt białe ręce. Chciał chodzić pieszo, lecz uznał, że ma na to zbyt wylakierowane buty.

A jednak dwoje tych szlachetnych, inteligentnych ludzi, połączonych głęboką miłością, rozumiało się bez słów i potrafiło powiedzieć sobie bez ogródek, w jakiej sytuacji finansowej się znajdują.

Mercedes nie zbladła zatem, gdy Albert powiedział:

— Mamo, nie mamy więcej pieniędzy.

Bieda

Nigdy przedtem Mercedes nie zaznała prawdziwej nędzy. Często, w młodości, mówiła o swoim ubóstwie, lecz ubóstwo i nędzę dzieli ogromna przepaść.

U Katalończyków brakowało jej wielu rzeczy, ale innych nigdy. Gdy sieci były dobre, były i ryby; kiedy udało się je sprzedać, był sznurek na reperację sieci. Nie miała przyjaciół, żyła tylko swoją miłością, ale miłość ta nie miała nic wspólnego z jej sytuacją materialną;

[1406] *lancknecht* — tu: daw. hazardowa gra w karty, wywodząca się z czasów wojny trzydziestoletniej (1618–48), kiedy zyskała popularność wśród żołnierzy piechoty najemnej (lancknechtów). [przypis edytorski]

musiała wtedy myśleć tylko o sobie. A tym, co miała, hojnie się dzieliła. Dzisiaj musiała się dzielić, ale nie miała czym.

Nadchodziła zima. Mercedes nie miała czym napalić w tym wyziębionym i pustym pokoju — ona, która mieszkała w pałacu ogrzewanym kaloryferami od piwnic po strych!

Nie miała ani jednego kwiatka — ona, której apartament był jedną wielką oranżerią, pełną najkosztowniejszych roślin! Ale miała jeszcze syna...

Oboje traktowali swój obowiązek z jednakową egzaltacją. Egzaltacja graniczy z entuzjazmem, a entuzjazm czyni nas nieczułymi na rzeczywistość. Ale entuzjazm ucichł i krok po kroku trzeba było powrócić do rzeczy realnych.

— Mamo — mówił Albert w chwili, gdy pani Danglars schodziła ze schodów. — Policzmy nasze bogactwa. Muszę wiedzieć, ile mamy, zanim zacznę dalej planować.

— Co mamy? Nic — rzekła Mercedes z bolesnym uśmiechem.

— E, mamo, mamy przecież trzy tysiące franków. Twierdzę, że za tę sumę uda nam się we dwoje prowadzić bardzo przyjemne życie.

— Dziecko jesteś! — westchnęła.

— Niestety, mamo, za dużo wydałem w życiu pieniędzy, wiem, jaką mają wartość. Trzy tysiące franków to ogromna suma, buduję na niej cudowną, bezpieczną przyszłość.

— Mówisz tak, mój drogi, ale najpierw zastanów się, czy przyjmiemy te trzy tysiące — rzekła Mercedes, czerwieniąc się.

— Ależ zdawało mi się, że to postanowione — odparł stanowczym tonem Albert. — A przyjmujemy je tym bardziej, że ich jeszcze nie mamy w ręku. Przecież są zakopane na Alejach Meilhańskich w Marsylii. A za dwieście franków — dodał — dostaniemy się oboje do Marsylii.

— Za dwieście franków! Albercie, zastanowiłeś się nad tym, co mówisz?

— O tak, poinformowałem się na stacji dyliżansów i statków parowych. Wiem wszystko dokładnie. Ty, mamo, pojedziesz do Châlons dyliżansem. Zauważ, traktuję cię jak królową — bo to kosztuje trzydzieści pięć franków.

Albert pochwycił pióro i zaczął pisać:

Dyliżans — 35 franków
Statek parowy z Châlons do Lyonu — 6
Statek parowy z Lyonu do Awinionu — 16
Z Awinionu do Marsylii — 7
Koszty podróży — 50
Razem: 114 franków.

— No, powiedzmy sto dwadzieścia — dodał Albert z uśmiechem. — Prawda, mamo, jaki jestem hojny?

— A ty, moje biedne dziecko?

— Ja? Nie widzisz, że zostawiam dla siebie osiemdziesiąt franków? Młody człowiek, mamo, nie potrzebuje takich wygód; zresztą wiem dobrze, co to znaczy podróż.

— Tak, wynajętym powozem i z własnym służącym.

— Inaczej też, mamo.

— Dobrze — rzekła Mercedes — ale skąd weźmiemy te dwieście franków?

— Oto one, a tu kolejne dwieście. Sprzedałem zegarek za sto franków, a breloczki za trzysta. Ale traf! Breloczki były warte trzy razy więcej od zegarka! Jesteśmy więc bogaci: zamiast stu czternastu franków na podróż dla ciebie, kochana mamo, masz dwieście pięćdziesiąt.

— Ale jesteśmy jeszcze coś winni w hotelu?...

— Trzydzieści franków, ale ja je zapłacę — z moich stu pięćdziesięciu. To już postanowione. A ponieważ potrzebuję na drogę tylko osiemdziesiąt franków, widzisz, że aż tarzam się w luksusie. Ale to jeszcze nie wszystko. Co powiesz na to, mamo?

I Albert wyjął mały karnet zamykany na złoty zamek. Była to jedna z jego dawnych fantazji, a może pamiątka po jakiejś tajemniczej kobiecie, okrytej woalem, jednej z tych, które pukały czasem do furtki. Z karneciku Albert wyciągnął tysiącfrankowy banknot.

— A to co? — zdziwiła się Mercedes.

— Tysiąc franków, mamo, i to zupełnie nowiutkie.

— Ale skąd to wziąłeś?

— Posłuchaj, mamo, ale nie denerwuj się za bardzo. — Albert wstał, ucałował matkę w policzki i zaczął się jej przyglądać. — Mamo, nie wyobrażasz sobie nawet, jaka jesteś śliczna — rzekł, a w jego głosie brzmiała głęboka synowska miłość. — Jesteś najpiękniejszą, najszlachetniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

— Dziecko drogie! — szepnęła Mercedes, usiłując na próżno wstrzymać łzy.

— A nieszczęście, jakie na ciebie spadło, zmieniło moją miłość w uwielbienie.

— Ale ja wcale nie jestem nieszczęśliwa, bo mam syna. Dopóki mam syna, nigdy nie będę nieszczęśliwa.

— Och, i właśnie tu zaczyna się dla ciebie czas próby. Wiesz, jakie są nasze ustalenia?

— A to myśmy już coś ustalili? — zapytała Mercedes.

— Tak, ustaliliśmy, że zamieszkasz w Marsylii, a ja pojadę do Afryki. Zrzeknę się mojego nazwiska i wsławię się pod innym.

Mercedes westchnęła.

— Otóż, mamo, wczoraj zaciągnąłem się do spahisów — dodał młody człowiek, spuszczając oczy z zawstydzeniem, sam bowiem nie zdawał sobie sprawy, ile szlachetności okazał, decydując się na to upokorzenie. — A raczej uznałem, że mogę sobą rozporządzać i sprzedałem się. Od wczoraj kogoś zastępuję. Sprzedałem się, jak to mówią — dorzucił z wymuszonym uśmiechem — za więcej, niż sądziłem, że jestem wart: aż za dwa tysiące franków.

— A więc te tysiąc franków?... — zadrżała Mercedes.

— To połowa sumy. Drugą zapłacą za rok!

Mercedes uniosła oczy w górę i po policzkach spłynęły jej łzy.

— Cenę jego krwi! — wyszeptała.

— Tak — roześmiał się Albert — jeśli zginę. Ale zapewniam cię, droga mamo, że do ostatnich sił będę bronić mojej skóry. Nigdy przedtem nie odczuwałem takiej chęci życia.

— Boże! Boże! — zawołała Mercedes.

— Ale dlaczego myślisz, że mnie zabiją? Czy zginął Lamoricière[1407], ten Ney[1408] Południa? Czy zginął Changamier[1409]? Czy zginął Morrel, którego znamy? Pomyśl, mamo, jaka to będzie radość dla ciebie, gdy mnie zobaczysz z powrotem w szamerowanym mundurze! Zapewniam cię, że zamierzam w nim wyglądać przepięknie. Wybrałem tę formację z kokieterii.

Mercedes westchnęła, siląc się na uśmiech. Szlachetna kobieta pojmowała dobrze, że jej dziecko ponosi cały ciężar ofiary.

— A więc, rozumiesz, mamo — odezwał się Albert — masz zapewnione cztery tysiące franków. Będziesz za nie żyła w dostatku przez dwa lata.

— Tak sądzisz?

W tych słowach, które się jej wyrwały, było tyle bólu, że ich prawdziwe znaczenie nie uszło uwadze Alberta. Serce mu się ścisnęło, chwycił dłoń matki i utulił ją w swoich.

— Tak, będziesz żyła — powtórzył.

— Tak, będę żyła — zawołała Mercedes — ale ty nie wyjedziesz, prawda?

— Mamo, wyjadę — rzekł Albert spokojnym, ale stanowczym głosem. — Kochasz mnie zbyt mocno, nie pozwolisz, abym żył tu bezczynnie jak próżniak. Zresztą już podpisałem.

— Postąpisz zgodnie ze swoją wolą, a ja zdam się na Boga.

— Nie postąpię zgodnie ze swoją wolą, ale tak, jak dyktuje mi rozum i konieczność. Jesteśmy oboje w rozpaczliwej sytuacji. Co dla ciebie dziś znaczy życie? Nic. A dla mnie? O, niewiele by znaczyło, gdyby nie było ciebie, mamo, wierz mi; gdyby nie ty, przysięgam ci, że odebrałbym je sobie w dniu, kiedy zwątpiłem w mojego ojca i wyrzekłem się jego

[1407] *Lamoricière, Louis Juchault de* (1806–1865) — fr. generał, brał udział w podboju Algierii przez Francję. [przypis edytorski]

[1408] *Ney, Michel* (1769–1815) — fr. żołnierz i dowódca, zrobił błyskotliwą karierę wojskową, walcząc w obronie rewolucji fr. oraz w wojnach napoleońskich; marszałek Francji, diuk d'Elchingen, książę Moskwy; wspierał cesarza Napoleona w czasie studniowej kampanii w 1815 r., walczył pod Waterloo. [przypis edytorski]

[1409] *Changamier, Nicolas* (1793–1877) — fr. generał; zyskał sławę za swój udział w interwencji fr. w Hiszpanii i podczas podboju Algierii. [przypis edytorski]

nazwiska. Ale żyję, a jeśli przyrzekniesz mi, że nie stracisz nadziei, jeżeli zaufasz mi i powierzysz mi swoje przyszłe szczęście, doda mi to siły. W Afryce pójdę do gubernatora. To szlachetny człowiek, a przede wszystkim prawdziwy żołnierz; opowiem mu naszą smutną historię i poproszę, aby od czasu do czasu spojrzał tam, gdzie będę. Jeśli zwróci na mnie uwagę, za pół roku będę oficerem — albo zginę. Jeżeli zostanę oficerem, twój byt, droga mamo, będzie zapewniony. Będę miał wystarczająco dużo pieniędzy dla siebie i dla ciebie, a co więcej, zdobędę sławę — a dzięki temu oboje będziemy dumni z mojego nowego nazwiska, bo przybiorę twoje panieńskie nazwisko. Jeśli zaś zginę... tak, jeśli zginę, wtedy możesz i ty umrzeć... To będzie szczyt, ale i kres naszych nieszczęść.

— Dobrze — odparła Mercedes, spoglądając szlachetnie. — Masz rację, pokażemy ludziom, którzy nas obserwują i czekają, co zrobimy, aby nas osądzić, pokażemy im, że zasługujemy przynajmniej na współczucie.

— Ale dość tych przygnębiających myśli! — obruszył się Albert. — Przysięgam ci, że jesteśmy, a przynajmniej możemy być, bardzo szczęśliwi. Jesteś kobietą inteligentną i zdolną do rezygnacji, a ja wyzbyłem się wielu swoich upodobań i przygasiłem temperament, mam przynajmniej taką nadzieję. Gdy wstąpię do wojska, na pewno się wzbogacę. A ty, gdy wprowadzisz się do domu pana Dantesa, na pewno odetchniesz spokojnie. Spróbujmy, bardzo cię proszę, musimy spróbować!

— Tak, spróbujmy, bo ty musisz żyć, musisz być szczęśliwy.

— Czyli podzieliliśmy się już, mamo — dodał Albert, udając całkowity spokój — i możemy wyjeżdżać. Chodźmy, zarezerwowałem ci miejsce.

— A dla siebie?

— Muszę tu jeszcze zostać dwa albo trzy dni. To początek naszej rozłąki i powinniśmy już powoli się do tego przyzwyczajać. Potrzebuję kilku listów polecających i paru informacji o Afryce. Spotkamy się w Marsylii.

— Dobrze, więc jedźmy! — rzekła Mercedes, narzucając na siebie kaszmirowy czarny szal, jedyny, jaki wzięła, a przypadkiem bardzo kosztowny. — Jedźmy.

Albert zebrał w pośpiechu papiery, zadzwonił po kogoś z hotelu, aby uregulować zaległe trzydzieści franków, podał matce ramię i wyszli na schody.

Ktoś schodził przed nimi. Usłyszawszy szelest jedwabnej sukni, ocierającej się o balustradę, obejrzał się.

— Debray! — szepnął Albert.

— Albert? — zawołał sekretarz ministra i zatrzymał się.

Ciekawość przemogła u niego nad chęcią zachowania *incognito*; zresztą i tak go już rozpoznano. Istotnie, to było dopiero ciekawe spotkanie — zapomniany hotelik, a w nim młodzieniec, którego nieszczęsna historia narobiła w Paryżu tyle hałasu.

— Jak się masz, Albercie? — rzekł Debray.

A gdy dostrzegł w półmroku zgrabną postać pani de Morcerf, całkiem zawoalowaną, dodał z uśmiechem:

— A, przepraszam bardzo, nie przeszkadzam ci, Albercie.

Albert zrozumiał, co miał na myśli Debray.

— Mamo — rzekł zwracając się do Mercedes — to pan Debray, sekretarz ministra spraw wewnętrznych, niegdyś mój przyjaciel.

— Jak to niegdyś? — wybełkotał Debray. — Co ty opowiadasz?

— Powiedziałem tak, panie Debray, ponieważ od dziś nie mam już przyjaciół i nawet nie powinienem ich mieć. Jestem panu wdzięczny, że raczył pan mnie rozpoznać.

Debray podszedł wyżej i uścisnął serdecznie dłoń Alberta.

— Wierz mi, Albercie — rzekł ze wzruszeniem, do którego był jednak zdolny — wierz mi, że głęboko ci współczuję i że jestem gotów pomóc ci w każdej chwili.

— Dziękuję — odparł z uśmiechem Albert. — Pomimo tego całego nieszczęścia jesteśmy jeszcze na tyle zamożni, że nie potrzebujemy pomocy od nikogo. Wyjeżdżamy z Paryża, podróż mamy już opłaconą, a zostało nam jeszcze pięć tysięcy franków.

Debray zaczerwienił się ze wstydu. Miał przecież przy sobie milion franków; a chociaż był człowiekiem racjonalnym i nieskorym do wielkich uniesień, nie mógł powstrzymać w sobie myśli, że oto pod dachem jednego domu przebywały dwie kobiety: jedna, słusznie zhańbiona, wybiegła stąd z sumą półtora miliona franków — i była biedna; a druga, dotknięta niesprawiedliwym ciosem, wychodziła z paroma groszami — i była bogata.

Porównanie to zachwiało poglądami Debraya; filozoficzny wydźwięk sceny przytłoczył go. Wyjąkał kilka grzeczności na pożegnanie i szybko zbiegł ze schodów. Tego dnia jego podwładni bardzo ucierpieli z powodu złego humoru pana sekretarza.

Ale wieczorem Debray kupił sobie piękną kamienicę przy bulwarze de la Madeleine. Miała przynosić pięćdziesiąt tysięcy liwrów dochodu rocznie.

Nazajutrz o piątej po południu, w chwili gdy Debray podpisywał akt własności, pani de Morcerf uściskała syna i wsiadła do dyliżansu.

W jednym z okien stacji dyliżansów Laffitte'a, od strony podwórza, na znajdującej się nad biurami antresoli[1410] stał jakiś mężczyzna. Patrzył, jak Mercedes wsiadała do powozu, widział, jak odjeżdżał dyliżans i jak odchodził Albert.

Pełen wątpliwości, przeciągnął po czole dłoń i westchnął:

— Jakże mam zwrócić tym niewinnym ludziom szczęście, które im zabrałem? Pomoże mi w tym Bóg.

106. JAMA LWÓW

Więzienie, Więzień

Jedna z części więzienia de la Force[1411], w której zamyka się najniebezpieczniejszych i najgroźniejszych przestępców, nazywa się dziedzińcem Świętego Bernarda.

Więźniowie nazwali to miejsce w swoim jędrnym języku Lwią Jamą — prawdopodobnie dlatego, że ci, którzy tu przebywają, gryzą często kraty, a czasami nawet strażników.

To więzienie w więzieniu. Mury mają tu podwójną grubość. Każdego dnia klucznik bada starannie masywne kraty. Po herkulesowej posturze strażników, ich zimnym, przenikliwym spojrzeniu, widać, że zostali specjalnie dobrani, aby trzymać w ryzach więźniów, siejąc inteligentnie postrach. Podwórze tej części więzienia otaczają wysokie mury; słońce może się nad nimi prześliznąć tylko ukośnym promieniem — jeśli oczywiście zdecyduje się zajrzeć do tej otchłani brzydoty moralnej i fizycznej. Na bruku podwórza od świtu niczym cienie snują się ludzie, strapieni, błędni, bladzi — ludzie jakby już zgarbieni na widok topora, który ostrzy dla nich sprawiedliwość.

Stoją lub siadają w kucki pod murem (gdyż mur wchłania ciepło słoneczne i zatrzymuje je najdłużej), gawędzą po dwóch, ale najczęściej — stoją samotni, wpatrując się bezustannie wzrokiem utkwionym w furtę, która otwiera się co jakiś czas niczym paszcza, aby wchłonąć jednego z nich albo wyrzygać nowego więźnia — żużel z pieca, w którym kotłuje się społeczeństwo.

Dziedziniec Świętego Bernarda ma osobną rozmównicę[1412]. To długa, prostokątna sala podzielona na dwie części za pomocą podwójnych krat stojących w odległości trzech stóp — tak, aby odwiedzający nie mógł uścisnąć więźniowi ręki albo podać mu czegoś. Sala ta jest ponura, wilgotna i pod każdym względem może budzić grozę, zwłaszcza gdy pomyśleć, jak wiele okropnych zwierzeń prześliznęło się przez te zardzewiałe od oddechów kraty. A jednak to równie obrzydliwe miejsce jest rajem dla ludzi, których dni są już policzone — pokrzepia ich kontakt z tak utęsknionym społeczeństwem, ba — zdają się nim tu wręcz rozkoszować. Z Lwiej Jamy wychodzi się bowiem niemal zawsze po to, aby odjechać na rogatkę Saint-Jacques, na galery lub do innego więzienia.

Po podwórzu, które właśnie opisaliśmy, aż ociekającym od przenikliwej wilgoci, przechadzał się z rękami w kieszeniach jakiś młodzieniec. Reszta więźniów obserwowała go z ogromną ciekawością.

Dzięki wytwornemu krojowi ubrania mógłby uchodzić za człowieka z wyższej sfery; ale ubranie to było w strzępach. Choć bynajmniej nie było też znoszone: cienkie, jedwabiste sukno nabierało (tam, gdzie nie było podarte) połysku za każdym dotknięciem ręki więźnia; młodzieniec starał się je starannie odczyścić, pragnąc, aby wyglądało jak nowe. Równie starannie zapiął batystową koszulę, kiedyś białą, a lakierowane buty wyczyścił rogiem chusteczki ozdobionej monogramem i hrabiowską koroną. Kilku „pensjonariuszy" Lwiej Jamy przyglądało się temu z nieskrywanym zainteresowaniem.

[1410] *antresola* — półpiętro, zwykle między parterem a pierwszym piętrem. [przypis edytorski]

[1411] *więzienie de la Force*, właśc. *więzienie La Force* — daw. więzienie w Paryżu, w którym przebywali przestępcy wyjątkowo niebezpieczni. [przypis edytorski]

[1412] *rozmównica* — pokój odwiedzin w zakładzie zamkniętym a. klasztorze. [przypis edytorski]

— Patrzcie, jak się ten książę stroi — rzekł jeden z przestępców.

— Ależ to śliczny chłopak — rzekł drugi — i gdyby tylko miał grzebień i pomadę, zbledliby przy nim wszyscy żandarmi.

— Nowiutki fraczek, trzewiki aż lśnią. To pochlebne dla nas, że mamy takich grackich kolegów. A ci łajdacy żandarmi to dopiero bandyci! Zazdrośnicy! Takie ubranie tak podrzeć...

— O, to chyba łotrzyk jak się patrzy... — dorzucił inny. — Maczał palce we wszystkim... i to na dużą skalę... I taki młody! Świetny chłopak!

A przedmiot tego ohydnego podziwu upajał się tymi pochwałami, albo raczej tylko ich dźwiękiem, bo samych słów nie mógł dosłyszeć.

Gdy skończył toaletę, podszedł do okienka kantyny[1413], o które opierał się strażnik.

— Mój panie, bądź tak łaskaw i pożycz mi dwadzieścia franków — rzekł młody człowiek do strażnika. — Niedługo ci oddam, ze mną nie ma ryzyka. Pamiętaj, że moi krewni posiadają więcej milionów niż pan groszy... No, tylko dwadzieścia franków, proszę, chciałbym sobie wziąć separatkę[1414] i kupić jakikolwiek szlafrok. Nie mogę tak chodzić bez przerwy w jednym ubraniu. I to w jakim ubraniu, mój panie... ja, książę Cavalcanti!

Strażnik odwrócił się tyłem i wzruszył ramionami. Nawet się nie roześmiał, choć taka gadanina rozchmurzyłaby każdego; nasłuchał się już wielu innych rzeczy — a właściwie wielu takich samych.

— Ejże — rzekł Andrea — jesteś człowiekiem bez serca. Już ja się postaram, abyś stracił tu miejsce.

Strażnik odwrócił się — i parsknął śmiechem.

Więźniowie podeszli i ustawili się kręgiem wokół nich.

— Mówię ci, człowieku — ciągnął Andrea — za te parę groszy chcę sobie kupić szlafrok i wynająć osobną celę. Lada dzień spodziewam się wizyty pewnej znakomitej osobistości, muszę go jakoś przyzwoicie przyjąć.

— Dobrze mówi! Dobrze! — ozwali się więźniowie. — Do licha, przecież widać, że to człowiek z wyższych sfer.

— Więc mu pożyczcie te dwadzieścia franków — rzekł strażnik, opierając się potężnym ramieniem o ścianę. — Przecież powinniście chyba coś zrobić dla swojego kolegi?

— Nie jestem kolegą tych ludzi — obruszył się młodzieniec. — Nie obrażaj mnie, nie masz do tego prawa!

Przestępcy spojrzeli po sobie; słychać było, jak narasta wśród nich głuchy pomruk. Nad głową arystokratycznego więźnia zaczęła zbierać się powoli burza, wywołana nawet nie tyle słowami Andrei, co prowokacją strażnika.

Strażnik, pewien, że i tak uspokoi fale, jeśli zbyt się rozszaleją, postanowił nie tłumić burzy — i spłatać figla natrętowi, aby rozerwać się nieco podczas swojego długiego dyżuru. A przestępcy już podchodzili do Andrei; jedni wołali:

— Kapeć! Kapeć!

Okropna ta operacja polega na zadawaniu ciosów nie pantoflem, ale podkutym trzewikiem; robi się tak kompanowi, który straci względy u reszty współwięźniów.

Inni proponowali węgorza; ów inny rodzaj rozrywki polega na tym, że zwiniętą w rulon chustkę napełnia się piaskiem, kamieniami i drobnymi monetami — jeśli więźniowie je mają — a potem wali delikwenta, gdzie tylko popadnie.

— Wygarbujmy mu skórę, temu szanowanemu obywatelowi!

Ale Andrea zwrócił się do nich, mrugnął okiem, nadął policzki językiem i cmoknął w szczególny sposób — tak porozumiewają się między sobą bandyci, gdy nie mogą rozmawiać.

Był to tajny znak, którego nauczył go Caderousse. Poznali jednego ze swoich. Chustki opadły; podkuty kapeć wrócił na nogę głównego kata. Parę głosów oświadczyło, że ten pan miał rację, że może być na swój sposób uczciwym człowiekiem, a oni chcieli dać tylko przykład wolności poglądów. Tumult ucichł.

[1413] *kantyna* — sklepik lub bufet zakładowy. [przypis edytorski]

[1414] *separatka* — jednoosobowy pokój. [przypis edytorski]

Strażnik zdziwił się tak bardzo, że natychmiast podniósł Andrei ręce do góry i jął go rewidować, sądząc, że mieszkańcy Lwiej Jamy ulegli czemuś bardziej namacalnemu i bardziej przekonywującemu, niźli sam urok osobisty młodzieńca.

Andrea nie opierał się, choć trochę oponował.

Wtem w okienku zabrzmiał głos:

— Benedetto! — wołał inspektor.

Strażnik wypuścił ofiarę.

— Wołają mnie — rzekł Andrea.

— Do rozmównicy — zawołał ten sam głos.

— I widzi pan, ktoś przyszedł do mnie z wizytą... O, drogi panie, przekonasz się, czy z księciem Cavalcantim można obchodzić się jak z byle kim.

I Andrea, przemknąwszy jak cień przez dziedziniec, wybiegł przez uchyloną furtę, zostawiając w podziwieniu kolegów i strażnika.

Ale i jego samego to zaskoczyło. Przebiegły młodzieniec nie skorzystał w więzieniu z przywileju korespondencji, jak to czynią zwykli ludzie, aby prosić o pomoc — zachował stoicką powściągliwość.

— Jestem wyraźnie podopiecznym jakiegoś możnego człowieka — mówił sam do siebie. — Wszystko za tym przemawia: to nagłe szczęście, łatwość, z jaką przeskoczyłem wszelkie przeszkody, improwizowana rodzina, znakomite nazwisko, jakie mi nadano, złoto, którym mnie obsypano, świetne znajomości, zaspokajające moje ambicje... Na nieszczęście, fortuna zapomniała o mnie na chwilę, nie było mojego protektora, zgubiło mnie to, ale nie do końca, nie na zawsze! Ręka na chwilę się cofnęła, ale pochwyci mnie opiekuńczo w chwili, gdy będę tuż nad przepaścią.

Czemu miałbym ryzykować jakimś nieostrożnym krokiem? Być może pozbawiłbym się w ten sposób opiekuna! Może mnie z tego wyciągnąć na dwa sposoby: albo załatwi mi ucieczkę, okupiwszy ją złotem, albo przekupi sędziów, a ci mnie uniewinnią. Wstrzymajmy się od mówienia i działania, póki nie nabiorę już całkowitej pewności, że zostałem całkowicie opuszczony, a wtedy...

Andrea ułożył sobie cały plan, który można uznać za zręczny. Nędznik był nieustraszony w ataku, a zawzięty w obronie. Zniósł nędzę i rozmaite prywacje[1415], cechujące tego rodzaju zbiorowe więzienia. Tymczasem jednak natura, a raczej nawyki, brały nad nim górę. Cierpiał, że jest obdarty, brudny i głodny; czas zaczął mu się dłużyć. Wtedy to właśnie inspektor wezwał go do rozmównicy.

Andrea poczuł, jak serce zabiło mu z radości. Było za wcześnie na wizytę sędziego śledczego, a za późno, by mogli go wzywać komendant więzienia lub lekarz; była to więc jakaś wizyta z zewnątrz.

Za kratą w rozmównicy Andrea dostrzegł rozszerzonymi z ciekawości oczyma chmurną, rozumną twarz Bertuccia. Bertuccio patrzył z bolesnym zdziwieniem na kraty, zaryglowane drzwi i cień, który zamigotał za kratami.

— Ach! — zawołał Andrea, ugodzony do żywego.

— Dzień dobry, Benedetto — rzekł Bertuccio głosem głębokim i dźwięcznym.

— To pan, to pan! — wyjąkał młodzieniec, rozglądając się wokół z przestrachem.

— Nie poznajesz mnie, nieszczęsny chłopaku?

— Ciszej, ciszej! — szepnął Andrea, który wiedział dobrze, jak dobre uszy mają tutejsze ściany. — Na miłość boską, ciszej, nie mów pan tak głośno!

— Chciałbyś zapewne pomówić ze mną sam na sam? — spytał Bertuccio.

— Oo, tak.

— Dobrze.

I Bertuccio, sięgając do kieszeni, dał znak strażnikowi, który stał w okienku.

— Przeczytajcie to! — rzekł do niego.

— Co to? — spytał Andrea.

— Rozkaz, aby przeniesiono cię do osobnej celi i pozwolono widywać ze mną.

— O! — Andrea aż podskoczył z radości.

I opanowawszy się natychmiast, szepnął do siebie:

[1415] *prywacja* (daw.) — pozbawienie, ograniczenie, obywanie się bez czegoś. [przypis edytorski]

— I znowu mój nieznany opiekun! Nie zapomnieli o mnie! Chcą zachować tajemnicę, skoro chcą ze mną rozmawiać w cztery oczy. Tu ich mam... Bertuccio przychodzi tu od mojego opiekuna.

Strażnik pokonferował[1416] z przełożonym, po czym otwarł drzwi i zaprowadził Andreę do celi na pierwszym piętrze z oknem na dziedziniec. Andrea był w siódmym niebie.

Cela była bielona wapnem, jak to zwykle w więzieniach. Było w niej wesoło, a Andrei zdało się, że znalazł się w raju. Zbytkowne umeblowanie stanowiły piec, łóżko, krzesło i stół. Bertuccio usiadł na krześle, Andrea rzucił się na łóżko.

Strażnik wyszedł.

— No i co — rzekł intendent. — Co mi chcesz powiedzieć?

— A pan?

— Najpierw ty...

— O nie. To pan ma mi coś oznajmić, skoro do mnie przychodzisz.

— Niech i tak będzie. Ciągnąłeś dalej swoje łajdactwa, kradłeś, aż wreszcie zamordowałeś.

— No, jeśli po to przeniosłeś mnie pan do oddzielnej celi, nie trzeba sobie było robić kłopotu. Wiem o tym przecież. Ale są inne sprawy, o których nie wiem nic. Wyjdźmy więc od nich, jeśli łaska. Kto tu pana przysłał?

— Oho ho! Szybki jesteś, mój Benedetto.

— Prawda? No, do rzeczy. Nie traćmy słów na próżno. Kto pana przysyła?

— Ależ nikt.

— A skąd się pan dowiedziałeś, że jestem w więzieniu?

— Już dawno cię rozpoznałem w tym bezczelnym dandysie, który z wdziękiem galopował po Polach Elizejskich.

— Po Polach Elizejskich!... Aha, ciepło, ciepło, gorąco... Po Polach Elizejskich!... No, to pogawędźmy trochę o moim ojcu, co pan na to?

— A ja, kim wobec tego mam być?

— Pan, poczciwino, jesteś moim ojcem przybranym... Ale nie sądzę, żebyś to pan roztrwonił na mnie sto tysięcy franków, które wydałem w ciągu kilku miesięcy. To nie pan sprawiłeś mi ojca — Włocha i szlachcica. To nie pan wprowadziłeś mnie na salony i zaprosiłeś na obiad w Auteuil; jeszcze czuję ten smak... Była tam śmietanka towarzyska i pewien prokurator królewski; szkoda, że nie poznałem się z nim lepiej, przydałoby mi się to teraz. Pan nie założy za mnie kaucji, miliona, a może dwóch? Kiedy już wylazło szydło z worka... No, czcigodny Korsykańczyku, gadajże, gadaj...

— Ale co mam ci powiedzieć?

— No to ci pomogę. Mówiłeś przed chwilą o Polach Elizejskich, zacny mój opiekunie.

— No i co?

— No, a na Polach Elizejskich mieszka pewien bardzo, bardzo bogaty jegomość.

— Ten, którego chciałeś okraść i u którego popełniłeś morderstwo?

— No, chyba tak.

— Pan hrabia de Monte Christo?

— Sam rzekłeś, jak powiada Racine[1417]... To co, mam mu się rzucić na szyję i przycisnąć do piersi, wołając: „Ojcze mój! Ojcze!", jak pisuje pan Pixérécourt[1418]?

— Nie żartujmy — odpowiedział poważnie Bertuccio — nie waż się już nigdy wymieniać tutaj tego nazwiska.

— Phi! A to czemu? — prychnął Andrea, nieco jednak stropiony uroczystym tonem Bertuccia.

— Ponieważ ten, który je nosi, jest darzony przez niebo zbyt wielką łaską, aby być ojcem takiej kanalii jak ty.

— E, wielkie słowa...

— Jeśli mnie nie posłuchasz, gorzko pożałujesz!

— Groźby?... Nie boję się... powiem...

[1416] *konferować* (daw.) — tu: naradzać się. [przypis edytorski]

[1417] *Racine, Jean Baptiste* (1639–1699) — fr. dramaturg, autor tragedii opartych na motywach klasycznych i biblijnych, m.in. *Andromacha* (1667), *Fedra* (1677), *Berenika* (1670), *Brytanik* (1669). [przypis edytorski]

[1418] *Pixérécourt, René Charles* (1773–1844) — fr. dramatopisarz, autor popularnych swego czasu melodramatów. [przypis edytorski]

— Czy myślisz, że masz do czynienia z takimi karłami jak ty sam? — rzekł Bertuccio tonem tak spokojnym i spoglądając z taką pewnością siebie, że Andreę aż przeszło mrowie[1419]. — Czy ty myślisz, że masz do czynienia ze zbrodniarzami z galer albo z głupcami, których robiłeś w konia?... Benedetto, jesteś w mocy potężnej ręki, ale ręka ta jest gotowa cię wypuścić: skorzystaj z tego, nie igraj z piorunem, który na chwilę odstawiła — bo może go znowu pochwycić, jeśli będziesz jej chciał przeszkadzać.

— Ale mój ojciec... Chcę wiedzieć, kim jest mój ojciec! — odrzekł z uporem Andrea. — Zginę, jeśli trzeba, ale się dowiem. Co mi szkodzi, że wywołam skandal? Może mi się tylko przysłużyć... rozsławić mnie... zrobić reklamę, jak mawia ten dziennikarz, Beauchamp. Ale wy, ludzie z wielkiego świata, zawsze macie coś do stracenia, jeśli wybucha skandal, i to mimo tych waszych milionów... No, dalej, kim jest mój ojciec?

— Przyszedłem właśnie po to, aby ci to powiedzieć.

— Aha! — zawołał Benedetto i w oczach zaiskrzyła mu się radość.

W tejże chwili drzwi się otwarły i klucznik powiedział do Bertuccia:

— Przepraszam pana, ale na więźnia czeka sędzia śledczy.

— Dziś ostatnie przesłuchanie — rzekł Andrea do intendenta. — Niech go diabli, przeszkodził nam.

— Wrócę tu jutro.

— Wybornie! — ucieszył się Andrea. — Panowie żandarmi, oddaję się w wasze ręce... Ale, ale, mój drogi, zostawże w kancelarii z jakie dziesięć dukatów, żeby mi tu dali to, o co poproszę.

— Dobrze.

Andrea podał mu rękę; Bertuccio nie wyjął ręki z kieszeni, a tylko zabrzęczał złotem.

— No, o to mi właśnie chodziło — rzekł Andrea z wymuszonym uśmiechem, całkowicie pod wrażeniem osobliwego spokoju Bertuccia.

„Czyżbym się mylił? — myślał, wsiadając do więziennej karetki. — Cóż, zobaczymy!".

— No to do jutra! — zawołał, odwracając się do Bertuccia.

— Do jutra! — odpowiedział intendent.

107. SĘDZIA

Pamiętamy, że ksiądz Bussoni został sam z Noirtierem w pokoju, gdzie spoczywała zmarła — jako jedyni strażnicy zwłok dziewczyny.

Być może chrześcijańskie napomnienia kapłana, jego słowa pełne łagodności i miłosierdzia były tak przekonywające, że przywróciły starcowi nieco spokoju; po rozmowie z księdzem rozpacz w jego oczach ustąpiła miejsca rezygnacji. Jego spokój zadziwiał wszystkich, którzy pamiętali o uczuciu, jakim pan Noirtier darzył wnuczkę.

Pan de Villefort nie był u ojca od owego ranka, gdy umarła Valentine.

W domu nastała już nowa służba: pan de Villefort miał nowego lokaja, podobnie jak i Noirtier, pani de Villefort otrzymała dwie nowe służące. Był też nowy odźwierny i nowy stangret — i wszyscy wyczuwali, jak chłodne stosunki panują między tymi ludźmi w tym przeklętym domu.

Posiedzenie sądu miało się odbyć za trzy dni. Villefort, zamknięty w gabinecie, pracował z gorączkową energią nad aktem oskarżenia przeciw mordercy Caderousse'a. Sprawa ta, jak wszystko, z czym miał coś wspólnego hrabia de Monte Christo, odbiła się na salonach paryskich głośnym echem. Dowody nie były wyczerpujące, opierały się bowiem na kilku słowach napisanych przez umierającego galernika, dawnego towarzysza mordercy. Mógł przecież oskarżać Andreę powodowany nienawiścią lub chęcią zemsty.

I tylko prokurator nie żywił w tym względzie żadnych wątpliwości, powziął niezbitą pewność, że Benedetto jest winien i choć zwycięstwo zapowiadało się trudne, jego miłość własna już się nim radowała; tylko ambicja budziła do życia to zlodowaciałe serce.

Dochodzenie trwało więc, dzięki nieustannym wysiłkom Villeforta, który pragnął otworzyć owym procesem najbliższą sesję sądu. Unikał ludzi bardziej niż kiedykolwiek, aby uniknąć nawały natrętnych próśb o karty wstępu.

[1419] *mrowie* — tu: dreszcze, ciarki. [przypis edytorski]

A zresztą tak niewiele minęło od dnia, w którym złożono do grobu biedną Valentine, dom okrywała żałoba wciąż tak świeża, iż nie dziwiło nikogo, że ojciec pogrążył się w tak zawziętej pracy, która jako jedyna mogła dać mu jakąś pociechę w nieszczęściu.

Tylko raz jeden — a była to niedziela, dzień po drugiej wizycie, jaką Bertuccio złożył Benedettowi — Villefort zobaczył się z ojcem. A stało się to wtedy, gdy padając ze znużenia, zszedł do ogrodu. Ponury, zgarbiony pod ciężarem bezlitosnych myśli, ścinał laską wybujałe, uschłe łodygi malw, które kołysały się wzdłuż alejek niczym widma kwiatów, jakże barwnych w porze roku, co właśnie minęła.

Kilka razy dotarł aż do znanej nam bramy, za którą rozpościerało się opuszczone pole, i wracał wciąż tą samą aleją, tym samym równym krokiem i wciąż przecinając laseczką powietrze. Wracając po raz kolejny spojrzał machinalnie na dom. Wewnątrz hałaśliwie bawił się Edwardek; uczył się na pensji, ale niedziele i poniedziałki spędzał z matką.

W tej właśnie chwili Villefort ujrzał w jednym z otwartych okien pana Noirtiera. Starzec kazał przysunąć się do samego okna, aby nacieszyć się ostatnimi, wciąż jeszcze ciepłymi promieniami słońca, które żegnały się z więdnącym powojem i poczerwieniałymi liśćmi dzikiego wina, oplatającego balkon.

Oczy starca utkwione były w jednym punkcie, którego Villefort nie mógł dokładnie dostrzec.

We wzroku Noirtiera płonęła tak dzika nienawiść i gorzała taka niecierpliwość, że prokurator, umiejąc znakomicie wychwytywać wszystkie uczucia, jakie malowały się na obliczu ojca, zboczył z drogi, aby zobaczyć, w kogo wymierzone jest to straszliwe spojrzenie. I pod lipami o niemal ogołoconych gałęziach ujrzał swoją żonę. Pani de Villefort siedziała z książką w ręku, przerywając od czasu do czasu lekturę, aby uśmiechnąć się do syna albo odrzucić mu piłkę, którą uparcie rzucał z okna salonu do ogrodu.

Villefort zbladł, zrozumiał bowiem, czego chciał starzec. Noirtier patrzył wciąż w tę samą stronę; ale nagle jego spojrzenie przeniosło się z synowej na syna — i zaatakowało Villeforta, tak jakby starcowi z oczu wystrzeliły pioruny. Wzrok ten mówił teraz co innego, choć nie wyrażał tego z taką samą groźbą.

Pani de Villefort, nie mając pojęcia, jakie to namiętności krzyżują się nad jej głową, zatrzymała piłkę i wezwała do siebie gestem Edwardka, chcąc, aby ją ucałował. Edwardek długo dał się prosić; matczyne pieszczoty wydawały mu się zapewne zbyt skromną rekompensatą za tyle fatygi. Wreszcie się zdecydował: zeskoczył z okna w sam środek klombu heliotropów i margerytek[1420] i podbiegł spocony do matki. Pani de Villefort otarła mu czoło, przylgnęła ustami do jasnej skóry chłopca i odesłała go do domu, włożywszy mu w jedną rękę piłkę, a w drugą garść cukierków.

Villefort zbliżył się do domu, przyciągany niewidzialną siłą niczym ptak przyciągany wzrokiem przez węża. W miarę jak się zbliżał, wzrok Noirtiera przesuwał się za nim, a palił go tak intensywnie, że aż wżerał mu się w serce.

W spojrzeniu tym był dotkliwy wyrzut — i straszliwa groźba. Noirtier wzniósł oczy w górę, jakby przypominał synowi o zapomnianej przez niego przysiędze.

— Dobrze, ojcze — zawołał z dołu Villefort — dobrze! Poczekaj jeszcze jeden dzień. Dałem ci słowo.

Noirtier jakby uspokoił się na te słowa i zwrócił zobojętniałe oczy w inną stronę.

Villefort rozpiął gwałtownie surdut, w którym się dusił, przesunął zsiniałą rękę po czole i wrócił do gabinetu.

Noc była zimna i pogodna. Wszyscy położyli się spać. Jeden tylko Villefort jak zwykle nie położył się o tej samej porze, co reszta domowników i pracował aż do piątej rano. Wertował ostatnie protokoły przesłuchań sporządzone przez sędziów śledczych, przeglądał zeznania świadków i cyzelował akt oskarżenia, jeden z najwymowniejszych i najzręczniejszych, jakie napisał w życiu.

Posiedzenie miało się odbyć w poniedziałek — nazajutrz rano.

Świt wstał blady i posępny; w szarawym blasku zajarzyły się litery skreślone czerwonym atramentem.

[1420] *margerytka* a. *margaretka* — jastrun właściwy, tj. gatunek rośliny o białych kwiatach. [przypis edytorski]

Prokurator zdrzemnął się na chwilę w momencie, gdy właśnie dogasała lampa; zbudziło go jej skwierczenie; spojrzał na swoje dłonie: palce miał lepkie i splamione czerwienią, jakby zbroczyła je krew.

Otwarł okno.

Daleko na niebie długa pomarańczowa smuga przecinała smukłe topole, których czarne kontury odcinały się na tle horyzontu.

Nad polem lucerny, za bramą i za kasztanami, wzbijał się w niebo skowronek wznosząc swój czysty poranny trel. Wilgotne powietrze poranka owiało twarz Villeforta i otrzeźwiło go.

— To dziś — rzekł z wysiłkiem — człowiek, który wzniesie miecz sprawiedliwości, musi uderzyć w winowajców, we wszystkich winowajców.

I mimowolnie spojrzał w okno, w którym widział go wczoraj. Zasłony były zaciągnięte. A przecież obraz ojca stał mu tak żywo przed oczyma, że zwrócił się w stronę tego zamkniętego okna, jakby widział w nim groźnego starca, i szepnął:

— Tak, bądź spokojny!

Spuścił głowę, przeszedł się tam i z powrotem po gabinecie, po czym rzucił się w ubraniu na kanapę, nie tyle, aby się przespać, ile raczej po to, by odprężyć ciało zesztywniałe ze zmęczenia i chłodu, który przeniknął go aż do szpiku kości.

Z wolna wszyscy zaczęli wstawać. Villefort słyszał te poszczególne odgłosy, które składają się w pewnym sensie na życie domu: skrzypiały drzwi, pani de Villefort dzwoniła na pokojówkę, rozległy się pierwsze radosne okrzyki Edwardka, który, jak to zwykle dzieci w tym wieku, budził się zawsze wesoły.

Zadzwonił i Villefort.

Wszedł lokaj, przynosząc gazety. Razem z gazetami przyniósł także filiżankę czekolady.

— Co to jest? — spytał Villefort.

— Czekolada.

— Przecież nie prosiłem o nią. Któż to raczył o mnie tak zadbać?

— Jaśnie pani. Mówiła, że jaśnie pan będzie zapewne dziś wygłaszał długie przemówienie w sprawie tego morderstwa i powinien nabrać sił.

I służący postawił pozłacaną filiżankę na stoliku przy kanapie, na którym leżał stos papierzysk — podobnie jak i na innych meblach w tym pokoju. Wyszedł.

Villefort patrzył przez chwilę ponuro na filiżankę, potem porwał ją gwałtownym ruchem i opróżnił jednym haustem. Chciało by się rzec: spodziewał się, że napój jest zatruty — i przyzywa śmierć, aby go uwolniła od obowiązku dużo cięższego niż sama śmierć. Podniósł się i jął przechadzać się po pokoju z uśmiechem, który napawałby strachem, gdyby ktokolwiek mógł go zobaczyć.

Czekolada nie była zatruta, nie wywarła na panu de Villeforcie żadnego skutku.

Nadeszła godzina śniadania, ale Villefort nie pojawił się przy stole.

Lokaj znowu przyszedł do gabinetu.

— Jaśnie pani kazała panu powiedzieć, że wybiła godzina jedenasta, a posiedzenie ma się rozpocząć o dwunastej.

— I co z tego? — rzekł Villefort.

— Jaśnie pani już się ubrała, jest gotowa do wyjścia i pyta, czy pojedzie razem z panem.

— Dokąd?

— Do sądu.

— A po co?

— Jaśnie pani bardzo życzy sobie być na tej rozprawie.

— A! — odezwał się Villefort głosem niemal przerażającym — ona sobie życzy!

Służący cofnął się i rzekł:

— Jeżeli jaśnie pan woli pojechać sam, zaraz to jaśnie pani oznajmię.

Villefort stał przez chwilę, nic nie mówiąc, zatapiając paznokcie w blady policzek, z którym kontrastował czarny jak heban zarost.

— Powiedz pani — odpowiedział wreszcie — że chcę z nią pomówić i proszę, aby czekała na mnie u siebie.

— Dobrze, jaśnie panie.

— Potem wrócisz tu ogolić mnie i ubrać.

— Wrócę natychmiast.

Lokaj wyszedł, po chwili wrócił, ogolił Villeforta i ubrał go w uroczystą czerń. A gdy skończył, rzekł:

— Jaśnie pani powiedziała, żeby jaśnie pan przyszedł do niej, jak tylko się pan ubierze.

— Już idę.

I Villefort, trzymając pod pachą akta, a w dłoni cylinder, udał się do apartamentów żony. Przy drzwiach przystanął i otarł chustką pot, który spływał mu z pobladłego czoła. Pchnął drzwi.

Pani de Villefort siedziała na otomanie, kartkując niecierpliwie dzienniki i broszury, które Edwardek wyrywał jej w zabawie z rąk i rozdzierał, nim matka skończyła czytać.

Była ubrana do wyjścia; kapelusz leżał na krześle; nałożyła już rękawiczki.

— O, jesteś — rzekła spokojnym, naturalnym głosem. — Ale Boże, jakiś ty blady! Znowu całą noc pracowałeś? Czemuż nie przyszedłeś do nas na śniadanie? I co, mam jechać z tobą czy osobno, z Edwardkiem?

Jak widzimy, pani de Villefort zadała naraz mnóstwo pytań, aby otrzymać choć jedną odpowiedź; ale pan de Villefort, zimny jak skała, pozostał na nie obojętny.

— Edwardku — odezwał się, rzucając dziecku rozkazujące spojrzenie — idź, pobaw się w salonie, chłopcze, muszę porozmawiać z mamą.

Wobec tego chłodu, tego stanowczego tonu, tego dziwnego wstępu, pani de Villefort mimowolnie zadrżała. Edwardek podniósł głowę i spojrzał na matkę; ale widząc, że nie potwierdza rozkazu ojca, zaczął na nowo obcinać główki ołowianym żołnierzykom.

— Edward, słyszałeś? — krzyknął pan de Villefort tak ostro, że chłopiec aż podskoczył na dywanie. — Masz wyjść!

Chłopiec, nienawykły do takiego traktowania, porwał się na nogi i zbladł; trudno powiedzieć czy z gniewu, czy ze strachu.

Ojciec podszedł do niego, objął i pocałował w czoło.

— Idź już, dziecko — rzekł — no, idź.

Edwardek wyszedł. Pan de Villefort zamknął za nim drzwi na zasuwkę.

— Boże, co się stało? — zawołała pani de Villefort, usiłując przeniknąć męża spojrzeniem; spróbowała się uśmiechnąć, ale chłód męża zmroził jej na ustach ten uśmiech.

— Gdzie trzymasz pani truciznę, której zwykle używasz? — wycedził powoli i wyraźnie Villefort, nie siląc się na żadne wstępy.

Pani de Villefort musiała poczuć się jak skowronek, gdy widzi, jak kania[1421] zacieśnia nad nim mordercze kręgi. Z piersi wyrwał się jej chrapliwy jęk, ni to westchnienie, ni to krzyk — twarz powlekła jej śmiertelna bladość.

— Mężu... ja... ja nie rozumiem cię.

Paroksyzm trwogi poderwał ją z otomany — i zaraz w drugim paroksyzmie, dużo silniejszym, osunęła się z powrotem.

— Pytałem — odezwał się Villefort całkowicie spokojnym głosem — gdzie trzymasz truciznę, którą zabiłaś moich teściów, Barrois i Valentine?

— Zastanów się, co ty mówisz?! — zawołała pani de Villefort składając ręce.

— Nie masz pytać, ale odpowiadać.

— Mężowi czy sędziemu? — wybełkotała pani de Villefort.

— Sędziemu, pani, sędziemu!

Był to widok przerażający — pobladłej kobiecie w oczach malowała się trwoga, a dygotała całym ciałem.

— Mężu... mężu... — wyszeptała; i to było wszystko.

— Nie odpowiadasz, pani! — krzyknął groźnym głosem Villefort.

I dodał z uśmiechem bardziej przerażającym niż jego gniew:

— Choć prawda, nie zaprzeczasz.

Pani de Villefort drgnęła.

— I nie mogłabyś zaprzeczyć — ciągnął, wyciągając rękę, jakby chciał ją pochwycić w imieniu sprawiedliwości. — Dokonałaś tych kilku zbrodni z bezwstydną zręcznością, ale mogłaś tym oszukać tylko ludzi, których zaślepiała miłość do ciebie. Od śmierci pani de Saint-Méran wiedziałem, że jest w moim domu truciciel, ostrzegł mnie d'Avrigny. Po

[1421] *kania* — duży ptak drapieżny z rodziny jastrzębiowatych. [przypis edytorski]

śmierci Barrois moje podejrzenia padły, niech mi to Bóg przebaczy, na anioła; bo podejrzliwość tkwi we mnie z natury. Ale po śmierci Valentine nie miałem już wątpliwości, i nie tylko ja. W tej chwili o twojej zbrodni wiedzą dwie osoby, ale wielu się domyśla i niebawem dowiedzą się o tym wszyscy. A jak to pani powiedziałem, mówi do ciebie nie mąż, ale sędzia!

Pani de Villefort zakryła twarz dłońmi.

— Mężu — jęknęła — błagam, nie wierz pozorom!

— Czyżbyś się bała? — zawołał Villefort z pogardą. — No tak, przekonałem się o tym niejednokrotnie, że truciciele są tchórzami. Czyżbyś była pani tchórzem, ty, która miałaś tyle ohydnej odwagi, aby patrzeć, jak umiera dwoje starców i młodziutka dziewczyna?

Trucizna, Zbrodniarz, Morderstwo, Tchórzostwo

— Mężu! O mój mężu!...

— Czyżbyś była tchórzem — ciągnął Villefort z rosnącym wzburzeniem — ty, która liczyłaś minuty, gdy konały twoje cztery ofiary? Ty, która wymyśliłaś ów piekielny plan i mieszałaś te swoje haniebne wywary z tak cudowną wprawą i dokładnością? Ty, która tak dobrze wszystko zaplanowałaś, czyżbyś zapomniała w swoich rachunkach o jednym — o tym, do czego może cię doprowadzić wykrycie twoich zbrodni? O nie, niemożliwe, musiałaś zachować sobie jakąś truciznę, łagodniejszą, delikatniejszą, a za to bardziej zabójczą, truciznę, dzięki której uniknęłabyś kary, która ci się należy... Zrobiłaś tak, a przynajmniej mam taką nadzieję?

Pani de Villefort załamała ręce i osunęła się na kolana.

— Wiem, wiem, przyznajesz się... Ale ten, kto przyznaje się dopiero sędziemu, kto przyznaje się w ostatniej chwili, gdy już nie można niczego się wyprzeć, w niczym nie może już umniejszyć kary, jaką mu wyznaczą!

— Kary? — zawołała pani de Villefort. — Kary? Już drugi raz wspominasz o karze!

— Naturalnie. Czy dlatego, że udało ci się popełnić zbrodnię cztery razy, sądziłaś, że unikniesz kary? A może sądziłaś, że jej unikniesz jako żona prokuratora? O nie, pani! Nie! Kimkolwiek byłaby trucicielka, czeka ją szafot, zwłaszcza jeśli, jak mówiłem, nie postarała się zachować dla siebie paru kropel swojej najpewniejszej trucizny.

Pani de Villefort krzyknęła dziko, a ohydna, niewstrzymywana już trwoga wykrzywiła jej rysy.

— Och, nie lękaj się pani szafotu — rzekł prokurator. — Nie chciałbym cię okryć taką hańbą, bo spadłaby ona i na mnie. Nie, przeciwnie, jeśli mnie zrozumiałaś, powinnaś się domyślić, że nie możesz zginąć na szafocie.

— Nie, nie zrozumiałam. O co ci chodzi, mężu? — wybełkotała nieszczęsna kobieta, całkowicie zdruzgotana.

— O to, że żona najwyższego stanowiskiem sądownika w stolicy nie splami nazwiska, które jest nieskazitelne, i nie okryje tym samym hańbą zarazem męża i dziecka.

— O nie, nie!...

— O, to będzie z twojej strony dobry uczynek, dziękuję ci.

— Dziękujesz mi? Za co?

— Za to, co właśnie powiedziałaś.

— A co ja powiedziałam? W głowie mi się miesza, nic już nie rozumiem, Boże, Boże!

I zerwała się — włosy miała rozrzucone w nieładzie, na usta wystąpiła jej piana.

— To była odpowiedź na pytanie, jakie ci zadałem na początku: gdzie jest trucizna, której zazwyczaj używasz?

Pani de Villefort wzniosła ręce ku niebu i załamała je konwulsyjnie.

— Nie, nie! — wrzasnęła. — Nie chcesz tego!

— Nie chcę, abyś zginęła na szafocie. Rozumiesz?

— Mężu, łaski!...

— Chcę, aby sprawiedliwości się stało zadość. Żyję po to, aby karać — dodał, patrząc płomiennym wzrokiem. — Każdą inną kobietę, choćby to była królowa, posłałbym w ręce kata; ale dla ciebie będę bardziej litościwy. Ciebie pytam: czyż nie zachowałaś choć kropelki trucizny łagodniejszej w działaniu, ale za to piorunującej i całkowicie pewnej?

— O przebacz mi, pozwól mi żyć! Pomyśl: jestem twoją żoną!

— Jesteś trucicielką!

— Zaklinam cię na boskie miłosierdzie!... Zaklinam cię w imię naszej miłości!...

— Nie! Nie!

— W imieniu naszego dziecka! Ach, daruj mi życie dla dziecka!

— Nie! Nie! Już powiedziałem. Gdybym ci darował życie, może byś zabiła pewnego dnia i nasze dziecko.

— Ja miałabym zabić mojego syneczka! — zawołała ta straszliwa matka, rzucając się na Villeforta. — Ja miałabym zabić Edwardka!... ha! ha! ha!

I okropny, szatański śmiech, śmiech obłąkanej zakończył te słowa, cichnąc w głuchym rzężeniu.

Pani de Villefort osunęła się na kolana.

Villefort podszedł do niej.

— Pamiętaj, pani — rzekł — że jeśli, gdy wrócę, sprawiedliwości nie stanie się zadość, ja sam panią oskarżę i osobiście zawiozę do więzienia.

Słuchała, dygocząc, przybita, pokonana; i tylko w jej oczach błyszczało życie, kryjąc straszliwy ogień.

— Słyszysz? Idę tam domagać się na zbrodniarzu kary śmierci... Jeżeli zastanę cię przy życiu, noc tę spędzisz już w Conciergerie.

Pani de Villefort westchnęła, opuściły ją nerwy i padła zdruzgotana na ziemię.

Prokuratora jakby tknęła litość, spojrzał na nią mniej surowo i ukłoniwszy się lekko, rzekł powoli:

— Żegnaj, pani, żegnaj.

Pożegnanie to podziałało na panią de Villefort jak cios śmiertelny.

Zemdlała.

Prokurator wyszedł, a wychodząc, zamknął drzwi na dwa spusty.

108. POSIEDZENIE SĄDU

Sprawa Benedetta — jak ją nazywano w sądzie i w salonach — wzbudziła niezmierną sensację. Fałszywy Cavalcanti, bywalec Café de Paris, spotykany często na bulwarze Gandawskim i w Lasku Bulońskim, przez tych kilka miesięcy pozawierał w wielkim świecie mnóstwo znajomości. Gazety roztrząsały jego karierę salonową i więzienną, sprawa budziła więc coraz większą ciekawość, zwłaszcza u ludzi, którzy osobiście zetknęli się z księciem Andreą Cavalcantim. I to zwłaszcza ci ostatni pragnęli za wszelką cenę obejrzeć imć Benedetta, zabójcę swojego kompana z galer.

Wielu uważało, że jeśli nawet Benedetto nie jest ofiarą, to przynajmniej sprawiedliwość pomyliła się co do niego; widziano przecież w Paryżu starszego pana Cavalcantiego i spodziewano się, że niebawem pojawi się znowu, aby bronić swojej znakomitej latorośli. Ci, którzy nie widzieli sławetnej czamarki, w której pan Cavalcanti objawił się hrabiemu Monte Christo, pozostawali pod wrażeniem godnej, szlachetnej postawy i towarzyskiego obycia starego patrycjusza.

A wracając do oskarżonego — wielu ludzi zapamiętało go jako miłego, pięknego i hojnego młodzieńca i wszyscy woleli przypuszczać, że padł ofiarą podłych machinacji ukrytych wrogów, jakich pełno zawsze w wielkim świecie. Wszyscy więc spieszyli na posiedzenie sądu przysięgłych, jedni, aby napatrzeć się widowisku, inni, aby je komentować. Już o siódmej rano przy bramie sądu powstała kolejka, a godzinę przed otwarciem posiedzenia sala była już pełna uprzywilejowanych widzów. W dzień wielkiego procesu, przed wejściem sędziów — a często nawet i później, sala sądowa przypomina jeden wielki salon, w którym spotykają się znajomi; gwarzą ze sobą, jeśli nie siedzą od siebie zbyt daleko — nie wstają, bo przecież mogliby stracić miejsce — lub dają sobie znaki, jeśli dzieli ich zbyt wielki tłum, składający się z pospólstwa, adwokatów i żandarmów.

Sąd, Obyczaje

Był to jeden z owych przepięknych jesiennych dni, które wynagradzają nam brzydkie lub zbyt krótkie lato. Chmury, które tego ranka zasłoniły panu de Villefortowi wschód słońca, rozproszyły się jak za dotknięciem różdżki i zajaśniał w całym swym czystym blasku, pogodny, jeden z ostatnich dni wrześniowych.

Beauchamp, jako jeden z królów prasy, miał i tutaj swój tron; właśnie rozglądał się bacznie na prawo i lewo. Szybko wypatrzył Château-Renauda i Debraya, którzy tylko co zdobyli łaski jednego z policjantów i przekonali go, aby umieścił się za nimi — choć z urzędu powinien stać między publicznością a sądem. Zacny policjant zwąchał, że rozmawia z sekretarzem ministra i milionerem. Okazał zatem swoim wybitnym sąsiadom

najwyższe względy i umożliwił im nawet wizytę u Beauchampa, obiecując, że popilnuje im miejsc.

— No — odezwał się Beauchamp — czyli przyszliśmy zobaczyć naszego przyjaciela?

— Boże! No tak, tak — odparł Debray — tego znakomitego księcia! Niech diabli wezmą tych włoskich książąt!

— A to przecież człowiek, któremu genealogię wypisywał sam Dante, jego korzenie sięgają do *Boskiej Komedii*!

— Szlachta stryczkowa — stwierdził flegmatycznie Château-Renaud.

— Skażą go, co? — zapytał Debray Beauchampa.

— E, mój kochany — odparł dziennikarz — to chyba ciebie powinniśmy o to pytać, to ty się znasz najlepiej na tym, co w sądzie piszczy. Czy aby nie widziałeś się z przewodniczącym sądu na ostatnim obiadku u ministra?

— No tak.

— I co ci mówił?

— Jak powiem, to się zdziwicie.

— E, no to mówże prędzej, mój drogi, już dawno mi nikt czegoś takiego nie powiedział.

— Powiedział, że Benedetto, którego uważają za arcymistrza podstępu, jest bardzo podrzędnym łotrzykiem, niezbyt inteligentnym. Nie jest godzien tych badań, które frenolodzy[1422] po jego śmierci będą wyprawiać nad jego czaszką.

— E — rzekł Beauchamp — nie najgorzej odgrywał rolę księcia.

— Może dla ciebie, Beauchamp, bo nie cierpisz tych nieszczęśliwych książąt, zdaje ci się, że zazwyczaj mają nieszczególne maniery i jesteś zachwycony, ilekroć uda ci się to zauważyć. Ale mnie to nie zwiedzie, bo ja zwęszę szlachcica na milę.

— To nigdy nie wierzyłeś w jego książęcą mitrę[1423]?

— Mitrę mógł mieć... Ale księstwa nie.

— Nieźle powiedziane — uśmiechnął się Debray. — Ale zapewniam cię, że dla wszystkich innych mógł uchodzić za arystokratę... Widywałem go na przyjęciach u ministrów.

— No tak — odparł Château-Renaud — bo ci twoi ministrowie właśnie tak się znają na książętach!

— O, to dobre — parsknął śmiechem Beauchamp. — Zdanko krótkie, ale dobre. Mogę tego użyć w mojej kronice?

— Ależ proszę, mój drogi Beauchampie, bierz, ceny nie będę podwyższał — odrzekł Château-Renaud.

— Ale jeżeli ja — zwrócił się Debray do Beauchampa — rozmawiałem z przewodniczącym, to tobie na pewno udało się pogadać z prokuratorem?

— To nie było możliwe. Pan de Villefort od tygodnia siedzi zamknięty w domu; nic bardziej zrozumiałego: taki ciąg zmartwień, a szczytem wszystkiego była ta dziwna śmierć jego córki...

— Dziwna? Co ty opowiadasz! — wtrącił się Château-Renaud.

— No tak, udawaj, że nic nie wiesz, tylko dlatego, że to wszystko stało się szlachcie urzędniczej — odparł Beauchamp, wtykając sobie monokl w oko i starając się go utrzymać.

— Szanowny pan pozwoli sobie powiedzieć — rzekł Château-Renaud — że w walce na monokle nie wytrzyma z Debrayem. Debray, dajże lekcję panu Beauchampowi.

— Chwileczkę — odezwał się Beauchamp. — Ale nie, nie mylę...

— No co?

— To ona.

— Co za ona?

— A mówiono, że wyjechała.

— Panna Eugenia? — zapytał Château-Renaud. — Czyżby wróciła?

— Nie panna Eugenia, ale jej matka.

— Pani Danglars?

[1422] *frenolog* — specjalista od frenologii, tj. pseudonauki poszukującej związku między budową mózgu i czaszki a zdolnościami i charakterem człowieka. [przypis edytorski]

[1423] *mitra* — tu: korona. [przypis edytorski]

— E, to niemożliwe — obruszył się Château-Renaud. — W dziesięć dni po ucieczce córki, trzy dni po bankructwie męża?

Debray zarumienił się lekko i spojrzał tam, gdzie i Beauchamp.

— E, dajże spokój — rzekł. — Jest zawoalowana, to jakaś nieznajoma dama, cudzoziemska księżna, może matka Cavalcantiego. Ale, ale, Beauchamp, mówiłeś, a raczej zaczynałeś mówić coś bardzo ciekawego.

— Ja?

— No tak, mówiłeś coś o dziwnej śmierci panny Valentine.

— A tak, racja. Ale dlaczego nie ma tu pani de Villefort?

— Kochana kobiecina! — rzekł Debray. — Na pewno destyluje melisę dla szpitali albo preparuje jakieś kosmetyki dla siebie i dla przyjaciółek. Wiecie, że ona na tę zabawę wydaje do trzech tysięcy dukatów rocznie? Tak przynajmniej słyszałem. Ale masz rację, czemu nie ma tu pani de Villefort? Spotkałbym się z nią z dużą radością, bardzo lubię tę kobietę.

— A ja nie — rzekł Château-Renaud. — Nie znoszę jej.

— A to czemu?

— Sam nie wiem. Czuję do niej antypatię i już.

— Albo nie znosisz jej instynktownie, jak zwykle.

— Może... Ale wróćmy do tego, co mówił Beauchamp.

— A więc — zaczął Beauchamp — nie ciekawi was, dlaczego u Villefortów pada się takim pokotem[1424]?

— Pokotem, hmm... Ładne — zauważył Château-Renaud.

— Mój drogi, zdanko to znaleźć można u Saint-Simona[1425].

— A śmierć u państwa de Villefortów, wróćmy do rzeczy.

— Do licha, przyznam się — oznajmił Debray — że z oczu nie tracę tego domu, od trzech miesięcy okrytego żałobą... A nawet przedwczoraj rozmawiałem o śmierci Valentine z panią.

— Co znowu za pani? — zapytał Château-Renaud.

— Do diabła, przecież że ministrowa!

— A, przepraszam. Nie bywam u ministrów, zostawiam ten zaszczyt książętom.

— Baronie, promieniowałeś pięknem, a teraz zaczynasz nas razić gromami jak Jowisz! Ulituj się!

— Już nic nie powiem, ale ulituj się i ty, do diabła, i przestań mi replikować!

— No, Beauchamp, skończmy wreszcie mówić o tym, o czym zaczęliśmy. Powiedziałem, że ministrowa prosiła mnie przedwczoraj o jakieś informacje w tej kwestii. Poinformujcie mnie, a ja poinformuję ją.

— A więc, moi panowie, jeżeli ginie się u państwa de Villefortów takim pokotem, to znaczy, że w domu jest jakiś morderca!

Debray i Château-Renaud wzdrygnęli się, nieraz bowiem to samo przychodziło im do głowy.

— A kto miałby nim być? — zapytali jednocześnie.

— Mały Edwardek.

Słuchacze parsknęli śmiechem, ale mówcy bynajmniej nie zbiło to z tropu:

— Tak, moi panowie, Edwardek, nadzwyczajne dziecię, które zabija już jak stary.

— Żartujesz sobie?

— E, skąd. Wczoraj zaangażowałem lokaja, który zrezygnował z pracy u Villefortów, słuchajcie uważnie.

— Słuchamy, słuchamy.

— A zresztą jutro go odprawię, bo żarłok z niego, u Villefortów ze strachu prawie nic nie jadł i teraz to sobie odbija. Otóż ów kochany chłopczyk zawładnął podobno flakonem trucizny i od czasu do czasu sięga po niego, żeby sobie użyć na ludziach, których nie lubi. Najpierw nie spodobali mu się dziadziusiowie de Saint-Méranowie — potraktował ich trzema kroplami swojej mikstury; trzy krople wystarczą; kolej na poczciwego Barrois; stary sługa dziadunia Noirtiera gderał czasem na milutkiego urwisa, którego przecież

[1424] *pokotem* — jedno obok drugiego, razem. [przypis edytorski]

[1425] *Saint-Simon, Henri de* (1760–1825) — fr. pisarz i filozof, socjalista utopijny. [przypis edytorski]

znacie. I milutki urwis wlał mu trzy kropelki mikstury. Tak samo było z tą biedną Valentine — nie gderała, ale był o nią zazdrosny; zaaplikował jej trzy kropelki — i koniec bajki.

— Do licha, co ty nam tu opowiadasz? — zapytał Château-Renaud.

— Prawda, że opowieść nie z tego świata? — zapytał Beauchamp.

— Ależ to absurd — rzekł Debray.

— O, znowu jakieś wymijające odpowiedzi! — obruszył się Beauchamp. — Do diabła, zapytajcie mojego lokaja, a raczej człowieka, który od jutra już nim nie będzie. Wszyscy w tym domu tak mówili.

— Ale co to za mikstura, gdzież ona?

— Diabli wiedzą! Dzieciak chowa ją dobrze.

— Ale skąd ją wziął?

— Z laboratorium swojej mamci.

— To mama miała w laboratorium trucizny?

— Skąd mogę wiedzieć? Zadajesz mi takie pytania, jakbyś był prokuratorem. Powtarzam to, co słyszałem, to wszystko. Podaję ci mojego informatora, więcej zrobić nie mogę. Biedaczek ze strachu już nie mógł jeść.

— Mój drogi, założę się, że nie wierzysz w ani jedno swoje słowo — rzekł Château-Renaud. — Ale nie widzę też hrabiego de Monte Christo. Czemu go nie ma?

— Nudzi go to już — odparł Debray — a poza tym nie będzie się tu przecież pokazywał, w końcu i jego obaj Cavalcanti zrobili w konia. Przedstawili mu fałszywe listy kredytowe — weksle te były na hipotekę księstwa, a opiewały na jakieś sto tysięcy franków.

— O, baronie — zapytał Beauchamp — a jak się miewa pan Morrel?

— Do licha, byłem u niego już trzy razy: ani śladu. Tymczasem jego siostra wcale nie była zaniepokojona, oznajmiła mi z całkowitym spokojem, że nie widziała go od paru dni, ale jest święcie przekonana, że nic złego mu się nie stało.

— O, już wiem! — zawołał Beauchamp. — Hrabia de Monte Christo nie może się tu zjawić.

— A czemuż to?

— Bo jest aktorem w tym dramacie.

— Też kogoś zamordował? — zagadnął Debray.

— Ale gdzie tam, przeciwnie, to jego chciano zamordować. Wiecie przecież, że poczciwy imć Caderousse został zamordowany przez Benedetta w chwili, gdy wychodził z domu hrabiego. Wiecie, że to u hrabiego znaleziono tę sławetną kamizelkę z listem, który przeszkodził w podpisaniu intercyzy. Widzicie? Kamizelka leży, o tam, na stole, cała zakrwawiona. To dowód rzeczowy.

— A, rzeczywiście.

— Cicho, panowie, sąd nadchodzi. Każdy na swoje miejsce!

109. AKT OSKARŻENIA

Sędziowie zajęli miejsca wśród głębokiej ciszy. Zasiedli przysięgli.

Pan de Villefort — będący przedmiotem ogólnego zainteresowania, a można nawet powiedzieć, że ogólnego podziwu — usiadł w birecie[1426] w swoim fotelu, rozglądając się wokół spokojnie. Wszyscy patrzyli ze zdziwieniem na tę twarz, poważną i surową: dramat, który przeżywał jako ojciec, nie pozostawił na jego niewzruszonym obliczu żadnych śladów. Widok tego człowieka, obcego jakimkolwiek ludzkim uczuciom, budził grozę.

— Żandarmi — rzekł przewodniczący — wprowadzić oskarżonego.

Na te słowa wszyscy natężyli uwagę i utkwili wzrok w drzwiach, przez które miał wejść Benedetto.

Zbrodniarz

Wkrótce drzwi się otwarły i pojawił się oskarżony. Wywarł na wszystkich jednakowe wrażenie, nikt nie pomylił się co do wyrazu jego fizjonomii.

[1426] *biret* — kwadratowa lub okrągła czapka bez daszka będąca częścią oficjalnego stroju senatu akademickiego, profesury, przedstawicieli sądownictwa, czy duchownych. [przypis edytorski]

Na jego twarzy nie było śladu owego głębokiego wzruszenia, które sprawia, że krew spływa do serca, a twarz powleka się bladością. Nie drżały bynajmniej jego ręce; w jednej trzymał z gracją cylinder, drugą założył wdzięcznie za białą pikową kamizelką. Oczy spoglądały spokojnie, a nawet żywo. Gdy tylko znalazł się w sali, przebiegł szybko wzrokiem szeregi sędziów i przysięgłych, zatrzymując dłużej spojrzenie na przewodniczącym i zwłaszcza na prokuratorze. Przy Andrei usiadł jego adwokat — adwokat z urzędu, Andrea bowiem nie chciał się zajmować takimi szczegółami, nie przywiązując do nich, jak się zdawało, żadnego znaczenia. Był to człowiek młody, o jasnych, szarawych włosach; czerwienił się, okazując dużo wyraźniejsze objawy emocji niż oskarżony.

Przewodniczący nakazał odczytać akt oskarżenia, zredagowany, jak wiemy, zręcznym i nieubłaganym piórem pana de Villeforta. Publiczność nie spuszczała Andrei z oczu podczas tego długiego czytania, które przytłoczyłoby każdego innego oskarżonego — Andrea jednak zniósł je z iście spartańską pogodą ducha.

Nigdy jeszcze Villefort nie był tak zwięzły i tak elokwentny zarazem. Przedstawił zbrodnię w najżywszych barwach; opisał przeszłość oskarżonego, kolejne jego wcielenia i cały logiczny łańcuch postępków Andrei od najmłodszych jego lat; a uczynił to z talentem, wspartym o znajomość życia i serca ludzkiego; o tak, prokurator królewski posiadał umysł niepospolity.

Sama ta wstępna przemowa pogrążyła Benedetta na zawsze w oczach opinii publicznej — nim jeszcze sąd zdążył zadekretować bardziej materialną karę. Andrea nie zwracał najmniejszej uwagi na coraz to nowe oskarżenia, które na niego spadały.

Pan de Villefort spoglądał na niego często — zapewne i na nim prowadził swoje studia psychologiczne, którym poddawał wszystkich oskarżonych — ale Andrea ani razu nie spuścił oczu w zetknięciu z jego przenikliwym, bacznym spojrzeniem.

Ukończono lekturę aktu oskarżenia.

— Nazwisko i imię oskarżonego? — rzekł przewodniczący.

Andrea wstał.

— Pan przewodniczący wybaczy — rzekł głosem dźwięcznym i czystym — ale widzę, że porządek pytań jest taki, że nie mogę się na niego zgodzić. Pragnę oznajmić, że sam później uzasadnię, dlaczego stanowię wyjątek wśród zwykłych oskarżonych. Proszę, aby raczył pan pozwolić mi odpowiadać na pytania w innym porządku; i tak odpowiem na wszystkie.

Przewodniczący spojrzał ze zdumieniem na przysięgłych, a oni spojrzeli na prokuratora. Publiczność objawiła nie mniejsze zdumienie. Andrea jednak nie zdawał się tym bynajmniej wzruszony.

— Ile oskarżony ma lat? — spytał przewodniczący. — Na to pytanie oskarżony odpowie?

— Odpowiem, panie przewodniczący, podobnie jak i na inne, ale każde w swoim czasie.

— Ile oskarżony ma lat? — powtórzył przewodniczący.

— Dwadzieścia jeden, a raczej skończę dwadzieścia jeden lat za kilka dni, bo urodziłem się w nocy z 27 na 28 września 1817 roku.

Pan de Villefort, który właśnie robił notatki, nagle podniósł głowę.

— Gdzie oskarżony się urodził? — zapytał przewodniczący.

— W Auteuil, pod Paryżem — oznajmił Benedetto.

Pan de Villefort po raz drugi podniósł głowę, spojrzał na Benedetta tak, jakby ujrzał głowę Meduzy, i pobladł śmiertelnie. Benedetto zaś podniósł z wdziękiem do ust róg haftowanej batystowej chusteczki.

— Zawód oskarżonego? — zapytał przewodniczący.

— Najpierw byłem fałszerzem — rzekł Andrea najspokojniej w świecie — potem trudniłem się kradzieżą, a ostatnio mordem.

Na sali rozbrzmiał szmer, a raczej pełna oburzenia wrzawa. Sędziowie spoglądali po sobie w osłupieniu, przysięgli głośno manifestowali swoją odrazę wobec takiego cynizmu, którego nikt nie spodziewał się po tym elegancie.

Pan de Villefort wbił sobie palce w czoło; twarz mu poczerwieniała; nagle zerwał się i rozejrzał się błędnie wokół. Nie mógł złapać tchu.

— Czy pan prokurator szuka czegoś? — zapytał ze swoim najuprzejmiejszym uśmiechem Benedetto.

Pan de Villefort nic nie odrzekł; z powrotem usiadł albo raczej osunął się na fotel.

— Czy teraz oskarżony zechce podać swoje nazwisko? — spytał przewodniczący. — Bezczelna dobitność, z jaką oskarżony wymienił swoje zbrodnie, które nazywa zawodem, ów rodzaj dumy, z jaką oskarżony o nich mówi, to obraza moralności. Sąd winien za to surowo oskarżonego upomnieć. Może to dlatego oskarżony zwleka z wymienieniem swojego nazwiska? Chce oskarżony, by jego nazwisko zabrzmiało z całą mocą po tych wszystkich godnościach?

— To nie do wiary — rzekł Benedetto głosem jak najuprzejmiejszym i kłaniając się z wdziękiem — nie do wiary, jak znakomicie pan przewodniczący czyta w mojej duszy. Istotnie, to właśnie dlatego prosiłem pana, abyś zmienił porządek pytań.

Osłupienie sięgnęło szczytu. W słowach oskarżonego nie było już ani fanfaronady[1427] ani cynizmu. Poruszone audytorium przeczuwało, że w tych czarnych chmurach czai się grom.

— A zatem, jak się oskarżony nazywa? — spytał przewodniczący.

— Nie mogę wyjawić panu mojego nazwiska, ponieważ sam go nie znam. Ale znam nazwisko mojego ojca i mogę je panu powiedzieć.

Nagły ból ścisnął Villefortowi skronie, zaćmiło mu się w oczach; krople potu spływały mu z twarzy na akta, w które wpijał drżącą konwulsyjnie rękę.

— Niech więc oskarżony powie, kim jest jego ojciec — odezwał się przewodniczący.

Najmniejszy szelest, najlżejszy oddech nie przerywał ciszy na sali: wszyscy zamarli w oczekiwaniu.

— Mój ojciec jest prokuratorem królewskim — odparł spokojnie Andrea.

— Prokuratorem królewskim! — zdumiał się przewodniczący, nie spostrzegając, jak zmieniła się twarz Villefortowi. — Prokuratorem królewskim!

— Tak, a skoro pan przewodniczący chce znać jego nazwisko, oto i ono: mój ojciec nazywa się de Villefort.

Publiczność wybuchła. Krzyczeli wszyscy, nie zważając już na szacunek wobec sprawiedliwości, jaki należy objawiać na posiedzeniach sądu; i nawet sędziowie nie próbowali uciszyć tego zgiełku. Przekleństwa, obelgi, obraźliwe gesty pod adresem Benedetta, miotanie się żandarmów i szyderstwa motłochu, owej części tłumu, która zawsze wypływa na wierzch podczas zamieszania lub skandalu — wszystko to trwało całe pięć minut, nim sędziowie i woźni zdołali przywrócić ciszę.

Wśród hałasu przebijał się głos przewodniczącego:

— Oskarżony naigrawa się ze sprawiedliwości! Oskarżony ośmiela się dać współobywatelom pokaz takiego zepsucia, że nie zdarzyło się coś takiego w naszych czasach! Choć przecież i tak pozostawiają one dużo do życzenia!

Wokół prokuratora, który garbił się zdruzgotany w fotelu, kłębiło się kilkanaście osób i pocieszało go, podtrzymywało na duchu, zapewniało o swojej przyjaźni i sympatii.

Na sali zapanował wreszcie spokój, z wyjątkiem jednego miejsca — tam ciągle jeszcze krzątano się i szeptano. Podobno zemdlała tam jakaś kobieta; podano jej sole trzeźwiące i zaraz odzyskała przytomność.

Andrea patrzył z uśmiechem na kotłującą się salę; a potem, opierając się ręką o dębową balustradę, przybrał jedną ze swoich najwdzięczniejszych póz i rzekł:

— Drodzy państwo, Bóg mi świadkiem, że nie zamierzałem znieważać sądu i doprowadzać do niepotrzebnego skandalu w obecności tak szanownej publiczności. Zapytano mnie, ile mam lat — odpowiedziałem. Zapytano, gdziem się urodził — odpowiedziałem; zapytano, jak się nazywam — nie mogłem odpowiedzieć, ponieważ rodzice mnie porzucili. Ale nie podając mojego nazwiska, bo go nie znam, mogę wymienić nazwisko mojego ojca. Powtarzam więc jeszcze raz: mój ojciec to pan de Villefort i jestem gotów tego dowieść.

W głosie młodzieńca brzmiała taka pewność i energia, że gwar uciszył się już ostatecznie. Wszystkie spojrzenia przeniosły się na prokuratora — siedział bez ruchu, jakby śmiertelnie rażony gromem.

[1427] *fanfaronada* — chełpliwość, przechwalanie się. [przypis edytorski]

— Moi państwo — ciągnął Andrea — winienem złożyć dowody i wyjaśnienie.

— Ależ — zawołał rozgniewany przewodniczący — powiedziałeś pan podczas przesłuchania, że nazywasz się Benedetto, żeś sierota i że wychowałeś się na Korsyce!

— Podczas przesłuchania powiedziałem to, co uznawałem dla siebie za wygodne, nie chciałem bowiem, aby osłabiło to wydźwięk mojego wyznania lub aby mi je udaremniono — pragnę bowiem nadać temu, co powiem, duży rozgłos. Powtarzam więc: urodziłem się w Auteuil, w nocy z 27 na 28 września 1817 roku i jestem synem pana de Villeforta, prokuratora królewskiego. Chcecie państwo szczegółów? Proszę bardzo. Urodziłem się na pierwszym piętrze w domu pod nr 28 przy ulicy de la Fontaine, w pokoju obitym czerwonym adamaszkiem. Ojciec wziął mnie na ręce, oświadczył matce, że nie żyję, owinął w pieluszkę oznaczoną inicjałami H. N., zaniósł do ogrodu i tam żywego zakopał.

Publiczność poruszyła się niespokojnie, widząc, jak wzrasta pewność w głosie oskarżonego i jak rośnie przerażenie pana de Villeforta.

— Skądże pan zna te wszystkie szczegóły? — zapytał przewodniczący.

— Już mówię, panie przewodniczący. Do ogrodu, w którym miał zakopać mnie ojciec, zakradł się tej samej nocy człowiek, który żywił do niego śmiertelną nienawiść. Czatował na niego od dawna, aby dokonać na nim korsykańskiej zemsty. Ukrył się w kępie drzew. Widział, jak mój ojciec zakopuje w ziemi kuferek — i ugodził go nożem. Sądząc, że w kuferku jest jakiś skarb, rozkopał mogiłę i znalazł mnie — jeszcze żyłem. Oddał mnie do domu podrzutków; zapisano mnie tam pod numerem trzydzieści siedem. Trzy miesiące później jego siostra przyjechała po mnie z Rogliano do Paryża. Oświadczyła, że jestem jej synem i zabrała ze sobą. Oto dlaczego, chociaż urodziłem się w Auteuil, wychowałem się na Korsyce.

Nastała cisza, cisza tak głęboka, że sala mogłaby wydawać się pusta — gdyby nie słychać było oddechów, które przyspieszał niepokój.

— Mów pan dalej — rzekł przewodniczący.

— Mogłem na pewno żyć szczęśliwie u tych zacnych ludzi, bo mnie kochali nadzwyczaj. Ale moja przewrotna natura zawsze brała górę nad cnotami, jakie chciała mi przekazać moja przybrana matka. Wyrosłem zły i dotarłem aż do zbrodni. Pewnego dnia, gdy złorzeczyłem Bogu, że mnie uczynił tak złym i wyznaczył mi tak ohydny los, przyszedł do mnie mój adopcyjny ojciec i rzekł: „Nie bluźnij, nieszczęsny! Bóg nie stworzył cię złym. To ojciec uczynił cię złym, to on popełnił zbrodnię: skazywał cię na piekło, gdybyś wtedy umarł, a na nędzę, gdybyś jakimś cudem ocalał!".

Od tej chwili przestałem złorzeczyć Bogu, a zacząłem przeklinać ojca. Stąd wzięło się to, co powiedziałem, a za co zganił mnie pan przewodniczący. Oto dlaczego wywołałem wzburzenie publiczności. Jeżeli to jedna moja zbrodnia więcej, ukarzcie mnie; ale jeżelim was przekonał, że od chwili mych narodzin mój los był nieszczęsny, gorzki, godzien pożałowania, ulitujcie się nade mną!

— A pańska matka?... — zapytał przewodniczący.

— Matka myślała, że urodziłem się martwy, nie ma w tym żadnej jej winy. Nie chciałem znać nazwiska matki; nie znam jej.

W tejże chwili ktoś krzyknął przeraźliwie, a krzyk ten zakończył się w szlochu.

Kobieta, która wcześniej zemdlała, dostała silnego ataku nerwowego, upadła i wyniesiono ją z sali. Gdy ją wynoszono, zsunął się gęsty woal zasłaniający jej twarz i rozpoznano panią Danglars. Villefortowi huczało w uszach; był oszołomiony, bliski utraty zmysłów — poznał ją jednak natychmiast i zerwał się.

— Ale dowody? Dowody? — pytał przewodniczący. — Niech oskarżony pamięta, że ten splot okropności musi zostać poparty oczywistymi dowodami.

— Dowody? — roześmiał się Benedetto. — Dowodów pan chce? No to niech pan spojrzy na pana de Villeforta, a potem dopiero żądaj ode mnie dowodów.

Wszyscy zwrócili wzrok na prokuratora — a on, pod ciężarem tych spojrzeń chwiejnie zbliżył się do balustrady. Włosy miał w nieładzie, twarz szpeciły mu czerwone ślady po paznokciach.

Przez salę przebiegł szmer zdziwienia.

— Ojcze, żądają ode mnie dowodów — rzekł Benedetto. — Mam je przedstawić?

— Nie, nie! — wykrztusił pan de Villefort. — Nie trzeba.

— Jak to, nie trzeba? — zawołał przewodniczący. — Ale co to ma znaczyć?

— To znaczy — zawołał prokurator — że na próżno miotałbym się w śmiertelnym uścisku, który mnie miażdży. Jestem w ręku Boga zemsty. Nie trzeba dowodów. To, co oświadczył ten młodzieniec, jest prawdą.

Nastała głucha, ponura cisza, cisza, jaka poprzedza katastrofę; ludziom na sali ze zgrozy zjeżyły się włosy.

— Panie prokuratorze! — zawołał przewodniczący. — Czy pan nie ma aby halucynacji? Chyba odchodzi pan od zmysłów? To zrozumiałe, że tak dziwaczne, niespodziane, straszne oskarżenie mogło panu pomieszać w głowie. No, niechże pan się pozbiera!

Prokurator potrząsnął głową. Szczękał zębami, jakby trawiła go gorączka, ale jego twarz była śmiertelnie blada.

— Panie przewodniczący, jestem przy zdrowych zmysłach — rzekł. — Cierpię tylko, co można łatwo pojąć. Przyznaję się do winy: wszystko, co ten młody człowiek przed chwilą powiedział, jest prawdą. Udaję się do siebie i stawiam się do dyspozycji prokuratora królewskiego, mojego następcy.

Wyrzekłszy te słowa głosem głuchym i zdławionym, pan de Villefort chwiejnym krokiem skierował się ku drzwiom, które woźny machinalnie przed nim otworzył.

Cała sala zamarła w osłupieniu: owo podwójne wyznanie stanowiło straszliwe zakończenie wypadków, które od dwóch tygodni nie przestawały budzić komentarzy wśród paryskiej śmietanki towarzyskiej.

— No cóż — rzekł Beauchamp — niech no mi teraz kto powie, że najstraszniejsze dramaty nie zdarzają się w życiu?

— Do diabła — odezwał się Château-Renaud — wolałbym już skończyć tak, jak pan de Morcerf; strzał z pistoletu wydaje się zupełnie milutki wobec takiej katastrofy.

— Zwłaszcza że zabija — dodał Beauchamp.

— I ja miałem przez chwilę chętkę, aby ożenić się z jego córką! — wzdrygnął się Debray. — Boże, dobrze biedaczka zrobiła, że umarła.

— Posiedzenie skończone — oznajmił przewodniczący. — Sprawa odroczona zostaje do następnej sesji. Śledztwo będzie wznowione i powierzone innemu prokuratorowi.

Andrea, okazując wciąż taki sam spokój, a budząc teraz jeszcze większe zaciekawienie publiczności, opuścił salę, eskortowany przez żandarmów, którzy mimo woli okazywali mu teraz pewne względy.

IIO. POKUTA

Tłum, choć zwarty, rozstępował się szybko przed panem de Villefortem.

Wielkie cierpienie budzi tyle szacunku, że nawet w najsmutniejszych czasach pierwszym odruchem tłumu wobec tych, których spotyka nieszczęście, jest zawsze współczucie. Podczas rozruchów ginie wielu ludzi znienawidzonych, ale nawet gdyby rzeczywiście byli zbrodniarzami, tłum rzadko znieważa tych nieszczęsnych ludzi.

Villefort przebił się przez szeregi widzów, straży i woźnych i oddalił się, bo choć sam przyznał się do winy, chroniło go nieszczęście.

Są sytuacje, które człowiek uchwytuje instynktem, nie mogąc ich ogarnąć rozumem; wówczas największym poetą staje się ten, którego krzyk będzie najnaturalniejszy i najgwałtowniejszy. Tłum czyta w tym głosie całą opowieść — i ma rację, że się tym zadowala, a jeszcze bardziej ma rację, gdy uważa go za wzniosły, kiedy jest szczery.

A zresztą, trudno byłoby oddać osłupienie, w jakim Villefort opuszczał Pałac Sprawiedliwości, lub też odmalować cierpienie, jakie przeszywało nieznośnie całe jego ciało.

Powlókł się korytarzami, nie patrząc na drogę; prowadziło go tylko przyzwyczajenie. Zrzucił togę, nie dlatego, że mu tak wypadało — dlatego, że ciążyła mu tylko zbytecznie na ramionach i parzyła niczym koszula Dejaniry[1428].

Chwiejnym krokiem dotarł na dziedziniec Dauphine, gdzie stał jego powóz. Otwierając drzwiczki, obudził stangreta; rzucił się na poduszki, wskazując ręką kierunek: Przedmieście Saint-Honoré.

[1428] *koszula Dejaniry* — Dejanira podarowała Herkulesowi koszulę nasączoną krwią centaura Nessosa, bo ten przekonał ją, że w ten sposób zapewni sobie wierność męża. Krew ta jednak okazała się trucizną, która sprawiła, że szata przywarła do ciała Herkulesa i spaliła go żywcem. „Koszula Dejaniry" to synonim nieznośnego, zabójczego cierpienia, które więzi ofiarę w swej mocy i od którego nie ma ucieczki. [przypis edytorski]

Powóz ruszył.

Znów przygniótł go ciężar katastrofy, jaka go spotkała; ten ciężar przytłaczał mu myśli, nie był zdolny nawet zastanowić się nad konsekwencjami tej katastrofy. Przeczuwał je tylko, ale nie odwoływał się do kodeksu, który tak dobrze znał, nie obliczał — jak wyrachowany zbrodniarz — jaka spotka go kara.

W sercu miał Boga.

— Bóg! — szeptał, sam nie wiedząc, co mówi. — Bóg! Bóg!

Zdawało mu się, że za tą katastrofą stał jedynie Bóg.

Powóz pędził szybko. Villefort, podskakując na poduszkach, poczuł, że coś go uwiera. Sięgnął po ów przedmiot: był to wachlarz, którego pani de Villefort zapomniała w powozie; wsunął się między poduszki a oparcie. Wachlarz ten obudził w nim wspomnienie, a wspomnienie to zabłysło jak płomień w czarną noc.

Villefort pomyślał o żonie...

— Ooo! — wykrzyknął, jakby rozpalone żelazo przeszyło mu serce.

Od godziny widział tylko jedną stronę swojego nieszczęścia, a teraz ukazała mu się druga — nie mniej straszliwa. Zachował się przed tą kobietą jak nieubłagany sędzia, skazał ją na śmierć. A ona teraz, w przerażeniu, nękana wyrzutami sumienia, przygnieciona wstydem, który u niej wywołał, podkreślając swoją nieskazitelność, ona, biedna, słaba kobieta, bezbronna wobec jego absolutnej, bezwzględnej władzy, szykuje się może teraz na śmierć!

Od wyroku skazującego upłynęła już godzina.

Przed oczyma stają jej teraz wszystkie zbrodnie, błaga Boga o miłosierdzie, pisze list, aby wyprosić w pokorze przebaczenie swojego cnotliwego małżonka, przebaczenie, za które zapłaci śmiercią.

Villefort jęknął z bólu i wściekłości.

— Ach! — zawołał, miotając się po atłasowych poduszkach powozu — ta kobieta stała się zbrodniarką tylko dlatego, że zetknęła się ze mną. Ja ociekam zbrodnią! A ona zaraziła się nią, jak zarażamy się tyfusem, cholerą czy dżumą — i ja ją karzę! Ja ośmieliłem się jej powiedzieć: „Bij się w piersi i umieraj"... O nie, nie! Ona będzie żyła... wyjedzie ze mną... uciekniemy stąd, opuścimy Francję, pójdziemy w świat, gdzie nas oczy poniosą. Ja jej mówiłem o szafocie!... Wielki Boże! Jak mi to przeszło przez usta?... Toć i mnie czeka szafot!... Uciekniemy... Tak, wyznam jej wszystko; tak, co dzień będę mówić jej z pokorą: ja też popełniłem zbrodnię... O, to małżeństwo tygrysa z wężem! Godna żona takiego męża, jak ja! Ona musi żyć, moja hańba przyćmi jej własną!

Villefort opuścił gwałtownie przednią szybę powozu.

— Prędzej! Prędzej! — wrzasnął takim głosem, że stangret aż podskoczył na koźle.

Spłoszone konie puściły się galopem.

— Tak! — powtarzał sobie Villefort, w miarę jak zbliżali się do domu — tak, ona musi żyć, będzie pokutowała i wychowywała syna; biedne dziecko! Tylko ono i ten niezniszczalny starzec przetrwali tę klęskę naszej rodziny. Kochała je, to dla niego popełniła tyle zbrodni. Nigdy nie można raz na zawsze położyć kreski na matce, która kocha swoje dziecko. Będzie pokutować, nikt się nie dowie, że jest winowajczynią. Ludzie mówią już o tych zbrodniach u nas, ale z czasem zapomną... A jeżeli przypomną sobie o nich moi wrogowie, wezmę je na siebie. Jedna więcej, jedna mniej — nie ma znaczenia. Żona ucieknie, zabierze złoto, a przede wszystkim Edwardka — daleko od przepaści, w którą runę, a zdaje mi się, że wraz ze mną i cały świat. Będzie żyła, będzie jeszcze szczęśliwa, bo cała jej miłość koncentruje się w tym dziecku, a ono jej nie opuści. To będzie mój dobry uczynek. Od razu mi lżej.

I prokurator odetchnął po raz pierwszy swobodnie.

Powóz stanął na dziedzińcu, Villefort jednym susem znalazł się na ganku. Służący zdumieli się, że wrócił tak szybko. Nic więcej nie wyczytał z ich twarzy. Nikt nie wyrzekł doń ani słowa, przepuścili go tylko jak zwykle z uszanowaniem — i to wszystko.

Przechodząc koło pokoju Noirtiera, spostrzegł przez niedomknięte drzwi dwa cienie, ale nie zaciekawiło go to — niepokój gnał go dalej.

— No — rzekł do siebie, wchodząc po schodkach prowadzących do apartamentów żony i pustego pokoju Valentine — nic się nie zmieniło.

I przede wszystkim zamknął drzwi dzielące schody od piętra.

— Nikt nam nie może przeszkodzić — rzekł. — Muszę z nią pomówić swobodnie, oskarżyć się przed nią i wszystko wyznać...

Podszedł do drzwi, przekręcił kryształową kulę służącą za klamkę — drzwi ustąpiły.

— Niezamknięte! Ha, to dobrze, to bardzo dobrze! — mruknął.

Wszedł do saloniku, w którym co wieczór ustawiano dla Edwardka łóżko; chociaż uczył się na pensji, wracał na noc do domu, matka bowiem nie chciała się z nim rozstawać.

Jednym spojrzeniem objął cały salon.

— Nikogo tu nie ma — stwierdził. — Jest pewnie w sypialni.

Rzucił się do drzwi. Drzwi były zamknięte na zasuwkę.

Zadrżał.

— Heloizo! — zawołał.

Wydało mu się, że poruszył się jakiś sprzęt.

— Heloizo! — powtórzył.

— Kto tam? — zapytała pani de Villefort.

Wydało mu się, że jej głos brzmiał słabiej niż zwykle.

— Otwórz, otwórz! — zawołał. — To ja!

Ale choć w głosie jego dźwięczał rozkaz, drzwi się nie otworzyły.

Wyważył je jednym kopnięciem. U wejścia do buduaru stała pani de Villefort. Była blada, miała ściągniętą twarz; spoglądała na niego nieruchomym wzrokiem.

— Heloizo! Heloizo! Co ci jest? Powiedz.

Kobieta wyciągnęła ku niemu zesztywniałą, posiniałą rękę.

— Stało się, mężu — rzekła, a rzężenie zdawało się rozrywać jej krtań. — Czego jeszcze ode mnie chcesz?

I osunęła się na podłogę.

Villefort podbiegł do niej i chwycił ją za dłoń. Dłoń ściskała konwulsyjnie flakonik ze złotym koreczkiem. Pani de Villefort już nie żyła.

Villefort, zmartwiały ze zgrozy, cofnął się aż na próg, wlepiając wzrok w trupa.

— Mój syn! — krzyknął nagle. — Gdzie mój syn? Edwardku! Edwardku!

I wybiegł z pokoju, krzycząc:

— Edwardku! Edwardku!

Krzyczał tak przeraźliwie, że nadbiegła służba.

— Mój syn! Gdzie mój syn? — pytał Villefort. — Zabierzcie go z domu, żeby nie zobaczył...

— Panicza nie ma na dole — odparł lokaj.

— Na pewno bawi się w ogrodzie. Idźcie po niego, idźcie!

— Nie, proszę jaśnie pana. Jaśnie pani zawołała go do siebie będzie pół godziny temu. Panicz poszedł do jaśnie pani i już nie schodził na dół.

Zimny pot zrosił Villefortowi czoło, zachwiały się pod nim nogi. Myśli wirowały mu w głowie niczym trybiki zepsutego zegarka.

— Do jaśnie pani!... Do jaśnie pani!... — szeptał.

I zawrócił powoli, jedną ręką ocierając pot, drugą opierając się o ścianę.

W pokoju znowu zobaczy trupa swojej nieszczęsnej żony. Wołając Edwarda, obudzi w tym pokoju echo; jego głos sprofanuje ciszę pokoju, który jest jej grobem.

Miał tak ściśnięte gardło, że nie mógł wydobyć z siebie ni słowa.

— Edwardku! Edwardku! — wykrztusił.

Chłopczyk nie odpowiadał.

Gdzież więc było to dziecko, które — jak mówili służący — poszło do matki i już stamtąd nie wychodziło?

Villefort postąpił krok naprzód.

Ciało żony leżało w poprzek drzwi do buduaru, gdzie musiał być Edwardek. Zmarła wydawała się jakby czuwać na progu; jej otwarte oczy były obrócone w słup, na ustach zastygła straszliwa, tajemnicza ironia.

Uniesiona portiera odsłaniała część buduaru; widać było fortepian i róg kanapy obitej błękitnym jedwabiem. Villefort postąpił parę kroków: na kanapie leżał Edwardek.

Oczywiście spał.

Nieszczęśnika ogarnęła nieopisana radość — jakby promień światła zstąpił w to piekło, w którym się szamotał. Trzeba już tylko było przejść ponad zmarłą, wejść do buduaru,

pochwycić dziecko w ramiona i uciec z nim daleko, daleko; Villefort nie był już zepsutym, ale wytwornym człowiekiem — obudził się w nim śmiertelnie zraniony tygrys, który w ostatnim odruchu potrafi jeszcze ukąsić.

Nie lękał się już przesądów — jedynie upiorów. Przeskoczył przez zmarłą, jakby to był żrący ogień. Chwycił dziecko w ramiona, przytulając je do siebie, potrząsając nim, wołając; dziecko nie odpowiadało.

Przycisnął usta do jego policzka — policzki były sine i lodowate. Obmacał zesztywniałe ręce i nogi. Przyłożył dłoń do serca — serce przestało już bić.

Edwardek nie żył.

Z piersi Edwardka zsunęła się jakaś kartka złożona w czworo, Villefort, jak rażony gromem, upadł na kolana. Dziecko wypadło mu z rąk i potoczyło się ku zwłokom matki.

Villefort podniósł papier, poznał pismo żony i chciwie przebiegł list wzrokiem.

Oto, co zawierał:

> Wiesz, że byłam dobrą matką, skoro dla syna dopuściłam się zbrodni.
> Dobra matka nigdy nie rozstaje się ze swoim synem.

Villefort nie wierzył własnym oczom, Villefort sądził, że traci zmysły. Powlókł się ku zwłokom Edwardka i zbadał je jeszcze raz, tak pilnie, jak lwica patrzy na swoje martwe lwiątko. I z piersi wyrwał mu się rozdzierający krzyk:

— Bóg! Ciągle Bóg!...

Te dwie ofiary przerażały go, nie mógł dłużej wytrzymać w tym pustym pokoju, przy tych trupach.

Villefort pochylił głowę, przygnieciony boleścią. Podniósł się na kolana i wstrząsnął głową, aby odrzucić włosy wilgotne od potu. I on, który nigdy nie miał dla nikogo litości, poszedł do ojca, aby móc w porywie słabości opowiedzieć komuś o swoim nieszczęściu i mieć przed kim zapłakać.

Zszedł po znanych nam schodach.

Gdy wszedł, Noirtier słuchał uważnie i — zdało się — serdecznie słów księdza Busoniego, jak zawsze spokojnego i zimnego.

Spostrzegłszy księdza, Villefort uniósł rękę do czoła. Przeszłość stanęła mu przed oczyma, napływając jak fala spieniona gniewem. Przypomniał sobie swoją wizytę u księdza, na drugi dzień po obiedzie w Auteuil — i wizytę, jaką złożył w ich domu ksiądz po śmierci Valentine.

— Ksiądz tutaj! — rzekł. — Czy ksiądz zawsze przychodzi razem ze śmiercią?

Busoni wstał. Widząc zmienione rysy prokuratora, dziko błyszczące oczy, domyślił się, że zapewne scena w sądzie już się odbyła. Ale nic więcej nie wiedział.

— Przyszedłem tu wtedy pomodlić się za pańską córkę — odpowiedział.

— A dziś?

— Przychodzę powiedzieć panu, że zapłaciłeś mi już swój dług i że od tej chwili zacznę prosić Boga, aby jak i ja poprzestał na tym.

— Boże! — zawołał Villefort, cofając się nagle z trwogą. — Ten głos, to nie jest głos księdza Busoniego!

— A nie.

Ksiądz zdarł perukę z tonsurą i potrząsnął głową: na ramiona opadły mu długie, czarne włosy i okoliły męską twarz.

— To twarz pana de Monte Christo — zawołał Villefort, spoglądając nieprzytomnymi oczyma.

— Nie, jeszcze nie to, panie prokuratorze, proszę sięgnąć pamięcią wstecz.

— Ten głos! Ten głos! Gdzież ja go słyszałem po raz pierwszy?...

— W Marsyli, przed dwudziestu trzema laty, w dzień pańskich zaręczyn z panną de Saint-Méran. Niech pan poszuka w aktach.

— Nie jesteś pan księdzem? Nie jesteś pan hrabią Monte Christo?... Boże! Jesteś tym ukrytym, nieubłaganym, śmiertelnym wrogiem! Musiałem ci wyrządzić w Marsylii jakąś krzywdę! Biada mi!

— Tak, masz pan rację, to jest to — rzekł hrabia. — Szukaj, szukaj!

— I cóżem ci zrobił? — zawołał Villefort, któremu mieszało się w głowie; był już na

tej wąskiej granicy między rozumem i obłąkaniem. — Co? Powiedz!

— Skazałeś mnie na śmierć powolną i straszliwą, zabiłeś mi ojca, pozbawiłeś mnie wolności, miłości i szczęścia!

— Kim jesteś? Kim? Boże!

— Jestem widmem nieszczęśnika, któregoś pogrzebał w lochach zamku If. Bóg wywiódł go z grobu, włożył mu maskę hrabiego de Monte Christo i obsypał złotem i diamentami, abyś rozpoznał go dopiero dziś.

— Ach, poznaję cię... Poznaję... Jesteś...

— Jestem Edmund Dantès!

— Edmund Dantès! — krzyknął Villefort i chwycił hrabiego za rękę. — A więc chodź!

I pociągnął go na schody. Monte Christo, zdumiony, szedł za nim, przeczuwając jakąś nową okropność.

— Patrz, Edmundzie! — zawołał prokurator, wskazując hrabiemu trupy. — Patrz! Wystarczająco jesteś pomszczony?

Monte Christo zbladł. Zrozumiał, że przekroczył prawa zemsty. Zrozumiał, że teraz nie mógłby powiedzieć: Bóg jest za mną i ze mną.

Wstrząśnięty, przypadł do ciała dziecka, uniósł mu powieki, zbadał puls i chwyciwszy na ramiona, pobiegł do pokoju Valentine, gdzie zamknął się na dwa spusty.

— Moje dziecko! — zawołał Villefort. — Zabrał ciało mojego dziecka! Bądź przeklęty! Niech cię piekło pochłonie!

Chciał pobiec za Monte Christo, lecz niczym we śnie poczuł, że nogi wrastają mu w podłogę, źrenice gwałtownie rozszerzają się, palce wczepione w skórę na piersi zaciskają się coraz mocniej, aż krew barwić zaczyna paznokcie; żyły w skroni wezbrały mu od wrzących myśli, które rwały się dalej, pod zbyt ciasne sklepienie czaszki, by tam ogarnąć jego umysł palącym ogniem.

Stał jak porażony kilka minut, póki straszliwy wstrząs w jego umyśle nie stał się faktem. A wówczas krzyknął przeraźliwie, zaśmiał się dziko — i rzucił się na schody.

Kwadrans później drzwi pokoju Valentine otwarły się i wyszedł z nich hrabia de Monte Christo. Jego twarz była blada, wyraz oczu posępny, oddech ciężki — wszystko zdradzało niewymowną boleść. Trzymał w ramionach dziecko, któremu nie był już w stanie przywrócić życia. Przyklęknął i uroczyście położył dziecko obok matki, opierając jego główkę na jej piersi.

Następnie podniósł się i wyszedł. Spotkawszy na schodach służącego, zapytał:

— Gdzie jest pan de Villefort?

Ów wyciągnął rękę i bez słowa wskazał mu ogród.

Monte Christo zszedł na dół, ruszył we wskazanym kierunku. Villefort, otoczony służbą, wściekle kopał łopatą ziemię.

— Nie, to nie tu — mówił sam do siebie. — Tutaj też nie!

I zaczynał kopać obok.

Monte Christo zbliżył się do niego i cichym, niemal błagalnym tonem rzekł do niego:

— Straciłeś pan syna, ale...

Villefort nie dał mu skończyć. W ogóle nie chciał słuchać.

— Znajdę go.... Mówcie sobie, co chcecie, wiem, że on tu jest... I znajdę go, choćbym miał szukać do sądnego dnia!

Monte Christo cofnął się wstrząśnięty.

— Oszalał!

I jakby obawiając się, że mury tego przeklętego domu zawalą się na niego, wypadł na ulicę, zwątpiwszy po raz pierwszy, czy miał prawo zrobić to, co zrobił.

— Dosyć! Dosyć już tego. Ocalmy przynajmniej ostatniego.

Wracając do siebie, Monte Christo natrafił na Morrela. Milczący jak cień, który czeka tylko znaku Boga, by powrócić do grobu, krążył bez celu wokół pałacu przy Polach Elizejskich.

— Maksymilianie, przygotuj się — rzekł hrabia. — Jutro wyjeżdżamy z Paryża.

— Więc nie masz pan już tutaj nic więcej do zrobienia? — spytał Morrel.

— Nie — odpowiedział Monte Christo. — I daj Boże, bom i tak zrobił już za wiele.

III. ODJAZD

Ostatnie wydarzenia zajmowały cały Paryż.

Emanuel z żoną roztrząsali w swoim saloniku z zupełnie zrozumiałym zdziwieniem owe trzy katastrofy, które równie nagle, co nieoczekiwanie spadły na panów Morcerfa, Danglarsa i Villeforta. Maksymilian, który właśnie przebywał u nich z wizytą, słuchał ich rozmowy lub raczej tylko biernie przy niej towarzyszył. Nic nie było w stanie wyrwać go z martwej obojętności, w której od dłuższego już czasu był pogrążony.

Los, Zemsta, Upadek

— Nie masz wrażenia Emanuelu — rzekła Julia — że wszyscy ci bogaci ludzie, jeszcze wczoraj tak szczęśliwi, w założeniach, na jakich oparli całą swoją fortunę, pomyślność i poważanie, zapomnieli uwzględnić jakiegoś geniusza zła, który teraz, niczym zła wróżka z bajek Perraulta[1429], nieopatrznie niezaproszona na ślub lub chrzciny, zjawia się, by zemścić się za owe fatalne przeoczenie?

— Ile katastrof! — ozwał się Emanuel, mając na uwadze Morcerfa i Danglarsa.

— Ile cierpienia! — dodała Julia, myśląc o Valentine, której imienia, kierowana kobiecym instynktem, wolała nie wymawiać przy bracie.

— Jeśli rzeczywiście dotknęła ich ręka boska — rzekł Emmanuel — znaczy to, że Bóg, który jest najwyższą dobrocią, nie znalazł w ich przeszłości nic, co mogłoby im wyjednać złagodzenie kary. Widocznie byli już potępieni.

— Czy nie jesteś przypadkiem zbyt pochopny w swych sądach? Gdyby ktoś, widząc mojego ojca z pistoletem w ręku, gotowego się zastrzelić, stwierdził jak ty teraz: „Widocznie ten człowiek zasłużył sobie na karę", czy nie pomyliłby się grubo?

— Masz rację, ale Bóg nie dopuścił, by twój ojciec poddał się temu pragnieniu, tak jak nie pozwolił, by Abraham[1430] złożył syna w ofierze. W obu tych przypadkach zesłał anioła, by ten podciął skrzydła śmierci i zatrzymał ją.

Gdy to domawiał, u drzwi rozległ się dźwięk dzwonka.

Odźwierny dawał w ten sposób znak, że ktoś przybywa z wizytą.

Niemal w tej samej chwili otwarły się drzwi salonu i stanął w nich hrabia de Monte Christo. Państwo Morrelowie wydali okrzyk radości.

Maksymilian podniósł głowę i znowu ją opuścił.

— Maksymilianie — rzekł hrabia, zdając się nie zauważać, jak różne reakcje wywołało jego przybycie. — Właśnie po ciebie przyjechałem.

— A dokąd chcecie jechać? — zapytała Julia.

— Najpierw do Marsylii.

— Do Marsylii! — powtórzyli zgodnie Julia i Emanuel.

— Tak i zabieram ze sobą Maksymiliana.

— Och, panie hrabio — rzekła Julia — niech go nam pan zwróci zdrowym!

Morrel odwrócił głowę, by ukryć nagły rumieniec.

— Zauważyłaś pani, że mocno cierpi?

— Tak — odpowiedziała młoda kobieta — boję się też, że z nami tylko się nudzi.

— Dopilnuję, by się rozerwał.

— Jestem gotów, panie hrabio — rzekł Maksymilian. — Bądźcie zdrowi, moi kochani! Bądź zdrów, Emanuelu! Żegnam cię, Julio.

— Jak to? Już się żegnasz? — zawołała Julia. — Ruszacie natychmiast, bez przygotowań, bez paszportów?

— Zwłoka podwoiłaby tylko smutek rozstania — rzekł Monte Christo. — A co do przygotowań, to myślę, że Maksymilian pomyślał już o wszystkim, tak jak mu zalecałem.

— Paszport mam przy sobie, a walizki już spakowane — rzekł Morrel z tym samym obojętnym spokojem.

— Bardzo dobrze — uśmiechnął się Monte Christo. — Znać w tej słowności dobrego żołnierza.

[1429] *Perrault, Charles* (1628–1703) — fr. bajkopisarz, autor m.in. *Kopciuszka*, *Czerwonego Kapturka* i *Śpiącej Królewny*. [przypis edytorski]

[1430] *Abraham* — biblijny patriarcha, ojciec narodu żydowskiego (hebr. znaczenie jego imienia to: „ojciec narodów"); swego długo wyczekiwanego syna Izaaka był gotów złożyć w ofierze Bogu, lecz dawszy dowód swej wiary, został w ostatniej chwili powstrzymany od tego przez anioła, wysłannika Jahwe. [przypis edytorski]

— Więc opuszczacie nas już teraz? — zaprotestowała Julia. — Nie darujecie nam choćby dnia, choć godziny?

— Mój powóz czeka już przed bramą. Za pięć dni muszę być w Rzymie.

— Ale Maksymilian przecież nie jedzie do Rzymu? — powiedział Emanuel.

— Jadę, gdzie tylko hrabia zechce mnie ze sobą zabrać — smutno uśmiechnął się Morrel. — Przez najbliższy miesiąc należę do niego.

— Na Boga, panie hrabio, jak on to mówi!

— Maksymilian będzie mi towarzyszył — odpowiedział hrabia tonem uprzejmej, łagodnej perswazji. — Proszę się więc o niego nie martwić.

— Żegnam, siostro! — powtórzył Morrel. — Bądź zdrów, Emanuelu.

— Serce mi się kraje na tę jego obojętną uprzejmość — rzekła Julia. — Maksymilianie, ty coś przed nami ukrywasz.

— Proszę się uspokoić — rzekł Monte Christo. — Zobaczy pani, wróci wesoły, uśmiechnięty i szczęśliwy.

Maksymilian rzucił w jego kierunku spojrzenie niemal pogardliwe, prawie gniewne.

— Chodźmy — rzekł hrabia.

— Zanim jeszcze odjedziecie — rzekła Julia — proszę pozwolić, panie hrabio, że powiem wszystko, co wówczas...

— Łaskawa pani — odpowiedział hrabia, biorąc jej ręce. — Cokolwiek mogłabyś mi powiedzieć, nie będzie nigdy tak wymowne jak to, co czytam w pani oczach, co czuje pani serce, a co moje. Powinienem zapewne postąpić tak jak dobroczyńcy w powieściach: odjechać bez pożegnania. Ale taka wielkoduszność byłaby ponad moje siły — jestem człowiekiem słabym i próżnym. Wzruszenie i radość w oczach moich bliskich sprawiają, że mnie również jest dobrze. A teraz wyjeżdżam i taki ze mnie egoista, że powiem wam: nie zapominajcie o mnie, przyjaciele, bo najprawdopodobniej nigdy się już nie zobaczymy.

— Jak to, nigdy? — zawołał Emanuel; po policzkach Julii potoczyły się dwie wielkie łzy. — Mamy już nigdy się nie spotkać? Czyli nie jesteś pan człowiekiem, lecz Bogiem, który zagościł na ziemi tylko na krótką chwilę, by czynić dobro, a teraz wraca do nieba!

— Nie mówcie tak o mnie — rzekł żywo Monte Christo. — Proszę, nigdy tak nie mówcie. Bogowie nigdy nie wyrządzają zła, zatrzymują się tam, gdzie chcą się zatrzymać. Przypadek nie jest silniejszy od ich woli, to oni nim rozporządzają.

Przyciskając do ust rękę Julii, która padła mu w objęcia, drugą rękę podał Emanuelowi. Następnie, wyrywając się siłą niemal z tego domu, istnej oazy szczęścia, wyszedł, dając znak Maksymilianowi, który usłuchał biernie i obojętnie — jak przyjmował wszystko od śmierci Valentine.

— Przywróć szczęście i radość mojemu bratu! — szepnęła Julia na ucho hrabiemu.

Monte Christo uścisnął jej dłoń tak, jak zrobił to jedenaście lat wcześniej na schodach prowadzących do gabinetu Morrela.

— Czy ufasz pani ciągle Sindbadowi Żeglarzowi? — zapytał z uśmiechem.

— Tak!

— Dobrze więc, śpij spokojnie i miej ufność w Panu!

Jak już powiedzieliśmy, powóz już czekał przed bramą. Cztery tęgie konie wstrząsały grzywami i niecierpliwie stukały kopytami w bruk.

Przed schodami czekał Ali. Na jego twarzy perlił się gęsty pot, jakby właśnie przybiegł z daleka.

— I jak? — zapytał go hrabia po arabsku. — Zastałeś starca?

Ali potwierdził skinieniem głowy.

— Pokazałeś mu list, tak jak ci przykazałem?

— Tak — i niewolnik skinął z szacunkiem głową.

— A on, co na to?

Ali stanął w świetle, tak by hrabia mógł go dobrze widzieć i zamknął oczy, jak zwykł to robić Noirtier, gdy chciał powiedzieć: tak.

— Więc zgadza się — rzekł Monte Christo. — Dobrze, możemy jechać.

Ledwie padły te słowa, a powóz już się toczył; konie ruszyły galopem, krzesząc na bruku skry. Maksymilian usiadł w kącie, ani jedno słowo nie padło z jego ust.

Upłynęło pół godziny. Powóz nagle się zatrzymał. Hrabia pociągnął za jedwabny, sznurek, który przywiązany był do palca Alego.

Nubijczyk zsiadł z kozła i otwarł drzwiczki powozu.

Noc lśniła gwiazdami. Znajdowali się na wzgórzu Villejuif. Z rozległego wzniesienia widać było cały Paryż, przypominający ponure morze, z milionem drżących świateł układających się w fosforyzujące fale; fale hałaśliwsze, bardziej oszalałe, namiętne i zachłanne niż grzywy rozzłoszczonego oceanu; fale, które nie znają spokoju, nieustannie spienione w ciągłej walce, nieustannie żądne nowej ofiary. Miasto

Hrabia został sam; na jego znak powóz podjechał nieco do przodu.

Skrzyżowawszy ramiona, Monte Christo przyglądał się dłuższą chwilę tej kuźni, gdzie stapiają się, mieszają i kształtują wszelkie idee, by — wydostawszy się stąd — wstrząsać światem. Następnie, gdy już nasycił swój wzrok widokiem owego Babilonu, gdzie natchnienie znajdzie zarówno religijny poeta, jak i materialistyczny prześmiewca, szepnął do siebie skłoniwszy głowę, a ręce złożywszy jak do modlitwy:

— Wielkie miasto, minęło prawie sześć miesięcy, odkąd wjechałem w twoje mury. Myślę, że przywiódł mnie tu Duch Boży i to dzięki niemu wyjeżdżam teraz triumfujący. Tajemnicę mojego pobytu tutaj zawierzyłem tylko Bogu i tylko On może czytać w moim sercu. Tylko On wie, że odchodzę bez nienawiści i bez pychy, ale i bez wyrzutów sumienia. Mocy, którą mi powierzył, nie wykorzystałem ani we własnym interesie, ani do żadnych próżnych celów. O wielkie miasto, w twoim niespokojnym łonie znalazłem to, czego szukałem. Niczym cierpliwy górnik przekopałem twe wnętrzności, by wypłoszyć z nich zło. Moja misja już dobiegła końca, dzieło skończone. Nie możesz mi już dać radości, ani zadać bólu. Żegnaj! Żegnaj!

Monte Christo raz jeszcze ogarnął spojrzeniem, niczym geniusz nocy, rozległą równinę. Przeciągnął dłonią po czole i wsiadł do powozu; gdy tylko drzwi zamknęły się za hrabią, ekwipaż szybko zjechał zboczem, pozostawiając za sobą jedynie tuman kurzu i echo turkotu kół. Przejechali dziesięć mil; w tym czasie żadne słowo nie zakłóciło ciszy.

Morrel milczał zamyślony, hrabia przyglądał się jego zadumie.

— Maksymilianie — rzekł hrabia — żałujesz, że pojechałeś ze mną?

— Nie, panie hrabio, ale opuścić Paryż...

— Gdybym wiedział, że to w Paryżu czeka na ciebie szczęście, nie proponowałbym ci wyjazdu.

— Tutaj spoczywa Valentine, wyjechać stąd, to jak stracić ją po raz drugi.

— Maksymilianie — rzekł hrabia — przyjaciele, których utraciliśmy, nie spoczywają w ziemi. Ich miejsce jest w naszym sercu. Bóg urządził to w ten sposób, by nigdy już nas nie opuścili. Ja na przykład mam dwóch przyjaciół, którzy nieustannie są przy mnie: jeden dał mi życie, drugi nauczył myśleć. Duch obu żyje we mnie.

— Przyjacielu, serce powiada mi smutnym głosem, że nie czeka mnie już nic prócz nieszczęścia.

— Gdy osłabł w kimś duch, ów ktoś widzi wszystko w żałobnych kolorach. Każda dusza wykreśla sobie własne horyzonty, a że twoja jest posępna, widzi nad sobą tylko czarne, burzliwe niebo.

— Być może to prawda — rzekł Maksymilian.

I zamyślił się ponownie.

Podróż odbywała się z nadzwyczajną szybkością — to prędkość między innymi stanowiła o potędze hrabiego. Rano dotarli do Châlons, gdzie czekał już parowy statek hrabiego. Nie tracąc ani chwili, przetransportowano powóz na pokład. Podróżni znajdowali się już na statku.

Statek niczym indiańska piroga[1431] był stworzony do rozwijania dużych prędkości. Jego dwa koła przypominały skrzydła, którymi ciął wodę lekko jak wędrowny ptak przestworza. Szybkość upoiła nawet Morrela.

Hrabia natomiast, im byli dalej od Paryża, nabierał coraz większej pogody ducha. Patrząc na niego, można by powiedzieć, że to wygnaniec, co powraca do ojczyzny.

A oto i stanęła przed ich oczami Marsylia, biała, łagodna, pełna życia. Marsylia, Miasto, Powrót, Wspomnienia

[1431] *piroga* — długa łódź rdzennych mieszkańców Ameryki lub Polinezji wykonana z wydrążonego pnia. [przypis edytorski]

młodsza siostra Tyru[1432] i Kartaginy[1433] i ich następczyni w panowaniu nad Morzem Śródziemnym. Marsylia, z upływem czasu coraz młodsza. Widok ten wywołał mnóstwo wspomnień w obu podróżnikach: okrągła wieża, fort Świętego Mikołaja, ratusz projektu Pugeta i sam port o ceglanym nadbrzeżu, gdzie bawili się w dzieciństwie.

Za obopólną zgodą zatrzymali się na ulicy Cannebière.

Jakiś statek wypływał właśnie do Algieru. Paczki, podróżni tłoczący się na pokładzie, rodzice, przyjaciele, którzy ich żegnają, niektórzy krzyczą, inni płaczą, całe to widowisko, poruszające nawet dla tych, którzy oglądają go codziennie, nie było w stanie odwrócić myśli Maksymiliana od jednego wspomnienia. Uderzyło go to, gdy tylko postawił stopę na płytach nabrzeża.

— Panie hrabio — rzekł, ujmując Monte Christa pod ramię — w tym miejscu stał mój ojciec, gdy „Faraon" wpływał do portu. To tutaj ów dzielny człowiek, którego ocaliłeś od śmierci i hańby, przywitał mnie, biorąc w swoje ramiona. Jeszcze dziś pamiętam, jak jego łzy spływały mi na twarz. Nie płakał zresztą sam, wiele osób miało łzy w oczach na nasz widok.

Monte Christo uśmiechnął się.

— Ja zaś stałem tam — rzekł, wskazując Morrelowi zakręt uliczki.

Gdy to mówił, z kierunku, który wskazywał, dobiegł ich bolesny jęk. Stała tam kobieta, machając do jednego z pasażerów. Twarz kobiety zasłaniała woalka.

Monte Christo spojrzał na nią wyraźnie poruszony; gdyby Morrel nie obserwował właśnie statku, z pewnością zauważyłby to jego wzruszenie.

— Na Boga! — zawołał Morrel. — Nie, nie mylę się. Mężczyzna na statku, ten, co właśnie pozdrawia kogoś kapeluszem, ten w mundurze, to przecież Albert de Morcerf!

— Zgadza się — rzekł Monte Christo. — Rozpoznałem go.

— Jak to? Przecież patrzyłeś w przeciwną stronę.

Hrabia uśmiechnął się, jak zwykł czynić, gdy nie miał zamiaru odpowiadać. I spojrzał z powrotem tam, gdzie stała kobieta. Ta jednak znikła już za rogiem ulicy.

Odwrócił się więc do Morrela i rzekł:

— Przyjacielu, nie masz tutaj nic do załatwienia?

— Chciałbym pójść na grób ojca — odpowiedział stłumionym głosem Morrel.

— Dobrze, idź i poczekaj tam na mnie. Niedługo przyjdę.

— Opuszczasz mnie pan?

— Tak, ja również muszę złożyć pewną... sentymentalną wizytę.

Monte Christo poczekał, aż Maksymilian się oddali i dopiero gdy zniknął mu z oczu, ruszył w kierunku Alei Meilhańskich do małego domku, znanego naszym czytelnikom z początków tej historii. Dom stał w cieniu wielkiej alei lipowej, która służy za miejsce przechadzek dla mieszkańców Marsylii. Dwa kamienne stopnie, wygładzone krokami mieszkańców, prowadziły do drzwi wejściowych zbitych z trzech niemalowanych desek. W domu tym, tak uroczym i wesołym, choć ubogim, mieszkał niegdyś ojciec Dantèsa. Staruszek zajmował jedynie mansardę — hrabia cały dom oddał do dyspozycji Mercedes.

I to tutaj weszła kobieta, którą wypatrzył Monte Christo. Gdy zza rogu wyłonił się hrabia, zamykała właśnie drzwi.

Znał doskonale wytarte stopnie. Nikt też lepiej od niego nie radził sobie z drzwiami zamykanymi na żelazny skobel[1434]. Wszedł więc, nie pukając, nie uprzedzając, jak dobry przyjaciel lub gospodarz domu.

W końcu brukowanej alei znajdował się ogródek, pełen ciepła, słońca i światła. To tutaj Mercedes znalazła sumę, którą hrabia ofiarował jej w swej delikatności po dwudziestu czterech latach. Drzewa rosnące w ogródku widać było już przy bramie od strony ulicy.

[1432] *Tyr* — dziś: Sur, miasto portowe na wybrzeżu Morza Śródziemnego, w dzisiejszym Libanie. W starożytności jedno z największych fenickich miast kupieckich, słynne z wytwarzania drogocennego purpurowego barwnika (tzw. purpura tyryjska). [przypis edytorski]

[1433] *Kartagina* — staroż. miasto na afrykańskim wybrzeżu Morza Śródziemnego (w pobliżu dzisiejszego Tunisu), założone w IX w. p.n.e. przez Fenicjan z Tyru, wg legendy przez królową Tyru Dydonę; od VI wieku p.n.e. stolica najpotężniejszego państwa nad Morzem Śródziemnym; od III w. p.n.e. Kartagina prowadziła serię wojen z Rzymem (tzw. wojny punickie), ostatecznie została pokonana i zburzona w 146 p.n.e. [przypis edytorski]

[1434] *skobel* — zamknięcie drzwi w chacie chłopskiej. [przypis edytorski]

Przestąpiwszy próg, Monte Christo usłyszał westchnienie, które przypominało cichy szloch. Mercedes siedziała w altance oplecionej jaśminem wirgińskim[1435], o gęstym listowiu i długich, purpurowych kwiatach. Lekko pochylona, płakała. Zdjęła woal, twarz skryła w dłoniach i folgowała teraz łzom, tak długo powstrzymywanym w obecności syna. Monte Christo postąpił parę kroków. Piasek zazgrzytał pod jego stopami.

Mercedes uniosła głowę, a widząc nieznajomego mężczyznę, krzyknęła.

— Pani — rzekł hrabia — nie mogę już dać ci szczęścia, ale mogę ofiarować pociechę. Czy zechcesz ją przyjąć? Pochodzi od przyjaciela.

— Jestem bardzo nieszczęśliwa — odpowiedziała Mercedes. — Sama na świecie... Pozostał mi jedynie syn i ten właśnie mnie opuścił.

— Dobrze zrobił — odrzekł hrabia. — Ma szlachetne serce. Zrozumiał, że każdy mężczyzna winien spłacić dług wobec swej ojczyzny: jedni talenty, inni znów siłę, ci czuwają w nocy, tamci oddają krew. Gdyby z tobą został, pani, strawiłby tylko swą młodość, a na twoją boleść nie mógłby patrzeć spokojnie. Z czasem własna niemoc stałaby się dla niego nieznośna, a tak stanie się silny i wielki, walcząc z przeciwnościami, które sam zmieni w powodzenie. Proszę mu pozwolić na nowo zbudować przyszłość dla niego samego i dla ciebie, pani. Śmiem twierdzić, że jest ona teraz w dobrych rękach.

— Z całej duszy błagam Boga o taką przyszłość dla Alberta — odparła biedna kobieta, smutno potrząsając głową — ale nie będzie ona moim udziałem. Tak wiele rzeczy runęło we mnie i wokół mnie, że mam wrażenie, iż zaczynam zbliżać się do grobu. Jestem panu wdzięczna, że dałeś mi możliwość powrotu do miejsca, gdzie kiedyś byłam tak szczęśliwa. Powinno się umierać tam, gdzie zaznało się szczęścia.

— Każde pani słowo pali mi serce i napełnia je goryczą, tym bardziej że nienawiść, którą do mnie żywisz, jest w pełni uzasadniona. To ja jestem przyczyną wszystkich twoich nieszczęść. Wolę, żebyś mnie oskarżała, niż mi współczuła. Twoje współczucie byłoby nie do zniesienia.

— Ja, Edmundzie, miałabym cię nienawidzić i oskarżać? Człowieka, który ocalił życie mojemu synowi, choć przecież twoim zamiarem było zabić syna hrabiemu de Morcerfowi, który był tak z niego dumny... Popatrz na mnie, czy widzisz choćby cień wyrzutu?

Hrabia podniósł wzrok i zatrzymał go na Mercedes, która wyciągnęła do niego ręce.

— Tak, spójrz na mnie — rzekła, a w jej głosie dało się wyczuć głęboką melancholię. — Moje oczy utraciły dawny blask. Minął już czas, gdy przychodziłam tutaj i uśmiechałam się do Edmunda Dantèsa, który wypatrywał mnie z okienka mansardy... Wiele bolesnych dni dzieli nas od tamtych czasów... Między osobą, którą byłam wówczas, a tą, którą masz przed sobą teraz, jest przepaść nie do przebycia. Nie mogłabym cię ani oskarżać, ani nienawidzić. To siebie oskarżam i nienawidzę. Jakaż jestem nikczemna — zawołała, załamując ręce i wznosząc oczy ku niebu. — I słusznie poniosłam karę. Miałam to wszystko, co mają tylko aniołowie: wiarę, niewinność i miłość, a mimo to zwątpiłam w Boga.

Monte Christo zbliżył się do niej i w milczeniu podał jej rękę.

— Nie — rzekła, cofając łagodnie swoją dłoń. — Nie, mój przyjacielu, nie dotykaj mnie. Oszczędziłeś mnie, a przecież ze wszystkich osób, na które spadł twój cios, to ja byłam najbardziej winna. Oni wszyscy kierowali się nienawiścią, żądzą, egoizmem. Tylko ja stchórzyłam. Oni pragnęli, ja się bałam. Nie, nie ściskaj mojej ręki. Wiem, że szukasz jakiegoś czułego słowa, na próżno. Zachowaj je dla innej kobiety, bo ja już nie jestem godna, by je usłyszeć. Popatrz — tu odkryła całkiem swoją twarz — popatrz, od nieszczęścia posiwiały mi włosy. Wylałam tyle łez, że pod oczyma mam fioletowe sińce. A ty, Edmundzie, jesteś ciągle młody, piękny i dumny. Zachowałeś wiarę i siłę, i ufność w Bogu — i On ci dopomógł. Ja byłam słaba i zaparłam się Go. Opuścił mnie i widzisz, co się ze mną stało.

Mercedes zalała się łzami. Jej serce nie wytrzymało ciężaru wspomnień.

Monte Christo ujął jej dłoń i z szacunkiem ucałował. Ona sama poczuła, że pocałunek ten pozbawiony był namiętności. Z takim nabożeństwem całuje się kamienną dłoń świętych posągów.

[1435]*jaśmin wirgiński*, właśc. *milin amerykański* — ozdobne pnącze o jaskrawych kwiatach. [przypis edytorski]

— Los niektórych ludzi jest z góry przesądzony — podjęła Mercedes — wystarczy jeden fałszywy krok, by cała przyszłość w proch się rozsypała. Sądziłam, że umarłeś. I powinnam była też umrzeć. Na co zdało się, że w sercu zawsze nosiłam żałobę po tobie? Mam trzydzieści dziewięć lat, a czuję się jak kobieta pięćdziesięcioletnia. I czemu, skoro tylko ja cię rozpoznałam, ocaliłam jedynie syna? Czyż nie powinnam była ocalić również życia tamtemu człowiekowi? Choćby nie wiem jak winny, był moim mężem. A jednak pozwoliłam mu umrzeć... Co mówię! Przecież sama przyczyniłam się do jego śmierci, okazując mu tchórzliwą nieczułość, gardząc nim, nie chcąc pamiętać, że to dla mnie został zdrajcą i krzywoprzysięzcą. I po cóż przyjechałam aż tutaj za synem, skoro pozwoliłam, by wyjechał? Skoro oddaję go na pastwę tej żądnej krwi afrykańskiej ziemi? Tak, byłam tchórzem, wyrzekłam się miłości i jak wszyscy zaprzańcy[1436], przynoszę moim bliskim jedynie nieszczęście.

— Nie, Mercedes, nie — rzekł Monte Christo. — Zbyt surowo się oceniasz. Jesteś szlachetną i pobożną kobietą. Twój ból wytrącił mi broń z ręki. Ale za mną stał Bóg, rozgniewany, niedostrzegalny i nieznany. Byłem jedynie jego wysłannikiem; a on nie chciał powstrzymać ciosu, który wymierzyłem. Klnę się na tego Boga, przed którym od dziesięciu lat zginam kolana, że całe moje życie złożyłem w ofierze dla ciebie. A z życiem i wszystkie plany na przyszłość. Ale — i mówię o tym z dumą, Mercedes — Bóg potrzebował mnie i przeżyłem. Przyjrzyj się przeszłości, popatrz na teraźniejszość, spróbuj przeniknąć przyszłość i powiedz sama, czy nie byłem narzędziem w ręku Boga? Najstraszliwsze nieszczęścia, najokrutniejsze cierpienia, zdrada ze strony tych, którzy mnie kochali, prześladowania — taki był pierwszy etap mojego życia. Ale nagle los się odwrócił i po więzieniu, samotności, nędzy — świeże powietrze, wolność i fortuna, tak świetna, ogromna i cudowna, że byłbym ślepcem, gdybym nie pomyślał, że Bóg przeznaczył mnie do wielkich celów.

Odtąd zacząłem myśleć o własnym losie jak o boskim posłannictwie. Ani jednej myśli nie poświęciłem już życiu, którego uroki ty, pani, czasem kosztowałaś... Nie zaznałem ani godziny spokoju. Byłem jak ognista chmura, którą Bóg zsyła na przeklęte miasta. Jak żądni przygód żeglarze; którzy ruszają w niebezpieczną podróż, przygotowywałem zapasy, ładowałem broń, opracowywałem strategie obrony i ataku, poddawałem ciało najtrudniejszym próbom i ćwiczeniom, przyzwyczajałem serce do najcięższych prób, uczyłem ramię zabijania i nakazywałem ustom, by się uśmiechały, gdy oczy patrzyły na najstraszliwsze sceny. Z człowieka dobrego, ufnego, łatwo przebaczającego stałem się mściwy, skryty, perfidny lub raczej nieugięty jak głuche i ślepe fatum. Wówczas ruszyłem w drogę, przekroczyłem granice czasu i przestrzeni, dotarłem do samego końca i biada tym, których napotkałem w podróży.

— Dosyć — przerwała Mercedes. — Dosyć, Edmundzie! Wierz mi, tylko ja mogłam cię rozpoznać i tylko ja mogłam cię zrozumieć. Edmundzie, nawet gdybyś spotkał mnie na tej drodze, gdybyś zniszczył mnie bez wahania, i tak musiałabym cię wielbić! Powiedziałam ci, że między osobą, którą jestem teraz, i tą, którą byłam kiedyś, istnieje przepaść. Ta sama przepaść dzieli ciebie od innych ludzi. I najgorszą męką jest dla mnie to właśnie porównanie, bo nie znam nikogo, kto mógłby się z tobą mierzyć i kto by cię choć trochę przypominał. A teraz pożegnaj mnie... i rozstańmy się.

— Zanim się rozstaniemy, powiedz, czy czegoś nie pragniesz?

— Pragnę tylko, aby mój syn był szczęśliwy.

— Proś Boga: tylko On dzierży w ręku losy ludzi, tylko On może oddalić śmierć od twojego syna, ja zajmę się resztą.

— Dziękuję ci.

— A co z tobą?

— Ja nie potrzebuję niczego. Żyję już tylko między dwoma grobami. W jednym pochowany jest Edmund Dantès. Kochałam go. Wiem, te słowa nie przystoją już moim zwiędłym wargom, ale wspomnienie o tym ciągle żyje w moim sercu i nie wyrzeknę się go za nic w świecie. Ten drugi grób należy do człowieka, którego Edmund Dantès zabił. Uznaję, że zrobił to słusznie, ale winna jestem zmarłemu modlitwę.

— Twój syn, pani, będzie szczęśliwy — powtórzył obietnicę hrabia.

[1436] *zaprzaniec* — ten, który zaparł się wiary, pochodzenia itp.; synonim zdrajcy. [przypis edytorski]

— Więc i ja będę szczęśliwa, tak jak tylko potrafię.

— Ale... w końcu... co ty poczniesz ze sobą?

Mercedes uśmiechnęła się smutno.

— Nie uwierzyłbyś, jeślibym powiedziała, że wrócę do dawnego życia i zacznę pracować. Umiem już tylko modlić się. Nie muszę też na siebie pracować. W miejscu, które mi wskazałeś, znalazłam pieniądze. Ludzie tutaj będą zapewne pytać, kim jestem i będą chcieli dowiedzieć się, co robię, ale nie ma to już znaczenia. Wszystko pozostanie między Bogiem, mną i tobą.

— Mercedes — rzekł hrabia — nie chcę bynajmniej czynić ci wyrzutów, ale wyrzekając się całego majątku pana de Morcerfa, za daleko posunęłaś poświęcenie. Połowa tej fortuny słusznie ci się należała za twoją oszczędność i zarządzanie domem.

— Wiem, do czego zmierzasz, Edmundzie. Ale nie mogę przyjąć nic, czego syn mógłby mi zabronić.

— Toteż bez zgody pana Alberta nie zrobię dla ciebie nic. Dowiem się, co o tym sądzi i podporządkuję się jego woli. Ale jeżeli uzyskam zgodę, czy pójdziesz w jego ślady i przyjmiesz bez oporu moją pomoc?

— Wiesz, Edmundzie, nie jestem już istotą myślącą. Nie umiem podejmować decyzji, podjęłam więc jedną: aby o niczym już nie decydować. Bóg tak mnie doświadczył, że nie ma już we mnie śladu woli. Jestem w jego ręku jak wróbel w szponach orła. Jeżeli ciągle żyję, to widocznie tylko dlatego, że taka jest Jego decyzja. Jeżeli zechce zesłać mi pomoc, to ją przyjmę.

— Strzeż się, pani, bo nie w ten sposób czci się Boga. On chce, byśmy starali się go zrozumieć i uczyli się jego potęgi. Dlatego dał nam wolną wolę.

— Nieszczęsny! — zawołała Mercedes. — Nie mów tak do mnie. Jeżeli uwierzę, że Bóg obdarza nas wolną wolą, co ocali mnie od rozpaczy?

Monte Christo nieznacznie zbladł i spuścił głowę, przybity aż tak wielkim cierpieniem.

— Nie chcesz mnie pożegnać? — zapytał, wyciągając ku niej dłoń.

— Owszem, pożegnam się z tobą, powiem ci do widzenia — odpowiedziała i wskazała uroczyście niebo. — I niech będzie to dowód, że nie straciłam całej nadziei.

I dotknąwszy drżącą dłonią ręki hrabiego, wbiegła na schody i znikła.

Monte Christo powoli wyszedł z domu i zawrócił drogą do portu.

Mercedes nie widziała jednak, jak się oddala, choć stała w oknie pokoiku starego Dantèsa. Jej oczy szukały w oddali statku, na którym odpłynął jej syn.

Lecz usta, jakby wbrew niej samej, powtarzały szeptem:

— Edmundzie! Edmundzie! Edmundzie!

112. PRZESZŁOŚĆ

Hrabia opuścił dom z ciężkim sercem. Widział Mercedes być może już po raz ostatni.

Od śmierci Edwardka Monte Christo ogromnie się zmienił. Ku zemście prowadziła go długa i kręta ścieżka; gdy dotarł do szczytu, ujrzał po drugiej stronie przepaść wątpliwości. Nie koniec na tym. Rozmowa z Mercedes obudziła w jego sercu wspomnienia, z którymi musiał teraz walczyć. Ale człowiek pokroju hrabiego nie mógł długo poddawać się melancholii. Duszom pospolitym nadaje ona pozór oryginalności, lecz dusze wyjątkowe — zabija. Jął więc sobie powtarzać, że skoro sam siebie zaczyna już potępiać, widocznie jakiś błąd musiał wkraść się w jego rozumowanie.

— Patrzę na przeszłość w zły sposób — rzekł — przecież nie mogłem pomylić się do tego stopnia. Czyżby cel, który sobie wyznaczyłem, miał nie mieć sensu? Przez dziesięć lat miałbym iść fałszywą drogą? Więc wystarczy zaledwie godzina, by udowodnić architektowi, że dzieło, w które włożył całą swą nadzieję, oparte jest na prawdopodobnie niewykonalnym, a na pewno bluźnierczym projekcie? Nie, nie chcę przyzwyczajać się do tej myśli, bo oszaleję. Nie mogę trzeźwo ocenić przeszłości, oglądam ją bowiem z przeciwnej strony horyzontu. Im dalej zostawiamy za sobą przeszłość, tym bardziej traci ona swą wyrazistość, jak pejzaż w oddali. Dzieje się ze mną dziś to, co przytrafia się ludziom, którzy zranieni we śnie, patrzą na ranę i czują ból, lecz nie pamiętają momentu, w którym rana ta została im zadana. Dalej więc, człeku odrodzony, bogaty oryginale, czujny marzycielu! Śmiało, niepokonany milionerze, spojrzyj jeszcze raz z perspektywy na tę

nędzną, posępną przeszłość. Przemierz raz jeszcze tę drogę, na którą pchnął cię przeklęty los i gdzie czekała na ciebie jedynie rozpacz. W lustrze, w którym Monte Christo ogląda Dantesa lśni dziś za dużo diamentów, złota i szczęścia. Schowaj diamenty, zbrukaj złoto, zetrzyj blask. Jesteś bogaty — odnajdź biedaka z przeszłości. Jesteś wolny — odszukaj w sobie więźnia. Jesteś wskrzeszony — odgrzeb trupa.

Dumając tak Monte Christo szedł ulicą de la Caisserie, tą samą, którą przed dwudziestu czterema laty wiodła go milcząca straż. Mijał domy, dziś ożywione i wesołe, owej nocy tak ponure, milczące i głuche.

— A przecież to te same domy — szepnął do siebie Monte Christo — tyle że wówczas była noc, a dziś środek dnia. To tylko słońce rozjaśnia wszystko i nadaje temu pogodny wyraz.

Ulicą Saint-Laurent zszedł na wybrzeże i skierował się ku komorze celnej. To tutaj wsadzono go niegdyś do łodzi. Teraz przepływał tędy jakiś stateczek spacerowy z płóciennym baldachimem. Monte Christo zawołał do właściciela, a ów natychmiast podpłynął ku niemu, wyczuwając nadarzającą się okazję.

Pogoda była prześliczna, wprost wymarzona do przejażdżki. Czerwone, płomienne słońce schodziło coraz niżej ku falom żarzącym się w blasku jego promieni. Gładką niczym lustro powierzchnię morza z rzadka wzruszały ryby, które z obawy przed jakimś ukrytym nieprzyjacielem, wyskakiwały ponad powierzchnię wody, by w innym żywiole szukać schronienia. Na horyzoncie dostrzec można było małe i wdzięczne jak mewy łódeczki rybackie zmierzające ku Martigues i większe nieco statki handlowe wiozące towar na Korsykę i do Hiszpanii.

Na nic się jednak zdało piękne niebo, na nic wdzięczne sylwetki łódek, na nic owo światło, złocące swym blaskiem cały pejzaż; hrabia, szczelnie owinięty płaszczem, przywoływał kolejno każdy szczegół straszliwej podróży, którą odbył dwadzieścia cztery lata temu: pojedyncze, samotne światełko płonące w katalońskiej wiosce, widok zamku If, który uświadomił mu, dokąd go wiodą, walkę ze strażnikami, gdy chciał rzucić się w morze, rozpacz, gdy już został pokonany i lodowaty dotyk lufy karabinu, którą przyłożono mu do skroni. I na podobieństwo owych źródeł, które — wyschnięte latem — z nadejściem jesiennych deszczów zaczynają kropla po kropli wzbierać, by pewnego dnia na nowo wytrysnąć, hrabia poczuł, że w jego piersi ponownie zaczyna sączyć się żółć, która niegdyś wypełniała całe jego serce.

Nie widział już ani pięknego nieba, ani wdzięcznych łódeczek, ani płomiennego słońca. Niebo zasnuło się kirem[1437], a widok czarnego olbrzyma, zwanego zamkiem If, przejął go drżeniem, jak gdyby stanęła przed nim nagle zjawa śmiertelnego wroga.

Był na miejscu.

Hrabia cofnął się instynktownie na drugi koniec łodzi.

Na próżno przewoźnik mówił do niego uprzejmie:

— Przybijamy do brzegu, proszę pana...

Monte Christo przypomniał sobie, że w tym miejscu i na tej samej skale strażnicy wywlekli go brutalnie z łodzi i zmusili go, by szedł w górę, dźgając go w krzyż bagnetem.

Powrót, Wspomnienia

Droga, niegdyś tak długa dla Dantesa, Monte Christowi wydała się dziś krótka; wiosła rozpryskiwały fale, unosząc w powietrze wodny pył i rozniecając w nim jakby tysiące myśli i wspomnień.

Od rewolucji lipcowej nie było już więzienia w zamku If. Znajdował się tu jedynie posterunek straży celnej. Przy bramie dawnego więzienia na ciekawych czekał odźwierny, by pokazać im w środku ten przybytek grozy, który dziś był już tylko zwykłą osobliwością. Hrabia wiedział o tym wszystkim. Ale gdy tylko wszedł do środka, gdy zaczął schodzić po ciemnych schodach, gdy znalazł się w lochach, które zapragnął zobaczyć, twarz powlekła mu śmiertelna bladość, a czoło zrosiło się zimnym potem. Zapytał, czy nie pozostał jeszcze jakiś dozorca więzienny z czasów Restauracji. Wszyscy jednak przeszli na emeryturę albo znaleźli jakieś inne zajęcie. Odźwierny zaś, który go oprowadzał, pracował tu dopiero od 1830 roku.

Wprowadził hrabiego do jego własnej celi. Ujrzał znajome blade światło, sączące się przez szparę okienka. Ujrzał miejsce, gdzie stało niegdyś łóżko i tuż obok ślad po otworze,

[1437] *kir* — czarna, żałobna zasłona. [przypis edytorski]

który wydrążył ksiądz Faria. Choć sam otwór zamurowano, fragment muru, gdzie kiedyś się znajdował, wciąż się wyróżniał — kamienie miały tu inny kolor.

Pod hrabią ugięły się nogi. Przysiadł na zydlu.

— Krążą może jakieś opowieści o tym zamku? Poza tą o uwięzieniu Mirabeau[1438]? — zapytał. — Jakieś historie związane z tymi ponurymi miejscami? Aż trudno uwierzyć, że ludzie mogli kiedykolwiek zamykać tu bliźnich.

— Tak, proszę pana — rzekł odźwierny — i dozorca Antoni opowiedział mi nawet jedną historię o tej właśnie celi.

Monte Christo zadrżał. Antoni był jego dozorcą. Hrabia prawie zapomniał, jak wyglądał i jak się nazywał — ale samo brzmienie tego imienia wystarczyło, by ujrzał go jak żywego: twarz obrośnięta brodą, ciemna bluza, pęk kluczy — niemal słyszał, jak brzęczą. Odwrócił się i wydało mu się, że widzi go w mroku zalegającym w korytarzu, spotęgowanym jeszcze przez światło pochodni, którą odźwierny trzymał w ręku.

— Chce pan posłuchać tej historii? — zapytał odźwierny.

— Tak, mówcie — rzekł Monte Christo.

I przerażony, że ma usłyszeć o własnych dziejach, przyłożył rękę do piersi, by powstrzymać gwałtowne bicie serca.

— Bardzo dawno temu — zaczął odźwierny — w celi tej osadzono pewnego bardzo niebezpiecznego więźnia, tym niebezpieczniejszego, że jak powiadają, człowiek ten był niezwykle przemyślny. W tym samym czasie przebywał tu także drugi więzień. Ten to wcale nie był zły. Po prostu biedny, obłąkany ksiądz.

— Hm, obłąkany — powtórzył Monte Christo. — A na czym to szaleństwo polegało?

— Ofiarował miliony, gdyby ktoś zechciał go stąd wypuścić.

Monte Christo wzniósł oczy ku górze, ale nie dojrzał tam nieba, bo dzieliła go od niego kamienna zasłona sklepienia. Pomyślał, że równie nieprzenikniony kamień zasłaniał oczy tym, którym ksiądz Faria składał swoje propozycje.

— Czy więźniowie mogli się widywać? — zapytał Monte Christo.

— Ależ skąd, było to surowo zabronione. Ale oni ominęli ów zakaz drążąc w ścianie korytarz, który łączył obie cele.

— A który wpadł na pomysł, by wydrążyć ten korytarz?

— O, na pewno ten młody! Był przemyślny i silny, a biedny ksiądz stary i słaby, no i jeszcze zbyt niedomagał na umyśle, by mógł doprowadzić do końca jakikolwiek plan.

— Ślepcy! — szepnął do siebie Monte Christo.

— W każdym razie — ciągnął odźwierny — młodszy wydrążył podkop. Jak? Tego nie wiadomo. Dość, że to zrobił, czego dowodem może być ślad, który ciągle jeszcze widać. O tu, proszę spojrzeć.

I zbliżył pochodnię do muru.

— Rzeczywiście — rzekł hrabia głosem przytłumionym z wzruszenia.

— No i obaj więźniowie mogli się widywać. Jak długo to trwało? Także nie wiadomo. Pewnego jednak dnia staruszek zachorował i umarł. Zgadnij pan, co zrobił młodszy?

— Powiedzcie.

— Przeniósł trupa do własnej celi, położył go w łóżku twarzą do ściany, sam zaś wrócił do pustej celi, zakrył dziurę i wsunął się do worka, przeznaczonego dla zmarłego. No i co, słyszał pan kiedyś o czymś podobnym?

Monte Christo przymknął oczy i raz jeszcze poczuł wszystko to, czego doświadczył, gdy jego twarz zetknęła się z szorstkim płótnem, przenikniętym zimnem trupa. Odźwierny mówił dalej.

— A zamiar miał taki. Sądził, że w zamku If umarłych się grzebie w ziemi. Dobrze się domyślał, że nikt by się nie wykosztowywał na trumnę dla więźnia, i liczył, że uda mu się własnymi rękoma odwalić ziemię. Na nieszczęście w twierdzy istniał obyczaj, który uniemożliwił mu wykonanie tego zamiaru. Umarłych nikt tu nie grzebał. Przywiązywali im po prostu kulę do nóg i wrzucali do morza. I tak też się stało. Naszego więźnia wrzucono z krużganka do wody. Nazajutrz znaleziono prawdziwego trupa i wszystko się wydało — bo grabarze wyznali to, czego wpierw nie śmieli powiedzieć: że gdy wyrzucili

[1438] *Mirabeau, Honoré Gabriel Riqueti de* (1749–1791) — ważny polityk rewolucji fr., członek Stanów Generalnych, przewodniczący Zgromadzenia Narodowego, pisarz. [przypis edytorski]

zwłoki, usłyszeli przeraźliwy krzyk, zaraz potem zduszony przez fale, które pochłonęły więźnia.

Hrabia westchnął ciężko; z czoła spływał mu pot, serce ściskał mu ból.

— Tak — szepnął do siebie — tak, te wątpliwości, które czułem, były tylko początkiem zapomnienia, ale tutaj serce znów zaczyna krwawić, znów zaczyna łaknąć zemsty.

— I co, nigdy potem — zapytał głośno — nie słyszeliście już o tym więźniu?

— E, nie. Rozumiesz pan, jedno z dwojga: albo spadł na płask, a że leciał z wysokości pięćdziesięciu stóp, to i zabił się od razu...

— Mówiliście, że przywiązano mu do nóg kulę, a więc powinien był lecieć pionowo.

— Albo też upadł właśnie nogami w dół, a wtedy ciężar pociągnął go na dno i tam spoczął na wieki, biedaczek...

— Żal wam go?

— A tak, chociaż wrócił w swój żywioł. Chodziły pogłoski, że ten biedak był niegdyś oficerem marynarki, a uwięziono go za bonapartyzm.

— O, prawdo — szepnął hrabia. — Bóg cię stworzył, abyś ulatywała ponad fale i płomienie. Tak więc biedny marynarz żyje jeszcze w pamięci kilku gawędziarzy; powtarzają jego straszliwą historię wieczorem przy kominku i dreszcz przejmuje słuchaczy w chwili, gdy nieszczęsny spada w dół i zakrywają go fale.

— A nie wiadomo, jak się nazywał? — zapytał głośno.

— E, skąd byśmy to mieli wiedzieć — odparł odźwierny. — Znaliśmy go tylko jako numer trzydzieści cztery.

— Villefort! Villefort! — wyszeptał Monte Christo. — Musiałeś to sobie nieraz powtarzać, gdy moje widmo niepokoiło cię w bezsenne noce.

— Jaśnie pan chciałby jeszcze odwiedzić inne lochy? — zapytał odźwierny.

— O tak, zwłaszcza jeśli pokażecie mi celę tego biednego księdza.

— A, numer dwadzieścia siedem?

— Tak, dwadzieścia siedem — powtórzył Monte Christo.

I wydało mu się znowu, że słyszy głos księdza Farii, gdy pytał o jego nazwisko, a ten odkrzyknął mu zza ściany swój numer.

— No to w drogę.

— Poczekajcie — rzekł Monte Christo. — Chciałbym jeszcze się tu porozglądać.

— O, dobrze się składa. Zapomniałem klucza od tamtej celi.

— To idźcie po klucz.

— Zostawię panu pochodnię.

— Nie, weźcie ją.

— Ale zostaniesz pan bez światła!

— Widzę w ciemności.

— No patrzcie, to tak jak on.

— Jaki znowu on?

— Numer trzydzieści cztery; mówią, że tak się przyzwyczaił do ciemności, że dojrzałby nawet szpilkę w najciemniejszym kącie lochu.

— Żeby do tego dojść, trzeba mu było dziesięciu lat — szepnął hrabia.

Odźwierny wyszedł, zabierając pochodnię.

Hrabia powiedział prawdę — zaledwie po kilku sekundach widział w ciemnościach jak w biały dzień. Rozejrzał się wokół i dopiero wtedy naprawdę rozpoznał swoją celę.

Pamięć, Wspomnienia, Więzień, Modlitwa

— Tak... — rzekł — to kamień, na którym zwykle siadywałem! To ślady moich pleców, którymi opierałem się o mur! To ślad mojej krwi, która popłynęła mi z czoła tego dnia, gdy chciałem sobie rozbić głowę o ścianę!... O, liczby... pamiętam... wyrysowałem je wtedy, gdy obliczałem wiek ojca, żeby się dowiedzieć, czy zastanę go jeszcze przy życiu... i wiek Mercedes, aby się przekonać, czy zastanę ją może jeszcze wolną... I gdy skończyłem te rachunki, błysnął mi nawet promyk nadziei... Bo nie liczyłem się ze śmiercią głodową i niewiernością!

I zaśmiał się gorzko. Ujrzał niczym we śnie trumnę ojca niesioną do grobu... i Mercedes, jak idzie do ołtarza.

Na innej ścianie rzucił mu się w oczy jakiś napis. Litery, wciąż jeszcze białe, kontrastowały z zielonkawym murem.

MÓJ BOŻE — przeczytał Monte Christo — ZACHOWAJ MNIE OD NIEPAMIĘCI.

— O, tak! — zawołał. — To jedyna modlitwa, jaką odmawiałem pod koniec. Już nie błagałem o wolność, błagałem o pamięć, bałem się, żeby nie oszaleć i nie zapomnieć. Boże, zachowałeś mi pamięć — i zapamiętałem. Dzięki ci, dzięki ci, Boże!

W tejże chwili na murach zamigotało światło pochodni — to powracał odźwierny.

Monte Christo wyszedł mu naprzeciw.

— Proszę za mną — rzekł odźwierny.

Nie musieli wychodzić na zewnątrz; podziemny korytarz prowadził prosto do drugiej celi.

Tu znowu hrabiego opadły myśli. Pierwszym, co spostrzegł, był zegar słoneczny na ścianie, za pomocą którego ksiądz Faria obliczał czas; zaraz potem jego wzrok padł na szczątki łóżka. Na ten widok ustąpił dręczący ból — serce hrabiego przepełniło się szczerą, serdeczną wdzięcznością. Z oczu spłynęły mu dwie łzy.

— Tutaj mieszkał ksiądz wariat — odezwał się odźwierny — a tędy wchodził do niego więzień trzydzieści cztery.

I pokazał hrabiemu otwór w ścianie, którego z tej strony nie zamurowano.

— Jeden uczony poznał po kolorze kamienia, że więźniowie spotykali się przez dziesięć lat. Biedacy, ależ musieli się nudzić!

Dantès wyjął z kieszeni kilka ludwików i wsunął je w rękę temu człowiekowi, który już po raz drugi, choć go nie znał, użalił się nad nim. Odźwierny przyjął, sądząc, że to drobne; ale przy blasku pochodni przekonał się, jaką sumę otrzymał w rzeczywistości.

— Wielmożny panie, pomylił się pan.

— Jak to?

— Dał mi pan złoto.

— Wiem.

— I tyle mi pan chciał dać?

— Tak.

— I mogę je zatrzymać z czystym sumieniem?

— Tak.

Odźwierny spojrzał ze zdumieniem na Monte Christa.

— Możecie je uczciwie zatrzymać — zapewnił hrabia.

— Wielmożny panie — powiedział odźwierny, nie dowierzając jeszcze własnemu szczęściu — nie pojmuję hojności pana.

— A jednak, przyjacielu, łatwo można ją pojąć — odrzekł hrabia. — Byłem marynarzem, twoja opowieść wzruszyła mnie bardziej niż kogokolwiek innego.

— Skoro jest pan taki hojny, to dostanie pan coś za to ode mnie.

— A cóż ty mi możesz, przyjacielu, ofiarować? Muszle, wyroby ze słomy? Dziękuję ci.

— Nie, wcale nie. To coś, co ma związek z historią, którą opowiedziałem.

— Naprawdę? — wykrzyknął hrabia. — Cóż to takiego?

— Proszę posłuchać, bo było tak... Powiedziałem sobie: zawsze można coś znaleźć w celi więźnia, który tu był piętnaście lat — i zacząłem ostukiwać mury.

— Ach! — zawołał hrabia, przypominając sobie o skrytce księdza.

— Długo to trwało, aż odkryłem, że dudni coś przy wezgłowiu łóżka i w palenisku...

— Tak — rzekł Monte Christo — tak...

— Odwaliłem kamienie i znalazłem...

— Sznurową drabinkę i narzędzia? — wykrzyknął hrabia.

— Ale skąd pan wie? — zdumiał się odźwierny.

— No, tylko się domyślam. Przecież właśnie takie rzeczy znajduje się zazwyczaj w skrytkach więźniów.

— Tak, wielmożny panie: to była sznurowa drabinka i narzędzia.

— I macie to jeszcze? — zawołał Monte Christo.

— Nie, już nie. Sprzedałem to wszystko zwiedzającym, bo rzeczywiście to były ciekawe rzeczy. Ale zostało mi coś innego.

— Cóż takiego? — spytał hrabia, drżąc z niecierpliwości.

— Ta niby książka pisana na kawałkach płótna.

— Och! Została ci ta książka?

— Nie wiem, czy to książka, ale w każdym razie to mam.

— Idź po nią zaraz, mój dobry człowieku!

I dodał ciszej:

— A jeżeli to to, o czym myślę, nie pożałujesz.

— Już biegnę, wielmożny panie.

I odźwierny wybiegł. Hrabia ukląkł nabożnie przy szczątkach łóżka, z którego śmierć uczyniła dla niego ołtarz.

— O mój drugi ojcze! Ty, który mi dałeś wolność, wiedzę i bogactwo! Ty, który wiedziałeś, co dobre, a co złe, jakbyś należał do istot wyższego rzędu! Jeżeli umarli potrafią nas dosłyszeć, jeżeli tam, gdzie kochali i cierpieli, pozostaje po nich coś i unosi się w powietrzu, powiedz mi, szlachetny, najdoskonalszy człowieku, daj mi jakikolwiek znak, powiedz mi w imię tej miłości ojcowskiej, jaką do mnie żywiłeś, i w imię szacunku, jakim cię darzyłem niczym syn, czy mogłem tak uczynić? Zabierz ode mnie resztkę wątpliwości, bo jeśli nie, staną mi się wyrzutem.

Hrabia pochylił głowę i złożył ręce.

— Mam, wielmożny panie! — odezwał się ktoś.

Monte Christo zadrżał i odwrócił się. Odźwierny podawał mu pasma płótna, na których ksiądz spisał skarby swojej wiedzy. Był to rękopis dzieła o zjednoczeniu Włoch pod jednym berłem.

Hrabia porwał je chciwie i jego wzrok padł od razu na epigraf[1439]:

> Powiedział Pan: wyrwiesz zęby smokowi i zdepczesz lwa[1440].

— Ach! — zawołał. — To odpowiedź! Dzięki ci, ojcze! Dzięki!

I wyjąwszy z pugilaresu dziesięć banknotów, po tysiąc franków każdy, rzekł:

— Masz, weź ten pugilares.

— Daje mi to pan?

— Tak, ale pod warunkiem, że nie zajrzysz do środka, póki nie odjadę.

I schowawszy na piersi odnalezioną relikwię, która nie miała dla niego ceny, wybiegł z podziemi i wsiadł do łodzi.

— Do Marsylii! — powiedział.

A odpływając, dodał, utkwiwszy wzrok w ponurym więzieniu:

— Biada tym, którzy zamknęli mnie w tych ponurych lochach, i tym, którzy zapomnieli, że tam jestem!

Przepływając naprzeciw wsi katalońskiej, odwrócił się, naciągnął na głowę kaptur i wyszeptał imię kobiety.

Zwycięstwo było zupełne — hrabia po dwakroć pokonał wątpliwości.

Imię, które wymówił z taką czułością, że pobrzmiewała w niej niemal miłość, było imieniem Hayde.

Dobiwszy do brzegu, Monte Christo poszedł na cmentarz, gdzie spodziewał się zastać Morrela. I on dziesięć lat temu szukał tu nabożnie pewnego grobu — ale szukał na próżno. On, co wracał do Francji z milionami, nie mógł odnaleźć grobu ojca zmarłego z głodu. Morrel postawił na nim wprawdzie krzyż, ale krzyż przewrócił się i grabarz zabrał go na podpałkę, jak to mają w zwyczaju robić wszyscy grabarze z drewnem walającym się na cmentarzu. Czcigodny kupiec miał więcej szczęścia: umarł wśród swoich dzieci, przeto pochowano go obok żony, która wyprzedziła go w podróż do wieczności o dwa lata. Dwie płyty z marmuru, na których wyryto nazwiska, leżały obok siebie, otoczone żelazną balustradą, ocienione czterema cyprysami.

Maksymilian opierał się o jeden z cyprysów i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w groby. Cierpiał tak głęboko, że graniczyło to z obłędem.

— Maksymilianie — rzekł hrabia — to nie tam trzeba patrzeć, ale tam.

I wskazał na niebo.

— Umarli są wszędzie — odparł Morrel. — Przecież sam mi pan tak mówiłeś, gdy mi kazałeś wyjechać z Paryża.

[1439] *epigraf* — tu: motto, krótka myśl zamieszczana przed utworem. [przypis edytorski]

[1440] *wyrwiesz zęby smokowi i zdepczesz lwa* — niedokładny cytat z Biblii (Ps 91:13). [przypis edytorski]

— Maksymilianie, powiedziałeś mi, że chciałbyś zatrzymać się na parę dni w Marsylii. Nadal tego pragniesz?

— Kochany hrabio, ja już niczego nie pragnę, zdaje mi się tylko, że w Marsylii byłoby mi mniej ciężko czekać.

— Tym lepiej, Maksymilianie, bo muszę cię opuścić, ale nie zapomnij, trzymam cię za słowo!

— O, zapomnę, hrabio, zapomnę.

— Nie, nie zapomnisz, bo przede wszystkim jesteś człowiekiem honoru, przysiągłeś i przysięgniesz mi jeszcze teraz.

— Hrabio, miejże nade mną litość! Jestem nieszczęśliwy!

— Znałem człowieka nieszczęśliwszego niż ty.

— Niemożliwe.

— Niestety tak. Pyszna natura ludzka ma to do siebie, że człowiek zawsze się uważa za nieszczęśliwszego od bliźniego, który cierpi tuż obok.

— Czy można być nieszczęśliwszym od człowieka, który stracił kogoś, kogo kochał najbardziej w świecie?

— Posłuchaj i zastanów się dobrze choć chwilę nad tym, co ci powiem. Znałem człowieka, który jak ty wszystkie swoje nadzieje i szczęście pokładał w kobiecie. Był to człowiek młody, miał starego ojca, którego kochał, i narzeczoną, którą ubóstwiał. Już ją miał poślubić, gdy nagle jeden z tych przypadków, które na chwilę każą nam zwątpić o dobroci Boga, ot, kaprys losu — odebrał mu wolność, narzeczoną, wymarzoną przyszłość i pogrążył go na dno więziennego lochu.

— Tak, ale z więzienia wychodzimy po tygodniu, miesiącu, po roku...

— Był tam czternaście lat — rzekł hrabia, kładąc rękę na ramieniu młodzieńca.

Maksymilian zadrżał.

— Czternaście lat!... — wyszeptał.

— Czternaście lat — powtórzył hrabia. — Ileż to razy w ciągu tych lat ogarniała go rozpacz... On też, tak jak ty, uważał się za najnieszczęśliwszego z ludzi i chciał popełnić samobójstwo.

— I cóż się stało?

— W ostatniej chwili Bóg uratował go, objawiając mu się w człowieku — bo Bóg nie czyni już cudów. Może w pierwszej chwili nie zrozumiał miłosierdzia Pana, bo wzrok przesłaniały mu łzy, ale w końcu uzbroił się w cierpliwość i czekał. Pewnego dnia cudem wyszedł z grobu, odmieniony, bogaty, potężny niemal jak Bóg. Zawołał natychmiast: ojcze! Ale jego ojciec już nie żył.

— Mój ojciec też nie żyje.

— Tak, ale twój ojciec umarł w twoich ramionach, kochany, szczęśliwy, otoczony szacunkiem, bogaty, przeżywszy w pełni swoje życie. Jego ojciec umarł w nędzy, w rozpaczy, wątpiąc o Bogu, a kiedy po dziesięciu latach syn próbował odnaleźć jego grób, nawet tego grobu już po nim nie było i nikt nie mógł mu powiedzieć: tu spoczywa w Panu serce, co tak cię kochało.

— Och! — szepnął Morrel.

— A więc był nieszczęśliwszy od ciebie, bo nie mógł nawet znaleźć grobu ojca.

— Ale przynajmniej pozostała mu kobieta, którą kochał.

— Mylisz się. Ta kobieta...

— Umarła? — zawołał Maksymilian.

— Gorzej. Nie dochowała wiary. Wyszła za jednego z tych, którzy byli sprawcami nieszczęścia jej narzeczonego. Widzisz sam, że ten człowiek był i w tej kwestii nieszczęśliwszy od ciebie.

— I Bóg zesłał pocieszenie temu człowiekowi?

— Zesłał mu przynajmniej spokój.

— I ten człowiek będzie jeszcze może kiedyś szczęśliwy?

— Wciąż ma nadzieję.

Młodzieniec spuścił głowę.

— Obiecuję panu — rzekł wreszcie po chwili milczenia i podał hrabiemu rękę — ale niech pan pamięta...

— Piątego października czekam na ciebie na wyspie Monte Christo. Czwartego zabierze cię z portu w Bastii jacht o nazwie „Eurus". Wystarczy, że powiesz swoje nazwisko kapitanowi, a on zawiezie cię do mnie. Słowo honoru?

— Słowo honoru. Ale niech pan pamięta, że piątego...

— Dzieciak jesteś, jeśli nie wiesz, co to jest obietnica mężczyzny... Powiedziałem ci ze dwadzieścia razy, że tego dnia, jeżeli nadal będziesz chciał umrzeć, sam ci dopomogę. Bywaj zdrów!

— Opuszczasz mnie, hrabio?

— Muszę, mam sprawę we Włoszech. Zostawiam cię tu samego w walce z nieszczęściem, samego z tym orłem o potężnych skrzydłach, którego Pan zsyła swoim wybrańcom, aby Mu ich przyniósł do stóp. Cała ta historia o Ganimedesie[1441] to nie bajka, ale alegoria.

— Kiedy pan odjeżdża?

— Natychmiast. Czeka na mnie parowiec, za godzinę już będę daleko. Odprowadzisz mnie do portu?

— Zrobię wszystko, co mi pan każe.

— No to uściskaj mnie.

Morrel odprowadził hrabiego do portu.

113. PEPPINO

W chwili, gdy statek parowy hrabiego znikał za Przylądkiem Morgiou, pewien człowiek, jadący karetką pocztową z Florencji do Rzymu, mijał właśnie miasteczko Aquapendente.

W klapie palta, na którym znać było wyraźnie trudy podróży, lśniła wciąż świeżością wstążeczka Legii Honorowej, zdobiąca również i frak. Odznaczenie to, a jeszcze bardziej akcent, z jakim zwracał się do pocztyliona, zdradzały, że jest Francuzem.

Jeszcze jednym dowodem na to, że urodził się w kraju uniwersalnego języka, był fakt, że znał po włosku jedynie słowa związane z muzyką — ale za ich pomocą można jednak wyrazić niemal wszystkie subtelności języka; w taki właśnie sposób Figaro[1442] stosował angielskie *goddam*[1443].

— *Allegro*[1444]! — mówił do pocztylionów za każdym razem, kiedy podjeżdżali pod górę.

— *Moderato*[1445]! — wołał, gdy zjeżdżali w dół.

A tylko Bóg jeden wie, ile jest wzniesień na trakcie, który wiedzie z Florencji do Rzymu przez Aquapendente!

Owe dwa słowa śmieszyły bardzo poczciwych pocztylionów.

Po przybyciu do Storty, miejsca, z którego można już dostrzec Rzym, podróżny bynajmniej nie okazał ciekawości sprawiającej, że każdy cudzoziemiec podrywa się tu z siedzenia, by wypatrzyć słynną kopułę Świętego Piotra, która rysuje się na horyzoncie, zanim widać jeszcze resztę miasta. Wydobył tylko z kieszeni pugilares, a z niego złożoną w czworo kartkę papieru, którą rozłożył z pełną szacunku ostrożnością, i ponownie pieczołowicie złożył. Rzekł do siebie:

— No, jest.

Powóz przejechał przez bramę del Popolo, skręcił w lewo i zatrzymał się przed Hotelem Londyńskim.

Na progu przywitał podróżnego nasz stary znajomy, imć Pastrini. Podróżny wysiadł, kazał sobie podać dobry obiad i spytał o siedzibę firmy Thomson i French. Wskazano mu ją od razu, był to bowiem jeden z najbardziej znanych w Rzymie banków. Znajdował się na via dei Banchi, tuż przy Świętym Piotrze. W Rzymie, jak też i wszędzie, przybycie pocztowej karety jest swego rodzaju wydarzeniem.

[1441] *Ganimedes* (mit. gr.) — królewicz trojański, ukochany przez Zeusa, który porwał go na Olimp i uczynił podczaszym bogów. [przypis edytorski]

[1442] *Figaro* — obdarzony błyskotliwą inteligencją, energiczny i sprytny służący hrabiego Almavivy, bohater komedii Pierre'a Beaumarchais, spopularyzowanych przez opery Rossiniego i Mozarta. [przypis edytorski]

[1443] *goddam* (ang., wulg.) — cholera. [przypis edytorski]

[1444] *allegro* (muz., wł.: radośnie) — tempo wykonywania utworu w muzyce: wesoło, żywo. [przypis edytorski]

[1445] *moderato* (muz., z wł.) — tempo wykonywania utworu w muzyce: umiarkowanie. [przypis edytorski]

Karecie i podróżnemu przypatrywało się z dziesięciu młodziutkich potomków Mariusza[1446] i Grakchów[1447], bosonogich, z dziurami na łokciach, ale za to w malowniczych pozach — jedna ręka na biodrze, druga wdzięcznie wygięta nad głową, palce zanurzone we włosach. Do uliczników dołączyła się zgraja pięćdziesięciu gapiów, od których aż roi się w Państwie Kościelnym — takich, co to zabawiają się przeważnie pluciem do Tybru z mostu Świętego Anioła — jeśli akurat w Tybrze jest woda.

Ponieważ rzymscy ulicznicy i gapie, szczęśliwsi od tych z Paryża, rozumieją wszystkie języki, a już na pewno język francuski, dowiedzieli się, że podróżny zażądał apartamentu, obiadu i spytał też o adres firmy Thomson i French.

W rezultacie, gdy podróżny wyszedł z hotelu w towarzystwie obowiązkowego tutaj *cicerone*, od grupy ciekawskich oderwał się pewien człowiek i podążył za nimi w niewielkiej odległości, śledząc ich tak zręcznie, jak by to zrobił agent paryskiej policji — nie zauważył go ani podróżny, ani *cicerone*.

Francuz tak się spieszył do banku Thomson i French, że nawet nie poczekał, aż do powozu hotelowego zostaną zaprzęgnięte konie. Kareta miała dogonić ich w drodze lub poczekać przed bramą banku.

Ostatecznie dotarli na miejsce pieszo. Francuz wszedł, pozostawiając przewodnika w przedsionku. *Cicerone* natychmiast wdał się w rozmowę z paroma podobnymi sobie wolnymi strzelcami, którzy jako ludzie „tysiąca przemysłów" wystają w Rzymie przed bankami, kościołami, ruinami, muzeami i teatrami.

Tuż za Francuzem wszedł także ów człowiek, który odłączył się od tłumu ciekawskich. A gdy Francuz zadzwonił do biura i wszedł do pierwszego pokoju, jego cień podążył za nim.

— Czy mógłbym się widzieć z panami Thomson i French? — spytał cudzoziemiec.

Na znak zaufanego komisanta, który zajmował pierwsze biuro, wstał ni to lokaj, ni to strażnik.

— Kogo mam zaanonsować? — spytał, kierując się ku drzwiom.

— Barona Danglarsa — odpowiedział podróżny.

— Pan pozwoli — rzekł strażnik.

Otwarły się drzwi; strażnik i baron znikli za nimi.

Człowiek, który wszedł za Danglarsem, usiadł na ławce przeznaczonej dla czekających w kolejce interesantów. Komisant nie przerywał pisania jeszcze przez jakieś pięć minut; w tym czasie nieznajomy siedział nieruchomo, nic nie mówiąc. Pióro komisanta przestało w końcu skrzypieć po papierze. Urzędnik podniósł głowę, rozejrzał się uważnie dookoła, a upewniwszy się, że mogą rozmawiać w cztery oczy, odezwał się:

— No, no, przyszedłeś, Peppino!

— Tak — odrzekł lakonicznie wyżej wzmiankowany.

— Zwęszyłeś coś ciekawego u tego grubasa?

— To nie nasza zasługa. Zostaliśmy uprzedzeni.

— O, to wiesz, czemu tu przyszedł? Ciekawe!

— Do licha, przyszedł po forsę. Trzeba się tylko dowiedzieć, o jaką sumę chodzi.

— Zaraz się dowiesz, ptaszyno.

— Świetnie. Ale z łaski swojej nie udzielaj mi znów fałszywych informacji, jak wtedy.

— O czymże mówisz? O tym Angliku, który zabrał od nas trzy tysiące dukatów?

— Nie, rzeczywiście miał trzy tysiące dukatów, i znaleźliśmy je. Chodzi mi o tego rosyjskiego księcia.

— No i?

— No i mówiłeś nam o trzydziestu tysiącach liwrów, a znaleźliśmy tylko dwadzieścia dwa.

— Źle szukaliście.

— Luigi Vampa przeszukał go osobiście.

[1446] *Mariusz*, właśc. *Gajusz Mariusz* (156–86 p.n.e.) — rzymski wódz i mąż stanu, przywódca stronnictwa ludowego (popularów), reformator armii rzym., zwycięzca wielu wojen. [przypis edytorski]

[1447] *Grakchowie* — rzym. bracia Tyberiusz Semproniusz Grakchus (ok. 162–133 p.n.e.) i Gajusz Semproniusz Grakchus (ok. 152–121 p.n.e.), trybuni ludowi, którzy przeprowadzili reformy prawa rolnego na rzecz ubogich obywateli; prześladowani przez przeciwników polit., obaj zginęli tragicznie podczas zamieszek. [przypis edytorski]

— W takim razie albo spłacił swoje długi...

— Rosjanin?

— Albo wydał te pieniądze.

— No, właściwie to możliwe.

— To pewne. Ale pójdę już do mojego obserwatorium, bo inaczej Francuz załatwi wszystko, a ja nie zdążę dowiedzieć się, jaka to suma.

Peppino kiwnął przytakująco głową i wyciągnąwszy różaniec z kieszeni, zaczął mamrotać jakąś modlitwę, podczas gdy komisant znikł za tymi samymi drzwiami, w które weszli wcześniej lokaj i baron.

Po jakich dziesięciu minutach komisant wrócił rozpromieniony.

— No i co? — spytał przyjaciela Peppino.

— Uwaga! Uwaga! — cieszył się komisant. — Sumka jest okrągła.

— Pięć, a może i sześć milionów, nieprawdaż?

— No tak... Wiesz, o jaką sumę chodzi?

— I jest to pokwitowanie jego ekscelencji hrabiego de Monte Christo.

— Znasz hrabiego?

— I jest to przelew, jaki otrzymał na Rzym, Wenecję i Wiedeń.

— Tak! — wykrzyknął komisant. — Ale skąd masz takie dokładne informacje?

— Mówiłem ci, że zostaliśmy wcześniej uprzedzeni.

— Więc dlaczego zwracasz się do mnie?

— Aby upewnić się, że to na pewno ten człowiek, o którego nam chodzi.

— To na pewno on... Pięć milionów... Ładna sumka, co, Peppino?

— O tak.

— My nigdy nie będziemy tyle mieć.

— Ale przynajmniej — odrzekł filozoficznie Peppino — dostaną nam się okrawki[1448].

— Ciii... Właśnie idzie!...

Komisant chwycił za pióro, a Peppino za swój różaniec. Gdy drzwi się otwarły, jeden pisał, drugi się modlił. Ukazał się rozpromieniony Danglars; bankier odprowadził go aż do drzwi.

Za Danglarsem wymknął się też i Peppino. Zgodnie z umową pojazd czekał na Danglarsa przed bankiem. *Cicerone* przytrzymywał otwarte drzwiczki. *Cicerone* to istota bardzo usłużna, którą można zatrudnić do wszystkiego. Danglars wskoczył do powozu, lekko niczym dwudziestoletni młodzieniec. *Cicerone* zatrzasnął drzwiczki i usiadł obok stangreta. Peppino usadowił się w tyle powozu.

— Jego ekscelencja życzy sobie zobaczyć katedrę Świętego Piotra? — spytał *cicerone*.

— A po jakiego diabła? — zdziwił się baron.

— No, żeby obejrzeć.

— Nie przyjechałem do Rzymu po to, żeby oglądać! — zawołał baron; i mruknął do siebie z pełnym chciwości uśmiechem: — Przyjechałem po pieniążki.

I dotknął pugilaresu.

— To gdzie jego ekscelencja pragnie jechać?

— Do hotelu.

— Casa Pastrini — rzekł *cicerone* do stangreta.

I powóz ruszył tak szybko jak najlżejszy faeton. Dziesięć minut później baron był już w swoim apartamencie, a Peppino usadowił się na ławce obok wejścia do hotelu, szepnąwszy wcześniej parę słów na ucho jednemu z potomków Mariusza i Grakchów, o których wspomnieliśmy na początku tego rozdziału. Dzieciak pobiegł co sił w nogach w stronę Kapitolu.

Danglars był zmęczony i senny. Położył się, włożył pugilares pod poduszkę i zasnął.

Peppino zaś miał trochę czasu do stracenia; zagrał więc w *morrę*[1449] z tragarzami, przegrał trzy talary i aby się pocieszyć, opróżnił butelkę orvieto.

Następnego dnia Danglars obudził się późno, choć spać poszedł wcześnie. Przez pięć czy sześć ostatnich nocy bardzo źle sypiał, jeśli w ogóle już spał.

[1448] *okrawki* — inaczej: skrawki. [przypis edytorski]

[1449] *morra* — wł. gra towarzyska polegająca na odgadywaniu liczb wskazywanych palcami; podobna do gry „Papier, kamień, nożyce". [przypis edytorski]

Zjadł obfite śniadanie i niezbyt, jak sam mówił, zainteresowany cudami Wiecznego Miasta, zamówił karetę pocztową na dwunastą. Nie wziął jednak pod uwagę w swoich obliczeniach formalności, jakich trzeba było dopełnić na policji, ani lenistwa poczmistrza. Konie przybyły dopiero na drugą, a *cicerone* dostarczył mu paszport z wizą dopiero o trzeciej. Wszystkie te przygotowania ściągnęły przed drzwi imć Pastriniego tłumek gapiów. Nie zabrakło też potomków Mariusza i Grakchów. Baron przeszedł triumfalnie wśród gapiów, którzy wołali do niego ekscelencjo, aby dostać *bajocco*[1450].

Danglars, jak wiadomo, wielki miłośnik lewicy, zadowalał się do tej pory tytułem barona i nigdy dotąd nie nazywano go ekscelencją. Tytuł ten tak mu teraz pochlebił, że rozdał z tuzin miedziaków całej tej hołocie, która chętnie nazwałaby go za drugi tuzin Waszą Książęcą Mością.

— Jak jedziemy? — spytał pocztylion po włosku.

— Na Ankonę — odpowiedział baron.

Imć Pastrini przetłumaczył pytanie i odpowiedź — i konie ruszyły galopem.

Danglars rzeczywiście zamierzał pojechać do Wenecji, gdzie chciał podjąć część pieniędzy, a następnie udać się do Wiednia i tam zrealizowałby resztę. Pragnął zamieszkać tam na stałe, gdyż zapewniano go, że Wiedeń to miasto uciech. Jechali już przez rzymską kampanię[1451]. Zaledwie ujechali trzy mile, zaczął zapadać zmierzch.

Danglars nie spodziewał się, że wyjazd nastąpi tak późno, inaczej zostałby w hotelu. Zwrócił się do pocztyliona z pytaniem, ile jeszcze do najbliższego miasta.

— *Non capisco*[1452] — odparł pocztylion.

Danglars kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć:

— No to dobrze.

Powóz pędził dalej.

— Na najbliższej poczthalterii[1453] — rzekł do siebie Danglars — każę mu się zatrzymać.

Nadal pozostała mu resztka wczorajszego dobrego samopoczucia, które sprawiło, że tak dobrze spał.

Rozwalił się na miękkich poduszkach wygodnej angielskiej kolaski o podwójnych resorach[1454]. Konie galopowały wspaniale. Na siódmej mili, jak wiedział, wypadała poczthalteria. Cóż można robić, gdy jest się bankierem i gdy się tak szczęśliwie zbankrutowało?

Danglars rozmyślał z dziesięć minut o żonie, którą zostawił w Paryżu, przez następne dziesięć o córce, która wałęsała się po świecie z panną d'Armilly. Kolejnych dziesięć minut przeznaczył na dumanie o swoich wierzycielach i o tym, jak wykorzysta ich pieniądze. W końcu, gdy nie miał już o czym myśleć, zamknął oczy i zapadł w sen.

Co jakiś czas otwierał na chwilę oczy, gdy kolaska zatrzęsła się na jakimś większym wyboju. Widział wtedy, że konie ciągle unoszą go w tym samym pędzie wciąż przez tę samą rzymską wieś, usianą zniszczonymi akweduktami, które przypominają skamieniałe granitowe olbrzymy zatrzymane w biegu.

Noc jednak była zimna, mroczna, dżdżysta i komuś tak rozespanemu jak Danglars było dużo przyjemniej drzemać na poduszkach, niż wystawiać przez okno głowę i pytać, gdzie są. Toć pocztylion umiał odpowiedzieć tylko *non capisco*.

Danglars obiecywał więc sobie, że obudzi się, gdy staną na najbliższej stacji, i drzemał dalej.

Pojazd zatrzymał się. Danglars pomyślał, że dotarli nareszcie do upragnionego celu.

Otwarł oczy i wyjrzał przez okno, myśląc, że są w jakimś mieście lub przynajmniej jakiejś wioszczynie, ale dostrzegł tylko samotną ruderę, a obok niej paru ludzi, którzy kręcili się tu i tam niczym cienie.

Danglars czekał na pocztyliona: pocztylion kończył tu swoją trasę i powinien jeszcze przyjść do niego po opłatę pocztową. Zamierzał też skorzystać z okazji i poprosić nowe-

[1450] *bajocco*, właśc. *baiocco* — wł. moneta o niewielkiej wartości. [przypis edytorski]

[1451] *kampania* — tu: wieś (z wł. *campagna*). [przypis edytorski]

[1452] *non capisco* (wł.) — nie rozumiem. [przypis edytorski]

[1453] *poczthalteria* (daw.) — stacja pocztowa, na której przeprzęgano konie. [przypis edytorski]

[1454] *resor* — element zawieszenia pojazdu, który osłabia wstrząsy w trakcie jazdy. [przypis edytorski]

go pocztyliona o kilka informacji. Lecz choć konie zostały wyprzęgnięte i zastąpiono je nowymi, nikt nie przyszedł do niego po opłatę.

Zdziwiony Danglars otworzył drzwiczki, ale czyjaś silna ręka zatrzasnęła je z powrotem i karetka pocztowa ruszyła w dalszą drogę.

Osłupienie do reszty rozbudziło barona.

— Ej! — krzyknął do pocztyliona — ej, *mio caro*[1455]!

Było to kolejne włoskie słowo zaczerpnięte z muzyki, które Danglars przyswoił sobie, gdy jego córka śpiewała duety z księciem Cavalcantim.

Lecz *mio caro* nie odpowiedział.

Danglars otwarł więc okno.

— Hej, przyjacielu, dokąd to jedziemy? — zawołał, wystawiwszy głowę.

— *Dentro la testa*[1456]! — wrzasnął ktoś rozkazująco i pogroził pięścią.

Danglars zrozumiał, że *dentro la testa* miało oznaczać „schowaj głowę". Robił, jak widać, szybkie postępy w nauce włoskiego.

Usłuchał niezbyt uspokojony, a ponieważ niepokój rósł w nim z minuty na minutę, po paru chwilach znikła jakoś owa pustka w głowie, co sprowadziła nań sen — gdyż w jego głowie aż zaroiło się od myśli, i to takich, które nie dałyby zasnąć nikomu, a co dopiero człowiekowi w takiej sytuacji, jak Danglars.

Gdy człowiek doznaje jakiejś silnej emocji, nagle wyostrzają mu się zmysły. Szybko jednak przychodzi znużenie i tracimy owe niezwykłe umiejętności. Nim ogarnie nas strach, widzimy rzeczy takimi, jakie są. Przerażeni wyolbrzymiamy je. A gdy strach już nas odejdzie, stają się mętne i niewyraźne. Wyostrzonym nagle wzrokiem Danglars ujrzał, że jakiś człowiek owinięty w pelerynę galopuje przy prawych drzwiczkach powozu.

— To żandarm — szepnął. — Czyżby donieśli o mnie przez telegraf władzom papieskim?

Zdecydował wyzbyć się niepewności.

— Gdzie mnie wieziecie? — spytał.

— *Dentro la testa*! — odpowiedział mu ten sam złowróżbny głos.

Danglars popatrzył w lewo. Z tej strony także jechał ktoś konno.

— Nie ma wątpliwości — powiedział sobie i pot zrosił mu czoło — złapali mnie.

I skulił się w kącie powozu; tym razem nie po to, by spać, lecz by przemyśleć sytuację.

Chwilę później wstał księżyc.

Popatrzył z głębi kolaski na zewnątrz: mijali ogromne akwedukty, owe kamienne zjawy, na które już wcześniej zwrócił uwagę. Ale tym razem zamiast po prawej, widział je po lewej stronie.

Zrozumiał, że powóz zawrócił i że wieziony jest z powrotem do Rzymu.

— O, ja nieszczęsny! — wymamrotał. — Pewnie uzyskali ekstradycję[1457].

Powóz pędził z zastraszającą szybkością. Upłynęła godzina, a była dla zbiega straszliwa: co chwila znajome widoki przekonywały go na nowo, że jechali z powrotem. W końcu ujrzał jakiś ciemny kształt i zdało mu się, że pędzący powóz rozbije się o ten mur. Powóz skręcił jednak i pojechał wzdłuż tej ciemnej ściany, która okazała się ni mniej ni więcej jak fortyfikacjami opasującymi Rzym.

— Oho! — mruknął Danglars. — Nie wjeżdżamy do Rzymu, czyli to nie wymiar sprawiedliwości mnie pochwycił. O Boże! A więc czyżby to...?

Włosy stanęły mu dęba. Przypomniał sobie owe ciekawe historie o rzymskich bandytach, przyjmowane w Paryżu z takim niedowierzaniem, które Albert de Morcerf opowiadał pani Danglars i Eugenii w czasach, gdy miał jeszcze zostać zięciem pierwszej i małżonkiem drugiej.

— Więc może to bandyci — szepnął.

Nagle powóz potoczył się po czymś twardszym; nie była to już piaszczysta droga. Danglars zaryzykował rzut oka najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Ujrzał budowle o dziwnych kształtach, a przypominając sobie w szczegółach opowieść Alberta, domyślił się, że są na via Appia. Na prawo widniała jakby dolina, a w niej półkoliste zagłębienie. Był to cyrk Karakalli. Jeździec z prawej krzyknął coś i powóz stanął.

[1455] *mio caro* (wł.) — mój drogi. [przypis edytorski]

[1456] *dentro la testa* (wł.) — tu: nie wychylać się. [przypis edytorski]

[1457] *ekstradycja* — wydanie przestępcy władzom państwa, w którym złamał on prawo. [przypis edytorski]

Niemal w tym samym momencie otwarły się drzwiczki z lewej strony.

— *Scendi*[1458] — rozkazał czyjś głos.

Danglars natychmiast wysiadł. Jeszcze nie mówił po włosku, ale już rozumiał. Półprzytomny ze strachu, rozejrzał się dookoła. Otoczony był przez czterech mężczyzn, nie licząc pocztyliona.

— *Di qua*[1459] — odezwał się jeden z mężczyzn, schodząc wąską ścieżką, która wiodła między rozpadliny kampanii rzymskiej.

Danglars podążył za przewodnikiem bez słowa protestu; nie musiał się odwracać, by mieć pewność, że za nim szli trzej pozostali mężczyźni.

Wydało mu się jednak, że co jakiś czas zatrzymywali się na chwilę po drodze, niczym wartownicy.

Po dziesięciu minutach marszu, podczas których Danglars nie zamienił ze swoim przewodnikiem ani słowa, znaleźli się przy niewielkim wzgórku, wśród wybujałych traw. Trzej mężczyźni stanęli wokół niego w milczeniu — stanowił środek trójkąta.

Chciał przemówić, lecz nie zdołał wydobyć z siebie głosu.

— *Avanti*[1460] — rozkazał ten sam stanowczy głos.

Tym razem Danglars zrozumiał natychmiast, słowo zostało bowiem poparte gestem: człowiek idący za nim popchnął go tak gwałtownie, że Danglars wpadł na przewodnika.

Przewodnikiem był nasz przyjaciel Peppino; pierwszy zanurzył się w wysokiej trawie i podążył ścieżyną tak wąską, że mogły ją znać chyba tylko jaszczurki i łasice. Zatrzymał się przed skałą, na której rósł gęsty krzak. Pod skałą był podłużny, wąski otwór; wyglądał jak półotwarta powieka. Młodzian zniknął w otworze, jak w naszych baśniach diabeł zapada się pod ziemię. Człowiek kroczący za Danglarsem zmusił go do pójścia w ślady przewodnika. Nie było wątpliwości: francuski bankrut miał do czynienia z rzymskimi bandytami. Czuł się tak, jakby wzięto go w dwa ognie; strach dodał mu odwagi.

Pomimo pokaźnego brzucha, baronowi udało się przecisnąć za Peppinem. Zsuwał się w dół z zamkniętymi oczyma. Otwarł je dopiero, gdy poczuł pod stopami grunt. Dalsza droga była szeroka, ale ciemna. Peppino nie troszczył się już o zachowanie ostrożności — był przecież u siebie; zapalił więc krzesiwem pochodnię.

Dwaj inni zeszli za Danglarsem, tworząc tylną straż. Popychając Danglarsa, jeśli zdarzyło mu się zatrzymać, zaprowadzili go lekko pochylonym w dół korytarzem do skrzyżowania korytarzy.

Widok był ponury. W murach z białego kamienia wydrążone były rzędy ciemnych nisz w kształcie trumien, niczym puste oczodoły trupich czaszek.

Wartownik zabrzęczał kółkami u rzemienia strzelby.

— Kto idzie? — zawołał.

— Przyjaciel! Przyjaciel! — odpowiedział Peppino. — Gdzie naczelnik?

— Tam — rzekł strażnik, wskazując za siebie. Była tam wielka sala wykuta w skale, z której przez wielkie półokrągłe otwory wpadało na korytarz światło.

— Niezła zdobycz, naczelniku, niezła zdobycz — krzyknął Peppino.

I biorąc Danglarsa za kołnierz, podprowadził go do otworu przypominającego drzwi, przez który wchodziło się do kwatery wodza.

— To ten? — spytał naczelnik, odrywając się od lektury *Żywotu Aleksandra* w księdze Plutarcha.

— Tak, ten, naczelniku.

— Wybornie, pokażcie mi go.

Na ten dość niegrzeczny rozkaz, Peppino zbliżył tak gwałtownie pochodnię do twarzy Danglarsa, że bankier odskoczył w popłochu, by nie opalić sobie brwi. Twarz miał wykrzywioną ohydnym strachem.

— Jest zmęczony — stwierdził herszt. — Zaprowadźcie go do łóżka.

— Oho — mruknął Danglars — to łóżko, to zapewne jedna z trumien, które tkwią w tym murze, a sen, jaki na mnie spłynie, to śmierć od jednego z tych sztyletów, widzę, jak błyskają w ciemnościach.

[1458] *scendi* (wł.) — wysiądź. [przypis edytorski]

[1459] *di qua* (wł.) — tędy. [przypis edytorski]

[1460] *avanti* (wł.) — naprzód, dalej. [przypis edytorski]

Istotnie, w mrokach owej wielkiej sali unosili się właśnie na posłaniach z siana lub wilczych skór kompani owego człowieka, którego Albert de Morcerf przyłapał przy lekturze *Komentarzy* Cezara, a Danglars przy *Żywocie Aleksandra*.

Bankier jęknął głucho i poszedł za przewodnikiem. Nie próbował błagać ani krzyczeć. Nie miał już sił, odeszła go wola, nie był w stanie myśleć. Szedł, ponieważ go ciągnięto. Potknął się o stopień i domyśliwszy się, że ma przed sobą schody, pochylił instynktownie głowę, by nie uderzyć czołem o strop. Znalazł się w celi wykutej w litej skale. Cela była czysta, naga i sucha, choć znajdowała się głęboko pod ziemią. W kącie leżało posłanie z siana nakrytego kozimi skórami. Dla Danglarsa był to znak, że jest ocalony.

— Chwała Panu — szepnął — to prawdziwe łóżko!

Już drugi raz w ciągu tej godziny zwracał się do Boga; nie zdarzyło mu się to od lat dziesięciu.

Przewodnik, wepchnąwszy Danglarsa do celi, zatrzasnął drzwi. Zazgrzytał rygiel: Danglars był więźniem.

A zresztą, gdyby nawet nie było tego rygla, sam tylko święty Piotr, i do tego ze swoim anielskim przewodnikiem, zdołałby przemknąć się wśród owego garnizonu, który okupował katakumby Świętego Sebastiana, dowodzony przez herszta, w którym nasi czytelnicy z pewnością rozpoznali Luigiego Vampę.

Danglars także już wiedział, kim jest ów bandyta, w którego istnienie nie chciał uwierzyć, gdy Morcerf próbował zaszczepić tę postać w świadomości Francuzów. Rozpoznał nie tylko Vampę: jego cela była celą, w której zamknięto Alberta. Najprawdopodobniej często goszczono tu cudzoziemców.

Wspomnienia te, do których powracał zresztą ze sporą radością, uspokoiły go. Jeśli bandyci nie zabili go od razu, wcale nie mieli zamiaru go zabijać. Porwali go, aby go obrabować, a ponieważ nie miał przy sobie nic prócz paru ludwików, wyznaczą za niego okup. Przypomniał sobie, że Morcerf został wyceniony chyba na cztery tysiące dukatów. Własnej osobie przypisywał dużo więcej wagi — i wycenił się sam na osiem tysięcy dukatów. Osiem tysięcy dukatów to czterdzieści osiem tysięcy liwrów. Zostanie mu jeszcze jakieś pięć milionów pięćdziesiąt tysięcy franków. Z taką sakiewką człowiek zawsze spadnie na cztery łapy.

I niemal już pewien, że się jakoś z tego wywinie — bo czy kto słyszał, żeby kogoś otaksowano[1461] kiedykolwiek na pięć milionów? — Danglars wyciągnął się na posłaniu i przekręciwszy się parę razy z boku na bok, zasnął z takim spokojem, jaki okazywał bohater, którego losy studiował Luigi Vampa.

114. MENU LUIGIEGO VAMPY

Po każdym śnie, jeśli nie jest to sen śmierci, następuje przebudzenie.

Dla paryżanina, przyzwyczajonego do jedwabnych zasłon, do ścian wybitych aksamitem, do zapachu drewna palącego się na kominku, zapachu, który spływa spod atłasowego baldachimu, przebudzenie w kredowej grocie musi być czymś w rodzaju złego snu.

Dotykając zasłon z koźlej skóry, Danglars musiał sądzić, że śni mu się coś o Samojedach[1462] lub Lapończykach. W podobnych okolicznościach wystarcza jednak sekunda, by największe wątpliwości zamieniły się w pewność.

— Tak, tak — szepnął — jestem w rękach bandytów, o których mówił nam Albert.

Odetchnął zaraz głęboko, aby upewnić się, czy nie jest ranny: był to sposób, na który natknął się w *Don Kichocie*[1463]. Nie była to jedyna książka, jaką przeczytał w życiu — ale z pewnością jedyna, z której coś zapamiętał.

— Nie — powiedział. — Nie zabili mnie ani nie zranili, ale może mnie okradli?

I szybko włożył ręce do kieszeni. Nikt w nich nic nie ruszał. Sto ludwików, które odłożył sobie na podróż z Rzymu do Wenecji, było wciąż w kieszeni jego spodni, a pugilares, w którym schował czek na pięć milionów franków leżał sobie w kieszeni surduta.

[1461] *taksować* — wyceniać, szacować. [przypis edytorski]

[1462] *Samojedzi* — grupa ludów zamieszkujących płn.-zach. Syberię. [przypis edytorski]

[1463] *Don Kichot* — powieść hiszp. autora Miguela de Cervantesa (1547–1616) o losach szlachcica, który pod wpływem romansów o czynach bohaterskich postanawia ruszyć w świat i wcielać w życie średniowieczny ideał rycerski. [przypis edytorski]

— A to osobliwi bandyci — powiedział do siebie. — Zostawili mi sakiewkę i pugilares... Tak jak myślałem wczoraj, gdy kładłem się spać, chcą za mnie okupu... O, jest i zegarek! Zobaczmy, która godzina.

Zegarek, arcydzieło Bregueta, który Danglars nakręcił starannie poprzedniego dnia, jeszcze przed wyjazdem, wydzwonił wpół do szóstej rano. Gdyby nie ten zegarek, nie miałby pojęcia, czy jest dzień, światło dzienne nie docierało bowiem do jego celi.

Czy powinien sam zapytać bandytów o wyjaśnienia? Czy też powinien czekać cierpliwie, aż oni się odezwą? Druga alternatywa była bezpieczniejsza: i Danglars czekał. Czekał aż do południa.

Przez cały ten czas pod drzwiami sterczał strażnik. O ósmej strażnik został zmieniony. Zauważył, że przez szpary w drzwiach przenika światło lampy. Przyłożył oko do jednej ze szpar właśnie w chwili, gdy bandyta pociągał łyk wódki ze skórzanego bukłaka. Bukłak wydzielał smród. Danglars otrząsnął się z obrzydzeniem.

— Fuj — mruknął i wycofał się w głąb celi.

W południe człowieka popijającego wódkę zastąpił inny wartownik. Danglarsa zdjęła ciekawość. Ponownie spojrzał przez szparę.

Był to bandyta o wyglądzie atlety, Goliat[1464] o wyłupiastych oczach, szerokich wargach, złamanym nosie i czerwonej czuprynie, pozlepiane kudły opadały mu na ramiona jak wijące się węże.

— O, ten przypomina bardziej ogra niż człowieka. W każdym razie jestem stary i dość łykowaty, choć gruby, tłuste i łykowate chyba by mu nie smakowało.

Jak widać, Danglars był wciąż jeszcze w nastroju do żartów. W tejże chwili, jakby na dowód, że nie jest ludożerczym ogrem, strażnik usiadł przodem do drzwi celi, wyciągnął z torby pajdę czarnego chleba, parę cebul, kawał sera i zaczął łapczywie je pochłaniać.

— Niech mnie diabli wezmą — wzdrygnął się Danglars rzucając okiem przez szparę na obiad bandyty — jeśli rozumiem, jak można jeść podobne świństwa.

I usiadł na koźlich skórach, których woń przypominała mu smród wódki poprzedniego strażnika. Danglars mógł sobie jednak mówić, co chciał — sekrety natury są niezbadane; ileż jest wymowy w zaproszeniu, jakie ślą najordynarniejsze nawet potrawy wygłodniałym żołądkom!

Danglars poczuł nagle, że ma pusto w żołądku; człowiek wydał mu się mniej brzydki, chleb mniej czarny, a ser świeższy. A zresztą te surowe cebule — obrzydliwa strawa, iście dla dzikusów — przypominały mu niektóre sosy od Roberta i sztukę mięsa, którą jego kucharz przyrządzał mu po mistrzowsku, gdy Danglars mówił mu: Panie Deniseau, proszę przyrządzić mi dzisiaj jakieś dobre świństewko.

Podniósł się i zastukał do drzwi. Bandyta podniósł głowę. Danglars zastukał ponownie.

— *Che cosa*?[1465] — spytał bandyta.

— Mój przyjacielu — rzekł Danglars, bębniąc palcami w drzwi — wydaje mi się, że czas, aby mi dano jeść!

Prawdopodobnie olbrzym nie zrozumiał lub nie miał rozkazów w kwestii wyżywienia Danglarsa, bo powrócił do swego obiadu. Duma Danglarsa poczuła się urażona; nie chcąc dłużej kompromitować się przed tym chamem, bankier położył się znów na swoich koźlich skórach i nie wypowiedział już ani słowa.

Minęły cztery godziny. Olbrzym został zastąpiony przez innego bandytę. Danglars, któremu żołądek aż skręcał się z głodu, podniósł się po cichu, przystawił oko do szpary w drzwiach i rozpoznał inteligentne oblicze przewodnika.

Peppino właśnie czynił przygotowania do tego, by warta upłynęła mu jak najprzyjemniej. Usadowił się twarzą do drzwi i wcisnął sobie między uda gliniany gar gorącej, pachnącej ciecierzycy, dobrze omaszczonej[1466] słoniną. Obok garnka Peppino położył jeszcze koszyczek winogron z Velletri[1467] i butelkę orvieto. Peppino stanowczo był smakoszem.

Na widok tych przygotowań kulinarnych Danglarsowi ślinka napłynęła do ust.

[1464] *Goliat* — postać biblijna, filistyński wojownik pokonany przez Dawida; przen. osoba wysoka i muskularna, siłacz. [przypis edytorski]

[1465] *che cosa?* (wł.) — co? [przypis edytorski]

[1466] *omaścić* — dodać do potrawy tłuszcz. [przypis edytorski]

[1467] *Velletri* — miejscowość we Włoszech, w regionie Lacjum. [przypis edytorski]

„No — pomyślał więzień — zobaczymy, czy ten będzie bardziej do rzeczy niż tamten".

I zastukał grzecznie do drzwi.

— Idę, idę — rzekł bandyta, który jako częsty gość hotelu Pastriniego przyswoił sobie w końcu francuski. I otworzył drzwi.

Danglars poznał, że to on krzyczał do niego rozkazująco: „Schować głowę!".

Nie był to jednak moment na wyrzuty. Przybrał więc swój najmilszy uśmiech i rzekł:

— Przepraszam pana, ale czy ja nie dostanę obiadu?

— Jak to?! — krzyknął Peppino. — Czyżby ekscelencja był przypadkiem głodny?

— Przypadkiem — mruknął Danglars — a to urocze. Nie jadłem już całą dobę. Ależ tak, proszę pana — dodał głośniej — jestem głodny i to bardzo.

— I ekscelencja chciałby coś zjeść?...

— Natychmiast, jeśli to tylko możliwe.

— Nic prostszego — odrzekł Peppino. — Można tu dostać wszystko, na co się ma ochotę, oczywiście za odpowiednią opłatą, jak to bywa zawsze u porządnych ludzi.

— Rozumie się — krzyknął Danglars — choć po prawdzie ludzie, którzy kogoś porywają i zamykają w celi powinni przynajmniej karmić swoich więźniów.

— O, ekscelencjo, nie mamy takiego zwyczaju.

— To niezbyt przekonywający argument — odrzekł Danglars, który liczył, że uda mu się przejednać strażnika uprzejmością — ale się nim zadowolę. Dajcie mi jeść.

— Natychmiast, ekscelencjo, czego pan sobie życzy? — rzekł Peppino, odłożywszy miskę na ziemi w taki sposób, że zapach wzniósł się prosto do nozdrzy Danglarsa. — Proszę rozkazywać.

— Więc macie tu kuchnię? — zdumiał się baron.

— Co proszę? Czy mamy kuchnię? Ależ wyborną i kucharzy wspaniałych.

— No to poproszę o kurczę, rybę, mięso... cokolwiek, bym tylko mógł coś zjeść.

— Jak sobie ekscelencja życzy. Powiedzmy kurczę, dobrze?

— Dobrze, niech będzie kurczę.

Peppino wstał i krzyknął na całe gardło:

— Kurczę dla ekscelencji!

Głos Peppina rozbrzmiewał jeszcze echem pod sklepieniami, gdy ukazał się piękny, wysmukły chłopak, półnagi niczym antyczny handlarz ryb. Niósł na głowie srebrny półmisek, a na nim kurczę.

— Jakbyśmy byli w Café de Paris — mruknął Danglars.

— Do usług, ekscelencjo — odparł Peppino, odbierając kurczaka z rąk młodego bandyty i kładąc go na spróchniałym stole, który stanowił wraz z zydlem i posłaniem z koźlich skór całe umeblowanie celi.

Danglars poprosił o nóż i widelec.

— Proszę, ekscelencjo — rzekł Peppino, podając nożyk o tępym czubku i bukszpanowy widelec.

Danglars wziął nóż i widelec i zabierał się do krojenia mięsa.

— Ekscelencja wybaczy — rzekł Peppino, kładąc rękę na ramieniu bankiera — u nas płaci się przed posiłkiem... Wychodząc od nas, klient mógłby okazać niezadowolenie.

„Ho, ho — pomyślał Danglars — to już nie tak jak w Paryżu, nie mówiąc o tym, że prawdopodobnie obedrą mnie ze skóry. Ale nie bądźmy drobiazgowi. No, toć zawsze słyszałem, że życie we Włoszech jest tanie, kurczak powinien kosztować w Rzymie nie więcej niż dwanaście su".

— Proszę! — rzekł, rzucając Peppinowi ludwika.

Bandyta podniósł pieniążek. Danglars zbliżył nóż do kurczaka.

— Chwileczkę, ekscelencjo — rzekł Peppino, prostując się — chwileczkę, ekscelencja jest mi jeszcze coś winien.

— A nie mówiłem, że obedrą mnie ze skóry! — mruknął Danglars.

A zdecydowany bronić się, spytał:

— No dobrze, ile jestem panu winien za tę wątłą ptaszynę?

— Ekscelencja dał ludwika zaliczki.

— Ludwika zaliczki za kurczę?

— No tak, *a conto*.

— Cudownie... E, dajżesz pan spokój!

— Ekscelencja jest mi dłużny jeszcze tylko cztery tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć ludwików.

Danglars otworzył szeroko oczy: to był jakiś olbrzymi żart.

— Hm, hm, naprawdę, bardzo śmieszne — wymruczał.

I już chciał się zabrać do krojenia kurczęcia, ale Peppino przytrzymał mu rękę i nadstawił dłoń w oczekiwaniu:

— Czekam — rzekł.

— Co? To pan nie żartuje? — zdziwił się Danglars.

— My nie żartujemy, ekscelencjo — odpowiedział Peppino, poważny niczym kwakier.

— Jak to, sto tysięcy franków za kurczę?

— Ekscelencja nie uwierzy, jak trudno hodować drób w tych przeklętych grotach.

— No, no — żachnął się Danglars — śmieszne, bardzo zabawne, naprawdę, ale chce mi się jeść i proszę dać mi spokój. O, macie tu jeszcze, przyjacielu, jednego ludwika.

— Teraz pański dług będzie wynosił tylko cztery tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem ludwików — rzekł Peppino, zachowując zimną krew. — Cierpliwości, dojdziemy do porozumienia.

— Jak tak, to nic z tego — zawołał Danglars oburzony tymi drwinami. — Idźcie do diabła. Nie wiecie, z kim macie do czynienia.

Peppino dał znak, chłopak błyskawicznie zabrał kurczę. Danglars rzucił się na posłanie ze skór.

Peppino zamknął drzwi i wrócił do swojej ciecierzycy.

Danglars nie mógł go widzieć, ale mlaskanie bandyty nie pozostawiało mu żadnych wątpliwości co do czynności, jakiej oddawał się bandyta. Bandyta jadł i to jadł głośno, jak jedzą ludzie źle wychowani.

— Cham — warknął Danglars.

Peppino udał, że nie słyszy i nie odwróciwszy nawet głowy, jadł sobie dalej, niespiesznie, jak to czynią ludzie rozumni.

Danglarsowi zdawało się, że żołądek jego zmienił się w beczkę Danaid[1468] i że nigdy nie będzie w stanie go napełnić. Zdobył się jednak na cierpliwość. Brał na cierpliwość jeszcze przez pół godziny, ale trzeba zaznaczyć, że owe pół godziny trwało dla niego wieki.

Podniósł się i podszedł ponownie do drzwi.

— Proszę pana — rzekł — proszę mnie dłużej nie męczyć! Czego ode mnie chcecie?

— Ależ ekscelencjo, niech pan nam raczej powie, czego sobie życzy... Proszę wydawać nam rozkazy, a my je wykonamy.

— Więc proszę najpierw otworzyć drzwi.

Peppino otworzył.

— Chcę... — rzekł Danglars — do diabła, ja chcę jeść!

— Co ekscelencja pragnąłby zjeść?

— Kawałeczek chleba, jeśli kurczęta w tych przeklętych grotach mają ceny z księżyca.

— Chleb... Dobrze — rzekł Peppino. — Ej tam, chleba! — krzyknął.

Chłopak przyniósł bułkę.

— Proszę — rzekł Peppino.

— Ile? — spytał Danglars.

— Cztery tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem ludwików, odliczając dwa ludwiki zaliczki.

— Jak to, sto tysięcy franków za chleb?

— Sto tysięcy franków — potwierdził Peppino.

— Ależ chciałeś pan tyle samo za kurczę!

— Nie podajemy *à la carte*[1469], ceny są stałe. Czy dużo się je, czy mało, czy zamawia się dziesięć dań czy jedno, cena jest zawsze ta sama.

— I znowu żartujecie. Mój drogi, oświadczam, że to jest absurdalne, to niedorzeczność! Od razu mi powiedzcie, że chcecie, abym tu umarł z głodu: im prędzej tym lepiej.

[1468] *Danaidy* (mit. gr.) — córki króla Argos, Danaosa; za zamordowanie swoich mężów w dzień ślubu zostały skazane w świecie zmarłych na wieczne wykonywanie daremnej pracy: napełnianie wodą beczki bez dna. [przypis edytorski]

[1469] *à la carte* (fr.: według karty) — do wyboru z karty dań. [przypis edytorski]

— Ależ nie, ekscelencjo, to pan chce popełnić samobójstwo. Zapłaci pan, to i pan zje.

— Czym mam zapłacić, ty bydlaku? — wrzasnął zrozpaczony Danglars. — Czy ty myślisz, że noszę ot tak, w kieszeni, sto tysięcy franków?

— Ekscelencja ma w kieszeni pięć milionów pięćdziesiąt tysięcy franków — odparł Peppino — będzie za to pięćdziesiąt kurczaków po sto tysięcy franków i jeszcze jedna połówka za pięćdziesiąt tysięcy.

Danglars zadrżał. Łuski spadły mu z oczu: żart był ten sam, ale nareszcie zrozumiał, o co chodzi. Trzeba przyznać, że już nie uważał tego żartu za płytki, jak mu się zdawało.

— No, pomyślmy — rzekł — jak dam te sto tysięcy, będziemy kwita i najem się do woli?

— Oczywiście.

— Ale jak mam je dostarczyć? — spytał bankier oddychając swobodniej.

— Nic prostszego. Masz pan kredyt otwarty u panów Thomsona i Frencha na via dei Banchi w Rzymie. Proszę mi dać bon na cztery tysiące dziewięćdziesiąt osiem ludwików, płatny u nich, a nasz bankier podejmie dla nas pieniądze.

Danglars chciał przynajmniej pokazać, że ma dobrą wolę; wziął pióro i papier, które podał mu Peppino, wypisał cedułę[1470] i podpisał.

— Proszę — rzekł — oto pański bon, na okaziciela.

— A oto pańskie kurczę.

Danglars kroił kurczę, wzdychając: wydało mu się nader chude jak za taką słoną cenę. Peppino przeczytał uważnie dokument, włożył go do kieszeni i wrócił do swojego grochu.

115. PRZEBACZENIE

Nazajutrz Danglars znowu poczuł głód. Powietrze w grocie ogromnie zaostrzało apetyt. Więzień miał jednak nadzieję, że tego dnia nie wyda nic: jako człowiek oszczędny, schował połowę kurczęcia i kawałek chleba w kącie celi.

Ale gdy zjadł, zaczęło mu dokuczać pragnienie. Tego pod uwagę nie wziął. Walczył z pragnieniem do chwili, gdy poczuł, że wyschnięty język przywarł mu do podniebienia. Nie mogąc już dłużej wytrzymać ognia, który go trawił, zawołał. Strażnik otworzył drzwi. Była to nowa twarz. Danglars pomyślał, że lepiej byłoby mieć do czynienia ze starym znajomym. Poprosił, by przyszedł Peppino.

— Jestem, ekscelencjo — rzekł bandyta, przybiegając w pośpiechu, co wydało się Danglarsowi dobrym znakiem. — Czego pan sobie życzy?

— Czegoś do picia.

— Wie pan zapewne, ekscelencjo, że w okolicach Rzymu wino jest na wagę złota.

— No to dajcie mi wody — odrzekł Danglars, usiłując sparować cios.

— Ach, ekscelencjo, woda jest jeszcze większą rzadkością niż wino, jest taka susza!

— Oho — rzekł Danglars — zdaje się, że zaczynamy od nowa!

I uśmiechnął się, udając, że się dobrze bawi, ale czuł, że pot zrosił mu skronie.

— Posłuchajże, przyjacielu — rzekł, widząc, że Peppino patrzy niewzruszenie — proszę o szklankę wina, odmówiłby mi pan tego?

— Już mówiłem — odparł poważnie Peppino — że nie sprzedajemy detalicznie.

— No dobrze, to dajcie mi butelkę.

— Jakiego?

— Najtańszego.

— Oba są w tej samej cenie.

— A ileż wynosi ta cena?

— Dwadzieścia pięć tysięcy za flaszkę.

— To już powiedz od razu — krzyknął Danglars z nutą goryczy, którą mógłby wyróżnić w jego głosie tylko Harpagon[1471] — że chcecie mnie oskubać żywcem. Zróbcie to zaraz, zamiast skubać kawałek po kawałku.

— Możliwe, że taki jest plan naczelnika.

— Jeśli się da, chciałbym się z nim zobaczyć.

[1470] *cedula* (daw.) — zapis, kwit; wykaz. [przypis edytorski]

[1471] *Harpagon* — główny bohater komedii Moliera *Skąpiec*. [przypis edytorski]

— Ależ proszę.

Chwilę później Vampa stanął przed Danglarsem.

— Ile żądasz pan okupu? Mów pan.

— O, po prostu tych pięciu milionów, które masz pan przy sobie.

Danglars poczuł okropny skurcz w sercu.

— Ale ja już nie mam nic poza tym, proszę pana, to cała resztka ogromnej fortuny. Jeśli macie mnie jej pozbawić, pozbawcie mnie raczej życia.

— Zabroniono nam przelać pańską krew, ekscelencjo.

— A któż wam tego zabronił?

— Ten, którego słuchamy.

— A to słuchacie kogoś?

— Tak, naczelnika.

— Myślałem, że to pan jesteś naczelnikiem?

— Tak, rozkazuję moim ludziom, ale sam jestem posłuszny rozkazom kogoś innego, kogoś, kto słucha tylko Boga.

Danglars stał przez chwilę zamyślony.

— I to ten naczelnik kazał panu tak mnie traktować?

— Tak.

— Ależ moje pieniądze się wyczerpią.

— Możliwe.

— Hm, weźmie pan milion?

— Nie.

— Dwa miliony?

— Nie.

— Trzy miliony, cztery?... Ejże, dostanie pan cztery, pod warunkiem, że puści mnie pan wolno.

— Dlaczego ofiarowuje nam pan cztery miliony za coś, co jest warte pięć? — spytał Vampa. — To wyzysk, panie bankierze, no, chyba że się nie znam.

— No to bierzcie wszystko, wszystko — krzyknął Danglars — i zabijcie mnie!

— No, no, proszę się uspokoić, ekscelencjo, bo krew zacznie panu szybciej krążyć i nabierze pan takiego apetytu, że przeje w jeden dzień milionik. Niechże pan będzie nieco oszczędniejszy, na litość boską!

— A jak nie będę miał pieniędzy, by wam płacić? — krzyknął Danglars zrozpaczony.

— To będzie pan głodny.

— Głodny? — jęknął Danglars.

— To prawdopodobne — odrzekł flegmatycznie Vampa.

— Ale mówiłeś pan, że nie chcecie mnie zabić?

— Nie.

— I chcesz mnie pan zamorzyć głodem?

— To nie to samo.

— No więc dobrze, nędznicy — krzyknął Danglars — pokrzyżuję wam wasze niecne plany. Skoro i tak mam umrzeć, to równie dobrze mogę ze sobą skończyć od razu. Dręczcie mnie, torturujcie, zabijcie mnie, ale nie dostaniecie mojego podpisu!

— Jak pan sobie życzy, ekscelencjo — odparł Vampa i wyszedł z celi.

Danglars, wyjąc, rzucił się na koźle skóry. Kim byli ci ludzie? Kim był ów niewidzialny naczelnik? Jakie mieli względem niego zamiary? I dlaczego on jeden nie mógł złożyć okupu, skoro wszyscy inni mogli?

Ach, oczywiście, śmierć, szybka i nagła śmierć był to dobry sposób, by oszukać nieubłaganych wrogów, którzy jakby chcieli wywrzeć na nim niezrozumiałą zemstę.

Tak, ale umrzeć!...

Pierwszy to chyba raz w swojej długiej karierze Danglars myślał z upragnieniem o śmierci, choć zarazem lękał się jej straszliwie; ale nadeszła chwila, by spojrzeć w oczy nieubłaganemu widmu, które żyje w każdym stworzeniu i przy każdym uderzeniu serca mówi mu: umrzesz! Przypominał dzikie zwierzę, wpierw tylko rozjuszone obławą, które niebawem zaczyna gnać w coraz bardziej desperackiej ucieczce — dzięki czemu udaje mu się czasem wymknąć.

Danglars zastanowił się nad ucieczką. Ale mury były z litej skały, a jedynego wyjścia strzegł zaczytany mężczyzna, za którym przesuwały się zbrojne w strzelby cienie.

Wytrzymał dwa dni — po czym poprosił o jadło, ofiarując w zamian milion.

Podano mu wspaniałą wieczerzę i zabrano jego milion.

Od tej pory nieszczęsny więzień stopniowo popadał w szaleństwo. Tyle już wycierpiał, że nie chciał wystawiać się na dalsze cierpienie. I zgadzał się na wszystkie żądania.

Po dwunastu dniach, gdy zjadł obiad taki, jak za dawnych dobrych czasów, zrobił rachunki i uświadomił sobie, że zostało mu tylko pięćdziesiąt tysięcy.

I nastąpiła w nim przedziwna przemiana: on, który oddał, ot tak, pięć milionów, próbował teraz ocalić pozostałe pięćdziesiąt tysięcy. Postanowił znów odmawiać sobie wszystkiego, wolał to, niż oddać cokolwiek. Chwilami miał przebłyski nadziei, które graniczyły z szaleństwem.

On, który tak dawno zapomniał o Bogu, rozmyślał o Nim, mówiąc sobie, że Bóg czasem czyni cuda: że jaskinia może się zawalić, że karabinierzy papiescy mogliby odkryć tę przeklętą kryjówkę i przyjść mu z pomocą. A wtedy zawsze zostanie mu jeszcze pięćdziesiąt tysięcy franków... Człowiek, który ma pięćdziesiąt tysięcy franków, nie umrze z głodu. Modlił się do Boga, by zachował mu te pięćdziesiąt tysięcy, a modląc się, płakał.

Minęły trzy dni, podczas których imię Boga gościło ciągle, jeśli nawet nie w jego sercu, to na jego ustach. Chwilami miewał omamy, wydawało mu się wtedy, że widzi przez okno, jak w biednej izdebce leży na barłogu konający starzec. Starzec ten także umierał z głodu. Czwartego dnia nie był już człowiekiem, ale żywym trupem. Zebrał z ziemi resztki posiłków aż do ostatniej okruszynki i zaczynał pożerać skórę, leżącą na podłodze. I błagał Peppina, tak jak się błaga anioła stróża, by dał mu coś do zjedzenia. Ofiarowywał mu tysiąc franków za kęs chleba.

Peppino nie odpowiadał.

Piątego dnia doczołgał się do wyjścia z celi.

— To nie jesteś chrześcijaninem? — odezwał się, podnosząc się na kolana. — Chcesz zabić człowieka, który jest wobec Boga twoim bratem? O, moi przyjaciele, moi dawni przyjaciele! — wyszeptał i runął twarzą do ziemi. Zerwał się jednak w ostatecznej rozpaczy.

— Naczelnika! Naczelnika! — krzyknął.

— Jestem — rzekł Vampa, wyrastając przed nim jak spod ziemi. — Życzy pan sobie jeszcze czegoś?

— Proszę wziąć całą resztę — wybełkotał Danglars, wyciągając pugilares — i pozwólcie mi żyć, tu, w tej jaskini. Nie proszę już o wolność, proszę o życie.

— Aż tak pan cierpi? — spytał Vampa.

— Och, tak, cierpię, cierpię okrutnie!

— Ale są ludzie, którzy cierpieli dużo bardziej niż pan.

— Nie wierzę.

— A jednak tak! Ci, którzy umarli z głodu.

Danglars pomyślał o starcu, którego w chwilach majaczeń widywał, jak jęczy na posłaniu za oknem biednej izdebki.

Dotknął czołem ziemi, wydając jęk.

— Tak, to prawda — przyznał — są tacy, którzy wycierpieli więcej ode mnie, ale to byli męczennicy.

Wyrzuty sumienia, Sprawiedliwość, Przemiana, Zemsta

— Żałujesz pan przynajmniej? — spytał ktoś tak posępnym i uroczystym głosem, że Danglarsowi zjeżyły się włosy.

Wzrok osłabł mu tak, że dopiero teraz zauważył, że za bandytą stoi w cieniu pilastra[1472] mężczyzna owinięty w pelerynę.

— Czego miałbym żałować? — wybełkotał.

— Zła, które pan czynił — odpowiedział ten sam głos.

— O tak! Żałuję! Żałuję! — krzyknął Danglars i uderzył się w pierś wychudzoną dłonią.

— A więc wybaczam ci — rzekł człowiek, zrzucając pelerynę i stając w pełnym świetle.

[1472] *pilaster* — detal architektoniczny w formie kolumny przylegającej do ściany. [przypis edytorski]

— Hrabia de Monte Christo — krzyknął Danglars i z przerażenia zbladł jeszcze bardziej.

— Mylisz się pan, nie jestem hrabią de Monte Christo.

— A więc kim?

— Tym, któregoś sprzedał, wydał i zhańbił; jestem tym, którego narzeczoną pchnąłeś do nierządu; jestem tym, po kim przeszedłeś, by zrobić karierę; jestem tym, którego ojciec umarł przez ciebie z głodu — i dlatego i ja skazałem cię na taką śmierć. A jednak przebaczam ci, bo sam potrzebuję, by mi wybaczono. Jestem Edmund Dantès.

Danglars wydał z siebie krzyk i upadł.

— Wstań — rzekł hrabia. — Będziesz żył. Dwóch twoich wspólników nie spotkało podobne szczęście: jeden oszalał, drugi nie żyje. Zatrzymaj sobie te pięćdziesiąt tysięcy franków. Darowuję ci je. Nieznana ręka zwróciła już przytułkom pięć milionów, które ukradłeś. A teraz jedz i pij, dziś wieczór jesteś moim gościem. Luigi, gdy ten człowiek nasyci się, wypuść go.

Gdy hrabia wychodził, Danglars wciąż leżał twarzą do ziemi. Kiedy podniósł głowę, ujrzał już tylko niknący w korytarzu cień, któremu kłaniali się bandyci.

Wedle rozkazu hrabiego Vampa kazał podać Danglarsowi najlepsze wino i najdorodniejsze owoce, po czym wsadził go do karetki pocztowej i wysadził go gdzieś przy drodze. Gdy odjeżdżał, Danglars stał oparty o drzewo.

Stał tak do świtu, nie mając pojęcia, gdzie się znajduje.

O brzasku dostrzegł, że niedaleko płynie strumień. Był spragniony, więc dowlókł się tam. Schylając się nad strumieniem spostrzegł, że jego włosy stały się białe.

116. PIĄTY PAŹDZIERNIKA

Było koło szóstej wieczór. Lekko opalizujące światło, przeplatane gdzieniegdzie złotymi promieniami jesiennego słońca, obijało się w błękitnawej powierzchni morza.

Upał stopniowo słabł. W powietrzu czuć było łagodny powiew bryzy, niczym oddech natury budzącej się po palącej sjeście[1473] południa; powiew, który wraz z wonią drzew i ostrym zapachem jodu niesie orzeźwienie wybrzeżom Morza Śródziemnego.

Po powierzchni tego niezmiernego jeziora, które rozciąga się od Gibraltaru po Dardanele i od Tunisu do Wenecji, w oparach wczesnego wieczoru sunął lekko mały, elegancki jacht. Na dziobie stał wysoki, ogorzały mężczyzna. Szeroko rozwartymi oczyma patrzył na zbliżający się ku niemu ląd podobny do ciemnej masy, uformowanej w stożek i tkwiącej na powierzchni morza jak ogromny kapelusz na głowie Katalończyka.

— Czy to już Monte Christo? — zapytał podróżny, którego rozkazom, jak się zdawało, jacht był podporządkowany; w jego poważnym głosie przebijał głęboki smutek.

— Tak, ekscelencjo — odpowiedział kapitan. — Jesteśmy prawie na miejscu.

— Na miejscu — wyszeptał podróżny, a jego głos zabarwiła nieopisana melancholia.

A potem dodał:

— Tak, to będzie mój port.

I ponownie zatopił się w myślach, które znalazły wyraz w uśmiechu, smutniejszym od samych łez. Chwilę później na wyspie zabłysło światło i do jachtu dobiegł odgłos strzału.

— Ekscelencjo — rzekł kapitan — padł sygnał z lądu. Czy zechciałby ekscelencja odpowiedzieć?

— Jaki sygnał? — zapytał mężczyzna.

Kapitan wskazał ręką wyspę, na brzegu której wznosiła się samotna smużka dymu, w górnych partiach rozpływająca się już w powietrzu.

— A, tak — rzekł podróżny, jakby budząc się ze snu. — Dobrze.

Kapitan podał mu nabitą fuzję. Mężczyzna ujął ją w ręce, podniósł wolno i oddał strzał w powietrze. Dziesięć minut później zwijano żagle i zarzucano kotwicę o pięćset kroków od małego portu.

Na podróżnego czekała już mała szalupa z czterema wioślarzami i pilotem. Podróżny wsiadł do niej, lecz zamiast zająć miejsce na rufie, specjalnie dla niego wyścielane błę-

[1473] *sjeście* (z hiszp.) — odpoczynek popołudniowy w krajach o ciepłym lub gorącym klimacie; drzemka poobiednia. [przypis edytorski]

kitnym kobiercem, stał, skrzyżowawszy ramiona. Wioślarze, podobni do ptaków, które rozpostarły skrzydła, by wiatr je osuszył, trwali w oczekiwaniu, uniósłszy wiosła.

— Ruszajmy! — rzekł podróżny.

I osiem wioseł równo opadło w wodę, nie wywołując najdrobniejszego nawet pluśnięcia. Szalupa ruszyła szybko naprzód, by po chwili znaleźć się już w małej zatoczce. Tu osiadła na piasku.

— Ekscelencjo — rzekł pilot — proszę wejść na barki dwóch z moich ludzi. Przeniosą pana na brzeg.

Mężczyzna machnął ręką. Wyskoczył z szalupy i zagłębił się po pas w wodzie.

— Ekscelencjo — zmartwił się pilot — czemuż pan to robi, zbeszta nas jaśnie pan.

Ów jednak szedł dalej za wioślarzami, którzy szukali najbezpieczniejszej drogi. Po jakichś trzydziestu krokach dotarli do brzegu. Mężczyzna otrząsnął się z wody i badał wzrokiem, którą drogą będą go prowadzić.

W chwili, gdy odwracał głowę, czyjaś dłoń spoczęła na jego ramieniu.

— Jak się masz, Maksymilianie — rzekł jakiś głos. — Dotrzymałeś słowa. Dziękuję.

— Ach! To ty, hrabio! — zawołał mężczyzna, ujmując w obie ręce dłoń Monte Christo. Gest ów mógł wskazywać na radość.

— Tak, to ja, akuratny jak ty. Ale, Maksymilianie, jesteś cały przemoczony. Musisz zmienić odzież. Chodź za mną. Apartament dla ciebie już czeka, tam wkrótce zapomnisz o trudzie i chłodzie.

Morrel odwrócił głowę. Monte Christo spostrzegł to i poczekał chwilę.

Morrel zaś ze zdziwieniem obserwował, jak ludzie, którzy go przywieźli na wyspę, odpływali bez słowa, nie żądając zapłaty. Słychać było tylko plusk wioseł ich łodzi kierujących się ku jachtowi.

— Szukasz swoich wioślarzy? — zapytał hrabia.

— Tak. Nic im nie dałem, a mimo to odpłynęli.

— Tym się nie przejmuj, Maksymilianie — rzekł z uśmiechem Monte Christo. — Mam umowę z żeglarzami, zgodnie z którą dostęp na moją wyspę jest zwolniony z wszelkich opłat. Jestem ich abonentem, jakby to się powiedziało w cywilizowanych krajach.

Morrel spojrzał na hrabiego ze zdziwieniem.

— Panie hrabio, jest pan zupełnie inny niż w Paryżu: tutaj się pan uśmiecha...

W tej jednak chwili czoło hrabiego się zasępiło.

— Dobrze, że przywołujesz mnie do porządku. Maksymilianie, zobaczyć cię ponownie to dla mnie szczęście i zapomniałem przez chwilę, że każde szczęście jest tylko ulotne.

— O nie, proszę cię, hrabio! — zawołał Morrel, chwytając przyjaciela za ręce. — Proszę, śmiej się. Bądź szczęśliwy. Pokaż mi przez twoją obojętność, że życie tylko temu jest niemiłe, kto cierpi. Ale ty jesteś litościwy, dobry i wielki, przyjacielu, i tylko dlatego, że chcesz mi dodać siły, udajesz to szczęście przede mną.

— Mylisz się, Morrelu — rzekł Monte Christo. — Rzeczywiście byłem szczęśliwy.

— Więc zapominasz już o mnie? Tym lepiej.

— Jak to zapominam?

— Pamiętasz przecież, przyjacielu, powiem dziś tobie to, co mówią gladiatorzy wchodzący na arenę, zwracając się do boskiego cezara: „Idący na śmierć pozdrawiają cię".

— Więc nic nie zdołało ukoić twojego bólu? — zapytał Monte Christo, spoglądając dziwnie na Morrela.

— Naprawdę wierzyłeś, że tak może się stać? — odpowiedział Morrel, patrząc na niego z gorzkim wyrzutem.

— Posłuchaj, Maksymilianie, mam nadzieję, że mnie dobrze rozumiesz. I że nie bierzesz mnie za prostaka, który rzuca puste słowa na wiatr. Gdy pytam, czy twój ból nie zaznał ukojenia, robię to dlatego, że jestem człowiekiem, dla którego serce ludzkie nie ma tajemnic. Dobrze, Maksymilianie, zbadajmy, co się kryje na dnie twojego serca. Popatrzmy, czy jest tam ciągle ten ból niecierpliwy, który sprawia, że twoje ciało miota się jak lew ukłuty przez komara? A co z owym palącym pragnieniem, nienasyconym aż po grób? Czy to rozpacz idealna, która każe człowiekowi szukać śmierci? Czy raczej tylko przybicie, zniechęcenie, znużenie, które dławi promyk nadziei, co mógłby jeszcze zabłysnąć? A może nieczułość, która wysuszyła ci łzy? Mój drogi, jeżeli jest właśnie tak, jeżeli zwyczajnie

nie możesz już płakać, jeżeli sądzisz, że twoje serce jest martwe, gdy ono tylko odrętwiało, jeżeli cała twoja siła w Bogu, a wszystkie spojrzenia kierują się ku niebu, przyjacielu, darujmy sobie słowa zbyt ciasne, by wyrazić, to co czuje dusza. Maksymilianie, twój ból jest już ukojony i przestań o nim mówić.

— Hrabio — rzekł Morrel łagodnie, lecz stanowczo. — Teraz ty mnie posłuchaj, jak słucha się kogoś, kto bierze Boga na świadka swoich słów: jestem tutaj, ponieważ pragnę umrzeć w ramionach przyjaciela. Oczywiście, są osoby, które kocham: moja siostra Julia, jej mąż Emmanuel. Ale teraz potrzebuję silnego ramienia i uśmiechu. Julia wybuchnęłaby płaczem i straciła przytomność. Widziałbym tylko jej cierpienie, a mam już dość cierpienia. Emanuel próbowałby mi wyrwać broń z ręki i podniósłby krzyk w całym domu. Pan, panie hrabio, jest kimś więcej niż zwykłym człowiekiem. Nazwałbym pana bogiem, gdyby nie był pan śmiertelnikiem. Mam pana słowo i wiem, że poprowadzi mnie pan ku śmierci łagodnie, jak przyjaciel.

— Przyjacielu — rzekł hrabia — mam jeszcze tylko jedno pytanie. Czy przypadkiem nie jesteś zbyt słaby i czy zwyczajnie nie chełpisz się swoim bólem?

— Bynajmniej. Jestem człowiekiem prostym. Proszę zobaczyć — rzekł, podając rękę hrabiemu. — W tej chwili mój puls nie bije ani szybciej, ani słabiej. Wiem, że to koniec mojej drogi i dalej już nie pójdę. Panie hrabio, chcę już tylko spokojnie spocząć na łonie śmierci.

Gwałtowność ostatnich słów Morrela przeraziła Monte Christo.

— Przyjacielu — podjął Morrel, widząc, że hrabia milczy. — Wyznaczyłeś mi 5 października jako zakończenie zawieszenia, o który prosiłeś. I oto mamy 5 października.

Morrel wyjął zegarek.

— Jest dziewiąta, pozostały mi więc jeszcze trzy godziny życia.

— Niech i tak będzie — odpowiedział Monte Christo. — Chodź.

Morrel machinalnie poszedł za hrabią. Byli już w grocie, a on ciągle nie dostrzegał niczego wokół. Pod jego stopami rozłożone były dywany. Drzwi się otworzyły i otoczyły go cudowne zapachy, a ostre światło poraziło jego oczy. Morrel zatrzymał się niepewnie. Upajające rozkosze, którymi tchnęła ta grota, wzbudziły jego nieufność. Monte Christo pociągnął go lekko za sobą.

— Nie sądzisz, że owe trzy ostatnie godziny należy spędzić tak, jak robili to starożytni Rzymianie, którzy skazani na śmierć przez Nerona zasiadali przy stole, z wieńcami na głowach i wdychali śmierć wraz z zapachem róż i heliotropów?

Morrel uśmiechnął się.

— Jak pan chce, hrabio — rzekł. — Śmierć jest zawsze śmiercią, czyli zapomnieniem, odpoczynkiem, końcem życia i końcem bólu.

Usiadł. Monte Christo zajął miejsce naprzeciw niego.

Znajdowali się w owej cudownej sali jadalnej, którą już znamy z opisów. Te same marmurowe posągi unosiły na głowach kosze pełne kwiatów i owoców.

Morrel prześliznął się nieuważnym wzrokiem po tych cudach — może nawet niczego nie dostrzegając.

— Porozmawiajmy jak mężczyźni — rzekł w końcu, utkwiwszy uporczywe spojrzenie w hrabi.

— A więc mów.

— Hrabio, zawiera pan w sobie kwintesencję całej ludzkiej wiedzy. Gdy na pana patrzę, wydaje mi się, że przybyłeś do nas z innego, mądrzejszego świata.

— Jest w tym coś z prawdy, Maksymilianie — rzekł hrabia z owym melancholijnym uśmiechem, który nadawał taki czar jego twarzy. — Przybyłem z planety zwanej cierpieniem.

— Wierzę we wszystko, co pan mówisz, i nie staram się nawet zgłębić sensu pańskich słów. Najlepszym dowodem jest to, że nakazał mi pan żyć, i żyję; nakazał mi pan nie tracić nadziei, i prawie ją zachowałem. Ośmielę się więc zapytać pana, jakbyś już raz doświadczył śmierci: czy to bardzo boli?

Monte Christo patrzył na Morrela z niewymowną serdecznością.

— Tak — rzekł. — To bardzo boli, gdy ktoś rozbija brutalnie ową cielesną powłokę, która tak rozpaczliwie chce żyć. Jeśli zatopisz sztylet w ciało czy palniesz sobie w głowę,

twoim ciałem wstrząśnie ból. Wtedy i ty będziesz cierpiał, opuszczając w tak tchórzliwy sposób życie. I wijąc się w rozpaczliwej agonii uznasz, że życie jest czymś lepszym od spoczynku, który tak drogo opłacasz.

Śmierć, Kondycja ludzka, Samobójstwo

— Tak, rozumiem. Śmierć, jak i życie, ma swoje bolesne i rozkoszne sekrety: idzie o to, aby je poznać.

— Właśnie tak, Maksymilianie. Wyrzekłeś wielką myśl. Śmierć jest w zależności od naszego nastawienia albo przyjaciółką i piastunką, albo wrogiem, co gwałtownie wyrwie nam duszę z ciała. Pewnego dnia, za tysiąc lat, kiedy zdobędziemy władzę nad wszystkimi niszczącymi siłami przyrody, aby służyły dobru ludzkości, kiedy człowiek pozna tajemnice śmierci, jak mówiłeś przed chwilą, śmierć stanie się równie przyjemna i rozkoszna, jak sen w ramionach ukochanej.

— A gdyby pan, hrabio, chciał umrzeć, umiałbyś umrzeć w ten sposób, prawda?

— Tak.

Morrel wyciągnął doń rękę.

— Teraz rozumiem, dlaczego naznaczyłeś mi pan spotkanie na tej ponurej wyspie, na pełnym morzu, w tym podziemnym pałacu-grobowcu, którego pozazdrościłby ci niejeden faraon: bo lubisz mnie, hrabio, prawda? Bo lubisz mnie tak, że chcesz mi zadać taką śmierć o jakiej właśnie mówiłeś, śmierć bez agonii, śmierć, która pozwoli mi zgasnąć z imieniem Valentine na ustach, czując twoją rękę w dłoni?

— Tak, zgadłeś — rzekł z prostotą hrabia. — Tak właśnie myślałem.

— Dziękuję. Na myśl, że jutro już nie będę cierpiał, spływa na mnie ukojenie.

— I nie żal niczego na tym świecie?

— Nie.

— Nawet mnie? — spytał Monte Christo, a w jego głosie brzmiało głębokie wzruszenie.

Morrel zamilkł. Jasne jego oczy zamgliły się na chwilę i nagle zajaśniały niezwykłym blaskiem. Wielka łza stoczyła mu się z rzęs, zostawiając srebrzysty ślad na policzku.

— Jak to? — odezwał się hrabia. — Żałujesz więc jeszcze czegoś na tej ziemi, a jednak chcesz umrzeć?

— O, błagam, hrabio — rzekł cicho Morrel. — Ani słowa więcej; nie przedłużaj mojej męczarni!

Hrabiemu wydało się, że Morrel zaczyna słabnąć. Myśl ta obudziła w nim znów straszliwe wątpliwości, które już raz, w zamku If, przezwyciężył.

„Pragnę zwrócić temu człowiekowi szczęście — pomyślał — patrzę na ten czyn jak na ciężar, który rzucam na szalę moich uczynków po stronie dobra, który ma okupić wyrządzone przeze mnie zło. A jeśli się mylę... Jeśli ten człowiek nie jest na tyle nieszczęśliwy, by zasłużyć na szczęście... Cóż stanie się ze mną, skoro jestem zdolny zapomnieć o złu, tylko jeśli zmażę je dobrem?"

— Posłuchaj, Maksymilianie — rzekł. — Twój ból jest ogromny, widzę to. Ale przecież wierzysz w Boga, nie chcesz chyba zgubić swojej duszy?

Morrel uśmiechnął się smutno.

— Hrabio — rzekł — nigdy nie tworzę poezji na zimno; przysięgam ci, że moja dusza nie należy już do mnie.

— Słuchaj, Maksymilianie — odezwał się znowu Monte Christo — nie mam na świecie żadnych krewnych, wiesz o tym. Przywykłem uważać cię za syna... a żeby uratować syna, poświęciłbym życie, a tym bardziej majątek.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, Maksymilianie, że pragniesz rozstać się z życiem, bo nie znasz wszystkich jego radości, jakie umożliwia wielka fortuna. Maksymilianie, mam prawie sto milionów. Daję ci je. Z takim majątkiem dokonasz wszystkiego, co sobie zamierzysz. Czyż nie jesteś ambitny? Otworzy się przed tobą każda kariera. Możesz poruszyć z posad świat, zmienić jego oblicze, oddawać się szaleństwom, zbrodni, jeśli będziesz musiał, ale żyj.

— Hrabio, dałeś mi słowo — odparł zimno Morrel. — I — tu wyjął zegarek — jest już wpół do dwunastej.

— I ty chcesz to zrobić na moich oczach, w moim domu?

— A więc niech mi pan pozwoli odejść — odparł Maksymilian, nagle spochmurniały — albo uwierzę, że pańska przyjaźń do mnie jest samolubna.

— A więc dobrze — rzekł Monte Christo, a twarz rozjaśniła mu się po tych słowach. — Chcesz tego, jesteś nieugięty; tak, jesteś prawdziwie nieszczęśliwy i tylko cud, jak powiedziałeś, mógłby cię uleczyć. Siadaj i zaczekaj.

Morrel usłuchał. Monte Christo wstał i podszedł do zamkniętej szafy, otwarł ją kluczem, który nosił na złotym łańcuszku, i wyjął z niej srebrną szkatułkę, cudnie rzeźbioną i cyzelowaną. Na jej rogach widniały cztery smukłe figurki kobiece, podobne do rozpaczających kariatyd[1474], istne anioły tęskniące do nieba.

Postawił szkatułkę na stole. Otwarł ją i wyjął złote puzdereczko z przykrywką podnoszącą się za naciśnięciem sprężyny. Puzdereczko zawierało gęstą substancję, o kolorze trudnym do opisania, bowiem odbijał się na niej blask polerowanego złota, szafirów, rubinów i szmaragdów, którymi inkrustowana była pokrywka. Aż się skrzyło od lazuru, purpury i złota.

Hrabia wziął na pozłacaną łyżeczkę odrobinę owej substancji i podał ją Morrelowi, patrząc na niego uważnie.

Teraz można było dostrzec, że substancja była zielona.

— Proszę — rzekł — masz, o co mnie prosiłeś i co ci obiecałem.

— Dziękuję ci z całego serca — rzekł młody człowiek, biorąc łyżeczkę.

Hrabia wziął drugą łyżeczkę i zaczerpnął ponownie w puzdereczku.

— Co czynisz, przyjacielu? — spytał Morrel, wstrzymując mu rękę.

— Do licha, niech mi Bóg przebaczy — uśmiechnął się hrabia — ale jestem tak samo znużony życiem, jak ty. A jeśli już nadarza się okazja...

— Nie rób tego! — zawołał młodzieniec. — Ty kochasz, jesteś kochany, masz wiarę i nadzieję. Nie rób tego, co ja — u ciebie byłoby to zbrodnią. Żegnaj, mój szlachetny, wielkoduszny przyjacielu, opowiem Valentine o wszystkim, coś dla mnie uczynił.

I ściskając hrabiemu dłoń, połknął tajemniczą substancję — bez chwili wahania, a nawet delektując się nią.

Zamilkli obaj. Ali, cichy i uważny, przyniósł tytoń, nargile, kawę i wyszedł.

Z wolna zaczynały przygasać lampy w rękach marmurowych posągów, a woń kadzideł wydała się Maksymilianowi mniej przenikliwa.

Monte Christo patrzył na niego, siedząc naprzeciw w cieniu; Morrel dostrzegał tylko blask jego oczu.

Nagle owładnął nim okropny ból; nargile wysunęło mu się z ręki; przedmioty traciły niepostrzeżenie kształty i barwę; zamglonym oczom wydało się, że w ścianie otwierają się drzwi i rozsuwają kotary.

— Przyjacielu — rzekł — umieram. Dziękuję ci.

I w ostatnim wysiłku spróbował podać hrabiemu rękę, ale opadła mu bezsilnie.

I wydało mu się, że Monte Christo uśmiecha się, nie owym dziwnym, przerażającym uśmiechem, który pozwolił mu przeczuć nieraz tajemnice tej skrytej duszy — ale uśmiechem pełnym życzliwości i współczucia, niczym ojciec śmiejący się z dziecka, które plecie głupstwa. Jednocześnie hrabia zaczął rosnąć w jego oczach; na tle czerwonych obić zarysowała się jego sylwetka niemal dwukrotnie wyższa; z czarnymi włosami odrzuconymi w tył stał dumny niczym anioł, jeden z tych, które w dzień sądu ostatecznego będą karać złych.

Morrel, przytłoczony, opadły z sił, osunął się bezwładnie na fotel. Jego ciało objęło aksamitne odrętwienie. W myślach zapanował mu chaos — jakby ktoś zmienił obrazek w kalejdoskopie. Dyszał ciężko; czuł, że żyją w nim już tylko te przywidzenia: zdawało mu się, że na pełnych żaglach wpływa w delirium, poprzedzające to nieznane, które zowiemy śmiercią.

Raz jeszcze spróbował wyciągnąć rękę do hrabiego — ale ręka nawet nie drgnęła. Chciał wyrzec coś na pożegnanie, ale język zatkał mu gardło, jak kamień zatykający wejście do grobowca. Znużone oczy zamknęły mu się same. A jednak przez powieki widział kształt, który rozpoznał mimo ciemności, jakie go spowijały.

[1474]*kariatyda* — rzeźba stojącej kobiety, dźwigającej na głowie belkowanie budowli, gzyms lub balkon, spełniająca funkcję kolumny lub filaru. [przypis edytorski]

To hrabia otwierał drzwi.

Z sąsiedniego pokoju, a raczej z cudownej pałacowej komnaty buchnęła jasność, zalewając salę, w której konał spokojnie Morrel.

Ujrzał, jak w progu staje kobieta przepysznej urody. Blada, z łagodnym uśmiechem na ustach, zdawała się aniołem miłosierdzia, co zaklina anioła zemsty.

„Czyżby to niebo otwierało się już przede mną? — pomyślał umierający. — Jakże podobny ten anioł do tego, któregom utracił".

Monte Christo wskazał sofę, na której spoczywał Morrel.

Szła ku niemu z uśmiechem na ustach, złożywszy ręce.

— Valentine! Valentine! — krzyknął Morrel w głębi swej duszy.

Ale z jego ust nie wydostał się żaden dźwięk; i jakby wyczerpał w tym uniesieniu wszystkie swoje siły, westchnął i zamknął oczy.

Valentine rzuciła się ku niemu.

Usta Morrela drgnęły raz jeszcze.

— Woła panią — rzekł hrabia. — Woła panią, mimo że uśpiony jest głęboko. Tak, to ten, któremu powierzyłaś swój los i z którym śmierć chciała cię rozdzielić. Na szczęście byłem jednak na miejscu i mogłem pokonać śmierć. Valentine, nie powinniście już nigdy się rozstawać, ponieważ, by cię odnaleźć, gotowy był zstąpić do grobu. Gdyby nie ja, umarlibyście oboje. Zwracam jedno drugiemu. Oby Bóg zechciał mieć na uwadze te dwa istnienia, które ocaliłem.

Valentine chwyciła dłoń Monte Christo i w uniesieniu radości podniosła ją do ust.

— Proszę cię, pani, podziękuj mi dobrze i powtórz mi jeszcze raz, jeszcze wiele razy, że uczyniłem cię szczęśliwą. Nawet nie wiesz, jak bardzo potrzebuję tej pewności.

— Dziękuję panu z całej duszy — rzekła Valentine. — A jeśli wątpisz, hrabio, w szczerość moich podziękowań, zapytaj Hayde, moją najukochańszą siostrę. To ona dzięki temu, co mówiła o tobie, zdołała sprawić, że od wyjazdu z Francji czekałam cierpliwie i wytrwale na dzisiejszy dzień.

— To kochasz pani Hayde? — zapytał Monte Christo ze wzruszeniem, które na próżno starał się ukryć.

— Całym sercem.

— Więc posłuchaj, Valentine — rzekł hrabia. — Chciałbym cię prosić o łaskę.

— Mnie? Czym zasłużyłam sobie na ten zaszczyt...

— Nazwałaś Hayde swoją siostrą, niechże więc rzeczywiście nią się stanie. To wszystko, co wydaje ci się, że jesteś mi dłużna, oddaj jej. Zaopiekujcie się nią, ty, pani i Morrel, ponieważ od dziś... — tu głos uwiązł Monte Christowi w gardle — ponieważ od dziś będzie sama na świecie.

— Sama na świecie! — powtórzył głos dochodzący z głębi. — Dlaczego?

Monte Christo odwrócił się. Hayde stała blada, patrząc na hrabiego w osłupieniu.

— Ponieważ jutro, moja córko, będziesz wolna — odpowiedział hrabia. — Od jutra zajmiesz należną ci pozycję w świecie, gdyż nie chcę, żeby mój los położył się cieniem na twoim. Księżniczko, zwracam ci bogactwa i imię twego ojca.

Hayde zbladła, rozłożyła przezroczyste ręce niczym dziewczyna polecająca się Bogu i głosem nabrzmiałym od łez powiedziała:

— Więc opuszczasz mnie, panie?

— Hayde! Jesteś młoda i piękna. Zapomnij nawet o moim imieniu i bądź szczęśliwa.

— Dobrze — rzekła Hayde. — Twoje rozkazy, mój panie, będę spełnione. Zapomnę o twoim imieniu i będę szczęśliwa.

Cofnęła się o krok, chcąc się oddalić.

— Boże! — zawołała Valentine, podtrzymując bezwładną głowę Morrela. — Nie widzisz pan, jaka jest blada? Nie rozumiesz, że cierpi?

Hayde odrzekła na to z rozpaczą w głosie:

— Dlaczego chcesz, aby mnie zrozumiał? Jest panem, a ja niewolnicą. Ma prawo niczego nie dostrzegać.

Hrabia zadrżał. Głos dziewczyny poruszył najtajniejsze struny jego serca. Spojrzał jej w oczy i nie zniósł ich blasku.

— Boże! — zawołał. — Więc to, co podejrzewałem, miałoby być prawdą? Hayde, byłabyś szczęśliwa zostając ze mną?

— Jestem młoda — odpowiedziała łagodnie. — Lubię życie, które dzięki tobie stało się tak cudowne. Byłoby mi żal, gdybym miała umrzeć.

— Więc gdybym cię opuścił...?

— Umarłabym, mój panie.

— To kochasz mnie, Hayde?

— Valentine, on pyta, czy ja go kocham. Powiedz mu, czy ty kochasz Maksymiliana!

Serce hrabiego wezbrało szczęściem. Otworzył ramiona, a dziewczyna rzuciła się w nie.

— Tak, kocham cię — rzekła. — Kocham cię, tak jak się kocha ojca, brata i męża. Kocham cię, tak jak kocha się życie i Boga, bo jesteś dla mnie najpiękniejszym, największym i najwspanialszym spośród ludzi.

— Niech więc będzie, jak chcesz, aniele. Bóg, który przywrócił mi życie, bym walczył przeciwko moim wrogom i w tej walce dał mi zwycięstwo, ten Bóg nie chce wcale, by na końcu mojej drogi czekała mnie kara. Chciałem sam siebie ukarać, On mi przebaczył. Więc kochaj mnie, Hayde! Kto wie, może twoja miłość pomoże mi zapomnieć o tym, o czym powinienem zapomnieć.

— O czym mówisz, mój panie?

— Mówię, że dzięki jednemu twojemu słowu zrozumiałem więcej niż przez dziesięć lat żmudnego zdobywania mądrości. Tylko ty mi pozostałaś na świecie, jesteś jedynym ogniwem łączącym mnie z życiem, możesz sprawić, że będę cierpiał i możesz mnie uszczęśliwić.

— Valentine, czy ty to słyszysz? — zawołała Hayde. — Czy on mówi, że mogłabym mu sprawić ból? Przecież oddałabym za niego życie.

Hrabia zastanowił się chwilę.

— Czy jednak rzeczywiście dobrze odczytałem prawdę? — rzekł. — Boże, przecież to nie ma już żadnego znaczenia. Kara czy nagroda, przyjmuję ten los. Chodź, Hayde, chodź...

Jedną ręką objął kibić dziewczyny, drugą uścisnął dłoń Valentine i zniknął.

Upłynęła niemal godzina. Przez tę godzinę Valentine na krok nie odstępowała Morrela. W końcu poczuła, że jego serce zaczyna bić, niemal niedostrzegalny oddech rozchyla mu wargi, a przez ciało przebiega ów dreszcz, który znamionuje powrót do życia.

Jego oczy się otwarły, z początku jednak jakby niewidzące. Najpierw wrócił mu wzrok, jasny i precyzyjny. Ze wzrokiem zaś czucie, z czuciem — ból.

— Jak to? — zawołał z rozpaczą. — Żyję. Hrabia mnie oszukał.

Sięgnął ręką do stołu i chwycił nóż.

— Najdroższy — rzekła Valentine uśmiechając się uroczo. — Obudź się i popatrz na mnie.

Morrel wydał okrzyk i jakby w szaleństwie, pełen zwątpienia, odurzony tą wizją niemal niebiańską, upadł na kolana...

Nazajutrz o brzasku Morrel i Valentine przechadzali się nad brzegiem. Ona opowiadała, jak to hrabia Monte Christo wszedł do jej pokoju, odkrył przed nią całą zbrodnię i jak — w cudowny sposób — ocalił jej życie, pozwalając ludziom wierzyć, że umarła.

Na porannym błękicie nieba lśniły ostatnie gwiazdy.

W pewnej chwili Morrel dostrzegł jakiegoś człowieka. Stał skryty w półmroku skał i czekał tylko na znak, by się zbliżyć. Morrel wskazał go Valentine.

— To przecież Jacopo — rzekła dziewczyna. — Kapitan jachtu.

I dała mu znak, by podszedł do nich.

— Czy chce nam pan coś powiedzieć? — zapytał Morrel.

— Mam panu oddać list od hrabiego.

— Od hrabiego! — wykrzyknęli równocześnie.

— Tak, proszę, oto on.

Morrel otworzył list i przeczytał:

> Kochany Maksymilianie!
>
> Oddaję do twojej dyspozycji felukę[1475]. Jacopo zawiezie Was do Livorno, gdzie czeka pan Noirtier, pragnąc pobłogosławić wnuczkę przed ślubem. Wszystko, co znajduje się w tej grocie, jak i mój dom na Polach Elizejskich

[1475] *feluka* — rodzaj łodzi żaglowej. [przypis edytorski]

oraz zameczek w Tréport zechciejcie przyjąć jako weselny podarunek od Edmunda Dantèsa dla syna pana Morrela. Byłbym zobowiązany, gdyby panna de Villefort nie wzgardziła połową tego wszystkiego, ponieważ proszę ją, by oddała biednym majątek po ojcu, który oszalał, i po bracie zmarłym tragicznie wraz z matką we wrześniu.

Poproś, Maksymilianie, anioła, który odtąd będzie nad Tobą czuwał, by zechciał czasem pomodlić się za człowieka, co na podobieństwo Szatana przez chwilę poczuł się równy Bogu, a teraz, z pokorą prawdziwego chrześcijanina uznaje, że On jeden posiada najwyższą moc i nieskończoną mądrość. Być może siła tych modlitw zdoła uciszyć wyrzuty, z którymi, na dnie serca, odchodzi ów człowiek.

Co się zaś ciebie tyczy, Maksymilianie, oto cała tajemnica mojego postępowania względem ciebie: na świecie nie ma ani szczęścia ani nieszczęścia, tylko przeciwieństwo jednego stanu do drugiego. Jedynie ten, kto poznał najstraszniejsze niepowodzenia, może docenić, czym jest największa radość. Trzeba najpierw chcieć umrzeć, Maksymilianie, by wiedzieć, jak dobrze jest żyć.

Kochani, bądźcie więc szczęśliwi i nie zapominajcie, że póki nie spodoba się Bogu odkryć przyszłości przed człowiekiem, cała mądrość ludzka będzie się zawierać w tych kilku słowach:

Czekać i nie tracić nadziei!

Wasz przyjaciel

Edmund Dantès, hrabia de Monte Christo

Dopiero z lektury tego listu Valentine dowiedziała się o szaleństwie ojca, śmierci brata i macochy. Dziewczyna zbladła, boleśnie westchnęła i łzy, ciche, lecz nie mniej rozdzierające, popłynęły jej po policzkach. Drogo zapłaciła za szczęście.

Morrel rozejrzał się niespokojnie.

— Ale, mówiąc szczerze, hrabia za daleko posuwa swoją hojność. Wystarczy nam przecież mój skromny majątek. A właściwie gdzież on? Zaprowadź nas do niego, proszę.

Jacopo wskazał ręką horyzont.

— Jak to? — zapytała Valentine. — Gdzie jest hrabia? Gdzie Hayde?

— Niech państwo spojrzą — rzekł Jacopo.

Młodzi popatrzyli w kierunku wskazanym przez marynarza. I na granatowej linii, która oddziela niebo od Morza Śródziemnego dostrzegli biały żagiel, nie większy od skrzydła mewy.

— Odpłynął! — zawołał Morrel. — Odpłynął! Żegnaj, mój przyjacielu, żegnaj, mój ojcze!

— Ona też odpłynęła — szepnęła Valentine. — Bywaj zdrowa, moja przyjaciółko, moja jedyna siostro!

— Może już nigdy ich nie zobaczymy! — zawołał Morrel ocierając łzy.

— Mój kochany — rzekła Valentine. — Przecież przed chwilą hrabia powiedział nam, że największą mądrością są słowa:

Czekać i nie tracić nadziei!

Dalszy ciąg historii znajdzie czytelnik w powieści pod tytułem Martwa ręka.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/hrabia-monte-christo

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Dumas, Hrabia Monte Christo, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2003.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Monika Kluskiewicz, Monika Myszkowska, Paulina Choromańska, Paulina Ołtusek.

ISBN 978-83-288-0592-7

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.